



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

SLAV
5198
77

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

CHARLES MINOT

Class of 1929

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 210.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

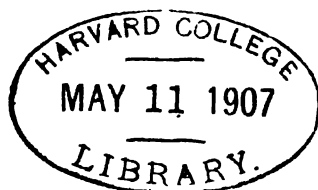
PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1893.—Tom II.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ulica Foksal Nr 6.
—
1893.

~~Sin 702~~
SLAV
5198
77



Minot fund.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Апрель 1893 года.

W drukarni J. Sikorskiego, pod zarządem A. Saładyckiego,
Warecka Nr 14.

Prawa Władysława IV do korony carskiej.

(Na podstawie russkich źródeł historycznych).

I.

Znanym jest fakt dziejowy wybrania piętnastoletniego Władysława, najstarszego syna Zygmunta III, w sierpniu 1610 roku, w obozie Żółkiewskiego pod Moskwą, za następcę Wasyla Szujskiego. Zawarty naówczas z hetmanem St. Żółkiewskim traktat, zastrzegający przyjęcie wiary greckiej przez elekta, odmawiający wszelkich ustępstw terytoryalnych, nie mógł być przyjętym przez Zygmunta, jako niekorzystny i stojący w zupełnej sprzeczności z jego widokami. Zygmunt przedewszystkiem dążył sam do objęcia berła moskiewskiego do chwili pełnoletności syna, potem był-by się zgodził na oddanie Władysława, ale o ciężkich warunkach elekcji ani chciał słyszeć. Warunków, postawionych przez patriarchę i jego posłów (gdyż reszta dumy skłonną była do wielu ustępstw), przyjąć nie mógł, dlatego, że sprowadzały one korzyści uciążliwej kosztownej kampanii do minimum i nie odpowiadały wcale wygórowanym, a nawet przy końcu zmniejszonym nieco, nadziejom ¹⁾, z jakimi w roku 1609 wyprawa pod Smoleńsk i Moskwę przedsięwziętą została.

¹⁾ Dzieje tej elekcji skreśliłem w „Niwie” 1892 r. (od m. października do m. grudnia).

Skutkiem długiego przeciągania się kampanii, król, pozbawiony odpowiednich środków, znalazł się w ciężkiem położeniu; musiał więc zadowolnić się zdobyciem Smoleńska, obsadzeniem, o ile się dało, odebranej z rąk Samozwańca Siewierszczyzny, zostawił niewielką załogę w silnej co prawda fortecy Kremlu i posłał J. K. Chodkiewicza na pomoc Polakom, obleżonym przez tłumy pospolitego ruszenia Lapunowa i Dymitra Trubeckiego, póki-by sejm nowych środków i nowych zaciągów do dalszej kampanii nie uchwalił.

Nie ulega żadnej wątpliwości, iż rozległy program polityczny króla miał na celu nie tylko ściślejsze zespolenie obu państw, ale zarazem także i korzyści handlowe, otwarcie nowej granicy dla unii kościelnej—jednem słowem dla wpływów Zachodu. Poselstwo metropolity Filareta i W. Golicyna pod Smoleńsk wykazało dosadnie, jak silnie zakorzenioną była nieufność do Zygmunta, do jego zamysłów, ile było sprzeczności, nie dających się usunąć, i z jakim hartem i wytrwałością, czerpiącą siłę w religijnym podkładzie, spotkał się Waza, nie mający dosyć sił, aby zamiary swoje drogą oręża przeprowadzić.

Cała ta więc sprawa Zygmunta i Władysława rozchodzi się na niczem, idzie na zwłokę—rozpływa się w trudnościach bez liku. Król wraca do Wilna, gdzie na niego czekają żona Konstancja i królewicz, a stamtąd śpieszy na sejm do Warszawy.

W owej to chwili, Melchior Miaskowski, autor „Zbioru rytmów,” (Kraków, 1612), poeta, piszący wiersze na cześć pierwszego Dymitra, poświęcający następnie kilka utworów samej wyprawie Zygmunta, zachęca Władysława do sięgnięcia po berło:

Wsiadaj, gdzie czeka sama Cię pogoda (?),
Gdzie rozterk woła i wewnętrzna niezgoda,
Kędy krew nasza rozlana nie w zwadzie,
Ale na zdradzie.

Miaskowski ma tutaj na myśli rzeź Polaków Maryny po zamordowaniu pierwszego Samozwańca.

Woła Cię Państwo aż pod lody słone,
Czego są świadkiem poselstwa niepłonne,
Że pod twe skrzydła w ostatniej koszuli
Ono się tuli.

Od tej więc pory rozpoczyna się proces polityczno-prawny o prawa Władysława IV do korony carskiej i trwa od roku 1610 aż do roku 1635, a zatem dwadzieścia pięć lat, t. j. aż do pokoju Polanowskiego, lubo już przy rozejmie w roku 1618, w Dywilnie, Władysław pośrednio

uznał istniejący stan rzeczy i cofnął de facto pretensye swoje do sąsiedniego berła.

Wracając z wojskiem na Litwę w roku 1611, zostawia Zygmunt w fortocy Kremlu kilka tysięcy polskiego żołnierza (po większej części chorągwie, odciągnięte poprzednio od Samozwańca) z Gosiewskim i Strusiem, zostawia ich w położeniu niebawem rospaczliwem, bo otoczonych tłumami stołecznego pospólstwa i pospolitego ruszenia Lapunowa i Dymitra Trubeckiego. Z nadchodzącą zimą r. 1611/12 pospolite ruszenie się rozejdzie, ale zostanie się jeszcze w mieście siła, przewyższająca kilkanaście razy polską załogę. Na szczęście stanowisko tej ostatniej w murach Kremlu tak jest silnem, że tylko głodem mogą być wzięci. W istocie, tak polskie, jak russkie relacye zgadzają się w tem, że załoga broniła się bohatersko i z niewidzianą wytrwałością wytrzymała półtoraroczne oblężenie.

Razem z załogą siedzą w Kremlu bojarowie, oddani sprawie Zygmunta, a dzierżący dotychczas ster rządów w stolicy.

Nadeszła jednakowoż chwila w listopadzie 1611 roku, kiedy załoga postanowiła wyprawić posłów do Warszawy, aby zażądać zapłaty zaległego żołdu i jak najrychlejszego zakończenia sprawy. Przyłączyli się do nich także Sapieżyńcy (żołnierze zmarłego na Kremlu Jana Piotra Sapiehy), dzielący losy królewskich chorągwi. Jednocześnie z nimi wyjechali bojarowie moskiewscy z nowem poselstwem do Zygmunta. Skoro bowiem wyprawieni przed rokiem z Moskwy z wielkim orszakami przedstawicieli wszystkich stanów, Filaret i Golicyn, tak poprowadzili poselstwo swoje, że nie tylko żadnych propozycji królewskich przyjąć nie chcieli, ale nawet zabiegali usilnie, aby kandydatura Władysława do skutku nie doszła, i ciesząc się poparciem patriarchy, stanęli w wyraźnem przeciwieństwie do reszty dumy; wówczas Zygmunt kazał uwięzić posłów, wywiózł ich jako jeńców do Polski, a do dumy napisał, aby nowych posłów na sejm przysłali, którzy-by ostateczny układ co do carstwa Władysława skuteczniej poprowadzili.

W tem przynębieniu i zamieszaniu, jakie sprowadziły wypadki, spalenie przedmieść stolicy, utarczki z załogą, zamknięci na Kremlu bojarowie, sympatyzujący z polską cywilizacją, wysłali, stosownie do życzenia Zygmunta, nowe poselstwo, prosząc o Władysława, na podstawie kombinacji „króla i królewicza,” w tej myśli, że wybór Władysława bez zmiany religii, oraz powierzenie steru rządów ojcu aż do czasów pełnoletności syna, wreszcie zwrot Smoleńska Litwie a Siewierszczyzny Kijowowi, nie naruszają podstaw organizmu państwowego, stanowiąc będą nową erę pokojowego rozwoju obu narodów, oraz pełnego rozkwitu bojarskiego stanu w Moskwie. Na czele tego odłamu stali Sołtykowowie i zięć Michała Glebowicza Sołtykowa, Juryj Nikiticz

Trubecki-Massalski, kilku djaków, jak Wasyl Janow, Iwan Hramo tyn i t. d. Źródła nie podają wprawdzie nazwisk wszystkich posłów, musiało ich jednakowoż być kilkanaście osób, reprezentujących wszystkie stany. W Wiaźmie zatrzymał poselstwo Chodkiewicz, rozłożony z małym swoim obozem pod stolicą, wstrzymujący nadzwyczajnie skutecznie napór pospolitego ruszenia, a nawet komunikujący się z załogą i ułatwiający jej dowóz żywności. Zresztą ze zbliżaniem się zimy partyzantka była utrudnioną, obie strony czekały na dalszy bieg wypadków na wiosnę.

Według russkiego historyka, M. Kostomarowa, hetman litewski J. K. Chodkiewicz chciał zwrócić z drogi poselstwo wojskowe, zatrzymać je w Moskwie, ale posłowie uparli się i pojechali dalej; natomiast wrócili się posłowie bojarów („Burzliwe czasy,” t. III, Moskwa, 1884, str. 241—243). Relacya russkiego historyka objaśnia, iż Sołtykow i Trubecki z towarzyszymi wrócili się z Wiaźmy do Moskwy, gdyż ich Chodkiewicz złajał. Ponieważ poselstwo to było nietylko zupełnie po myśli królewskiej, ale nawet wysłaniem zostało na wyraźne życzenie Zygmunta, i było mu potrzebnem, jeśli złożona przez Moskwę przysięga miała obowiązywać bezwarunkowo, przeto nie widzi się tak dalece powodu, dlaczego-by Chodkiewicz miał poselstwo zwracać, chyba, że im nie dowierzał, bo nieufność była zawsze tutaj przepisana. Jednakowoż zauważyć trzeba, że wyjeżdżający byli ciałem i duszą oddani Zygmuntowi. Jechali też pewno przyśpieszyć akcyę Zygmunta, naglić o przysłanie Władysława, a że przytem mieli wszelki interes, aby wynieść się z miejsca, gdzie im, w razie bankructwa politycznego królewskiej imprezy, groziła rozjuszona nienawiść podnieconych tłumów z prowincyi, więc opuszczali Kreml z tem większą ochotą. Być bardzo może, iż wtedy już zapatrywali się pesymistycznie na sprawę, której stali się poplecznikami, może jechali ostrzedz i prosić o ratunek. Szkoda zatem wielka, że dziejów tego poselstwa nie znamy, że polskie współczesne źródła milczeniem je pomijają, bo nietylko na układzie hetmańskim, na złożonej przez naród przysiędze, ale i na tem ważnem poselstwie Zygmunt III i Władysław IV pretensye swe później opierają, około tych trzech stanowczych aktów obracają się też dalsze pertraktacye.

Być może jednakowoż, iż Sołtykow, Trubecki i Janow skorzystali ze sposobności nadarzającej się, aby w charakterze posłów opuścić czempredziej straconą już prawie placówkę Kremlu. W istocie, musieli oni chyba spoglądać ponuro na sprawę króla i królewicza, z którą się zsolidaryzowali: pomoc dla załogi nie nadchodziła, wojsko się buntowało, a tymczasem zbierały się tłumy pospolitego ruszenia, powstanie ogólne szerzyło się coraz więcej. W listach, jakie Sołtykow, Trubecki

i Janów zawieźli do Warszawy, do całej Rzpltej, kwestya obsadzenia tronu przez Władysława postanowioną była zgodnie z wolą królewską, a więc z pominięciem kategorycznego żądania samego Władysława i zmiany wiary, i nawet prawdopodobnie w konsekwencji z ustępstwami co do nowych granic. Nie figurował też już patriarcha Hermogen, przedstawiciel, jak wiemy, bezwzględnej opozycji, na czele dumy, ale, pomimo że cały sobór był wzmiankowanym, jako pierwszy członek synodu wymienionym był Arseniusz, episkop cerkwi ś-go Michała Archanioła na Kremlu, Grek, człowiek zresztą nie bez zasług, gdyż zaprowadził był szkoły w południowej Rosyi. Powiedzianem było atoli, iż pisma wysyłane zostają wskutek rady wszystkich „dumnych“ i wszystkich sprawujących urzędy w moskiewskim państwie. Tym razem nie oddzielali ojca od syna, gdyż byli upoważnieni od całego państwa bić czołem nie jednemu tylko Władysławowi, ale *królowi i królewiczowi*, co, jak wiadomo, znaczyło, iż do czasu pełnoletności syna król obejmie rządy państwa. W listach do senatorów prosili znowu bojarowie, aby razem z synem przyjechał do Moskwy Zygmunt, jednym słowem, wracali do programu pierwszego poselstwa (z Tuszyńska) pod Smoleńsk, w którym zresztą ci sami udział brali. Poselstwo spóźniło się na sejm, na którym odbył się pamiętny tryumf z Szujskimi i zdjęcie infamii z Lissowskiego, mającego być nadal, razem ze swoimi „stracencami,” użytym do partyzantki wewnątrz sąsiedniego państwa.

Dla utrzymania porządku w „rekuperowanych“ ziemiach, to jest w województwie Smoleńskim i Siewierszczyźnie, do umów i traktatów, wreszcie do rozrachunków z wojskiem wyznaczono wtedy w Warszawie: Mikołaja na Dąbrownie Hlebowicza, wojewodę smoleńskiego, Konstantego Plichtę, kasztelana sochaczewskiego, Adama Kossobudzkiego, kasztelana wyszogrodzkiego, Adama Żółkiewskiego, oboźnego koronnego, Stanisława Witawskiego, chorążego łączyckiego, Stan. z Brzezia Lanckorońskiego, Janusza Skumina Tyszkiewicza, pisarza W. Ks. Litewskiego, i innych, którzy otrzymali moc czynić, co *expedit Rplcae*. Specyjalnie zaś królewicz zostaje mianowanym administratorem wszystkich, od państwa moskiewskiego odebranych, zamków, aby myślał o ich zabezpieczeniu i z dochodów stawiał je w stanie obrony. Dlatego też, obok oficjalnego tytułu „obranego cara,” Władysławowi służy jeszcze tytuł „administratora“ ziem pogranicznych, jak gdyby na przynętę, że razem z objęciem tronu carów kraje te mogą powrócić do Moskwy.

Zostawiając ściągniętego z Inflant Chodkiewicza między Smoleńskiem a Moskwą, Zygmunt liczył na to, że sejm październikowy uchwali środki na podjęcie nowej wyprawy dla podtrzymania kandydatury, czy też elekcji syna. Na sejmie tym odbył się tryumf z wziętymi do niewoli Szujskimi, jako chlubne zamknięcie wojennej kariery Żółkiew-

skiego od strony Moskwy, albowiem, jak wiemy, hetman przez pośpieszne zawarcie znanej umowy skompromitował się i odtąd też już ani w wojennych, ani tem mniej w dyplomatycznych działaniach z Carstwem udziału żadnego nie weźmie, zdając to zadanie Chodkiewiczowi, który w czasie odbywającego się w Warszawie sejmu pod Moskwę podchodzi. Trzeba się wczytać w wyborny, dorównywający niemal J. Ch. Paskowi, Pamiętnik późniejszego sędziego nowogrodzkiego, Samuela Maskiewicza, aby mieć wyobrażenie o tych homerycznych walkach, jakie toczyła w stolicy garstka Polaków. Wprawdzie część wojska niepłatna i niesforna wyniosła się zawczasu, reszta zaś po ponownym ataku, wymierzonym przez Kuźmę Minina i ks. Dym. Pożarskiego w listopadzie 1612 roku, wziętą została w niewolę. Przymuszeni głodem, weszli w umowę z oblegającą ich Moskwą, wymawiając sobie tylko darowanie życia. Siedmnastego listopada (n. s.) Moskwa weszła na Kreml, wzięli rycerstwo do taborów i rozdali, zwykłym wojennym zwyczajem, pomiędzy bojarów, rzeczy ich pobrali dla Kozaków. Pana Budziłę, którego umierający J. P. Sapieha ustanowił na swoim miejscu, wzięł kn. Pożarski i odesłał razem z innymi do Nowogrodu. Pomimo złożonej przysięgi, pozabijano wówczas niektórych z towarzystwa. („Russka histor. bibl.“, t. I, str. 347—354).

Król nie zastał ich już w stolicy, kiedy poszedł z synem na ponowną wyprawę w sierpniu 1612 r. Jak powiada Z. Ossoliński w pamiętniku swoim („Pam. Zbign. Ossolińskiego.“ Lwów, 1879. Bibl. Ossol., str. 33), król po sejmie niesporo się zbierał do poparcia zaczętej wojny, zresztą i wojska zgromadziło się znowu niewiele. Zygmunt miał 3,000 Niemców dobrej piechoty i z nimi przybył do Smoleńska. W Smoleńsku spodziewał się zebrać nieco polskiej konnicy. Skończyło się jednak na tem, że wyruszył ze Smoleńska z jedną tylko piechotą, dopiero kiedy już był w marszu, dogoniło go na drodze do Wiaźmy 1,200 konnych, poczem połączył się z Chodkiewiczem i poszedł oblegać Pogoriełoje Horodyszczce. Wojewodą miejscowym był kniaź Juryj Szachowski, ten jednak nie chciał się poddać, tylko dał wymijającą odpowiedź, że skoro król zajmie Moskwę, wtedy i on czołem uderzy. Zygmunt ruszył dalej pod Wołok Siamski i obległ go, i tutaj otrzymał wiadomość o upadku Kremla. Miasta Wołoka bronił Iwan Karamyszew z nadwołżańskimi Kozakami. Że zaś król wziął był z sobą na wyprawę okolniczego Daniłę Mezeckiego, jednego z członków poselstwa Filareta, oraz djaka Iwana Hramotyna, należącego do partyi emigrantów, przeto posłał ich teraz podjazdem pod Moskwę w 300 ludzi z Adamem Żółkiewskim, Samuelem Zborowskim i Andrzejem Młockim, aby się dowiedzieli, o ile prawdziwą jest wiadomość, że Polacy już ustąpili z Kremlu. Wysłanie Mezeckiego i Hramotyna, wkradających się w łaski królewskie, miało

jeszcze ten cel, aby namawiali mieszkańców Moskwy do otwarcia bram królewiczowi. Zbliżenie się króla, rozrzucane przez niego listy, wywołały naturalnie wielki popłoch; agitowała się wtedy sprawa wyboru monarchy, o zdrajców nie było trudno, rozrzucane z obozu królewskiego listy mogły wywołać zaburzenia, i gdyby Zygmunt miał być więcej wojska, sprawa jego mogła się dźwignąć. Tymczasem wojska Pożarskiego i Dym. Trubeckiego stanęły gotowe do obrony, Adam Żółkiewski cofnął się, schwyciwszy języka, od którego się dowiedziano o szczegółach zdobycia Kremlu i wzięcia załogi w niewolę. Zginęło wtedy kilku bojarów, wiernych Zygmuntowi, schwyconych razem z załogą.

Od pierwszych dni listopada 1612 (n. s.) datuje się właściwie wyswobodzenie stolicy od nieprzyjaciela. Król wrócił na Litwę, do czego był przymuszonym nie tylko brakiem większych przygotowań do dłuższej kampanii, ale i nadchodzącą ostrą zimą.

Złą stroną położenia było przewlekanie się stanu wojennego. Zygmunt znalazł się wobec warunków, jakich w początkach kampanii swojej nie przewidywał, zadanie okazało się nierównie cięższem, niż się wydawało, gdyż naczelnicy pospolitego ruszenia, bojarowie, nie występowali do układów. Prawdopodobnie, grupujący się około króla bojarowie malkontenci robili mu ciągle przesadne nadzieje, czynili obietnice, które okazały się złudzeniem. W każdym jednak razie, Zygmunt mógł być zadowolonym z terytoryalnych zdobyczy, i gdyby mógł był doprowadzić do korzystnego pokoju, uzyskać formalne potwierdzenie nowej linii granicznej, był-by się zrzekł dalszych widoków, czapki Monomacha dla syna, co do której od pierwszej chwili elekcji okazywał pewną ostrożność i wstrzeźliwość. Jeśli bowiem w dalszym ciągu senatorowie głośno i uporczywie upominają się o oddanie korony królewiczowi, to czynią to z tem obrachowaniem, iż prawa te odkupione zostaną formalnem przyznaniem, w drodze pokojowego traktatu, ustępstw terytoryalnych, czynią z pewnym ślepym uporem, zdradzającym chęć wywarcia presji w innym kierunku.

O ile silnem było przerażenie w stolicy na widok podchodzących ponownie królewskich chorągwi, na myśl, iż może powtórzyć się rok 1610, o tyle wielką wywołało radość odstąpienie pretendenta, tem większą, iż wśród zamieszania ogólnego dochodziły wieści o Iwanie Zaruckim, jakoby, wzięwszy z sobą Marynę Mniszchównę i jej synka z Kaługi, z oddziałem Dońców swoich, pustoszył kraj około Perejasławia, Riazania, a teraz cofał się na południe—ku Astrachaniowi. Kto wie, czy i ten Iwan Zarucki nie czekał na pochód królewski pod Moskwę, trzymany w odwodzie przez Zygmunta. Wskutek bankructwa królewskich widoków, i on także zmuszonym był teraz uciekać razem z Ma-

ryną. O pewnej konwencji między królem a Zaruckim świadczyła-by bytność Fedki Andronowa przy Zaruckim i Marynie, a wiemy, że Andronow był najzagorzalszym adherentem Zygmunta. On-to razem z Michałem Sołtykowem i innymi przywoływał Zygmunta do Moskwy przed wyprawą, przedsięwziętą w r. 1609, i następnie długi czas spędził w obozie przy boku królewskim.

II.

W owym-to czasie niewyjaśnionych jeszcze stosunków, zjawia się, zgodnie z tradycją, pośrednik w osobie cesarza niemieckiego, mediator, życzliwie usposobiony dla Zygmunta, mniej życzliwie dla Moskwy. Jest nim z początku cesarz Rudolf, a po jego śmierci następca jego, Maciej. Inicytywa wyszła od Pożarskiego. Do cesarza Rudolfa zwrócił się kn. Dymitr, szukając pośrednictwa pokojowego, a nawet podsuwając jednocześnie koronę carską arcyksięciu Maksymilianowi, nie bez wyraźnego obrachowania, iż, jako niefortunny niegdyś konkurent do korony polskiej, nieszczęśliwy rywal i więzień Zygmunta zachować musiał w sercu nienawiść, dającą się wyzyskać w interesie caratu. I tutaj także wszelkie plany, czy nawet układy, były-by się niechybnie rozbiły o kwestyę wyznania, zresztą były więzień krasnostawski nie okazał żadnej ochoty do objęcia projektowanego berła.

W końcu czerwca 1612 r., w chwili, kiedy Struś i Budziłło bronią się na Kremlu, przejeżdżał przez Jarosław z powrotem z Persyi do Niemiec agent cesarza Rudolfa, Juzuf Gregorjew, z posłem szacha perskiego, Abbasa. Prawdopodobnie nie co innego, tylko potrzeba pozyskania sobie pomocy przeciw Turcyi była przyczyną wysłania cesarskiego posłannika. Skorzystał z tej sposobności przebywający w Jarosławiu Dymitr Pożarski, aby razem z kilku bojarami odłamu wrogiego dla Wazów zawiązać stosunki z Rudolfem i odwołać się do jego pośrednictwa dla powstrzymania króla od dalszych wypraw. W tym celu przyłączył się do wyżej wspomnianych tłumacz Jeremi Jeremjew, wiozący list od Pożarskiego. W piśmie swoim książę rozwodził się szeroko nad wypadkami z ostatnich lat, nad spustoszeniem gospodarstwa z przyczyny króla, złamaniem przymierza, kreślił dzieje pierwszego i drugiego Samozwańca, nie żałując naturalnie czarnych barw dla napiętnowania taktyki królewskiej („Pamiętniki dypl. koresp.“ Petersb. 1852, t. II, str. 1421—1426).

„Król Zygmunt—pisał między innemi Pożarski—nie dotrzymawszy nowego rozejmu ¹⁾, zatwierdzonego przysięgą przez posłów, dążył do wielkiego przelewu krwi chrześcijańskiej, gdyż nietylko nie wyprowadził, stosownie do zaprzysiężonej umowy, ludzi polskich i litewskich z moskiewskiego państwa, ale jeszcze sam, z wielu Polakami, Litwinami i Niemcami, ze znacznem wojskiem i armatami, podstąpił pod miasto Smoleńsk i, obległszy go, obstrzeliwał i zdobywał różnemi podkopami i szturmami, nie pomnąc na przysięgę swoją poprzednią i późniejszą posłów swoich.

„Pod Moskwę zaś posłał król hetmana polskiego, Stanisława Żółkiewskiego, półkowników i rotmistrzów z wielu Polakami, Litwinami i Niemcami, a oszustowi, który, odstąpiwszy od Moskwy, stanął pod Kaługą, i hetmanowi (sic) J. Piotrowi Sapieżę, kazał król również iść pod Moskwę. Stanęły tedy z dwóch stron Moskwę wojska: z jednej strony hetman S. Żółkiewski z półkownikami, rotmistrzami i licznem wojskiem, z drugiej zaś razem z oszustem hetman (?), Jan Piotr Sapieha z licznem wojskiem Litwinów, Polaków i Russkich. Jednocześnie napadli na państwo moskiewskie Nogajcy i Krymcy, a na ziemię Nowogrodzką weszły wojska szwedzkie. Wtedy Car i W. Książ nasz, Wasyl Iwanowicz (Szujski), przestrzegając całości ziemi swojej, wraz z bojarami, wojewodami i licznem wojskiem, posłał dwór swój na granicę do wielkiego Nowogrodu, w Moskwie zaś zostali się tylko nieliczni bojarowie, wojewodowie i małe wojsko. Niektórzy z bojarów i wojewodów, będący po miastach, jak Michajło Sołtykow z towarzyszami, zapomniawszy o Bogu i duszach swoich, zdradzili Cara, nie pomnąc na przysięgę, i przeszli na stronę króla Zygmunta.

„Naradziwszy się z nimi, król Zygmunt pisał przez hetmana S. Żółkiewskiego do bojarów, wojewodów i różnych urzędów ludzi, że on, jakoby litując się nad światem chrześcijańskim i chcąc uspokoić moskiewskie państwo, oszczędzić przelewu krwi, sam przyszedł na granice państwa, a hetmana posłał pod Moskwę, jakoby nie dla wojny, ale dla umowy o pokój w chrześcijaństwie i żeby wszyscy ludzie moskiewscy dla pokoju chrześcijańskiego obrali sobie na cara królewicza Władysława, który przejdzie na wiarę prawosławną, będzie postępował tak, jak poprzedni carowie, i nie zmieni w niczem dawnych urzędzeń. Posłał również przytem Zygmunt bojarom list, na jakich warunkach królewicz będzie carem. Warunki zaś były następujące: królewicz przejdzie na prawosławie; nie będzie przy nim wielu Polaków i Litwinów; Polacy i Litwini nie będą na urzędach ani w Moskwie, ani w innych miastach

¹⁾ Z Wasylem Szujskim.

i pogranicznych miejscach; królewicz nie ubliży w niczem wierze prawosławnej, kościołów w Moskwie i w innych miastach stawiać nie będzie, cerkwie Boże i monastery będzie szanował i nie skonfiskuje ich dóbr, patriarchę moskiewskiego, metropolitów, archiepiskopów i całe duchowieństwo szanować będzie. Oprócz tych, były jeszcze w liście Zygmunta wyliczone inne warunki, do których królewicz miał się zastosować w rządach państwa moskiewskiego.“

List rozwodzi się dalej nad zdradą Michała Sołtykowa i jego towarzyszy, nad umową ze S. Żółkiewskim, poselstwem Filareta i Golicyna, a kończy oskarżeniem króla o złamanie przysięgi, złożonej przez hetmana, wzięcie w niewolę posłów i zdobycie szturmem Smoleńska.

Rozumie się samo przez się, iż Dymitr Pożarski przedstawił rzeczy w sposób nieraz niezgodny z prawdą, w tym celu, aby cesarza usposobić jak najgorzej dla Zygmunta. Prawdziwy przebieg sprawy przedstawia się inaczej—skreśliłem go w „Elekcji królewicza Władysława na tron carski“ ¹⁾, na podstawie russkich źródeł historycznych. Co przede wszystkim uderza w liście Pożarskiego, to to, że błędy i winę Żółkiewskiego zwała całkowicie na króla, kiedy dokładnie było wiadomem (gdyż Zygmunt pod tym względem żadnej wątpliwości nie dopuszczał), iż hetman działał bez upoważnienia, i dlatego też traktat jego, zawarty z bojarami pod Moskwą, w obozie królewskim ostentacyjnie odrzuconym został.

Oskarżenie króla, wytoczenie sporu przed cesarza w tej nadziei, iż będzie pośredniczył (lubo życzenie nie było wyraźnie postawionem), nie odniosło tego skutku, jakiego się spodziewano. Ze względu na pokrewieństwo, łączące domy warszawski i wiedeński, ze względu na polityczną przyjaźń i z innych wreszcie przyczyn, nie dano całkowitej wiary wywodowi listownemu, natomiast następcą cesarza Rudolfa, Maciej, chwycił się skwapliwie pośrednictwa wobec tej okoliczności, iż w Warszawie, po kilkoletniej nader uciążliwej wojnie, gorące panowało życzenie, aby zakończyć wojnę korzystnym co prawda traktatem. W r. 1613 cesarz Maciej, zaraz po wstąpieniu na tron, potwierdza formalnym traktatem przyjaźni dotychczasowe stosunki (zachwiane chwilowo niefortunną wyprawą Maksymiliana). Obaj monarchowie zobowiązują się nie pomagać wspólnym nieprzyjaciółom, mieć wspólną politykę wobec Turcyi, do tego Zygmunt pozwala cesarzowi werbować żołnierzy w swoim kraju.

Tymczasem zaszły wypadki, wspomniane przez nas powyżej: wyprawa Zygmunta w jesieni 1612 r., zdobycie Kremlu przez pospolite

¹⁾ „Niwa,“ r. 1892.

ruszenie Pożarskiego i Minina, cofnięcie się wojsk królewskich. W Warszawie więcej niż kiedykolwiek radzi byli zakończyć układem kilkoletnie spory, a to nie tylko z powodu wyczerpania skarbu, ale i dla ogólnej apatii narodu, gdyż, jak słusznie uważa współczesny Zbigniew Ossoliński, wyprawy te więcej szkodziły Polsce, niż Moskwie. Jako jedyna pociecha, oprócz zdobyczy w prowincjach, pozostawała garstka wiernych malkontentów moskiewskich, zawikłanych w sprawę Zygmunta, znacznych ludzi co prawda, ale zmuszonych do emigrowania na Litwę. Nie znamy nazwisk ich wszystkich, wiemy tylko, że na czele tych „zdrajców“ (jak ich russcy historycy nazywają), stali kn. Michał Glebowicz Sołtykow ¹⁾ z synem (drugi dawniej już opuścił Zygmunta), jego zięć, kn. Juryj Trubecki-Massalski, djak Iwan Hramotyn, Ewdokim Witowtow, Janów i inni. Fedko Andronow, ów gorący adherent, porwany wirem wypadków, tułał się teraz z Zaruckim i Maryną. Kiedy powyżej wymienieni bojarowie wyruszyli po raz drugi w charakterze posłów naprzeciwko Zygmuntowi (we wrześniu 1612 r.), wyjście ich wyglądało raczej na upozorowaną ucieczkę, niżeli na poselstwo. Wobec chylącej się do zupełnego upadku sprawy królewicza, oczekiwanego lada dzień zdobycia Kremlu i zabrania głodnej załogi w niewolę, jednym słowem, wobec rozpaczliwego położenia, przewidywali Sołtykow, Trubecki i ich towarzysze, że przeciw nim zwróci się nienawiść narodu, namietność tłumów za sympatyę dla Wazów, opór patryarsze i duchochowienstwu, popieranie kandydatury króla i królewicza. Nie wrócili już więcej do Moskwy, wracać nie chcieli i po oswobodzeniu Moskwy wracać nie mogli, więc zostali na Litwie, gdzie w dalszym ciągu występują jako przywiązani stronnicy Zygmunta. Osiedli zatem na Białorusi, w Mohylowie nad Dnieprem, w łaskach u króla i, korzystając, jak Trubecki, z majątności w Siewierszczyźnie, zajętej w posiadanie przez Zygmunta, „rekuperowanej“, jak się to wtedy nazywało. Widział ich w kilka lat później (w r. 1616) w Mohylowie Zbigniew Ossoliński, który opowiada w pamiętniku swoim, że tam zamieszkała niemała gromada Moskwy, wielu zacnych i przedniejszych bojarów, dobrowolną tułaczkę znoszących, aby (jak się wyrażali), nie łamać przysięgi, złożonej królowi podczas poselstwa z Tuszyńska za drugiego Samozwańca ²⁾. Z nich najwięcej zwracał na siebie uwagę kn. Juryj Trubecki, nie tylko szla-

¹⁾ Właściwie nazywał się: Sołtykow-Morozow

²⁾ Jeden z nich, dość głośny w swoim czasie, Ewdokim Witowtow, zamieszkał później (w r. 1621) w Nowogrodzie Siewierskim, przyłączonym do Polski, zerwał zupełnie i, zdaje się, bezpowrotnie z ojczyzną swoją, jak o tem świadczą ślady, dochoowane we współczesnych dokumentach. (Popow: „Akta mosk. państwa“, 1890, t. I, str. 163—165).

chetnością rodu wybitny, ale i całą powierzchownością swoją, mową i obyczajami do Polaka bardzo zbliżony. To też, kiedy zdarza się, że Zygmunt i Władysław w r. 1616 przeciągają znowu z wojskiem przez Mohylow, zięć starego Sołtykowa ¹⁾, w imieniu wszystkich swoich towarzyszy, występuje z mową powitalną, życząc najlepszego powodzenia wojennego, uznając Władysława, jako swego prawdziwego pana, któremu winni są wierność i cześć chcą oddać, z ochotą służyć, a nawet życie i krew, jedyne dobra, jakie im pozostały, dla niego poświęcić. Rozumie się, iż podobne życzenia i zapewnienia przyjmowane są zawsze jak najlepiej. Oprócz nich, ukazują się jeszcze Danił Iwanowicz Mezecki, jako doradca królewski, odrębne mający stanowisko, nie jeden z malkontentów, ale chwycony w swoim czasie razem z orszakiem Filareta i Golicyna, teraz doradca królewski. Ten atoli dał zawczasu za wygraną, uciekł od Zygmunta w czasie powrotnego pochodu z Moskwy i objął dawne stanowisko („Dworcowyje razriady,” t. I, str. 10) djaka w Kremlinie.

•

Dnia 10 stycznia (n. s.) 1613 roku, zgromadzeni w stolicy bojariowie ogłosili wyswobodzenie Moskwy. Rozpoczęły się narady, zwołanie soboru dla wybrania nowego cara. O ile ze szczupłych wiadomości (z powodu spalenia się i zniszczenia współczesnych aktów), wnosić można, głosy ogółu oświadczyły się za młodym rówieśnikiem Władysława, synem Filareta, stolnikiem Michałem Fiedorowiczem Romanowem, który wprawdzie składał w swoim czasie razem z innymi przysięgę na wierność Władysławowi, ale, po unieważnieniu tego wyboru, zwolnionym był, również jak i inni, przez patriarchę ze złożonej przysięgi. Zanim zjechali się wezwani z miast prowincjonalnych wyborcy, bojariowie, jak Fiedor Mścislawski, Golicynowie, duchowieństwo i t. d., sprawa przeciągnęła się do 1 marca (n. s.) i w tym dniu okrzykniętym był carem Michał Fiedorowicz. Co więcej, wojsko, zebrane przez Trubeckiego i Pożarskiego, zaczęło następować na Białą, Wieliz i Uświat, wyparło słabe polskie załogi z miasteczek, dotarło aż pod Smoleńsk i tam się oszańcowało. Położenie pogorszyło się bardzo na niekorzyść Rzeczypospolitej. Na sejmie w lutym pp. senatorowie oświadczają, iż „niebezpieczeństwa wielkie a świeże na Rzpltą naszą zachodzą; wojska tureckie z tamtej strony Dunaju ku brzegom wołoskim, tudzież i tatarskie następują. Od Moskwy i z Infant spokoju nie masz, ale codziennie

¹⁾ Cytowanego w polskich źródłach, wskutek błędu drukarskiego, jako *Golikowa*.

to większych spodziewać się trzeba stamtąd niebezpieczeństw“ („Vol. legum,“ t. III, r. 1613). Aleksander Gosiewski opiera się w Smoleńsku naporowi moskiewskich oddziałów („Archeog. zbiór dokum.“ t. VII, Wilno, 1870, str. 73). W pół roku po wyborze panującego, wyprawione wojska pod dowództwem Dymitra Mamstrukowicza Czerkaskiego i Michała Buturlina zajęły Wiaźmę, Białą i rozłożyły się pod Smoleńskiem.

Nie żył już wtedy Wasyl Szujski, zmarły w Gostyninie, na wiosnę 1613 r. umarł także wojewoda sandomierski, Jerzy M. Mniszech, a w październiku tegoż roku wstępuje na tron szwedzki Gustaw Adolf. Cała uwaga Rzeczypospolitej skupiała się wtedy na targach z konfederatami J. Sapiehy i Zborowskiego, domagającymi się zapłacenia ogromnych zaległości w żołdzie. Rozłanie się tych niesfornych kup po kraju dawało powód do skarg, rozbojów i niepokoju, tyle niemal dokuczliwych, co Lissowskiego partyzantka w Moskwie.

Zaraz po wyborze Michała Fiedorowicza, ziemski sobór postanawia nawiązać stosunki z ościennemi mocarstwami, wysłać przede wszystkim posłannika do Polski, aby nie tylko zbadał położenie na miejscu, ale zaproponował układy pokojowe. W tym celu wyjeżdża Denis Grygorjewicz Oładyn z listem od soboru, gdzie wyluszczone były wszystkie krzywdy, z dodaniem żądania uwolnienia Filareta i Golicyna o dwóch braciach Szujskich nie było wzmianki), z przełożeniami pokojowemi i obietnicą uwolnienia rycerstwa, schwyconego w Kremlu. Bojarowie przypominają przede wszystkim, iż za Borysa Godunowa zawartym był rozejm, pomimo którego Zygmunt nasłał Hryszkę Otrepje-
wa; następnie, gdy na tronie zasiadł Wasyl Szujski, ludzie J. Kr. Mości, Roman Różycki, Zborowski, Wiśniowiecki i Sapieha, z drugim samozwańcem pociągnęli pod Moskwę i wiele krwi przeleli. Znowu zarzut, niestety, i tym razem zupełnie fałszywy i w niedobrej wierze postawiony, iż zawartym był ponowny rozejm z posłami: Witowskim, Sokolińskim, Oleśnickim i Gosiewskim, i że go Rzplta nie dotrzymała. O poselstwie Filareta i Golicyna pisała duma:

„Z tym układem (t. j. hetmanem) posłani zostali pod Smoleńsk posłowie wasi. Podówczas przybyli od W. Kr. Mości Sołtykow, Massalski, Hramotyn, Andronow i zaczęli z Waszego ramienia panować w Moskwie, wielu bojarów i zasłużonych ludzi chytrze do odległych miast porozysłali, a zdradą wprowadzili swoich do Kamiennego miasta (Biełgorodu—przedmieścia Moskwy). Cara Wasyla wysłali, niby dla zachowania pokoju, do Osypowego monasteru, skąd go później hetman pod Smoleńsk wywiózł, złamawszy przysięgę. Później Sołtykow i Gosiewski zaczęli namawiać naród, aby przysięgę W. K. Mości złożył. Widząc to Hermogenes (patryarcha), począł zdrajców karcić za ich złe uczynki, za co wiele ucierpiał. W. Kr. Mość, zapomniawszy o przysiędze, od

Smoleńska nie odstąpił, synowi wiary naszej przyjąć nie pozwolił, a nad posłami naszymi gwałty czynił, co się nigdzie nie dzieje. Ludzie wasi zaczęli ściągać z miast podatki wielkie, a Gosiewski zabrał klucze od bram miejskich i proch, kule, pieniądze i zapasy wszelkie. Po ulicach porozstawiali strażę swoje, zaczęli uciskać mieszczan i chłopów, lżyć wiarę grecką i znieważać cerkwie! Wówczas my, bojarowie, wojewodowie i t. d., widząc poprzednie i terażniejsze krzywdy, jakie się nam dzieją od W. Kr. Mości, pisaliśmy z wszech miast do Sołtykowa i Gosiewskiego, aby się ich bezprawia skończyły i żeby Władysław na tron przybywał. Ale oni, nie zważając na prośby nasze, nie mogąc znieść napominań Hermogena, spalili Kamienny i Drewniany gród (przedmieście stolicy), skarb carski, sprzęty i ikony do Was odesłali, a to, co w cerkwiach nagrabili, podzielili między sobą.“

W końcu powiedzianem było: „Uradziliśmy spolem wysłać do W. Kr. Mości, aby z niewoli uwolnił posłów naszych, tak, aby wzięci obustronnie w niewolę wypuszczeni byli, --- w przeciwnym razie p. Struś zatrzymanym będzie. Przypomnimy, że p. Małogoski (Ołśnicki, kasztelan małogoski) i Gosiewski za Wasyla, którzy przecie wojennym (?) a nie poselskim obyczajem przybyli, wypuszczeni wnet zostali na wolność i nie byli uciskani (?), jak to W. Kr. Mość z naszymi posłami czyni, co się nie dzieje nigdzie, ani w chrześcijańskich, ani muzułmańskich państwach. A zanim niewolnicy wymienieni nie będą, niech się żadne zatargi nie dzieją ani z naszej, ani z waszej strony.“ („Zbiór państw. gramot i układów,“ t. III, r. 1613).

Wprawdzie pismo bojarów nie mogło zrobić korzystnego wrażenia, jako wystylizowane w sposób wielokrotnie niezgodny z prawdą, ale do tego w Rzpltej już byli przyzwyczajeni, że tylko wspomnimy listy Iwana Groźnego do Batorego, najeżone najcięższymi zarzutami; bądźco-bądź, jednak pierwszy krok był postawiony, więc należało go wyzyskać, zwłaszcza, że cesarz niemiecki ofiarowywał chętnie pośrednictwo swoje. W Warszawie zaczęto teraz liczyć na układy.

Gońcowi danym był spis nazwisk jeńców moskiewskich, przyczem jak najśrożej zakazano mu wspominać o wyborze nowego cara. Oładin opuścił Moskwę w końcu marca, opatrzony w list żelazny, nadesłany przez Chodkiewicza, a w końcu kwietnia zawitał do Warszawy. Przywiózł on także list, pisany przez Mikołaja Strusia, gdzie tenże w imieniu wszystkich współtowarzyszy niedoli prosił o wymianę jeńców, o co z łatwo zrozumiałych powodów przedewszystkiem na Kremlu chodziło. W instrukcyi Oładina powiedzianem było: jeśli ci w Warszawie senatorowie powiedzą: jest nam dobrze wiadomem, iż polscy i litewscy ludzie, rozesłani po miastach po zdobyciu Kremla, zostali wszyscy zabici przez chłopów, należy odpowiedzieć: wysłani byli polscy i litewscy

Ludzie z miasta Moskwy dla obrony do Halicza, Czuchła, Unży i przyszli do tych miast chytkiem wasi kozacy (Lissowskiego?) i tych polskich i litewskich ludzi kilku zabili, a w innych miastach są cali.

Miedzy innemi chodziło także o to, aby przed senatorami zataić wybór Michała Fiedorowicza, w tym celu, aby przy mających rozpocząć się układach łatwiej można było oswobodzić Filareta. Dlatego właśnie przykazanem było Oładinowi: jeśli ci powiedzą: w Moskwie obrabialiście carem Michała,—odpowiedzieć: to ktoś skłamał przed wami! do Moskwy zjechali się różnych urzędów ludzie i radzą o carskim obiorze, ale oczekują jeszcze z dalszych stron wyborców.

W Warszawie nie mieli jeszcze wiadomości o elekcji. Starosta wieliski, Al. Gosiewski, donosił ze Smoleńska o przygotowaniach, nie doniósł o wyborze, bo sprawa trzymana była do czasu ile możności w ścisłej tajemnicy po-za murami miasta.

Bojarowie dumni przewidzieli jeszcze jedną okoliczność, a mianowicie, że z tych „zdrajców“ bojarów, już przez nas wspomnianych, mogą znaleźć się niektórzy w otoczeniu królewskim na warszawskim zamku, jako żywi świadkowie przysięgi, złożonej Władysławowi pod Moskwą. Dlatego też goniec miał przepisaną w instrukcyi, aby, gdy zaczną mówić o zdrajcach, powoływać się na Sołtykowa, Andronowa, Massalskiego i innych, odpowiedział: Michałko Sołtykow, Fedko Andronow i ich towarzysze są zdrajcami i powodem wszystkiego złego. Pod Smoleńsk na moskiewskie państwo naprowadzili wojsko królewskie, razem z polskimi i litewskimi ludźmi umyślili spustoszyć Moskwę, carski ogromny, przebogaty skarbiec do króla odesłali (!?) i żołnierzom rozdawali, i ci złoczyńcy nietylko na więzienie, ale i na najgorszą śmierć zasłużyli ¹⁾.

Poseł miał przepisaną kłaniać się królowi i senatorom od soboru, od bojarów i wszelkiego urzędu ludzi. W razie gdyby w Warszawie podczas rozmowy przypomnieli, że Moskwa zdradziła królewicza, niech przytoczy królewskie nieprawdy i zarazem doda: Sołtykow i Andronow carskie sprzęty, czapki, korony i cały carski skarbiec, cudotwórcze obrazy—wam odesłali.

To zrabowanie skarbu stało się w dalszym ciągu jednym z najczęściej przytaczanych zarzutów, lubo także co najmniej o wiele przesadzonym, jak to na innem miejscu dowieść będziemy mieli sposobność.

Jeśli by znajdowali się przy królu lub senatorach: M. Sołtykow, Iwan Hramotyn, Wasyl Janow i inni (Andronow już wtedy nie żył i w Polsce wcale nie był), Oładin miał się poskarżyć, iż tak dawniej

¹⁾ Tu i dalej według S. Sołowjewa, t. IX, „Historja Rossyi.“

nie bywało. Ale tych stronników Zygmunta nie było w Warszawie—siedzieli na Białorusi, czekając dalszego rozwoju wypadków.

Po drodze wysłannik zbierał, jak zwykle, wieści, aby je przesyłać do Moskwy. Upewniał też sobór z drogi, że niema potrzeby obawiać się w blizkiej przyszłości ruchów wojennych, skierowanych ku pograniczu, gdyż Rzplta zajęta jest konfederatami i zanedbano ma z nimi kłopotu, aby myśleć o wojnie. Rzeczywiście we współczesnych pamiętnikach wielokrotnie jest mowa o gwałtach, rozbojach konfederatów, o układach z chorągwiami, ciemiężącemi obywateli. I to tak trwało lat kilka, gdyż jeszcze w początku roku 1615 Lew Sapieha donosi ze Słonima Krzysztofowi Radziwiłłowi: „tu jakieś hultajstwo wałęsa się, Kozubowski w sto koni kozaków, Żorawski sto koni kopijnika. Przyśylali na szpiegi, kilku dostałem ich“ („Arch. Radziwiłłów.“ Kraków, 1885, str. 259). W Wilnie burmistrz mówił carskiemu gońcowi: „tutaj u nas stoją żołnierze, nie mamy od nich pokoju, czynią gwałty, biorą wielkie obroki i pieniądze, żonom i dzieciom zadają gwałty, lepiej-by było, żeby ziemia między nami i nimi się rozstąpiła!“ Kampania moskiewska, wspólność broni z Kozakami, dziczą różnego rodzaju, wreszcie warunki, w jakich się obracali, zdemoralizowały do reszty zbestwione żywioły, i tak już pochopne do gwałtów i swawoli, bo zaprawione do niej jeszcze w rokoszu Zebrzydowskiego.

Pomimo kłopotów, z jakimi przyszło walczyć, ton rozmów był energiczny, stanowczy. Zdawało się w Warszawie, iż do korzystnego pokoju niechybnie przyjść musi. Należało oczywiście do taktyki dyplomatycznej okazać zupełną pewność siebie, zaufanie do zwycięstwa. Prócz tego, zdaje się, że doszły już były wtedy do Warszawy wiadomości z Konstantynopola o przedsięwziętych usiłowaniach rzucenia Turcyi na Polskę—nic więc dziwnego, że wielkie panowało rozdrażnienie. Znaczna część Węgier była już wtedy w rękach tureckich, niebezpieczeństwo wojny niedalekiem—od lat kilkunastu spodziewano się tego niebezpieczeństwa.

III.

W czerwcu 1613 roku Denis Oładin powrócił z Warszawy.

Przywieziona przez niego odpowiedź wystosowaną była do soboru. Okoliczność ta każe wnioskować, iż wtedy jeszcze żadnej wiadomości o wyborze nowego monarchy nie było; zresztą, gdyby nawet i miano jakąś wiadomość, trudno było uwierzyć, aby właśnie syn internowanego w Malborgu Filareta miał być wyniesionym na tron. Wreszcie, w żadnym przypadku wybór ten nie mógł być przyjętym, jako

uwłaczający prawom Władysława, więc też, jak dalej ujrzymy, późniejsze korespondencje, kiedy wybór młodego Michała był faktem ogólnie znanym, pisane są tylko do dumy bojarskiej i tak się dzieje aż do chwili, kiedy król i królewicz uznali istniejący stan rzeczy, pogodzili się z myślą zaniechania pretensyi swoich.

Odpowiedź zastosowaną była do listu, odpierała zarzuty i oskarżenia, stawiane Zygmuntowi; jako więc rzucająca światło na ubiegłe wypadki, na przebieg epoki Samozwańców, lubo także stronnice przedstawionej, zasługuje na uwagę i dlatego ją tutaj w skróceniu zamieszczamy („Zbiór państw. koresp. i układów,” t. III, str. 55—63).

„Przysłałiście do nas gońca swego, Denisa Oładina, z hramotami, a w hramotach przypomnienie, iż pomiędzy królem Jscią Zygmuntem III a Borysem, Hospodarem Waszym, zawartym został pokój na długie lata, który łamiąc, JKMość nasłał na Hospodarstwo moskiewskie Otrepjewa, zamysławjąc zawładnąć państwem Waszem. Dziwimy się, że nieprawdę piszecie, napróżno i niesłusznie pana naszego obrażacie, a grzechów swoich wyznać nie chcecie. Wiadomo jest wszystkim, iż za Fiedora Iwanowicza, Borys, umyśliwszy zostać carem, wiele przednich rodów moskiewskich wygubił i kniazia Dymitra przez swych doradców zamordował, a carowi śmierć przyśpieszył. Zostawszy carem, wzbił się w wielką pychę, hardość i złość, posła J. K. Mości, p. Lwa Sapiechę z towarzyszami, którzy doń za listem żelaznym posłani zostali, zatrzymał jako niewolników, co sprzeciwia się wszelkim prawom narodów, a zatrzymawszy, wymógł na nich rozejm na lat 20. A choć sam rozejm zaprzysiągł, nie dochowywał go przecież i wkrótce potem zaczął czynić różne zaczepki przeciw królowi naszemu, zajął włości wieliskie, zburzył gród kn. Wiśniowieckiego Przyłuki, a nowe miasta swoje na ziemiach Korony i W. Ks. Litewskiego pobudować rozkazał. Znosił się z nieprzyjacielem, zdrajcą J. K. Mości, Karolem Sudermańskim i pieniędźmi go wspierał, Tatarów najmował i na ziemie J. Kr. Mości nasylał. Chociaż tedy złamał on swoją przysięgę, król przecie kazał dochowywać przymierza i w niczem go nie naruszył. Hryszki Otrepjewa J. Kr. Mość na moskiewski tron nie posyłał, to był wasz Moskwicin, którego Bóg zesłał dla ukarania Borysa za grzechy i zbrodnie jego.—Piszecie, iż gdy po zabiciu Otrepjewa zasiadł na tronie kn. Szujski, ludzie królewscy, ogłosiwszy carem nowego Samozwańca, przybyli pod Moskwę i wiele krwi chrześcijańskiej przeleli. J. Kr. Mość przysłał do Hospodara waszego posłów swoich, St. Witowskiego i kn. J. Druckiego-Sokolińskiego, którzy wraz z Oleśnickim i Gosiewskim, wysłanymi do Dymitra, zawarli rozejm na lat 3 miesiące 11, a wojny przez ten czas między obu stronami nie miało być, a ludzie kn. Rożyńskiego i innych z moskiewskiego hospodarstwa mieli być wyprowadzeni, które

to przymierze (t. j. rozejm) obustronnie zaprzysiężonem zostało. I wypiszcicie, że J. Kr. Mość wojnę rozpoczął, składacie nań winę a zapomniacie o swoich winach i krzywoprzysięstwie. Bogu i ludziom wiadomo, iż to wszystko spotkało was z woli Boga, a nie z naszej lub Hospodara naszego winy. Wiadomo wam to dobrze, iż jeszcze za Dymitra (I-go) kn. Szujski z bracią i bojarami przez niektórych ludzi naszych prosił J. Kr. Mość, aby gospodarstwo od Samozwańca uwolnić raczył i na tron moskiewski posłał syna swego, Władysława. Oni przecież, zapomniawszy o prośbie swoich, zabili Otrepjewa, a Wasyl Szujski siadł na moskiewskim tronie, pomordowawszy okrutnie wielu zacnych ze szlachty polskiej i litewskiej, którzy na wesele waszego cara przybyli. Posłów Kr. Jmości przemocą zatrzymał i według swej woli pokój na nich wymógł, którego sam nie dotrzymał, gdyż nie wszystkich więźniów na wolność wypuścił, majątności zabranych ludziom J. Kr. Mości nie zwrócił, posłów swoich dla potwierdzenia pokoju nie przysłał, porozumiewał się z wrogiem J. Kr. Mości Karolem (Sudermańskim). Zaprzysięgli sobie działać wspólnie przeciw J. Kr. Mości, on Tatarów i Turków na ziemi królewskie naprowadzał, a dla wzmocnienia swej władzy pomordował wielu ludzi swoich, za co go Bóg ukarał, gdyż wasi własni ludzie, Piotr Medwiedko z Bołotnikiem i inni, mianując się synami wielkich gospodarów moskiewskich, wiele krwi chrześcijańskiej przeleli, gospodarstwo długi czas pustoszyli, choć nie było wśród nich człowieka z Polski lub Litwy. Sami moskiewscy ludzie między sobą się bili, miasta przeciw miastom występowały i krew dokoła się lała. Widząc to poddani Wasyla, słuchać go dłużej nie chcieli i uchodzili do Samozwańców, a jeden z nich, Dymitrem się także mianując, posyłał werbowników do ziemi J. Kr. Mości, namawiając jego ludzi do swojej służby. Znaleźli się ludzie swawolni, którzy przeciw woli J. Kr. Mości powstałi, których on za bunt gardłem karać rozkazał był, a oni, uchodząc przed karą, na wezwanie owego człowieka pośpieszyli.

„Następnie Król Jmość, bolejąc nad rozlewem krwi chrześcijańskiej i upadkiem moskiewskiego gospodarstwa, wspomniął na prośby Wasyla Szujskiego i bojarów, a będąc przez praojców swoich, mianowicie przez pradziada Kazimierza, króla polskiego i w. ks. litewskiego, którego rodziła w. księżna Zofia, córka w. ks. kijowskiego, spokrewnionym z w. ks. Iwanem Wasylewiczem i synami jego, ruszył sam do Moskwy, chcąc wam pomóc, uspokoić moskiewskie państwo. Posyłał po trzykroć Kr. Jmość gońców swoich do Wasyla, ale ich tuszyńcy nie przepuścili, a i sam Wasyl gońców przyjąć nie chciał, choć miasto ścisnęło coraz bardziej Tuszyniec.“

Dokument wspomina dalej o zwycięstwie Żółkiewskiego pod Kłuszynem i o potwórnem zbliżeniu się drugiego Samozwańca pod mury stolicy.

„Wówczas wy i cała ziemia wasza, widząc nad sobą gniew Boży, skłoniliście Wasylą, aby dla powstrzymania rozlewu krwi rzekł się tronu, co Wasyl wnet uczynił, poczem, nie ufając mu, wzięliście go z klasztoru i wydali w ręce hetmana; potem, przywoławszy do siebie hetmana, postanowiliście i uradzili z nim społem, iż z woli i wyboru waszego ma być carem waszym królewicz Władysław i wnet mu werność przysięgliście. A widząc, iż Samozwaniec uszedł przed imieniem J. Kr. Mości do Kaługi, postanowiliście, iż hetman z wojskiem J. Kr. Mości ma wejść do stolicy dla jej obrony od Samozwańców i wszelkich zdrajców. Hetman zajął stolicę i pozostawił na swoim stanowisku Aleksandra Gosiewskiego, wyście zaś posłali posłów do J. Kr. Mości, prosząc go o przysłanie syna. Posłowie przecie wasi, a szczególnie Filaret i Golicyn, nie dojechawszy jeszcze do obozu, zaczęli przemysliwać o zdradzie, z Samozwańcem się znosić, a przyjechawszy pod Smoleńsk, mówili jakoby o tem, co im rozkazano, lecz tajemnie inne snuli plany i potajemnie znosili się z Hermogenem i Lapunowem i innymi zdrajcami, rozsyłając hramoty, jakoby król syna do Moskwy puścić nie chciał, a chce ją przyłączyć do Polski i Litwy. A te hramoty wszczęły nowe zatargi i rozlew krwi w państwie moskiewskiem. Uwierzywszy im, Prokop Lapunow przybył pod Moskwę. A załoga Smoleńska przez upór i złość Szeina, za poradą kn. Golicyna, do tego króla przywiodła, iż musiał starożytną swoją ojcowiznę szturmem zdobywać.

„Wszystko to rozważcie w rozumach waszych, a zobaczycie, iż napróżno oskarżacie króla, iż on-to miał pustoszyć gospodarstwo moskiewskie. Samiście temu winni, żeście usłuchali poduszczeń kn. Golicyna i złamali przysięgę, którąście Władysławowi złożyli, gdy ten ruszył do stolicy gospodarów waszych z ojcem swoim (w r. 1612). Usłyszawszy bowiem o przybyciu hospodara, złość swą i zdradę nad bracią swą, którzy wierni królowi zostali, wywarliście, gdyż, nie mogąc zdobyć miasta (Kremla) szturmem, przysięgliście im, iż w zdrowiu i przy majątkach ich pozostawicie, poczem gdy otworzono wam bramy, przysięgę złamaliście, pomordowali wielu, wielu w kajdanach po innych miastach porozsyłaliście. Gońców J. Kr. Mości, kn. Fiedora Ingildiejewa, i innych, na pytki braliście, głodem morzyli, czego z posłami bisurmani nie robią. Posłów J. Kr. Mości, p. Samuela Zborowskiego, Młockiego, Mezeckiego i Hramoty, których Król do was wysłał, nie przyjęliście, a wysławszy wojsko na ich spotkanie, bójkę stoczyliście i wymówiliście posłuszeństwo carowi waszemu. I dziś to piszecie w hramocie swojej, iż go na tron nie chcecie i wysyłacie posłów do bisurmanów, namawiając ich, aby posiadłości królewskie pustoszyli, za co doświadczycie zemsty i kary Bożej, iż zapomnieliście o swych przysięgach i nie pragniecie pokoju dla moskiewskiego gospodarstwa.

„Co się zaś tyczy tego, co piszecie, abyśmy się zlitowali nad zniszczeniem państwa i zechcieli pomyśleć o pokoju i zgodzie pomiędzy państwami, aby nastąpił pokój i zgoda, a ku temu króla JMości skłaniali, aby rozkazał uczynić wymianę jeńców z obu stron i wojny nie wszczynał, nim jeńcy będą wymienieni, oraz aby rozkazał wyprowadzić swoich ludzi (Lissowskiego) z granic gospodarstwa; to my, bracia, bolelejemy wielce nad spustoszeniem gospodarstwa i do tego króla JMści nakłaniamy, aby dać państwu pokój i powstrzymać rozlew krwi, do czego nakłania go również cesarz Mathiasz. Król JMość nie chce rozlewu krwi i do prośby cesarza się skłania i rozkazuje swoim zachować spokój. A do przybycia posłów J. Cesarskiej Mości, którzy stanowiąc będą o ugodzie pomiędzy wami i J. Król. Mością, jako też o wymianie więźniów—porzucicie hardość, upór i nieprawdy swoje i rozkażcie swoim, aby żadnych zaczepiek nie czynili i spokojnie się zachowywali aż do czasu przybycia posłów J. Ces. Mości.“

Jak widzimy z tej odpowiedzi, w której starannie pominiętą została umowa hetmana Żółkiewskiego, niezaakceptowana przez króla, senat skłaniał się ku zgodzie i okazywał chęć do załatwienia sporów w drodze traktatów, a właściwie traktatu pokojowego. Bawił naówczas w Warszawie poseł cesarski, Jakób Henkel v. Donnersmark, prawdopodobnie w interesie przymierza, zawartego między dworem wiedeńskim a warszawskim. Że zaś cesarz Mathiasz skwapliwie chwycił się pośredniczenia między Polską a bojarami, przeto i jego poseł rozwinął odrazu działalność w tym kierunku, zaprosił Oładina do siebie i doręczył mu listy do bojarów. Treść listów wręczonych gońcowi przez Donnersmarka była ta, iż cesarz chętnie przyjmuje na siebie rolę pośrednika, że posłał już w tej sprawie posła do króla, oraz iż tak ważna sprawa powinna być zakończoną na zjazdach z obu stron.

Tu jednak zaszła komplikacja nieprzewidziana, a to wskutek samodzielnej inicjatywy, powziętej przez cesarza. Nadmieniliśmy poprzednio, iż Dymitr Pożarski wytoczył przed cesarzem Rudolfem cały zatarg polityczny z Rzpltą. Wprawdzie wyraźnie o pośrednictwo nie prosił, ale tak cesarz Rudolf i potem Mathiasz list jego zrozumieli, czy też z niego skorzystali. Również i Michał Fiedorowicz, zaraz po objęciu władzy, przez umyślnego posła notyfikował dworowi wiedeńskiemu wstąpienie na tron, przyczem wracał do żalów, jakie czuł do Zygmunta. Tymczasem bojarowie, nie spodziewając się skwapliwej interwencji cesarza, czy też może zapomniawszy o liście Pożarskiego, ukryli przed Zygmuntem wybór Michała. Trzeba było tego niefortunnego zbiegu okoliczności, iż w chwili, kiedy Oładin przybył do Warszawy, bawił tam Henkel v. Donnersmark. Oładin znalazł się w przykrem i kom-

promitującym położeniu, gdyż przed posłem niemieckim musiał tak dobrze jak i przed senatem ukrywać wybór Michała, a poseł wybierał się lada dzień osobiście do Moskwy, gdzie ogólna sytuacja przedstawiała się teraz zupełnie inaczej. Dłużej więc z notyfikacją, nie oglądając się już na Filareta, zwlekać było nie podobna. Dlatego car wysłał po powrocie Oładina gońca Fiedora Leontjewa, aby w Warszawie zawiadomił o wstąpieniu jego na tron. Wojska carskie pod wodzą kn. Czerkaskiego i Trojekurowa leżały rozłożone pod Smoleńskiem. Wojewodowie mieli polecenie zawiadomić starostę orszańskiego, Aleksandra Sapiehę, o wstąpieniu na tron młodego Romanowa. W Orszy był wówczas J. K. Chodkiewicz, który gońca Niepostawowa zatrzymał. Niepostawow wrócił w styczniu 1614 r. do Moskwy i doręczył na Kremlu list Sapiehy, zawiadamiający, że jedzie do Moskwy wysłannik Zygmunta, jego sekretarz, Jan Hrydycz, wybitna w swoim czasie postać, razem z gońcem cesarskim, Jakóbem Zinglem ¹⁾, żądał więc, aby ich jak najprędzej do „stolicy“ przeprowadzono. Atoli bialski wojewoda, Pleszczejew, odmówił przejazdu gońcom warszawskim, tłumacząc się, że i Leontjew przepuszczonym nie był na Litwę. Widocznie już wtedy dotarła do Warszawy pewniejsza wiadomość o wyborze syna Filareta, wiadomość, która musiała niemałe wywołać zdumienie; zatem, celem zupełnego upewnienia się, wyeksperywowanym był Hrydycz razem z gońcem Donnersmarka ²⁾. Zingel zdołał jednakowoż przesłać Czerkaskiemu list Donnersmarka, żądający glejtu dla siebie. Ponieważ oficjalnej notyfikacji nie było, a nawet Oładin, jak wiemy, pominął zupełnie milczeniem świeżo dokonany wybór, przeto i list Donnersmarka pisany był nie do kogo innego, tylko do bojarów. Tymczasem, po powrocie Oładina, pośpieszono się także w Moskwie z wysłaniem notyfikacji przez posłów Uszakowa i Zaborowskiego do Wiednia. Uszakow i Zaborowski już wyjechali byli od pięciu miesięcy, ale że jechali z Moskwy do Wiednia drogą morską, statkami handlowymi angielskimi, opływając Szwecję (z powodu wojny z Polską i Szwecją), przeto jeszcze od nich wtedy na początku 1614-go roku żadnej wiadomości nie było.

¹⁾ Bantysz Kamieński podaje Jakóba Henkla v. Donnersmarka, jako jadącego z Hrydiczem. W aktach współczesnych cytowanym jest Jakób Zingel kilkakrotnie. (Bantysz Kamieński: „Prelekye w cesar. towarzystwie.“ Moskwa, 1862, t. IV).

²⁾ Tymczasem wyniesienie rodziny Romanowych na tron tłumaczy się tem, iż rzeczywiście mieli obecnie największe do korony prawa. Z trzech rodzin: Godunowów, Szujskich i Romanowów. walczących między sobą o pierwszeństwo od śmierci synów Iwana Groźnego, dwie pierwsze zeszły już były z pola, wśród krwawych zamieszkań ostatnich kilkunastu lat.

Zanim więc opowiemy losy, jakie spotkały czekających niedaleko Smoleńska, Hrydicza i Zingla, musimy wrócić do onej chwili zaraz po wyborze Michała Fiedorowicza, kiedy rozesłane były poselstwa do sułtana i dworów europejskich, obwieszczające koniec bezkrólewia.

Do Konstantynopola wyjechał Michał Borysowicz Protasow z tłumaczem Michałem Visitariem („Skarbiec h. pols. K. Sienkiewicza.“ Paryż, 1839, str. 310) z listem Michała, w którym, zgodnie z przyjętym na dworze padyszacha zwyczajem, car tytułował się ostentacyjnie: królem niemieckim (ze względu na Inflanty) i cesarzem wszego Septentryonu. List rozwodził się znowu obszernie nad klęskami, zadanymi przez Zygmunta i jego Radę, nad złamaniem rozejmu, zawartego za Borysa Godunowa, nad dziejami obu Samozwańców, powtórne złamaniem rozejmu, zawartego za Wasyla Szujskiego ¹⁾, nad umową Żółkiewskiego, poselstwem Filareta, a nacisk położonym był na tę okoliczność, iż Polacy wszystko czynili, aby złączyć Moskwę z Królestwem Polskiem. Wypadki przedstawione zostały według znanej formuły, z tą naturalnie intencją, aby jak najgorzej usposobić względem Rzpltej i ukazać widmo ligi Moskwy i Polski, jakie groziło Turcyi. W końcu Michał oświadczał, iż chce żyć w przyjaźni z sułtanem Achmetem więcej, niż inni monarchowie, żądał złączenia i statecznej przyjaźni, sojuszu przeciw wrogom, zwłaszcza przeciw Zygmuntowi, który na państwa sułtana żywi także złe zamiary; w końcu prosił, aby sułtan rozkazał hanowi najechać Polskę.

Było więc zaproszenie do sojuszu, zaproszenie nie bezowocne, bo przyczyniło się w końcu, po dłuższych usiłowaniach, do zwrócenia Półksiężycy przeciw Polsce. Wielki wezyr, hojnie obdarzony, odpowiedział, że sułtan, pragnąc być z wielkim monarchą w braterstwie przyjaźni i miłości, posłał rozkaz do Krymu, aby han wpadł na Litwę od Białogrodu, a sam z Konstantynopola posyła dziesięć tysięcy żołnierza i Wołochów z Mołdawianami, na Czarnem morzu zaś, przy ujściu Dniepru, kazał postawić dwa miasta dla zasłony od Zaporozża, i kozaków z Dniepru wygnać. Cesarz turecki okazał się wogóle wielce zadowolonym. „Wszystkim wiadomo — mówił wezyr, — że pod słońcem jest dwóch wielkich monarchów: w chrześcijańskich krajach wasz wielki monarcha, w mahometańskich Achmet sułtan, i któż przeciw nim może stanąć?“ Do Krymu także powędrował wysłannik.

Nie mniej współczucia, lubo bez udzielenia doraźnej pomocy, napotkały poselstwa do Holandyi i Anglii, dwóch państw, mających zna-

¹⁾ U K. Sienkiewicza mylnie podane lata rozejmu 1612—1616. Winno być: 1608—1612.

czne interesa handlowe w państwie moskiewskim i bardzo czułych na korzyści, jakie stamtąd ciągnęły. Protasow i tłumacz udali się z Carogrodu do Hagi, gdzie przyjechali w stanie bardzo mizernym, tak, iż rząd holenderski kazał ich zaopatrzyć i wypłacił im tysiąc guldenów. Zdaje się jednak, iż usłyszeli tylko obietnicę od stanów, jako przedsięwzięte będą starania, aby króla szwedzkiego, Gustawa Adolfa, do zgody z carem Michałem nakłonić.

Do Anglii wysłanym był Aleksiej Znizin. Miał on oświadczyć królowi Jakóbowi I: w czasie moskiewskiego zniszczenia, naszych gości, kupca Marka Anglika i jego współników, Litwini schwytali, towary mu zabrali i wzięli ich pod straż, a później wymordowali. Znizin miał wyrobić pieniężny zasilek stu tysięcy rubli, lub też sprowadzić zapasów puszkarских za tę sumę. Jeśliby Anglicy utrzymywali, że Marka Anglika (kupca, handlującego w Moskwie) bili ruscy kozacy, kiedy na polskiej załodze zdobyto Kitajgród, i że ci kozacy wszystkie jego towary rozdrapali, odpowiedzieć miał Znizin: na pewno wiadomem jest, że jego schwycili polscy żołnierze i aż do zdobycia Kitajgradu trzymali w zamknięciu. Skoro zaś Kitajgród zdobytym został, przypadł bez wieści; nie wiadomo, czy to polscy ludzie go zabili, może być, że i czerń go zabiła, bo wtenczas zabitych było nawet trzech ludzi russkich, siedzących w niewoli u Polaków.

Król Jakób przyjął łaskawie posła, ale zadowolnił się platonicznemi oświadczeniami przyjaźni: my wiemy (rzekł między innemi), jakie złe Polacy wyrządzili Moskwie, robiliśmy wyrzuty królowi Zygmunto-wi i z nim nie znosimy się.

W dalszym ciągu ujrzymy angielskich oficerów w moskiewskiej służbie.

Byli-by niewątpliwie i do Szwecyi wyruszyli posłowie, celem związania stosunków i zaprojektowania ligi przeciw Polsce, gdyby nie okoliczność, że z Gustawem Adolfem toczyły się zażarte spory, a nawet niedaleka wojna była przewidywaną. Albowiem na wiadomość, iż Zygmunt III podstąpił w r. 1609 pod Smoleńsk, Wasyl Szujski wysłał do Nowogrodu Michała Skopina Szujskiego o pomoc i zgodził się na ustępstwa terytoryalne. Szwecya przysłała Pontusa de la Gardie z najemnem wojskiem, kiedy jednak Żółkiewski rozbił pod Kłuszynem wojska Skopina, Pontus oskarżonym został o zdradę. W istocie, zdaje się, iż Pontus (nie będąc zapłaconym przez Szujskiego) nie chciał się bić. Do tego wśród anarchii, w latach 1610 i 1611, wyłoniła się w Nowogrodzie kandydatura jednego z królewiczów szwedzkich, Karola Filipa, na tron carski; kiedy potem kandydatura ta upadła, jak upadła kandydatura Władysława, Pontus zajął Nowogród, wziął do niewoli metropolitę Izy-

dora i miejscowego wojewodę kn. Odojewskiego, promotorów tej kandydatury. Od tej chwili stosunki dyplomatyczne nie były wiele lepsze od stosunków z Polską.

IV.

Jednocześnie z wysłaniem do Konstantynopola, jakieś już wspomnieli, wyprawiono też posłów do cesarza Macieja. Wydelegowani w lecie 1613 r. Stefan Michajłowicz Uszakow i Siemion Zaborowski, z powodu wrogich stosunków z Polską i Szwecją musieli jechać do Wiednia, nasamprzód lądem do Archangielska, a stamtąd na angielskim kupieckim statku, opływając Szwecję, do Lubeki i Hamburga, unikając jednocześnie wszelkiego spotkania czy to z polskimi czy szwedzkimi okrętami. Z Hamburga droga prowadziła do Linczu czy Wiednia, stosownie do tego, gdzie cesarz przebywał. Przybywszy do cesarza mieli oznajmić: „Pan Nasz pokłon Tobie posyła i o zdrowie pyta.” Przedewszystkiem winni byli opowiedzieć krzywdy, doznane od króla, historię obu Dymitrów, oznajmić wybór Michała Fiedorowicza. Dalej mieli wręczyć list z prośbą: „Do króla polskiego niech Brat nasz od siebie napisze, wyliczy krzywdy nasze i odkryje je, aby się poprawił, a więc aby posłów naszych, Filareta i Golicyna, uwolnił, krwi chrześcijańskiej nie przelewał, a zniósłszy się z Nami przez posłów, pokój zawarł, aby poganie (Turcy i Tatarzy) nie radowali się z naszych swarów.” Jeśliby ministrowie cesarscy zapytali o wiek monarchy, odpowiedzieć: „Ma lat 18 (miał rzeczywiście lat 15), ale Bóg ozdobił J. Carskie Wieliczeństwo pięknnością, męstwem, odwagą, rozumem i szczęściem; dla ludzi jest on miłosiernym, wogóle Bóg ozdobił go swemi darami po-nad wszystkich ludzi.” A jeśliby cesarz nie przyjął posłów łaskawie i, jak się nawet spodziewać było można, gdyby zaczął króla usprawiedliwiać, mieli posłowie objaśnić: choć król to wszystko inaczej przedstawiał, to przecież tak on, jak i senatorowie, popierali i wprowadzili na tron Dymitra, potem król złamał przysięgę i krzywdził srodze gospodarstwo za Wasyla, a następnie jeszcze więcej. Polaków zna J. Cesarska Mość, jak oni krzywdzą i bezczeszczą, gdyż, obrawszy na tron Maxymiliana, z wojskiem nań ruszyli i, pojماwszy go, w niewoli trzymali. Zatem niechaj cesarz nie wierzy listom królewskim, pamięta o przyjaźni Rudolfa z Fiedorem, który go wspierał pieniędzmi podczas wojny z sułtanem, i niech sam w takiej zgodzie żyje z Michałem.” Gdyby zaś rada cesarska zagabnęła: „słyszeliśmy, że Wasyla wywieziono na Litwę i czy żyje on jeszcze?...” odpowiedzieć: „kiedy St. Żółkiewski wszedł do Moskwy, zdradą pojmał Wasyla i do Polski go wy-

prawił. Wiemy to, iż zgnębiony w więzieniu car oddał ducha, przy życiu został jego brat, Iwan Iwanowicz. Sami osądźcie, gdzie się to tak dzieje, aby, pojmwawszy takiego Hospodara, głodem go umorzyć?... Czy mogliśmy potem (?) wezwać na tron syna jego (t. j. syna Zygmunta)?..." A gdy zapytają: czy car znosił się z sułtanem tureckim Achmetem? — powiedzą posłowie: „Za poprzedników J. Carskiego Wielichestwa przysłał sułtan posłów swoich, będzie temu już lat dwadzieścia, a teraz niech nawet Achmet nie marzy o porozumieniu się przez posłów z panem naszym, bo Turcy są poganie, sułtan zaś wrogiem każdego chrześcijańskiego hospodara.” Co do stosunków z hanem objaśnić: „z hanem porozumiewa się Pan nasz. Przed naszym odjazdem przybyli posłowie hana z pozdrowieniem i ofiarowaniem przyjaźni.”

Będąc u cesarza, mają posłowie dyskretnie wybadać, jakie są jego stosunki z sułtanem, z Zygmuntem, do kogo należą Wołosza i Multany, do sułtana czy też do króla, i co mówią o carze i o królu? „A jeśli trzeba będzie co dać komu, to dać, byleby wszystkiego się dowiedzieć.”

Uszakow i djak Zaborowski wypłynęli z Archangielska w końcu sierpnia i przybyli do Hamburga po dwóch miesiącach morskiej podróży. Cesarz Mathiasz bawił naonczas w Lincu, gdzie go też posłowie znaleźli w grudniu, a w końcu stycznia (1614) nawrócili na Hamburg, wioząc list do swego monarchy.

Przebieg tej legacji był do tego stopnia niepomysłnym dla ablegatów, iż wydawcy odnośnych dokumentów (Pamięt. dipl. snosz. z inostr. dierżaw. Petersb. 1852 t. II, str. 921—1008) uznali za stosowne nie ogłaszać ich w całości, miejsca wypuszczone zaznaczyli kropkami z dodaniem wzmianki o nieczytelności niektórych ustępów, przeciw której-to metodzie jeden z russkich historyków występuje z objaśnieniem, iż takich nieczytelnych miejsc niema wcale (Ikonnikow: Nowyja izśledowanja po istor. smutn. wremjeni. Kijews. uniwers. izwiestja r. 1889 № 5 i 7).

W istocie, położenie polityczne było tego rodzaju, iż cesarz niemiecki stawał bezwarunkowo po stronie swego krewnego. Przez biskupa Melchiora Klesela kazał doręczyć odpowiedź, przypominającą, że gdy Pożarski szukał pośrednictwa, cesarz niezwłocznie króla o tem zawiadomił. Zygmunt przysłał potem na sejm do Ratzybony posłów swoich, prosząc także o pośrednictwo, poczem cesarz posłał do rządów moskiewskich sługę swego (wspomnianego powyżej Zingla), aby zasięgnąć wiadomości, gdzie i kiedy zjazdy się odbędą, tak, iżby mógł być wyprawionym wielki poseł. J. Ces. Mość pragnie sprawę pokoju polubownie załatwić i ma nadzieję, że król polski tak postąpi, jak mu stanowisko chrześcijańskiego monarchy nakazuje.

Po powrocie posłów do Moskwy, znalazła się dziwna niespodzianka tak dla nich, jak i dla carskiego majestatu. Że list przesłany przez Zingla był adresowanym j. w. do rządów moskiewskich, przeciwko temu trudno było co nadmienić, gdyż urzędowej notyfikacji jeszcze nie było. Ale gdy po całorocznej podróży posłów odpieczętowano na Kremlu list cesarski, pokazało się, iż był to nie list do cara, ale odpowiedź, wystosowana do posłów, bez wymienienia tytułu carskiego. A zatem Maciej, zapewne przez wzgląd solidarności z Zygmuntem, nie uznawał nowego władcy, czego posłowie się nie dopatrzyli i tym sposobem do dyplomatycznej obrazy dopuścili. Niezależnie od tego, Uszakow i Zaborowski skompromitowali kilkakrotnie swój charakter poselski i dlatego nie doręczono im portretów cesarza na łańcuchach. Cesarz miał się nawet odezwać: „słyszałem, że to ludzie prości, gbury, prócz awantur nic nie potrafią, żaden poseł tak się jeszcze nie zachowywał, niema co dawać portretu takim psom!"; obaj też w Moskwie odpowiednio ukarani zostali.

Zarówno Hrydicz, jak i Zingel, spotkali się na granicy z wyraźną odmową w kwestyi przepuszczenia ich traktem poselskim przez obozy wojewodów, póki listu uznającego w pełni carską godność Michała nie doręczą. Tego ani jeden, ani drugi zrobić nie mogli i dlatego wrócili się do Różany do Lwa Sapiehy, a potem do Warszawy, nic niesprawiwszy, po czternastotygodniowym czekaniu w Mohilowie. Do Wiednia zaś wysłany został, celem naprawienia błędów poprzednich posłów, Iwan Fominowicz Jełżew, tą samą drogą co oni, to jest przez morze północne do Hamburga i Wiednia — ale i to poselstwo spotkało się z wyraźną odmową uznania nowego dynasty.

Zatrzymanie gońców na drodze do Smoleńska (t. j. na dawnej granicy) wywołać musiało wiele nieukontentowania w Warszawie, zwłaszcza że senatorowie odnieśli się byli przez Riazniczyna, nowogrodzkiego jeńca, do bojarów, żądając ponownie wolnego przejazdu. Ponieważ w owej chwili żadnej już wątpliwości nie ulegało, iż syn Filareta wyniesionym został na tron, przeto skorzystano z tej sposobności, aby przypomnieć wybór królewicza, wskazać na odrzucenie pośrednictwa cesarza, ale jednocześnie żądano, aby byli wysłanymi delegaci na zjazd. Pomimo wystosowania listu do dumy bojarskiej, propozycja została przyjętą i dlatego rada carska postanowiła ze swej strony wyprawić do Warszawy Fiedora Żelabuskiego i jednego z podjaczych, aby rozpoczęli pertraktacje ¹⁾. Obie strony z góry zastrzegały się co

¹⁾ „Drewniaja rossijskaja wiwliofka.” Moskwa, 1790. Przytoczony jest jako poseł cesarski: Jakób Helkels Faldonus Mirk, co ma znaczyć zapewne: Jakób Henkel v. Donnersmark.

do pretensyi i żalów, wszelako w zasadzie przyjmowały myśl komisji pokojowej, i to ze współudziałem medyatora.

Zbliżanie się układów pokojowych nakazywało, według ówczesnego zwyczaju, popierać tem silniej demonstracye wojenne. Droga ze Smoleńska do Moskwy była cała już obsadzona wojskami, ostróżkami—Smoleńsk był obleżonym i cierpiał głód. Z Warszawy przysłano przez starostę orszańskiego, Aleksandra Sapiełę, załozde smoleńskiej 25,000 złotych. Chodziło jeszcze o to, aby pułkownikowi Wiszłowi w Smoleńsku dostawić żywności. Z Newla donosił wojewoda kn. Gagaryn wiadomości, przyniesione przez szpiegów z Litwy, jako to: że popieranie dalszej wojny na sejmie postanowionem zostało, Lissowczyki zaś mają podjazdami napadać Toropiec, Newel, Siebież, Opoczkę i Psków, a nawet o ile możności dotrzeć do okolic samej Moskwy. (Akty mosk. gosud. izd. Popowym. Petersb. 1890, t. I, str. 109, 124). Lissowczyków użyła wtedy Rzplta w tym celu, aby, dokuczając nieprzyjacielowi, przyprowadzili go widokiem nowych klęsk do korzystnego układu. Paląc, mordując, rabując, niepochwytny, szerząc paniczny strach, pułk straceńców, składający się zaledwie w trzeciej części z Polaków, a po większej części z kozaków i moskiewskiego hultajstwa, przelatywał z bezprzykładnem zuchwalstwem od jednego miasteczka do drugiego, od wsi do wsi, jak wielka, dobrze zorganizowana banda Samozwańca. Aleksander Lissowski już wtedy nie żył od pół roku, objął po nim dowództwo Czaplifski, ale nazwa Lissowczyków została i imię pierwszego dowódcy nie przestało przez dalszych kilka lat być postrachem pogranicznych powiatów.

Łatwiej niż z Lissowczykami przyszło nowemu rządowi załatwić się z Zaruckim i chłopskimi kupami rozbójniczymi, grasującymi jeszcze od czasów obu Samozwańców. Zarucki, przeszedłszy na stronę Lapunowa i D. Trubeckiego, zdradził ich następnie, Prokopa Lapunowa zamordowali nawet jego Dońcy. Opuściwszy stolicę, zabrał Maryę Mniszchównę i jej synka z Kaługi, znosił się z Polakami, zamkniętymi na Kremlu, przywoływał do siebie Ostapa Walewskiego, Kazanowskiego, nawet hetmana Żółkiewskiego. Wysłani przez niego do Moskwy, Walewski i Kazanowski, schwytani zostali przez ludzi Trubeckiego i dali gardło. Kiedy Dymitr Pożarski zbliżył się z svojem pospolitem ruszeniem, Zarucki umknął do Kołomny, skąd chciał z Maryną uciec na Litwę, ale wtedy Dońcy nie dopuścili do tego, żądając wyprawy. Rozpoczęła się tedy krwawa, rozpaczliwa wyprawa „Iwaszki i Marynki luterki.” Uszli do Astrachania do Nadwożańskich kozaków, ścigani przez oddziały wojska stołecznego. Do Zaruckiego i Maryny przyplątał się także znany Fedko Andronow. Na wiosnę 1614 r. Zarucki miał jeszcze 3,000 ludzi z sobą, ale przypierany i osaczony przez

Odojewskiego uciekł na Jaik, gdzie po rozpaczliwej obronie na jednej z wysp, schwycony z Maryną, jej małym synkiem Iwanem i Andronowem, przywieziony był do Moskwy. Tutaj wszyscy straceni zostali.

Doński ataman, Jan Zarucki, razem z Maryną zamyka szereg osobistości głośnych w epoce samozwańców. Jedyna w swoim rodzaju epopeja Maryny Mniszchówny kończy się, zostawiając po sobie zażartszą jeszcze nienawiść sąsiadujących państw, wtedy, kiedy na samą tragicomedję już zasłona spada.

Na wzmiankowany przez nas powyżej list, przesłany przez Riazniczyna, odpowiedzieli wprawdzie bojarowie zastrzeżeniami co do jego nieformalności, ale postanowili wysłać w grudniu (1614) z odpowiedzią Fiedora Grygorjewicza Żelabuskiego. (Sobr. gos. hram. i dogow. t. III, № 24).

Odpowiedź ta brzmiała:

„Przystaliście nam w listopadzie r. b. list swój przez Fiedora Riazniczyna, w którym pisaliście, iż wybraliśmy na tron ziemią całą królewicza Władysława, a Król JMość, naradziwszy się z senatorami, chciał wyprawić syna swego do Moskwy i tam go prowadził, lecz my, zapomniawszy niejako o przysiędze, nie przyjęliśmy go na tron. Następnie mieliśmy posyłać gońców do cesarza, aby się za nami do Króla JMości wstawił i do Króla mieliśmy również posyłać Denisa Oładina, aby się na nas za syna swego zniewagę nie.mścił. Na prośby wasze cesarz miał się porozumieć z waszym Hospodarem, a ten, porozumiawszy się z senatorami (Panami Rad) miał zdać rozstrzygnięcie swej krzywdy na J. Ces. Mość, poczem cofnął żołnierzy swoich z moskiewskich ziem i zakazał wszelkich zaczepiek na ukraiinne grody. Następnie J. Ces. Mość wysłał do nas posłów swoich, a przodem gońca Jakóba Zingla dla oznajmienia nam przybycia posłów swoich i waszych, którzy o pokoju radzić mieli. Lecz my mieliśmy jakoby wzgardzić pośrednictwem cesarza, o które sami prosiliśmy, również i łaską i dobrocią Zygmunta, poselstwa słuchać nie chcieliśmy i nastaliśmy swoich ludzi na spokojne ukraiinne grody, łamiąc rozejm, czego i poganie nie czynią. Pisaliście jeszcze, iż mamy w niewoli wielu jeńców waszych, których uciskamy wielce, gdy tymczasem nasi jeńcy nie cierpią u was żadnego ucisku, a jeśli chcemy zawrzeć z wami pokój i zakończyć właśnie, przysłać mamy na granicę nie wielu ludzi dla układów. Zaś jeśli pogardzimy pośrednictwem cesarza i łaską waszego króla, wówczas wy, przyzwawszy Boga na pomoc, będziecie na nas, ile sił starczy, zniewag swoich dochodzić.”

„Nie należało nam przyjmować i czytać listu tego, a nawet coś przedsięwziąć, boście go pisali nie według dawnego zwyczaju, gdyż nie wspomnieliście nawet imienia J. C. Wieliczestwa.”

Wracają się dalej wszystkie obwinienia, jakie znaleźliśmy w poprzednich podobnych dokumentach, aby dowieść, iż „wspominać już dziś nie należy, że mógł Władysław zasiąść na tronie moskiewskim.” Owszem, „wszystko złe i rozlew krwi z waszej dzieje się strony, bo król nie opuścił dotąd ojcowiżny Hospodara naszego, Smoleńska, i żadnego też ustępstwa z jego strony dotąd nie widzimy.” Jednocześnie list wyjaśniał przyczyny, dla jakich Zingel i Hrydziez nie byli wpuszczeni, a kończył się takim oświadczeniem: „Pisaliście nam jeszcze, iż, jeśli chcemy pokoju, przysłać mamy posłów swoich na granicę dla porozumienia się z waszymi względem pokoju i wymiany jeńców, bo jakośmy nigdy rozlewu krwi nie pragnęli, tak go i dziś nie pragniemy. I na prośby nasze, J. Carska Mość pozwolił nam wysłać posłów na granicę, o czym zawiadamiamy was hramotą przez Fiedora Gryg. Żelabuskiego. A wy, z waszej strony, panowie, proście pana waszego, aby dalszego rozlewu krwi nie pragnął, Filareta i Golicyna uwolnił i jeńców wymienić pozwolił i posłów swoich na granicę wysłał. Co zaś piszecie, iż jeśli zgodą, pośrednictwem cesarza, a łaską króla wzgardzimy, to wy będziecie na nas wszelkimi siłami krzywd swoich dochodzić, — powiadamy wam, iż waszą przyjaźnią nie gardzimy i Boga prosimy o zesłanie pokoju.”

Podpisali list starzy bojarowie: Mścislowski, Iw. Golicyn, Iw. Romanow, dalej oswobodziciele Moskwy: Dym. Trubecki, Dymitr Pożarski, Kuźma Minin i inni.

Były jeszcze w liście zwykłe skargi na złe obchodzenie się z jeńcami, czemu współczesne relacye zresztą najwyraźniej przeczą. I tak z relacyi złapanych pod Smoleńskiem języków wiadomem było naonczas w Moskwie, że Filaret, Golicyn i Szein, internowani w Malborku, ściągnięci byli razem z dworem swoim podczas sejmu do Warszawy, gdzie ich król i królewicz godnie traktowali i do stołu swego często wzywali. Podczas sejmu, krewni schwytanych na Kremlu polskich jeńców, zwłaszcza żona Mikołaja Strusia, przypuścili szturm do króla i senatu, aby wymiana jeńców jak najrychlej dokonana była. (Akty mosk. gosud. izdan. A. Popowym. Peters. 1890, str. 123—5). Również i co do Szujskich, współczesne ruskie akta przynoszą niezbite dowody, iż byli trzymani w niewoli w warunkach zupełnie odpowiadających stanowisku „znacznych ludzi.” Sprowadzenie Filareta i jego towarzyszy niewoli miało na celu zachęcenie do układów.

Nie chcąc się powtarzać, zaznaczymy tylko, że Żelabuski miał polecenie odpyierać znanymi argumentami wszelkie wspomnienia przy-

sięgi złożonej Władysławowi, donieść o schwytaniu „Iwaszki Zaruskiego i łotrzyca Maryny”, o zmarniu tej ostatniej „z choroby i zmarwienia”, oczyszczeniu państwa od „łotrowskich nieporządków”, nade wszystko zaś widzieć się z Filaretem i rozmówić z nim.

Posłannik przyjechał do Warszawy w końcu lutego w czasie sejmu, na którym atoli dalszych poborów na wojnę moskiewską odmówiono. Senatorowie przyjęli Żelabuskiego tak, jak w danych warunkach było w użyciu. Przy czytaniu listu, jako przysłanego nie od monarchy, nikt nie wstał, senat spytał tylko o zdrowie bojarów, na co poseł znacząco odpowiedział:

— Bojarom, *przy wielkim monarsze*, Bóg dał dobre zdrowie.

Kiedy poseł wymówił słowa *przy wielkim monarsze*, wtedy z grona senatorów odezwał się gromko Lew Sapieha:

— Jeszcze to u was nie prawdziwy monarcha!..

Atoli dozwolonem zostało Żelabuskiemu widzieć się z Filaretem w obecności kilku panów.

Filaret mieszkał w domu Lwa Sapiehy, który był jego „prystawem” razem z Mikołajem Oleśnickim, kaszt. małogoskim, znanym z burzliwego poselstwa na ślub Maryny ¹⁾.

W toku rozmowy, Oleśnicki zwrócił się do posła i rzekł: „na wiosnę pójdzie królewicz do Moskwy, a z nim pójdzie cała Rzplta! Królewicz Władysław zrobi waszego metropolitę patriarchą, a syna jego bojarem.”

Na to odpowiedział Filaret: „Ja patriarchą być nie chcę!” a Żelabuski do kasztelana: „Zanadto się panie pysznisz! Teraz we wszystkich państwach wielkiego naszego monarchy panuje spokój i porządek, wszyscy ludzie służą jemu wiernie, jak jedna dusza—my staniem przeciwko waszemu królewiczowi i wam wszystkim. Dawno to król wasz z królewiczem nachodził zdobywać państwo moskiewskie, przyszedł pod Wołok, a Wołok w naszym państwie jakby mała wieś, a jednak tam ludzi waszego króla pobili i odszedł wasz król z wielkimi stratami.

Oleśnicki nic nie odpowiedział, ale widąc znał Żelabuskiego z czasów, kiedy siedział osadzony w zamknięciu przez Wasyla Szujskiego, póki-by nie zaprzysiągł podsuniętego mu przedłużenia rozejmu, — więc zapytał:

— Czy pamiętasz mnie, kiedy byłem w Moskwie?

— Pamiętam, odrzekł poseł, kiedyś ty za czasów cara Wasyla był w Moskwie i, odjeżdżając, w pałacie, przysięgałeś co do lat pokoju, żeby nic złego państwu moskiewskiemu nie czynić...

(¹ S. Sołowjew nazywa go mylnie Oleszyńskim.

Jak wiadomo, Oleśnicki i Gosiewski zmuszeni zostali wtedy gwałtem do zaprzysiężenia traktatu, stąd i tego rodzaju przysięga żadnego znaczenia mieć nie mogła. O tym Oleśnickim, który umarł jako wojewoda lubelski w r. 1629, wspomina P. Piasecki, że był wielkiego umysłu i wdzięcznym w wymowie senatorem, przypominającym żywo antenata swego, kardynała Oleśnickiego.

W czasie tego zebrania weszła żona Mikołaja Strusia, bardzo zaniepokojona o życie męża, i zaczęła prosić Filareta, aby napisał do syna, wstawiając się za jej małżonkiem. Filaret przyobiegał, a Żelabuski uspokoił ją, że car Michał jest człowiekiem miłosiernym, nie żądnym krwi; nie tylko nad jej mężem się zlitował, który jest człowiekiem znacznym, ale nawet niższych od niego obdarował.

Na to Lew Sapieha:

— Co wy mówicie, że wasz monarcha jest miłosiernym i nie żądnym krwi chrześcijańskiej?... Wiemyż przecie, że wasz monarcha porywał do cesarza tureckiego, podkupił go, aby połączył się z nim przeciwko Polsce i Rusi. Listy te carskie znajdują się w naszych rękach.

Żelabuski odparł, że nic o tem nie wie...

Przy pożegnalnej audyencji u pp. senatorów, w końcu marca, Lew Sapieha, wśród dyskusji, miał znowu sposobność zaznaczenia stanowiska, jakie zajął warszawski dwór wobec ostatnich wypadków. Oświadczył on posłowi:

— Jeszcze to u was nie prawdziwy monarcha! Dwóch macie monarchów: jeden u was w Moskwie, a drugi tutaj, królewicz Władysław. Wyście jemu na wierność przysięgali...

Żelabuski miał przygotowaną odpowiedź: to sprawa przeszłości, nawet wspominać o niej nie wypada!...

Posel żądał nawet, aby w odpowiedzi senatorów wypisanem było imię cara Michała, na co znowu Sapieha odparł:

— Teraz my senatorowie odpuszczamy cię z dobrem, od kogoś przyszedł, do braci naszej bojarów, ale carskiego tytułu pisać nie możemy, o tem postanowią dopiero posłowie z obu stron, kiedy o wszystkich wielkich sprawach mówić i roztrząsać je będą przed Bogiem, a skoro oni postanowią w tej wielkiej dobrej sprawie, wtedy będzie się także wypisywać carskie tytuły.

Że zaś zwykłym obowiązkiem posłów było: wywieść się o stanie kraju, gotowości wojennej i t. d., przeto Żelabuski zdał raport o silnej opozycji senatorów litewskich co do nowych wypraw na Moskwę. Jeden tylko Lew Sapieha popierał zamysły królewskie. Doniósł także posel, że krzewienie unii na Litwie najgorliwiej popiera król sam, kanclerz p. F. Kryski i marszałek w. lit. Krzysztof Dorohostaj-

ski. Na sejmie król prosił o dalsze pobory, aby z pospolitem ruszeniem iść na Moskwę, ale posłowie litewscy odmówili poborów, napierając, aby sprawę kończono raczej traktatami, a królewicza nie wysyłano, gdyż dla niego teraz już żadnych tam widoków niema.

Tak było rzeczywiście. Specyjalnie co do Szwecyi i wychodzącego z nią rozejmu z Polską musiał wybadać położenie.

Wątpić nie można, iż relacye, zdawane przez posłów i potajemnych agentów, wzmacniały opór w Moskwie, dawały nadzieję, iż przy dłuższej przewłoce ugody w załatwieniu spornych kwestyi, Polska zmuszoną będzie przystać na możliwie korzystne dla Moskwy warunki. Doświadczenie, nabyte podczas kampanii Zygmunta III pod Smoleńskiem, iż Rzplta w doraźnym ataku znaczne odnosiła korzyści, które w miarę przewlekania się następnie ginęły, z powodu braku zasobów pieniężnych i wadliwego wewnętrznego ustroju, musiało być zastosowaniem także i przy układach. Dlatego też spotykamy się z umyślnem przewlekaniem komisyi, wyrachowaną ociężałością, na którą w Rzpltej aż nadto często skarżyć się będą.

Wracając do kraju, Żelabuski widział się w Rożanie, w starostwie słonimskim Lwa Sapiehy, z Michałem Szeinem, bohaterem wytrwałej obrony Smoleńska. Szein kazał oświadczyć w Moskwie: skoro będzie wymiana jeńców z litewskimi ludźmi, żeby car i bojarowie surowo przykazali posłom, aby się strzegli oszustwa ze strony litewskich ludzi. Niechby posłowie zjechali się między Smoleńskiem a Orszą na starej granicy. Litwy z Polską teraz niezgoda wielka i z Turkami pokoju niema. Jeżeli wojsko carskie jest zebraniem, trzeba koniecznie wkroczyć na Litwę, gdyż obecnie ku temu pora. Poseł dowiedział się także, iż król chciał, aby Filaret napisał do syna taki list, jaki mu był potrzebnym (?), czego sobie życzył Lew Sapieha, ale metropolita odmówił i za to Żelabuski nie był dopuszczonym do pożegnania się z Filaretem. Hrydycz, sekretarz królewski, którego król i Sapieha posyłali do Filareta, mówił posłom: skoro metropolita się dowiedział o wyborze swego syna, podniósł głowę, nabrał otuchy, wzmocnił się w nim upór, nikogo do siebie nie dopuszcza i listów nie chce pisać.

Zygmontowi chodziło prawdopodobnie o przyspieszenie wymiany jeńców i zawarcie pokoju, o co miał syna prosić Filaret.

V.

Bądź co bądź, sprawa zlikwidowania dotychczasowego stosunku politycznego posuwała się naprzód. List, który wioził poseł do bojarów, wskazywał, jako miejsce zjazdów pełnomocników obu stron, między

Smoleńskiem a Wiaźmą, a więc na domniemanej przyszłej granicy. Senatorowie nie zarzucali jednakowoż taktyki trzymania się z pewną odpornością, czujnością wobec znanego usposobienia przeciwników. „Póki poddani (chołopy) nad wami panować będą, póty nie przestaniecie odczuwać gniewu Bożego nad sobą, dlatego że państwem rządzić jak się należy i uspokoić go nie są w stanie” — pisali panowie, wracając do kandydatury królewicza. Odpowiadając zaś na zarzuty, postawione co do rozdrapania skarbcza carskiego, pisali: ze skarbu moskiewskiego naszemu królowi nic się nie dostało, złej woli ludzie rozkradli go, bo był zebrany niesprawiedliwie i z krzywdą ludzką!”

Niemniej jednak na Kremlu zgodzono się w zasadzie na komisyję pokojową. W październiku (1615), z decyzji soboru wysłani zostali na granicę litewską wielcy posłowie: książę Iwan Worotyński, Aleksiej Sickij i okoliczny Artemij Izmaïłow. Z polskiej strony: biskup kijowski Krzysztof Kazimierski, hetman w. lit. Jan K. Chodkiewicz, hetman p. lit. Krzysztof Radziwiłł, kanclerz Lew Sapieha, Aleksander Gosiewski starosta wielicki i kilku innych. Jako pośrednik przyjechał od cesarza Mathiasza Erazm Hejdelius v. Ressenstein.

Ale przygotowania do komisji poszły odrazu kulawo. Pomimo, że w marcu t. r. podczas sejmu, za bytności Żelabuskiego, ułożono się i oznajmiono z Warszawy o terminie, glejt wyekspedyowano, a potem znowu termin stosownie do żądania bojarów zmienionym został, przyczem i miejsce zjazdów ostatecznie nad rzeką Wapą na d. 20 sierpnia naznaczonem było — moskiewscy posłowie całe lato i część jesieni zwłóczyli, zaledwie j. w. w październiku o ruszeniu swoim znać dali i dopiero w początkach listopada do ostrożków swoich przybyli, ale nad Wapą żadną miarą zjeżdżać się nie chcieli. Po nciążliwej korespondencji, komisarze zgodzili się na kongresy nad Dnieprem pod Smoleńskiem.

Przyczynę zwłoki, długich certacyi, tłómaczy nam między innymi ponowna wysyłka posłów, w lecie tegoż roku, do Carogrodu. Wiemy, że nawiązanie stosunków wzajemnych poszło gładko, pomimo udzierek kozaków dońskich z tureckim Azowem, doszło nawet do pewnej serdeczności. Wydelegowani byli teraz: Piotr Mansurow i djak Samsonow, celem namówienia sułtana, aby kazał Tatarom krymskim wpaść na Litwę, gdyż król polski, dowiedziawszy się o przyjaźnielskich stosunkach między carem a sułtanem, komunikuje się ciągle ze swej strony z cesarzem, papieżem, królem szwedzkim i innymi monarchami, zamyślając szkodzić Moskwie i Turcyi. To też przyjęcie w Konstantynopolu było niemal gorące, nie szczędzono sobie oświadczeń przyjaźni. Wprawdzie zamęciła chwilowo dobre usposobienie wiadomość o nowych napadach Dońców na morze Azowskie (bo i Mo-

skwa miała swoich Zaporozców, rozbijających na morzu Azowskiem, jak nasi Kozacy na morzu Czarnem). Misya przeciągnęła się niepomniernie długo, posłowie siedzieli blisko rok, nareszcie odpuszczeni zostali z oświadczeniem, iż przeciw królowi polskiemu stoi wojsko pod Chocimem, a skoro w. wezyr, Chalil pasza, powróci z wojny perskiej, wtedy sułtan wyśle do Polski całe swoje wojsko. Rzeczywiście w r. 1617 zjawiły się wojska tureckie z Skinder Baszą nad Dniestrem, gdzie ich wstrzymywał hetman Żółkiewski. Nawzajem znowu, Tatarzy krymacy, zdaje się z poduszczenia Rzpltej, inkursye swoje na Moskwę rozpoczęli w r. 1615. Bardzo korzystnem dla układów było rozpoczęcie ze strony Gustawa Adolfa kroków wojennych, krótko przed zjazdem komisarzy, o dotrzymanie traktatu, ułożonego za drugiego Samozwańca z Wasylem Szujskim.

Do ostatniej chwili wcale też nie wyglądało na to pod Smoleńskiem, że się zjazdy zacząć mają. Zaczepki wojenne nie ustawały. Chorągwie Chodkiewicza i Kiszki, starosty parnawskiego, udzierały się z wojskami kn. Iwana Andrejewicza Chowańskiego. Dopiero kiedy z Moskwy przypadł goniec, Artemij Nieczajew, w interesie traktatów, nastąpiła pewność, że kongresy w ostatniej chwili się nie rozchwieją. Między Chodkiewiczem a Chowańskim toczyła się korespondencya w tonie ostrym, zaczepnym, bo Chodkiewicz, pisząc do wojewody, nazwał Władysława „carem wszech Rusi”, na co kniaź odpowiedział energicznie i zaznaczył nawet, że Smoleńsk wcale nie jest własnością Rzpltej, ale carską ojcowizną. Zresztą wtedy Lissowskiego, t. j. Czaplińskiego, „straceńcy” dokazywali koło Jarosławia, więc był powód do rozdrażnienia. (Sobr. gos. hr. i dogow., t. III, № 30). Posiadamy taki dokument, świadczący o partyzantce Lissowczyków w owej chwili. Czapliński miał wtedy ośm chorągwi t. j. 400 Litwinów, 300 Kozaków z atamanem Sydorkiem i 150 russkich łotrzyków. Rzew, Torżek, okolice Jarosławia, Kostromy były teatrem ich podjazdów; niszczyli wsie, miasteczka, pałac i rabując. Lissowski korespondował nawet z Chodkiewiczem. (Akty istor. sobr. i izdan. archeogr. kom. Petersb. 1841, t. III, № 64). Wysłanie Lissowczyków było odpowiedzią na zaczepki pod Smoleńskiem.

Tak wyglądały wzajemne stosunki w wigilię zjazdów. W odpowiedzi na misję Nieczajewa posłali polscy komisarze z Kopysi (gdzie teraz wyczekiwali) gońca swego, Maksymiliana Kaliszewskiego, który znowu długo w Możajsku czekać musiał, zanim dojechał do stolicy. Zjawił się Erazm Hejdelius, ale i ten oznajmił przybycie swoje Chowańskiemu w sposób nieco bezceremonialny. Wogóle, powiedzmy od-

razu, pośrednictwo cesarza nie zapowiadało się dobrze. Cesarz zbyt widocznie brał stronę Zygmunta, czem rozdrażniał przeciwników.

W początkach października komisarze polscy przybyli z Hejdeliussem i eskortą dziesięciu tysięcy żołnierza (ze względu na wojsko Chowańskiego) do Smoleńska. Chowański odpowiedział Hejdeliusowi w sposób uwłaczający cesarzowi, a jednocześnie Lissowczycy ukazali się pod Wiaźmą.

Pierwsze kroki nie były obiecujące.

Na zjazdach pod Smoleńskiem odżyły gwałtowniej niż kiedykolwiek, jak się tego zresztą spodziewać należało, wszystkie zarzuty, żale i spory z powodu Samozwańców i pamiętnej kampanii Zygmunta III, najrozmaiciej tłómaczone i nieraz też i naciągane; wybuchły gwałtowne sprzeczki,—bo i po części w układach brali udział główni działacze z owej burzliwej epoki,—wzajemne obrzucanie się winami z przytoczeniem wszelkich możliwych argumentów.

Do tego obie strony przygotowane były. I tak np., posłowie carscy mieli na przypadek, gdyby panowie twierdzili, iż król nie chciał brać Moskwy dla siebie ale dla syna swego (wiemy, że Zygmunt dążył przedewszystkiem do tego, aby sam objął rządy) wydobyć dowody piśmienne, pokazać listy królewskie, pisane z pod Smoleńska do kn. Iwana Kurakina, Michała Sołtykowa i Andronowa.

Nie trzeba sądzić, aby tylko z polskimi i litewskimi posłami zjazdy były tak burzliwe. W tymże samym czasie toczyły się kłótnie wstępne układy bojarów do pokoju z Gustawem Adolfem, z powodu anektowanego przez niego kawałka kraju. Podobne zupełnie kłótnie o tytuły, o krzywdy z epoki Łże-Dymitra. Szwedzi pisali cara Michała tylko wielkim kniaziem, odmawiali mu tytułu „inflanckiego” i „nowogrodzkiego”, pisali do dumy: „Uwiadamiamy was, żeście pełni dawnej pychy i nie pomyśleliście, jaki nasz król rodem wobec waszego w. kniazia; nasz król jest prawdziwym królewskim synem, a wasz w. kniaz nie carski syn i nie następca państwa. Zaraz po śmierci Fiedora nie osiadł on na tronie, a po śmierci Dymitra obraliście Wasyla Szujskiego, później znowu królewicza polskiego!...” Na to ruscy odpowiedzieli, przytaczając przykłady z świętej i rzymskiej historii, „że Bóg wybierał sławnych monarchów nie z królewskiego korzenia, że za wielkiego cara cześć stać i mścić się będą, nie tak jak w Szwecyi, gdzie połowa sprzyja królowi waszemu, a połowa druga królowi polskiemu, inni znowu arcyksięciu Janowi. I wy także niestosowne złodziejskie słowa porzućcie!...”

Jest prawdopodobieństwo, iż polscy komisarze dlatego tylko demonstracyjnie upierali się przy prawach Władysława, aby wytargować

korzystny układ, i to stałym pokojem, nie zaś rozejmem. Chodziło więc o to, jakie odszkodowanie uzyska królewicz za zrzeczenie się praw swoich, opierających się na *dyplomie* elekcji, znajdującym się w Warszawie, doręczonym w swoim czasie Żółkiewskiemu, dowodzie piśmieniem, formalnym i co do autentyczności swojej niezaprzeczonym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

A. DAROWSKI.

SIOSTRY.¹⁾

Zygmunt po wyjściu dwóch pań chodził długo po dużym salonie. W spokojnym domu panowała zupełna cisza, tylko zawodzenie i świst wiatru, dochodzące do uszu, jakby odgłos dalekich jakichś rospaczy i bólów. Wsłuchiwał się przez chwilę w tę dziką muzykę, myśląc, że od szalu natury można uciec, schronić się wśród ścian ciepłego domu... tylko od szalu własnego serca nikt uciec nie może.

Miał ją więc, tę wielką miłość, do której wzdychał i o której wątpił, by mógł jej zaznać kiedy w życiu. Przypominał sobie, że pragnął jej, choćby ją okupił przyszło wielkiem cierpieniem. W złą godzinę wyraził to życzenie. Miał ją, tę miłość; szalała w jego sercu. Wypiełgnował ją powoli, nazywając ją przyjaźnią, wmawiając sobie spokojne i bezinteresowne myśli, usypiając czujność sumienia, aż nareszcie przerosła w nim wszystko: i uczucia, i dążenia, i cele, i oto był jej narzędziem, zabawką w jej ręku, bo dla niej tylko żyć pragnął, jej chciał się oddać cały, o wszystkim innem zapominając.

Do salonu zajrzała jego matka. Ulegała ona strachom ludzi starych, cierpiących na bezsenność. Często wśród nocy chodziła po domu ze świecą w ręku. Jej widok przypominał mu, że powinien był spać się położyć.

¹⁾ Patrz zeszyt za m. marzec „Biblioteki.“

- Jeszcze nie śpisz, moje dziecko?
- Taką miałem głowę, pełną myśli...
- Czy masz jaki kłopot nowy?
- Nie... tylko taką moc interesów... ale już idę do siebie.

Poszedł do sypialnego pokoju i machinalnie począł się rozbierać. Poślanie jego było przygotowane; obok bliźniacze łóżko, przykryte, jak bywało we dnie. Po raz pierwszy to symboliczne i wymowne zbliżenie milczących sprzętów szarpało jego pierś buntowniczym pesymizmem:

— Co za fałsz leży w samej zasadzie ustawy, która czyni człowiekowi obowiązek z tego, co może i powinno być tylko porywem, zapalem! Stawiają obok siebie dwa takie łóża, by cię raziły, jeżeli kochasz, rzucaniem ludziom w oczy twoich najdroższych, najtajniejszych rokoszy... by były gorzką ironią, beczelnem kłamstwem, pomnikiem, przypominającym ci twoje wstręty, jeżeli nie kochasz... Jeśli zaś jesteś tylko obojętny, są najlepszym sposobem zamienienia twojej obojętności w nienawiść! Ha, jak to dobrze, że jej tu niema, tej, której głowa spoczywała na tej poduszce! Dobrze, że jest daleko! Może-by w tej chwili mówiła, gdy on potrzebuje milczenia. Przecież każdemu powinno być wolno milczeć wtedy przynajmniej, gdy jest we własnym pokoju. On ma takie małe pragnienia, tak niczego nie chce... zadowolni się tylko radością oczu, patrzących na ukochaną, ale niech choć we własnej sypialni ma samotność, niech ma swobodę, niech ma prawo słuchać tylko tego, co mu mówi własne jego serce!

Potem nagle zdjął go strach. Przypomniał sobie chwilę, kiedy do tej sypialni, urządzonej tak, jak dziś, wszedł po raz pierwszy, w wigilię ślubu, w chwili wyjazdu na ów ślub. Jakie on przyrzeczenia czynił sobie wtedy! Jak sobie obiecywał zadosyćuczynić w życiu wszystkiemu temu, co wyraz rodzina mieści w sobie pojęć wierności, surowości, przykładności, a zarazem miłości, czystych rokoszy i świętej zgody! Czy teraz, wraz ze śmiercią uczucia, nie zanikły w nim i pojęcia same? Jakież on życiem własnem dawał im świadectwo? Psuł do reszty zepsutą przez próżność żonę, pozwalał jej na oddalenie się od dziecka... Sam wszystkie swoje myśli, wszystkie uczucia niósł innej kobiecie i nie rozumiał przyszłości bez niej...

— Józiu — rzekł nazajutrz, siedząc o brzasku przy stole z kasyerką, która wstała rano, by na swoim stanowisku znaleźć się o zwykłej godzinie, i dla której sanki zaprzężone stały już przed domem, — Józiu, czyś kiedy rozmyślała nad smutnym losem takiego człowieka, którego czyny są gorsze, niż jego dusza?

Józefa przy tych słowach doznała tego lekkiego, nieokreślonego dreszczu sympatii, tego chwilowego wzruszenia, które ogarnia bez widocznego powodu, a które czasem jedno spojrzenie, jeden ton wzruszony

głosu rzuca w nasze łono. Czyżby ten człowiek z oczami powiększonymi i podkrojonemi przez bezsensuść miał do wyrzucenia sobie jakiś postępek naganny?

Śpieszyła się i jeszcze pośpiech udawała, żeby przerwać rozmowę i nie pozwolić Zygmuntowi na wypowiedzenie myśli, wyglądających z jego zrenic.

Gdy mu podawała rękę na pożegnanie, rzekł jej wzruszony:

— Dziękuję ci, Józiu. Tobie jestem winien, że danem mi jest czasem odetchnąć atmosferą rodziny... życia, zacieśnionego w małe, serdeczne kółko... powietrzem tej rokosznej, pracowitej jednostajności, która napęla mnie zawsze cichem, niezrównanem zadowoleniem. Żeby nie ty, był-bym tego pozbawiony!

Józefa wyjęła nagle rękę z jego dłoni.

— Nie mów mi rzeczy, w których jest fałsz!—zawołała.—Wmawiasz sobie to, co nie istnieje!

— Nic sobie nie wmawiam i powiedziałem ci prawdę.

— Lubisz Zarębie, lubisz swoje kąty... ciszę wiejską... masz tu matkę, syna... a ja...

— Ty pielęgnujesz moją matkę, dbasz o jej zdrowie, przyrządzasz jej lekarstwa... ty moje dziecko nosisz i kąpiesz, ty mi je podajesz, gdy rączki ku mnie wyciąga... ty jesteś wdziękiem, uśmiechem, młodością tego domu... ty jesteś w tym domu kobietą!

Znowu ją od dźwięku jego głosu, od jego spojrzenia, przejął wczorajszy przestach i zawrót głowy. Pomyślała z niepokojem, że trzeba jej było być przytomną, nie okazać zmieszania i broń Boże nie wpaść w ton tragiczny. Co-by to była za śmieszność, gdyby ona wystąpiła w tej chwili z morałem. W uczuciach Zygmunta był tylko żal do żony, gorzyc tego pożycia bez wspólnych celów i upodobań. Z tego cierpienia wyrastało smutne zaznaczenie, że ona, Józefa, była owym ko-biecy'm duchem, bez którego nie istnieje rodzina.

— Biedny, ubogi dom, gdzie wdziękiem i młodością jest taka stara kobieta, jak ja!—rzekła, śmiejąc się trochę nienaturalnie.—Całe szczęście, że domowi temu trafia się to tylko przygodnie... że ja tu tylko reprezentuję chwilowo to, co jest rzeczywiście młodością, pięknnością, wesołością i powabem!

— Złą masz sprawę, Józiu—zawołał Zygmunt z ganku, po którego stopniach biegła Józefa, nie przyjąwszy pomocy jego ramienia.—Złą masz sprawę, bo się niezręcznie bronisz!

— Jakto?—zapytała, siedząc już w sankach.

— O starości mówią zwykle kobiety, które pragną zaprzeczenia...

Ah, jak to dobrze, że sanki suną się tak prędko, że rozkopano śnieg przed domem! Mogła nie odpowiedzieć Zygmuntowi i nie dostu-

chać nawet tego, co mówił. Mogła pędzić rączmi końmi i wsunąć twarz w futro podniesionego kołnierzyka i uciekać! W głowie czuła istny zawrót, jakieś oszołomienie, z którego żadna myśl jasna wystrzelić nie chciała. Przed oczami jej przelatywały to uśmiech, to spojrzenie Zygmunta... Jaki on teraz bywał dziwny... Coś się w tym człowieku działo, czego ona się bała. On był nieszczęśliwy. Czy takim czyniła go zazdrość o Manię?

Józefa zadrżała całym ciałem, gdy przez głowę przebiegła jej myśl, że nieszczęściem Zygmunta mogła być nowa miłość... miłość dla niej. Myśl tę osądziła surowo. Każdy człowiek jest takim zarozumiałcem, tak widzącym w każdej sprawie życiowej siebie przede wszystkim...

Poczęła szydzić sama z siebie. Znała życie, a była, jak owe przedwcześnie zepsute pensyonarki, upatrujące w każdym spojrzeniu wyznania miłosnego. Dobrze, że była przecie jakaś krytyka na takie wybryki imaginacyi... że rozsądek mógł je zepchnąć na miejsce, które im się należało.

Zabrała się gorączkowo do czekającej na nią pracy. Dodawała cyfry, porządkowała kwity, załatwiała potrzeby interesantów, ale w głębi czuła niepokój. Chwilami nie zeznawała nawet przed sobą jego powodu i odczuwała go, jako ucisk fizyczny, jakby strach, jeżący włosy na głowie i podniecający bicie serca.

Po zajęciach dnia usiłowała wieczór spędzić jak zwykle. Na stole jej leżały pisma i dzienniki, ale czytać nie mogła. Ulegała ciągle niepokojowi bez nazwy i jakby bez powodu, który z jej myśli przeszedł w ciało i zmuszał ją do krążenia tam i napowrót w małym mieszkanku. Uznała w końcu, że niepokój ów był czysto nerwowy, chorobliwy. Gdyby miała w domu krople laurowe, wszystko uciszyło-by się w niej i ukoilo. Całe to wielkie podniecenie moralne miało może swoje źródło w jednej kropelce zbyt cennej krwi w mózgu lub w natężeniu albo skurczeniu się nieprawidłowem jakiegoś nerwu. Dowód, że przyczyna była czysto fizyczna, leżał w niemożności zapanowania nad nią, pomimo największego wysiłku woli. Żeby tylko już doczekać do chwili spoczynku... snem ukoić uczucie trwogi i niepokoj... Pan Bóg dał ludziom sen, błogosławiony sen, który im zdejmuję z serca ich troski... zabiera im ich nienawiści, żale, pogardy, szalone nadzieje..

Zmęczona chodzeniem i pracą dzienną, usnęła, położywszy się, ale niepokój czuwał w niej widocznie i na swoją rękę, głucho, w ciszy żył i pracował! Obudził ją wreszcie wśród nocy całą drżącą. Otworzyła szeroko oczy, szukając gorączkowo w swej pamięci przyczyny owej trwogi, która jej piersi uciskała. Znalazła ją wreszcie we własnym sercu, zaczajoną jak dzikie zwierzę, gotowe do skoku. Noc,

wspólniczka wszystkich tajemnych bólów, wszystkich skrytych trosk i rokosznych marzeń, stanęła na straży, nie dając do Józefy przystępu rozsądnym i spokojnym myślom. Ironia i szyderstwo z samej siebie, pod którymi młoda kobieta ukrywała zwykle rozrzewnienie lub żywiej wybuchnąć pragnące uczucie, tym razem ją zawiodły. Wśród ciemności, przytulona do poduszki, rozmarzona snem, z trochę gorączki w ciepłym posłaniu, nie zdołała oprzeć się myśli, że serce Zygmunta mogło do niej należeć. Przy tej myśli, zamiast wczorajszego strachu, ogarnęło ją rozrzewnienie i szczęście bez granic. Poczuli się młoda, powołaną do nowego życia, jak roślina przy pierwszym tchnieniu wracającej wiosny. Nie myślała wcale ani o przyszłości, ani o tem wszystkim, co ją od Zygmunta dzieliło, ani o konieczności wytknięcia sobie planu postępowania. Marzyła, jak młoda dziewczica, z porywem bezmiernym ku miłości, zasłaniającym jej wszelkie względy i znoszącym na raz tamy rozsądku. Jej przeszłość, jako żony Oskara, jej macierzyńskie przywiązanie do Mani, jej gorące religijne uczucia, wszystko to znikło jej z oczu. Z bijącym sercem, z zamkniętymi powiekami, z głową pałającą, nie zdająca sobie sprawy ani z tego, gdzie jest, ani jakie jutro z marzenia ją zbudzi, wybiegała pragnieniem ku szczęściu, ku nowemu życiu, ku słońcu, jakim jest miłość dla każdego istnienia. Zygmunta ją kochał! Ten człowiek, którego przyjaźń była rzuconą jej pod nogi deską zbawienia, który przywiązaniem swem stwarzał wkoło niej prawie rodzinę, który jej, zniechęconej, dał pracę i odwagę do życia, ten człowiek ją kochał!... dawał jej nie część, lecz całego siebie... nie odłamki myśli i porywów, ale wszystko. co miał uczucia w sercu, co miał marzeń w głowie, co miał nadziei w duszy!

Do brzasku leżała nieruchoma, z ciałem, otulonem w tkaniny posłania, z wyobraźnią, spowitą w marzenie, jak w obłok, zasłaniający rzeczywistość, z sercem szalonem, którego burza rozsadzała jej piersi.

Gdy świt zajrzał jej w oczy, wytrzeźwiła się nagle. Wyskoczyła z łóżka, czując, że trzeba jej było uciekać przed sobą samą, przed własnym szaleństwem. Co to była za godzina grzesznego marzenia, które ją nagle porwało, jak wiatr porywa liść na jesieni, i kołysało ją do złudnych nadziei, do tak wyraźnego przeczucia szczęścia, jakby potrzebowała tylko wyciągnąć po to szczęście rękę, by je pojąć i nazwać swoim na zawsze.

Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, nad którym wisiał obraz Najświętszej Panny, dar matki, gdy Józefa miała lat dziesięć, który od tego czasu czuwał zawsze nad jej snem. Ukryła twarz w dłoniach. Czuła się niegodną spojrzenia w święte oblicze. Wystawiła je sobie zagniewaniem, jakim bywało w jej wyobraźni, gdy w dzieciństwie zasłużyła na naganę. Po raz pierwszy zapłakała przed nim łzami wstydu

i upokorzenia. Nieraz, gdy bywała zimną, twardą, nieprzystępną i pogardliwą dla Oskara, tłumaczyła się z tego przed Matką Boską, jakby się tłumaczyła przed matką rodzoną. Czuła, że źle spełniała obowiązki żony, ale to uczucie winy miało swoją dumę. Była winną, jakby pomimo woli. Przymuszając się do udawania miłości dla męża, była-by się ponizła we własnych oczach. Dziś nie miała wymówki żadnej. Nie walczyła nawet z grzesznym marzeniem. Przywoływała ku sobie pragnieniem i porywem serca męża swej siostry, jako kochanka! Upojona, w zapomnieniu o najświętszych obowiązkach, oddawała się rojeniom o szczęściu, nie pamiętając, że należało ono do innej, do siostry, którą opiekować się przyrzekła matce, leżącej na łożu śmiertelnem! O Boże, jak się to mogło stać, by duszę uczciwej kobiety ogarniały takie grzeszne pragnienia, by siostrze zachciewało się choćby na chwilę obedrzeć siostrę z jej dobra!

Wstała z klęczek z wyrazem dumy i silnego postanowienia we wzroku i na czole. Zajęciaienne czekały na nią, trzeba było ubrać się i uczesać śpiesznie.

O zwykłej godzinie otworzyła pokój kasowy i zasiadła przy biurze, rozkładając przed sobą rachunki. Nic wszakże nie pomogła zewnętrzna czynność i wytrwałe zajęcie się robotą. Wczorajszy strach trzymał jej nerwy w ciągłym napięciu i, jak luna, oznajmująca z dala o pożarze, dowodził, że myśl, która sobie na własność wzięła jej duszę, czuła się panią i władczynią tej duszy, pracując na własną rękę w jej tajnikach.

Strach i niepokój, na przemiany z chwilowem, poskramianem śpiesznie, lecz bez miary silnem uczuciem szczęścia i jakby odradzania się wewnętrznego, miotaly Józefą bez przestanku. Czyniła tysiące przypuszczeń, tysiące postanowień, szydziła z siebie, chcąc się sobie samej wydać śmieszna i wmówić sobie, że jedynie zarozumiałość i chorobliwa nerwowość mogły w jej umysł rzucić myśl o miłości Zygmunta.

Cały tydzień z trwogą i rokoszą myślała o odwiedzinach szwagra. W sobotę już prawie panować nad sobą nie mogła. Siedzenie przy biurze stało jej się niepodobnem. Niepokój jej wzrósł do tego stopnia, w którym udziela się on i ciału, nie mogącemu znieść spoczynku. Godziny wydawały jej się nieznośnie długie. Doczekała się jednak nareszcie chwili, w której bijący zegar uwolnił ją od zajęcia obowiązkowego. Niecierpliwą ręką zamknęła kasę i poszła do mieszkania swego, którego ciszę tak lubiła dotąd. Dnia tego wszakże cichem nie było. Znalazła w niem ten sam niepokój, ten sam gorączkowy rozstrój, który ją prześladował wśród zajęć dziennych i rozmowy z interesantami.

Miała jeszcze kilka godzin oczekiwania. Chodziła niecierpliwie tam i napowrót, żartując z siebie w duchu, że wyglądała na skazanego

na śmierć, który oblicza godziny i minuty, dzielące go jeszcze od spełnienia wyroku. Ruszała ramionami, widząc siebie biegnącą po małym mieszkaniu i przypomniawszy sobie jakieś zwierzę, które w dzieciństwie pokazywano jej w menażeryi, chodzące tak bez przestanku z jednego końca klatki w drugi, zawsze tym samym tropem, zawsze zawiedzione w nadziei, zawsze z wyrazem chmurnej zadumy i rozpacz w dzikim wzroku.

Wreszcie nawpół przytomna, rozgorączkowana, usiadła przed toaletą. Zapaliła świece. Nie żadne przemyśliwanie, lecz instynkt przyprowadził ją do lustra. Potrzebowała być ładną, ujrzeć się ładną i powabną. Rozpuściła włosy, ułożyła je inaczej, niż zwykle, tak, jak jej było najbardziej do twarzy, zmieniła kołnierzyk, poprawiła pasek... Uśmiechnęła się do siebie, gdyż uznała, że doprawdy była ładną, bardzo ładną... Potem nagle zapłonęła rumieńcem wstydu i upokorzenia. Co ona tu robiła przed tem lustrem? Dlaczego przeczesowała włosy? Co to miało znaczyć? Ah, tak, ona chciała podobać się szwagrowi! chciała zawrócić mu głowę! Mizdrzyła się do siebie samej, jak nędzna kokietka, czująca blizką zdobycz! O, to już nie była śmieszność, to była podłość! Miała niby pragnienia szlachetne, nieraz marzyła o poświęceniu się zupełnem ubogim i nieszczęśliwym, nieraz mówiła sobie, że gotowa życiem własnem okupić szczęście Zygmunta, a teraz chciała zabrać mu spokój, czyste sumienie!

Prędko, ze wstydem, upokorzona do głębi duszy, przeczesowała włosy na nowo, nie patrząc w lustro, śpiesząc się, w obawie, by jej nie ujrzała służąca. Ręce, upinające warkocz, trzęsły się, jak w febrze, nakoniec skończyła i padła na krzesło zmęczona, wyczerpana, nie mająca siły ani na radość, ani na cierpienie, w jednej z tych chwil, w których nawet myśl—ta niezmordowana pracowniczka, odpoczywa senna, zdrętwiała, z obwisłemi od zbyt męczącego lotu skrzydłami.

Niepokój objął ją na nowo dopiero, gdy się poczęła zbliżać godzina przyjazdu Zygmunta. Rozpaliła ogień na kominku, zasypała herbatę. Noc była pogodna, sanna doskonała, powinien był już tu być. Nie przybywał, a ją objęła gorączka oczekiwania, skupiająca wszystkie jej siły w jednym tylko słuchu, wyteżonym i napiętym, niby struna, pękając lada chwila mogąca, otwartym na najłżejszy hałas, który urastał dla niej na łoskot wstrząsający, jak grzmot lub huk wystrzału.

Wreszcie rozległ się dzwonek u drzwi. Serce jej zabiło aż do zaparcia w niej oddechu. Ruszyć się z miejsca nie mogła. Dzwoniącemu otworzyła służąca. Był to posłaniec z telegramem. Zygmunt oznajmiał, że nie mógł tym razem przyjechać; zatrzymywał go w Warszawie interes ważny.

Józefa doznała uczucia wielkiego zawodu, a jednocześnie prawie zadowolenia. A nużby Zygmunt dostrzegł jej zmieszanie, jej niepokój... Wołała, by przyjechał innego dnia. Przez ten czas ona uspokoi się, namyśli, przestanie być w sprzeczności sama z sobą.

W parę dni potem zaczął się dla niej czas śmiertelnego niepokoju i zgryzoty. Jeden z urzędników cukrowni, jeżdżący zwykle po pieniądze do Warszawy, przywiózł wiadomość, że Bielmoński chory był ciężko na tyfus. Zaziębił się podczas zadymki i zaraz, wróciwszy do Warszawy, zaniemógł. Leczyli go pierwsi lekarze Warszawy, małą mając nadzieję uratowania go.

Matka jego, na pierwszą wieść o chorobie syna, podążyła do Warszawy, zostawiając Jasia i dom cały pod opieką Józefy, która co rano przyjeżdżała do Obrowca, a około drugiej po południu wracała do Zarebia. Jaś ząbkował, mamka była ospała, bony dziecię nie lubiło, Józefa więc całymi godzinami w nocy je nosiła.

Przeżyła straszne chwile, przechodząc od nadziei do rozpacz, wyczekując wieści, jak zbawienia, modląc się i żebrząc u nieba litości, ofiarując swoje życie, wszystkie chwile pomyślności, jakie ją jeszcze czekać mogły, w zamian za zdrowie ukochanego. Teraz bowiem wiedziała, że go kocha. To już nie była obawa wzbudzenia miłości, ani szczęście z jej zdobycia; ból i rozpacz wydobyły z serca Józefy świadomość uczucia. Kochała Zygmunta i miłość jej przynosiła mu chorobę, może śmierć, której zarody znalazł, pędząc ku Obrowcowi, pomimo mroźnej zadymki. Kochała go i była skazaną na wyczekiwanie z godziny na godzinę wieści o nim, nie mając prawa zająć miejsca przy jego łóżku. O, przekleństwo miłości zakazanej! Nie mogła biedz ku niemu, choć była-by poszła piechotą, boso, po kamieniach, dziękując Bogu, że jej iść ku niemu pozwolił, a może nie czując zmęczenia i bólu poranionych nóg. Była pewną, że go tam nikt tak pielęgnować nie umiał, jak by to była ona uczyniła. Ona-by mu umrzeć nie pozwoliła!

Gdyby nie kochała Zygmunta i jego miłości dla siebie się nie domyślała, była-by może uprosiła panią Wierzewską, by została przy dziecku, dyrektora, by objął kasę na dni kilka, i była-by podążyła na pomoc Mani; ale teraz, z grzesznem uczuciem w sercu, nie mogła stać między siostrą a jej mężem.

Jednej nocy dziecię w gorączce, na rękę Józefy, wśród płaczu, zawołało *tata*. Był to wykrzyk bardzo zwykły, nie przedstawiający nic dziwnego, gdyż tę sylabę Jaś wymawiać zaczął pierwszą, ale rozbijała wyobraźnię Józefy uderzył on jakimś niewytłómaczonym złem przeczuciem. Wystawiła sobie, że Zygmunt konał w tej chwili, a dziecię czuło grożące mu sieroctwo w swej duszy niewinnego anioła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zaledwie zdołała położyć Jasia

w łódeczku. Nawpół żywa, padła na kolana z jękiem najwyższej boleści.

Potem przyszła radość bezmierna na wiadomość o polepszeniu, o zapewnieniu lekarzy, że Zygmunt żyć będzie. Dopiero wtedy poczuła się zmęczoną i potrzebującą wypoczynku. Wszystkie niedospane noce, wszystkie niepokoje i rozpaczę zostawiły ślad swego przejścia w wielkim upadku sił. Zdawało jej się, że wstawała i ona także z ciężkiej choroby, po której nieprędko mogła przyjść do siebie.

Zygmunt niezmiernie powoli wracał do zdrowia. Przebył jeden z tych tyfusów, które na długi czas podkopują organizm. Nie wątpiono już o jego życiu, a jednak stolik w jego pokoju nie przestawał być zastawiony flaszkami z lekarstwem. Dzień jego był podzielony na godzinne przerwy, w których podawano mu rozmaite środki. Osłabienie jego dochodziło do zupełnej bezwładności. Udzielało się też ono i myśli, niezdolnej do silniejszego natężenia.

Opiekunką jego w chorobie była prawie wyłącznie matka. Mania bała się nerwowo zbliżenia się do męża i zarażenia się tyfusem. Kilka razy na dzień wchodziła do jego pokoju, wyprawiana zawsze co prędzej przez matkę, widzącą jej trwogę, a mającą też zazdrośne pragnienie opiekowania się synem bez podziału.

Z powracającymi siłami chorego wracała też żądza zobaczenia Józefy. Przemyślał nad sposobami sprowadzenia jej do Warszawy.

— Taka jesteś zmęczona, mamó—ozwał się raz do matki—w dzień ciągle na nogach, w nocy wstajesz dla podawania mi lekarstwa, trzeba ci wypoczynku... Wiesz, co wymyśliłem? Oto ty, mamó, wrócisz do Zarębia... Napişemy do Józi, ona taka dobra... przyjedzie cię zastąpić... teraz już nie leżę w łóżku... ubierają mię, mogę się Józi pokazać...

Matka opisała Józefie to wystąpienie Zygmunta:

„Jaki z niego syn dobry, moja droga! Chciał aż ciebie uprosić, byś przyjechała zastąpić mię przy nim, byłem wypoczęła, byłem się nie trudziła. Ale ja nie ustąpiłam. Nie mogła-bym zaznać ani chwili spokoju zdala od niego. Wytlómaczyłam mu, że Jaś ma z ciebie doskonałą opiekunkę, ale on sam pod moją tylko opieką być może, bo ja nie mogła-bym żyć w Zarębiu, wiedząc, że on chory.“

Józefa, czytając ten list, doznała mimowolnego uczucia radości na myśl, że Zygmunt chciał ją mieć przy sobie. Potem uśmiechnęła się z naiwności matki, nie rozumiejącej nic a nic, o co jej synowi chodziło; wreszcie z głęboką goryczą rzekła sobie:

— Matka nie mogła-by żyć w Zarębiu, gdy on chory w Warszawie! Ja przecie żyć zdala od niego nie mogę, a żyć muszę! Bóg przeklął takie miłości, jak moja. Przeklął je, skoro nawet na ratunek ukochanego biedz się nie ma prawa!

Zygmunt żył myślą wyjazdu do Zarębia. Codziennie pytał lekarza, kiedy mu nareszcie Warszawę opuścić pozwoli.

— Ja czuję, że dopiero w Zarębiu do sił przyjść mogę—powtarzał.

Ale poczynająca się wiosna była bardzo zimna; chory po komplikacji zapalenia płuc kaszlał, i z tej strony szczególnie bano się o jego zdrowie. Wyjazd oznaczono na koniec kwietnia, spodziewając się w tej porze ciepła i pogody.

Tymczasem Mania, która po otrzymaniu nadziei wyzdrowienia męża miała dla niego krótką epokę troskliwości, powoli oswoiła się z jego stanem i wróciła do swoich zabaw, zebrań, rautów i kart. Miała usprawiedliwienie w tem, że nikt nad chorym lepiej czuwać nie mógł, jak matka. Nauczyła się tego światowego, roztkliwionego tonu, z którym, gdy wchodziła w towarzystwo, mówiła o zdrowiu swego męża:

— Jest, dzięki Bogu, lepiej... o, ciągle lepiej, codzień jest postęp. Tak lubi, żebym się bawiła, że mię koniecznie wyprowia... drażni go to gdy mu się opieram.

W mowie Mani tylko roztkliwiony ton był fałszem. Zygmunt w istocie wyprowiał ją od siebie. Miał względem niej chorobliwą niecierpliwość. Czuł w każdym jej postępku, w każdym odezwaniu się brak serca i bezgraniczne samolubstwo, z którym się nawet nie tała. Tak ono tkwiło w jej krwi, że odejmowało jej nawet kobiecą umiejętność obchodzenia się z chorymi. Drażniła niem męża do tego stopnia, że, osłabiony i bezsilny, nawet nad sobą panować nie umiał. Pewnego dnia posunął nietaktowność do tego stopnia, że z lekarzem, lubiącym moralizować, filozofować i ze spostrzeżeń swych wyprowadzać ogólniki, wdał się w namiętną rozmowę o młodem pokoleniu kobiecem. Lekarz był niemłody i miał synową, której nie cierpiał, gdyż to była zdenerwowana i zalotna próżniaczka, spędzająca czas albo na konnej jeździe, podróżach i tańcu, albo w łóżku, niezdolna ręką poruszyć aż do chwili, w której ją, uzdrowioną nagle i doskonale wyglądającą, pociągnęła ku sobie nowa zabawa, lub nowy projekt.

— Ja ich nie mogę zrozumieć — mówił lekarz z bezwzględnością starych ludzi dla młodego pokolenia. — Co one cenią, co one szanują? Żadnych zasad, panie, żadnych zasad! Bez religii! Czy pan rozumie kobietę bez religii? Tylko przeuczone niestrawnie! Wszystkie siły żywotne przeszły w mózg, w nerwy! Uczucie nie rozwinięte wcale! Boją się zostać matkami... wygodą i zachcianki są im wszystkim w życiu... no i kokieteria, która je bawi i daje podniecie ich nerwom! Panie

drogi, bywały różne idee, mające pokup i mir wśród towarzystwa. Był czas, gdy ceniono dowcip, dar rozmowy, rozum... Podobno między panią de Staël a Benjaminem Constant prowadziły się tak żywe dyskusye, że pewnego dnia jadących powozem zaskoczyła straszna burza, a oni nie wiedzieli wcale o tem, że byli do nitki zmoczeni... Tym ludziom chodziło o coś, coś ich entuzjazmowało, unosiło. Potem były zapoznane dusze, bajronistki przeczulone, przetkliwe... te czuły rzeczywistość, pomimo niesmacznej pozy; wreszcie przyszły reformatorki, emancypancki, dumne najezdzcynie, chcące dorównać mężczyznom... A teraz, panie, ja tych kobiet nie rozumiem! Czego one pragną? Jakże myśli rządzą tym młodym światem?

— Nie mają serca! — rzekł Zygmunt przyciszonym od niewytłomaczonego wzruszenia głosem, — nie mają duszy. Kochają tylko własne ciało, a więc używanie, bogactwo, zbytek, strój... ramy do arcydzieła, za jakie się mają. Pan ich nie rozumie, a ja je rozumiem. Są może uczone, ale przytem nierozwinięte. Nauka jest w ich umyśle tylko pasorzytem, nie rośliną, żyjącą własnymi sokami... nie zapuściła głębokich korzeni i nie wytworzyła przekonań. To są istoty, nie posiadające uczucia odpowiedzialności za własne czyny, istoty bezświadome, w których wiedza zjadła wszystko, co było uczuciem, a nie obudziła niczego do życia. Zimne, bezduszne, nie zdolne do żadnego poświęcenia, nie mają w sobie nic kobiecego, prócz żądz podobania się!

Mówił z takim wzruszeniem, że aż tchu mu brakło. Lekarz spojrział na niego zdziwiony. Rozpoczął był rozmowę niezawodnie bardzo żywotną, ale ani przypuszczał, by osłabionego i rozdrażnionego rekonwalescenta przyprowadzić ona mogła o takie wzruszenie i utratę równowagi.

— No, przecie nie wszystkie są takie — rzekł pojednawczo.

Ale Zygmunt był podniecony do najwyższego stopnia i nie chciał ustąpić.

— Nietylko kapłankami domowego ogniska być nie umięją — mówił świszczącym głosem, — ale nie są zdolne nawet kochać po zwierzęcemu... być kochankami, w najniższem tego słowa znaczeniu... kochają dwa tygodnie, a potem z małżeństwa biorą tylko prawo noszenia kit i gwiazd brylantowych, piór na głowie, długich trenów, ciężkich materii... chodzenia i jeżdżenia bez opieki... mówienia i słuchania dwuznaczników... kokietowania, bez narażenia się na odpowiedzialność... zabierania bezkarnie młodzieży męskiej...

Zygmunt się zakaszłał. Lekarz podał mu krople uspakajające. Żegnał się pośpiesznie z pacjentem, żeby usunąć mu z przed oczu słuchacza. Wychodząc z pokoju, stary praktyk wyrzucał sobie nietaktowność; ale któż mógł wiedzieć, że przy uderzeniu w stół, nożyce odezwą się tak głośno?

Zygmunt oddychał ciężko, zmęczoną głowę oparł o poręcz fotelu, przeciągnął ręką po czole. Czuł, że popełnił krok fałszywy, wyszedł ze spokoju, nie zapanował nad sobą i niepotrzebnie odkrył lekarzowi swoje serdeczne rany.

W tej właśnie epoce Mania uczuła się u szczytu tryumfów. Edzio przyjechał do Warszawy, z żoną. Po obrzędzie ślubnym, odbytym w majątku rodziców panny, młoda para przebyła kilka tygodni za granicą i w powrocie na Podole ugrzęzła w Warszawie, gdzie stało na jej rozkazy mieszkanie rodziców. Edzio zaczął chodzić tropem Mani. Bywał teraz u niej często w godzinach przedobiednich, a chciwe płotek umysły poczęły przewidywać dramatyczne zakończenie, gdyż młoda żona, choć zręcznie oszukiwana, mogła łatwo wpaść na ślad prawdy.

Mania bynajmniej o dramacie nie myślała. Próżność jej czuła się zadowoloną i mała jej główka podnosiła się z dumą, gdy spostrzegła zbliżającego się Edzia. Był to u niej dziwny i zupełny stan bezświadomości. Nie powiedziała sobie i nie odczuwała wcale, że miała obowiązki, że była żoną i matką. Szła z zupełną naiwnością za upodobaniem i próżnością swoją. Nie zeznawała wcale przed sobą, że wstępowała na śliską drogę. To, co ją bawiło, było dla niej prawem. Użyskawszy na nowo uczucia Edzia, zdobywszy jego wyznania i wyraźne hołdy, poczuła się dla niego zimną. Marzenie o nim prysło, niejasne tęsknoty rozwiały się. Chciała go odebrać brzydkiej marszałkównie, chciała mieć w nim bacznego na każde jej spojrzenie wielbiciela, chciała tego wytrawnego znawcę piękności i toalet kobiecych przykuć do siebie, jako dowód swego pierwszeństwa we wszystkim, co było wdziękiem i szykiem. Otrzymała to, czego pragnęła, i bawiła się teraz ze swym rycerzem w różne wymysły zalotności: małpującej dumę, obojętność, uczucie, zmieszanie, litość, nieprzystępność, słabość, szczerość... Umiała niedomawiać słówek, dawać półprzrzeczenia, spoglądać to zimno, to zalotnie. Edzio doskonale się nadawał do roli zapалу i namiętności na zimno. I on znajdował, że przepędzanie czasu przy boku pięknej, strojnej kobiety, było bardzo przyjemne, zadowolenie próżności, wypływające z tego stosunku, bardzo wielkie. Oszukiwanie i wyprowadzanie żony w pole bawiło go też, gdyż miał upodobanie w przewrotności, do której nadarzała mu się sposobność. Z prawdziwym mistrzostwem komponował różne wybiegi, wyszukiwał preteksta, interesa, spotkania, przypadki...

Zygmunt długo ani się domyślał nowej zabawki, jaką cieszyła się żona jego. Zaczynał już chodzić o jednej tylko lasce i naznaczał sobie parę razy na dzień cel przechadzki. Z początku przechodził przez jeden pokój, potem przez dwa pokoje. Powrót do sił i do możliwości poruszania się o własnej sile napełniały go rozkoszą. Pewnego dnia ośmielił

się wstać sam, w nieobecności matki. Umyślił pójść aż do małego saloniku i potem pochwalić się, że tam był. Szedł, suwając nogami po dywanie, podpożyczając, przystając, wreszcie powoli, obezwładnioną od zmęczenia ręką, uchylił portyerę. W saloniku siedziała Mania. Obok, pochylony ku niej, Edzio zdawał się błagać. Ona śmiała się, patrząc mu zalotnie prosto w oczy.

— Ani za rok, ani za dwa—mówiła,—może za lat dwadzieścia.

— Niech będzie za lat dwadzieścia, ale tymczasem niech choć raz usłyszę słowo: kocham! Ja jestem taki nieszczęśliwy... dzień i noc myślę tylko o tobie!

Schylił się ku ręce Mani, chcąc do niej przyłożyć usta.

Stojący we drzwiach Zygmunt zaśmiał się brzydkim, gorzkim śmiechem, w którym dźwięczała pogarda człowieka i ból obrażonego męża. Śmiał się ciągle, aż wreszcie śmiech przeszedł w łkanie. Był-by upadł na ziemię, gdyby nie był nadbiegł Edzio, a potem służący. Odniesiono go nawpół żywego na posłanie.

Gdy przyszedł do siebie, odnalazł od razu niezmierną pogardę dla postępowania żony. Nędzna, mała istota, szukająca wzruszeń przy takiej nicości, jak Edzio! Potem poczuł się głęboko dotkniętym w swej męskiej dumie i honorze. Była jego żoną, a śmiała przekładać innego!

Serce jego ogarnęła gniewna twardość względem Mani. Marzył o zemście, o krwi, o jakiejś karze dla żony. Zdawało mu się, że nie dość było całego jej życia na odpokutowanie winy. Głowa jego gorzała jakimś mściwym szałem, najdziwniejsze myśli przewracały się w niej przez pół nocy. Mania śmiała przyjmować pocałunki, składane na jej ręce przez obcego człowieka! Miłość jej dla Edzia, jeżeli to była miłość, była podłością, nikczemnością, na którą nie mogło być dość pogardy w ludzkim sercu!

Dopiero po kilku godzinach przypomniał sobie własną miłość dla Józefy. Ogarnęła go nagle rzewność, której znowu nie zniósł jego nerwy. Zapłakał cicho. Leżąc z nawpół przymkniętymi powiekami, przy mdłym świetle nocnej lampki, osłabiony, rozdrażniony, z pulsującymi skrońmi, w gorączkowo rozstrojonej myśli swojej uczynił jakby zestawienie dwóch tych miłości! Jego własna wydała mu się aniołem o białych skrzydłach. Klęczał przed nią zachwycony, jakby czemś niezmiernym, wyjątkowym, czemś, co było wyższe nad ustawy moralności, nad wszelkie zasady i wszelkie dawniejsze węzły. Miłość Mani zastugiwała na pogardę i karę! Zanadto był jeszcze chory, by mógł spostrzedz nielogiczność swoich pojęć i zrozumieć niesprawiedliwość swych poglądów.

Spał długo po męczącej nocy. Obudziwszy się, kazał prosić Mani. Nie było jej w domu i dopiero w parę godzin później weszła do jego

pokoju. Mierzył ją groźnym wzrokiem, ale ona zbliżyła się spokojna i zupełnie nieświadoma burzy, którą podniosła w sercu jego. On sobie był ułożył, że się u nóg jego czołgać będzie, a ona przychodziła świeża, wyspana, z uśmiechem na ustach.

— Moja Maniu—zaczął, siląc się na spokój,—po tem, co wczoraj zaszło...

— A co zaszło, jeżeli wolno zapytać?

— Nie wiesz, co zaszło? Jakto, śmiesz jeszcze udawać, że nie wiesz! Wszak zastałem cię z Edziem...

— A, i to spowodowało ten paroksyzm spazmów?

— Tak, dostałem spazmów, bo jestem chory... Gdybym był zdrow...

— Cóż-byś był uczynił?

— Był-bym może palnął w łeb jemu i tobie!

— Boże! Z ciebie prawdziwy szaleniec! Przecie nie popełniłam żadnej zbrodni. Bawi mię Edzio, który mi swoją miłość oświadcza... i nic więcej! Mam przecie prawo rozmawiać, z kim mi się podoba? Ale ty zaraz ze wszystkiego robisz wielkie historye! Jak wtedy na majówce, na której urządziłeś mi scenę o tego biednego Zlewskiego, który Bogu ducha winien! To-by się trzeba zamknąć w klasztorze i nie przemówić nigdy słowa do żadnego mężczyzny! Wiesz przecie, że Edzio starał się o mnie. Nie poszłam za niego, bo był biedniejszy od ciebie i ty mi się więcej podobałeś. Mówi, że nie przestał mię kochać. Cóż to komu szkodzi? Mnie jego wyznania bawią... przecie w tem niema nic złego? Jest zresztą daleko lepszy dla mnie, niż ty. Ty nigdy nie widzisz, jak ja jestem ubrana, jak uczesana, czy mi do twarzy lub nie w jakiej sukni... Felcia mówi, że to tak wszyscy mężowie... Nigdy mi nie powiesz, żem ładna... Edzio mnie jedną widzi i umie ocenić moje toalety... Każdy przecie podobać się lubi. Od czegoż-by się było młodą i nie brzydszą od innych?

Zygmunt osłupiałym wzrokiem patrzył na żonę. Gniew i oburzenie dławili go, a jednocześnie ogarniał go podziw dla tej naiwności, dla tej bezświadomości, dla tego zupełnego zapoznania zwykłych pojęć. Czuł, że gdyby przemówił, wybuchnął-by znowu płaczem, lub rzucił żonę jedną z tych obelg, które potem okrywają rumieńcem wstydu czoło tego, co je wymówił.

— Zastanów się tylko—mówiła Mania,—a sam się przekonasz, że nie masz słuszności. To cię powinno cieszyć, że ja się podobam... powinno to dogadzać twojej miłości własnej... Słyszałam, że mężowie zwykle lubią, gdy ich żony są otoczone, i podobno nawet więcej je kochają wtedy. Z ciebie tylko taki zazdrośnik, którego trudno zrozumieć!

— Wyjdz, wyjdz stąd! — krzyknął Zygmunt. — Precz! Niech ja na ciebie nie patrzę, bo mię gniew zadusi!

Mania ruszyła ramionami i wyszła spokojna, jak ofiara szału, którego nie pojmowała. W pół godziny potem rozległ się turkot odjeżdżającego powozu. Mania miała dnia tego do oddania parę wizyt, na które oddawna się zbierała. Na jednej z tych wizyt spodziewała się spotkać Edzia, choć mu wcale nie była naznaczyła schadzki. Wszedł w istocie do salonu niedługo po niej. Rozmowa toczyła się o chorobie Zygmunta:

— Rozdrażnienie jego dochodzi do takiego stopnia—mówiła Mania,—że najdrobniejsza rzecz przyprawia go o gniew, a nawet o spazmy. Najzwyczajniejsza rozmowa może go tak wzruszyć, że oddechu mu brak... Najlepiej mu, gdy jest sam. Mnie nawet od siebie wypędza. Uważam, że i obecność matki go drażni, ale matce nie śmie powiedzieć, żeby sobie poszła. Może na wsi przyjdzie do siebie. Nigdy nie lubił miasta.

Edzio opowiedział, jak poprzedniego dnia był świadkiem ataku nerwowego Zygmunta.

Wyszedł razem z Manią. Gospodyni domu patrzyła na nich z tą iskierką złośliwości, która się zapala w oku ludzi, żądnych skandalu, gdy dostrzegają narodziny nowej awantury.

Mania szła przez salon obok Edzia, rozpromieniona, z wyrazem dumy. Czuła się w istocie dumną, że tego znawcę piękności kobiecej prowadziła na pasku, jak niewolnika. Powiedziała mu była wczoraj, że będzie nazajutrz oddawała wizyty, a on resztę odkrył sam i oto znajdował się obok niej, oszukawszy jakimś wykrętem swoją brzydką marszałkównę.

Mania nie mówiła sobie wcale, jak niektóre młode kobiety: „Nie czynię nic złego, więc nie mam się czego wstydzić i oszczerstwo nie ma prawa mię dotknąć,” czuła się owszem zadowoloną z tego, że *cała Warszawa* powie, że Edzio się w niej kocha, że szuka jej i znajduje wszędzie, gdzie może. Stroiła się w niego z tem smem uczuciem dumy, z jakim przypinała w wysoko spiętrzonych włosach brylantową egretę wielkiej ceny, która się była, niewiadomo jaką drogą, znalazła w kasie ogniotrwałej Piotra Bielmońskiego.

Zygmunt powoli wracał do równowagi. Wielki gniew i pragnienie zemsty przemieniły się w nim w cichą nienawiść i w uczucie bezsilności, jakiego już nieraz doznał względem Mani. Nie umiał mówić do tej kobiety. Nie było w niej nic takiego, do czego-by się mógł zwrócić: ani uczyć, ani zasad. Przebiegały mu przez głowę myśli o rozłączeniu się z nią, o rozwodzie. Nie zbliżyło-by go to do Józefy, ale był-by wolny i nie patrzył-by już na tę piękną twarz, do której teraz czuł wstręt wyraźny.

Przedewszystkiem wszakże chciał się znaleźć w Zarebiu. Zdawało mu się, że upłynęły wieki, jak nie widział Józefy, i że już ani

chwili czekać nie mógł na jej zobaczenie. Lekarz, widząc jego niepokój, musiał przybliżyć o dni parę termin wyjazdu.

— Śpieszy się pan do tej swojej wsi, jak kochanek do kochanki—mówił, ruszając ramionami.—Niech się tam pan nią nacieszy przez dwa miesiące, bo potem wyślemy pana z kraju na długo. Pojedzie pan na całe lato w góry, do Szwajcaryi, potem na zimę do Włoch.

Zygmunt doznał uspokojenia wtedy dopiero, gdy karetą, w której jechał od stacyi, zatrzymała się, a on ujrzał na najwyższym stopniu ganka Józefę, wychodzącą na jego spotkanie. Wiedziała, że musiał być zmieniony po chorobie, nie wystawiała sobie jednak, by nim był tak bardzo. Przestraszyła się jego widoku. Zapomniała o wszystkich przyrzeczeniach, które sobie uczyniła. Miała być zimna, sztywna i obojętna, wszakże litość i smutek wzięły górę w jej sercu. Oczy jej rzuciły Zygmuntowi spojrzenie, w którym malowała się cała jej boleść. Zbiegła prędko ku niemu i, nie mówiąc, pomagała mu wejść na wschody. Zygmunt, którego teraz wzruszenie ogarniało tak łatwo, i który nad niem panować nie miał siły, czuł kurczowe ściśnięcie w gardle i nie był zdolny przemówić. Milcząc, weszli oboje do mieszkania rekonwalescenta na miejsce nowego pobytu. Posadzono Zygmunta w fotelu, na którego oparciu spoczął z zamkniętymi oczami. Józefa uklękła, trzymając rękę chorego i patrząc na niego z przestachem. Długą chwilę trwała ta niemoc, którą obecni brali za zmęczenie, a która była przedewszystkiem wzruszeniem. Józefa przyłgnęła ustami do ręki przyjaciela. W tej chwili uczucia jej były tylko świętą litością istoty, kochającej poświęceniem i zaparciem się siebie. Nie pamiętała, że między nimi leżała straszna groźba zakazanego uczucia, wiedziała tylko, że miała przed sobą człowieka chorego, nie mającego nawet siły rozejrzeć się po domu, do którego tęsknił przez tyle tygodni.

Czując pieszczotę pocałunku Józefy na swej ręce, Zygmunt otworzył oczy. Żrenice dwojga spragnionych siebie ludzi spotkały się. Na jego usta wybiegł jeden z tych uśmiechów, które do tego stopnia rozjaśniają twarz ludzką, że ją przetwarzają i zamieniają w jeden rozbłyśk szczęścia.

Lekarz, nalewający na łyżkę lekarstwo, wydobyte z torby podróźnej, ozwał się wesoło:

— Widzę, że moje krople są tu zbytteczne. Do wyzdrowienia doprawdy potrzeba panu było wsi i domowych, znanych kątów.

Poproszono lekarza na przygotowany obiad. Zygmunt z Józefą zostali sami.

— Nie odchodź ode mnie, proszę cię—szeptał Zygmunt.—Dadzą sobie tam radę z obiadem... ja niczego nie potrzebuję, tylko nie odchodź, Józiu... tyle czasu cię nie widziałem...

— Dlaczego Mania nie przyjechała?—spytała Józefa.

Młoda kobieta nie czuła dziś wobec szwagra żadnego zmieszania. Ten człowiek chory, potrzebujący opieki, o własnej sile prawie chodzić nie mogący, nie oniesmielał jej bynajmniej. Nie pamiętała wcale swoich strachów, niepokojów i tego wewnętrznego drżenia, które nią trzęsło, gdy się kilka tygodni temu spodziewała przyjazdu Zygmunta.

— Mania z mamą przyjadą dopiero po jutrze... termin mego wyjazdu został przyspieszony... już tam wytrzymać nie mogłem... Mania miała jakieś niewykończone suknie... dodano mi dla bezpieczeństwa lekarza, który zostanie aż do ich przyjazdu... ale mnie teraz nic już nie potrzeba...

— Przyniosę ci Jasia. Zobaczysz, jakiego masz ślicznego chłopczynę... Trzeba, żeby się z tobą poznał... To będzie tancerz zawołany... uszczęśliwiony, gdy się z nim tańczy...

Opowiadała o różnych mądrościach i wdziękach Jasia, a Zygmunt słuchał nie tego, co mówiła, ale dźwięku jej głosu. Wszystko, co w nim było pragnieniem, niepokojem, rozdrażnieniem, uspokoiło się nagle i ucichło w nim, jakby uspione. Niedokładnie wiedział, co się z nim działo, powierzchownie tylko zdawał sobie sprawę z tego, co go otaczało, szumiało mu jeszcze w uszach od turkotu karety i zmęczenia podróży; czuł tylko, że mu jest dobrze, że mu nie potrzeba nic więcej nad to, co posiada; objęło go ukojenie bezświadome a zupełne, jak ukojenie splakanego dziecka, które nagle utuli łono matki.

Lekarz powrócił po spożytym obiedzie i obejściu śpiesznem ogrodu. Zachwycił się pięknoscią Zarebia. Nie mógł pojąć, że mając taki dom, taki ogród, można się wynosić na mieszkanie do Warszawy.

— Tu, w tym domu, w tej miejscowości, nie był-by pan nigdy dostał tyfusu!

Józefa opuściła pokój chorego dopiero, gdy lekarz zalecił mu koniecznie położyć się do łóżka.

— Mnsisz mi dopomódz jutro, Józiu—powiedział Zygmunt, gdy odejść miała.—Trzeba zarządzić przeniesienie się moje do innego pokoju... Obmyślimy to razem... Nie mogę zakłócać Mani spokoju... kaszlę w nocy, budzę się, biorę lekarstwo... jestem nieznosny dla samego siebie, a cóż dopiero dla osoby tak kochającej wygodę, jak Mania.

Gdy został sam jeden, przemyślał o tych przenosinach w sposób drobiazgowy i dziecinny. Układał w swej głowie, jak urządzi i umebluje mieszkanie, które będzie zajmował sam, niepodzielnie. Przeczynał na to gościnny apartamencik: mały salonik, pokój sypialny i ubieralnię, zajmowane niegdyś przez Józefę. Salonik będzie miał dużo kwiatów i dużo książek... drzwi, na balkon otwarte... będą tam czytali z Józefą... Potem, gdy przyjdzie czas na spoczynek, on bę-

dzie miał swój pokój, swój własny, osobny pokój, którego z nikim dzielić nie będzie!

Usnął z dziecinną uciechą w sercu. Nazajutrz zapytał służącego, kto to mógł odjeżdżać, czy przyjeżdżać rano. O ósmej słyszał turkot.

— Pani Rzewicka pojechała do Obrowca. Kazała powiedzieć, że wróci o trzeciej po południu.

Wstał późno i zaczął się ubierać z niezwykłą starannością. Przejrzawszy się w lustrze, wydał się sobie straszny. Wybladły, z głową, z włosów огоłoconą, był rzeczywiście tylko cieniem samego siebie. Uczuł gwałtowny poryw nienawiści ku Mani. To ona była winna, że on dostał tej strasznej choroby, która mu odjęła całą męską piękność jego! Taki trup, na jakiego on wyglądał w tej chwili, nie mógł się podobać żadnej kobiecie! Jej, tej bezmyślnej istocie, bez duszy, bez serca, zawdzięczał swój stan obecny. Wszak lekarz powiedział wyraźnie, że nie był-by na tyfus chorował, gdyby nie był się przeniósł do Warszawy. Mania była jego złym duchem... kulą u nogi, która mu całe życie, na każdym kroku, będzie nieszczęściem i przekleństwem.

— Może mi już nigdy włosy nie odrósna?—spytał lekarza, czekając jego odpowiedzi, jak wyroku życia lub śmierci.

— Zwykle włosy po tyfusie odrastają. W nielicznych wypadkach wszakże...

— Nawet kochająca kobieta musiała-by przestać kochać takie straszidło, jakim jestem w tej chwili.

Zygmunt chciał mówić lekko i żartobliwie, ale go głos zawiódł. Czuł w nim było drżenie, które potężyło o jakąś chrapliwą nutę.

Lekarz zaczął długi panegiryk dla kobiet, któremu sam nie wierzył. Do uszu jego doszły tryumfy Mani i jej żądza podobania się. Zastyszał też coś o Edziu i nie wątpił, że był on kochankiem pięknej pani Bielmońskiej. Młody lekarz, wielbiciel Zoli i naturalistycznego romansu, imaginacją szedł zawsze aż do ostatecznych granic upadku i nędzy moralnej bliźniego. Nie przypuszczał położeń trochę skomplikowanych, ani charakterów, sztucznie urobionych. Wytworzył w umyśle swoim całą historię Zygmunta i jego małżeńskiego pożycia. Pacjent jego był mężem zakochanym i ślepym, wodzonym na pasku; Mania była rozpustnicą z pozorami wielkiej pani. Z tym większym wszakże zapalem rozwodził się przed Zygmuntem nad miłością anielskich kobiet, szczególniejsze Polek, które kochają tem mocniej, im się więcej litują...

Ale Zygmunt trwał przy swoim z dziecinnym uporem. Czuł się przygnębnym, upokorzonym, nieszczęśliwym przez swój brak włosów i dopytywał się lekarza, czy nie znał jakiego środka na ich porost.

Tak był-by chciał wyglądać dziś pięknie! Z jakąś nerwową, chorobliwą żądzą sprawdzania swej brzydoty, czy też niedowierzając

świadectwu poprzedniego wrażenia, co chwila spoglądał w lustro, które mu ciągle tę samą prawdę powtarzało.

A może też doprawdy kobiety-Polki kochały szczególnie przez litość? Tylko, że on takiej miłości przez litość nie chciał! A więc obejdzie się bez wzajemności. Wystarczy mu to, że sam kochać będzie!

Przez okno upatrywał jadącej Józefy. Co za rokosz spoglądać tak na wijący się w dali gościniec i widzieć, że za chwilę przybędzie nim ukochana. Więcej nic nigdy nie będzie mu potrzeba do szczęścia. Widywać ją często, czuć ją blisko siebie...

Całe poobiedzie spędzili we troje z młodym lekarzem, któremu Józefa niezmiernie się podobała. Imponowało mu to, że siostra bogatej pani pogardziła rolą rezydentki i pracowała na chleb. Znajdował ją też bardzo powabną i śledził jej ruchy, gdziekolwiek się obróciła. Wdzięk Józefy, uduchowniony wyraz jej twarzy, jej uśmiech jasny a cichy, cała postać, pełna jakiegoś tajemnego a przejmującego uroku, działała na grubą naturę młodego człowieka, w sposób dla niego samego niezrozumiały. Zygmunt, przykuty do fotelu, z którego powstanie przychodziło mu z najwyższym wysiłkiem, patrzył z zazdrością, jak lekarz zrywał się lekko, gotów na każde skinienie Józefy, jak biegł dla niej po fijołki do ogrodu i swoją wesołością, trochę trywialną, pobudzał ją do śmiechu. Oboje usiłowali zająć Zygmunta prowadzoną między sobą rozmową, by chory nie męczył się, mówiąc. Pod wieczór wszczęła się między nimi bardzo szeroka rozprawa poważna. Lekarz był materyalistą, bezwyznaniowym, krańcowym pozytywistą i przekonania te wydawały mu się być ostatniem słowem nauki i filozofii. Józefa dowodziła mu ich bankructwa. On się zapalał, gestykulował, bronił swej sprawy w sposób namiętny; ona mówiła cicho i spokojnie. Rozmowa, zamiast dać wypoczynek Zygmuntowi, zmęczyła go. Wyprawił lekarza na spacer, wmawiając mu, iż powinien być korzystać z wiejskiego powietrza. Gdy młody człowiek wyszedł, ozwał się do Józefy z westchnieniem znużenia:

— Żeby on sobie już pojechał!

Nazajutrz, po dniu, spędzonym znowu we troje, odebrano telegram Mani. Zostawała w Warszawie jeszcze dni parę, bo się wydarzyły jakieś nieszczęścia z sukniami.

— To mi się najniespodziewaniej zdarza sposobność kilkodniowego pobytu na wsi—zawołał lekarz.—Zostaję tu aż do przyjazdu pań, bom to przyrzekł pani Bielmońskiej-matce.

— Ja doprawdy już nie potrzebuję opieki lekarskiej—rzekł zniecierpliwiony Zygmunt.

— Nie mogę słowa złamać.

W gruncie lekarz był uradowany możliwością pozostania dłużej. W Warszawie miał praktykę bardzo małą, był zapalonym lubownikiem wsi i z każdą chwilą Józefa mocniej mu się podobała.

Nazywał się Nadolny, był synem kolonisty i o własnych siłach doszedł do wiedzy i do skromnego zarobku. Bardzo przystojny, brunet z czarnymi oczami, rzucającymi iskry, z włosami, jeżącymi się na głowie, jak szczotka, był silny, barczysty, niezgrabny w ruchach, z wielkimi, sinemi rękami, gestykulującymi i nigdy nie wiedzącymi, co z sobą począć. Był żywy, czynny, ognisty w dyskusyi, wierzący mocno w to, co utrzymywał.

Pomimo, że silna jego indywidualność mogła być sympatyczna dla wielu, Zygmunt czuł ku niemu odrazę. Wymógł na sobie milczenie, gdy Nadolny oświadczył, że zostaje, ale gniew, zniecierpliwienie, rozróżdżenie wrzały w nim. Znowu oparł głowę z zamkniętymi oczami o poręcz fotelu i gorzał wewnętrznie nienawiścią i żądzą zemsty względem Mani. Podła, niegodziwa kobieta!... dla sukni sprzedawała-by duszę! Rzuca go tu na pastwę tego gadatliwego, zapalonego lekarza, który śmiał słodkie oczy robić do Józefy! Szukał w swojej roztrojonej głowie sposobu zemszczenia się. Był-by chciał przynajmniej mieć w tej chwili Manię przed sobą i na jej głowę wyrzucić z siebie te wszystkie obelgi, które mu się na usta cisnęły. Nareszcie umyślił posłać do niej telegram: „Mam się źle, przyjeżdżaj zaraz.“ Niech ma przynajmniej tę przykrość, że będzie musiała przybyć bez sukien swoich! Cekał tylko na oddalenie się lekarza, by Józefie zwierzyć się ze swoim zamiarem. Wydawał mu się on zupełnie możliwym do spełnienia.

Ale Józefa jednym słowem rozchwiała wszystko. Matkę jego taki telegram mógł zabić.

— Bo ja bym chciał tę niegodziwą wyrwać już z tej Warszawy!— mówił przerywanym głosem.— Myślisz, że ona tam zostaje dla sukien? Nie, ona romansuje z Edziem Kuryńskim! Zeszedłem ich na gorącym uczynku...

Szkalowanie Mani czyniło mu niezmierną przyjemność. Sam się podniecał i rozgrzewał swym opowiadaniem.

— Tak — mówił prawie bez tchu, — zeszedłem ich na gorącym uczynku i to opóźniło moje przyście do zdrowia... Dostałem spazmów, zemdlałem... nie mogę wrócić do równowagi... zanadto jej nienawidzę!

Józefa stała przed nim blada, jak trup, oniemiała ze zdziwienia i bólu. Nie podejrzewała Zygmunta o przesadę, uwierzyła święcie w ów romans z Edziem, którego Mania tak lubiła, gdy była panną, i za którego była-by poszła, gdyby się jej nie była przedstawiła świetniejsza partya.

Zygmunt spojrzał na Józefę, na jej błądź i nagle łkanie gwałtowne rozerwało mu wyschłe piersi.

— Józiu!—wołał wśród łkania,—jaki ja jestem nędzny... ja śmiałem zmartwić ciebie... ciebie, która mi jesteś wszystkim na świecie!

Błagała go, by się uspokoił.

— Ale ty mię nie opuścisz? nie opuścisz mię, Józiu?... bo ja czuję, że zwaryuję... że ja bez ciebie bym oszalał!

Łkanie spazmatyczne wstrząsało nim całym. Do tego przyłączył się paroksyzm kaszlu.

— Nie opuścisz mię?

— Nie opuszczę, dopóki do zdrowia nie przyjdiesz.

— Przysięgnij mi to!

— Przysięga tu zbyteczna!

— Ty nie chcesz przysiędz... łudzisz mię, jak dziecko...

Łkał znowu z twarzą spazmatycznie wykrzywioną.

— A więc tak. Nie opuszczę cię aż do twego wyzdrowienia.

Otarła mu chustką zapłakane oczy. Patrzała na niego, jak na nieszczęśliwego, potrzebującego ratunku. Nie miłość czuła dla niego w sercu, ale bezmierną litość i chęć ocalenia go, choćby kosztem własnego życia.

— Zostanę przy tobie—mówiła mu cicho i słodko,—ale ty musisz być mi bardzo posłuszny... czynić wszystko, o co ja prosić będę...

Porwał jej rękę i poniósł ją do ust w nagłym napadzie zapala.

— Będę robił wszystko, co każesz — szeptał rozrzuwiony i już nieco ukojony, z błagalnym wzrokiem ukaranego dziecka, — wszystko, co każesz... zobaczysz... takim będę, jakim ty mię uczynisz...

— A więc uspokój się teraz. Powiem, by tu nikogo do ciebie nie wpuszczano, ja muszę pójść do Jasia.

Potrzebowała być sama, zostać sama z wiadomością o tej strasznej rzeczy, którą jej powiedział Zygmunt. Więc przybrana jej córka, Mania, już zdołała zburzyć szczęście męża i szczęście własne... rzucić swoje imię na pastwę złych języków! Nie uratowało jej macierzyństwo! Dziecię, śliczny Jaś, nie stanął między nią, a tem nieszczęściem... I to było złe niepowetowane, niczem okupić się nie dające!

Poszła do Jasia, jak to była oznajmiła Zygmuntowi. Dziecię śmiało się, przedstawiając obraz tej bezświadomości, której tak zazdrościła dzieciom ci, co cierpią. Józefa patrzała na nie z bólem. Wesołość Jasia zdawała się czynić czarniejszym jej smutek. Biedne maleństwo! Matka jego bładziła, ojciec cierpiał, a ono śmiało się i podskakiwało na rękach mamki, jakby się w tej chwili nie rozegrywał w jego rodzinie jeden z tych dramatów, którego nic wyrzucić ani z pamięci, ani z życia nie zdoła.

Powoli ułożyło się wszystko w Zarębiu do możliwej równowagi. Mania powróciła spokojna, nie zdająca się nawet przypuszczać, by ktoś mógł mieć coś do zarzucenia jej postępowaniu. Nie tłumaczyła się wcale z opóźnionego przyjazdu, nie zauważyła oczu siostry, zatrzymujących się na jej twarzy z rozpaczliwym wyrzutem, ani pełnych nienawiści spojrzeń Zygmunta. Od pierwszej chwili po powrocie poczęła wieść życie na własną rękę, ofiarując mężowi od czasu do czasu zapytanie, czy się czuł lepiej i życzenie dnia dobrego. Nie dziwiła się wcale jego przenosinom do apartamentu gościnnego. Okazała się z nich wyraźnie zadowolona. Józefa знаła jej wstręt do chorych i nieumiejętność zajmowania się nimi, nie przypuszczała jednak wcale, by wymizerozwany, kaszlący i wyłysiały Zygmunt miał w niej rodzić odrazę. Przekonała się, że tak było.

— Jaki ten Zygmunt straszny — rzekła jej raz Mania, wychodząc od męża — patrzeć na niego niepodobna! Całe szczęście, że się już od niego zarazić nie można. Ja po prostu od niego uciekałam, gdy był chory. Śliczna rzecz, stać się naraz starą i bez włosów, jak on!

Wstrząsnęła się ze wstrętem.

— A jaki on rozdrażniony, jaki on nieznosny! Tylko, że ja na to wcale nie uważam!

Coraz bardziej między nią a mężem ustalał się rozbrat zupełny myśli, przyzwyczajęń, upodobań. Stawali się sobie obcy.

Szarogórscy powrócili, Mania wciągnęła ich do swoich planów. Układano znowu zabawy, salon w Zarębiu zaroił się od gości. Każdy nowo przybyły miał sobie za obowiązek zapytać o zdrowie gospodarza, tonem pełnym współczucia. Odpowiadano mu, że Zygmunt miał się codziennie lepiej, ale nie mógł jeszcze opuszczać swego pokoju, a towarzystwo męczyło go. Przyzwyczajano się do tego, że Mania bywała i przyjmowała sama; nie raziło potem nikogo, gdy nawet po wyzdrowieniu Zygmunta zwyczaj ten pozostał.

W Mani zaszła tylko jedna zmiana. Zaczęła się z dnia na dzień coraz mocniej interesować Jasiem, który był prześliczny i do niej zdumiewająco podobny. Uczucie macierzyńskie narodziło się w niej. Wchodziła codziennie parę razy do pokoju dzieciennego, nosiła dziecię, bawiła się niem, przychodziła je ucałować gdy wyjeżdżała, otwierając oczy dzwoniła na służącą i posyłała ją zapytać, czy Jaś dobrze spał. Pewnego razu, gdy dziecię było trochę niezdrowe, ujrzała ją ze świecą w ręku wchodzącą wśród nocy dla zobaczenia, jak Jaś oddychał i czy gorączka się nie powiększyła. Nie przyszło jej na myśl przenieść dziecka do siebie, sen własny miała za coś świętego, co szanować nad wszystko było trzeba; lecz obudziwszy się w nocy przypadkiem, pomyślała zaraz o Jasiu i przemogła lenistwo. Wstała, by się przekonać

naocznie, co się z nim działo. Józefa, zostająca na noc w Zarębin, gdy dziecko było chore, własnym oczom wierzyć nie mogła. Więc jej siostra kochała przecie kogoś?

Mania brała za najnaturalniejszą rzecz to, że Józefa niedosypiała nocy przy Jasiu, że bywała opiekunką i lektorką Zygmunta. Gdy raz któryś z gości wyraził wątpliwość, czy Mania będzie mogła dla jakiejś dłuższej wycieczki opuścić chorego męża, ona odezwała się najnaturalniej:

— Przecie Zygmunt ma Józię!

Gdy służący przychodził żądać czegoś z polecenia Zygmunta, odpowiadała roztargniona:

— To do pani Rzeweckiej.

Swoim gościom wyznawała głośno, z tą szczerością dziwną, która jej była właściwą, że mężem swoim nie zajmowała się wcale.

— Cóż ja winna, że nie umiem pielęgnować chorych? Zygmunt z pewnością dobrze na tem wychodzi, że się nim zajmuje matka i Józia. Mnie wszelkie niedołęstwo tak drażni, że patrząc na nie, jestem zła, nie roztkliwiona. Zdaje mi się, że gdybym była chora, sama siebie bym znienawidziła!

Gotowa była powiedzieć to samemu Zygmuntowi. Spotykała go od niej często szczerość, granicząca z niedelikatnością, za którą napadały go paroksyzmy nienawiści dla żony.

— Ja wcale nie widzę, żebyś ty lepiej wyglądał! Okropna rzecz, nie mieć na głowie ani jednego włoska!

Przy takim zaznaczeniu faktu zupełnego wyłysienia Zygmunta, czuła pewien rodzaj dumy, a zarazem trochę wdzięczności dla Boga za to, że jej własna głowa pokryta była bujnemi włosami.

Obecność Mani niecierpliwiła Zygmunta do tego stopnia, że byłby jej nieraz powiedział: „idź sobie stąd!”, gdyby nie obawa zrobienia przykrości Józefie. Dla Józefy, dla jej oczu, zwróconych ku sobie z niemą prośbą, znosił Manię i starał się niczem nie dać poznać swej niechęci. Zresztą żona drażniła go teraz każdym słowem, każdym poruszeniem. Jej śmiech głośny przejmował go dreszczem wstrętu, grymas odętych ust był mu nieznośny. Wszystko, co w niej niegdyś uwielbiał, wydawało mu się teraz ohydne. Gdy go w nocy obudził kaszel, między jednym snem a drugim, pozwalał przystępu do swej głowy marzeniom, których nielogiczność widział potem, po obudzeniu się. Rozwiedzie się z Manią... sygnie złotem i rozwód dostanie... potem z Józefą pójda do Rzymu, choćby piechotą, jak Oświecimowie... Cały majątek na to poświęci... Słusznie, by mu wrócił szczęście, kiedy mu je zabrał... Bo to miliony Piotra Bielmońskiego uczyniły go tem, czem był w tej chwili. Znał teraz dosyć Manię, aby wiedzieć, że za ubo-

giego właściciela odłużonej wioski nie była-by poszła. Była-by teraz żoną Edwarda Kuryńskiego, a przeznaczenie jego było-by go pociągnęło ku Józefie, bez walki i przejść, jakie go czekały obecnie.

Z dniem każdym wracały mu siły. Długie godziny spędzał na świeżem powietrzu, zdenerwowanie jego uspokoiło się zupełnie. Był teraz normalnym człowiekiem, przychodzącym do zdrowia. Wszystkie siły jego obracały się ku wielkiej pracy organizmu, wracającego do życia. Nie wiedział jeszcze, co z tem życiem uczyni, ale z radością widział jego uśmiech dla siebie. Tymczasowość wystarczała mu na tę chwilę zupełnie. Otaczała go wiosna, zieloność, słońce; śpiew słowików napełniał wieczorem ogród; poobiednie godziny Józefa poświęcała mu całe. Czuła dokładnie, że ten spokój, który obecnie ukołysał nerwy Zygmunta, zawdzięczał on tylko jej obecności. Czytywała mu długie godziny, chodziła z nim po cienistych alejach. Rozmawiali tak, jak rozmawiają tylko ludzie kochający się nad wszystko: bez żadnego wysiłku, bez najlżejszego zmęczenia, z ciągle trwającą rokoszą podzielenia myśli, z wiecznie nieprzebranym zasobem materiału, nigdy nie-nasytzeni przebywania z sobą, pod nieustającym urokiem wzajemnej obecności.

Był to między nimi spokój zwodniczy i najniebezpieczniejsze zbliżenie, bo zlanie się dusz, ta, ze wszystkich najsilniejsza, spójnia. Ona uwierzyła, że taki stosunek fanatycznej przyjaźni może między dwojgiem ludzi trwać całe życie; on, osłabiony fizycznie, z przytępieniem nieco krążeniem soków żywotnych, przepełniony cichą rokoszą wracania do życia, czuł tak bezmierną słodycz tych pogadań, tego wspólnego czytania, tych powolnych spacerów wśród natury odrodzonej, że nie pragnął niczego więcej, nie rozpamiętywał i nie krytykował. Patrzył, jakby był tylko widzem, na unoszące go życie; był jak żeglarz, który-by rzucił wiosło i puścił się z założonemi rękami z prądem fali. Gdyby nie kaszel uparty, niepokojący matkę i Józefę, stan jego nic do życzenia nie był-by pozostawiał.

Raz rzekł Józefie, z tym odcieniem słodyczy i roztkliwienia, które dźwięczały w jego głosie, gdy przemawiał do niej:

— Zaprzeczałaś mi, gdym cię zapewniał, że jeszcze w tem życiu przeczytamy wspólnie te wszystkie książki, których nie chciałem dotykać bez ciebie. Przeznaczenie zesłało na mnie umyślnie chorobę, by to moje marzenie mogło się stać rzeczywistością... Teraz, w lecie, gdy masz mało roboty w kasie, będziesz przyjeżdżała do mnie... w zimie, gdy będę zdrów zupełnie, ja u ciebie długie wieczory spędzać będę.

Nie przeczyła mu. Wszak chodziło tylko o to, by wyzdrowiał zupełnie. Zawsze była pora otworzyć mu potem oczy na to wszystko, co ich dzieliło.

Innym razem, gdy, zamknąwszy książkę, siedzieli na ławce ogrodowej, on, patrząc na promienie słońca, zabłąkane wśród cieniu rzuca-
nego przez drzewa, na motyle bujające nad trawnikiem, ozwał się po
dłuższem milczeniu z drżeniem rozrzewnienia w głosie:

— Mogę powiedzieć z poetą: „Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu...” I to dzięki tobie, Józiu. Teraz już to wyrazić mogę bez obawy dostania spazmatycznego płaczu... już jestem zupełnie silny... czuję się napowrót mężczyzną, nie płaczliwą niewiastą... Powiedz mi, co by się było ze mną stało bez ciebie? Przecie człowiek chory, zdenerwowany do takiego stopnia, że panowanie nad sobą jest mu niepodobnem, taki człowiek potrzebuje jakiejś ręki, która-by go ugłaskała, jak zdziczałe zwierzę domowe...

— Dzięki Bogu, że mogłam mieć dla ciebie tę rękę pomocną.

— Matka moja, taka poświęcająca się, zanadto się o mnie boi... umie tylko łamać dłonie nade mną... to mię wcale nie uspakajało... Mania... o, Mania!...

Nieskończona ironia dźwięczała w jego głosie, gdy wymawiał imię żony. Józefa spuściła oczy. Tak, wiedziała teraz dobrze, czem była jej siostra w myślach Zygmunta. Kobieta ta, jako tytuł do miłości męża, miała tylko piękność swoją, lecz piękność ta znikła z przed jego oczu, jak płomień zdmuchniętej wśród ciemności świecy. Nie widział jej już wcale.

W ostatnich czasach, a szczególnie podczas jego choroby, Mania stała się była samowolną i bezwzględną więcej niż kiedykolwiek. Nie żądała już sankcyi męża dla żadnego ze swych projektów, a parę dni temu, w salonie, gdzie Zygmunt ukazał się na chwilę wśród gości swej żony, powiedziała z zupełną swobodą komuś, co ją zapytał, czy zna żonę Edwarda Kuryńskiego:

— Nie znam, widziałam kilka razy w teatrze i na ulicy... brzydka jak noc... Zapewne poznam ją tej zimy w Warszawie.

— Czy pani na całą zimę do Warszawy się wybiera?

— O, naturalnie. I Kuryńscy też tam mieszkać będą. Jestem przez Edzia zamówiona do pierwszego mazura, na pierwszym balu, na którym się spotkamy.

Józefa spojrzała z przestraczem na siostrę, potem na Zygmunta, który zbladł i zagryzł usta. Czy Mania była doprawdy złą i bezwstydną, czy wytrawną komedyantką, udającą niewinność, czy rzeczywiście niewinną, a przynajmniej zupełnie bezświadomą?

Zygmunt, po chwili gniewu, żalu i nienawiści, doznał uczucia zadowolenia, że Mania gubiła się sama w oczach Józefy. Niech ta jedyna istota, o której zdanie dbał we wszystkim, wie dokładnie, co warta bezwstydną kobieta, mówiąca wyraźnie, że chciała znowu jechać

do Warszawy i nawiązać stosunek z człowiekiem, którego cały świat miał za jej kochanka.

Tak, cały świat miał go za takiego. Józefa wiedziała o tem. Doszły ją były wieści z Warszawy, nie pozwalające na wątpliwość.

Nie miała już teraz odwagi wszczynać z Zygmuntem rozmowy, mającej na celu obronę Mani, wcale też nie usiłowała zbliżać żony do męża. Widziała jasno, że, nateraz przynajmniej, żadna zgoda między tem dwojgiem ludzi zawartą być nie mogła.

Do Mani na lato przyjechała Felcia, której Zygmunt nie lubił i która do bezmyślnego, rozbawionego życia w Zarembiu dodała jedną jeszcze hałaśliwą nutę.

Że kaszel rekonwalescenta nie ustawał, więc matka i Józefa uprosiły go o sprowadzenie lekarza specjalisty. Wyrok przybyłego wypadł stanowczy. Zygmunt miał niezwłocznie jechać w góry, do Szwajcaryi, zimę zaś miał spędzić na południu.

Przedstawiły się jednak odrazu trudności. Ani matka, ani Józefa nie próbowały nawet proponować mu Mani, jako towarzyszkę podróży. Młoda kobieta oświadczyła też od razu, że bez Jasia nigdzie się nie ruszy, zatem o żadnych dalekich podróżach myśleć nie może. Któż więc miał jechać z Zygmuntem? Matka była za stara na opiekunkę w podróży; spacerów w górach odbywać nie mogła...

— Niech jedzie Józia! — zawołała Mania.

Zygmunt spojrzał na Józefę wzrokiem rozjaśnionym nadzieją, lecz ona nie odrzekła ani słowa. Dopiero gdy się znalazła sama ze szwagrem, położyła dłoń na jego rękę i, patrząc mu w oczy, zapytała:

— Wszak ty czujesz, Zygmuncie, że ja na tę całoroczną podróż z tobą jechać nie mogę?

Mówiła cicho, słodko, lecz stanowczo, wzrokiem dopowiadając tego, czego słowami wyrazić nie mogła.

Zygmunt zamyślił się, patrzył na nią długą chwilę, potem odrzekł stłumionym głosem:

— Tak, czuję to!

Potem ogarnęła go nagle niewytłumaczona radość. Więc Józefa wiedziała o jego uczuciu! Wiedziała, i bała się samotności z nim na obczyźnie! Wiedziała, że ją kochał, choć jej tego nigdy wyraźnie nie powiedział! Zdawało mu się, że jakaś zasłona między nimi przedarta została, jakiś mur obalony. Nie mógł ukryć swej radości i wzruszenia:

— A więc nie jadę nigdzie! — wołał w jakimś entuzjastycznym podnieceniu — zostaję tu, bo tu jest moje zdrowie, tu jest powietrze, którem oddychać pragnę!... Lekarze o tem wiedzieć nie mogą, więc mię wysyłają za kraj świata, ale ja sam czuję najlepiej, co mi daje życie i siły!

Od tej chwili stosunek ich zmienił się trochę. Naturalność dotychczasowa stała się nieco naciągniętą. W jego obejściu się bywał chwilami odcień natarczywości, ona stawiała się chłodniejszą, czasem zmieszaną, jakby zatrwożoną i pragnącą zaznaczyć przedział istniejący między nimi. Wracali im chwile, nawet całe godziny swobody, ale każdy prawie dzień zaznaczał się dla nich jakimś drobnym wydarzeniem, które potem przypominali sobie, myśleli o niem, ona ze strachem, ze zmieszaniem, on z tajoną radością. Bywało to spojrzenie, słówko z położonem na nie naciskiem, rumieniec przychodzący nie w porę, trochę za długi uścisk ręki... czasem coś tak nieokreślonego, jak myśl odgadniona, jakby złapana w przelocie...

Józefa bywała zamyślona, często smutek osiadał na jej czole; Zygmunt, powróciwszy do życia fizycznie, zdawał się je moralnie chwycić za wszystkie jego nadzieje, za wszystkie jego uciechy. Czuł teraz mniej nienawiści do żony, nie zwracał na nią uwagi, bo wybiegał myślą ku jakiemuś szczęściu, które widział nad sobą tuż, tuż, jakby zaraz na niego spłynąć miało, które czuł w sobie niejasne jeszcze, jakby nieobudzone, ale lada chwila oczy otworzyć mające.

Widział wyraźnie, że Józefa go kocha. Może mu jej usta nigdy nie powiedzą tego, ale on wiedział to i bez wyznań. Aż mu jej żal było czasami! Tak się strzegła, tak się pilnowała, a jednak, gdy on chciał, rumieniec wykwitał na jej bladej twarzy. Tylko wzrokiem poszukał jej wzroku, tylko do jej krzesła swoje przysunął... Stawała się wtedy taka surowa, taka poważna, taka obojętna, a wewnątrz drżała, jak liść. Co ona wtedy myślała i jakich mocy wzywała na ratunek?

Niegdyś, gdy jej mieszkanie w Obrowcu urządzał, opowiedziała mu, wieszając obraz Matki Boskiej nad łóżkiem, jak w dzieciństwie wyobrażała sobie, że oblicze święte zmieniało wyraz stosownie do jej zasług... jak je pragnęła ułagodzić dobrem postępowaniem... Więc może i teraz do stóp Najświętszej Panny niesie ona swoje obawy i swoją miłość, za którą się rumieni. Biedna, biedna! Dlatego, że ksiądz związał stulą jego rękę z ręką innej kobiety, więc miłość Józefy jest złem, jest wstydem, jest potępieniem! Buntował się przeciwko tyranii ustaw społecznych, choć w głębi duszy czuł ich siłę i znaczenie. Tylko mu się zdawało, że on był wyjątkiem od ogólnej reguły, że jego miłość dla Józefy była czemś tak pięknem i tak potężnem, iż wcale nie mogła stanąć w jednym rzędzie z temi wszystkimi uczuciami zakazanemi, któremi niegdyś pogardzał. Chwilami wszakże czuł tęsknotę za życiem przejrzytem jak kryształ, w którym każda myśl, każde uczucie mogłoby być wyznane głośno przed całym światem. To go przyprawiało o zadumę.

Gdy raz ujrzał pytające spojrzenie Józefy, zatrzymujące się na jego zachmurzonym czole:

— Myślałem — rzekł — o tym człowieku uczciwym, bez jednej zdrożnej myśli, bez jednej nienawiści w duszy... o tym człowieku, spragnionym dobra moralnego, którym być mogłem i którym-bym był niezawodnie, gdyby...

Nie potrzebowała bliższego tłumaczenia. Czuła wszystko, co chciał powiedzieć.

Żyła teraz w ciągłej rozterce wewnętrznej. Położenie jej w Zarębiu z dnia na dzień trudniejszym się stawało. Wiedziała, że uczciwość nakazywała jej ucieczkę, a jednocześnie litość nie pozwalała jej opuścić rekonwalescenta. Oprócz tego, że mu była przysięgła pozostać przy nim aż do zupełnego jego wyzdrowienia, czuła jeszcze i wiedziała, że odjazd jej byłby dla Zygmunta ciosem, który-by najniekorzystniej wpłynął na jego zdrowie, który-by może urzeczywistnił trwogi lekarzy. Modliła się, błagając Boga o siłę, o znalezienie drogi właściwej. Po nocach nie sypiała, dręcząc się swoją miłością bez nadziei i wyrzutami sumienia, obwiniającego ją o zdradę siostry.

Zeschczupiała i zmizerniała bardzo. W twarzy jej było zamyślenie, które nawet wśród rozmowy ożywionej nie ustępowało; chód jej bywał powolny, jakim się staje przy wielkich wewnętrznych przygnębieniach. Nikt nie znał tajemnego dramatu, rozgrywającego się powoli a nieubłaganie między nią a Zygmuntem, wszyscy jednak widzieli zaszłą w niej zmianę.

Raz, gdy matka Zygmunta czyniła nad jej bledością uwagi, zalecając jej jakieś doświadczone środki lekarskie, Józefa ozwała się:

— Radzono mi zawsze hydropatyczną kurację... Bardzo być może, że pojadę do Zakopanego.

— Teraz, w tym roku?

— Tak, teraz. Mój dłużnik wpadł na dziwną myśl: odesłał mi procent.

Pani Bielmońska załamała ręce:

— Cóż się wtedy stanie z Zygmuśkiem! Moja droga, ty go teraz nie opuszczaj!... Widzisz... nikt mu tak dogodzić nie może, jak ty... gdy się twój przyjazd opóźnia, niecierpliwi się, chodzi od okna do okna... Gdyby ciebie tu nie było, on-by znowu wpadł w rozdrażnienie... Co-bym ja wtedy poczęła? Ma się niby znacznie lepiej, ale ten jego kaszel! Nie chce opuścić domu, leczyć się za granicą... Jeszcze mu bardzo daleko do zupełnego wyzdrowienia... Gdybyś ty była chciała z nami jechać!...

— Jechać nie mogłam.

— Dlaczego?

— Bo jestem dumna i chcę sama zarabiać na życie. Nie mogę przystać na rok wygodnego próżniactwa!

— Tak, tak... każdy musi przedewszystkiem myśleć o sobie... ty go nie możesz kochać tak, jak ja go Kocham... gdybyś miała dla niego uczucie siostry...

Bolesny uśmiech wybiegł na usta Józefy. O, gdyby ona go kochała jak siostrą!

— Biedny ten mój Zygmunt! Takie gorące serce, a prócz mnie nikt go naprawdę nie kocha. Ty, Józiu... no, to naturalne, ale Mania!...

Pani Bielmońska miała do synowej jeden z tych wielkich macierzyńskich żalów, co to schodzą do grobu wraz z sercem, które toczyły. Za Manią szły pełne wyrzutów spojrzenia starej matki, w której duszy gromadziło się coraz więcej goryczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

Granica pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym

w świetle nowszych badań.

Podobieństwa i różnice pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym zastanawiały po wsze czasy biologów i myślicieli. Dwa te wielkie królestwa jestestw organicznych przeciwstawiano sobie zawsze i upatrywano pomiędzy nimi mniejszą lub większą przepaść. Z postępem nauki poglądy się zmieniły; w miarę jak odsłanianio coraz to nowe objawy biologiczne, przekonywano się, iż przepaść ta nie jest tak wielką, że tu i owdzie dwa wielkie państwa jestestw żyjących stykają się nawet z sobą, a dziś poglądy nasze na tę kwestyę na zupełnie innym stanęły gruncie; dziś coraz bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że w zasadniczych objawach życia różnice pomiędzy ustrojami roślinnymi i zwierzęcymi są raczej tylko natury ilościowej, a nie jakościowej. Poglądy te zmieniały się równolegle do zmian, jakim ulegały zapatrywania nasze na objawy życia w ogólności. Gdy bowiem niedawno jeszcze zadawalnialiśmy się badaniem organizmu roślinnego lub zwierzęcego, jako jednostki żyjącej, jako całości fizyologicznej, dziś wiemy, że ustroj jest kompleksem olbrzymiej ilości jednostek elementarnych, komórek organicznych, które połączone są z sobą w jedną całość, i że życie ustroju jest tylko rezultatem życia składających go ele-

mentów komórkowych, które bądź to zachowują indywidualność swoją w organizmie, bądź też w mniejszym albo większym stopniu tracą ją i tworzą wskutek połączenia wzajemnego t. zw. tkanki, z których zbudowane są organa ciała ustroju. Dziś wiemy, że elementarne, mikroskopowe składniki ciała zwierzęcego i roślinnego, t. j. komórki, są same organizmami, że mają złożoną bardzo budowę, że odżywiają się, poruszają, wydzielają, rozmnażają, że właściwe im są wszelkie czynności fizjologiczne i że życie ustroju jest tak samo wynikiem życia komórek i ich produktów, jak życie społeczeństwa wynikiem życia i działalności składających je jednostek. Zobaczymy też z dalszego ciągu niniejszego szkicu, że dzisiejsze nasze poglądy na granice, zachodzące pomiędzy ustrojami roślinnymi i zwierzęcymi, sprowadzają się w rzeczywistości do poglądu na życie komórki roślinnej i zwierzęcej.

Wielki naturalista szwedzki, Karol Linneusz ¹⁾, w wiekopomnym swem dziele „*Philosophia botanica*” (1751), w następujący sposób określa rośliny i zwierzęta: „Rośliny rosną i żyją, zwierzęta rosną, żyją i czują” (*Vegetabilia crescunt et vivunt, animalia crescunt, vivunt et sentiunt*). Linneusz zatem upatrywał różnicę pomiędzy roślinami i zwierzętami w tem, że ostatnim właściwą jest zdolność czucia, której pozbawione są pierwsze. Badacz szwedzki sądził, że obecność systemu nerwowego jest nieodzownym warunkiem czucia, i przypuszczał, że wszelkie istoty, pozbawione narządów nerwowych, jak np. polipy, koralce, meduzy i t. p. (Linneusz nie znajdował w nich nerwów, ponieważ nieznane mu były te metody badania, za pomocą których dziś udało się wykryć obecność układu nerwowego u tych istot), już przez to samo nie są zwierzętami, lecz przedstawiają ustroje, stojące na granicy świata zwierzęcego i roślinnego; nazywał je też dlatego zwierzokrzewami (*Zoophyta*). Istoty te, zaliczane w dzisiejszej systematyce zoologicznej do typu zwierząt, zwanego jamochłonnymi (*Coelenterata*), odznaczają się jednak znacznym stopniem wrażliwości; dosyć jest dotknąć się polipa, aby natychmiast wywołać skurcz jego ciała i wciągnięcie czułków, czyli szczególnych wyrostków, otaczających paszczę tego zwierzęcia.

Wszelako i Linneuszowi ²⁾ znanym już był fakt, że i niektóre rośliny odznaczają się pewnym stopniem wrażliwości, którą oznaczał on nazwą „*irritabilitas*.” Wiedział on o tem mianowicie, że pewne

¹⁾ *Caroli Linnei, „Philosophia botanica, in qua explicantur fundamenta botanica.”* Stockholmiae, 1751, 8. 362 p.

²⁾ „*Ueber die Grenzen des Pflanzen-und-Thierreichs, und den Ursprung des organischen Lebens auf der Erde.* Von Prof. Dr Moritz Willkomm.” Prag, 1888.

t. zw. rośliny czułkowate, a zwłaszcza gatunek czułka wstydliwego (*Mimosa pudica*), nagle opuszczają ku dołowi swe liście za najlżejszym dotknięciem, a nawet za silniejszym podmuchem wiatru, przyczem pojedyncze listki liścia pierzasto złożonego nachylają się parami ku sobie i składają się, a dopiero po pewnym przeciągu czasu, gdy działanie i wpływ bodźca przemija, znów się rozkładają, a liść cały podnosi się. Podobną wrażliwość wykryto później w złożonych liściach innych także roślin, np. u *Smithia sensitiva*, *Biophytum sensitivum* i t. p. Lecz także pojedyncze liście wielu roślin wykonywają szybkie lub powolne ruchy pod wpływem bodźców mechanicznych, chemicznych lub elektrycznych, a zarówno także i pewne inne części i organa różnych roślin. Tak np. listki wielu t. zw. roślin owadożernych zamykają się w szczególny sposób pod wpływem drażnienia mechanicznego, jakie wywiera ciało owada, i chwytają jakby w pułapkę tego ostatniego; pręciki berberysu za dotknięciem wykonywają szczególne ruchy energiczne i t. p. Dzisiejsza fizjologia poznała bardzo dokładnie mechanikę owych nagłych ruchów roślinnych, odpowiadających na pewne bodźce zewnętrzne. Wiemy, że wyżej wspomniane ruchy części roślinnych zależą przede wszystkim od zmian, jakim podlega t. zw. jędrność (*turgor*) tkanek roślinnych, a mianowicie: w komórkach roślinnych znajduje się mniejsza lub większa ilość wody, która utrzymuje tkanki w naprężeniu; pod wpływem różnych bodźców zewnętrznych z pewnych miejsc ciała roślinnego woda może uchodzić do innych, sąsiednich okolic, wskutek czego prężność tkanki roślinnej w danych miejscach się zmniejsza i dana część rośliny, jak np. liść czułka, opuszcza się; gdy zaś wpływ bodźca przemija, woda powraca, jędrność tkanki znów się powiększa i dana część rośliny prostuje się, t. j. wraca do normalnego stanu. Czy to mechaniczne objaśnienie ruchów roślinnych, odbywających się pod wpływem bodźca zewnętrznego, tłumaczy nam jednak istotę wrażliwości rośliny? Pokazuje nam ono tylko, że ruch całej części rośliny, całego organu, np. liścia, jest zjawiskiem drugorzędem i że przede wszystkim na bodziec zewnętrzny odpowiada tylko zawartość komórek roślinnych, czyli *protoplasma*, która pod wpływem bodźca tego pozbywa się mniejszej lub większej ilości wody, wywołuje zmianę w jędrności tkanki i że ta zmiana w protoplazmie komórek jest najbliższą przyczyną ruchu całego organu roślinnego. Istota wrażliwości roślinnej pozostaje jednak dla nas tak samo niewytłumaczoną, jak istota czucia u zwierząt; w obu wypadkach widzimy, że istota żyjąca, czy to polip, czy to czułek, odpowiada ruchem na bodziec zewnętrzny, czyli, że jest wrażliwą na bodziec ten, odczuwa go.

Są rośliny, które odznaczają się nawet większą wrażliwością, aniżeli zwierzęta wyższe. Do takich należą np. rosziczka (*Drosera ro-*

tundifolia), roślina pospolita u nas na torfowiskach i łąkach bagnistych. „Delikatna ta roślina — powiada Wilkomm — posiada piękną rozetę liści długoogonkowych, których bladozielona, kolistą prawie blaszka opatrzona jest na krawędzi oraz na powierzchni nitkowatemi wyrostkami różnej długości, ułożonemi współśrodkowo i niosącemi na wierzchołkach kuliste purpurowe gruczołki. W promieniach słońca rozeta liści rosiczki przedstawia wspaniały widok, albowiem blaszki liściowe wyglądają wtedy jakby usiane błyszczącemi purpurowo kropkami rosy, skąd właśnie powstała trafna nazwa ludowa: rosiczka. Wyrostki gruczołowe liści rosiczki służą do chwytania i przytrzymywania małych owadów, spełniają więc podobne czynności jak czułki, otaczające paszczę polipa.” Wyrostki te, pod wpływem podrażnienia, sprawionego przez owada, zaginają się w kierunku ku wnętrzu blaszki liściowej i chwytają go tym sposobem. Lecz nie tylko małe ciśnienie, wywarłe na liść przez siadającego nań owada, przez położony kawałek białka, mięsa i t. p. wywołuje odruch odpowiedni, ale najdelikatniejszy nawet dotyk nitkowatego wyrostka rosiczki wystarcza, by spowodować zagięcie się wyrostka tego do wnętrza. „Spostrzeżono np., mówi Wilkomm, że drobnutki kawałeczek cienkiego końca włosa kobiecego, ważący tylko $\frac{1}{78740}$ grana, położony na główce nitkowatego wyrostka liścia rosiczki, wywołuje zagięcie się tegoż, a bodziec ten, ciśnienie to nie mogło-by być odczutem przez najwrażliwszą na dotyk część ciała ludzkiego, przez wierzchołek języka.” Darwin w znakomitem swem dziele o roślinach owadożernych („Insectivorous plants”), wykazał nawet, że zanurzenie żywego liścia rosiczki w tak słabym roztworze fosforanu amoniaku, iż każdy gruczołek mógłby pochłonąć tylko około $\frac{1}{2000000}$ grana tej soli, wystarcza do wywołania odruchu!

Fakta powyższe, oraz liczne inne analogiczne, przekonują nas, że części ciała rośliny odznaczać się mogą znacznym bardzo stopniem wrażliwości, a tym sposobem zaciera się jedna z najważniejszych różnic, zachodzących pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym. U wyższych organizmów zwierzęcych czucie jest, jak wiadomo, świadome, ale i u nich, nie wyłączając ustroju ludzkiego, istnieje również czucie nieświadome; system ich nerwowy odbierać może różnego rodzaju pobudzenia przez bodźce zewnętrzne, ciało odpowiadać może ruchami na te bodźce, ruchami niekiedy jakby celowemi i bardzo złożonemi, a pomimo to zupełnie nieświadomemi. Ruchy, nieświadome, lecz pod wpływem bodźców zewnętrznych wykonywane, zowią się w fizjologii zwierzęcej odruchami czyli refleksami, a że są one nieświadome, widzimy stąd, że odbywać się mogą podczas snu, kiedy mózg, organ świadomości, jest nieczynny, lub też, że istnieć mogą u zwierząt, pozbawionych głowy. Fakta te znane są zapewne czytelnikowi: wiadomo,

że owad, stający na twarzy śpiącego, wywołuje zupełnie nieświadomy odruch ręki; wiadomo, że każde uklucie lub mocniejsze dotknięcie śpiącego wywołuje pewien, silniejszy lub słabszy, odruch. Otóż te ruchy nieświadome u zwierząt przedstawiają zjawisko, wielce analogiczne do wzmiankowanych ruchów u roślin, a analogia ta okaże się tem większą, gdy weźmiemy pod uwagę odruchy u tych zwierząt, u których układ nerwowy przedstawia bardzo niski, zaledwie zaczątkowy stopień rozwoju, lub u których wcale nie istnieje, a przynajmniej dotąd wykrytym nie został, np. u niektórych robaków płaskich, albo też u niektórych zwierząt jamochłonnych (u gąbek). Analogiczne zaś skutki przypisać możemy przyczynom analogicznym, które tak u wzmiankowanych roślin, jako też u zwierząt, polegają na wrażliwości na różne bodźce zewnętrzne: dotykowe, chemiczne, termiczne i t. p.

Blizsze atoli rozpatrzenie objawów tej wrażliwości, oparte na nowszych, wielce doniosłych poszukiwaniach w tym zakresie, do których niebawem przystąpimy, pokazuje, że nie mamy tu do czynienia z szeregiem zjawisk analogicznych, lecz ze zjawiskami, w gruncie rzeczy, czyli w zasadzie, identycznymi, a przynajmniej w wysokim stopniu zbliżonymi, albowiem wszystkie wzmiankowane grupy zjawisk, tak w świecie roślinnym, jako też zwierzęcym, sprowadzić się dają do jednego i tego samego objawu zasadniczego, do pobudliwości czyli *wrażliwości protoplazmy*.

Otóż, jak już wspomnieliśmy wyżej, biologia dzisiejsza zdołała w znacznej mierze sprowadzić wszelkie czynności ustrojów do czynności składających je komórek. W skład pojedynczej komórki wchodzi, jak wiadomo, substancja napół płynna, będąca mieszaniną kilku ciał białkowatych, a zwana protoplazmą albo zarodnią, oraz zawarte w niej ciało, bardziej gęste, zwane jądrem komórkowym, które ma nader złożoną budowę; prócz tego komórka może także posiadać błonę zewnętrzną, otaczającą protoplazmę, lecz błona nie jest nieodzowną częścią składową komórki i znamy liczne bardzo komórki nieobłonięte, t. j. utworzone z nagiego kłaczka protoplazmy z jądrem. Przekonano się, że zasadnicze procesy życiowe odbywają się identycznie lub przynajmniej w sposób bardzo zbliżony w komórkach roślinnych i zwierzęcych, czyli, innymi słowy, wykazano zgodność zasadniczych objawów życiowych w elementarnych składnikach ustroju zwierzęcego i roślinnego, a ważna ta zdobycz dzisiejszej biologii odsłania nam tym sposobem właściwy stosunek pomiędzy organizmem rośliny i zwierzęcia. Postaramy się przede wszystkim wykazać, na podstawie szeregu niezmiernie ważnych badań i odkryć lat ostatnich, że *wrażliwość na bodźce zewnętrzne*, ten najpierwszy zawiązek czynności zmysłowo nerwowych

u zwierząt, właściwą jest protoplazmie tak komórek roślinnych, jako też zwierzęcych ¹⁾.

Jedną z najdziwniejszych i najciekawszych własności żywej protoplazmy jest pobudliwość (irritabilitas) t. j. „zdolność reagowania w ten lub ów sposób na najrozmaitsze wpływy świata zewnętrznego” (Sachs, Hertwig). Zdolność ta tak jest charakterystyczna dla żywej substancji, że można ją uważać za jedno z najważniejszych kryteriów, gdy chodzi o odróżnienie ciała żywego od martwego, a dawniejsi biologowie upatrywali w tej pobudliwości ustrojów przejawy specjalnej siły, którą nazywali siłą życiową (vis vitalis). Dziś naturalnie pogląd ten upadł, a jakkolwiek nieznaną nam jest dotąd istota pobudliwości protoplazmy, wiemy jednak, że w znacznej mierze polega ona na pewnych fizyko-chemicznych zmianach, i domyślamy się z wielkiem prawdopodobieństwem, że muszą jej towarzyszyć pewne określone przemiany w budowie protoplazmy, która jest wysoce skomplikowana.

Możemy najlepiej wyrazić mechaniczną stronę pobudliwości protoplazmy, gdy powiemy, iż cząstki protoplazmy znajdują się w stanie równowagi niestalej, z tem jednak zastrzeżeniem, iż wszelkie naruszenie tej równowagi niestalej wyrównywa się po jakimś czasie, równowaga powraca do pierwotnego stanu i pobudliwość znów się pojawia. Zastrzeżenie to jest bardzo ważne, gdyż pod tym względem głównie pobudliwość żywej materii różni się od analogicznych objawów w świecie nieorganicznym. „Właściwość organów pobudliwych — powiada znakomity fizjolog-botanik, Sachs ²⁾ — mniej polega na tem, że, dzięki niestalej równowadze swych części, zostają one w ruch wprowadzane, a raczej na tem, iż następnie znów stają się pobudliwymi, samę powracając do równowagi niestalej.” Sachs ilustruje tę ideę znakomicie pomyslanym przykładem, a mianowicie przypomina domek z kart, tak jak go dzieci budują; domek taki znajduje się w stanie równowagi bardzo niestalej, wystarcza często najlżejszy bodziec zewnętrzny, lekki dotyk włosa lub dmuchnięcie, a cała budowla w jednej chwili się zawala; widzimy tu wielki skutek, wywołany bardzo małą przyczyną, zupełnie tak samo, jak lekki podmuch lub dotyk wywołuje wielkie odruchy w ciele czułka, rośiczki lub polipa. Jednakże domek z kart, który raz runął, nie jest zdolny odbudować się napowrót o własnej sile, czyli powrócić znowu do stanu równowagi niestalej, pobudliwość

¹⁾ Porównaj: *Claude Bernard*. „Leçons sur les phénomènes de la vie commune aux animaux et aux végétaux.” *Engelmann*. „Beiträge zur Physiologie des Protoplasmas.” *Pflüger's Archiv*. 1869. *M. Verwoorn*. „Psycho-physiologische Protisten-Studien.” *Jena*. 1889. *O. Hertwig*. „Die Zelle und Gewebe.” 1893.

²⁾ *Julius Sachs*. „Vorlesungen über Pflanzenphysiologie.” *Leipzig*, 1882. Str. 722.

zaś żywej protoplazmy ma zdolność „odrabiania się” czyli powracania do stanu pierwotnego ¹⁾).

Protoplazma reagować może na jeden i ten sam bodziec w rozmaity sposób, zależnie od swej budowy i natury w danym wypadku; widzimy np., że protoplazma jednych organizmów jednokomórkowych wykonywa pod wpływem bodźca świetlnego ruch ku źródłu światła, innych natomiast—w stronę przeciwną i t. p.; nie spostrzeżono przytem, aby odmiennie zachowywały się zawsze ustroje roślinne i zwierzęce, lecz przeciwnie przekonano się, że tak pośród roślin, jako też i zwierząt, znajdujemy przykłady różnego zachowywania się protoplazmy wobec jednych i tych samych czynników zewnętrznych. Z drugiej strony atoli, różnego rodzaju bodźce wywołują często taką samą zupełnie reakcyę, a to mianowicie wtedy, jeżeli działają na protoplazmę o pewnej specyficznej, swoistej budowie; a mianowicie: protoplazma włóknista i kurczliwa kurczy się zawsze, czy to pod wpływem mechanicznego bodźca, czy to cieplnego lub elektrycznego; protoplazma komórek gruczołowych pod wpływem tychże bodźców wydziela i t. p. To też słusznie powiada Oskar Hertwig: „Działanie bodźca otrzymuje zawsze pewne specyficzne piętno wskutek swoistej budowy substancji pobudliwej, albo innemi słowy: pobudliwość jest zasadniczą własnością żywej protoplazmy, lecz pod wpływem bodźca uzewnętrznia się ona rozmaicie w zależności od swoistej jej budowy.” Tę samą ideę wygłasza Claude Bernard w następujących słowach: „Wrażliwość (sensibilité), uważana jako własność systemu nerwowego, nie zawiera nic zasadniczego lub specyficznego różnego; jest to swoista pobudliwość (l'irritabilité) nerwu, podobnie jak kurczliwość jest specyjalną pobudliwością mięśnia, i jak wydzielanie jest specyjalną pobudliwością elementu gruczołowego. A więc te własności, na których opiera się odróżnianie zwierząt i roślin, nie tyczą się samego życia ich, lecz jedynie tylko mechanizmów, przez które życie się odbywa. W gruncie atoli wszystkie te mechanizmy podlegają jednemu ogólnemu i wspólnemu warunkowi, pobudliwości.”

Rozpatrzmy pokrótce niektóre z najciekawszych objawów tej pobudliwości, wspólnej protoplazmie komórek roślinnych i zwierzęcych.

Światło jest jednym z bodźców, pobudzających w wysokim stopniu protoplazmę, jak tego dowiodły liczne poszukiwania w tym przedmiocie wielu wybitnych zoologów i botaników. Tak np. t. zw. grzyby śluzowe (Myxomycetes) przedstawiają w pewnym stadium rozwoju masy protoplazmatyczne, galaretowato-śluzowe, o kształtach nieregu-

¹⁾ Porównaj: J. Nussbaum. „Zmysły i wrażenia zmysłowe u zwierząt niższych.” „Ateneum” za r. 1892.

larnych, t. zw. plasmodya; te to masy, które znaleźć można np. w lasach wilgotnych, na zbutwiałym drzewie, odznaczają się wielką wrażliwością na działanie promieni świetlnych. Doświadczenia nad temi organizmami są nadzwyczajnie interesujące. Gdy plasmodyum rozpostarte jest np. na jakimś podłożu, i gdy na część tegoż puszczaemy wiązkę światła, wnet ta część protoplazmy się kurczy i przesuwają się do ciemności; gdy plasmodyum znajduje się na kawałku zbutwiałego drzewa i drzewo to wystawimy na działanie światła, masa protoplazmatyczna natychmiast jakby ucieka z powierzchni i zagłębia się w szczeliny drzewa, dąży, słowem, do ciemności; gdy zaś ten kawałek drzewa wniesiemy do ciemności, plasmodyum wyłazi znów ze szczeliny i rozpościera się na powierzchni podłoża; tym sposobem na tem ciele protoplazmatycznym grzyba śluzowego w znakomity sposób obserwować można wrażliwość na światło i pobudliwość. Podobną wrażliwość spostrzeżono u wielu niższych organizmów zwierzęcych, np. u t. zw. Pelomyxy, która przedstawia ustrój jednokomórkowy, amebowaty, t. j. przedstawiający nieregularny kłaczek protoplazmy wewnątrz z jądrem. Otóż Pelomyxa, znajdując się w ciemności, wykonywa bardzo energiczne ruchy: to wyciąga, to wciąga wypustki swego ciała i tym sposobem pełza. Jeśli jednak wystawimy Pelomyxę na działanie światła, wciąga ona wszystkie wypustki i przeobraża się w ciało kuliste, nieruchome.

Jeszcze ciekawsze są ruchy komórek roślinnych i zwierzęcych, odbywające się w pewnym określonym kierunku, a mianowicie w kierunku padających promieni światła. Znane są np. w tym względzie interesujące doświadczenia Stahla ¹⁾, oraz rodaka naszego Strassburgera ²⁾, nad ruchami zarodników różnych wodorostów. Zarodniki te są to komórki, swobodnie w wodzie pływające, są one zwykle owalnie podługne, a na jednym z końców opatrzone szczególnymi włoskami, t. zw. rzęsami, które mają zdolność energicznego poruszania się i przez to działają jak wiosła i wprowadzają w ruch całą komórkę. Otóż, te swobodnie w wodzie pływające zarodniki roślinne ulegają w wysokim stopniu wpływowi światła. Stahl wyraża w następujących słowach odnośne spostrzeżenia swoje: „Światło wywiera wpływ kierujący na ciało zarodników w ten sposób, że ich oś podłużna staje mniej więcej w kierunku promienia świetlnego, przyczem koniec, noszący rzęsy, albo się zwraca do źródła światła, albo też odwraca się od niego. Przy po-

¹⁾ E. Stahl: „Ueber den Einfluss von Richtung und Stärke der Beleuchtung auf einige Bewegungserscheinungen im Pflanzenreiche.” „Botanische Zeitung.” 1880. Rocznik 38.

²⁾ E. Strassburger. „Einfluss des Lichtes und der Wärme auf die Schwärmporen.” 1878.

zostałych warunkach niezmienionych zarodniki układają się to w tym, to w tamtym kierunku. Największy wpływ na układ ich wywiera natężenie światła. Przy bardziej natężonym świetle zarodniki zwracają swój biegun opatrzone rzęsami od źródła światła i oddalają się od niego; przy słabszym zaś świetle zwracają się one do źródła światła." Słynny botanik Naegeli wykonał następujące, proste, a ciekawe doświadczenie. Rurkę szklaną, mającą kilka stóp długości, napelnił wodą, w której pływały liczne zarodniki pewnego gatunku wodorostu. Następnie rurkę owinał czarnym papierem, z wyjątkiem dolnego końca, na który padało światło; otóż po kilku godzinach wszystkie zarodniki zebrały się w tej dolnej, niezastłnionej części rurki; gdy zaś później zastłniono całą rurkę, z wyjątkiem górnej części, wszystkie zarodniki wypłynęły ku górze i zajęły znów niezastłniony górny oddział rurki — oczywisty dowód wrażliwości na światło.

Nader ciekawe są także ruchy pewnych tworów, zawartych wewnątrz protoplazmy komórek roślinnych, pod wpływem światła, np. ruchy ziarenek t. zw. zieleni czyli chlorofilu. Zielona barwa roślin pochodzi, jak wiadomo stąd, że w protoplaźmie komórek roślinnych znajdują się gałeczki t. zw. zieleni, drobne ziarenka lub blaszki barwy zielonej. Otóż przekonano się (Sachs, Stahl, Frank), że te gałeczki chlorofilowe wykonywają pewne określone ruchy pod wpływem bodźca świetlnego. A mianowicie, każdy może z łatwością wykonać następujące doświadczenie. Jeśli na liściu, wystawionym na bezpośrednie działanie promieni słońca, umieścimy w pewnym miejscu pasek papieru, spostrzeżemy po pewnym czasie, że w miejscu zacienionem (t. j. pokrytem przez papier) liść będzie miał barwę znacznie ciemniejszą, a mianowicie ciemno-zieloną, na ogólnem tle liścia — jasno-zielonem. Otóż, badania mikroskopowe wykazują, że ta zmiana ubarwienia wywołwana jest przez szczególny ruch, jaki odbywa protoplasma wraz z zawartymi w niej gałeczkami zieleni pod wpływem promieni słonecznych; gdy promienie te padają na powierzchnię liścia, gałeczki układają się przy bocznych ściankach komórek, w cieniu zaś zajmują one położenie wprost przeciwne, układają się przy powierzchni zewnętrznej liścia i dlatego też liść ma wtedy silniejszą, ciemniejszą barwę zieloną.

Bardzo analogiczny wpływ światła znajdujemy w ruchach t. zw. komórek barwnikowych u zwierząt; barwa skóry zwierząt, np. żaby, kameleona i t. p. zależy od obecności w skórze szczególnych komórek, zawierających w protoplaźmie swojej rozmaicie zabarwione ziarenka. Te to komórki barwnikowe są bardzo wrażliwe na światło, i pod wpływem jego wciągają wszystkie swoje wyrostki (których zazwyczaj wiele mają) i kurczą się bardzo. Otóż wiadomo, że liczne zwierzęta, jak np. pospolita zielona żabka drzewna, czyli t. zw. rzekotka, mają zdol-

ność do zmiany ubarwienia: na słońcu przybierają barwę jaśniejszą, w cieniu stają się ciemniejsze; dzieje się to mianowicie dlatego, że pod wpływem światła komórki, zawierające np. barwik zielony w swej protoplazmie, kurczą się bardzo, wskutek czego pomiędzy jedną komórką a drugą pozostaje znaczna przestrzeń, niezajęta przez zielono zabarwione komórki, słowem, ilość zabarwionych punktów na skórze zmniejsza się i dlatego barwa skóry staje się jaśniejszą; przeciwnie zaś, w cieniu komórki barwnikowe rozszerzają się, wyciągają liczne wypustki i wypustki swego ciała, przerwy pomiędzy nimi zmniejszają się, na skórze występuje zatem znacznie większa ilość punktów zabarwionych, barwa skóry musi się wydać ciemniejszą.

Z przytoczonych tu przykładów widzimy zatem, że tak protoplazma roślinna, jak i zwierzęca, jest wrażliwą na działanie światła i wykonywa pod wpływem bodźców świetlnych pewne ruchy określone. Zobaczymy, że i ze względu na inne bodźce, znajdujemy wielkie podobieństwo w zachowywaniu się protoplazmy, czyli tego najważniejszego podścieliska życia roślin i zwierząt. Bardzo ciekawe jest działanie bodźców chemicznych.

Nadzwyczaj wyraźny i znaczny wpływ wywierają na protoplazmę różne t. zw. środki znieczulające, czyli „anästhetica”, jak np. chloroform, morfina, chloral-hydrat i t. p. Środki wyżej wspomniane nie tylko działają na układ nerwowy czyli na protoplazmę nerwowych komórek i ich włókien, ale wywierają one również działanie na wszelką wogóle protoplazmę zwierzęcą i roślinną. Komórki nerwowe podlegają najłatwiej wpływowi tych środków znieczulających i gdy chloroformuje się np. człowieka, chodzi tylko o znieczulenie komórek nerwowych, będących siedliskiem świadomości; przy zbyt silnem zaś działaniu chloroformu, mogło-by nastąpić znieczulenie protoplazmy komórkowej innych także tkanek ciała i zawieszenie czynności życiowych. Kilka przykładów, które przytoczymy, przekonają nas o tem, że i protoplazmę roślinną można „chloroformować”, t. j. znieczulać ją pod wpływem chloroformu. Najbardziej uderzający przykład pod tym względem przedstawia nam wspomniany już wyżej czulek (*Mimosa*). Wiadomo nam, że pod wpływem różnych bodźców mechanicznych czulek wykonywa swoiste ruchy listeczkami i liśćmi swemi. Otóż, jak to po raz pierwszy pokazał Claude Bernard, jeśli czulek, znajdujący się w pełni pobudliwości, umieścimy pod kloszem szklanym, pod który podłożymy także kawałek gąbki, nasycony chloroformem, to już po przeciągu pół godziny pary chloroformu znieczulą tak dalece protoplazmę komórek czulka, że po odjęciu klosza, będziemy mogli dotykać i nawet silnie przyciskać liście czulka, a nie odpowiedzą one na to żadnym ruchem, zupełnie tak samo, jak znieczulone chloroformem zwierzę można krajać

i drażnić bez wywołania żadnego odruchu. Że jednak protoplazma czułka nie została zabita przez pary chloroformu, lecz tylko znieczuloną, dowodzi tego fakt, że po pewnym czasie, gdy czułek znajduje się na świeżem powietrzu i gdy wpływ chloroformu przechodzi, pobudliwość rośliny powraca znów do pierwotnego stanu.

Inny, ciekawy przykład znieczulania komórek roślinnych pod wpływem chloroformu tyczy się grzybków fermentacyjnych: *Saccharomyces cerevisiae*, jak to pokazał Claude Bernard. Wiadomo mianowicie, że grzybek ten (tworzący drożdże piwne), umieszczony w roztworze cukru, wywołuje fermentację alkoholową, rozkładając cukier na tlen, którym grzybki oddychają, na alkohol, oraz na dwutlenek węgla, pęcherzykami się wydzielający. Otóż Claude Bernard dodawał nieco chloroformu do roztworu cukru, w którym odbywała się fermentacja, a natychmiast ta ostatnia ustawała, co można było spostrzedz po tem, iż pęcherzyki dwutlenku węgla przestawały się wydzielać. Gdy następnie grzybki zostały z płynu przefiltrowane, opłótkane czystą wodą i znów w czystym roztworze cukru umieszczone, fermentacja rozpoczynała się na nowo. Widzimy więc, że w tym wypadku znieczulenie grzybków fermentacyjnych przez chloroform objawia się przez utratę zdolności przeobrażania cukru na alkohol i dwutlenek węgla.

Bardzo ciekawy szereg doświadczeń tyczy się wpływu chemicznego różnych ciał na *kierunek* ruchu komórek, co znane jest w nauce pod nazwą chemotropizmu lub chemotaxii. Nadzwyczajną czułość okazują pod tym względem plasmodya grzybów śluzowych, o których wyżej była już mowa. Masa protoplazmatyczna takiego śluzowatego plasmodyum, pełzającego po podłożu, odczuwa jakby doskonale obecność substancji, które mogą jej służyć za pokarm, oraz obecność ciał szkodliwych, które umie ona doskonale omijać. Stahl ¹⁾ przekonał się, że jeśli np. plasmodyum spoczywa na wilgotnej bibule i jeśli na krawędzi tej masy protoplazmatycznej umieścimy kryształek soli kuchennej lub saletry, albo też kropelkę gliceryny, to można wtedy widzieć, jak w miarę rozchodzenia się cieczy po bibule i stykania się jej z coraz większą powierzchnią plasmodyum, to ostatnie kurczy się we wszystkich punktach, w których styka się z ową cieczą, jako bodziec chemiczny działający, i przesuwają się w te okolice bibuły, które wolne są jeszcze od drażniącej substancji.

Znany fizyolog-botanik niemiecki, Pfeffer ²⁾, wykonał znów inny szereg doświadczeń, wielce interesujących. Wykazał on mianowicie,

¹⁾ E. Stahl. „Zur Biologie der Myxomyceten.” „Botan. Zeitung.” 1884.

²⁾ W. Pfeffer. „Ueber chemotactische Bewegungen von Bakterien, Flagellanten, Volvocineen Untersuchungen aus dem botanischen Institut zu Tübingen.” Bd. II.

że rozmaite niższe, swobodnie się poruszające organizmy, tak roślinne, jako też zwierzęce, złożone z jednej komórki (jednokomórkowe), wykonują ruchy w pewnym ściśle określonym kierunku pod wpływem bodźców chemicznych; wykazał to mianowicie na nitkach nasiennych pewnych roślin (paproci, mchów), na bakterjach, na t. zw. wiciowcach oraz na wymoczkach (Infusoria).

Pfeffer wykonywał w następujący sposób słynne swe doświadczenia, które w swoim czasie w wysokim stopniu zainteresowały świat naukowy. Brał on cienkie, włoskowate rurki szklane, na górnym końcu zalutowane, na dolnym otwarte i opatrzone bardzo wązkim otworkiem, wypełnione do jednej trzeciej lub do połowy cieczą, która miała działać jako bodziec chemiczny. Jeśli np. taką rurkę, napełnioną słabym roztworem kwasu jabłkowego, wprowadził dolnym końcem do kropli wody, w której pływały liczne nitki nasienne paproci, spostrzegł, że z chwilą zetknięcia się kwasu z wodą nitki nasienne zaczęły przypływać w kierunku ku otworowi rurki szklanej i stopniowo przenikać do wnętrza tej ostatniej, słowem, dążyły do kwasu o coraz większej koncentracji; po kilku lub kilkunastu minutach można już było przy słabem powiększeniu mikroskopowem spostrzedz wiele set nitek wewnątrz rurki, a po pewnym czasie wszystkie prawie znajdowały się już wewnątrz tej ostatniej. Pfeffer przekonał się przytem, że im bardziej roztwór kwasu jest stężony, tem silniej działa jako bodziec przyciągający, ale tylko do pewnego stopnia, do pewnej granicy; jeśli koncentracja tę granicę przekracza, przyciąganie zaczyna się zmniejszać, a wreszcie następuje chwila, w której zjawia się już t. zw. ujemny chemotropizm, t. j. roztwór zaczyna działać odpychająco na ustroje, które też oddalają się od niego. Pfeffer przekonał się, że różne ciała chemiczne zachowują się odmiennie względem różnych ustrojów; tak np. wyżej wzmiankowany kwas jabłkowy, który wywiera przyciągający wpływ na nitki nasienne paproci, nie działa wcale na nitki nasienne mchów, — na te ostatnie zaś działa, jako pobudzający środek chemotropijny, cukier trzcinowy 0.1% roztworu. Dalej znów 1% roztwór ekstraktu mięsnego lub asparaginy działa w wysokim stopniu przyciągająco na pewne bakterye i inne ustroje jednokomórkowe. Zupełnie analogiczne zjawiska wykryto w ostatnich czasach we względzie bezbarwnych ciałek krwi oraz t. zw. komórek wędrujących (leukocyty) u człowieka i zwierząt. Przekonano się, że protoplazma tych komórek odznacza się w wysokim stopniu hemotaksją, że pewne substancje chemiczne wywierają na nie wpływ przyciągający, inne znów działają wprost przeciwnie, co dla patologii i terapii może mieć ogromne znaczenie, gdy procesy te zostaną bliżej poznane i zbada-
dane.

Zbytecznem-by było, sądzę, gdybym pomnażał jeszcze przykłady, dowodzące, iż protoplazma roślinna i zwierzęca jest pobudliwa, jest wrażliwa na różnego rodzaju bodźce świata zwierzęcego i w rozmaity sposób na nie odpowiada, czyli, jak się wyrażamy naukowo, reaguje. Rozpatrzyliśmy wprawdzie dla przykładu tylko wpływ bodźców świetlnych i chemicznych, ale podobne, liczne bardzo i równie uderzające przykłady moglibyśmy przytoczyć także i co do bodźców cieplnych (termiczne), elektrycznych, mechanicznych i t. p. Słowem, okazuje się, że protoplazmie roślinnej i zwierzęcej właściwym jest wogóle znaczny bardzo stopień pobudliwości (*irritabilitas*), będącej najpierwszym związkiem i najprostszym przejawem czucia, właściwego wyższemu ustrojowi zwierzęcemu, obdarzonemu już układem nerwowym. Że zaś protoplazma jest najważniejszym podścieliskiem życia, gdyż czynności, w niej się odbywające, warunkują funkcje fizjologiczne całego ustroju, z wielu komórek złożonego, rzecz oczywista, że stwierdzenie owej pobudliwości w protoplazmie komórek, tak roślinnych, jako też zwierzęcych, rzuca niezmiernie ważne światło na stosunek wzajemny obu państw jestestw żyjących i pokazuje, że ta najważniejsza granica, jaką upatrywał jeszcze Linneusz, w zasadzie nie istnieje i że występują tylko pod tym względem różnice natury ilościowej, które u ustrojów najprostszych zupełnie się zresztą zacierają. To też słusznie i trafnie wyraża się znakomity botanik współczesny, prof. Sachs: „Niejednokrotnie wskazywałem podobieństwo objawów pobudliwości (*Reizerscheinungen*) w państwie roślinnem do tychże objawów w ciele zwierzęcem, a dotykałem przeto dziedziny badań, która dotychczas za mało jeszcze jest uprawiana. Można-by powiedzieć, że w ostatniej instancji we wszystkich punktach zasadniczych, do których należą także zjawiska pobudliwości, ciała rośliny i zwierzęcia okazują z konieczności zgodność, ponieważ faktem jest, iż organizm zwierzęcy buduje się całkowicie z substancji organicznych, będących produktami roślin, a we własnościach substancji tych szukać przecież należy wyjaśnienia wszelkich czynności życiowych tak roślin, jako też zwierząt. Jeśli nie tylko zwierzę, ale nawet człowiek jest zdolny odżywiać się ziarnami i bulwami roślin, a substancja ciała ludzkiego, przez to pożywienie wytworzona, może odbierać wszelkie wrażenia zmysłowe, wykonywać ruchy peryodyczne serca i spełniać wreszcie czynności układu nerwowego, a nawet mózgu, to musimy to wszystko sprowadzić do własności tych substancji, które powstają w roślinie z ciał mineralnych, wody i kwasu węglanego pod wpływem promieni słońca” ¹⁾).

¹⁾ Sachs. „Vorlesungen über Pflanzenphysiologie.” 1882.

Prawdopodobnie już Linneusz, określając rośliny: „crescunt et vivunt”, a zwierzęta: „crescunt, vivunt et sentiunt”, pojmował, że „sensitive”, t. j. zdolność czucia, nie wystarcza, gdy chodzi o odróżnienie rośliny od zwierzęcia. Na tej samej bowiem stronicy swojej „Philosophia botanica” wyjaśnia on bliżej różnice pomiędzy światem zwierząt i roślin następującymi słowami, które powtarza za współczesnym mu botanikiem prof. Ludwigiem z Lipska: „Ciała naturalne tej samej zawsze postaci i obdarzone zdolnością ruchu (*locomotivitate*) zwą się zwierzętami, ciała zaś tej samej zawsze postaci, lecz pozbawione zdolności ruchu, zwą się roślinami.” Czy zdolność do ruchu lub brak jej stanowi jednak ściśle naukowe kryterium, gdy chodzi o odróżnienie ustroju roślinnego i zwierzęcego? Bynajmniej ¹⁾.

Już wyżej, mówiąc o pobudliwości protoplazmy roślinnej, widzieliśmy, że najczęściej objawia się ona pewnym odruchem; widzieliśmy, że plasmodyum grzybów śluzowych pełza po podłożu, że nitki nasienne i zarodniki różnych niższych roślin pływają swobodnie w wodzie i t. p. Wogóle ruchy niższych, jednokomórkowych organizmów roślinnych i zwierzęcych odbywają się w bardzo podobny sposób i za pomocą bardzo podobnych mechanizmów. Ustroje roślinne i zwierzęce, które mają t. zw. amebowatą postać, t. j. składają się z kłaczka protoplazmy o nieregularnych zarysach (np. ze zwierząt: ameby lub korzenionogi, z roślin—plasmodya śluzowców), poruszają się w taki sposób, iż wyciągają szczególne wyrostki, wypustki, zlewające się miejscami w sieci protoplazmatyczne; wypustki te przytwierdzają się do podłoża, poczem kurczą się, a całe ciało przelewa się jakby w kierunku tych wyrostków. Inne ustroje (np. ze zwierząt: wymoczki i wiciowce, z roślin—niektóre wodorosty, zwłaszcza zaś zarodniki ich, oraz nitki nasienne mchów i t. p.) poruszają się za pomocą cienkich bardzo, ale już stałych wyrostków protoplazmatycznych, mających postać włosków, czyli t. zw. rzęs lub też biczyków; owe nitkowate wyrostki są mniej lub więcej sztywne, albo też wiotkie, wykonywają pewne ruchy i działają przeto jak wioselka, poruszające w wodzie całą komórkę. Słowem, pod względem zdolności do ruchu samodzielnego niepodobna przeprowadzić granicy pomiędzy niższymi ustrojami roślinnymi a zwierzęcymi, i to było właśnie powodem, dla którego o wielu niższych organizmach przyrodnicy nie mogą orzec, czy są one roślinami lub zwierzętami, i przerzucają je to do jednego, to do drugiego królestwa jestestw żyjących ²⁾.

¹⁾ Por. ciekawe studium *Maza Verworna*: „Die Bewegung der lebendigen Substanz.” Jena, 1892. Str. 103. W wielu miejscach tej pracy autor wykazuje wielką zgodność objawów ruchowych w protoplazmie roślinnej i zwierzęcej.

²⁾ Niektórzy biologowie, jak słynny zoolog niemiecki, prof. Haeckel, nie mogą rozstrzygnąć, czy liczne grupy niższych organizmów są roślinami, czy też zwi-

Zdolność do ruchu właściwa jest nie tylko niższym roślinom, ale nawet u wyższych, jawnokwiatowych, tu i owdzie spotykamy się z jej objawami. Wspominaliśmy już wyżej o ruchach, wykonywanych przez liście czulka, o ruchach pręcików niektórych roślin, o ruchach, które wykonywają gruczołowe włoski na liściach rosiczki, gdy podrażnione zostają przez owady i t. p. Wszelako wszystkie te ruchy wykonywają rośliny pod wpływem jakiegobądź bodźca zewnętrznego; ruchy te, można-by więc przez analogię do pewnych ruchów zwierzęcych, odbywających się również pod wpływem bodźców zewnętrznych, oznaczyć nazwą odruchów czyli refleksów.

Daleko jednak ciekawsze są te ruchy wyższych roślin, które nie odbywają się pod wpływem widocznego jakiegos pobudzenia, ale zupełnie jakby samoistnie. Mam tu na myśli interesujące i w podziw wprowadzające botaników ruchy *wahadlika* (*Hedysarum gyrans*), rośliny krajów zwrotnikowych, należącej do rodziny motylkowych. Liście *wahadlika* są długoogonkowe i składają się z jednego większego liścia na końcu ogonka i z dwóch mniejszych, osadzonych niżej i naprzeciwko siebie. Otóż w ciągu dnia ogonek wraz z liściem większym wykonywa bezustannie powolne ruchy wahadłowe, to się opuszcza, to znów się podnosi, to nieco szybciej, to znów nieco wolniej. Natomiast listki boczne w dzień i w nocy wykonywają ruchy kołowe z przestankami, w ten sposób, iż wierzchołek każdego listka opisuje koło. Podobne ruchy z przestankami wykonywa wargą miodowa niektórych storczyków zwrotnikowych (np. *Megaclinium falcatum*) i t. p. Liście szczawika, koniczyzny, akacyi i innych roślin wykonywają w ciemności (stałej) pewne ruchy bezustanne, a mianowicie, ich organa ruchowe zginają się powoli to do góry, to na dół. Ruchy podobne są nadzwyczajnie interesujące. Sachs ¹⁾ słusznie bardzo powiada, że jakkolwiek pozornie odbywają się one bez żadnej przyczyny, t. j. niezależnie od jakiegokol-

rządami, proponowali utworzenie królestwa trzeciego, t. zw. królestwa protistów (Protistenreich), do którego miały-by należeć wszystkie te niższe ustroje, które łączą w sobie cechy roślin i zwierząt. Nie dało to atoli żadnego rezultatu; pod względem naukowym podział taki, jako bardzo sztuczny, nie wytrzymał krytyki, pod względem zaś praktycznym okazał się również nieodpowiednim i jeszcze bardziej utrudnił systematykę jestestw żyjących. Gdy bowiem przedtem trudność polegała tylko na tem, czy dane istoty są zwierzętami, czy roślinami, to później zjawiły się kwestye, czy dane grupy zaliczyć do zwierząt, czy do roślin, czy wreszcie do pierwotniaków. Podział Haeckla nie został też przyjęty przez innych uczonych. Wskazuje to w każdym razie dobitnie, jak trudnem jest odgraniczenie roślin od zwierząt i jak nieznacznie i stopniowo różnice pomiędzy niemi niwelują się, gdy od wyższych ku coraz niższym przechodzimy ustrojom.

¹⁾ l. c. str. 735.

wiekbądź bodźca, to jednak musimy je uważać za wynik pobudliwości protoplazmy, za wywołane jakimś bodźcami wewnętrznymi, podobnie jak np. pulsacye serca u zwierząt nie odbywają się pod wpływem bodźców zewnętrznych, a jednak w zależności od pewnych pobudzeń wewnętrznych, mających swe siedlisko w komórkach ośrodków nerwowych. Wreszcie należy jeszcze uwzględnić i tę ważną okoliczność, że jak z jednej strony wielu roślinom właściwa jest zdolność do ruchu, tak znów z drugiej liczne zwierzęta są jej pozbawione; za przykład takich zwierząt służyć mogą gąbki, które z powodu, iż przytwierdzają się nieruchomo do skał i innych przedmiotów podwodnych, uważane były przez długi czas za rośliny, jakkolwiek wszystkie inne cechy pokazują najwyraźniej, że są to ustroje zwierzęce (obecność przewodu pokarmowego, otworów, któremi pokarm przenika do jamy trawiennej i otworów, któremi wyrzucane są resztki niestrawione, i t. d., i t. d.).

Trzecia grupa objawów, wyróżniających rośliny i zwierzęta, dotyczy się sposobu odżywiania. W ogólności istnieje pod tym względem uderzająca różnica pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym, ale i ta różnica, jak to niżej zobaczymy, nie jest bezwzględna i obustronna a liczne wyjątki niwelują ją tak dalece, że nie mamy prawa uważać jej za zasadniczą.

Rośliny przyjmują pokarm mineralny: z ziemi pobierają one wodę i różne sole mineralne, z powietrza zaś tlen i węgiel. Zielone części roślin, a więc te, które zawierają chlorofil, przy działaniu promieni słońca mają własność pobierania z powietrza kwasu węglanego, czyli dwutlenku węgla, i rozkładania go na tlen i węgiel. Tlen ulatnia się w powietrze, a węgiel pozostaje we wnętrzu komórek zieleń zawierających, łączy się w ciele rośliny z wodorem, tlenem, azotem i t. d., i daje różne związki organiczne, jak skrobię czyli krochmal, cukier, błonnik, białka roślinne i t. d. Ta własność pobierania z powietrza węgla nosi nazwę przyswajania lub assymilacyi. Tak tedy rośliny mają zdolność wytwarzania w swem ciele substancyi organicznych. Zwierzę natomiast nie może się odżywiać w podobny sposób; ono musi otrzymywać pokarm w postaci gotowych już związków organicznych, które wytwarzają rośliny, karmi się ono skrobią, cukrem, białkami, tłuszczami i t. d., które pobiera w ostatniej instancyi w postaci pokarmów roślinnych (albowiem zwierzęta, które dostarczają innym pokarmu mięsnego, są same roślinożercami). Różnica ta sięga nawet jeszcze głębiej. Aby rozłożyć dwutlenek węgla na węgiel i tlen, i aby następnie związać węgiel z innymi pierwiastkami i wytworzyć cały szereg złożonych połączeń organicznych, które znajdujemy w roślinie, potrzeba na to zużyć wielką ilość energii (w znaczeniu fizycznym); otóż

tej energii dostarczają roślinom promienie słońca ciepła i światła swego. To też w połączeniach organicznych, wytworzonych w roślinie, związany jest wielki zapas energii, który, gdy się uwalnia, może znacznej dokonać pracy. Gdy jeden z pierwszych pociągów kolei żelaznej przebiegał równinę w okolicach Paryża, u pewnego słynnego botanika francuskiego zebrane było towarzystwo osób, które wybiegło na balkon, by podziwiać tryumf umysłu ludzkiego. Wtedy gospodarz zapytał: a czy wiecie, jaką siłą posuwa się ten rydwan pary? Odpowiedź brzmiała rozmaicie: siłą ognia, pary, wody, geniuszu Stefensona i t. p.; wtedy gospodarz ku wielkiemu zdziwieniu zebranych oświadczył, że siłą promieni słońca! Bo też rzeczywiście węgiel kamienny, nagromadzony w łonie ziemi, jest produktem roślinności, jaka niegdyś pokrywała ziemię naszą, a nagromadził się on w ciele roślin ówczesnych z kwasu węglanego powietrza pod wpływem promieni słońca; energia tych promieni związaną została w tych masach węglowych, zachowała się tam w utajeniu; przy spalaniu się zaś węgla, uwalnia się ona i przeobraża się w ciepło, to ostatnie zaś z kolei w pracę mechaniczną, wprowadzającą w ruch nasze maszyny parowe!

Zwierzę przyjmuje za pokarm gotowe związki organiczne, w których utajone są zapasy energii: ale związki te ulegają w ciele zwierzęcia spalaniu, wskutek procesu oddychania, a przy spalaniu się ich, podobnie jak przy spalaniu się drzewa lub węgla kamiennego, uwalnia się zapas utajonej energii i przeobraża się w inne postacie energii: w ciepło zwierzęce, w pracę mechaniczną (pracę mięśni) i t. d., i to jest właśnie źródło sił zwierzęcych.

Widzimy tedy, że w roślinie z ciał prostych powstają złożone związki organiczne, odbywa się w niej tedy praca syntetyczna, przy czem energia, dostarczana przez promienie słońca, wiąże się w ciele roślin w energię utajoną; u zwierząt naodwrot: gotowe związki organiczne, które zwierzę pobiera w postaci pokarmu, spalają się i rozkładają, przy czem energia utajona ujawnia się jako ciepło, praca mechaniczna, wykonywana przez zwierzę (ruch) i t. p. Różnica ta nie jest atoli bezwzględna; u roślin bowiem, obok procesów syntetycznych, odbywają się również pewne procesy analityczne, w ciele zaś zwierzęcem obok analitycznych—syntetyczne. U wielu zaś niższych roślin znajdujemy stosunki zupełnie takie same, jak u zwierząt.

A mianowicie: powiedzieliśmy, że assimilacja, czyli przyswajanie węgla z powietrza, odbywać się może tylko w zielonych częściach roślin; obecność zieleni, czyli chlorofilu, jest tedy nieodzownym warunkiem assimilacji. Tylko zatem rośliny zielone mają zdolność wytwarzania substancji organicznych w warsztatach swych komórek. Wiemy atoli, że istnieją liczne rośliny, jak np. pleśnie lub grzyby, które nie zawie-

rają wcale chlorofilu, otóż rośliny te nie mogą przyswajać sobie węgla, nie mogą drogą syntezy wytwarzać złożonych związków organicznych, lecz odżywiają się podobnie jak ustroje zwierzęce, t. j. karmią się substancjami organicznymi i żyją przeto na trupach roślinnych i zwierzęcych, lub też jako pasorzyty na żywych roślinach lub zwierzętach; to też grzyby, pleśnie i t. p., osiedlają się zawsze na gnijących roślinach, na chlebie, na różnych butwiejących substancjach i t. p., lub też czerpią soki z żywych organizmów. Są jednak takie pasorzyty, które, pomimo iż żyją na innych roślinach, posiadają wszakże chlorofil, jak np. jemiola; w tych wypadkach pasorzyt czerpać może z rośliny, na której żyje, tylko wodę i sole mineralne, ale być bardzo może, że czerpie też do pewnego stopnia i substancje organiczne, jakkolwiek zapewne w nader małej ilości, albowiem, posiadając chlorofil, czerpie z powietrza zapasy węgla, do budowy związków organicznych niezbędne. Najciekawszy atoli przykład roślin, które, posiadając zieleń, odżywiać się także mogą gotowym pokarmem organicznym i, co ciekawsze, pokarmem mięsnym, przedstawiają t. zw. rośliny owadożerne, jak np. rośiczka, o której wyżej była mowa, muchołówka i t. p. Uderzające i różnorodne urządzenia, służące u tych roślin do pobierania pokarmu organicznego, oddawna zwracały już na siebie uwagę wielu przyrodników. Rośliny owadożerne, jako posiadające chlorofil, mogą się wprawdzie obejść bez pokarmu organicznego, ale przekonano się, że pokarm ten korzystnie wpływa na wzrost ich, że pobieranie pokarmu organicznego, jakkolwiek nie jest niezbędne, przynosi im jednak widoczną korzyść, a dziwić się należy rzeczywiście, jak to słusznie zaznacza prof. Sachs w swojej fizjologii roślin, że tak liczne i wielkie istnieją przystosowania w świecie roślinnym, mające na celu procesy, które nie stanowią koniecznego warunku bytu dla roślin. Kilka przytoczymy przykładów, które wyjaśnią nam czynności roślin owadożernych. Tak np. muchołówka (*Dionaea muscipula*) jest małą roślinką, zamieszkującą bagniste okolice północnej i południowej Karoliny; liście tej rośliny ułożone są w rozetkę. Każdy liść posiada długi ogonek, a blaszka składa się z dwóch połówek, które wzdłuż środkowej podłużnej żyłki (t. zw. nerwu głównego) mogą się ku sobie nachylać i składać, jak dwie połowy księgi. Na wewnętrznej powierzchni każdej z połów blaszki liściowej znajdują się trzy delikatne szczecinki, odznaczające się wielką drażliwością. Gdy owad jaki staje na powierzchni blaszki liściowej i dotyka jednego z włosków, wnet się obie połówki składają i chwytają ofiarę; prócz tego na zewnętrznej krawędzi każdej z połówek znajdują się długie wyrostki, nakszałt szczeciastych ząbków; gdy się obie połowy blaszki składają, ząbki jednej połowy wchodzą pomiędzy ząbki drugiej i w ten sposób dopomagają do szczelnego zamknięcia

Gdy owad został schwytany, wtedy liczne gruczołki, pokrywające wewnętrzną powierzchnię blaszki, wydzielają ciecz, sok trawiący, która rozpuszcza i trawi ciało owada; sok ten zawiera kwas oraz ferment, mający własność przeobrażania białek (najważniejszych składników mięśni i innych organów zwierzęcych) w t. zw. peptony, t. j. w rozpuszczalne białka, które mogą być łatwo wessane; pod tym względem działanie tego soku trawiącego mucholówki podobne jest bardzo do działania soku żołądkowego zwierząt, który również zawiera kwas (kwas solny) oraz t. zw. pepsynę, ferment, mający własność przeobrażania białka w peptony. Już w cztery lub sześć dni, po schwytaniu kilku wielkich owadów, zostają one strawione, wszystkie części miękkie, soczyste ciała ulegają wessaniu, a pozostają tylko niestrawne, twarde części chitynowe, które po rozwarciu się liścia zostają przez wiatr zdmuchnięte. Darwin i Sachs spostrzegli, że rośliny, którym dostarcza się od czasu do czasu takiego pokarmu mięsnego, bardzo zdrowo i dobrze rosną i dochodzą do znacznie większych rozmiarów, aniżeli te, którym przeszkadza się przyjmować pokarm taki; osobniki, pokryte siateczką metalową, a do których tem samem owady nie miały dostępu, pozostawały małe i po większej części nie wydawały kwiatów.

Inne rośliny owadożerne mają znów innego rodzaju urządzenia, służące do chwytania i trawienia owadów. Np. powszechnie znany dzbanecznik (*Nepenthes*), roślina dziko rosnąca na Madagaskarze, Ceylonie i wogóle w Azji południowo-wschodniej, liście ma opatrzone długimi bardzo ogonkami, a blaszką liściową przeobrażoną w rodzaj dzbanka głębokiego, w którego dolnej części wydziela się sok trawiący. Owady, zwabione miodem, wydzielającym się na krawędzi dzbanka, przylatują w wielkiej ilości, zsuwają się po gładkich jak szkło ścianach dzbanka na dół i tam wpadają do zebranej cieczy, w której zamierają, zostają strawione przez ściany dzbankowatego liścia i wessane.

Kilka przytoczonych wyżej przykładów pokazuje nam, że zdolność trawienia pokarmu mięsnego i wogóle odżywiania się pokarmem organicznym nie jest wyłącznie własnością zwierząt, lecz że i rośliny w znacznej mierze ją posiadają.

Tak więc ani własność czucia—to najważniejsze, zdawało-by się, kryterium, wyróżniające zwierzęta od roślin, ani własność ruchu, ani wreszcie sposób odżywiania się, nie mogą służyć za cechy, bezwzględnie ograniczające świat roślinny od zwierzęcego.

Wskazywano inne jeszcze cechy, które odróżniać miały jakoby dwa wielkie państwa istot żyjących, ale wszystkie, w miarę postępu nauki, okazywały się niepewnymi i niezupełnymi. Sądzone np. przez długi czas, że t. zw. błonnik (*cellulosa*), który wchodzi w skład błon

komórek roślinnych, jest ciałem, wyłącznie tylko roślinom właściwem; później atoli wykryto obecność tej substancji w kilku wypadkach i w ciele zwierzęcem; np. t. zw. osłonice (Tunicata), ustroje zwierzęce wysokiej stosunkowo organizacyi, okryte są z zewnątrz t. zw. płaszczem, który jest wytworem ich skóry i zawiera znaczną bardzo ilość błonnika.

W ostatnich kilku latach zwrócono uwagę na kilka faktów biologicznych, jeszcze bardziej utwierdzających nas w przekonaniu, że zasadnicze granice pomiędzy obydwoma państwami organizmów nie istnieją. Mam na myśli ciekawe spostrzeżenia Loeba nad heliotropizmem i geotropizmem zwierząt, badania Geddesa, Entza i Brandta nad ciałkami chlorofilowemi u zwierząt i wreszcie wyniki badań zoologów i botaników co do identyczności procesów rozmnażania się komórek roślinnych i zwierzęcych.

Loeb ¹⁾ w szeregu wielce interesujących prac wykazał doświadczalnie, że pewne zjawiska, które uważano dotychczas za właściwe wyłącznie roślinom, odbywają się także u zwierząt. Tyczy się to mianowicie t. zw. heliotropizmu i geotropizmu. Pod heliotropizmem pojmujemy własność roślin wyginania pędów swoich w stronę słońca lub odwrotnie; każdy zapewne, kto kwiaty w mieszkaniu hodował, zauważył, iż rośliny doniczkowe, stojące na oknie lub w pobliżu jego, wyginają się, skrzywiają w szczególny sposób, najczęściej wklęsłością ku światłu, wypukłością w stronę pokoju. Heliotropizm polega bezwątpienia na szczególnej wrażliwości protoplazmy komórek roślinnych na bodziec świetlny i należy dlatego do kategorii zjawisk, któreśmy już właściwie rozpatrzyli. Otóż Loeb spostrzegł i doświadczalnie wykazał, że liczne ruchy zwierzęce, uważane dotąd za wynik woli, odbywają się mechanicznie, pod wpływem światła, słowem tak, jak ruchy heliotropijne roślin, pozbawionych także woli; pokazał on również, że zwierzęta, przytwierdzone do gruntu, np. niektóre jamochłonne, wyginają jedne części ciała w kierunku do światła, inne w przeciwnym kierunku, podobnie jak to widzimy u roślin. Geotropizm roślin polega znów na tem, że jedne organa rośliny, a mianowicie pędy (łodyga i jej gałęzie) dążą w swym wzroście w kierunku, przeciwnym kierunkowi przyciągania ziemi, inne zaś, a mianowicie korzenie, dążą w swym wzroście w kierunku wprost odwrotnym; wiadomo bowiem, że w jakikolwiek-

¹⁾ J. Loeb. „Der Heliotropismus der Thiere und seine Uebereinstimmung mit dem Heliotropismus der Pflanzen.” Würzburg 1890. — Idem. „Weitere Untersuchungen über den Heliotropismus der Thiere.” „Pflügers Archiv.” Bd. XLVIII. 1890. — Porównaj też J. Nussbaum. „O heliotropizmie i geotropizmie u zwierząt” we „Wszechświecie”, r. 1891.

bądź sposób ziarno na ziemię rzucimy, zawiązek korzonka zawsze skieruje się na dół, zawiązek pędu—ku górze, a nawet, gdy doniczkę z rośliną umieścimy dnem do góry, spostrzeżemy po pewnym czasie, że łodyga, sztucznie na dół zwrócona, zagnie się pod kątem i do góry się skieruje, korzeń zaś, zwrócony sztucznie do góry, zagnie się również i skieruje na dół. Otóż zupełnie analogiczne zjawiska znalazł Loeb u zwierząt, spostrzegł mianowicie, że wzrost pewnych części ciała zwierzęcego odbywa się w zależności od siły ciężenia i że pewne zwierzęta odbywają ruchy niczem nieprzeparte w kierunku działania siły przyciągania ziemskiego, lub w odwrotnym. Fakta podobne wskazują wielką zgodność ogólnych objawów życiowych u roślin i zwierząt.

Inny znów szereg ciekawych odkryć lat ostatnich tyczy się obecności ciałek chlorofilowych w ciele wielu niższych zwierząt. A mianowicie: u wielu gąbek, u hydry oraz u niektórych robaków i u radiolaryi (morskie ustroje, należące do pierwotniaków) znaleziono kulki i ziarna zielone, zawierające chlorofil, zupełnie identyczny z chlorofilem roślinnym; przekonano się dalej (Brandt, G. Entz), że dzięki obecności tego chlorofilu ustroje zwierzęce mogą przyswajać sobie z powietrza węgiel, zupełnie tak samo, jak chlorofilowe rośliny zielone. Z początku sądzono, że te kulki i ziarna chlorofilu są wytworem samych zwierząt, w których się napotykają; później atoli przekonano się, że w największej liczbie wypadków (a może zawsze) ciała chlorofilowe w ciele zwierząt są samodzielnymi, jednokomórkowymi organizmami roślinnymi (należącymi do grupy wodorostów), które tylko osiedlają się w ciele zwierzęcem, i że na tej spółce życiowej zyskują tak zwierzęta, jakoteż roślinki, w nich osiedlone; w zamian za kwas węglany oraz mineralne części pokarmowe, znajdujące w obfitości w protoplaźmie zwierząt, wodorosty dostarczają ze swej strony tym ostatnim tlenu, a w części także substancji organicznych, w nich się wytwarzających. Ta spółka zwierząt z roślinami jest dla nas z tego względu wielce ciekawa, iż przypomina spółkę wzajemną niektórych roślin chlorofilowych, a mianowicie pewnych wodorostów, z roślinami pozbawionymi chlorofilu, należącymi do grzybów; te-to w spółce wzajemnej żyjące ustroje roślinne zwą się liszajami albo porostami (Lichenes) i należą do najpospolitszych roślin, tarczowato lub w postaci zwieszających się włosów pokrywające pnie drzewne, parkany, skały i t. p. Fakta wyżej przytoczone są naturalnie nowym dowodem podobieństwa objawów życiowych u obu wielkich królestw jestestw organicznych.

Widzieliśmy, że pomiędzy życiem komórki roślinnej i zwierzęcej pod względem wielu zasadniczych punktów zachodzi nadzwyczajne podobieństwo, widzieliśmy między innemi, że pobudliwość i zdolność do ruchu jest wspólną protoplaźmie zwierzęcej i roślinnej. Ale oto

w ostatnich latach przekonano się także, że ważny proces rozmnażania odbywa się również prawie identycznie w komórkach zwierzęcych i roślinnych. Przy rozmnażaniu się komórek, czyli dzieleniu się ich na komórki potomne, odegrywa najważniejszą rolę jądro komórkowe (ciałko, zawarte wewnątrz protoplazmy), które podlega podczas podziału pewnym bardzo swoistym przemianom, znanym pod nazwą karyokinezy. Otóż proces ten odbywa się w sposób zupełnie prawie jednakowy u ustrojów roślinnych i zwierzęcych, jak to wykazał szereg ważnych badań lat ostatnich.

Jeśli więc zważymy, że najogólniejsze objawy życiowe, jakimi są: wzrost, odżywianie się, oddychanie, rozmnażanie się, starzenie się i śmierć organiczna — są wspólne jestestwom roślinnym i zwierzęcym, a dalej, że te objawy, które uważane były za wyróżniające jedno królestwo od drugiego, jak czucie, ruch, sposób odżywiania się i t. p., odbywają się również w zasadzie jednakowo, a przynajmniej tak, że nie daje się pomiędzy nimi przeprowadzić ścisła granica, zwłaszcza gdy od wyższych do coraz niższych przechodzić będziemy ustrojów,—zmuszeni będziemy przyznać, że ścisła linia demarkacyjna pomiędzy obydwoma państwami jestestw organicznych nie istnieje, co wskazuje prawdopodobnie wspólny początek najpierwszych ustrojów, które pojawiły się na kuli ziemskiej.

DR J. NUSBAUM.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ V.

Wojna morska.

Losy ludzkości zdają się obracać ciągle w zaczarowanym kole. Na polu uszlachetnienia wojny i złagodzenia klęsk, które ona pociąga za sobą, do siódmego dziesiątka stulecia naszego dokonany został znaczny postęp. Można się więc było spodziewać, że ludzkość w tym kierunku posuwać się będzie dalej równolegle do wzrastającej kultury.

Tymczasem od wojny francusko-niemieckiej spostrzegać się daje w pojęciach powrót ku przeszłości, ku czasom barbarzyństwa i nieokielznanej dzikości, a nigdzie nie występuje to tak jaskrawo, jak w nowych zasadach, na których—wedle głośnych zapewnień polityków i wodzów—ma się oprzeć przyszła wojna morska.

Dokonana już ewolucya nie tylko jest sama przez się ciekawa, lecz na rezultaty przyszłej wojny lądowej wywrze ona wpływ o wiele donioślejszy, niż ogół sobie wyobraża.

Ażeby się o tem przekonać, należy przedewszystkiem porównać postępy marynarki i przygotowania do wojny na morzu, porobione przez

¹⁾ Patrz zeszyt marcowy.

różne państwa, a następnie rozejrzeć się, jaki z tego ma być uczyniony użytek.

Tu jednak dokładne zorientowanie się i wyprowadzenie wniosków z istniejących danych napotyka trudności znaczne i szczególne. W armiach lądowych mamy zawsze i wszędzie do czynienia z wielkościami jednorodnymi a nawet z temiż samymi jednostkami: z *ilością żołnierzy*, z *ilością armat*. Możemy więc wprost porównywać liczby z różnych czasów i z różnych krajów.

Zupełnie jest inaczej, gdy chodzi o floty. Ewolucji ulega nie tylko ilość, lecz przedewszystkiem sam rodzaj, typ jednostki. To też nierzadko można się spotkać ze zdaniem osób kompetentnych, że dziś jeden wielki pancernik, uzbrojony w olbrzymie działa i przyrządy do wyrzucania materii wybuchowych, zdziałać może tyleż, co dawniej cała eskadra.

Ale też wielkim okrętom pancernym, uzbrojonym w olbrzymie armaty, przeciwstawiać zamierzają małe statki, zaledwie widzialne w fałdach morskich. Podczas dnia pokażą się i znikną z widnokręgu, lecz w nocy podpłyną z cicha zdradziecko, uzbrojone w straszliwe torpedy.

Gdyby postępy morskiej techniki budowlanej oraz artylerii za jedyny skutek ekonomiczny miały podniesienie wydatków na uzbrojenie flot i obronę przed niemi, to w pracy niniejszej nie mielibyśmy powodu zatrzymywać się nad tą kwestyą tak długo, jak to mamy zamiar zrobić.

Ale potęga środków, jakimi obecnie rozporządzają marynarki, jest tak wielka, głoszone zaś powszechnie zasady wojny morskiej tak bezwzględne, że przeciwnik może być zgnieciony, całe narody doprowadzone do nędzy wskutek przerwania komunikacji morskich i przez odcięcie niektórych państw od reszty świata. Jest to wielkie niebezpieczeństwo, jakie wraz z groźbą wojny zawisło nad Europą, i spasek na nią może wraz z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich, jeśli do tego czasu nie zostaną wymyślone odpowiednie środki zaradcze. Ażeby te możliwe i tak doniosłe skutki ekonomiczne należycie ocenić, musimy przedewszystkiem poznać, jakimi środkami prowadzić będą państwa wojnę morską.

I.

Wojna krymska i przekształcenie żaglowych drewnianych flot na parowe.

Wielki wynalazek Foultona, zastosowany do poruszania statków za pomocą obrotu kół, został wprowadzony w użycie po raz pierwszy

w 1807 roku w Ameryce. Następnie w r. 1818 spuszczo na New-Yorku na wodę parowiec *Sawannah*, zbudowany dla Rosyi. Statek ten przebył w roku następnym ocean Atlantycki i po drodze zatrzymał się w Anglii. *Sawannah* jednak w Petersburgu nie pozostał i wrócił do New-Yorku.

Była to pierwsza śmiała próba, a zarazem praktyczny dowód możliwości uorganizowania szybkiej, stałej i regularnej komunikacji pomiędzy starym i nowym światem. Początkowo myślano tylko o potrzebach handlu, niebawem jednak zaczęto budować parowce dla celów wojny.

Ale przekształcanie się flot, zastępowanie statków żaglowych parowcami szło powoli. W owym czasie wszystkie państwa posiadały żaglowce, doprowadzone pod względem siły, szybkości, zwrotności do tak wysokiej perfekcyi, jakiej tylko wymagać można było od statków tego rodzaju. Jednocześnie zaś parowce kołowe miały wady i braki, na statku wojennym bardzo dotkliwe: koła z wiosłami, wał i część kotłów parowych w statkach wojennych wznosiły się po nad linię zanurzenia, były więc całkowicie odsłonięte dla pocisków nieprzyjaciela, każde zaś uszkodzenie robiło statek taki mniej użytecznym, niż zwykły dawny żaglowiec. Prócz tego, w razie wiatru z przeciwnej strony, w razie silnego wzburzenia morza, pudła z kołami bardzo powiększały sumę pokonywanych przez statek oporów.

Stan rzeczy jednak szybko się zmienił, gdy około 1840 roku w północnej Ameryce wybudowano pierwszą fregatę szrubową, „*Princeton*“, której szybkość doszła do 14 mil na godzinę. Ponieważ w owym czasie szybkość podobna była jeszcze czemś nadzwyczajnem, więc rządy angielski i francuski wzięły się niezwłocznie do przerabiania niektórych okrętów żaglowych na parowe, a prócz tego nakazano budowę szrubowców nowych, których szybkość wynosiła od 12 do 14 węzłów, t. j. od 24—28 kilometrów. Okręty te okazały się nietylko wybornymi statkami parowcami, lecz mogły być równie dobrze używane z żaglami.

W Rosyi pierwszy parostatek kołowy „Skoryj“ rząd zbudować kazał w r. 1817 w warsztatach morskich i przeznaczył do potrzeb portowych. Szybkie wprowadzanie we floty angielskiej i francuskiej motorów szrubowych wskazywało, że w Europie w morskim budownictwie wojennem dokonywa się poważny przewrót. W Rosyi ministerium marynarki nakazało budowanie fregaty „*Archimedes*“ wedle planów komitetu żeglugi w r. 1846. Spuszczenie na wodę odbyło się w r. 1848. Ale już w 1850 „*Archimedes*“ rozbił się na morzu Bałtykiem u brzegów wyspy Bornholm, i tym sposobem w chwili wybuchu

krymskiej kampanii Rosyja nie posiadała ani jednego statku ze szrubowym motorem.

Nawet liczba parostatków kołowych, w razie wojny o wiele mniej, jak już mówiliśmy, przydatnych, była bardzo niewielka. We flocie czarnomorskiej znajdowało się 7 tylko fregat parowych, liczących 1960 sił parowych, uzbrojonych w 49 dział. Reszta floty składała się z żaglowców.

Tymczasem anglo-francuska flota związkowa, przeznaczona do działania na morzu Czarnem podczas wojny 1854 r., składała się z następującej liczby parowców wojennych: angielska flota posiadała 24 statki ¹⁾ o 5859 siłach parowych; flota francuska liczyła 12 statków ²⁾ o 4960 siłach parowych.

Ogólna cyfra armat na statkach wszelkiego rodzaju, nie licząc sił tureckich, wynosiła wtedy we flocie państw związkowych 2449 armat, we flocie ruskiej 2000 armat.

Ta właśnie okoliczność sprawiła przedewszystkiem, że flota rosyjska musiała, nie próbując bitwy, szukać schronienia w zatoce sewastopolskiej. Tym sposobem flota, która pochłonięła tyle starań, czasu i kosztów, została stracona, nie przyniosłszy żadnej korzyści ³⁾.

Taki los spotkać musiał flotę czarnomorską, składającą się ze statków, doskonale zbudowanych, według najnowszych planów, z materiału wyborowego, uzbrojonych w silną artylleryę i obsadzonych doświadczonemi załogami. Flota zaś bałtycka była o wiele jeszcze mniej zdolną do walki. Statki jej nie miały żadnej wartości. Sprawozdanie z działalności zarządu morskiego za dwudziestopięcioletnie od 1855—1880 roku powiada wprost, że statki floty bałtyckiej pod względem jakości pozostawały w stanie bardzo niedostatecznym: okręty żaglowe i fregaty *były przeważnie sosnowe, zbudowane lichy i z wilgotnego drzewa a przytem bardzo miernie uzbrojone*. To też przy każdych ćwiczeniach w portach zatoki fińskiej wiele z nich ponosiło przeróżne uszkodzenia. Nie podobna z nich było utworzyć eskadry do dłuższej wycieczki na odleglejsze morza; z wielkim jedynie trudem dało się wybrać kilka pojedynczych statków, zdolnych odbyć podróż z Kronsztadtu do wschodniej Syberyi.

Ta informacja, dotycząca przeszłości, była niezbędną, ażeby wykazać, jakie były trudności do pokonania po wojnie krymskiej, i jakie po zmianie kierunku rządowego otrzymano rezultaty.

¹⁾ W tej liczbie było 2 okręty szrubowe (172 działa), 2 fregaty szrubowe i 20 fregat parowych oraz innych statków kołowych.

²⁾ W tej liczbie 1 okręt szrubowy (90 dział), 8 szrubowych fregat i korwet i 3 parostatki kołowe.

³⁾ Ocalało tylko 12 niewielkich parostatków, 22 żaglowce i 37 łódek kanonierskich.

Dawny stan i bieg rzeczy scharakteryzowała dobitnie ta okoliczność, iż w Rosyi, tak podówczas obfitującej w lasy i posiadającej gromady całe biegłych cieśli, statki budowane były z materiału wilgotnego, a budowa sama pozostawiała wiele do życzenia.

Wojna krymska dowodnie i ostatecznie przekonała, że okręty żaglowe nie mogą się mierzyć ze statkami, które porusza motor parowy; od tego też czasu dni flot żaglowych były porachowane, natomiast rozpoczęła się energiczna działalność celem doprowadzenia statków do takiego stanu, jakiego wymagała potrzeba chwili, t. j. zaopatrzenie ich w motor szrubowy. W krótkim czasie wskutek tego uległ gruntownej przemianie skład floty russkiej.

Pierwsze wybudowane po krymskiej wojnie statki nie mogły być oczywiście od razu doskonałe. Z konieczności musiano się śpieszyć, przytem brakowało wprawy i doświadczenia, gdyż budowa statków i mechanizmów szrubowych była nowością, wreszcie użyty materiał, drzewo i żelazo, nie posiadał potrzebnych przymiotów, to też zbudowane wówczas parostatki miały wielkie wady i nie mogły wytrzymać krytyki marynarskiej.

Ale wady i braki teraz nie były już ukrywane, nie stanowiły tajemnicy państwowej; przeciwnie, celem uniknięcia podobnych wypadków w przyszłości, mówiło się o nich otwarcie i szczegółowo w wydawnictwie, poświęconem marynarce.

Pomimo jednak braków swoich, nowe statki oddały wielką przysługę, gdyż można było natychmiast po wojnie wyprawić na nich znaczną liczbę oficerów i marynarzy niższych stopni w dalszą podróż, podczas której mieli sposobność nabyć wiadomości morskich i doświadczenia, po powrocie zaś wniesli do sfer marynarskich nowe a bardzo pożądane dążenia i prądy.

Zanim jednak zdążono ukończyć budowę drewnianych parowców, już sztuka budownictwa morskiego uczyniła olbrzymie kroki naprzód, nowe więc statki jeszcze przed wyjściem z warsztatów utraciły swe znaczenie bojowe. Marynarze wszystkich krajów doszli do przeświadczenia, iż okręty przed kulami nieprzyjaciela osłonić należy pancierzem.

II.

Walka postępów artylerii z opancerzaniem okrętów.

Nigdy żaden wynalazek umysłu ludzkiego w dziedzinie nauki i praktyki marynarskiej nie znalazł zastosowania równie szybkiego i w równie różnorodnych postaciach, jak sztuka opancerzania okrętów.

Po raz pierwszy statki, okryte zbroją żelazną, ukazują się podczas wojny krymskiej. Bombardowanie Sewastopola szybko przekonało flotę państw związkowych, iż drewniane ich okręty łatwo być mogą spalone w walce z fortyfikacjami lądowymi, które posiadają dostateczną liczbę dział, miotających bomby. To było powodem, że postanowiono zrobić próbę osłonięcia statków żelaznymi płytami, i już w r. 1854 Francya wzięła się do budowania z drzewa trzech pancernych baterii pływających: „Lave“, „Dévastation“ i „Tonnante“, które przeznaczone były do atakowania russkich nadbrzeżnych fortyfikacji na morzu Czarnem. Anglicy, mając zamiar atakowania Kronsztadtu w r. 1856, również zbudowali siedem żelaznych pływających baterii. Okazało się, iż działa artylerii russkiej wtedy tylko są zdolne szkodzić tym bateriom, jeżeli pocisk wypadkowo trafi w otwór ambrazury. Stąd wyciągnięto wniosek, iż gdyby się udało wybudować statki, osłonione pancierzem żelaznym, a mogące przytem swobodnie manewrować, to statki takie byłyby niewyciężone.

Z rozkazu cesarza Napoleona III przystąpiono w r. 1858 do budowy pierwszej opancerzonej szrubowej fregaty „La Gloire“, według planu znakomitego konstruktora Dupuis de Lome; fregata ta wśród statków drewnianych miała być—wedle wyrażenia jej twórcy—tem, czem lew wśród stada owiec. Koszta wyniosły wprawdzie 7 milionów franków, a zatem trzy razy więcej aniżeli dawniejszych największych okrętów liniowych, ale sądzono, że, wobec osiągnięć się mających rezultatów, była to suma nieznaczna.

Marynarze angielscy z niedowierzaniem i niepokojem patrzyli na tę budowę, pewni, że statek, zaskoczony przez pierwszy uragan na pełnem morzu, pójdzie na dno. Tymczasem przepowiednie się nie sprawdziły.

Pierwszy krok Francyi w nowym kierunku prędko wywołał naśladownictwo w Anglii i w Ameryce. Decydującym jednak wypadkiem, który całkowicie drewniane statki usunął z użycia, było pierwsze spotkanie pancernika z okrętem drewnianym.

Po wybuchu wojny pomiędzy północnymi a południowymi stanami Ameryki północnej, 8 marca 1862 r., w porcie hamptońskim niedaleko fortecy Monroe, stały trzy 50-działowe fregaty szrubowe i dwa żaglowe okręty wojenne. Statki te były tak wybornie uzbrojone, że we wszystkich flotach zagranicznych niepodobna byłoby znaleźć pięciu okrętów jednakowej miary, któreby mogły się z niemi pod tym względem równać. Tymczasem nadszedł z Norfolku pancernik „Merrimack“, należący do Stanów południowych; miał on korpus zwyczajnej fregaty, przerobiony na statek opancerzony.

O godzinie 2-ej po południu rozpoczęła się walka, niewątpliwie najpamiętniejsza w czasach ostatnich wskutek swych ważnych następstw. O godzinie 7-ej bitwa była skończona, a rezultaty okazały się następujące: dwie fregaty zostały zniszczone, przyczem zginęło od pocisków lub utonęło 250 ludzi; trzy pozostałe statki ocalały jedynie dzięki zapadającej nocy, „Merrimack” zaś nieuszkodzony odpłynął do Norfolku.

Nazajutrz „Merrimack” znowu ukazał się w porcie hamptońskim i zastał tu teraz jakiś drobny, dziwnego kształtu stateczek; na pokładzie atakującego okrętu powstało stąd powszechne zaciekawienie a zarazem śmiech. Stateczkiem tym był „Monitor”, który dopiero o 2-ej w nocy przybył z New-Yorku. Po kilku minutach „Merrimack” zaczął osypywać „Monitora” pociskami z olbrzymich swych dział. Tym sposobem zawiązał się pamiętny we współczesnych kronikach morskich bój, toczący się na możliwie blizkiej odległości przeszło trzy godziny. Oba statki po kilkakroć uderzały wzajemnie w siebie niby tarany. Rezultat zaś tej nigdzie dotychczas nieoglądanej walki, ku zdziwieniu świata całego, był taki, że „Monitor” został nieuszkodzony, „Merrimack” zmuszony był uchodzić z portu w takim stanie, iż sami południowcy niebawem zniszczyli go do reszty.

Tak się skończyło starcie, które wywołało przewrót olbrzymi w sposobach prowadzenia wojny morskiej. Stało się rzeczą oczywistą, iż drewniane parowce nie mogły walczyć z pancernikami, a wskutek tego drewniane szrubowce tak samo utraciły znaczenie bojowe, jak niegdyś okręty żaglowe po zastosowaniu motora szrubowego.

Ewolucya ta dla Rossyi była wypadkiem nadzwyczaj niepomysłnym: tylko co wyszykowano niezbędną flotę parową, a już nieprzewidziane zdarzenie wojny amerykańskiej zmuszało do budowania pancerników. A tymczasem wtedy właśnie finanse państwa znajdowały się po wojnie krymskiej w stanie jak najbardziej opłakany.

I nie można było zwlekać, gdyż inna jeszcze poważniejsza okoliczność robiła z potrzeby budowania floty pancерnej kwestyę pierwszorzędnej doniosłości. Wiadomo, że w początkach siódmego lat dziesiątka Rossyi groziło nowe starcie z Europą zachodnią, która zamierzała interweniować w sprawie polskiej. W r. 1863 utworzony został przy ministeryum marynarki komitet pod przewodnictwem generał-adjutanta Kryżanowskiego, celem obmyślenia środków, koniecznych do natychmiastowego ufortyfikowania Kronsztadtu. Jednogłośnie zgodzono się na to, iż przy środkach, jakimi rozporządzały w r. 1863 państwa nieprzyjacielskie, Kronsztadt, w razie ataku od strony morza, nie mógł być ocalony, a w razie energicznego i umiejętnego działania, na-

wet stolica państwa nie była bezpieczną; obrona Kronstadtu wyłącznie fortyfikacyami nadbrzeżnemi, bez ruchomej osłony pancernej, składającej się z 40 opancerzonych baterii pływających, monitorów i łodzi kanonierskich, uznana została za niemożliwą.

Dopóki statki budowane były z drzewa, Rossya materiał surowy oraz siłę roboczą miała u siebie w domu; szczególnie nie było-by o to kłopotu, gdyby administracya ówczesna umiała trafnie gospodarować bogactwami naturalnemi. Kiedy zaś wypadło budować okręty z żelaza i zaopatrywać je w potężne i drogie maszyny oraz kosztowne działa, postać rzeczy bardzo się zmieniła. Niemniej przeto przedsięwzięte zostały środki energiczne i, pomimo przeszkód finansowych, flota pancerna szybko stanęła gotowa.

Jednocześnie i inne państwa, dbałe o swą morską potęgę, zrozumiały naturalnie odrazu, iż pod grozą całkowitej bezbronności muszą zaopatrzyć się w dostateczną liczbę statków pancernych. Poczęto w całej Europie z gorączkowym pośpiechem dążyć do osiągnięcia tego, co przy stanie dzisiejszej techniki zdaje się być rzeczą niedoścignioną, mianowicie: do osłonięcia statków takim pancerzem, którego przebić nie były-by zdolne pociski najpotężniejszej artylerii.

Żadna z gałęzi morskiej sztuki, nie wyłączając nawet budowania okrętów, nie może się poszczycić takimi olbrzymimi ulepszeniami i wynalazkami, jakie osiągnęła po r. 1860 artylerya morska.

Najlepsze pojęcie o tem dać nam może porównanie uzbrojeń floty russkiej dawniej i dzisiaj. Weźmy tylko stary okręt „Prochor“, uzbrojony 84 armatami, i współczesny parowiec „Piotr Wielki“, mający tylko cztery dwunastocalowe gwintowane działa. Salwa wystrzałów z „Prochora“ wyrzucić była zdolna 84 pudy żelaza, „Piotr wielki“, bije 74 pudami.

Chociaż ostatnia liczba pudów jest mniejsza, ale mechaniczna ich praca, t. j. siła uderzenia, trzykrotnie przenosi siłę uderzenia salwy z „Prochora“. Innemi słowy: gdyby pociski wszystkich 84 dział dawnego statku mogły jednocześnie uderzyć w punkt, odległy o 600 sążni, to praca mechaniczna wynosiła-by 654,128 pudo-stóp. Salwa zaś „Piotra Wielkiego“ przy tych samych warunkach daje 1,918,369 pudo-stóp. Dla otrzymania uderzenia maksymalnej siły „Prochor“ potrzebował zużyć 19 pudów prochu i zająć przy działach 532 ludzi, „Piotr Wielki“ potrzebuje tylko 16 pudów prochu i zaledwie 64 ludzi. Gdyby nawet wszystkie 84 działa „Prochora“ mogły jednocześnie dać ognia w tym samym kierunku, to w razie najszcześniejszego trafienia w najslabszy ze współczesnych pancerników nie zrobiły-by mu najmniejszej szkody, gdyż najpotężniejsze działa owej epoki były zdolne zlekka zaledwie porysować najcieńsze z blach, używanych dziś do opancerzania

statków; tymczasem każdy pocisk, wyrzucony z 12-calowej gwintowanej armaty, przebija z odległości 1000 sążni boki najpotężniejszego z istniejących pancerników, mających grubości 3 stopy i osłonionych płytą grubą na 13 cali. A przytem jeszcze wszystkie cztery działa „Piotra Wielkiego“, jako statku wieżycowej konstrukcyi, mogą być wymierzone w jednym kierunku i jednocześnie uderzyć w niewielką stosunkowo przestrzeń powierzchni atakowanego okrętu.

Ale i te armaty będą bezsilne wobec budujących się obecnie pancerników, które osłoni pancerz grubości 20 a nawet 24 cali, to też wraz z narastaniem grubości pancerzy zjawiały się na scenie coraz potężniejsze działa, jak to niżej wykazemy.

Taki nadzwyczajny wzrost kalibru i wagi armat, takie dążenie do skupienia w uderzeniu jednego pocisku siły, przenoszącej kilkakrotnie siłę uderzenia całej salwy ze wszystkich armat dawniejszych okrętów liniowych, poczyną się z chwilą zastosowania płyt żelaznych do osłaniania okrętów i fortyfikacyi nadbrzeżnych. Współczesne straszliwe armaty są owocem walki pomiędzy pancerzem a artyleryą; walka ta zawiązała się wtedy, gdy się ukazały pierwsze baterye, osłonięte zbroją i, nie słabnąc w zaciętości, trwa do dziś dnia.

III.

Zmiana taktyki morskiej.

Jest rzeczą oczywistą, że tak radykalne przeistoczenie jednostek bojowych marynarki, zaopatrzenie ich w całkiem odmienne motory, budowanie z materiałów innych niż dawniej, musiało wpłynąć na zupełną modyfikacyę taktyki.

Do połowy bieżącego wieku ani baterye brzegowe nie były zbyt straszne dla statków, ani zapasy artyleryjskie pomiędzy samymi okrętami nie pociągały za sobą bardzo wielkich następstw. Massywne kule, wyrzucane z gładkich dział, były nie daleko i wcale nie często trafiały w cel, wyrządzane zaś straty zazwyczaj łatwo było zalać podręcznymi środkami: kawałkiem drzewa lub żaglowego płótna. O wiele straszniejsze były kule rozpalone, ale też istniały środki szybkiego ugaszenia pożaru.

Wprowadzenie dział gwintowanych, w szczególności zaś przyrządów, napełnionych materiałami wybuchającymi, z gruntu przekształciło warunki walki. Zniszczenie, jakie zrzucić może jeden taki trafnie skierowany przyrząd, stanowi wielkie niebezpieczeństwo,

a działanie dawnych kul rozpalonych jest wobec tego poprostu zabawką dziecinną. Nowe pociski, naładowane materyałami wybuchowemi, nie wybijają, tak jak dawniejsze kule, dziur, mało co szerszych od ich średnicy, lecz wyrwywają całe części statku, niszcząc wszystko dokoła miejsca wybuchu. Zachodzi dziś nietylko konieczność osłaniać boki statku, lecz potrzeba także „na wszystkich pancernikach zakrywać pokład, ażeby się bronić od pocisków, padających pod wielkimi kątami. Co pomoże otoczenie statku dokoła pancerzem, jeżeli jedna kula, która przebija drewniany pokład, wystarcza do uczynienia okrętu niezdolnym do walki, przez uszkodzenie np. kotłów parowych. A więc, nie chcąc narażać się na podobną ewentualność, nie chcąc ażeby jeden trafny pocisk w niwecz niemal obracał miliony, wydane na maszyny, pancerze i t. d., koniecznie osłaniać trzeba zbroją i pokład. Ale i wtedy nawet pozostaną bez zakrycia niektóre ważne miejsca statków i mogą stać się celem dla pocisków; to też najpotężniejsze okręty, otoczone najmocniejszymi i najściślej przystającymi do siebie pancerzami, mogą być skutecznie atakowane przez artylerję stosunkowo słabą; dosyć aby jeden pocisk dostał się pod pancerz, gdyż może wyrządzić tam bardzo doniosłe szkody.

Niema konieczności dowodzić, iż zakrywanie (blindowanie) pokładu wymagało podwójnego zastosowania pary: jako motoru, poruszającego sam statek, i jako siły, wprawiającej w ruch maszyny inne. Na współczesnym okręcie wojennym znajdują się, oprócz aparatów-motorów, maszyny dynamo-elektryczne, pompy, maszyny, przeznaczone do kierowania statkiem, wentylatory, czyścicielki, przyrządy pneumatyczne i t. d. „Każda armata, każda szalupa stanowi oddzielny a skomplikowany mechanizm; działanie armaty, spuszczenie szalupy dokonywa się również przy pomocy machin. Do tego dodać należy dziesiątki wiorst przewodników elektrycznych i masę urządzeń wszelkiego rodzaju, skoncentrowanych w oddziale machin, gdzie ludzie, przy sztucznem świetle i we wtłaczanem powietrzu, podzieleni na grupy lub pojedynczo, zdala od osób kierujących, muszą z całkowitą znajomością rzeczy, z pośpiechem i spokojem wykonywać rozkazy, otrzymywane od władzy niewidzialnej przez drut telegrafu... Oto, czem jest dzisiejsza morska jednostka bojowa“.

Ażeby dać pojęcie o roli, jaką na najnowszych statkach odgrywają maszyny, przytoczymy porównanie, zrobione przez kontr-admirała Makarowa pomiędzy dawną drewnianą fregatą a współczesnym krążowcem „Riurik“. „Maszyny i kotły na „Riuriku“ zajmują na długość 192 stopy w najszerszej części statku. Ażeby nabrać jasnego pojęcia, co znaczy 192 stopy na takim olbrzymie, jak „Riurik“, trzeba wiedzieć, że gdyby zeń wyjąć całą maszynę z kotłami i jamami do węgli a za-

miast tego nalać wody, to utworzył-by się basen, w którym można byłoby pomieścić zupełnie swobodnie całą fregatę dawnych czasów z załogą i wszystkimi działami. Dokoła fregaty zostało-by nawet dosyć miejsca do objechania jej na szalupie. Na tych 192 stopach wszystko jest ściśnięte do ostatecznych granic, ciasnota dochodzi do tego, iż, pragnąc uchronić się od pasa jednej maszyny, dostaje się człowiek pod koło drugiej; ażeby zaś opatrzyć jakąś oś, zobaczyć, czy się ona zbyt nie rozgrzała, maszynista musi być akrobatą, palacz zaś, na którym spoczywa obowiązek wydobywania z kotła za pomocą forsownego rozdmuchiwania dwa razy większej ilości pary, niż to wypada z jego objętości, powinien być wytrwały i energiczny jak sam szatan“.

Wraz z komplikowaniem się mechanizmu morskich jednostek bojowych wzrastała potrzeba coraz większych zasobów inteligencji. Dawnemi czasy, kiedy jedynym motorem był wiatr, rezultat walki w wysokim stopniu zależał od umiejętności podejścia z tej lub z innej strony, oraz od zręczności przy manewrowaniu żaglami, ostatecznie zaś bój rozstrzygał się za pomocą abordażu, tak jak bitwa na lądzie atakiem na bagnety. Motor parowy całkowicie zmienił warunki. Przebiegiem walki kieruje obecnie tylko para, całkiem niezależnie od kierunku wiatru, decyduje zaś o rezultacie bitwy mina, artyleria lub taran. Przytem flota żaglowa nie mogła ukrywać zamierzonego manewru, parowce zaś są zdolne nie zdradzić się niczem aż do ostatniej chwili. Tym sposobem znacznie dziś urosły rola wodza i znaczenie stanowczości. Dzięki parze, w działaniach wojennych silniej niż dawniej ujawnia się charakter narodowy, zachodzi mniejsza niż dawniej potrzeba werbowania całej służby z zawodowych marynarzy, wreszcie obywać się dziś można załogą szczuplejszą niż dawniej (na wielkich okrętach niekiedy aż o 60%)¹⁾. Ostatnie dwie okoliczności mają istotne znaczenie, gdy chodzi o ustosunkowanie siły floty z liczbą ludności, zdolnej do służby w marynarce; powtóre, nawet tacy majtkowie, którzy do morza nie przyzwyczaili się dostatecznie, mogą być użyci z pożytkiem, jeżeli tylko posiadają trochę dobrych chęci, jakkolwiek spryt, lub zręczność.

Niemiecki pisarz Henning słusznie utrzymuje: „Co się tyczy właściwie wojennej techniki marynarki, to ta wszędzie—w Anglii, Francji, Niemczech, Rosyi, Włoszech—dać może ściśle też same rezultaty: cała kwestya polega tu na rozwinięciu stanowczości dowódcy oraz załogi, a następnie na trafnym użyciu czynników technicznych. Natu-

¹⁾ Henning „Die Küstenvertheidigung“. Berlin 1892.

ralnie załoga, utworzona z samych marynarzy, stanowi zawsze jakąś przewagę, ale ta może być zrównoważona przymiotami dowódców“.

Naturalnie w wojnie morskiej, tak samo jak w lądowej, główny warunek powodzenia stanowi przewaga sił w chwili decydującej, lecz to znajduje się w zależności od energii i umiejętnego manewrowania.

IV.

Wydatki na marynarkę.

Po wybudowaniu pierwszych pancerników inżynierowie niebawem przyszli do wniosku, że w jednym statku niepodobna zawrzeć wszystkich warunków i czynników, jakich wymaga współczesna sztuka wojny morskiej. Przekonali się więc o potrzebie podziału statków na specjalne typy, każdy z odmiennem przeznaczeniem. Dla krążenia po oceanach i dla bitwy liniowej pozostawiono pancerniki lżejsze, osłonięte z boków blachą średniej grubości; dla wojny zaś przybrzeżnej (t. j. dla ataku i obrony portów oraz przystani) poczęto budować pancerniki wieżycowe, zdolne do dźwigania zbroi najgrubszej i armat największego kalibru. Wyłuszczone okoliczności stanowiły główną przyczynę zjawienia się rozmaitych projektów statków pancernych i systemów ich budowania.

Oczywiście, że ciągle zmiany i udoskonalenia powodowały niestanny wzrost wydatków na marynarkę.

Napróżno zwracano uwagę, że ten nawał wynalazków w rezultacie ostatecznym do ruiny doprowadzić może i że koszta na podniesienie i utrzymanie marynarek rosną stosunkowo w większym nawet stopniu, niż wydatki na armię.

Zestawienie wydatków na armię lądową i na marynarkę czytelnicy znajdą w poniższej tablicy;

	Armia lądowa		Marynarka	
	Wydatki wynosiły mil. rubli	z tego na 1,000 głów ludności przypadało rubli	Wydatki wynosiły mil. rubli	z tego na 1,000 głów ludności przypadało rubli
1874	633.1	2289	163.9	592
1888	721.6	2332	224.3	725
1891	914.6	2768	252.9	769

Ażeby uwydatnić stosunkowy wzrost wydatków na jeden i na drugi rodzaj sił bojowych, weźmiemy cyfry roku 1874 za sto:

	Marynarka	Armia lądowa
1874	100	100
1888	137	114
1891	154	144

Szczególniej był szybki wzrost marynarki w pierwszym z rozpatrywanych okresów, kiedy bowiem wydatki na armię lądową powiększyły się tylko o 14%, koszta utrzymania floty wojennej poszły w górę o 37%.

Stan czynny flot europejskich składał się:

	w r. 1874	w r. 1888	Jeżeli cyfrę r. 1874 weź- miemy za sto, otrzymamy dla r. 1888
z okrętów francuskich . .	405	377	93%
„ angielskich . .	378	464	123%
„ włoskich . . .	74	225	304%
„ niemieckich . .	47	175	372%
„ austriackich . .	69	103	149%
„ rosyjskich . .	126	114	90%

Widzimy zatem, że największy wzrost nastąpił w Niemczech i Włoszech, później idzie Austria i Anglia. Zmniejszenie się liczby okrętów widzimy w Rosyi i we Francyi.

Od roku 1888 do dnia 1 Marca 1890 roku zbudowano jeszcze w Anglii 58 okrętów, we Francyi 23, w Austrii 16, we Włoszech 13 i w Niemczech 9.

Jeżeli zsumujemy wydatki na marynarkę i zestawimy je z cyframi całych budżetów od r. 1871—1890, otrzymamy następujące cyfry:

	Ogół wy- datków budżeto- wych.	Wydatki na flotę	Stosunek procento- wy obu sum
	w milionach franków		
w Anglii	47,977	4,335	9%
we Francyi	66,876	3,636	5%
w Niemczech	15,495	1,000	6%
w Austrii	5,783	470	8%
we Włoszech	29,682	1,101	4%
w Rosyi.	47,864	1,979	4%

Konieczność pobudowania pancerników rozmaitego typu za skutek miała i to jeszcze, iż rozpoczęła się walka pomiędzy artyleryą a pancierzami na polu ulepszeń technicznych.

Gdy się przekonano, że bomby, odlewane z surowca dawnym sposobem, które druzgotały każdy statek drewniany, odbijają się bez żadnego skutku od pancerzy, pomyślano zaraz o udoskonaleniu pocisków, co natychmiast znowu wywołało wzmocnienie opancerzenia; przeciw temu opancerzeniu trzeba było wynaleźć jeszcze silniejsze działa i twardsze pociski. Po osiągnięciu odpowiedniego rezultatu zaraz poczęto dawać grubsze blachy. Ciężkie opancerzenie pociągnęło znów za sobą to następstwo, że i sam statek musiał być większy.

Powstała licytacja wynalazków; raz górę brały pociski, drugi raz znowu pancerze; na głosy zaś ekonomistów, którzy przepowiadali fatalne skutki tych wyścigów, nie zwracano dość pilnej uwagi.

Nieustanna walka pocisków z pancernikami doprowadziła do tego, że dziś na morzach pływają żelazne olbrzymy, rodzaj twierdz ruchomych, urągających pociskom, a groźnych zarówno dla statków, jak i dla siedzib nadbrzeżnych.

Kilka liczb pozwoli nam wnioskować o dokonanych postępach:

Koszt największego dawnego statku wojennego żaglowego wynosił 2.3 milionów marek. Najdroższy statek parowy nieopancerzony, kosztował 3 miliony marek. Tymczasem na pierwszy pancernik angielski „Warrior” wydano w roku 1860 siedm milionów marek. Lecz był

to tylko początek wzrostu wydatków na budowę statków wojennych. Pancernik niemiecki „König Wilhelm“ w r. 1868 kosztował już 10 milionów; włoski „Duilio“ w r. 1876—14 milionów, a „Italia“ w 1880 r. 20 milionów marek. Czyli w ciągu lat 20 koszt pancerników podniósł się blisko 3 razy ¹⁾. Główny wydatek przy budowie nowoczesnych statków stanowi opancerzenie. Z 21 milionów franków, które wydano na statek francuski „Magenta“, 15 milionów, a zatem 71%, poszło na opancerzenie.

Zobaczmy teraz, jakie poczęto budować działa, ażeby się bronić przed olbrzymami.

Żaglowiec pierwszorzędných rozmiarów był uzbrojony w 120 dział, ważących 480 tonn ²⁾; na pierwszym pancerniku pomieszczono tylko 32 armaty, ale ważyły one już 690 tonn. Na statku pobudowanym w r. 1880 „Italia“ pomieszczono tylko zaledwie 4 duże armaty i 8 małych, ale ważących prawie dwa razy więcej aniżeli 32 armaty pierwszego pancernika, mianowicie 1150 tonn. Tak więc waga dział w porównaniu z działami okrętów żaglowych powiększyła się przeszło 150 razy. Odpowiednio do tego, naturalnie, wzrastały rozmiary i wagi pocisków.

Średnica pocisku na „Warrior“ wynosiła 16 centymetrów, ciężar zaś kuli dochodził do 31.5 kilogramów; na „Italii“ średnica pocisku równała się tylko 43 centymetrom, ale natomiast waga pocisku jest strasznym ciężarem, bo 907 kilogr. Czyli, że w ciągu lat 20, potęga pocisku wskutek samej wagi urosła 30 razy.

Lecz na tem nie poprzestano. Na tej drodze, wskazanej według zasady: „stopniowania coraz szerszego“, Anglia stoi na czele i nie zatrzymuje się. Dokądże dziś zaszła? Jaki jest istotny stan jej obrony? Kilka lat temu Anglicy posługiwali się armatą 305 milimetrową, gwinutowaną, na 1800 metrów odległości, i pancernikiem o 30 centymetrach grubości. Wczoraj jeszcze mieli armaty o 80 tonnach (406 milimetrach), wyrzucające pociski o ciężarze 800 kilogramów. Ale Anglicy nie chcą się dać ubiedz żadnemu mocarstwu. Ponieważ Włochy uzbroiły „Duilio“ i „Dandolo“ w armaty osu tonnach, wzięli się natychmiast do studyowania projektu armaty o 200 tonnach, mogącej wyrzucać pociski o 3000 kilogramach, który to pocisk przeszyłby nawskroś pancernik, okryty blachą, mającą 90 centymetrów grubości ³⁾.

Przypatrzmy się, jakie wydatki tego rodzaju uzbrojenia pociągają za sobą: „Le progrès militaire“ wyszukał z francuskiego budżetu

¹⁾ Admirał Werner „Die Kampfmittel zur See“.

²⁾ 1-a tonna równa 62 pudom.

³⁾ Hennebert „L'Art militaire et la Science“.

marynarki następne obliczenie: strzał z armaty 110-tonnowej kosztuje okrągłe 4,160 franków, co odpowiada kapitałowi (obliczonemu na 4 procent rocznie) 104,000 franków.

Suma tak się rozkłada:

1900 franków	za proch,	ważący	450 kilogramów,
2260	„	za pocisk	„ 900 „
4160	franków		

Ale to jeszcze nie wszystko. *Armata 110-tonnowa. wytrzymuje tylko 93 strzały*, czyli że po tej cyfrze wystrzałów staje się niezdadną do użycia i musi wracać do fabryki. Ponieważ więc armata kosztuje 412,000 franków, zatem zużycie przy każdym strzale wynosi 4340 franków, co koszt każdego strzału armatniego do 8,500 franków podnosi.

Za każdym przeto ruchem, ilekroć daje się strzał z armaty 110 tonnowej, wylatuje w powietrze procent roczny od kapitału 212,500 franków! *Tysiąc takich strzałów przedstawia kapitał 212 milionów franków.*

Przechodząc do mniejszego kalibru, najściślejsze obliczenie wykazuje, że strzał z armaty 67 tonnowej (której cena wynosi 250,000 fran., a zużywa się ona przy 127 strzałach) kosztuje 4600 franków; dalej armata 45-tonnowa, wartości 157,500 franków (zużywa się po 150 strzałach), wydatek 2450 fran. na każdy strzał. „W marynarce majtkowie jedynie mało kosztują“. „O biada ludzkości!“ dodaje „Le Progrès!“.

Zaznacza on jednocześnie że ostatnie słowo postępu, wypowiedziane jeszcze nie zostało, czyli, że się wzrost wydatków nie skończył.

Generał Pesticz robi bardzo interesujące porównanie: „Sześć rosyjskich okrętów wojennych, które operowały pod Sinopą, posiadały 600 armat, z téj liczby czynnych było 300 i te zburzyły wszystko, co tylko się w Sinopie znajdowało; tymczasem wartość pieniężna owych 300 armat, według cen ówczesnych, nie przenosi wartości jednego sto-tonnowego dział. Jakich więc rezultatów oczekiwać należy od jednego takiego dział?“ Na to pytanie odpowie nam dopiero przyszła wojna. Armaty dzisiejszych olbrzymów morskich będą mogły, jak twierdzą znawcy, bombardować porty, fortece, miasta z odległości 15 wiorst.

Oczywista jest rzeczą, iż doniosłości takiego zjawiska niepodobna oceniać jedynie skutkami natury materyjalnej. W każdym razie nie mało znaczenia posiada pytanie inne: do czego doprowadzą narody europejskie te nieustanne zmiany uzbrojeń? W obecnej chwili znajdujemy się na drodze do nowych ulepszeń i przekształceń.

Generał Pesticz twierdzi, że Anglia przechodzi już od 100 tonnowych dział do 67 i 50 tonnowych ¹⁾).

Tym sposobem może się okazać, iż olbrzymie sumy, wydane na budowę dział wielkiego kalibru, nie przyniosą odpowiedniej lub nawet żadnej korzyści. Uwaga ta stosuje się nie tylko do kolosów artylerii, lecz do wszelkich dział wogóle.

V.

Nowe uzbrojenie artylerii.

Szybkość początkowa kuli stanowi w obecnej chwili zasadę do ocenienia wartości broni palnej ręcznej, gdyż od tego zależy wygięcie łuku torowego oraz siła uderzenia.

Toż samo stosuje się naturalnie i do artylerii; niszcząca siła pocisku zależy od szybkości, z jaką kula uderza; szybkość zaś ta uwarunkowana jest prędkością początkową, a więc potęgą materii wybuchowych. Nie ulegało wątpliwości, iż technika artyleryjska nie będzie zwlekała z zastosowaniem do swych potrzeb prochu bezdymnego, którego energia wybuchowa 3—4 razy przewyższa siłę prochu zwyczajnego. Sporną jest tylko kwestya, o ile dadzą się do tego celu użyć armaty dotychczasowe.

Z debatów paryskiej izby deputowanych podczas roztrząsania budżetu marynarki na r. 1892 okazało się, iż Francya już przystąpiła do przerabiania działa typu z 1887 roku.

¹⁾ Wedle tylko co wydanych dzieł: Langlois (*L'Artillerie de campagne 1892*) i Mocha (*Notes sur le canon de campagne de l'avenir* 1892) minimalna liczba kul z ruskich dział bateryjnych wynosi 340, tymczasem prof. Wieliczko podaje, iż liczba kul w szarpelach, używanych w niemieckiej artylerii, dochodzi do 1500 w armacie 21 centymetrowej, oraz 1700 w moździerzu. Tym sposobem artyleria niemiecka mogłaby razić przeciwnika pociskami, zawierającymi wewnątrz 5 razy więcej kul, niż w artyleryach państw innych i to z odległości, co najmniej 2200 sążni, czyli prawie $4\frac{1}{2}$ wiorst. Taką samą różnicą istnieje w bombach torpedowych: we Francyi taka bomba największego typu zawiera 160 funtów melinitu, w Niemczech 175 pirokseliny, w Rosyi 64 funty. Jest zresztą rzeczą naturalną, iż prof. Wieliczko nie komunikuje danych bardziej szczegółowych co do pocisków ruskich, i że dane te dopiero po pewnym przeciągu czasu staną się wiadome narówni z niemieckimi lub francuskimi. Wypada tu przytem raz jeszcze powtórzyć uwagę, iż stopień praktyczności pocisków dopiero przyszła wojna oznaczy. Tak np. dla przewiezienia 50 ogromnych bomb torpedowych trzeba użyć czterokonnego furgonu; istnieją przytem niedogodności innego rodzaju, o których mowa będzie w odpowiednim rozdziale. Chcieliśmy tu tylko wykazać, że istnieją już działa o wiele potężniejsze od tych, jakie do ostatniej niemal chwili uważano za najgroźniejsze.

Rezultaty, otrzymane podczas prób, były bardzo zadawalniające. Pocisk kalibru 14 centymetrów, ważący 30 kilogramów, otrzymywał szybkość początkową 800 metrów i przebijał nawskroś płytę, grubą na 31 centymetrów. Pocisk kalibru 16-u centymetrów, ważący 45 kilogramów, otrzymuje też samą szybkość i przebija płytę stalową grubości 35 centymetrów. Tym sposobem samo przerobienie dział dawniejszych pozwoliło bez znacznych wydatków znacznie powiększyć potęgę artylerii morskiej. Z tych samych debatów dowiadujemy się, iż, celem wyzyskania wszystkich przymiotów prochu bezdymnego, wzięto się do wyrabiania zupełnie nowych dział typu 1891 roku, i te w miarę wykończenia zastępować będą poprzerabiane stare armaty. Niektóre statki już w r. 1892 były uzbrojone całkowicie na nowo ¹⁾.

Ażeby znaczenie tych zmian i udoskonaleń należycie ocenić, musimy uciec się do wyjaśnień z innych, bardziej naukowych, źródeł. Pruski generał Wille o przyszłych ulepszeniach techniki artyleryjskiej mówi co następuje ²⁾:

„Powszechnie sądzą, że osiągnięcie 800 i 1000 metrów szybkości początkowej, zamiast dzisiejszej od 455 do 374 metrów, jest postulatem czysto teoretycznym ³⁾. Aż do niedawna było to słuszne, ale od czasu wprowadzenia w użycie prochu azotowego (bezdymnego), osiągnięcie takiej szybkości jest możliwe, prawdopodobne i nawet do pewności zbliżone, a to tembardziej, że fabrykacja prochu azotowego jest jeszcze w zarodku. Niektórzy udają wprawdzie przekonanych, jakoby wprowadzony do niektórych wojsk proch bezdymny doszedł już do najwyższego rozwoju. Ale proszę tylko rozważyć, że proch bezdymny francuski zastosowanym został zaledwie od lat pięciu, że więc obecnie z prochem bezdymnym nie możemy być dalej, aniżeli byliśmy z prochem Szwarcza przed pięcioma wiekami, to jest w pięćdziesiąt lat po tem, kiedy pocciwy franciszkanin Bertold Szwarc oparzył sobie nos swoją mieszaniną saletry, siarki i węgla“.

„Że my dzisiaj, przy tak wysoko rozwiniętych środkach pomocniczych techniki i chemii, daleko szybciej postępujemy na tem polu, aniżeli dawniej, to prawda, ale właściwe udoskonalenie prochu bezdymnego należy zapewne jeszcze do przyszłości.

Na dowód generał Wille przytacza, że fabryka Kruppa już dziś osiągnęła prędkość przy pociskach ważących 108 kilogramów (270 funtów naszych) 700 metrów na sekundę.

¹⁾ Ardouin Dumaret „L'armée et la flotte de 1891 à 1892“.

²⁾ Das Feldgeschütz der Zukunft. Berlin 1891.

³⁾ W Rosyi działa bateryjne dają szybkość początkową 374 metry, w artylerji konnej 412 metrów, działa lekkie polowe 442 metry.

Skoro więc istnieje bezwarunkowa możliwość dojścia do szybkości początkowej 800 — 1000 metrów, pozostaje już tylko kwestya, czy przez to da się uzyskać odpowiednia korzyść?

Generał Wille projektuje pobudowanie nowych armat 7-centymetrowych i twierdzi, że działanie pocisków, wypuszczonych z takich armat przy 800 m. szybkości początkowej, będzie o wiele potężniejsze, niż dzisiejszych: na odległości 3400 do 6000 metrów, szybkość końcowa będzie równą dzisiejszym strzałom, dawanym z odległości 1000 do 3000 metrów. Przy szybkości początkowej pierwotnej 1000 m., rezultaty będą jeszcze potężniejsze.

Wedle obliczeń generała Wille, przestrzeń porażenia w razie początkowej szybkości 1000 metrów powiększała-by się:

przy odległości do 1000 metrów o	210%
" " " 2000 " "	133%
" " " 3000 " "	89%.

Dzieło generała Wille p. t. „Armata przyszłości“, z którego czerpalśmy dane tylko co przytoczone, w wojskowych miarodajnych zagranicznych sferach przybrało znaczenie wielkiego wydarzenia. Przeszłość generała, jako pisarza technicznego, wysokie jego stanowisko, każą przypuszczać, że propozycje jego mają pewne podstawy.

Obawiać się więc można, że jeżeli jakie wielkie mocarstwo zdecydnie się na przeróbkę swoich dział, natychmiast ujrzy swych sąsiadów i współzawodników, idących, chcąc nie chcąc, tą samą drogą, co pociągnie za sobą ogromny wzrost wydatków i przyspieszy powszechną gorączkę uzbrojeń.

Już dziś pisarze wojenni twierdzą, że jeżeli państwa jeszcze wahają się wszędzie co do zastąpienia istniejącego materiału, to może nie tyle ze względu na wielkie koszta, ile z obawy, iż wnet ujrzą nową swą broń nie tylko naśladowaną gdzieindziej, ale nawet prześcigniętą. Otóż ta obawa jest powodem, że państwa, doskonaląc narzędzia wojny, trzymają osiągnięte rezultaty w jak największej tajemnicy.

Niemniej jednak, zawsze, prędzej czy później, dochodzi się do tego, że rąbek zasłony zostaje uchylony.

Jak w chorobach z pewnych pojedynczych symptomatów wnioskować można o nadciągającym dla całego organizmu kryzysie, tak samo przepowiedzieć można przesilenie i w sprawach technicznych.

Przyjrzyjmy się występującym symptomatom.

Generał Wille ¹⁾ na podstawie dokonanych doświadczeń układa tablicę, z której widać, że proch bezdymny daje taką samą szybkość

¹⁾ Das Feldgeschütz der Zukunft. Str. 286.

początkową jak proch zwykły, wywierając w lufie daleko mniejsze ciśnienie. Stało się przeto możliwem podnieść znacznie szybkość strzałów bez narażenia luf na większe niebezpieczeństwo.

Profesor Langlois powiada również, że użycie prochu bezdymnego w mniejszym stopniu niż proch zwyczajny przyczynia się do uszkodzenia metalu działa, t. j. mniej szkodliwie wpływa na jego powierzchnię wewnętrzną i na spoistość, mniej, jak powiadają francuzi: „*fait travailler le métal*“.

Wobec tego przedstawia się możność przez powiększenie ciśnienia doprowadzić szybkość wyrzutu do dopuszczalnego maximum.

Dotychczas jednak głośno jeszcze tego nie uczyniono.

Ponieważ siła, rozwijana przez nowy proch, jest przeszło trzy razy większą, przeto uregulowano tylko naboje tak, iż np. we Francji zamiast 1 kg. 900 gr. dawnego prochu używają obecnie 420 gr. prochu nowego ¹⁾. W ten sposób udało się zachować bez zmiany cały park artyleryjski, całą organizację techniczną, oraz tablice donośności wystrzałów, ponieważ szybkość początkowa pocisku, wygięcie toru i odległość strzału, pozostały bez zmiany.

Są jednakże pewne wskazówki, że nie wszystko pozostało po dawnemu, że po wybuchu wojny i pod tym względem należy oczekiwać różnych niespodzianek. Na wniosek taki naprowadzają następujące powody.

Z polecenia gen. Warnet'a, komendanta 17 korpusu armii francuskiej, pułkownik Marcillon z 23 pułku wygłosił w tej kwestyi dwa odczyty w obecności oficerów z garnizonu Montauban i Tuluzi.

Prelegent, ponieważ do wykładu powołanym został, jest widocznie wtajemniczony we wszelkie arkana techniki artyleryjskiej we Francji; powiada zaś on: „w chwili gdy nasze działa polowe okażą się niższemi pód względem donośności od artylerii innego jakiego mocarstwa, jesteśmy w stanie bez żadnego kłopotu powiększyć odległość ich strzałów, nie uciekając się do zmiany kalibru działa i pocisków“. A zatem nie tylko przewiduje możność ulepszeń, ale jest zupełnie przekonany o niej i wprost powiada, że „on ne serait pas embarrassé etc.“ Dalej w druku widzimy szereg kropek, zastępujących te wywody prelegenta, które, jako stanowiące sekret, nie mogły być ogłoszone.

Odczytując inne dzieła, dotyczące tegoż przedmiotu, znajdujemy w nich również podobne wskazówki. Np. w książce „*Artillerie moderne*“ wynalazca, przytaczając tablice strzałów z dział polowych systemu

¹⁾ Podług innych źródeł, zamiast 100 części dawnego prochu używa się teraz 38% prochu bezdymnego.

Canet'a, wyraźnie powiada, że szybkości początkowe pocisków 585 metrów (t. j. największe, jakie się dało uzyskać przy prochu saletrzanym), powinny być uważane jako tymczasowe i przeciętne, albowiem p. Canet „zastosowując proch specjalny, otrzymuje w rezultacie szybkości daleko znaczniejsze“. Otóż jest to znów wyraźna wskazówka, że szybkość początkową (a zatem odległość polotu pocisku) można powiększyć znacznie w porównaniu z praktyką obecną. Mimo jednak, iż rząd francuski trzyma wszelkie odnośne doświadczenia w sekrecie, prof. Potockij, zgodnie ze zdaniem gen. Wille, wyżej przez nas przytaczanem, utrzymuje, że szybkość początkowa dojść może do 1000 metrów, czyli dwa razy więcej niż obecnie.

Wobec tego, oczywiście, można pogłoski o zastosowaniu przez rząd niemiecki roborytu do strzałów z dział obecných, po zaprowadzeniu w nich niezbędnych zmian, uważać za dość wiarogodne, chociaż gruba tajemnica, osłaniająca te próby, nie pozwala uczynić żadnych liczbowych wniosków co do ewentualnej szybkości początkowej nowych pocisków. Rząd pruski zazdrośnie strzeże swych sekretów: powszechnie pamiętne są szczegóły procesu, wytoczonego Kraszewskiemu za chęć przeniknięcia tej wojskowej tajemnicy.

Profesor Wieliczko w ważnej swej pracy przytacza dane, na których podstawie nie można nie przyjść do wniosku, iż istnieją moździerze i działa, wyrzucające pociski sześć razy potężniejsze od dawniejszych, zarówno pod względem liczby rozpryskujących kul i czerepów, jak i pod względem siły uderzenia.

Jak rzeczy stoją w Rossyi, wiedzieć naturalnie nie możemy, nie wątpliwie jednak i tu prowadzą się doświadczenia nad ulepszeniami w artyleryi, a przytem przyjazne stosunki z Francją usprawiedliwiają poniekąd przypuszczenie, że wynalazki francuskie nie będą zatajone przed rządem rosyjskim.

Jak nadmieniliśmy wyżej, działa rosyjskie należą do najnowszych, a zatem przy ich fabrykacyi skorzystano niewątpliwie ze wszystkich doświadczeń i ulepszeń. Niema więc przeszkód do niezwłocznego zastosowania w artyleryi rosyjskiej tych ulepszeń, które wprowadzone zostały we Francyi wskutek użycia prochu bezdymnego, a to tembardziej, że zresztą, jak świadczą manewry, odbyte pod Iwangrodem, proch bezdymny dziś już jest używany w Rossyi do naboju działowych i do rozrywania pocisków.

Co się tyczy właściwej artyleryi morskiej, to proch bezdymny zyskał w niej powszechne zastosowanie wcześniej niż w polowej, a to dlatego, że dla statków wojennych jest kwestyą życia i śmierci mieć przed sobą jasną i czystą atmosferę, a przez to mózdz obserwować podkradające się łodzie torpedowe. Wszystko to pozwala przypusz-

czać, że dalsze stosowanie prochu bezdymnego wyda rezultaty, wobec których wszystkie państwa zmuszone będą—może niebawem—zastąpić cały tak kosztowny aparat artylerii morskiej i lądowej przez inny. Nawet w razie zatrzymania dawniejszego typu dział i pocisków, oczekiwać należy już po rozpoczęciu kroków wojennych wystąpienia na jaw takich niespodzianek, że było-by rzeczą pożądaną mieć program, uprzednio wypracowany.

VI.

Przypuszczalne działanie pancerników.

Ostatnie słowo w dziele udoskonaleń techniki wojny morskiej nie zostało jeszcze bynajmniej wypowiedziane. Powiększono donośność i ulepszo pociski artylerii, wypełniając je melinitem, bawełną strzelniczą oraz innemi podobnemi materyami wybuchowemi; to też dzisiaj okręt nawet mniejszych rozmiarów, wedle zapewnień specjalistów, może zbombardować miasto w odległości 4—5 mil angielskich (6—7½ wiorsty). Niektórzy pisarze utrzymują, iż pociski wielkich pancerników burzyć mogą miasta z odległości aż 15 wiorst. Łatwo pojąć, jakie niebezpieczeństwo zagroziło-by mieszkańcom wybrzeży morskich, gdyby te przewidywania teoretyczne miały się sprawdzić. Zaznaczyć jednak należy, iż przykład bombardowania Aleksandryi, chociaż prowadzone ono było z bliska i w dodatku przeciwko bateriom całkiem pierwotnym, nie poparło zbyt daleko sięgających przypuszczeń. Okazało się wtedy, iż bombardowanie ze statków nie zawsze daje pomysne rezultaty, stwierdzone przytem zostało kursujące zdanie o słabem przygotowaniu dowódców floty angielskiej. Przy bombardowaniu Aleksandryi 50% pocisków przelatywało przez parapet, 33% trafiało w skarpe i około 17% w sam parapet.

Z ogólnej liczby bomb, wyrzuconych przez flotę angielską, 50% nie eksplodowało wcale, z tego w $\frac{2}{3}$ przypada na bomby Pallizera i $\frac{1}{3}$ na bomby ze zwykłego surowca.

Zwraca prócz tego na siebie uwagę ta okoliczność, iż przeciętnie na jedno działo i godzinę wypadło 6 wystrzałów. Dane te zdają się stwierdzać zdanie, wypowiedziane przez Napoleona I.

Carnot na rozkaz Napoleona wypracował memoriał o bombardowaniu wielkich miast stałego lądu. Okazało się, iż miasta, które ten los spotkał, nie były zmuszone do kapitulacyi, a nawet nie poniosły zbyt wielkich strat od ognia dział nieprzyjacielskich ¹⁾. Wsku-

¹⁾ „Traité de la défense des places.”

tek tego Napoleon 9 września 1809 roku pisał do ministra wojny: „Stąd wynika, że przed nowymi wynalazkami artylerji, tak samo jak po nich, bombardowanie robi więcej hałasu, niż szkody.”

Czasem jednak otrzymywane bywają rezultaty inne. Oto co mogło zdziałać bombardowanie już przed pół wiekiem. „Bombardowanie Odessy w 1855 r., kiedy postanowiono oszczędzać miasto i port handlowy, poszło gładko i okazało się skutecznem. Statki ruskie wykonały ruch kołowy i, wytrzymawszy ogień nieprzyjacielski, stały w odległości 2—3000 metrów po-za doniosłością strzałów dział małokalibrowych. Wtedy Anglicy sprowadzili na ląd baterję rakietową i po pięciu godzinach pożar ogarnął port z magazynami, 53 statki żaglowe, 3 parowce i 3 transporty zostały zatopione” ¹⁾.

W wojnie tymczasem 1870 r. flota francuska nie osiągnęła żąpanych prawie rezultatów, pomimo, że całe niemal wybrzeże niemieckie było odsłonięte, a niemiecka flota wojenna była wtedy dopiero w zawiązku. Henning cytuje głównejsze miejsca sprawozdania francuskiego, gdzie się znajduje wyjaśnienie beczynności floty w tym wypadku. Ówczesne statki francuskie nie mogły stać się niebezpiecznymi dla brzegów, chociaż straty niemieckie, spowodowane samą blokadą, obliczane są w sprawozdaniu na 5 milionów franków dziennie. A jednak ze względu na ilość statków flota francuska nie była w stanie rościagnąć swej działalności na długość całego wybrzeża—nie mogła więc spełnić zadania swego. „Więcej trzeba męstwa, aby znieść stan taki, niż aby zdecydować się na bitwę, chociażby najbardziej nierówną.”

Eskadra francuska, składająca się z 7 pancerników i 2 aviso, wypłynęła 24 lipca 1870 r. z Cherbourg'a i skierowała się ku morzu Niemieckiemu; za nią wyjść powinna była druga eskadra, gdyż ogólny skład floty, przeznaczonej do blokowania wybrzeży niemieckich, oznaczony był na 14 pancerników i znaczną liczbę aviso. W instrukcyi było powiedziane: „flotę nieprzyjacielską zamknąć należy w zatoce Jahde, nasza (francuska) flota udaje się na morze Bałtyckie, najmuje Duńczyków na sterników, przytem umówione zostają sygnały świetlne z brzegowemi stacyami Jutlandyi; następnie flota zajmuje stanowisko w zatoce Kjöge. Względem Rossyi powinny być zachowane wszelkie ostrożności.” Henning przytem dodaje od siebie: „wyruszenie floty francuskiej w Niemczech było wiadome, Francuzi zaś nie wiedzieli, gdzie się wtedy znajdowała flota niemiecka.”

¹⁾ Henning. „Die Küstenvertheidigung.”

O braku wszelkiego uzdolnienia ówczesnego zarządu morskiego we Francyi świadczy—wedle Henninga—już ta chociażby okoliczność, że odległość pomiędzy Jahde a Kiel wynosi 300 mil, z czem się widocznie cytowana instrukcja nierachowała. Szóstego sierpnia flota otrzymała rozkaz powrotu, na drugi zaś dzień przyszło rozporządzenie pozostania na stanowisku. Dowodzący flotą admirał Villomen 12 sierpnia zwołał radę wojenną. Na niej okazało się: „atakowane mogą być tylko Kołobrzeg i Gdańsk, ale rezultat przewidywany jest tak słaby, że nie należy narażać powagi i reputacyi floty francuskiej. Pomyślnie działanie przeciwko Kołobrzegowi i Gdańskowi wymaga niezbędnie innych statków (zapewne mniej zanurzonych) i oddziału wojska, który-by mógł obezwładnić nieprzyjacielskie siły lądowe.”

Postanowiono tymczasem działać przeciw Hamburgowi, Lubece, Bremie, Szczecinowi, ale raport, ułożony na zasadzie zdania morskiej rady wojennej, tak się wyraża: „miasta te położone są u ujść rzek o 12—15 mil od brzegu morskiego, t. j. znajdują się w takich miejscach, do których nawet fregaty, posiadające doświadczonych sterników pruskich, nie docierały i docierać nie mogły. Żądać od eskadry bałtyckiej bombardowania tych miast znaczyłoby toż samo, co lękać się bombardowania przez Anglików Rouen lub Bordeaux ¹⁾).

Niemniej przeto obecnie ostrzeliwać można miasta z tak wielkich odległości, że i statki głęboko zanurzone będą zdolne zbliżyć się dostatecznie. A ponieważ przytem działanie pocisków będzie o wiele potężniejsze, więc państwa wzięły się, celem obrony brzegów, do budowania bateryi nadbrzeżnych i uzbroiły je w działa najsilniejszych typów.

Działa nadbrzeżnych bateryi francuskich systemu Bange pociski wysyłać mają na 10 wiorstowe blisko odległości. Lecz strzelanie z bateryi lądowych, pomimo wielolicznych, bardzo dowcipnie obmyślonych przyrządów do mierzenia odległości, do niewidzialnych prawie ruchomych punktów, jakimi są szczególnie nowoczesne okręty wieżycowe i monitory, zagłębiające się prawie całkowicie w wodzie, było-by prawie zupełnie daremną stratą amunicyi. Parostatek, poruszający się tylko z szybkością 18 wiorst na godzinę, co 30 sekund posuwa się o 50 metrów, tymczasem dla dania wystrzału z armaty brzegowej (przy lawecie najpoprawniejszej) potrzeba około 5 minut. Doskonale wyćwiczona obsługa pozwala czas ten skrócić do 3 lub najwyżej do 2 minut.

Dla obrony więc brzegów nie pozostało innych środków, jak mieć dość silną marynarkę, ażeby nieprzyjacielowi wzbronić zbliżenia

¹⁾ Henning. Ibidem.

się do nich. W tym celu wszystkie państwa, mogące mieć w obronie brzegów własnych lub w napadnięciu na brzegi przeciwnika ważny interes, z gorączkowym pośpiechem budują statki nowych typów. W r. 1895, według obliczeń, przedstawionych w Izbie deputowanych przez Gerville-Réache'a, sprawozdawcę Komisji budżetowej francuskiej, za rok 1889, posiadać będą pancerników:

	Pancerników do 10000 tonn i wyżej	Pancerników innych, oprócz dla strzeżenia brzegów	Pancerników dla strzeżenia brzegów i ka- nonierek
Anglia	22	32	15
Włochy	13	8	3
Niemcy	4	12	23
Austria	—	10	3
Francya	13	20	22
Rossya	4	11	19

Z powyższego widzimy, że Anglia sama posiada statków najpotężniejszego typu prawie tyle, co reszta państw.

Wszystkie państwa, zebrane razem, przeciwko 22 wielkim pancernikom angielskim postawić mogą tylko 34 takich olbrzymów.

Rzecz zupełnie inaczej się ma z pancernikami lżejszych typów i przeznaczonych do strzeżenia brzegów. Wówczas kiedy Anglia statków tych dwóch typów posiada tylko 47, reszta państw dysponuje 131-ym.

Jeżeli liczbę pancerników r. 1870 weźmiemy za 100, to się okaże, iż liczba ich do roku 1895 wzrośnie:

w Anglii	o	64%
we Francji	"	37%
w Rosyi	"	47%
w Niemczech	"	680%

Pośpieszne budowanie pancerników wielkiego typu przez Anglię łatwo daje się wytłómaczyć jej geograficznem położeniem. Anglii wobec udoskonaleń techniki wojennej grozi, że którego pięknego dnia,

jeżeli obrona nie będzie odpowiednio przygotowana, na brzegach jej wyląduje armia nieprzyjacielska, wynosząca 200000 ludzi ¹⁾).

Jest tedy oczywiście, że wobec takiego stanu rzeczy, Anglia czuć się może bezpieczną tylko dopóty, dopóki posiadać będzie przewagę floty; naturalnie więc wyteża ona wszystkie siły, ażeby na jeden dzień nawet nie być pozbawioną tego pierwszeństwa, a to tem bardziej jeszcze, że w Europie zachodniej panuje przekonanie, jakoby, wobec dzisiejszych flot wojennych, jedno lub dwa zwycięstwa zadecydują o panowaniu na morzach, a na utworzenie nowych eskadr nie będzie już ani czasu, ani pieniędzy. Gdyby jednak nawet zdanie powyższe słusznem nie było, to i tak rzucić można pytanie, czy przy dzisiejszych środkach walki z pancernikami było rzeczą racjonalną topić miliardy w budowaniu statków w państwach innych? Odpowie nam na to przyszłość dopiero. Bardzo być może, że część tych sum, wydana w swoim czasie na doskonalsze karabiny i działa, na wzmocnienie kadrów i oficerów, oraz na krzyżowce, bardziej zapewniła-by państwu bezpieczeństwo.

VII.

Walki torpedowców z pancernikami.

Wynalazcy, chcąc na słabszych państwach, które potrzebować mogły obrony od pancerników, zrobić dobry interes, poczęli głowy łamać nad środkami ich niszczenia.

Jak tylko budowa okrętów o tyle postąpiła, że Anglia mogła wypuścić na morze największą ilość pancerników, uzbrojonych w najcięższe działa i zaopatrzonych w olbrzymie pancerne blachy, zdolne oprzeć się najcelniejszym i najsilniejszym nieprzyjacielskim pociskom, w wielu umysłach zrodziła się naraz myśl, czy nie dało-by się pod te pływające potwory podsadzać min lub pociskami eksplodującymi godzić w miejsca najsłabsze, a więc w części ukryte pod wodą, jako bardzo nieznacznie lub zupełnie nieopancerzone. Środkiem ku temu, znanym zresztą oddawna, były tak zwane torpedy, czyli naczynia, napełnione materjami wybuchowemi, eksplodującemi za uderzeniem w statek.

Lecz od myśli do urzeczywistnienia praktycznego przez czas długi dojść było nie łatwo; napotkano tak wielkie przeszkody, że dopiero w najnowszych czasach rozwiązano zadanie dosyć zadawalniająco.

¹⁾ *Henning. „Die Küstenvertheidigung.*

Poczęto budować stateczki niewielkie, ale mogące płynąć z ogromną szybkością, w specjalnym celu rażenia przeciwnika torpedami, czyli tak zwane torpedowce ¹⁾).

Doświadczenie wykazało, iż statek podkładający torpedę nie naraża się na żadne niebezpieczeństwo, jeżeli przy użyciu 25—30 kilogramów prochu lub 6—7 kilogr. dynamitu, albo 10—12 kilogr. bawełny strzelniczej, oddalony jest od punktu wybuchu o 6 metrów i jeżeli ładunek zanurzony został w wodę na 2½ metra. Otóż ponieważ z odległości 6-ciu metrów łatwo ładunek podsadzić wprost za pomocą drąga, wypadało pobudować tylko taki typ statków, ażeby jak najmniej był widziany w momencie zbliżania się do okrętu nieprzyjacielskiego.

Podczas wojny russo-tureckiej 1877 r., w nocy z d. 22 na 23 maja ²⁾, cztery takie russkie łodzie parowe, pod dowództwem poruczników Dubasowa i Szestakowa, przedsięwzięły w kanale Maczyńskim atak na dwa tureckie pancerniki i na jeden statek parowy. Miały one przy każdym z boków po torpedzie, wypełnionej dynamitem i urządzonej tak, że się zapalała albo przez dotknięcie, albo wskutek prądu elektrycznego, który mógł być puszczonej ze statku. Za środek obrończy przeciw strzałom karabinowym służyły torpedowcom blachy żelazne. W chwili ataku powitano torpedowiec gęstym ogniem, pomimo to atak na średni z pomiędzy trzech okrętów nie mógł być wstrzymany.

Pierwszy wybuch torpedy miał tylko skutek częściowy, drugi zaś posłał okręt odrazu na dno.

Również dnia 10 czerwca 1877 r. o drugiej w nocy sześć wielkich łodzi torpedowych, które przyholował za sobą okręt „Konstantin” do przystani Sulimy, napadło na trzy stojące tam pancerniki tureckie i na łódź działową, przy której również były torpedowce.

Tureckie okręty, nauczone doświadczeniem, zabezpieczyły się barykadami. Dwie łodzie torpedowe uderzyły o te nieoczekiwane przeszkody, torpedy eksplodowały; jedna z łodzi napadających zatонуła, druga została silnie uszkodzoną; pomimo to, turecki pancernik „Teth i Bulend” tak silnie ucierpiał, że musiał zaprzestać ścigania uciekających łodzi nieprzyjacielskich i nazajutrz popłynął do Konstantynopola, aby naprawić odniesione uszkodzenia.

W nocy z 26 na 27 stycznia 1878 r., wysłał „Konstantin” znowu dwie łodzie, zaopatrzone w torpedy, przeciw siedmiu okrętom tureckim,

¹⁾ Długość torpedowców wynosi zwykle około 40 metrów, szerokość 6—7 metrów. Szybkość biegu dochodzi do 44 kilometrów na godzinę. Jeden z ostatnich torpedowców, zbudowany dla rządu brazylijskiego, posiada szybkość 51.8 kilometrów na godzinę. („Betrachtungen über Seetaktik”).

²⁾ Profesor Renleaux „Der Weltverkehr.” Leipzig 1887.

stojącym w porcie Batumskim. Wypuszczono tylko dwie torpedy przeciwko okrętowi strażniczemu nieprzyjacielskiemu i ten został zdruzgotany, obie zaś łodzie powróciły cało.

Wogóle w dziewięciu napadach russkich torpedowców, Turcy stracili jeden pancernik i dwa statki parowe; trzy zaś pancerniki stały się na kilka tygodni niezdolne do walki. Straty ludzi nie są oznaczone.

Z russkiej strony uszkodzone zostały trzy łodzie torpedowe i tyleż barek parowych, a jedna łódź torpedowa była zatopiona. Dwu marynarzy russkich zostało zabitych, 10 ranionych.

Niemniej pomyślne rezultaty otrzymano podczas wyprawy francuskiej w 1885 roku.

Dwa zwyczajne małe parowe barkasy, mające zaledwie 14 metrów długości, zabrawszy z sobą torpedy, uderzyły na fregatę chińską 3500 tonn, w nocy z 14 na 15 lutego 1885 roku, i zatopiły ją. Okręt ten schronił się był do portu Sheipu, pod opiekę tamecznych fortyfikacji, admirał zaś Courbet znajdował się o kilka mil morskich od portu. Wojenne łodzie francuskie przebyły tę przestrzeń, korzystając z ciemności nocnych, i po dokonaniu dzieła zniszczenia najspokojniej powróciły do statku admirałskiego ¹⁾.

Doświadczenie, zdobyte podczas chilijskiej wojny domowej w roku 1891, zdaje się stwierdzać zdanie tych, którzy pancernikom świetnej przyszłości nie przepowiadają.

W obrębie portu Coldera, o świcie w d. 23 kwietnia 1891 r., pancernik „*Blanco-Encalada*“, należący do kongresjonalistów, napadnięty został niespodzianie przez łodzie torpedowe „*Almirante Linch*“ i „*Almirante Condell*“ i zatopiony minami Whiteheada. Atak dokonany był w sposób następujący: Torpedowce wpłynęły do portu niepostrzeżenie, używając połowy maksymalnej swej szybkości. Napad skierowano na prawy bok pancernika od strony przedniej. Pierwszy zbliżył się „*Alm. Condell*“ i, podpłynąwszy na 100 metrów, wypuścił torpedę ze swego przedniego aparatu w przód pancernika, ale ta chybiła celu. Wtedy podsunął się jeszcze bliżej i, zwróciwszy się ku pancernikowi lewym bokiem, posłał drugi pocisk—trafny. Z pancernika zaczęto strzelać, łódź napastująca pchnęła jeszcze jedną torpedę i odpłynęła. Wtedy z kolei przystąpił do dzieła „*Alm. Linch*.“ Pocisk jego z aparatu przedniego również chybił, drugi pocisk z aparatu bocznego (z lewej strony) ugodził pancernik w sam środek i „*Blanco-Encalada*“ w dwie minuty zatonął.

¹⁾ „*Betrachtungen über Seetaktik aus fremden Quellen.*“ Berlin, 1892.

Trwało to wszystko zaledwie siedm minut. Przez cały ten czas łódki na bardzo blizkiej odległości od pancernika, pod nadzwyczajnie silnym ogniem artyleryjskim, znajdowały się nie dłużej nad cztery minuty, wyrządził też on im szkodę zaledwie nieznaczną. Autor robi uwagę, że gdyby łódki dostrzeżone zostały wcześniej i gdyby zaczęto do nich strzelać na 300 sążni, to nawet w razie powodzenia ataku stateczki napastujące ostatecznie nie wywinęły-by się tak tanio. Ale można także przypuścić, że rezultat przedsięwzięcia byłby całkiem inny; czynności przeciwnika zmusiły napadającego do pośpiechu, co znowu nie sprzyja poprawności działań, w każdym razie, takie nadzwyczajne zbliżenie się torpedowców do okrętu na 25 sążni możliwe jest tylko w rzadkich i wyjątkowych wypadkach.

Po upływie 48 godzin też same dwa torpedowce, dowiedziawszy się, że łódka „*Magellanes*” znajduje się sama jedna w niedalekiej zatoce, postanowiły ją zniszczyć, dobrawszy sobie jeszcze do pomocy torpedowiec pod nazwiskiem „*Aldea*.” O świcie 24 kwietnia napastnicy zbliżyli się do zatoki, ale zdaleka zostali dostrzeżeni z „*Magellanes*” (przodem zwróconej do wejścia). „*Aldea*” zagroziła jej lewemu bokowi, a „*Alm. Linch.*” szła wprost na nieprzyjaciela. Ogień rozpoczęły torpedowce, „*Magellanes*” odpowiadała naprzód z dział przodowych, a potem z bocznych i wogóle działała skuteczniej niż napastnicy. Bój był zajadły. Po kilku minutach walki, na „*Alm. Linch.*” zwalony został jedyny komin (drugi utracono podczas ataku „*Blanco-Encalad'u*”), na „*Alm. Condell*” złamano maszt i uszkodzono korpus, na torpedowcu zaś „*Aldea*” zniszczono zupełnie maszty, kominy i przyrządy, przeznaczone do walki; doprowadzony on został w ten sposób do stanu zupełnej niemocy i uratował się tylko tem, że maszyna ocalała. Na wszystkich statkach zabito i raniono wielu ludzi z załogi. „*Magellanes*” zwyciężyła, lecz miała też uszkodzony korpus i inne części statku i jedno działo zdemontowane. Pomimo to, zmusiła ona przeciwników do odwrotu i próbowała nawet ich ścigać, ale przeszkodził jej w tem zbyt powolny bieg. Z obu stron naliczono ranionych i zabitych około 150 ludzi.

Z tego widać, do jakiego stopnia torpedowce są niebezpiecznym wrogiem dla pancerników. Torped liczą kilka rodzajów: podkładane na drogach długości 25 do 30 stóp; wyrzucane z aparatów automatycznych; torpile Whiteheada i t. p. Zaznaczyć wypada, że w torpedy samoporuszające się uzbrajają się dziś nietylko torpedowce, lecz wogóle wszelkie statki wojenne.

Przyjrzyjmy się bliżej budowie torpedowców. Są to stateczki, mające około trzydziestu trzech metrów długości, wynurzające się bardzo niewiele po-nad poziom wody, z której wygląda tylko wypukła powierzchnia żelaznej kopuły, a nad nią wznosi się płaski pomościk,

wielkości dwu stóp kwadratowych. Stalowa ta muszla zawiera 12 ludzi załogi i kapitana, a niesie śmierć tysiącom.

Wewnątrz statku, na przedzie, znajduje się kamera, zaopatrzona w mechanizmy do wypuszczania torped (tubes de projection), obok zaś wiszą same torpille. Są to pociski, wydłużone na 2.40 metrów, z jednej strony zakończone stożkiem, a z drugiej zaopatrzone w szrubę. Po-za kamerą znajduje się stanowisko sternika, zanurzonego aż do pól głowy w korpus statku. Za nim znowu o dwa stopnie wyżej stoi komendant torpedowca. Obu ich osłania rodzaj kapelusza z blachy żelaznej, a soczewki weń wstawione pozwalają widzieć całą rozległość drogi, pozostającej do przebycia.

Pociski, zakończone szrubą, wkładają się do przyrządu wyrzucającego, który wypycha torpedę pod wodę w kierunku statku atakowanego. Pocisk wskutek własnego automatycznego mechanizmu posuwa się naprzód przeciwko wrogowi z szybkością 40 kilometrów na godzinę.

Pocisk otrzymuje dowolne pochylenie i jeżeli statek atakowany osłonił się siatką stalową, to straszliwa machina podpływa pod nią, wymija ją, dosięga kolosa i rozsadza potęgą swego wybuchu. ¹⁾

Za najdalszy dystans działania pocisków podwodnych przyjmują 1,000 metrów; bliżej zaś jak na 200 metrów przy dzisiejszej doskonałej konstrukcji torped i przyrządów, wyrzucających torpedy, nie-ma koniecznej potrzeby zbliżać się do upatrzonej ofiary.

Jak wielkie zrobiono postępy pod względem wypuszczania torped, wykażą nam dane następujące:

Jeżeli statek stoi na miejscu i jeżeli woda jest cicha, to z odległości 800 metrów pancernik na 3 wypuszczone pociski może być dwa razy ugodzony torpedą. Jeżeli zaś oba statki są w ruchu, prawdopodobieństwo trafienia zmniejsza się znacznie. Jeżeli odległość zmniejszy się do 300 metrów, szybkość zaś ruchu statku wynosić będzie 8 kilometrów na godzinę, z trzech wypuszczonych pocisków jeden tylko będzie dobry. W akcji zaś, kiedy ruchy i zwroty pancernika nie dadzą się przewidzieć, prawdopodobieństwo trafienia jeszcze naturalnie nadzwyczajnie się zmniejszy.

Takie rezultaty uzyskano z ostatnich prób i doświadczeń; do czego zaś dojdzie, jeszcze tego przewidzieć niepodobna, tem bardziej, że próby, dokonywane w Austrii, Francji i Włoszech, trzymane są w głębokiej tajemnicy. To jednak pewna, że studia i ćwiczenia, celem nadania pociskom torpedowym coraz większej celności, robią się wszędzie, nie-

¹⁾ Hennebert. „L'Art militaire et le Science.”

ustannie, z niesłabnącą gorliwością ¹⁾. Sposób ładowania torped uległ już dziś właśnie z tego powodu znacznej zmianie. Uderzenie ich stać się może zabójczem dla najpotężniejszych olbrzymów żelaznych.

VIII.

Obrona od torpedowców.

Jak zwykle, jednocześnie z doskonaleniem ataku myślano i o skuteczności obrony.

Najważniejsze części statku, jak np. przedział z kotłami i maszynami, ster i t. d. poczęto osłaniać odpowiednimi pancierzami i pod powierzchnią wody, lub otaczać pokładami z węgla.

Statki wewnątrz podzielono na przedziały, hermetycznie zamknięte. Wskutek tego, ponieważ wybuch takiej nieznacznej ilości prochu lub dynamitu, jak wyżej podaliśmy, był w stanie wyrządzić tylko szkody w jednej z części okrętu, przeto cały statek niekoniecznie ulegał zdruzgotaniu.

Prócz tego statki najnowszych typów otaczają się rodzajem niby pasa pływackiego z materyi lekkich lub przedmiotów pustych (albo napełnionych węglem), wskutek czego nie mogą zanurzyć się bardziej, jak po pokład opancerzony.

Prócz tego pancerniki otoczyły dolne swe części specjalną siatką, która powinna wywołać wybuch w uderzającej pod wodą torpedzie na pewnej odległości przed statkiem.

Doświadczenia, robione w Anglii, nauczyły, że i ta obrona nie na wiele się przyda.

Chodziło o to, aby się dowiedzieć, czy siatka nadzwyczajnie silna, zrobiona specjalnie z kłód drewnianych, może być jednak przez torpedowiec przebitą? W tym celu dla dokonania prób wybrano odpowiedni torpedowiec. Przeplłynąwszy kilka razy około przystani celem nabrania odpowiedniej siły pędu, torpedowiec wpadł na przeszkodę z szybkością 20 mniej więcej węzłów na godzinę i przebił ją, poczem powrócił do przystani, gdzie został zbadany. Przekonano się, że był całkiem w dobrym stanie: ani przód, ani pudło, ani motor uszkodzone nie zostały ²⁾.

Prócz tego każdy pancernik otacza się, jak armia podjazdami, statkami mniejszemi, które krążą dokoła i plądrują nawet głębiny morskie, wyprowadzając tam od czasu do czasu wywiedzonych nurków.

¹⁾ „Betrachtungen über Seetaktik”, 1892.

²⁾ Opis wzięty z dziennika „United Service.”

Wyborne szkła szukają z pancerników na wsze strony nieprzyjaciela. Snopy światła elektrycznego pozwalają dojrzeć zbliżający się torpedowiec z odległości 2,000 metrów i w tej chwili staje się on celem dla pocisków z armat szybkostrzelnych i kartaczownic wszystkich w pobliżu stojących statków. Z drugiej jednak strony blask słońc elektrycznych, niby gwiazda przewodnia, wskazuje torpedowcom drogę i cel napadu. W snopach światła elektrycznego znajdują się zawsze ciemne smugi, z których inne torpedowce mogą skorzystać, aby w ich cieniu zbliżyć się do pancerników. Słowem, niebezpieczeństwo mija dopiero z brzaskiem dnia.

Nietylko zresztą dokoła okrętów oświećta się powierzchnia morską, lecz i głębiny wodne.

Ale na światło zbyt wiele liczyć nie można, przekonywają o tem liczne doświadczenia. Naprzykład, na manewrach we Francyi lekki obłok mgły przyćmił blask słońca elektrycznego i wskutek tego torpedowce mogły kilkakrotnie podsunąć się pod boki pancerników. Stąd wyprowadzono wniosek, że w pochmurny dzień flota olbrzymów nie jest bezpieczną od napadu karlików i nie może zarzucać kotwicy ¹⁾.

Bardzo ciekawy przykład, jak dalece trudno jest dostrzedz torpedowce, znajdujemy w dziele „Science et guerre” ²⁾:

„W Cherbourgu miał się odbyć w nocy atak torpedowców na statki, znajdujące się w tamecznym porcie. Statki o tem wiedziały, to też każdy stał na stanowisku; wszystkie oczy, wszystkie środki obserwacyjne pracowały z wysiłkiem największym, aby dostrzedz wroga; sternicy, kanonierzy, karabinierzy byli w najwyższym pogotowiu do zaatakowania go, każdy czekał sygnału i każdy szykował się, aby dać w każdej chwili ognia.

„Komendanci statków z punktu centralnego czuwali nad wszystkim, rozdawali rozkazy przez aparaty elektryczne i telefony, podniecali czujność. Nagle przed jednym z nich staje z czapką w rękę porucznik:

„— Jestem na pańskie rozkazy, komendancie!...

„— Kto pan jesteś?

„— Dowodzę jednym z torpedowców, które pana miały wysadzić w powietrze. Nietylko zdołałem przedrzeć się przez linię obrony, ale potrafiłem dostać się do pana, nie zaczepiony przez nikogo.

„W rzeczy samej torpedowiec omylił czujność całej załogi i, niewykryty przez światło elektryczne, dotarł do boków olbrzyma, a do-

¹⁾ Militär Zeitung: „Französische Flotten in nationalen Beleuchtung.”

²⁾ „Bibliothèque des actualités industrielles”, str. 119.

wódca jego po drabinie sznurowej dostał się na pokład, gdzie nań nie zwrócono uwagi."

W obecnym czasie, wskutek doświadczeń, uczynionych we Francyi, torpedowiec, który zdoła zbliżyć się niepostrzeżenie do pancernika na 400 metrów, pośle olbrzyma na dno, w przeciwnym razie sam ulegnie temu losowi. Na manewrach zeszłego roku eskadra francuska przy atakowaniu Nicei i Tulonu osiągnęła rezultaty następujące: zgodnie z przyjętymi warunkami statek „*Formidable*“ i krążowiec „*Cosmao*“ uznane zostały za wysadzone w powietrze przez oddział torpedowców obronnych; z ostatnich zaś dwa odcięte zostały od brzegu przez dwa krążowce.

Zadrzeć trzeba, gdy się pomyśli o potędze niszczącej torped. Wiele sposobów podawano, aby ją ubezwładnić, są one jednak albo nieziszczalne, albo bezskuteczne. Torpedowiec, pomimo wszelkich środków obrony, stał się przyszłym panem mórz, a to tem więcej, że dziś budują torpedowce podwodne.

Torpedy, używane jako pociski, mają tę wielką wadę, że trafność ich zależy od prądów wody i od ruchów statku. Przytem, chcąc wysadzić wroga, trzeba narazić się w większym lub mniejszym stopniu na niebezpieczeństwo zostania wyprawionym przez niego na dno morskie.

Ażeby tych niedogodności uniknąć, poczęto budować stateczki — torpedowce, mogące długi czas pozostawać pod wodą i tak małe, że wielki statek może je łatwo zabierać z sobą.

W Tulonie robiono doświadczenie ze statkiem tego rodzaju nazwiskiem „*Gymnote*“¹⁾.

Chciano sprawdzić, czy podwodny torpedowiec mógłby wypłynąć z przystani i powrócić pomimo ścisłego obłążenia. Ustawiono więc kilka wojennych statków szeregiem, z rozkazem pilnowania „*Gymnote'a*“ i ścigania go, skoro tylko zostanie spostrzeżony. O godzinie oznaczonej „*Gymnote*“ ustawiony został tak, ażeby go niewidziano z dygi i, zanurzwszy się, płynął pod wodą w prostej linii ku pełnemu morzu. Pozostawał pod powierzchnią około 40 minut, wyminął niedostrzeżony linię torpedowców i pokazał się na powierzchni dopiero o 2 $\frac{1}{2}$ mili, ale wysunął tylko swój aparat optyczny, aby się zorientować w pozycji. Poczem zanurzył się znowu i powtórnie przebył linię, strzeżoną przez statki. Jeden z torpedowców dostrzegł go wtedy, ale tak niedokładnie,

¹⁾ „*Gymnote*“ ma długości 18 metrów, szerokości 1 m. 80 ctm. w pośrodku. Maszyna jego jest dosyć potężną, ale nie może płynąć dłużej nad 4 do 5 godzin. Oddychanie jest zapewnione za pomocą powietrza zgęszczonego, zanurzanie i wychylanie się dokonywane jest za pomocą nagromadzenia wody a następnie wypychania jej, co wpływa na zmianę ciężaru statku.

iż nie można było objąć go okiem i ścigać. Rezultat próby był więc decydujący.

Równie udatną próbę wykonał drugi statek podwodny „*Goubet*.” Przeplynał on niepostrzeżony pod sześcioma statkami, postawionem na kotwicy jeden za drugim. Następnie, ażeby wykazać całą swobodę ruchów, „*Goubet*” przesunął się pomiędzy przodem torpedowca i łańcuchem jego kotwicy, poczem podłożył torpedę pod bok angielskiego statku z węglem. Zdołał on niedojrzany poprzecinać sznury pływaków, popsuć szruby parowców i t. d.

Wyobraźmy sobie tylko, że zamiast niewinnej pustej torpedy, „*Goubet*” podsunął-by torpedę, napełnioną 500 kilogramami dynamitu z mechanizmem zegarowym, z matematyczną ścisłością uregulowanym, ażeby wybuch nastąpił w chwili, kiedy napastnik będzie już bezpieczny daleko.

Według „*Revue militaire de l'Etranger*”, które wydaje sztab główny francuskiego ministerjum wojny, Niemcy mają teraz posiadać sześć torpedowców podmorskich, z których trzy od roku już są czynne, a trzy jeszcze ulegają próbom w Kielu.

Owe trzy pierwsze torpedowce — jak zapewnia toż samo pismo — okazały wiele zalet i obiecują oddać w razie potrzeby niemałe usługi. Zanurzone osiągnęły węzłów 16.5 na godzinę, t. j. doszły do szybkości wyższej od wszystkich francuskich pancerników i większości francuskich krążowców. Pod wodą nawet bieg był 9.5 węzła. „*Revue*” dodaje, że admiralicya niemiecka *nie myśli bynajmniej na tem poprzestać*, i rzeczywiście warsztaty bałtyckie w Kielu i w Gdańsku zajęte są budowaniem nowych stateczków tego rodzaju.

W „*Année Scientifique*” za r. 1886 znajdujemy również opis torpedowców podwodnych, które konstruktor statku podwodnego „*Gymnote*” i „*Goubet*” zobowiązał się zbudować dla marynarki rosyjskiej.

Słabą stroną podwodnych łodzi torpedowych są małe ich rozmiary, wskutek czego nie mogą one brać dostatecznych zapasów żywności i węgla, a przytem pływanie na nich jest straszliwie męczące i niebezpieczne. Ale i na to wynaleziono sposób. Pobudowano specjalne statki, które zabierają torpedowce ze sobą i wypuszczają je dopiero w pobliżu ofiary.

Widzieliśmy, że już w wojnie 1877 roku torpedowce rosskie, które wysadziły w powietrze pancernik turecki, wiezione były przez parowiec „*Konstantin*.”

Wynalazcy idą dalej i mówią już o statkach, które na takich głębokościach płynąć będą mogły, że się znajdą po-za wpływem falowań morza i tylko od czasu do czasu dla napompowania nowego zapasu

powietrza pokazywać się będą, a zatem obecne niedogodności pływania zostaną w znacznej części usunięte.

Lecz temu wynalazkowi, gdyby nawet dało się go praktycznie urzeczywistnić, jak i wogóle statkom podwodnym, niektórzy pisarze wojenni nie przypisują wielkiej wartości i zdaje się, że z pewną słusznością powiadają:

„Nie ulega wątpliwości, że najwyższą trudnością, którą trzeba przezwyciężyć, ażeby wyciągnąć praktyczną korzyść z torpedowców, jest kwestya widzenia. Podwodny statek jest absolutnie ślepy. Ażeby zaradzić temu niedostatkowi jak najlepiej i jak najprędzej, trzeba będzie poświęcić częściowo jedną z najznakomitszych właściwości jego, to jest kompletną niewidzialność.

Bądź co bądź, wobec rezultatów, już dziś osiągniętych, zapytać warto, czy wynalazca statków podwodnych nie miał racyi, kiedy powiedział: „Dzień, w którym kół podmorska będzie mogła podsadzić 200 kilogram. bawełny strzelniczej pod spód okrętu—dzień ten będzie ostatnim dla pancerników.” Dziś już założenie zdaje się być spełnionem, i miliardy, wydane na budowanie żelaznych kolosów morskich, kto wie, czy nie zostały stracone.

Dowodem pewnym, że w przyszłej wojnie oczekiwać należy walki stalowych olbrzymów z karzelkami, drobniuchnymi, ale uzbrojonymi w żądła mordercze, jest gorączkowy pośpiech, z jakim państwa przystąpiły do budowania łodzi torpedowych.

	Ogólna ilość posiadanych torpedowców	Na 10 pancerni- ków przypada torpedowców
Francya	200	36,3
Niemcy	182	46,6
Anglia	197	28,5
Włochy	167	69,9
Rossya	141	41,5
Austria	62	47,7.

Czyli, chociaż Francya i Anglia posiadają bezwzględnie największą ilość torpedowców, to jednak w stosunku do siły floty wojennej mają ich mniej, niż wszystkie inne większe państwa, szczególnie zaś mniej niż Włochy, gdzie stosunkowa liczba torpedowców jest najwyższa.

Przedewszystkiem jednak ważną jest ta okoliczność, że najmniejsza nawet liczba torpedowców, jaką posiadają większe państwa Europy, wobec wskazanych wyżej warunków walki, jest całkiem wystarczającą, aby rzucić na morza popłoch i ruch handlowy zatamo-

wać. Zaradzić-by tu nieco mogła tylko zmiana dzisiejszych warunków walki pomiędzy pancernikami i torpedowcami, to jest, gdyby pierwsze zdobyły jakiś skuteczny środek obrony bądź przeciwko niespodziewanym napadom, bądź przeciwko sile wybuchu ładunków torpedy.

Kwestya ta jest też na porządku dziennym i umysły wynalazców w tym kierunku pracują. Że zaś do dziś zagadnienia nie rozwiązano, nie dowodzi to bynajmniej, aby jutro nie przyniosło jakiegoś rezultatu.

Admirał Werner¹⁾ np. twierdził, że jak tylko зниżenie się ceny aluminium pozwoli go używać do budowy statków, to wskutek lekkości materiału można będzie dawać tak grube ściany w nieopancerzonych miejscach i budować wogóle tak mocny tułów, iż okręty drwić będą mogły z wszelkich łodzi, wojujących ładunkami wybuchowymi. Dziś już aluminium produkowane jest tak tanio, iż robią z niego przedmioty najpospolitszego użytku, np. klucze.

Gdyby się przepowiednia ta sprawdzić miała, to państwa europejskie były-by zmuszone przystąpić z pośpiechem do budowania za nowe miliardy statków aluminiowych. Pomysłowość ludzka otrzymałaby nowy bodziec i nie omieszkała-by niebawem dostarczyć potężniejszych środków wybuchowych. Do kogo w tym pościgu należeć będzie słowo ostatnie, przewidzieć naturalnie trudno. To jednak jest pewne, że człowiek wogóle potężniejszy jest jako niszczyciel, niż jako twórca.

Nie małoważnym czynnikiem w walce morskiej jest także *szybkość*. Nieraz się zdarzy, iż słabszy przeciwnik w ucieczce szukać będzie ocalenia. Jeżeli bliskość portu go nie uratuje, lub zapadająca noc nie osłoni, wtedy pozostanie mu albo większa szybkość, albo pewna zguba, albo wreszcie przypadek, z którym liczyć się trzeba, ale liczyć nań niepodobna.

To też w ostatnich czasach zaopatrzono torpedowce w tak silne maszyny, że będą mogły prześcigać wszystkie statki wojenne.

Według sprawozdań p. Gerville Réache'a, złożonych francuskiej Izbie deputowanych, pancerników z szybkością 18 węzłów na godzinę znajduje się na całym świecie tylko 10²⁾, reszta posiada bieg daleko powolniejszy.

¹⁾ Werner. „Die Kampfmittel zur See.”

²⁾ Włochy 6, Niemcy 4.

Tymczasem torpedowce posiadają następujące szybkości:

11	torpedowców	(33.2	kilom.)	18	węzłów	na	godzinę
9	"	(35.0	")	19	"	"	"
20	"	(36.8	")	20	"	"	"
36	"	(38.7	")	21	"	"	"
2	"	(40.5	")	22	"	"	"
3	"	(44.2	")	24	"	"	"
2	"	(46.0	")	25	"	"	"
2	"	(47.9	")	26	"	"	"

Taka szybkość pozwala używać torpedowców nie tylko do wypraw przeciwko statkom wojennym, ale i do niszczenia flot handlowych nieprzyjacielskich, a to tem bardziej, że zostały one uzbrojone w działa szybkostrzelne, nabijane pociskami eksplodującymi; armatki te są zbyt małego kalibru, aby mogły jakąś poważniejszą szkodę wyrządzić pancernikowi, ale każdy statek handlowy zdołają posłać pod wodę.

Bardzo przytem być może, że wojna wyprowadzi na jaw jakieś, dziś nieznane i nieprzewidywane niespodzianki.

„L'année militaire” przytacza, że w 1889 r. rząd angielski nabył prawo na nowy system torped od wynalazcy Brennau i zapłacił mu 2,750,000 franków. Suma zbyt poważna, ażeby ją wydano na jakieś drobne tylko ulepszenia.

Gdy chodziło o ściganie okrętów handlowych przez torpedowce, na przeszkodzie stały długo zbyt małe rozmiary tych stateczków, wskutek czego zapasy węgla i żywności mogły być bardzo nieznaczne. Ale niedogodności tej już zaradzono. Pobudowano, mianowicie, statki specjalne, które są dla torpedowców niejako holownikami, a zarazem magazynami.

IX.

Znaczenie komunikacji morskich.

Z tego położenia rzeczy zdaje się wypływać wniosek konieczny niemal, że budowa wielkich pancerników wszędzie winna być zaniechana. Tymczasem państwa powiększają swoje marynarki, z większym jeszcze wysiłkiem i z większą szybkością, niż armie lądowe.

Ten szalony wzrost wydatków zastanawia tembardziej, że najpomysłniejsza wyprawa na morzu nie jest w możności zabrać znacznej liczby żywych sił narodu. Mogą tu być wprawdzie znaczne straty, lecz one

posiadać nie mogą wielkiego znaczenia w porównaniu z ofiarami batalii na lądzie. Jeżeli więc Napoleon I mógł, patrząc na pole, zasłane trupami, powiedzieć z właściwym mu cynizmem, iż jedna noc w Paryżu straty te wynagrodzi, to czyż można przypuszczać, iż wodzom dui naszych może chodzić o zgładzenie paru tysięcy załogi na jakimś pancerniku. Chodzi rzeczywiście całkiem o co innego.

Tak samo, jak rodzina w cywilizowanym mieście nie może dziś sama zadowolnić wszystkich swoich potrzeb w domu, tak samo ogromna większość państw europejskich, cały zachód, nie jest w stanie wyżyć z własnej produkcji. W miarę doskonalenia się świata, każdy kraj więcej robi dla innych i więcej od innych potrzebuje. Szczególniej kraje, które już przebyły okres rolnictwa i stały się przemysłowymi, doprowadziły podział pracy do wysokiej doskonałości. Z tego względu nie tylko dobrobyt, ale sam byt wymaga nieustannej, szybkiej i dogodnej komunikacji.

Weźmy np. tkactwo, zatrudniające tak wielką liczbę rąk i karmiące tyle rodzin. W tym rodzaju produkcji fabryki różnych krajów współdziałały wzajemnie. Wełna i bawełna np. wytwarzane są bynajmniej nie tam, gdzie następuje potem obróbka. A to dlatego, iż inne są warunki produkcji surowego materiału, a inne potrzeby pracy fabrycznej. W jednych miejscach je czeszą, w innych farbują, jeszcze w innych tką i rozsyłają na wsze strony świata. Przerwanie komunikacji od razu zatamuje wymianę produktów i setki tysięcy rodzin pozbawi kawałka chleba.

Prócz tego, nie każdy kraj posiada potrzebne do wyzycia produktu naturalne. Większości państw Europy zboża i mięsa dostarcza dziś Ameryka, Australia, Indye, Rosya. Węgiel jest dziś artykułem niezbędnym do życia, bo ciepło, z niego wydobyte, porusza maszyny fabryk i parowozów, a też nie we wszystkich krajach się znajduje.

Przerwa komunikacji na czas dłuższy nie tylko zatamuje bieg życia przemysłowego, podkopie na wiele lat wytwórczość niejednego kraju, lecz także niektórym państwom zagrozi natychmiastowym głodem. Łatwo zrozumieć, że taki stan rzeczy wywoła wielkie spodziewane i niespodziewane katastrofy społeczne, które ze swojej strony odbiją się na losach swej rodzicielki... wojny.

Drogi morskie są zawsze niezbędne, staną się zaś jeszcze niezbędniejszymi, gdy wojna ogarnie kontynent. Będą to wtedy jedyne arterie, mogące podtrzymać życie, dostarczyć chleba powszedniego, ciepła, światła. Przeciąć je — znaczy pozbawić zupełnie warunków bytu większość krajów europejskich.

Celem uwidocznienia strat, na jakie pojedyncze kraje Europy narażone będą wskutek wojny, podajemy tu zestawienie zewnętrznego

ruchu handlowego w r. 1886. Za jednostkę bierzemy Rosyję i zewnętrzny jej handel oznaczmy przez 100, wtedy wysokość obrotów odpowiednich w państwach innych wyrazi się cyframi następującymi:

Rossya	100
Austria	117
Włochy	125
Niemcy	162
Stany Zjednoczone	245
Francya	265
Anglia	630

A więc Niemcom grozi niebezpieczeństwo $1\frac{1}{2}$ razy większe, Francji $2\frac{1}{2}$, a Anglii prawie $6\frac{1}{2}$ razy większe, niż Rosyi.

Te dane wyjaśniają nam, dlaczego państwa, prowadzące rozległy handel morzem, a przede wszystkim Anglia, przodująca w tym kierunku Europie, z takim nakładem powiększają floty wojenne. Mają one zapewne nadzieję, że pod eskortą stalowych olbrzymów swobodnie krążyć będą mogły karawany statków, napełnionych towarami, a przede wszystkim zbożem.

Że floty wojenne państw pozostają w związku z handlem morskim, świadczy ta okoliczność, iż siły morskie krajów europejskich znajdują się z sobą w takim samym prawie stosunku, jak ilości przywożonych i wywożonych okrętami towarów: im handel morzem większy, tem flota wojenna silniejsza.

Pierwsze więc miejsce zajmuje Anglia, gdzie troska o względną i bezwzględną potęgę marynarki wojennej nie słabnie nigdy. Czuwa nad nią i rząd, i parlament, i opinia publiczna.

„Zdawało-by się—pisze p. Budiłowski, — że potęga i pierwszeństwo Anglii na morzu są całkowicie na długie lata zapewnione, a jednak, chociaż do ostatecznego wykonania postawionego programu pozostało jeszcze dwa lata, dają się już słyszeć ze wszęch stron głosy, dowodzące słabości marynarki i domagające się nowych nakładów. Tak np. Brassay (autor głośnego dzieła „The Naval Annual“) w bardzo gruntownie opracowanym memoryale, który na początku r. 1891 odczytał w Towarzystwie inżynierów okrętowych, twierdzi, iż niebezpieczną rzeczą było-by zmniejszać wydatki na marynarkę, dopóki obrona handlu całkiem zapewnioną nie będzie. Proponuje on przytem nowy na lat pięć program budowania okrętów, wedle którego wypadło jeszcze, dodatkowo do programu Hamiltona, dobudować 142 statki (10 pancerników liniowych, 6 pancerników dla obrony brzegów, 6 pancerników taranów, 40 krzyżowców pierwszej klasy, 30 statków wywiadowczych

i 50 łódek torpedo-kanonierskich). W takim tylko razie, wedle zdania Brassay'a, pokój dla Anglii będzie zagwarantowany."

Gdyby się plany tego rodzaju przeprowadzić dały, t. j. gdyby udało się postawić Anglię po-za granicami wszelkiego niebezpieczeństwa, jakim grozi wybuch wojny morskiej, to niewątpliwie korzyści takiego stanu były-by wielkie, przedewszystkiem zaś kraj zabezpieczony-by został od widma klęski głodowej.

Ale naturalnie, państwa kontynentalne nie zgodzą się nigdy na pozostawienie Anglii monopolu we władaniu oceanami, zbroić się będą równolegle i stosunkowa siła Anglii pozostanie taka sama mniej więcej, jaka była wczoraj i jaka jest dzisiaj.

O to chodzić będzie w przyszłej wojnie morskiej, takie będzie zadanie marynarki. To państwo, czy ta grupa państw, która pozostanie panem morza i odetnie nieprzyjaciół od świata—zgubi ich.

Autor „La marine de guerre et les troupes coloniales“ słusznie powiada: „My(marynarze) możemy nieprzyjacielowi zabrać więcej, niż życie. Możemy zabić same warunki życia; możemy zniszczyć warunki pomyślności, wytworzone przez wysiłki pokoleń całych; możemy z zamożnego narodu uczynić na lat wiele bandę żebraków; pod kątem strzałów naszych trzymamy sam *czas*.“

Zrozumienie tego wyjaśnia nadzwyczajne znaczenie wojny morskiej, tłumaczy gorliwość państw w zbrojeniu marynarki.

Stajemy tutaj przed jedną z najważniejszych kwestyi, jakie z wojny przyszłej wynikną.

Czytelnik nie może naturalnie wymagać od nas, abyśmy w danej sprawie wypowiedali zdanie decydujące. Natomiast przytoczymy słowa byłego ministra angielskiego, Charles'a Dilke: „Mocarstwo—twierdzi on,—chcące panować na morzu, musi dbać przedewszystkiem o przewagę pod względem ilości i jakości pancerników. Ale kraje drugiego rzędu, których marynarka posiada znaczenie przedewszystkiem odporne, ograniczyć się muszą do obrony za pomocą torpedowców.“

X.

K o r s a r s t w o .

Wobec ogromu czynionych przygotowań istnieje możność zaszkożenia nieprzyjacielowi przez przerwanie komunikacji morskich, chociażby posiadał on przewagę w liczbie pancerników.

Oprócz pancerników i torpedowców, rządy zaopatrzyły się w znaczną ilość krzyżowców, dały im silne maszyny i możność zabierania z sobą

węgla na 4—5 tygodni, a nawet—jak twierdzą niektórzy autorowie,—na 80 dni. Nie ulega przytem wątpliwości, że i t. zw. prywatery, t. j. statki prywatne, przeznaczone do celów korsarskich, odegrają rolę doniosłą. Praktykowało się to i dawniej. Specyalne statki, należące do osób prywatnych, napadały na statki handlowe, należące do poddanych państwa nieprzyjacielskiego, niszczyły je, lub uprowadzały. Działo się to za wiedzą rządów, które nawet wydawały statkom, na ten cel przeznaczonym, rodzaj *patentów*. Otwierało to naturalnie szerokie pole do straszliwych nadużyć. Korsarstwo patentowane było bardzo często zwyczajnym rozbojem.

Ponieważ cierpiały tu nietylko interesa stron wojujących, lecz i państwa neutralne nie były faktycznie niczem zabezpieczone od goryliwości i znarowienia wojennych półoficyalnych piratów, więc usiłowano kres położyć podobnej praktyce.

W r. 1856 międzynarodowy kongres w Paryżu powziął następujące uchwały: 1) Piraterya istnieć nie będzie, a więc państwa nie mogą udzielać *patentów*, czyli t. zw. listów zaborczych („Kaperbriefe“) na ściąganie okrętów prywatnych. 2) Statki, osłonięte flagą państwa neutralnego, winny być nietykalne, chociażby wiozły towary nieprzyjacielskie, wyjątek stanowi tylko kontrabanda wojenna. 3) Towary, nie przeznaczone do celów wojennych, nawet ze statków pod flagą nieprzyjacielską nie powinny być zabierane. 4) Blokada jest ważną dopiero wówczas, kiedy faktycznie zamyka morze i ma oznaczony zakres.

Ponieważ jednak Meksyk i Stany Zjednoczone deklaracyi tej nie przyjęły, więc instrukcye dla marynarek przewidują możność spotkania na morzu statków zaborczych. Instrukcye te stwierdzają przytem, iż korsarze korzystają ze wszelkich prerogatyw, jakie zapewnia statkom wojennym prawo wojenne, pod warunkiem trzymania się ściśle przepisów, zawartych w liście kaperskim, oraz przestrzegania zwyczajów i praw wojennych.

Ale te prawa, które powinny być przez korsarzy przestrzegane, nie istnieją wcale. Dla wojny na lądzie zostały jakieś przepisy ułożone, dla wojny morskiej zaś nigdy nic podobnego dotychczas nie zrobiono. Innemi słowy: uznani niejako urzędownie korsarze nie będą w działalności swojej krępowani niczem.

Jako charakterystyczny przykład, ilustrujący te stosunki, służyć mogą obyczaje, oraz pseudoprawa wojenne, dotyczące bombardowania miast. W tylko co cytowanej książce podręcznej dla oficerów marynarki znajdujemy ustęp taki:

„Bombardowanie jest to operacya, do której przepisy wojenne pozwalają się uciekać w celu przymuszenia do poddania się miast, które dobrowolnie uczynić tego nie chcą. *Miasta odslonięte, oraz miejsca nie-*

ufortyfikowane, szczególnie gdy nie okazują żadnego oporu, bombardowane być nie powinny“¹⁾.

Tak brzmi teoria. A teraz zobaczmy, czego oczekiwać można od praktyki nawet ze strony państwa tak cywilizowanego, jak Anglia. Przykładu dostarczają nam manewry 1889 roku.

Kapitan okrętu „Collingwood“ wystosował następujący list do burmistrza, odsłoniętego miasta Peterhead.

„Statek Collingwood

przed Peterhead, 24 sierpnia 1889 r.

„Na rozkaz wiceadmirala, dowodzącego 11-ą dywizją floty, mam ściągnąć z miasta, któremu pan przewodniczy, kontrybucję w kwocie 150,000 funtów szterlingów. Zabezpieczenie celem zagwarantowania szybkiej spłaty tej sumy zechce pan przedstawić oddawcy niniejszego. Opłakuję konieczność ściągania tak znacznej sumy ze spokojnych i pracowitych mieszkańców miasta pańskiego. Nadzwyczajna jednak kontrybucya, jaką okręty pańskie ściągnęły z kwitnącego portu Belfastu, nie pozwala mi postąpić inaczej. Dodaję, że gdyby oficerowie moi nie powrócili w ciągu dwu godzin—spalę miasto, okręty zniszczę, fabryki i warsztaty zrównam z ziemią. Mam zaszczyt pozostawać sługą pokornym.

R. H. Harris, kapitan.“

Wypadek powyżej opisany dostał się niebawem ze wszystkimi szczegółami na szpalty dzienników, lecz w kilku zaledwie tylko pismach znalazły się protesty. Co ważniejsza i co dziwniejsza, iż odpowiedź pierwszego lorda admiralicyi na interpelację, wniesioną w tej sprawie do izby niższej, brzmi bardzo wymijająco. To też świat dotychczas nie wie, jakiego systemu trzymać się będzie Anglia podczas nadciągającej wojny, istniejące zaś wskazówki pozwalają się spodziewać rzeczy jak najgorszych. Oczywiście państwa inne nie omieszkają jej odpłacać takąż samą monetą. Anglia ma tu głos pierwszy, wszystkie pozostałe mocarstwa muszą jej wtórować²⁾.

Jak już wspominaliśmy wyżej, według dzisiejszego prawa narodów, korsarstwo, jako zabór prywatnej własności nieprzyjaciela, stanowczo jest wzbronione, lecz tylko na lądzie.

Taka szczególna anarchia w całej sferze stosunków międzynarodowych, rażąco niezgodna z potrzebami i dążeniami dzisiejszej cywilizacji, musi naturalnie mieć za skutek poważne i doniosłe nieporozumienia i straty społeczne, a to tem bardziej, że i wtedy, gdy istnieją wyra-

¹⁾ „Aide-mémoire de l'Officier de Marine.“ 1892, str. 18.

²⁾ Szczegóły co do wypadku pod Peterhead i następujące potem wyjaśnienia zaczerpnęliśmy z Retticha „Prisenrecht und Flussschiffahrt.“ Hamburg, 1892.

zne, niezaprzeczalne zobowiązania, w czasie wojny strony wojujące nie robią sobie zbyt wielkich skrupułów, nawet, gdy chodzi o interesa państwa neutralnego.

Przykładu dostarcza ostatnia wojna wschodnia. Wody Dunaju uznane zostały przez traktaty za neutralne. Tymczasem turecki minister wojny oznajmił: „Ponieważ *Dunaj uważany być ma za linię obronną*, przeto wszelki ruch na tej rzece zostaje zakazany, *statki zaś wraz z ładunkiem będą chwywane i konfiskowane*“ ¹⁾. Przeciwnemu zaprotęstowała silnie Austria. „Nie możemy—pisał hr. Andrassy do austriackiego posła w Konstantynopolu, hr. Zichy, w d. 22 maja 1877—przede wszystkim pozwolić na to, iżby Dunaj, tak sobie, bez ceremonii, uważany był przez Turcyę za linię obronną. Przez traktaty swoboda żeglugi na Dunaju jest zagwarantowaną, więc pretensya Porty uważania Dunaju wyłącznie za swoją linię obronną i dawania na niej jakich się jej podoba rozporządzeń stanęła-by już przez to samo w sprzeczności ze swobodą żeglugi na tej rzece, swobodą, stojącą pod opieką publicznego prawa europejskiego“ ²⁾.

Jak wiemy, protest ten nie zmienił w niczem biegu wypadków i żegluga na Dunaju na wiele miesięcy została przerwana.

Jeżeli zaś wojna—jak się cały świat spodziewa—ogarnie większą ilość państw, to wypadków podobnego rodzaju wystąpi znacznie więcej, i gdyby nawet kto próbował protestować, to z pewnością bez żadnej nadziei dobrego skutku.

Należy przytem zrobić uwagę, iż gdyby nawet istniejące przepisy stosowane były z całą ścisłością, to i tak komunikacya morska musiała-by ustać.

W „Instrukcyi dla krzyżowców rosyjskich na wypadek spotkania ze statkiem nieprzyjacielskim w czasie wojny i w razie blokady“ czytamy: „§ 6. Rząd oznaczy w deklaracyi, jakie przedmioty uważane być mają za kontrabandę. Przed otrzymaniem zaś tej deklaracyi za kontrabandę wojenną uważać należy:... c) Węgiel kamienny, prowianty i wogóle zapasy żywności, które służyć mogą do zaopatrywania wojsk nieprzyjacielskich lądowych i morskich.“

Wprawdzie instrukcya dodaje: „Co do przedmiotów, powyżej wymienionych, to krzyżowiec powinien być bardzo ostrożny, i wprzód zanim coś uzna za kontrabandę, powinien dobrze rozważyć, czy to rzeczywiście przeznaczone jest dla nieprzyjaciela.“ Można jednak wątpić, czy to zastrzeżenie, czyniące wszystko zawisłem od poglądu dowódcy

¹⁾ Martens.

²⁾ Martens.

statku, wystarczy na to, by powstrzymać możliwe w różnych krajach nadużycia, oraz—co ważniejsza,—dodać otuchy kupcom i skłonić ich do ryzyka.

Jeżeliby nawet okręty wojenne dawały pod tym względem jakąś rękojmnię, to jeszcze wątpić można, czy toż samo da się powiedzieć o statkach, które prawo rossyjskie nazywa „*prywatyerami*,” a statki takie całkiem swobodnie i prawnie krążyć będą mogły po wszystkich morzach. Legalizacyę ich znajdujemy między innemi w tylko co cytowanej instrukcyi.

„§ 9. Gdyby państwo nieprzyjacielskie wysłało na morze prywatyerów, to przy spotkaniu ze statkiem tego rodzaju, krzyżowiec, zdobywszy go, postąpić powinien, jak z nieprzyjacielskim statkiem handlowym. Jeżeli jednak, po rozpatrzeniu papierów, okaże się, iż brak mu dokumentów, pozwalających działać w charakterze prywatyera, to należy z oficerami i z załogą obejść się, jak z korsarzami.“

Oczywistą jest jednak rzeczą, iż rząd każdego państwa, narzekając na „prywatyerów“ nieprzyjacielskich, sam trudności z wydawaniem patentów własnym statkom robić nie będzie, bo to leży w jego interesie. A rozumie się, iż posiadanie lub nieposiadanie dokumentów charakteru działalności nie zmieni.

Jednem słowem, widzimy, iż nic się istotnie nie zmieniło od czasu, kiedy Napoleon I pisał w pamiętnikach swoich: „Prawo narodów, rządzące wojną morską, zachowało całą swą barbarzyńską dzikość: konfiskują majątki ludzi prywatnych, więżą ludzi spokojnych... Prawa wojny lądowej bardziej odpowiadają wymaganiom cywilizacyi i dobrobytu osób prywatnych, i życzyć sobie należy, aby nadeszły czasy, w których te same liberalne idee zapanują i w sferze wojny morskiej, i aby floty dwu mocarstw mogły walczyć bez konfiskowania statków kupieckich i bez uważania za jeńców pasażerów niewojskowych i zwykłych majtków.“

Doświadczenie z r. 1870—71 dać nam zdoła zaledwie niedokładny przedsmak tego, czem być może według nowych zasad przyszła wojna morska.

Marynarka francuska, pomimo że była pod każdym względem daleko silniejsza od niemieckiej, wskutek niedołęstwa rządu drugiego cesarstwa przewagi swojej wyzyskać nie potrafiła, a nawet po prostu do działania nie była gotowa. Dwie zaledwie korwety wyprawione zostały do kanału La Manche i na morze Niemieckie celem tamowania handlu nieprzyjacielskiego. Pomimo to, wypadki schwytania statków kupieckich zdarzały się dosyć często, gdyż w Anglii rozeszły się pogłoski, iż rząd Republiki nie ma wcale zamiaru brania kontrabandy.

To też wiele okrętów, które się były schroniły do portów W. Brytanii, wypłynęło na pełne morze i wpadło w ręce Francuzów.

Zadanie korwet pełne było niebezpieczeństw i trudów na morzu Północnem podczas surowej zimy. Powodzenie ich zależało całkowicie od tego, aby się nie dać dostrzedz przez żadną ze strażnic nadbrzeżnych. Musiały więc krążyć od Edynburga do Skagen, znosząc na pełnym morzu cały ciężar i wszystkie burze najgorszych pór roku.

Morze było bardzo wzburzone, wskutek czego komunikacja stała się trudną. Trzeba było własnych majtków przerzucać na okręt zdobyty, a załogę jeńców przeprowadzać na własny pokład. Operacja ta była często istotnie niebezpieczną.

Zdarzyło się, iż jedna z korwet, *Desaix*, po wyprowadzeniu znacznej części jeńców do Calais, pozostała z tak nieliczną załogą, iż dalsze jej zmniejszenie groziło opanowaniem statku przez jeńców pozostałych. Nie było wyboru, pozostawało tylko albo zrzec się zadania, albo niszczyć uapotkane statki nieprzyjacielskie, paląc je lub dziurawiąc kulami.

Autor artykułu w *Nouvelle Revue*, „La marine en 1870—71,” zapewnia, że załoga i dowódcy korwety *Desaix* z żalem i przykrością zdecydowali się na takie postępowanie: „Każdy doznawał ciężkiego wrażenia, widząc pogrążający się w fale morskie płonący dobytek ludzki i bliźnie istoty, ale dobro powszechne stawia czasem okropne a niezłomne wymagania.”

Przeciwko temu zaprotestował rząd niemiecki w następującej nocy z dnia 27-go stycznia 1871 roku: „Na morzu Francuzi nie szanują wcale praw ludzkich. Statek francuski *Desaix* zniszczył ogniem lub kulami na pełnym morzu trzy statki handlowe: „Ludwig,” „Vonwart” i „Charlotte,” zamiast je odstawić do portu i oddać pod władzę trybunału zaborów.”

„Skarga ta—twierdzi cytowany autor—uzasadnioną bynajmniej nie była, bo konieczność ustępstw, ani względów nie zna. Protokoły zdobycia statków dokonywane były całkiem prawidłowo, zgodnie z prawem i z ustawami międzynarodowemi.

„Rezultaty—mówi dalej tenże autor—przewyższyły wielokrotnie doniosłość strat materyalnych, poniesionych przez Niemców, gdyż skutek moralny był doniosły. Handel niemiecki został przerażony i sam przez się ustał. Statki niemieckie na całym świecie ukryły się w portach neutralnych i oczekiwały końca wojny, nie śmiejąc odważyć się na dalszą podróż. Trwoga ogarnęła wszystkie towarzystwa ubespieczeń.

„Jedynie statki przewozowe z New-Yorku śmiały, licząc na szybkość swego biegu, odbywać dalej swoje przejazdy z Ameryki i do Ame-

ryki. Wystrzegały się tylko kanału La Manche i nie okrążały z północy Szkocyi. Wspomnienie to przykrem jest dla Francuzów, gdyż wykazuje wymownie niemoc Francyi w r. 1870 pod względem krzyżowników. Honor marynarki francuskiej został tem dotknięty. Po-za Europą żaden fakt doniosły nie zaszedł. Wszędzie Prusacy usuwali się od walki i unikali spotkania.“

Dzisiaj dzieć się to będzie inaczej.

Admirał Aube, minister marynarki francuskiej, pierwszy wygłosił w r. 1886 teorię wojny korsarskiej *à outrance*. Dowodził on, że w wojnie z bogatym narodem handlowym należy unikać bitwy morskiej, lecz tylko z całą siłą rzucić się na jego handel. Sfery rządowe we Francyi teorię tę uznały za trafną i słuszną. Zadekretowano budowę szybkich krzyżowców, przeznaczonych do chwytania statków nieprzyjacielskich. Groźba przedewszystkiem skierowana została przeciwko Wielkiej Brytanii.

Wywołało to w Anglii tak wielkie zaniepokojenie, że gabinet zasięgnął w tej mierze informacji w Paryżu, a rząd francuski odpowiedział, że Aube wygłosił tylko swój pogląd osobisty. I na tem się rzecz skończyła. Wówczas-to Anglia rzuciła się jeszcze z większym zapalem od Francyi do budowy szybkich krzyżowców i dziś na wypadek potrzeby posiada najszybsze statki tego rodzaju. Przez to chce nie tylko swój handel ochronić, ale i nieprzyjacielski zniszczyć.

Lecz inne państwa nie pozostały w tyle i wszędzie przystąpiono do budowy krzyżowców z gorączkową szybkością. Według sprawozdania, złożonego francuskiej izbie deputowanych, główne państwa posiadać będą:

	Krzyżowców opancerzo- nych ponad 4,000 tonn	Krzyżowców z lżejszem opancerze- niem od 2,000 do 4,000 tonn	Statków wy- wiadowczych lub małych szybkobie- żnych krzy- żowców	RAZEM
Anglia . .	31	51	36	118
Francya .	11	5	13	29
Niemcy .	10	1	11	22
Rossya .	9	2	2	13
Austria .	3	1	3	7
Włochy .	—	15	4	19

Krzyżowce są to niby pomocniki pancerników, o wiele jednak od nich lżejsze, zwinniejsze i szybsze.

Istnieje wiele typów krzyżowców, stosownie do przeznaczenia, które może polegać na obronie brzegów, na pełnieniu roli wywiadowczej, lub ściganiu statków handlowych. Doświadczenia, dokonywane na wielką skalę, wykazały, iż krzyżowce angielskie mogą przebiegać po 350—400 mil angielskich na dobę. Najświeższe typy budujących się obecnie krzyżowców będą mogły krążyć po morzu 4—5 tygodni, wcale nie wstępując do portu celem zaopatrzenia się w opał lub żywność. A jaką ilość statków handlowych jeden krzyżowiec napotkać może, wskazują nam następujące dane.

Zaznaczyć przedewszystkiem należy, że z Calais do ujścia Tamizy odległość nie wynosi więcej, jak 30 mil. Z Cherbourga do Portsmouth, z Portlandu do zatoki Ekseterskiej, z Roscofa do Plymouth, z Brest do przylądka Lizard, niema 100 mil. A więc krzyżowce w ciągu kilku godzin taką drogę z łatwością przebieść mogą. Czyli nie tylko krzyżowiec, ale każdy torpedowiec zdoła ruch morski, a więc życie handlowe, paraliżować.

Szybkość krzyżowców wynosi od 11—12 węzłów na godzinę, kiedy najwyższa szybkość pancerników dochodzi (w bardzo rzadkich wypadkach) do 18 węzłów. Są to więc statki szybsze od pancerników, lecz wolniejsze od torpedowców. Statki handlowe najlepsze mogą na godzinę zrobić najwyżej 11—14 węzłów, pasażerskie 15—16 węzłów. Przewaga więc szybkości będzie po stronie krzyżowców. I rzecz bardzo naturalna, przy obecnej drożyznie węgla, na statkach handlowych dawanie na 4 tonny więcej, niż 1 siłę, nie opłacało-by się; tymczasem statkom wojennym obecnie dają na 1 tonnę 4 siły, czyli 16 razy więcej.

Nie dosyć na tem: krzyżowce nie uniosły-by olbrzymich dział, jakie dźwigają pancerniki, ale oprócz armat zwyczajnych wszędzie są uzbrojone w jak najbardziej udoskonalone kartaczołnice dynamitowe i armaty pneumatyczne. Ostatnie (wynalazek porucznika Zalińskiego w Ameryce) wyrzucają za pomocą ściśniętego powietrza na odległość mili morskiej (6,076 stóp) pociski, zawierające 200 i więcej funtów materii eksplodujących.

Celność nowych tych dział ma być bardzo wielka. Dnia 20-go września 1887 r. robione były w przystani New-Yorskiej doświadczenia, które dały tak zadawalniające rezultaty, iż Egipt, Turcja, Włochy i Niemcy natychmiast porobiły obstalunki na działa systemu Zalińskiego.

Z dwiema armatami 15-o calowemi robiono znowu doświadczenia w styczniu 1889 r. Odpowiedziały one jak najzupełniej oczekiwaniom. Ze 100 danych strzałów połowa uderzyła w cel, odległy o 2 kilometry.

Zadecydowano, iż każdy okręt, który-by się znalazł na tej przestrzeni, został-by zdruzgotany niezawodnie, gdyż siła kartaczów torpedowych nawet na odległościach znaczniejszych okazała się nadzwyczajnie niszczącą.

Rząd niemiecki zawarł umowę z dwoma największymi towarzystwami żeglugi, mianowicie z kompanią Transatlantycką i Północno-niemieckim Llyodem. Mocą tej umowy ministerium marynarki może już dziś wymagać pewnych urządzeń w budowie statków.

W Anglii admiralicya tym towarzystwom, które posiadają na Atlantyku najszybsze okręty, daje subsydia na statki, zbudowane odpowiednio do żądań rządu, wskutek czego mogą odgrywać rolę krzyżowców na wojnie. Subsydyum wynosi 15 szyllingów za tonnę rejestrową; w razie gdyby statek użyty został do celów wojennych wcześniej, niż w pięć lat po wybudowaniu—subsydyum podniesione zostaje do 20 szyllingów za tonnę.

Rząd francuski płaci premia za budowę statków, zastosowaną do pewnych przepisów, a oddzielnie t. zw. „milowe.“ Od r. 1881 do 1888 premia obu rodzajów wyniosły 78.9 miliona franków; ażeby zachęcić do budowania statków jak najszybszych, rząd zapewnia im inne jeszcze korzyści, a mianowicie zawiera kontrakty na przewóz poczt.

Rossya posiada tak zwaną flotę ochotniczą, która, jak wiadomo, składa się z szybkich parostatków, w czasie pokoju zajętych transportem, a natychmiast po wypowiedzeniu wojny, obowiązanych udać się na wody Chin i Ameryki, aby tam protegować handel narodowy, lub niszczyć nieprzyjacielski, oraz walczyć z obcemi krzyżowcami.

Jak sobie statki takie poczynać będą na wojnie, możemy mieć pojęcie z zapowiedzi, jakie dziś już słyszeć się dają.

W dziele „*Les guerres navales de demain*“ czytamy: „Wojna przemysłowa ma swoje reguły stałe, absolutne i ścisłe, od których odstępować nie wolno nigdy: na słabego napaść bez litości, przed mocnym uciec bez fałszywego wstydu—oto jej dewiza. Skoro tylko torpedowce lub krzyżowce nasze dostrzegą zdaleka eskadrę angielską, albo nawet pojedynczy okręt wojenny, nieprzewyższający ich pod względem zdolności do walki, ale taki, że przypuszczać należy z jego strony jakąkolwiek możliwość oporu—winny zmykać“ ¹⁾.

Przekonanie, że „wojna morska będzie wojną przemysłową, bezlitośną wojną krzyżowników,“ że pogwałci wszelkie traktaty i zobowiązania — upowszechnia się coraz bardziej. Przytoczymy tu jeszcze parę opinii.

¹⁾ „*Les guerres navales de demain*“ par le Commandant B... et H. Monhéchant.

W artykule, zamieszczonym w *Nouvelle Revue*, a podpisanym: „Dymisyonowany oficer morski,” podano taki przykład: „Torpedowiec spostrzega statek handlowy, wiozący ładunek bogatszy, aniżeli ów, jaki niegdyś przewoziły galery hiszpańskie. Załoga statku i liczba jego pasażerów dochodzi do kilkuset osób. Czyż torpedowiec ma ostrzedz sygnałem kapitana statku o swej obecności, ma go uprzedzić, że czyha na jego zgnębę? Ależ kapitan odpowiedział-by gradem pocisków, które posłały-by na dno morza torpedowiec wraz z jego rycerskim dowódcą, a statek popłynął-by dalej. Więc torpedowiec musi śledzić statek zdaleka; w nocy przybliży się i zatopi ładowny okręt wraz z załogą i podróżnymi, poczem popłynie szukać innych ofiar. Każdy punkt na oceanie będzie świadkiem podobnych okrucieństw... Znajdą się ludzie, ubolewający i protestujący przeciwko temu. Co do nas, witamy krzyżowce, jako najwyższy wyraz prawa postępu, w który wierzymy i który doprowadzi na koniec do zniesienia samej wojny.”

Oczywiście, wobec takich zamiarów floty urzędowej, korsarze nie będą już narażeni na okrzyki zgrozy, działalności ich nikt nie dostrzeże, nie odróżni od rabusiostwa oficjalnego. Błędem było-by sądzić, że to tylko pogrożki.

XI.

Charakter przyszłej wojny morskiej.

Podczas parokrotnie wspomnianych wielkich manewrów 1888 r. Anglicy ściśle trzymali się metod podobnych. Z czterech eskadr dwie wyobrażały nieprzyjaciela, a dwie zaś własną flotę. Pierwsze miały podstawę operacyjną w Irlandyi, drugie dwie w Anglii i Szkocyi. Stosunek siły tych eskadr był jak 2:3, czyli taki, jak floty francuskiej do angielskiej. Irlandya była niby Francją. Cały plan zbliżał się nadzwyczajnie do rzeczywistości. „Nieprzyjacielskie okręty” były, po dokonaniu mobilizacyi, blokowane w irlandzkich portach przez angielskie. Blokada trwała przez kilka tygodni na to, ażeby wypróbować *materyał i personel*, i ażeby tu wytworzyć położenie, zbliżone do rzeczywistości.

Nieprzyjacielski admirał Fryon, marynarz wysoce uzdolniony, przemknął się w obydwóch zatokach przez blokadę, uniknął bitwy, czyli nie zetknął się wcale z angielskimi okrętami, nałożył kontrybucyę na angielskie i szkockie brzegi, na największe miasta otwarte i t. p., zabrał okręty handlowe i wojenne, które mu w jego korsarskiej wycieczce drogę zaszkły, i dotarł nareszcie, bynajmniej nie niepokojony, do punktu

wyjścia swoich zadziwiających operacji, to jest do zatok irlandzkich Bautre-Bay i Longh-Swilly.

Tym sposobem przeciwnik daleko słabszy odniósł zupełne zwycięstwo, a Anglicy dowiedzieli się, iż flota, złożona z szybkich i umiejętnie kierowanych krzyżowców, może doprowadzić ich kraj do zguby, nie narażając się sama na bitwę.

Okazało się, iż pomimo wszelkich udoskonaleń technicznych, czynnikiem decydującym pozostał jednak człowiek. W dawnych czasach zdarzało się nierzadko, iż okręt pojedynczy lub cała eskadra przepływały przez blokadę lub przesuwwały się na otwartym morzu pod bokiem nieprzyjaciela niepostrzeżone. Przypisywano to wtedy wypadkowi, gdyż jedynym motorem był wtedy wiatr. Przytoczymy kilka przykładów. Za Filipa II flota hiszpańska, złożona ze 100 okrętów, wysłana przeciwko 170 statkom angielskim i holenderskim, nie spotkała ich wcale, i statki żaglowe atakowały Kadyx. W r. 1744 wylądowało na angielskim brzegu 22 tysiące Francuzów i nie zostali przez flotę angielską dostrzeżeni. W r. 1753 eskadry francuska i angielska, złożone pierwsza z 25, a druga z 17 okrętów, przepłynęły wśród mgły jedna koło drugiej, nie wiedząc o tem. W r. 1759 eskadra francuska przebrała blokadę Dunkierki, nie spostrzegłszy 66 statków floty angielskiej. W 1796 roku 30 statków angielskich stało pod Spithead, 20 krążyło w stronie zachodniej, 13 stało na wysokości Brestu, który prócz tego blokowany był przez eskadrę; pomimo to 44 okręty francuskie z 25 tysiącami ludzi niedostrzeżone wypłynęły z portu brestskiego i w 8 dni później przybiły do brzegów Irlandyi; na drodze odwrotnej tylko jeden z tych statków został schwytany. W 1797 roku 4 statki francuskie przesunęły się około wielkiej floty angielskiej i przybiły do brzegów Irlandyi, oraz Walii; w następnym też roku eskadra generała francuskiego Humberta dopłynęła niedostrzeżona do Irlandyi.

Tegoż samego 1798 roku Napoleon wyruszył z 40 tys. wojska na 300 okrętach do Egiptu, a Nelson dopiero w 2¹/₂ miesiąca potem zdołał znaleźć tę flotę przy Abukirze. W r. 1805 wielka flota francuska, którą Nelson obserwował w ciągu roku całego, wypłynęła z Tulonu i następnie do niego wróciła, wypłynęła raz jeszcze, nie będąc ani razu dostrzeżoną, następnie połączyła się z flotą hiszpańską i razem ruszyły do Indyi wschodnich. Dopiero gdy wracały stamtąd, Nelson napadł je przy Trafalgarze; od tej jednak chwili admirał angielski znowu nie wiedział nic o miejscu pobytu floty francuskiej ¹⁾.

Wszystkie te zdarzenia przypisywano przypadkowości: mgie, wiatrom niepomyślnym. Ale jasną jest rzeczą, że od chwili, gdy para po-

¹⁾ Henning: „Die Küstenvertheidigung.“

zwala wybierać dowolną chwilę i dowolny kierunek do wyruszenia, statki ukrywające się zyskały większą jeszcze przewagę nad temi, które mają im drogę zagraadzać lub je ścigać.

Podczas domowej wojny amerykańskiej, południowcy, przy pomocy przemysłu angielskiego, stworzyli odrębną klasę statków, zwanych przerywaczami blokady ¹⁾ i przeznaczonych wyłącznie do udaremnienia blokady od strony Florydy i Karoliny, a to celem zaopatrywania walczących w oręż i amunicję, oraz celem wywożenia bawełny do Europy. Wszystkim znane są czyny tych śmiałych marynarzy, jak również nieprzeliczone straty, wyrządzone na wszystkich morzach świata handlowi federalistów; jak jednak wielkie już i wtedy było ryzyko, dowodzi ta okoliczność, iż statki, przerywające blokadę, otrzymywały nagrodę po 60,000 marek, przewodnicy zaś dostawali po 15,000 marek ²⁾. Wspominaliśmy już o znakomitej „Alabamie.”

Do statków tego rodzaju zaliczyć należy statek, noszący miano „Arkadion,” który pływał pod grecką flagą; korzystne zajęcie, zaczęte podczas wojny amerykańskiej, praktykował dalej podczas powstania na Krecie, żywot zaś swój zakończył w upartej walce z okrętem wojennym.

Najpamiętniejszego jednak czynu tego rodzaju, jak sprawiedliwość uznać każe, dokonała korweta peruwiańska „Union,” która 17-go marca 1880 r. zdołała dwa razy przerwać blokadę pancerników w porcie Arika. „Union” wpłynęła do portu w nocy, aby wyładować przywiezioną amunicję, wypłynęła zaś wśród białego dnia, narażając się z wielką brawurą na pościg całej eskadry nieprzyjacielskiej.

Zestawiając wszystkie przytoczone wyżej fakta, nie podobna nie uznać, że pierwszym przymiotem statków, przeznaczonych do przerywania blokady, powinna być szybkość; z drugiej strony jest rzeczą oczywistą, iż dla otoczenia portów ścisłą blokadą trzeba koniecznie do pomocy krzyżowcom i innym statkom eskadry wojennej dodać statki lekkie, specjalnie przysposobione do szybkiego biegu i zaopatrzone w niewielką liczbę wybornych armat, słowem, zdolne ścigać skutecznie i niszczyć przerywaczy blokady.

W każdym razie i dziś za aksyomat uważać należy, iż najlichniesza flota nie jest zdolna upilnować poruszeń przeciwnika energicznego i przeszkodzić mu uniknąć spotkania. Nawet w razie przewagi sił morskich danego państwa, flota nieprzyjacielska rozpocząć może kroki zaczepne, a więc flota nie stanowi jeszcze zupełnej gwarancji dla zabezpieczenia brzegów.

¹⁾ Poien: „Znaczenie artylerji morskiej.”

²⁾ „Wie man durch die Blokade läuft,” I. Scheibert. Berlin, 1893.

Wszystko to doprowadza nas do wniosku, że niema potrzeby obliczać, o ile siły stron wojujących zdołają faktycznie zatamować ruch handlowy? Sama panika, jaką rzuci rozpoczęcie wojny, od razu zetnie wszystko niby paraliżem. Czyż znajdzie się przedsiębiorca, czy znajdzie się statek, który-by zechciał narażać się na wskazane ryzyka? W najlepszym razie koszt asekuracji podniosły-by tak cenę produktów, że równało-by się to dla klas niezamożnych zupełnemu brakowi i w końcu uniemożliwiła-by się sama przez się żegluga, tak, jak było podczas wojny domowej w Ameryce, pomimo że tam teatr operacji wojennych był ograniczony, że wtedy jeszcze teorie barbarzyńskie rozboju nie posiadały takiego jak dziś kredytu, a statki, przeznaczone specjalnie do odegrania roli niszczycieli, nie istniały.

Sir Samuel Baker powiada: „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na pierwszy odgłos wojny nieuniknionej z wielką potęgą morską, cena chleba od razu podwoi się w całej Anglii, a popłoch w całym przemysle dojdzie do niewidzialnych nigdy rozmiarów. I popłoch ten będzie całkiem usprawiedliwiony, ponieważ, przy dzisiejszym stanie sił marynarki, Anglia nie będzie mogła zapewnić sobie dowozu żywności.

Rzeczywistość może być jeszcze straszniejszą, niż te przepowiednie. Anglia, odcięta od lądów, z których żyje, utraci całkiem warunki bytu i od razu stanie oko w oko z widmem głodu. W poprzedniej części pracy naszej wykazaliśmy, że w położeniu nie o wiele lepszym znajdują się Niemcy i Włochy.

Wobec tego jest wielkie prawdopodobieństwo, że nacisk opinii publicznej zmusi rządy do zawarcia pokoju wcześniej, nim zatargi i kwestye, które wojnę wywołały, zostaną w zupełności rozstrzygnięte i rozwiązane. Pozostanie więc znowu źródło do nowych nieporozumień, do nowych komplikacji w przyszłości, chociaż po strasznym doświadczeniu, jakie nas czeka, bodaj czy starczy ducha, zwłaszcza państwowemu, stojącemu wyżej pod względem kultury, do rozpoczęcia nowej wojny.

Oto czego spodziewać się może i powinna Europa po wojnie przyszłej i następnych. Ale wpływy natychmiastowe, chociażby najstraszniejsze, mordy, pożogi i zniszczenia, głód i pomór, są to jeszcze kłeski mniej doniosłe, aniżeli to zdziczenie, jakie przyszła taktyka wojny morskiej wszczepi w obyczaje świata cywilizowanego, który i bez tego już ma do walczenia z ideami przewrotu społecznego.

Ile lat nędzy, cierpień, pracy trudnej i niewdzięcznej potrzeba będzie na to, aby zagoić rany, załatać szczyrby, zrobione w ciągu roku?

Ile żyznych okolic stanie się pustynią, ile miast bogatych rozsypie się w gruzy, ile rodzin dawniej zamożnych będzie musiało wyruszyć w świat o koszturze żebraczym!

Ile lat znowu nauki będzie potrzeba, ażeby odwrócić umysły od wyobrażeń o przewadze siły nad prawem i zapewnić dalszy rozwój uczuć humanitarnych.

Z tego, co powiedzieliśmy, czytelnik przyszedł niewątpliwie do przekonania, że wojna pomiędzy mocarstwami trójprzymierza z jednej, a Francją i Rosyją z drugiej strony, zaważy na losach całych narodów już przez samo przerwanie komunikacji morskich i odosobnienie niektórych państw od łączności z całym światem. Czy Anglia weźmie czynny udział w wojnie, czy też nie — stanu rzeczy to nie zmienia. Podobnie, gdyby nawet Francja zachowała się biernie, to same russkie krzyżowce będą mogły wywołać takie same skutki, oczywiście o tyle, o ile zakreslony dla nich prawdopodobnie plan okaże się możebnym do wykonania.

Tak więc obecne warunki wojny są zupełnie inne, aniżeli dawniej, i inne też będą skutki ekonomiczne. Jak w wielu innych dziedzinach działalności ludzkiej, tak też i w systemie prowadzenia wojny, widzimy dążenia do zastąpienia siły mięśni siłą maszyny, maszyna zaś kosztuje drogo i niekiedy może stać się rujnującą. Na tem polega wzajemne oddziaływanie warunków technicznych i ekonomicznych. Chociaż pod względem zwierzchniego kierownictwa wojna i dzisiaj pozostaje „sztuką“, należy wszakże przyznać, że w zakresie swych metod i sposobów działania staje się już nauką, warunkuje się ścisłą wiedzą i podlega pewnym prawom. Prawa te nie są jeszcze należycie wyjaśnione i ustalone, gdyż rezultat ten osiągnąć można tylko drogą doświadczenia, to jest za pomocą nowej wojny. W rozdziale niniejszym, objaśniając praktyczne warunki przyszłej wojny morskiej, pragnęliśmy dać czytelnikom wyobrażenie o tem, jak kwestya ta przedstawia się obecnie, to jest przed sprawdzeniem za pomocą doświadczenia, które oby nastąpiło jak najpóźniej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

Chopin: Preludyum Nr 15.

Z tchnieniem wiosny melodia płynąca
Skąd ma dźwięki czarowne i tony?
Czy gwiazd promień o promień się trąca?
Czy to wonnych traw szemrzą miliony?
Czy o tarczę srebrzystą miesiąca
Uderzają chmur skrzydła powiewne?
Czy sam księżyc po modrych fal toni
Strugą drżącej światłości swej dzwoni?
Może pienia zawodzi te rzewne
Skryta w gąszczach słowików gromada?
Może rosa kroplami opada
Na zaledwo rozkwitłych drzew liście,
Co z pękniętych wychodzą obsłonek?
Może wietrzyk wilgotny, w przelocie,
Śnieżnobiałych konwalii gnąc kiście,
Bije dzwonkiem perłowym o dzwonek?
Może ze snu zbudzone stokrocie
Drobne płatki stulają do środka?
Czyli może to serce me własne

Taką nutę zaklętą wydzwania?
Ja sam nie wiem skąd piosnka ta słodka
Bierze dźwięki uroczne a jasne,
Pełne czarów i pełne kochania...
Dzwoń mi, pieśni, dzwoń pienie łabędzie!
Niechaj słyszę, choć w grobie już zasnę:
— „Ona kocha, jest twoją i będzie!”

A jeśli pieśni tej słowa
Kłamią cudnymi dźwiękami
I kłamię wiosny wymowa?
Jeżeli księżyc mię mami
Srebrzystem swoim obliczem?
Jeśli, co mówią gwiazd krocie,
Kłamstwem, a więcej jest niczem?
Jeśli słowików chorały
Kłamią mi pieniem zwodniczem?
Jeśli konwalie, stokrocie
Skłamały, wszystkie skłamały? —
Wtedy przekleństwo wam, kwiaty,
I wam, śpiewacy wy leśni,
I wam przekleństwo, gwiazd światy!
Przekleństwo tobie — o pieśni!

Smutku ptak mi po-nad głowę
Czarne skrzydła swe rozpina
I zawodzi pieśń grobową;
Ziemia leży trupio sina,
Nad nią gwiazdy, jak gromnice,
Mętnem, bladym światłem płoną;
Słońce trwożne skryło lice
Po-za rdzawych chmur zasłoną...
Skąd ten wicher? — Z taką mocą
Rozszalałe śle podmuchy,

Szarpie, targa gwiazd łańcuchy;
 Gwiazdy mdleją, drżą, migocą,
 Wicher niemi w takt kołysze,
 Gwiazda się o gwiazdę trąca:
 Dzwonią, jęczą — słyszę, słyszę
 Szczęk okropny gwiazd tysięcy!

Pękły! W czarnych sfer otchłanie
 Zapadają gwiazd okruchy,
 Gdzieś w ciemności oceanie
 Szumi, huczy wicher głuchy;
 Tarcza słońca popękana
 W mgieł czerwonych kręgu tonie,
 Brocząc, jakby krwawa rana
 Na nieskończoności łonie:
 Zesiniało i pobladło,
 Zatoczyło się i spada,
 Mknie w pomrokach, jak widziadło, —
 Zgasło! — Biada, biada, biada!
 Obląkana gdzieś w przestworze
 Ziemia chwieje się pode mną,
 Och, runęła w bezdeń ciemną!...
 Boże, gdzie Ty jesteś, Boże!?

.

Czy to sen jest, gdzieś w raju wyśniony?
 Znów melodya ta słodko płynąca,
 Znów te dźwięki czarowne i tony;
 Nic harmonii nie miesza, nie złącza.
 Na mem czole czy dłoń Cherubina?
 Taka lekka, tak miękka i drżąca —
 Ach, to ty — to ty, moja jedyna!

Gdzież się podział świat okropnych mar?
Tak mi dobrze, woń twych czuję tchnień,
Żrenie twoich mnie ogarnia czar —
O nie odchodź, zostań ze mną już
I pod skrzydeł weź mnie swoich cień,
Jako Anioł-Stróż!

LUCYAN RYDEL.

KRONIKA GALICYJSKA.

Zdając sprawę w „Kronice galicyjskiej” z ważniejszych objawów życia społecznego w tutejszym kraju, dotykam spraw, traktowanych w parlamencie wiedeńskim, o tyle tylko, o ile mają bezpośrednią doniosłość dla tutejszego społeczeństwa i w tutejszych kołach szerszy obudzają interes, jako specjalnie dotyczące Galicyi. Taką sprawą była w ciągu ostatnich trzech miesięcy w pierwszym rządzie dyskusya o administracyi skarbowej w Galicyi, przeprowadzona w izbie deputowanych rady państwa, dyskusya, która nie bez pewnej winy z naszej strony miała niemiły dla nas epizod.

Ustawodawstwo skarbowe, a w szczególności podatkowe, które w wielu krajach europejskich nie mało pozostawia do życzenia, w Austrii ma więcej jeszcze niedostatków, niż gdzieindziej, i stanowi bezwątpienia najsłabszą stronę urządzeń publicznych. Znaczna część ustaw podatkowych pochodzi z czasów dawnych, kiedy zupełnie inne panowały stosunki; i tak: ustawa o podatku zarobkowym z r. 1812, ustawa o podatku dochodowym z r. 1849, ustawa o należnościach prawnych z r. 1850. Kiedy z biegiem czasu wzrastające potrzeby państwa, zwłaszcza w czasach wojennych i powojennych, wymagały podniesienia dochodów, radzono sobie przeważnie podnoszeniem istniejących podatków, zamiast wciągać w zakres opodatkowania dalsze źródła dochodów, a mianowicie kapitały ruchome i zyski osiągnane przy ich obrocie. Stąd wynikła wielka nierówność w opodatkowaniu, które

obciąża domy i płace, pobierane z kas publicznych, w daleko wyższym stopniu, niż inne przychody, a szczególnie dotkliwie ciąży na zmianach własności nieruchomości w postaci tak zwanych należności prawnych od przeniesienia własności. Uznając owe niesłuszności w opodatkowaniu, rząd wnosił od lat dwudziestu przeszło kilkakrotnie projekta zmiany ustaw podatkowych; projekta te jednak, wobec walki sprzecznych interesów i niezbyt szczęśliwego układu, nie były uchwalone. Może pomyślniejszym będzie los projektu, wniesionego obecnie przez ministra Steinbacha, a opracowanego przez znanego zaszczytnie ekonomistę dra Böhm-Bawisk, szefa sekcji w ministerium skarbu, poprzednio zaś profesora w Innsbrucku. W ciągu lat dwudziestu kilku przyszła do skutku w zakresie podatków bezpośrednich jedynie reforma podatku gruntowego, której tendencję, zwróconą w pierwszym rządzie przeciw Galicyi, złagodził znacznie minister Dunajewski, przyszedłszy do steru w chwili decydującej; następnie częściowa reforma podatku od budynków, w najnowszym zaś czasie bardzo niedostateczne opodatkowanie interesów giełdowych; natomiast spełzły na niczem długoletnie usiłowania sejmu galicyjskiego i koła polskiego w Wiedniu około reformy ustawy o należnościach skarbowych, w szczególności zaś około uwolnienia od podatku spadkowego spadków drobnych, których wartość nie przenosi 1000 złr.

Nie mniej uciążliwym od przepisów podatkowych jest w wielu względach ich wykonanie. Manipulacja urzędów podatkowych jest rozwlekła, połączona ze znaczną stratą czasu dla partyi, a niedostateczność sił urzędniczych pogarsza jeszcze owe niedogodności manipulacyi. Obok tego wpływa niekorzystnie, mianowicie przy wymiarze należności prawnych, przesadna tendencja fiskalna, która czyni urzędnika odpowiedzialnym pieniądze w razie mylnego wymiaru sprawiedliwości na niekorzyść skarbu państwa, a nie czyni go odpowiedzialnym za pomyłkę na niekorzyść osoby prywatnej, uzasadniając tem tę różnicę, że osoba prywatna może bronić się odwołaniem do decyzji władzy wyższej, a w końcu do trybunału administracyjnego. Jednakże możność odwołania się od mylnego wymiaru nie uchyla szkody, jaką zrządza wskazana tendencja fiskalna: najpierw bowiem odwołanie się w sprawach wymiaru należności nie ma mocy wstrzymującej, a następnie, żeby bronić się skutecznie przeciw przesadnemu wymiarowi, trzeba znać owe skomplikowane przepisy, albo opłacić doradcę prawnego, a w każdym razie ponieść kosztą stępli, podróży i t. p. Ogół ludności, zwłaszcza włościańskiej, nie zna prawa i nie umie się bronić, a wychodząc z przekonania, że skoro każą płacić, to musi się to należeć, płaci nieraz więcej, niżby się należało według właściwego rozumienia ustawy.

Kiedy dowiedziano się w kraju, że przy tegorocznej rozprawie nad budżetem ministerium skarbu koło polskie w radzie państwa zamierza poruszyć wadliwości urządzeń skarbowych, płynące tak z ustawy, jak z instrukcyi wykonawczych i z praktyki, przyjęto tę wiadomość z powszechnem zadowoleniem, do czego przyczyniły się przede wszystkim dwie okoliczności. W miarę jak w myśl życzeń sejmu zaprowadzany bywa w coraz dalszych powiatach pobór podatków od włościan nie za pośrednictwem wójtów, którzy nieraz dopuszczali się nadużyć a zadaniu temu i przy najlepszej woli nie umieli podołać, okazywały się urządzenia urzędów podatkowych pod względem lokalu i sił pracujących coraz bardziej niedostatecznymi; a z drugiej strony, w miarę jak nowy naczelnik krajowej władzy skarbowej, wice-prezydent dr Korytowski, spełniając swój obowiązek służbowy, starał się o ścisłe wykonanie obowiązujących przepisów, czego mu oczywiście za złe nikt brać nie może, wadliwość tych przepisów jeszcze jaskrawiej musiała się uwydatniać.

Tymczasem z żalem trzeba przyznać, że mówca wyznaczony przez koło, poseł krakowski dr Weigel, nie odpowiedział słusznym oczekiwaniom. Nie podniósł należycie wadliwości ustaw podatkowych i instrukcyi wykonawczych, rażących niedostatków manipulacyi podatkowej, braku sił pracujących i odpowiedniego pomieszczenia urzędów, które z tyłu partjami muszą mieć do czynienia a pomieścić ich nie mogą pod dachem. Na wykazanie przesadnej tendencyi fiskalnej podał przykłady prawie wyłącznie z praktyki kupieckiej i to indywidualów, które nie bardzo zasługiwały na obronę przed władzami podatkowymi, a nadto przykłady te pochodziły w części z przed 10-ciu lat. Chybił wreszcie mówca koła w tem, że porównywając dawniejszy zarząd skarbowy w Galicyi z dzisiejszym, dał tej części swej mowy pozór wystąpienia osobistego przeciw dzisiejszemu naczelnikowi zarządu skarbowego i pozór skargi na ściąganie zaległych podatków. Minister skarbu, odpowiadając mówcy, skorzystał z tych uchybień i gorąco wzięł w obronę swego podwładnego, a podnosząc, że wskutek poprawy ogólnej stosunków ekonomicznych w Galicyi wzrosła też i możność płacenia podatków, upatrywał przyczynę zaległości podatkowych w rozpowszechnionem uchylaniu się ludności od obowiązków względem skarbu państwa przez zeznawanie niższych dochodów i t. p. Na poparcie przytoczył minister ustęp z raportu jednego z podwładnych urzędników. Zarzut ministra, w uogólnieniu tem zupełnie niesłuszny, był dowodem braku taktu politycznego z jego strony, a nawet pewnem uchybieniem przeciw lojalności, skoro minister przemilczał, iż cytowany przezeń raport odnosił się tylko do jednego miasta i do pewnej określonej w nim bliżej kategorii opodatkowanych, którzy starają się

i. umięją lepiej od innych uchylić się od obowiązków podatkowych. Przemówienia posła Jaworskiego i sprawozdawcy Kozłowskiego wyjaśniły niesłuszność zarzutów ministra, zniewoliły go do przyznania, że zgeneralizował bezzasadnie znaczenie cytowanego raportu, i naprawiły częściowo uchybienia pierwszego mówcy polskiego, jednakże nie zdołały naprawić rzeczy w całości. Pozostał ujemny rezultat: najpierw w tem, że nie wyzyskano sposobności ważnej do przedstawienia we właściwym świetle wad i uciążliwości obecnych urządzeń podatkowych, i to tak ustaw, jak ich wykonania w specyjalnem zastosowaniu do stosunków naszego kraju, a zwłaszcza wiejskiej ludności rolniczej i jej stopnia oświaty; następnie zaś w tem, że zarzuty ministra dały powód dziennikom wiedeńskim i innym niemieckim do najzjadliwszych napaści na Galicyę, za którą inne części państwa muszą ponosić ciężary. Publiczność niemiecka, czytająca takie artykuły, nie jest w możności sprawdzić słuszność owych zarzutów, wierzy im tedy świecie i stąd wyradza się uprzedzenie przeciw Galicyi, jakoby kosztem innych krajów i z ich krzywdą chciała zaspokajać swe potrzeby z dochodów państwa, nie przyczyniając się jakby należało do tych dochodów. Tymczasem wszelkie podatki państwowe są w Galicyi te same, co i w innych krajach austriackich, a jeśli Galicya stosunkowo do obszaru i ludności mniej opłaca na rzecz skarbu, niż najbardziej rozwinięte prowincye państwa, to dlatego, że mniej jest zamożna, że jej siła podatkowa jest stosunkowo mniejsza, co znowu jest wynikiem i mniej korzystnego pod względem handlowo-politycznym położenia geograficznego, i długoletniego zaniedbania w popieraniu ekonomicznego rozwoju tej prowincyi. Ulubiony niegdyś frazes dzienników liberalnych niemieckich, iż Galicya jest prowincją bierną, albowiem z dochodów skarbu, u niej pobieranych, po pokryciu wydatków państwa na Galicyę, za mało pozostaje na pokrycie jej udziału w wydatkach wspólnych na władze centralne, wojsko i t. p., stracił już dość dawno wszelki pozór uzasadnienia, odkąd Galicya płaci największą część nader wysokiego podatku od spiryтусu i bardzo znaczną część podatku od nafty.

Co do naczelnika zarządu skarbowego, wice-prezydenta dra Korytowskiego, to wszyscy w kraju uznać muszą gorliwe jego starania około poprawy zarządu skarbowego przez usuwanie zeń żywiółów, nie dających dostatecznych rękojmi moralnych, a dobór natomiast ludzi zdolnych i prawych, pomnożenie posad i odpowiednie wykształcenie służby skarbowej, skutkiem czego ta gałąź służby publicznej będzie zyskiwała na poważaniu u ludności. Uciążliwościom, wpływającym z wadliwych ustaw i nieodpowiednich instrukcyi ministerjalnych, nie jest winien ten, kto jest tylko ich wykonawcą.

Przeprowadzona subskrypcya na konwersyjną 4% pożyczkę galicyjską wydała i w kraju i po-za krajem świetny rezultat. O ile sądzić można, przeszło dziesięć razy tyle subskrybowano, ile kraj potrzebuje i chce pożyczyć. Toż samo i kursa galicyjskich listów zastawnych są stosunkowo bardzo pomyślne. Listy 4½% stoją wyżej pari na 100 do 101.60 złr., listy 4% stoją na 96.25 do 99 złr. Z papierów wyżej oprocentowanych mamy jeszcze tylko małą ilość 6% pożyczki krajowej z r. 1873, która stoi wyżej pari, nie może być jednak skontwertowana, ponieważ kraj nie zastrzegł sobie prawa wcześniejszej spłaty tej pożyczki; następnie małą ilość 5% obligacyi komunalnych banku krajowego i w końcu listy zastawne 5% akcyjnego banku hipotecznego we Lwowie. Obecnie obligacye i listy zastawne, oprocentowane po 5% i 4½%, ustępują coraz bardziej miejsca czteroprocentowym, których kurs zbliżać się zaczyna do pari, t. j. do 100, a kto wie, czy, jeśli pokojowy rozwój naszych stosunków ekonomicznych potrwa dalej, nie będą wstępowały u nas powoli 3½-procentowe papiery w miejsce czteroprocentowych.

Było-by błędem zapominać, że symptomata tego rodzaju, jak stopa procentowa i kurs listów zastawnych i obligacyi krajowych, odnoszą się bezpośrednio do stosunków ekonomicznych wyższych warstw społecznych. W każdym społeczeństwie zachodzą znaczniejsze różnice w stopniu ekonomicznego rozwoju pomiędzy najniższemi a wyżej stojącymi warstwami. Podczas gdy w tych ostatnich warstwach przyjęły się urządzenia, jakie przyniósł z sobą postęp czasu, i widoczne są skutki oddziaływania zmian w światowych stosunkach ekonomicznych, podczas gdy zatem np. gospodarstwo pieniężne przeniknęło wszelkie stosunki, a potrzeby kredytowe pod odmiennymi niż dawniej warunkami i przez odpowiedniejsze organizacye bywają zaspokajane; to w głębiach społeczeństwa pod niejednym względem jeszcze trwają dawne stosunki, utrzymują się niejedne dawne urządzenia, nieraz w sprzeczności z reformami ustawodawczymi. W społeczeństwie naszym owa różnica pomiędzy warstwami społecznymi w stopniu rozwoju ekonomicznego jest znaczniejsza, niż na zachodzie i w środku Europy, zatem mniej niż gdzieindziej możemy symptomata takie, jak przytoczone poprzednio, brać jako wskazówki stosunków całego społeczeństwa. Jednakże zaprzeczyć się nie da, że zmiany tego rodzaju, jak większa obfitość i potaniecie kapitałów, oddziałują i na stosunki niższych warstw społecznych, i że wpływ tych zmian w obecnym czasie szybciej niż dawniej dociera do głębszych warstw społeczeństwa. I jedno i drugie daje się też i u nas dostrzegać bacznemu obserwatorowi szczegółowych objawów życia społecznego, jednakże nie w tym stopniu, jakby to było pożądanem. Włóscianie i małomieszczenie, którym

bank krajowy udzielił pożyczek hipotecznych, korzystają w całej pełni z niskiej stopy procentowej i z wysokiego kursu listów zastawnych, lecz klientela ta, odznaczająca się punktualnością w spłacaniu rat, jest dotąd szczupła. Na towarzystwa zaliczkowe, w których włościanie stanowią znaczną ilość członków, mianowicie w r. 1891—83,731, czyli 54.5% ogólnej liczby członków, również oddziaływała większa obfitość kapitałów: pozniżały one procenta od wkładek oszczędności, a następnie również, choć nie wszędzie o tyle jakby można było, procenta od pożyczek. Jednakże obok pocieszających postępów w stosunkach kredytowych włościańskich, zwłaszcza w wielu okolicach zachodnich, są u nas znaczniejsze okolice, mianowicie na Podolu, na Pokuciu i w górach wschodnich, gdzie towarzystwa zaliczkowe są rzadkością i ograniczają swą klientelę na ludność większych gmin wiejskich, gdzie istniejące gminne kasy pożyczkowe, dla braku inteligentnych żywiółów w zarządach miejscowych, raz rozpożyczywszy swój kapitał, słabe dają znaki życia, a ogół ludności wiejskiej używa jak dawniej tylko lichwiarskiego kredytu u arendarza lub innych bankierów wiejskich, z tą różnicą, że, wobec ustawy przeciw lichwie, kredyt ten często przybiera postać rozmaitych innych interesów, jak np. handlu terminowego zbożem, handlu bydłem (szczególnie w okolicach górskich), kupna z prawem odkupu i t. p.

Pocieszającym objawem poradności i postępu w sprawach gospodarczych są liczne, w zachodniej zwłaszcza części kraju, sklepiki chrześcijańskie po wsiach. Utrzymują je kółka rolnicze włościańskie, posil-kowane przez osobne w tym celu wytworzone związki handlowe kółek rolniczych i przez pożyczki, jakich udziela kółkom i zarządom powiatowym kółek wydział krajowy z funduszu 15,000 zł., na popieranie handlowo-przemysłowej działalności kółek rolniczych stale wyznaczonego przez sejm krajowy. Sklepeków takich ilość ciągle wzrasta. Na wschodzie spełniają w zakresie ciśniejszym pod względem przedmiotów sprzedawanych podobne zadanie „narodna torhowla” we Lwowie i jej filie w jedenastu gminach, o które opierają się znowu kramiki chrześcijańskie po wsiach w liczbie około 450.

Natomiast bez porównania ciężej, niż z organizacją spółkową dla nabywania i rozprzedaży artykułów spożywczych, idą rzeczy z wytworzeniem organizacyi dla wspólnej sprzedaży własnych produktów gospodarczych lub wyrobów przemysłowych. Po-za obrębem dwóch głównych miast, gdzie istnieje kilka stowarzyszeń magazynowych pomiędzy rzemieślnikami, mamy w całym kraju zaledwie kilka spółek, w tym celu zawiązanych. I tak w zakresie gospodarstwa nabiałowego, w którym wspólna sprzedaż mleka i wspólna produkcja i sprzedaż masła, nadzwyczajnie są pożądane, mamy tylko jedną spółkę producentów

mleka we Lwowie i spółkę nabiałową włościańską w Haszowie, pomimo, że krajowy inspektor mleczarstwa udziela bez żadnych kosztów wszelkich w tym względzie potrzebnych wskazówek i objaśnień. Obecnie miały powstać dwie dalsze mleczarnie spółkowe, jednakże dotąd nie funkcjonują. Z drobną ilością mleka, masła, sera, jaj, zboża, ziemniaków, o ile na miejscu nie zostaną wykupione te artykuły przez handlarzy, spieszą nasi producenci wiejscy na targi, chociaż z wielką oszczędnością czasu swego i pieniędzy mogli-by nieraz wspólną sprzedaż urządzać. Ten sam brak łączności występuje i między gospodarzami na większych posiadłościach. Spółek dla komisowej sprzedaży produktów rolnych z większych gospodarstw mamy trzy, wliczając w to już bank rolniczy we Lwowie, i te nie robią rozleglejszych interesów, a upadek spółki Tarnopolskiej przed dwoma laty odstręcza od zakładania nowych spółek. Brak u nas ludzi fachowych do handlu produktami rolnymi, zatem w kołach ziemian niema ufności, że spółka dla sprzedaży płodów będzie należycie prowadzoną i to przede wszystkim sprawia, że ziemianie nasi nie są skłonni do zawiązywania spółek. Dalsza przyczyna leży jeszcze w tem, że, znając nasze usposobienie, nie ufamy sobie wzajemnie pod względem koniecznej w każdym interesie handlowym ścisłej akuracji.

Brak organizacji handlowej, łączącej miejscowych producentów, zastępować musi organizacja centralna, której łatwiej znaleźć ludzi fachowych i dobrać spółników, bezwarunkowo akuratnych i dających rękojmię finansową poważną. Taką organizacją stało się akcyjne Towarzystwo handlowe, złożone z małej liczby najwybitniejszych obywateli ziemskich i miejskich, którego akcje stale pozostają w tych samych rękach. W pierwszym roku swego istnienia Towarzystwo zajmowało się handlem spirytusu i, pomimo niepomyślnych wogóle koniunktur, osiągnęło wcale korzystny dla siebie i dla komitentów swoich rezultat, zajmowało się dalej sprowadzaniem sztucznych nawozów i handlem chmielu, a wreszcie utrzymywało bazar wyrobów krajowych. Wszystkie te gałęzie czynności prowadzone były z pomyślnym skutkiem. Obecnie ma Towarzystwo rozszerzyć swoją działalność na handel zbożem. Ten dział przedstawia jednak dla organizacji centralnej nierównie większe trudności, niż działy poprzednie, z powodu nierównie większej ilości interesantów, z którymi będzie się miało do czynienia, i z powodu niechęci tych interesantów do oddania produktów w komis towarzystwu, a żądań zakupna przez Towarzystwo na własny rachunek, co znowu, przy większych rozmiarach interesu, zbyt jest ryzykownem. Nadto dalszą trudność przedstawia niejednostajność towaru, gdyż producenci u nas sięgają rozmaite gatunki pszenicy i t. p., podczas gdy dla odbiorców jednolitość ziarna w obrębie zakupowanej

partyi jest bardzo pożądaną. Towarzystwo handlowe zresztą także ma trudność w doborze sił fachowych i musi je sobie dopiero wyrabiać, a przeto bardzo ostrożnie musi postępować.

Z końcem lutego i z początkiem marca odbyły się we Lwowie walne zebrania Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Towarzystwa gospodarskiego i Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych. Zebrania Towarzystwa kredytowego, które dwa lata temu obchodziło uroczystość 50-letniego istnienia, a pomimo konkurencji dwóch zakładów hipotecznych w samym Lwowie i konkurentów w instytucjach po-zakrajowych, ciągle pomyślnie się rozwija, poświęcone były głównie zmianom w organizacyi biurowej. Na posiedzeniach Towarzystwa gospodarskiego, od kilku lat coraz liczniej odwiedzanych, roz-bierane były sprawy chowu bydła rogatego i fałszowania nawozów sztucznych; dalej uciążliwości gorzelnictwa, spowodowane przez urządzenia dla kontroli podatkowej; sprawy chowu koni i niektóre inne. Zebranie Towarzystwa oficyalistów prywatnych było połączone z obchodem dwudziestopięcioletniej rocznicy istnienia tego Towarzystwa. Pożyteczne i zasłużone to Towarzystwo jest jednym z najpiękniejszych przykładów samopomocy interesowanych, popartej co prawda także pracą ludzi dobrej woli z innych warstw społecznych, a to niemal w równej mierze właścicieli ziemskich i miejskiej inteligencji. Liczy ono obecnie 2,372 członków, posiada majątek w domach i papierach, wynoszący przeszło pół miliona złr., a w roku 1892 wypłaciło członkom swoim lub pozostałym po nich rodzinom, tytułem emerytur, wsparć i kosztów pogrzebowych, przeszło 55,000 złr.

Po świętach Wielkanocnych około 20 kwietnia zbierze się sejm, do którego czynione są już przygotowania. Głównym przedmiotem obrad będzie projekt ustawy o popieraniu budowy kolei lokalnych, która to ustawa określi, pod jakimi warunkami będzie kraj budował sam koleje lokalne lub subwencyonował ich budowanie przez prywatne przedsiębiorstwa. Oprócz tego zajmie się sejm ustawą gminną dla mniejszych miast i miasteczek, ustawą budowniczą dla tych samych miejscowości i ustawą o policyi ogniowej. Sesya będzie krótka, około trzech tygodni trwająca, gdyż w jesieni zbierze się sejm po raz drugi, tym razem dla uchwalenia budżetu na r. 1894. Budżet ten, pierwszy po przeprowadzeniu konwersyi długu indemnizacyjnego, będzie miał odmienną postać od swych poprzedników, albowiem nie będzie w nim niedoborów, gdyż zamiast wysokiej raty na umorzenie długu indemnizacyjnego będzie w nim figurowała mniejsza znacznie rata na oprocentowanie i umorzenie pożyczki konwersyjnej, której spłata rozłożoną będzie na lat 50. Skutkiem tego okaże się możebnem z jednej strony zniżyć dodatki na potrzeby krajowe, a z drugiej strony zaspokoić lepiej pil-

niejsze potrzeby publiczne, mianowicie zaś przed innemi potrzeby oświaty ludowej. Mamy nadzieję, że pomyślniejsze położenie skarbu krajowego nie da powodu do zbyt optymistycznego usposobienia przy uchwalaniu wydatków w przyszłym budżecie, i że doświadczenie w sprawach finansowych, nabyte po niejednym błędzie w ciągu trzydziestu dwóch lat samorządnej gospodarki, każe sejmowi być oględnym i w latach lepszych, po których łatwo i rychło mogą przyjść gorsze.

Przygotowania do wystawy krajowej r. 1894 są w pełnym toku. Sekcje komitetu wystawowego, a jest tych sekcji 28, zbliżają się do ukończenia prac nad szczegółowym programem wystawy, określającym co i w jakim zakresie będzie jej przedmiotem, i wskazującym sposoby zapewnienia należytego udziału wystawców w każdej grupie, a ewentualnie postarania się o okazy w grupach, co do których dalej idąca inicjatywa komitetu wystawy okazuje się niezbędną. Prace sekcji przedstawiają się bardzo pomyślnie, a na wszelkie uznanie zasługuje zgodny i wytrwały udział w tych pracach wszystkich sił fachowych, jakie nasze miasto posiada w różnych zawodach. Obrady sekcji zwłaszcza niektórych, jak budowniczej, sekcji sztuki i innych, są częste i przeciągają się długo, a mimo to ludzie, zajęci pracą zawodową przez dzień cały, spieszą na posiedzenia, pragnąc ze swej strony przłożyć się do wielkiego przedsięwzięcia, którego chcemy tu wszyscy należycie dokonać.

Rozpoczęły się też prace na placu wystawy, którego niwelacja jest w toku, przerywana niestety co chwila przez nieprzyjazną porę. Miejsca dla głównych budynków są powyznaczane i rozkład całego placu jest już w głównych zarysach ustalony. Obręb wystawy, który obejmie także cały park stryjski, będzie zawierał około 57 hektarów. Gmach sztuki i zabytków historycznych będzie zbudowanym tak, żeby trwale pozostał. Budowa ogniotrwała, już ze względu na bezpieczeństwo pomieścić się mających tam skarbów, jest konieczną. Inne budynki będą czasowe, chociaż w tej mierze może zajdą jeszcze zmiany. Z osobnych pawilonów, oprócz pawilonu dóbr rządowych i kolei państwowych, które zajmą znaczniejszą przestrzeń, będzie z prywatnych z pewnością najświetniejszym pawilon hr. Andrzeja Potockiego, który zajmnie do 600 metrów kw. Obok pouczenia przez oglądanie, a nawet przedmiotu do studyów dla ludzi fachowych, wystawa krajowa r. 1894 dostarczy obfitej rozrywki. Będzie tak zwana „fontaine lumineuse” i oczywiście restauracje, kawiarnie, cukiernie; a wszystko to w otoczeniu pięknego parku, w położeniu wyniosłym i malowniczym, z pięknym widokiem na całe miasto.

GRZYWNY KARNE W DAWNEJ POLSCE

i najdawniejsza nasza grzywna mennicza.

Zamierzam w rozprawie niniejszej poruszyć ponownie kwestyę, dotyczącą owych stałych kar pieniężnych, w starodawnych prawa polskiego pomnikach, w księgach sądowych, w dokumentach i t. d. nieustannie wspominanych, których tradycyjne nazwy, jak *siedm-dziesiąt*, *piętnaście* i t. d., a rzeczywiste wartościowe znaczenie, o ile tylko pamięć zasięga, najzupełniej się rozmijały. Jeszcze Czacki w głównem swem dziele nie dostrzegał tej między nominalną a istotną ich wartością zachodzącej różnicy. Pierwszym, który zwrócił na to uwagę i starał się wytłómaczyć tę sprzeczność, był Lelewel. Po tym początku, niemal wszyscy uczeni nasi, którzy czy to z wydawnictwem źródeł dziejowych, czy z prawem polskiem, czy z historią narodu naszego, rozważaną pod wewnętrznym, społeczno-dziejowym względem, mieli do czynienia, podejmowali to pytanie. Nikomu jednak dotąd nie udało się rozwiązać zagadki. Co do niektórych tylko z pomiędzy tych kar jest obecnie wiadomem, jakie kwoty rzeczywiście znaczyły. Walor innych jednak nie odgadniony. A powód, dlaczego tamte tak nieodpowiednie znaczeniu swemu nosiły nazwy, jak i ich związek i stosunek do drugich, stanowi przedmiot dociekania, najzupełniej do tej pory nadaremne.

Otóż chciałbym pokusić się o próbę, czy nie było-by rzeczą możliwą, zestawivszy wszystko, co o tych karach na podstawie pozytywnych dat dziejowych daje się wyrozumieć, i połączywszy z tem także i wyniki, wydobyte po dziś dzień na jaw w zakresie badań średniowiekowej naszej numizmatyki, za pomocą kombinacji uzyskać pogląd taki na całość tego pytania, który-by nam nietylko walor kar dotąd niewyjaśnionych odsłonił, ale i taki między niemi ukazał związek i system, iżby je wszystkie można było z jednego punktu widzenia zrozumieć i początek ich wskazać.

Kary, o których mówimy, były następujące:

Siedmdziesiąt, *septuaginta*, *LXX*.

Pięćdziesiąt, *quinginta*, *L*.

Piętnaście („pięćnadzieście”), *quindecim*, *XV*.

Dwanaście, *duodecim*, *XII*.

Sześć grzywien, *sex marcae vulgariter* sześć grzywien.

Trzysta, *trecenti*, *trecenta*, *CCC*.

Od kiedy w piśmiennych naszych zabytkach spotykamy się z temi wyrażeniami? — Kara *septuaginta* występuje już w dyplomie Miecysława Starego z r. 1177, jedynym autentycznym tego księcia, który nas doszedł (*Kod. dypl. Wielkop.* № 22). Grozi tu Miecysław tą karą każdemu, ktoby się poważył niepokoić klasztor lubiąski w posiadaniu wsi Słupi. nabytej od tego monarchy zamianą za dwie inne dotąd klasztorne włości na Szląsku. Groźba ta wypowiedziana tu w słowach tak jasnych (*septuaginta marcas argenti purissimi componet*), że najmniejszej nie zostawia wątpliwości, co znaczyła ta kara. Miała być złożona w srebrze i to najczystszem, a zatem w bryle na wagę wziętem, a nie w monecie zdawkowej, i miało tego srebra być 70 grzywien. Tej liczby grzywien nie można żadną miarą brać tu w znaczeniu dosłownem. Już zatem wtedy t. zw. *septuaginta* posiadała inne wiadome, zredukowane swoje znaczenie, t. j. 14 grzywien ¹⁾. Więcej wzmianek

¹⁾ Tamtoczesna grzywna polska aż do r. 1300 trzymała w przybliżeniu $\frac{2}{3}$ wagi grzywny kolońskiej, ważyła przeto circiter gramów 155.85 i równała się mniej więcej naszym 14 zł. w. a. Takich grzywien 70 znaczyło-by sumę zł. 980, której żaden (a przynajmniej mało który) winowajca w tamtych czasach nie byłby potrafił złożyć. Cała Słupia ani pewnie piątej części tego nie była warta! Mowa tu być może przeto chyba o 14 grzywnach, równających się naszym 196 zł. — Że ten mój wykład tego miejsca w dokumencie jest jedyny możliwy, tego dowodzi i to wszystko, co Kadłubek o fiskalizmie Mieszka Starego w swej kronice podaje (*Mon. Pol.* II. p. 380 sq.). Za łada przekroczenie, popełnione i urojone, miały wtedy być nakładane kary 70 grzywien (*multa LXX talentorum*) i ściągane z przestępców bez miłosierdzia. Daje się ta praktyka rozumieć tylko przypuszczając redukcję.

ani o septuagincie, ani o innych karach niema w dokumentach XII stulecia, co się jednak tem jedynie tłumaczy, że w nich do tego, by o nich mówić, żadnej nie było sposobności. Właściwie bowiem sposobność taka następczała się w przywilejach egzempcyjnych i lokacyjnych, a te się u nas poczynają dopiero w wieku XIII. To też z tego wieku, i z następnych wielkie mnóstwo już świadectw o istnieniu i stosowaniu do sądowej praktyki tych wszystkich kar, i to z całego obszaru kraju, nie wyjmując żadnej części tamtoczesnej Polski.

Niektórzy uczeni nasi dawniej byli tego mniemania, że przez 70, 50, 15 i t. d., rozumieć należy nie odpowiednie liczbom tym ilości grzywien, ale innych jakichś, nierównie mniej znaczących, wartościowych jednostek. A jeżeli już koniecznie miała-by tu być mowa o grzywnach, to nie o grzywnach srebra, ale innego towaru, np. skórek zwierzęcych, przydatnych do futer. Wartość np. 70 grzywien skórek mogła być się równać 14 grzywnom srebra i t. d. I rzeczywiście jest faktem, dokumentami stwierdzonym, że w tamtych wiekach były i skórki zwierząt liczone na grzywny, choć nie wiadomo, ile ich szło na grzywnę. W obecnym jednak razie przyjąć takiego wytłumaczenia kwestyi nie można. Skórki zwierząt, np. lisie lub popielic, a kun, soboli, gronostajów i t. d. nie miały równej wartości. Były tańsze i kosztowniejsze. Gdyby przez owe ilości grzywien były rozumiane skórkowe grzywny, musiało-by być za każdym razem wyrażone, o jakim gatunku zwierząt się mówi, a tego nigdy i nigdzie nie widzimy. Upada także ten wykład i wobec tego, co się wyżej przytoczyło z dokumentu Mieczysława Starego i z kroniki Kadłubka. Niema tam ani słowa o tem, by wymierzona komu kara była mogła być i czem innem spłacona, jak srebrem albo bieżącą monetą.

Do powyższego, zdaniem mojem, chybionego wykładu, dawała w części powód i ta okoliczność, że w Statutach Kazimierza W. i w dokumentach XIV w. zazwyczaj nie znajdujemy przy wyrazach *septuaginta*, *quinquaginta* i t. d. dodanego słowa *marcae*, ale same tylko te liczebne wyrazy, bądź po łacinie, bądź po polsku (nawet wśród łacińskiego tekstu) powiedziane bez żadnego dodatku. Tam zaś, gdzie przy pewnej liczbie, wyrażonej cyfrą lub po łacinie, np. *III*, *tres*, *XIV*, *quatuordecim* i t. p. jest dołożone *marcae* w tych Kazimierzowskich statutach, ma to tam zawsze znaczenie aktualne rzeczywistych tamtoczesnych grzywien, w podanej właśnie rozumianych ilości. Jednakże i ta kancelaryjna nawykłość, XIV dopiero wiekowi właściwa, nie może upoważniać do takiego wykładu. Dokumenta XIII stulecia temu się opierają, ponieważ — wprawdzie nie zawsze, ale jednak po największej części — przywodzą one te kary pieniężne z przydanem do liczb,

o jakie chodziło, słowem *marcae* albo *marcarum* ¹⁾. A te zabytki, jako dawniejsze, mają tu głos rozstrzygający i żadnej więc co do tego nie zostawiają wątpliwości, że mówią o grzywnach, i to nie innych, jak srebra. Przy Sześć nawet i w XIV-wiekowych zabytkach nigdy nie brakuje tego słowa grzywien: „*sex marcae vulgariter sześć grzywien.*” Czy to słusznie — inne pytanie i niżej pomówimy o tem. Ale w rozumieniu tych źródeł opiewały wszystkie te kary na grzywny, z jedynym chyba wyjątkiem Trzystu, o których nam Ms. Elbląski ²⁾ oznajmia, że rozumieć przez tę liczbę należy 300 grupek czy główek soli, w której to formie miała ta kara być pierwotnie składana, później zaś zredukowano i onę na pieniądze, zachowując jej dawną nazwę.

Na podstawie powyższych uwag przyjmuję więc za rzecz pewną, że kwestyonowane tu liczby karne wyrażają pewne kwoty pieniężne, a może istotnie grzywny, i przypuszczam, że pomiędzy rzeczywistym tych kwot walorem a nominalną ilością pierwotnie nie było żadnej sprzeczności. Później, w XI jeszcze wieku, od czasu kiedy w Polsce zaprowadzoną została stopa menniczna, jakiej okazów dostarcza nam numizmatyka nasza, od czasów Bolesława Śmiałego albo jego ojca począwszy, aż do r. 1300, rozeszły się odwieczne nazwy tych kar pieniężnych a rzeczywiste znaczenia tychże. Nazywano je wprawdzie i nadal po dawnemu, tak jak się za pierwszych naszych chrześcijańskich książąt albo i jeszcze wcześniej zwały, ale żądano pod tą nazwą okupu, odpowiedniego stopie zmienionej waluty.

Zanim się wdamy w szczegółowe rozplątanie tych skrzyżowanych stosunków, oznaczmy przedewszystkiem realną wartość każdej z tych kar, o ile takowa odnośnie do czasu przed wiekiem XV może być wyrozumiana z pozytywnych źródeł dziejowych. W wieku XV bowiem zaczęto zniżać lub też podwajać te kary w najrozmaitszy sposób, a najdowolniej. Wyniki pozyskane w ten sposób złączymy z sobą, a następnie zobaczymy, czy się z tego nie dadzą wyprowadzić dalsze konkluzje.

¹⁾ W dokumencie z r. 1113: *praeter septuaginta marcarum iudicium* (Kod. WPol. nr. 81); w nrze 174 tegoż zbioru, rok 1134: *poena duodecim marcarum*; w T. I. Kod. Rzyszcz. nr. 60 z r. 1262: *nisi quum iudicati fuerint ad poenam trecentarum vel sex aut quindecim marcarum*; w Kod. Tyn. nr. 23 z r. 1268 (dokument szląski): *sive sint trecenta sive sex marcae sive duodecim, sive etiam quinquaginta, i t. d. i t. d.*

²⁾ Rozumiem przez Ms. Elbląski owo Prawo polskie zwyczajowe, przez jakiegoś Niemca po niemiecku w kraju pod rządem Krzyżaków w końcu XIII wieku spisane, które się zachowało w odpisie, odnalezionym w Elblągu, a jest oddrukowane w II. T. Pomników Helcla.

Septuaginta, LXX.

Ta ze wszystkich najwyższa kara, nazywana także niemilościwą, a to z powodu, że z nieubłaganą srogością była ściągana, albo karą książęcą, królewską (*ducalis, regia, regalis*, „królestwo”), ponieważ w pewnych razach całkowicie, w innych w dwóch trzecich częściach wpływała do skarbu książęcego ¹⁾ — wynosiła rzeczywiście tylko 14 grzywien srebra, aż do r. 1300 w denarach, odtąd zaś w groszach. Ewaluacja ta jest zupełnie pewna, opiera się bowiem na kilku autentycznych, od siebie niezawisłych świadectwach ²⁾. I nic nie upoważnia do wniosku, żeby kiedy walor tej kary podlegał jakiemu niższemu lub podwyższeniu, z wyjątkiem chyba później Mazowsza.

Nazwa polska „siedmdziesiąt” w dokumentach z XIII wieku bywa wprawdzie oddawana wszelką możliwą pisownią, ale jednak o tyle dobrze, że tej liczby nie mieszają tam jeszcze ze siedmnaściami. Dopiero w następnym stuleciu zaczyna się „siedmnadzieście” (z czego dziś siedmnaście) pisać z tamtym wyrazem i pełno takich przykładów w dyplomatach nawet autentycznych XIV i XV wieku (w XIII-wiekowych tylko wtedy, jeżeli to są falsyfikaty, np. № 32 w *Kod. Tyn.*), niemniej w zapiskach sądowych i w kopiach Statutu wiślickiego. Żeby się o tem przekonać, niema nawet potrzeby porównywać z sobą tych kopii w rękopisach, ale dość spojrzeć na przedruk tych statutów, np. w redakcyi w dziele R. Hubego, *Prawo polskie w XIV wieku*, za podstawę przyjętej, a w *Kod. dypl. W. Polskim* № 1261. Pomyłki takie, nawet w zapiskach sądowych, które przecież mają dla nas znaczenie autentycznych oryginałów ³⁾, przekonywają, że więc już wtedy nawet dla zawodowych prawników wszystko to było jedno, czy kto mówił 70 czy 17 grzywien. Skoro ta kara nie wynosiła ani 70 ani 17, ale zgoła co innego, t. j. 14 grzywien, a nadto ponieważ kary

¹⁾ *Septuaginta marcas componat, quarum duas partes nobis in fisco persolvat, unam illis quorum temerata fuerit possessio*, mówi Miecz. Stary w powołanym już wyżej dokumencie z r. 1177. — Dyplom z r. 1242 dla klaszt. lubińskiego (Rzyszcz. I. nr. 30): *nobis (t. j. księciu) poenam solvent quae sedmcesant dicitur, et abbati poenam debebunt quae pinta nacesce nuncupatur*.

²⁾ Powiada to n. p. rozporządzenie monetarne Władysława Jagiełły z r. 1422 w T. IX. Dyplomatarjusza Liskego nr. 24; niemniej odpis Statutu wiśl. w t. zw. *Kodeksie Sierakowskiego*; wreszcie tak tę karę ewaluuje tłumacz statutu Świętosław. Obacz. Hube, *Prawo w wieku XV.*, str. 132.

³⁾ Okazy takich zapisek znajdujemy w dziele Hubego *Sądy w Polsce*, np. na str. 237—237; pochodzą z lat 1400—1408. A pełno tego i po innych zbiorach.

siedmnastu jako odrębnej nie było, więc mieszano jedno z drugim bez najmniejszego skrupułu. (To użycie nazwy „sedmnadzeste” i t. p. zamiast siemdziesiąt, w dokumentach wprawdzie wieku XIII, lecz sfalszowanych i rzeczywiście później dopiero pisanych, zmyliło Hubego i dało do tego powód, że już w dziele *Prawo w w. XIII*, str. 155, a tak samo i w dalszych tomach, bierze ciągle „siedmnadziestą” a „siedmdziesiątą” zasadniczo za synonimy).

Quinquaginta, L.

Ile rzeczywiście wynosiła kara, nazywana pięćdziesiąt grzywien, tego nam nie daje wiedzieć żadne źródło. Tyle jedynie jest pewnem, że ta kara zajmowała w ustopniowaniu opłat, nakładanych na przestępców, miejsce między *septuagintą* a *quindecim*, i że się zaliczała do większych. *Item nullus audeat*, powiada ks. opolski Władysław w przywileju z r. 1268 dla orłowskich Benedyktynów (*Kod. Tyn. № 23*), *aliquem* (z dóbr klaszt.) *citare ad aliquod castrum*, a kary od winowajców mają być opatowi składane, *sive erunt trecenta, sive sex marcae, sive duodecim, sive etiam quinquaginta*. Także i z sądowych zapissek wynika, że kara *LXX, L* i t. zw. *magna poena furticini* (za jawną uchwałą kradzież, czyli za t. zw. chążbę) uchodziły za *poenae magnae*.

Na tych się opierając wskazówkach, przypuszczam, że kara ta miała walor 10 rzeczywistych grzywien.

Przypuszczam zaś takie znaczenie tej kary przedewszystkiem na podstawie samej analogii. Jeżeli kara *LXX* znaczyła $\frac{1}{3}$ tej kwoty, t. j. 14 grzywien, i jeżeli kara *XV* znaczyła (jak się to niżej okaże) także $\frac{1}{3}$ tej kwoty, t. j. 3 grzywiny: to już sama konsekwencja wymaga, żeby to samo i o tej pośredniej między niemi karze rozumieć: $\frac{1}{3}$ liczby *L* jest 10 grzywien. Przypuszczam to i z następujących innych jeszcze przyczyn.

W księgach sądowych spotykamy dość często kary za znaczniejsze występki, np. śmielszą kradzież, zabójstwo i t. p., nakładane w wysokości 10 grzywien. Co prawda, przy wiadomej zbyt lakonicznej stylizacji zapissek, bywa w tych księgach zawsze tak, że albo one zapisują karę *L*, bez powiedzenia co ona znaczyła, albo odwrotnie — dają *decem marcas*, bez powiedzenia, pod jaką zwyczajową nazwą i z jakiego były zadekretowane tytułu. Jednakże zważmy: jeżeli wiele-by można miejsc takich w sądowych naszych księgach ukazać, gdzie zamiast kary *LXX*, albo *XV*, położono od razu gotową tylko ewaluację tych kar, t. j. *XIV* i *III marcas*, i niema żadnej wątpliwości, że tu to drugie stoi za pier-

wsze ¹⁾: to godzi się to samo rozumieć i o miejscach gołosłownie podających 10 grzywien, jako kwotę skazania, mianowicie, że to jest ewaluacja i substytucja wyrażenia *quinguinta marcarum*.

Szczególnie za nałogowe złodziejstwo widzimy nakładaną tę karę 10 grzywien i nie wątpić, że owa, często wspominana, choć nigdy nieokreślona bliżej, *magna poena furticinii*, właśnie to samo znaczyła. Oto kilka przykładów, wyjętych z ksiąg sądowych poznańskich, kaliskich i sieradzkich, z czasu od r. 1386 do 1405 (Hube, *Sądy w Polsce* str. 279 i nast.): *G. fideiubuit pro magna poena furtiva* (jak zwykle bez oznaczenia, ile wynosiła). Albo: ktoś tam zostaje skazany *pro furacinio* na *X marcas*. — *Staszco luit poenam X marcarum ex parte furticinii*. — *Żydówka luit poenam furti X marcarum*. — *Petrus W. incurrit poenam furtivam X marcas, quia furaverat balistam*. — *Pelka tenetur decem marcas furticinii adversus K. de Parski, i t. d.*

Zdaje się, że i takie zasądzienia, jak oto następujące, do tejże kategorii odnieść należy. Ustawa mazowiecka z r. 1478, zamieszczona *in extenso* w Bandtkiego *Ius. Pol.* na str. 461, przypomina i raz na zawsze zastrzega, że w razie jeżeli kto dopuści się zabójstwa na osobie szlacheckiego stanu, w towarzystwie i przy pomocy współników: podlega każdy i z tych współników karze pieniężnej. Mianowicie winien każdy z tych pomocników na rzecz księcia panującego zapłacić 5 kop groszy, a drugie 5 kop stronie pokrzywdzonej. Otóż widzę w tych dwóch okupach dwie *quinguinty*; albowiem kopa czyli 60 groszy razy 5 czyni 300, a 300 groszy tworzyło w owym czasie tam na Mazowszu 10 grzywien, licząc po 30 groszy na grzywnę w myśl ustawy zakroczymskiej z r. 1412 (*Ius. Pol.* Bandtkie, p. 430). Spyta kto może: dlaczego tu nie nazwano tej kary wręcz „pięćdziesiątą”, ale ją przeliczono na kopy? Dlatego, że tam w Mazowszu, od niejakiego już czasu wtedy, t. j. w r. 1478, *quinguinta* miała różne i inne, niższe znaczenia, jak to niżej opowiem; do wyroku na mężobójców znizienia te jednak nie miały mieć żadnego zastosowania i właśnie przeto dawny właściwy walor tej kary został tu na inną przeliczony rachubę.

W r. 1255 Kazimierz ks. kujawski wystawia dla wsi Warty przywilej przeniesienia tejże na prawo niemieckie (*Rzyszcz II*, № 64). Przyznaje w nim dla wszystkich tej osady mieszkańców wolność, sądy i zwyczaje prawa średzkiego; *sed hoc excipimus* (a zatem dalsze

¹⁾ Tak n. p. cytuje Hube w swoich Sądach w Polsce na str. 236 zapiskę z r. 1399, z księgi gnieźnieńskiej wyjętą, jak następuje: *Dictus Albertus incurrit poenas... Mathiae (przeciwnikowi swemu) trium marcarum, et regi XIV. marcarum*. (Trium marc. znaczy tu karę Quindecim, a XIV. m. karę siedmdziesiąt, królowi należną). Takich przykładów dało-by się więcej wyszukać.

słowa są tu wyrazem woli tego księcia, a nie wynikiem prawa niemieckiego), że jeżeli Polak Niemca zabije albo Niemiec Polaka, to podlegnie sądowej karze trzech grzywien; a jeżeli Niemiec zabije Niemca, to kara za to podług prawa niemieckiego ma być wymierzana — z czego mnie będzie się należało 10 grzywien, z których jednak coś (podług drugiej kopii, 5 grzywien) opuszczę. Otóż i w tym razie wynikały te 10 grzywien z tytułu pewnie *quinguinty*, z której to kwoty w niniejszym razie jedynie z łaski i na mocy specjalnego przywileju rozkazuje ksiązę od pierwszych ściągać tylko 3, od drugich 10 grzywien, a i te także nie całkowicie, a może tylko w połowie pobierane być miały. Ten sam widok wyjątkowo zniżającego się w oczach naszych waloru kary „pięćdziesiąt” mamy i w innych dokumentach z XIII stulecia. W r. 1254 Bolesław Wstydlivy, a w r. 1284 Leszek Czarny nadają przywileje, pierwszy dla krakowskiego, drugi dla sandomirskiego kościoła ¹⁾, w których tak: Askryptów swoich za popełnione zbrodnie sędzi sam kościół i kary na nich nałożone bierze dla siebie. A jeżeli poddany kościoła zabije obcego (t. j. nie z dóbr kościelnych) człowieka, to będzie winowajcą karę zagłówną składał świeckiemu sądowi, *ita tamen, quod tantum tres marcas solvat argenti*. Każdy widzi, że te 3 grzywny przedstawiają tu już zniżenie jakiejś dawniej większej kary, zapewne *quinguinty*. I dowodzić też tego nie ma tu pewnie żadnej potrzeby, że było to jedynie wyjątkowe wtedy, tylko przez wzgląd na kościół, zniżenie, a nie dla wszystkich.

Na podstawie powyższych dat, których szereg można-by jeszcze, gdyby koniecznie o to chodziło, nieco przedłużyć, opieram przypuszczenie moje, że normalny walor kary *L* w XIII wieku wynosił 10 grzywien. Później, a po części już w rzeczonem stuleciu, podlegała ta kwota dla sfer pewnych wprawdzie różnym zniżeniom, takowe jednak, jako wyjątkowe i tylko udzielane przywilejami, tego wniosku nie obalają i mają w kwestyi naszej tylko drugorzędne znaczenie. Nie przywiązuję także wielkiej wagi i do tego, co powiada w ogólności o tych wszystkich grzywnach karnych Ms. Elbląski, mianowicie, jakoby trzy takie nominalne grzywny szły na jedną rzeczywistą. Sam ten Ms. w konkretnych razach popada często w sprzeczność z tem swoim powiedzeniem, widocznie bałamuci i zdradza albo mylną informację, albo chyba jakiś zamęt w tamtejszych stosunkach sądowych ²⁾.

¹⁾ Kod. kat. krak. nr. 41. Kod. MPol. nr. 140.

²⁾ Tak np. powiada w art. XX., że kara 6 grzywien znaczy 9 skojeów, dodaje jednak, że pobłażliwy sędzia poprzestaje i na 5 albo 3 skojeach. O karze Trzystu poucza nas, że to znaczy 1 skot, albo kilka kur, a w art. XV prawi o „des Ritters, 300”, znaczącem 8 skojeów, i „des Gebuers 300“, wynoszącem 3 skoty. O karze

A może też ta liczba 3 weszła w odpis tego zabytku tylko przez pomyłkę, zamiast 5, która to piątka zresztą, choćby nawet i była tu dana, także nie wyjaśniała-by całego tego pytania, jak się to niżej okaże.

W ustawodawstwie wiślickiem o karze *quinguinta*, *L*, pięćdziesiąt, nie znajdujemy już wzmianki. Spotykamy się tam tylko z *Septuaginta*, z *Quindecim* i z Sześciu grzywnami. Kara Trzystu i *Duodecim* wyszły były już z używania, jeżeli nie co do rzeczy, to co do nazwy. Czy do nich i *Quinguintę* doliczyć, jako także przedawnioną wtedy już karę? nie śmiem rozstrzygać. Byćby wprowadzić mogło, że mimo wszystkiego trwała ona i w XIV wieku jeszcze we właściwym Królestwie, tak jak trwała np. w Mazowszu, a tylko przepisywacze Statutów, plątając pojęcie 50 z piętnastą, tak jak 70 i 17 z sobą gmatwali, w niektórych miejscach statutu położyli cyfrę *XV*, zamiast *L*. Zważywszy jednak, że i w zapiskach sądowych małopolskich, już w końcu XIV stulecia, nie odnajdujemy *Quinguinty*, godzi się zapewne przypuścić, że rzeczywiście nie istniała ona już wtedy w małopolskich województwach. Jak się miała rzecz w Wielkiej Polsce w tym czasie, kwestya jeszcze bardziej wątpliwa. Statut wielkopolski tak samo zdaje się nie znać *Quinguinty*, jak jej nie zna małopolski (wiślicki). Ale cóż rozumieć o takich miejscach w księdze sądowej poznańskiej albo kaliskiej, gdzie np. zapisano, w pierwszej pod r. 1399, a w drugiej pod r. 1409: „*N. tenetur magnas poenas LXX et pecznadzeszcza*. — *Sub poenis magnis actori pacznadzeszcze et regi semnadzeszcza*” (1). (Hube, *Sądy w Polsce*, p. 235). Czyżby więc kara *XV* (trzy grzywny) mogła uchodzić za *magna poena*? Czy nie położono tu „pięćnadzieszcze” zamiast pięćdziesiąt, tak jak to „semnadzeszcza” (w drugiej zapisce) niewątpliwie tylko jest *lapsus calami*, zamiast kary *LXX*? W księgach sądowych sieradzkiej, radomskiej i piotrkowskiej natomiast znajdują się dość często wzmianki z tego samego czasu o karze *L*, wyrażonej należycie, nie mieszejące jej z karą *XV*. Co zdaje mi się dowodnie na to wskazywać, że w tych stronach *Quinguinta* istniała jeszcze w początku XV wieku jako kara odrębna, w swem dawnym tradycyjnym znaczeniu ¹⁾. Jeżeli Hube, opierając się na

Siedmdziesiąt, Pięćdziesiąt i Dwanaście w art. XX oznajmia, że bywają redukowane te kary do kwot, jakie sędziemu jego wyrozumiałość (*Bescheidenheit*) nałożyć zaleci, i t. d.

¹⁾ Sądy Hubego, str. 137: Zapiska radomska z r. 1401: *Nicolaus tenetur poenas szetnadzeszcze* (miało być siedmdziesiąt!) a *piacznadzeszczą* (widocznie zamiast pięćdziesiąt) *contra Szatagiun*. Inna z r. tego samego: *Czestko luit septuaginta et quinguinta adversus N.* — Zapiska sieradzka z r. 1399: *Petrus tenetur LXX. et L. contra sororem suam* i t. d. Ina z tegoż roku: *Clemense tenetur septuaginta et L. contra Budconem* (za *vituperium militiae*). — Zap. piotrowska z r.

fakcie (może pozornym), że wiślickie statuty o *Quinquaginta* milczą, całkiem tę karę jako już wtedy w Polsce nieistniejącą w swem dziele *Prawo w XIV wieku* wypuścił (str. 132 i 199), a w dalszej swej publikacji (*Sądy*) nawet niewłaściwem to nazwał, że księgi sieradzkie pod nazwą *Quinquaginta* przywodzą karę, którą była wedle niego i tam kara *Quindecim* (str. 236): to ja sądzę, że co do tego ostatniego punktu stanowczo się pomylił.

Nadmieniłem wyżej, że *Quinquaginta* podlegała później różnym co do wartości swojej zniżeniom. To się głównie odnosi do księstwa mazowieckiego, w którym tak w praktyce sądowej, jak i w ustawodawstwie, przechowywała się ta kara aż do końca oddzielnosci Mazowsza, lecz jako pojęcie, nietylko w postępie czasu coraz innego znaczenia, ale nawet w jednym i tym samym czasie kilka różnych dopuszczające znaczeń. Znaczyła... to albo owo — jak dla kogo.

W XIII wieku należała ona do kar największych i mieć musiała właściwy jeszcze swój walor, skoro n. p. Konrad mazow. w r. 1222 oddaje wprawdzie wymiar sprawiedliwości nad poddanymi klasztoru czerwińskiego opatowi tego klasztoru, z wyjątkiem jednak spraw cięższych, mianowicie takich, które karę *L.* pociągały za sobą ¹⁾. W dalszem stuleciu poczynają się excepcye i różniczki, dziwny tam zamęt wprowadzające w ustawodawstwie i sądownictwie. Inicytorem tego bałamuctwa, o ile wnosić można z faktów dla nas wiadomych, był Janusz I, książę czersko-warszawski. Zaraz w pierwszych latach długiego pa-

1402: J. fideiussit solvere... Si non solverit, extunc iudicio in septuaginta et patri in quinquaginta manebit. — W temże dziele str. 242: Zap. sieradzka z r. 1400: Miroslaus tenetur septuaginta et quinquaginta contra N. (za zabójstwo). — Ibid. str. 245: Nicolaus et Sandko tenetur LXX. et L. contra Jacobum (zap. sierad. z r. 1398). — Ibid. str. 249: N. S. et M. tenetur LXX. et L. contra J. et. M. (zapiska z tegoż r. sieradzka). — Ibid. str. 254: Spytko tenetur LXX. et L. contra Iohannem (sieradzka z tegoż roku). — Clemens de Górka tenetur septuaginta et L. contra Budkonem (sieradzka z r. 1400). — Y. tenetur septuaginta et quinquaginta super violenti in ipsius kmetonem intromissione (zap. piotrkowska z r. 1402). — S. tenetur iudicio L. et Christino XV. marcas. (za zarzut sfałszowania jakiegoś pisma, zap. sierad. z r. 1399). A nawet w księdze poznańskiej zapiska z r. 1388: Jakiś P. dopuścił się gwałtu z siedmiu współnikami szlacheckiego stanu i z ośmiu pachołkami na Henryku z Zimnejwody, za co luit poenas octo vice (= ośm razy) p a n c z d z e s a n t i h, octo vice sedmdzesant, et quilibet famulus unam marcam. Hube, Sądy, ostatnia karta, pomiędzy „Sprostowaniami“. Za każdego ze szlachty zapłacił po karze LXX dla króla, po Quinquagincie zapewne pokrzywdzonemu, a za każdego pachołka po grzywnie.

¹⁾ Kod. Rzyszcz. I. nr. 15 z r. 1222: Tamen illud excipio, quod causa L. marcarum ad me deferatur. Ibid nr. 16 z r. 1222: Poddani opata nie mają żadnemu innemu sądowi podlegać, jak tylko klasztornemu, excepta causa L. marcarum, nostro iuri spectante.

nowania swego (1379—1426) od tego zaczął, że w roku 1381 darzy jakiegoś ulubieńca swego (żadnym wtedy niezaszczyconego urzędem, więc młodego pewnie człowieka), Bokse z Karniewa, takim przywilejem (*Archiw. Kom. hist.* T. IV. str. 333 nr. 43), że jeżeli kiedy tenże Boksa zostanie, czy to sam, czy który z potomstwa jego, zasądzony na jakie kary sądowe — czy to wielkie, czy małe, to takowych nie będzie płacił, o ile one przypadają dostojnikom, uczestniczącym w wymiarze sprawiedliwości. Kar dla panującego zastrzeżonych jednakże opuszczać nie przyrzeka, owszem zastrzega, że je będzie i z niego ściągał. Samo się pewnie rozumie, że i do kar, któreby na rzecz stron pokrzywdzonych były zadekretowane, nie mógł mieć ten przywilej żadnego zastosowania. Ale od kar, sądowi jako sądowi przypadających, będzie Boksa bezwarunkowo wolny. W 5 lat później dostąpił takiej samej prerogatywy, i także dziedzicznie, pewien inny faworyt owego księcia, obdarzony przy tej sposobności i miastem Nasielskiem, Janusz z Radzanowa (*Archiw.* IV. str. 347 nr. 51 z r. 1386). W roku 1400 zachodziły jakieś między tymże księciem a biskupem płockim zatargi — z jego strony gwałty i najazdy, z biskupa strony wykłęcia, słowem obustronna zawziętość taka, że aż trzeba było komisji, która ich wreszcie zbliżyła do siebie — za cenę (jak to zawsze u nas w takich razach bywało) różnych ustępstw na rzecz kościoła, a między nimi i tej koncesji, że ilekroć jaki członek korporacji duchownej w diecezji płockiej, więc choćby i prosty pleban albo wikary, w procesie sobie wytoczonym zasądzony zostanie na *Quinquagintę*, to od tej chwili pod tą nazwą nie zapłaci sądowi większej kwoty, jak 35 groszy, z których dla księcia będzie przypadało 20 groszy, dla sędzi 10, a dla podsędka 5. (*Kod. Maz.* nr. 137). Otóż mamy przed sobą już przykład dwojakiego znaczenia kary *L.*: albo groszy 35, albo w dawniejszej wartości. Przypuszczam, że stronie pokrzywdzonej i proces wygrywającej musieli ci duchowni i nadal składać to, co jej się należało, w wysokości właściwej, więc jeżeli *Quinquagintę*, to całą. Ale w stosunku do sądu znaczyła ta kara, ze strony duchowieństwa, tylko 35 groszy. A po za duchowieństwem zachowywała nawet i w stosunku do sądu dawny swój walor. W kilkanaście lat później jednak i to się zmieniło. W roku 1414 wychodzi od księcia Janusza następujące dla wszystkich już jego poddanych rozporządzenie (*Kod. Maz.* N. 151). W sprawach o krzywdy (*iniuriae*), dochodzących aż do kary *L.*, nie będzie się nadal bronić stronom po wytoczeniu procesu pogodzić się przed wydaniem wyroku. Jeżeli się pojednają przed utwierdzeniem sporu (*ante litis contestationem*), podlegają tylko karze, Jednanej zwaney, która za każdy termin (*pro quolibet actu citationis, in se magnas sive parvas poenas pancesant continente*) będzie wynosiła groszy 15. Jeżeli się

zaś nie pojednają, wtedy podług dawnego zwyczaju będą sądzeni i kary sądowe *more solito* płacą, ale w takim oto wymiarze: od kary pięćdziesiąt (przysądzonej stronie proces wygrywającej) kara pięćdziesiąt na rzecz sądu przypadająca nie będzie wynosiła więcej, jak groszy 50 ¹⁾. Otóż więc trzecie znaczenie *Quinquaginty* w mazowieckiej czersko-warszawskiej dzielnicy w obrębie pierwszych 14 lat wieku XV. Wątpić nie można, że działo się to samo i w drugiej, t. j. plockiej dzielnicy. Kiedy bowiem po wygaśnięciu męskiej linii tych plockich książąt, puścizna ich do Korony wcielona została i mianowicie ziemia rawska, część składowa tego plockiego księstwa, najpierw inkorporowana do Polski, w r. 1462 otrzymywała swój przywilej od króla Kazimierza Jagiełłończyka (*Cod. Epistolaris*, tomu I część II, nr. 192): zatwierdza Kazimierz wszystkim ziemi rzeczonyj mieszkańcom przywileje, od książąt dawnych nabyte, a między niemi i ten, że kary sądowe, t. j. należytości przez sąd pobierane, i nadal w dawnych kwotach ściągane będą, a mianowicie: kara, zwana pięćdziesiąt, w kwocie 50 groszy ²⁾. W księstwie czersko-warszawskiem, oddzielnie istniejącem aż do r. 1526, szły potem te zniżania kary kwestyonowanej jeszcze dalszą kolejną. Konrad III, książę czerski (1454 — 1503, prawnuk Janusza I) zniżył ją dla kmieci na 40 groszy (*Bandtkie, Ius Pol.* str. 453); ten rodzaj *quinquaginty* zwał się tam odtąd karą czyli winą kmiecią. Brat jego Bolesław V, ks. warszawski, w r. 1480 zmniejszył tę należytość sądową dla biskupa i kanoników plockich z 35 groszy na tylko 13, a na dwa lata przedtem, w r. 1478, wystawił dla Jana z Radzanowa kanclerza swego taki przywilej, że od niego i od prawych jego potomków nie miały sądy w razach przegranego procesu z tytułu *quinquaginty* więcej dostawać, jak 3½ grosza (*Kod. Mazow.* nr. 246 i 244). Dla tej rodziny, co prawda, nie było to złagodzenie kary, lecz zaostrenie. Dziad bowiem tego kanclerza, Janusz z Radzanowa, w r. 1386 otrzymał był od księ-

¹⁾ Ten punkt ostatni tak brzmi w oryginale: Item ob merita nostrorum fidelium damus eisdem (a więc jest to rozporządzenie nowe, teraz dopiero wchodzące w życie, i tylko z łaski książęcej), quatinus a praedicta poena piencdzdesand, nobis et successoribus nostris per 20 grossos, iudici per 10, subiudici per 5, et universis dignitariis nostris, ad quos ipsae poene de iure spectare videbuntur, per 3 grossos solvere teneantur. Ponieważ z innego aktu tegoż księcia Janusza (z nr. 137 w *Kod. Maz.*) wydanego w r. 1400, wiemy, że tymi do percepty uprawnionymi dygnitarzami innymi byli podkomorzy, kanclerz, woźny i jeszcze jacyś dwaj inni, a zatem pięciu: więc po 3 grosze przypada na nich razem kwota 15 groszy, a te w połączeniu z tamtymi 20, 10 i 5 groszami czynią sumę 50 groszy.

²⁾ Poenasque in iudiciis, alias iudiciales, ibidem solvi consuetas, similiter dabant et solvent, videlicet poenam dictam vulgariter pianthdziesianth, quinquaginta grossorum i t. d.

cia Janusza I, zupełnie jej uchylenie i to dziedziczne, jak to wyżej już nadmienilem. Kiedyś później, około r. 1488, w którym zeszedł z świata Bolesław V. bezdzietnie, skasował on nawet zupełnie tę należytość sądową dla wszystkich swych poddanych w swem księstwie (Bandtkie, *Ius Pol.* str. 456 daje to rozporządzenie w całości, lecz z niemożliwą pomyłką datą). Rzecz dziwna, że pomimo tego później na zjeździe warszawskim w r. 1531 orzeczono, że *poena L.* dla całego Mazowsza, a więc i dla księstwa warszawskiego, wynosi 50 groszy, z którejto kwoty przypada dla starosty 20 groszy, dla sędziego 10, dla podsędka 5, dla podkomorzego 6, dla wojewody 3, dla chorążego 3 i 3 dla kanclerza. (*Ius Pol.* Band. str. 272).

Kiedy się patrzy na ten cały przebieg kurczącej się coraz bardziej kary *L.* w Mazowszu, doznaje się wrażenia, że tam kary łagodniały stopniowo, aż wreszcie spadły do nic prawie nie znaczącego pozoru. Otóż ostrzedz należy, że więcej w tem złudzenia, niż rzeczy. To się tak tylko ze stanowiska ustawodawstwa przedstawia. Praktyka sądowa, uprzytomniona nam zapiskami sądowymi, zebranymi w wydanej przez księcia Tad. Lubomirskiego *Księdze ziemi czerskiej* z lat 1404—1425, dowodzi zgoła czego innego. *Quinquaginta* na papierze za panowania Janusza drobnieje, lecz sądy jego przywracały równowagę pośród tej ciągłej chwiejności. Albowiem widzimy tu aż zbyt często zasądzenia na *duplex poena LL*, *triplex poena LLL*., na *quatuor poenae LLLL*., i t. d. aż do 10 — ba nawet w pojedynczych razach na 34 i t. p., a raz aż na 80 *poenae* z tą cyfrą *L*, tyleż napisaną tu razy ¹⁾. Nieodżałowana szkoda, że te zapiski tak są zawsze stylizowane krótko, że z nich nikt nie wyrozumie, ile na te wymiary grzywien wpływała karogodność winy, a ile dowolność sędziów. Tak n. p. 34 kar *L*, w r. 1423 płaci (komu? czy tylko sądowi, czy i stronie przeciwnej?) jakiś Powął „*quia non dedit Jednane*.“ Miałaby to być cała jego zbrodnia? A 80 *quinquagint huit* w r. tymże 1423 jakiś *Prandota de Przewisko erga Stephanum* z Ryczywołu — ale za co? nie zapisano.

W tych też tylko multiplikacjach kary *L*, tak powszechnej i utartej w Mazowszu, upatrywać pewnie trzeba jedyny powód zjawiska, że się w ustawodawczych i dyplomatycznych zabytkach tej prowincyi nie spotykamy wcale z karą *septuaginta*. W Małopolsce, w wieku XIV, widzimy w praktyce tylko *LXX*, *XV*, i *VI*, grzywien. W Mazowszu — tylko *L*, *XV*, i *VI*, grzywien. Żeby się przeto te dwie najwyższe kary *LXX* i *L*. miały wyłączać wzajemnie — o tem ani myśleć.

¹⁾ Cf. zapiski N. 279, 1603, 1637 i t. d. Zdarzają się i zapiski, gdzie powiedziano, że kilkakrotne kary *L* bierze książę, a strona tylko *XV*, n. p. N. 839, 988 i t. d.

W wieku XIII istniały obydwie wszędzie, jedna obok drugiej ¹⁾. Później jednak w MPolsce *L.* co do nazwy znika, a taksamo w Mazowszu rzecz się ma z *septuagintą*. Pomniki jednak ustawodawstwa mazowieckiego poczynają się dość późno (z rokiem dopiero 1377); więc z milczenia o karze *LXX.* w tychże pomnikach trudno wnosić, żeby jej tam i przed epoką ową nie miano znać. Tem bardziej, że uboczna nazwa tej kary: „przezmiłostna“ (we właściwej Polsce „niemiłościwa“), jak słyszę, ma się trafiać w t. zw. praw mazowieckich Zwodzie Prażmowskiego z r. 1531, dotąd niedrukowanym w pierwotworze łacińskim.

Quindecim, XV.

Nad znaczeniem kary Piętnaście niema powodu dłużej się zatrzymywać. Znaczyła rzeczywiście trzy grzywny, a powiadają nam to liczne, różne, zupełnie wiarogodne i od siebie niezawisłe, tak dawne, jak i późniejsze, świadectwa. Z XIII wprawdzie wieku żadne źródło dziejowe nie poucza nas o tem, choć gołosłownych o karze *XV.* wzmianek w nich pełno; ale bo też z tego czasu nie mamy jeszcze zapisek sądowych. Od czasu jednak, gdzie takowe się poczynają, raz po raz trafiamy w nich na wykład znaczenia tej kary, a to w słowach jak n. p. *N. tenetur tres marcas ratione poenae vituperii*; — *C. tenetur III. marcas ratione poenae XV. pro vituperio*; — *Iudicium decrevit intromissionem... pro tribus marcis poenae XV.* Albo i bez dodatku, z jakiego tytułu miał kto płacić owe 3 grzywny: *D. poenam trium marcarum remansit*; *N. tenetur III. marcas iudicio*; — *Albertus incurrit poenas Mathiae (jako stronie) trium marcarum et regi XIV. marcarum (=LXX) i t. d.* ²⁾ W tymże sensie tłumaczy piętnadziestą i t. zw. kodeks Sierakowskiego statutów wiślickich (zaraz na 1 karcie). Wreszcie stwierdza to i dokument z r. 1465, cytowany przez Lelewela, jakiś układ między opatem łysogórskim a Janem z Moście zawierający, gdzie powiedziano: *poena quindecim alias III. marcarum, quae vulgariter pietna-dziesięcia dicitur* (*Polska wiek. śr.* III. wyd. z r. 1859 str. 79).

W Mazowszu kiedyś pod koniec XV wieku kara Piętnaście podledz musiała redukcji, a to na groszy 30. W księdze czerskiej ukazuje

¹⁾ Tak n. p. zna je obydwie Ms. Elbląski, stan rzeczy wyobrażający w ziemi chełmińskiej ku końcowi XIII. stulecia. Znają je obie i szląskie, niemniej kujawskie dokumenta z XIII. w., że tu tylko nr. 66 z r. 1286 w T. I. Kod. Rzyszc. przypominę: *caput, septuaginta, quinquaginta non solvant.*

²⁾ Starodawne prawa pol. Pomniki, T. II. nr. 15 z r. 1394; T. VII. nr. 27 z r. 1397 nr. 34 z r. 1398; nr. 549, 560 z r. 1428; T. VIII. nr. 7038, 7097 z r. 1397 i t. d.

ona jeszcze pełne swoje znaczenie; tak n. p. zapiska nr. 988 z r. 1417 orzeka: *N. ducatus* (dla księcia) *LL., et Stanislae* (jako stronie) *III. marcas vulgariter piancznadzeszcze*. Znachodzą się też w tej księdze przykłady podwójnej, a nawet i potrójnej kary XV. (nr. 306, 367, 279 i t. d.). Na zjeździe jednak warszawskim r. 1531 już o niej mówią jako wynoszącej tylko 30 groszy, i że ta kara tylko na rzecz strony samej, a nie na rzecz sądu, przypada. (Band. *Ius Pol.* str. 372).

Duodecim, XII.

Nieży może uda nam się wartość kary t. zw. „dwunastu grzywien“ oznaczyć. W tem miejscu jednak, na podstawie źródeł dziejowych, nic się o tem nie da powiedzieć. Dokumenta z XIII wieku kilka razy ją wspominają, i mówią o niej widocznie jako o jednej z kar mniejszych; n. p. przywilej szląski z r. 1253 (*Urkundensammlung* Tzschoppego i Stenzla nr. 42): *Sive sit iudicium XII. marcarum, sicut pro furto, sive maius...* Ale co znaczyła, milczą. Ms. Elbląski także nieraz o nią potrąca, lecz bez żadnego wykładu. W zabytkach z XIV. stulecia nie przypominam sobie już miejsca, gdzieby o niej (pod tą nazwą *Dudodecim*) mówiono. Reluicya, gdybyśmy ją znali, możeby się znalazła, ale nazwa poszła już w zapomnienie.

VI. marcae vulgariter Sześć grzywien.

Pod taką nazwą zwykle ta kara, nawet wśród łacińskiego tekstu, bywa wspominana i to w sensie jednej z pomniejszych. Wzmianek o niej już w XIII-wiekowych pismach jest mnóstwo; lecz tylko dwa dokumenta dają niejaki punkt oparcia do wyrozumienia jej znaczenia wobec tego stulecia. Są to dwa przywileje św. Kunegundy z r. 1268 (*Kod. MPol.* nr. 474 i 475), w których ta księżna oznajmia, a to z okazji mających powstać w okolicy Sącza dwóch osad, że dla osadników tych swych wsi z miłosierdzia zniża karę „sześciu grzywien“ na 4 i na 2 skoty, mianowicie na 4 skoty wtedy, jeżeli proces aż do złożenia przysięgi postąpił (*si iuratum est*), a na 3 skoty, *si non iuratum est*, t. j. jeżeli się strony pojednają przed złożeniem jeszcze przysięgi. Równocześnie i to w tych dokumentach powiada, że jeżeli będzie chodziło o sprawy bagatelne, pociągające za sobą (w razie zasądzenia strony proces przegrywającej wyrok na karę Trzystu), to zniża te Trzysta na 2 skoty, *si iuratum est*, a na 1 skota, *si non iuratum est*. Z tego zdaje się wynikać, 1) że kara Trzystu wynosiła połowę kary

Sześciu grzywien, i 2.) że sześć grzywien w pełnym swoim (nieznizonym z miłosierdzia walorze) znaczyło 6 skotów; tak się bowiem kwoty te na 6, 4 i 2 skoty, i na 3, 2 i 1 skot najładniej rozkładają. Jest to jednak na razie tylko przypuszczenie, którego trafność dopiero innemi świadectwami, choćby z wieku XIV, mogłaby być stwierdzona. Z XIII w. brak takich świadectw ¹⁾. Otóż w XIV i XV, jest tych świadectw — przynajmniej co do Sześciu grzywien — podostatkiem, a to rozstrzyga wątpliwość. Mianowicie rękopis Statutu wiśł., dawniej będący Towarzystwa Prz. N. własnością, obecnie petersburski, daje w 3 miejscach tegoż statutu (w artykule LII. LVI. i C. układu Hubego) zamiast położonego w oryginale „sześć grzywien,“ albo relucyą słowami *poena sex scotorum*, albo też kładzie przy tych wyrazach „sześć grzywien“ krzyżyk z dopisanem *ferto*. (por. Hube, *Sądy w Polsce*, str. 237 i nast.). Nie brak też i na zapiskach sądowych, już z XIV. w., gdzie zamiast kary VI. *marcae* w innych zapisach, znajdujemy *penam sex scotorum*, VI. *scotos*, *luit unum fertonem*, *solvit fertonem* i t. p. Tak n. p. zapiska sieradzka z r. 1398 (*Sądy Hubego* str. 226): *Chebda acquisivit X marcas fideiussoriae cautionis cum sex scotis ratione poenae*. Zap. radomska z r. 1402: *Czeslko luit unum fertonem adversus N.* Zap. krakowska z r. 1399 (*Pomniki VIII* nr. 8188): *Jakusch de M. poenam sex scotorum iudicio contra Petrum.* i wiele innych podobnych. Ponieważ sześć skotów to samo znaczy, co ferton czyli wiardunek, szło bowiem na grzywnę 24 skoty, więc 6 sk. jest czwartą częścią tej kwoty, a i ferton znaczy $\frac{1}{4}$ grzywny, taką więc rzeczywistą wartość miała kara tradycyjnie i nominalnie zwana Sześć grzywien.

Tu jednak przemilczeć nie mogę następującej uwagi. Ewaluacja kary Sześć grzywien na $\frac{1}{4}$ rzeczywistej grzywny, czyli sześć skotów, jest prawdziwą na całą Polskę tylko wobec wieku XIII. Od czasu panowania Wacława czeskiego i zaprowadzenia u nas grzywny o wadze o $\frac{1}{3}$ większej, niż jej waga dotychczasowa, t. j. od czasu pojawie-

¹⁾ Co Ms. Elbl. o karze Sześciu grzywien prawi, że to znaczyło 9 skotów, a jeżeli sędzia łaskaw, to i mniej, np. 5 albo 3 skoty — uważam za bałamuctwo. Może się komu będzie wydawał ten zarzut zbyt śmiałym. Zważmy jednak, że i kopiści statutów wiślickich w wykładzie „Sześciu grzywien“ niepomniernie bałamucili. Sam wprowadzie kodeksów rękopiśmiennych tych statutów nie porównywałem. Przypuszczam jednak, że nie omylił się Lelewel, kiedy powiada, że odpisywacze i tłumacze rzeczonych statutów reluowali *poenam VI. marcarum* na najrozmaitsze kwoty: na $\frac{1}{4}$ grzywny, na 8 groszy, na 5 groszy bez 2 kwartników (co by czyniło $\frac{4}{3}$), na 6 groszy, na 1 grzywnę groszy i t. d. Ani jeden z tych wykładów nie ma żadnej podstawy! A przecież ci kopiści, jeśli nie wszyscy, to niektórzy, musieli jednak należeć do cechu kanzyperdów. Jeżeli tym uchodziło pleść bajki, to dla czegoż tylko tamten miałby być nieomylnym?

nia się grzywny 48-groszowej (przed r. 1300 ważyła grzywna polska tylko tyle, ile wagi po r. 1300 miało groszy 40): od tej chwili w poszczególnych częściach kraju nastąpiły różnice w obliczaniu wartości kary kwestyonowanej. Wprawdzie wszędzie widziano w niej i nadal $\frac{1}{4}$ grzywny czyli ferton, i to jak dla nas rzecz główna; ale wykład znaczenia fertona nie był odtąd już jednostajny. W Małopolsce i Sieradzkim znaczyła kara Sześć grzywien i po roku 1300 jak dawniej 6 skotów (czyli 12 groszy). Wprawdzie skot z przed roku 1300 a skot po r. 1300 jako $\frac{1}{4}$ grzywny — już wtedy cięższej, nie był tą samą wartością; lecz w tych ziemiach nie uwzględniano tej różnicy w sądowej praktyce. W Polsce przeciwnie podkładano — przynajmniej widzimy taką rachubę w zapisach z końca wieku XIV i początku XV — karze Sześć grzywien znaczenie 8 skotów: dla czego? nie jest dotąd wyjaśnionem. (Skotów 8 czyli groszy 16, jeżeli miały przedstawiać $\frac{1}{4}$ grzywny, toby to wskazywało na 64-groszową grzywnę, jaką była t. zw. morawska grzywna; może więc tę w WPolsce przez czas pewien brano tu za podstawę. Lecz kwestya ta nie daje się przy dzisiejszym stanie źródeł dostatecznie rozplątać). Całkiem inaczej miała się rzecz w Mazowszu. Tu grzywny Wacława o 48 groszach nie przyjęto, trzymano się po dawnemu i w dalszych wiekach grzywny chełmińskiej, czyli toruńskiej, t. j. grzywny dawnej polskiej z przed roku 1300. Ale wskutek coraz podłej monety, wybijanej tak przez Krzyżaków, jak i przez mazowieckich książąt, nie miała ta ich grzywna wtedy ani nawet tej wartości, co grzywna polska z przedgroszowej epoki. Redukowana na grosze nasze, liczyła ich nie 40, jak być było powinno, ale w wieku XIV. 36, w XV. 30, a później, już pod koniec XV. stulecia, nawet tylko 20. Pomimo tego, te 36, względnie 30, 20 groszy, nazywały się tam grzywną (toruńską czyli mazowiecką). A ferton takiej grzywny równał się z 9, $7\frac{1}{2}$, względnie z 5 groszami. W XV. wieku znaczył groszy $7\frac{1}{2}$ ¹⁾. Otóż tak też karę „Sześć grzywien“ wyklada w r. 1414 Janusz I. ks. czeresko-warszawski w swym już wyżej tu cytowanym dokumencie (*Kod. Maz.* nr. 151), zaprowadzającym takse t. zw. J e d n a n e g o, gdzie

¹⁾ Dobitnie to wypowiada ustawa zakroczymska z roku 1412, Bandtkie „*Ius Pol.*“ str. 430.

²⁾ Miejsce to samo w sobie nie jest dość jasne; można-by je bowiem i tak tłómaczyć, że dwie kwoty. sześć grzywien zwane, zawierały w sobie 15 groszy, i tak. że każda z nich je zawierała. Otóż przywilej rawski Kazimierza Jagiel. z r. 1462 (*Cod. Epist.* I cz. II nr. 192) usuwa tę wątpliwość. Powiada bowiem, że z łaski dla swych rawskich poddanych kasuje poenam dictam Jednane scilicet quindecim grossos. Zatem równały się tej kwocie 15 groszy obydwie poenae Sześć grzywien razem, a nie każda z osobna. Każda z osobna = $7\frac{1}{2}$, gr. czyli mazowiecki ferton.

wysokość należytości tej określa słowami; *duas poenas Sex marcar. sześć grz. dictas, quindecim grossos in se continentes* ²⁾). Taką ewaluację „Sześci grzywien,” w ilości $7\frac{1}{2}$ grosza, stwierdził i Zjazd stanów mazowieckich warszawski r. 1531, dołączając do orzeczenia tego i tę wiadomość, że z tej sumy przypadają dla starosty 4, dla sędziego 2, a dla podsędka $1\frac{1}{2}$ grosza.

Trecenta, CCC.

Ta ze wszystkich kar pieniężnych najmniejsza, pod nazwą Trzystu niknie w źródłach XIV. stulecia. Jednakże XIII-wiekowe dokumenta i inne pisma często o niej mówią, a to np. w takich słowach: *...nisi quum iudicati fuerint ad poenam trecentarum vel sex aut quindecim marcarum* (Kod. MPol. nr. 60 z r. 1262); — *sive sint trecenta sive sex marcae sive duodecim sive etiam quinquaginta* (Kod. Tyn. nr. 23 z r. 1268); — *si condemnati fuerint in trecentis...* (dok. z r. 125); — *quum iudicati fuerint ad trecentorum...* (z r. 1262. Hube, *Prawo w XIII wieku* str. 157) i t. d. *Ius polonicum militare*, około r. 1233 szlachcie ziemi chełmińskiej przez Hermana Balka nadane, często aplikuje tę karę, między innemi podpada jej taki w dobrach jakiego rycerza osiadły prostego stanu mieszkaniec (*Undirsass*), który-by sprawę do sądu dziedzica wsi przynależną wywlekał przed sąd rządowy. Za to pominięcie dziedzica winien mu karę Trzystu. Jednakże znaczenie wartościowe tej kary w pomniku tym zostaje zagadkowe. I w Ms. Elbląskim w kilku miejscach spotykamy się z karą *Dreihundert*. Znajdujemy w nim (w art. XX) wielce szacowaną i pożądaną wiadomość, którą przyjąć można bez żadnych zastrzeżeń, że znaczyła ona kiedyś dawniej 300 grudek czyli kruszów soli i że od tego przysła do takiego nazwiska. Co jednakże manuskrypt ten o jej pieniężnym walorze podaje, mianowicie, że obecnie sędziowie — zamiast owej soli, biorą od winowajcy po 1 skocie lub też po 4, 2 kury albo i jedną, nie na wiele nam się przydaje, ponieważ w innem miejscu (w art. XV) autor znowu co innego powiada. Tu on rozróżnia dwie Trzysty: *des Ritters Trzysta* ma znaczyć 8 skotów, a *des Gebuers Trzysta* — 3 skoty. Jeżeli z tem porównamy to, com już dawniej o dwóch dokumentach św. Kunegundy z r. 1268 nadmieniał, gdzie karę Trzystu ta księżna dla swych sandeckich poddanych zniża na 2 i na 1 skota; to się nastreśla wykład i tego miejsca, i tamtego w Ms. Elbl. taki, że Trzysta rzeczywiście znaczyło 3 skoty, zamiast których jednak w pewnych razach od biedaków przyjmowano z miłosierdzia i mniej, mianowicie $\frac{2}{3}$, albo $\frac{1}{3}$ tej kwoty, czyli 2 albo 1 skot. W ł a ś c i w y z a ś w a ł o r T r z y s t u t. j. 3 s k o t y z n a c z y ł

by $\frac{1}{8}$ grzywny, i to jest ostatnie słowo, dające się o tem na podstawie źródeł dziejowych powiedzieć. W tej chwili jednak jest ono tylko domysłem, którego wartość trzeba będzie innemi sposobami probować.

Owoż przechodzę do tych „innych sposobów“ i zbieram w jeden pogląd wszystko wyżej powiedziane, jak następuje.

Trzy wyższe kary: *LXX.*, *L.* i *XV.* stanowią razem jeden łączny system, a to o tyle, że rzeczywiste ich znaczenie ma się do ich nazwy, jak 1 do 5.

Trzy kary mniejsze nie mogą do tego systemu być zaliczone, choćby tylko z tego powodu, że ani liczba 12, ani 6 (ani 3) przez 5 podzielić się bez ułamka nie daje.

Mówmyż na razie więc o tamtej jedynie kategorii.

Jeżeli kara, rzeczywiście tylko 14 grzywien wynosząca, nosi nazwę 70 grzywien (a to samo rozumieć i o obydwóch drugich); to ta nazwa 70 datuje z czasu, gdzie rzeczona kara istotnie 70 grzywnami była spłacana. A to znaczy, że w onych czasach wynosiła grzywna srebra tylko $\frac{1}{3}$ część wartości i wagi późniejszej naszej grzywny, jak ją znamy w naszej przedgroszowej epoce.

Ta nasza grzywna z przedgroszowej epoki miała się do grzywny kolońskiej w przybliżeniu, jak 2 do 3 ¹⁾. Kolońska grzywna waży 233.78 gramów. Zatem tamta ważyła c. 155.85 gramów (t. j. tyle zawierała srebra, ile go jest w dzisiejszych 14 zł. w. a.

Od kiedy ta grzywna stała się u nas obowiązującą stopą menniczą — nie jest wiadomem. Lecz to pewna, że za rządów Mieczysława I, Bolesława Chrobr. i zapewne Mieczysława II. i po nim Ryxy, nie służyła ona jeszcze za podstawę bitym w Polsce monetom. Waga tych monet, porównana z *d e n a r a m i*, jakie się u nas poczynają za Bolesława Śmiałego i (pomimo coraz większego ale stopniowego, bez żadnych skoków postępującego, podlenia pod rządami synów i wnuków Krzywoustego) jedną ciągłą przedstawiają seryę aż do r. 1300, dowodzi, że się tamte opierały na jakiejś zgoła innej stopie.

Przypuśćmy, że tą „inną stopą“ była grzywna, trzymająca $\frac{1}{3}$ grzywny naszej następnej. W takim razie ta $\frac{1}{3}$ ważyła-by gramów

¹⁾ Friedensburg, Szlesiens Münzgeschichte w T. XIII Cod. dipl. Silesiae, str. 23 i nast. Grünhagen Request. nr. 1372 i 1373 z r. 1271.

31.17, a odpowiadała-by absolutną swoją wartością dzisiejszym naszym zł. 2.80.

Czy nie popadamy na bezdroża, czy nie popełniamy dziwactwa, przyjmując za rzecz możliwą, żeby najdawniejsza ta grzywna nasza i może wendyjska coś tak drobnego była miała przedstawiać? Czy gdzie zachowała się jaka pamięć, jakiś ślad, jaki cień egzystencji u nas grzywny srebra o tak nikłych wymiarach?

Nie było-by pewnie dziwnem, gdyby śladu takiego nie było. Ale co jeszcze dziwniejsze, to że j e s t, że się zachował, że się już nawet po wydaniu wiślickiego ustawodawstwa jakby z pod ziemi odezwał. A odezwał się w takiej sferze, która chyba sama jedna mogła w pamięci i praktyce przechować tradycję owej prastarej grzywny—w sferze lichwiarskiej, u Żydów.

W r. 1399 d. 3 lipca w Poznaniu (snać po wełnianym, wesoło spędzonym jarmarku!) dwaj utracyusze wielkopolscy, jakiś Mikołaj z Wargowa i druh jego także Mikołaj z Pigłowic, wystawiają cyrograf (*Kod. WPol.* nr. 2007), w którym zeznają, że mają dług zaciągnięty u dwóch żydków poznańskich i przyrzekają go spłacić za 4 miesiące. W roli ręcycieli jawi się jeszcze dwóch innych szlachciców (imiona tych, jak i Żydów, pomijam), występujących w tej sprawie *coniuncta manu*. Dług ten wynosił... 7 grzywien, każda po 6 groszy praskich (*in quamlibet marcam sex grossos pragenses monetae polonialis numerando*) i jest niby pożyczony bez żadnego procentu. Ale jeżeli za 4 miesiące zapłacony nie będzie, od tej chwili ma się zacząć rachować lichwa, po groszu od każdej takiej grzywny co tydzień ¹⁾).

Wynurza się więc jakaś grzywna, trzymająca 6 groszy praskich. Obliczmy, w jakim ona zostawała stosunku do grzywny, będącej wtedy w kraju w obiegu. W owym czasie wartość grosza polskiego, wskutek spodlenia u nas monety, tak się miała do wartości praskiego grosza, że na 1 grosz praski szło naszego półtora ²⁾. Zatem 6 praskich znaczyło

¹⁾ Czyniło-by to rocznie 577 od sta! Rzecz na pozór niemożliwa, a jednak przez urząd za możliwą uznana, skoro niniejszy dokument znany z ksiąg ziemskich poznańskich, do których w ł. 1416 został zaciągnięty. To jeszcze wtedy zaciągnięcie jego do księgi dowodzi, że dług i w tym roku jeszcze zapłacony nie był. Mieli Żydzi więc do czynienia z bankrutami i dla tego lichwa taka wysoka.

²⁾ W wiekach średnich sumy znaczne były liczone na grzywny srebra w bryłach, odmierzanych na wagę, i grzywna takiego srebra miała zawsze całkowite pełne swoje znaczenie. Moneta obiegowa przeciwnie ledwie kiedy trzymała tyle czystego kruszczu w sobie, ile go mieć była powinna; najzwyczajniej warta była ledwie część jakąś swej nominalnej wartości, jak i dziś nasze srebrne drobne monety, a coś dopiero miedziaki, dalekie są od znaczenia, w jakim je przyjmujemy. Drobniejsze sumy, jak np. ten dług owych dwóch Mikołajów w Poznańskim, z rąk do rąk w obiegowej

9 polskich groszy. Ta zaś kwota 9 groszy w porównaniu z sumą 48 groszy (bo tyle ich szło na grzywnę), okazuje się być $\frac{1}{5}$ z nieznacznym ułamkiem. Widać z tego, że więc i w r. 1399 jeszcze tkwiła w pamięci taka grzywna, która, przez 5 pomnożona, równała się z polską grzywną późniejszą.

Wyniku tego nie uważam jeszcze za dowód założenia mego, ale jest on mi zachęceniem, żeby iść dalej w tej hipotezie.

Przypuszczając więc, że przed zaprowadzeniem przez Bolesława Śmiałego, albo jego ojca, grzywny, która w Polsce aż do r. 1300 służyła za stopę menniczą, obowiązywała u nas, a zapewne i w Słowiańszczyźnie za Odrą, inna, t. j. taka grzywna, która tylko $\frac{1}{5}$ część wagi trzymała grzywny następnej: rozpatrzmy, w jakim się do niej stosunku przedstawiają okazy monety naszych pierwszych panujących aż do przewrotu po śmierci Mieszka II.

Monety te albo mają wiadomy kształt miseczkowaty i uchodzą za wendyjskie, albo nie mają tej formy. Z tych ostatnich niektóre przypisują się Mieczysławowi albo Bolesławowi Chrobremu, inne zaliczają numizmatycy w ogólności do przedhistorycznych, nie dających się bliżej oznaczyć. Waga tych wszystkich sztuk bardzo różna, ponieważ były bite *al marco*. Przeciętne wagi każdej z tych kategorii zbliżają się do siebie. Przeciętna waga pieniążka „przedhistorycznego“ = około 1.21 gramów. Taką wendyjskiego 1.30. Moneta Mieszka około 1.47 gr., Bolesława I c. 1.46. Wszystko to jednak brać należy tylko w przybliżeniu.

monecie, u nas wtedy najzwyczaj w kwartnikach czyli półgroszkach, ćwierćgroszkach i denarach. W takiej-to obiegujowej monecie znaczyl u nas w latach 1395 i 1396 grosz tylko $\frac{2}{3}$ praskiego grosza, choć i ten wtedy już nie dorównywał swej normalnej wartości.—Ewaluację tę grosza naszego w porównaniu z praskim biorę z gotowego obliczenia w dziele prof. Piekosińskiego: O monecie i stopie menniczej w Polsce w XIV. i XV. w. (Rozprawy i sprawozd. Wydziału historyczn. T. IX), gdzie na str. 191 pisze: Grzywna (czyli 48) groszy praskich równała się w r. 1395 1 grzywnie i 18—24 groszom w monecie denarowej; a na str. 192 (i 266, gdzie podaje dowody): w r. 1396, przed wrześniem, cena 48 groszy praskich = $1\frac{1}{2}$ grzywny w kwartnikach i t. d. Wprawdzie od końca września 1396 poprawiła się nieco moneta nasza. tak iż w r. 1399 ten stosunek 1 do $1\frac{1}{2}$ nie mógł już za godziwy uchodzić. Jednakże zważył tu na to należy, że, jak z powołanego dokumentu wynika, dług ów nie był w tym dopiero roku zaciągnięty, lecz dawniej, a w r. 1389 tylko stwierdzają ci pp. Mikolajowie ponownie swoje zobowiązanie. Prócz tego i to tu trzeba uwzględnić, że sprawa była z lichwiarzami, którzy, z góry przewidując, że nie tak prędko przyjdą do swoich pieniędzy, nie mogli chwilowej monetarnej poprawy poczytywać za trwałą. A że się w tem nie mylili, tego dowodzi stan rzeczy n. p. w r. 1422, z którego mamy edykt Władysława Jagiełły, dotyczący tego agio na groszach praskich, zamieszczony w Lisiego Dyplomatarjuszu w T. IX. nr. 24, który warto odczytać.

Waga przypuszczonej tamtoczesnej grzywny ($\frac{1}{3}$, późniejszej, około 155.85 gramów ważącej) równa się 31.17 gramom. A na taką grzywnę szło-by przedhistorycznych pieniążków 25.76, wendyjskich 23.98, Boleśławowskich 21.35, Mieczkowych 21.20. Jeżeli z tych ilości mamy wybrać jakąś pośrednią, zaokrągloną, to się nadaje na takową najłatwiej liczba 24, a to choćby z tego powodu, że się równo rozkłada na dwie dwunastki. Taką dwunastkę pieniążków, jakiegokolwiek wagi i cechy, nazywano w wiekach średnich we wszystkich krajach *solidus*, *schilling*; a tak samo działa się pewnie i u nas.

Mieliśmy zatem grzywnę o wadze 31.17 gramów, dzielącą się na 24 pieniążki, każdy o normalnej wadze c. 1.30 gr.

Tę grzywnę powiększono więc następnie co do wagi 5 razy, bito z niej zaś denarów (nie 5 razy 24, czyli 120, ale) 240. Ilość przeto denarów w grzywnie podniosła się 10 razy, tak, iż odtąd 2 denary równały się z 1 pieniądzem dawniejszym.

Podział grzywny na 24 części pozostał nadal, i nazywała się taka $\frac{1}{24}$ grzywny skojcem (*scotus*). Nie był to od tego czasu żaden rzeczywisty pieniądz, ale tylko kwota liczalna. Przypuszczam, że stało się to dlatego, ponieważ nazywały się skotami owe dawne pieniążki, jakich szło 24 na pierwotną grzywnę. (Nazwa została, ale wartość nowego skota, 10 denarów, wynosiła 5 razy więcej).

Teraz bardzo łatwo nam będzie wyjaśnić znaczenie i powód nazwy tych kar, których ze stanowiska źródeł dziejowych wytłómaczyć nie byłem w stanie. *Duodecim*, *Sex marcae*, Trzysta trzymają się za ręce, stanowią jeden system. Są to dawne nasze skoty, ale 5 razy większej wartości, a to wskutek pięciokrotnego zwiększenia grzywny w jej wadze. Że je w wieku XIII nazywano grzywnami, *marcae*, polegało na nieporozumieniu, na zapomnieniu dawnych stosunków, chybaży może godziło się przypuścić, że miał ten wyraz *marca* mieć tu znaczenie nie grzywny we właściwym sensie, lecz wogóle *multy*, kary pieniężnej.

Duodecim, 12 pierwotnych skotów, pomnożone co do wagi przez 5, daje 12 skojców takich, jak je pojmowano w dalszej epoce, t. j. daje $\frac{12}{24}$ grzywny, czyli 2 fertony, czyli $\frac{1}{2}$ grzywny. Wiemy z Ms. Elbląskiego, że między innemi była to kara za pomniejsze kradzieże, np. za kradzież rzeczy z czyjego domu nie będącej pod kluczem, za przywłaszczenie sobie barci czyjej i t. p. (art. XI). W zabytkach piśmiennych z dalszych wieków spotykamy się już tylko z ewaluacją *Duodecimy*, jako $\frac{1}{2}$ grzywny. Tak np. w „Stat. Kazimierzowskim wielkop.“ (art. XXVIII, podł. układu Hubego) zagrożono zrabanie czyjej barci, czyli

drzewa z dnia, bez pszczoł, karą pół grzywny dla pokrzywdzonego i takąż sądowi, a za ścięcie barci z pszczolami — w dwójnasób tyle. W księdze sądowej krakowskiej („Pomnik,” t. VIII) zapiska z r. 1376 nr. 55 opiewa o kimś, że *bis tenetur sex marcas* (za kradzież zboża ze sterty na polu), a nr. 239 każe komuś *mediam marcam* zapłacić za przykre słowo, powiedziane woźnemu. Zapiska radomska z r. 1405 (Hube: „Sądy,” str. 284) notuje zasądzenie na *binas sex marcas* za zabicie komuś świni. W „Księdze Czerskiej,” *duplex poena sex marcarum — binae sex marcae*—dwoje sześć grzywien i t. p. także się powtarza często (nr. 295, 214, 735, 736, 740, 824 i t. d. z lat 1415 i nast.).

Sześć grzywien, jak już wiemy, znaczyło zasadniczo fertona, czyli $\frac{1}{4}$ grzywny, więc połowę *Duodecimy*. Sześć dawnych skotów, a tyleż i późniejszych, lecz w wartości pięć kroć zwiększonej.

Trzysta (niegdyś kruszów soli) niewątpliwie było połową kary „sześciu grzywien;” wzięło początek z 3 skotów pradawnego rachunku, które potem ustąpiły miejsca 3 skojcom, jako półfertonowi, czyli $\frac{1}{8}$ grzywny późniejszej ¹⁾. Przykładów zastosowania tej kary w praktyce sądowej niewiele spotykamy, ale się jednak zdarzają. Tak np. w „Pomników starodawn. pr. pol.,” t. VIII, nr. 610 i 611: *VI grossos dedit domino* (sędziemu), *persolvit*. Groszy 6 to samo znaczy, co 3 skoty.

Wyraz skot w znaczeniu monetarnem datuje z bardzo odległej przeszłości. Ulfilas w przekładzie swoim pisma św. na język gocki, dokonany w drugiej połowie IV wieku (około r. 370), tłómaczy wyraz pieniądze (*argyron*) przez *faihu*, znaczące bydło. W tem znaczeniu i bydła, i pieniędzy, odnajdujemy to *faihu* i w innych dawnych dyalektach germańskich: *fiu*, *fehu*, *feoh*, *fia*, *fē* (dziesiętsze *Vieh*). Tam, gdzie chodziło o przetłómaczenie jakiej konkretnej nazwy monetarnej oryginału greckiego, oddaje je Ulfilas greckimi wyrazami (*drachma* przez *dracma*, *uncya* przez *unkja*, *assarion*, czyli rzymskie *as*, przez *assarjan*), z wyjątkiem jedynego *denarion*, łac. *denarius*, które-to słowo przekłada na *skatts*: *thrijaluunda skatte* = trzysta denarów, *fimflunda skatte* ²⁾ = pięćset denarów. Właściwie znaczyło w gockim języku *skatts*, *skat* (*s* jest tylko końcówką nominativu) bydłę; a w temże znaczeniu bydłęcia

¹⁾ Czy ceną owych 300 kruszów były 3 skoty pierwotne (taki skot wartował bez mała 12 ct. w. a. dzisiejszych), czy 3 skojce późniejsze (aż do r. 1300 każdy po 58 ct.): trudno rozstrzygać. Nie znamy bowiem zawartości tych kruszów.

²⁾ Nowy Testament, Ewang. Marka XIV, 5; Łuk. VII, 41.

i denara powtarza się to słowo, w odpowiednich każdemu formach (*sket*, *skattr*, *skeatta*), i u innych szczepów, skandynawskich, anglosaksońskich, fryzyjskich i t. d. Powód przekładu wogółności pieniędzy przez *faihu* łatwo odgadnąć. Bydło w tamtych wiekach odległych głównie tworzyło majątek, dobytek, jak później zaczęły wyobrażać to pojęcie pieniądze—a co większa, służyło bydło i za najzwyczajniejszy środek wymiany handlowej, okupu kary, nałożonej za przewinienie i t. d. Pieniądze i bydło były to więc synonimy.

Ale jak odgadnąć przyczynę tłumaczenia denara przez *skat*? Za denara niktby nie kupił bydłęcia—za synonimy przeto nie mogły te wyrazy uchodzić. Pytanie to wyjaśnimy zdaje mi się najtrafniej, jeżeli sobie przypomnimy o zwyczaju w głębokiej, klasycznej jeszcze, greckiej starożytności, nazywania jakiegoś pieniądza *krową*, *βοῦς*, co tam dawało powód do takich żartobliwych wyrażen, np. o człowieku, który milczy, bo wziął za to zapłatę, jak że mu „krówka na języku ustrzęgła,” że mu „krówka na język nadepla,” że „krówkę na języku nosi“ ¹⁾ i t. p. Ta nazwa krówki zastępowała w ogólności w mowie gminnej, potocznej, u Greków właściwą nazwę *drachmy*, czy *didrachmy*, a to podobno dlatego, że niektóre typy tego pieniądza miały kiedyś ukazywać taki stempel—wyobrażenie krowy, czy wołu.

Wiadomo, że szczepy północno-germańskie, a między niemi i Gotowie, przed rozdziałem na zachodnich i Ostrogotów, zalegający nadbrzeża bałtyckie, w nieustannych pozostawali stosunkach handlowych z kupcami z Grecyi i z kolonii greckich, szczególnie z nad morza Czarnego, którzy kraje ich nawiedzali dla zakupu tak wtedy w Grecyi i wszędzie indziej ulubionego bursztynu. W zamian za bursztyn zostawiali im swoje drachmy (krówki) i inną monetę, a ta w tych wiekach prądawnych stanowiła jedyny obiegowy pieniądz tych ludów, własnego bowiem jeszcze wtedy one nie były. Po zetknięciu się z Rzymianami, weszły w obieg u Germanów i rzymskie pieniądze, a szczególnie denary. A ponieważ te dwa typy mennicze, obydwie srebrne, co do wagi mało się od siebie różniły ²⁾, a nawet w Niemczech w wieku Ulfilasa uchodziły za ten sam co do wartości pieniądz, więc owo przezwisko drachmy zostało przeniesione i na denara i tak mógł on przybrać w północno-niemieckich narzeczach nazwę *skatta*, bydłęcia.

To samo zjawisko mieliśmy i w naszym języku. Skót, tak w polskim, jak i innych słowiańskich, znaczy właściwie bydło; a jeżeli gdzie

¹⁾ Βοῦς ἐπὶ γλώσσῃ βίβηκε, ἐπὶ γλώσσῃ βοῦς ἐπιβαίνει, βοῦν ἐπὶ γλώσσῃ φέρειν.

²⁾ Normalna waga denara jeszcze za Oktawiana wynosiła 3.90 gramy srebra. Grecka drachma w owych czasach mało co więcej ważyła, a w dalszych wiekach obydwie te monety porównywalnie coraz więcej drobniały.

to już wyszło z użycia, to się przypomina w pochodnych wyrazach. Tak np. w Polsce i dziś jeszcze nikt pasterza krów i wołów nie nazwie inaczej, jak skotarz, choć tych zwierząt już tam nie zowią skotami. Obok tego miało słowo skot u nas Polaków co najmniej już w XII w. i monetarne znaczenie: wagi, tworzącej $\frac{1}{24}$ część grzywny. Ponieważ jednak trudno przypuścić, żebyśmy byli mieli zapoczątkować to nazywanie skotem, bydlęciem, pewnej monetarnej wartości niezawisłe od postronnego wpływu (nawet w razie, gdyby wyraz skot w znaczeniu bydlęcia był swojskiem, powszechnie aryjskiem słowem); ponieważ nadto i temu trudno uwierzyć, byśmy byli mieli od razu dawać tę nazwę jakiejś wartości, która (jako $\frac{1}{24}$ grzywny) ani u nas, ani nigdzie nie była osobnym, rzeczywiście bitym pieniądzem, ale tylko rachunkowym pojęciem, imaginacyjną sumą liczebną: więc wszystko wskazuje na to, że pierwotnie znaczyć i u nas musiał skot jakiś rzeczywisty pieniądz, i to taki, który się albo wagą, albo przynajmniej rodowem pokrewieństwem zbliżał do owego skatta, stawionego przez Ulfilasa na równi z denarem i drachmą.

Otóż jest ślad, że taki osobny pieniądz, nazywany skotem, u Słowian zachodnich istniał. W wieku IX. i X. nie miał on już wprawdzie wartości dawnego prawdziwego denara rzymskiego, czyli drachmy, ale się ciągle zwał skotem i, jak ze wszystkiego wynika, to samo znaczył, co tamtoczesna bizantyńska, i w Niemczech kurs mająca, *siliqua* ¹⁾. *Lex portoria*, ceł i myt dotycząca ustawa króla niemieckiego Ludwika z r. 906, opiewa:

„*Naves, quae... mercatum habere voluerint, donent pro theloneo semidrachmam, id est scoti 1. Sclavi, qui de Bohemianis exeunt, de sogma una de cera (donent) duas massiolas, quarum uterque scoti unum valet*“ ²⁾. Wynika z tego miejsca, że liczono tam więc wtedy 2 skoty na 1 drachmę, czyli na denara dawnego rzymskiego. A ponieważ tam w owych czasach uchodził za denar i późniejszy pieniądz rzymski, właściwie *miliarense* zwany (po niemiecku *Saiga*), 2 silikwy znaczący, które w dobrych swoich czasach ważyły po 2.27 gramów sre-

¹⁾ Forschungen zur deutschen Geschichte, pismo zbiorowe getyngskie (1862), gdzie zamieszczono Dra Soetheera Beiträge zur Geschichte des Geld- und Münzwesens in Deutschland, T. I. str. 180; Tom II. str. 348, 349, 357 i 358.

²⁾ Obacz Hasselbacha Pommersches Urkundenbuch, nr. 5. Erben, Regesta diplom. Bohemiae, nr. 58. Wyrażna o Słowianach z Czech statkiem z towarem jadących wzmianka w niniejszej ustawie zdaje się tłumaczyć powód, dla czego tu za potrzebne uznano, w zastosowaniu do nich, dać tę redukcję semidrachmy na skota. Skot musiał być monetą słowiańską, już wtedy cudzoziemskiego brzmienia dla Niemców, skoro to scoti widzimy tu użyte jako jakieś indeclinabile, nijakiego rodzaju.

bra, z czasem jednak mało co nad połowę tej wagi ¹⁾: więc przyjąć można wartość wspomnianego tu skota za równą silikwie = na 1.30 gr. Tyle właśnie, jak przypuszczona przez nas wyżej przeciętna waga normalna polskiego pieniążka z czasu przed Bolesławem Śmiałym.

Sztuk takich 24 tworzyło całość, której waga w przybliżeniu na 31.20 gramów wypada. Jeżeli przypuszczam, że taka całość wtedy u nas nazywała się grzywną, to oczywiście nie rozumiem tego ani w tym sensie, żeby to słowo grzywna było przekładem na język polski postronnego wyrazu *Mark*, po łacinie *marca*, ani też, żeby miało z tem pojęciem jaką wewnętrzną styczność. Wyraz słowiański grzywna jest nierównie dawniejszy i ma całkiem inny początek: znaczył właściwie naszyjnik, a następnie i naramiennik, czyli naręcznik, t. j. obrączkę do noszenia na szyi albo na ręce. (*Griva* w staroindyjskim języku *kark*; stąd też i u nas grzywa *die Mähne*). Grzywna jest formą zdrobniałą grzywy, jak panna deminut. pani, gnieźno właściwie gniezdno, demin. gniazda i t. d. Sam ten też wyraz obrączka wskazuje pochodzenie swoje od ręka i jest takim samem deminut. tego słowa). Naszyjnik bywał ze srebra albo z innego kruszcu. Jego wartość, czyli waga—najrozmaitsza. Ale ów wymiar, przyrównany tu do wagi około 31 gramów, mógł znaczyć: albo minimalną wagę naszyjnika srebrnego, albo zredukowaną na srebro wartość ozdoby takiej nierównie cięższej z innego kruszcu, np. z bronzu. Że zaś obok tego miała „grzywna“ i znaczenie pewnej ilości pieniędzy, pewnej wagi monetarnej, miało przyczynę w tem, że kiedyś taki klejnot służył i za środek wymiany handlowej, reprezentował czasu swego monetę. Cezar podaje o Brytanach, że używają bronzu, czy spiżu (*aere*), lub też obrączek żelaznych (*anulis ferreis*) — zamiast pieniędzy (*pro numis*). A to powiedzenie może się stosować do każdego narodu w stanie pierwotnym. Ta waga c. 31 gramów nie zdaje się, żeby była przypadkowego początku, niezawisłą od postronnych stosunków. Upatruję w niej uncję, która była właściwą pierwotną metryczną jednostką wszystkich w Europie narodów, i z niej dopiero wytworzyły się funty i grzywny, w miarę tego, ile gdzie tych jednostek brano na taką większą całość. Uncya rzymska ważyła 27.28 gramów, 12 takich jednostek składało rzymski funt. Greckiej wagi pod względem jej pomniejszych działów dokładnie nie znamy, ale powszechnie się tu przyjmuje, że 8 drachm odpowiadało uncji: w takim razie waga tej uncji wynosiła-by w Attyce (w czasach Aleksandra

¹⁾ Wspomniana wyżej rozprawa Soetbeera, Tom I. str. 274: Siliqua (normalnie 2.27 grama) ważyła już za cesarza Walentyniana I. († 375 r.) przeciętnie tylko 2 gramy, za Honorynusa († 423) już tylko 1.70 gr., za Justyniana († 565) około 1.30 gr. Sągi wagę mieć będziemy, biorąc te liczby w dwójnasób.

W.) 32.72 gramów, waga uncyi olbijskiej 31.20, kzykeńskiej 29.68 i t. p. Anglosaskiej uncyi waga, jako $\frac{1}{8}$ marki tego szczepu pragermańskiego, trzymała 29.16 gramów. Zwała się *Oere* (co zapewne i tam pierwotnie znaczyło co innego, mianowicie zausznicę, *Ohrring*, kolczyki). Frankońska uncya równała się z rzymską, około r. 780 podniósł Karol Wielki jej wagę do 30.60 gr. i 12 takich uncyi szło tam na funt. Kolońska uncya = 29.22 gr., Czeska (jeśli przyjmujemy obrachunek Voigta) = 32.23.

Każdy widzi, że nasza pierwotna grzywna o 31.20 gramach zajmuje środek między temi wagami i nie mogła na razie mieć innego znaczenia, jak chyba uncyi. Później wzięto to w pięciornasób, a nazwę grzywny zostawiono i tej większej całości, równie jak zatrzymano i podział jej na 24 części, nazywanych po dawnemu skotami, tylko że i skota znaczenie podskoczyło teraz do pięciokrotnej wartości. Kiedy zaszła ta reforma? Przypuszczam, że około roku 1054, kiedy-to Kazimierz Odnowiciel zobowiązał się do składania Czechom daniny po 500 grzywien srebra i 30 złota corocznie za zwrócony Polsce przez Bolesława I-go Szląsk. Uncyami przecież nie mógł tego haraczu opłacać ¹⁾.

Zdarzało mi się nieraz słyszeć, a nawet czytać, że wzmianki o skocie poczynają się u nas dopiero w XIII wieku i to nie rychłej, jak około r. 1250, że to przeto jakaś obca, późno u nas nastająca rachuba. Tak nie jest. Pomijam fakt, że już w dokumencie legata papieskiego, Idziego, dla Tyńca, jakoby z r. 1105, wspomniana jest opłata w skotach, ponieważ to sfałszowany, co do czasu niczego nie dowodzący dokument. Pełne za to ma znaczenie zachowana deklaracya biskupa wrocław. Wawrzyńca, z roku 1226 (Grünh. *Regest. Siles.* nr. 293), na żądanie księcia opolskiego pod przysięgą złożona przez rzeczzonego, już wtedy w późnym wieku, biskupa, jakie myta z dawien dawna były pobierane od przejeżdżających przez Olesno (dziś Rosenberg) na drodze stąd do Siewierza i Kujaw. Między innemi opłatami, w naturaliach, np. śledziach albo solą składanych, które pomijam, płacono skarbowi książęcemu od

¹⁾ Było u nas jeszcze w XV. wieku zwyczajem wyrażać grzywnę znakiem 0. Dawny inwentarz skarba kościoła Panny Maryi w Krakowie zawiera między innemi zapiskę, dotyczącą darowanego w r. 1465 tej świątyni srebrnego pozłacanego kielicha. Miał być na tym kielichu wryty znak taki: 000000 ||||| T. A zapiska to wyjaśnia, że to znaczy jego wagę: półszósty grzywny i półsiódma skota. (Sprawozd. kom. hist. sztuki Akad. umiej. T. IV. zes. II. str. 73). Nie twierdzę wprawdzie, ale uważam za rzecz możliwą, że przyszła grzywna do tego oznaczenia kółkiem albo na mocy tej tradycyi, że kiedyś była obrączką, albo że znaczyła pierwotnie uncję. Bo najdawniejszy pieniądz rzymski miedziany, zwany uncją, a wartujący $\frac{1}{16}$ asa czyli funta rzymskiego, był oznaczony i wyrażany takimiż znakiem 0.

każdego wozu czy to z towarem, czy próżno tędy jadącego — po skocie, od Żyda, przechodzącego to miejsce, — skot, od kobiety i od niewolnika, jeżeli idą na sprzedaż, — po skocie. Ta wzmianka o niewolnikach, prowadzonych na sprzedaż, zdaniem mojem, dostatecznie dowodzi, że stan rzeczy, przedstawiany tu przez biskupa, sięgał w bardzo odległą przeszłość, co najmniej w wiek XII. A prawdopodobnie i w poprzednich już stuleciach liczyli pieniądze na skoty przodkowie nasi.

ANTONI MAŁECKI.

NOTATKA.

(Fragmenty nieznane Juliusza Słowackiego.
Z dziennika podróży do Ziemi Świętej).

Z własnoręcznego dziennika podróży poety do Ziemi Świętej korzystał nieco prof. Małecki przy drugim wydaniu książki swojej o życiu i pismach Juliusza Słowackiego ¹⁾. Rękopism ten wszakże, obecnie w mojem posiadaniu będący, szczegółowo opisał i objaśnił dopiero dr Henryk Biegeleisen w doskonałym artykule p. t. „Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód“.

Pragnących poznać lub też przypomnieć sobie zawartość owego pamiętnika poety, pozwolę sobie odesłać do tej zajmującej pracy, pomieszczonej w zeszycie listopadowym „Biblioteki Warszawskiej“ za r. 1891.

Wśród zapisywanych wrażeń z podróży, całych pieśni poematu, urywanych fragmentów poetycznych, słowniczka arabskiego, nieznanych dotychczas rysowanych widoczków miejsc zwiedzanych i przeróżnej treści notatek, znajdują się w tym pamiętniku pierwsze bruljonne rzuty pomyślanych przez Słowackiego poematów, z poprawkami i kresleniami wyrazów lub wierszy całych, pisane ołówkiem lub piórem.

¹⁾ Tom III. Str. 257—270.

Pierwszy z nich nosi tytuł „Rhamazes“. Z tego poematu zachował się plan tylko, a z drugiego znajdują się w dzienniku, obok planu pieśni XXX, urywki, kilkadziesiąt tercyn z pieśni II i III-ej. Kreślone ołówkiem, pismem bardzo drobnem i zatartem, są nader do odczytania trudne. Znacznie wyraźniejsze są urywki z pieśni III, ogłoszone wraz z planami obu tych poematów w powołanym zeszycie „Biblioteki“. Dla uzupełnienia onych podaję tu z pieśni II po raz pierwszy to, co zaledwie przy pomocy szkieł powiększających, z prawdziwym mozołem, z pojedynczych liter i kresek sądząc, odczytać się dało. Pieśń ta nosi w planie tytuł:

„(Obudzenie się). Dante. (Kraj nowy, wichur płacze) ¹⁾).

Tercyn w niej wedle liczenia poety było 46; rozpoczyna zwrotka 14-a od góry stronicy, następującej bezpośrednio po planie poematu, a zawierającej tercyn 9. Następna kartka z dalszemi zwrotkami w połowie od góry do dołu oddarta i zatracona, tak, że końcowe strofy: 45 i 46 mieszczą się na karcie następnej.

Oto one:

-
14. Któż jest ten, który tak głodnie
Pożera ludy i kwia (sic) prawa rzyga?
Kiedy niebieskie pytałem przechodnie
15. O imię jego... to każdy się wzdryga
I w niebie nie śmie nazwać go przed Bogiem;
Tego, co jako płazy w krwi zastyga.
16. O biada mu... ja przed Jehowy progiem
Widziałem tylu się na to skarżących,
Ile ma róż dolina, kwitnąc głógiem.
- (17). Gdy mówił Duch mi to,—zwyczajem śpiących,
Gdy się obudzą nagle—snów szelestem
Macałem ścian a wzrokiem gwiazd błyszczących ²⁾).
- (18). I Chrystusowym czoło znacząc chrzestem,
Patrzałem w Ducha bladą twarz głęboko,
Mówiąc doń głosem ledwo słyszany... gdzie jestem?

¹⁾ Zdanie w nawiasie w autografie przekreślono.

²⁾ W rękopisie przekreślono:

„Okien, ścian, na niebiosach gwiazd błyszczących“.

- (19). Na to mi rzekł z uśmiechem Duch: „Szeroko ¹⁾
Oczom zaspanym było w tej krainie,
Gdzie przebudzone we łzach patrzy oko“.
- (20). I nie słuchając głosu, co tak płynie
Jako śpiew harfy, co na drzew altanie
Liśćmi kryta, rzuca po dolinie
- (21). Wybuchy wiatru i akordów łkanie
I długie jakieś harmonijne wycie,
Bo tak mówiłeś do mnie Duchu—Panie!
- (22). Sam siebie wtenczas rozbudziłem skrycie, ²⁾
Duszy połowę—pierwszą myślą pewny,
Że to sen,—drugą, że to mogił śnicie.
- (23). I myśląc dłużej, (bo głos ducha śpiewny
Do myśli nęcił), znowu pomyślałem,
Że to był zmarłych sen... i byłem pewny
- (24). I pierwszą myślą grobów zaraz chciałem
Przywołać świat... i patrzeć, jak cięży
Na wyjściu ciał... to, co nie jest ciałem...
.

Na oddartym kawałku czytamy tylko początkowe wyrazy zwrotek:

(25). Lecz jako pię...
Idącą za nią...
Kańczuch—sple...

(26). Tak pierwsi...
Powiodła...
Którego śród...

¹⁾ W rękopisie przekreślono:

„Z uśmiechem bladym rzekł mi Duch: „Szeroko...

²⁾ W rękopisie przekreślono:

Sam siebie wtenczas nauczając skrycie,
Że to sen straszny, targalem się w sobie,
Każąc się budzić własnej duszy...

(27). I obejrzawszy...

Oczy ku...

(28). Jego dopiero...

Krąg widm...

A tam przest...

(29). I zdało mi się...

Była pod jego...

Jak mumja...

(30). Widząc ów jasny...

I nie śmiem...

Z wykrzykiem...

(31). I mówiąc swoją...

Rozławszy sferę...

Ciemnego dotąd...

(32). Wziął mnie w powietrze.

.

Z dalszych zwrotek z numeracją autora, biegnącą od 33 do 34, na drugiej stronie przedartego kawałka papieru pozostało tylko w niektórych miejscach kilka końcowych wyrazów bez znaczenia. Ostatnie wreszcie zwrotki są następujące:

45. A kiedy blaski zeszły z mego czoła
Zdawało mi się, że taką tęsknotą
Omdlewał w sercu po blaskach anioła,

46. Jak po tej, która przez aleję złotą
Pełnym księżycem na wieczność odeszła.
Dant podniesiony światłości istotą
Milcząc, na boleść mą czekał, aż przeszła.

.

Dwie te pieśni: II-a i III-cia, to fragmenty pierwotnie pomyślanego poematu, który pod innym tytułem, z innym planem a w formie prozy biblijnej, ogłosił Słowacki w sierpniu 1838-go roku.

Pisząc o „Anhellim“, prof. Małecki przypuszcza, że dzieło to pomyślane a nawet poczęte być musiało za pobytu Słowackiego w Vey-

toux, chociaż ostatecznie wykończonem zostało dopiero w Genewie w ostatnich miesiącach roku 1835. Do tego wniosku dochodzi szan. autor z niektórych luźnych wzmianek w korespondencji poety. Wzmianka taka znajdować się ma już w liście z d. 2 września 1835 r. z nad jeziora pisanym: „To, co się po tych dzieciach narodzi, będzie tysiąc tysięcy razy godniejsze Ciebie, moja droga Mamo. Nawet zamyslałam Ci ofiarować na pierwszej stronicy nowe, zapewne tej zimy wylęgle, dzieciątko. Dopiero to, zaręczam Ci, Matko, będzie twoim wnukiem. Powiedz, czy Ci to nie zaszkodzi?” Nadmieniam prof. Małecki, że w kopii listu, którą miał przed sobą, dopisała matka Juliusza do tego miejsca na dole uwagę, iż mowa tu jest o „Anhellim”, ¹⁾—a domysł swój potwierdza wzmianką z późniejszego nieco listu poety z d. 20 października t. r.: „Postąpiłem w moim nowym poemacie i chciałbym bardzo tej zimy co wydać”.—Ogłoszenie zaś tego poematu o wiele później, bo w 1838 r., tłumaczy prof. Małecki wielce prozaiczną, jak na Słowackiego, okolicznością: „że książki jego mało mu przynosiły, więc wołał chyba nie wydawać wcale, aniżeli daleki od Paryża wystawiać się na szachrajstwa księgarzy”. I ten domysł popiera wyjątkiem z tegoż listu, w którym poeta skarży się na mały pokup swoich książek.

Wszystko jednak utwierdza w przekonaniu, że domysły prof. Małeckiego, który nie zwrócił żadnej uwagi na owe drobne, niewyraźne, ołówkiem kreślone notatki, są nietrafne.

Jest rzeczą najzupełniej do prawdy podobną, że Słowacki mógł jeszcze za pobytu w Veytoux powziąć plan nowego poematu, mógł nad nim pracować, jak donosił 20 października, i pragnął wydać tejże zimy, lecz dziełem tem nie był „Anhelli”. Dopisek matki w odpowiednim miejscu na kopii listu, sporządzonej w kilkanaście lat później, mógł być mylnym i kwestyi nie rozstrzyga. Dodawała ona wprawdzie wszelakie objaśnienia na oryginałach listów syna, a nawet kilkuwierszowe robiła dopiski, lecz w autografie listu z 2 września, który mam przed sobą, nie znajduję żadnej uwagi, że o „Anhellim” mowa.

Gdyby Słowacki wykończył był wówczas ten poemat, nie czekałby lat kilka na ogłoszenie drukiem; nie należał do liczby autorów, którzy zwykli wykończone utwory swoje w domowym składać archiwum. W gorączce druku, jaką ma każdy na początku kariery literackiej, nie powstrzymały-by go od ogłoszenia poematu ani szachrajstwa księgarzy, ani mały pokup jego książek. — Jeszcze w dwa lata później pisał z Florencyi: „Przepędziwszy zimę i popracowawszy trochę, chciałbym na wiosnę pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak

¹⁾ Tom II, str. 54.

student z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej-sławie, jako wierny jej do śmierci błazen“.

Donosi wprawdzie w owym liście z 20 października, że postąpił bardzo w swoim nowym poemacie, i *chciałby* bardzo tej zimy co wydać, lecz tłumaczy zarazem, że to zależy będzie od okoliczności i od projektowanego ciągle wyjazdu do Włoch. Pewności więc niema, czy poemat ten owej zimy skończył, gdyż te ogólne, oderwane wzmianki, na których opiera się prof. Małnecki, nie dowodzą jeszcze niczego. Takich zdań w listach z tego czasu jest wiele, a niewiadomo do czego się one odnoszą.

Gdyby zresztą poemat był onej zimy skończony, nie powstrzymały-by autora od ogłoszenia drukiem wcale nie wielkie koszta. Na druk bowiem pierwszych dwóch tomów swoich poezyi, złożonych z 29 przeszło arkuszy, Słowacki wydał 2000 fr., arkusz przeto druku kosztował wraz z papierem i zbroszowaniem około 70 fr. I rzeczywiście: Tom trzeci, złożony z 9-ciu arkuszy druku, kosztował, wedle będących u mnie rachunków księgarskich poety, 660 fr., czyli za jeden arkusz 73 fr., „Anhelli“, zawierający niespełna 7 arkuszy, kosztowałby około 500 fr. Na taką sumę stać było zawsze Słowackiego ¹⁾.

Nie w cichej przeto wiosce szwajcarskiej, nie nad jeziorem Leman, gdzie napisał kilka lirycznych *kawałków*, malujących stan jego umysłu w owej porze ²⁾ stworzył Słowacki „Anhellego“. W innym czasie, w innym miejscu, wśród innych widoków natury, pod wpływem innych, potężniejszych wrażeń, niżeli dać może spokojny krajobraz szwajcarski, powstał pomysł tego poematu.

Pyszny dzikością widok Martwego morza, pobyt w Betlehem, w Nazaret nad jeziorem Genezareckiem, „gdzie Chrystus mu był przed oczyma“, w Kanie Galilejskiej i w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował narodzenie się Pana, widok wioszczki Jerycha, zrujnowanej

¹⁾ Według własnoręcznych notatek Słowackiego druk „Księża Marka“ w r. 1843 kosztował 290 fr.; „Sen Srebrny Salomei“ w 1844 r. 377 fr. a „Książę Niezłomny“ 308 fr. (Ob. „Rachunek księgarski J. Słowackiego“ w „Wiadomościach Bibliograficznych Warszawskich“ Nr 7 za r. 1883). Rozmiar tych książek jest mniej więcej ten sam, co „Anhellego“, lecz koszt wydawnictwa znacznie mniejszy od przybliżonego za ten poemat obrachunku.

²⁾ W zbiorze pism pośmiertnych Słowackiego z datą lipcową 1835 r. znajdujemy pisane w Veytoux i nad Lemanem: „Roziłączenie“, „Przekleństwo“, „Stokrotki“, „Chmury“ i „Ostatnie wspomnienie do Laury“—Tom II, str 25—32, wyd. II-gie.

niegdyś głosem trąby wodza boskiego, i cały ten wielki, podniosły nastrój religijny, jakiego doznał, depcąc ziemię palestyńską, mógł natchnąć poetę do dzieła, które później w biblijnej opracował formie.

Pierwotnie był to poemat, pomysłany szeroko, na 30 rozłożony pieśni, a plan jego pod ciągle trwającym wrażeniem z Dantejskiej „Komedyi“ nakreślił Słowacki w swoim dzienniku z podróży. Kilkanaście zwrotek pieśni II i III dowodzą, że musiała być i pieśń I-a. Może zapisaną była w innym, zaginionym raptularzu, gdzie mieścić się miała znana zaledwie z urywków Pieśń II „Podróż do Ziemi Świętej“.

Plan poematu dojrzał i skryształizował się zapewne w umyśle poety podczas pobytu w Syrii, w klasztorze na górze Libanu, zwanym *Beth-chesz-Ban*. Tu, w tym „Spoczynku umarłych“, co oznacza w języku syryjskim nazwa klasztoru, na skale w miejscu bezludnem, w cichej celi klasztornej, z której widok na szerokie rozciągało się morze, wypoczywał poeta po trudach podróży przez dni 45. Tu też zapewne wśród kontemplacji życia religijnego przeszedł od tercyn do prostej a melancholijnym smutkiem owianej prozy biblijnej poematu. Zamiast XXX-tu pieśni zamknął go tylko w XIX-tu rozdziałach. Między temi ostatniemi przybyły takie, których nie było w pierwotnym zarysie, a pozostały: „Dzieci; Chata—jabłoń gwiazd; Jama—historya. Mewy—słońce na wschodzie—Boże Narodzenie; Cmentarz—gil; Przez różgi—starzec łańcuchami bity.

Domysł ten, że w celi klasztornej Słowacki tworzył „Anhellego“ naprowadza wzmianka w liście z Livorna z d. 15 czerwca 1837 r. „Na górze Libanu—pisze—pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje. Myślałem nawet zamknąć go w butelce, aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić“... Nie była to „Podróż do Ziemi Świętej“, którą napisał był przed tem i w znacznej części przepisana na czysto do raptularza swego wciągnął, gdyż dopiero potem zawitał do klasztoru na górze Libanu i zapisał w swoim dzienniku: „Niebo widziane w Beth-chesz-Ban dnia 29 marca o godzinie 8 (wieczorem)¹⁾. Wprawdzie dopiero w liście z Florencyi 10-go lipca następnego, t. j. 1838 roku, donosi poeta matce o wysłaniu do druku „Anhellego“, „jednego maleńkiego dzieciątka, które już w tych dniach *musiało* się na świecie pokazać“, lecz okoliczność ta nie dowodzi jeszcze, ażeby go tworzył we Florencyi. Mógł przywieźć rzecz gotową i pragnął zawieźć ją do Paryża wraz z tem, co

¹⁾ „Podróż do Ziemi Świętej“ mieści się w autografie na str. 1—88. Plan poematu na str. 93. Pieśń II i III na str. 94—99. Notatka o klasztorze Beth-chesz-Ban na str. 100.

zamierzał przez zimę napisać, a potem niepewny co do swego pobytu we włoskiem mieście, zwlekał z wysłaniem rękopisu do drukarni. Mógł wreszcie we Florencyi przerabiać, uzupełniać lub zmienić to, co stworzył na Wschodzie; nic jednakże nie przemawia za tem, ażeby napisał był „Anhellego“ jeszcze w 1835 r. w Szwajcaryi.

F. H. Lewestam, pisząc o Juliuszu Słowackim w Encyklopedyi Powszechnej S. Orgelbranda (Warszawa, 1866 r., tom 23, str. 623) wówczas, gdy nieznane były jeszcze listy poety do matki, ogłoszone po raz pierwszy w 1875 r., przytacza jako fakt pewny, że Słowacki, bawiąc czas jakiś w r. 1837 w klasztorze Maronitów koło Bajrutu, rozpoczął poemat „Anhelli“.—„Szczegół ten, zdaniem Lewestama, mało znany, objaśnia nam bardzo dobrze tę majestatyczną, ale nieco ciemną i mistyczną barwę poematu. Skupienie myśli wśród pamiątek religijnych i pełnej powagi samotności zwróciło poetę ku cierpieniom ludzkości“.—Wiadomość ta, którą Lewestam otrzymał prawdopodobnie od Zenona Brzozowskiego, towarzysza podróży poety na Wschód, przynosi jeden więcej dowód na poparcie omawianych tu domysłów. Zresztą plan poematu i rymowane strofy w dzienniku z podróży, którego Lewestam również znać nie mógł, świadczą wymownie, że Słowacki pomysłu „Anhellego“ powziął i pisać go rozpoczął jeszcze w drodze, przed przybyciem do klasztoru.

Przez szczegółowy rozbiór zapisek w dzienniku podróży i przez korespondencję poety tembardziej jeszcze utwierdzić się można w tem przekonaniu i dojść do prawdopodobnej genezy tego poematu. Przekracza to wszakże skromne ramki niniejszego artykułu, którego zadaniem było podać tylko nieznane fragmenty Słowackiego z koniecznem do nich objaśnieniem.

LEOPOLD MÉYET.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Mikołaja Reja z Nagłowic: Krótka Rozprawa między trzema osobami panem, wójtem a plebanem, podług wydania krakowskiego z r. 1543 ogłosił Roman Zawiliński. Kraków, 1893. 8° str. XIII, 81.

Wdzięczność należy się prof. Zawilińskiemu od wszystkich miłośników dawniejszej literatury za ogłoszenie utworu Reja, którego tytuł był znany z życiorysu poety, nakreślonego ręką współczesnego Andrzeja Trzecieckiego, lecz którego w nowszych czasach prawie nikt nie widział. Utwór ten był wydany pod przybranem nazwiskiem Ambrożego Rożka, lecz prof. Zawiliński wykazał dostatecznie we wstępie, że jest to ten sam utwór, który między pracami Reja wymienia Trzeciecki, oraz że o autorstwie Reja wątpić nie można. Wiemy już teraz, że treść utworu jest moralizująca, wytykająca wady ludzi współczesnych; rozumiemy się, że najwięcej przymówek znajdujemy tu do stanu duchownego, bo ten rodzaj był wówczas na porządku dziennym u nas, równie jak i gdzieindziej; ale i innym się dostało: i temu sędziemu, co się daje na chylić do żądania powoda, bo ujrzał worek, wyglądający z szuby jego baranięj; i temu panu staroście, co karę za wykroczenia tak wymierza, iż jemu najwięcej się dostaje; i tym niewiastom, co z mężami włóczą się po kramach, by nabrać na kredyt miłych strojów, dla których potem niejeden z wioski wyleci; i wszystkim tym, co w uciemieniu chłopka

szukali środków do rokosznego i zbytkownego życia. Ma utwór ten wielką wartość, jako obrazek ówczesnych obyczajów, choć nie można powiedzieć, żebyśmy się z niego wielu nowych rzeczy dowiedzieli: na tę nutę śpiewali prawie wszyscy współcześni; wszyscy żądali poprawy, a nikt poprawiać się nie myślał. Jedynej różnicy od innych tego rodzaju nawoływań chyba w tem dopatrzymy, że głos Reja należy do najwcześniejszych.

Zadanie p. Zawilińskiego przy opracowaniu nowego wydania było bardzo trudne, nie tylko dlatego, że jedyny znany egzemplarz tego utworu jest ku końcowi uszkodzony, ale głównie dlatego, że pierwotne wydanie wydrukowane jest bardzo błędnie. Domyślamy się, że drukarz nie miał rękopisu od Reja samego, lecz dopadł odpisu, krążącego między ludźmi, i wziął go na prasę. Przykład, lubo nieco późniejszy, takiego bezprawnego i niedbałego wydania mamy na Miaskowskim. Rytmu jego wydał Skalski w r. 1612 z niedbałego odpisu i nie wiedząc nawet imienia poety. Dopiero w r. 1622 ogłoszono drugie wydanie po zrobieniu poprawek przez poetę. Wiemy, co warte takie odpisy w naszych czasach, a w w. XVI-ym pewnie jeszcze bardziej przekrucano pierwotne teksty. Tak należy, zdaniem naszym, rozumieć liczne błędy w pierwotnem wydaniu *Rozprawy*. Dla drażliwości niektórych miejsc i jaskrawego kolorytu, Rej sam nie śpieszył się z ogłoszeniem tego najwcześniejszego utworu swego, który jednakże w rękopisie pewnie obiegał między ludźmi.

Należy mieć na względzie trudne położenie, w którym znalazł się nowy wydawca, bo z jednej strony widział tekst nadpsuty, a z drugiej strony czuł się zobowiązanym podać najwierniejszą kopię pierwotnego wydania. Nie możemy wziąć za złe wydawcy, że pozostawił tekst bez zmiany w przypuszczeniu, że po ogłoszeniu najwierniejszej kopii pierwotnego wydania będą następni wydawcy mogli usuwać pomyłki widoczne i robić poprawki. Skoro tylko przekonamy się, że w wydaniu pierwotnem są miejsca, które z pewnością nie wyszły tak z pod pióra Reja, będziemy śmielsi do robienia poprawek i tam, gdzie wadliwość wiersza mógłby kto kłaść na karb niedbalstwa lub niewyrobieńia poety. Przytaczamy kilka miejsc oczywiście zepsutych. Rej napisał

Bo ziemię Bóg ludziom sprawił,
A niebo sobie zostawił,

co przekręcił pierwszy wydawca, kładąc w wierszu 735 *nieceo* zamiast *niebo*.

Do tej pomyłki oczywiście dodajemy drugą, która p. Zawilińskiego nabawiła małego kłopotu: wiersze 1117—1119 brzmią w wydaniu pierwszym:

Tam więc już miej rozum z worem,
 Bo tam leda o przyczynę
 Rozwiążesz grzywnie suprymę.

Trzeba sobie wystawić, że grzywna pieniędzy mieści się w worku, którego wierzchnią część nad przewiązaniem nazwał Rej szupryną; rozwiążesz grzywnie szupryną znaczy tyle, co napoczniesz grzywnę. Zrobiwszy tę poprawkę (szupryną zam. suprymę) zgodnie z wymaganiem rymu, nie będziemy sobie potrzebowali łamać głowy nad znaczeniem słowa *supryma*, bo takiego słowa nigdy nie używano, a szupryną podaje Linde jako inną formę czupryny. Można być pewnym, że Rej nie napisał *suprymę*. Domaga się poprawienia także wiersz 837.

Albowiem w to trudno ukrócić

gdzie i budowa wiersza, i rym, i rząd słowa wskazują, że *ukrócić* należy poprawić na *wkroczyć*, a słowo to znaczyć będzie zapuszczać się w dochodzenie. Pomyłkę tę nietrudno wytłumaczyć, jeśli sobie przypomnimy, że za czasów Reja zamiast *w* często pisano *v* lub *u*. Rej prawdopodobnie napisał *wkroczyć*, co przepisywacz lub drukarz przeczytał *ukrócić* zamiast *wkroczyć*. Myśl jest taka: Albowiem trudno jest zapuszczać się w dochodzenie, gdzie się podziewają podatki, pobrane na wojsko od chłopka, boby nie ukryły się poszlaki, tak, jak nie ubieją ptaki, kiedy się między nie wskoczy na polowaniu. Zwracam uwagę na dowcipny wybieg wójta, przypominający formy retoryczne, bo wypowiedziawszy, że za pobory wzięte od chłopka na wojsko jeden pobórca kołnierza sobie poprawił, drugi walący się dom wyporządził, inny na trunki obrócił, naraz oświadcza, że nie chce dochodzić, gdzie się pobory podziewają, a tylko to wspomniał, co panowie sobie sami wzajemnie wyrzucają, kiedy się poswarzają.

Te trzy miejsca, z największą pewnością mylnie wydrukowane w pierwotnem wydaniu, dają nam przekonanie, że w wydaniu tem mamy przed sobą bardzo nadpsuty tekst Reja, który należy poprawić wszędzie, gdzie tego wymaga budowa wiersza i gdzie poprawkę można zrobić bez obawy, że poprawiamy Reja, a nie jego niedbałego przepisywacza.

Język też Reja sam przez się często jest trudny do wyrozumienia w tej pierwszej jego pracy, a już w głowę trzeba zachodzić, kiedy zawilość wystowienia idzie w parze z błędami drukarskimi. Jedno z zawilszych miejsc idzie od wiersza 177; wymieniwszy świętych, których pomoc zjednywać trzeba w różnych kolejach życia, pisze:

Alić Masia z gęsią kłusze,
 Bo już sobie tak spopadły,
 Żeby dusze gęsi jadły,
 A ona z tego gorąca
 Nie jadłaby i zająca.
 Na szyi wisi kobiałka
 W niej gomółka i powalka,
 Mniema że wszystko sprawiła,
 Że tam z tą kobiałką była,
 Że już siedm dusz wybawiła,
 Sama się ósma upiła.

Na zwyczajną prozę przełożone to trochę zawile miejsce takie będzie miało brzmienie: Alić Marysia z gęsią biegnie do księdza, aby za to wynagrodzenie odprawił mszę za dusze zmarłych, bo tak sobie uroiły kobiety, że dusze jedzą gęsi, a dusza z gorąca piekielnego nie tylko gęsi, ale i zająca nie jadłaby. Na szyi u Marysi wisi kobielka z gomółką i kukielką; oddawszy księdzu i gęś, i gomółki, i mniemając że siedm dusz z mąk czyśćcowych wybawiła przez zakupione nabożeństwo, sama upiła się na dobitkę. W tym ustępie Reja każde zdanie ma domysłowy podmiot, a w każdym innego podmiotu domyslać się trzeba, co utrudnia zrozumienie. Miejsce niejasne na pierwszy rzut oka zaciemnił jeszcze drukarz, oddając imię Masi małą literą początkową, boć Masia jest zdrobniałą formą imienia Maryi, podobnie jak Masza, Mania, Machna, Marysia. Ośmieleni tą próbą poprawek niezbędnych, sięgamy dalej i radzimy poprawić następujące miejsca, przyczem na pierwszym miejscu kładziemy wiersz wadliwy, na drugim zmieniony przez pożądaną poprawkę:

wiersz 9. Pan, wójt prosty, trzeci z nim pleban,—
 Pan, wójt prosty, trzeci z *nimi* pleban.

Wiersz ma być dziesięciozłóskowy, jak poprzedzający i następujący, lecz będzie nim dopiero, gdy *nim* poprawimy na *nimi*, czego i myśł wymaga, bo z dwoma towarzyszami, a nie z jednym pleban rozprawia,

w. 273. A nad jałmużnę milszego?—
 I nad jałmużnę milszego?

w. 277. A co Boże, to dać samemu,—
 A co Boże, dać samemu.

w. 503. Choć sieć leda jako stanie
 Jednak wždy co przypadnie za nie —
 Jednak wždy co padnie na nią.

w. 571. Iżby się kto k'niej przyznał —

Iżby się kto ku niej przyznał.

w. 580. Temuć gotowem płacić, —

Temuć gotowemi płacić.

Utarte jest wyrażenie *gotowemi płacić*, bez dodania pieniędzmi, jak się przekonać można ze słownika Lindego, tego też wymaga budowa wiersza.

w. 616. A tak więcejci wam strzedz trzeba —

A tak więcej wam strzedz trzeba.

Ci obok *Wam* jest podobno zbytczne, a że i wiersz psuje, więc należy wyrzucić.

w. 684. Ale ktoby się chciał obaczyć, —

Ale ktoby się chciał baczyć,

w. 730. Rychlej się więc ten uplecie —

Rychlej się więc ten uplecie.

w. 743. Kogoż dziś mierzą pożytki —

Kogoż dziś mierzą pożytki,

jak w w. 1263. A nikomu się nie mierząc.

w. 1016. A na wsze strony dzwonka ruszasz —

Na wsze strony dzwonka ruszasz,

w. 1026. Bo pan musi strzedz twej krzywdy,

Aby jej niskąd nie miał nigdy —

By jej niskąd nie miał nigdy

przyczem forma *by*, używana jeszcze w wieku XVI, jest osobą drugą LP. aorystu, zamiast której dziś mówimy *bys*.

w. 1065. A jednak przedsię przy swym stoi —

Jednak przedsię przy swym stoi.

w. 1080. Aby nie dla twej przyjaźni

Zmyłby się na suszy w łaźni —

A, by nie dla twej przyjaźni,

Zmyłby cię na suszy w łaźni.

w. 1107. Drugi w wiązanie zeznawa, —

Drugi wwiązanie zeznawa.

Wwiązanie jest dawne wyrażenie prawne, odpowiadające łacińskiemu *intromissio*, *introductio*; wożny dokonywał wwiązania i zeznawał je następnie w sądzie.

- w. 1247. Ginie pospolity użytek —
Ginie pospolny użytek.

Prócz przykładów użycia przymiotnika *pospolny*, podanych przez Lindego, mogę przytoczyć wyrażenia: Żadnego bydła pospolnego. Terr. Conten. 1424 f. 158. LX grzywien pospolnych tamże f. 250.—Pospolnego konia nie winował. Terr. Plocen. 1401 f. 25.

- w. 1338. A ciągniecie się równo z nami —
Ciągniecie się równo z nami.

Dość często zaczyna poeta wiersz spójnikiem A, do czego przepisywacz tak się ułożył, że na własną rękę kładzie A i tam, gdzie go nie potrzeba, a przez to psuje wiersz; nie stanie się krzywda Rejowi. jeśli czasem tę naleciałość odrzucimy i wiersz naprawimy.

- w. 1360. Rychlejci nam drugą naleją —
Rychlej nam drugą naleją,
w. 1528. Ani komu nie bywa krzyw —
A nikomu nie bywa krzyw.
w. 1826. A gdzie mogą, tu się dłużą —
A gdzie mogą, to się dłużą.
w. 1855. A zszywa drugi ony płaty —
Zszywa drugi ony płaty.
w. 1958. A radszej się ku brzegu miejmy —
Radszej się ku brzegu miejmy.
w. 1961. A nikt sie jem nie ukarze —
A nikt sie jim nie ukarze.
w. 2056. (Jem)... i razem szczęście z czasem spłoszy —
(Z nim)i razem szczęście z czasem spłoszy.

Wszystkie podane tutaj poprawki nie zmieniają myśli, a dają wiersz więcej prawidłowy. Może niejedno jeszcze miejsce wypadnie poprawić, żeby nie odpowiadał Rej za niedbalstwo przepisywacza lub pośpiech drukarza. Nie miałem zamiaru wytykać i poprawiać wszystkie błędne miejsca, chciałem jedynie zwrócić uwagę na potrzebę poprawniejszego drugiego wydania; które, nie krępując się względami, jakie p. Zawilińskiego przy pierwszym przedruku obowiązywały, przedstawi nam utwór Reja w formie przystępniejszej i zrozumialszej od tej, którą znajdujemy w pierwotnym wydaniu z r. 1543. Niejedno trudniejsze miejsce wypadnie objaśnić, bo jeżeli dla współczesnych wystarczyły zwięzłe napomknienia Reja, to czytelnik zwykły naszych czasów nie zawsze te napomknienia zrozumie, a przecież utwór Reja, jako obrazek

współczesnych obyczajów, zasługuje na to, żeby był wydany w sposób przystępny i dla tych, którzy mniej są obeznani z językiem i stylem wieku szesnastego.

Wskazanie w ilnych pismach Reja miejsc podobnych do tego, co czytamy w Rozprawie, mogło-by się również przyczynić do wyjaśnienia stanowiska tego pisarza wobec zagadnień współczesnych. Na miejscach takich nie zbywa. Rzeczpospolita, którą mówiącą wprowadza w Rozprawie, przemawia tutaj podobnie, jak w lat dwadzieścia później w Zwierzyńcu; równie tutaj nazywa się biedną sierotą, jak tam. W Rozprawie czytamy w. 2086:

Mądrze pływaj a dierz się Za wiosło,
Bo nie wzwiesz, gdyć się łódź zachwieje
Ochyniesz się iście bez nadzieje.

A w Zwierzyńcu z r. 1562:

Aż nie wiesz, prywacie, ludzkiego narodu,
Jedno wtenczas popłynie, kiedy chybi brodu;
Póki tonie, to wrzeszcząc woła: prze Bóg, rata,
Jako oschnie, wnet skacząc ujrysz pana brata.

To lekceważenie niebezpieczeństwa oddaje także wiersz 2063 Rozprawy:

Upad bliski a gniew boski baczą,
Przedsię jednak bujno na to skaczą.

JÓZEF PRZYBOROWSKI.

„Prace okeło historyi i teoryi sztuki.“ „Sprawozdania komisji do badania historyi sztuki w Polsce,“ r. 1892. Tom V, zeszyt II. Władysław Łuszczkiewicz: „Reszty romańskiej architektury dawnego opactwa Cysterskiego w Wąchocku.“ Maryan Sokołowski: „Miniatury włoskie biblioteki Jagiellońskiej i modlitewnik francuski ks. Samuela Sanguszki w bibliotece Dzikowskiej.“ Leonard Lepszy: „Pacyfikał Sandomierski oraz złotnicy krakowscy połowy XV stulecia.“ Władysław Łuszczkiewicz: „Sprawozdanie z wycieczki naukowej w lecie 1891 roku.“ Ferdynand Bostel: „Inwentarz obrazów polskiego zbioru z r. 1780.“ Leonard Lepszy: „Sprawozdania z posiedzeń komisji za czas od 1 stycznia do 31 grudnia.“

Pod tytułem Sprawozdań zamieszcza Komisya do historyi sztuki w zeszytach swych zwykle parę rozpraw obszerniejszych, dołączając

na końcu sprawozdania właściwe z posiedzeń, obejmujące wnioski większych i mniejszych wymiarów, relacye, postanowienia, a nawet krótkie referaty i materiały do dalszych badań w dziedzinie historii sztuk pięknych i starożytności, mających ze sztukami związek, lub sztukom posługujących.

Ten obszerny zakres wypełniają zwykle autorowie, w tytule pomienieni, lub w tekście tego poszytu wzmiankowani. Przyznać należy, że ta niewielka garstka daje dowody wielkiej pracowitości i energii dźwiganiem przez lat szereg znaczny całego ogromu pracy około naukowego opracowywania wszelkich odgałęzień sztuk i rękodzieł pięknych.

Na pierwszym miejscu w poszycie, który mamy przed sobą, stoi zabytek budownictwa, należący do najdawniejszych w Polsce i najbardziej zajmujących. Wyborne kamieniołomy, znalezione w Kunowie przez Cystersów, a do dziś dnia słynne, sprawiły, że ta, z ciosu wystawiona, świątynia, opiera się już siedm wieków wpływowi czasu i burzących rąk ludzkich. Monografia prof. Łuszczkiewicza nie jest wprawdzie zupełną, bo obejmuje tylko ślady pierwotnej erekcyi kościoła i klasztoru, wyczerpuje wszakże przedmiot dany. Nie zgodzili-byśmy się tylko na jedno—na upodobanie, z jakim i prof. Ł., i inni krakowscy badacze zaprzeczają siłom twórczym, a nawet roboczym miejscowym wszelkiego istnienia przedwiekowego. Tu miał sposobność prof. Ł. postawić twierdzenie, że Cystersi, tak do budowy tego klasztoru, jak i innych, sprowadzili nietylko budowniczych, ale nawet i prostych robotników z za granicy (tom II, str. 71, wiersz 10, 11 i 12). To ostatnie, co najmniej, zdaje się być nieprawdopodobnem; Cystersi bowiem budują na początku w. XIII., tak zwane zaś duninowskie, z granitu polnego stawiane kościoły, wyprzedziły Cystersów o całe *sto* lat, a noszą na sobie cechę jeszcze o wiele dawniejszych sposobów budowania. Całe opracowanie zresztą, oprócz pewnych dziwactw językowych ¹⁾ i zamiłowania w szpikowaniu niepotrzebną cudzoziemczyzną (grundrys, nysza, glif i t. p.), wyrobione jest ze ścisłością naukową, tak pod względem dat, dotyczących fundacyi i erekcyi, jak i topografii miejscowej. Uwzględnione są w rozbiórce szczątków wszelkie dane, umożliwiające rekonstrukcyę, którą prof. Ł. częściowo dokonywa w najciekawszych i najmniej dostępnych zwykłemu oku miejscowościach. Gruntowna znajomość historii budownictwa ogólnego, a w szczególności polskiego,

¹⁾ Str. 51, w. 41—42, zarówno ... ile...

Str. 68, w. 38

Str. 71, tom II, niekomu innemu ... ile.. wiersz 10—12.

pozwoliła też p. Ł. i w tym względzie bardzo zajmujące poczynić postrzeżenia, dotyczące konstrukcyi, a szczególnie skarp wiszących, wyjątkowo ciekawych w Wąchockim klasztorze.

Niemniej starannem jest opracowanie prof. Sokołowskiego (Maryana) o miniaturach włoskich Biblioteki Jagiellońskiej i modlitewniku francuskim ks. Samuela Sanguszki, w których głównym przedmiotem, mimo nadmiar długich wywodów, jest wyobrażenie Trójcy w postaci, mającej na jednej głowie trzy twarze. Wywody są zajmujące, zdaje się atoli, że autor popełnia błąd, który wielokrotnie zarzucano kronikarzom polskim z pierwszej doby chrześcijaństwa w Polsce, to jest negacyę lub przemilczenie wszystkiego, co należało w jakikolwiek sposób do cywilizacyi Lechitów przed ich ochrzczeniem się. Wówczas starano się zacierać wszelkie ślady dawnych czasów, obawiając się powrotu do bałwochwalstwa, dziś tej obawy nie ma i dlatego zdaje mi się, że p. Sokołowski niesłusznie wypuścił z dochodzeń swoich cały okres, w którym musiała tułać się śród nowonawróconych Słowian zachodnich pamięć wyobrażeń potęg, czczonych pod postaciami trzygłowów i Swandewitów o czterech twarzach, okres, który mógł być przejściem do wyobrażenia Trójcy ś-tej o trzech twarzach na jednej głowie. W opracowaniu p. S. wyobrażenie to ukazuje się odrazu, niespodziewanie, w miniaturach włoskich lub francuskich, i stamtąd, wedle zdania p. S., w wiekach XIII i XIV do Czech i Polski przychodzi, jak gdyby na ziemiach tych nie było malarstwa na dwieście lat przed datą wskazaną przez p. S., jakby nie było malarzów miniatur w kraju czeskim i lechickim, które za czasów pogańskich miały i na chorągwiach bożyszczu malowane, i w świątyniach wielkie ich mnóstwo rzeźbionych i barwionych.

Przyznaje istnienie samodzielne malarstwa miniaturowego Czechom wieków odległych niemiecki autor Waagen, czemuż więc krakowski autor woli poprzestać na prawdopodobieństwach sprowadzania malowideł z Paryża? dlaczego nie zechciał zamiast tej hipotezy postawić innej, wedle zdania naszego, daleko bliższej prawdy, to jest, że łatwiej było tym, którzy zaledwie co byli porzucili cześć swoich tryglawów, zdobyć się na uosobienie w podobny sposób Trójcy ś-ej, niż innym, którzy nową formę dopiero wyszukiwać musieli.

Niejedną rzecz zachód celtycki lub galski przez Frankonię otrzymał z ziemi Lechitów, mógł otrzymać i tę formę plastyczną. Nierozjaśniona przestrzeń czasu pomiędzy wiekiem X a XIII i XIV daje obszerne pole do postawienia tej zajmującej hipotezy.

Książka do nabożeństwa, ofiarowana przez księżniczkę Swewów, Matyldę, Mieczysłowi II, i Bamberskie Ewangeliczki Ottona II, ozdobione miniaturami, wykonanemi na kresach ówczesnych ziem zachodnich Słowian, mogły-by służyć jako nie przewodnia do uzasadnienia

projektowanej przez nas hipotezy. Zresztą rzecz ta, w literaturze naszej przez pierwszego pana M. Sokołowskiego poruszona, bardzo ciekawa jest i pełna zajmujących szczegółów do obyczajowości wieku XVII i to stanowi najcenniejszy przymiot elaboratu p. S.

Co do artykułu p. Leonarda Lepszego, to o pacyfikale sandomierskim nic powiedzieć nie możemy, spis zaś złotników krakowskich uważamy za ważny materiał badawczy, gdyż sam on już doprowadza do przekonania, jak wiele i wybornych prac artystycznych wykonanych było siłami zupełnie miejscowymi w okresie pomiędzy r. 1485 a 1590. Jest to więc nowy i pocieszający zwrot w kierunku badań, zwrot, odstępujący od zwyczaju, praktykowanego przez autorów, tak pochopnie, za przykładem cudzoziemców, odsądzających krajowców od wszelkiego w dziełach sztuki udziału. Dwie osobistości szczególnie wyróżniają się z tego licznego grona: Marcinek (r. 1512) autor blach srebrnych kowanych do grobu 6-go Stanisława, wydobytych z ukrycia przez Szwedów za wskazówką Żydów i przez nich przetopionych, i Hamon Gloger (Głogowczyk), przypuszczalny autor pacyfikału sandomierskiego.

Sprawozdanie prof. Łuszczkiewicza z wycieczki naukowej, odbytej z uczniami szkoły malarzkiej krakowskiej w r. 1891, zawiera wiele szczegółów zajmujących, dotyczących starożytnych budowli i rzeźb w Tarnowie i Rzeszowie, a chociaż cały operat ten nosi na sobie cechę nieobrobionej, ex abrupto pisanej, obszernej notaty, wszakże sam materiał obfity, w wycieczce zgromadzony, ma dla badaczy niepoślednią wartość.

Z budownictwa zajmujące odrzwia sionki szkolnej i portal boczny katedry w Tarnowie przedstawiają zabytki wielce ciekawe; mniejszej wartości są wysławianych Włochów renesansowe grobowce, manieryczne, zarówno w Tarnowie, jak i w Rzeszowie. Z rzeźb najbardziej godne zanotowania postacie Branickich na grobowcu w Niepołomicach. Przekonywają opisane w tej podróży zabytki o wątpliwych zalet wpływie pierwszych lepszych Włochów na ówczesną sztukę w Polsce. Najlepsze bowiem ze wspomnianych tu prac, jak owe odrzwia kamienne i portal, należą do epoki przedrenesansowej, dwie zaś postacie Branickich na grobowcu, wprawdzie włoskiego zakroju, ale o polskich napisach i naiwnie prostym, acz bardzo dobrym rzeźbieniu, świadczą o umiarkowanym bardzo wpływie włoszczyzny manierycznej na autora rzeźb tych.

Inwentarz obrazów, znaleziony przez p. Bostela w bibliotece Ossolińskich we Lwowie, ma niejaką wartość, szkoda tylko, iż nie jest zupełny i że właśnie polskie malowidła, dla braku podpisu autorów, zostały z niego wypuszczone. Dziwnym zarówno w ustach oświeconego

pisarza współczesnego parę razy powtórzony tu przedmieściano-zaściankowy wyraz „kopersztych.“

W relacji z posiedzeń komisji historii sztuki za rok 1891, oprócz rozmaitych drobnych wniosków, dotyczących nowych wydawnictw, zamieszczono przyczynek do dziejów Wileńskiej szkoły sztuk pięknych, w którym, pominąwszy niesprawiedliwe wycieczki przeciwko wydziałowi sztuk pięknych, założonemu przy Uniwersytecie Warszawskim w roku 1817, ciekawym zostanie spis nazwisk malarzów wileńskich, a szczególnie wzmianka o wielkiej zdolności rzeźbiarzu, Jelskim Kazimierzu, który jeszcze w r. 1851 wyborne medaliony galwanoplastyczne wykonywał w Wilnie, gdzie go poznać miałem sposobność. Z opisu tej, sławionej przez autora notat, szkoły, pokazuje się, że praca systematyczna a usilna nie była jej przymiotem, gdy najwyższa liczba godzin, tygodniowo na rysunek poświęcanych, była 12 (sic). Luminarzami, jako profesorowie, byli Rustem i wielce zasłużony Jelski.

Materyał starożytniczo-estetyczny, w sprawozdaniach tych zawarty, jest tak bogaty, że zaledwie o najwybitniejszych jego częściach zdołamy tu podać wiadomość. Do bardzo ważnych należy wniosek p. Władysława Bartynowskiego, dotyczący spisu portretów historycznych; p. Lepszego, dotyczący miniatur rękopisu Behema; p. Sokołowskiego, dotyczący wydania modlitewnika Zygmunta I; p. Ziemeckiego, zwracający uwagę na znajdujący się we Florencji portret Władysława IV, przez Rubensa malowany. Najbogatszy atoli w cenne wiadomości o budownictwie dawnem w Polsce podaje nam pan Tomkowicz o sklepieniu sali pod oratorium w klasztorze Klarysek w Starym Sączu, a pan Łuszczkiewicz w obszernych notatach o budowlach w Bieczu, Krośnie, Rymanowie, Dobromilu, w rozprawie o splotach krat żelaznych kutych, jako też o budowach Wiśnicza i Kalwarii Zebrzydowskiej, na podstawie rysunków, na miejscu wykonanych przez budowniczego Odrzywolskiego.

Przeglądu wydawnictw, dotyczących sztuki starożytnej, nie możemy skończyć na tem jednym, mamy przed sobą bowiem właśnie dwa inne jeszcze nie małej wagi. Pierwszem jest sprawozdanie urzędu konserwatorskiego na wschodnią Galicyę, sporządzone przez budowniczego Zacharyewicza. Tytuł tej pracy: „Wycieczka w powiat Sokalski,“ ozdobiona 17 rycinami w tekście; jest to odbitka z „Teki konserwatorskiej.“ Rozmaitość jest tu znaczna, od ruin aż do wyrobów złotniczych i ozdobnej stolarszczyzny.

W samym Sokalu spotykamy się zaraz z farą, ufortyfikowaną dawnym obyczajem, praktykowanym nietylko w klasztornych budowlach, do jakich fara ta niegdyś należała, ale i w świeckich. Piękne kopułki wież pozostały na świadectwo o budownictwie szlaku handlowego,

a zarazem i najazdowego. Najazdy te najwięcej przyczyniły się do zniszczeń, z których nietylko ruin podnieść niepodobna, ale tem bardziej skarbów zabranych powrócić. W tymże Sokalu klasztor Bernardynów w 1702 r. złupili Szwedzi ze zgromadzonych tam dla mniemanego bezpieczeństwa kosztowności całej okolicy. W 1810 roku zaś rząd austriacki zabrał sprzętów kościelnych za 400,000 zł. reńskich, za które dano klasztorowi obligacye, przynoszące 1,820 zł. reńs. 9 kr. rocznie. Ocalało w farze trochę sprzętów kościelnych, jako to: kielich piękny z XVII wieku, i nieco u Bernardynów. Zajmujące są rysunki cerkiewek w Poturzycy i Warężu i wiadomości o ich budowie, otoczonej pod sieniami, czyli tak zwanymi sobotami; ale nadewszystko fara w Warężu malowidłami freskowemi, zdobiacemi wewnątrz kościoła, wybornie pomyslanemi i wykonanemi, zasługuje na szczególną uwagę. P. Zacharyewicz nie znajduje dość dobitnych wyrazów na określenie przymiotów prawdziwie artystycznego pomysłu. O ile z opisu i rysunków wnosić można, tak o tych malowidłach, jak i zakrystę w Tartakowie zdobiących, to ze znanych nam tylko piotrkowskie w dawnym kościele Jezuitów mierzyć się z niemi mogą. Snycerstwo drzewne w stylu końca zeszłego wieku ma też parę pięknych okazów u Bernardynów w Sokalu i w zakrystyi w Tartakowie. Wątpić nie można, że wpływ tak starannego, gorliwego a z rzeczą gruntownie obeznanego „konserwatora,” dodatnio wpłynąć zdoła, i niewątpliwie wpływa, na utrzymanie zabytków sztuki dawnej w okręgu, który jest pod jego opieką.

Opieki takiej gorliwym zwolennikiem a pracowitym w niej działaczem jest pan Stanisław Tomkowicz, którego wydanie, zatytułowane „Szpital ś-go Ducha“ (w Krakowie), otwiera nam oczy na sprawę zburzenia części tej starożytnej budowli, o którą zastawiał się tak gorąco w roku zeszłym Matejko. Otwiera nam oczy nadewszystko na jedną jej stronę, mianowicie na tę, że część budynku tego, najpierw zburzona, z asługiwała istotnie na zachowanie, jako bardzo zajmujący zabytek architektury ceglano-kamiennej z końca XV wieku. Te 79 stronic, quarto, mieszczą dokładną, wyczerpującą historję zakonu szpitalnego ś-go Ducha, „Duchakami“ w Polsce zwanego, *po wszystkich większych miastach utrzymującego schroniska lecznicze, i aż do wyobrażeń postaci braci zakonnych, dokładnych, barwnych, i aż do znaku, jakiego używali, pomieszczone tu wszystko. Czternaście tablic, oprócz osmiu rysunków wśród tekstu, dają nam dokładne wyobrażenie o bardzo cennych właściwościach architektonicznych szpitala, jego kaplicy, i jego związku z sąsiednim kościołem ś-go Krzyża; szczerze żałować należy, że nie zachowano tych części, których wartość starożytna i artystyczna zaprzeczyć się nie da. Dlaczego to uczyniono istotnie, dlaczego nie pomyślano o wartości tych murów, różnobarwną cegłą zdobionych, tych otoków

okien kamiennych, i tych belek, pięknie rzezanych w stropie, podczas samego tworzenia projektu i wyznaczania miejsca pod teatr, trudno zrozumieć; mając bowiem możność odsunięcia budowli teatru od tej pamiętki, można było to w założeniu sobie postawić. Dziś pragnąć-by tylko należało, aby reszta ocalała na zawsze i doznała opieki.

Jeżeli z całego szeregu czynności sprawozdawczych konserwatorskich i teoretycznie estetycznych wieje zamięłowanie do dzieł sztuki, jeżeli zawdzięczamy ten kierunek wpływom Libeltów i Kremerów, wpływom, widocznym aż w stylu pretensjonalnemi wyrażeniami i wyrazami przetykanym, to niewątpliwie za złe mi nikt nie weźmie, jeżeli na zakończenie sprawozdania z prac już dokonanych dołożę parę słów o posiewie dalszym, w przyszłość sięgającym, jaki się w materji historyi sztuki i estetyki w Krakowie odbywa za sprawą p. Maryana Sokołowskiego, profesora wszechnicy Jagiellońskiej. Nie dość bowiem, że przy wszechnicy tej katedra tego przedmiotu przez p. S. została objęta, ale ważną jest rzeczą, jak jest prowadzona, co z niej szanowny profesor uczynił, jak gorliwie pracuje nad zaopatrzeniem gabinetu tej katedry w odpowiedni materiał plastyczny. W ciągu niewielu lat, które upłynęły od ukończenia nowego budynku uniwersyteckiego, w którym katedra ta otrzymała pomieszczenie, powstał staraniem i zabiegliwością p. S. gabinet odlewów gipsowych, podług najciekawszych epokowych rzeźb greckich, powstał zbiór fotografii najznakomitszych arcydzieł architektury, powstała biblioteka, mieszcząca w sobie najciekawsze a najdoskonalsze wydania nowoczesne barwne, dające dokładne wyobrażenie o właściwościach stylowych malowideł różnych epok; słowem, poruszone na ten cel kredyty ministerjum, łącznie ze zjednaną ofiarnością prywatnego miłośnika sztuki, ks. Lanckorońskiego, dały możność Szanownnemu Profesorowi prowadzenia studyów z gronem studentów rozmaitych wydziałów systematycznie, a wnosząc z kontroli, utrzymywanej w tej pracy, i ze wskazówek ją systematyzujących, prowadzenia z taką korzyścią, jakiej zarówno przeszłość sztuki, jak i przyszły jej zakwit wymagają.

„*Erazm Kamyn*, złotnik poznański i wzory przemysłu artystycznego u nas w XV i XVI wieku,“ udostępnił nam, obrobił i rycinami dołączonemi wyjaśnił prof. Maryan Sokołowski.

Broszura ta jest odbitką wydań Akademii umiejętności a wprowadza nas w nieznaný dotąd faktycznie świat rękodzielnictwa naszego starożytnego ozdobnego, — z tego powodu jest ważnym przyczynkiem do rozjaśnienia zakresu twórczości polskiej na niwie rękodzielnictwa pięknego. Złotnik Kamyn wydał w Poznaniu dwukrotnie wzory rytownictwa i ornamentyki złotniczej. W r. 1594 wyszło drugie wydanie,

którego tytuł: „Terus nowo widane y drukowane w Poznaniu. Przes Erasmy Kamyn Roku pań. M.D.XCII.“ P. Sokołowski dostrzega we wzorach tych wpływ podwójny: arabeski wschodniego są pochodzenia, inne ornamentacje, a zwłaszcza groteski—holenderskie, kartelusze zaś zwoje uważa p. S. jako wyłącznie niemieckiego pochodzenia, lubo wpływu francuskiego na rozwój ornamentyki średniowiecznej nie ignoruje. Postrzeżenia te są trafne i zasadne, na jedno tylko zwrócilibyśmy uwagę, co wyslizgnęło się z postrzeżeń p. S., który, zdaje się, w dochodzeniach opierał się na samych li źródłach niemieckich, pomijając wyborne francuskie wydanie „L'Ornement Polychrome“ Racinet'a ¹⁾. Otóż jeśli porównamy wzory ornamentyki złotniczej Etrusków tego wydania z dzisiejszymi spadkobiercami tradycji artystycznych Toskanii, ze złotnikami florenckimi, z ich wyborną umiejętnością wyprawdzania form ornamentacyjnych z natury materiału, to przekonamy się, że owe kartelusze zawijania zakończeń obramowań początek wzięły w starożytnej Etrurii, że je tylko ornamentiści średniowieczni rozwinęli i rozfantazyowali. Zestawienie tablicy VII z LVIII Racinet'a objaśnia w zupełności nasze twierdzenie. Najważniejszem jest jednak z tego wszystkiego, że przytoczę słowa p. S.: „Sam fakt, że one (wzory) istnieją, że są polską i dla polskiego złotnictwa przeznaczoną publikacją.“ Ryciny Kamyna są bardzo rzadkie, niema całego zbioru więcej, jak dwa egzemplarze, tem wyżej przeto cenimy zasługę p. S. w podniesieniu ich i zaznajomieniu z nimi szerszego koła miłośników sztuki.

WOJCIECH GERSON.

Wojciech Gerson. „Przywilej Opatowski.“ Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1892. Z wielką tablicą chromolitograficzną, przedstawiającą miniaturę przywileju.

Dzięki staraniom komisji, istniejącej przy Akademii krakowskiej, do badania historii sztuki w Polsce, literatura nasza bogaci się rok rocznie szeregiem monograficznych studyów, które z czasem przygotują niezbędne materiały do syntetycznego poglądu na bogaty historyczny rozwój sztuki u nas. Dość wspomnieć tutaj tylko o podstawowych

¹⁾ Tegoż autora jest równie wyborne, obszerne, dokładne i pyszne wydanie „L'Ornement de Trioja.“

pracach na tem polu, ogłoszonych w ostatnich latach przez takich zasłużonych badaczy, jak Wł. Łuszczkiewicz, M. Sokołowski, L. Lepszy, Fr. Piekosiński, oraz przez St. Tomkowicza, W. J. Wdowiszewskiego, Ferd. Bostla i innych.

Cennym przyczynkiem do tych studyów jest też zaznaczona powyżej praca W. Gersona, jednego z niewielu już u nas artystów, którzy, dzięki gruntownemu wykształceniu na polu historii sztuki i estetyki, nie rozstrzeliwają się w drobnostkach i dziwactwach, lecz zawsze z pełną świadomością dążą do rozwiązania najwyższych zadań sztuki. Do tego potrzeba znać i pokochać przeszłość, z której jedynie wyrastają organicznie wielkie talenta i prawdziwe genjusze, jako z gruntu nie zdziczałego, lecz uprawionego pracą poprzednich pokoleń.

„Przywilej Opatowski“ jest to akt nadawczy z roku 1519, którym Krzysztof Szydłowiecki, wielki kanclerz koronny, obdarowywa dobrami kolegiatę ś-go Marcina w Opatowie. Akt ten, na pergaminie spisany, posiada wielką wartość artystyczną, gdyż zdobny jest rzadkiej piękności miniaturami figuralnymi i ornamentacyami. Z lewej strony dużego arkusza mieści się szeroka kolumna o złotem tle, podzielona na dwie kondygnacye. Na górnej znajduje się figura siedzącego na białym koniu ś-go Marcina, patrona kolegiaty opatowskiej, ubranego w zbroję, wielki płaszcz i mitrę książęcą ze strusim pióropuszem. Poniżej nóg konia siedzi na trawie żebrak, dla którego święty odcina mieczem część płaszcza swego. W dolnej kondygnacji tej kolumny widzimy klęczącą postać modlącego się Szydłowieckiego w srebrnej zbroi i z wielką chorągwią purpurową, zdobną w herb rodowy Odrowąż, w prawem ramieniu. Na prawej stronie pergaminu, jak również i u góry pod marginesem ciągnie się ornamentowany na złotem tle pasek fantazyjnych liści w stylu naturalistycznym epoki ostrołukowej. Nadto i na odwrotnej stronie pergaminu, na którą się sam akt nadawczy przeciąga, znajduje się również piękna ornamentacya na złotem tle, ale już w charakterze przeważnie renesansowym. Figury są dobrze rysowane, draperye i fałdy starannie wykończone, a w układzie całości, w pomyśle i technice znać wielce doświadczonego mistrza swej sztuki.

Główne zadanie autora pracy o tem artystycznym wyposażeniu przywileju opatowskiego polegało, po jego przedstawieniu i opisie, na odszukaniu, jeśli można, mistrza, który powyższą miniaturę wykonał. Bezpośrednich danych w tym względzie niema żadnych; gdyż artysta zachował zupełne *incognito*, nie podał ani swych inicjałów, ani żadnego znaczka charakterystycznego. To też Gerson ogranicza się w swej pracy zaznaczeniem kilku danych, usprawiedliwiających wnioszek, że mamy przed sobą robotę miejscowego, polskiego artysty. Argumenta

jego są następujące: 1) W tekście dokumentu wyraz *Szydłowiec* napisany jest z niemiecka przez *Sch*, gdy na tablicy miniatury u nóg Szydłowieckiego ma polską pisownię *Sz*, co, według Gersona, zdaje się stanowczo dowodzić, że malarz miniatur był Polakiem; 2) Na początku XVI wieku było już w Krakowie i w innych miastach wielu malarzy Polaków z nazwiskami, kończącymi się na *ski*, jak tego dowodzą spisy, zamieszczone w „Skarbnicze archeologicznej” Ambrożego Grabowskiego; jest tam między innymi na początku XVI wieku niejaki Mikołaj z Sandomierza; 3) Dokument sporządzony został w Sandomierzu, a rysy Szydłowieckiego są tak charakterystyczne, że są widocznie portretem, z natury zdjętym, co zresztą Gerson stwierdza rysunkowem zestawieniem twarzy Szydłowieckiego na tym dokumencie z twarzą na jego grobowcu brązowym w Opatowie. Wnosić tedy należy, że miniaturzysta był w Sandomierzu, że znał osobiście Szydłowieckiego i sportretował.

Poprzestając na tych kilku ciekawych wskazówkach, zaczerpniętych z samego dokumentu, Gerson wypowiada w końcu nadzieję, że z czasem jakie stare zapiski lub rachunki podadzą możliwość znalezienia nazwiska i bliższego określenia osoby mistrza, który wykonał te piękne miniatury.

Do tej nadziei dodajemy ze swej strony szczere uznanie, tak dla autora tej pouczającej rozprawy, jak i dla zakładu litograficznego p. W. Głównzewskiego w Warszawie, w którym wykonaną została prawdziwie artystyczna podobizna miniatur przywileju opatowskiego.

H. STRUWE.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W chwili, gdy to piszemy, pociąg dworski, wiozący cesarza Wilhelma i jego małżonkę, zbliża się do bram Rzymu, gdzie królewska para obchodzi srebrne wesele. Cesarz Wilhelm jest jedynym panującym, który osobiście złoży powinszowanie jubilatom. Inni użyli do tego pełnomocników. Dwór rosyjski będzie reprezentowany przez Wielkiego Księcia Włodzimierza, dwór austriacki przez arcyksięcia Rainera. Obchód odbędzie się wspaniale, jak przystało na tak dostojnych jubilatów i na tak dostojnych gości.

Swoją drogą uroczystości te nabierają znaczenia dla polityki międzynarodowej jedynie przez udział zagranicznych książąt, w ich liczbie zaś przedewszystkiem cesarza Wilhelma. Sam w sobie jubileusz mógłby mieć doniosłość dla wewnętrznych stosunków Włoch, dając nową siłę uczuciom dynastycznym społeczeństwa. Obecność cesarza Niemiec przyczynia się do tego, że uroczystość domowa Włoch przedstawiana była w prasie, jako uroczystość domowa trójprzymierza. Dosłownie tak nie jest; gdyby to była uroczystość sprzymierzonych, niektórzy z obecnych dziś w Rzymie książąt nie brali-by w niej udziału. Ale choć tak nie jest dosłownie i urzędownie, niemniej w podróży cesarza Wilhelma zawiera się główny motyw polityczny zdarzenia dla opinii publicznej. O jubileuszu królestwa włoskich zaczęto na dobre mówić w Europie z chwilą, kiedy cesarz sprzymierzony zapowiedział swój przy-

jazd do Rzymu. Wtedy zaraz mówiono, że trójprzymierze będzie miało święto.

W rzeczywistości, jeśli je ma, to za sprawą wpływów przypadkowych. Do wzmocnienia przymierza potrójnego przyczyniły się bardzo wewnętrzne zamieszki polityczne francuskie. One sprawiły, że Francya chwilowo wyszła prawie z gry w polityce międzynarodowej; a ponieważ Francya była ogniskiem oddziaływań przeciw polityce trójprzymierza i przeciwko niemu samemu, więc i te oddziaływania chwilowo osłabły. Ustały w parlamentach włoskim i austriackim interpelacje z charakterem wrogim trójprzymierz, przycichły w prasie ataki na nie, znikły zupełnie — we Włoszech — głosy zachęty do związku politycznego z Francją. I tym sposobem, w braku tego, co je osłabiało, przymierze potrójne uczuło się wzmocnionem.

Jest to oczywiście zjawisko przejściowe. Francya powoli wchodzi w stadium spokoju. Agitacje panamskie skończyły się, kraj pragnie skupienia się, wypoczynku po jałowych walkach. Co najważniejsza, to, że Rzeczpospolita, jako forma rządu, bynajmniej na „skandalu panamskim“ nie ucierpiała. Jest ona dziś mocniejszą, mniej kwestionowaną, niż była przed pierwszym występm deputowanego Delahaye: naturalne następstwo tego faktu, że nieprzyjaciele republiki wyrzucili przeciwko niej jeden z ostatnich swoich pocisków—bez powodzenia. Wobec tego możliwe jest, że Francya w niedługim czasie odzyska i równowagę wewnętrzną, i utracone chwilowo stanowisko w radzie wielkich mocarstw. Gdy to nastąpi, trójprzymierze znajdzie znowu przed sobą przeciwnika, z którego najdrobniejszymi poruszeniami będzie się musiało liczyć.

W Serbii nastąpił przewrót rządowy. Król Aleksander, nie mający jeszcze skończonych lat siedemnastu, usunął regencyę i sam ogłosił się sprawującym władzę. Nie będziemy tutaj opisywali wszystkich szczegółów tego wypadku, bo te są dostatecznie czytelnikom znane z gazet. Kilka z nich jednak kwalifikuje się do zanotowania. W parę dni po przewrocie, król wystosował pismo z podziękowaniem do uczniów szkoły podoficerskiej, którzy, pod dowództwem jednego ze swych nauczycieli, wykonali na regentach arest po znanym obiedzie i zmusili ich do poddania się konieczności. Szczegół drugi jest według depechy „Agencji północnej“ taki, że „król Aleksander powrócił znowu do swoich studyów, przerwanych chwilowo wiadomościami okolicznościami.“ Oczywiście król musi się jeszcze uczyć, bo jest za młody, aby miał czas już skończyć swoją edukacyę. Jest to jednak ciekawy obrazek polityczny, ta rewolucya, dokonana przez księcia przed otrzymaniem świadectwa dojrzałości, przy zbrojnej pomocy również niedojrzałych młodzieniaszków ze szkoły wojskowej. W takich warunkach nasuwa się

pytanie, kto tu był właściwym sprawcą, czyja ukryta ręka poruszała sprężyny wypadku. Przypuszczenie najprawdopodobniejsze jest, że było to nowe dzieło mądrości politycznej króla Milana, który w Doki-czu, guwernerze niegdyś królewskim, znalazł ambitne narzędzie swoich planów. Co Serbia zyska na tem, że regencya została usunięta na sze-snaście miesięcy przed określonym w konstytucyi terminem, to dopiero przyszłość pokaże.

Parlament belgijski uchwalił zredagowany w ostatniej chwili wniosek Nyssensa o przyjęciu głosowania powszechnego. Jakkolwiek wniosek ten wprowadza zasadę z ograniczeniami, sprawiło przyjęcie go dobre wrażenie w kraju. Właściwie zaś rewolucyoniści, widząc, iż nie zdołają wywołać przewrotu, chwycili się skwapliwie tej uchwały i uznali ją za zadośćuczynienie dla swoich żądań. Tym sposobem Belgia, zagrożona, jak się zdawało, poważnemi wstrząśnieniami, odzyska może choć na czas jakiś spokój wewnętrzny.

Wielkiej doniosłości wypadkiem w dziedzinie ekonomiczno-finan-sowej jest przeprowadzająca się obecnie konwersya 5%-wych listów za-stawnych warszawskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Już mniej więcej dwa lata temu, t. j. z chwilą, kiedy się stopa procentowa, skutkiem większego zaofiarowania kapitałów, zniżyła, podniesiono myśl zmniejszenia ciężarów, spoczywających na roli, przez konwersyę li-stów zastawnych na niżej oprocentowane. „Biblioteka“ pomieściła wówczas osobny o tym przedmiocie artykuł ¹⁾, poświęcony przedstawio-nym Towarzystwu kredytowemu przez panów Stanisława Ostrowskiego i Stanisława Skarżyńskiego projektom. Projekta te miały na celu kon-wersyę listów 5%-wych na 4%-we. Ze względu na znaczne trudności, z jakimi zniżenie stopy procentowej o cały 1% miało być połączone, już wtedy doszliśmy do wniosku, że może korzystniejszym było-by skon-wertować tymczasem listy 5%-we na 4%-we. Po długiem i gruntownem badaniu tej kwestyi, istotnie dziś się dokonywa konwersya listów 5%-wych na 4½%-we. Ponieważ jest to operacya, przy której w danym razie znaczne kapitały mogą być potrzebne, więc Towarzystwo zrobiło umo-wę z konsorcjum finansowem, złożonem z najwybitniejszych instytucyi finansowych i bankierów warszawskich, petersburskich, moskiewskich i berlińskich, celem przeprowadzenia konwersyi. Towarzystwo wylos-owało obecnie w terminie trzydniowym tymczasem połowę wszystkich listów zastawnych, będących w obiegu, t. j. 56,525,100 rs. nominalnej wartości, które będą płacone 100 za 100 w dniu 1 lipca r. b. Umarzając

¹⁾ Patrz zeszyt 3 (marzec) 1991 r. „Biblioteki.“

powyższą sumę listów 5%-wych, Towarzystwo w to miejsce wyda na takąż sumę listy $4\frac{1}{2}\%$ -we. Otóż obecnie ofiaruje Towarzystwo wszystkim posiadającym listy 5%-we, które zostały wylosowane, a nawet i tym, których listy nie zostały wylosowane, zamiarę na listy $4\frac{1}{2}\%$ -we, z dopłatą na każdych 100 rublach nominalnej wartości $1\frac{1}{2}$ rubla. Ponieważ inne walory $4\frac{1}{2}\%$ -we mają kurs *pari*, lub blisko *pari*, więc spodziewać się można, że jeżeli nie zajdą nadzwyczajne jakie okoliczności, to i $4\frac{1}{2}\%$ listy warsz. Tow. kred. ziemskiego rychło osiągną takiż kurs. Właściciele listów 5%-wych tedy tem pewniej na konwersyi zrobią dobry interes, że powszechna jest tendencya skonwertowania wszelkich innych walorów 5%-wych w państwie istniejących na niżej oprocentowane.

Co do stowarzyszonych, to ich korzyści tymczasem nie będą zbyt wielkie. Konwertując obecnie połowę wszystkich listów, Towarzystwo mogło-by zniżyć stowarzyszonym procent tylko o $\frac{1}{4}\%$ w stosunku rocznym. Ponieważ atoli niebawem po przeprowadzeniu obecnej konwersyi należy spodziewać się także konwersyi drugiej połowy listów, więc zniżka stopy procentowej może niezadługo dla stowarzyszonych wynieść $\frac{1}{2}\%$, co już bardziej wchodzi w rachubę. Koszta konwersyi, jak się tego należy spodziewać, nie przeniosą 3^oo. Nadto koszta obecnej konwersyi pierwszej połowy pokryje Towarzystwo z funduszów zaoszczędzonych, tak, iż z tego powodu stowarzyszonym niczego dopłacać nie wypadnie. Jaką część kosztów konwersyi drugiej połowy Towarzystwo bez osobnej od stowarzyszonych dopłaty pokryć zdoła, to się dopiero z późniejszych obrachunków może pokazać. W każdym razie, zniżając procenta od 100 rubli o $\frac{1}{2}$ rubla rocznie za jednorazową zapłatą 3 rubli, Towarzystwo dla stowarzyszonych dobry robi interes.

W drugiej połowie marca faktem doniosłym dla przemysłu kopalnianego w Królestwie Polskiem był zjazd górników w Warszawie. Nie myślimy czytelnika nużyć referatowem sprawozdaniem z obrad; chcemy tylko zaznaczyć parę zasadniczych kwestyi, które mają ogólne znaczenie ekonomiczne, są ściśle związane z potrzebami spożywców całego kraju, tudzież mas pracujących, zarówno z warstw ciemnych, jak i wykształconych. Przemysł kopalniano-hutniczy tak się już dziś rozwinął, że stanowi pierwszorzędny odłam w ogólnej produkcyi fabrycznej; wytworzył on złożoną machinerię pracy i ze swemi interesami związał potrzeby nie tysięcy, lecz milionów ludzi. To też trzeci zjazd nosił na sobie tę cechę szerokich potrzeb. Dziś interesowani przemysłowcy, starając się o rozwój swej działalności materyjalnej, muszą jednocześnie myśleć o najgłówniejszym czynniku tego rozwoju: ułatwieniu pracy masom, zapewnieniu (względnie) ich przyszłości i wytworzeniu pożytecz-

nych sił fachowych. Wreszcie liczą się oni z potrzebami konsumentów, których zdobycie w najodleglejszych nawet zakątkach kraju jest zapewnieniem powodzenia wytwórczości. W tym duchu przedstawiciele zjazdu rozwijali zasadnicze potrzeby. Zażądali oni od dwu kolei, łączących się bezpośrednio z ogniskiem produkcji (Wiedeńskiej i Dąbrowskiej), ułatwienia dopływu robotników do kopalni i zakładów hutniczych. Dziś one korzystają z usług ludności okolicznej, zaledwie w promieniu kilku wiorst. Nie mogąc dać odpowiednich mieszkań na miejscu, wytwórcy korzystają z sił przychodnich. Ale robotnik, przybywający codzień pieszo, może najwyżej dziesięć wiorst dziennie przejść tam i z powrotem, podczas gdy o wiorst kilkanaście ludność wiejska poprzestaje na lichych zarobkach gdzieś w pobliżu, chociaż chętnie poświęciła-by parę miesięcy do roku pracy fabrycznej, gdyby znalazła odpowiednie pomieszczenie u jej źródła. Ponieważ to jest niemożliwe (przynajmniej tak utrzymują przemysłowcy), więc należało-by zrobić inne ułatwienie: uprzystępnąć dopływ robotników za pomocą taniej jazdy kolejowej. Kwestya ta, poruszona na zjeździe, przyjęła względnie pomyślny obrót; obie powyższe koleje, na żądanie interesowanych, wprowadzają od maja specjalne pociągi robotnicze od Częstochowy (kol. Wiedeńska) i od Bzina (Dąbrowska). Czy tylko będą one całkowicie odpowiadały celowi? Fabrykanci żądali codziennego dopływu robotników, zarządy zaś dróg zgodziły się na wysyłanie pociągów z odleglejszych stacji raz na tydzień, tam i z powrotem. Ponieważ w ognisku przemysłem niema odpowiedniego pomieszczenia, rodzi się więc pytanie, gdzie owi przybywający pracownicy mieszkać będą przez cały tydzień. O ile sobie przypominamy, na tę okoliczność nikt uwagi na zjeździe nie zwrócił. Z pracy zatem w głównem ognisku przemysłem korzystać będzie tylko ludność, mieszkająca o wiorst 15—18, gdyż na takiej przestrzeni ułatwienia komunikacyjne będą codzienne. Dla przybywających zaś z dalszych okolic pozostaną tylko skrawki terytorium produkcji. Dopóki więc przemysłowcy nie zdobędą się na odpowiednią liczbę pomieszczeń dla swych pracowników, póty pociągi robotnicze dadzą połowiczne rezultaty. Za granicą sprawa mieszkań dla tej warstwy ma pierwszorzędne znaczenie; jednocześnie pociągi specjalne dla przerzucania na znacznych przestrzeniach armii robotniczych,—to zjawisko powszednie,—przytem głównym jest warunkiem możliwie najtańszy przejazd. W Belgii istnieją bilety, kosztujące za 20 kilometrów jazdy w obie strony 1 fr. 20 cent. tygodniowo. W głębi Rosyi na kilku kolejach wprowadzono już dawniej pociągi robotnicze, z wielkim pożytkiem dla ludności, szukającej zarobków na przestrzeni kilkuset, a nawet paru tysięcy wiorst od ognisk domowych. Udogodnienie, wyjednane przez zjazd, jest dopiero pierwszym w Królestwie.

Oby się tylko nie ograniczyło w przyszłości do ściśle określonej przestrzeni, stosunkowo niewielkiej, dwóch linii kolejowych. Co rok słyszemy skargi na brak robotników w okresie najgorętszych czynności gospodarki rolnej. Jednocześnie na obszarach wyjałowionych, zubożałych, ludność cierpi nędzę i nie może znaleźć zarobków. Wprowadzenie jeżeli nie pociągów specjalnych, to przynajmniej taryfy niższej w takich sezonach na wszystkich kolejach, było-by rzeczą wielce pożądaną.

Ale odbiegliśmy trochę od zjazdu. Drugą sprawą, mającą ogólniejsze znaczenie, było żądanie tańszej taryfy na przewóz węgla dąbrowskiego, nie tylko dla odbiorców Królestwa, ale i Cesarstwa. Obecnie dość wysoka opłata za transport wpływa na drożyznę produktu, ku czemu silnie dopomaga nadto brak dogodnych dróg szosowych i niedostateczna liczba węglarek na kolejach (głównie Wiedeńskiej). Słabość siły przewozowej w ostatnich paru latach odczuli dotkliwie spożywczy w Warszawie i innych miastach zimą, ale jednocześnie spekulanci poczułi przyjemny ciężar swych kieszeni, naładowanych kosztem owych konsumentów, którzy, chcąc nie chcąc, musieli się zgodzić z tem, że przyczyną wygórowanych cen jest droga taryfa i leniwy transport. O ile sądzić można z faktów, wykazanych na zjeździe, warunki te, niepożądane dla wytwórców i zarazem dla ogółu, znikną, zanim górnicy znowu za trzy lata przybędą do Warszawy dla przejrzenia i wcielenia w życie nowych potrzeb, wynikających z rozwoju produkcji.

W szeregu potrzeb, zaznaczonych obecnie, pierwsze miejsce należy się sprawom organizacyi kas dla robotników w zakładach hutniczych i kopalniach. Kasy te, których projekta całkowicie opracowano i rozważono, będą trojaki: emerytalna, dla chorych i—pożyczkowo-wkładowe. Te ostatnie—dla drugiego okręgu górniczego, który zatrudnia ludność, przeważnie osiadłą na roli i szukającą zarobku w fabrykach tylko dodatkowo. Kasy więc, dla niej utworzone, będą miały na celu (jak zapewniają projektodawcy), wyrwanie tych rolników i zarazem pracowników fabrycznych z rąk lichwiarzy i wogóle utrwalenie podstaw zasadniczych ich bytu, t.j. gospodarki rolnej. Dotychczas tego rodzaju kasa istnieje w Przysusze. Będzie ona poniekąd wzorem dla utworzenia innych tego samego typu. Emerytalna obejmie wszystkich pracowników I i II okręgu. Streszczanie jej ustawy uważamy za zbyteczne na tem miejscu. Zaznaczymy tylko, że celem owej instytucyi, jak wogóle wszelkich kas emerytalnych, będzie zabezpieczenie przyszłości pracownikom, którzy stargali swe zdrowie w kopalniach i zakładach hutniczych, tudzież wdowom i sierotom po nich. Charaktery-

stycznym szczegółem ustawy jest ostrożność, mająca na względzie zabezpieczenie funduszów emerytalnych, mianowicie: uczestnicy, mający więcej, niż czterdzieści lat wieku, muszą wnieść dodatkową składkę. Jeżeli zaś przy powtórnym zbadaniu lekarskiem ujawnią się pewne wady organiczne, poprzednio ukryte, członek może być usunięty ze zwrotu składek wniesionych; w razie zatajenia rozmyślnego, składki wcale nie będą zwracane. Wogóle ścisłe badanie lekarskie jest warunkiem pierwszorzędny, od którego zależy przyjęcie pracownika na członka kasy. Surowość taka będzie niewątpliwie korzystną dla utrwalenia podstaw kasy; ale czy jest pożądana dla tych, których ma przyszłość zabezpieczyć? Praca w kopalniach i zakładach hutniczych jest na to zbyt uciążliwa, ażeby ochroniła wielu robotników od nabycia chorób organicznych i przedwczesnego stargania sił. Jeżeli więc będą przyjmowani w poczet członków ludzie, obdarzeni tylko wyjątkowo odpornym zdrowiem,—kasa nie odpowie swemu przeznaczeniu. Robotnik, pomimo wad organicznych, a nawet chorób przewlekłych, niszczących bez ratunku siły żywotne, pracuje częstokroć długie lata z wielkim natężeniem, i chociaż produktywność jego trudów o wiele ustępuje produktywności człowieka zdrowego, przemysłowiec, bądź co bądź, ciągnie zyski z jego mięśni. Czy zatem jest racjonalne odsuwanie go od udziału w kasie emerytalnej?

Dla pracowników również okręgów górniczych I i III powstanie kasa pomocy dla chorych, która, zanim zacznie działać emerytalna, będzie się troszczyła o losy pracowników zniedołężniałych, ich wdów i sierot, a nawet i potem ci, którzy nie wejdą w poczet stowarzyszenia emerytalnego, będą mogli korzystać z kasy powyższej. Głównem atoli jej zadaniem jest udzielanie zapomóg w razie choroby, najdłużej podczas trzymiesięcznego jej trwania, w wyjątkowych zaś razach — przez pół roku. Kasa opłaca koszt leczenia w domu lub w szpitalu, udziela odpowiednich sum na pogrzeby. Z jej pomocy nie mogą tylko korzystać ci, którzy utracili zdrowie pod wpływem pijaństwa, rozmyślnego narażania się, lub bójki, wynikłej z winy uczestnika kasy. Tak więc zjazd górniczy zajął się szczerze sprawą organizacji takich instytucji, których brak dotychczas w wielkim ognisku produkcji był zjawiskiem nienormalnem.

Przemysłowcy za pośrednictwem swych przedstawicieli wyrazili także na zjeździe potrzebę wytworzenia na miejscu odpowiednich szkół fachowych, bez których pomyślny rozwój produkcji kopalniano-hutniczej jest niemożliwy. Interesowani mają już od paru lat szkołę sztygarów na swoje potrzeby, ale właśnie praktyka ujawniła wiele braków

w programie nauki. Otóż głównie chodzi o usunięcie tych braków, które szeroko wykazał inżynier i profesor rzeczonej szkoły, p. Kontkiewicz. Za granicą tego rodzaju zakłady naukowe bardziej są zgodne z wymaganiami przemysłu. Wychowaniec, dostatecznie przysposobiony teoretycznie i praktycznie, odrazu wchodzi w wir pracy i staje się ruchliwym kółkiem w ogólnej machinerii przemysłowej. Główną wadą szkoły dąbrowskiej jest to, że ma okres nauki za długi, t. j. czteroletni, podczas gdy przedmioty, wykładane wraz z zajęciami praktycznymi, nie pochłaniają dużo czasu. Każda klasa ma po 20 lekcji tygodniowo, z których zaledwie 16 wymaga przygotowywania w domu. Godzin, wymagających pewnego natężenia umysłu, jest przeciętnie cztery dziennie, czasem zaś jedna lub dwie. Gdy się weźmie do tego w rachubę znaczną liczbę świąt, trudno nie przyznać, że nauka jest lekka, i że rozkładanie jej aż na cztery lata nie przynosi korzyści, lecz oczywistą stratę. Uczniowie obowiązani są pracować w warsztatach, z powodu wszakże ciasnego pomieszczenia, korzystają z nich tylko dwie niższe klasy; uczniowie zaś wyższych zajmują się doświadczeniami z niektórych tylko specjalnych przedmiotów. Nie są to wszakże roboty stałe, codzienne. Zredukowanie okresu nauk do lat trzech po 26 do 30 godzin tygodniowo wcale nie obarczyłoby młodzieży, a dałoby jej możliwość wcześniejszego przystąpienia do pracy produkcyjnej. Warsztaty obecnie nie przynoszą istotnego pożytku z tego względu, iż są za ciasne, nauka zaś jest prowadzona przez prostych majstrów, przytem niema wcale określonych wymagań w tym względzie. Zresztą dla sztygarów nie jest potrzebna praktyczna znajomość rzemiosł, gdyż to należy do specjalnych mechaników i majstrów ze stosownem wykształceniem praktycznem. Uczniowie zaś oddziału fabrycznego o wiele pożyteczniej mogą praktykować w fabrykach, gdzie jest obszerniejsze pole do nauki. P. Kontkiewicz utrzymuje, iż jeden rok takiej praktyki więcej może uczniowi przynieść korzyści, niż czteroletnia nauka rzemiosł w warsztatach szkoły. Rzemiosła zatem powinny być zupełnie usunięte z programu zakładu, środki zaś na to używane dotychczas posłużyły-by na wzmocnienie wykładu przedmiotów specjalnych. Wielką jest wadą również rozłożenie na cztery lata przedmiotów w ten sposób, że uczniowie niższego kursu (dwóch klas) nie otrzymują specjalnego wykształcenia i nie są wcale przysposobieni do pracy zawodowej. Ponieważ wychowawcy tego kursu posiadają przeważnie mierne zdolności, lub wcale nie są zdolni do przyswojenia przedmiotów specjalnych, wykładanych w dwu wyższych klasach, więc albo muszą zakład opuszczać z pewnem rozczarowaniem, albo (co się dotychczas przeważnie praktykowało), zarząd szkoły musi ich promować wyżej, również z małym pożytkiem. Tym sposobem w przyszłości mogły-by się wytworzyć sze-

regi pracowników, mniej niż miernych, pomimo świadectwa szkolnego, podczas gdy rozdzielenie wykładów na dwa odrębne kursa z zaokrągleniem nauki specjalnych stworzyła-by dwie kategorie równie pożytecznych pracowników. Mniej zdolni stanęli-by na niższych, zdolniejsi—na wyższych szczeblach górnictwa. Taki podział istnieje w szkołach górniczych za granicą, a o pożyteczności pracy ich wychowawców dostatecznie przekonała praktyka. Do szeregu wad zakładu dąbrowskiego należy także zły dobór kandydatów. Do szkoły garnie się młodzież z rozbitków gimnazjalnych, zniechęconych pierwszym niepowodzeniem. Wręcz co innego mieli na myśli przemysłowcy miejscowi w chwili powstania szkoły; spodziewali się oni, że do niej podąży młodzież z rodzin górniczych, że fach przejdzie niejako dziedzicznie na pokolenie następne, z tą różnicą, iż bardziej ono odpowie wymaganiom udoskonalonej i wzmożonej produkcji. Oczekiwania zawiodły, ale mogą być w przyszłości urzeczywistnione. Do tego pożądanym jest surowszy wybór kandydatów i zwiększenie wymagań względem praktyki uprzedniej. Ażeby młodzież miejscowa mogła korzystać ze szkoły, potrzebna jest nadto zmiana przepisów co do wieku; obecnie minimalny 15 lat i maksymalny 20, jest wielką przeszkodą. Miejscowa młodzież z warstw robotniczych nie zawsze się może przygotować do szkoły przed 20-ym rokiem, uprzednia zaś praktyka, dość ciężka, była-by szkodliwą dla młodzieńców przed piętnastym rokiem życia. W końcu pożądanym jest nadanie szkole pewnych przywilejów pod względem służby wojskowej, mianowicie odroczenie tej powinności przynajmniej do 24 roku życia. Takie wypowiedziano na zjeździe żądania, które, przychylnie przyjęte przez wszystkich uczestników, będą przedstawione wyższej władzy do zatwierdzenia. Można więc oczekiwać, iż wkrótce szkoła dąbrowska na wzór zagranicznych będzie przekształcona w duchu potrzeb istotnych. Interesowani przemysłowcy twierdzą, że według powyżej wyłożonego programu przysposobieni fachowcy mogą z czasem wyprzeć cudzoziemców, którzy dotąd zapełniają tutejsze kopalnie i zakłady hutnicze.

Wobec napływu fachowców zagranicznych, z którymi nie możemy sobie dać rady, system protekcyonizmu, ale w znaczeniu zjawiska ekonomicznego, mile będzie widziany przez liczną rzeszę interesowanych. Wkrótce podobno technicy obcokrajowi będą poddani surowym ograniczeniom. Jeżeli zechcą korzystać z pola pracy w obrębie państwa rosyjskiego, będą musieli zdawać, pomimo swych dyplomów, egzamin w russkich zakładach naukowych. Wielu wytrwałych i zdolnych podda się temu rygorowi z zupełną rezygnacją i ufnością w swe siły. Ale w każdym razie będzie to dla nich pewna zwłoka i mitręga,

dla ogółu zaś napływających z zagranicy specjalistów stanie się hamulcem, na czym skorzystają oczywiście krajowcy. Będzie to niejako opodatkowanie pracy, przyływającej z obczyzny, na rzecz sił miejscowych.

Wogóle w ostatnich czasach daje się spostrzegać dążność do uregulowania stosunków fabrycznych, wygładzenia nierówności, o które bieg interesów i pracy zawadza. W tym celu przedsięwzięto reformę inspekcji; ażeby mogła ona skutecznie działać, konieczne jest powiększenie liczby uczestników, których obecnie jest tylko 99 na całe państwo, co niezmiernie utrudnia dozór nad zakładami przemysłowemi. Zwiększenie atoli personelu nie stanowi jeszcze istotnej reformy. Rdzeniem jej jest uwolnienie tak zwanych mechaników gubernialnych od stosunków materyalnych z fabrykantami. Dziś przemysłowcy wynagradzają trud owych dozorców działu maszynowego i kotłów parowych, skutkiem czego dzieją się nadużycia, bądź w przekroczeniu granic górnictwa, bądź niedociągnięciu do nich obowiązków przyjętych. Wymownem tego świadectwem jest świeży straszny wypadek w Łodzi, — wybuch kotła parowego, który pozbawił życia kilku pracowników, a kilku innych obdarzył kalectwem. Okazało się, iż przyczyną katastrofy było niedbalstwo, lekceważenie życia i zdrowia ludzkiego. Nie pierwszy to i nie ostatni wypadek. Prawie co rok tu i owdzie powtarza się tego rodzaju katastrofa, co tem smutniejsza, iż istnieją środki, jeżeli nie całkowitego usunięcia niebezpieczeństwa, to przynajmniej procentowego ograniczenia. Chodzi tylko o powierzenie kotłów fachowcom sumiennym, nie zaś, jak bywa dotąd, prostym palaczom, a nawet wyrostkom. Za granicą utworzyły się towarzystwa dozoru nad kotłami parowemi i od chwili ich działania liczba wybuchów znacznie się zmniejszyła. U nas przesunęło się już dużo... projektów w tym względzie, dużo wyrażono zapału i uznania dla takich organizacji zagranicznych... Dziwnym zbiegiem okoliczności, zapowiedziano reformę nadzoru technicznego przed samą katastrofą w Łodzi. Oby ten straszny wypadek stał się bodźcem do rychłego wprowadzenia w czyn od dawna, pożądanых reform.

Główną myślą przewodnią prawodawców jest zabezpieczenie zdrowia i życia warstw pracujących, tudzież bytu materyalnego w razie kalectwa, otrzymanego przy pracy. Ten ostatni warunek da się załatwić za pośrednictwem przymusowej asekuracji od nieszczęśliwych wypadków. Taką drogą można utrwalić nie tylko racjonalne „odszkodowanie,” ale usunąć zbyt częste nieporozumienia i zatargi sądowe między pracodawcami i pracownikami. Ubezpieczenie atoli w formie jednoli-

tej, stałej organizacji nie jest łatwe do wprowadzenia. Dużo przedtem trzeba odbyć prób wstępnych, dużo nagromadzić danych statystycznych. Sprawa jednak jest pilna i każda zwłoka w tej mierze przynosi nieobliczone straty i krzywdę setkom ludzi. Wobec tego całkiem słuszny jest pomysł obrania drogi pośredniej, która chociaż w części złagodzi to złe, jakie już się stało rzeczą powszednią. Środkiem tym będzie wydanie przepisów o odpowiedzialności fabrykantów i właścicieli zakładów przemysłowych za śmierć lub kalectwo robotników. Odpowiednia ustawa jest już opracowana i w chwili obecnej poddano ją roztrząsaniu sfer ministeryalnych; można zatem wnosić, że po szybkim i wszechstronnem rozważeniu wejdzie w wykonanie. Oto jest osnowa tych przepisów: Właściciele fabryk, zakładów przemysłowych, warsztatów, kolei żelaznych, kopalni, przedsiębiorstw budowlanych, w razie śmierci, kalectwa lub innych uszkodzeń na zdrowiu („chorób profesjonalnych“) ludzi, pracujących w danym zakładzie, obowiązani są wynagrodzić osobę poszwankowaną, lub jej najbliższą rodzinę. Odpowiedzialność nie spada na właścicieli tylko w tych wypadkach, jeżeli potrafią dowieść, iż jedyną przyczyną nieszczęścia były: siła wyższa (zewnętrzna lub żywiołowa), przestępstwa osób trzecich, nie mających nic wspólnego z przedsiębiorstwem, i wreszcie—wyłącznie własna wina, lub działanie poszkodowanego z rozmysłem. Jeśli przyczyną nieszczęśliwego wypadku jest wspólna wina właściciela przedsiębiorstwa i robotnika, wówczas przypadająca według prawa emerytura może być zmniejszona w stosunku $\frac{3}{4}$ — $\frac{1}{2}$ normy, stosownie do mniejszej lub większej winy poszkodowanego. O wszelkim nieszczęśliwym wypadku właściciel powinien niezwłocznie zawiadomić policję dla sporządzenia odpowiedniego protokołu. Wysokość wynagrodzenia zależy od stopnia poszwankowania i obliczana będzie procentowo od rocznej pensji robotnika za czas ostatni. W razie kalectwa, albo uszkodzenia, które pociąga za sobą chwilową lub stałą niezdolność do pracy, właściciel przedsiębiorstwa obowiązany jest zwrócić osobie poszkodowanej wydatki na kurację i wszelkie straty materyalne, chwilowe lub stałe. Następnie, w razie zupełnej niezdolności do pracy, właściciel powinien zapewnić robotnikowi emeryturę w rozmiarach ostatnio pobieranych zarobków rocznych. Jeżeli robotnik może jeszcze pracować, przedsiębiorca zapewnia mu dożywocie, odpowiednio zmniejszone. Poszkodowanym robotnikom małoletnim udzielane będzie wynagrodzenie aż do pełnoletności, według normy zarobku w chwili wypadku, następnie,—według skali, obowiązującej dla osób starszych. Wrazie śmierci osoby poszkodowanej, bezpośrednio po wypadku lub potem, wskutek jednak odniesionych uszkodzeń, wynagrodzenie, obok zwrotu kosztów kuracji, powinno obejmować: zwrot kosztów pogrzebu do 20 rs. dla dorosłych

i do 10 rs. dla małoletnich; wynagrodzenie materyalnych strat osób, których utrzymanie należało do obowiązków zmarłego i które istotnie mogą się znaleźć w nędzy. To ostatnie powinno być wydawane według skali następującej: wdowie lub wdowcowi, pozbawionym zdolności do pracy,—dożywocie w stosunku 30% zarobku. Zasiłek ten przestaje obowiązywać z chwilą, gdy dana osoba powtórnie wstępuje w związki małżeńskie. Dla dzieci małoletnich (każdemu osobno) dożywocie w stosunku 15% zarobków za życia jednego z rodziców i 20% w razie zupełnego sieroctwa. Rodzicom zmarłego — dożywocie 15% zarobku nieboszczyka (dla obojga 30%). Wszystkie dożywocia dla rodziny poszkodowanej razem wzięte nie mogą przewyższać 60% zarobku robotnika zmarłego, przyczem rodzina z linii wstępnej ma pierwszeństwo. Układy pomiędzy stronami są dobrowolne i nie mogą w przyszłości podlegać zaprzeczeniom, jeżeli są zatwierdzone przez sędziego pokoju lub najbliższego naczelnika ziemskiego. Ci ostatni powinni nie dopuszczać takich układów, które jawnie krzywdzą jedną ze stron.

U nas ruch w zakresie wszelkiego rodzaju ubezpieczeń w ostatnich czasach dość się ożywił (przynajmniej w projektach), nie można jednak się spodziewać zbytnej pośpieszności do naśladowania Towarzystwa niemieckiego, asekurującego zarobki (o którym pisaliśmy w kronice poprzedniej), tembardziej, że ta forma ubezpieczeń i za granicą jest dopiero zamiarem, my zaś możemy przyjmować z jaką taką ufnością wszelkie urządzenia społeczno-ekonomiczne i udoskonalenia kulturalne lub techniczne dopiero po dostatecznem wypróbowaniu na Zachodzie. Nie brak nam wszakże samodzielnych pomysłów, które czasem bywają zastosowywane w życiu. Może-by więc i tym razem interesowani zechcieli skorzystać z projektu p. E. Dutlingera (podanego w „Przeglądzie Tygodniowym”). Radzi on naszym stowarzyszeniom, ażeby zechciały samoistnie ubezpieczać posady swych członków. Towarzystwa subjektów (chrześcian i żydów) liczą w Warszawie razem 1,500 członków. Gdyby więc każdy z nich płacił tylko rs. 12 rocznie, zebrało-by się 18,000 rs., za które można w ciągu roku 50-ciu członków utrzymać. Znaczna atoli część pozbawionych zajęcia nie czeka rok cały na nową pracę, a więc suma powyższa dała-by możność utrzymania o wiele większej liczby osób w chwilach krytycznych. Takie wzajemne ubezpieczenie, jak słusznie zwraca na to uwagę projektodawca, może mieć jeszcze inną dobrą stronę, mianowicie: pobudzić stowarzyszenie do większej ruchliwości około rozwinięcia biur informacyjnych, co dało-by możność tracącym posady otrzymywania nowych zajęć w bardzo krótkim czasie. Te jednak biura są dotąd tylko teoretyczną przynależnością naszych stowarzyszeń, podczas gdy za granicą działają one świetnie. W łonie towa-

rzystw subjektów niemieckich najważniejszym zadaniem jest wyszukiwanie posad dla swych członków, nie tylko w granicach danej prowincji lub kraju, ale nawet w całej Europie i w innych częściach świata, wszędzie gdzie tylko zadrzała cywilizacja i kultura, gdzie się budzi życie ekonomiczne z szeregiem typowych swych potrzeb. Każde stowarzyszenie utrzymuje nieustanną korespondencję ze wszystkimi krańcami świata, kołace o możliwie najdokładniejsze informacje o posadach wakujących i w zamian rekomenduje swych członków. Tym sposobem handlowcy niemieccy rozsypują się po całej kuli ziemskiej, ku własnemu i swych pracodawców zadowoleniu.

Gdyby tym ruchliwym pracownikom powiedziano, że u nas można bardzo często czekać po lat parę na posadę, że nawet ludzie z największymi zdolnościami i „chlubną rekomendacją” kołacą bezowocnie przez długie lata o najlichsze zajęcie, podczas gdy sprytni bez wykształcenia kandydaci umieją zajmować korzystne placówki — nie dali-by nam wiary, oni, którzy przecież i tutaj znajdują dobre posady przy pomocy swych biur informacyjnych. Ale tam wszystko zależy na pośpiechu i dokładności. U nas jedno z drugim w parze iść nie może, chyba jeżeli chodzi o zorganizowanie zabawy. Nie dowodzi to jednak bynajmniej, ażeby stworzenie instytucji wywiadowczych było czemś niedoścignionem. Trochę więcej sprężystości (której pono mamy dużo... w nogach), więcej wnikania w potrzeby ogólne i pamiętanie o tym prostym morale, którego nas w szkołach uczą: „Dziś — nie jutro!” Odwracanie tej zasady na każdym kroku w życiu praktycznym bodaj iż jest największym źródłem niepowodzeń i w najlepszym razie — ostatniego dobiegania do mety. Krótkotrwały zapal i niejedną szczyptę dobrych chęci widzieliśmy już nieraz, zarówno w łonie subjektów handlowych, jak innych instytucji. Postarajmy się ten zapal rozdmuchać, a chęci w czynie utrwalić.

Nie wielkim zapalem warszawska publiczność obdarzyła wogóle odczyty na rzecz osad rolnych i Towarzystwa dobroczynności, pomimo, iż w roku bieżącym treść ich była dość ponętna i urozmaicona. Nieraz już zastanawialiśmy się nad tem, co wpływa na zubożenie ogółu względem prelekcyi publicznych, więc i w sezonie obecnym chcieliśmy na mocy spostrzeżeń dojść do pewnych wniosków. Otóż z szeregu odczytów przedświątecznych (na Osady rolne), największym powodzeniem cieszył się dr Julian Ochrowicz. Co tu było czynnikiem przyciągającym: imię, czy temat? Zdaje mi się, że po trosze pierwsze, a najbardziej drugie. Prelegent mówił o tajemnicach kapłanów egipskich, wyłożył szereg zjawisk, uznawanych w starożytności za nadprzyrodzone, prze-

prowadził paralełę między dawnymi kuglarstwami, leczeniem, przepowiedniami, z obecnym hypnotyzmem i spirytyzmem. Słowem, dotknął przedmiotu, który wśród ogółu inteligentnego budzi dzisiaj powszechne zainteresowanie i popycha do prób dyletanckich i bardziej zapala profanów, niż uczonych. Ogólne zajęcie się tą dziedziną zjawisk tajemniczych nietylko się ujawnia na „seansach” salonowych, ale w literaturze i prasie. Mamy już parę dzieł w tym zakresie, przyswojonych z obcej literatury, czytaliśmy szereg artykułów w poważnych tygodnikach; w końcu miarą zaprzętania umysłów tą sprawą jest przejście jej na szpalty przystępnej prasy codziennej. W „Kuryerze Warszawskim” Hajota spopularyzowała wyniki doświadczeń, dokonanych przez kilku uczonych na słynnej Eusapii. Ostrożność i oględność Richet’a w wypowiadaniu wniosków powinny być pewnym regulatorem zapалу tych, których umysły całkowicie i bezkrytycznie zawiadnął spirytyzm i stał się poniekąd sportem niezdrowym i niebezpiecznym.

Oto dlaczego odczyty Ochorowicza miały powodzenie. Natomiast rażące pustki panowały w sali ratuszowej podczas pięknej i ciekawej prelekcji p. Edmunda Jankowskiego, który przedstawił obraz człowieka w otoczeniu świata roślinnego. I nic dziwnego; wpływ apostołowania w zakresie ogrodnictwa ujawnia się u nas bardzo powoli, a prawdziwym zamiłowaniem w świecie przyrody odznacza się niewielka garstka inteligencji. Wreszcie najwięcej liczył słuchaczy p. Boguski, który swój odczyt wielce zajmujący o aluminium ubarwił licznymi doświadczeniami, przykładami i obrazami uiknącemi. Otóż zestawienie tych trzech przedmiotów i stopnia zainteresowania się nimi, daje nam możność wyprowadzenia wniosków, może nie bardzo dalekich od prawdy. Najmniej przyciągają publiczność takie kwestye, które mało lub niczego nie uczą, lecz służą głównie dla chwilowej rozrywki, jak np. przerzucanie ilustracyi w cukierni; większe budzi zainteresowanie dziedzina, pochłaniająca w danej chwili powszechną uwagę; wreszcie najwięcej liczą zwolenników takie wykłady publiczne, które, oprócz możliwości zaciekawiania i formy pojętnej, urozmaiconej, mogą istotnie dużo nauczyć nietylko tych, którzy posiadli wiedzę średnią, ale nawet uniwersytecką. Na podstawie takich spostrzeżeń należało-by zreformować prelekcye publiczne, a przynajmniej, obok dotychczasowych, bądź-co-bądź interesujących pewien odłam słuchaczy, pożądane było-by urządzenie systematyczne oddzielnej grupy odczytów, których treść służyła-by do uzupełnienia wiedzy, a pojętna forma spełniła-by rolę sosu, ułatwiającego przełknięcie suchego, lecz pożywnego kęsa strawy.

Obok odczytów na dwie powyższe instytucje filantropijne, zapowiedziano szereg prelekcji na korzyść Towarzystwa opieki nad zwie-

rzędami. Wyciskaniem ofiar w ten sposób z kieszeni ogółu zajmie się stowarzyszenie kobiet, istniejące od 22 kwietnia 1890 roku przy warszawskim oddziale rzeczowego Towarzystwa. Reprezentację tego „koła“ stanowi „komitet damski,“ złożony z 11-tu osób, wybieranych na lat trzy. Głównem zadaniem owej gromadki niewieściej jest: wzbudzenie, szczególnie w prostym ludzie, współczucia dla zwierząt przez ogłaszanie drukiem i bezpłatne rozdawanie książek, w tym celu pisanych. Za skromny fundusz komitet roku zeszłego zakupił i rozdał 67 egzemplarzy takich książeczek ludowych, t. j. najlepsze wydawnictwa, jakie u nas w tym zakresie istnieją: „Nasi przyjaciele i wrogowie wśród ptaków“ Wodzickiego i Taczanowskiego; „Ratowanie bydła odętego“ K. Dulęby; „O wściekłości“ d-ra Bujwida; „Kret, jeż i nietoperz,“ „Podarunek dla młodzieży“ M. Brzezińskiego; „Pocziwy Marcin i Felek niecnota,“ przez Antoszkę i inne. Dla zwiększenia na ten cel funduszków, komitet, jakśmy rzekli, urządza szereg tanich odczytów popularnych, treści mniej więcej pokrewnej z dążnością i zadaniami Towarzystwa. Obok zatem chęci zebrania funduszków, zjawia się jednocześnie dążność szerzenia za pośrednictwem żywego słowa współczucia dla zwierząt. Udział w odczytach dotychczas przyrzekli: dr O. Bujwid, J. Ochorowicz, E. Jankowski i A. Palmirski (przyrodnik). A więc prelekcyje te będą miały trzy zasadnicze zalety: dobrych prelegentów, popularność i — taniość. Organizatorowie tych pogadanek rachują na warstwę robotniczą i rzemieślniczą, wogóle na lud miejski; w tym celu prelegenci będą zabierali głos w niedziele i dni świąteczne, komitet zaś poleca odczyty uwadze zakładów fabrycznych, warsztatów rzemieślniczych i gospodyń. Oczywiście taka droga może być skuteczniejszą w zjednywaniu słuchaczy, niżeli ogłoszenia za pośrednictwem pism, niezawsze czytanych przez warstwy rzeczono. Ale czy tylko temat odczytów nie będzie zanadto jednostronny? Obok budzenia współczucia dla zwierząt, należało-by dać słuchaczom coś, co-by rozszerzało zaciężniony widnokrąg ich umysłu i jednocześnie ułatwiało pochód w życiu praktycznem. Przeciężny rzemieślnik rad-by usłyszeć o postępach w tej dziedzinie, którą uprawia, chętnieby przyjął teoretyczne wskazówki dla uzupełnienia nauki, nabytej praktycznie w sposób najpierwotniejszy. Prawda, iż o prelegentów w tym zakresie dość jest u nas trudno; ale gdybyśmy starannie poszukali, kto wie, czyby się nie znalazło paru. Rzeczono odczyty miały się pierwotnie odbyć w sezonie wiosennym; ale ponieważ zajęte już są wszystkie sale, odłożono je więc na jesień i, zdaje się, ta pora roku będzie o wiele właściwsza. Wiosna bowiem nie usposabia mieszkańców miasta do zamykania się w sali chociażby na jedną godzinę, tem bardziej, że ową chwilę, wolną od zajęć, podczas ciepła i pięknej pogody każdy chętnie zużytkował-by na przechadzkę.

Taka już natura ludzi, skrępowanych obowiązkami, i niepodobna ich za to potępiać. Zważmy tylko, w jakich warunkach toczy się ich życie codzienne.

Miasta się rozrastają w górę, w szerz, znikają w nich resztki ogrodów prywatnych, a na ich miejscu budowane są z gorączkowym pośpiechem gmachy kilkopiętrowe, dopływ powietrza świeżego i światła coraz bardziej jest utrudniony. Przeciętny mieszkaniec, przykuty obowiązkami do murów miejskich, nie zawsze nawet może widzieć skrawek nieba nad głęboką, wąską studnią, zwaną podwórzem kamienicy. Płuca działają coraz słabiej, krew coraz wolniej krąży, wzrok, zmęczony półmrokiem i pracą, nie może znosić obfitych promieni. Jeżeli zaś krew zagra żywiej w żyłach takiego mieszcza, a blade policzki się zaróżowią i przygasły, matowy wzrok nabierze blasku, to tylko pod wpływem podnieć gorączkowego, nienormalnego życia, jakie się w miastach zogniskowało. Organizmy silne na czas dłuższy zachowują odporność, nie dają się łatwo opanować tej gorączce, wiecznie trawiącej. Ale słabsze natury, czyli znaczna większość mieszkańców miejskich, po wyczerpaniu nerwowem w chwilach reakcji, wzdychają za ciszą i spokojem, za świeżem powietrzem. Dla wielu te dary przyrody są niedoścignione, od lat dzieciennych do późnej starości nie wychylają oni głowy o parę wiorst po-za rogatki, za ten pierścień cuchnącej okolicy podmiejskiej, szkodliwszej dla zdrowia, niż hałaśliwy, ściśnięty murami środek miasta. To też tysiące ludzi w Warszawie wita z wielką radością wiadomość o przedłużeniu zamiejskich linii tramwajowych. Dadzą one możliwość dorywczego czerpania powietrza i korzystania z darów wsi, o ile ich miasto w znacznym promieniu nie spaczyło. Za granicą nawet miasta mniejsze podtrzymują bezustanną łączność ze wsią za pośrednictwem wygodnej szybkiej komunikacji. Dzięki temu, mieszkańcy tamtejsi odznaczają się większą, niż Warszawiacy, ruchliwością i większy zasób zdrowia noszą w swych organizmach. Dla tamtych wycieczka kilkamilowa, chociażby parę razy na tydzień, jest drobnostką, gdy dla nas podróż do Willanowa (mówię o warstwie średniozamożnej ludzi pracujących), chociażby raz na miesiąc, niemal się równa czynowi bohaterskiemu. Nie bierzemy tu w rachubę letnich mieszkań, które więcej męczą, niż krzepią skołatane głowy rodzin, więcej im przysparzają kłopotu i trosk, niżeli dają spokoju. Zresztą znane są warunki większości naszych mieszkań letnich, których suma niewygód i urządzeń niehygienicznych częstokroć gorzej wyczerpuje, niż całoroczny pobyt w mieście. Chodzi nam głównie o tych, którzy, pozostając w murach miejskich z całymi rodzinami w sezonie kanikularnym, radzi-by od czasu do czasu

wyjrzeć z tego pieca rozpalonego, z powietrzem przesyconem wyziewami i kurzem. Długie pociągi spacerowe, zawsze przepełnione, parostatki, przeładowane ludźmi aż po brzegi, wymownie świadczą, jak dalece mieszkańcy miejscy pożąдают wydobycia się, chociaż na krótko, po-za mury. Ci jednak „spacerowicze“ stanowią zaledwie małą część ogółu, chcącego korzystać z tych czynników odżywczych, których ani na targach, ani w sklepach nabyć nie można. Wycieczki świąteczne zanadto są gorączkowe i przy nadzwyczajnym tłoku częstokroć dają się zdobyć tylko przebojem, zresztą dla rodzin niezamożnych, złożonych z kilku osób, stanowczo za drogie; gdy tymczasem przedłużenie linii tramwajowych z zastosowaniem niskiej opłaty dało-by możność korzystania z wycieczek zamiejskich nietylko w dni świąteczne. Ludzie, zmęczeni pracą przedpołudniową, mogli-by na schyłku dnia odechnąć na świeżem powietrzu zdala od gwaru, wyziewów i kurzu. Ale i tym razem przeprowadzenie linii do Jeziorny, lub gdzieś po-za Pragę, stanowić będzie dzieło w części tylko załatwione. Wtedy tylko komunikacja tego rodzaju będzie odpowiadała istotnym potrzebom, gdy za motor użyje siły pary lub elektryczności. Będzie to licować z gorączką życiową wielkiego zbiorowiska ludzkiego i da możność jego członkom zużytkowania każdej chwili wolnej na korzyść własnych sił. Ileż w obecnych warunkach trzeba czasu stracić, zanim się dostanie o kilka wiorst za miasto!

W tym ciągle wzrastającym pośpiechu produkcji materyalnej i umysłowej mózg ludzki coraz bardziej pracuje nad osiągnięciem idealnej szybkości pod każdym względem. Dla Amerykanina, który w swym rozwoju kulturalno-społecznym potworne skoki robi, pociągi już chodzą za wolno, telegrafy działają zbyt opieszale, maszyny drukarskie nie tak pośpiesznie wyrzucają miliony dzienników na świat, jak tego paląca niecierpliwość żąda. Marzą więc o zużytkowaniu i w tym ostatnim względzie niewyczerpanych zasobów światła fizycznego, które pozwoliło-by kreslić świetlne zgłoski w powietrzu, ogłaszać ważne fakta lotem błyskawicy dla tłumów. I my, chociaż w skromnych rozmiarach, korzystamy z wynalazczości amerykańskiej, reformującej w ostatnich latach warunki komunikacyjne. Jakież ogromne ulgi oddały już nam telefony, ile się spraw ważnych załatwia, ile czasu się zyskuje przy pomocy tych niepozornych aparatów! Nie wszystkim atoli wolno jeszcze korzystać z tego dobrodziejstwa. Telefony w każdej chwili są dostępne dla kupców, fabrykantów, przedsiębiorców, redakcyi i wogóle ludzi zamożnych, którzy mogą być abonentami tego środka porozumiewania się. Zdawało-by się, że już po kilku latach eksploatacyi można było-by zni-

żyć kosztu posiadania telefonów z korzyścią dla przedsiębiorstwa. Tymczasem, gdy Warszawa na próżno z upragnieniem oczekuje tego udogodnienia, prowincja ją zawstydzą, gdyż bardziej jest skłonna do wnioskowania w potrzeby ogółu. W miastach bowiem podrzędniejszych abonament telefonowy o wiele jest tańszy, niż tutaj. Jeżeli to jest rzeczą niedoścignioną dla Warszawy i nie zgadzającą się z wyrachowaniem przedsiębiorców, — dlaczego o innym udogodnieniu nie pomyślano — o założeniu stacji telefonowych w różnych punktach miasta? Każdy, komu czas drogi, bardzo chętnie zapłacił-by za rozmowę parę kopiejek, a niewątpliwie takich interesantów znalazły-by się nie setki, ale tysiące. Nieuwzględnienie tego rodzaju potrzeb ogółu jest u nas powszedniem zjawiskiem.

Z dniem każdym potęgująca się gorączka życia miejskiego nie tylko trawi powoli siły ludzkie; czasem zabiera nagle życie wielu istot, szczególnie tam, gdzie główną sprężyną pośpiechu jest spekulacja. Owo fatalne znamię chwili, wrastające w duszę setek przedsiębiorców, w ostatnich czasach silnie się ujawniło w budowaniu domów. Miasta, szczególnie przemysłowe, nadzwyczaj szybko się rozszerzają, tak dalece, że kto ich dwa lata lub nawet rok nie widział, wielu dzielnic nie pozna; tam, na pustych przedtem placach, piętrzą się olbrzymie kamienice i gmachy przemysłowe, ówdzie zniknął szereg lichych lepianek, a natomiast wyrosły szerokie, nowe ulice, o pięknych frontach kilkopiętrowych. Tysiące mieszkań szczelnie się wypełniły rdzennymi mieszkańcami i falą przybyszów z różnych krańców świata. Całe miasto upstrzone rusztowaniami, na których się kręci mrowie ludzkie i lepi te schronienia, mające w sobie mieścić (każde z osobna) tylu mieszkańców, ilu nieraz spora wioska posiada. Te gmachy, wyrastające w ciągu kilku tygodni letnich, nie zawsze są trwałe i bezpieczne. Dzisiaj więcej jest takich przedsiębiorców, którzy budują po to domy, ażeby je prędzej lub później sprzedać. Czy więc lokale będą wygodne, czy liche fundamenta osiadą i cienkie ściany się zarysują, o to im nie chodzi. Im bardziej niedbale jest kamienica zbudowana, tem prędzej starają się ją zbyć. Tym sposobem domy miejskie częstokroć dzielą losy monety zdawkowej fałszywej: kto ją otrzyma, a przekona się, że jest niedobłą, stara się co prędzej zepchnąć komu innemu. Tak samo właściciele lichych kamienic szybko się zmieniają, aż w końcu będzie taki, który musi bądź przerobić nabytą nieruchomość, bądź ją sprzedać na materiał budowlany. Owocem takiej spekulacji była niedawno katastrofa w Łodzi; w nowowzniesionej kamienicy runęła ściana i pod swemi gruzami pogrzebała kilku robotników. Ów dom, należący do niejakiego Chaima Bławata, posiadał już

szyby, prawie wykończone sufity, podłogi i piece. Na frontowej ścianie przybito nawet szyld „handlu win,” a więc wkrótce mieli tam ludzie zamieszkać. Na parę tygodni przed katastrofą komisya budowlana uznała dom za niebezpieczny. Właściciel jął pośpiesznie wzmacniać gmach zagrożony, no, i nie zdążył uczynić tego pomyślnie. Tak smutny wypadek powinien być przestrogą dla innych przedsiębiorców, a sfery właściwe zapewne skłoni do wydania odpowiednich przepisów, wkładających surową odpowiedzialność na spekulantów za budowanie tego rodzaju kamienic. Zanim to nastąpi, kontrola niewątpliwie będzie wzmocniona z rozpoczęciem niniejszego sezonu budowlanego, a gmachy, zbudowane poprzednio, podlegną ścisłej rewizyi.

Taka już kolej rzeczy, iż wypadki, zabierające zdrowie i życie ludzkie, stają się przyczyną forsownego naprawiania warunków w danym zakresie. To samo jest z epidemią i bezpieczeństwem na drogach żelaznych. Po każdym rozbiciu się pociągu ogół zyskuje na jednej cegielce, podłożonej pod gmach bezpieczeństwa publicznego. Tak więc ciała ludzkie stają się tym fundamentem, po którym szczęśliwsi śmieiej mogą stąpać, aż natrafią na nową rozpadlinę, jeszcze nie wyrównaną... kośćmi połamaniami. Wiadomo, iż największy procent katastrof na kolejach żelaznych wynika ze złego stanu mostów i z omyłek w nastawianiu zwrotnic. Dzisiaj mosty podlegają sumiennej kontroli, a nadzór nad zwrotnicami zwiększono groźbą surowej odpowiedzialności, i możeby ten ostatni środek był istotnie zbawienny, gdyby nie ta prosta przeszkoda, że nad zwrotnicami czuwają ludzie czasem bez przerwy przez kilkanaście godzin, znużeni, wyczerpani bezsennością. O ile pamiętamy, prawie po każdym wypadku, wynikającym ze złego nastawienia zwrotnicy, ujawniono... senność zwrotniczego, która ma tę zasadniczą wadę, że się nie boi najsurowszych przepisów, wydawanych przez zarządy kolejowe...

Z żalem żegnamy zwykle jednostki, które swą długoletnią pracą na polu publicznem przynosiły wielki pożytek społeczeństwu. Ale tacy ludzie najczęściej powoli, stopniowo się usuwają z widowni powszechnej, więc gdy znikną zupełnie, spokojnie, chociaż ze smutkiem, rachujemy sumę ich pracy w księgach całkowicie zapisanych. Gdy nie widzimy żadnej już kartki czystej, na przyszłość zostawionej, godzimy się z niezłomnością prawa natury. Taki żal spokojny pozostawił po sobie Jan Quattrini, długoletni kierownik opery warszawskiej, w okresie jej rozkwitu. Od kilku lat stał już na uboczu i powoli zatarł się zupełnie w pamięci ogółu, i ani ten ostatni, ani sztuka nie czuły już po-

trzeby usług tego człowieka, który swą piosnkę dawno odśpiewał. Nie bolał jednak nad tem i zdaje się potrafił zachować równowagę i spokój do ostatniej chwili życia. Kto wie, czy nawet bardzo tęsknił do żywego kolorytu nieba i cieplejszych promieni słońca, które ogrzewały go w latach młodości na ojczystej ziemi włoskiej; zaaklimatyzował się zupełnie w przybranym kraju i na jego ziemi znalazł wieczny spoczynek.

Tę samą kolej stopniowego usuwania się z widowni publicznej przeżył Adam Herman, wiolonczelista, którego w pamięci zachowali starsi, młodsze zaś pokolenie zupełnie go nie znało. Urodził się w Warszawie i już w trzynastym roku życia wystąpił publicznie, jako wirtuoz, z wielkim powodzeniem. W dwa lata potem podążył na naukę do konserwatorium w Brukseli, gdzie ukończył studia ze złotym medalem. Największą sobie zdobył sławę i uznanie w okresie 1857 — 1862. Potem zagadkowo usunął się od popisów publicznych i nie dotykał już do końca życia instrumentu, który był częścią jego duszy. Pamięć o tego rodzaju ludziach, jak dwaj powyżej wymienieni, nie może być, niestety, długą, a społeczeństwa nie podobna za to oskarżać o obojętność. Żyją oni wśród ogółu, a raczej jego garstki, obdarzonej poczuciem estetycznym, dopóty tylko, dopóki poruszają serca słuchaczy, dopóki dostarczają im wrażeń miłych. Z chwilą, gdy batuta lub smyczek wysunie się z ręki omdlałej, albo zniechęconej, gdy głos w gardle zamrze, a „iskra Boża“ w piersiach się spopieli, pamięć o nich mrokiem coraz bardziej się zasnuwa, a przyszłe pokolenie machinalnie będzie odczytywało ich imiona z datą urodzenia i śmierci na kartkach encyklopedyi.

Innego rodzaju uczucie budzi zgon jednostki, której kwiat życia nagle się osypał w pełni rozwoju, a praca twórcza, pozostawiająca wieczny, wydatny ślad po sobie, ustaje w chwili, gdy dusza do niej się rwie z całym zapalem. Taką jednostką była właśnie Anna z Bilińskich Bohdanowiczowa, której pędzel i paleta wysunęły się z ręki zeszytniałej w tym okresie wieku, kiedy inni czują jeszcze silny ogień młodości i zdrowia. Urodziła się 1857 r. W dwudziestej zaś wiosnie życia już, jako wytrawna rysownicza, rozpoczęła studia kolorystyczne. Jedną z pierwszych, większych prac („Malarz wędrowny“) zjawiała się w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie r. 1878 i odrazu zjednała artystce wielkie uznanie. Roku 1882 na dalsze studia artystka udała się do Paryża, gdzie w t. zw. akademii *Julien* znalazła wytrawnych kierowników: Bouguereau, Tony, Roberta Fleury i Le-

fevre'a. Wkrótce rezultatem jej pracy był medal srebrny. Roku 1887 najpoważniejsi sędziowie uznali jej prawdziwy talent; artystka nasza otrzymała medal złoty za własny portret naturalnej wielkości. Odtąd twórczość jej malarska nie ustawała i, chociaż nieboszczka malowała przeważnie portrety, jej zdolność kompozycyjna wróżyła wielką przyszłość: okres twórczości natchnionej. Spędziwszy kilka lat w Paryżu, przybyła do kraju dla odwiedzenia rodziny i tu, złamana cierpieniami reumatycznymi i chorobą serca, życie zakończyła dnia 8-go b. m.

Wiadomości bibliograficzne.

— Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie. „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce”, wydane przez komisję do badań tego zakresu przez wydział filologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom VII. Kraków, nakład Akademii.

„Wobec zupełnego prawie braku drukowanych źródeł do wewnętrznej historii piśmiennictwa polskiego — czytamy na czele — które-by nam oświeciły tajnie pracowni ducha z innej strony, niż to czynią estetyczno-biograficzne monografie wybitnych jej działaczy, albo literackie i krytyczne rozbiory poszczególnych tworców fantazyi poetyckiej, lub kunsztu dziejopisarskiego, mniemamy, że te inwentarze księgarskie, wskazując, jakie dzieła swojskie i obce, w jakiej ilości, w jakim stosunku rozmaitych gałęzi wiedzy, w jakich wreszcie wydaniach i w jakiej mniej więcej cenie najczęstszym były przedmiotem handlu księgarskiego, — stać się mogą słabą przynajmniej wskazówką, co i ile u nas czytano, oraz przez jakich zagranicznych autorów i jakie ich dzieła wnikały i krążyły u nas prądy obcych cywilizacji i jaki z nich pozostał ślad w naszej literaturze.” W książce niniejszej znajdujemy systematyczne ugrupowanie przeszło 1350 dzieł obcych i polskich, oraz wykazanie, które z tych ostatnich znane są bibliografii, a o których dopiero przez te inwentarze można się dowiedzieć. Część tych źródeł (136 końcowych pozycji inwentarza Unglerowej) była już poprzednio znana ze źródłowej rozprawy dra Karola Estreichera, p. t. „Günter

Zeiner i Świętopełk Fiol" (Warszawa, 1867 r.), która ostatecznie rozświeciła długoletnie sprzeczne wieści o pierwszych drukarzach w Polsce. Cały dział ksiąg skabinalnych zawiera najróżnorodniejsze protokoły, sporządzane przez sąd ławniczy krakowski przy rozmaitych czynnościach prawnych; są także pertraktacje spadkowe po zmarłych mieszczanach krakowskich. Oto jest ugrupowanie przedmiotów: Artur Benis: Materiały do historii drukarstwa i księgarstwa w Polsce. I. Inwentarze księgarń krakowskich Macieja Scharffenberga i Florjana Unglera (1547—1551). St. Windakiewicz: Siedm dokumentów do życia Janickiego. Józef Kallenbach: Pamiętnik Jana Golliusza, mieszczanina polskiego (1650—1653). St. Windakiewicz: Materiały do historii Polaków w Padwie. Marcin Sas: Przyczynek do krytyki tekstu Andrzeja Krzyckiego. Artur Benis: Materiały do historii drukarstwa i księgarstwa w Polsce. II. Inwentarze bibliotek prywatnych (1546—1553). Zbigniew Kniaziolucki: Materiały do biografii Mikołaja Reja z Nagłowic.

— *R. Falkenberg*. „Historia filozofii nowożytnej.” Pierwszy zeszyt (ark. 1—6) tego dzieła ukazał się jako dodatek do „Prawdy” w przekładzie M. Kozłowskiego. Zarys charakteru ogólnego filozofii nowożytnej zestawiony jest z charakterem filozofii starożytnej i średniowiecznej. Wykład całego dzieła przedmiotowy, doprowadzony jest do ostatnich czasów. Zeszyt pierwszy obejmuje: Wstęp (rozdział I-szy), okres przejściowy od Mikołaja Kuzańczyka do Kartezjusza (Mikołaj Kuzańczyk). II. Wskrzeszenie i zaprzeczenie filozofii starożytnej. III. Filozofia natury we Włoszech. IV. Polityka i filozofia prawa. V. Sceptycyzm francuski. VI. Mistyka niemiecka. VII. Założenie fizyki nowożytnej. VIII. Filozofia angielska do połowy XVIII wieku. Poprzednicy Bacona. Bacon. Hobbes (Herbert). Część pierwsza (początek). Od Descartesa do Kanta. Rozdział II. Descartes (Kartezjusz).

— *Jerzy Brandes*. „Umysły współczesne. Portrety literackie XIX wieku. Przełożyła z upoważnienia autora Malwina Posner Gastein. Tom I. Warszawa. Nakład „Głosu” 1893. Tom ten obejmuje sylwetki: Pawła Heisego, Ernesta Renana, Hansa Krystyana Andersena, Johna Stuarta Milla i Esaiasza Tegniera.

— „Podręczna Encyklopedia Powszechna.” Pierwszy zeszyt (ark. 1—5) ukazał się nakładem „Przeglądu Tygodniowego.”

— „Przewodnik informacyjny w sprawach dotyczących Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy.” Ułożony przez Aleksandra

Czajewicza i Aleksandra Makowieckiego, dyrektorów Towarzystwa kredytowego miasta Warszawy. Warszawa 1893.

Zawiera następujące informacje: Pożyczki Towarzystwa: Zasady ogólne, akta przystąpienia, dowody, jakie stowarzyszeni powinni składać celem otrzymania pożyczki, czynności, poprzedzające przyznanie pożyczki, ustanawianie jej wysokości, zasady w przedmiocie ustanawiania wysokości pożyczek na budowie murowane, tudzież na drewniane. Przepisy administracyjne, pozwalające wznoszenie budynków drewnianych w okolicy przyokopowej w Warszawie, także przepisy, wzbraniające stawianie budynków drewnianych na Pradze. Zasady przy udzielaniu pożyczek dodatkowych z umorzenia; zasady udzielania z umorzenia z konwersją; zasady przy udzielaniu pożyczek dodatkowych z tytułu połączenia nieruchomości z kanałem miejskim. Wypłata pożyczek; przepisy specjalne przy pożyczkach z umorzenia z konwersją; informacje, w jakich wypadkach korzystniej jest dla stowarzyszonych, dla dopełnienia konwersji, składać gotowiznę zamiast listów zastawnych. Obrachunki ze złożonych kaucyi, spłaty pożyczek, rozdział, zwolnienia części nieruchomości z pod bezpieczeństwa pożyczki; sprzedaż nieruchomości za zaległość w opłacie rat, zbiór objaśnień i warunków sprzedaży nieruchomości, wystawionych na sprzedaż za zaległe raty. Warunki dotyczące licytacji i pogorzeli. Dalej są dokładne informacje w zakresie listów zastawnych. Wreszcie: tabela umorzenia kapitału 100 razy przy zasadzie 5% na procent i 2% na amortyzację, tudzież z policzeniem na fundusz zasobowy czterech pierwszych półrocznych rat funduszu amortyzacyjnego. Tabela umorzenia kapitału 100 razy przy zasadzie 5% na procent i 4% na amortyzację, tudzież z policzeniem na fundusz zasobowy dwóch pierwszych półrocznych rat funduszu amortyzacyjnego. Przy końcu podręcznik zawiera instrukcję dla komisji szczegółowych, sprawdzających stan i wartość nieruchomości, poddawanych pod bezpieczeństwo Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy.

— *Erazm Majewski*. „Roślina i wyraz *Chmiel*, ich pochodzenie i przedhistoryczne znaczenie.” Rozprawa czytana na szóstym posiedzeniu komisji teorii ogrodnictwa i nauk przyrodniczych w Warszawie d. 17 marca 1892 r. Warszawa, 1893.

Autor w broszurze swojej dowodzi, iż chmiel jest rdzennie europejską rośliną, że kolebką jego mogły być mniej lub więcej odległe okolice morza Kaspijskiego. Epoką rozpowszechnienia w Europie południowo-zachodniej był okres wędrówki szczepu aryjskiego ku zachodowi. Do Europy środkowej roślina ta przybyła ze Słowianami

co najmniej na kilka wieków przed Chrystusem, od nich zaś dostali chmiel Niemcy wraz z ziemią, około VII lub VIII-go wieku po Chrystusie. Następnie dopiero chmiel rozniesiony został po reszcie krajów Europy i niektórych częściach Azji, tudzież po Ameryce. Chmiel nasz nosi nazwę płynu obrzędowego, odgrywającego ważną rolę w religijnym, zaginionym kulcie tegoż prawdopodobnie nazwiska. Autor przypuszcza, iż kult ów mógł być nieco podobnym do indyjskiego kultu *somy*,* staro-perskiego *haomy* i staro-greckiego *wina*. Praojczyzną tych pokrewnych kultów jest nieznany kraj, zamieszkiwany przez Aryów pierwotnych. Słowiańskie nazwiska rośliny chmielu z brzmieniem *hm*, są w Europie najstarsze, pochodzą od aryjskiego pierwiastku *su* i mogą być uważane za równoległe ze staroperskim wyrazem *haoma*. P. M. twierdzi wreszcie, iż od słowiańskich nazwisk pochodzą germańskie, turańskie i najmłodsze nazwy, lingwistycznie z nimi spokrewnione.

— *Mirosław Suchecki*. „Stenografia polska” na podstawie właściwości języka naszego ułożył... Wydanie trzecie udoskonalone. Wiedeń 1893 r.

Na tę pracę autor poświęcił wolne chwile długiego szeregu lat. Usiłował on stworzyć pismo stenograficzne, które-by miało własności następujące: zgodność z naturą języka naszego, niezawisłość od linii wierszowej, łatwą czytelność, reguły niezawikłane i wreszcie dostateczną krótkość ciągów. Własności te osiąga autor przez to, że chociaż układ opiera głównie na systemie Gabelsbergera, unika atoli naśladownictwa, nie zgadzającego się z naturą polszczyzny; ustala znaki na wszystkie głoski polskie, z uwzględnieniem zasady, iż podobnym brzmieniom odpowiadać mają podobne kształty. Pismo p. S. da się zastosować z bardzo małemi zmianami w każdym innym języku słowiańskim, tudzież francuskim.

— *Ludwik Krzywicki*. „Ludy.” Zarys antropologii etnicznej, poświęcony pamięci dzikich i nagich bohaterów społeczeństw pierwotnych, poległych w walce z najazdem cywilizacyjnym.

Praca oparta na wynikach najnowszych badań antropologów europejskich i amerykańskich. Składa się z trzech części: I. Starożytność rodu ludzkiego. Typy rasowo-antropologiczne i głębokość różnic pomiędzy nimi. Krianiologia i jej metody (badania nad kształtem czaszki ludzkiej). Wpływy czynników rasowych na szybkość rozwoju instytucji społecznych, — dusza rasowa. II. Rozmieszczenie typów antropologicznych na globie ziemskim i ich kultura. Typy: australski, negrycki i papuański. Stosunki lingwistyczne i antropologiczne Indyi

Przedgangesowych. Odłamy żółtych krótkogłowców azyatyckich. Kultura koczowników stepowych. Żywioty antropologiczne czarnej Afryki. Typy ludności amerykańskiej, — języki i kultura. Charakterystyka typów białych. Aryjczycy, ich pierwotne siedziby, język i kultura. Przeszłość antropologiczna Europy i najście krótkogłowców. Przyczyny zanikania ludów pierwotnych przy zetknięciu się z cywilizacją. III. Rozwój mózgu. Porównawcze zestawienie cech mężczyzny i kobiety. Kwestya kobieca. Typy emocjonalne w działalności zawodowej (przodownicy). Ideały społeczne, uwzględniające nierówność psychiczną człowieka. Pojęcie doboru. Postęp techniczny a umysłowo-antropologiczny. Ewolucya uzdolnień ludzkich. Dobór militarny. Wpływy miasta. Narodowość a rasa. Historyzofia antropologiczna. Antropologiczne pojmowanie dziejów. Znaczenie doboru małżeńskiego. Pedagogika antropologiczna i antropotechnika. Arystokracja ducha. Przyszłość rodu ludzkiego.

Ze względu na kształt czaszki występują wśród ludzi dwa krańcowe typy antropologiczne: długogłowców i krótkogłowców. Typy te rozsięte są po całym świecie i przedstawiają najrozmaitsze stopnie kultury, począwszy od dzikości do cywilizacji. Antropologowie skłonni są do uznania długogłowców za typ energiczniejszy i zdolniejszy. Ludność europejska ciąży ku krótkogłowości. Żadna grupa ludzka nie przedstawia czystego typu antropologicznego, ale zmieszanie wielu typów, pochodzące ze skrzyżowania. Rasa biała mieści w sobie osobniki mongolokształtne lub nawet o cechach murzyńskich. Całe rasy ludzkie, jak np. malajska, są wyrazem skrzyżowania się innych. Waga mózgu nie wzrasta wraz z kulturą; Eskimosi mają mózg większy od Chińczyków, myślicy zaś amerykańscy — od osiadłych Peruwiańczyków. Pochodzi to stąd, że wyższa kultura nie wymaga koniecznie wyższych zdolności umysłowych u wszystkich jednostek, ale głównie pewnego stanu emocjonalnego, który-by pozwolił na osiadły tryb życia. Książka jest pierwszą w tym zakresie w literaturze polskiej.

— *Maryan A. Baraniecki*, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Podręcznik algebry dla uczniów klas wyższych, gimnazjów i szkół realnych w Galicji,” Kraków, 1893.

Autor w swej książce dał przewagę metodzie indukcyjnej; najstarszemu unikał sztucznych stopniowań przy otrzymywaniu prawideł. Jest to bowiem właściwe tylko przy nauczaniu początkowym, ale nieodpowiednie w szkole średniej i ogólnej. Rozkład materiału w książce wynika z planu, obecnie obowiązującego szkoły średnie w Austrii. Główną jego cechą jest właściwy nacisk na stronę naukową przy zachowaniu wymagań dydaktycznych. Pod tym ostatnim względem au-

tor korzystał ze spostrzeżeń osobistych, które zebrał podczas kilkoletniego nauczania w gimnazyum. Książka zawiera zaledwie kilka terminów i zwrotów nowych, które autor uważał za konieczne wprowadzić. Do zadań dołączone są odpowiedzi, co dla uczniów mniej zdolnych może być bodźcem do samodzielnego przerabiania; lepszych, jak słusznie autor przypuszcza, może to pobudzić do rozwiązywania zadań z własnej ochoty.

DYSKUSYA.

W artykule p. Fl. K. Gąsiorowskiego, z powodu mojej „Nauki o Rzeczach“, znajduję kilka zarzutów, na które czuję się w obowiązku odpowiedzieć:

P. Gąsiorowski pisze w „Bibliotece“ o „Nauczaniu Początkowym“ i w pojęciu tem obejmuje zarazem pierwsze kształcenie realne, czyli przyrodnicze, jak kształcenie humanitarne i etyczne. Pogląd to najzupełniej słuszny, i ja sam w książce swojej wcale niedwuznacznie go wyrażam, oświadczając, że „rażadnym ze stopni wychowawczych braknąć nie może pewnej nauki moralnej o człowieku i nauki przedmiotowej o przyrodzie“ (str. 288). W innem zaś miejscu mówię: „Jednocześnie (z poznawaniem świata zewnętrznego) w umyśle dziecka kształtować się poczyna świat inny—podmiotowy, świat *ludzkich* uczuć, pojęć i sądów, dotyczących tego, co jest przyjemnem lub przykrem, *pięknem* lub *brzydkim*, *dobrem* lub *złem*, *wzniosłem* lub *poziomem*“; te to pojęcia i uczucia kształcone być mają w nauczaniu za pomocą odpowiednio dobranych „pogadek, opowiadań, wierszyków i maksym, zawierających elementarne fakty społeczno-etyczne... przez co złoży się systemat pierwszego nauczania o moralnej istocie naszej, który stanowić będzie uzupełnienie pierwszego nauczania o przyrodzie“ (str. 674).

Tak określiwszy ogólne zadanie początkowego nauczania, ograniczyłem się jednak w książce swojej do jednej tylko części jego, mianowicie—przedmiotowej czyli przyrodniczej, co jasno wypowiedziałem w określeniu Nauki o Rzeczach, jako „przedmiotowej części pierwszego nauczania, mającej za zadanie

udzielić elementów przedmiotowego poznania" (str. 294). Można się spierać, czy właściwym jest takie zastosowanie tej nazwy: „Nauka o Rzeczach“, ale nie można mi z tego robić zarzutu, że lekceważę kształcenie moralne. Prostu opracowanie tej drugiej części pozostawiłem innym; obecna moja książka i tak już przybrała rozmiary większe, niż sobie życzyłem.

Jeżeli w początkowym nauczaniu pierwszeństwo oddaję nauce rzeczowej, to nie dlatego, żebym, jak przypuszcza p. Gąsiorowski, za mniej ważne poczytywał kształcenie humanitarne-etyczne. Przeciwnie, ze względu na *całość* wykształcenia myślę, iż przedmioty humanitarne dominujące stanowisko w programie ogólnego nauczania zachować powinny, gdyż one-to najbardziej zdolne są oddziaływać na wewnętrzną istotę człowieka i nadać jej postać pożądaną. Ale w początkowym nauczaniu za kształceniem przedmiotowo-przyrodniczym przemawia to, co nazwałem ekonomią wychowania, a która „nakazuje w okresie każdym takie zadania przedsiębrać, które najłatwiej przeprowadzić się dają, takie władze umysłu poruszać, które najbardziej do działania są usposobione“ (str. 54). Otóż fakty obserwacyi i wywody ogólne, które w książce swej przytoczyłem (str. 432), przemawiają według mnie za tem, że władzą najbardziej w pierwszym okresie do działania usposobioną jest zewnętrzne postrzeganie i czynność ruchowa, nie zaś uczuciowość i refleksya, a stąd przyjąłem, że w okresie tym większy nacisk kłaść wypada na część nauczania przedmiotowo-przyrodniczą. Dowodów, na których się w tym względzie oparłem, p. Gąsiorowski nie obalił i przeciwnych nie przytoczył.

Dodać należy, iż „nauka o moralnej istocie człowieka“, którą, obok kształcenia przyrodniczego, w każdym razie za niezbędną i w początkowym nauczaniu uznaję, objąć może oczywiście i pojęcia religijne.

Zacieśnwszy swoje zadanie pedagogiczne do jednego tylko dzieła pierwszego nauczania, i w wykładzie podstaw psychologicznych uprawniony się czułem mówić o tych tylko procesach umysłowych, które w bezpośrednim związku pozostają z nauczaniem przedmiotowym i przyrodniczym, co jednak nie znaczy z drugiej strony, iżbym zapoznawał związek tych procesów intelektualnych z procesami uczucia i woli. Oto ustęp, który myśl moją jasno wyraża: „Z naciskiem stwierdzamy, iż rozgraniczenie owo głównych czynności (zewnętrznego postrzegania, refleksyi i woli), tak w pojedynczych aktach umysłu, jak w ogólnym jego rozwoju, w znacznej części jest dziełem naszej abstrakcyi, w rzeczywistości zaś istnieje tylko w przybliżeniu... Umysł jest jednolitą całością, która udział czynny bierze w każdym pojedynczym akcie, życie tej całości objawiającym; każdy akt umysłu, będąc objawem pewnej szczególnej siły, niemniej dokonać się nie może bez współdziałania sił innych. Nie tracąc prawdy tej z pamięci, możemy jednak dla celów tak naukowych, jak praktycznych, uwagę naszą ograniczać do sił i czynności pojedynczych, czy to ażeby lepiej sposób

ich działania rozpoznać, czy też za pomocą specjalnej uprawy do działania je uzdolnić". Tak to i ja musiałem się ograniczyć, gdyż inaczej wypadło-by mi całą niemal psychologię wyłożyć, podobnie jak każdemu, kto by pisał o jakim-bądź specjalnem zagadnieniu pedagogicznem.

Co się tyczy tłumaczenia samych procesów intelektualnych, psychologii assocyacji, wiem, że jest ona dziś niewystarczającą i wymaga przyjęcia pewnych dodatkowych czynników; ale w zasobie faktów i teorii obecnej nauki nie znajdują wyników pewnych i ustalonych w tym stopniu, iżby można je przemieścić do zastosowań praktycznych, a więc i do pedagogiki, co łatwo mi pokazać na przykładzie, który mi sam p. Gąsiorowski nasuwa. Twierdzi on, że „dowody Wundta (o wpływie *apercepcyi* na przebieg naszego myślenia) tak są przekonywujące; że nie wie, czy można powoływać się na współczesny stan nauki, ignorując te dowody, jak wogóle ostateczne wyniki specjalnych badań najznakomitszego współczesnego psychologa“, i dalej teorię, która nie uznaje *apercepcyi* Wundta, uważa za taką, „której sprzeczność z oczywistymi faktami dowodnie wykazaną została“. (Bibl. Warsz., marzec, str. 532). Tymczasem o *apercepcyi* Wundta wcale inaczej trzyma Wiliam James, którego dzieło „*Principles of Psychology*“, sprawozdawca „*Revue Philosophique*“ uważa za „najważniejszą pracę psychologiczną, jaka się pojawiła od lat dwudziestu“, a jego teorie za „najbardziej oryginalne, jakie ujrzały światło w ciągu pół wieku“ (*Revue Philosoph.* 1892, Novembre, p. 449). „Przyznaję—mówi W. James—iż nie czuję się zdolnym dobrze zrozumieć filozofii Wundta, o ile wchodzi do niej wyraz ten—*apercepcya*“; a w innem miejscu: „Wszystko, co Wundt mówi o *apercepcyi*, jest zarówno chwiejne, jak ciemne. Nie widzę też żadnej korzyści z używania tego wyrazu (w znaczeniu Wundta) w Psychologii. Uwaga, *percepcya*, pojmowanie, wola—są jej zupełnemi równoważnikami, i nie wiem, dlaczego mamy każde z tych pojęć po kolei nazywać jednym i tym samym wyrazem“. (*Principles of Psychol.*, Vol. I, 61, 89, odsyłacze). I to jest wszystko, w czem się James załatwia z „*apercepcyą*“ Wundta. Więc chyba „odnośne dowody Wundta nie są tak przekonywujące“, jak się wydaje p. Gąsiorowskiemu, i chyba „można powoływać się na współczesny stan nauki, ignorując te dowody“, chyba wreszcie, skoro w dwutomowym dziele *psychologicznem* autor z *apercepcyą* Wundta załatwia się w dwóch 4-wierszowych przypiskach, to autor książki *pedagogicznej* mógł się tem bardziej powstrzymać od szczegółowej nad tem dyskusyi, zaznaczając po prostu, że „przyjmuje“ *apercepcyę* w znaczeniu nie tem, jakie pojęciu temu nadaje Wundt, i szczerze kółko jego bezpośrednich uczniów?

J. WŁ. DAWID.

Odpowiedź p. Dawida na mój artykuł o „nauczaniu początkowym“ nie daje powodu do szerszej dyskusji. Pomimo to, w imię ważności sprawy, o którą tu chodzi, sądzę, że należy choć w kilku słowach zaznaczyć co następuje.

1. Na str. 286 i nast. swego dzieła p. Dawid dowodzi, że rozwój psychiczny dziecka „główny interes i uwagę jego zwraca i przywiązuje do przedmiotów świata zewnętrznego, uczuciowości i moralnej refleksji *podrzedną tylko rolę wyznaczając*“. I z tego wyprowadza stanowczy wniosek: „Treścią główną nauczania tego (początkowego) nie mogą być, jak chcą niektórzy, powiastki, baśnie, wierszyki, sentencje *religijno-moralne*, pobudzające i zajmujące czynność dziecka uczuciową, refleksyjną i fantazyjną“; przeciwnie „przewagę i wytyczne stanowisko otrzymać powinna przedmiotowa *nauka o przyrodzie*“. Tak też przedstawiam pogląd p. Dawida w swym artykule na str. 536 i nast. i dowodzę, jak sądzę w sposób przekonujący, na podstawie nastroju psychicznego dziecka, że „interes i uwaga“ jego zwracają się *przedewszystkiem* do stosunków *rodzinnych*, a zatem *moralnych*, i że wskutek tego tej stronie rozwoju dziecka nie można wyznaczać, jak chce p. Dawid, *podrzednej tylko roli*.

Obecnie w swej odpowiedzi p. Dawid wyznaje, że „kształcenia humanitarno-etycznego“ nie poczytuje już za „*mniej ważną*“. Jest to zmiana zdania na korzyść moralnego wykształcenia bardzo ważna i przypuszczać można, że do tej zmiany przyczyniły się właśnie przedstawione przeze mnie dowody, pomimo, że p. Dawid zaprzecza istnieniu takich dowodów.

2. Mówiąc w swej pracy na str. 673 i nast. o „kształceniu humanitarno-etycznem“, p. Dawid nie wspomina ani słówkiem o *religii*, dając jak najwyraźniej do zrozumienia, że według niego „nauka o moralnej istocie człowieka“ może być udzielaną dziecku bez wszelkich podstaw religijnych. Obecnie w swej odpowiedzi zaznacza p. Dawid, że nauka ta „*objąć może* oczywiście i pojęcia religijne“. *Możliwość* ta jest wprawdzie już pewną koncesją ze strony naturalistycznego pedagoga, ale ignoruje znowu zupełnie podane przeze mnie na str. 538 i nast. dowody, które wykazują, że kształcenie uczuć i pojęć moralnych dziecka nie tylko *może*, lecz konieczne *powinno* obejmować religijną naukę o Bogu.

3. W dziele swem p. Dawid „przyjmuje“ w zupełności psychologię asocjacyjną i nie ma nic przeciwko niej do nadmienienia. Obecnie wyznaje, że psychologia asocjacji „jest dziś niewystarczającą i wymaga przyjęcia pewnych dodatkowych czynników“. O to mi właśnie chodziło przy wyświetleniu kwestyi psychologicznych nauczania początkowego. Wundt zaś wykazał wszechstronnie i przekonująco te braki psychologii asocjacyjnej; to też nie pojmuję, jak p. Dawid, uznając wraz z Wundtem te braki, może się powoływać na poglądy W. Jamesa, przedstawiciela psychologii asocjacyjnej. W. James lekceważy Wundta, bo się trzyma dogmatycznie zasad starej szkoły; kto zaś, jak p. Dawid, do tej szkoły już należeć nie chce, kto się przekonał, że psychologia

assocyacji jest „niewystarczająca“, ten, zdaje się, powinien się zarazem poczuwać do obowiązku zapoznania się bliżej i bezstronnie z owymi „dodatkowymi czynnikami“, które Wundt teorię assocyacji uzupełnia.

H. K. GĄSIOROWSKI.

Ponieważ obie strony, w powyższym sporze zainteresowane, skorzystały z przysługującego im prawa wymiany odpowiednich wyjaśnień, przeto Redakcja, uczyniwszy zadość słuszności, uważa dyskusję w tym przedmiocie za zamkniętą.

REDAKCJA.

OD KOMITETU REDAKCYJNEGO ENCYKLOPEDYI ROLNICZEJ.

Dziesięć lat upływało od wydania pierwszej Encyklopedyi Rolniczej, kiedy pomnikowe to dzieło było już w zupełności w handlu wyczerpanem i nabywano je w antykwarniach, po cenach niebywale wysokich.

Zastanawiający ten, jak na kraj nasz i ciężkie czasy objaw, pobudką był i podniętą dla zarządu Muzeum przemysłu i rolnictwa do podjęcia nowego wydania Encyklopedyi, dzisiejszym odpowiadającego potrzebom.

Złożona w tym celu Redakcyja liczyła z początku na to, że pierwsze wydanie w znacznej mierze pracę jej ułatwi; wobec jednak olbrzymiego postępu nauki rolniczej, przekonała się wkrótce, że wszystkie prawie działy nowych wymagają opracowań.

Specjaliści, do których się po nie udano, skądinąd obowiązkami obarczeni, nadsyłali prace swoje powoli i nieregularnie, co przerywało od czasu do czasu bieg wydawnictwa.

W takim położeniu rzeczy, komitet wstrzymał druk dzieła do czasu nagromadzenia artykułów w odpowiedniej liczbie, przybrał sobie większą ilość członków, powołał z grona swego delegacyę wykonawczą do stałego czuwania nad stroną redakcyjną, zaś pieczę nad stroną techniczną przedsięwzięcia panu Aleksandrowi Trylskiemu powierzył.

W skład delegacyi wykonawczej weszli członkowie komitetu, którzy na roli pracują, lub dawniej długo pracowali, a mianowicie: Chaniewski Stanisław, Dobrski Maksymilian, Górski Franciszek, Górski Ludwik (junior), Janasz Aleksander, Jeziorański Józef, Kowalski Tadeusz, Natanson Michał i Wroński Stanisław. Na sekretarza Redakcyi zaproszono p. Rugiewicza Bolesława.

Uzupełniwszy w ten sposób organizacyę swoją, komitet redakcyjny prowadzić będzie dalej dzieło podług pierwotnego programu, jaki przez jego członka, p. Ludwika Górskiego, w przedmowie do nowej Encyklopedyi został nakreślony.

Spełniając zatem właściwe zadanie swoje, *ma być Encyklopedia przede wszystkim rolniczą, i wszystko, co dla praktycznego rolnika może być potrzebnem i użytecznem, znaleźć w niej miejsce powinno, w postaci dostępnej i do zastosowania gotowej.* Najbaczniejsza uwaga będzie zwróconą na te strony rolnictwa, których teoria jest już zupełnie wyrobioną i pewną, aby przez to jak najszersze zastosowanie praktyczne naukowych zdobyczy rolnikom w ich zawodzie ułatwić. Z nauk ścisłych pojedyncze działy wejdą do Encyklopedyi o tyle, o ile są bezpośrednio z rolnictwem związane. Wreszcie nie będą pominięte teoretyczne badania, któremi żywo zajmuje się ogół rolników, chociażby jeszcze praktycznego zastosowania nie znalazły.

Na tych zasadach gromadzona teka redakcyjna jest już obecnie tak zaopatrzoną, że, poczynając od maja roku bieżącego, możliwem będzie wypuszczanie zeszytów bez przerwy, przynajmniej po 12 rocznie.

Jeżeli wszędzie niezbędnem jest dzieło, któreby w gruntownem streszczeniu obejmowało całokształt wiedzy rolniczej, zapełniało braki i ujednostajniało w czem należy poglądy, to stokroć niezbędnijszem musi ono być u nas, niż tam, gdzie liczne szkoły i stowarzyszenia, jak niemniej bogata literatura specjalna, rolnikowi trudny jego zawód ułatwiają.

Taką właśnie ułożyć księgę pragnie komitet redakcyjny z prac najbieglejszych w każdym dziale rolnictwa specjalistów, których ze wszystkich stron kraju i zagranicy zaprasza.

Powierzywszy kierownictwo redakcyi rolnikom praktycznym, aby utrzymać przez to w zupełności nawskróś rolniczy charakter Encyklopedyi, w tem zespoleniu kierunku teoretycznego z praktycznym komitet redakcyjny czerpie otuchę, że dzieło odpowie zadaniu i że, odczuwając jego potrzebę, rolnicy kraju naszego do urzeczywistnienia jego przez chętną prenumeratę dopomagać zechcą.

Tylko przez współdziałanie ogółu ziścić się może, pomimo okoliczności wyjątkowo trudnych, przedsięwzięcie, wymagające zabiegliwo-

ści, pracy i nakładów, wolne od rachuby na zyski, wolne od ambicji, prócz tej jednej, aby społeczeństwu przynieść pożytek.

Prezydujący w Komitecie redakcyjnym *Ludwik Krasinśki*.

Przewodniczący w Delegacji wykonawczej *Józef Jeziorański*,

Sekretarz Redakcyi *Bolesław Rugiewicz*.

Warunki prenumeraty:

Zeszyt pojedynczy (5 ark. wielk. 8-ki) kosztuje w Warszawie kop. 60.

Prenumeratorzy przy zapisie, oprócz powyższej opłaty, uiszczanej za każdy zeszyt, wnoszą jednorazowo, sposobem zaliczenia, *rs. trzy*, które potrącone zostaną przy odbiorze ostatnich pięciu zeszytów.

Redakcyja Encyklopedyi: Krakowskie-Przedmieście 66. Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Prenumeratę nadsyłać należy do księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, mającej skład główny i ekspedycję Encyklopedyi.

SIOSTRY.¹⁾

Okolicę całą o ździwienie przyprawiła wieść o lekarzu, mającym się osiedlić w Werechowie. Mała miejscina nigdy ani lekarza, ani apteki nie posiadała. Podobno wszakże i aptekę otworzyć zamierzano.

Pewnego dnia, mieszczańskim wózkiem, przed ganek w Zarębiu zajechał doktor Nadolny, ten sam, który Zygmunta odwiózł był z Warszawy. Oświadczył zaraz na wstępie, że, szukając na mapie miejsca, gdzieby mógł przenieść penaty swoje, znalazł Werechów i tu odtąd życie pędzić postanowił.

Ucieszył się stanem Zygmunta. Znajdował w zdrowiu chorego ogromny postęp i przypisywał go wiejskiemu powietrzu. Był pewien, że bez wyjazdu za granicę płuca powrócą do zupełnego zdrowia. Zastawszy Józefę w Zarębiu, prosił o pozwolenie złożenia jej uszanowania w jej własnym domu.

— Co on sobie myśli?—rzekł Zygmunt, gdy Nadolny wyjechał,—wyobraża sobie, że ty, Józiu, będziesz go przyjmować!

— Przyjmę go; to człowiek bardzo dla mnie pożyteczny... doktor Grzędziński taki niedołężny, nic go chory nie interesuje; muszę niektórych moich biedaków pokazać Nadolnemu...

— Zarozumiały i nieznośny!

¹⁾ Patrz zeszyt za m. kwiecień „Biblioteki.”

— Cóż mi to szkodzi?

W parę dni potem, w chwili, gdy Józefa zamykała kasę, Nadolny zapytał ją przez służącą, czy go przyjąć zechce. Kazała prosić go do salonu.

Oddał się odrazu pod jej rozkazy. Wiedział już, że była wsparciem i pociechą ubogich i chorych; prosił, by go raczyła wzywać, ile razy pomoc lekarska dla kogo z jej protegowanych potrzebną będzie. Pozwolił sobie nawet na delikatny żart, zawierający pochlebstwo. Powiedział Józefie, iż teraz wiedział, skąd się brała jej wiara w Opatrzność. Sama była Opatrznością, wierzyła więc, że taka nadziemska opieka istnieć może.

Józefa uśmiechnęła się pobłaźliwie i poważnie:

— Daruję panu to porównanie, ze względu na dobre chęci pana dla moich chorych.

— Czy są jacy na porządku dziennym?

Od tego dnia często zjawiał się u Józefy w chwili, gdy zamykała kasę. Przychodził zwykle z Werechowa piechotą. Były to trzy wiorsty, ale co tam trzy wiorsty dla jego nóg znaczyły? Wpadał do saloniku Józefy, a z nim wchodziła atmosfera niewyczerpanej czynności, ruchu, energii, pewności siebie. To wszystko powleczone formami nieco rubasznymi i grubymi. Nadolny machał olbrzymiemi, żyłastemi rękoma, oczy jego czarne błyskały ogniem przy uśmiechu, lub żywszej rozmowie. Był kształtny, ale poruszał się bez swobody; nie miał światowego obejścia się. Nietylko jego zarozumiałość raziła, raziły też niektóre zwroty jego mowy. Śmiał się głośno i trywialnie; chcąc Józefie okazać wyjątkowe uszanowanie, mówił do niej czasem, jak do kucharki. Nie umiał inaczej, a stawał się jeszcze niezręczniejszym, gdy usiłował być światowym. Dziwnie przy sobie wyglądali z Józefą. Ona wykwinęta w każdym ruchu, przebłyskująca w każdym słowie tą dystynkcyą, nie dającą się określić, na którą składa się takt, wrodzone szlachectwo duszy, wychowanie staranne i obycie się z dobrem towarzystwem; on trochę krzykliwy, rubaszny, niezręczny, nie umiejący umiarkować głosu, nie wiedzący, co czynić z własnemi rękoma, z któremi się nigdy nie mógł oswoić i patrzył na nie, jak na cudze.

Z tem wszystkiem Józefa lubiła go. Nawet mu jego zarozumiałość przebaczała, gdyż był zarozumiałym nie w imię samolubstwa i pychy, lecz w imię nauki i swych krańcowych przekonań, którym tak fanatycznie i z taką ślepą wiarą był oddany, jak wysmiewani przez niego fanatycy religijni oddani są swoim. Sympatyczną też w Nadolnym była jego gotowość do czynu i pewność jutra. Szedł do każdego chorego i każdym się z zapalem interesował. Nie pytał o wysokość zapłaty, jaką miał otrzymać, od biednych nie brał ani grosza. Rozpocynał w We-

rechowie od biedy, bo mu praktyka zaledwie na dość złe jedzenie dawała; ale był tak pewien swoich przyszłych dochodów, że mu dzisiejsze jego położenie wcale humoru nie psuło.

Pierwsze jego odwiedziny u Józefy rozgniewały Zygmunta, więc o dalszych nie wspominała, żeby rekonwalescenta nie drażnić. Pragnęła teraz gorączkowo, by już zupełnie wyzdrowiał i by to ją z jej ślubu przebywania przy nim rozwiązało. Nie wiedziała, czy jej z tem lepiej będzie, ale położenie jej dzisiejsze przyprawiało ją o takie cierpienie, że wyglądała namiętnie jakiejś zmiany. Jaka była jej rola w tym domu, do którego codziennie przybywała pod płaszczykiem litości, miłości bliźniego i gorących uczuć rodzinnych? A rzeczywiście, co tu wносиła? Przestępowała próg z bijącym sercem kochanki, wносиła stosunek kłamliwy, którego pozory zaledwie były nienaganne, grunt zaś był występny. Gdy jechała do Zarębia, rumieniec wstydu okrywał jej lica. Wchodziła do domu własnej siostry, jak złodziej... istny wilk w baraniej skórze! Czasem przed tą rozbawioną i bezduszną Manią spuszczała oczy. Czuli się gorszą od siostry ze swoją cnotą kłamaną. Tamta opuszczała chorego męża, nie wyznawała żadnych zasad, chętnie przyznawała, że chciała używać i używanie własne miała za cel i prawo; ale nie wchodziła w progi cudze pod pokrywką cnoty i poświęcenia, a w istocie po miłość człowieka ukochanego.

Józefie mania szydzenia z samej siebie podsuwała porównanie nie-miłosierne:

— Jestem, jak średniowieczny dyabeł — mówiła sobie, — wchodzący do domu swej ofiary w ubraniu mnicha, ze słowami pociechy na ustach, a z zamiarem przywłaszczenia sobie jej duszy! Wszak mi już Zygmunt swoją zapisał! Opuścił żonę; matkę swoją obraził tylokokrotnie, nie przyjmując jej troskliwości; nie zdołał pokochać nade wszystko własnego dziecka; nie chciał ratować zdrowia wedle rozkazów lekarza — to wszystko dlatego, że ja mu duszę zabrałam!

Modląc się, czuła się niegodnem dziecięciem Boga, do którego przemawiała. Podczas odpustu w Zarębiu spowiadała się i gorące uczyniła postanowienie postępowania nie wedle uczuć swoich, lecz wedle obowiązku. Uczucia jednak szły często swoją drogą, niepomne postanowień rozsądku. Czasem wzbierały w jej sercu tak tłumnie, że i ona także marzyła o jakiejś innej ojczyźnie, o jakimś innym świecie, gdzieby poszli z Zygmuntem, przytuleni do siebie, siebie tylko mając za jedyne dobro, za jedyne szczęście. W obecności Zygmunta wracało jej tyle przynajmniej siły, ile jej było potrzeba na dumę i surowość. Czasem wielkie pomieszanie, rumieniec nagły, oczy ku ziemi spuszczone, przeczyły surowości mowy i dumie postawy.

Czy ona miała prawo być dumną? Czy wiele więcej była warta od tych kobiet, które postąpiły tylko jeden krok dalej na drodze upadku? Jej życie było pasmem uczynków ujemnych. Była złą żoną. Umiała tylko pogardę okazywać mężowi, którego miłością, zespoleniem się z nim, była-by może uratowała od ciągłego kłamstwa, może od śmierci. Teraz wносиła nieszczęście do domu siostry. Starła się szwagrowi powrócić zdrowie, ale jaką przyszłość mu gotowała, jeżeli on zapomnieć nie potrafi? Co miała teraz czynić? co miała czynić? Opuścić go w tej chwili nie mogła. Wszak to był człowiek chory! Ale może za parę miesięcy... Nadolny był pewien, że za parę miesięcy Zygmunt zupełnie zdrowym będzie.

Zdawało jej się, że jej przyjdzie ułatwienie zadania z powodu wracającej czynności Zygmunta. Interesa, które odsuwano od niego podczas choroby, poczęły powoli zagarniać go na nowo, pochłaniać mu czas. Nawał ich musiał oprzeć się o niego, bo mnóstwo postanowień czekało na jego sankcję. Z dnia na dzień przybywało ich więcej i Józefa mogła w Zarębiu przebywać u Jasia, należeć trochę do towarzystwa siostry, czytywać w bibliotece. Po trosze opóźniała nieco swój przyjazd, przyspieszała wyjazd. Chciała i siebie oderwać stąd powoli, i Zygmunta odzwyczaić od ciągłej swej obecności. Nie wiele to jednak pomagało. Byli z sobą krótkie tylko chwile, ale gdy się nareszcie znaleźli przy sobie, przenikało ich tak żywe szczęście, że Józefa musiała czynić tem większe wysiłki, by pozostać pozornie spokojną i zimną. Zygmunt zaś nie panował nad porywem uczucia, które promieniało z jego oczu, drżało w jego głosie, przemieniało jego twarz w jeden błysk szczęścia.

— Nareszcie, nareszcie!—wołał, patrząc na Józefę, jakby ją pił wzrokiem.—Codziennie przeklinam tę fortunę, którą mi los rzucił na głowę. Józiu, co to za ciężar! Poco mi te fabryki, kasy, dywidendy, rachunki... poco wkoło mnie ten tłum ludzi, żywiących się nietylko moją kieszenią, ale moim mózgiem, moim czasem, moim spokojem, moimi chwilami szczęścia! A miałem to za pomyślność! Wszyscy uważają mię za obsypanego darami losu!...

— Jesteś nim.

— Nie, jestem nędzarz! Mam wszystko, a łaknę tylko jednej rzeczy i to właśnie tej, której posiadać nie mogę. Ta jedna mi potrzebna, jak spragnionemu napój, jak głodnemu chleb, jak wierzącemu zbawienie.

— Tracimy czas... gdzie książka? Zacznę czytać... nigdy tego dzieła nie skończymy...

— Tak się zawsze chcesz mię pozbyć!

Wzruszenie niezmierne dzwięczało w jego głosie. Patrzył na Józefę, schylającą głowę nad książką i myślał namiętnie nie o tem, co mówił autor przez usta lektorki, ale że to czytanie to była właśnie strata czasu. Co im obojgu było po tej literackiej krytyce? Może ona była wysmienita, ale na co im się przydać mogła? Oni powinni-by rzucić się sobie w objęcia i z ustami na ustach wyznać sobie to, co teraz było dla nich jedyną prawdą i jedyną myślą na świecie!

I Józefa nie wiedziała, co czytała. Usta jej wymawiały machinalnie słowa bez żadnego dla niej znaczenia. Skronie jej pulsowały, przed oczyma jej litery się mieniły. Odczuwała prawie myśli Zygmunta i drżała na myśl, że ten, pochylony ku niej, wzruszony człowiek, gotów był rzucić się przed nią na kolana, lub porwać ją w objęcia. A ona czuła się taką bezsilną, taką pomieszaną!

Oboje teraz wiedzieli doskonale, że się kochali wzajemnie, choć żadnych wyraźnych wyznań nie było między nimi nigdy.

Pewnego razu, gdy Zygmunt mówił o zmianie któregoś z urzędników cukrowni, Józefa rzekła poważnie:

— Będiesz też musiał pomyśleć o nowym kasyerze lub kasyerce.

— Co? Co ty mówisz? Chciała-byś mię opuścić?

— Sam wiesz dobrze, że uczynić to muszę...

— Nie, nie uczynisz tego! Słuchaj, Józiu, ja nie żartuję! ponieważ żyć bez ciebie nie mogę, zatem-bym nie żył!... Przysięgam ci, że twój odjazd był-by hasłem mojej śmierci! To nie żadna dziecinna groźba. Ty czujesz, że ja mówię prawdę! I jakież-to zło popełniasz, zostając przy mnie? Ratuszujesz mnie od ostatecznej rozpacz i niedoli! Przecież nie robimy nic nagannego... kochamy się, a nawet sobie tego nie mówimy nigdy... moje usta spragnione są twego pocałunku, a zaledwie twoją rękę uściskać się ośmielam...

— Nie mów tak, nie mów tak!—szeptała Józefa,—ja takich wyznań słuchać nie mogę!... nie czyn ze mnie kobiety nieuczciwej! Wiesz, tem mocniej czuję, że opuścić cię muszę!

— Chcesz więc mego nieszczęścia, mojej zguby, mojej śmierci! O, ty mię nie kochasz tak, jak ja ciebie kocham!

— Nie mam prawa cię kochać... nie mam prawa słuchać słów takich...

— Wszystko ci jedno, czy ja cierpię, czy ja lecę w przepaść...

— O, nie, nie, Zygmuncie... po co mię tak męczysz? Wszystko gotowam ci oddać, moje szczęście, spokój, życie... tylko uczciwość moja musi mi zostać... Ja już teraz tracę szacunek dla samej siebie... cóż-by było wtedy?

— Ja ci tego szacunku dla samej siebie nigdy odebrać nie chcę!

— Więc nie mów mi o swojej miłości...

— Nie będę mówił, będę milczał, tylko nie myśl o odjeździe! Ty widać rozumiesz życie beze mnie, ja bez ciebie go nie rozumiem. I widzisz, ja się obywam bez pociechy przyciśnięcia cię do mojej piersi, moja miłość skazana jest na wieczny głód, ale ja to znieść jestem gotów... zniosę to całe życie, tylko bez twego widoku obejść się nie potrafię! Jeżeli wracam do zdrowia, to dlatego, że cię widzę codziennie i nazajutrz zobaczyć mam nadzieję! Czy myślisz, że był-bym zdolny zajmować się interesami moimi, przyszłością mojej fortuny, gdybyś ty była daleko? Czy ty nie czujesz, że mnie-by tęsknota za tobą zabiła?

— O, jaka ja nieszczęśliwa! — zawołała Józefa, — żem ja w tobie wzbudziła to uczucie! I to uczucie takie zaślepione! Zmiłuj się!... co ty we mnie widzisz? Jestem prawie w twoim wieku... o tyle brzydsza, o tyle starsza od Mani!

— O, to są spóźnione porównania! Nie wiem, czyś stara, czy młoda i od kogo jesteś piękniejsza, lub brzydsza... Dawniej podziwiałem i uwielbiałem twoje przynioty, dziś ich ani podziwiam, ani nawet widzę. Widzę tylko ciebie! Jesteś dla mnie jedyną! Kocham cię bez miary i bez żadnej przyczyny... I już niema nic takiego, co-by mię od tej miłości odwiodło. Jesteś młodszą ode mnie, ale cóż-by mię to mogło obchodzić, gdybyś nawet starszą była? O Mani ty mi nie wspominaj! Kochały ją zmysły moje przez kilka miesięcy... Ty jesteś kochanką duszy mojej i dlatego nie wiem, czyś brzydka, czy ładna, a wiem tylko, żeś jedyna, żeś przez moją duszę poślubiona na zawsze! I jużby się nie oderwała od ciebie, choćbyś nawet zbrodnię popełniła!

Józefa zakryła twarz rękoma.

— Boże!—szepiała,—co ja mam począć? Ty mówisz, że my nie popełniamy nic złego? A ta rozmowa dzisiejsza? Czy ja powinnam słuchać wyznań twoich? Jeżeli mi je powtórzysz kiedy, ucieknę stąd... ucieknę przed tobą i przed sobą... przed tą istotą, która nie umie nakazać ci milczenia...

— Nie gniewaj się, jedyna! będę takim, jakim być mi każesz... nie będę mówił ci o miłości, ale ty nawzajem nie mów mi nigdy o opuszczeniu mię!

Pięknego, pogodnego dnia sierpniowego, o południu, z ранego pociągu, przyjechał do Zarebia Edward Kuryński. Nazwisko swoje kazał zameldować pani i udał się do pokoju gościnnego dla przebrania się. Mania aż się zaczerwieniła z zadowolonej próżności. Przybywał więc szukać jej aż na wsi i jej wiejscy sąsiedzi będą wiedzieli, że wielbiciel jej nie czekał pierwszego mazura na balu w Warszawie i przy-

bywał wcześniej. Kazała przybyłemu ze stacyi Edwardowi podać śniadanie i poleciła powiedzieć, że czekać będzie w salonie.

Przyjęła go bardzo grzecznie, ale gdy z jakąś wzmianką o swej tęsknocie wystąpił i wspomniał coś o należącej mu się nagrodzie, Mania, śmiejąc się, odesłała go znowu do naznaczonego za lat dwadzieścia terminu.

Edzio przyjechał tylko na dzień jeden. Miał interesa w Warszawie i musiał wracać. Mania oświadczyła mu, że musi on pozostać dłużej, nazajutrz bowiem był w Zarębiu obiad proszony, na którym chciała go mieć.

Zygmunt wiedział, że jakiś gość przyjechał, ale przyjeżdżało ich tylu! Miał dnia tego u siebie sporą liczbę interesantów i mnóstwo kłopotliwych spraw. Przy obiedzie, spostrzegłszy Edwarda, zmarszczył brwi; oburzenie zagotowało się w nim warem. Matka jego, która niczego nie domyślała się w Warszawie i którą nazwisko Edwarda, połączone z nazwiskiem Mani, doszło dopiero w Zarębiu, patrzała z przestrochaniem na gościa. Obiad zeszedł w jakimś dziwnym napięciu. Mania była nienaturalnie wesoła, jeden tylko Edward wydawał się swobodny i opowiadał dowcipnie jakieś zabawne wydarzenie.

Po obiedzie Zygmunt zaproponował Edwardowi przejście do swego gabinetu dla wypalenia cygara.

Gdy się znaleźli sami, Zygmunt z udanym spokojem oświadczył gościowi, że za parę godzin konie dla niego będą gotowe na wieczorny pociąg. Na pytające wejrzenie Edwarda odpowiedział:

— Pan zapewne nie wie, że w Warszawie ukuto plotkę, w której przypisywano mojej żonie jakieś względy, okazywane panu. Nie wątpię, że pragnieniem pana najgorętszem będzie oczyszczenie nazwiska mojej żony od owego cienia, rzuconego na nie...

Edzio się tłumaczył, było mu niewygodnie pod spojrzeniem Zygmunta, wreszcie wybrał najwłaściwszą drogę: udał oburzenie na plotkę i oświadczył swoją gorącą chęć zapobieżenia jej, o ile to będzie w jego mocy. Wyjedzie więc na wieczorny pociąg, jak mu to Zygmunt radził.

Przeszli obadwaj do salonu i prowadzili z Manią zwyczajną, pospolitą rozmowę aż do chwili, w której Zygmunt, spojrzawszy na zegarek, ozwał się:

— Jeżeli pan się nie chce spóźnić na pociąg... konie stoją przed gankiem... pan jeszcze zapewne zechce włożyć podróżne ubranie...

Edzio zębał się, kłaniał się grzecznie, uśmiechał się uprzejmie. Mania wstała, zadziwiona, nie mogąc ukryć niezadowolenia.

— Co to ma znaczyć? — zawołała. — Wszak pan przyjechał z zamiarem opuszczenia nas jutro za ledwie, a potem zgodził się pan na zostanie jeszcze cały dzień dłużej?

— Tak... w istocie... ale zapomniałem był o ważnej sprawie, teraz ją sobie przypomniałem.... Muszę koniecznie dziś jeszcze być w Warszawie... interesa niezmiernej wagi tego wymagają...

Nie zmieniawszy ubrania, włożywszy śpiesznie okrycie od kurzu, wyjechał.

Zygmunt odprowadził go do przedpokoju, okazując mu przytem grzeczność wyszukaną.

Wróciwszy do salonu, zastał Manię czerwoną od gniewu, idącą na jego spotkanie z wyzywającym wyrazem w spojrzeniu:

— Dlaczego wyprawiłeś stąd Kuryńskiego? — zapytała. — Bo ja wiem, ja czuję, że to twoja sprawa! To ty dałeś mu do zrozumienia, by sobie jechał!

— Nietylko mu to dałem do zrozumienia, ale mu to powiedziałem wyraźnie. Nie życzę sobie skandalu w moim domu i dlatego ten pan nie wróci tu więcej!

— Jak ty śmiałeś to zrobić? — zawołała Mania, trzęsąc się od gniewu. — Jakie miałeś do tego prawo?

Sprzeczka małżonków trwała dość długo. Krzyki i wymówki Mani były tak głośne, że pani Bielmońska weszła do pokoju, bojąc się wzruszenia dla syna. Uprowadziła go, błagając, by się nie unosił. Zygmunt dostał był paroksyzmu kaszlu i pragnął go ukryć we własnym pokoju. Był rozgniewany, ale obawa nerwowego ataku była płonna.

— Nie bój się o mnie, mamó—mówił z goryczą,—moje nerwy są już silne... nie łatwo je potargać... Zresztą, czy myślisz, mamó, że ja tak bardzo dbam o gniew tej kobiety, o jej prowadzenie się, o jej reputację? Mój własny honor jeszcze mi trochę miły i dlatego wyprawiłem tego dudka! O nią nie chodzi mi wcale, wcale! Jest mi tak obojętną! Nie, nie obojętną, bo jej nienawidzę!

— Zygmusiu, co ty mówisz? Miej litość nad samym sobą!

— O, tak, ja potrzebuję litości, mamó, ale nie dlatego, że Mania ma ochotę zdobyć sobie kochanka... nie dlatego! Tylko ja sam jestem taki nieszczęśliwy!

— Wiem... nieszczęśliwy przez nią!

— Tak, bo ona stoi mi na drodze do raju, którego z jej powodu osiągnąć nie mogę! Dlaczego Józia tak się dziś spóźnia z przyjazdem? Któraż to godzina? Od jakiegoś czasu przyjeżdża coraz później!

— Czy to jest twój raj, Zygmusiu?

— Tak, to jest mój raj, to jest mój okrucz nadziei na tej ziemi, to jest mój dział szczęścia!

Pani Bielmońska załamała ręce.

— Więc oboje, oboje?—zawołała.—Mania szuka sobie miłości na rozstajnych drogach... ale i ty!... i ty! A ta Józia, ta hipokrytka!

Zygmunt żałował już uniesienia swego i tej nagłej potrzeby zwierzenia się, która go napadła z nienacka i której nie zdołał w porę osądzić i pohamować.

— O, proszę cię, mamó, tylko o niej, o Józi, ani słowa krzywdzącego!

— A cóż ona lepszego od Mani? Co lepszego od innych bezwstydnic, dla których cudzy mąż tem ponętniejszy, że cudzy? Ona szczęście własnej siostry zabiera!

Matka ujrzała na twarzy syna wyraz tak strasznego gniewu, że zamilkła. Kaszlał znowu, zanosząc się, więc mu podała krople uspokajające. W tej chwili Józefa wchodziła do pokoju. Pani Bielmońska opuściła go śpiesznie.

Zygmunt spojrzał na Józefę z wyrazem bólu, żalu, skruchy. Spojrzeniem przeproszał ją za wydanie tajemnicy, za narażenie jej na pogardę swojej matki. Nie śmiał jej powiedzieć, co uczynił, nie chciał jej ranić. Poco miała cierpieć za jego szaleństwo? Gdy usiadła, ukląkł obok jej krzesła, jak gdyby się modlił, wziął brzeg jej sukni i poniosł go do ust. Ona widziała, że musiało zajść coś niezwykłego, coś, co zachwiało cały jego spokój, całą równowagę; nie pytała jednak i pozwoliła mu na ten niemy hołd, jaki jej składał, czuła bowiem, że go on ukoi i jego wzburzony umysł ułagodzi.

— Nie widziałam jeszcze ani Mani, ani Jasia—rzekła,—pójde się z nimi przywitać.

— Nie idź do Mani... zła w tej chwili, jak żmija...

— Dlaczego?

— Przyjechał tu Edward Kuryński, miał intencję zostać dłużej, wyprawilem go... Mania zrobiła mi scenę straszną...

Józefa z nagłą bledością na twarzy powstała i przeciągnęła ręką po czole:

— A my, Zygmuncie, a my?... Mania powinna-by mię wypędzić tak, jak ty wypędziłeś Kuryńskiego!

— Cicho, Józiu, nie doprowadzaj mię do rozpaczyl! Tamto, to kusił Mani, a ty jesteś mój anioł, moje zbawienie, moja święta!

Położyła mu rękę na ustach:

— To bluźnierstwo!

— Nie! Pozwól mi uwielbiać cię tak, jak anioła, jak świętą... Takim się czuję dobrym wtedy, gdy nie pragnę porwać cię w objęcia i unieść cię gdzie daleko, a tylko cię uwielbiam i klęczę przed tobą!

Józefa w zachowaniu się matki Zygmunta odczuła zaraz odcień, prawie określić się nie dający, odcień lekceważenia. Wiedziała, że pani Bielmońska zazdrościła jej wpływu na syna, ale teraz było to co innego. Zazdrość przemieniła się w pogardę. Stara kobieta nie odmó-

wiła sobie nawet rokoszy przycinków. Za jej czasów kobiety były inne; nie tak łatwo im przychodziło zrywać z religią, z moralnością, z cnotą.... nosiły wyżej swoją godność kobiecą i nie szargały jej po manowcach zakazanej miłości. Z początku Józefa sądziła, że chodziło tu o Manię, lecz wkrótce odczuła wyraźnie, że matka Zygmunta wiedziała wszystko, a może domysły jej poszły dalej jeszcze... Pierwszy raz w życiu Józefa doznała tego rodzaju boleści: pogardzano nią, a ona czuła, że nie mogła okryć się dumą swej niewinności, jak płaszczem. Ból upokorzenia wywołał w niej naprzód gniew i obrazę, potem paroksyzm niemiłosiernej szczerości względem siebie samej, szczerości, obalającej naraz wszystkie sofizmata, które nas okrywają przed własnym wzrokiem i zasłaniają nas przed surowością własnego sądu. Matka Zygmunta miała prawo ją potępiać, miała prawo nią pogardzać! taka słabość, jak jej, zasługiwała na pogardę! Dlaczego ona nie uciekła w chwili, gdy pierwsze podejrzenie miłości Zygmunta dotknęło jej umysłu? Uczciwa kobieta powinna była wtedy położyć stumilową przeszczeń między sobą a tym nieszczęśliwym, którego serce poczynalo się zwracać ku niej. Ale ona okłamywała siebie z upodobaniem... umyślnie wmawiała sobie brak niebezpieczeństwa, żeby dogodzić własnemu pragnieniu zbliżenia się do człowieka, którego już wtedy bezwiednie kochała. I oto teraz musiała znieść słuszną pogardę ludzi uczciwych i czuć się na bezdrożu, z którego wrócić nie widziała sposobu. Uciekając, życie Zygmunta stawiała na kartę, zostając przy nim, rzucała się w wir dramatu, którego postęp przedstawiał się jej, jak coś nieuniknionego a strasznego.

Błagała Zygmunta, by jej pozwolił przyjeżdżać co drugi dzień. Z przymówek pani Bielmońskiej widziała jasno, że jej przebywanie w Zarebiu zwracało uwagę, że zaczynało się czegoś domyslać...

— Niczego się nikt nie domysła — zawołał Zygmunt, — ale to ja sam w przystępie szaleństwa wydałem cię, zdradziłem cię! Ja sam powiedziałem matce! jestem nieszczęśliwy i nędzny! Mam ciebie jedną, a o cierpienie cię przyprowadzam!

Józefa patrzała na niego z bólem i litością.

— Ale rozumiesz to, że ja pragnę zejść trochę ludziom z oczu, z oczu twojej matki... jestem taki ślimak, który się pragnie czasem schować we własnej skorupie...

— Bo mię nie kochasz tak, jak ja ciebie Kocham! Ja-bym do ciebie szedł przez ogień wszystkich piekieł, przez chłostę pogardy całego świata... Co mi tam cały świat! Czemże świat jest dla mnie? Nie może mi dać ciebie, a ja ciebie jednej pragnę! Rozumiesz? ciebie jednej i niczego więcej!

— Zygmuncie, Zygmuncie! przyrzekłeś mi, że tak do mnie mówić nie będziesz... zmiłuj się, nie zmuszaj mię do ucieczki!

— O, ty mię nie kochasz, nie kochasz! Pragniesz się mnie pozbyć... mówisz o ucieczce... chcesz przynajmniej co drugi dzień być wolną ode mnie...

— Tak, potrzebuję trochę samotności... Dawniej zastawałam tu spokój... pamiętasz, na wiosnę... rozmawialiśmy tak swobodnie, bez wybuchów, wymówek... jak dwoje przyjaciół... Teraz, przy tobie, znajduję burzę... męczę się, narażasz mię na ciągłą walkę, już mi i sił nie staje, muszę trochę wypocząć, sumienie czyni mi takie ciężkie wyrzuty, gdy przestępuję ten próg, próg siostry, którą kochałam, jak matka... O, pozwól mi na to, o co cię proszę! Masz teraz tyle interesów, rzadko i tak jesteśmy z sobą, a mnie tu wszystko teraz rani, tak wzdycham do ciszy mego samotnego mieszkania... Mania jest dla mnie zimna, podejrzewa wiecznie w moim wzroku naganę dla siebie, a nie rozumie, że ja teraz mam względem niej niezwalczoną nieśmiałość, że często nie mam odwagi do niej przemówić... Pani Bielmońska nie kryje swej pogardy dla mnie... Potrzeba mi trochę odsunąć się od nich, by ocalić nieco godności, nieco dumy...

Mówiąc Zygmuntowi o swem pragnieniu samotności, była pewna, że jej pragnie rzeczywiście, tymczasem, gdy nazajutrz konie z Zarębia odesłała i została z przeświadczeniem, że dnia tego Zygmunta nie zobaczy, otoczyła ją pustka, tęsknota i niepokój. Nie wiedziała, co z czasem uczynić. Godziny jej się dłużyły, przyzwyczajenie przebywania z ukochanym czyniło jej nieznośnem to długie popołudnie letnie, spędzane zdala od niego.

Wyszła z zamiarem odwiedzenia kilku chorych i u jednego z nich spotkała Nadolnego. Zdziwił się, zobaczywszy ją w tej porze w Obrowcu. Co się stało, że nie pojechała do Zarębia? Powiedziała mu, że ponieważ Jaś był zdrow zupełnie, a Zygmunt coraz zdrowszy, więc postanowiła rzadziej Zarębie odwiedzać. Nadolny towarzyszył jej w powrocie do domu. Że było gorąco, więc go zaprosiła, by odpoczął i ochłodził się zimnym napojem. Czula w nim serce życzliwe sobie i w tej chwili było jej to pociechą. Miała też dla niego wdzięczność za swoich chorych i wielkie uznanie, a nawet pewien rodzaj podziwu dla jego bezinteresowności i energii.

Wmawiał jej, że jest egoistą, widzącym wszędzie tylko własną korzyść.

Więc dla własnej korzyści leczył darmo biedaków?

A tak. Cóż innego mogło go do tego skłaniać? Naprzód robiło mu to przyjemność, a więc zadawałniało jego samolubstwo, powtórę czuł dobrze, że mu to w przyszłości przyniesie korzyści materialne. Sława

jego się rozniesie. Biedacy i maluczcy mają też swój głos... niezbyt silny, ale go mają. Przytem przesadzają w pochwałach. Lada posługa, lada pomoc, wydaje im się czemś niezmiernie doniosłem. Co mu to szkodzi, na przykład, wstać w nocy i przyjść piechotą z Werechowa do Obrowca, do ciężko chorego? Przyjemny spacer, ochłodzenie się po upale dnia... noc księżycowa, cisza... czasem tylko jaki ptak nocny załopoce skrzydłami... słowem, prawdziwa przyjemność... Tymczasem żona mającego i zrywającego się chorego bierze to za poświęcenie się i uczynek wspaniałomyślny, klęka, dziękuje.... potem opowiada kumoszkom, księdzu proboszczowi... rozchodzi się sława nadzwyczajnej dobroci serca lekarza, któremu gorąco było w ciasnym pokoju i który się *kropnął spacerkiem* trzy wiorsty, bo trzy wiorsty dla jego chłopskich nóg nic nie znaczą. Żeby tak obliczyć ten spacer nocny na materialną korzyść w przyszłości, kto wie, jak grubą sumę pieniężną-by przedstawił? Może w nim zawarte było nasienie jakich tysiąca rubelków?

— Tysiąca rubelków?

Nadolny zajmował i bawił Józefę. Jego niezgrabne, energiczne ruchy, błysk jego czarnych oczu, zjeżzona, gęsta czupryna, ręce machające, jak skrzydła wiatraka, a szczególnie jego pewność siebie i pewność jutra, były dla niej przedmiotem interesującym. Coś zdrowego, silnego i wzmacniającego wiało od tego człowieka. Przytem tak dziwnie przykrawał własne życie i uczucia do naprzód powziętych teorii! Ani przypuszczał, że był dobrym i miłosiernym, a tylko był pewien, że własny interes pojmował lepiej i przebieglej. Na pożegnanie zapytał Józefy, czy ją męczył swem towarzystwem, czy nie. Jeżeli jej nie męczył, to chciał przyjść znowu pierwszego dnia, w którym ona do Zarebia nie pojedzie.

— A więc po jutrze. Pójdziemy do chorych, potem trochę na spacer po-za terytorium fabryczne... może do lasu.

Pożegnał ją niezgrabnie, śmiejąc się głośno i błyskając radośnie czarnemi oczyma.

Odtąd bywał często u Józefy. Raził ją złem wychowaniem, obejściem się, trywialnością mowy; zajmował ją szczerością i sympatycznością charakteru. Spostrzegła prędko, że miała na niego wpływ wyraźny i zupełny. Zasmuciła się, przekonawszy się, że wzbudzała w nim żywsze uczucia. Wyznał jej to najprościej i najniezgrabniej w świecie: gdy odwiedził chorego Zygmunta i przebywał z nią dni kilka w Zarebiu, uczył się odrazu zabranym, zagarniętym, ale myślał, że to przejdzie. Przecie nieraz podobała mu się ta i owa... Jeżeli była dla niego przystępna, to... zapominał o pragnieniu, napiwszy się. Jeżeli było inaczej, to w kilka dni już nie myślał o niej, jak się nie myśli o podróży na księżyc, wiedząc, że jest niemożliwa. Ale tym razem *przydusiło* go to na

dobrze. Wróciwszy do Warszawy, miejsca sobie znaleźć nie mógł. Czekał tydzień, dwa tygodnie, miesiąc... jedno i jedno. Więc dalej do mapy. Był wolny, Warszawa mu zbrzydła, lubił wieś... Odkrył Werechów, zasięgnął informacji i oto był tu, gdzie mu było bardzo dobrze. Teraz stanie się z nim to, co Józefa zechce. On tylko jedno wie, że całe życie będzie blisko niej. Zawsze potrafi się on tak umieścić, by ją mógł widywać. Ameryka? No, to Ameryka! Gdzie się pani Rzewicka osiedli, tam i on!

— Ależ to nieszczęście!—mówiła Józefa.—Co się panu zdaje, co się panu śni? Ja nigdy za mąż nie pójdę! pan młodość tracić będzie na marne... Nie, to chyba jakaś mania!

— Mania... newroza... być może. Człowiek nigdy zaręczyc nie może, że nie jest monomanem... Prawdopodobnie geniusz, talent, miłość, przekraczająca miarę zwykłego pociągu, są tylko objawami chorobliwymi. Ja, zapewne, jestem człowiek chory.

Mówił to z głębokim przekonaniem, choć Józefa śmiała się, patrząc na jego silne barki i energiczną postać.

— Z pewnością jestem chory i monoman. Dzisiejsza nauka wykryła, że dziewięćdziesiąt kobiet cywilizowanych na sto jest histeryczek, a najmniej połowa mężczyzn cierpi na rozmaite newrozy i psychozy. Ale cóż uczynić z moją chorobą? Kąpię się codzień w rzece, chodzę dużo, czytam i pracuję mało... jadam same posilne a zdrowe rzeczy...

— I nic nie pomaga?

— Nic nie pomaga. Coraz jest gorzej, bo coraz bardziej lubię swoją chorobę. Stosuję zimną wodę dla idei, ale w gruncie nie chcę być zdrowym. Takie upodobanie we własnej chorobie było też obserwowane, jako objaw dość częsty w niektórych wypadkach.

— Mam nadzieję, że wypadek pana skończy się zupełnem wyzdrowieniem. Boję się tylko, że ja wyzdrowienie opóźnię, przyjmując pana zbyt często.

— Zawsze się we wszystkim zastosuję do woli pani. Będę bywał rzadziej, jeżeli pani każe.

— Jako lekarz, niech pan sądzi, co dla pana jest lepsze i co pana prędzej do zdrowia doprowadzi.

— Co ty robisz, Józiu, w Obrowcu w te dni, które tam sama spędzasz?—zapytał raz Zygmunt z rodzajem zazdrośnej ciekawości, nad którą panować nie umiał, — ja tu się męczę bez ciebie, tęsknota mię zjada... Znoszę interesantów i całe piekło spraw rozmaitych, gdy wiem,

że ty jesteś blisko, że ciebie zobaczę za chwilę; gdy ciebie niema, gryzę wędzidło... niedługo zrobię sobie reputację popędliwego, niebezpiecznego szaleńca... No, powiedz, co wczoraj po południu robiłaś?

— Byłam u chorych...

Zatrzymała się. Wydało jej się, że Zygmunt patrzy na nią podejrzliwie i przełękła się. Nużby się w jego nieszczęśliwym sercu wyrodziło podejrzenie, nużby powstała zazdrość! Nie dodała więc, że u chorych była z Nadolnym. Przemilczała ten fakt, bo mógł on w piersi Zygmunta zapalić nowy pożar, opóźnić wyzdrowienie. Poczęła więc prędko opowiadać, jak małe dziecko chłopskie przełękło się jej rąk w czarnych rękawiczkach i uciekało, płacząc.

Już po chwili żałowała, że w sposób najprostszy nie powiedziała odrazu: „Byłam u chorych z Nadolnym.“ Po co to kłamstwo? Wszak Zygmunt musi się dowiedzieć, że młody lekarz bywał często u niej. Co pomyśli, gdy się dowie? Wtedy-to może się w nim obudzić żal słuszny za zatajenie prawdy, może się obudzić podejrzliwość... Boże, człowiek z jednego błędu wysnuwa tyle innych! Idzie po pochyłości, zatrzymać się nie mogąc! I tak jest we wszystkim. Każde uczucie, każda myśl ma taką swoją pochyłość, po której dąży nieubłagane, jak lawina. Tak było z ich miłością. Tyle razy powtarzali sobie, że o niej mówić nie będą... Zygmunt tyle razy przyrzekał, tyle razy zapewniał, że mu widywanie Józefy wystarczy do szczęścia, że niczego więcej nie pragnie. Pomimo to, z dnia na dzień stawał się natarczywszym, mniej nad swem uczuciem panować umięjącym... Ona codzień czuła się bardziej rozstrojoną, codzień więcej drżącą przed wybuchem, któremu mogła nie mieć siły się oprzeć. Co się z nią stanie, gdy ją nagle ten człowiek, którego kochała, porwie w objęcia? Wiedziała, co ich dzieliło, a czuła się czasem tak bliską niego! Przychodziły chwile, w których i przed jej zbałamuconym wzrokiem przeszkody zdawały się leżeć w gruzach. Była kochaną. kochała, we dwoje byli tylko jedną duszą, gdzież więc były przeszkody? Jedno dla drugiego byli wszystkim, czego pragnęli, o czym marzyli, czego im na tej ziemi było potrzeba, kto więc mówił o przeszkodach?

Gdy się spotykali na chwilę samotności po dwóch duiach niewiedzenia, milczeli często tem milczeniem, które mieści w sobie najnamiętniejsze wyznania. Czuli, że nic innego w tej chwili powiedzieć sobie nie mogli, jak, że się kochali; bali się, że gdyby jednym krokiem ku sobie postąpili, musieli-by połączyć się w uścisku. Więc usta ich były nieme, ciała skamieniałe.

Ale i on, i ona wiedzieli, że czasem płyn, na ogniu stojący nieruchomy, zakipi nagle, zawsze niespodzianie, i że takiej chwili przewiedzieć nie można.

Jak ratować siebie i jego? — myślała Józefa z rozpaczą, gdy jej anioł stróż wracał do niej i gdy się znowu czuła uczciwą kobietą raczej, niż kochanką.

Spotkawszy raz w parku matkę Zygmunta, miała z nią rozmowę wyraźną i bolesną. Stara kobieta poczęła mówić o nienawistnej synowej w sposób, obrażający dla Józefy. Cóż to było dziwnego, że Mania nie dbała o męża? Wszak jabłko niedaleko od jabłoni pada... jakie wychowanie i przykłady, takie i ich owoce.

— Wiem, co pani ma na myśli! — zawołała Józefa, — wiem, że Zygmunt powiedział wszystko... Pragnę tylko jego dobra, jego szczęścia... Niech mi pani powie, co ja mam czynić?

— A... teraz o to pytasz?

— Wiem, że powinnam była uciekać dawniej, nie chciałam wierzyć samej sobie, gdy m spostrzegła pierwsze objawy jego miłości. Szydziłam z zarozumiałości kobiety, która mogła przypuścić, że on, mając młodszą i piękniejszą żonę... Nie wiedziałam wtedy, że sama go kocham... Dopiero, gdy zachorował, gdy zaczęłam drżeć o jego życie... Potem przywiązaliśmy się głębiej do siebie, gdy poczęłam przy nim przebywać, jako opiekunka chorego... nie mogłam go opuścić, czułam, że byłam dla niego wyzdrowieniem!

— A... to dla jego zdrowia zostałeś jego kochanką?

— Jestem zapewne bardzo winną i jestem kochanką, ale tylko kochanką jego duszy...

— Kłamiesz!

— Ah, po cóż-bym kłamać miała? Zresztą to, co się nie stało wczoraj, może się stać jutro. Chciała-bym wszakże jego i siebie ocalić...

— Wyjeżdżaj stąd!

— Zygmunt grozi odebraniem sobie życia, jeżeli go opuszczę!

— Co ty mówisz? Ah, co to za przekłeta intrygantka, która tak oplącze człowieka, że mu się staje niezbędną!

— Niech pani z nim pomówi... może posłucha głosu rozsądku i sumienia...

— Ty mówisz o sumieniu?

— Może Bóg będzie mnie sądził mniej surowo, niż to pani czynił!

— Grozi odebraniem sobie życia? O, on gotów doprawdy to uczynić. Matka mu niczem, żona mu niczem, dziecko mu niczem! tyś mu całą duszę zabrała!

— Więc co czynić, co czynić?

— Pytasz mię dla formy, bo wiem, co uczynisz! Zostaniesz jego kochanką, jeżeli nią jeszcze nie jesteś!

W Józefie krew zawrzała, policzki jej zapalały.

— O, jaka pani jest okrutna!—zawołała.

— I dziwna, nie prawdaż? taka matka, która sceny robi kochankom syna, zamiast im dziękować za to, że go bawi!

Józefa odeszła zgnębiona, dotknięta do głębi, wstydem i upokorzeniem okryta. Pragnęła-by była ukryć się gdzie przed całym światem, nie widzieć nikogo i niczych spojrzeń nie czuć na sobie. Głowa jej pałała, odjechała, wymawiając się migreną. W dwa dni potem napisała do Zygmunta, że czuła się bardzo zdenerwowaną i chorą, że przyjechać nie mogła. Prosiła, by był cierpliwy.

Ale Zygmunt cierpliwym nie był. Chciał sam jechać do Obrowca, choć podróż, dla wielkiego kurzu, była mu surowo zabronioną. Wywołało to utarczkę między nim, a matką, która wreszcie postanowiła sama jechać po Józefę. Widząc rozpacz i niepokój syna, gotowa była posunąć się nawet do przeprosin.

Zastała Józefę samą, rzeczywiście cierpiącą i bardzo osłabioną. Dwie noce oka zmruzzyć nie mogła.

— Przyjechałam po ciebie—ozwała się pani Bielmońska,—daruj mi, uniosłam się...

— Wolę, że pani była dla mnie zbyt surową, nawet niesprawiedliwą... owszem, dziękuję pani... to było dla mnie wstrząśnieniem pożytecznym... wiedziałam, że mam przepaść pod nogami, ale czasem zapomniałam, że jest bez dna, pani mi ją oświeciła...

— Moja droga, zapomnij, com mówiła... on żyć bez ciebie nie może... teraz sama to widzę... nie możesz go opuścić, nie jest jeszcze całkiem zdrow... była-byś bez litości, gdybyś nas teraz porzuciła, nie gniewaj się na mnie, daruj mi...

— O, co tam obraza! Jestem obrażona i ciężko dotknięta, ale cóż to znaczy? Tu chodzi o jego zdrowie, o jego spokój, a także o to, aby mógł wrócić do obowiązku, do czystego sumienia... Wiem, że takie słowa wydają się pani śmieszne w moich ustach...

— Ale pojedziesz dziś ze mną?

— Nie, niechaj mu pani powie, że nie zdołam, że jestem chora... wcale spać nie mogłam i to mię rozstroiło, niech mi daruje...

— Kiedy ja mu przyrzekłam, że cię przywiozę!

Józefa patrzyła z rodzajem litościwej pogardy na starą kobietę, która wczoraj wystąpiła względem niej, jak nieubłagany, srogi stróż moralności, a dziś gotowa ją była popchnąć w ramiona syna, o którego zdrowie na nowo drzeć zaczęła.

— Nie mogę, przyjadę jutro, jeżeli będę silniejsza.

Potrzebowała samotności. Zdawało jej się, że gdyby mogła wejść w siebie, zastanowić się spokojnie, znalazła-by pewno sposób wyjścia

z trudnego położenia. Ale nie mogła się skupić. Myśli jej rwały się na strzępy.

Czuła jeszcze niezmierne wstrząśnienie po przebytej scenie: Rzucano jej na głowę oskarżenie, na które nie zasłużyła, ale czy na nie nie zasłuży jutro? Wszak już parę razy przychodziły na nią chwile zawrotu głowy, niejasne, niewytłumaczone, w których z przekonania, z myśli, z uczuć powstawał zamęt... w których przed oczami robiło jej się ciemno... Wspomnienie tych chwil, w których stawała się bezbronną, przerażało ją. Ona, ona, którą nazywano duchem, mogła być na łasce jednej gorętszej fali krwi, przyplływającej do serca? Wszak i teraz, gdy nie była razem z Zygmuntem, pod wpływem tęsknoty i rozpaczyczuła się chwilami szaloną, gotową rzucić wszystko pod nogi swej miłości. Musiała więc strzedz się samej siebie i wprost unikać tego, czego najbardziej pragnęła: samotności z Zygmuntem.

Obudziła tem podejrzliwość jego.

— Co to jest, Józiu?—mówił ze drżeniem w głosie,—ty mię unikasz—uciekasz ode mnie... Co się dzieje w tobie i z tobą? Od kilku dni zdaje mi się, że jakiś cios zawieszony jest nade mną, że mię od ciebie czeka coś strasznego... Jakaś jesteś inna, nie ta sama, która mię od śmierci i rozpaczyc ratowała!

Ona nie chciała się tłumaczyć. Unikała odpowiedzi, unikała pozostawiania z nim sam na sam. Czuła się tem słabszą, że miała dla niego niezmierną litość. Odgadywała w jego piersi taką rozpacz, taki niepokój... widziała w jego spojrzeniu taką niezmierną miłość dla siebie i takie błaganie!...

— Józiu—rzekł jej namiętnym szeptem, znalazłszy się wreszcie sam na sam z nią na chwilę,—ty musisz być moją, ty będziesz moją! Taka miłość, jak nasza, to najświętszy węzeł! niema nadeń świętszego! Tylko sam Bóg może sercom ludzkim dawać miłość taką! Będę mówił z Manią... ona się zgodzi na rozwód... nigdy mię nie kochała... Poświęcę cały majątek... jej go oddam po okupieniu rozwodu... będziemy biedni... będziemy pracowali... wrócę do mojej rodzinnej wioski, zostawiwszy Zarębie Mani... Ty pójdziesz ze mną i będziemy szczęśliwi, szczęśliwi!... Otrzymamy pozwolenie na małżeństwo.

Józefa usiłowała wyrwać ręce, które trzymał w swoich i okrywał pocałunkami.

— Nie kuś ty mię — mówiła z przestachem, — nie odejmuj mi przytomności... nie rzucaj mię w ten zamęt myśli... Co ty chcesz ze mnie uczynić? Zdrajczynię rodzonej siostry... której przysięgałam być opiekunką, matką... Nie, nie, my-byśmy nie zaznali szczęścia, które mi obiecujesz... nie idzie się do szczęścia po gruzach...

— Tak ci chodzi o te wszystkie blichtry, o te wszystkie przesady, o te wszystkie kłamstwa, któremi obwarowano ów mieszczański spokój, owo mieszczańskie wegetowanie, do którego nas zaprawiają od dzieciństwa! Wreszcie my nietylko bylibyśmy szczęśliwi, my bylibyśmy dobrzy... z prawdą na ustach, z wielkiem współczuciem w sercu dla wszystkiego, co miłości i współczucia potrzebuje. Mybyśmy spełnili nie zły czyn, spełnilibyśmy czyn dobry! Jestem teraz złym mężem, obojętnym ojcem... Przy tobie byłbym szczęśliwym i dobrym! Inaczejbym kochał dzieci twoje...

— To-by były dzieci zdrady, przeniewierstwa, samolubstwa! Ci-cho! Błagam cię, nie mów do mnie więcej w ten sposób! Widzisz... i ja nie jestem ze skały... i nade mną trzeba mieć trochę litości. Żebyś wiedział... czasem jakiś szal mię ogarnia... jestem taka nieszczęśliwa!

Szelest usłyszany za drzwiami rozerwał ich spojone ręce. Odskoczyli od siebie, jak para zbrodniarzy, schwycona na gorącym uczynku. Józefę oblał rumieniec upokorzenia, usta Zygmunta zacięły się gniewnie.

— Jestem wiecznie tropiony, jak zwierzę w kniei! — zawołał.

Ona spiesznie otworzyła drzwi, jak gdyby przez nie miało wpłynąć powietrze, którego jej piersiom brakło. Uciekać jej było potrzeba, uciekać przed sobą samą. Bo działo się z nią coś, co ją przerażało: Ona czuła, że wszystko to, co powiedziała o zdradzie, o wiarołomstwie, o obowiązku, wymówiły usta jej jedynie. Ona już nie miała siły na głębokie przekonanie o konieczności postawienia cnoty po-nad miłość, po-nad szczęście. I ona coraz częściej stawiała nad samym brzegiem przepaści, ciągniona ku niej nieprzepartą siłą. Szła jeszcze w szeregu, pod bronią dawnych przekonań, jak zbuntowany w duszy żołnierz, którego nogi jeszcze posłuszne są komendzie. Słowa jej były tylko echem dawnych wier, automatyczną formą myśli utraconych, krzykiem rozpacz, w którym człowiek na obczyźnie bezwiednie używa mowy swej rodzinnej.

Gdy się znalazła we własnem mieszkaniu, przed obrazem Matki Boskiej, u której stóp składała swoje dobre i złe postęпки, wszystkie jej dawne ofiary, wstydy, błagania, wyrzuty sumienia wydały jej się czczemi, dziecinnemi skrupułami. Zygmunt miał słuszność: Pan Bóg nie kładł-by w serca ludzkie tak wielkiej miłości, gdyby grzechem było iść za jej popędem! Moralność była tam, gdzie prowadziła siła i prawda uczucia! Co to może szkodzić komu, że będzie na świecie dwoje więcej ludzi szczęśliwych? Dla kogo to będzie zgorszeniem? czyją to pomyślność podkopie?

Potem padła na kolana, czując, że dusza jej się zbłąkała, że nie umiała jej już odnaleźć, że już nie wiedziała, co było światłem a co cie-

niem, gdzie było dobro a gdzie zło. Zatraciła sumienie i nie czuła go już we własnej piersi. Tylko po tem wszystkiem została jej jakaś trwoga i tęsknota, wydobywająca się niejasno z chaosu myśli niespokojnych, zmieszanych...

Nie wiedziała, jak długo klęczała. Wstała drżąca, rozgorączkowana, załamując i zacierając ręce w jakimś nieprzytomnem rozdrażnieniu.

— Jeszcze są czyste — mówiła sobie, patrząc na nie, jak gdyby niemi zamierzała popełnić zbrodnię. Przelatywały jej przez myśl różne urywki rozmów, jakieś wspomnienia dziecinne, stanęła jej w oczach twarz umierającej matki. Czy jej się to wszystko śniło? Co to ona zamierzała popełnić takiego, co ją miało uczynić inną, niż była dotąd?

Powoli oprzytomniała, wyjęła z biurka szkatułkę z listami rodziców i poczęła rozwijać jedną po drugiej żółtkę ćwiartki papieru. Z tych liter, pisanych przez drogie ręce, w proch dziś rozsypane, wyjrzała ku czytającej idea znikomości szczęścia i życia ludzkiego. Józefa spojrzała na samą siebie i na swoją walkę dzisiejszą z jakiegoś oddalenia, z jakiejś wyżyny, z której sama sobie wydała się małą i niegodną uwagi. Czy warto było tyle myśleć o sobie i tyle własnemu cierpieniu poświęcać czasu i sił? Życie tak prędko przechodzi... zostają tylko od wieków nienaruszone idee cnoty, poświęcenia...

Takie myśli, niejasno wyrażone, przeczute raczej, zawiądnęły Józefą. Jakże ona w ostatnich czasach upadła duchowo, jak zmalała, kiedy potrzebowała na nowo odkrywać prawdy, znane oddawna...

Prosiła Boga o promień łaski, o ratunek, o natchnienie jej myślą zbawczą. Niech ona cierpi, niech na nią spadną wszystkie troski, byle on mógł być szczęśliwym i w zgodzie z sumieniem!

Nazajutrz odesłała konie z Zarębia. Napisała do Mani, że przyjechać nie mogła. Nadolny, przychodzący jak zwykle w godzinie zamknięcia kasy, znalazł ją bladą i bardzo osłabioną. Wprosił się do jej saloniku. Chciał ją obserwować, a może zapisać jakie wzmacniające środki. Znakomitą rzeczą była-by dla niej hydropatya. Sam na sobie widział doskonałe skutki...

Józefa uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że się zimną wodą leczył od miłości.

— Ah, dzięki Bogu — zawołała. — Więc pan zdrów, zdrów zupełnie! Żadnej newrozy, żadnej monomanii?

— Wcale nie o tem chciałem mówić... przekonałem się, że to nie jest newroza. Jako skutek kuracyi hydropatycznej uznaję to, że uczucie moje przestaje uważać za manię... zaczynam je mieć za najżywniejszą częśćkę w sobie.. codzień staje mi się bardziej jasnem, że jest

ono zdrowiem a nie chorobą, takim zdrowiem i takim odrodzeniem, że warto-by je było szczepić niektórym osobnikom.

— A, na miłość Boską!... teraz doprawdy zaczynam lękać się o pana! Czy pan nie myśli o podróży do Charcot'a?

Rozmowa jej z Nadolnym przeciągnęła się długo. Opowiadał jej o swoim dzieciństwie, o rodzicach, o ich surowości dla siebie, o nauce i powołaniu, zdobytych przebojem. Wśród tego wszystkiego wspominał o swej miłości, jako o rzeczy uznanej, niezaprzeczanej, niezmiennej. To, że Józefa nie chciała go za męża, nie miało żadnego znaczenia. Jej wola była mu prawem, ale nie mogła wpłynąć na jego uczucie, które mu wcale nie było bólem, lecz raczej rokoszą, pomimo zupełnego braku nadziei.

Mówił z największym ożywieniem, gdy drzwi otworzyły się cicho i na progu ukazał się Zygmunt. Wszedł przez kuchnię, by nie dzwonić i by zrobić Józefie niespodziankę. Chwilę stał, jak skamieniały, spostrzegłszy Nadolnego, który był pobudził Józefę do szczerego śmiechu, opowiadając jakie tortury wymyślał sobie, by nie zasnąć w nocy podczas przedegzaminowej pracy.

Wreszcie Zygmunt zbliżył się do Józefy.

— W tej chwili nie dziwię się już, żeś przyjechać nie mogła — rzekł głosem przerywanym — widzę, żeś miała powód ważny i przyjemny.

Z jego zmienionej twarzy wyglądało wielkie cierpienie, gniew i zazdrość szalona. Józefa spojrzała na niego błagalnie. Zdołał się trochę opamiętać i przywitał Nadolnego.

Zaczął mówić o upale, o deszczyku, który, upadłszy w nocy, zmoczył drogę i przytłumił kurzawę. Zygmunt i Józefa wydawali się spokojni, owym spokojem, na który ludzie zdobywają się w najcięższych chwilach swego życia i pod którym często najbystrzejsze oko nie jest zdolne dostrzedz wewnętrznej burzy. Nadolny, nie domyślając się niczego, wspominał o swoich częstych wizytach u Józefy, o tem, jak się zjawiał punktualnie w chwili zamknięcia kasy...

Pożegnał się wreszcie, zostawiając Józefę i Zygmunta samych.

Milczeli chwilę, bojąc się instynktownie pierwszego słowa, które paść miało między nimi. On oddychał ciężko, bo mu znowu pierś wzbierała gniewem i zazdrością. Wstał wreszcie i, zbliżając się do Józefy, rzekł owym głosem, którym miota niepokój, zaczepiając nim o jakieś chrapliwe struny.

— Co mi masz do powiedzenia dzisiaj?

Spojrzała na niego pytająco.

— Nie chcesz mi odpowiedzieć — ciągnął dalej — a więc ja cię wyręczę!... Mogła-byś mieć tyle uczciwości, by mi wyznać szczerze, że

ci się ten zarozumialec podoba... że wolisz jego towarzystwo, niż mojej..., że się bawisz z nim w kokieterię... że go przyjmujesz i taisz się z tem przede mną!... Powiesz mi, że na to wszystko masz prawo!... Tak, masz prawo!... A więc korzystaj z niego... ja ci w drogę wchodzić nie myślę... Nie, i ja potrafię pogardzić, zapomnieć i przekląć chwilę, w której cię poznałem.

Był przerażający bladością i wzruszeniem. Głos mu się w gardle urywał, chwiejnym krokiem zmierzał ku drzwiom, na których progu napadł go paroksyzm kaszlu. Po chwili dał się słyszeć turkot powozu, którym odjechał.

Józefa, zaskoczona z nienacka okrutnymi słowami Zygmunta, nie odrazu pojęła dokładnie, co to się stało i jaki nowy smutek spadał jej na głowę. Stała drżąca, niepewna, czy biedź miała za Zygmuntem, czując tylko, że potrzebował on nowego ratunku i że w tej chwili był on nieszczęśliwszy od niej.

Ale miała tak mało siły. Piechotę nie była-by zaszła do Zaremba, koni nie miała... Zgnębiona i przybita, padła na krzesło, głowę wspierając na skrzyżowanych na stole rękach.

Powoli odtworzyła się w jej umyśle cała scena przybycia Zygmunta i obelg, rzuconych jej w twarz przez niego. Zadźwięczały w jej uszach na nowo słowa: „potrafię zapomnieć, pogardzić, przekląć...” Wstała i poczęła chodzić tam i napowrót w swem samotnem mieszkaniu, gdyż nawał nowych myśli nie pozwolił jej na spoczynek ciała i, jak zwykle w chwilach żywszych przejść moralnych, doświadczała koniecznej potrzeby ruchu fizycznego. Czuła się rozstrojoną, nieszczęśliwą, bez możliwego spokoju w przyszłości... widziała się narzędziem zguby dla całej rodziny... Była w jednej z tych chwil, w których rozdrażniony cierpieniem człowiek zdolny jest do postępuku szalonego. By się pozbyć udręczenia i niepewności, gotów zaprzedać się na całe życie nieszczęściu... by uniknąć pożaru, skacze on w wodę, pływać nie umiejąc.

Do głowy przyszła jej myśl nagła. Wzięła ją ona za natchnienie, o które dnia poprzedniego prosiła Pana Boga.

Usiadła przy biurku i napisała dwa listy: Jeden do Mani, drugi do Zygmunta.

„— To, coś sam odkrył — mówiła temu ostatniemu — potrzebuje tylko potwierdzenia z mej strony. Jutro dam panu Nadolnemu stanowcze przyrzeczenie i wkrótce zostanę jego żoną. Zapomnij i pogardź mną, Zygmuncie. Nawet mię przeklinaj, jeżeli ci to ulgę przynieść może. Tylko pozwól mi ufać, że możesz jeszcze być szczęśliwym i że zdrada, której ode mnie doświadczasz, nie zabije w tobie wiary w lepszą przyszłość i ufności w samego siebie.”

Do Mani pisała, że czuła się samotną na świecie, potrzebowała wsparcia i podpory, nie odrzucała więc ramienia, które jej na wspólną przyszłość ofiarował Nadolny, i miała zamiar zostać jego żoną.

Zaadresowawszy listy, długo patrzyła na nie jakimś wzrokiem osłupiałym, potem, kładąc na nich rękę, wyrzekła głośno, choć była sama w pokoju:

— To samobójstwo!

Tak, to było samobójstwo, ale ona chciała spełnić je dla ocalenia Zygmunta. Niech w nim pogarda zabije miłość dla niej i niech jego życie wróci w tę kolej, w której może nie osiągnie szczęścia, ale ustrzeże się skandalu i wyrzutów sumienia. To Pan Bóg zsyłał jej natchnienie, pozwalając na to spotkanie się u niej Zygmunta z Nadolnym i na ten wybuch zazdrosnego gniewu. Podejrzanie nieszczęśliwego trzeba było tylko zamienić w pewność. To był jedyny sposób uratowania go. Przeświadczenie o jej zdradzie, o jej odstępstwie, będzie dla niego wytrzeźwieniem, bolesnem, strasznem, ale przynoszącem jedyną możliwą nadzieję ratunku.

Sama, bez życzliwego doradczego głosu, unosiła się i upajała myślą ofiary, rzucenia własnego życia i przyszłości jako okupu za spokój Zygmunta. Była odurzona niespodzianym pomysłem, nagłością, z jaką powzięła postanowienie, wielkim ogniem gorliwości ofiarnej... Było jej pilno spalić za sobą most, po którym-by wrócić mogła, pragnęła stanąć raz względem wszystkich i względem siebie samej w położeniu wyraźnem, choćby najtrudniejszym, choćby największe przynoszącem cierpienie. Winna to była jemu, którego kochała nad wszystko, siostrze, której szczęścia pragnęła, i dziecku, słicznemu Jasiowi, któremu nie miała prawa odebrać ojca. Pójdzie więc ona jedna na ofiarę i spełni ją do końca odważnie. Będzie żoną, nie kochając, ale w głębokiem poczuciu obowiązku i pragnieniu uszczęśliwienia, sama będąc nieszczęśliwą. Będzie miała siłę na to, byle była pewną, że naprawionem zostało to złe, które mimowoli uczyniła.

Paliło ją gorączkowe pragnienie odesłania leżących na stole listów, powiedzenia Nadolnemu, że żoną jego zostanie... Była-by chciała w tej chwili iść do ołtarza, byle już zamknąć przekłętą epokę swego życia, w której czuła się narzędziem rosterki i nieszczęścia w łonie rodziny. Kazała zawołać posługacza, którego zwykle do Zarebia posyłała, ale gdy wszedł i gdy mu listy wręczyć miała, odesłała go, rozkazując przyjść jutro. Nie miała odwagi posłać dziś tej wiadomości Zygmunтови. Serce jej rozżaliło się nad nim. Niech się nie dowie przed nocą... pewno-by nie spał, a jemu tak spoczynek potrzebny... już i tak ten nieszczęśliwy kaszel mu przeszkadza...

Zapłakała na myśl o chwili, w której Zygmunt list otworzy i dowie się, że ona oddawała się innemu... Jutro... niech to będzie jutro, nie dziś, bo dziś ona doprawdy już nie miała siły... już trzeba jej było darować, że to spełni jutro...

Rzeczywiście siły jej były wyczerpane wielkim wysiłkiem wyobraźni i woli. W zmęczeniu przyszło ukojenie nerwów. Zaznała błogosławieństwa snu dla znękaney cierpieniem duszy.

Nazajutrz odesłała listy, poszła do kasy, jak zwykle, i czekała przybycia Nadolnego, gdyż była pewna, że przyjdzie. Zadrżała, gdy go ujrzała wchodzącego. Jej los, jej przyszłość, jej nieszczęście przestępowało próg w tej chwili. Opanował ją jakiś rodzaj nieprzytomności i zawrotu głowy. Nie zdawała już sobie sprawy z przyczyn, wiedziała tylko, że musiała temu człowiekowi powiedzieć: „Będę twoją żoną.”

Spostrzegł, że była bardzo wzruszona. Chciał odejść, bo może nie miała ochoty teraz z nim rozmawiać; lecz ona ujęła nagle jego rękę tak gorączkowo, jak tonący chwyta przedmiot ratunkowy.

— Jestem wzruszona, prawda — rzekła mu — bo, pan wie... każdy jest samolubem... własny los przedewszystkiem... ja w tej chwili chcę o całym mojem życiu postanowić...

Zawahała się, jemu usta zbladły, oczy błysnęły współczuciem i obawą.

— Chcę panu powiedzieć... muszę panu powiedzieć, że... pan utrzymywał, że mię kocha... jeszcze wczoraj...

— O, i dziś także, i zawsze!

— Więc... czy pan chce mię wziąć za żonę?

Miała przy tych słowach ogień gorączki i nieprzytomności w oczach. Nadolny osłupiał na chwilę, potem zbladł jak chusta. Trząsł się cały.

— Pani — szeptał, jaskając się — pani... moją żonę?... ja nie śmiałem... ja taki prostak... doprawdy... taki biedak...

— Jesteśmy biedni oboje, oboje pracować możemy... O, ja tak pragnę pracować!... pracować ile sił!

— Więc doprawdy, więc to nie sen?

— Ale czy mię pan chce z temi wszystkimi warunkami, które postawić muszę?

Nadolny odzyskał już był przytomność zupełnie, czarne oczy błyskały mu radością, wielkimi rękami machał, jakby mu chodziło o uchwycenie niemi swego wielkiego szczęścia.

— Niema takiego warunku na świecie, przed którym nie ukląknę bym z wdzięcznością.

— Musi się pan wynieść z Werechowa.

— O, choćby na biegun północny!

Józefa mimowoli się uśmiechnęła.

— Nie tak daleko, ale w inną okolicę kraju. Powtóre: nie będzie pan nigdy dochodził, dlaczego poszłam za pana.

Zastanowił się przez chwilę, patrząc badawczo na nią.

— Nie mogę ani zaręczyć, ani odpowiadać za myśli moje i uczucia, ale nigdy nie okażę pani ciekawości. Czuję w sobie dla pani ufność tak głęboką, iż wierzę, że co pani postanowiła, musi mieć swoją przyczynę rozumną i dobrą.

— Zresztą, będę się starała o szczęście pana...

— Czy można być nieszczęśliwym obok pani? Byle tylko pani szczęśliwą była!

Uśmiechnęła się gorzko i bardzo smutnie. Stanął jej w tej chwili w myśli Zygmunt, czytający jej list. Ogarnął ją znowu jakiś szal rozpaczy i potrzeba rzucenia sobie przepaści pod nogi.

— Tylko musimy się pobrać jak najprędzej — mówiła gorączkowo.

— Dziś, jeżeli to możliwe.

— Dziś niemożliwe, ale gdy się tylko wszystkie formalności załatwią...

— Dowiem się, co jest potrzebne, i załatwię wszystko... Czy tylko pani, przyzwyczajona do zbytku, zadowolni się biednym życiem...

— Ah, to mię tak nic nie obchodzi!

Rozmowę przerwała im Mania, wpadająca do siostry jak uragan. Młoda kobieta miała na sobie strój poranny, bardzo jasny. Widocznie nawet przebrać się nie miała czasu, tak jej pilno było zobaczyć Józefę. Nadolnemu ledwie skinęła głową i to z odcieniem wyraźnej dumy i pychy.

— Chciałam z tobą pomówić... — ozwała się do Józefy, potem obejrzała się na Nadolnego, jak na natręta.

— Więc nie przeszkadzam paniom — rzekł lekarz, któremu pilno było biedz do proboszcza dla dowiedzenia się, jakich formalności wymagał kościół i władza świecka. Gdy był za drzwiami, Mania zawołała ze zmarszczonymi brwiami:

— Ja na to nigdy nie pozwolę!

Józefa, przed chwilą upadająca na siłach, goniąca już resztkami woli, teraz poczuła ostrogę obrażonej miłości własnej. Do żywego dotknęło ją pogardliwe obejście się siostry z Nadolnym.

— Nie możesz popełnić tego szaleństwa i nie popełnisz go — mówiła Mania.

— Jest to bardzo silne postanowienie, którego nie zmienię.

— Co? więc kochasz tego gbura?... Chyba ci się zupełnie w głowie przewróciło! Wiedziałam, że jesteś egzaltowana, ale nie przypusz-

czałam, że nie masz za grosz zdrowego rozsądku. Toć to biedak!... po prostu ma zaledwie na kawałek chleba! Można jeszcze znieść małżeństwo i wszystkie niezdolne humory i wymagania męża, jeżeli się przytem ma wygody i komfort życia. Ale ten przybłąda!... Czy ty nie widzisz, że to chłop, że to dziki człowiek! Przytem byłby to wstyd dla całej rodziny, gdybyś ty jego nazwisko nosiła. Już twoje kasyerstwo wiele mię kosztowało. Śliczna rzecz, gdy się pytają o siostrę, odpowiadać: „Moja siostra jest kasyerką cukrowni.” Ale to jeszcze można było upozorować: „Ekscentryczna, chce koniecznie być przy nas, a nie być bezpożyteczną.” Tu już nie może być żadnej wymówki! „Moja siostra Nadolna!” Ja mówię, że człowiek schodzi tak powoli ku nizinom i ani już czuje swego upadku! Naprzód kasyerstwo strzeliło ci do głowy, a teraz to małżeństwo! I czem to tłumaczyć? Miłością? Ej, to żarty! Te wszystkie zakochania się, to dobre w egzaltowanych romansach. Kto się tak bardzo kocha z pomiędzy ludzi żyjących naprawdę? Idzie się za męża, bo taki zwyczaj, i wreszcie dla zrobienia dobrej partyi... Mnie się Zygmunt podobał, miał miliony, a i to nieraz żałowałam, że za niego poszłam! Teraz dopiero doprowadziłam do tego, że mi jest dobrze, bo każde z nas robi, co mu się podoba, nie pytając o zdanie drugiego... Ten Nadolny! On cię będzie bił temi wielkimi, sinemi łapami!

— Może, ale pójdę za niego!

— To chyba na człowieka przychodzi wiek waryacyi! Ty, którą raziło każde głośniejsze wyrzeczone słowo, która zawsze znajdowałaś, że ja się wyrażam grubo i trywialnie! To te dobre uczynki cię zgubiły! Oswoiłaś się z ludem, z nędzarzami, z obdartusami! Już ci się teraz wydają pięknymi te okropne kamizelki Nadolnego, który musi mieć specjalnego krawca, dostarczającego mu tych kolorowych materiałów! Moja droga, człowieka, który nosi takie krawaty, jak on, nie wpuszcza się do salonu! Wojciech, nasz lokaj, wygląda przecie na wielkiego pana przy nim!

— Nie przeczę nawet temu, ale Nadolny ma niepośledni rozum i serce... charakter jego jest dla mnie niezmiernie sympatyczny... przytem kocha mię rzeczywiście!

— Ha, ha, ha, dobra sobie jesteś! Kocha cię! Już ci dla niego jesteś wielką partyą, choć nic nie masz!... może on zresztą myśli, że coś masz!

— Nie, nie myśli tego.

* — Ale masz stosunki, koligacje... Dla takiego doktorzyny wprowadzić sobie do domu taką dystygowaną damę...

— Mogę ci zaręczyć, że on ani widzi mojej dystynkcji...

— A jednak on doskonale oblicza i z pewnością widzi w tem małżeństwie korzyść. Ożeniwszy się z tobą, będzie miał odrazu inne stanowisko w towarzystwie!

— Co będzie w mojej mocy, uczynię, by mu zapewnić wszelkie możliwe korzyści...

— Więc ty nie czujesz, że ty się poniżasz, że ty upadasz, że ty robisz mezalians?

— Nie, nie czuję tego! Co mi tam moje szlachectwo i stare papiery rodowe? Co mi tam mienie, dostatek, wygody, komfort... To wszystko może mieć znaczenie, nie przeczę... ale ja jestem w takiej chwili mojego życia... wszelka próżność znikła z przed moich oczu... to wszystko wydaje mi się takie małe, takie mizerne... Ty mię dziś nie rozumiesz, Maniu, ale może dla każdego, wcześniej lub później, przyjdzie musi taka chwila, w której już istnieją dla niego tylko uczucia, tylko dusza... reszta, wszelka próżność i wszelkie pozory, są niczem!

— Ale przecie jeść trzeba, ubierać się trzeba! Nie możesz jeść kapusty i grochu, boś do mięsa i ryb przyzwyczajona; nie możesz nosić grubej bielizny, boś całe życie nosiła cienką; nie możesz jeździć furą, tylko powozem...

— Ah, to mi wszystko jedno! Mogę jeździć furą...

— Moja Józiu, tyś chyba rozum straciła! Moja siostra jeżdżąca furą! Ja się ciebie wyrzeknę zupełnie, jeżeli to szaleństwo popełnisz!

— Uczynisz tak, jak ci twoje serce podyktuje.

— Tego przybędę mieć za szwagra! Nie! daruj, ale wolę cię nie znać i zapomnieć, że miałam siostrę.

— A więc zapomnij—odparła Józefa cicho i z niezmiernym smutkiem—ja tylko pragnę zapomnienia!... Wszak to moja nagroda i nadzieja!... Zejdę ci z oczu... nie będziemy tu mieszkali... wyniesiemy się w dalekie, w jak najdalsze strony... oszczędzę ci upokorzenia... tam, gdzie zamieszkamy, może nikt nie wiedzieć, kim byłam, że niegdyś miałam w herbie miecz przeszyty strzałą, że nosiłam bieliznę z najcieńszego płótna... nie powiem nikomu, że ty jesteś moją siostrą...

W głosie Józefy dźwięczał taki smutek, że Mania poczuła jakiś żal, czy współczucie.

— Moja Józiu—rzekła—przecie ja przedewszystkiem chcę twego szczęścia, a widzę, że się zaprzepaszczasz... Tobie się tylko zdaje, że ty kochasz tego Nadolnego. Nie wiem, co cię tam do niego ciągnie, ale żyć z nim, to przecie rzecz ciężka... Prędko pożałujesz tego kroku... Teraz masz przynajmniej swobodę. Zamienisz ją na niewolę! Porzucisz nas, którzy cię kochamy...

Józefa rzuciła się Mani na szyję. Łkanie wzbierało w jej piersi.

— Dziękuję ci za to dobre słowo, któreś mi powiedziała... Maniu... moje dziecko... moje kochane dziecko... Będzie mi bardzo ciężko was porzucić... ale muszę... wierzaj mi, że muszę...

— Jakaś ty dziwna, Józiu — rzekła Mania, którą zbytnia czułość męczyła zawsze i była jej natrętną. — Musisz? Jakiż tu mus być może? Namysł się dobrze... przyjedź do Zarebia... pomówimy o tem jeszcze...

(Dokończenie nastąpi).

ZOFIA KOWERSKA.

Prawa Władysława IV do korony carskiej.

(Na podstawie russkich źródeł historycznych) ¹⁾.

VI.

Po nowych trudnościach co do miejscowości, gdzie się zjeżdżać miano, przyszedł wreszcie do skutku pierwszy kongres komisarzy w d. 26 listopada (1615 r.) pod samym Smoleńskiem, między zamkiem a cerkwią św. Ducha. Jak zwykle przy pierwszym zjeździe, załatwione zostały jedynie wstępne formalności; ale już przy drugim widzeniu się przyszło do wybuchu. Referendarz litewski i starosta wieliski, Aleksander Gosiewski, najtwardszy i najlepiej znający przeciwników, odczytał wtedy pisaną przemowę: wyliczał nieprawdy Borysa Godunowa, Wasyla Szujskiego, co do knowań ich z sąsiadami przeciw Polsce, wbrew zobowiązaniom, poczem tak dalej rzecz prowadził:

„Dawno już, jeszcze za Dymitra, którego wy nazywacie Hryszką-Samozwańcem, bojaryn, kn. Wasyl Iwanowicz Szujski, z braćmi i wielu innymi moskiewskimi bojarami, znacznymi ludźmi, wyjawiał kilku senatorom potajemnie myśl swoją, a mianowicie, iż chcieli-by ujrzeć władzę swoim królewicza Władysława. Później kn. Wasyl Golicyn, zapo-

¹⁾ Patrz zeszyt kwietniowy „Biblioteki.“

maiawszy przysięgi, pożądał dla siebie tronu moskiewskiego, i skoro tylko wyjechał z Moskwy pod Smoleńsk, z drogi porozumiewał się z oszustem kałuskim (drugim Samozwańcem) i przemyślał o tem, jakby ze swymi doradcami kałuskiego łotra uczynił władcą Moskwy, tak, jak nim był poprzednio Wasyl Szujski.“ Wrócił potem Gosiewski (jak wiemy, naoczny świadek wypadków), do historii obrania królewicza, do wypadków w r. 1611 i do zachowania się posłów dumy: „kiedy hetman Żółkiewski wszedł do Moskwy, stolnik Wasyl Iwanowicz Buturlin, wyprosiwszy się u bojarów do swego majątku, zjeżdżał się w Riazaniu z Prokopem Lapunowem. Uradzili oni i ułożyli tajemnie między sobą, aby wywołać powstanie w państwie moskiewskiem, wyrznać polskich i litewskich ludzi, wojować przeciwko królowi i królewiczowi. Lapunow sam zamyślał uczynić się carem i mówił do swoich doradców: Przecież Borys Godunow, Szujski i Hryszka Otrepjew byli nielepsi ode mnie, a na tronie siedzieli. Powróciwszy do Moskwy, Buturlin oszukiwał nas, przysięgał, że służy carowi Władysławowi, a sam, wypatrując, co się dzieje w Moskwie, donosił Lapunowi do Riazania. Niemców (t. j. piechotę i wojsko szwedzkie, którego część przeszła była na żołd Żółkiewskiego pod Kłuszynem) tajnie podburzał na nas i podkupywał. Posłaniec Lapunowa, schwytyany z listami buntującemi, na pytkę zdradził Buturlina i na pal był wbity. A Buturlina, wszyscy bojarowie, pospołu z dworzanami, starostami i sotnikami, kazali wziąć na pytkę i, jak sam zeznał, chciał w nocy, razem z Niemcami i Lapunowem, napasać nas i wymordować. Wkrótce po hetmańskim wyjeździe (pod Smoleńsk, do króla) szpiegowie porozrzucali (w Moskwie) listy kałuskiego oszusta i jednego z tych szpiegów schwytano, wzięto na pytkę przy dworzanach, starostach, sotnikach i on zeznał, że kn. Wasyl Golicyn, idąc (z poselstwem) pod Smoleńsk, z drogi potajemnie pisał do złoczyńcy do Kaługi, przywoływał go przeciwko Litwie, a kn. Andrzej Wasylewicz Golicyn wiedział o tem. Tenże sam szpieg zeznał, że oszust, porozumiewając się z wielu moskiewskimi ludźmi, zamyślał nocą przyjść pod Moskwę, wyciąć nas, bojarów, dworzan z wielkich rodów i wszelkiego stanu ludzi, którzy z nim razem nie trzymali, a żony ich, siostry i majątki porozdawać chłopom Kozakom, którzy mu dobrze życzyli, patriarchy zaś Hermogen, mnie, Aleksandrowi, miłość i łaskę swoją okazywał, jedzenie i picie w podarunku przysyłał, całował, a w duszy srożył się bez przyczyny na monarchę swego, Władysława, i na nas. Zawezwawszy nas do miasta dla własnej obrony, w tym samym czasie wywołał bunt i przelew krwi, duchownym w Moskwie rozkazał, ażeby was podburzali przeciwko nam, aż do wściekłości, na dowód czego jest list jednego moskiewskiego duchownego, który mnie ostrzegał i opisywał poprzednie sprawy patriarchy, kiedy

on u dońskich Kozaków, a później w Kazaniu duchownym był. Według tegoż listu, znaleziono w przykazie kazańskiego dworca wiele donosów na Hermogena, jakie przy poprzednich monarchach przez russkich ludzi składane były. Kiedy Samozwaniec zabity został w Kałudze, patriarcha tajemnie rozesłał buntujące listy, kiedy zaś schwytano w Moskwie na zdradzie Fiedora Pohożego i na śledztwie wykazały się wszystkie złe zamiary i rady metropolity Filareta, kiedy on, wyjeżdżając z Moskwy, na naradzie z patriarchą zdecydował, że królewicz nie ma zasiąść na tronie moskiewskim, patriarcha postanowił doprowadzić wszystkich ludzi do tego, aby Michała, syna Filareta, posadzili na tronie, a Filaret z pod Smoleńska do Jarosławia i innych miast pisał podburzające listy, jakoby król nie chciał dać na tron moskiewski królewicza. Podług tych zamysłów, wychodzących od patriarchy i Filareta, wasi moskiewscy ludzie czegoż nie wyrabiali z naszymi? Wszędzie, zaciągawszy naszych ludzi na przedmieście, do Drewnianego Gorodu, lub do innych ciasnych miejsc, tam ich dusili i zabijali, lub też, zaprosiwszy na zabawę, zabijali, a pijanych furmani zapraszali do sań, dusili ich i do wody wrzucali. A kupcy na targach żywność, ryby i mięso dziesięć razy drożej naszym sprzedawali, przytem jeszcze sługi nasze lżyli i hańbili; kiedy Lapunow z towarzyszami swymi pośpieszał do Moskwy, my w niedzielę z bojarami w pałacie radziliśmy, a w Białymgorodzie, na Kuliszkach, motłoch bez przyczyny na naszych napadł, około piętnastu z nich poranił, dziewięć sani z końmi zabrali i zagrabili, ludzi ziemskich i bojarskich zelżyli i pobić chcieli. Myśmy to wszystko zniesli. W poniedziałek (po Kwietnej niedzieli 1611 r.), około bramy porozstawialiśmy oddziały, a we wtorek rano, rotmistrz Kossakowski zawiózł armatę do Wodnej Bramy w Kitaju (Kitajgorodzie), a ja z pułkownikami i rotmistrzami słuchałem na Kremlu mszy, p. Zborowski to samo czynił w Kitajgorodzie, o kłótni nie myśleliśmy i rozlewu krwi wszczynać-eśmy nie chcieli. W tejże właśnie chwili, chłop, Moskwicz, uderzył pałką w łeb p. Gruszeckiego, że padł martwy, inni zaś uderzyli we dzwony; a za Żywym Mostem w wielu miejscach rozwinęli nowe chorągwie. Ja, w połowie mszy, pobiegiem do Kitajgorodu i już za Frołowską bramą dogonili mnie z koniem moim. Wskoczywszy na konia, zacząłem uspakajać rozlew krwi i szablą raniłem kilku pachotków, ale wtenczas Moskwicze zaczęli do mnie strzelać z samopaków. Wtedy wojsko nasze się rozniewało i uderzyło w zwykły bój. Moskwiecy ludzie ilością nas zmogli, w nocy Pleszczejew z towarzyszami od Lapunowa, z wielkiem wojskiem, po kołomieńskiej drodze do Drewnianego Goroda przyszedł i razem z wszystkimi zdrajcami zaczął przemyśliwać o nas. Następnego dnia, w środę, wielcy bojarowie wyjechali do Białego Gorodu i chcieli napomnieniami ukrócić

rozlew krwi, ale Moskwićze ich nie usłuchali, zaczęli do nich strzelać. Wtedy rozpoczęliśmy straszny bój.“

Znamy te wypadki z opowiadania naocznego także, a bardzo bezstronnego świadka, Samuela Maskiewicza ¹⁾, który się też w wielu szczegółach zgadza z przedstawieniem Gosiewskiego.

Naturalnie, moskiewscy posłowie nie zostali dłużnymi w odpowiedzi. Zacerpnęli jej w zbiorze argumentów, znanych nam już z poprzednich korespondencji duma, przyczem, przy wymawianiu imienia królewskiego, nie wstawali i czapek nie zdejmowali, jak to było przepisane. Na tem skończył się drugi zjazd.

Tymczasem Worotyński i jego towarzysze widzieli się z Hejdeliusem, który z nimi rozmawiał starosławiańskim językiem, bez tłumacza: „Wy nazywacie Michała swoim monarchą (mówił on), a polscy posłowie nazywają monarchą królewicza, zatem w jednym państwie dwóch jest monarchów — tutaj między wami jest, jak między ogniem i wodą. Jak pogodzić ogień z wodą?“ W istocie Hejdelius był zakłopotanym, jak ma obie strony doprowadzić do zgody.

Kiedy dworzanie moskiewskiego poselstwa wywiadywali się ubocznie u dworzan niemieckiego posła, jak się Polacy chcą godzić, Niemcy odpowiadali: Litwa przemyśliwa o czymś złem na was, pogódźcie się z nimi oto czym! (wskazując na samopał). Skoro się o tem dowiedziano w Moskwie, wysłano instrukcye do posłów: żebyście sami do cesarskiego posła o niczem mówić nie posyłali, wystrzegając się wszystkiego przed nim, abyście na zjeździe sami nic nie mówili, w niczem z nim się nie porozumiewali i nie sprzecali i do polubownych rozsądzeń go nie powoływali. A jeśli on zacznie z wami mówić, to możecie mówić z nim, ale wystrzegajcie się go i nic mu nie wierzcie!

Zdaje się, że Hejdelius, przy pozornej swej życzliwości, nie wzbudził zaufania.

Po kilku dniach Hejdelius przysłał do Worotyńskiego, żądając widzenia się z nim. Posłowie przyjęli go u siebie w ostrogu, dla obgadania, kiedy się na nowo z Polakami zjechać mają. Ponieważ komisarze carscy przesyłali ciągle raporty do stolicy, skąd duma bojarska, z kn. Mścisławskim na czele, kierowała układami, przeto tym razem otrzymali surową admonicyę: my wszyscy dziwimy się, jakimi się obyczajami rządziecie; samiście pisali, że poseł cesarski sprzyja królowi. Ze wszystkiego jest to wiadomem: z przyjazdu jego, z listów, które pisał do bojarów i do was, z rozmów, jakie z wami toczył. A wyście go pu-

¹⁾ „Pamiętniki S. Maskiewicza.“ Wilno, 1838.

ścili do ostroga, wszystko mu pokazali i pisać mu jeszcze kazaliście. Widocznem tedy jest, że pisał nietylko o tem, jak i kiedy macie się zjeżdżać z posłami, ale spisał sobie także, co widział i co w ostrogu spostrzegł. Na przyszłość nie puszczajcie cesarskiego posła do ostrogu, i co do zjazdów, nie zadzierajcie z nim, mówcie do niego nie surowo a gładko, aby go nie drażnić!

Przyszedeł tedy trzeci zjazd do skutku. Tutaj wystąpił Jan Hrydycz z bardzo obszerną mową czytaną, nad którą zeszło od południa do wieczora. Mowa traktowała obszernie o przestępstwie złamania przysięgi, przepełnioną była wyciągami z polskich i litewskich kronik, przypowieściami i filozoficznymi uwagami, a dążyła do uniewinnienia króla i panów we wszystkim, dowiedzenia słuszności praw królewicza do tronu ¹⁾. Między innemi Hrydycz zbijał niektóre zarzuty: „często wspominać o Fedce Andronowie, że człowiekowi grubemu nie wypadało być urzędnikiem rządowym... Wszakże to stało się z zatwierdzenia waszych znacznych ludzi! Przecież i u poprzednich monarchów bywali podobni... A teraz przecież u was jest nie lepszy od Andronowa, Kuźma Minin, rzeźnik z Niżnego Nowgorodu, kaznaczejem i wielkorządcą, wszystkimi wami rządzi, i wielu jemu podobnych w przykazach sprawami zawiaduje...“ Złośliwy i cięty argument Hrydicza nie spodobał się. „I my (donoszą posłowie) mowy tej słuchać nie chcieliśmy; mówili oni potem przeciwko Twemu monarszemu otoczeniu z krzykami i wymyslaniami, że tego nam słuchać nie można było i mówić o tem nie wypada, aby nie ściągnąć gniewu Bożego na siebie. To sprawa przeszłości. A litewscy posłowie odpowiadali nam z krzykiem: myśmy wysłuchali waszych mów oddzielnie, jak wysłuchacie naszych mów, wtedy będziemy się układali! Kiedy zaś litewscy posłowie rozjeżdżać się zaczęli i dawać nam swoje mo wy na piśmie, myśmy tych mów od nich nie wzięli gdyż w nich pisane były rzeczy niegodziwe o Tobie, wielki monarcho. Wszystko dążyło do tego, aby królewicza posadzić na moskiewskim

¹⁾ Hrydycz usprawiedliwiał króla i naród z różnych zarzutów, poczem rozpoznał: „z wielu przykładów Pisma św. i z latopisów pokazuje się, iż wszelkie państwo, wszelka Rzplta starać się i prosić Boga zwykła o hospodara z wysokiego królewskiego rodu, aby wznosił się po-nad tymi, nad którymi panuje: bogobojnością, rozumem, męstwem i cnotami, jak powiadają Ksenofont i Klawidyjan (tu następują dwie cytaty). Wiedzieli ci ludzie, ile złego spotyka poddanych, gdy człowiek niegodny na tronie zasiądzie (znowu zwroty krasomówcze z odwoływaniami się do Pisma św., historyi Dawida i Salomona). Dlatego też wasza ziemia cała, gdy jej przyrodzonych hospodarów nie stało, widząc, iż od samozwańców i bojarów, jacy na tronie zasiadali, źle się gospodarstwu dzieje — skłoniła serce swoje ku królewiczowi Władysławowi, który z dziada pradziada z królewskiego jest rodu, a z najprzedniejszych monarchami świata jest spokrewnionym.“

tronie. Trzymając się twardo za Twym carskim tytułem i odmówiwszy im na przyszłość co do królewicza—rozjechaliśmy się.“

Przemówienia były gwałtowne, żarto się z obu stron, każdy przedstawiał rzeczy, jak mu było potrzeba, jednym słowem, wobec wojowniczej postawy komisarzy mało było nadziei, aby zgoda doszła do skutku.

Pierwszego (v. s.) grudnia czwarty zjazd z Moskwą.

Komisarze carscy odpowiedzieli piśmiennie na mowy, które ich przeciwnicy odczytali na ostatnim zjeździe. Teraz biskup Kazimierski uniewinniał, bronił referendarza lit., Aleksandra Gosiewskiego, na którego głowę wszystkie ataki się koncentrowały (między innymi także o zrabowanie skarbcza). Biskup tłumaczył, że starosta wieliski jest senatorem i człowiekiem uczciwym. Dlatego też nie godziło się mówić o nim nieprzyzwoitych rzeczy. „I my (donosi Worotyński) mówiliśmy, że znaleźliśmy Gosiewskiego, kiedy on był jeszcze w Moskwie z Lwem Sapiehą (w r. 1600), jako poddziaczy (t. j. sekretarz). Teraz on dosłużył się u monarchy waszego honorów, łotrowstwem i zniszczeniem Moskwy. Gdyby nie to, do tej pory był-by poddziaczym!“ Jeśli kto, to Gosiewski nie chciał tego puszczać płazem. „Aleksander Gosiewski w odpowiedzi mówił gniewne i nieprzyzwoite rzeczy na ciebie, wielki monarcho (piszą oni dalej), jakoby ciebie wybrali tylko sami Kozacy, a Krzysztof Radziwiłł mówił, że wszyscy przysięgali wierność królewiczowi, i że teraz królewicz gotów iść do moskiewskiego państwa, i że wszyscy głowy położą, aby go na tronie posadzić! Al. Gosiewski bronił się i chwalił, że, będąc w Moskwie, zabrał moskiewski skarbiec (Gosiewski skarbcza nie zabierał i wogóle skarbiec w najważniejszych okazach swych został nietkniętym; atoli niektóre przedmioty, jak tkaniny, wysłano królowi pod Smoleńsk. *Przyp.*), do króla i królewicza go odesłał, gdyż wszyscy ludzie przysięgali królewiczowi, przeto i skarbiec był jego; a kiedy ludzie moskiewscy zaczęli zdradzać królewicza, to on, Gosiewski, stanął przeciwko nim, tem królowi swemu na honor a sobie na pochwałę zasłużył.“ — Wszyscy polscy posłowie ujęli się za Gosiewskim, wybuchła głośnie, skandaliczna kłótnia, poczem pozostało tylko rozjechać się wszystkim. A na odjeździe, rozdrażniony Gosiewski wołał jeszcze, grożąc: „Niech z gardła swego krwi utoczę, jeśli, podszedłszy pod Moskwę, stolicy waszej nie podpalę!...“ A moskiewscy posłowie: „Bóg da, że i ty tam pójdziesz, gdzie twój doradca Andronow!...“

Jak już wspomnieliśmy wyżej, Fedko Andronow, schwytany na rok przed temi układami, razem z Maryą Mniszchówną i Zaruckim, powieszonym został. Podobno pod Smoleńskiem przeszedł na wiarę łacińską ten adherent nasamprzód pierwszego Samozwańca, a potem Wazy.

Z tych małych próbek, jakie tu podaliśmy, widzimy, jakie były tradycje dyplomatyczne na wschodnim pograniczu. Bezpośrednim skutkiem tych kłótni było, iż pertraktacje przerwane zostały na czas nieokreślony, lubo obie strony jeszcze się do domu nie rozjeżdżały.

Hejdelius okazał znowu niemało gorliwości i chęci doprowadzenia do zgody, wmieszał się znowu do pertraktacji, i to w tonie nieco mniej szorstkim wobec komisarzy drugiej strony. Stąd też posłowie piszą do cara: „Doprowadziliśmy go do tego, że szanuje Twoje imię, wielki monarcho, przy wymawianiu jego wstaje i czapkę zdejmuje. Dlatego oczekiwaliśmy od niego wszystkiego dobrego, a że on u nas w ostrogu był, to on tam nic nie mógł widzieć, gdyż jechał w saniach, a z obu stron sanek jechali strzelcy i on przez nich niczego dojrzeć nie mógł.“

Kiedy Iwan Worotyński zjechał się z Hejdeliusem, ostatni oświadczył mu, że cesarz kazał mu się wrócić i zapytywał, dlaczego moskiewscy nie zjeżdżają się z polskimi posłami? Worotyński zwał winę na litewskich posłów, którzy ciągle tylko mówią o królewiczu. We wszystkich państwach dzieje się, że wybierają monarchów dla obrony i ochrony, a przy królewiczu spotkało ich ostateczne zniszczenie.

Hejdelius. Z takimi mowami nigdy pokoju nie będzie. Litewscy posłowie za królewiczem swym trzymają. Jeśli wy przestaniecie mówić o swoim monarsze, to i polscy posłowie o nim mówić przestaną.

Worotyński. My nie możemy nawet myśleć o tem. Jeżeli litewscy posłowie o królewiczu mówić nie przestaną, to my z nimi nic dobrego postanowić nie będziemy mogli.

Hejdelius. Można obustronnie zostawić na boku imiona monarsze i godzić się państwu z państwem.

Worotyński. Tak się czyni podczas bezkrólewia; u nas ziemia nie własnowolna. Bóg dał nam monarchę—bez jego rozkazu nic nie zrobimy.

Hejdelius. Całowaliście krzyż królewiczowi, a teraz na monarchę przyjąć go nie chcecie, czemuż więc możecie go uspokoić?

Worotyński. Co do tego, tośmy już dawno odmówili. Na przyszłość słuchać nawet o tem nie chcemy; w moskiewskim państwie niema dla niego miejsca—i tak, od jego imienia moskiewskie państwo się zniszczyło.

Hejdelius. Słyszałem ja od posłów litewskich, że oni na przyszłość nie będą mówili o królewiczu, ale chcą mówić o tem, jakby państwo uspokoić? czemu obdarzyć królewicza, aby się państwa moskiewskiego rzekł?

Worotyński. Królewiczowi odmówiono i jemu nic do nas. Pano wie tak mówią, bez względu na wyrok Boży—Bóg tak chciał, żeby inny nami rządził i władcą naszym był. Wobec woli Bożej, co czynić? I je-

szcze za to Władysława obdarzyć, że on moskiewskie państwo zniszczył i spalił i wiele krwi chrześcijańskiej przelał! Wielkiemu monarsze Michałowi Fiedorowiczowi Bóg dał moskiewskie państwo praoców, za to podarunków nikomu nie potrzeba dawać i od nikogo go wykupywać. Taka wola Boża, carstwo—to dar Boga ¹⁾).

Następnie Hejdelius wnosił znowu, aby się pogodziło państwo z państwem, nie cytując monarchów, ale się spotkał z oporem, więc ciągnął dalej: „Monarcha wasz nie będzie miał wojny z królem, gdyż król bez panów senatorów i wszystkich sejmowych stanów nic nie może zrobić...”

Wreszcie carscy posłowie obawiali się wybiegu, iż zawrze pokój Rzplta, ale król nie będzie czuł się skępowanym, przytem w ich ojczyźnie tego rodzaju kombinacja była prawie niemożliwą: „U nas, w moskiewskim państwie, nigdy się coś podobnego nie przytrafiło, żeby bez carskiego ukazu państwo coś postanowiło. Nasamprzód: rządzi całym państwem jeden monarcha, a bojarowie i całe państwo bez carskiego rozkazu nic nie mogą postanowić...” W istocie, nie podobna było w akcie jakimkolwiek pominąć osoby cara, czego znowu Zygmunt przyjąć nie mógł.

Na piątym zjeździe, doprowadzonym do skutku przez medytatora, nowe hałasy z tego powodu, że podczas ostatniej przerwy wojska kilkakrotnie się spotkały i krew się przelała. Z tej więc racji wszczęła się kłótnia, obie strony porwały się do szabel, Aleksander Gosiewski groził bitwą, a poseł cesarski uspokajał. Kiedy wszyscy ochłoneli, litewscy posłowie zaproponowali godzić się państwu z państwem, gdyż co do zrzeczenia się królewicza, nie mają ani od senatorów, ani od całej Rzpltej żadnej instrukcyi, wobec czego musi przy nim pozostać tytuł. Co do tego, niechby bojarowie wysłali z Moskwy posłów na sejm, żeby królewicz wyrzekł się tytułu moskiewskiego, tem okażą mu honor.

Worotyński odpowiedział w tym samym sensie, co poprzednio. Wtedy polscy panowie oświadczyli, iż na nic się nie zdecydują i układow nie skończą, gdyż muszą jechać na sejm.

Kiedy się w Moskwie o blizkiem zerwaniu dowiedziano, przesłano komisarzom instrukcyę, aby zawrzeć pokój z ustępstwem wszystkiego, co jest w ręku Polaków, niechby tylko Władysław zobowiązał się podczas lat pokojowych nie nachodzić państwa w celach dynastycznych.

W trakcie tego szła korespondencya także i między Warszawą i Moskwą. Bojarowie wskazywali na Gosiewskiego, jako przyczynę całej niezgody. Naturalnie, że panowie, siedzący pod Smoleńskiem,

¹⁾ Z relacyi komisarzy.

dowiedzieli się o tych listach i, słusznie obrażeni, napisali od siebie do bojarów, skarżąc się na swoich adwersarzy. Pisali oni: „pokój winien być zawartym pomiędzy państwami, a nie między monarchami, i to z warunkiem, aby Smoleńsk ustąpiony został Rzpltej z wszystkimi miastami i włościami, które przypisane są do niego we właściwych spisach.“ Wracając zaś do zarzutów, czynionych Gosiewskiemu, posłowie nadmienili: „Dziwimy się bardzo słowom waszym, że tak grubo, z nieprzystojnymi zarzutami nam piszecie. U nas w poselstwie wszystko ludzie uczciwi, starożytnych znakomitych rodów, gdyż nie dzieje się w narodzie naszym, żeby do tak wielkich spraw dopuszczać ludzi podłych, jak to w Moskwie u was teraz się zdarzyło, że ludzie prości, chołopi, popowicze i niegodni rzeźnicy, pomimo wielkich kniaziowskich i bojarskich rodów, do wielkich spraw państwowych ziemskich i poselskich dopuszczeni zostali. I wy, bracia, sami ostrzegaliście nas, aby takim niegodnym ludziom nie dawać władzy (mowa tu o Andronowie i innych jemu podobnych), gdyż oni, nauczeni żyć ze złodziejstwa, złością i uporem doprowadzają was wielkich i uczciwych ludzi do nastawiania na krew ludzką. Jeżeli zaś będziecie wytrwale stać przy swoim uporze, to my z całym państwem zaczniemy się mocno trzymać. Król i królewicz, zesławszy się z wielkimi monarchami, uczynią sąd wobec posłów nad metropolitą Filaretem i, dowiódłszy mu listami patriarchy, żyjącym Szeinem i innemi licznemi świadectwami, ludźmi i pismami, że on całe moskiewskie państwo i swego naturalnego monarchę, Władysława, jawnie zdradził i dla syna swego, Michała, tron moskiewski nieprawdą wykierował,—z tych spraw z nim skończą, a przeciwko synowi królewicz Władysław z całym wojskiem do stolicy pośpieszy...”

Bojarowie znaleźli następującą odpowiedź: „Gdyby metropolita szukał tronu dla syna swego, wtenczas, kiedyśmy, bojarowie, z hetmanem Żółkiewskim pertraktowali, psuł-by był sprawę i na nią nie pozwalał, gdyż on wtedy największy wpływ miał na patriarchę, a bracia jego i siostrzeńcy byli wielkimi bojarami. Nie był-by poszedł w poselstwie do waszego monarchy i syna swego w Moskwie z ludźmi waszymi nie był-by zostawił. A gdy wielki monarcha nasz, Michał Fiedorowicz, siedział w Moskwie u waszych ludzi w niewoli, gdyby rzeczywiście tak było, jak teraz na metropolitę Filareta piszecie, to czyżbyście przed nim, wielkim hospodarem, to zmilczeli? Na kogoście krzywo patrzyli, tegoście za przystawem oddawali (pod nadzór) i na pytkę brali, a niektórych śmiercią ukarali! Ty, Aleksandrze Gosiewski, wszystkim nam bojarom mówiłeś, że tronu moskiewskiego szuka Prokop Lapunow, później senatorowie pisali do nas, że go pożąda kn. Wasyl Wasylewicz Golicyn w związku z metropolitą Filaretem, a teraz piszecie, że metropolita chciał państwa dla syna swego. Sami się oskarżacie pismem

swem, sami nie wiecie, jakie fałsze na kogo rzucać!—Piszecie, że u nas niegodni ludzie do wielkich spraw są dopuszczeni: u wielkiego monarchy w dumie, we wszystkich urzędach i przykazach są dzieci państwa, kto do czego godny rozumem i służbą. A wasz monarcha i jego syn, po przysiędze, przysłali do Moskwy garbarskiego chłopą, Fedkę Andronowa, na dumnego djaka kuśmierskiego chłopą, Stepanka Sołowieckiego, klucznika Bażenkę i sukiennika, Cyryła Skorobowickiego, Waśkę Jurjewa popowicza! Wy, bracia nasi, powinniście najprzód pomyśleć nad tem, co piszecie!...”

Na następnym zjeździe, kiedy panowie polscy usłyszeli od moskiewskich, że nie pozwolą pominąć imienia carskiego, rozjechali się z kłótniami, nie chcieli już więcej zjeżdżać się i zaczęli się gotować do wyjazdu.

Ten upór, jaki obie strony na zjazdy przynosiły, ta pewność siebie, były po części nieuzasadnione. Stosunki ze Szwecją, tak tu, jak tam, nie były dobre i nie ulegało wątpliwości, że Gustaw Adolf skorzysta z położenia. Wychodził rozejm z Polską, zawarty na 2 lata ze Szwecją w styczniu 1616 r., a więc za parę tygodni. Moskwa prowadziła z Gustawem Adolfem wojnę koło Pskowa i teraz właśnie skłaniała się do układów. Faktycznie więc większy interes mieli carscy komisarze aby nie zrywać pertraktacyi.

VII.

Stanowcza odmowa posłów polskich, a zwłaszcza polityczna sytuacja nakazywała poczynić ustępstwa. Ze stolicy przyszły instrukcje, aby z litewskimi posłami mówić gładko i łagodnie i wogóle uniknąć zerwania układów. Atoli panowie, widocznie na podstawie udzielonych im z Warszawy informacji, kazali oznajmić, iż dopóty się zjeżdżać nie będą, póki druga strona nie zgodzi się na pokój „państwa z państwem,” a więc z pominięciem carskiego imienia. Wtedy tytuł Władysława, którego używał, nie był-by także wzmiankowanym.

Worotyński dał o tem znać do Moskwy, skąd przyszło pozwolenie, aby, ze względu na Szwecję, zgodzić się na taki pokój. Instrukcja odnośna brzmiała: „Żebyście mówili naprzód o warunkach, a o tem, aby nasz tytuł wypisać, nie macie z początku nic mówić, aby ich (t. j. polskich komisarzy) dłużej przy sprawie trzymać. Gdy się już o wszystko z nimi umówicie i przyjdzie do spisywania i zatwierdzania, wtedy rozpoczynajcie mówić z nimi o naszym i królewskim tytule, a termina zjazdów odkładajcie jak najdalej, aby umowy z litewskimi posłami

przewlec do tego czasu, póki nasi posłowie ze szwedzkimi nie skończą i nie utwierdzą.“

W myśl tego rozkazu, posłowie zawezwali kilkakrotnie Hejdeliusa na narady. Pośrednik żądał, aby postawili ostateczne żądania, lecz oni bili na to, aby zjechać się z samymi komisarzami Rzpltej, z którymi mówić będą. W końcu Hejdelius sam się zniecierpliwił, przejrzał chęć zwłoki i zażądał, aby mu otwarcie odmówili zgody, gdyż więcej już w zjazdach udziału nie weźmie; oznajmił otwarcie, iż pojedzie do swego monarchy, wszystkie nieprawdy i bezczeście, okazane przez posłów majestatowi cesarskiemu i jemu samemu, opowie, a wtedy cesarz sam ujmie się za swoją niesławą. Litewscy posłowie mają zupełną słuszość wobec swoich adwersarzy. Uczynili oni posta u siebie arbitrem i chcą się przez niego dowiedzieć od moskiewskich posłów, pod jakimi warunkami ci są skłonni do zgody, a tymczasem oni nie chcą nic powiedzieć. Na to Worotyński odpowiedział ogólnikowo, że są gotowi traktować o pokój, a wtedy Hejdelius odrzekł: „Teraz-by trzeba mówić o tem, jak interes królewicza w punktach umowy zatwierdzić tak, aby prawa jego, oparte na hetmańskiej umowie i przysiędze, nie były naruszone. Polacy zgodzą się na to, aby przez przeciąg lat pokojowych ani król, ani królewicz wojny nie rozpoczynali, a po upływie umówionego czasu, prawa królewicza zachowają znaczenie swoje w całości—zostaną nienaruszone. Grody siewierskie będą należały do Polski, do Smoleńska przypadną miasta Księstwa Smoleńskiego, Biała, Dorohobuż, Toropiec z powiatami, jak to niegdyś było ułożonem między królem Kazimierzem i Wielkim Kniaziem Wasylem Wasylewiczem (w r. 1449). Polacy żądają zapłaty dla wojska (które wpuszczone było do stolicy na życzenie bojarów, za drugiego Samozwańca, i dotychczas nie otrzymało całkowitej zapłaty). Na tych warunkach można będzie zawrzeć pokój między państwami na półtora roku.“ Takie mniej więcej warunki podał medyator, nie ostateczne zapewne, ale w każdym razie niedalekie od ostatecznej decyzji.

Worotyński uznał za stosowne dać taką odpowiedź: „Zgodziliśmy się zawrzeć pokój między państwami, a ty teraz mówisz, że litewscy posłowie chcą zastrzedz się co do utrzymania w całości hetmańskiej umowy... Więc oni nową znowu zaczynają sztukę.“ W końcu Hejdelius odjechał rozgniewany.

W dalszym ciągu Worotyński wydobyl projekt do aktu pokoju, nadesłany z Moskwy, a tak napisany, iż na nowo wszystkie kłótnie odbyć musiały; wprawdzie powiedzianem było, iż ugoda zawiera się między państwami, ale figurowało także imię „wielkiego monarchy Michała Fiedorowicza.“ Nad tym wstępem do aktu umowy można było targować się przez kilka miesięcy. Dlatego, rozumie się, polscy panowie

žadną miarą zgodzić się na niego nie chcieli, skoro, ich zdaniem, prawa Władysława miały nadal pozostać nietkniętymi. Nowe więc posyłki do Moskwy po instrukcyje. Gosiewski twierdził, że Michał Fiedorowicz przysięgał na wierność królewiczowi, na co komisarze odpowiedzieli bez namysłu, iż krzyża nie całował. Ze stolicy przyszła informacya, aby się tak nie odzywali, albowiem tem samem potwierdzają domysł polskich panów, iż metropolita Filaret gotował tron dla syna, dwuznaczną grał rolę, powinni więc tylko powiedzieć, że Michał całował krzyż królewiczowi i to się spełniło z losów Bożych!...

Dnia 28-go stycznia był ostatni zjazd. Przyjechali nań polscy posłowie, nie wszyscy co prawda, ale z Hejdeliusem, i ponownie przedstawili warunki, poprzednio już wykazane. Ponieważ moskiewscy nie zgodzili się i zawiadomili tylko, że co do Smoleńska muszą zasięgnąć informacyi od swego monarchy, przeto zjazd zeszedł znowu na niczem. Kiedy Worotyński posłał rzeczywiście do Moskwy z zapytaniem o Smoleńsk, otrzymał odpowiedź: „Co do tego, postąpiliście niedo-brze, nie dosyć twardo oświadczyliście, mówiąc, że co do Smoleńska skomunikujecie się. Wyczekujecie od nich jak największych ustępstw, a zawracaliście ich dwa razy, jakby kłaniając się przed nimi. Wyście powinni mocno się trzymać co do Smoleńska i zjazdów od nich nie żądać, ale oczekiwać przysłania po was.“

Z jednostronnych relacyi, zamieszczonych w „Historyi Rosyi“ S. Sołowiewa, taktyka i poglądy polskich komisarzy nie wychodzą tak jasno, jak moskiewskich. Wszelako widocznem jest, że polscy panowie zarzucili nadzieję zawarcia rozejmu na warunkach korzystnych, spostrzegli, że przeciwnicy działają jedynie na zwłokę, aby układy ze Szwecyą zakończyć i wrócić potem do ataku ze zdwojoną siłą, więc woleli zawczasu zerwać układy, i to w chwili, kiedy w Dederynie komisarze moskiewscy, za pośrednictwem Anglika Johna Merika, dobijali już do umowy. Przyjechał do ostrożka Hejdelius pożegnać się i wytłómaczyć: nie gniewajcie się na mnie (mówił), że na zjazdach mówiłem z gniewem. Mnie samemu polscy posłowie wyrządzili bezceść; waszą prawdę i chęć dobrego zakończenia sprawy, a upór polskich panów opowiem swemu monarsze. Zarazem oznajmił, że komisarze odjeżdżają. Worotyński, ponieważ wbrew udzielonemu sobie nakazowi, zażądał jeszcze zjazdu, posłał do stanowiska polskich panów, ale dowiedział się, że ci już odjechali.

W kilka tygodni później, między Szwecyą a Moskwą stanął rozejm, ale tylko na pół roku—obie więc sprawy nadal zostały odłożone; zarówno Polska, jak Szwecya, miały nadzieję wytargowania postawionych przez siebie kondycyi. Kwestye sporne pozostały w zawieszeniu.

W Dederynie pod Nowogrodem były podobne kłótnie, jak i pod Smoleńskiem: o tytuły, o ustąpienie ziem. Dopiero po roku spisany został w Stołbowie traktat między Szwecją a państwem moskiewskim, przyczem car Michał odstąpił Inflant i Karelii. Proponowany sojusz przeciwko Zygmuntowi nie został przyjętym w Sztokholmie.

VIII.

Zerwanie układów wpłynęło na sejm kwietniowy (1616), zwołany przez króla, gdyż pokazało się, że samymi traktatami niewiele się wskóra ¹⁾. W Koronie i Litwie gotowano się do nowej wojny, tymczasem zaś Zygmunt demonstracyjnie podnosił kandydaturę syna. W końcu tegoż roku przyjmował znowu, w Warszawie tym razem, emigrantów, zapraszających królewicza na tron carski.

W lecie rozpoczęły się na nowo zaczepki między wojskiem Gosiewskiego i Michała Buturlina, pod Smoleńskiem. Car wyprawił nowe oddziały wojsk pod Smoleńsk i do Siewierszczyzny, gdzie Czaplński z Lissowczykami partyzantkę prowadził. Nakazano było wojewodom, aby na litewskie pogranicze rozpisywali listy do jednowierców, wzywając ich, aby nie pomagali przeciwnikom, a raczej uciekali do wojsk carskich. Dwa listy tego rodzaju, o nastroju religijnym, znajdzie czytelnik w „Aktach sobраниch w bibliotekach“ (Petersb. 1836, t. III, str. 479—482). Listy miały być rozrzucone między ludnością. Ważniejsze jednak sprawy były pod Smoleńskiem. Wojewodowie, Michał Buturlin i Izaak Pohożyj, donosili z obozu, iż Gosiewski chce iść ze swoimi ludźmi traktem moskiewskim, obejść smoleńskie ostrożki wojewodów i przeciąć im komunikację ze stolicą, skutkiem czego kn. Boriatyński wyruszył do Dorohobuża; ale kiedy kniaź nadciągnął, Gosiewski już był wykonał swój plan i odciął dowóz żywności Buturlinowi.

¹⁾ Pisze też Władysław do hetmana K. Radziwiłła, że stany Obojga Narodów raczej przez traktaty, aniżeli wojną pokoju sobie życzyły, ale że komisya spełzła na niczem i razem z nią nadzieja pokoju, więc się do wyprawy raczej gotować należy. („Listy Władysława IV.“ wyd. przez A. Muchlińskiego. Kraków, 1867, str. 6).—Z tem wszystkiem, Zygmunt jaśniej określa sytuację w liście swoim do rady królewicza, kiedy mówi: „Wiadomo Ichmościom, jaka była intencya przeszłego sejmu ze strony prowadzenia tej ekspedycyi syna naszego, co się ze szczupło przyzwolonych na nią podatków baczyc może, że raczej dla sprobowania chęci narodu tamtego, niżeli dla prowadzenia długiej wojny jest przyzwolona.“

W styczniu 1617 r. przysłyły nowe siły na pomoc Boriatyńskiemu. Smoleński pułkownik, Wiszel, pobitym został w utarczce i wziętym do niewoli. W maju położenie zmieniło się na korzyść Polaków; Gosiewski, połączywszy się z Czaplińskim, zaczepił oszańcowanego pod Smoleńskiem Buturlina, odpędził go, jak i Pohożego, i zmusił do cofnięcia się ku Białej. Czapliński zapędził się nawet aż do Dorohobuża, ale, pobity i straciwszy 240 ludzi, musiał się wracać. Niebawem jednak Gosiewski obległ Dorohobuż, kilka oddziałów wkroczyło jednocześnie za pogranicze, kiedy przyszła wiadomość, iż sam królewicz Władysław ciągnie z pospolitem ruszeniem, poszukując swoich praw, i w tym celu wydał manifest:

„Od Cara i W. Ks. Władysława Zygmuntowicza Wszech Rusi, moskiewskiego państwa bojarom naszym, okolniczym, dumnym djakom, dworjanom, stolnikom, strapczym, dworjanom miast, głowom streleckim i t. d.

„Wiadomo wam, jak z woli Bożej wygaś w moskiewskim państwie ród wielkich władców, a rody bojarskie poważyły się targnąć na tron carski, co było nad miarę ich sił, i spowodowali nieszczęścia i złego, prześladowań nie mało, a wśród was były łzy i narzekanie. Wówczas patriarcha moskiewskiego państwa, arcybiskupi, biskupi i cały stan duchowny, następnie bojarzy i stany moskiewskiego państwa, zrozumiawszy, że Władca inny, nie z carskiego rodu, panować nie może, gdyż państwo domowa wojna trapić będzie—przysięgliście na krzyż, iż nie będziecie wybierali na tron żadnego z moskiewskich rodów, lecz wybieriecie go z cesarskiego rodu i innych państw. Nakłoniliście więc wszystkich spolem i wybraliście na tron moskiewski nas, wielkiego Władzcę, królewicza Władysława, z praojców i przodków równych rosyjskim władzcom, i przysięgliście nam, Wielkiemu Władcy, na Krzyż Pański, w imieniu ziem wszystkich, i z hetmanem Żółkiewskim, wojewodą kijowskim, ułożyliście się, iż my zostać mamy Władzcą, Carem i W. Kniaziem Wszech Rossej, a posłaliście do Wielkiego Hospodara, Zygmunta Króla, posłów swoich od wszech ziem, Filareta, metropolite rostowskiego i jarosławskiego, oraz kn. Wasyla Wasylewicza Golicyna z towarzyszami, aby mu bili czołem, aby raczył pozwolić nam zająć carski tron włodziemski, moskiewski i Wszech Rossej; lecz metropolita Filaret rozpoczął działać nie według owego rozkazu, jakiście mu dali, ale zamyślał o moskiewskim tronie dla syna swego, Michała.

„Następnie przysłaliście innych posłów: kn. Jurja Nikiticza Trubeckiego z towarzyszami, aby bili czołem przed ojcem naszym, Władzcą Wielkim, o nas. I ojciec nasz, Najj. Król, prośby moskiewskiego państwa wysłuchał i postać przyobiegał nas, Wielkiego Władzcę, na car-

stwo moskiewskie, lecz opóźnił się nasz pochód do moskiewskiego państwa, gdyż carstwo moskiewskie chwiała się wśród buntów i niepokoi, a my, Władzca Wielki, byliśmy jeszcze niepełnoletni. Otóż dziś my, Wielki Władzca, z łaski Boga Wszechmogącego, doszliśmy do pełnych lat, jako monarcha, chcemy obecnie, przy pomocy Bożej, odzyskać swoje państwo moskiewskie, przez Boga nam dane, a przez was wszystkich przysięgą na Krzyż Pański zapewnione, gdyż doszliśmy już do lat, w których możemy zostać samodzierżcą Wszech Rosziej i wzburzone państwo przy pomocy Bożej spokojnem uczynić.

„A wy, wszelkie stany moskiewskiego państwa, opamiętajcie się i wspomnijcie przysięgę swoją i moskiewskiego państwa i uderzcie czołem, a służcie nam z taką ochotą, z jakąście nas, Władzcę Wielkiego, urodzeniem równego waszym wielkim władzcom, obrali na Cara i Wielkiego Kniazia Wszech Rusi. My zaś, jako Władzca Wielki, doszedłszy do pełnoletności obecnie, nie będziemy oczekiwali dłużej, lecz, przy pomocy Bożej, wzięwszy chorągiew Krzyża ś-go, na jakiście nam przysięgli, ruszamy na swój tron carski moskiewski i wszystkich państw jemu podległych. A stanie się, iż upamiętawszy się, wkrótce uderzycie czołem przed nami, Wielkim Władzcą, a otrzymacie pokój i porządek dla całego państwa, żadnymi buntami nie zakłócony, i rozpoczęcie żywot bezpieczny od napadów wszelkich wrogów ościennych, a dni żywota waszego w radości pędzić będziecie. Wiara chrześcijańska, starodawnego greckiego obrządku, wniczem naruszoną nie będzie, cerkwie i monastery zachowają nienaruszenie swe poprzednie urzędy; ojcowizny, włości i wynagrodzenia pieniężne dla wszystkich pozostaną nienaruszone, a my szczególnie wynagradzać będziemy każdego według zasług. Dzieciom bojarskim pozostawioną będzie swoboda wyboru służby, a nad wszelkim człowiekiem rozciągniemy naszą miłosierną opiekę; w sądach znajdą sprawiedliwość i wszystko spełnianem będzie według brzmienia umowy Żółkiewskiego, wojewody kijowskiego. A jeśli myślicie się opierać, wkrótce dotknie was pomsta Boża, a my pozostaniemy niewinni owej krwi. Nasza Carska Mość, ze zwykłą nam ludzkością, obecnie żałujemy i bolejemy nad spustoszeniami i wyludnieniami moskiewskiego państwa i ubolewamy, że ze wszech stron miecz wycina stan chłopski, a kraj ludny pustoszeje i zewsząd obieranym jest, jako winnica bez opłotków. — A nad Michałem, Filareta synem, gdy, skoro Bóg da, będziemy już na carskim tronie naszym w Moskwie, na prośby ziemi całej, okazemy miłosierdzie nasze. Dziś posyłamy z przedniami pułki, przeciw odmieńcom naszym, hetmana (?), referendarza i pisarza W. Ks. Litewskiego, starostę wielickiego, kupiskiego i świętoskiego, Aleksandra Iwanowicza Korwin Gosiewskiego. Rozkazaliśmy mu, aby oszczędzał te miejscowości, które uderzą czołem przed

nami i przysięgę wykonają, i aby naszemu wielkiemu wojsku pustoszyć ich nie pozwolił. Za temi przedniemi pułki rozkazaliśmy ruszyć wielkiemu wojsku pod wojew. wileńskim, najwyższym hetmanem W. Ks. Litewskiego, Janem Karolem Chodkiewiczem z wojewodami, oraz z pułkownikami i wszelkiem rycerstwem naszym. A wy jednomyslnie uwiercie w naszą carską wyprawę do Moskwy i co rychlej upamiętajcie się i złożcie nam przysięgę. — My zaś, Wasz Władzca, pośpieszamy do Moskwy i już ruszyliśmy w drogę, nam zaś towarzyszyć będą: patriarcha Ignacy ¹⁾, i arcybiskup smoleński Sergiusz, i bojary, kn. Juryj Nikiticz Trubecki z towarzyszami, i hetman Żółkiewski, wojewoda kijowski, z wielkiem wojskiem. Prosimy miłosiernego Boga, aby pozwolił nam wkrótce odzyskać nasz tron carski, oczyścić i obronić całe moskiewskie państwo od wszelkich wrogów ościennych, a dać mu pokój i porządek. Aby bramota nasza na wiarę zasługiwała, podpisaliśmy własną ręką carską, i rozkazaliśmy przyłożyć naszą carską pieczęć moskiewskiego państwa.

„Dan w Narwie r. 7125 (1616) d. 15 grudnia.

„Car, Władzca i Wielki Książ Władysław Zygmuntowicz Wszech Rusi“ ²⁾.

Królewiczowi, ze względu na jego młody wiek i zresztą z uwagi na możliwe układy w obozie, dodaną była rada, złożona z ośmiu komisarzy, czy też konsyliarzy: Andrzeja Lipskiego, biskupa łuckiego, Lwa Sapiehy, Stanisława Żórawińskiego, kasztelana bielskiego, Konstantego Plichy, kasztelana sochaczewskiego, Piotra Opalińskiego, starosty śremskiego, Baltazara Strawińskiego, starosty mozyrskiego, Jakóba Sobieskiego, wojewodzica lubelskiego, i Andrzeja Męcnińskiego. Mieli

¹⁾ O tym patriarsze Ignacym. wspomnianym przez Wazę, wiemy, że był riazzańskim archiepiskopem, godność patriarszą zaś zawdzięczał pierwszemu Samozwancowi. Rodem Grek (podobnie jak i episkop Arseniusz, jeden z życzliwych Zygmuntowi III. w r. 1611), Ignacy bawił niegdyś w Rzymie, potem był biskupem na Cyprze, przybył do Rosyi i tu otrzymał godność archiepiskopa w Riazaniu. Kiedy Samozwaniec szedł do Moskwy, Ignacy towarzyszył mu, skutkiem czego został patriarchą. Po zamachu kn. Szujskich i śmierci Dymitra, zrzuconym był z patriarchatu, jako mocno podejrzany o sympatye dla Zachodu i łaciństwa. W Czudowskim monasterze (pod Moskwą), gdzie się spotkał z Wasylem Szujskim, przez którego był tam zesłany, oczekiwał się zajęcia Kremlu przez Polaków i strącenia patriarchy Hermogena, którego niebawem z poręki Polaków i życzliwych im bojarów zastąpił. Chylenie się do upadku sprawy Władysława zmusiło go do ucieczki na Litwę; tu przyjął unię i zamieszkał w wileńskim troickim monasterze. Jego więc osobę wysuwał obecnie naprzód pretendent królewski, przychodzący teraz osobiście, aby upomnieć się o swoje prawa. Wiedocznę także i arcybiskup Sergiusz przystąpił do unii.

²⁾ Oryginał nabyty w Szwecyi przez S. Sołowiewa.

oni otaczać radą i doświadczeniem królewicza. W razie, gdyby Władysławowi udało się szczęśliwie zawiądnąć Moskwą, miał nie zapomnieć o ojcu i ojczyźnie i stwierdzić przysięgą warunki, które na odjeździe, jako zobowiązanie, podpisał.

W obliżu, wystawionym Zygmuntowi, powiedzianem było: „Mi chał, syn Fiedora, metropolity rostowskiego, człowiek prywatny i wraz z innymi długiem wierności ku nam zobowiązany, objął tron i wojnę zdradziecko wydał. Skoro traktaty przy pośrednictwie cesarza niemieckiego nie doszły do skutku, przeto stany koronne uradziły, aby królewicz z wojskiem na miejsce się udał. Zamiarem Władysława jest sprowadzić wieczyste przymierze z W. Ks. Moskiewskim, szczególnie przeciw Turkom i Tatarom, aby pomiędzy dwoma ludami szczerą miłość zakwitła, a handel był wolnym. Smoleńsk w starożytnych swych granicach przyznany będzie W. Ks. Litewskiemu, także Siewierszczyzna; Połocka, Wieliza, oraz pretensyi moskiewskich do Inflant, Władysław Zygmuntowicz, po objęciu tronu, Polsce odstąpi.“ („Skarbiec hist. pol.“ K. Sienkiewicza. Paryż, 1839, str. 337). Wszystkiego wojska, które wyszło z Władysławem, było około jedenastu tysięcy, pomimo starań Lwa Sapiehy, który własnymi funduszami pomagał i dlatego nastawał, aby z Litwy zebrany został nowy podatek na tę wojnę. Co zaś do naczelnego dowództwa, to Stan. Żółkiewski uchylił się od niego, nie chcąc się narażać na wyrzuty z powodu złamania przysięgi, a powtórnie i dlatego, że potrzebnym był na russkich granicach, gdzie się najścia Turków spodziewano.

W Rzeczypospolitej przypomniano sobie sprzymierzeńców z roku 1610 i 1611 — Kozaków naddnieprzańskich i dońskich. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że się z nimi „obesłano,“ gdyż przybyli do Władysława w listopadzie 1616 roku ataman Borys Jumin i asaул Atanazy Gawryłow z oświadczeniem, iż chcą służyć z prawdą i wiernie, na co usłyszeli odpowiedź, aby uczynili, jak zamysłili. W kwietniu 1617 r. dwudziestodwuletni Władysław wyszedł z Warszawy, po uroczystej ceremonii, na której prymas Gębicki doręczył mu w kościele św. Jana chorągiew.

Punktem zbornym, naznaczonym dla wojska, był Łuck. Po drodze, we Włodzimierzu Wołyńskim, Władysław w miejscowej świątyni zjednoczonego wyznania wysłuchał mszy; tutaj poświęconym został sztandar z dwugłowym orłem i doręczony jednemu z otoczenia królewskiego, niejakiemu Ewdokimowi. Ponieważ między adherentami Zygmunta za czasów drugiego Samozwańca występuje kilkakrotnie djak Ewdokim Witowtow, przeto jest prawdopodobieństwo, że jest to ta sama osobistość, towarzysząca wyprawie w charakterze doradcy. Zmuszony ustąpić części wojska swego Żółkiewskiemu, przygotowującemu

się do obrony przeciwko Turkom, Władysław powrócił do Warszawy, skąd w Sierpniu z 4,000 ludzi przybył do Mohilowa nad Dnieprem, witany tutaj na nowo przez emigrantów („Bielorusskij archiw,“ str. 80), a stamtąd dalej, do Smoleńska, razem z całą asystencją: Trubeckim, Iwanem Szujskim, ostatnim z trzech braci, Szeinami ojcem i synem i innymi (Zb. Ossoliński: „Pamiętnik“). W końcu września—w bardzo spóźnionej porze, bo—jak mówi Ossoliński—wyprawa ciągnęła się bardzo długo i ladażako—Władysław opuścił Smoleńsk, aby się połączyć z J. K. Chodkiewiczem, oblegającym już Dorohobuż.

Korespondencje, jakie wymieniono z radą bojarską ze Smoleńska, obracały się zawsze w jednych i tych samych zarzutach i odparciach, nie dawały zatem żadnego rezultatu. Dlatego wysłanym był znowu Jan Hrydycz do Moskwy, aby, jeśli się dało, przyprowadzić do skutku ponowne traktaty, ale i to poselstwo wykazało jawnie, że na tej drodze nic się nie sprawi. Jednakowoż wielkie nadzieje Władysława zdawały się ziszczać. Wojewoda dorohobuski, Iwan Adadurow, poddał miasto i uznał młodego Wazę za swego monarchę. Królewicz uroczyście przyjmował swych nowych poddanych, całował obrazy i krzyże, które mu wyniosło duchowieństwo, obdarował strzelców i pozwolił im się rozejść do domów; Adadurow zaś, z dworzanami i dziećmi bojarskimi, przyłączył się do jego wojska. Zajawszy Dorohobuż, królewicz, idąc za radą Chodkiewicza, chciał już rozłożyć się na zimowe kwatery, kiedy nadeszła wieść, że wiaziemscy wojewodowie, Piotr Proński, kn. Michał Biełosielski i Gagaryn, opuścili swój grod i uciekli do Moskwy, podczas gdy ich Kozacy rzucili się do rabunków. Władysław w końcu października wkroczył uroczyście do Wiaźmy. Trzymały się dwa miasta, obsadzone silniej: Możajsk, gdzie stali wojewodowie Buturlin, Leontjew, kn. Borys Łykw i znany z roku 1610 Grzegorz Wałujew, oraz gród Wołok z kn. Dymitrem Mamstrukowiczem i Wasylem Czerkaskim.

W trakcie tego pochodu Władysław został zatrzymany przez jawny bunt niepłatnego wojska, które do tego jeszcze wiele cierpiało od głodu i zimna. Nie pozostało nic innego, tylko rozlokować się na zimę w Wiaźmie i okolicy. Popłoch, jaki wtedy padł na stolicę, wywołał surowy rozkaz, aby chwycić podburzające listy, jakieby Litwini rozrzucał, przetrząsać ściśle rzeczy wszystkich przybywających, przestrzegać, aby z polskiego obozu szpiegdy nie przychodzili; jeśli kto został schwytanym, wieszać go na tej drodze, którą przyszedł, wogóle pilnować, aby żołnierze nie komunikowali się z nieprzyjacielem. Powód do tego obostrzenia dały zbiegostwa do obozu Chodkiewicza; Adadurow podjął się przewieźć listy królewskie do Moskwy, ale tak on, jak i inni, zostali schwytani. Na domiar, oddział Czaplińskiego pusto-

szyl w dalszym ciągu Meszczersk, Kozielsk, okolice Kaługi, Tweru, siejąc ze swej strony postrach i zniszczenie.

Sekretarz królewski, Hrydicz, nie wpuszczony poprzednio do stolicy, przyjętym został teraz, w grudniu, zwłaszcza, że przyjeżdżał z propozycją wyznaczenia zjazdów pokojowych w terminie od 20 stycznia do 20 kwietnia (1618 r.) i żeby przez ten czas obustronne kroki wojenne zawieszone były, a jeńcy wymienieni niezwłocznie. Bojarowie odpowiedzieli wymijająco, że, nie widząc u niego pełnomocnictwa, nie mogą wejść w „rozwowory“ z komisarzami, zresztą ich posłowie bez żelaznych listów od Władysława nie mogą rozpocząć pertraktacyi, przytem termin proponowany do m. kwietnia jest za krótki, a na zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich nie można się zgodzić, póki Polacy nie wyjdą z państwa; jeżeli zaś chodzi o wymianę jeńców — w takim razie niech pierwszej wypuszczonymi będą Filaret i Golicyn. Zresztą, skoro glejt dla komisarzy nadejdzie, przyjedzie do polskiego obozu goniec, celem umówienia się co do miejsca zjazdów i liczby upelnomocnionych. Jak widzimy, bojarowie, z Fiedorem Mściśławskim na czele, nie kwapili się wcale z układami, szli zwykłą metodą, ciągnąc na zwłokę, naprawiając tym sposobem poniesione w polu klęski, bo liczyli na niepłatność żołnierza, ostrość klimatu w zimie, rozjeżdżanie się chorągwi. Wszakże cała kampania, według obietnicy, danej na ostatnim sejmie, miała być zakończoną w ciągu roku! W Moskwie spodziewano się także silnej dywersyi ze strony Turcyi. Wszystkie te trudności wisiały nad głową Chodkiewicza i Władysława. Stąd łatwo pojąć, z jakim niezadowoleniem w Wiaźmie i w Warszawie (dokąd biegły ciągle relacye) przyjmowano kunktatorstwo przeciwników. A tymczasem wspomniani już przez nas komisarze, Danił Mezecki z towarzyszymi, dobijali wtedy w Stołbowie układów pokojowych z Gustawem Adolfem, poczem opór przeciw Rzpltej mógł tylko się zwiększyć.

Dla dokładnego objaśnienia położenia, a zarazem dla obmyślenia funduszów na wojsko, grożące rozejściem się, odjechał z obozu Lew Sapieha do Warszawy. Na miejsce biskupa A. Lipskiego miał przybyć w zastępstwie biskup kamieniecki, Adam Nowodworski, ale ten nie był jeszcze wyjechał z Warszawy.

Upłynęły trzy pierwsze zimowe miesiące 1618 r. wśród przymusowego zawieszenia broni, wśród ciężkich warunków dla wojska J. K. Chodkiewicza i Władysława, a to z powodu zimy i konieczności wysyłania podjazdów na wszystkie strony dla zbierania żywności ludziom i koniom. Jednakowoż spodziewać się należało z wiosną nowych wysiłków z głównej kwatery w Wiaźmie, skierowanych przeciwko stolicy. Nie było także nadziei, aby oręż Zygmunta powstrzymanym był za pośrednictwem cesarza Rudolfa, pomimo, iż po zerwaniu układów pod

Smoleńskiem, wyjechał do Wiednia posłannik carski, Łukian Iwanowicz Miasnyj, dla wytłómaczenia przyczyny rozchwiania się traktatów i zwaleni winy na polskich komisarzy, osobliwie zaś, aby prosić o nie dawanie pomocy królowi i zakazanie werbowania piechoty (węgierskiej) w obrębie cesarstwa niemieckiego. Atoli poselstwo to, jak i poprzednie, nie dało żadnego rezultatu, oprócz platonicznych, a nawet podejrzanym zapewnien przyjaźni, gdyż nawet tytuł carski w doręczonej Miasnemu odpowiedzi nie znalazł się w porządku, przeciw czemu poseł zaprotestował, ale pismo przyjął i z niem w lecie (1618) do kraju wrócił.

Na wiosnę groziły więc nowe szturm do stolicy, tym razem z inwazyą kozacką. Wobec tej groźnej ewentualności zapadła uchwała, aby zainterpelować Polaków o pokój, a co najmniej zabawić ich układami. W początkach kwietnia przybył do polskiego obozu dworzanin Kondyrew i oświadczył, że gotów jest prowadzić układy o miejsce zjazdów i o inne warunki, ale zażądał cofnięcia się wojsk przed rozpoczęciem umów, to jest przed 16-ym czerwca, a o punkt zborny i o ilość żołnierza w konwojach poselskich obie strony umówią się ostatecznie na dwa tygodnie przed pierwszym kongresem.

Tymczasem przyszła do obozu wiadomość o wyznaczeniu przez sejm warszawski nowych podatków na dalsze popieranie wojny, wszakże z zastrzeżeniem, charakterystycznym dla rządów w Rzpltej, a wspomnianem przez nas powyżej, aby wyprawa zakończoną była w ciągu jednego roku. W obozie Chodkiewicza i królewicza chwiały się zdania, czy iść pod mury stolicy, czy też przenieść obóz do Kaługi, w okolicy mniej spustoszone, gdzie miano oczekiwać wojsk, przysyłanych przez Stanisława Żółkiewskiego, oraz Kozaków. Przemogło zdanie, aby powtórzyć eksperyment hetmana koronnego i posunąć się pod samą Moskwę, lubo tutaj nastroczały się dwie trudności: wypadało nasamprzód wziąć Możajsk, aby nie mieć kn. Łykowa na tyłach armii, powtórze, że brak ciężkich dział oblężniczych przy szturmowaniu stolicy, nie dawał nadziei rychłego opanowania miasta. Pomimo to, wojsko Chodkiewicza zaczęło posuwać się po głównym trakcie stołecznym, dobywać ostrożków w Bar-Horodyszczu i Borowsku. Pierwszych dni sierpnia Czerkaski i Łykov, wybraawszy ciemną i burzliwą noc, wyszli podczas ulewnego deszczu z możajskich ostrożków i cofnęli się do Moskwy, a polskie chorągwie zajęły niezwłocznie pozostawiony i spalony przez russkich Borysów.

Zjawił się wtedy w obozie pod Możajskiem Lew Sapieha (razem z biskupem Nowodworskim), z powrotem z Warszawy, dokąd jeździł bez rezultatu po fundusze na zaspokojenie niepłatnego wojska. Kiedy żołnierze, stojący w ogłodzonej okolicy, nie otrzymali żołdu, powstał bunt,

niemiecka piechota zaczęła tłumnie opuszczać obóz, i dopiero po targach i układach z komisarzami, część tych chorągwi uspokoiła się, otrzymawszy obietnicę wypłaty zaległości na listopad, natomiast cztery chorągwie opuściły kwatery swoje. Ta niepłatność wojska, to choroba chroniczna, trapiąca wtedy nie tylko Rzpltą, ale i Niemcy wśród trzydziestoletniej wojny, państwo moskiewskie w czasie bezkrólewia. Czas nagił, położenie stawało się z każdym dniem trudniejszym, zwłaszcza, że wtedy komisarze carscy zawarli byli pokój ze Szwecją; zdecydowano przytem, aby iść prosto do stolicy, rozrzucić między ludnością listy, wyjaśniające dobitnie życzliwe zamiary królewicza. W listach tych Władysław przypominał elekcję, dokonaną w r. 1610, i oświadczał, że, pobłogosławiony przez ojca swego, idzie na odebranie tronu. „A doszły nas wieści, iż doradcy Michała, który, złożywszy nam przysięgę i będąc poddanym naszym, dziś nazywa siebie Hospodarem, zataiwszy przed wami te listy nasze, wymyślają nam i wam w głowy kładą, jakobyśmy przyszli dla zniszczenia waszej greckiej wiary, aby rozdać ojcowizny i majątki wasze Polakom i Litwinom, oraz aby uciskać lud wasz, czegośmy nigdy w myśli nie mieli i mieć nie będziemy.“ Dalszy ciąg odezwy był parafrazą tej deklaracji, mającej na celu zjednanie sobie umysłów ludności i, co za tem idzie, wywołanie demonstracji w tym duchu.

Zygmunt III dodawał z Warszawy listownie zachęty J. K. Chodkiewiczowi i otoczeniu swego syna. Widocznie sam najlepiej odczuwał trudności, z jakimi przyszło walczyć w tak stanowczej chwili. „Wdzięczni wam jesteście (pisze on), że w takim niedostatku wszystkich rzeczy, do tegoście żołnierza przywiedli, że dał się w dalszą służbę pociągnąć i ku stolicy postąpił. Zdarz, Panie Boże, aby szczęśliwie, za męstwem ich i dzielnością, lub przez poddanie się stolicy, lub przez traktaty, koniec się mógł uczynić tej wyprawy. Wprawdzie w takiej małości wojska, której przyczyną jest odbiegnięcie niektórych rot, wątpliwem jest, aby się stolica miała na pierwsze przyjście nasze, jak to więźniowie i przedawczykowie utrzymują, poddać. Pewniśmy jednak, że z taką ostrożnością postępować będziecie, aby całość i *dignitas* Rzpltej nienaruszoną była i t. d.“ Możemy zaręczyć, iż komisarzom nie zbywało na dobrych chęciach, kwestya zrzeczenia się pretensyi przez królewicza była ostatecznie zeleźną od ceny, jakaby za nie ofiarowano; ale zapomnieć nie można, iż bierny opór, zyskiwanie na czasie, leżały w metodzie przeciwników, a wobec wyłuszczonych powyżej trudności, nie łatwo było wypłatać się z trudnego położenia, t. j. osiągnąć korzystny pokój. Była wreszcie jeszcze nadzieja, iż z nadejściem Kozaków, przywołanych na pomoc, położenie zmieni się na lepsze. Wi-

doczną jest myśl przewodnia kampanii tej—stworzenia sytuacji, podobnej do położenia za drugiego Samozwańca w latach 1609 i 1610.

Otrzymałszy wiadomość z Możajsk o pochodzie Chodkiewicza i Władysława pod mury stolicy i o zbliżaniu się Kozaków, car Michaił Fiedorowicz zwołał w połowie września sobór i oznajmił uroczystie, iż postanowił walczyć w obronie wiary przeciw nieprzyjacielowi, zamknąć się w stolicy, bronić jej przeciw polskim i litewskim ludziom, wyraził zarazem nadzieję, iż wszyscy mężnie oblężenie wytrzymają i nie dadzą się skusić złudnym obietnicom królewicza, ani też namowom moskiewskiego otoczenia Władysława, torującego mu drogę do Kremla. Wracła się więc sytuacja, którą znamy z r. 1610, t. j. z czasów panowania Wasyla Szujskiego i podstąpienia Żółkiewskiego, tylko że Szujski był niepopularnym i że tym razem nie było drugiego Samozwańca. Wszyscy więc na soborze postanowili bronić się do ostatka. Obrona przybierała, jak zwykle w podobnych razach, cechę walki religijnej.

Podobieństwo sytuacji było o tyle blizkiem, że Zygmunt III przywołał był na pomoc Kozaków, wprowadził tym razem bez Samozwańca. Z drugiej strony miasta nadciągał hetman nadnieprańskich Kozaków, Konaszewicz Sahajdaczny, z dwudziestoma tysiącami konnicy, znacząc swój pochód szeregiem zniszczeń i łupiestw. Ani Dymitr Pożarski, ani Grzegorz Wołkoński nie potrafili wstrzymać pochodu atamana, przyszło nawet do tego, że Kozacy moskiewskich wojewodów zbuntowali się i rozsypali koło Kołomy i we Włodzimierskim powiecie, pustosząc i rabując.

Dwudziestego siódmego września (n. s.) wojsko Chodkiewicza i królewicza stało w Zwienigrodzie pod Tuszyńem, Konaszewicz Sahajdaczny w siole Bronicach w Kołomeńskim powiecie, a w kilka dni później w Tuszyńie, przypominającym czasy, kiedy przed laty ośmiu siedział w nim Samozwaniec II. Tutaj Sahajdaczny połączył się z wojskiem Władysława.

Pod tą groźbą zaczepki z dwóch stron, przedsiębrane były dalsze próby doprowadzenia do układu. Władysław demonstracyjnie żądał uznania swej carskiej godności, bojarowie w odnośnych pismach zamazywali dziegiem tytuł „wybranego cara moskiewskiego,“ odsyłali listy, przeciągali sprawę, oczekując po-za murami stolicy zwykłych sojuszników—głodu i chłodu. Nie pozostało więc nic innego Chodkiewiczowi i Władysławowi, jak przypuścić szturm do Moskwy. Atak w nocy z 10 na 11 października (n. s.) nie udał się, stolica była na niego przygotowaną, brak jednolitego dowództwa i karności w obozie królewicza sprawił, iż tajemnice wojenne nie były należycie zachowane. Zginął także wtedy partyzant Czapliński przy zdobywaniu ufortyfikowanej siergiejewsko-troickiej Ławry niedaleko Moskwy.

Układy rozpoczęły się nanowo. Ze strony moskiewskiej naznaczeni byli: Fiedor Iwanowicz Szeremetiew, kn, Daniło Iwanowicz Mezecki, okoliczny Artemij Izmailow, oraz dwóch djaków: Bołotnikow i Sumow; z Polaków: ksiądz Adam Nowodworski, biskup kamieniecki, Konstanty Plichta, kasztelan sochaczewski, Lew Sapieha i Jakób Potocki. Miano zjechać się nad rzeką Prześną. Jak poprzednio, tak i teraz znowu, okazało się, ile było trudności, zanim-by doszło do porozumienia, gdy obie strony równie zacięcie przy pretensjach swoich obstawały; Polacy upierali się przy pretensjach królewicza, o czym znowu druga strona słyszeć nawet nie chciała. Już powiedzieliśmy, że w gruncie rzeczy podnoszenie praw do carskiego berła posłużyć miało do wytargowania lepszych warunków pokoju. Skoro-by polscy panowie (jak się tego spodziewać należało) domagali się odszkodowania za zrzeczenie się tych praw, posłowie carscy, w przewidywaniu żądań pieniężnych, mieli wyliczyć straty, poniesione przez państwo podczas kampanii r. 1610/11. „Jakie straty wyrządzone zostały przez waszego monarchę, przez polskich i litewskich ludzi w Moskwie, tego zestawieć nawet w rachunku nie możemy. Jak się okazało z zapisków i z tego, co zeznał Fedko Andronow, że do króla (pod Smoleńsk) odesłano wiele wzorzystych tkanin, z tego, co za listami królewskimi wydano na rycerstwo, komisarzy, Niemców, pułkowników, rotmistrzów i wojsko Sapiehy (Jana Piotra), według umowy z hetmanem Żółkiewskim, na komisarzy, Niemców, Sapiehę, posłów litewskich i polskich, na wydatki przykazałów, oraz Aleksandrowi Gosiewskiemu na dwory, ruskim ludziom, puszczarzom, strzelcom moskiewskim na waszej służbie, w złocie, srebrze i innych rzeczach, wynosi 912,113 rubli, 27 altynów i złotemi polskimi: 340,370 zł. i 13 groszy.“ Rzeczywiście rachunki z czasów obsadzenia Kremla przez Żółkiewskiego i Gosiewskiego (dowolnie zresztą zestawiane i przesadzone) były teraz niewyczerpaną kopalnią żądań i pretensyi, utrudniających wszelką zgodę. Rozpoczęły się więc na nowo targi dyplomatyczne, z powtarzaniem, aż do znudzenia, tych samych zarzutów dyskusyi, z narzucaniem i odpieraniem kandydatury młodego Wazy, a tymczasem i mrozy się zbliżyły. J. K. Chodkiewicz i Władysław zwinęli obóz i ruszyli z Tuszyna po drodze perejaśławskiej, skutkiem czego nowy zjazd pełnomocników w początkach listopada odbył się już nie nad Prześną, ale koło drogi, wiodącej do siergiejewsko-troickiej Ławry, gdzie również do zgody nie przyszło. Jednakowoż dla dalszych umów wysłani zostali na żądanie tamtej strony: Krzysztof Sapieha i Jan Hrydycz. Teraz dopiero stanęła umowa przedwstępna; Polacy oddali kwestyę doręczenia berła carskiego królewiczowi „na Sąd Boży,“ t. j. że ją zostawiali w zawieszeniu, nie zrzekając się jej formalnie. Tym sposobom nie przyszło też do zawarcia stałego

pokoju, ale tylko chwilowego, lubo dłuższego rozejmu, co także leżało w tradycji wzajemnych stosunków obu państw. Układ, t. zw. przy mierza (rozejmu) miał być zawartym między państwami, a nie między monarchami, aby obejść kwestię praw królewicza; Rzpltej przyznane zostały znaczne zdobycze w ziemiach, zajętych za pierwszej kampanii Zygmunta III, a potem chwilowo, z wyjątkiem Smoleńska, odebranych, a więc: Smoleńsk, Biała, Dorohobuż, Czernihowszczyzna, Siewierszczyzna, Newel, Siebież, Krasne, Wieliż i t. d. Ta umowa stała się też podstawą ostatecznej ugody przy współudziale obustronnych komisarzy; po jej spisaniu i posłaniu przez gońca Połtiewa do obozu polskiego, panowie polscy stanęli kwaterą we wsi Swatkowie, moskiewscy natomiast obrali sobie siedlisko w znanej siergiejewsko-troickiej Ławrze, niedaleko od tej wsi. Jako punkt zborny dla nowych zjazdów, upatrzoną została leżąca pośrodku wieś *Deulin* v. Dywilin, należąca do troickiego monasteru. Po kilku zjazdach i takich samych sporach, stanęła wreszcie pokojowa ugoda, a raczej tylko rozejm na czas od 3 stycznia 1619 (n. s.) do 3 lipca (n. s.) 1633 r. Królewicz stał wtedy w Rohaczewie o dwanaście wiorst od Ławry.

Rozumie się samo przez się, iż tak łatwo do ostatecznej zgody nie przyszło. Ks. Nowodworski, Leon Sapieha i A. Gosiewski zaznaczyli przedewszystkiem, iż w traktacie, ułożonym z Krzysztofem Sapiehą i Hrydiczem, siewierskie miasto Briańsk zamienione zostało na Popową Górę, że granic Wieliża dokładnie nie opisano, na co goniec, wysłany przez Szeremetiewa i Mezeckiego odparł, iż za Briańsk oddali: Wieliską wołość, Sierpiejsk, przedmieście pskowskie, Krasne, a na Siewierszczyźnie Popową Górę. Atoli pokazało się, dzięki dokładniejszej znajomości kraju u Gosiewskiego, że pskowskie przedmieście zupełnie było spalone, tak, że śladów nawet nie zostało. Piątego więc grudnia odbyło się pierwsze spotkanie obustronnych komisarzy w Deulinie, na drodze o trzy wiorsty od tak zwanej *Trójcy*, a o niecałą milę od Swatkowa. Polskim komisarzom, a zwłaszcza Gosiewskiemu, zdawało się, że K. Sapieha i Hrydicz nadto ustępstw poczynili. Gosiewski szczerze, czy nieszczerze uniósł się. „Nie daj Bóg nigdy bywać u was w Moskwie litewskim posłom i wysłannikom! Dobrze z wami zjeżdżać się w polu, tutaj nam nie rozkazujecie, gdyż wszyscy równi jesteśmy, a w Moskwie posłom układy prowadzić—nieszczęście! wszystko wymusicie gwałtem. Ja byłem u was przy carze Wasylu (Szujskim) i ledwie z całą głową wyjechałem; a wiele punktów, mimo oporu, car na mnie wymógł, których nie miałem przyjmować. Przedtem jeszcze car Borys (Godunow) na kanclerzu, Lwie Sapiesze, wymógł siłą pokój na lat 20 i w podobnie teraz na wysłannikach naszych wymogliście gwałtem to,

co im nie było dozwolonem, my-byśmy z wami na tyle lat rozejmu nie zawierali!“ Oczywiście, odpowiedź brzmiała: „W Moskwie wszystkim posłom okazują cześć, nigdy u żadnych posłów nie przemocą nie przeprowadzano, mówicie to tylko, aby pokryć swe nieprawdy, bo nigdy przysięgi nie dotrzymujecie i przysięgę łamiecie!“ Ale i Lew Sapieha podzielał przekonania kolegi swego, referendarza litewskiego, wspominał z żalem i wyrzutami poselstwo swoje do Godunowa przed laty osmnastu, znalazł nawet dla przeciwej strony bardzo cierpkie wyrazy, których i wysłuchać było trudno. Koniec końcem jednak, posłowie carscy przyjęli z rąk polskich komisarzy zeszyt, z pewnemi poprawkami w akcie ugody. A takie poprawki wywoływały czasem wielkie burze. I tak, do tytułu królewskiego dodano w nagłówku *czernihowski*, na potwierdzenie posiadania tego kawałka kraju. Teraz moskiewscy żądali i położyli między punktami warunki, aby Polacy wydali: znanego adherenta Wazów, zdrajcę kn. Jurja Trubeckiego z żoną i dziećmi, Soltykowów, i wypuścili bojaryna kn. Iwana Iwanowicza Szujskiego, brata byłego cara, Wasyla Szujskiego, mieszkającego poprzednio w zamku gostyńskim, arcybiskupa smoleńskiego Sergiusza, wziętego w Smoleńsku w r. 1611 i także przebywającego na Litwie, Szeina, oraz wszystkich ludzi moskiewskich, otaczających królewicza, internowanych, czy zamieszkujących na emigracyi w Litwie. Szeremetiew miał się jeszcze skomunikować z kn. Iwanem Szujskim, aby się dowodnie przekonać, o ile dochodzące wiadomości o niechęci jego do powrotu w granice ojczyzny swojej prawdziwemi były. Otóż pp. polscy dołożyli przy tym punkcie zastrzeżenie w tych słowach: jeśli zechcą wrócić. Następnie w projekcie moskiewskim powiedzianem było o Michajle Fiedorowiczu, stosownie do położonych przez pp. polskich zastrzeżeń: „którego u siebie wielkim carem moskiewskim mają“ — a tymczasem w tekście polskim okazało się napisanem: „którego u siebie teraz carem moskiewskim tytułują“ — subtelności, których pilnie należało przestrzegać, aby uniknąć na przyszłość podstępnych interpretacyi tego rodzaju zwrotów stylistycznych. Zresztą panowie polscy obiecali sprostować rzeczony wyrażenie, stosownie do żądania adwersarzy swoich. Pomimo większej bądź-co-bądź skłonności do podpisania rozejmu, zdawało się jeszcze, że po dwóch latach przetargów i układów sprawa tak rychło się nie zakończy, bo na następnych kongresach wszystkie kłótnie odżyły *ab ovo*. Sapieha i Gosiewski grozili chorągwiami Krzysztofa Radziwiłła, mającemi być ściągniętymi z Infant.

W istocie w tymże czasie (18 listopada) Rzplta zawarła z Gustawem Adolfem nowy dwuletni rozejm, dający jej większą swobodę od granicy wschodniej. Stąd i wymagania polskich panów stały się tward-

szemi, opór drugiej strony większym, obecnie, królewskim komisarzom to i owo się nie podoba. I tak np. nie ręczyli, że Zaporozcy i Lisowczyki posłuchają ich rozkazu i opuszczą granice państwa z chwilą podpisania traktatu, a tego druga strona kategorycznie żądała; wreszcie zgodzili się na warunek, o ile dotyczył Lisowczyków b. pułku Czaplińskiego, ale nie Zaporozców.

Nie co innego więc, tylko dojście do skutku rozejmu ze Szwecją wpłynęło na usposobienie dumy carskiej, bo ona kierowała krokami swoich delegatów. Przyczyniły się może także wiadomości o zniszczeniach; dokonanych przez Sahajdacznego, po jego odejściu z pod murów stolicy, i zwiększającym się od tej strony groźnem niebezpieczeństwem.

Przy ostatecznem omówieniu pojedynczych paragrafów (w d. 10 grudnia 1618) nie obyło się także bez scysyi. Chodziło teraz o termin wymiany jeńców, oddania grodów i na to z powodu wzajemnej nieufności nie odrazu się zgodzono. Wreszcie odezwali się Polacy: „Dla chrześcijańskiego i waszego pokoju, na wielkich posłów prośby, widząc waszą chęć dobrej sprawy, ustępujemy w tem, aby w akcie pokojowym w jednym terminie oznaczyć wypuszczenie metropolity Filareta Nikiticza, kn. Wasyla Wasylewicza Golicyna z towarzyszami, dopełnić wymiany jeńców i oddania miast, w d. 15-go lutego według waszego kalendarza, a 25-go według naszego rzymskiego kalendarza.“ (Różnica w obliczaniu czasu była naówczas o dni dziesięć).

Stała jednak ostatecznie zgoda. Wszyscy byli z niej zadowoleni, oprócz Gosiewskiego, starosty wieliskiego, który, z powodu obciążenia starostwa przy określaniu nowej granicy, łzy ronił i odzywał się: „Ja przy przysiędze mówię, tylko nie przeprowadzać prostych granic między Wielizem i Toropcem, bo ja swoich granic zawsze bronić będę, ja je wysłużyłem u króla krwią swoją!“ Powiedziawszy to, starosta położył pod krzyż, na który przysięgano, notatkę o tych granicach, ale moskiewscy posłowie, spostrzegłszy ten charakterystyczny na owe czasy manewr, zrzucili papier z tacy i zawołali: „To nie zgadza się z waszą poselską sprawą!“ Wreszcie Gosiewski dał się nakłonić, pocałował krzyż, przysięgł i jeszcze kilka łez uronił. Od tej chwili zapanała nawet pewna serdeczność między obustronnymi komisarzami.

Sama redakcja aktu rozejmu w nieco chaotycznej formie swojej świadczyła o pewnych ustępstwach w kwestyi praw królewicza Władysława, o zmianie nieprzejednanego stanowiska *ex re* swego carskiego tytułu, albowiem powiedzianem było we wstępie: „Z Bożej łaski, wielkiego monarchy, cara, w. kniazia Michała Fiedorowicza, wszech Rusi

samodzierzcy i t. d. (tytuły), J. Carskiego Wieliczestwa, bojarów J. C. W-wa, dumnych ludzi całego rossiejskiego carstwa, Wielkich Gospodarstw wielcy posłowie (nazwiska carskich komisarzy) mówili z wielkimi posłami (nazwiska polskich komisarzy), stanowczo odmówili, że królewicz Władysław teraz i na przyszłość być nie może (t. j. na carskim tronie), a panowie Rada, wielcy posłowie, sprawę tę na Sąd Boży zdali, postanowili pomiędzy wielkim Władzcą naszym, wielkich Państw rossyjskich, i pomiędzy państwami Koroną Polską i W. Ks. Litewskim, pokój na lat 14 miesięcy 6. My, wielkiego Cara bojarowie, podług carskiego rozkazu i całego rossiejskiego państwa wszelkich stopni ludzi, ustąpiliśmy grody (następuje wyliczenie miast). Oddać te miasta ze wszystką armatą, i zapasami przy nich, i mieszczanami, i z powiatowymi i rolnymi włościanami, oprócz przejezdnych i kupczących ludzi, a przejezdnym i kupcom zostawić do woli, na którą stronę chcą przejść; duchowieństwo zaś, wojewodowie, przykaźni ludzie i urzędnicy, puszczeni będą do moskiewskiego państwa z całym swym majątkiem.“

Ponieważ w bliskości, a mianowicie w obozie Władysława, przebywali podczas całej wyprawy książ Iwan Szujski i b. diak Wasyl Janow, przeto posłał do nich zapytać Szeremetiew, azali nie zechcą wracać do Moskwy, gdzie się mogą udać bez wszelkiej obawy. Widocznie jednak Szujski, ostatni z trzech braci, oraz Janow, przywiązali się do osoby królewicza, gdyż odpowiedzieli: „Myśmy moskiewskiego państwa nie zdrajcy, do Polski i Litwy z Moskwy nie uciekaliśmy. Mnie, książ Iwana, z braćmi wydano i ja sam wiem, że mnie wydali nie wszyscy ludzie moskiewskiego państwa, bo wielu o tem nawet nie wiedziało. Wyrokiem Bożym bracia moi pomarli, a mnie, zamiast śmierci, Najjaśniejszy Król życie darował, kazał mi służyć synowi swemu Wielkiemu Carowi i Książowi Władysławowi i ja na to temuż przysięgałem. Gdyby mnie nie tylko wielcy komisarze pozwolili jechać, ale nawet gdyby sam król pozwolił, ja-bym nie pojechał, gdyż przysięgłem nie królowi, ale jego synowi!“ Wasyl Janow znowu rzekł: „Posłali mnie do króla wszyscy bojarowie z posłami: kn. Jurjem Nikiticzem Trubeckim i Michajłem Glebowiczem Sołtykowem, aby zaprosić na moskiewskie państwo syna jego i ja jemu przysięgałem!“ — a Szujski dodał jeszcze: „Jeżeli już bracia nasi bojarowie, obdarowując nas, przysyłają, abyśmy wracali do Moskwy, to powinni oni posłać do naszego władcy królewicza Władysława, aby zwolnił z przysięgi, a jeśli nas zwolni, wrócimy do Moskwy.“ Jak widać, wyżej wspomniani czuli się związanymi złożoną raz przysięgą, nawet po-za układem hetmańskim i, jak u Janowa, własną misją, dokonaną w październiku 1611 roku.

Wprawdzie osobny paragraf układu zastrzegał powrót kn. Jurja Trubeckiego, Sołtykówów, oraz reszty emigrantów, ale z dodaniem wyraźnego zastrzeżenia: „jeżeli wrócić zechcą.“

A zatem pokojem „doczesnym“ (rozejmem) na czas od 3 stycznia (n. s.) 1619 r. do 3 lipca (n. s.) 1633 r., Rzeczpospolita otrzymała Smoleńsk, Białą, Dorohobuż, Rosław, Monasterskie Horodyszcze, Czernihów, Starodub, Popową Górę, Nowogródek Siewierski, Poczep, Trubczewsk, Sierpiejsk, Newel, Siebież i Krasne z powiatami, oraz Wielką Wołost' z przynależną do niej okolicą. Natomiast zwrócone były Moskwie: Wiaźma, Kozielsk, Meszczersk, Możajsk i Borysowo. Celem rozstrzygnięcia nieuniknionych sporów granicznych, winni byli zjechać z każdej strony czterej sędziowie, w miesiącach lipcu i sierpniu 1619 roku, między Toropcem a Wielizem, Wielkimi Łukami a Uświatem.

Kupcy polscy otrzymali pozwolenie handlowania w całym państwie, z wyjątkiem samej stolicy, Moskwy. Cudowny obraz św. Mikołaja, zabrany (zdaje się w roku 1610) z Możajska, metropolita Filaret, książę Wasyl Wasylewicz Golicyn, Szeinowie, djak Tomiło Ługowski, Boriatyński i wogóle wszyscy współtowarzysze ich niewoli, razem około 30 osób, mieli być zwolnieni i odprowadzeni do granicy w dniu 15 (25) lutego 1619 roku, a jednocześnie wrócić mieli do Polski: Mikołaj Struś, Budziłło, Strawiński, Charliński, Kalinowski i t. d., pochwyceni jak wiadomo, przy wzięciu Kremla.

Królewicz Władysław zachowywał wprawdzie nadal prawa swoje do tronu carów, gdyż nie zrzekał się ich formalnie, ale nie miał ich dochodzić przez przeciąg czasu, określony tymże rozejmem. Pretensye jego wchodziły jednak w okres chwiejności, cofały się przed uznaniami pośrednio prawami cara Michajła Fiedorowicza.

Wojska J. K. Chodkiewicza i Sahajdacznego winny były opuścić granice Moskwy. Inne artykuły określały bliżej sposób wykonania rozejmu Deulińskiego, czyli Dywilińskiego.

W taki sposób zakończoną została 14¹/₂-letniem zawieszeniem broni dziesięcioletnia wojna. Co prawda, wykonanie traktatu nie obyło się znowu bez trudności, sporów i bójek przy rozgraniczaniu, wskutek dowolnego nieraz tłómaczenia osnowy traktatu. Także i wymiana jeńców w oznaczonym terminie nie nastąpiła, bo aż dopiero w czerwcu.

Rozejm, w Deulinie zawarty, był tylko dłuższą przerwą w wojennej polityce następców Iwana Groźnego. Nie inaczej też zapatrywał się na tę sprawę Zygmunt III, kiedy w dniu 20 grudnia 1618 roku pisał z Warszawy do komisarzy swoich do Swatkowa: „Wielkie w nas podejrzenie budzi, że nie chcieli uczynić z Rzplłą pokoju wiecznego,

a potem, że się Kozielska i Wiaźmy upominają tak mocno. Chcą bezwątżenia, niedługo ukrzepiwszy siły swoje, o co w takim, *jakie tam jest, postuszeństwie*, nie trudno, i pozbywszy się naszych wojsk, zwrócić się przeciw naszemu państwu i odebrać wszystko to, co teraz oddali.“

Traktat złagodził chwilowo położenie; praw Władysława IV, czy też jego pretensyi, nie skasował, jakby to było przy zawarciu stałego pokoju. Zrzeczenie się formalne nastąpiło przy zawarciu pokoju nad Polanówką w czerwcu 1634 roku.

A. DAROWSKI.

KRONIKA PARYSKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

W zeszłej kronice naszej rzuciliśmy pobieżnie okiem na wielką publikację tegoroczną, p. t. „Wiek dziewiętnasty”, wydaną u Firmin’a Didot’a, z tekstem J. Grand-Cartenet’a. Wspaniałe to dzieło zasługuje na bliższy pogląd. Autor nie wychodzi prawie po-za obręb Paryża, jako głównego ogniska inteligencji. Trzymając się w tych ramach, ukazuje wszystkie przemiany, jakich kończący się wiek dokonał, tak w zewnętrznej postaci miasta, jak w rozwoju naukowym, literackim i artystycznym, w charakterze i zwyczajach mieszczańców, których liczba pięćkroć się powiększyła. Każdy rozdział pokazuje inny objaw dokonanej ewolucyi. Niepodobna nam iść w ślad za autorem; wybieramy więc ustęp najżywiej nas obchodzący, jako odpowiedni ramom naszym, rozwoju literatury od początku do końca wieku: przytaczamy ogólny jego zarys.

Niegdyś, mówi autor, była literatura francuska, istniał smak francuski; niegdyś literatura była kapłaństwem, smak przywilejem wyższych warstw społecznych. Dziewiętnasty wiek zmienił to wszystko; z pola klasycznego przerzucił się na romantyzm, od idealizmu przeszedł do naturalizmu: to upodobał sobie fikcye fantastyczne, to znów zapragnął dokumentów; niedawno malował wytworne społeczeństwo,—dziś, pod pozorem zamięłowania prawdy, szuka rzeczy niskich i pospolitych. Marzyciel z Chateaubriand’em, zamienił się w materyalistę z Emilem Zolą.

W Wolterze i J. J. Rousseau widzi autor dwa niejako mity wieku dziewiętnastego: pierwszy wyobraża sceptycyzm i zimny rozum, drugi—romantyzm i przyrodę. Zdaniem autora, Wiktor Hugo, który zachwycał trzy pokolenia, nie wywarł na wiek swój tak potężnego wpływu. Wszystkie warstwy społeczne karmiły się nim, poeci naśladowali go, a przecież nie zapanował on w świecie literackim. Z Wolterem cały wiek sztydzi, z J. J. Rousseau marzy o filantropii, ściga ideał równości; Wiktor Hugo nie wycisnął piętna swego na wieku dziewiętnastym.

Powodem tego, zdaniem autora, przeistoczenie pojęć społecznych. Idea przestała panować, literatura i sztuka stały się dziś rzemiosłem, zabawą dyletantów, ale nie znamieniem geniuszu narodowego. Siła nowoczesna spoczywa w wynalazkach naukowych, w sztuce zastosowanej do przemysłu, utylitarnej. Tak samo jak warstwy społeczne, jak obyczaje, jak idee, również język i literatura francuska uległy wpływom demokratycznym przeistoczonego świata.

Język pozostał w akademii, w słownikach, a przecież zachwiane dziś jego reguły, dozwolone wybryki, fantazyja rządzi wszystkim. Niegdyś były wyrażenia szlachetne i gminne, była sztuka pisania, tradycja wzbraniała grubiańskich wyrażen; dziś względy te zupełnie usunięte, pisarz bez zarumienienia gotów nazywać rzeczy po imieniu, powieści dzisiejsze pełne wyrazów technicznych, jaskrawych obrazów, naukowych wyjaśnień. Dawny język, żywy, barwisty, muzykalny, naznaczony cechą osobistą, wdzięczny dla ucha, poszedł dziś za ogólnym popędem: język dziewiętnastego wieku to zbiegowisko wszystkich narzeczy i gwar ludowych, to negacya wszelkich klasycznych reguł, powrót do fantazyi, do rozmaitości, do starodawnych wyrażen francuskich. Niema już stylu, wszystkie style przyjęte; jednolity język zastąpiły różne języki, nasza uczona epoka woli spożytkować nabytki przeszłości, niż tworzyć samodzielnie.

Dawniej poezya miała przedmiotowy charakter: kreślono wierszem opowieści, opisy, rymowano wesoło. W wieku obecnym wystąpiła szkoła podnosząca osobiste *ja*, bardzo charakterystyczna, bo wszystkie te skargi, te porywy, te głośne utyskiwania, świadczą o tęsknocie za pokrzywdzonym ideałem, o dążeniu ku nieskończoności ducha przyrosłego do ziemi. Ale pomiędzy *ja* Chateaubriand'a, Lamartine'a, Wiktora Hugo, Alfreda Musset'a, a *ja* młodych „dekadentów” 1892 roku, zachodzi ogromna różnica, takąż sama, jaka oddziela dusze, uniesione wzniosłym popędem, od budystowskich mrzonek skarłowaciałych samolubów, którzy, unikając dróg ubitych, tworzą jakieś chińskie łami-główki.

Niegdyś proza była dla myślicieli środkiem do udzielania tłumom swych uczuć, swych idei, co nie przeszkadzało im, jak Chateaubriandowi, pisać niekiedy stylem czarodziejskim; ale myśl panowała zawsze nad formą. Dziś forma stała się wyrafinowaną sztuką; niema już myślicieli, ale są rzeźbiarze, są szlifierze frazesów, malarze obrazów literackich. Dawniej mówiono o dziele, że dobrze lub źle obmyślane; dziś nikt nie szuka tak daleko, mówią po prostu: „to dobrze lub źle napisane.”

Styl w dziewiętnastym wieku najrozmaitsze odbył przemiany: harmonijny był i muzykalny w poezjach Lamartine'a; malowniczy i błyszczący w utworach Wiktora Hugo; żywy i rzutki w opowieściach ojca Dumasa; tkliwy i namiętny w romansach Georges Sand'a; jaskrawy jak dyament w utworach Teofila Gauthier i Merimégo; pełen niespodzianek, ale wyszukany do przesady, w poezjach parnasistów. Po języku jasnym, dźwięcznym i obrazowym, nastąpił dziś język niezrozumiały, grubą przyćmioną chmurą.

Wiek nasz, ciągnie autor, śpiewał to wesoło. to smutno naprzemiany. Bez goryczy Beranger opiewał Lizetkę, improwizował godowe zwrotki przy toaście, wesoło popularyzował wspomnienia chwały narodowej z czasów republiki i cesarstwa, wesoło śpiewał dziecku nad kołyską przez usta weterana wielkiej armii i błyskał mu przed oczy trójkolorowym sztandarem, wesoło przypominał ludowi pamięć tego cesarza, któremu papież włożył na czoło koronę. Na inną całkiem nutę Augustyn Barbier chłoszcze jambami Korsykanina z płaskim włosom, i to w czasach panującej legendy Napoleońskiej.

W początkach wieku zachwycały ogół elegie i sielanki pani Desbordes Valmore; w końcu wieku przypadły mu do myśli rymowane kroniki Franciszka Coppée'go: sceny domowe, istne obrazki szkoły hollenderskiej; dziś przyszła kolej na kosmograficzne poemata, utwory marzycieli z okiem zgąsztem i mózgiem zamąconym!

Po upadku pierwszego cesarstwa nastąpiła w literaturze epoka pamiętników przez lat piętnaście: kto mógł utrzymać w ręku pióro, opisywał przygody swoje, mniej lub więcej prawdziwe, z całą naiwnością budował sobie pomnik. Z końcem wieku, po długich wstrząśnieniach politycznych, popęd do pamiętników rozpowszechnia się znowu; ale prostoduszną naiwność dawnych zastąpiła dziś pycha i próżność nowych autobiografów: dawniejsi opowiadali, dzisiejsi przybrali ton kaznodziejski.

Kolejno autor przechodzi do powieści, która tak wszechwładnie zapanowała w literaturze dziewiętnastego wieku. „Czy to porwana wspomnieniem przeszłości — mówi on, — czy podniecona prądem namiętnych walk chwili obecnej, czy chciwa obrazów, odtworzonych z życia

z fotograficzną ścisłością, literatura nowoczesna znalazła w powieści najżywotniejszy swój wyraz. Wiktor Hugo w „Notre Dame de Paris” (1831 roku) idzie za śladem Walterskotta, w „Nędznikach” (1862) występuje w obronie ofiar niesprawiedliwości społecznej; Lamartine „Rafaelem i Graziellą” (1849) porywa serca kobiet. Balzak w „Komedyi ludzkiej” maluje życie tak w Paryżu, jak na prowincyi: wyprowadza na widownię typowe postacie pyszałków, skąpców, lichwiarzy, spekulantów wszelkiego rodzaju; Georges Sand w obrazkach sielskich rozmyka na oścież chaty wieśniacze, z prostych serc wydobywa nowe źródła poezyi, ożywia stare podania i legendy, słowem: rzuca pierwszy posiew literatury ludowej. Aleksander Dumas w romansach awanturnicznych, jak „Monte-Christo”, „Balsamo”, „Muszkietierowie”, pełen życia, niewyczerpany w pomysłach, szuka w historii wątku do jaskrawych obrazów. Eugeniusz Sue, w „Tajemnicach Paryża” wydobywa ze śmietników paryskich odrzutki społeczne, dotąd nieznane światu. Paul de Cock galską werwą pobudza do śmiechu współczesnych. Juliusz Verne do naukowych hipotez przypina skrzydła fantazji: to wyprowadza bohaterów swoich na osmdziesięciodniową podróż wokoło kuli ziemskiej, to puszcza ich balonem po-nad skwarne pustynie Afryki, to popycha na dno oceanu, lub w podbiegunowe lodowiska, to zapędza na księżyc. Wśród tych rozmaitych kierunków powieści tworzy się nowy rodzaj: Flaubert, Feydeau, bracia Goncourt, świetni styliści, zakładają podwaliny szkoły realistycznej, której mistrzem staje się Emil Zola.

Autor bada przyczyny tego zwrotu; zapytuje: czemu wiek, tak wysoko spirytualistyczny w pierwszym okresie swoim, wpadł przy schyłku w tak gruby naturalizm. Jako jedną z przyczyn, stawia materializm naukowy, pochodzenia czysto germańskiego, rozwinięty z teoriami Darwina i Karola Vogta. Do wyrażenia zmateryalizowanej myśli wypadało odtworzyć język, nadać mu nowy koloryt, nowe dźwięki, zaprawić nieznaną dotąd wonią. Nie idzie tu już o frazesa, rzeźbione dla ozdoby stylu, przez prosty dyletantyzm, idzie raczej o wierne malowidło. Romans nie ma już na celu bawić czytelników, rzucając im przed oczy rzewne sceny lub dramata pełne namiętnych uniesień; terażniejszy romans, pod piórem Zoli, przemienił się w istną monografię wszelkich gałęzi życia współczesnego. Tu pokazuje nam halle, ów brzuch Paryża, tam kopalnie we wnętrzu ziemi, tu znów lokomotywę, potwór nowoczesny, i prąd życia, jaki z niej wybucha; dalej obroty giełdowe, po nich katastrofy wojenne. Każdy przedmiot wymaga innego języka, odmiennych typów ludzkich. Zola mnóstwem nagromadzonych dokumentów dał poznać świat dzisiejszy.

Stawia nakoniec autor ewolucję literacką wobec ewolucyi społecznej. Literatura przeszłych wieków, mówi on, miała wyłącznie cha-

rakter arystokratyczny. Zarówno jak teatr odrzucał podrzędne typy, tak i książka zostawiała na boku sceny z życia pospolitego. W głębi wszystkich sporów szkolnych dziewiętnastego wieku, w głośniejszej nawet walce klasyków z romantykami, spoczywa myśl zasadnicza. Nie idzie tu po prostu o wyrazy, ani o formę zewnętrzną; widoczne tu współczucie dla nędznych i upokorzonych, chęć zadowolenia niższych warstw, o których klasycy słyszeć nawet nie chcieli; stąd wypływają wszelkie nowe pomysły, wszelkie zmiany nowo zaprowadzone. Klasycyzm nie znał cieniowania: przyjmował tylko osobistości doskonałe, lub złe bezwarunkowo. Przeciwnie zaś, nowatorowie poczęli szukać sprzeczności, i w tychże samych jednostkach łączyli różne uczucia, zarówno złe, jak dobre. W głębi duszy najnędzniejszej ukazywali promyk Boży, w wielkich odkrywali nikczemność i zbrodnię. „Małuczcy będą podniesieni, wielcy upokorzeni”, to była ewangelia nowatorów, Wiktor Hugo stał się jej prorokiem. Tu wyprowadza królową hiszpańską, zakochaną w lokaju Ruy Blasie; tam w ręce trefnisia królewskiego, Trybuleta, składa losy króla i przyszłość kraju; tu znów potężnego cesarza Karola Piątego zamyka do szafy w Hernanim; tam zanurzoną w zbrodniach Lukrecję Borgia rozjaśnia promykiem miłości macierzyńskiej, okrutną Maryę Tudor uszlachetnia miłością czystą i bezinteresowną; w Janie Valgean ukazuje cnotliwego galernika!

Cała ta literatura, naznaczona wyraźnie dążnością socyalną, prowadzi dalej dzieło ogólnego przewrotu, rozpoczęte z końcem wieku przeszłego. Od roku 1840 dramat zwraca się do opozycji, romans do socyalizmu; pospólstwo coraz szersze zajmuje w nim miejsce. Eugeniusz Sue z zauków paryskich wywłóczy potworne a nieznane dotąd postacie. W r. 1848 teatr idzie w ślad za powieścią, czepia się zagadnień społecznych i politycznych, które wstrząsają umysłami. Potem literatura porusza nagle reformatorstwo, powraca do fikcyi lub do obrazów z życia, aż pod wpływem rozwoju naukowego tworzy powieść analityczną, dyssekcyjną: wprowadza w ramy swoje badania psychologiczne, patologiczne, zaprzecza wolnej woli, składa odpowiedzialność na fatalizm, na otoczenie.

Literaturę dziewiętnastego wieku dzieli autor na cztery okresy: sielankowy, humanitarny, ludowy, wreszcie naukowy. Cechą pierwszego czułościowość, drugiego—poczucie równości, trzeciego—dążność do podniesienia ludu, piątym ostatniego okresu—*neuroza*, pokazana jako jedyna pobudka działalności ludzkiej.

Zakończa autor charakterystykę literatury ubiegłego wieku znaczeniem wpływów zagranicznych, jakie na nią oddziaływały, poczynawszy od wpływów niemieckich Goethego i Szyllera, angielskich Szekspira, Byrona i Walter-Skota, kończąc na russkich Tołstoja

i Dostojewskiego. Literatura ta, zarówno kosmopolityczna, jak demokratyczna, szuka zewnętrznych wrażeń, usiłuje wzbogacić się napływem obcych idei, chlubi się internacjonalizmem, nieznanym w innych krajach.

Na tę literaturę, w początkach wieku, Goethe oddziaływał nie mniej jak Chateaubriand; w ostatnim jej okresie Edgar Poe wycisnął silne piętno. Świadczą o tem mistyczne mrzonki impresjonistów i dekadentów, jak Verlaine, Stefan Mallarmé i cała szkoła poetyczna nowatorów dzisiejszych.

Po przeglądzie literatury następuje przegląd dziennikarstwa: autor liczy je słusznie do sił żywotnych, wstrząsających dzisiejszem społeczeństwem. Pokazuje nagły rozwój tej siły od chwili, kiedy Emil Girardin w r. 1858 ogłosił manifest dziennika swego „Presse Universelle”, który miał być wszystkiem dla wszystkich, organem zarówno politycznym, jak ekonomicznym, handlowym, literackim, artystycznym i t. d. Odtąd datuje się zupełny przewrót w dziennikarstwie.

W miarę zyskanej żywotności, prasa utraciła dawną powagę. Niegdyś dziennik trzymał się stałych zasad, czy to w polityce, czy na polu sztuki i literatury. W świetnych rozprawach przemawiał stylem akademickim, w najzarliwszej polemice nie przekraczał nigdy granic przyzwoitości, unikał wszelkich reklam. „Konserwator” Chateaubriand’a, „Minerwa” Benjamina Constant, „Glob” Guizot’a, trzymały się stale tej metody. Dziennik był dawniej sztandarem, później stał się prostą spekulacją.

Dla przynęcenia abonentów, zaczęto drukować w odcinkach romanse pierwszych koryfeuszów literatury. „Presse” głosiła „Tajemnice Paryża” i „Żyda tułacza” Suego; „Siècle” wydawał „Muszkietierów”, „Monte-Christo” i długą seryę Dumasowskich powieści. Inne pisma, nie mogąc nastarczyć literackiego pokarmu, wpadały na coraz nowe pomysły. „Reforma społeczna” dostarczała wiernym swoim wiktuałów rozmaitego rodzaju. „Dobrobyt” zapewniał pensję dożywotnią po trzydziestu latach stałego abonamentu, a w razie śmierci pogrzeb bezpłatny i sto franków dla osieroconej rodziny. Nikt nie korzystał z tych obietnic. Pogrzebany „Dobrobyt” nie miał czasu grzebać swych czytelników.

Inne znów dzienniki urządzały loterye z przedmiotów artystycznych; niektóre przypuszczały abonentów do spekulacji finansowych, obiecywały im grunta w Kalifornii lub w Algierze. Spekulacye te z biegiem czasu zmieniały swój charakter. Żaden dziennik nie rozdawał akcyi na Panamę, w inny przecież sposób, jak wiadomo, prasa korzystała z przedsięwzięcia, pobudzając chciwość łatwowiernych.

Autor pokazuje stopniową ewolucję prasy, przychodzi wreszcie do *reporterów* i *interviewerów* dzisiejszych, których nazwa sama świadczy o zamorskim rodowodzie. *Reporter*, angielskiego pochodzenia, zbiera na miejscu wiadomości: zapisuje wszystko, co słyszy i co widzi, w izbie prawodawczej, na ulicy, za kulisami teatru i t. p. *Interviewer*, syn Yankesa amerykańskiego, poszedł o wiele dalej: ruchliwy, natrętny, sprytny, wciska się zuchwale we wszystkie progi, zdziera zasłony z prywatnego życia, leci jak ćma za ładą światelkiem, chwyta za słowa ludzi głębokiej nauki, literatów, artystów, przemysłowców; bada głośnych zbrodniarzy. Dzięki tym *interviewerom*, podrzędne dzienniki stały się dziś stekiem plotek i wierutnych bajek, przeciw którym wyprowadzone na widownię osoby nie śmieją nawet protestować, zbywając je pogardliwie milczeniem.

Słowem, jeśli dziennikarstwo stało się, jak mówi autor, potężną siłą, to nie zawsze działa w dodatni sposób; w niem, jak w zwierciadle, odbija się dzisiejsze społeczeństwo, zgorączkowane, chciwe zysku i używania, chwiejne, pozbawione tradycyjnej podstawy, którą lekko-myślnie odrzuca.

Napoleon, tak samo jak w przedświcie wieku dziewiętnastego zapanował był nad Francją, tak znów u zmierzchu stulecia zapanował we francuskiej literaturze. Ledwie że się ukazało obszerne dzieło o matce cesarskiej, a oto nowa publikacja, ogłoszona pod firmą Plon, zajmuje powszechną uwagę. Mówimy tu o wydanej świeżo pracy Artura Levy pod tytułem „Napoleon Intime.” Dzieło odznacza się tem właśnie od tysiąca dotąd wydanych, że nie jest ani apoteozą, ani legendą, ani wybuchem nienawiści, ale ściśle krytycznym poglądem na życie człowieka, który w dziejach narodu swego niezatarte wycisnął piętno. Co ważniejsza jeszcze, nowa księga nie wyszła z pod pióra literata: pisał ją przemysłowiec, przywykły patrzeć na rzeczy ze stanowiska praktycznego i mierzyć je nie według konwencyonalnej, lecz według własnej miary. Powiedzmy nasamprzód słówko o autorze.

Artur Levy spędził połowę życia, oddany wyłącznie pracy przemysłowej, dorobił się znacznych dóbr; na wypoczynek po długoletnich trudach wziął się do książek i odrazu w nich zasmakował. Przed dwunastu laty przeczytał pamiętniki pani de Remusat; niezadowolony z nich, powziął myśl przeciwstawienia im tego, co inni napisali. Począł wtedy po jednej nabywać odpowiednie książki; wciągnięty pomalą w krytyczne badania, zebrał w ciągu lat kilku wszystkie niemal dzieła o Napoleonie. Czytał je z uwagą, wypisywał całe ustępy, kreslił adnotacye. Nie poprzestając na tem, jął przeglądać sklepy

antykwaryuszów, nabywał sprzęty, ryciny, obrazy, drobne graczki, słowem wszystko, co mu wpadło w ręce z epoki cesarstwa.

Dzieło Taine'a oburzyło go do żywego. „Szalona myśl, mówił do przyjaciela, widzieć w Napoleonie jakiś typ średniowiecznych zaborców lub kondotyerów z epoki odrodzenia. Napoleon, to po prostu nowoczesny gospodarz, ekonomista, organizator olbrzymiej maszyny.

— Zgoda, ale napisz coś o tem, rzeczy przyjaciel.

— Żartujesz sobie ze mnie!—zawoła przemyslowiec,—ja nie znam metody pisarskiej; co większa, brak mi czasu.

— Metody! — odpowie przyjaciel — weź o to metodę Taine'a, z tą różnicą, że gdzie on stawia dwa świadectwa, staw ich przynajmniej cztery; walcz z nim jego własną bronią. Co zaś do czasu, wstawaj wcześniej, kładź się później niż zwykle, unikaj obiadów i zebrań światowych, a oszczędzisz co dzień po kilka godzin.

Wkrótce Levy rozpoczął pracę. Przez dwa lata poświęcał jej z rana cztery godziny, wieczorem, powróciwszy od warsztatu, pracował drugie tyle. Po latach dziesięciu praca była gotowa; pokazał przyjacielowi ukończony rękopis.

Przyjaciel, obznajomiony z zawodem literackim, odczytał rzecz z uwagą.

— A teraz, — rzekł do autora, — postaraj się o wydawcę. Plon wyda dzieło, godne jego historycznej kolekcji.

Artur Levy posłuchał rady, gotów w prostocie ducha podjąć kosztą nakładu.

Plon odczytał rękopis, ocenił od razu jego wartość, nabył go w warunkach najkorzystniejszych, jak gdyby dzieło wyszło z pod pióra którego z członków Instytutu.

W krótkim wstępie autor wypowiada swój program. „Napoleon, mówi on, był podczas życia przedmiotem czci lub pogardy poddanych swoich. Pamięć jego dzieli dotąd potomnych na dwa obozy: na wielbicieli i potwarców; jedni jak drudzy, z równą żarliwością, przekształcają bądź na dobre, bądź na złe, osobistość cesarza.

„Owóż te zbyteczne pochwały i te jadowite napaści przyćmiewają prawdę, zostawiają umysły w wątpliwości co do charakteru Napoleona, jak gdyby nic o nim nie pisano. A jednak, badając to życie bez uprzedzenia, widzimy, jak rzeczywistość otrząsa się zarówno ze złotej legendy i z tego, co nazwiemy czarną legendą Napoleońską. Ta rzeczywistość pokazuje, że Napoleon nie był ani półbogiem, ani potworem, ale był po prostu człowiekiem; żadna właściwość ludzka nie była mu obcą. Wysokie pojęcie życia rodzinnego, dobroć, wdzięczność, to jego zalety niezaprzeczane.

„Konkluzja ta, dodaje autor, stawiała mnie w sprzeczności ze znakomitymi pisarzami. Zanim ją przyjąłem ostatecznie, porównywałem świadectwa przyjaciół i wrogów cesarskich. Przeciw każdemu zarzutowi stawiałem dwadzieścia lub trzydzieści wprost przeciwnych dowodów. Zostawiłem zresztą na boku „Pamiętnik z wyspy świętej Heleny”, czułem bowiem, że człowiek pokonany, wymazany przed śmiercią z liczby żyjących, dyktując pamiętniki swoje, miał na celu przedstawić się w najlepszym świetle potomności, a tem samem działać na korzyść dynastji.

„Powtarzają aż do przesytu, dodaje autor, że Napoleon był instygatorem wszystkich wojen europejskich, jakie się ponawiały podczas jego panowania. Skoro jednak zważymy, że, po ośmioletnich zapasach przeciw Europie za rewolucyj i Dyrektoryatu, początkowe cztery lata rządów Napoleońskich były epoką spokojnej rekonstrukcji; skoro weźmiemy również na uwagę, że szereg wojen, rozpoczętych w końcu zeszłego wieku, powtarza się dotąd w regularnych odstępach; że dziś jeszcze koalicje wiążą się przeciw Francji: musimy przyznać, iż zarzut, czyniony cesarstwu, wymaga pilnego zbadania, zaczem zostanie stanowczo rozstrzygnięty.”

Historja wojen Napoleońskich, oparta na dokumentach, dotąd nie napisana; potrzeba na to poznać archiwa państw zagranicznych, nie poprzestając na francuskich archiwach. Badania te zostawia autor przyszłym historykom, sam poprzestaje na określeniu osobistego charakteru Napoleona. W obszernym spisie bibliograficznym przytacza sto czterdzieści dzieł, któremi posługiwał się w pracy, a z których ściślego porównania wyprowadził własne wywody.

Pomijamy pierwsze lata dziecka, wychowanego niemal w ubóstwie pod okiem praktycznej i oszczędnej matki, zostawiamy na boku kilkoletni pobyt w Brienne. Opowieść p. Levy zgadza się z tem, co zapisał Dr Larrey w życiorysie matki cesarskiej, Letycyi. Rzućmy okiem na Napoleona, uwieńczonego już koroną cesarską i wspaniałszą jeszcze aureolą sławy. Zobaczymy go w życiu codziennem.

„Kamerdynier Constant codzień o siódmej z rana wchodził do sypialni cesarskiej. Dziwny panował tu bezład: mundur leżał na ziemi, wstęga orderowa wałała się na kobiercu, kapelusz spoczywał gdzieś w kącie. Pierwsze pytanie było: „która godzina?” drugie: „jak tam na dworze?” Jedyne zbytek, jakiego pozwalał sobie cesarz, był ogień na kominie; w pokoju, gdzie się ubierał, palono go tak zimą, jak latem. Lubił gorąco; kąpiel jego nawet tak wysoką miała temperaturę, że para buchała z niej na cały pokój. Po kąpeli kazał nacierać się wódką kolońską.”

„Podczas gdy ubierał cesarza, mówi Constant, wypytywał mię, co porabiałem dnia poprzedniego, czy byłem u kogo na obiedzie, czy mnie gościnnie przyjęto, cośmy jedli. Niekiedy chciał wiedzieć, ile kosztuje ta lub owa część mego ubrania. Znajdował zwykle, że to za drogo.”

Rozmowy te przerywało najczęściej przybycie nadwornego lekarza.

— Jesteś tu, wielki szarlatanie!—wołał cesarz—iluż ludzi zabiłeś dzisiaj?

Doktor Corvisard, jak mówi Roustan, nie zrażony tem wcale, odpłacał się żartem za żarty.

Odziany w szlafrok z białej flaneli, z głową obwiązaną madrasem, cesarz golił się sam przed zwierciadłem, które trzymał kamerdyner. Potem kładł mundur, nie zmieniał go wcale przez dzień cały. Podawano mu szyldkretową tabakierkę, trzymał ją zawsze w ręce. Stąd przechodził do gabinetu swego, gdzie czekali już sekretarze.

Ktoby go widział w tej rannej godzinie, jak przeglądał niezliczone listy i stosy rozrzuconych na stole papierów, wziął-by go raczej za dyrektora domu handlowego, niż za monarchę potężnego państwa. Daleki od upajania się błogą atmosferą, jak czynili dawni królowie, Napoleon, przywykły od dzieciństwa do twardej pracy, dziwił sekretarzy swoich niezmordowaną czynnością. Nie był to honorowy naczelnik administracyi, ale dyrektor jej rzeczywisty, drobiazgowy, odpowiedzialny za czyny swego gabinetu, istnie sumienny negocyant, co nie powierza nikomu interesów, bo sam czuwa nad nimi. „Cesarz, mówi Meneval, otwierał sam listy, czasem pomagałem mu w chwilach wolnych.”

Po odczytaniu korespondencyi, następowała z kolei odpowiedź na listy ważniejsze, a potem pisanie dziennych rozkazów. Cesarz dyktował je, chodząc po pokoju, wolnym, mierzonym krokiem, zatrzymując się przy każdym sekretarzu. Ciężka to była sprawa. Wypadało chwycić w przelocie improwizacye cesarza, zajętego na raz kilku interesami, a nie lubił on powtarzać, co raz wyrzekł.

Niekiedy wśród tych zajęć, kiedy wszystkie pióra z gorączkowym pośpiechem ściagały myśl pańską, zaszła jakaś zabawna przygoda. Raz oto Belime, szczęśliwy współzawodnik Chateaubriand'a w Akademii igrzysk kwiatowych w Tuluzie, sekretarz ministra wojny, przybył do Tuilleries po rozkazy; cesarz, dyktując mu, położył na stole tabakierkę; gdy Napoleon odwrócił się, Belime korzysta z tej chwili, zanurza w niej palce. Widzi to cesarz w przeciwległym zwierciadle, bierze tabakierkę, podaje ją drżącemu jak liść sekretarzowi: „zachowaj ją, rzecz, ona za mała dla nas obu”, — i poczyną dyktować dalej.

Po skończonej pracy biurowej, cesarz przechodził zwykle do apartamentu cesarzowej, nucąc fałszywym głosem jakąś popularną piosenkę. Tam zazwyczaj wesół był i uprzejmy. Gdy zastał cesarzową przy toalecie, sprzeciwiał się jej, szczypał ją po twarzy i po szyi. Jeżeli ją to niecierpliwiło, brał ją w objęcia, całował i zgoda wnet powracała. Wyprawiał też rozliczne psoty dworskim paniom; niejedna stawiała mu opór, przychodziło do dyskusyi, rzecz zwykle kończyła się na śmiechu.

Przyjemności wytwornego stołu nie istniały wcale dla cesarza; przekładał on nad inne proste potrawy: jaja sadzone, sałatę z grochu szablastego, parmezan zakropiony winem Chambertin z wodą. Podczas marszów i kampanii, pisał do Duroc'a, marszałka pałacu: „Obiady, nie wyłączając mojego, mają się składać z zupy, sztuki mięsa, pieczeni i jarzyny; deseru nie potrzeba.”

W Paryżu podawano obiad o szóstej; trwał zazwyczaj dwanaście minut. Gdy się przeciągnął dłużej, Napoleon wstawał od stołu, zostawiając przy nim cesarzową i gości. Śniadanie jadał cesarz o pół do dziesiątej. Poświęcał na to ośm minut. Podawano je na małym stoliku mahoniowym, nie pokrytym serwetą. Przez tę krótką chwilę zapominał zupełnie, że jest cesarzem, rozmawiał swobodnie ze służbą, zadawał pytania co do podawanych mu potraw: „Co to kosztuje, gdzie kupione?” Gdy mu odpowiadano, zwykł powtarzać: „kiedy byłem podporucznikiem, życie nierównie było tańsze; ja nie chcę płacić drożej, niż inni.” Znać raczej w tem wszystkiem oględnego gospodarza, niż wielkiego monarchę, rozporządzającego tronami w połowie Europy.

Czynny od rana do późnej nocy, Napoleon powtarzał często: „kiedy policya wie, że ja czuwam, to i ona też nie zasypia. Ta niezmordowana czynność, w dwójnasób rozwijająca się podczas kampanii, świadczyła, do czego dojść mogą ludzkie siły, wsparte żelazną wolą.

Podczas wojny pruskiej w 1806 roku, pisze cesarz do Józefiny: „przebiegam codzień od dwudziestu do dwudziestu pięciu mil (lieux) to konno, to powozem.” Z pod Eylau donosi: „przybyłem tu o piątej wieczorem z Dreżna zdrów i krzepki, mimo że w ciągu stu godzin nie wysiadłem z powozu.” „Jam prawdziwy niewolnik, dodaje, mój pan nieubлагany, bez serca, bez litości: tym panem jest konieczność!”

Rewie odbywał cesarz z niesłychanym mozołem; nie były to próżne parady wojskowe. Księżna d'Abrantez opisuje jeden z tych przeglądów pod Arras, gdzie mąż jej dowodził korpusem. „Każdemu żołnierzowi rospinał cesarz mundur, oglądał sukno i koszulę, patrzył czy dobre płótno; wypytywał wiarusów, czego im potrzeba.”

Razu jednego, kiedy gwardya, znużona pochodem, przybyła o północy do głównej kwatery, cesarz, który wyczekiwał na nią, poruszony, woła na służbę:

— Dalej! co tchu rozpalić w podwórzu wielki ogień, nanieść słomy, niech się położą, zagrzać im wina!... i pozostał przeszło godzinę, mówi kapitan Coquet, dopóki nie spełniono rozkazu.

Ogarniał on myślą wszystkie kraju potrzeby. Podczas wojny pruskiej w 1806 roku, pisze z Poznania do Paryża: „Panie Champagny, literatura wymaga zachęty. Jesteś ministrem, obmyśl właściwe środki, aby rozbudzić życie w różnych jej gałęziach, które po wszystkie czasy przyświecały w narodzie.” — „Paryż potrzebuje giełdy, pisze do Cambaceresa, mam zamiar zbudować gmach, odpowiedni wielkiej stolicy i ważnym obrotom finansowemu, jakie tu prowadzić się będą. Wybierz miejsce stosowne, otoczone wokół *promenadą*.” Z Poznania wydaje polecenie: „Każ pracować nad teatrem Odeonu.”

Z pod Eylau zaleca ministrowi spraw wewnętrznych, Darus, wsparcie lyońskich fabrykantów milionem franków, na ten cel przeznaczonych. W liście do ministra Fouché zajmuje się operą; żąda, aby w baletach nie przekraczano granic przyzwoitości.

Po wielkim tryumfie pod Wagram, pisze znów do kanclerza Cambaceresa: „Dochodzą mnie wieści o haniebnych spekulacjach giełdowych; niechże się skończy ten frymark, co zamąca spokojność publiczną.”

Pomijamy mnóstwo dowodów tej niesłychanej działalności. Autor poświadcza je listami cesarza, dobytymi z publicznych lub familijnych archiwów.

Wbrew rzucanym potwarzom, przytacza Levy słowa samychże przeciwników, nie podejrzanych o stronnictwo pogląd. Opowiada, jak wielkie wrażenie sprawiał Napoleon na tych, którzy go po raz pierwszy spotykali.

„Byłem w galerii, — mówi Chateaubriand w pamiętniku — kiedy nagle wszedł Napoleon. Widok jego uderzył mnie przyjemnie. Dotąd nigdy go zblizka nie widziałem. Jego uśmiech piękny był i łagodny, oko prześlicznie osadzone pod czołem, brwi kształtnie zarysowane. Nie dostrzegłem w spojrzeniu żadnej szarlataneryi, ani cienia teatralnej przesady. Bonaparte zagadnął mnie poprostu, nie sypał komplementów, nie zadawał czezych pytań. Zaczął odrazu mówić o Arabach i Egipcie, jak gdybyśmy dobrze byli znajomi i ciągnęli dalej rozmowę, od dawna rozpoczętą.”

Tego samego wrażenia doznał Kotzebue, równie jak Chateaubriand nie podejrzany o sympatię. „Żaden portret Bonapartego, mówi on we „Wspomnieniach z Paryża”, żaden z tych, jakie widziałem w Niemczech i we Francyi, nie przedstawia go dokładnie, niektóre nawet całkiem niepodobne. Popiersie na pięciofrankówkach z XII roku najwierniej ze wszystkich oddane. Profil ma rzymski, to jest

poważny, szlachetny i wyrazisty. Kiedy milczy, oczy przybierają surowy i zimny wyraz, ale skoro przemówi, uśmiech pełen wdzięku od razu budzi zaufanie. Zbliżył się do mnie, mówił z całą swobodą o teatrach; przekłada nad wszystko tragedję. Wyraził się wobec mnie przeciw dramatom w wesoły sposób, z tem jednak zastrzeżeniem, że wszystkie rodzaje dobre, z wyjątkiem nudnego."

Inny znów cudzoziemiec, Jan Miller, historyk szwajcarski, tak opowiada pierwsze spotkanie z Napoleonem: „Przeczyłem mu niekiedy, powstała dyskusya. Muszę tu wyznać z całą szczerością, jakby przed sądem Boskim, że różnostronna jego wiedza, przenikliwy pogląd na rzeczy, trafne uwagi bez uganiania się za błyszczącą frazeologią, wysoki polot myśli, a do tego sposób mówienia, napełniły mnie uwielbieniem. Był to jeden z najważniejszych dni w życiu mojem. Cesarz podbił mnie, zarówno geniuszem, jak wrodzoną dobrocią."

Świadełstwo Metternicha zasługuje również na uwagę, — trudnoż go pomawiać o stronność. „Rozmowa z Napoleonem, mówi w pamiętnikach ten mąż stanu, miała zawsze dla mnie trudny do określenia urok. Słuchał czynionych mu zarzutów, nie wychodząc nigdy po-za obręb dyskusyi. Mogłem zawsze wypowiedzieć bez ogródki, co uważałem za prawdę, choćby to nie było mu po myśli." Na dowód uprzejmości cesarza Metternich dodaje, że gotów był o dwie godziny opóźnić śniadanie, aby nie przerywać konwersacyi; przytacza powtarzane przez niego słowa: „Niema tu cesarza Francuzów, ani ambasadora austriackiego; mówię tu do człowieka, którego cenię; unikajmy próżnej frazeologii!"

Z równem uznaniem Anglicy podziwiają Napoleona, w chwilach dla niego najcięższych. Pułkownik Neil Campbel zapisuje w dzienniku: „podczas przeprawy z Frejus na wyspę Elbę, Napoleon był dla wszystkich pełen uprzejmości." Tegoż samego wrażenia doznał kapitan Maitland, komendant angielskiego statku *Belerophonu*, gdy ten w r. 1815 unosił na falach oceanu jeńca z pod Waterloo, straconego ze szczytu chwały, zdradzonego przez swoich, szarpanego najsroźszą boleścią. „Może to kogo zdziwi, pisze Maitland, że oficer angielski dał się znievolić człowiekowi, który zadał tyle klęsk jego ojczyźnie; ależ on posiadał taki dar podobania się drugim, że ktokolwiek-by, jak ja, zasiadał z nim u jednego stołu przez miesiąc, nie mógł-by wstrzymać się od głębokiego żalu nad człowiekiem, tak pełnym najwyższych zalet, a przywiedzionym do tak nieszczęśliwego stanu!"

Jeżeli świadectwa nieprzyjaciół tak silnie protestują przeciw arbitralnym wyrokom Taine'a, potwarzom pani Remusat i tylu innych, o ileż to potężniej zaprzecza im głos ludu!

Lud ten, złożony z miliona jednostek, żył z Napoleonem: w przeciągu dwudziestu lat mozołił się z nim razem, pracował z nim,

ponosił najcięższe próby, w trop za nim przebiegał Europę. I jakież to wyrok tego ludu, owej najżywotniejszej, najpracowitszej części narodu francuskiego? Posłuchajmy, co mówi autor.

„Kiedy ciała tych biedaków, zgięte pod długoletnim trudem, kiedy członki ich, rozsiane po dalekich pobojowiskach, mogły usprawiedliwić tysiące skarg i przekleństw, oni tymczasem, szczerą uniesieni miłością, wymyślili legendową nazwę „małego kaprała” (*petit Caporall*).

Ta nazwa w ustach dzielnych wiarusów donośne ma znaczenie. Kaprał, to nieodstępny towarzysz, to brat, różniący się tylko wyższym stopniem. On nie opuszcza nigdy oddziału swego, on zaspokaja potrzeby podwładnych, czuwa nad nimi, dzieli ich niebezpieczeństwa, pracuje jak prosty żołnierz, mimo, że na nim ciąży cała odpowiedzialność. Owóż ci żołnierze, nadając cesarzowi przydomek „kaprała”, stwierdzili, że cesarz był ich towarzyszem, acz spełniał naczelne dowództwo.

„Ta prawda, wyrażona jednomyślnie, poprostu, wybiegła z pod wieśniaczych strzech całej Francji!”

Nie po raz to pierwszy *vox populi* obala uczone wywody doktrynerów!

Przypominamy sobie na wystawie międzynarodowej ten dział miasta Paryża, w którym ukazano w miniaturowych rozmiarach wszystko, co ów Paryż ukrywa we wnętrzu swoim, a czego nie dostrzega oko: wszystkie niewidzialne sprężyny i koła, utrzymujące w ciągłym ruchu tę olbrzymią maszynę. Dział ten zajął nas żywo, dając nam poznać, pod fundamentami błyszczących gmachów, pod brukiem niezliczonych ulic i zielonych alei, tę ogromną sieć krzyżujących się rur, drutów i kanałów, które zapewniają mieszkańcom wszelkie warunki zdrowia i dobrobytu. Z większem jeszcze zajęciem przeglądamy dziś ogromną księgę *in folio*, wydaną w tym roku pod firmą Quantin, na upominek kolendowy. Wielka ta księga, pod tytułem „Paryż nieznany” (*Paris ignoré*), pokazuje nam te arcydzieła mechaniki, a co więcej, owe chmary ludzi, istne rojowiska mrówek, krzątające się w ukryciu, o których nikt nie wie, a zna tylko owoce ich codziennych mozołów.

Rysunki, pomieszczone na stu przeszło tablicach, odtworzone wszystkie najwierniej ze zdjętych na miejscu fotografii, zdobią tę okazałą publikację. Doborem i układem ich zajmował się nasz ziomek, p. Konstanty Chmieliński. Pod kilku rycinami widzimy nakreślone imiona polskie pp. Pilińskiego i Kazimierza Dobrzyckiego, zdolnego

pracownika w wydziale sztuki zastosowanej do przemysłu. Tekst ułożony umiejętnie przez Pawła Strausa, członka rady municypalnej, jasny, zajmujący, godnie odpowiada ozdobnej ilustracji.

Przeglądając starannie wielką księgę, odbywamy ciekawą podróż po owym słynnym Paryżu, który, jakkolwiek znany w świecie, ukrywa przecież mnóstwo tajemniczych zakątów, niedostępnych nawet jego zwykłym mieszkańcom. Do takich należą niezliczone zakłady, otwarte jedynie dla specjalistów, jak: przytuliska nocne, domy obłąkanych, więzienia, szkoły rzemieślnicze, ochronki, szpitale, domy spoczynku dla rekonwalescentów i inne instytucje. Niedostępne również dla ogółu te rozległe lochy pod hallami, istny labirynt podziemny, służący na składy przekupniom. Mało kto zwiedzał główną fabrykę gazu, koszary straży ogniowej, wielkie jatki na Villette, miejskie laboratoria, zakłady pocztowe i telegraficzne. Mniej jeszcze znane urządzenie administracyjne, dotyczące żeglugi na Sekwanie, transportu, oświetlenia, słowem wszelkich warunków dobrobytu.

Bogata ilustracja pozwala nam kolejno zwiedzać podziemne kanały i katakumby, rezerwoary wody z pięciu rzek, zasilających miasto, rozległe targowiska, jatki zbroczone codziennie krwią kilkunastu tysięcy wołów i baranów, słowem wszelkie fabryki i zakłady.

Uderzył nas szczególnie widok halli centralnych: tu codzień o brzasku porannym odbywa się licytacja na wszelkie produkty, wobec tłumu przekupniów, którzy zaopatrują w żywność cały Paryż. Do dwunastu tysięcy wozów przeciąga co rano przez te halle, zwiedza je codziennie do stu tysięcy ludzi!

Wśród tego targowiska góruje nad innymi pięć tysięcy olbrzymów, zwanych *Forcs*, czyli siłaczami. Fizyczna siła popłaca tu, jak wiadać. Taki barczysty olbrzym zarabia rocznie do czterech lub pięciu tysięcy franków, gdy tymczasem biuralista musi dnie całe ślęczyć nad cyframi, albo literat napisać stosy foliałów, aby zdobyć odpowiednie honorarium. Owi siłacze tworzą osobną korporację, mają własny syndykat, dzielą zarobek między siebie. Rycina jedna przedstawia pierwszą próbę: krzepki młodzian stoi wśród towarzyszków, którzy kładą mu na barki ciężar, ważący dwieście kilogramów; jeśli przeniesie go do naznaczonej mety, wpisują go do korporacji.

Nad każdym działem produktów czuwa osobna dozorczyń: nazywa jej tradycyjna przechodzi z jednego pokolenia na drugie, jak na przykład: *Marya* od masła, *Marya* od słoniny, *Marya* od jaj i t. p. Dozorczynie kwiatów noszą imiona *fiołka*, *stokrotki*, *nagietki* i t. d.

Przegląd powozów i tramwajów nasuwa autorowi ciekawe wspomnienia z przeszłości. Jeszcze za czasów Ludwika XIV, w końcu siedemnastego wieku, krążyły po ulicach paryskich wózki, toczone

rękoma ludzkiemi. Wówczas-to zastąpiły je pierwsze dorożki, zwane fiakrami, od wizerunku św. Fiakra, pomieszczonego na drzwiczkach. Z kolei ukazały się karety na sześć osób; każdy opłacał swoje miejsce. Karety przebiegały miasto w trzech kierunkach, w godzinach oznaczonych. Ubodzy nie mieli do nich wstępu, bogaci gardzili nimi, porzostając na własnych ekwipażach i lektykach, służyły więc tylko zamożniejszym mieszczanom. Większość ich krótko trwała.

Właściwe omnibusy datują się od czasu Restauracyi. Były to ciężkie powozy, w rodzaju gondoli weneckich, zaprzężone w trzy konie. Woznica z kozła bezustanku przyciskał nogą pedał, co wywoływało jakąś ponurą melodyę. Po tych omnibusach następowały coraz nowe; obszar ich wzrastał stopniowo, aż zmieniły się nakoniec w owe piętrzące domy, toczące się dziś po ulicach.

Zatrzymujemy się na tem. Szczegółowy przegląd ogromnego *in folio* przeszedł-by o wiele nasze ramy. Dodajmy tylko, że wszystkie działy traktowane w żywotny i zajmujący sposób. Staranne ryciny objaśniają każdy ustęp. W umiejętnym ich układzie poznajemy wytrawny smak pana Chmieleńskiego, któremu firma Quantin zawdzięcza powołenie tylu illustrowanych publikacyi.

Do niezliczonych pamiątek, jakie się codzień pojawiają, przybyły dziś wspomnienia Aleksego Toqueville'a, zmarłego przed trzydziestu kilku laty. Wspomnienia te, pisane w Sorrento, gdzie zamieszkał autor po upadku monarchii lipcowej, obejmują ciekawe szczegóły z ostatnich lat panowania Ludwika Filipa, tem ważniejsze, że ówczesna epoka przypomina z wielu względów obecny stan Francyi.

Toqueville przy pierwszym wystąpieniu na polu literackiem pozyskał od razu wielki rozgłos. Dzieło jego „O demokracji w Ameryce” zaliczono do pierwszorzędných arcydzieł. Royer Collard wyraził się, że od czasów Monteskiusza nikt nie utworzył nic podobnego. Młody podówczas autor uląkł się sam tak niespodziewanego tryumfu. Niepokoiła go myśl, czy w dalszych pracach zdoła usprawiedliwić sąd o nim wyrzeczony, — widać to z listu, pisanego do przyjaciela w roku 1835. „Dziwię się, pisze on, temu, co mnie spotyka. Sypane pochwały brzęczą mi w uchu, odurzają mi głowę. Jestem w podobnym wypadku, jak ta dama z dworu Napoleona, świeżo zaszczycona tytułem księżnej: wieczorem, gdy, wchodząc do salonu, usłyszała wymieniony przez szambelana swój tytuł, z nowo dodanem nazwiskiem, zapomniała, że to o niej mowa i usunęła się na bok, ustępując miejsca innej pani. Dziś to samo dzieje się ze mną: zapytuję nieraz sam siebie, czy ludzie mówią o mnie, czy może o kim innym.”

Pisząc o Ameryce, Tocqueville miał na myśli Francję. Kiedy badał demokrację, stanęło mu przed oczyma groźne widmo socjalizmu. Postanowił otworzyć oczyma współczesnym, ostrzedz ich o niebezpieczeństwie. Trzymał się stale tego programu: tak żywem słowem, jak i piórem, rzucał złowrogie przepowiednie. Głos męża stanu nie brzmiał napróżno. Akademia przyjęła go do grona swego; wkrótce powołany został do Izby. Stanowisko to nie odpowiadało mu bynajmniej, brakło mu daru wymowy, a co więcej, brakło mu odwagi do parlamentarnych zapasów.

„Jestem zawsze niezadowolony z siebie, pisze do przyjaciela. Istnieją, jak wiesz, dwa rodzaje pychy, a raczej pycha ma dwie fizjonomie: jedna wesola, druga smutna. Pierwsza karmi się z roskoszą tem, co posiada; to zowie się zarozumieniem. Moja pycha innego całkiem rodzaju: niespokojna, bez zawiści, ale pochmurna i melancholijna, ukazuje jasno, czego mi niedostaje, i tem samem doprowadza mnie do rozpaczki.”

Ten czarny pogląd na rzeczy, wskutek nieprzyjaznych okoliczności, zamienił się w mizantropię; pod chorobliwym jej wpływem Tocqueville kreślił swoje wspomnienia. Rozpoczyna je od rewolucji lutowej w r. 1848, wykazuje jasno jej powody: słabość króla, samolubstwo klas średnich, piastujących władzę, pogardę ludu dla spanoszonego mieszczaństwa.

Tocqueville nikogo nie obwinia wyłącznie, ale wszystkich do równej powołuje odpowiedzialności. Nikt nie uszedł przed jego chłostą: wyszydza pychę i sztywność Guizot'a, chytrość i tchórzostwo Thiers'a, błyskotliwą frazeologię Ludwika Blanc'a, próżność i samolubstwo Lammartine'a. Z pośród tych pocisków, zaprawnych żółcią, rzuconych ostrem piórem pessimisty, wynurza się przerażający obraz przyszłości, obraz zamętu społecznego, w jakim dziś szamocze się Francya. Jak i kiedy wyjdzie z odmetu, nie wskazuje tego Tocqueville. Z równą nienawiścią patrzy na wszystkie systemata rządowe, z jednaką zaciętością chłoszcze wszystkie stronnictwa: Monarchię Burbonów uważa za przepadłą; parlamentaryzm orleanistowski niemniej mu wstrętny, jak i cesarstwo; rzeczpospolita, sprzeczna z potrzebami Francji, nie daje mu rękojmi na przyszłość. Jedyne ratunek dla narodu widzi w rozbiciu centralizmu i powrocie do swobód prowincjonalnych.

Jedną z cech kończącego się wieku jest rozbudzony silnie antagonizm pomiędzy mężczyznami a kobietami. Nie myślimy tu usprawiedliwiać kobiet, które usiłują rozgłośnić i przebojem zdobyć sobie

miejsce w organizmie społecznym, do czego wytrwała i pożyteczna praca była-by zapewne dostateczną; ale z drugiej strony patrzymy z podziwem na radykalną zmianę w obyczajach dzisiejszych Francuzów. Niedawno oto ukazała się książka pod tytułem „*Bas bleu*”; autor, piszący pod pseudonimem *Cim*, w złośliwy a nawet grubiański sposób, szydzi z kobiet, wdzierających się do wszystkich redakcyi pism codziennych i przeglądów peryodycznych, odmawia im wszelkiego talentu, wziętość ich przypisuje intrygom, a do tego małym wymaganiom, co naturalnie zniża wartość produkcyi literackich; jednym słowem, zarzuca kobietom, że zabierają miejsce pod słońcem tym, dla których to słońce przyświecać wyłącznie powinno. Wystąpienia tego rodzaju często się dziś pojawiają w dziennikarstwie. Ośmielona tem młodzież, pozwala też sobie hałaśliwych manifestacyi; mieliśmy tego świeży przykład w uniwersytecie sorbońskim, podczas kursu pana Laroumet, profesora literatury. Korzystając z udzielonego przed laty kilku pozwolenia, kobiety zbierały się licznie na te zajmujące wykłady. Niechętna temu młodzież poczęła w nieprzyzwoity sposób protestować przeciw intruzom, zabierającym przeznaczone dla nich miejsce. Ogłoszony krzykami, profesor, musiał parę razy przerwać lekcję. Nie koniec na tem: młodzież ścigała profesora na ulicy, domagając się zamknięcia drzwi dla nieproszonych tłumów. P. Laroumet ustąpił. Wywiązała się stąd polemika w dzennikach: zarzucano profesorowi brak energii; profesor tłumaczył się tem, że krzyki nie pochodziły od młodzieży, zapisanej na kursa, ale od luźnych słuchaczy, szukających pozeru do przeciw-niewieściej manifestacyi.

Wykład pana Laroumet zamknięty dziś dla kobiet, walka uliczna przerwana, ale dzienniki nie przestały jej toczyć. Nadało to rozgłos młodemu profesorowi; czytamy tu i owdzie ustępy z pełnych życia jego wykładów. Żałować wypada, że tak zajmujący kurs utraci popularność, jaką-by zapewniło liczniejsze audytoryum.

Przytaczamy tu jeden z owych ustępów; bardzo to charakterystyczny obraz mieszkańców południowej Francyi.

Południe tworzy trzy strefy, odmienne od siebie, każda z nich ma osobną stolicę: Bordeaux, Tuluzę, Marsylię.

Gaskończyk z Bordeaux, nizki, szczupły, cery smagłej, z okiem błyszczącym, czynny jest i gadatliwy. Lubi mówić o sobie, lecz bez przechwałek. Żartuje sam z siebie, a jeśli pochwali się czasem, to zawsze z jakąś szczyptą sarkazmu. Praktyczny, ostrożny, nie skarży się nigdy. Kocha kraj, lecz nie zamyka uczuć swoich w obrębie własnej prowincyi; z chlubą jednakże wspomina praojców swych Gaskonów z epoki Henryka IV. Gotów rzucać się na przygody, dla zdobycia

dostatku. W polityce umiarkowany, rozprawia, ale nie deklamuje, unika wszelkich gwałtów.

Nigdy on nie wypowie całkowicie myśli swojej, można go przecież od razu zrozumieć i ocenić. Wytworny w ubraniu, unika jaskrawych kolorów i zbytku bijącego w oczy. Mówiąc, śpiewa cokolwiek, strzeże się wszelkiej przesady, unika pilnie kłamstwa, nie chciał-by wystawiać się na żarty, jakich Gaskończycy byli niegdyś przedmiotem. Oględny przy pierwszym poznaniu, nie narzuca się drugim, bada ich do gruntu, nim zawiąże bliższy stosunek.

Przejdźmy do Tuluzy: tu rysy południowca jaskrawiej się odznaczają; główną tu cechą zadowolenie z siebie, naiwne, szczere, bez granic.

W samej tylko Tuluzie ludzie rozumni, w Tuluzie tylko pięknie się ubierają, w Tuluzie tylko jedzą wyborne przysmaki. Kapitol tutejszy, to pierwszy teatr w świecie; wyprawia tenorów swych do wielkiej opery paryskiej, kiedy sam nacieszył się nimi do syta. Tuluzanin z pogardą mówi o Polach Elizejskich i Lasku Bulońskim, piękniejsza od nich aleja Lafayeta, piękniejsze jego skwery.

Obok naiwnej pychy, ileż tu rzeczywistych zalet! Nigdzie miłość sztuki i literatury wyżej nie posunięta. Tuluza, to ojczyzna Klemencyi, Izaury i sławnych igrzysk kwiatowych. Każdy przynosi tu z sobą na świat poczucie pięknej formy. Dwaj słynni mistrze dłota: Falguière i Mercier, obaj rodem z Tuluzy.

W Tuluzie więcej rozprawiają, niż w Bordeaux, więcej gestykulują; akcent południowy nierównie tu śpiewniejszy; serca biją goręcej, umysły skłonniejsze do gwałtów.

Spotęgujmy jeszcze te zalety i wady, a zobaczymy Prowansala. Markiz Mirabeau, ojciec słynnego trybuna, tak określa rodzinne swoje gniazdo: „Niebo rozpalone żarem, klimat duszący, ptactwo drapieżne, rzeki bystre, potoki wyschłe do gruntu, lub szalonym pędem po grzbiecie skał rzucają się na dolinę; ludzie silni, twardego serca, burzliwego umysłu.”

Alfons Daudet i Emil Zola podnieśli typy prowansalskie w powieściach swoich, lecz zmodyfikowali ich charakter. Daudet w Roumestanie ośmieszył Prowansala, czasami jednak bywa on i okrutnym.

Pomiędzy temi odmianami południowców każda ma ujemne i dodatnie strony; wszystkie różnią się radykalnie od ludów północnych, oddzielonych biegiem Loary, które niemniej dzielą się na rozmaite odcienie.

Na szczególną tu zasługuje uwagę to mianowicie, że Francya z narodowym temperamentem swoim, pełnym sprzeczności, wyrobiła się

z oddziaływania wzajemnego tych odmiennych pierwiastków. Ciągła ich przeciwwaga utworzyła charakter francuski. W Paryżu zbiegły się dwa prądy—północny z południowym; z połączenia ich powstała błyszcząca, dziwnie ponętna całość.

Profesor Laroumet nie należy rodem do południowców; ocenienie więc jego tem ważniejsze, że bezinteresowne. Żałować wypada, że tak zdolny profesor przemawiać musi do szczupłego grona słuchaczy.

Co do podniesionych pytań o stanowisku kobiety w społeczeństwie, wymienimy tu dzieło p. Pompery, wydane w tych dniach p. t. „Les quintessences feminines.” Ocenienie tej pracy zostawiamy na później.

Ciekawą książkę wydał u Hachette'a Maksym du Camp, autor tylu dzieł o Paryżu, o jego historii, administracji wewnętrznej, zakładach miłosiernych. Nowa praca pod tytułem „Zmierzch” (crepuscule) jest niejako testamentem literackim i filozoficznym znakomitego pisarza. Widzimy tu, jak wielką wagę uczony akademik przywiązuje do prac literackich, jaką widzi w nich potęgę, zdolną odrodzić społeczeństwo. Przytaczamy własne jego wyrazy:

„Zwycięstwo ostateczne, zwycięstwo moralne, co, pomimo klęsk i upadku materyalnego, nie lęka się sądu historii i, bądź co bądź wygra, sprawę przed obliczem potomnych, należy zawsze ludom, które pisały książki i przez te książki oddziaływały na ludzkość. Ateny i Rzym panują jeszcze nad umysłami przez poetów i prozaików swoich. Usunęmy to, co pisały Palestyna, Grecya i Latynia, jakież-to pomrok rozpostarty nad światem!”

Tu na poparcie przytacza autor słowa Chateaubriand'a, nakreślone w podróży do Ziemi świętej. „Ateny i Sparta dają nam wielki przykład przewagi ludu, dzielnie władającego piórem, nad ludem wojowniczym, zaprawnym do oręża. Można śmiało powiedzieć, że bitwy pod Leukrą i Mantinę zatarły na ziemi imię Sparty, gdy tymczasem Ateny, zajęte przez Lacedemończyków, zburzone przez Sullę, nie przestały przecież panować. Prawda bowiem niezaprzeczona, że poeci, historycy, filozofowie i moralisci więcej czynią dla chwały narodu swego, niż armie nieraz tryumfujące!”

Całości piśmiennych utworów, dodaje du Camp, ludzkość zawdzięcza ten prąd, który, mimo ciężącej nad nią nędzy i chwilowych upadków, pcha ją wiecznie ku światłu, wiedzy do udoskonalenia. Gdyby naraz wyschły wszystkie kałamarze i pokruszyły się wszystkie pióra, świat istnieje jak okręt, bez sternika, bez rudla i bussoli, rzucony

samopas na fale oceanu, musiał-by roztrzaskać się o skałę i wyrzucić nieszczęśliwych rozbitków.

— „Czyż to ma znaczyć, dodaje autor, że wszyscy pisarze działają dodatnio na apostołstwo myśli? Bynajmniej. Iluż-to między nimi bezużytecznych, których pisma służą jedynie za zabawkę bezmyślnym tłumom; milczenie ich wcale-by nie opóźniło ewolucji umysłowej. Liczba ich bardzo wielka!”

Tu autor, nie wymieniając nikogo po imieniu, pokazuje długi szereg tych pseudo-geniuszków, którzy sądzą, że dano im popchnąć świat nowemi tory, oraz smutne rojowisko tych biedaków, którzy, bez powołania, zarabiają piórem na kęs chleba; przechodzi wreszcie do pracowników na niwie literatury, w wysokiem tego słowa znaczeniu.

„Kiedy mówię o prawdziwym pisarzu, dodaje akademik, mam na myśli takiego, który podejmuje długą i mozolną pracę, a w zgodzie sam z sobą, wypowiada sumiennie, co czuje i myśli, nie troszcząc się, co drudzy na to powiedzą. Zadowolony pracą samą, nie szuka z niej rozgłosu. Jakikolwiek stopień jego talentu, to prawdziwy literat. Opanowany myślą jedną, idzie za jej popędem, nie odrywa się od niej, niepodobna mu czynić nic innego. Znam takich: to istni benedyktyni!”

„Pochyleni pod jarzmem dobrowolnie przyjętem, nie znają oni uciech świata, czują się w nim obcy, jakby oszołomieni; zajęci wyrobieniem myśli własnej, toną w niej, żyją życiem wewnętrznem, bądź wyżsi, bądź niżsi od innych ludzi, lecz niepodobni do nich, muszą koniecznie pracować. Wciąż zgięci nad papierem, cierpią fizycznie w chwilach musowego spoczynku. Dopóki piszą, dopóki z zapalem ciągną swój wątek, głos tajemny szepce im, że nakoniec pochwycili wymarzoną rzeczywistość. Inaczej znów gdy odczytują wykończony rękopis; wtedy ogarnia ich zwątpienie; a kiedy książka wyjdzie z druku, przestają myśleć o niej i nową rozpoczynają pracę. Nie przesadzam bynajmniej, dodaje autor, znam takich, stoją mi żywo przed oczyma. Paryż mało wie o nich, bo zazwyczaj żyją w ukryciu. Zdarzają się jednak wyjątki. Niektórzy literaci, zewnętrznym pociągnięci wpływem, ukazują się w świecie, i zbyt często, sami nie wiedząc o tem, odgrywają w nim rolę jakiegoś osobliwego zwierzęcia. Niedyskretni lubią wyciągać ich na słówko, z udanem zajęciem przysłuchują się ich roprawom, sypią im w oczy pochwały i pochlebstwa. Niejeden literat, upojony duszącą wonią, nie pyta z czyjej ręki pochodzą te kadzidla, i rozprasza myśl w czezej gadaninie, zamiast trzymać ją w głębokiem skupieniu. Wszystko, co odwraca czy to literata, czy artystę malarza lub rzeźbiarza, od pióra, dłota i palety, przeszkadza jego twórczej działalności.”

„Kobiety szczególnie lubią przynęcać do siebie ludzi, błyszczących jakąś aureolą, zdobią nią salony swoje w dniu przyjęcia. Zaslepione miłością własną, nie wiedzą nawet, ile krzywdy czynią artystcie lub uczonemu, odbierając mu to, co ma najdroższego: czas do poważnej pracy.”

„Zdaniem mojem, ostrzega autor, literat nic nie zyska, oddając się rozrywkom światowym; samotność pożyteczna dla niego, a jeżeli potrzeba mu chwili wytchnienia, niech poprzestanie na wyborowym kółku w szczupłym gronie poufnych przyjaciół, gdzie może pozostać sam sobą, a niech nigdy nie mówi o pracy, jaka obecnie go zajmuje.”

Maksym du Camp nie wspomina o sobie, nie stawia się za przykład drugim; łatwo jednak odgadnąć, że trzymał się stale metody, jaką o *zmierzchu* dni przekazuje testamentem nowemu pokoleniu, inaczej nie byłby wypracował kilkunastu tomów, pełnych głębokiej erudycji.

Pod tytułem: „Zarysy literatury współczesnej” („Essais sur la littérature contemporaine”) p. Pellissier wydał nowe literackie studia; jest to dalszy ciąg poprzedniej a zajmującej pracy p. t. „Ruch literacki w dziewiętnastym wieku.” W nowej książce autor potrąca o rozmaite przedmioty, zatrzymuje się nad upowszechnieniem we Francyi szekspirowskich dramatów, nad kierunkiem pesymistycznym dzisiejszej literatury, nad utworami zmarłego niedawno Oktawiusza Feuillet'a, przegląda powieści Prewosta i Pawła Marguerite'a; rozbiera szczegółowo krytyczne rozprawy Brunnetière'a.

Pesymistyczny zwrot młodego pokolenia literatów niepokoi autora; smuci go ich pogląd na świat zimny i pogardliwy, pozbawiony wszelkiego pobbłazania, wszelkiej miłości. Utyskuje na to panujące dziś samolubstwo artystyczne, które szuka wyłącznie pięknej formy i według tego kryterium sądzi utwory literackie.

Wysoko ocenia autor zasługę Brunnetière'a, który podniósł krytykę literacką do prawdziwego znaczenia. Wbrew przejętej zasadzie filozoficznej, jakoby literatura miała być po prostu dokumentem historycznym, odbiciem danej epoki i stąd godna badania, Brunetière dowiódł jasno, że literatura żyła zawsze sama przez się, że daje poznać, w jaki sposób ludzie pojmowali i urzeczywistniali piękno, że tem samem krytyka jest gałęzią estetyki a nie historii.

Z tego wychodząc stanowiska, Brunetière podnosi zadanie literatury. Widzi w niej twórczą działalność wolnej woli człowieka, niezależną od miejsca i czasu. Jeżeli utrzymuje, że literatura, zarówno jak

sztuka, wskazuje kierunek tej lub owej epoki, to dlatego, że jest raczej przyczyną a nie skutkiem rozwoju ducha ludzkiego. To potężna siła, działająca na społeczeństwo, nie tylko prosty jego objaw. Skoro uznaje się samą żywotnym czynnikiem, ta godność nałoży na nią wielkie obowiązki. Jeśli w niej leży siła, ta siła musi być pożyteczną i zbawienną.

„W tym wielkim lesie ludzkim, mówi Brunetière, ukazują się coraz nowe rodzaje literatury i sztuki; nie idzie za tem, aby te wszystkie oznaki ruchu umysłowego miały być koniecznym wynikiem ogólnego rozwoju; są to raczej potęgi samodzielne, żyjące własnem życiem, zdolne same przez się rozrastać się i odradzać, działające raczej na to, co je otacza, nie zaś wyciosane według przyjętej w czasie modły.”

Głos takiego krytyka, jak Brunetière, to prawdziwe *sursum corda* dla młodych literatów; miejmy nadzieję, że nie będzie głosem wołającego na puszczy.

W ciągu ostatniego półroczu śmierć rozgościła się pod kopułą pałacu Mazariniego, zabiera jednego akademika po drugim. W parę dni po Renanie zamknął oczy zasłużony podróżnik i powieściopisarz, Ksawery Marmier; za nim poszedł Rousset, pracowity badacz epoki Ludwika XV. Wkrótce potem umarł John Lemoine, głośny publicysta, niegdyś podpora „Debatów”, na koniec pogrzebano w Sabaudyi zwłoki Hipolita Taine’a. Cztery wakujące krzesła zajęte zostały przez nowych członków: po historyku Ludwika XV otrzymał miejsce historyk Restauracji, Thureau Dangin, kilkakrotnie uhonorowany laurem akademickim; po Marmierze nastąpił poeta dramatyczny, Bornier, autor „Córki Rolanda” i „Attyli”; krzesło Renana zajął dyplomata Chalamel-Lacour, dawniej ambasador francuski w Londynie, obecnie prezes senatu. Wiele głosów odzywa się przeciw temu, że nowy akademik żadnem ważnem dziełem nie wzbogacił literatury, a pozyskał tylko rozgłos darem wymowy parlamentarnej.

Emil Zola, pomimo spotkanego kilkakrotnie zawodu, nie przestaje kołatać w podwoje akademickie. „Skoro Akademia istnieje, mówi on, mnie należy w niej miejsce, i prędzej czy później muszę je otrzymać.” Gdy kandydatura po Taine’ie zostanie ogłoszoną, rozpocznie znów starania. Liczy zapewne na to, że mu dziś ubył potężny antagonistą, Taine bowiem stawiał mu ciągle zapory; nie dosyć, że sam odmawiał mu głosu, ale wpływem swoim oddziaływał na całe grono. Zola odgadnąć nie może powodu tej niechęci, mieni się bowiem najwierniejszym uczniem zmarłego świeżo filozofa, wyznawcą jego teorii środowiska, to jest poddającej wolę ludzką pod wpływ czasu, okoliczności, a odbierającej jednostkom odpowiedzialność za czyny. Tak Zola wyraził się

publicznie nazajutrz po śmierci mistrza swego; zapowiada on, że kołać chce o wakujące po nim krzesło.

Kandydatura ta, jak się zdaje, napotykać będzie zawsze silny opór. Przy ostatnim wyborze na następcę Renana, Zola otrzymał tylko pięć głosów. Stąd pisma przypomniały jeden z mało znanych statutów akademickich, zastrzegający, że aby kandydat mógł być przyjęty do Akademii, nie powinien był w żadnym dziele swoim używać wyrażen cynicznych (libertins), i przez to stać się powodem skandalu. Otóż, jak utrzymują przeciwnicy, mimo całego talentu autora, takie dzieła, jak „Nana”, „Zwierzę w człowieku” (*La bête humaine*) a mianowicie „Ziemia”, zagradzają na zawsze drogę Zoli w podwoje pałacu Mazariniego. On przecież nie daje za wygraną; zapął, z jakim publiczność czyta dziś „Doktora Paskala”, ożywia w nim otuchę!

Powiedzmy tu słowo o ostatniej uroczystości akademickiej: przyjęciu profesora Lavissee'a w miejsce zmarłego admirała Jurien de la Gravière. Przyjmował nowego członka pr. Boissier, dyrektor kolegium francuskiego. Obaj podnosili zasługi poprzednika. Nie będziemy powtarzali ich słów; mówiliśmy już w roku zeszłym o zmarłym historyku marynarki. Zostawiamy również na boku prace nowego członka o początkach monarchii brandeburskiej i o epoce Fryderyka II; rozbieraliśmy je bowiem w swoim czasie. Z mowy p. Boissier'a przywieździemy tylko najżywotniejszy ustęp, w którym zatrzymuje się nad ostatniem dziełem pana Lavissee'a, p. t. „Nauka i studenci” (*„Etude et Etudiants”*). Autor pokazuje w niem wszechnice niemieckie, jako ogniska, z których iskry miały odrodzić naród. „Po katastrofie pod Jena, mówi on, kiedy Prusy stanęły nad przepaścią, król, schroniwszy się do Memla, bez sprzymierzeńców, bez żołnierzy, oświadczył, że siły fizyczne trzeba zastąpić siłą intelektualną, i założył w stolicy swej uniwersytet. Tam, pod kierunkiem mistrzów, umysły przyszły do równowagi i zwolna sposobiły się do odwetu. To też gdy uderzyła godzina, młodzież ta w dniu jednym opuściła szkolne ławy i stanęła w szeregach. Czterdziestu trzech studentów poległo na polu bitwy w r. 1813; chlubi się tem uniwersytet berliński.

„Stawiłeś pan, rzecze Boissier, ten przykład przed oczyma studentów naszych. Jaką drogą pójdzie ta młodzież, którą zajmujesz się tak gorliwie, w której takie pokładasz nadzieje? Burze ciągną ze wszystkich stron widnokregu, któż odgadnie, gdzie ją wichry poniosą? Młodość tak lekka i tak słaba! trudno jej oprzeć się prądom czasu swego! Czuwaj pilnie nad tą młodością, chroń ją przeciw zabiegom stronnictw politycznych, ostrzegaj, niech nie dowierza sypanym jej pochleb-

stwom i nie sądzi, że świat w koło niej się obraca. Dość już błędów popełnionych przez szalone zrozumienie, a dziś gotowiśmy wpaść w przeciwną ostateczność: poniżyć się do zbytku!”

„Rad patrzysz, ciągnie mówca, na zabawy młodzieży, słuszną rzecz,—wesołość krzepi zdrowie, radość umacnia ducha. Ale nie ukrywaj prób, jakie ją spotkać mogą. W piątym wieku ery naszej, miasto Autin (Augustodunum) posiadało kwitnące szkoły; zamożni Gallowie kształcili tam swych synów. Młodzież czytała z zapalem Cycerona i Wergilego, ćwiczyła się w krasomówstwie, wyprawiała świetne igrzyska. A oto kiedy mistrzowie i uczniowie poili się dźwiękiem słów pompatycznych, kiedy w dni uroczyste przebiegali miasto z chorągwiemi, do taktu z chórem gędzibarzy, wówczas-to zbuntowany plebs zapalał głównię i ostrzył noże, gotów rzucić się na pałace bogaczy; wówczas-to Gotowie przepławiali się przez Ren, a barbarzyństwo miało zalać świat ucywilizowany. I my też mamy zewnętrznych wrogów, mamy też wewnętrznych barbarzyńców! Ufam, że społeczeństwo nasze, lepiej niż starożytny Rzym, stawia czoło tej dwojakiej powodzi; ale trzeba mu przysposabiać dzielnych obrońców, gotowych na twarde zapasy. Wam-to, przewodnikom ulubionym młodzieży, przypadło tak wielkie zadanie! My, schodzący już z pola, przyklaskiwać będziemy szczerze usiłowaniom, a gdy wybijie godzina, ustąpimy miejsca nowemu pokoleniu, życząc mu, jak Hektor w epopei Homerowej, aby od nas było lepszem, a szczególniejszemi szczęśliwszem!

Wpółśród wrzawy, wywołanej w Paryżu skandalicznemi procesami Panamy, wśród zatargów sądowych i parlamentarnych, przerwanych na chwilę spoczynkiem wielkanocnym, serce Francyi silnie uderzyło: rzekł-by kto, że z wielu tysięcy piersi wybiegł nagle okrzyk: Alleluja!

Hasło do tego ocknienia dało miasto Havre uroczystym obchodem na cześć słynnego poety, Kazimierza Delavigne'a, zrodzonego tu przed stu laty. Cały literacki Paryż wziął udział w normandzkiej manifestacji. Wszystkie ciała naukowe, poczynawszy od Akademii francuskiej, wysłały do Hawru przedstawicieli swoich na dzień 2 kwietnia. Tłumy przyciągnęły tu ze stolicy i dalszych okolic. Wspaniały obraz tworzyło to rojowisko ludzi, na szerokiem wybrzeżu, ozdobionem w różnobarwne tarcze i chorągwie, wobec oceanu, niezmierzonego wzrokiem, pod słońcem, nieprzycmionem chmurą.

Oblicza Normandów zajaśniały radością. Dumni z poety swego, ubolewali oni nad tym pomrokiem, w jakim zbyt długo tonęło imię Delavigne'a. I jakim tego powód? Czemu poeta, co niegdyś tak poruszał serca, tak zapalał umysły, pozostawił tylko żywą pamięć w rodzinnem

gnieździe swoim? Czyżby aureola jego zagasnąć miała wobec sławionej chwały Wiktora Hugo? Małaż zasługa tego, kto pierwszy przedziera się przez lody i staje się dla innych drogoskazem? a był nim Kazimierz Delavigne, promotor szkoły romantycznej we Francji.

Gdzieindziej szukać nam trzeba przyczyn tej obojętności. Wtedy poeta działa na ogół i zdobywa gorący poklask, kiedy z pieśnią jego głos narodu zlewa się harmonijnie, dopóki nie zabraknie sił w narodzie na polot ku idealnym wyżynom, ku którym przewodniczy mu duch wieszcz. Delavigne pozostał dziś, czem był przed pół wiekiem: pełnym serca poetą, żywym wyrazem czasu swego; Francya upadła, powiew realizmu zamroził krew w jej żyłach, odwrócił myśl jej w inne strony; stąd poszło zapomnienie o poecie, którego imię pozostało tylko w sercach wiernych Normandów.

Czy dzisiejsze objawy na rzecz Delavigne'a wywołane jedynie chwilowym prądem, czy też były-by żywym drgnieniem sumienia narodowego, czas to dopiero pokaże. Trudno wszakże przypuścić, aby jednomyślny sąd koryfeuszów krytyki nie miał oddziaływać na umysły, i obudzić w nowym pokoleniu czci dla poety, którego pieśń tak ożywiała ojców!

Mowy, kantaty, deklamacye, sztuki Delavigne'a odegrane w teatrze, urozmaicały dwudniową uroczystość. Juliusz Lemaître, jeden z pierwszych estetyków dzisiejszych, dał poznać liryczne pieśni, słynne niegdyś „Messenienki”, ocenił liczne dramata i komedye, pokazał wielką harmonię pomiędzy życiem a utworami Delavigne'a, policzył go do najsympatyczniejszych liryków i pierwszych dramaturgów francuskich.

„Było to, mówi Lemaître, w lipcu, 1875 roku, w kilka dni po najstraszliwszej klęsce. Dwudziestoletni, dotąd nieznany poeta, wyśpiewał cudną pieśń p. t. „Bitwa pod Waterloo.” W innych znów wzywa umysły do jedności, po usunięciu się armii nieprzyjacielskich. Te pieśni, wyrwane z serca narodu, obudziły niesłychany zapal. We wszystkich odbrzmiewa dwoisty wykrzyk: nasamprzód wykrzyk dumy po dwudziestoletnich tryumfach, a z nim głos, powołujący do pracy wewnętrznej, do zgody i pokoju.

Przez lat piętnaście natchnione zwrotki Delavigne'a były żywym echem uczuć narodu francuskiego, który, jakkolwiek strącony z piedestału, nie zagrzążył był jeszcze w samolubstwie, nie zerwał tradycyjnych węzłów, łączących go z przeszłością, wskazujących mu przyszłe drogi.

Od liryzmu przechodzi Lemaître do dramatu i komedyi; pokazuje w Delavigne'u poprzednika budzącego się romantyzmu. Dramat „Parias” odkrywa świat poezyi indyjskiej; „Marino Faliero”, „Don Juan Austriacki”, „Ludwik XI”, „Córka Cyda” to dramata zupełnie roman-

tyczne, a co więcej, mówi krytyk, pomimo lirycznego i plastycznego geniuszu Wiktora Hugo, powiem śmiało, że jego romantyczna frazeologia bardziej się zestarzała i więcej razi smak dzisiejszy, niż wytworność Delavigne'a, zaprawna nieco klasycyzmem. Dodam i to, że przy całym blasku „Hernaniego” i „Ruy Blasa”, „Ludwik XI” i „Don Juana Austriackiego” większą mają wartość dramatyczną.

„Niesłusznie zatem niektórzy widzą w Delavigne'u poetę przejsia, torującego nieśmiało drogi romantykom w teatrze. Uczynił on, według własnego temperamentu, to samo, co uczynił Hugo i Dumas; nie szedł w ich ślady, lecz tworzył obok nich samodzielnie. Słusznie mu też należy udział w rozwoju teatralnym, około 1830 roku. Co więcej, Delavigne sam jeden, od Beaumarchého do Emila Augier'a, utrzymał godność komedii dwoma arcydziełami: „Szkoła starców” i „Popularność”, —to utwory całkiem oryginalne, pełne siły żywotnej.”

W dniu następnym przemówił Franciszek Coppée w imię Akademii. Poeta uczcił godnie poetę. Podnosi on wysoko wartość utworów Delavigne'a, wyjaśnia, czemu dramata jego wywołały ostrą krytykę w czasach pamiętnego przewrotu: „Delavigne był romantykiem, zarówno jak Hugo i Dumas, ale, pełen wytrawnego smaku, unikał ekscentrycznych wybuchów, jakich tamci pozwalali sobie do zbytku. Stąd zagorzali zwolennicy romantyzmu chłostali w nim *klasyka*, zdaniem ich, o tyle niebezpieczniejszego, im dzielniej podtrzymywał zużyty sztandar Kornela i Rasyna.

Oddając hołd poecie, Coppée czci w Delavigne'u człowieka niezłomnego charakteru. Dowód tej niepodległości wykazuje w lirycznych jego pieśniach. „Kiedy Francya, przyciśnięta nawałem klęsk, pochyliła czoło przed tronem Burbonów, Delavigne odważył się opiewać niedawne jej tryumfy. On pierwszy śmiało wykrzyknął: *Sursum Corda!* W górę serca! powtórzył za nim naród.

Przewrót w produkcji środków żywności.

I.

Wzrost miast i ubywanie ludności rolnej. *Rural exodus w Anglii*. Większa wydajność pracy rolnej jest nieodzownym warunkiem dzisiejszego rozmieszczenia ludności. Przy stosowanie się życia społecznego do istnienia miast. Tegoczesny dowód środków żywności.

Stosunki ekonomiczne w swoim rozwoju przerastają po-nad głowy ludzkie i drwią stanowczo ze wszystkich zapowiedzi, które nakazują im zatrzymać się nieruchomie na tym lub innym poziomie i ze swego łona nie wysnuwać dalszych ogniów. Życie toczy się wartkim potokiem, niosąc na swoich falach coraz odmienniejsze wzory. Z wyroków naszych przodków, ba! nawet wczoraj zmarłych rówieśników, mogli-byśmy ułożyć istny akt oskarżenia przeciwko zarozumiałości ludzkiej, sądzącej, że przyroda społeczna skończyła już swoją twórczą działalność, kiedy raczyła wyłonić te stosunki, jakie dana osoba spostrzega tuż w swoim otoczeniu. Dzieje miast przewybornie uwidoczniają tę skłonność ludzką do targania się świętokradzką ręką na potężny prąd życia, a zarazem świadczą o bezsilności nakładanych hamulców. Franciszek I wyrzekł ongi z dumą do Karola V, jako „miasto Paryż zaprawdę jest całym światem.“ Statystyka nie umie nam dokładnie powiedzieć, jak licznemu tłumowi dawało podówczas schronienie to miasto, chociaż w żadnym razie ludność nie przewyższała wtedy 400 tysięcy głów, .

a może była o wiele niższą. Jakim śmiechem odpowiedział-by nam dzisiejszy Paryżanin, gdyby w jego obecności ochrzczono Lyon lub Marsylię nazwą całego świata! Zresztą Franciszek I był o tyle rozsądnym, iż poprzestał jedynie na uwielbieniu. Inni, widząc, jak miasta gromadzą zewsząd ludność do siebie, sądzili, że powinnością ich jest nałożyć cugle na tę dążność, i przedsiębrali odpowiednie w swoim rozumieniu środki, które naturalnie życie zniosło tak samo, jak burzliwy potok górski targa wątlą tamę na swojej drodze. Było to w roku pańskim 1593. Wielka dziewczica, że użyjemy stylu urzędowej historii angielskiej, doszła wtedy do tego zdania, że Londyn swojemi rozmiarami przerósł wszelką godziwą miarę, i że dalszy wzrost grozi starganiem wszelakiego ładu i dobrego obyczaju. W wydanej akcie czytamy, iż „Londyn rośnie z dnia na dzień i zwiększa się, obarcza domostwa rodzinami bez liku i daje w nich przytułek mnóstwu lokatorów, w następstwie zaś tego choroby się rozpowszechniają, a pokarmy ulegają fałszowaniu.“ Zatrwożona Elżbieta rozkazuje w języku biurokratycznym, że nadal „ani jednej osobie nie będzie wolno wznosić i budować jakiegoś nowego budynku lub budynków, domu lub domów, celem zamieszkiwania w nich, a to w promieniu aż mil trzech od wrót miasta.“ Londyn, który swoją wielkością tak zaniepokoił najwyższe władze kraju, liczył w owym czasie, według źródeł wiarogodnych, zaledwie 150 tysięcy mieszkańców, t. j. nie o wiele więcej nad tę cyfrę, na jaką dzisiejsza ludność jego powiększa się z roku na rok. Każdy rok dorzuca dzisiaj do starego Londynu jakby nowe miasto, które pod względem swoich rozmiarów równa się stolicy angielskiej z w. XVI. Czyny dalekich pokoleń wywołują na nasze usta uśmiech politowania, jakkolwiek niegdyś troska poważna je podyktowała. Dzisiaj wielkie miasta wżarły się w krew i ciało tegoczesnej cywilizacji. Nawet wpośród krańcowych krytyków obecnego stanu rzeczy nie wielu znajdzie się takich, którzy uznali-by w nich istotne wrzody na zdrowym organizmie społecznym i w swoich rojeniach ośmielili-by się zerwać z tem rumowiskiem domów, zbiorem śmieci i atmosferą kurzu i dymu. Utopiści raczej wierzą w dalszy wzrost tego owrzodzenia. Znany psycholog francuski, K. Richet, w swojej drukowanej mrzonce, poświęconej temu, jak świat wyglądać będzie ku schyłkowi przyszłego stulecia, kreśli obrazy państw paryskiego i londyńskiego, z których każde będzie liczyło po jakieś dziesięć milionów obywateli, posiadało własne rządy i interesa, odrębne od kraju, w którym usadowiło się i z którego wyrosło w ciąg pokoleń. A cyfry te zgoła nie przestraszają czytelnika, teraźniejszość bowiem otrzaskała go z takimi możliwościami. Z tym wzrostem miast wiąże się ściśle inne zjawisko, mianowicie: ludność miejska wzrasta w swojej liczebności o wiele szybciej, aniżeli całego kraju, natomiast zaludnienie wiejskich obsza-

rów, wyrażone w odsetkach, spada wszędzie, gdziekolwiek okiem rzucimy. Ten charakterystyczny rys tegoczesnej epoki występuje niekiedy w postaci nader jaskrawej, bo liczba mieszkańców zmniejsza się na wsi nawet bezwzględnie, a zjawisko to przybiera tem ostrzejsze formy, im silniej wielki przemysł zagnieździł się w jakimś kraju i głębiej oddziałał na całokształt stosunków społecznych. W Anglii—kraju, który w tej mierze przoduje naszej części świata — wyludnienie wsi podąża w ostatnim dziesięcioleciu z ogromną mocą, a dzisiaj tak silnie bije w oczy i takie przybrało rozmiary, że zwróciło na siebie powszechną uwagę i powołało do życia całą literaturę, prasa zaś temu wychodźstwu nadała nazwę, zaczerpniętą ze wzorów biblijnych i przypominającą masowe wyjście synów Izraela z niewoli egipskiej — *rural exodus*. „Już nie nieliczni wybrani—czytamy w pracy niejakiego Andersona Grahama,—nie śmietanka młodzieży wiejskiej, ani jakiś pojedynczy a uzdolniony chłopiec, lub dziewczyna z jednej rodziny wędrują do miasta, ale prąd przekroczył wszelkie granice. Zarówno ci, którzy przystosują się do życia miejskiego, jako też inni, nie posiadający potrzebnych uzdolnień, porzucają narzędzia rolne i śpieszą do wzięcia udziału w walce o zarobki w miastach.“ „Zapytując setki osób z najrozmaitszych okolic kraju — mówi w innym ustępie ten sam sprawozdawca, — spostrzegłem zupełną jednogodność w oświadczeniu, że najlepsi i najinteligentniejsi robotnicy pierwsi opuszczają wioskę i uciekają do miasta... Kiedy zaś zwracałem się do starszych wiekiem wieśniaków i pytałem o powody wychodźstwa, zwykle odpowiadali mi, że tylko głupcy pozostają, gdyż na wsi niema najmniejszej nadziei zarobić tyle, aby żyć dostatnio, że równie niema żadnych widoków lepszej przyszłości. Rozmawiający ze mną kończył zazwyczaj wypowiedzeniem żalu, że nie udał się do miasta, kiedy był jeszcze młodszy.“ Wioska angielska tu i owdzie przedstawia obraz opuszczenia, jak gdyby po pogromie: zabite okiennice, zamknięte i zaryglowane drzwi, niewynajęte lokale... Niżej przytoczona tabliczka statystyczna, obejmująca właściwą Anglię z księstwem Walii, najlepiej uwydatni nam stosunki, jakie nastają obecnie w wiosce angielskiej. Mianowicie ludność wynosiła:

	1861	1871	1881	1891
w miastach . .	12.7 mil.	14.9	17.6	20.8
na wsi	7.4 „	7.8	8.34	8.2

Nie sądzmy jednak, aby Anglia była jakimś wyjątkowym krajem. Rzecz cała w tem, że nowoczesne potęgi ekonomiczne, sprawiające taki przewrót w dotychczasowym rozmieszczeniu ludności, w ojczyźnie Jana Bula doszły największego napięcia i działały, iż jedynie wyrostki, podlotki i stare pokolenie pozostaje na wsi. Owo wyludnianie się wiejskich

obszarów, a przynajmniej stałą dążność w tym kierunku, spostrzegamy na przestrzeni wszystkich, bardziej posuniętych na drodze rozwoju ekonomicznego, krajów Europy ¹⁾. Wszędzie mieszkańcy wiejskich terytoriów biegną do miasta, zwabieni nadzieją zarobków i uciechami wielkomiejskiego życia. Wpływ miasta dochodzi nawet do tego, że praca około roli poczyną uchodzić za pośrednią, upokarzającą, a ci, którzy pozostają, czują rumieniec wstydu na widok ludowego stroju. W niektórych zakątkach, np. we wschodnich prowincjach państwa pruskiego, ucieczka jest tak masową, iż wielcy ziemianie nader poważnie obawiają się, jako nie znajdują tanich rąk do pracy, a zaniepokojenie doszło do tego, że w sąsiednich Niemczech zrodziło projekta stworzenia drogą prawodawczą zamaskowanego przymocowania ludzi do gleby — jutrzeńką tego zwrotu są poniekąd prawa rentowe, które za pomocą maszyny państwowej powołują do życia drobnych czynszowników, oddających czynsz pod postacią pracy i naturalistów. Cokolwiekby, jednak skreślona dążność napotyka w Europie wiele przeszkód, wpływających głównie z istnienia drobnych posiadaczy rolnych, którzy od dziada pradziada siedzą w tem samem ustroniu, jak polip na swoim polipiaku, i odznaczają się stosownymi popędami — nieruchliwością i nierozgarnięciem, przywiązaniem do swojskiej wieżyczki kościelnej i nieumiejętnością obracania się w innem otoczeniu. Atoli w Nowym świecie, gdzie potok życia płynie swobodny od spadków historycznych starej Europy, owa przewaga miast w społeczeństwie poszła jeszcze dalej, np. stolice prowincji australskich zawarły w sobie po 50% całej ludności, wiejskie zaś osady są raczej fermami przedmiejskimi. Równie na dalekim zachodzie Stanów Zjednoczonych, gdzie wielki kapitał ujął ster kolonizacyi, napróżno poszukiwali-byśmy czegoś w rodzaju swojskiej wioski. Nie znajdziemy tam naszych stodół, bo zboże młóć na polu i odstawiają natychmiast do elewatorów, ciągnących się wzdłuż kolei żelaznej. Niekiedy w zimie nie dostrzeżemy nawet bydła, wysłano je bowiem na

¹⁾ Dla przykładu weźmy chociażby sąsiednie państwo pruskie. W ciągu niecałego dziesiętka lat, bo od 1886 do 1891 roku, ludność w Prusach wschodnich spadła o 1,343 głów, a zmniejsza ta będzie większą, jeśli zważywszy, iż w obrębie tej prowincyi leży Królewiec, stale wzrastający w liczebność; w Poznańskiem ludność spadła w 40 okręgach z pośród 60, we wschodnich Prusach w 25 z ogólnej liczby 38, na Szląsku w 40 z pośród 61, w Szlezewigu-Holsztynie w 11 z pośród 20 i t. d. Pomijając dalsze szczegółowe wyliczenia, które zresztą nie są tak jaskrawemi, ponieważ obejmują okręgi przemysłowe, powiemy, że państwo pruskie rozpada się na 546 okręgów. Z nich 57 przypada na mniejskie i tylko w trzech z tej liczby ubyło ludności: z pośród 489 wiejskich aż 210 są dzisiaj widownią bezwzględnej zmniejszania się ludności. W niektórych okolicach Francyi, gdzie włościanie mają się najlepiej, ten ubytek ludności przybrał wprost zatrważające rozmiary.

stepy, znajdujące się w odległości setki i więcej wiorst. Po ukończeniu robót w polu, na folwarku przebywa kilku stróżów, którzy pilnują maszyn i porządku. Obraz się zmienia dopiero z nadejściem wiosny, a jeszcze bardziej, kiedy upały lipcowe zwiastować poczną bliskość żniw. „Rzesze najemników wiejskich — odzywa się jeden z ekonomistów, — składają się z proletaryuszów, którzy nie posiadają ani piędzi własnej ziemi lub najzwyczajszej lepianki i nie mogą swoim nazwać miejsca, gdzie śpią, i łyżki, którą jedzą. Są oni ucieleśnieniem ideału ludzkiego bydła roboczego, pozbawionego wszelkiej własności. Prócz ubrania i tego, co biorą do ust, nic więcej nie mają. Na ziemi, którą uprawiają, są bez chaty, po skończonej robocie opuszczają okolicę i pójdą do miast szukać zarobku. Dyrektorowie wielkich folwarków ściągających ze wszystkich stron, ze wsi i z wielkich miast, zawierają umowę na czas robót polnych i sprowadzają do majątku. Dostają oni tam nocleg, wikt, pomoc lekarską i miesięczną płacę. Zorganizowani w istotne rolne bataliony, o wojskowej karności, wstają, jedzą, pracują i kładą się spać w określonym czasie. Po robotach jesiennych zostają odprowadzeni, a właściciel podczas zimy trzyma kilku ludzi, którzy chodzą około bydła i strzegą porządku. Reszta wraca do miast.“

Nie będzie nam szło w naszej pracy ani o zbadanie tych czynników, które spowodowały za sobą taki wzrost ognisk miejskiej ludności, ani o sprężynę, które powodują nowoczesne wyjście tłumów ze wsi, ani wreszcie o skreślenie obrazu wszystkich następstw, jakie zjawiają się pod wpływem tych przyczyn w życiu społecznym. Podkreślamy jedynie ów fakt, że ludność, pracująca przy roli, zmniejsza się wszędzie procentowo, a gdzieniegdzie i bezwzględnie, że przeciwnie miasta i okręgi przemysłowe dają przytułek szybko zwiększającym się tłumom. Zjawisko to posłuży nam za punkt wyjścia do przedstawienia tego przewrotu, jaki odbywa się dzisiaj w zakresie produkcji środków żywności — mięsa, nabiału, ryb, owoców. Zaznaczmy, że przełom ów jest nieodzowną koniecznością, bez której zmiany dzisiejsze w rozmieszczeniu krajowej ludności były-by wprost niemożliwymi. Kiedyś, przed kilku wiekami, rozmiary ludności, nie otrzymującej bezpośrednio, za pomocą własnej pracy, płodów od macierzy ziemi, lecz dostającej je wzamian za produkta ręki swojej, takie, jak buty, tkaniny i t. d., były procentowo bardzo nieznaczne. Nawet w ówczesnych, średniej wielkości miastach, rzemieślnik posiadał parę zagonów gruntu, na których uprawiał potrzebne w domowym gospodarstwie warzywa, trzymał krowę, hodował drób i z własnego wieprzaka wędził szynki. Otrzymywał ze wsi bardzo niewiele przedmiotów. Dość było wtedy bardzo nieznacznej przewyżki plonów rolnych po-nad potrzebę rolników, ażeby dostarczyć dla miejskiej ludności wymaganej żywności. Dzisiejsza doba zniszczyła bezpo-

wrotnie te stosunki ubiegłych wieków. Ongi jakieś 99% ludności krajowej siedziało nad pracą rolną, dzisiaj tu i owdzie czyni to zaledwie 50%, lub 60%, które winny wydrzeć przyrodzie pokarm dla reszty ziomków, poświęcających się pracy przeróbczej w miastach i okręgach przemysłowych. A zatem przewyżka produktu rolnego nad bezpośrednimi potrzebami rolnika musi być bardzo znaczną i praca jego—o wiele wydajniejszą, t. j. winien on z tego samego kawałka gruntu dobywać rocznie więcej plonu. To też postęp techniki gospodarskiej stanowi nieodzowny warunek dla całego tego przewrotu, jaki zaszedł w ostatniem stuleciu w rozmieszczeniu ludności krajowej. Rewolucya wkracza do najoporniejszej z dziedzin produkcji. Jeszcze w początkach teraźniejszego wieku, gdybyśmy z grobu wskrzesili barbarzyńców, którzy swojemi prostemi narzędziami uprawiali Europę w ww. X. i XI., i oprowadzili po gospodarstwie rolnem w jakimkolwiek zakątku naszego lądu, z pewnością nie spostrzegliby oni żadnej zasadniczej różnicy w technice, mimo, że kilka wieków upłynęło. A tymczasem dość było niecałego stulecia, ażeby w tej mierze zrobiono więcej, niż zdziałał okres cały, poczynający się od chwili, kiedy kultura rzymska wyzionęła ducha pod ciosami ludów wędrownych. Rolnictwo, z rutynicznego zajęcia, jakie średniozamożna rodzina szlachecka pozostawiała dla najgłupszego z synów, zamienia się na gałąź przemysłu, wymagającą coraz większej wiedzy. Starczy wziąć do ręki wielką encyklopedyę angielską i przyrzeć się rysunkom, które sobą uzupełniają artykuł o rolnictwie, a odrazu, na widok owych pługów parowych, stanie nam przed oczyma cała różnica pomiędzy przemysłowemi okolicami a zakątkami, których nie dotknęła jeszcze ręka postępu technicznego. Narzędzia rolne, metody uprawy ziemi, hodowla bydła, wszystko to uległo radykalnej zmianie. Atoli jeżeli ukazanie się w kraju zastępów licznej ludności, żyjącej z plonu pracy rolnej, wymaga dla swego bytu odpowiedniego rozwoju w zakresie techniki, to z drugiej strony skupienie tych tłumów w niewielu olbrzymich ogniskach jest możliwem tylko w tym wypadku, kiedy taki sam przewrót zajdzie też w dziedzinie środków przewozowych. Wielkie miasta są jakby narostami na tułowie społecznym, a ta okoliczność, iż istnieją i rozwijają się, świadczy o tem, że przystosowały do siebie obrót soków ludzkich w społeczeństwie. Przystosowanie to odbywało się zwolna, w ciągu całych stuleci, zanim rzecz doszła do dzisiejszego stanu. Miasta, które ukazały się w zachodniej Europie w okresie feudalizmu, napotkały dla swego rozrostu bardzo poważne przeszkody — w braku dostatecznego dowozu żywności. Każde takie zbiorowisko istot ludzkich, wobec ówczesnego stanu dróg i wszechwładztwa naturalnej gospodarki, mogło rozporządzać środkami spożywczemi, pochodzącymi jedynie z najbliższej okolicy, co znowu kła-

dło stanowczą tamę wzrostowi miast po-nad pewne określone granice. Dzieje miast są zarazem dziejami techniki dowozowej, a wiele dzikich ograniczeń, które dla dzisiejszego wolnohandlowca wołają o pomstę do nieba, było często nieodzowną koniecznością dziejową, bez której tego-czesny wielbiciel wolnej konkurencyi nie oglądał-by nigdy świata. Zwłaszcza warto zastanowić się nad ograniczeniami z owej epoki, kiedy zjawily się liczne gościńce, umożliwiające ogołocenie jakiegoś miasta z okolicznego zboża. Celem przeciwdziałania takiej możliwości we Francyi wydano cały szereg przepisów zbożowych: rolnikom wolno było sprzedawać zboże jedynie na miejscowym rynku i w oznaczone godziny, prawo określało maksymalną cenę zboża, oraz największą ilość, jaką pojedyncza osoba mogła zakupić jednorazowo; zabraniano, pod groźbą konfiskaty, włościanom przechowywać je w śpichlerzu dłużej nad lat dwa, a przekupniom—nabywać na pniu lub w stodole. Historycy z powodu praw zbożowych wciąż urągają sankiulotom, którzy, dla ocalenia ojczyzny przed zagraniczną koalicją, na bok odłożyli wszystkie czułośćkowe westchnienia w kierunku osobistej wolności, ale rzadko kiedy mówią o tem, że one istniały w ciągu całych stuleci, jako środek zaopatrzenia miast ówczesnych w żywność. W braku rozwiniętej sieci gościńców, nieurodzaj w jakiejś okolicy lub wywóz z niej zboża groziły każdemu miastu straszmem nieszczęściem, a sprawa zabezpieczenia żywności dla mieszkańców zaprzętała nader silnie uwagę średniowiecznych zarządów municypalnych—więcej, niż dzisiaj znalezienie zarobków dla rzesz bez pracy i chleba. Każde miasto posiadało śpichlerze municypalne, w których trzymano zapasy zboża, wystarczające na kilka miesięcy. Fakta te wskazują, z jakimi trudnościami średniowieczne miasta winny się były borykać, ażeby zapewnić sobie niezbędne dla swego wyżywienia środki. Jak daleko odbiegliśmy obecnie od tych prostaczych wzorów! Londyn na przestrzeni kilkunastu wiorst kwadratowych skupił większą ludność, niż ta, jaką Szwajcarya posiada. A jednak sprawa wyżywienia tej olbrzymiej ciżby głów bezwarunkowo nie sprawia i setnej części tych kłopotów i mozołów, jakie ponosić wypadało sławetnym rajcom średniowiecznego miasta, liczącego kilkadziesiąt tysięcy obywateli. Okoliczność ta dowodzi, że miasta wywarły odpowiedni wpływ i przystosowały do swoich potrzeb produkcję środków żywności i ich obrót w społeczeństwie. Dniem i nocą zwykle wozy i pociągi kolejowe dostarczają stosów warzywa, mięsa i nabiału, które nikną bez śladu w wszechpożerającej paszczy wielkomiejskiej. A wszystko to odbywa się tak prawidłowo, że człowiek kładzie się do snu z największą pewnością, iż jutro dostanie na targu wszystkiego, czego potrzeba mu do życia,—z taką, z jaką wie, że słońce wejdzie o swojej godzinie i rozproszy mroki nocne. Zarządy municypalne złożyły z siebie

wszelką troskę o wyżywienie ludności i baczą jedynie na to, aby dowóz odbywał się spokojnie. Maszyna działa żywiołowo, a trybik każdy spełnia należycie swoją czynność. Atoli rzecz nie była łatwą do uskutecznienia, co od razu zrozumiemy, jeśli pod uwagę weźmiemy jakość dostarczanych produktów. Dawne czasy przekazały w spadku epoce dzisiejszej tradycję, że przewóz szkła jest sprawą nader ciężką, a życie drobnomiasteczkowe pielęgnuje jeszcze i obecnie głęboki szacunek względem gospodyń, posiadających umiejętność opakowywania przedmiotów ze szkła. Doba tegoczesna, która do paszczyk wielkomiejskich wsuwa z dnia na dzień niezmierzone ilości środków spożywczych, dokonała większych cudów—stworzyła śpichlerze, w których można po lat kilka przechowywać jaja, jak pradiadowie nasi trzymali pszenicę, przewozi miliony tego delikatnego materiału, powołała do życia fabryki mięsa, a znosząc drobnych rzeźników, uczyniła to, że niektóre miasta są codziennie zaopatrywane w świeże mięso z innych, leżących na odległości stu wiorst i więcej. Stargane pęta, które przestrzeń nałożyła, a zamach, mimo całego swego ogromu, dopiero się począł... Jak ów przełom w dotychczasowej wymianie i sprzedaży środków żywności, oraz w technice ich przewozu idzie szybko, o tem możemy się przekonać z rozwoju handlu jajami. Razu jednego wypadło mi być na jarmarku w niewielkiej osadzie w okolicach Płocka. Uwagę moją zwróciła na siebie przekupka żydówka, przed którą stało kilka koszy, a mąż z deseczek określonej wielkości zbijał płaskie pudła. Dobrane jaja układano poziomymi rzędami, każdy o jednakowej zawartości. Przekupka tylko tyle powiedzieć umiała, że postępuje w ten sposób, ponieważ tak brzmi zamówienie ze strony znaczniejszego kupca, oraz że jaja są przeznaczone do Niemiec. Wiadomości jej dalej nie sięgały i ani przez myśl jej nie przeszło, że stanowi ona kółko w olbrzymim powiązaniu wymiennem, którego wszystkie cząstki i cząsteczki działają według rozkazów, wychodzących z halli jajnej w Londynie. A takie kółka poruszają się nie tylko u nas w jakimś Bodzanowie lub Drobinie¹⁾,

¹⁾ Fala handlu jajami uderza o nasz kraj dość energicznie. W jednym z naszych czasopism znajdujemy nader ciekawą notatkę w tej mierze, dotyczącą gubernii Kieleckiej. Od wsi do wsi—czytamy tutaj—chodzą przekupnie, nabywający od włościanek jaja i odprzedający je codziennie przekupniom w pobliższym miasteczku. Ci zaś wiozą gromadzący się w ich rękę towar do większych handlarzy, którzy jeszcze dalej go zbywają—Stopnica i Chmielnik są takimi ogniskami, ściągającymi do siebie jaja z okolicy. Wreszcie, przeszedłszy przez tylu pośredników, towar dostaje się do firm kieleckich, których jest cztery i które mają już bezpośrednie stosunki z zagranicą i stosują się do otrzymywanych stamtąd wskazówek. Podczas wiosennych i letnich miesięcy odchodzi z Kielc 7 — 8 wagonów tygodniowo z jajami, czyli z górą milion sztuk. Obliczono, że firmy kieleckie wysyłają za granicę przeszło 36 milionów jaj rocznie.

ale równie na targowisku miasteczek włoskich, francuskich, niemieckich. Sama nazwa—halla jaj—świadczy, że w handlu tym produktem wybiegliśmy po-za pradziadowskie mendle i kopy. Sprzedaż w halli odbywa się na wielką skalę i, co jest rzeczą zgoła naturalną, pociągnęła za sobą odpowiednie zwyczaje. Na hallę londyńską otrzymują dostęp jedynie jaja, według przepisu ułożone w podłużnych skrzyniach, tak, aby je, t. j. skrzynie, można było przepiłować, nie uszkodziwszy opakowania jaj. W każdej skrzynce powinno znajdować się sześć grosów, liczących każdy 120 sztuk. Nadto wymaga się stosownego rozsortowania: jaja, które nie przechodzą przez kółko, posiadające w przecięciu 40 mm., słyną pod jedną nazwą; przechodzące zaś przez nie, lecz zbyt duże dla otworu 38-milimetrowego, należą do innego numeru; wreszcie przechodzące i przez otwór wspomniany, posiadają inną cenę. W każdym pudle układa się jaja tego samego numeru. Jednocześnie handel dostaje się w ręce odpowiednich hurtowników, którzy doszli do rozkwitu, zwłaszcza w Ameryce północnej. Mamy np. pod ręką dane o pewnem podobnego rodzaju przedsiębiorstwie w New-Yorku, którego dzienny obrót wynosi pół miliona jaj, prócz odrzuconych. Dość powiedzieć, że 6 osób siedzi jedynie nad tem, aby rozpoznawać jaja podejrzanej świeżości; najemnicy ci pracują w ciemnym pokoju i z nieprawdopodobną dla profanów zręcznością przesuwają jaja przed żarzącą się lampką i odrzucają na bok nieprzezroczyste. Firmy te powołały do życia nawet, że tak powiemy, śpichlerze. Jedna z nich posiada np. taki śpichlerz, mogący zmieścić w sobie jednocześnie do 50 tysięcy sztuk. Jaja są kupowane przez tę firmę w porze najodpowiedniejszej—w maju, kiedy tuzin jaj kosztuje mniej więcej około 10 centów, i przechowywane w tych składach do nastania zimy, gdy cena podnosi się do 20 centów. Obrotowy kapitał w rozpatrywanem przedsiębiorstwie wynosi do 300 tysięcy rubli na nasze pieniądze. Urządzenie tego szczególnego śpichlerza polega na tem, że istnieją tutaj olbrzymie kadzie, z których każda zdoła zmieścić w sobie do 6 tysięcy sztuk; jajka są trzymane w odpowiednim rozcynie, a spożywca ma pewność otrzymania tego produktu w świeższym stanie, niż my na rynku drobnomiasteczkowym, kiedy kupujemy go od włościanki. A cały ten olbrzymi wir wymienny jest niemal nawskroś dziełem ostatniego dziesięciolecia. Kiedy dowóz jaj do Anglii w roku 1855 wynosił niecałą setkę milionów, w roku 1888 przerósł już miliard.

A nietylko jaja puszczają się w taki tan wymienny. Świeże ryby z brzegów oceanu Spokojnego widzieć można o każdej porze dnia w New-Yorku i innych miastach nad Atlantykiem, świeże mięso wędruje aż z Nowej Zelandyi do Anglii, sery i masło idą z Litwy przez Rygę do

Londynu, czereśnie włoskie w maju rozchodzą się po północnej Europie. Przewyciężono wszelkie trudności techniczne przewozu i zachowania w świeżym stanie.

II.

Starodawny tryb przerabiania środków żywności a tegoczesny. Berlińskie targowisko na bydło i rzeźnie amerykańskie. Fabryki masła i sera. Przewrót techniczny w zakresie produkcji środków żywności a dobrobyt warstwy włościańskiej.

Jeżeli weźmiemy do ręki dawne lustracye naszych miasteczek, wszędzie znajdziemy niesłychaną moc piwowarów. Np. Nowogród nad Narwią, którego ludność bezwarunkowo nie przewyższała naówczas kilkuset głów, posiada w 1620 roku 14 piwowarów, w Łomży siedzi ich aż 68 i t. d. Naturalnie, że liczby te zgoła nie przemawiają za tem, aby nasi rodacy przed dwoma stuleciami bardziej hołdowali kultowi Bachusa, ale jedynie świadczą o domowym trybie—na małą skalę—wyrobu trunków. Epoka pary stargała tę dawną prostotę. Zamiast drobnych piwowarczyków, prócz warzenia trudniących się jeszcze wyszynkiem produktu, ograniczonych w sprzedaży do nielicznego grona kundmanów, z którymi tamci wciąż się trącali szklanicą, a trudniących się nadto prawdopodobnie uprawą roli, wyrosły olbrzymie browary, z których wydobywają się strumienie piwa i rozlewają się po dalekiej okolicy. Dawni samodzielni piwowarzy zeszli na szynkarzów, wyprzedających cudze piwo. Otóż chwila obecna według takich samych wzorów kształtować poczyną wszystkie gałęzie przemysłu, związane z wyrobem środków żywności. Zniosła ona już dawniej warzenie piwa w domu i pędzenie gorzałki i uczyniła z tych procederów siedlisko wielkiego przemysłu; później porwała cukrowarstwo; teraz czyni to z zajęciami rzeźnika, z produkcją masła i sera, suszonych owoców i t. d. Zatrzymamy się nieco nad stosunkami, jakie dzisiejsza rewolucya techniczna wciela w życie na każdym kroku w danym zakresie.

Podjeżdżamy obwodową koleją berlińską do *Viehlofu*; przebywamy długi pomost, pod którym przechodzi kilka torów kolejowych, oraz widać rzędy pociągów. Wreszcie spuszcza się i stajemy wśród mnóstwa olbrzymich budynków. Struktura ich—są one z żelaza i szkła—wykazuje, że jesteśmy u progu wzorów, które daleka przyszłość wytwarza już w teraźniejszości, nader bowiem charakterystyczną jest owa architektura, powtarzająca się przed nami w każdym gmachu wszelkiej większej wystawy lub sprzedaży, swoim materiałem umożliwiającą prędkie rozebranie budynków i przeniesienie na inne miejsce, a która

może zwiastuje nastanie nowej epoki dziejowej, kiedy przyszedł człowiek, podobnie jak dzisiejszy koczownik stepowy zwija swój namiot i przenosi się gdzieindziej, będzie pakował całe miasta na kolej i przesadzał do innej okolicy. Budynki te rozciągają się na przestrzeni niemal 5 włók. Po lewej stronie wznosi się budynek, zajmujący z górą 6 morgów, a mogący pomieścić w sobie odrazu około 4 tysięcy sztuk bydła rogatego. Po drugiej stronie widzimy giełdę na bydło z biurami komisowemi i bankierskimi, w głębi zaś owczarnię, świniańnię i t. d., tak obliczone w swych rozmiarach, aby dały przytułek odpowiednio wielkim masom żywego mięsa; np. owczarnia może zawrzeć w sobie 35 tysięcy baranów. Jest to jakby przewód pokarmowy Berlina, połączony za pomocą sieci dróg żelaznych ze wszystkimi ogniskami handlu mięsem, a giełda, urząd pocztowy i telegraficzny, świadczą, że puls życia wymiennego uderza tutaj silnie. Celem spełnienia rozmaitych czynności zorganizowano istotną armię, zróżniczkowaną na różne szczeble. Na czele mamy 26 urzędników municypalnych, których nazwy nakazują naszej pamięci cofnąć się w zamierzchłe czasy feudalne, kiedy z parobków wielkiego folwarku cesarskie wyrastały godności dworskie i dawały początek wielkim koniuszym i t. d.; targowisko berlińskie z grobu wskrzesiło wielkich dostojników od paszy, obory... Na dole tego zastępu uwija się 115 mężczyzn i 23 kobiet—palaczy, zamiataczy; w środku porusza się olbrzymi batalion zaganiaczy, stanowiący rzeszę z kilkuset głów ze stu ober-zaganiaczami na czele. Obok targowiska usadowił się szlachtuz municypalny z podobnie znaczną armią specjalistów, których nadaremnie poszukiwali-bysmy w drobnomiejским procederze rzeźnickim, a nadto przytuliły się różne zakłady, użytkujące z odpadków, które giną bezpowrotnie w przedsiębiorstwie na małą skalę. Po-nadtem wszystkim zorganizowano kontrolę sanitarną; około 400 osób znalazło tutaj zajęcie, w tej liczbie do 200 mikroskopistów. Możemy z całą stanowczością powiedzieć, że tylko przy takiej wielkiej produkcji, umożliwiającej dozór zdrowotny, człowiek po raz pierwszy w dziejach zdobył pewność spożywania masowo zdrowego mięsa. Atoli jakkolwiek targowisko berlińskie dostarczyło już materiału do monografii ekonomicznych, winno ono jednak z pokorą uchylić czoła przed stosunkami jeszcze potężniejszymi, jakie Stany Zjednoczone powołały do siebie. Poprzez pośredników, krzątających się na targowisku berlińskim, przepływa rocznie około 200 tysięcy wołów, pół miliona świń i o jakąś setkę tysięcy liczniejsza cyfra baranów. Lecz cóż znaczą te liczby, jakkolwiek ogromne, w porównaniu z rozmiarami targów w Kansas-City i w Chicago! Do pierwszego z tych miast dowieziono w r. 1888 milion z górą wołów, około 2 mil. świń i około 350 tys. baranów; Chicago w tym samym roku pochłonęło z górą 2½ mil. wołów, 5 mil. świń i 1½

mil. owiec, a miejscowe targowisko posiada własny organ, „The Drovers' Journal,” którego obowiązkiem jest ogłaszać wiadomości, dotyczące handlu bydłem. Atoli Nowy świat wyłonił jeszcze inne stosunki, o których głucho w naszej części świata. Wprawdzie drobny rzeźnik zniknął już z widowni targowicy berlińskiej, a miejsce jego zajął wielki przedsiębiorca, który szlachtuje bydło w bojni, wynajętej od miasta, i odprzedaje gotowe mięso lub daje je w komis zwyciężonym drobnym współzawodnikom. Jeden z autorów, który Berlinowi poświęcił w tej mierze sporą monografię, pisze z tego powodu: „W całym procederze spostrzegamy niezmierne zaoszczędzenie czasu, siły i materyału. Jakaż to korzyść dla średnio zamożnego rzeźnika, który dotychczas trzymać musiał pewną liczbę najemników, aby zabić kilka wołów lub świń, a który teraz czyni to u hurtowych rzeźników, swój zaś zakład obsługuje przy pomocy taniej siły kobiecej! Nie potrzeba mu dbać o sprzedaż złych kawałków!” Autor, niejaki dr Levy von Halle, nie zoczył, że pod tą korzyścią ukrywa się zależność ekonomiczna, a w przyszłości zdegradowanie samodzielnego niegdyś rzeźnika na subiekta w jakimś ze składów. Nie o to jednak idzie nam obecnie, ale o stronę techniczną rzeźnictwa. Otóż we wszystkich miastach Związku północno-amerykańskiego, wzdłuż kolei żelaznych, niezależny rzeźnik zniknął lub znika, a miejsce jego zajmują olbrzymie fabryki mięsa, użytkujące ze wszystkich wskazówek technicznych przy szlachtowaniu bydła i dostarczaniu mięsa do agentur, które odprzedają je spożywcom. Są to tak zwane *packing houses*. Np. w pobliżu targowiska w Chicago usadowiły się one w liczbie kilkunastu i utworzyły istotne miasteczko rzeźnicze. Weźmy chociażby firmę Armoura i S-ki, która w ciągu r. 1890 oparowała 1½ mil. świń, 650 tys. wołów i 350 skopów, a zatem jakąś czwartą część wszystkiego bydła, dowożonego do Chicago, i daje zatrudnienie 4,200 robotników, że nie liczymy administracyi i agentów. Ktoś, opisując urządzenia fabryki, ironiczną czyni uwagę, że przystępuje do epopei rzeźniczej, tyle bowiem ulepszeń wprowadzono w życie, dzięki olbrzymiej centralizacyi. Nierogacizną wpędza się w wązkie przejście, w którym każda sztuka zostaje zahaczona za tylną lewą nogę do łańcucha, a odpowiedni przyrząd przenosi ją w powietrzu do miejsca, gdzie wyćwiczony specjalista w oka mgnieniu pozbawia ją życia. Prof. Wilkens opowiada, że był świadkiem, jak ta sama osoba w ciągu kwadransa poderznięła gardło 50 okazom, a pracę taką odbywała dziennie w ciągu 10 godzin. Zabita sztuka wisi czas pewien, oddając krew, która w rynn timer spływa do fabryki, wyrabiającej z niej pewne substancje barwnikowe i żelatynę, trwa to jednak niedługo, bo jeszcze drgającą ofiarę za pomocą przyrządów automatycznych pogrąża się w olbrzymim kotle z wrzącą wodą, później oddaje się pod inną maszynę,

która z nadzwyczajną prędkością pozbawia ją szczeciny. Oczyszczona przechodzi po przez mnóstwo rąk; ten robi nacięcia na tułowiu, inny podrzyna gardło, ktoś piąty wyjmując wnętrzności, jego towarzysz przy sąsiednim stole odcina głowę. Wędrowka ta od stołu do stołu, uskuteczniwszy przy pomocy mechanicznych przyrządów, ciągnie się jakieś 8—10 minut; zabite sztuki lub części wędrują, pchane własnym ciężarem, na pochyło leżących szynach, od kiedy siła parowa porwała je na łańcuch przy wejściu. Wreszcie mięso idzie do lodowni na kilka godzin i ulega rozbirowi zdrowotnemu. Potem rozpoczyna się dawna wędrowka, aż póki ciało po kilkunastu minutach nie zamieni się na rozproszone w różnych oddziałach części. Maszyny, poruszane przez siłę pary, spełniają wszystkie te czynności, które nadają się do automatycznego wykonania: napychają kielbasy, rozcinają język na części, pakują do blaszanek. Dzięki olbrzymiej produkcji, najdrobniejsze odpadki, gromadząc się w masie wielkiej, mogą zostać zużytkowanymi w ten lub inny sposób: nogi idą na wyrób kleju, rogi i kopyta do oprawy nożów, krew zaś przerabia się na cenny nawóz; nawet z części organicznych, które zbiera się przy oczyszczaniu podłóg zakładu, wyrabiają tam smarowidło. Mięso w świeżej postaci i w konserwach rozsyła się do różnych zakątków Związku, a nawet do Europy. Widzieliśmy, że w Berlinie drobniejsi rzeźnicy są jedynie przekupniakami, którzy sprzedają mięso, nabyte u firm zamożniejszych. Otóż mięso, wychodzące z olbrzymich fabryk w Chicago, zniszczyło na odległości setki i więcej kilometrów wzdłuż kolei żelaznych samodzielność zawodu rzeźnickiego, pomimo uporczywej walki ze strony skazanych na zagładę zawodowców. Firma Armoura posiada np. kilka tysięcy własnych wagonów, które są odpowiednio urządzone i nawet w największe skwary rozwożą mięso bez żadnego uszczerbku dla jego dobroci. „Po długiej a zaciętej walce z towarzystwami kolejowemi—czytamy u jednego ekonomisty (Seringa),—dopięły one, t. j. rzeźnie w Chicago, tego, że dzisiaj wysyłają świeże mięso do każdego większego, a nawet średniego miasta na lądzie północno-amerykańskim. Jędrna twarz rzeźnika zniknęła bezpowrotnie z amerykańskich targów bydła, rzeźnicy przestali być samodzielnymi rzemieślnikami i zamienili się na detalicznych sprzedawców, otrzymujących dzienny transport mięsa z owych olbrzymich fabryk.“ Podobne zakłady istnieją też w Omaha, Kansas-City, New-Yorku, a fala wymienna z mięsem przenika we wszystkie zakątki, gdziekolwiek dochodzą kolej i parostatek, a nawet do ustroni, leżących w niedalekiej odległości od tych arterii ruchu ludzkiego i towarowego. Świeże mięso bywa stąd wysyłanem nawet do Londynu, dokąd też nadchodzi inne, mające przed sobą o wiele dalszą drogę do przebycia—z N. Zelandyi. Zresztą nie myślimy, aby takie wzory były

wyłączną własnością Ameryki północnej; znalazły one tam jedynie podatniejszy grunt dla swego rozkwitu. Atoli i w Europie, chociaż z większą trudnością, rozgałęziają się coraz bardziej i rugują starodawne porządki. Wróćmy choćby do targowiska berlińskiego. Paryż pochłania sporo skopowiny berlińskiej, np. w roku 1890 wywieziono do niego z Berlina 110 tysięcy zabitych baranów; podobnie olbrzymie masy wieprzowiny idą z Berlina do fabryk kielbas w Turyngii i Brunświku; w r. 1888 cyfra wywozu wynosiła 400 tys. kilogramów, co odpowiada 66 z górą tysiącom sztuk nierogaczyny.

Wzięliśmy *packing houses*, jako typ nowoczesnego przemysłu w zakresie wyrabiania środków żywności. Wraz ze wzrostem miast i doskonaleniem się techniki przewozowej ukazują się takie same zakłady i w innych dziedzinach obchodzącej nas produkcji. Kto zwiedzał salę wystawy paryskiej w r. 1889, w jednej spotkał modele budynków, nad którymi wisiał napis: fabryki masła, fabryki serów. W postępowej produkcji masła maszyna parowa jest jedynym motorem, a człowiek stanowi tylko przydatek do maszyny. W fabryce masła daremnie poszukiwali-byśmy wzorów, przypominających tak znane nam narzędzia naszej wioski. Wszystko wygląda zgoła inaczej, a jeżeli koniecznie chcieli-byśmy szukać u siebie czegoś podobnego, musieli-byśmy chyba zwrócić się do gorzelni. Rozpatrzmy jakąś z tych fabryk, np. znajdującą się w Amherst (Massachusetts). W r. 1888—ostatnim, z którego posiadamy pod ręką cyfry—wyprodukowała ona z górą 271 tysięcy funtów masła. Przywieziona przez agentów śmietaną zlewają tam w olbrzymie zbiorniki, z których przepływa ona do kadzi, mogących pomieścić każda do 2,000 litrów. Rury, idące od zbiorników w jednej izbie do kadzi w drugiej, gdzie śmietanka zsiada się przy stosownej temperaturze; obmywanie izb i kadzi strumieniami pary; maszynerya, wprowadzana w ruch za pomocą motoru parowego; stacya chemiczna, w której wyrabia się przyprawy, podnoszące smak masła i nadające mu powabniejszy wygląd: oto najważniejsze rysy obrazu. A takie fabryki upowszechniają się w Ameryce nader szybko. Spis z roku 1880 podaje liczbę fabryk masła i sera na 3,932, a niżej przytoczone cyfry dadzą pojęcie o wzajemnym stosunku starodawnych a nowoczesnych metod produkcji. Mianowicie w tym roku wyrobiono tysięcy funtów:

	masła	sera
na fermach. .	77,150	27,272
w fabrykach .	29,428	215,885

Jak zatem widzimy, ser w Związku północno-amerykańskim przestał być dzisiaj produktem gospodarstwa domowego, a jest nawskroś wytworem przemysłu fabrycznego. Temu samemu przewrotowi uległo

też mnóstwo innych przedmiotów dawnego kunsztu gospodarskiego, a tak opiewany kunszt prababek w zakresie wyrobu konfitur, konserwów owocowych, marynowania śledzi — jest w Ameryce bezużyteczną umiejętnością. Jak westfalskie wyrobnie wędlin wypuszczają na rynek rocznie po 50 tysięcy szynek, tak samo inne to czynią z suszonymi owocami, półgaskami, marynatami. Chemik z odpowiednią pracownią, a niekiedy mikroskopista, są nieodłącznymi postaciami od tego rodzaju zakładów; tu i ówdzie zaś ukazuje się potrzeba powołania jeszcze nowego specjalisty — smakosza. Wiadomem jest, jakie sumy otrzymują dobrzy kiperzy, których podniebienie odczuwa najdelikatniejsze różnice w jakości wina, lub podobni zawodowcy, zajęci probowaniem gatunków herbaty. Olbrzymie wyrobnie wędlin, masła, marynat wymagają podobnie delikatnego smaku i obiecują zdjąć pogardę z tradycyjnych pieczeniarzy-gastronomów, czyniąc z ich skłonności środek produkowania smacznych towarów.

Atoli rozpatrzona rewolucja ogarnęła nietylko technikę wytwórczą. Następstwa jej są o wiele poważniejszej natury. Kiedyś, jak świadczą o tem przywileje królewskie, udzielane wybrancom, w każdej większej wsi królewskiej istniało kilka rodzin, pędzących gorzałkę na własną potrzebę. Zamiast tego tu i ówdzie wznoszą się dzisiaj gorzelnie. To samo stało się z suszeniem owoców, wyrobem szynek; dzisiaj fala przewrotu ogarnia gospodarstwo nabiałowe. W Szlezwigu-Holsztynie na niewielkiej przestrzeni rozsiadło się kilkaset fabryk masła i sera, a ktoś przepowiada, że w niedalekiej przyszłości każda gmina będzie posiadała własną. I w rzeczy samej, rozwój prze nader silnie w tym kierunku; pierwsza fabryka masła ukazała się w tylko co wspomnianej prowincyi po wojnie prusko-francuskiej, w 1885 r. zaś było już zakładów tego rodzaju około setki, wiosną r. 1886 dorzuciła jeszcze 50, a odtąd liczba ich wzrasta stale. W Stanach Zjednoczonych stosunki zmieniają się jeszcze z większą szybkością. Niedalekim jest, zdaje się, ów czas, kiedy ktoś, wyszedłszy w pole, zobaczy we wszystkich kierunkach sterczące kominy fabryk masła, wędlin, konfitur, jak to oglądamy na obszarach cukrowarskich. Otóż ów postęp techniczny, stwarzający giełdy mleka, jak new-yorska *Milk Exchange*, i śpichlerze jaj, fabryki kurcząt i masła, jest już dzisiaj jedną z najpotężniejszych dźwigni wywłaszczania drobnego posiadacza rolnego. Takie produkta, jak jaja, nabiał, drób, trzoda chlewna, które stanowią bardzo znaczną część wytworu osady włościańskiej, idącego na sprzedaż, zostały porwane przez wir wymiany międzynarodowej i spekulację giełdową. Giełdy amerykańskie mogły-by nam dużo opowiedzieć o ringach, które się tworzą celem skupienia wszystkich wędlin, idących do Europy, lub sera i masła. Owoc pracy chłopskiej, wypłynąwszy z ustronnego zakątka

na szerokie morze wymienne, spotyka okazy współzawodniczące, wytworzone przy wyższej technice, i z tego powodu daleko tańsze; aby więc nie zatonać, musi się przystosować do niższej ceny, a niekiedy, mimo ustępstwa, ledwie znajduje nabywcę—z powodu gorszej ich jakości. Widzimy to w Danii, gdzie mleko spółek akcyjnych, które troszczą się o zaoszczędzenie swoim krowom najmniejszego ruchu, wyrugowało ze stolicy wszelki inny nabiał—swoją dobrocią i taniością. Wprawdzie szlezwickie, szwajcarskie i in. fabryczki masła są często asocjacjami rolników; zdawało-by się zatem, że drobna własność ziemska zdoła uniknąć ujemnych skutków swojej lilipucie wielkości drogą zrzeszenia. Nie ludźmy się jednak, bo jakkolwiek pomiędzy łączącymi się rolnikami istnieją drobniejsi, są to przecież tylko włościanie wielkorolni, wówczas gdy małorolni pozostają po-za obrębem syndykatów i spółek, skazani na ostateczną zagładę. Olbrzymie wyrobnie szynek w Westfalii wchodzi w umowę z włościanami, dostarczającymi trzody chlewnej, i zobowiązuje ich do chowu okazów określonej rasy; fabryki masła i sera wymagają od dostarczycieli mleka trzymania krów określonej wydajności, obchodzenia się z niemi według przepisów, karmienia wyznaczoną paszą. Ażeby wszakże spełnić te warunki, osada włościańska musi posiadać już znaczny stopień zamożności, a jeśli go nie ma, odrazu zostaje wypchniętą z rynku. Następnie większe spółki i fabryki znajdują się w ręku obrotowych kapitalistów, a bezwładna masa włościańska, związana przez umowę, wpada w położenie coraz gorsze. Stosunki cukrownicze w Saksonii przewybornie unaoczniają taki stan rzeczy. Ktoś mógł-by przypuszczać, że włościanin, jakkolwiek nie jest członkiem towarzystwa akcyjnego, jednak zgarnia część zysków i że wogóle koło cukrowni istnieje tam wyborna harmonia interesów. Piękna ta sielanka pryska w oświetleniu faktów. Plantator drobny otrzymuje z fabryki nasiona i przepisy co do uprawy, inspektorzy zakładu rozciągają baczny dozór nad plantacyami, słowem, cukrownia czyni wszystko, co tylko uzna za stosowne, żeby burak posiadał najlepszą jakość. A jednak, kiedy przychodzi do odstawy, przyroda zawsze płata figle włościanom i daje wymówkę zakładowi do rozmaitych wytrąceń, a to systematyczne obcinanie ceny buraków przekształca samodzielnego z pozoru chłopą na istotnego najmitę, otrzymującego, po obliczeniu kosztów, jedynie płacę za pracę. Kiedy przed laty podniesiono w Niemczech opodatkowanie buraków o 10 fenigów od centnara podwójnego, cukrownicy odpowiedzieli na to wytręcaniem trzy razy większej sumy włościaninowi, mimo, że wobec premii wywozowych, odebrali z powrotem $\frac{1}{3}$ uiszczanego podatku. Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że podobnie ukształtują się stosunki pomiędzy dostarczycielami mleka a firmami akcyjnymi. Jeszcze gorszą przyszłość gotuje dla włościanina

niepewność wymienna, właściwa rozwiniętemu handlowi. Człowiek poczyną pokutować za winy niepopelnione. Na pograniczu pruskim u naszych włościan niemieccy handlarze corocznie wykupują mnóstwo trzody chlewnej i gęsi. Żądania kundmanów skierowały chłopą do większego zajęcia się hodowlą nierogacizny. Lecz po kilku latach kupno okaże się może korzystniejsze w innej miejscowości. Zbyteczna nadmieniac, że takie przeniesienie rynku, lubo dotyczy drobnej rzeczy, jest zdolne odbić się nader niekorzystnie na budżecie osady. Każde rozszerzenie stosunków wymiennych potęguje tego rodzaju niepewność zbytu plonów. Drobna osada opiera się na zbyt wielkiej rutynie, aby zdołała dotrzymać kroku wahaniom, jakie poruszają rynkiem międzynarodowym. Staje się ona drobnem czółenkiem na łasce rozhukanej fali wymiennej. A fala ta wzrasta w miarę tego, jak przewrót wżera się we wszystkie dziedziny, produkujące środki żywności.

III.

Rozmiary przedsiębiorstw hodowlanych i różni królikowie przemysłowi nowej formacyi. Rozpadanie się krajów na terytorya buraczane, kartoflane, hodowlane. Międzynarodowy organizm wymienny w zakresie rolnictwa i starganie samodzielności państwowej. Hodowla bydła w preryach. Skutki ekonomiczne zamorskiego współzawodnictwa.

Ukazywanie się wyrobni szynek, hal na jaja i giełd mleka, fabryk marynat i t. d. każe domyślać się, że wraz ze skreśloną rewolucją w zakresie przeróbki i wymiany środków żywności podąża, lubo wolniejszym może krokiem, inna — w dziedzinie chowu bydła, produkcji jaj, uprawy owoców. O zbożu nie mówimy, gdyż zastanawianie się nad niem zaprowadziło-by nas zbyt daleko.

Wszędzie, w miarę rozrastania się fali wymiennej, odpowiednio potężnieją rozmiary produkcji — z drobnych procederów wyrasta ona na ogromne przedsiębiorstwa. Weźmy wytwarzanie jekiegokolwiek z obchodzących nas przedmiotów, a ujrzymy wzory, o których śniło się ongi jedynie Fourierowi. Rzeczywistość jednak zadała kłam jego rojeniom, gdyż niejednokrotnie przewyższyła jego oczekiwania, a jeszcze bardziej zadrwiła z nieboraka Musset'a, który w jednym utworze wyśmiał „ogolony glob bez brody i czupryny“ i „morza kapusty i buraków.“ Jak w przemyśle fabrycznym zjawilo się plemię różnych możnowładców — królików bawełnianych, węglanych i in., tak samo podobneż czasy nastają w dziedzinie produkcji jakichś malin lub kurcząt. Królik kurczęciowy! — nazwa ta brzmi nader dziko dla naszego ucha,

a jednak taki możnowładca istnieje dzisiaj na globie ziemskim. W stanie Jersey rozsiadły się bowiem liczne fabryki kurcząt, czyli, jak brzmi termin techniczny, *broiler farms*; niektóre z nich wyrzucają co kilka tygodni po 10 tysięcy kurcząt, produkując te niewiniątka, przeznaczone na rzeź, z pogwałceniem wszystkich tradycyjnych przepisów edukacji zwierzęcej. Maszyny do wylęgania, automaty, regulujące temperaturę, i inne przyrządy, zastąpiły troskliwość matczyną. Zresztą istnieje tutaj i matka—*mother*; dowcip ludu nadał tę nazwę szczególnemu naczyniu, do którego, zamiast pod skrzydła matki, chowa się tylko co wyklułe kurczęta... Gdzieindziej, w pobliżu N. Yorku, siedzi królik poziomkowy, uprawiający ten owoc na przestrzeni 250 akrów, t. j. folwarku kilkułókowego. W Niemczech istnieją królikowie karpiani, jak np. właściciel dominium Cottbus Peitz, który hoduje w 72 stawach karpie, te świnię rodzaju rybiego. W okolicy N. Yorku mieszka królik gruszkowy, który na 12 włókach gruntu uprawia 250 gatunków grusz i rocznie sprzedaje 12 tys. buszli tego owocu, a dla przechowywania go przez jesień i zimę do wiosny, kiedy ceny idą do góry, posiada odpowiednio urządzone śpichlerz, utrzymywany na poziomie jednostajnej temperatury; królik ów trzyma przy swoim owocowym folwarku specjalny inwentarz, złożony z krów pewnej rasy, gdyż tylko ich gnój uważa za stosowny do nawożenia pól. Nawet szkółki drzew przyjęły takie same rozmiary; jedna, w Pensylwanii, rozsiadła się na 4 włókach, a zajmuje się wyłącznie hodowlą brzoskwiń i jabłek, drzewka podważa tutaj specjalny pług—*tree digging plough*,—mogący w ciągu dnia wydobyć 5,000 sztuk, oswobodzona zaś przestrzeń podlega płodozmianowi i dopiero później zostaje obróconą nanowo pod plantacje owocowe. Poprzez różne gałęzie dochodzimy wreszcie do chowu bydła, a z niem do mamutowych ferm, stanowiących bezwarunkowo jedną z osobliwości Ameryki północnej. *Thierfabriken* — fabryki zwierząt!, takie wyrażenie jedna z rolniczych gazet niemieckich uznała za najstosowniejsze dla tych zakładów; w Ameryce zaś ta hodowla słynie pod nazwą systemu fabrycznego, *factory system*. Wszystko tam jest urządzone na wielką skalę, co umożliwia zastosowanie lepszej techniki — aż do utrzymywania w oborze dobrego powietrza za pomocą mechanizmu wentylacyjnego i jednostajnej temperatury przez zbudowanie systemu rur ogrzewających. *Union Cattle Company* np. posiada obory, dające każda przytułek 3,750 sztukom bydła. „Karmienie bydła—czytamy w pewnem sprawozdaniu — i trzymanie go w czystości uskutecznia się za pomocą maszyn parowych. Sieczka się wpycha do żłobów za pomocą miechów, a pompa rozlewa wodę. Pompa hydrauliczna zmywa gnój z podłogi dwa razy dziennie. Każda sztuka, przy swoim przybyciu i wyjściu, zwykle skrupulatnie się waży. Równie prowadzi się ściśle rachunki

co do ilości zużytego siana i kukurydzy, tak, iż z najzupełniejszą ścisłością można obrachować, ile pokarmu trzeba na wyprodukowanie funta mięsa. W oborze wszędzie wiszą termometry. Doprawdy zjawia się pytanie, jakim sposobem ubogi chłopiec, który podobnie nieokrzesanie hodojuje swoje bydło, jak dziki rolnik, zdoła wytrzymać współzawodnictwo z fabrykacją mięsa, prowadzoną w sposób naukowy? W tych fabrykach mięsa wydajność człowieka wzrasta niepomieranie; jeden robotnik może wydoląć pracy nad dwiema setkami wołów opasowych, wówczas gdy na drobnej fermie jakiś tuzin bydła wymaga około siebie większych zachodów. „Na fermach mamutowych—mówi ktoś inny—motor parowy, przy pomocy pasów transmisyjnych z drutu, przenosi siano z jednego działu do drugiego—po przez potężną maszynę, która, rznąc je, czyni odpowiedniejszem do spożycia,—dostaje się ono w objęciu innej, mieszającej je z zeszrutowaną kukurydzą, którą jeszcze inna maszyna oczyściła z łuski i zeszrutowała. Tak przygotowana pasza napelnia żłoby w sposób automatyczny... Korzyści takiego wypasu nie tylko na tem polegają, że wszystkie niezbędne czynności uskuteczniają się z mniejszym wydatkiem pracy. Jednostajność temperatury, utrzymywanej na tym samym poziomie wśród wszystkich zmian pogody, umożliwia znaczne oszczędności na paszy. Przy silnym spadku temperatury zwierzę musiałoby wynagrodzić sobie utratę ciepła przez większą ilość pokarmu, i wiele paszy szło-by wtedy na marnel“

Powyższe przykłady wystarczają, ażeby uanoaczyć dążności, które chwila obecna powołuje do życia w zakresie hodowli i uprawy. Atoli gdziekolwiek przedsiębiorstwa bywają prowadzone na wielką skalę, tam nie obywa się też bez dalszych następstw, takich, jakie oglądamy w przemyśle fabrycznym. Warsztaty tkackie były ongi rozproszone na powierzchni całego kraju, dzisiaj zostały skupione w kilku ogniskach przemysłu bawełnianego. To samo podąża w zakresie hodowli i uprawy, z tą tylko różnicą, że produkcya rolna w silniejszym stopniu uwzględniać musi wymagania klimatu i gleby. Starczy chociażby zatrzymać się nad sąsiedniemi Niemcami, ażeby spostrzedz to ześrodkowywanie się rozpatrywanej produkcji. Osłona leśna, która niegdyś pokrywała cały kraj swojemi gąszczami, przetrzebiona, dzięki wiekowemu rudunkowi, schroniła się do górskich okolic, pod opiekę racjonalnie prowadzonego gospodarstwa, i dała przytułek hodowli zwierzyny; na urodzajnych równinach Saksonii, Brunświku i Anhaltu usadowiły się plantacje buraków — w pierwszej zajęły one 270 tysięcy morgów, a nadto hodowla opasowego bydła; na południu Bawaryi kwitnie ogrodnictwo, hodowla bydła na rzeź, a nadto tu i owdzie piwowarstwo; na piaszczystych obszarach, leżących na wschód od Elby, rozpostarły się olbrzymie pola kartoflane, dostarczające materiału na potoki

sznapsa, które wylewają się z miejscowych gorzelni i, przybrane odpowiednio, słyną pod nazwą win, koniaków i t. d.; w Szlezwigu i Holstynie rozwija się hodowla mleka i każdy rok przynosi wiadomość o zjawieniu się jednego i drugiego dziesiątka nowych fabryk masła i sera. Natomiast zboże, którego przestrzeń uprawna się zmniejsza, musi być sprowadzane z zagranicy. W Ameryce zanosi się jeszcze na większe zróżniczkowanie, nawet jeśli z pod uwagi wyjmiemy wielobarwność, która wypływa z większej różnorodności klimatu. Pola zbożowe sadowią się coraz bardziej na dalekim Zachodzie, a ognisko uprawy pszenicy—*wheat centre*—zmierza stale ku północno-zachodowi, gdzie, jak ktoś wyrzekł, „dość polećtać glebę pługiem, a ona uśmiechnie się najpowabniejszym plonem,” i gdzie powstały owe sławne Bonanzafermy z polami pszennymi na przestrzeni kilkudziesięciu włók. W stepach rozsiadła się hodowla mięsa — niebawem wrócimy do tego przedmiotu. W N. Anglii, gdzie klimat sprzyja gospodarstwu nabiałowemu, sadowią się odpowiednie procedery; z pośród 3,932 fabryk masła i sera, istniejących w r. 1880, niemal 42% znajduje się w stanie N. Yorku, 21% w Ohio i Wisconsinie—z tego powodu tutaj powstały w Filadelfii, S.-Louis, Bostonie t. zw. *daizy boards of trade*, t. j. giełdy nabiału. Giełda masła i sera w N. Yorku widziała w r. 1881—ostatnim, z którego posiadamy datę pod ręką—obrotu na 100 mil. dolarów, a masło z tych ognisk płynie wzdłuż arterii kolejowych po całym Związku. Nawet hodowla kurcząt okazuje dążność do ześrodkowania się w odpowiednich miejscach, np. w pobliżu Hammontonu (stan N. Jersey) fermy wysyłają co kilka tygodni na rynek do stu tysięcy drobiu, a nawet istnieje tutaj czasopismo, poświęcone wyłącznie temu przemysłowi—*„Poulter Keeper.”* Słowem, wpatrując się uważniej w produkcję rolną, nie taką, jaką oglądamy w dniu dzisiejszym, ale jaka uwydatnia się w dążnościach przyszłości, spostrzegamy, że wyrób i produkcja środków żywności przechodzą obecnie mniej więcej w ten sam stan rzeczy, w jakim znalazł się wyrób tak zwanych fabrykatów: rozmaite gałęzie hodowli, zamiast być, jak niegdyś, rozproszone po przestrzeni całego kraju, występują ześrodkowane w stosownych okolicach. Oko teoretyka zapuszcza się jeszcze dalej. Niewielka chudoba włościańska uprawia kilka gatunków; nie jakoś gruntu, lecz potrzeby osady rozstrzygają tutaj o uprawianych zbożach: ponieważ np. osada taka nie może istnieć bez ziemniaków, a zatem chociaż była-by to najlepsza pszenna ziemia, jakiś kawał zostanie wydzielony pod kartofle. Na wielkim folwarku uprawę zastosowano bardziej do jakości gruntu, ale i tutaj uprawia się niektóre rośliny tylko dlatego, że w gospodarstwie są one niezbędnością. Otóż, według teoretyków nawskroś zachowawczego ruchu syndykatów rolnych, стоимy u progu nowej epoki. Spółki akcyjne, których,

ich zdaniem, syndykaty rolne są jakby pierwszą zapowiedzią, może z czasem obejmą każdą całą dolinę rzeki, powołując do życia olbrzymie przedsiębiorstwa łączno-nabiałowe, jak to poczyną zjawiać się w Szlezwig-Holsztynie; gdzieindziej cała okolica, zajęta pod plantacje buraków, zleje się w jedno lub kilka przedsiębiorstw plantatorsko-cukrowniczych, ku czemu zmierzają stosunki amerykańskie, i t. d. Nie obchodzi nas to, o ile ta utopia da się ziszczyć w przyszłości; zaznaczymy tylko, że w niej kraj każdy występuje, jako rozpadający się na terytoria względnie odmiennej hodowli lub uprawy. Zresztą owo zróżniczkowanie uwydatniło się dzisiaj już dosyć silnie nawet w zakresie stosunków międzynarodowych. Gdybyśmy chcieli na mapie wyznaczyć miejsca produkcji wełny, pszenicy, mięsa, nabiału, dostalibyśmy wyraźnie odrębne miejscowości. Szwajcarya, Holandya, Holsztynia po całej środkowej Europie rozsyłają swoje masło i sery; daleki Zachód i Indye grożą powodziami pszenicy; Oldenburgia, Serbia, pewne części Bawaryi, prerye Ameryki dostarczają mięsa. Co więcej, ten podział produkcji zagraża starganiem niezależności politycznej wielu państw. „Zboże jest królem, na zawsze ustanowi ono pokój pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Anglią,“ zdanie to, wyrzeczone przed trzydziestu laty, dzisiejszy sztab generalny Niemiec bierze za swoją zasadę w stosunku do Albionu. Niemcy żyją zbożem zagranicznym, którem pokrywają znaczny w tej mierze u siebie deficyt; w wypadku wojny ze wschodnim sąsiadem, znajdują się na łasce Anglii, mogącej w każdej chwili przeciąć dowóz ziarna z Ameryki. Kwestya ta wywołała w Niemczech już kilka pamfletów politycznych, a niektórzy chcą przywrócić starganą niezależność przez powołanie do życia szczególnych praw zbożowych, nakazujących, aby w każdym majątku pewne minimum było stale zajęte pod uprawę zboża. Zostawmy zresztą generalny sztab niemiecki na boku i wróćmy do międzynarodowego podziału produkcji środków żywności, chociażby mięsa. W epoce teraźniejszej stepy odzyskały dawne swoje znaczenie, jakie posiadały podczas pasterstwa koczującego. Prerye w Texasie, N. Meksyku, Nebrasce i t. d., stepy argentyńskie i australskie dały dzisiaj przytułek olbrzymim przedsiębiorstwom hodowlanym. Podróżnicy z podziwem opowiadają, że jakiś królik Kafrów posiada jeden i drugi dziesiętek sztuk bydła. Lecz cóż znaczą jego dziesiątki w porównaniu z setkami, któreimi włada ten lub ów *cattle-king* na stepach, albo towarzystwo akcyjne? Np. *Life stock association* texaskie, składające się z mnóstwa mniejszych spółek, przed laty dziesięciu rozciągało się na przestrzeni całego Texasu i posiadało w stepie 1,100,000 sztuk bydła rogatego i 1,350,000 koni; jedna z jego części składowych dawała zatrudnienie 1,500 *cowboysom*. Już w 1883 roku na przestrzeni jednego N. Meksyku uwijało się

około tuzina podobnie olbrzymich przedsiębiorstw: jedno np. posiadało 600 tys. bydła rogatego i ogromną liczbę koni, drugie 240 tys. i t. d. Jakaś spółka kapitalistów angielskich zakupiła 8 tys. mil kwadr. celem rozpoczęcia hodowli bydła stepowego ¹⁾. A technika gorliwie krząta się nad zaopatrzeniem stepów we wszystkie warunki, które są wymagane do tego, aby hodowla rozwijała się pomyślnie: rząd wierci studnie artezyjskie, które winny dostarczyć dobrej wody; zootechnicy czynią różne próby celem udoskonalenia rasy stepowej; a że doświadczenia te nie są bezowocnymi, o tem świadczy ów fakt, że kiedy wół stepowy dawniej ważył 580 — 1,110 funtów, dzisiaj waży 625 — 1,175. Podobnie wielkie rozmiary istnieją w hodowli owiec dla wełny. A z powołaniem do życia wzorów tego rodzaju, zjawia się odpowiedni szczepl ludzi. Cowboye są zorganizowani obozowo, a w obozie tylko ubranie, torba z tytóniem i kilka szmat są ich własnością. Jeżdżą oni ciągle po stepie, posiadając wyznaczone posterunki. Są jednak dziećmi cywilizacji, łakną użycia i mają głowę nabitą zasadami krańcowego demokracji; prasa amerykańska zaznacza, że jeżeli kiedyś tłumy pracujące rzucają się na istniejący porządek rzeczy, cowboye i proletaryusze z folwarków dalekiego Zachodu nie pozostawią kamienia na kamieniu; w Australii zaś stanowią oni jeden z najgwałtowniejszych trade-unionów.

Atoli ów rozwój, zwłaszcza jaskrawo występujący na krawędziach dzisiejszego międzynarodowego organizmu wymiennego, posiada jeszcze inne oblicze. Ze stepów amerykańskich i australskich, z równin dalekiego Zachodu i pól pszennych Kaplandu i Indyi, z ferm mamutowych, z zamorskich fabryk mięsa i serów i z mnóstwa innych źródeł wydobywa się powódź, która coraz gwałtowniej zalewa starą, rutyniczną Europę, skrępowaną licznymi pętami tradycji i nie mogącą dotrzymać kroku swoim córom zamorskim. Jeżeli dawne czasy pozostawiły nam przysłowie, że niema tak wysokich murów, których nie przeskoczył-by osiek, naładowany złotem, to natomiast dzisiejsza doba wysnuwa inną przypowieść, a mianowicie, jako niepodobna tak wysoko wyszrubować ceł ochronnych, żeby nie przebył ich towar, wytworzony za pomocą bardziej udoskonalonych metod produkcji. Dalekie kraje wysyłają do Europy góry pszenicy, stosy oselek masła i blaszanek mięsa, produkując zaś te towary, korzystając z bezpłatnych a dziewiczych sił przyrody—

¹⁾ O ogromie produkcji da pojęcie następujący obrazek. „W forcie Worth (w Texasie) zawarto umowę, której mocą kolej żelazna zobowiązała się przewieźć 75 tys. bydła z paśników, leżących na południu, w kierunku fortu Wichita—w odległości 114 mil ang. Przewóz bydła był wywołany przez zjawienie się owadów w okolicy.“ Za przewóz zapłacono 105 tys. dolarów.

nietkniętych pokładów czarnoziemiu, z daremnie rosnącej trawy stepów. Wobec tego napływu, uczeni mężowie naprzód nie chcieli w to uwierzyć i drwili z zaniepokojonych ziemian; później uderzyli na trwogę; jeszcze później nastał dawny spokój, kiedy ten i ów uczony pielgrzym za powrotem doniósł, że gospodarstwo zamorskie idzie niżej krytyki. Opinii publicznej znudziło się wreszcie zajmować temi pytaniami; uczeni agronomowie jeżdżą już nie po to, ażeby później naigrawać się z zamorskich rolników, sama zaś konkurencya wzrasta zwolna, ale bezustannie, wywołując zniżkę cen na rynkach europejskich. Atoli ów spadek cen jest równocześnie kurczeniem się renty ziemskiej. Anglia, którą to współzawodnictwo dotknęło najsilniej, pierwsza uczuła wszystkie skutki powodzi: od r. 1873 renta spadła tu i owdzie o 50%, a przestrzeń ornej ziemi zmniejsza się z roku na rok. Niekiedy na jej miejscu ukazują się paśniki, czasami gaje i zwierzyna. Lord zaprasza gości na polowanie, ale zwierzyna nie należy do myśliwców; gospodarz wysyła ją na sprzedaż... Fermerzy uciekają za morze, a za ich przykładem idą kapitały landlordów. „Fermerzy—czytamy w pewnym opisie z przed lat ośmiu — udają się do Ameryki wytwarzać zboże, a do Australii — wełnę. Porzucają zajęcie, w którym nie widzą przyszłości i jadą zaciągnąć się do szeregów, które doprowadziły ich do ruiny. Niektórzy wiążą się w spółki komandytowe pod kierownictwem miejskich bankierów i przy ich pomocy zakładają owe olbrzymie bonanza-fermy, liczące po 20—30 tys. hektarów, gdzie najdoskonalsze maszyny pracują, sieją, żną, wiążą, młócą, wożą plony na stacye kolei żelaznej, składają do śpichlerzów lub ładują od razu na wagony olbrzymie ilości zboża. Zyskami, otrzymywanymi z przedsiębiorstw amerykańskich, właściciele usiłują pokryć straty, które wałęsają się na nich w kraju.“ Za pieniądze więc europejskie wyrastają za morzem potężne siły wytwórcze, które europejskiego rolnika przyprowadzają o ruinę. Niekiedy konkurencya ta jest bodźcem do rozwoju technicznego. Przeciwnie mięsu amerykańskiemu okazała się dobrą tylko jedna broń — udoskonalona produkcya mięsa w Europie. Czystej krwi yankes spożywa mięso z ferm wypasowych, do nas wysyła czerpane z owych żywych kopalni, jakimi są trzody stepowe — chude, posledniejszego gatunku. Ziemianin europejski usiłuje zatem przejść do lepszych metod hodowli i bada, jakie mięso więcej smakuje podniebieniu kundmanów; w tym samym celu zakłada spółki mleczarskie, ażeby produkt rolny wysyłać na rynek w postaci, mniej zagrożonej przez współzawodnictwo. Środki te, jak dotychczas, pomagają skuteczniej, aniżeli modły do władzy państwowej o podjęcie krucjaty przeciwko wieprzowinie amerykańskiej i potwarze, na niąmiotane, jako jest bardziej przepełniona trychiną, niż koń grecki pod Troją—zbojami. Atoli nie wszystkich kieszenie znajdują się w takim

stanie, ażeby zezwolić miały na zastosowanie lepszej hodowli, oraz nie wszędzie jest to możliwem. Nawet wprowadzeniu udoskonalonych maszyn staje na zawadzie rutyna. R. Meyer, jeden z najwybitniejszych dzisiaj znawców w sprawach rolnych, zaznacza, że parobek niemiecki jest zbyt nieokrzesany, aby zdołał się uporać z maszynami rolnemi; nawet jeśli wywędrował za morze już po ukończeniu 25 roku życia, nawet tam nie przyucza się do kierowania temi narzędziami. Jedynem lekarstwem było-by użycie siły roboczej miejskiej, ale jej żądania są zbyt wygórowane, aby ziemianin zgodził się na to wyjście. I cóż wobec tego czynić przedstawicielom piaszczystych latyfundiów Pomorza lub Brandenburgii? Czy iść za radą tylko co wzmiankowanego ekonomisty i zapuścić swoje grunty pod las? Czy może zaufać gabinetowemu teoretykowi, że Amerykanie, prowadząc wyuzdaną gospodarkę, wyjąłowią niebawem swoją glebę? Atoli gruntów tam jest co niemiara i agromomi podają, że dolina tej lub innej rzeki zdoła dostarczyć pszenicy dla całego globu, a jak dotychczas, nie była nawet połączoną przez pługi. Dzisiaj uprawiona ziemia może uleść wyniszczeniu, ale na jakąś setkę lat starczy innych. A kto wie, co przez ten czas stanie się z junkrem niemieckim, lub angielskim landlordem! Umysł ziemiański z odpowiednich okolic Niemiec wynalazł jednak rozwiązanie, na które uyskał już przedwstępną sankcyę sejmową. Kiedyś Rodbertus marzył o stworzeniu zamożnego włościaństwa za pomocą osad rentowych. Obliczono-by rentę roczną z pewnego kawałka ziemi, a drobny rolnik wstąpił-by w posiadanie osady, zgoła nie spłacając wartości, ale stale uiszczając rentę, która nadto częściowo lub całkowicie mogła-by zostać zastąpiona przez osobistą pracę jego na folwarku. Zresztą osadnik miał-by prawo wykupu osady, gdyby zechciał skapitalizować rentę. Rodbertus swój projekt wypracował wówczas, kiedy dochód z ziemi bezustannie podnosił się—wobec wzrostu dochodów z uiszczania tej samej renty osadnik mógł z czasem, za zrobione oszczędności, wykupić osadę na własność bezwzględną. Zamiary te spełzły na niczem, junkrzy bowiem nie należeli do głupców, którzy komuś darmo oddali-by roczny przyrost dochodu. Dzisiaj warunki uległy głębokiej zmianie. Od lat kilkunastu renta spada wraz z wartością majątków. W tych okolicznościach wywleczono z grobu imię junkra-socjalisty i pod urokiem jego błogosławieństwa wcielono w życie prawa rentowe. Ponieważ dochód spada, a zatem sprzedaż kawałków z obowiązkiem uiszczania dzisiaj ustanowionej renty okazuje się bardzo dobrym interesem. A że włościanin rentę może uiszczać w naturaliach i w pracy, przeto mamy mnóstwo pierwiastków, właściwych dawnemu przymocowaniu do gleby, ile że właścicielowi osady rentowej nie wolno jej opuszczać...

IV.

Dawne rasy—terytoryalne. Panowanie kundmanów nad hodowcami. Zootechnika i jej marzenia. Powstanie ras funkcyjnalnych i przyszłe żywe maszyny. Mrzonki Malthusa w oświeceniu terażniejszym.

Pradziadowie pozostawili nam w spadku różne rasy bydła i odmiany roślin, ale dość wejrzeć nieco bliżej w ich istotę, ażeby spostrzedz, że stoimy wśród rutyny i zaściankowości. Nie człowiek bowiem stwarzał te różnice i wywoływał ulepszenia, lecz czyniły to warunki klimatyczne, które w danej miejscowości działały bezustannie w ciągu wieków na organizm zwierzęcia i wyrzucały z pośród trzody nieodpowiednie okazy, powstające zaś cechy utrwały, czemu sprzyjała odrębność zaścianku. Człowiek nie rozkazywał żywej przyrodzie, z której czerpał pokarmy, lecz jedynie korzystał ze zmian, jakie zaszły bez jego udziału. Na górskich pastwiskach Szwajcaryi powstała pewna, w nizinach Holandyi inna odmiana krowy i t. d., a taka rasa, ukazawszy się w danej miejscowości, nie opuszczała granic swojej ojczyzny, chyba że fantazya jakiegoś zagranicznego panka wyprowadziła ją za progi rodzimego ustronia. Wyjątek stanowią konie, które już nader wcześniej wyswobodziły się z pod oków zaściankowości, gdyż wojenne znaczenie konnicy w epoce średniowiecznej nadało rumakowi olbrzymią wagę, a wyprawy zbliżyły do siebie żywe wytwory rozmaitych okolic. Dopiero nieustająca rewolucya, która z końcem wieku przeszłego i z biegiem obecnego wżera się w środki przewozowe i wywołuje szybszy obrót wymiany, targa to przymocowanie do gleby ras pierwotnych. Nietylko ludzie poczynają odbiegać od mogiłek, gdzie spoczywają kości dziadów i pradziadów, i mieszać się wzajemnie, ale i rasy zwierząt puszczają się na wielką wędrówkę po globie ziemskim, niosąc w swej nazwie znamię przeszłości i pochodzenia. W miarę tego, jak stosunki wymienne potężnieją, istota ludzka zapoznaje się z rasami, które ukazały się w różnych zaściankach, i poczyną jedne z nich cenić za te, inne za owe zalety. Wyróżnia je według gniazd ojczystych, a zatem mówi o krowie holenderskiej, pszenicy sandomierskiej, kapuście włoskiej, trzodzie chlewnej yorkshirskiej. Zaniedbuje niektórych dawnych gatunków, a hoduje lub uprawia zagraniczne, odpowiedniejsze. Jazda kolejną żelazną przewybornie uzmysławia to najście jednych kultur na inne. Z okna pociągu widzimy chaty polskiego włościanina, a niekiedy i samego człowieka w starodawnym stroju; tam znowu wynurza się z pośród drzew domek wieśniaka szwajcarskiego z zielonemi okiennicami—kilka minut dalej rozsiadła się buda kosmopolityczna dróżnika, której struktura rozpowszechnia się coraz szerzej wraz z liniami kolejowemi,

aż wreszcie nadejdzie chwila, gdy dawna różnorodność zniknie przed szablonością koszarowej architektury miejskiej. W ten sam sposób wędruje strój, narzędzia, rasy bydła, odmiany warzyw. „W Saksonii—mówi gdzieś Schippel—placzą się nici z najdalszych zakątków, a wystarczającego samemu sobie włościanina nie podobna znaleźć nawet ze świecą. Sztuczne nawozy i pasza, np. saletra chilijska i wyciąg olejowy, przybywają z za morza; konie belgijskie ciągną wozy, woitlandzkie woły idą w jarzmie, a bawarskie stoją na wypasie, krowy pochodzą z Holandii, jagnięta z Pomeranii i Meklemburgii. Nabiał idzie do Berlina; woły opasowe, zboże, groch do dzielnic przemysłowych na zachodzie kraju, barany do Anglii i Francji, buraki cukrowe w swojej przerobionej formie we wszystkie zakątki świata. Burzliwym potokiem biegnie tegoczesne życie ekonomiczne poprzez tutejsze gospodarstwa, wciąż coś dając i coś zabierając; karmione ze źródeł, rozproszonych po całym świecie, wlewa się ono tysiącami odnogami do morza rynku wszechświatowego.“

To mieszanie się i przenikanie wzajemne stanowi dopiero pierwsze ogniwo w rozwoju hodowli. Spadek, otrzymany po dalekiej przeszłości, niebawem staje się niedostateczny. Olbrzymie miasta wymagają stalego z dnia na dzień dowozu najrozmaitszych produktów: jaj, kurcząt, masła, mięsa, ostryg, owoców, a kto ze swoim towarem przypadnie do smaku spożywającej publiczności, może ufać, że kundmanów mu nie zabraknie. To też dzisiejsze wielkie przedsiębiorstwa uważnie badają upodobania ogółu spożywczego. Jeśli w małym miasteczku włościanka, która podczas zawiei śnieżnej przyniosła na rynek kilka osełek masła, czuje się władczynią kundmanów, a rzeźnik rzuca ochłapami mięsa w twarz służącej, która coś dogaduje, tedy na wielkim targowisku dzieje się zgoła inaczej. Producent, względnie jego zastępca, pośrednik, tańczący przed spożywcami, niby pies pokojowy na łapkach przed panią. Publiczność jest tutaj wszechwładną i w żadnej dzisiejszej demokracji rząd nie korzy się tak przed ludem, jak się to dzieje w zakresie handlu. Ktoś, mówiąc o berlińskim targu bydłem, z całą mocą zaznacza to skakanie hodowców przed spożywcami. „Wielcy posiadacze rolni—czytamy tutaj—produkują mięso w sposób zgoła kupiecki, t. j. z możliwym stosowaniem techniki i doświadczenia gospodarskiego, i nie spuszczaają z oka panujących na rynku gustów, np. względem tak łaknionych na rynku wołowym skrzyżowań rasy krótkogłowej, lub na skopowym tak rozchwytywanych przez Francję ras niemiecko-angielskich.“ Prof. Wilkens w swem sprawozdaniu z podróży agronomicznej po Ameryce północnej notuje na każdym kroku tę dążność u tamtejszych hodowców. „Amerykanie bardzo się starają o to, aby towar był ułożony z powabem i jednakowo; każdy rolnik i każdy ogrodnik uważa

za rzecz słuszną, aby w upakowaniu towarów i doborze zewnętrznego ich wyglądu uczynić zadość smakowi publiczności.“ Między innymi mamy pod ręką cyrkularz p. Ruska, kierownika departamentu rolnictwa, kiedy przy tym ostatnim otwierano oddział mleczywa. „Ażeby nasze gospodarstwo nabiałowe—głosi urzędowy stylista—uzdolnić do walki na rynku, przedsiębiorcy winni być obznajomieni z właściwościami gustów obcokrajowych.“ To rozkazywanie wytwórcom, to dogadzanie z ich strony kaprysom spożywców jest ową różdżką czarodziejską, która rządzi rozwojem nowoczesnej techniki hodowlanej, usuwa gorsze rasy i zastępuje je innymi, ba! nawet przebąkuje o stwarzaniu nowych gatunków. Hodowla z uprawą poszły zgoła nowymi torami, a najśmielszy w swych przepowiedniach marzyciel może okazać się niedalekovidzącym filistrem. Troskliwość, z jaką hodowcy chodzą około bydła, jest coraz większa. Chwila obecna odbiegła bardzo daleko od tego stanu rzeczy, kiedy Niemcy widziały przed sobą wzory następujące: „tu i owdzie wleką się te istne góry gnatów, powleczone strupiąstą skórą, szukając rzadkiej i wyschłej trawy. Bez siły i mleka ciągną wieczorem do swojej obory i ryczą tam z głodu i niedostatku.“ Stosunki obecne odbiegły tak daleko od takiej hodowli, iż od przyszłości terazniejszość może oczekiwać raczej innego zarzutu, mianowicie, że więcej troszczyła się o jakieś bydło, niż o człowieka. Poeta naigrawa się ze świata starożytnego, że miał sztukę i naukę, rozprawiał o filozofii, lecz plwał na pomarszczoną twarz starców i trzymał ciżby niewolnicze. Nadchodzące stulecia będą mówiły o naszym, że stworzyło pałace dla krów i zastosował higienę do bydła, ale zapomniał o ludziach. Wejdźmy np. do fermy Mountain Side (N. Jersey), trudniącej się produkowaniem mleka. W oborach stoi tam 124 krów, a doi się je za pomocą ssawek pneumatycznych, z których mleko przez rurę dostaje się po-za oborę, ażeby nie nabrało znanej woni. Krowy otrzymują pokarm jedynie w oznaczonych godzinach, tak bowiem higiena nakazuje; nie dostają innej wody, jak przegotowaną i o stałej temperaturze 18.3° Cels., a którą podaje się im w mechanicznie poruszanych konewkach; pod każdą czworonożną obywatelką jest zawieszona sól do lizania. Obory są oświetlone gazem, czystość—wzorowa. Towarzystwa akcyjne, zajmujące się tym samym procederem w okolicy Kopenhagi, posunęły jeszcze dalej swoją troskliwość: zarząd tak dba o swoje poddanki, że nawet psy wydalili z sąsiedztwa, ponieważ ich szczekanie przestrasza krowy, skutkiem czego psuje się mleko. A wraz z taką troskliwością o zwierzęta i usługowość względem gustów publiczności, wzrasta dążność w kierunku celowego oddziaływania na hodowane rasy i pielęgnowania tylko tych okazów, które posiadają pożądaną cechę w najwyższym stopniu. W Saksonii, w niektórych folwarkach, wyćwi-

czony specjalista bada każde jagnię zaraz po urodzeniu co do jakości przyszłego runa na grzbiecie; nie dające obietnicy pomyslniej usuwają się z trzody; po roku czasu wybrane osobniki jeszcze raz przechodzą przez taką samą próbę, a które z nich zawiodły, te się wybrakowują. W ten sposób hodowca pozostawia do krzyżowania jedynie okazy najwybrańsze, przekazujące w spadku swoje runo potomkom, z którymi człowiek postępuje tak samo, jak z rodzicami. Przykład ten uwidocznia nam zasady, które rządzą dzisiejszą hodowlą. Tym sposobem, w ciągu kilkunastu pokoleń wytworzono udoskonaloną rasę jedwabników, dającą nierównie więcej surowego jedwabiu; ulepszoną odmianę buraków, zawierającą w danej wodzie daleko znaczniejszy procent cukru i t. d. Nawet o ostrygach J. Nelson, kierownik pewnej stacyi agronomicznej w Stanach Zjednoczonych, która zajmuje się wyłączną hodowlą tych mięczaków, ma śmiałość utrzymywać, że „nie powinniśmy się dziwić, kiedy nadejdzie dzień, w którym o hodowli ostryg ludzie będą tak samo rozprawiali, jak dzisiaj o trzodzie chlewnej. Dziki odyniec zgoła nie będzie nie podobniejszym do dobrej sztuki czystej rasy, niż nasze ostrzygi do przyszyłych.“ Interes przedsiębiorców, kupujących środki żywności w surowej postaci celem przeróbki, czuwa troskliwie, ażeby hodowcy wywiązali się ze swojej powinności gospodarczej. Jak umowy cukrowni z plantatorami buraków są poniekąd zbiorem przepisów, według których rolnik winien uprawiać daną roślinę, podobnie wyrobie szynek i konserw zobowiązują do hodowania nierogacizny lub owoców określonej rasy, a fabryki masła—do trzymania krów, dających z góry wyznaczone minimum mleka. Praktyczny yankes, sypiący pieniądze, jak plewy, ilekroć poniesiony wydatek obiecuje w przyszłości przynieść sowity plon odsetkowy, przeplacał i przeplaca okazy wyjątkowej dobroci. Ceny dwuletnich krów na postępowych fermach mlecznych wahają się zwykle około 200—450 dolarów, dochodząc niekiedy 1,100. Cóż mówić dopiero o arystokracji czworonożnej! Kiedy pewien agronom niemiecki dowiedział się, iż za rasowego byka płacono Anglikom po 40 tysięcy dolarów i więcej, niemal że ubolewał nad warcholstwem kuma Jonathana, biadając, że za pewną sztukę tyle on płaci, za ile można było-by wybudować całą wioskę z kościołem; Europa się jednak przekonała, iż Amerykanie umieścili swoje kapitały na dobrej hipotece i już dzisiaj ciągną zyski ze swojej szczodroblivości, sprzedają bowiem angielskim hodowcom masowo udoskonalone bydło. *Herd-books*, owe genealogiczne drzewa bydła, które powstały w Anglii, doznały szalonego rozwoju po tamtej stronie Atlantyku. Dostyć powiedzieć, że *Jersey Cattle Club* w swoim archiwum posiada rodowód aż 50 tys. żyjących krów amerykańskich. Chyba niema większej ironii dziejowej nad tę okoliczność, że kiedy herbarze ze swojemi genealo-

giami idą w zapomnienie, znaczenie takich *Herd-books* coraz to wzrasta a rolnictwo woła o kontrolę państwową nad powstającą śmietanką eugenizmu zwierzęcego. Atoli dążność ta hodowlana, mimo swoich drzew genealogicznych, jest nawskroś demokratyczna: idzie tutaj nie o przeciwstawienie nielicznych okazów milionom gminu rogatego, ale o podniesienie pospółstwa do poziomu eugenistów. Znajduje ona poważniejszą tamę jedynie w istnieniu drobnych osad włosciańskich, zaśnie-działych w rutynie staroczesnej.

Z powstaniem *Herd-booków* i celowym doborem małżeńskim, jaki człowiek prowadzi w swoich trzodach systematycznie, z ukazaniem się zootechniki, t. j. inżynierii hodowlanej, najbardziej rutyniczna gałąź ludzkiej działalności, a taką bezwarunkowo jest hodowla bydła i produkcja nabiału, została wtrącona w otchłań nienastającej rewolucji technicznej. Człowiek ją kształtować siły przyrody, upostaciowane w zwierzęciu i roślinie, zgodnie ze swojemi potrzebami. Targnął się on swoją ręką na wiekowe przyzwyczajenia i wiekowe zapowiedzi organizmu zwierzęcego. Minęły te czasy, kiedy londyńskie towarzystwo ogrodnicze odrzucało, jako rzecz świętokradzką, projekt o sztucznem zapładnianiu roślin. Hodowca dzisiaj nie baczy na żadne względy. Ponieważ spostrzegł, że ilość ruchu, jakiego używa krowa, jest w odwrotnym stosunku do wydajności jej wymion, przeto nałożył swoją dłoń na odwieczną potrzebę organizmu krowiego—ciągle przebywanie w ruchu na świeżem powietrzu; spostrzegłszy, że wydatek energii, który idzie na przyozdobienie zwierzęcia rogami, jest stracony, bo mógł-by zostać zużytkowany produkcyjnie, rozmyśla o rugowaniu tej ozdoby. Na fermach mlecznych hodowca troskliwie przypatruje się swoim krowom, czy nie są one zbyt namiętne, czy nie posiadają skłonności histerycznych, albo nie są chorowitej budowy, najkardynalniejsze bowiem namiętności odbijają się ujemnie na jakości mleka. Wszystkie okazy, które posiadają niepożądane rysy charakteru, ulegają wyklęciu; nie wolno im posiadać potomstwa, któremu mogły-by przekazać w spadku swoje cechy. Dziedziczność staje się dźwignią, za której pomocą człowiek dopina swoich celów i stwarza nowe gatunki. Bo czemuż będzie krowa przyszłości, którą oduczono od ruchu, pozbawiono namiętności, zamknięto w oborze? Będzie ona okazem nie holenderskiej i nie szwajcarskiej rasy, ale mlekodajnej. Nad rozwiązaniem tego zadania pracują inżynierowie hodowlani na odpowiednich stacyach. Ideałem ich jest żyjąca maszyna—wymię,—która, pochłaniając surowy materiał określonej treści, przerabiała-by go na mleko, a nadto płodziła inne okazy podobnych maszyn. Czy posiadaczka wymion będzie miała rogi i silne nogi, lub ostre zmysły, jest to dla nich rzecz najobojętniejsza. Mimowoli nasuwa się nam pewne zestawienie i z innymi ogniwami

świata zwierzęcego—pasorzytami. Twory te, przed tysiącami, a raczej setkami tysięcy lat, były zgoła odmiennymi istotami—ruchliwymi, posiadającymi zmysły i członki, jak to jeszcze dzisiaj widzimy w młodym wieku u tych pieczeniarczy zwierzęcych. Dopiero z biegiem czasu, gdy przodkowie pasorzytów znaleźli schronienie korzystne w innym organizmie i własna praca stała się im zbyt ciężką, zaczęli tracić niepotrzebne dłużej w walce o byt organa i zdolności. Podobnie krowa była kiedyś zwierzęciem, które samo musiało troszczyć się o swój byt, nawet gdy człowiek już je ujarzmił. Tymczasem przyszłość gotowa jest zerwać z tą tradycją, bo istota ludzka zmierza do uwolnienia zwierzęcia od wszelkiej troski, ruchu, namiętności. Do jakiego stopnia organizm mlekodajny zostanie wykoszlawiony pod wpływem tej dążności, w rozstrzyganie tej kwestyi zapuszczać się nie będziemy; chociaż rzecz jest pewna, że kalectwo może posunąć się bardzo daleko i z jednolitej ongi rasy bydła rogatego wydzielić mleczny gatunek zwierzęcia, zupełnie odmienny od tego, który dostarcza mięsa, a jeszcze bardziej od przeznaczonego do dźwigania ciężarów. To samo spostrzegamy i w innych zakresach hodowli. Dawne rasy terytoryalne były wszechstronnymi, zdolnymi do spełniania wszystkich wymaganych czynności, jakkolwiek u niektórych można było dostrzedz już pewne zróżniczkowanie charakteru funkcjonalnego. Dzisiejsza chwila wzięła te różnice, istniejące w łonie ras terytoryalnych, za punkt wyjścia do odbywającego się obecnie przewrotu, w którym już od początku zarysowała się nowa dążność: stworzenia ras funkcjonalnych. Rasa jerseyjska dostarczyła podstawy dla powstania rasy, dającej mleko na masło, a holenderska—na sery, voigtlandzka—jucznej, shorthornska—mięsnej. Zamiary te, lubo w całej swojej rozciągłości datują się od niedawna, zdążyły już wywrzeć swoje skutki. Z pośród mnóstwa usiłowań w tym kierunku wybieramy do rozbioru te, które hodowcy czynią dla zróżniczkowania kur na rasy jajonośną i mięsną. Istnieją (np. w Genewie pod N. Yorkiem) nawet specjalne stacje, zajmujące się odpowiednimi próbami zootechnicznymi: przeciętną wagą jaj przy danym pokarmie dla określonej rasy, różnicami w składzie pożywym jaj, zniesionych przez rozmaite odmiany, ilością i wagą rocznej wydajności. Jaja kur, które najbardziej czynią zadość stawianym wymaganiom, są przeznaczone do wychowku rasy ulepszonej. Rasy hiszpańskie, crève-coeur i in., zwolna zamieniają się na jajonośne, ambicya zaś obecnych zootechników dopięła tego, że jedno jajko waży 100 gramów, a kura znosi 220 sztuk rocznie, to jest daje 22 kilogramy pokarmu — są to rezultaty, otrzymane już przed dziesięciu laty. Natomiast rasy Plymouth-rocks stają się mięsnymi, a swój wybór zawdzięczają posiadaniu rozwiniętych skrzydeł, które sprzyjają wyrobieniu mięśni, a zatem i mięsa.

I na czem zatrzyma się ta działalność ręki ludzkiej, skierowana ku ujarzmieniu sił żyjącej przyrody i nadaniu jej form, najkorzystniejszych dla człowieka? Weźmy do ręki dzieło p. Mortillet'a, poświęcone zbadaniu początków myśliwstwa, rybołówstwa i rolnictwa. W końcu książki autor występuje z żądaniem założenia instytutów ewolucyjnych, w których wytwarzano-by nowe gatunki zwierząt. „Francya — tak kończy on swoją pracę — jest ojczyzną teorii przeródtwa, na niej też ciąży obowiązek wykazania wszystkich korzyści praktycznych, których wolno się spodziewać z tego odkrycia. Francya z Paryżem na czele winna założyć pierwszą szkołę praktyczną przeródtwa i ewolucyi.“ Ani jeden z zootechników nie pewątpiewa o ziszczalności podobnych marzeń, na to trzeba było-by być drugim niewiernym Tomaszem—wobec wzorów, które dojrzewają w terażniejszości. Rzeczywistość zadała kłam wszystkim posępnym teoryom, które wyłoniły się z doktryny Malthusa, zootechnika zaś świadczy, że w obecnej chwili cywilizowana ludzkość z większą prędkością może pomnożyć swoje za pasy żywności aniżeli przedstawicieli własnego gatunku. Ogólnie uznane powagi na polu zootechniki dowiodły, że przeciętna roczna wydajność krowy wzrosła w Anglii od roku 1878 do 1890 przynajmniej o 40 galonów mleka. A ponieważ w tym kraju znajduje się około 3 $\frac{1}{2}$, miliona krów, przeto zasoby mleka, skutkiem postępu hodowlanego, w ciągu lat 12 zwiększyły się o 630 mil. litrów; innemi słowy: każdy obywatel Anglii, który jeszcze nie skończył pięciu lat, może spożywać o $\frac{1}{2}$ litra dziennie mleka więcej, niż przed r. 1878. W zakresie hodowli wołów można w ciągu lat 2—3 otrzymać tę samą wagę mięsa, na jaką trzeba było czekać dawniej lat 5. Innemi słowy (jeżeli doliczymy niewchodzące do powyższego rachunku lata młode), w kraju liczba wołów może spaść z 6 mil. na cztery, a jednak ilość dostarczanego mięsa pozostanie bez zmiany — zjawisko zupełnie analogiczne z tem, jakie spotykamy w zakresie przemysłu, gdzie cyfra warsztatów tkackich się zmniejsza, wówczas gdy wyrabiany produkt jest obfitszy. A cóż-by się dopiero okazało, gdybyśmy pod uwagę wzięli nie istniejącą rzeczywistość, ale obliczenia idealne, uskutecznione według wzorów, najdalej posuniętych terażniejszej chwili! Okazało-by się, że przy tej samej ilości kur mogli-byśmy otrzymać jakieś dziesięć razy więcej pokarmu, zawartego w jajach, że krowa dała-by nie o 40 galonów, ale może dwa razy więcej mleka i t. d. Z góry niepodobna przewidzieć całego postępu, ile że stoimy dopiero u progu przewrotu hodowlanego. Jest to dopiero jakby zorza poranna, która zwiastuje blizkie wypłynięcie na niebiosa, rzucającego światło i ciepło, słońca. A ambicya uczonych inżynierów zootechniki sięga o wiele dalej, niż to daje się spostrzedz z powyższego opisu; są nawet tacy, którzy myślą o sprowadzeniu w pasie umiarkowa-

nym dwu żniw rocznie przy pomocy odpowiedniego nawozu, oraz wyhodowaniu stosownego gatunku zboża. Hodowla ryb np. uczyniła w ostatnich czasach takie postępy, że często można się spotkać ze zdaniem, jako ocean zdołał-by już dzisiaj, przy odpowiedniej hodowli, wyżywić całą ludzkość, i że mórg wody wydać może dziesięć razy tyle pokarmu, ile taka sama przestrzeń gruntów. Chociaż wraz z Fourierem nie będziemy marzyli o tem, że nadejdą czasy, gdy wody morskie zamienione zostaną na zbiorniki limoniady, to jednak mamy prawo mówić, że staną się one kopalnią nieprzebranego pokarmu, którym nietylko karmić się będą ludzie, ale w którym znajdą oni niewyczerpane skarby nawozu dla pól i paszy dla bydła i drobiu...

V.

Temperament farmerów amerykańskich jest dźwignią postępu zootechnicznego. Jaką jest podnieta, tutaj działająca? Zootechniczne laboratoria zamorskie. Czem Europa myśli zastąpić inicjatywę yankesów?

Każdy istotny przewrót wymaga odpowiednich sobie narzędzi—stosownego temperamentu ludzi. Zootechnika niegdyś,—wtedy, kiedy stawiała dopiero pierwsze kroki—szła pod opieką fantazy pańskiej. Atoli ta działaczka nie miała żadnej stałej podniety, która-by ją utrzymywała w ciągłym zainteresowaniu, prócz hymnów dziennikarskich, które, naturalnie, prędzej lub później przejeść jej się musiały; jedynie stadniny koni cieszyły się nieustanną opieką z tej strony, ponieważ właśnie istniała tutaj taka podnieta. I pod tym względem epoka dzisiejsza różni się od poprzednich, gdyż podnieta w kierunku postępów zootechniki działa na całe masy, chociaż z niejednakowem napięciem w poszczególnych okolicach. Związek amerykański przoduje; jego przestrzenie są retortą, w której powstają typy ludzkie, jakich wymaga przewrót, odbywający się w hodowli. Nie mówimy o właścicielach wielkich folwarków pszennych, mlecznych, hodowlanych i t. d., o których „zdrowym rozsądku“ uczeni ekonomiści europejscy długo powątpiewali, póki nie przekonali się o swoim błędzie z rezultatów: zgarbiania dobrych zysków przez zamorskich warcholów. Ale i drobni farmerzy, odpowiadający naszemu zamożnemu włościaninowi, są jakby odmienną rasą ludzi. Jeden z wybitniejszych publicystów francuskich o swoim rodaku odzywa się, iż łatwiej będzie osła z Poitou nauczyć deklamować wiersze, niż wieśniaka skłonić do dobrowolnej asocjacji wyśilków. Otóż ten sam pisarz jak odmienny kreśli obraz drobnego farmera amerykańskiego! „Drobni farmerzy dalekiego Zachodu—czytamy

u niego—są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina europejskiego, krom jego chciwości. Są przybyszami z dalekich krajów i po-za sobą zostawili wszystkie nawyki, przesady, zwyczaje, bezwładność myśli, które w Starym świecie stoją na przeszkodzie wszelkiemu rozwojowi. Nie są, na wzór włościan europejskich, opętani owem piekielnem łaknieniem gruntu, upoetyzowanym przez Michelet'a, Proudhon'a i in. wielkich mężów pospolitego demokracji. W preryach Zachodu zbywa na wszelkiej wymarzonej uczuciowości. Nie wskrzeszają one w pamięci dni dzieciństwa, kolebka fermiera nie stała na tej ziemi, a on nie stąpa po mogiłach swoich przodków. Fermer przestał żyć jako ostryga, od chwili przyścia na świat aż do zgonu przymocowana do tej samej gleby. Jest on rolnikiem nie po to, ażeby zlać się w jedność z macierzą-ziemią, ale żeby ją wyzyskiwać i wydzierać u niej majątek. Gdy pola jego są blizkie wyczerpania, porzuca je; kiedy odkryto gdzieś obszary dziewicze, podąża ku nim! Po raz pierwszy, od kiedy ludzkość przeżyła okres pasterstwa, rolnik stargał swój mistyczny związek z glebą i jej płodami, a odzyskał dumną niezależność koczownika.“ Na czele takiej armii idą wielcy przedsiębiorcy rolni w Ameryce. W ciele i prostych szeregowców, i wodzów, niema tam, jak u ślamazarnych jakichś histeryków, dwóch dusz, z których jedna łąknie jednego, druga innego. Nad całym jestestwem rolnika amerykańskiego panuje wszechpożerająca go żądza—zysków. Chuć interesu wzarała się w istotę fermiera; gdyby piekło było korzystną areną dla *businessu*, opuścił-by niebo, aby dobrać się tam do zysku. Jest to właśnie owa dźwignia dziejowa, która pcha hodowlę na nowe tory... Na fermie amerykańskiej niema owych Czarnuszek, o których rozumie rozprawiają przy wieczerzy, ani Białoszek, dla których działwą chowa po okruszynie chleba. O, nie! Krowa jest tam tylko tragarką pewnej sumy dolarów, a jej dzieje—to ukazywanie się obok sumy zakładowej drobniejszych, odsetkowych. Usiłowania wszystkie są skierowane ku temu, aby tych odsetek było jak najwięcej. W tych zabiegach fermer zwraca się o pomoc do zootechniki. Niegdyś, zresztą i dzisiaj w Europie, hodowcy wydzielali przyrodzie jej tajemnice hodowli na drodze prywatnych wysiłków, które okupywano niekiedy zbyt wielkim haraczem w porównaniu z otrzymanymi korzyściami. Jasną jest rzeczą, że takie postępowanie nie bardzo uśmiecha się fermerowi amerykańskiemu. Wie on, że zootechnika potrzebuje dla swoich postępów olbrzymich środków pieniężnych, wielkich laboratoryów hodowlanych i rolnych, całej organizacji dla rozpowszechniania zdobytych wiadomości, i z tego powodu zwrócił się do państwa, aby było czemś więcej, niż nocnym stróżem—podjęło zadania, przewyższające środki prywatne. Rząd zrozumiał swoje obowiązki. Pierwsza stacya doświad-

czalna ukazała się w r. 1875, a w r. 1889 było ich już 46. Znajdują się one pod kierownictwem odpowiedniego departamentu, który pośredniczy pomiędzy niemi, łączy ich działalności i rozpowszechnia wyniki. A jakich studyów tam niema! Lexingtonska jest zajęta jedynie poszukiwaniami nad kartoflami, których uprawia 83 gatunki; Fort Collins hoduje 366 odmian pszenicy, 34 jęczmienia, 52 owsa; Lincolnka bada aż 176 odmian kartofli; Burlingtońska jest stacją mleczną, Genewska hoduje kury i t. d. Centralny urząd wypuszcza *farmers' bulletins*, tak jasno i popularnie ułożone, ażeby fermer zdołał je zrozumieć, i tak praktyczne, żeby je wziął do serca. Ażeby działalność laboratoryów związać z bieżącymi potrzebami, urządzono je tak, iż każdy rolnik może się zwrócić z żądaniem bezpłatnego przeprowadzenia pewnych prób. „Amerykańskie stacye doświadczalne—pisze prof. Wilkens—znajdują się w ścisłym związku z fermami swego stanu i o wiele lepiej poznały ich potrzeby, aniżeli to widzimy w Niemczech, gdzie pracownik na stacyi i praktyczny rolnik są odgradzeni od siebie nawzajem wysokim murem, gdyż jeden drugiego nie rozumie. Wielką zaletą wydawnictw stacyi amerykańskich jest to, że łatwo je pojąć. Każda naukowa rozprawka, wydana przez nie, w swoim zakończeniu podaje wnioski natury praktycznej. Stacye te może zbyt wiele i zanadto ogłaszają, tak, iż to lub owo ukazuje się na świat w postaci niedojrzałej; wogóle jednak są wiernymi i sumiennymi doradczyniami swego stanu i pionierkami postępu rolnego.“

Wśród europejskiej rzeszy rolnej zbywa na owej chuci, która w Ameryce przewraca do góry nogami dawne wzory—przynajmniej jest ona względnie wyjątkową. Atoli napływ tanich zamorskich produktów rolnych zalewa naszą część świata. Teoretycy, mało ufający prywatnej pobudce i jeszcze mniej szlabanom celnym, zwracają oczy ku państwowej, która ze swej strony równie czuje pewne zaniepokojenie, gdyż ruina rolnictwa—to ubytek sił podatkowych kraju. Coraz częściej dają się słyszeć głosy o potrzebie nowego sztabu biurowego—agronomów państwowych, którzy w zakresie swojego powiatu kierowali-by uprawą i udzielali wskazówek z siłą przymusową; o gminnych buhajach i innych rasowcach, które jedynie posiadały-by prawo zapładniać samice; o hodowaniu na koronnych gruntach nasion i o przymusie, ażeby włościanin innem ziarnem nie zasiewał pól swoich i t. d. Westchnienia te świadczą, że nawet dla zaścianków mija już doba rutyny hodowlanej, a czego nie dokazała inicjatywa prywatna, do tego zabiera się zaniepokojony fiskalizm.

.

A zatem gospodarstwo rolne i hodowlę, przeróbkę środków żywności, wreszcie samego człowieka rzucono jakby w olbrzymią odlewnię, w której starzyzna winna uleść odlaniu w nowe formy. Jakież? Na to odpowiedzieć zdołała-by jedynie analiza, w jakim kierunku zmieniają stosunki własności ziemskiej. Jeżeli okażą się one zbyt nieelastycznymi, wszystkie nadzieje zootechników mogą spełznąć na niczem. Atoli zagadnienie to wybiega po-za ramki, zakresłone niniejszej pracy.

K. R. ŻYWIŃSKI.

Bądź błogosławiona.

LEGENDA INDYJSKA.

Raz, w jasną noc księżycową, mądry a wielki Kryszna zamyslił się głęboko i rzekł:

— Myślałem, że człowiek jest najpiękniejszym tworem na ziemi— i myliłem się. Oto widzę kwiat lotusu, kołysany nocnym powiewem. O ileż on piękniejszy od wszystkich żyjących istot: listki jego otwarły się właśnie na srebrne światło księżyca — i oczu nie mogę od niego oderwać...

— Tak, niema między ludźmi nic podobnego,—powtórzył z westchnieniem.

Ale po chwili pomyślał:

— Dlaczego-bym ja, bóg, nie miał potęgą słowa stworzyć istoty, która-by była tem między ludźmi, czem lotus między kwiatami? Niech więc tak będzie na radość ludziom i ziemi. Lotusie, zmień się w żyjącą dziewczicę i stań przede mną.

Zadrżała wnet lecinchno fala, jakby trącona skrzydłem jaskółki, noc rozjaśniła się, księżyc zabłysnął mocniej na niebie, rozśpiewały się głośniejsze nocne drozdy, a potem nagle umilkły. I czar się spełnił: przed Kryszną stanął lotus w ludzkiej postaci.

Sam bożek zdumiał się.

— Byłaś kwiatem jeziora, — rzekł, — bądź odtąd kwiatem myśli mojej i przemów.

A dziewczyna poczęła szeptać tak cicho, jak szemrzą białe płatki lotusu, całowane letnim powiewem:

— Paniel zmieniłeś mnie w żywą istotę; gdzież mi teraz zamieszkać będziesz? Pamiętaj, panie, że gdy byłam kwiatem, drżałam i tuliłam listki za każdym tchnieniem wiatru. Bałam się, panie, nawalnych dżdżów i burzy, bałam się gromów i błyskawic, bałam się nawet palących promieni słońca. Tyś mi kazał być wcieleniem lotusu, więc zachowałam dawną naturę i teraz boję się, panie, ziemi i wszystkiego, co się na niej znajduje... Gdzież mi zamieszkać będziesz?

Kryszna podniósł mądre oczy ku gwiazdom, przez chwilę myślał, poczem spytał:

— Chcesz żyć na szczytach gór?

— Tam śniegi i zimno, panie: boję się.

— A więc... Zbuduję ci pałac z kryształu na dnie jeziora.

— W głębinach wód przesuwają się węże i inne potwory: boję się, panie!

— Chcesz stepów bez końca?

— O, paniel wichry i burze tratują stepy, nakształt stad dzikich.

— Cóż z tobą uczynić, kwiecie wcielony?... Ha! w pieczarach Ellory żyją święci pustelnicy... Czy chcesz zamieszkać, zdala od świata, w pieczarze?

— Ciemno tam, panie: boję się.

Kryszna usiadł na kamieniu i wsparł głowę na rękę. Dziewczyna stała przed nim drżąca i przestraszona.

Tymczasem zorza poczęła rozświecać niebo na wschodzie. Ozłociła się toń jeziora, palmy i bambusy. Chórem ozwały się różowe czaple, błękitne zórawie i białe łabędzie na wodach, pawie i bengali w lasach, a do wtóru im rozległy się dźwięki strun, nawiązanych na muszlę perłową, i słowa ludzkiej pieśni.

Kryszna obudził się z zadumy i rzekł:

— To poeta Walmiki wita wschód słońca.

Po chwili rozsunęły się firanki purpurowych kwiatów, pokrywających liiany, i nad jeziorem ukazał się Walmiki.

Ujrawszy wcielony lotus, przestał grać. Perłowa muszla wysunęła mu się zwolna z dłoni na ziemię, ręce opadły wzdłuż bioder i stanął niemy, jak gdyby wielki Kryszna zmienił go w drzewo nadwodne.

A bożek ucieszył się z tego podziwu nad własnym dziełem i rzekł:

— Zbudź się, Walmiki, i przemów.

I Walmiki przemówił:

— Kocham!...

To jedno słowo tylko pamiętał i to jedno mógł wypowiedzieć.

Twarz Kryszny rozpromieniła się nagle.

— Cudna dziewczyno, — rzekł, — znalazłem godne ciebie miejsce na świecie: zamieszkaj w sercu poety.

Walmiki zaś powtórzył po raz drugi:

— Kocham!...

Wola potężnego Kryszny, wola bóstwa poczęła popychać dziewczynę ku sercu poety. Bożek uczynił też serce Walmiki przejrzystym jak kryształ.

Pogodna jak dzień letni, spokojna jak fala Gangesu, wstępowała dziewczyna w przeznaczony dla siebie przybytek. Lecz nagle, gdy głębiej spojrzała w serce Walmiki, twarz jej pobladła i strach owionął ją, niby wiatr zimny. A Kryszna zdziwił się.

— Kwiecie wcielony, — spytał, — czy i serca poety się boisz?

— Panie, — odpowiedziała dziewczyna, — gdzież mi to zamieszkać **kazałeś**? Otom w tem jednym sercu ujrzała i śnieżne szczyty gór, i głębinę wód, pełne dziwnych istot, i step z wichrami i burzą, i ciemne jaskinie Ellory; więc boję się znowu, o panie!

Lecz dobry a mądry Kryszna rzekł:

— Uspokój się, kwiecie wcielony. Jeśli w sercu Walmiki leżą samotne śniegi, bądź ciepłem tchnieniem wiosny, które je stopi; jeśli jest głębia wodna, bądź perłą w tej głębi; jeśli jest pustka stepu, posiej w niej kwiaty szczęścia; jeśli są ciemne pieczary Ellory, bądź w tych ciemnościach słońca promieniem...

A Walmiki, który przez ten czas odzyskał mowę, dodał:

— I bądź błogosławiona!

HENRYK SIENKIEWICZ.

Nowe ideały Bourget'a.

I.

Po ukazaniu się ostatniego romansu Pawła Bourget'a wiele się mówi i pisze o „nawróceniu“ autora „Kłamstw.“ Dziennikarska, polująca na efekta krytyka, przyczepiła mu już modną etykietę *neo-katolika*; rozważni sędziowie od dawniejszej książki datują widoczny zwrot w talencie Bourget'a i „Wrażenia z Włoch“ (*Sensations d'Italie*) uznają za drogowskaz nowego kierunku w twórczości pisarza, zdążającego jakoby przez „Ziemie obiecaną“ (*Terre promise*) ku Rzymowi; wreszcie, według zdania najostrożniejszych, momentem stanowczym w autorskiej ewolucji Bourget'a, inaugurującym,—że użyję technicznego barbaryzmu,—jego „drugą manierę,“ był jeszcze wcześniej „Uczeń“ (*Le Disciple*), a raczej pamiętna wszystkim do tej powieści przedmowa.

Co o tej całej wrzawie trzymać wypada? czy istotnie talent Bourget'a znalazł się w pewnym punkcie swego rozwoju na drodze do Damaszku?

Przy szukaniu odpowiedzi na to pytanie, zaznaczona na początku ostrożność, rozważa rozumnej krytyki, nie jest bynajmniej zbyteczną. Trzeba pamiętać, z kim się ma do czynienia; trzeba uprzytomnić sobie całość produkcji umysłowej Bourget'a, romanse jego czytać w oświeceniu wyrafinowanych studyów z „Psychologii współczesnej,“ przypatrzyć się powracającemu we wszystkich powieściach typowi bohatera,

porównać go z główną figurą w „Cosmopolis”—z Dorsennem, reasumującą w sobie całkowitą psychologię autora, i dopiero wtedy ocenić, najprzód istotę tak zwanego „nawrócenia,” a następnie stopień jego szczerości.

Taka analiza, przeprowadzona przedmiotowo, wykaże przede wszystkim jeden fakt niewątpliwy: istotną w przedmowie do „Ucznia” intencję autora skierowania obserwacji psychologicznej ku zadaniom wyższym nad miłosne paroksyzmy. Mniejsza o to, co ten fakt wywołało: czy rozgłosna zbrodnia, popełniona jakoby pod wpływem romansu Bourget'a, czy chwila filozoficznej refleksji na widok młodzieży francuskiej, co do której trwoga mistrza ogarnęła, że to dzisiejsze pokolenie, żyć nie umiejąc, w razie potrzeby umrzeć nie potrafi; — dość, że autor „Okrutnej zagadki” znalazł się widocznie odrazu wobec innych w życiu zagadek, prócz tych, jakie mu nastroczała metafizyka buduarowych „sensacyi.” I powstała stąd książka, z pewnem przerażeniem formułująca kwestyę stosunku pisarza do swego społeczeństwa, a zwłaszcza stopnia jego odpowiedzialności za zatrutowanie duszy narodowej fałszowaną strawą naukową.

Wrażenie było silne, ale trwało niedługo,—rozproszyła je recydywa flirtu psychologicznego z histeryą zepsutych mężatek i z newrozą rozpróżnianych klubowców, drobnowidzowe badania nad mikroba-
mi gorączki erotycznej, których typem i rzeczywistym arcydziełem były dawniej „Kłamstwa” (*Mensonges*), bladą zaś parafrazą—powieści, napisane bezpośrednio po „Uczniu,” romanse w rodzaju „Serca kobiecego” (*Un coeur de femme*), a szczególnie niemiłosiernie nudna, choć przepędzona przez subtelny alembik myślowy, „Fizjologia nowożytniej miłości.” Bourget przypominał się tam znów, jako prawdziwy filozof natur niewieściich żeńskiego i męskiego rodzaju, obserwator, studyjujący serce ludzkie... w alkwie. Już wszyscy, witając się z dobrym, dawnym znajomym, zaczęli sobie naokoło powtarzać *on revient toujours*... kiedy „Wrażenia z Włoch” stropiły powtórnie czytającą publiczność.

Co się stało? Rzecz na pozór prosta: Bourget pojechał do Włoch i pisał o tem, co widział; ale co nie było bynajmniej prostem, to, że arystokrata kultury, stąpający tylko po szczytach intelektualnych i artystycznych, smakosz, zbierający samą śmietankę z kosmopolitycznej cywilizacji, zamiast dzielić się wrażeniami z Rzymu, Florencji, Wenecji, zamiast wpadać w zachwyt *cinquecentisty* nad arcydziełami antyku lub renesansu,—wędrował po małych miasteczkach włoskich, medytował w *columbariach* nad relikwiami bezimiennych zwiastunów chrześcijaństwa, zwiedzał stare klasztory i miał entuzjazmy „prerafaelity” wobec fresków „Pierwotnych.”

Ta niespodziewana faza Bourget'a tem więcej dawała do myślenia, że, wbrew przewidywaniom sceptyków, nietylko dotąd jeszcze nie ustała, ale zdaje się zapowiadać jakieś stanowcze, zdecydowane ku pewnym podniosłym celom dążenie twórczości salonowego myśliciela. Już obecność Bourget'a w katakumbach zdziwiła nie mało; cóż dopiero, kiedy zstępować zaczął po raz pierwszy w „Ziemi obiecanej“ do głębin *sumienia* swoich bohaterów, biorąc sobie *wolę* za przewodniczkę! Sumienie, wola... o tem nigdy dotąd w powieściach Bourget'a nie słyszano; można więc sobie wyobrazić zdumienie czytelników, kiedy pisarz, dramatyzujący z taką przesadą „kłamstwa“, popełniał przeciwko kodeksowi erotyzmu, wysnuł tragiczną sytuację z innego kłamstwa, potrącającego o ogólne zasady etyczne, o moralność, która coś więcej ogarnia, prócz miłosnych między mężczyzną i kobietą stosunków.

„Cosmopolis“ dopełniła miary; wszakże tam już nie o chrześcijańskie, lecz o katolickie chodzi ideały, wcielone w przedstawiciela, który na gruncie wielkiej wiekowej tradycji, rozpierającej granice watykańskiego „więzienia“, sprawuje rząd nad milionami dusz, po całym świecie rozproszonych. Przed temi ideałami skłonił głowę Bourget w osobie swego bohatera i tu już przestano go rozumieć, nie znajdując na wytłómaczenie tej „reakcyi“ nic innego, prócz słowa „nawrócenie.“ Do tego wyrazu nikt wprawdzie nie przywiązuje wielkiej wagi w dzisiejszej Francyi, gdzie neo-chryścjanizm, neo-katolicyzm jest artykułem mody, jak niegdyś *cri-cri*, a w tej chwili dramata Ibsena i romanse Tolstoja lub Dostojewskiego; ale i takie nawet powierzchowne znaczenie, tej definicyi nadawane, błędnie, zdaniem mojem, określa obecny moment twórczości Bourget'a.

II.

Nie zapominajmy, czem jest Bourget, pamięć zaś naszą niechaj wesprze to wszystko, co on sam dorzucił do charakterystyki bieżącej doby literackiej. Zaliczyć go do *dekadentów* było-by to może posunąć się za daleko, jakkolwiek wczytawszy się uważnie, zwłaszcza w „Próby psychologii współczesnej“, nie podobna oprzeć się wrażeniu, że pisał je jeden z tych, co, według określenia Bourget'a, „dlatego niezdolni są do głębokiej w cokolwiekbydy wiary, że inteligencja, w zbytniej wypiełgnowana kulturze, uwolniła ich od przesądów, i że, obejrzawszy każdą ideę naokoło, doszli do tej najwyższej bezstronności, która uprawnia wszystkie doktryny, wyłączając wszelkie fanatyzmy.“ Jeżeli jednak psychologia *dekadentyzmu* wyda się w zastosowaniu do Bourget'a kraciową, to natomiast, postawiwszy twórcę „Cosmopolisu“ w szeregu *dy-*

letantów, nie popełnia się względem niego żadnej niesprawiedliwości.

„Dyletantyzm—pisze Bourget w swoich studiach psychologicznych,—jest to nie tyle doktryna, ile raczej usposobienie umysłu, zarazem bardzo rozumowe i niewypowiedzianie rokoszne, nakłaniające nas kolejno ku różnym formom życia i sprawiające, że zatrzymujemy się przy każdej, ale nie oddajemy się żadnej. Nie ulega wątpliwości, że sposoby używania szczęścia są rozmaite, według epok, klimatów, wieku i temperamentu, według dni, a nawet godzin. Zazwyczaj człowiek, doszedłszy do zupełnego samopoznania, wybiera jeden z tych sposobów, i będąc logicznym, potępia wybór innych. Trudno jest istotnie wyjść z siebie i wyobrazić sobie inną, niż własną, formę istnienia; trudniej jeszcze samemu przywdziać na się tę formę, choćby tylko na kilka minut. Sama sympatya tu nie wystarczy,—trzeba na to wyrafinowanego sceptycyzmu i sztuki przeobrażenia tego sceptycyzmu w narzędzie rokoszy. Dyletantyzm staje się wtedy subtelną umiejętnością dokonywania metamorfozy intelektualnej i uczuciowej.“ Niektóre znakomitości w dziejach zasłynęły tą sztuką, ale właśnie giętkość, której przytem złożyły dowody, przyćmiła ich sławę czemś mętmem i niepokojącym.— „Bo ludzkość—objaśnia Bourget,—zdaje się mieć głęboki wstręt do dyletantyzmu, czując zapewne instynktownie, że żyje jedynie twierdzeniem, a umarła-by od niepewności. Ale na nic się nie zdadzą te wstręty, skoro rasy cywilizowane doszły już do schyłku życia, gdy wybujała kultura odebrała im zupełnie zdolność tworzenia, dając natomiast dar rozumienia. Wtedy dyletantyzm odsłania całą swoją poezję, której przeczucie miał najnowożytniejszy starożytny poeta, Wergiliusz, mówiąc: „wszystko na świecie znuży; jedno się tylko nie przykry: rozumieć.“

W parę tysięcy lat po Wergiliuszu, powtarza to samo na jego oczystej ziemi główny w „Cosmopolis“ przedstawiciel francuskiego dyletantyzmu. Na zapytanie starożytnego konserwatysty: co taki sceptyk może robić w Rzymie?

— Studya porównawcze teratologii moralnej — odpowiada Dorsenne, mając na myśli rokosze obserwacyi nad życiem kosmopolitów wiecznego miasta.

— Ale do czegoż prowadzą tego rodzaju badania?

— Do rozumienia.

— A potem?

— Myśl nie zna żadnego „potem.“ Jest to tak dobra rozpusta, jak każda inna,—rozpusta, którą ja praktykuję.

Dorsenne-Bourget rozumie, czemu stolica cesarów i papieży, arena jego studyów, zawdzięcza ten charakter niewzruszonej trwałości i nie-

zmienności, który przeżył najstarsze cywilizacje,—rozumie i to mu wystarczy, ale nie wystarczy czytelnikowi. Nie dlatego, żeby czytelnik troszczył się istotnie o duszę autora, do której zaglądać nie ma prawa, lub o „nawrócenie“ bohatera, luźny zaledwie mające związek z przebiegiem akcji powieściowej; ale że takie usposobienie obu nadaje ton książce.

Otóż ton brzmi fałszywie, nie z braku szczerości,—Bourget jest szczerym i wtedy, gdy z najlepszą wiarą „żywe sensacje“ przerabia w mózgu na intelektualne rokosze; — ale operacja jest tak trudna, że przepadają w niej: naiwność i prostota, bez których niema prawdziwego artyzmu.

To też artyzm Bourget'a ma w sobie coś zrobionego, mozolnego. Podstawę jego stanowi przedewszystkiem komplikacja, mania pracowitego splatania i rozplatania mnóstwa motywów, dochodząca do takiej namiętności, że tam nawet, gdzie niema co płatać, wytwarza się choćby sztuczne zawikłanie, byleby formule „nowożytnej duszy“ stało się zadość.

Ile na tem cierpi plastyka figur wtedy nawet, gdy Bourget jest najbardziej u siebie, w duszy nowożytnej Paryżanki, dowodzi cała powieściowa galeria przesubtylizowanych postaci, których kontury rozplývają się w szczegółach, podniesionych do godności rysów; jakim zaś dla stylu ciężarem jest uroczysty aparat myślowy, zastosowany do drobiazgów, o tem świadczy każda książka Bourget'a. Ale gdzie najbardziej na jaw wychodzi owo rozmiłowanie w komplikacji, to w utworach z nowej fazy, do których właśnie po prostu i bez pretensyi przystępować wypadało.

Weźmy na przykład „Wrażenia z Włoch.“ Zwyczajny śmiertelnik, dość artystycznie ukształcony, aby z pośród niezręczności rysunku i kolorytu „pierwotnych“ z XIV i XV wieku artystów wydobyć ekspresję, nastrój, dość na duszy zdrowy, żeby odbierać bezpośrednio wrażenia świeże, nie sfalszowane *modernizmem*, dostrzeże w obrazach sztuki Umbryjskiej to, co tam jest: wielką wiarę malarza, rozpromieniającą jego postacie wyrazem nadziemskiego zachwyty, pozaświatowych, mistycznych uniesień. Dyletant Bourget widzi to wszystko, ale nadto doszukuje się mnóstwa innych rzeczy. Sztuka Umbryjska odpowiada według niego odcieniom wrażliwości imaginacyjnej, dalekim od tego, co mogło zajmować artystów XV wieku. „W Madonnie Bonfigliego, w świętym Sebastyanie Gianicoli, w męczennikach Euzebiusza da San Giorgio, w bohaterskich rycerzach Vanucciego, rokoszujemy się wdziękiem mistycyzmu smętnego, skupionego, a jednak prawie zmysłowego. Kontrast między atletyczną tych figur budową a ich fizyognomią, przypominającą mnichów, zatopionych w „Naśladowaniu Chry-

stusa," uderza nas nietylko owym dualizmem ludzkiej natury, który w spostrzegaczu dziwny zawsze budzi niepokój, ale odczuwamy tam brzemie jakiejś myśli zbyt ciężkiej, jak gdyby obecność z góry narzuczonego marzenia. To marzenie nie urodziło się w duszach, które zamieszkuje, to też przytłacza je, niby intuicya posłannictwa nad siły i dręczy wewnętrznymi konfliktami, które przeczuwają, nie doznając jeszcze. To, co stanie się nierozwiązalnym zagadnieniem nowożytnego serca, już się w tych duszach przygotowuje; to, co Musset nazywał „chorobą wieku“ i co jest tylko rozognieniem walki między pragnieniami chrześcijańskimi, odziedziczonymi po wiekach średnich, a żądzami starożytnego pogaństwa, rozpętanymi przez Odrodzenie, spoczywa w zarodzie w tych figurach, które skomplikowana natura pozbawiła już woli,—w tych pięknych, jeszcze dotąd czystych, Hamletach!“

Czy wyobraża kto sobie na ścianie pieniędzy *Cambio* w Peruzie, malowanych w XV wieku przez Vanuccego, mussetowskich bohaterów, przemawiających do widza zapytaniem królewicza duńskiego: „być, albo nie być?“

A jednak trzeba sobie wyobrazić wszystko, kiedy się ma z Bourget'em do czynienia, trzeba się na to przygotować, że i do etyki, skoro się do niej weźmie, wniesie tę samą pasję komplikacji i nad samymi węzłami gordyjskimi mozolić się zacznie. Prostota kilku wielkich, podstawowych zasad moralności chrześcijańskiej nie przemówi do niego,—za mało mu różniczkuje indywidualne sumienie,—i ten „nawrócony“ będzie nim prawie za wiele, zagłębi się bowiem odrazu w jezuicką kazuistykę, która lepiej odpowiada sztucznym zawikłaniom nowożytnej natury.

III.

Powieść „Ziemia obiecana," zbudowana jest na istnem *cas de conscience*. Do budowy użył Bourget zwyczajnych faktów, codziennych stosunków, skombinował je tylko w ten sposób i na tak ślizkim oparł etycznym gruncie, że ta wyszrubowana kunsztownie sytuacja co chwila się chwieje i obsuwa.

Młody człowiek był kochankiem kobiety zameężnej, którą po dość długotrwałym stosunku porzuca pod wpływem dzikiej, podsycanej tylko pozorami zazdrości. Rozdział, streszczający historię tej występnej miłości, która się skończyła przed rozpoczęciem powieści, sceny, uprzymiśniania męczarnie obojga kochanków, przerysowanych od zmysłowego szału do nienawiści, skreślone są ze zwykłem u Bourget'a w takich studiach mistrzostwem.

„Ziemią obiecaną“ dla młodzieńca, skołatanego tą katastrofą, pospolitą ale niemniej wielką, jeżeli nie główną rolę odgrywającą w życiu dzisiejszych bohaterów, jest miłość czysta do dziewczęcia tak eterycznego, że zdaje się być odbiciem na obłoku wrażeń prerafaelistowskich. Analiza tego uczucia (bo analizy tam więcej, niż scen i obrazów) zaleca się niepospolitą subtelnością, w której jednak nie brakuje jakiegoś kobiecego sentymentalizmu, często graniczącego z manierą.

Moralna szarada rozpoczyna się od chwili, kiedy między narzeczonych, pędzących dni rokoszne w krainie marzeń, wciska się przeszłość narzeczonego pod postacią jego dawnej kochanki i zawikłanie przedstawia się odrazu w mnóstwie splątanych z sobą znaków zapytania.

Najprzód do tego labiryntu etycznego wprowadza czytelnika czysty traf, a to już doniosłość konfliktu znacznie osłabia. Gdyby nie dziwne zrządzenie, dzięki któremu dwaj lekarze, o sto mil od siebie mieszkający, wybrali jedną w Sycylii stację klimatyczną dla matki idealnej narzeczonej i dla porzuconej metresy narzeczonego; gdyby nie wypadek, który sprawił, że czysta oblubienica dostrzegła w małej córeczce zamieszkałej w tym samym hotelu nieznajomej, uderzające podobieństwo do swego oblubieńca i sama bezwiednie naprowadziła go na myśl, iż on-to może być ojcem tego dziecka, czego nie przypuszczał, nie wiedząc o urodzeniu dziewczynki: nie było-by tezy, nie było-by sensu moralnego; nie było-by zaś romansu samego, gdyby rozłączeni z sobą lata całe kochankowie, spotkawszy się również przypadkiem, postąpili byli w jedyny sposób, jakiby im powinien był podyktować zdrowy rozsądek, odzyskujący zazwyczaj swoje prawa po uciszeniu się namiętności.

Ponieważ jednak stało się według woli trafu i Bourget'a, więc wraz z komplikacjami cisną się same wątpliwości. Czy winien jest kochanek, że porzucił swoją metresę? Tak, bo zrobił to, jak dorożkarz, wybiwszy kochankę; nie, bo metresa była mężatką i stosunek, prędzej, czy później, jako karygodny, zerwać należało—skąd nauka, że gdyby był to spełnił, jak się należy, wszystko było-by w porządku. Czy zasługuje na potępienie kochanka?—tak, bo zdradzała i oszukiwała męża; nie, bo nie dopuściła się tej winy, o jaką ją posądzał kochanek — sens moralny: nie trzeba było drażnić gacha choćby najniewinniejszą kokieteryą, a te nienormalne sprawy poszły-by sobie normalnym torem. Czy kochanek ma obowiązki względem dziecka, zrodzonego w małżeńskim wiarołomstwie?—Tak, bo ojciec ma zawsze obowiązki względem dziecka, któremu dał życie; nie, bo nic nie może zrobić dla tej córki, fortelem narzuconej mężowi i noszącej jego nazwisko, zwłaszcza, że owdowiała matka z nienawiścią odtrąca wszelką interwencję w losy własne i w dolę

swej jedynaczki. Czy młody człowiek w przeddzień prawie ożenienia powinien był wtajemniczyć narzeczoną i jej matkę w tragedję swoich lat młodzieńczych?—Tak, bo stan trwogi i rozdrażnienia, w jaki go wprowadziło zetknięcie się z widmem tej przeszłości, zmuszał go do kłamstwa, wstrętnego uczciwej, szlachetnej naturze; nie—bo chodziło mu o oszczędzenie cierpień obu delikatnym kobietom, i miał prawo przypuszczać, że minione, dawno pogrzebane wspomnienia, do niego tylko należą.

Czy zupełnie pogrzebane? znowu tak i nie; zamarły wraz z namiętnością kochanka dla kochanki, ale odżyły w postaci miłości ojca dla córki—i tu właśnie najślabsza strona tego rebusu psychologiczno-etycznego.

Według założenia książki, wypowiedzianego najpierw w jej przedmowie, następnie tu i owdzie w ciągu opowiadania, zasadniczym pomysłem autora miało być starcie się dwóch obowiązków; tymczasem jesteśmy świadkami antagonizmu dwóch uczuć: miłości narzeczonego dla narzeczonej i przywiązania ojca do córki, zrodzonego jakby za uderzeniem piorunu. Pomińmy stosunek narzeczonych i wypływające stąd obowiązki, które chyba nie mogły stanowić przedmiotu dowodzeń autora; zamiarem Bourget'a było oczywiście wykazać, że ojciec, nawet w sytuacji, w jakiej się bohater „Ziemi obiecanej“ znajdował, ma jeszcze względem swego dziecka zobowiązania. Należało więc przedstawić nam tego ojca, idącego za głosem sumienia, nie tkliwości. Tymczasem bohater od pierwszego momentu, gdy poznał w nieznajomej dziewczynce swoją córkę, czuje strunę ojcowską, odzywającą się w sercu z taką gwałtownością, że odgłosy tego instynktu zagłuszają w nim prawie wszystkie inne uczucia i że przywiązanie, oparte jedynie na wskrzeszonych z melodramatycznego letargu „prawach krwi,“ wzmagają się aż do natężenia jakiegoś gorączkowego stanu. Zagadnienie, postawione w ten sposób, traci swój etyczny charakter, skoro bohater, pozbawiwszy się już dawniej zasługi zerwania niemoralnego stosunku, starganego pod wpływem afektów, nie mających żadnej wspólności z sumieniem, rujnuje teraz szczęście—mniejsza o to, że własne, jeżeli mu się to wydaje koniecznem, — ale dwóch najszlachetniejszych kobiet, które, nie wiadomo dlaczego, pokutować muszą za grzechy jego młodości; wszystko to zaś dzieje się nie z nakazu sumienia, powinności, lecz w paroksyzmie, wywołanym walką dwóch sentymentów.

Do tej niewyraźnej, dwuznacznej kombinacji różnych „tak“ i „nie,“ nagromadzonych około zasad, które nie są zasadami, dodajmy: niepewności charakteru bohatera, złożonego, jak zawsze u Bourget'a, z melancholii, omdlewań i zepsucia; dalej stylowy jakiś archaizm w rysunku jego narzeczonej, która ze swoim profilem średniowiecznej ma-

donny przypomina w minorowym tonie zabawną bohaterkę komedii Björnsona, wymierzającą swemu narzeczonemu symboliczny policzek rękawiczką za to, że do niej czysty i dziewiczy nie przystępuje; przyrzeczmy się miłości obojga, skombinowanej u młodzieńca: z czułościowości kobiecej, żądzy zmysłowej i gorączki analitycznej; u nieprzejednanej dziewicy: z męskiej energii i z oschłej a zimnej surowości; uprzytomnijmy sobie rolę w tem wszystkim matki heroiny, obejmującej okiem duszy prawdziwie chrześcijańskiej a prostej i zdrowej całą sytuację w sposób, który powinien być być punktem zapatrywania autora, jeżeli czegokolwiek dowieść pragnął—a przekonamy się, jak wyrosły na gruncie tych wyszukanych komplikacji psychologicznych świat bezsilności, roznerwowania, przedramatyzowanych zbrodni sercowych, urojonych grzechów przeciw duszy, a rzeczywistej histeryi sentymentalnej, wyglądająca chorobliwie, nawet po tej próbie moralnej kuracji.

IV.

Z pośród mnóstwa rzeczy, składających się na romans „Cosmopolis“ trzeba, dla zdobycia jakichbądź zasadniczych podstaw do oceny, wydobyć trzy główne: bajkę powieściopisarza, tezę psychologa i konkluzję moralisty. Widzimy, że komplikacja to nielada, zaostrzona jeszcze w dodatku przyprawą egzotyczności, która ma jej nadać smak specyalny.

Bajka sama przez się nie ma nic takiego, coby ją koniecznie wiązało z otoczeniem, które nam autor zamierzył odtworzyć. Pojedynki, listy bezimiennie, efekta melodramatyczne, nastrajają akcyę na ton zarazem bardzo gwałtowny i dość banalny; kompozycja romansu chwiejna jest i obfituje w rozwlekłość; całość zostawia wrażenie niedobrze uporządkowanej, nieco chaotycznej mieszaniny, kombinowanej przez autora bez obmyślanego artystycznie planu, bez jasnej świadomości, któremu ze składowych czynników należy się przewaga. Dramat odgrywa się między przedstawicielami kosmopolityzmu europejskiego, pod którego pokostem autor doszukał się niezatartych cech rasowych każdego bohatera, i to stanowi zagadnienie psychologiczne powieści; nawrócenie zaś jednego z tych bohaterów, sztucznie tylko spojęne z wątkiem opowiadania, podnosi epizod do znaczenia dążności.

Przy dobrej woli można-by z tej gmatwaniny wycisnąć górującą nad wszystkimi innemi intencję wykazania: jak wygląda życie w wielkim stylu międzynarodowców z całego świata, których nowożytna cywilizacja zobojętniła na wszelkie snujące się w dziejach zasady i ideały, przedstawiona na tle kultury, będącej przez dziewiętnaście wieków af-

firmacją jednych i tych samych zasad i ideałów. Teoretycznych argumentów na przeprowadzenie takiej tezy dostarczyli-by obficie dwaj powieściowi rezonerzy: margrabia Montfanon, dawniejszy hulaka paryski, później wskutek śmiertelnej choroby nawrócony żuaw papieski, w końcu fanatyczny konserwatysta, strzegący wszelkich materyalnych i duchowych zabytków starego Rzymu od zatrutych powiewów wieku—i powieściopisarz Dorsenne, który, zakresliwszy sobie jedyny cel: „*intellektualizowanie* przeżytych wrażeń, (cały Bourget jest w tym ukutym frazesie) marzy o doznaniu ich jak najwięcej i o „przemysleniu odczutyh sensacyi.“ Każda jego książka była wynikiem eksperymentu uczuciowego lub społecznego, w którym uczestniczyła tylko inteligencja. Zajęty jedynie własną „kulturą,“ posiada ten wyrafinowany samolub dość nerwów, żeby być psychologiem bardzo delikatnym i pisarzem bardzo subtelnym, a za mało serca, ażeby rozmaitym środowiskom, które kolejno bada, poświęcić z siebie coś więcej prócz wirtuozostwa artysty. Illustracją praktyczną do tak postawionej między tymi dwoma ludźmi myśli przewodniej były-by powikłania życiowe w kolonii kosmopolitów i wynikające stąd, a oświecone ideą zasadniczą, wnioski moralne.

Takby być mogło, gdyby czytelnik potrafił sobie zdać sprawę ze stosunku autora do obu ścierających się prądów; tak nie jest, ponieważ w tym razie, jak zawsze, dyletantyzm Bourget'a staje temu na przeszkodzie. Wiedzieliśmy z dawnej jego fazy, co twórca „Cosmopolisu“ trzyma o kosmopolityzmie; czytaliśmy w jego „Studyach“ następujące wyrazy: „Wyższe nowożytne społeczeństwo, to, które się rekrutuje wśród najbardziej wyrafinowanych przedstawicieli subtelnej kultury, dożyło do chwili, może występnej ale rokosznej, kiedy dyletantyzm zastępuje czyn, do doby ciekawości rozmyślnie jałowej, do wymiany myśli i wymiany obyczajów. Ewolucja nienukniona ciągnie prowincye ku wielkim miastom, a ponad wielkimi miastami wytwarza jakąś wyższą ojczyznę najwyszukańszych zaciekawień, ogólnych teorii, krytyki naukowej i obojętności, która wszystko rozumie. Prawem jest widocznie, żeby społeczeństwa barbarzyńskie dążyły ze wszystkich sił do stanu oświadczenia, który nazywają cywilizacją, i żeby, z chwilą osiągnięcia tej świadomości, wyczerpywało się w nich życie. Na Wschodzie mówią: „Kiedy dom jest gotowy, śmierć wchodzi!...“ Niechże ten gość nienukniony znajdzie przynajmniej nasz dom przyozdobiony w kwiaty.“

Uznawał tedy Bourget tę dobę rozwoju cywilizacji europejskiej za „rokoszną,“ choć *może* występna. W przedmowie do „Ucznia“ to *może* zmieniło się na pewność, zdawało-by się więc, że w dalszej konsekwencji pewność wzrośnie do potęgi zasady, która wyjdzie na jaw

w zetknięciu się konserwatysty z dyletantem. Tymczasem Dorsenne jest nowem, udoskonalonem wcieleniem tej „ciekawości, rozmyślnie jałowej“ i „obojętności, która wszystko rozumie.“ Mówi wprawdzie o studiach z „teratologii moralnej,“ ale ten obcy wyraz, określający „po-tworności“ w życiu kosmopolitów, wydaje się raczej jakąś pozą erudy-cyi literackiej, aniżeli sądem, opartym na moralnem kryterjum. Nie ma zresztą czasu ten dyletant na ocenę etyczną, pochłania go bowiem całego egzotyczna zagadka rasy, odzywającej się jakoby pod kosmopolityzmem międzynarodowców. Zbyt to nęcąca komplikacya, żeby się jej Bourget nie chwycił oburacz; na nieszczęście nie dość jest być ciekawym, żeby dobrze zobaczyć to, na co się patrzy. Do charakteryzowania ras i narodowości trzeba posiadać oddzielny dar: miał go w wysokim stopniu Cherbuliez, nie ma go Bourget. Kto pamięta naprzykład „Władysława Bolskiego,“ ze wszystkimi słabemi stronami jego charakterystyki, ten musi wzruszyć ramionami na hrabiego Bolesława Górkę. Zaslugą jest wprawdzie Bourget'a, że odstąpił od tradycyi, ośmieszonych w taniej humorystyce „polskich pianistów“ i „rozczochnych poetów,“ że wreszcie okazał się wyższym nad dzisiejsze namiętnostki polityczne; ale to nie dodaje życia głównemu bohaterowi „Cosmopolisu,“ ulepionemu z banalnych ogólników o polskiej odwadze, polskiej rycerskości i polskiej lekkomyślności. Ów Górka, z całą swoją „nerwową drażliwością Słowianina, która zgubiła Polskę“ (przypomina się mimowoli „bitwa Jana Sobieskiego pod Łowiczem“ w jednym z romansów starego Dumasa), mógł-by być tak dobrze Włochem, jak Hiszpanem: jego kochanka, hrabina Steno, mogła-by całe życie spędzać w paryskich salonach i nikt-by się w niej nie domyślił dziedziczki do-zów weneckich, zabłąkanej w 1893 roku patrycyuszki XV wieku; baron Hafner, żyd, zubożony na wiedeńskim *krachlu*, niczem nie różni się od galeryi pokrewnych sobie żydów, zaludniających dzisiejsze, zabarwione modernizmem, romanse; Lincoln Maitland, malarz ze Stanów Zjednoczonych, ma tyle właściwości amerykańskich, co pierwszy lepszy samolubny brutal z jakiegobądź kraju; wreszcie rodzeństwo Chapron, pochodzenia murzyńskiego, które właściwości atawizmu rozdziela między brata i siostrę, dodatnio działając w mężczyźnie, urobionym na niewolnika w przyjaźni, a ujemnie w kobiecie, streszczającej w sobie całą chytrość ujarzmionej niegdyś rasy,—ta, powtarzam, dwójka wywołuje wspomnienie bohatera jednej z komedyi Labiche'a, który jest odważnym, kiedy się w nim odzywa krew matki, a tchórzem, gdy się poczuje synem swego ojca. Rzecz prosta, że Bourget nie opuszcza żadnej sposobności, żeby zaznaczyć, iż jego bohaterowie działają zgodnie z prawami dziedziczności, i istotnie nic dziwnego, że w nich zawsze odnajduje to, czem ich sam obdarzył, chociaż niekiedy ta teoryjka nieprzy-

jemne płała mu figle. I tak, Lidya Chapron, żona malarza Maitlanda, nazwana jest, z powodu swej przewrotności, „wnuczką Jagona.“ O ile pamiętamy, murzynem jest Otello, a nie Jago, skąd wynika, że Lidya była-by wnuczką Jagona z charakteru, a Otella z rasy. To samo z dwiema idealnemi córkami bardzo nieidealnych rodziców. Fanny Hafner, wcielona szlachetność, pała pragnieniem przejścia na łono kościoła katolickiego. Skąd się to wzięło w córce kondotyera finansowego? Po tłumaczenie trzeba się cofnąć aż do „bogobojnych niewiast“ z Biblii. Alba Steno, córka hrabiny, targnęła się na własne życie, jako psychologiczna spadkobierczyni instynktów Rossyanina Werekiewa, rzeczywistego jej ojca; kiedy zaś pierwsza wyznaje swoje uczucie Dorsenne'owi—odzywa się w niej znowu bezwzględność miłosnych zapędów matki.

Czy przynajmniej namiętności tych bohaterów egzotyczniejsze są od ich zewnętrznej charakterystyki? Ani trochę. Trudno sobie wyobrazić bezbarwniejszą ich kombinację. Hrabia Górko otrzymał w podróży anonimy, ostrzegające, że pani Steno zdradza go z Maitlandem, przyjeżdża więc z Warszawy z zamiarem zabicia rywala, w czym przeszkadza mu przyjaciel malarza, Chapron, kierując rozmyślnie zemstę zawziętego Polaka na własną osobę. Górko rani swego przeciwnika; nie poprzestając jednak na tej satysfakcji, znieważa na placu sekundującego Dorsenne'a, za to, że, zapytany o stosunek hrabiny do artysty, zataił przed nim prawdę — co naturalnie daje powód do drugiego pojedynku. Raniony z kolei Górka, godzi się z żoną, która, jako matka, przystaje na dalsze wspólne pożycie,—jako małżonka, nie przebaczy mu nigdy.

Oto wszystko—za mało oczywiście, aby zadowolić skłonność autora do komplikacji, do tego więc pseudo-dramatu przyczepione są aż dwie pokrewne sobie tragedye dziewiczych serc. Fanny Hafner i Alba Steno dowiadują się, dzięki nikczemności ludzkiej, jedna, co ma trzymać o uczciwości ojca, druga, co wart honor jej matki. W serce Fanny uderza cios w chwili, kiedy, przyjąwszy chrzest, miała poślubić zbankrutowane włoskie książętko; Alba stwierdziła dawniejsze swoje podejrzenia, po rozłączeniu się z towarzyszką niedoli, kiedy nie ma około siebie ani jednej przyjaznej duszy. Jest wprawdzie Dorsenne, którego kocha; to było-by wybawienie. Szczerze więc, z całą dziewiczością niepokalanej duszy, wtajemnicza Dorsenne'a w swoje uczucie. Ale Dorsenne nie jest zdolny kochać—wymyka się, odmawia; nieszczęśliwej pozostaje tylko śmierć.

Przez tę śmierć dokonywa się nawrócenie francuskiego wyobraziela kosmopolityzmu, o którym nareszcie trzeba coś powiedzieć, skoro ono-to więcej, niż cokolwiek innego, książęce rozgłos zdobyło.

Autor chce, żeby samobójstwo Alby głębokie na młodym sceptyku wywarło wrażenie. Czy tak chce życie, to zwłaszcza, które Bourget malował, czy tak chce charakter, a raczej cechujący Dorsenne'a z woli autora brak charakteru, który stanowi zasadniczy rys jego indywidualności? Wszystko przecząco odpowiada na te pytania. Jeżeli kiedy, to w tym wypadku, epikurejczyk umysłowy miał sposobność dokonać ciekawego doświadczenia auto-analizy; jeżeli jaka sensacja, to ta właśnie była „przeżyta,” *vecue*, i służyć mogła za rzadki materiał artystyczny. To też prawdopodobniejszem jest nierównie, że ten „potwór intelektualny,” jak Dorsenne'a, nie bez pewnego odcienia sympatii, sam Bourget nazywa, zamiast marzyć o nawróceniu, kombinował pomysły do efektownego rozdziału nowej książki, w którym zewnętrzna strona samobójstwa Alby była-by zmodernizowanym powtórzeniem śmierci Ofelii.

Sceptycznie jeszcze, niż wpływ faktów, oceniać musi czytelnik działanie na Dorsenne'a idei. Naprzód, dla osiągnięcia takiego rezultatu, to działanie inną odbywać-by się musiało drogą. W siłę przekonującą prozelityzmu starego Montfanona uwierzyć tem trudniej, że sympatia między tymi dwoma ludźmi, których nietylko nic nie łączy, ale wszystko raczej odpychać od siebie powinno, jest istotnie niezrozumiałą. A potem, względem idei, wyzierającej z każdego zakątka Rzymu, Dorsenne nie znalazł się nawet, jak znaleźć się powinien typowy dyletant, nie zbliżył się do niej, nie „obejrzał dokoła,” choćby tam, gdzie w nieśmiertelnych skamieniała pomnikach. Rzecz dziwna, wobec tej idei artysta nawet rzadko odzywa się w dyletancie; opisy Rzymu, do których tak ciągnęła a wdzięczna nastrocza się okazyja, skąpo są w książce rozsiane, tyle tylko, ile potrzeba, aby się stało zadość ogólnej teorii „otoczenia,” i szczególnemu upodobaniu Bourget'a w spisywaniu inwentarza. Nie większą też wagę ma to odtworzenie środowiska od opisu pierwszego lepszego salonu paryskiego, obranego za widownię jakiejś erotycznej „zagadki,” powiedział-bym nawet, że mniejszą, bo poprzestaje na materialnej fizyognomii wiecznego miasta, nie dając wrażenia atmosfery, więcej od rzeczy i od ludzi. Jest to poprostu dekoracja do powieściowej akcji i dlatego tak teatralnie wygląda ukazanie się w watykańskim ogrodzie Leona XIII-go, jako efekt końcowy ostatniej, decydującej rozmowy między margrabią Montfanon a Dorsenne'm—i dlatego ten efekt chybia. Widać w nim coś z góry obliczonego na tak zwaną *pointe*, czuć jakieś niesmaczne kokietowanie z powagą i majestatem wielkiej idei, przybierające nawet formę niezgrabnego umizgu, kiedy Montfanon cytuje słowa Tertuliana: *Debitricem martyrii fidei*, na widok ojca świętego, nachylającego się ku pięknej złotej róży, aby jej wonię odetchnąć. Może w tem jest szczerłość specyalna rozumiejącego wszystko

sceptyka; ale brakuje—jak już nadmienilem—prostoty, wywołującej jedynie wiarę w czytelniku.

Czy możliwym jest powrót do tej prostoty? Sam Bourget nauczył nas wątpić o tem, budząc w przedmowie do „Ucznia” nie tylko nieufność, ale obawę przed nowoczesnym typem intelektualnym delikatnego nihilisty, „którego wszędzie pełno.” „W dwudziestym piątym roku przecnicował już wszystkie idee; zmysłem krytycznym, wcześniej obudzonym, zrozumiał ostatnie wyniki najsztudniejszej filozofii naszego wieku. Nie mówcie mu o bezbożności, o materjalizmie! Wie on, że wyraz materia nie ma określonego znaczenia, a jest skąd inąd zbyt inteligentnym, żeby nie pojąć, iż w danej chwili każda religia mogła mieć rację bytu. Dobre i złe, piękno i brzydota, cnoty i występki, wydają mu się przedmiotem prostej ciekawości. Nic dla niego nie jest prawdziwem, albo fałszywem, moralnem lub niemoralnem. Duszę człowieka uważa za mądry mechanizm, którego rozbieranie zajmuje go, jak interesujące doświadczenie. Nowe sensacje są jedynem pragnieniem tego subtelnego artysty, który w ideałach religijnych, umysłowych i sercowych ludzkości widzi materiał do tych sensacji. Ach, znamy wszyscy tego epikurejczyka: każdy z nas o mało nim nie był,—powiedzmy prawdę—każdy był nim, choć jeden dzień, jedną godzinę...”

Bourget był takim epikurejczykiem dłużej i—nie ludźmy się, przeczytawszy „Cosmopolis,”—jest nim dotąd. Czy będzie dalej? Interesująca to kwestya ze względu nie tylko na Bourget'a, ale i na stan umysłu tych sfer inteligencji europejskiej, z których pewne hasła życiowe, pewne prądy myślowe, pewne usposobienia głowy i nastroje serca najłatwiej w postaci dzieł literatury i sztuki wciskają się do duszy społeczeństw.

Co do dyletanta z „Cosmopolisu,” było-by naiwnością brać na serio „nawrócenie” Dorsenne'a, szukającego namiętniej, niż którykolwiek inny bohater Bourget'a, materiału do nowych sensacji nawet w ideałach religijnych. Nie pierwszy to zresztą taki bohater u Bourget'a, a fakt, że ten, któregośmy zostawili skruszonym w przedostatnim romansie, powraca w ostatnim większym jeszcze, niż dawniej, sceptykiem, powinien-by uzbudzić w ostrożność czytelnika, poehopnego do daleko sięgających wniosków. Jeden z dowcipnych francuskich krytyków obiecuje nam niezadługo nowy romans Bourget'a, opisujący stanowczy, decydujący eksperyment Dorsenne'a z neo-katolicyzmem. „Autor *Devoir présent*, p. Paweł Desjardins—dodaje krytyk—w połowie tylko będzie z tej powieści zadowolony.” Mnie się zdaje, że nie tylko p. Desjardins, lecz nawet ci, co, nie bawiąc się w kontrolowanie prawowierności pisarza, dobadać się w nim artyzty, a w jego artyzmie szukają szczeroci, naiwnoci, prostoty. Czytelnicy tej kategorii doświadczać zapewne podo-

bnego zawodu i od innych, prócz Bourget'a, pisarzów. Przyczyna tkwi może nie w intencji samych pisarzów. Urodzili się skomplikowanymi, albo im się tak zdawało, a to, co w ich duszy jest zawikłanego, naturalnie, czy też sztucznie, już się nie uprości. Trzeba chyba nowego pokolenia, które-by inaczej żyło i z innego życia wniosło do sztuki szczerość, naiwność, prostotę.

Dwie są doby, kiedy się zwykle szczerze hołduje prostocie: młodość, ujmująca chętnie zagadki bytu w bezwzględne, logiczne formuły z wszelkimi ich rewolucyjnymi konsekwencyami, i późny wiek, umiejący z poplątanych zawikłań życiowych wydobyć zachowawczą ręką kilka niezmiennych i niewzruszonych zasad, do których się ostatecznie wszelkie komplikacje redukują. Wszyscy mówią, że cywilizacja europejska znajduje się w tej drugiej dobie. Jeżeli tak jest—to kto wie? może nastąpiła dla niej chwila, kiedy spojrzy za siebie i przed siebie, kiedy życie ogarnie okiem duszy, która nie tylko wiele widziała i rozumiała, ale wiele odczuła i pokochała. Wtedy rozpali się w tem wejrzeniu blask rzeczy prostych, a wielkich i pięknych tą właśnie prostotą. Zamiast więc, jak chce Bourget, stroić dom wschodnim obyczajem na przybycie śmierci; zamiast dłonią sceptyka sięgać w tym celu po kwiaty, któremi wiara zdobi ołtarze, a nawet po róże, rosnące w watykańskich ogrodach, czy nie lepiej oczekiwać wejścia tych blasków, które dla literatury i sztuki nową będą jutrzeńką?

W. BOGUSŁAWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Prof. Dr Wład. Abraham. „Organizacya kościoła w Polsce do połowy XII w.”
(Drugie uzupełnione i zwiększone wydanie). Lwów, 1893. Str. 303.*

Pierwszemu wydaniu powyższej pracy poświęcił w „Bibliotece Warszawskiej” prof. Plebański szczegółową uwagę, zarzucając autorowi, iż nie uwzględnił pracy ks. Jabczyńskiego p. t. „Prawodawstwo i prawa kościoła w Polsce od początku chrześcijaństwa aż do w. XV.” W przedmowie do drugiego wydania prof. Abraham oświadcza: że pracy ks. Jabczyńskiego nie przeoczył, lecz ją z umysłu, tak samo jak niektóre inne, nie przedstawiające interesu naukowego dla swych studyów, pominął. System ks. Jabczyńskiego, według autora, nie przedstawiał dlań żadnej wskazówki, rozprawa jego bowiem jest tylko streszczeniem postanowień synodów prowincjonalnych polskich, sama sobie zbyt szczupłe i nie wystarczające zakresliła granice, a nadto systemu swego nawet konsekwentnie nie przeprowadziła, skoro na końcu znajduje się jeszcze ustęp o publikacyi statutów prowincjonalnych, który widocznie do rozdziału początkowego należy.

Na początku swej interesującej i doniosłej dla nauki pracy zastanawia się prof. Abraham nad wprowadzeniem chrześcijaństwa do Polski. Zdaniem autora, utworzenie państwa w Polsce musiało nie wiele wyprzedzić wprowadzenie chrześcijaństwa. W chwili, kiedy po raz pierwszy spotykamy w źródłach współczesnych wzmiankę o zetknięciu

się Polski z potęgą cesarstwa, była ona już bliską chrześcijaństwa; a więc nie wprowadzono chrześcijaństwa pod bezpośrednim naciskiem tej potęgi; był to może jeden z powodów dalszych, ale nie wyłączny i jedyny. O wpływach chrześcijaństwa od północy i wschodu w tym czasie i mówić nie można. Jedyną drogą otwartą było południe, gdzie graniczyły ziemie Słowian chrześcijańskich. Tędy mógł bez przeszkody płynąć ruch misyonarski, który tak zbawienny za Mieszka plon wydał.

Wzmiankę o Polsce po raz pierwszy spotyka autor w źródłach dziejowych pod r. 963, w Widukinda, mnicha korbejskiego, „Dziejach saskich“, a na pytanie: czy chrześcijaństwo przyszło do Polski z Czech, czy z Niemiec? odpowiada, że i z Czech mogło być przyniesionem do nas chrześcijaństwo tylko przez Niemców. Naukowa hipoteza stwierdzała: że pierwsi misyonarze przybyli do Polski z klasztoru korbejskiego. Prof. Abraham, rozważywszy pilnie wszystkie okoliczności, zwraca się więcej w kierunku klasztoru fuldańskiego. Fulda, zdaniem autora, jest jedynym klasztorem, o którym, na podstawie dzisiejszego stanu źródeł, przynajmniej w przybliżeniu przypuszczać można, że się misjami w Polsce zajmował. Niedługo mógł jednak klasztor ów wpływać na stosunki kościelne w Polsce, gdyż z chwilą utworzenia biskupstwa poznańskiego i metropolii w Magdeburgu zostały one działaniu innych czynników poddane.

Rozdział drugi pracy prof. Abrahama poświęcony został założeniu biskupstw. Wedle jednoznacznych podań źródłowych, dzieło nawrócenia Polski odbywało się pod patronatem i osłoną władzy książęcej; mamy więc wszelkie prawo przypuszczać, że i inicjatywa w kierunku powołania do Polski apostoła biskupa wyjść musiała od tronu. Osobistość pierwszego biskupa polskiego, Jordana, którego cesarz Otto przysłał na życzenie Mieszka, nie jest nam bliżej znana, ale, sądząc z wyrazów Thietmara, praca jego nie była łatwą. Nie posiadamy żadnych wskazówek, kto Jordana konsekrował. Nie należy jednak sądzić, że z chwilą ordynacji Jordana omawiano zarazem sprawę założenia dyecezyi poznańskiej. W tych właśnie czasach, w których działalność misyonarska w kierunku na północ i na wschód znacznie się ożywiła, spotykamy często biskupów wyswięconych dla jakiegoś kraju, w którym jeszcze chrześcijaństwo się nie przyjęło, lecz nie szło z tem w parze tworzenie dyecezyi. Biskupi tacy dyecezyi jeszcze nie posiadali, byli to biskupi misyonarze, tak zwani *episcopi gentium*, *episcopi regionarii*. Następcę Jordana — Ungera, prawdopodobnie Niemca, łączył już ścisły węzeł z metropolitą magdeburskim, Gizilerem, i musiał on utrzymywać rozległe stosunki z kościołami i klasztorami północnych Niemiec.

Za rządów Ungera wyznaczono św. Wojciechowi część wschodnią Polski, może nawet z siedzibą w Gnieźnie i z widokami pracy misyonarskiej na Mazowszu i w Prusach. Wydzielenie jednak św. Wojciechowi osobnego zakresu działania nie stanowiło jeszcze utworzenia osobnej dyecezyi. Ostateczne zorganizowanie nowej prowincyi kościelnej i oznaczenie granic dyecezyi nastąpiło dopiero na zjeździe gnieźnieńskim r. 1000, w czasie którego odbył się zarazem synod kościelny. Wtedy też określono granice biskupstwa poznańskiego, obejmującego dotąd całą Polskę, a Ungera, który się nie godził na uszczuplenie swych praw, pozostawiono i nadal w związku metropolitalnym magdeburskim. Na zjeździe w r. 1000 utworzono też pięć dyecezyi: wrocławską, krakowską, kołobrzeską, gnieźnieńską i poznańską, z określonymi w przybliżeniu granicami, a prócz tego arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

Plan podziału Polski na dyecezye i ustanowienia metropolii wyszedł najprawdopodobniej z inicjatywy Bolesława, jako władcy państwa i właściwego fundatora katedr. Gallus zwie Bolesława *patronus et advocatus pontificum*, a jakkolwiek na zjeździe w r. 1000 Bolesław korony nie pozyskał, jednak wykonywał prawo inwestytury, co się tem tłumaczy, że cesarze lub królowie mogli nie tylko powierzać komuś wykonywanie owego prawa w ich zastępstwie, ale także mogli je przenosić w zupełności na pewną osobę, z tym skutkiem prawnym, że osoba ta wykonywała je odtąd we własnem imieniu.

Co się tyczy obrządku słowiańskiego, to prof. Abraham wątpi, ażeby obrządek słowiański-grecki zajmował wówczas w Polsce wybitniejsze stanowisko; choć nie ulega wątpliwości, że Kijów ówczesny musiał na Polskę silnie oddziaływać. Bolesław Chrobry, zdaniem autora, łączy się ściśle z kościołem zachodnim łacińskim, czego już dostatecznym dowodem są chociażby imiona biskupów z jego czasów. Następnie, nigdzie nie posiadamy w Polsce śladu istnienia liturgii słowiańskiej i jej właściwości, a wreszcie w spisach skarbcza i biblioteki katedry krakowskiej z pierwszych lat wieku XII. nie zanotowano żadnego sprzętu, właściwego kościołowi greckiemu, lub obrządkowi słowiańskiemu, tudzież ani jednej księgi, w innym aniżeli łacińskim języku.

Trzeci rozdział pracy poświęcił autor związkowi metropolitalnemu, który także powoli się rozwijał, nasuwając dzisiejszemu historykowi na każdym kroku dużo wątpliwości. Z treści skarg arcybiskupa Norberta pokazuje się, że jakiegoś aktu stolicy apostolskiej z czasów Ottona I, który-by poddawał biskupstwo poznańskie pod jurysdykcję arcybiskupstwa w Magdeburgu, prawdopodobnie wcale nie było. Zadzierzgnięty jedynie postanowieniem Ottona węzeł zależności kościelnej pozostał jednak nienaruszonym do r. 1000. Po zjeździe gnieźnień-

skim pozostał i nadal Unger, biskup poznański, w zależności od metropolii magdeburskiej, ale nigdzie w aktach ówczesnych, gdzie arcybiskup magdeburski wraz ze swymi sufraganami występuje, niema wzmianki o biskupie poznańskim. Z drugiej strony, pierwszą wzmiankę o biskupstwie poznańskim, jako należącym do prowincyi metropolitalnej gnieźnieńskiej, posiadamy z początku wieku XII.

Ważnem źródłem, rzucającem jasne na stosunki metropolitalne i biskupie światło, jest list Grzegorza VII do Bolesława Śmiałego (1075). Ze słów tego listu nie wypływa wcale, że kościół polski pozostawał w niepewności, do jakiej metropolii należy, czy np. do gnieźnieńskiej lub magdeburskiej, lecz że nie był podówczas związany żadną metropolitalną władzą. Gdyby też w Polsce istniała chociażby jedna katedra metropolitalna, czyby władza państwowa ścierpiała, aby biskupi szukali gdzieindziej metropolitów, którzy-by ich wyświęcali i z tego właśnie powodu rościli sobie pretensye do zwierzchnictwa nad nimi? Tymczasem istnieją wiarogodne świadectwa, dowodzące, że Aron, biskup krakowski, wyświęcony był w Kolonii. Dopiero też rok 1076 można uważać za dobę, w której organizacja metropolitalna w Polsce już się ustaliła.

Rozdział IV poświęcony został organizacji w obrębie dyecezyi, a prof. Abraham doszedł do przekonania: że w pierwszej połowie XI wieku o istnieniu nawet tak wybitnych w organizacji dyecezyalnej instytucyi, jak kapituły, żadnej nie posiadamy wieści, chociaż przypuścić należy, że równocześnie z założeniem biskupstw i kler biskupi odpowiednio do ówczesnych stosunków został zorganizowany. Wzmianki u Thietmara pozwalają wnosić, że obok katedry poznańskiej znajdować się musiał rodzaj klasztoru dla kleru. Wspólne pożycie duchowieństwa z przełożonymi łączyło się zarazem z wspólnością majątkową. Cały majątek kościelny w obrębie dyecezyi stanowił jedną całość, której zarząd w ręku biskupa spoczywał. Biskup dzielił uzyskane dochody na kilka części, z których jedną przeznaczał na utrzymanie swego kleru.

Dopiero gdy Władysław Herman zaczął budowę nowej katedry krakowskiej, przysłała do skutku fundacya na rzecz kapituły. Kapituła zyskała odrębny majątek, podzielony na 20 prebend, dla każdego z kanoników, a tem samem stała się kapitułą zamkniętą, o oznaczonej ilości członków. Prawdopodobnem jest także, że na początku XII w. nie wszystkie kapituły katedralne w Polsce były urządzone na modłę krakowskiej, lecz może przy niektórych istniała wspólność pożycia, przy odrębności majątkowej kapituły, i może jeszcze nie przyszło do podziału majątku między poszczególne prebendy i do zorganizowania całego szeregu wyższych w kapitule urzędów.

W wieku XII zaczęła się w prawie kościelnym powszechnem wytworzać zasada, popierana przez stolicę Apostolską, że kapitułom przysługuje pewien wpływ donioslejszy na zarząd dyecezyi. Istnienie tego prawa kapituł w Polsce da się również z aktów XII wieku stwierdzić. O wiele mniej wiadomo o istnieniu kapituł kolegialnych w tych czasach. Kolegiaty: sandomierska, łęczycka i kaliska, powstały dopiero w drugiej połowie XII w., a do czasów Krzywoustego można-by tylko odnieść kolegiatę kruszwicką.

W rozdziale piątym, poświęconym stosunkom kościoła polskiego ze stolicą Apostolską, autor dowodzi, że pisma papieskie i legacya Idziego przekonywają, że ilekroć w Polsce od czasów restauracyi Kazimierza I chodziło o przedsięwzięcie jakiegoś ważniejszego kroku, dotyczącego uzupełnienia lub ustalenia organizacji kościoła, zawsze odnoszono się do Rzymu, uznając tem samem jego naczelne wobec kościoła polskiego stanowisko. Nadto druga jeszcze sprawa, niemniej dla Polski, jako państwa, ważna, wymagała nietylko bliższego ze stolicą Apostolską związku, lecz nawet jej zezwolenia, t. j. sprawa korony królewskiej. Oba te względy były powodem, że Polska weszła w pewien, na podstawie istniejących źródeł bliżej nie dający się określić, stosunek zawisłości od Rzymu, a oznaką jego było świętopietrze, które Polska od bardzo dawnych czasów, bo od Bolesława Chrobrego, opłacała. Opłatę powyższą mógł uzasadnić zagadkowy akt darowizny Gniezna i Polski na rzecz stolicy Apostolskiej w czasie pontyfikatu Jana XV, a następnie osobne zobowiązanie Bolesława I.

Początkowo nie opłacała jeszcze Polska tytułem świętopietrza podatku, rozłożonego, wedle z góry oznaczonej taksy, na poszczególne domy lub rodziny, lecz stałą rok rocznie sumę w oznaczonej wysokości. Był to więc właściwie trybut lub czynsz, opłacany przez panującego, który się dopiero później w świętopietrze przekształcił. Pomimo, że między Polską a stolicą Apostolską bliższy zachodził związek, ani spór o inwestyturę, ani ustawodawstwo kościelne z pierwszej połowy wieku XII, dotyczące celibatu, silniejszem w Polsce nie odbiły się echem i niema ani jednego przykładu odnoszenia się w sprawach zawilszych dyscypliny kościelnej po radę do stolicy Apostolskiej.

Szósty rozdział poświęca prof. Abraham stosunkowi kościoła do państwa. Kościół w Polsce znajdował się pod szczególną opieką monarszą i z tego też powodu zostawał w pewnej od panującego zawisłości. Za właściciela majątku w obrębie dyecezyi poczytywało prawo polskie biskupa, lecz już w XII wieku pierwotne pojęcie osobowości prawnej kościoła zaczęło się męcić. Korporacją był nie tylko kościół cały, ale i poszczególne instytuty, zwłaszcza te, przy których istniały związki kolegialne, jak kapituły i klasztory. Prócz tego w wieku XI

i następnych spotkać można liczne przykłady wolnego rozrządzania ze strony fundatorów, tak klasztorami, jak i innymi kościołami. Kto kościół wybudował na swoim gruncie i dla siebie, ten też uważał się za jego właściciela; dopiero gdy z tych kościołów poczęto tworzyć parafialne, wpływ duchowieństwa na nie począł się zwiększać.

Nadawanie inwestytury odbywało się w Polsce za pośrednictwem pastorału i pierścienia, a więc na modłę zwyczajów Zachodu. Czy przytem nie uwzględniał panujący życzenia episkopatu lub kleru i ludu miasta, w którym się opróżniona katedra znajdowała, źródła nie objaśniają. Panujący obsadzał również opactwa i prebendy kapitulne, czego ślady aż do XIII dochowały się wieku, a z prawem obsadzania łączyć się zarazem musiało i prawo składania z urzędu. Sądem właściwym dla kościoła i duchowieństwa, w sprawach nie należących ściśle do dyscypliny kościelnej, był prawdopodobnie sąd świecki.⁶ Przed sądy państwowe należały przedewszystkiem wszelkie sprawy o nieruchomości, bez względu, czy chodziło o prawa rzeczowe, czy nieruchomości była tylko przedmiotem zobowiązania. Prawdopodobnem jest, że również i sprawy dotyczące stanu osobistego, jak kwestya wolności, należały przed sąd książęcy, a może i sprawy o ruchomości. Pewnem zaś jest, że sprawy karne, w ścisłym tego słowa znaczeniu, należały bezwarunkowo przed sąd książęcy.

Aż do połowy wieku XII nie posiadamy ani jednego w źródłach przykładu uwolnienia dóbr kościelnych, tudzież poddanych kościoła, od ciężarów na rzecz państwa. Epoka immunitetów rozpoczęła się dopiero ze śmiercią Bolesława Krzywoustego. O ile duchowni od ciężarów osobistych byli uwolnieni, nie wiadomo. Od służby wojskowej starsi byli wyjęci, lecz w razie potrzeby wojennej obowiązani byli dostawiać oddziały zbrojne, z ludności w ich dobrach osiadłej złożone, i wraz z nimi brali udział w wyprawach. Wreszcie w Polsce XII wieku panujący miał prawo do zajęcia na rzecz swą pozostałych po śmierci wyższych dostojników kościelnych ruchomości, a nawet i nieruchomości.

W rozdziale siódmym, poświęconym rządowi kościelnemu, czytamy: O ile synody prowincjonalne się zbierały i o ile były swobodne w obradach, w sądach i uchwalaniu statutów, nie wiemy, gdyż brak śladu chociażby jednego synodu, samoistnie przez arcybiskupów gnieźnieńskich zwołanego. Dochowały się tylko wiadomości o synodach, przez legatów zwoływanych, lecz i ich działalności bliżej oznaczyć nie można. Czy metropolita wizytował kiedy swoją prowincję, nie wiadomo. Nic więc dziwnego, że wzbroniony ustawami kościelnymi nepotyzm i następstwo na urzędy kościelne po ojcach synów prawych, lub w nieważnem urodzonych małżeństwie, było rzeczą zwykłą. Wobec tego

stanu rzeczy zapewne i obowiązki kościelne nie bardzo sumiennie były wykonywane. Z połowy wieku XII posiadamy już przykład, że spór o dziesięcinę między instytucjami kościelnymi rozsądza władza duchowna, t. j. synod, bez udziału władzy świeckiej. Czy jednak kościół wspierało *brachium saeculare*, na pewno nie można twierdzić.

Rozdział ósmy poświęcony został majątkowi kościoła. Szczególniej zasługuje na uwagę to, co autor przytacza o dziesięcinach w Polsce, o których informuje cokolwiek przywilej protekcyjny papieża Innocentego II z r. 1136. Już w pierwszej połowie wieku XII, zamiast samej dziesięciny książęcej, spotykamy dziesięcinę jako obowiązek ogólny, wprost na ludności ciążyący i przez nią opłacany, podczas gdy dawna dziesięcina książęca tylko w niektórych kierunkach się utrzymała. W wieku XII dokonany został rozdział majątku kościoła między biskupem a kapitułą, a następnie zaczęły się wytwarzać odrębne mniejsze beneficya. Ostatni rozdział pracy poświęcił prof. Abraham źródłom prawa kościelnego w Polsce.

Zwróciłem bardzo pobieżnie uwagę na bogatą treść dzieła, poświęconego organizacji kościoła w Polsce do połowy XII wieku, ze względu, że pierwszemu wydaniu tej pracy poświęcono w „Bibliotece Warszawskiej“ daleko więcej miejsca. Zauważyć wszakże należy, że drugie wydanie daje nam wyborny i wyczerpujący obraz historii organizacji kościoła polskiego w XI i XII wieku. Autor przestudował z wzorową gruntownością dokumenta dziejowe nasze, a ponieważ takowe okazywały się na każdym kroku niedostatecznymi i przeświecały brakami, nasuwając wątpliwości badaczowi, przeto uciekał się prof. Abraham, dla wiernego odtworzenia przeszłości, do historii organizacji kościoła w innych państwach i w tym kierunku badań zdobył niejedno cenne wyjaśnienie.

Autor strzegł się starannie wybujanych hipotez, które często wytworzy własnej wyobraźni utożsamiają z badaniem przeszłości. Objasnienia też wątpliwości, jakie dokumenta XI i XII wieku nasuwają, odznaczają się u prof. Abrahama subtelną logiką, jasnym i przystępnym wykładem, a nadewszystko wybornem wyrozumieniem ducha owych skąpych przepisów, zawartych w dokumentach XI i XII wieku. Oględnością i ścisłością objaśniania źródeł dawnych prawa polskiego prof. Abraham przypomina ś. p. Romualda Hubego. Praca też jego, organizacji kościoła polskiego poświęcona, zajmie niewątpliwie pierwszorzędne miejsce w literaturze naszej historyczno-prawnej i spodziewać się można, oraz cieszyć się tą nadzieją należy, że szanowny autor nie zapomni, że kościół polski nie zamknął swych dziejów w połowie XII wieku.

Kraushar: „Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego,“ admirała i wodza Holendrów w Brazylii, starszego nad armatą koronną za Władysława IV i Jana Kazimierza 1592—1652. Petersburg. Tomów dwa 1893.

W bogatej galerii wojowników polskich XVII wieku, postać Arciszewskiego nie zdumiewa historyka ani prawością charakteru, ani geniuszem militarnym, ale obudza niezaprzeczony interes różnaitością oraz niezwykczajnością przygód. Z domowych progów rodzinnego kraju wypędza Arciszewskiego zwyczajne morderstwo, którego pobudki szukać należy w uczuciu osobistej zemsty. Niezwykłe zaś okrucieństwo, rozwinięte przez młodego Krzysztofa, przy zamordowaniu mniemanego krzywdziciela jego rodziny, zdaje się zapowiadać w owym młodocianym banicie co najwyżej jednego z cynicznych i okrutnych najemnych żołdaków, w jakich obfitował wiek XVII, a nadewszystko wojna trzydziestoletnia.

Zanim jednak Krzysztof Arciszewski dopuścił się morderstwa, dał się poznać Księciu Radziwiłłowi z nieustraszonego męztwa w szturmie do Mitawy. Potężny magnat użyczył mu też schronienia na czas pewien w Birzach, a gdy sądowe poszukiwania stały się natarczywszemi, wysłał Krzysztofa wraz z jego bratem do Hollandyi, aby młodzieńcy, ucząc się sztuki wojennej u mistrzów, mogli mu być przy zdarzonej sposobności pomocnymi, a tymczasem służyli jako sprawozdawcy tych wypadków, jakie się podówczas na zachodzie agitowały.

Na odjezdnem z Gdańska, pisze Krzysztof do swego opiekuna w te słowa: „Jeśli by rzeczy, dla których jadę, nie szły i ja dobrego miejsca bym mieć nie miał, starał-bym się, abym indzinierstwa wyuczyć się mógł, by i ostatek chudoby ojczystej na to odważywszy“; że zaś Arciszewski korzystał z każdej sposobności, aby się czegoś nauczyć, przekonywa najlepiej fakt, że oniemal życiem ciekawości swej nie przypłacił. Píše bowiem z Hagi r. 1624 co następuje: misternym trafunkiem dostało mi się tu nauczyć rzeczy wielce kosztownej, choć to tu woda monarchią swoją ma, w krajach tych niezwykczajny pod wodą secure chodźć. Czego doświadcżając, wszedłem pod Szewelingiem w morze i bawiłem się w niem kilka godzin z kompasem, natrafiłem sieć rybaczą, z którejem chciałem ryb wyjąć, w czymem się zakłó o tę rybę, co ją to pitermanem zowią, rzecz tak jadowita, że nie wiem jako ją tu jadać śmieją. Kilka nocy spaciem nie mógł i od ciężkich bólów z palenia dobrzem nie oszalał.

Wyuczwszy się w Hollandyi sztuki fortyfikacyjnej, Arciszewski czekał na nowe zasiłki od Księcia Radziwiłła, aby się udać gwoili jężykowi i rzeczom ognistym do Francyi. Tymczasem jednak, aby nie pró-

znować, zaciągnął się Krzysztof do szeregów Księcia Maurycego, i gdy spieszył na pomoc oblężonej Bredzie, królewicz Władysław, późniejszy Król Władysław IV, przyjmowanym był przez wodza hiszpańskiego, Spinolę, by naocznie mógł się przekonać o kłeskach, Holendrom zadawanych.

Polubowne zagodzenie sprawy gardłowej pozwoliło Arciszewskiemu w końcu roku 1625 urzeczywistnić upragniony cel powrotu do ojczyzny. Wrócił tedy na Litwę do Radziwiłła, aby już w roku 1626 wyruszyć w interesie Księcia do Amsterdamu, a następnie do Paryża. Gdy się w r. 1628 zdarzyła szczęśliwie sposobność, przybył Arciszewski z pomocniczą flotą Holendrów i w pracach oblężniczych przeciw Rochelli czynny przyjmował udział. Gdy zaś, po bohaterskiej obronie, miasto się poddało, Krzysztof, mając uczynionych sobie kilka propozycji, wybrał ofertę Hollandyi, która mu ofiarowała dowództwo nad kompanią w wyprawie zamorskiej do Indyi zachodnich, i w 1629 r. popłynął na miejsce swego przeznaczenia.

Dnia 13 Lutego 1630 r. dobiła flota holenderska, złożona z 70 okrętów i 7,000 żołnierzy, do wybrzeży Pernambuco i rozpoczęła szybko działanie wojenne. Arciszewski przybył z nią w stopniu kapitana a szybki awans na majora świadczył najlepiej o zasługach, położonych przy szturmowaniu Olindy. Wódz naczelny hollendrów, Waerdenbruch, czując się dotkniętym nieustannem mieszanym się stanów generalnych we władzę, dotychczas nieograniczenie przezeń piastowaną, powrócił w r. 1633 wraz z Arciszewskim do Hollandyi po nowe instrukcje i z zamiarem wyjaśnienia nieporozumień. Kompania zaś zachodnio-indyjska, otrzymawszy dokładne o stanie rzeczy w Brazylii sprawozdanie, postanowiła powierzyć główny ster działań wojennych Arciszewskiemu i, zamianowawszy go pułkownikiem, wyprawiła wraz z czterema uzbrojonymi okrętami do Brazylii.

Arciszewski, jakkolwiek miał powierzone sobie naczelne dowództwo, rzekł się takowego dobrowolnie na rzecz Zygmunta Schkoppego i wraz z nim przystąpił niezwłocznie do operacji militarnych. Dawny system nieoszczędzania w ogniu swej osoby nie opuścił i teraz Arciszewskiego. Bywały też chwile, w których bogini wojny zdawała się opuszczać swego ulubieńca. Tak np. w szturmie do twierdzy Arrayał, muszkieter portugalski, wycelowawszy pistolet w twarz Arciszewskiemu, zażądał poddania się. Opuszczony od swoich, Arciszewski, oddał szpadę muszkieterowi, który też, chwyciwszy konia za uzdę, w tryumfie popędził z jeńcem do fortecy. W zapale jednak swego zwycięstwa zapomniiał zażądać od Arciszewskiego buławy i, dzięki temu, zaledwie dotarł do bramy fortecznej, jeniec jednym uderzeniem buławy położył go trupem, a sam galopem pośpieszył do swego oddziału.

We wszystkich wyprawach na Nazaretto i Porto Calvo Arciszewski czynny brał udział i pierwsze walne zwycięstwa Hollandyi jego dzielności przypisują historycy holenderscy. W dowód też uznania zasług walecznego żołnierza wystawionym został na jego cześć pomnik kamienny, rodzaj obeliska, zdobnego w herby Portugalii. Wkrótce jednak miał Arciszewski jeszcze trudniejsze zadanie do spełnienia. Dwór madrycki bowiem, zaniepokojony klęskami, wysłał do Brazylii nową flotę z wojskiem, pod dowództwem Roxas y Borgia. Między Camarigibi a Porto Cala przyszło do stanowczej bitwy, w której wódz hiszpański zginął, a wojska jego szukały w bezładnej ucieczce ratunku. Rok 1636 upłynął na ciągłych utarczkach, które na stanach generalnych nie musiały zrobić korzystnego wrażenia, gdyż to niespodziewanie zdecydowały się na zwrot stanowczy w zarządzie Brazylii i przysłały nowego wodza, Maurycego hr. de Nassau-Siegen.

Stosunki służbowe Krzysztofa Arciszewskiego z wielkorządcą, hr. de Nassau, były z początku dosyć prawidłowe. Arciszewski pragnął w interesie kompanii władzy ześrodkowanej w osobie jednego dowódcy, lecz, poniosłszy tak wielkie ofiary w służbie tejże kompanii, sądził, że władza ta, nie komu innemu, tylko jemu powierzona zostanie. Gdy go rachuby w tej mierze omyliły, nie mógł się powstrzymać od oznak niezadowolenia i częstemi uwagami krytycznemi nad sposobem rządzenia prowincją i wojskiem ściągnął na siebie gniew Nassauczyka. Wreszcie w r. 1637, podawszy swe uwagi i spostrzeżenia na piśmie hr. Maurycemu, siadł Arciszewski na okręt i pożeglował do Amsterdamu, ale ostatecznie z rządem Brazylijskim, któremu poświęcił 15 lat życia, nie zerwał.

Zaraz z przybyciem Arciszewskiego do Amsterdamu rozeszła się wieść: że pragnie opuścić służbę w kompanii zachodnio-indyjskiej, a powrócić do Polski. Starano się więc oznakami wyjątkowego uczczenia zasług cudzoziemca odwieść go od powziętego zamiaru i do pozostania nadal w służbie holenderskiej nakłonić. Kompania amerykańska przeto obdarowała go łańcuchem złotym do noszenia na szyi, a oprócz tego, dla uwiecznienia jego czynów, poleciła odbić medal pamiątkowy srebrny z pochlebnemi dlań napisami.

W tymże samym roku otrzymał Arciszewski wezwanie od Władysława IV, aby służył własnemu krajowi. Odpowiedział listem wymijającym i zwlekającym ostateczną decyzję. Bardziej mu też przypadła do smaku propozycja Gastona Orleańskiego, ofiarująca wyższe stanowisko w wojsku francuskiem, gdy niespodzianie nadeszły niefortunne wieści o klęskach, poniesionych przez holendrów w Brazylii. Stany generalne zawiązały bezzwłocznie układy z Arciszewskim i w r. 1638, z zalecenia samego stadthoudera, został mianowany generałem artyler-

ryi i admirałem sił morskich Holendrów w Brazylii. W r. 1639 przybił Arciszewski do Recifu z ośmioma okrętami i załogą, ale zaraz na wstępie doznał zawodu i stanowczej ze strony miejscowego zarządu opozycji.

Jawna niechęć Maurycego ku cudzoziemcowi sparaliżowała pierwsze kroki Arciszewskiego. Rozgoryczenie wzmogło się jeszcze, gdy Arciszewski zaczął okazywać chęć narzucenia swojej woli kamarylli Nassauczyka. Wzajemne oskarżania się doprowadziły wkrótce do tego, hr. Maurycy oświadczył Arciszewskiemu wobec rady brazylijskiej: iż pomoc jego jest zbyt cenną, a same władze brazylijskie najlepiej wiedzą, jak prowincję rządzić należy. Niezadługo po tej gwałtownej scenie aresztowano Arciszewskiego, wsadzono na okręt i odesłano do Amsterdamu.

Hrabia de Nassau, zdecydowawszy się na krok tak samowolny, przesłał szybko stanom generalnym usprawiedliwienie swego postępowania, aby tym sposobem osłabić skargi i żale Arciszewskiego.—Słowom Nassauczyka nadawało szczególne znaczenie blizkie pokrewieństwo z Stadthouderem. Nic też dziwnego, że Arciszewski daremnie się u niego dopraszał o audyencję i bezskutecznie wzywał sprawiedliwości i sądu.—Księżę Radziwiłł i hetman Koniecpolski musieli się za nim wstawić do stanów generalnych i zdołali pozyskać zaledwie skromne zadośćuczynienie moralne: że niby na własne żądanie uzyskał uwolnienie od służby i paszport od stanów Zelandyi.

Przez sześć lat wiódł Arciszewski życie beczynne, aż nareszcie śmierć Grodzickiego, piastującego w Rzeczypospolitej godność starszego nad armatą koronną, przypomniła go znowu Władysławowi IV. W dniu 28 Kwietnia 1646 wydany został Krzysztofowi Arciszewskiemu dyplom na urząd starszego nad armatą i w tymże samym dniu wykonał przed kanclerzem Ossolińskim przysięgę na urząd. Przez lat trzy piastował Arciszewski powyższą godność i pozostawił sprawozdanie, bardzo ważne dla historii, z zarządu artylerję w Polsce.

Losy nie dały mu jednak piastować swego urzędu w pokoju. Z boleścią serca musiał patrzeć na sromotną ucieczkę wojska pod Pilawcami i zniewolony był o północy z garstką żołnierzy ustąpić z obozu i udanemi strażami przy działach ludzi nieprzyjaciela. Podczas oblężenia Lwowa, Arciszewski odznaczył się nieustraszoną odwagą i zachęcał do wytrwania w oporze. To samo doradzał królowi pod Zborowem, a gdy rady Ossolińskiego przemogły, widząc niemożność służenia dalszego krajowi, zdał urząd swój w ręce generała artylerji, Zygmunta Przyjemskiego, i czasowo wyjechał do Węgier.

Na widowni publicznej nie spotykamy już Arciszewskiego. Od roku 1650 bawił u krewnych swych pod Gdańskiem, gdzie też i zmarł

w r. 1656. Ciało jego, wprowadzone do Lesznowskiego zboru, miało znaleźć spoczynek na cmentarzu braci czeskich, gdy w chwili pogrzebu miasto zostało oddane na łup żoldactwu Grzymułtowskiego i zbór braci czeskich spłonął wraz ze zwłokami Arciszewskiego.

Z tych kilku szczegółów przekonać się można dostatecznie, że życie Arciszewskiego było bogatem w przygody na lądzie, jak i na morzu. Zdanie zaś jego, które autor położył na czele pracy: „uczyłem się rzemiosła rycerskiego tak, jakem mógł, i stać służyłem wiernie, gdzie mi się trafiło“ rzuca charakterystyczne światło na postać Arciszewskiego. Jest to istotnie mąż rzemiosła rycerskiego, lepszy i szlachetniejszy o wiele od zachodnio-europejskich rzemieślników najemniczo-wojennych, ale nie dosięgający wyżyn takich bohaterów, jak Chodkiewicz, Żółkiewski lub Czarniecki. Arciszewski przynajmniej wiernie służył wszędzie, choć służył tam, gdzie musieć trafiło, a propozycje królewskie odrzucał, jak tylko w obcych krajach ofiarowano mu korzystniejsze warunki. Kondotyerzy najemni wierność zapłaconą zastępowali często zdradą i łupiestwem, a w dodatku pozbawieni byli wszelkich uczuć humanitarnych, gdy tymczasem poezye Arciszewskiego zdradzają w podróżnym wojowniku pewien nastrój rzewny i uczucie głębokiej religijnej wiary.

Dopiero też sześćioletnie próżnowanie skłoniło Arciszewskiego do powrotu do kraju, a jakkolwiek usług jego, oddanych w kampanii przeciw kozakom, lekceważyć nie można, nie wykazał jednak przymiotów pierwszorzędnego wodza i nie zapanował duchem nad otoczeniem i nad królem Janem Kazimierzem, który ludzi rycerskiego rzemiosła cenił, sam będąc wybornym żołnierzem. Że artylerzystą i wojennym „indzi-nierem“ był Arciszewski, w swoim czasie, wybornym, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości. Prawdopodobnie mógłby też stworzyć Rzeczypospolitej potężną i dobrze obsłużoną artylerję, gdyby skarb pusty i nieszczęśliwe czasy nie były mu po temu nieprzebytą zaporą. W każdym razie jednak, dewiza Arciszewskiego rzuca odmienne światło na jej wyznawcę, aniżeli słowa „ja nie z soli ani z roli, ale z tego co mnie boli“ na postać Czarnieckiego.

Przedewszystkiem też ośmieliłbym się zarzucić sz. autorowi: że w odtwarzaniu portretu wybranego przez siebie bohatera, uwydatniając stronę świetlaną i promienną, cienie uczynił zbyt nikłemi, tak, że je czytelnik gotów wziąć za złudne przywidzenie. Nie uważałbym także za zupełnie słuszne i odpowiednie zapewnienie autora w tytule, że Arciszewski zdobywa Rochellę, kiedy jego udział w oblężeniu powyższego miasta był więcej niż podrzędnym. Wogóle działalność wojenną Arciszewskiego w Brazylii i w Europie spowił autor w piękną opowieść epiczną, właściwszą dla narodowych bohaterów, jako nagroda za ich

poświęcenie i ofiary dla rodzinnego kraju. Ponieważ zaś Arciszewski, pozostawszy na służbie w Hollandyi, nie zdobył sobie nawet uznania, jako samodzielny i oryginalny wódz, przeto uwielbienie dla niego można było, bez skrzywdzenia prawdy historycznej, sprowadzić do nieco umiarkowanego tonu.

W odtwarzaniu postaci Arciszewskiego nie widzimy przytem pożądaney koncentracji i znajdują się rozdziały całe w obu tomach, w których albo się nie spotykamy z danym bohaterem wcale, albo też odnajdujemy go w jakimś drobnym szczególe. Owo przeplatanie biograficznej opowieści ogólnie historycznem tłem bywa zawsze szkodliwe dla historycznego portretu, jeżeli owego ogólnego materiału użyje badacz w zbytnej obfitości. Sądzę, że autor, bez ujmy dla swej sumiennej i pożytecznej pracy, mógł pominąć niektóre opowieści z ogólnej historyi, a rysy, charakteryzujące Arciszewskiego, powinien był więcej zbliżyć do siebie, aby czytelnikowi dać lepsze zrozumienie całej postaci.

Zwłaszcza relacye historyczne, jakie Arciszewski przysyłał Radziwiłłowi, przewlekają tekst pracy, krótkie też wyjątki w opowieści a przyłączenie całych relacji do aneksów było-by daleko lepiej odpowiedziało zadaniu. Jeżeli jednak studyum p. Kraushara, poświęconemu Krzysztofowi Arciszewskiemu, można zarzucić pewne usterki, to bynajmniej nie odejmują one jego pracy rzetelnego naukowego znaczenia i wysokiej literackiej wartości.

Z pracowitością i sumiennością niezaprzeczoną zebrał sz. autor materiały dziejowy rzadki i cenny. Opracowanie zaś źródeł historycznych jest gruntowne, a opowieść napisana językiem poprawnym i pięknym. Zbytecznem chyba jest zapewnianie, że w literaturze naszej historycznej jest to pierwsza tak pełna i wyczerpująca monografia, poświęcona Arciszewskiemu Krzysztofowi.

A. REMBOWSKI.

Ostoja: „Nowelle.“

Z trzech większych opowiadań, które Ostoja zawierała w nowym tomie swoich nowel, „Królowna“ przedstawia się jako całość najbardziej wykończona i najwięcej interesująca. Z tego powodu w niej szukać będziemy cech twórczości autorki.

„Królowną“ nazywały ją siostry, ponieważ miała „twarzyczkę piękną i pysznie wydętą usteczka.“ Wychowała się w domu starszla-checkim, niegdyś świetności pełnym, dziś stękającym pod długami.

W domu tym panowała atmosfera duszna, co było winą sytuacji majątkowej, i zimna, do czego przyczyniali się ludzie. Brat, rządzący gospodarstwem, jęczał, trapiiony przez wierzących; Nina, jedyna z sióstr, która wyszła za mąż, była egoistką i ograniczoną istotą; dwie starsze siostry, panny czterdziestoletnie, nie ustrzegły się przywar i śmieszności: składało się to wszystko na otoczenie, które mogło tylko rozwinąć oschłość duszy Karolci, a mogło-by nawet było stłumić w niej uczuciowe i szlachetniejsze pierwiastki, gdyby je od natury była dostała.

Karolcia jednak nie dostała od natury nic lirycznego. Dana jej była natomiast inteligencja żywa i wybitna, a opowiadania matki o klejnocie szlacheckim rozbudziły w niej ambicję.

Taką nam przedstawia bohaterkę swoją autorka. Ażeby dać poznać ją czytelnikowi, Ostoja używa zwykłych swoich środków. Opowiada jej życie, zatrzymuje się przy zdarzeniach ważniejszych, tłómaczy myśli swojej postaci, wyjaśnia pobudki czynów i ilustruje charakter przykładami.

„Wszelkie upokorzenie było dla niej najstraszniejszą męczarnią. Kiedy wierzący zaczęli oblegać Stasia, królowa na sam widok wózka czuła rumieńce na twarzy — i uciekała, jak szalona, w najciemniejszy kąt ogrodu. Zadyszana, z zaciśniętymi zębami, tuląc się do drzewa, słuchała; serce biło gwałtownie, nogi i ręce drżały; zdawało jej się, że słyszy grubiańskie wyrazy, rzucane w twarz bratu, i zaciskała pięście...”

Nie przypuszczajmy jednak, że mamy tu wyjątkowo wrażliwą naturę. Wszystkie postacie bowiem Ostoi odpowiadają na życie w sposób stanowczy i silny. Leży to najwidoczniej w metodzie autorki; są to jej środki wywoływania plastyczności swoich figur.

Przy użyciu tej metody trudno jest widocznie utrzymać zawsze artystyczną miarę, skoro nawet tak wytrawna autorka, jak Ostoja, wpada w pewną krańcowość, którą za przesadę chwilami można-by uważać. Jej postacie czasami w tak ostrym ukazują się konturze, że o spaczenie potracają. Wiemy na przykład, że Karolka jest ambitną; widzieliśmy, jak zachowuje się wobec lichwiarzy. Ale oto szczegóły jeszcze silniejsze: „w dzieciństwie ukarano raz ją za to, że *ugryzła* w twarz niankę, która ją „odartą królową“ nazwała.“ Innym razem, Karolcia konkietę na balu robi i wraca do domu, czując się bardzo niešťęśliwą; to bowiem młodzieńcze dziewczę, które pierwszy raz poczuło na sobie ciepłe spojrzenie pięknego kawalera, „ma łzy w oczach... postanawia zaraz po powrocie do domu rozmówić się z bratem...” o — interesach... „Teraz, gdy przed jej oczami stał wspaniały panicz, nie chciała wierzyć, że jest uboga, że nie ma szeląga, że świetny pan, że — niąc się z nią, zrobił-by finansowy mezalians...”

Że takie traktowanie wynika z metody autorki i że nie powinniśmy liczyć tego na karb wyjątkowości Karolci, przekonać nas może choćby siostra bohaterki, Nina. Jest ona pięknie rozwiniętą panną i dosyć ograniczoną umysłowo. Cechą jej charakterystyczną jest pociąg do macierzyństwa, który się objawia w sympatii dla wszelkich nowonarodzonych zwierząt—szczeniąt i prosiąt. Gdy nadchodził czas jej ślubu, Ninę „cieszyło to, że za rok będzie miała swoje własne dziecko: pierwszego chłopaka nazwie Jasiem, pierwszą dziewczynkę Zosią; wszystkie dzieci będzie karmiła sama... Zawczasu już ukradkiem spoglądała na swoje piersi białe, okrągłe, trochę może za duże...”

Wróćmy do bohaterki. Karolcia dojrzewa. W tym czasie przyjeżdża z miasta na wieś, za interesami, jej szwagier, mąż Niny, adwokat Wierzbicki—i rodzi się między nimi sympatya. Oboje zresztą nie łudzą się co do natury tego uczucia... Ale romans ten tylko w duszach się odbywa, żadne słowo bowiem nie pada, cień porozumienia nie następuje—i Wierzbicki wyjeżdża.

Wtedy autorka oznajmia nam krótko, iż w pięć miesięcy potem Karolcia wychodzi za mąż za Włodka, szlachcica zagrodowego, niewykształconego, ale dobrego człowieka i zamożnego.

Dlaczego robi to Karolcia?

Autorka każe czytelnikowi odgadnąć. To milczenie użyte jest tu jako środek artystyczny, jako pisarski efekt.

I właśnie największy z tego robię pracy Ostoi zarzut, że czytelnik nie może odgadnąć tego, co mu zadano.

Naprzód charakter Karolci cały jest zbyt konsekwentnie i pewnie postawiony przez autorkę, abyśmy tę dziewczynę oschłą, rozumną i próżną, mogli posądzić o kierowanie się jakąkolwiek fantazyą w takim ważnym czynie, jak zamążpójście. Jak doskonale Ostoja przedstawiła nam miłość tej niesympatycznej istoty — miłość jedyną w jej życiu, — jak rozumiemy, że taka Karolcia bardzo mało ma skrupułów, iż ten, dla którego bije jej serce, jest mężem jej siostry,—jak umiejętnie do tej miłości, która zostawia po sobie *rozdrażnienie*, bo też nie jest czem innem, jeno zmysłowym porywem—wprowadza autorka próżność podrażnioną, jak stale ogalaca niby kochającą dziewczynę z zapалу szlachetności, poezyi... Widoczne jest, że ten popęd, zwłaszcza jeśli jest jedynym, długo może być pamiętany, ale że tej oschłej i mądrej pannie nie zepsuje nic w życiu...

Tymczasem wychodzi ona najniespodziewaniej za Włodka...

Wskazaliśmy, że postępek ten nie wpływa konsekwentnie z charakteru Karolci. Do zadziwienia przecież czytelnika przyczynia się tu i druga jeszcze rzecz, która wpływa z metody autorki. Powiedzieliśmy już, że Ostoja maluje swoich ludzi „z wewnątrz,” że zagląda usta-

wicznie do ich duszy i na motywa patrzy, że słowa i czyny przedstawianych postaci oświeśla i koncentruje; to nie jest jeszcze cała metoda autorki. Dodać do niej potrzeba ten rys charakterystyczny, że Ostoja pracuje ciągle w nawale psychologicznego materiału, że, trzymając się może za ściśle realnej, mechanicznej dokładności, myśli charakterystyczne, ważniejsze, te, które skutki pewne za sobą pociągają, miesza ustawicznie z myślami okolicznościowymi, przypadkowymi, temi, co przychodzą i odchodzą bez żadnych skutków, co nic nie charakteryzują i bez żadnej szkody mogły-by być pominięte.

W życiu tak się w samej rzeczy myśli. Dzieło sztuki różni się przecież tem choćby od życia, że nie może zająć tyle w czasie miejsca; gdy autor chce przedstawić postać, dla czytelnika zrozumiałą, sama przestrzeń książki narzuca mu wybór tego tylko materiału psychologicznego, który jest potrzebnym i niezbędnym do uplastycznienia postaci. W tym razie obciążenie nowelli tem, co się do charakterystyki nie przyczynia, zamazuje wyrazistość postaci, odejmuje wagę głębszym motywom. Czytając nowelle Ostoi, czytelnik, któremu trudno zorientować się w tej obfitości stanów duszy, zdaje się zupełnie na autorkę. Nic więc dziwnego, że w takich chwilach, kiedy autorka, sądząc, że dosyć już zrobiła dla postawienia swojej postaci, cofa komentarze, czytelnik czuje się bezradnym, stropionym i nie wie, co ma sądzić.

Tak jest ze ślubem Karolci.

I żałować przychodzi, że ten fakt taką wielką gra rolę w nowelli; właściwie wszystko się obraca około tego, że Karolcia po latach pięciu pożycia czuje, iż dalej już tak pozostać nie może i chce się rozejść z mężem.

Nowella od tego się zaczyna, że Włódkowa przyjeżdża do Warszawy szukać u Wierzbickiego rady. I ma z nim rozmowę. Tu autorka znowu staje przy swojej bohaterce, i znowu czytelnik czuje, że na drogę jakąś natrafił. Czyż-by bowiem domyślił się sam, że Włódkowa ciągle ma coś tam w duszy dla Wierzbickiego i że liczy na to, że i on także coś chowa dla niej? A jeżeli-by i domyślił się czegoś czytelnik, to posądził-by może tę panią, która chce od szwagra tylko rady, o coś innego, co pewnie w intencji autorki nie leży. I nie leży z pewnością. Bo Ostoja ujęła już nanowo Karolcię ręką pewną i silną i tłómaczy nam jej myśli, maluje uczucia, przedstawia cierpienia i zawód.

Tak, zawód, bo Wierzbicki nic już w duszy dla Włódkowej nie zachował, i wprost boi się, aby mu ciężarem nie spadła na kark.

— Dlaczego się z nim rozchodzisz?—pyta Wierzbicki.

I powtarza tu zapytanie, jakie ma na ustach czytelnik. Autorka także nie tłómaczy tego.

Włodek jest prostym, ale dobrym człowiekiem. Jest to jeden z krewnych bohaterów panny Rodziewiczówny — i nawet ich językiem mówi — a z takimi żony nie bywają nieszczęśliwe.

Oto jak ten dzielny, choć prosty, człowiek, rozprawia się ze swoim ojcem za pierwszą przykrość, zrobioną Karolci:

— Słuchaj, ojciec, — rzekł, biorąc go za ramiona *po swojemu*, — w domu spokój chcę mieć, rozumiesz. Chata i ziemia twoja, ale praca moja. Dawno-by po twoich dostatkach śladu nie było, żebym ich tu wszystkich w garści nie trzymał. Siedź cicho i dziękuj Bogu, że ja zdrows i silny — rozumiesz?

O Karolci tak Włodek mówi do ojca innym razem:

— Ja wiedział, że ona do niczego. Nic mi nie obiecywała, więc nic i wymagać nie mogę... Ja wiedział, kogo brał — ona mnie nie oszukiwała.

Karolcia nie może jednak przy tym mężu wytrzymać. Dlaczego? Ostoja tyle nam tłumaczy tylko: „Nie mogła żyć dłużej z mężem... nie kochała go nigdy, a przez parę lat nie potrafiła przywyknąć...

— Nie chcę i nie mogę. — *Te dwa słowa nie potrzebowały komentarzy. Powtórzyła-by je nawet wobec Boga.*“

— Czy mąż twój jest zły dla ciebie? — pyta Wierzbicki.

— Jest głupio dobry.

Widocznie jest, że i ten postępek Karolci daje autorka czytelnikowi do odgadnienia. Czytelnik myśli, że może to miłość dla Wierzbickiego figle te płata. Ale pewnie nie jest ani na sekundę, bo autorka tego nie powiedziała wyraźnie. A czytelnik widział naprzód tę miłość tak, jak przedstawiała się dawniej, potem nic nie wie, co było przez pięć lat, a teraz, zajrzawszy w głowę Karolci, doznaje chwilami obawy, czy nie ma do czynienia z prostą — kokotą. Oto bowiem jak snuje marzonko swoje królewna: „Wolała-by go (Wierzbickiego) nie potrzebować, jednak gdy się bez niego obejść nie potrafi...“ „Tak, on zrobi to wszystko (ułatwienie rozwodu, wyszukanie dla niej stanowiska i t. p.), może nawet wbrew swemu rozsądkowi, — jak lunatyk, kierowany siłą wyższą...

„*Uśmiechnęła się do tej myśli... Ona zna mężczyzn... wie, że uległość czyni z kobiety niewolnicę, a kaprys i wymagania dają jej władzę w ręce...*“

„Plan ten wrócił jej *spokój i równowagę myśli...*“

Plan ten jednak nie prowadzi do niczego. Wierzbicki, zamiast przyjść do niej, idzie na winta. Wtedy podrażniona kobieta wraca do siebie, idzie do ogrodu i topi się w stawie.

Nie będziemy robili podobnego rozbioru dwóch innych większych prac autorki: „Świetny los“ i „Pod urokiem.“ Powtórzyć-by się nam

bowiem tylko wypadło i wskazać na te same zarzuty, które wynikają z metody, czy też natury talentu Ostoi.

Podobnie, jak Karolcia, i inne postacie, na szerszą skalę zakreślone, jak naprzykład Maks w „Świetnym losie,” lub Ludka w „Pod urokiem” przedstawiają się zrozumiale czytelnikowi o tyle, o ile autorka komentuje i oświecla ustawicznie każdy ich czyn, myśl, słowo i uczucie—a stają się biednymi, opuszczonymi sierotami, gdy—dla efektu artystycznego—autorka zanotuje jaki ich czyn, lub motyw jakiego domyslać się każe i pozostawi ich tak bez swojej skutecznej pomocy.

Nowella, pomieszczone w tym tomie, jak zresztą wszystko, co z pod pióra tej poważnej autorki wyjdzie, pisane są językiem potoczystym, w zwroty oryginalne bogatym, do żywości epicznej bardzo podatnym.

„Jedynе dzieło“, nowelle i szkice *Zygmunta Niedźwieckiego*.

Pan Niedźwiedzki posiada charakterystyczną beztroskę o to, co stanowi główny motyw, treść szkicu, co nazywa się osnową, pomyślam w nowelli. Bierze pierwszy lepszy fakt, pierwszą z brzegu obserwację, najzwyczajniejsze i najpowszedniejsze zdarzenie—i siada z tem do biurka, mówiąc sobie:

— I z tego będzie nowella.

Jeśli przyjmiemy tę metodę, wszystko jest materiałem na nowellę. Praca niezmiernie ułatwiona, bo nie trzeba czasu tracić na żadne wybory i sortowania, ani łamać sobie głowy nad poszukiwaniem pomysłów nowych i interesujących.

Oto jak przy tej metodzie wyglądają nowelle pana Niedźwieckiego.

„Uznanie.” Grzegorz zajmuje w spokoju swój kąt warsztatu, nie bierze udziału w krzykactwie towarzyszy, nie miesza się do ich zwad, nie należy do pijatyk.

To odosobnienie drażni towarzyszków—myślą więc, że Grzegorz jest głupi. Ale jedno rozumne odezwanie się dowodzi fałszywości tej dedukcyi. Potem ktoś tam chce nad nim przewodzić; pokazuje się wtedy, że Grzegorz nie da sobie w kaszę dmuchać. W końcu inny go obraża i Grzegorz daje wtedy potężny a widomy znak swojej siły.

Zyskał więc Grzegórz *uznanie*, ale bez sympatyj i szacunku.

I oto nowella skończona. Dowiedzieliśmy się więc, że Grzegorz jest nie głupi, że jest silny... i że ma na imię Grzegorz. *Ce n'est pas malin...*

A oto „Swarliwa.” Nazwisko jej Głuszycka. Któraś ze służących postawiła w ciemnym kurytarzu cebrzyk na środku drogi. Głuszycka szła i potrafiła się w kolano. Robi więc z tego powodu piekło w całym domu, co zresztą nie wielkie sprawia wrażenie, ponieważ lokatorki przywykły są do zwadliwości sąsiadki.

W tej nowelli autor zapragnął pogłębić przedstawioną postać i zszedł w duszę zwadliwej kobiety. Oto psychologia pana Niedźwieckiego: „wylewa z siebie całą złość, cały jad kobiety biednej, która nie ma w co się ubrać, nie ma często co jeść, czem w piecu palić, nie może sobie dać rady z mężem nicponiem, nie umie zagłuszyć zgryzot swojej bezdzietności”... „upokorzona swoim położeniem, przekonana że za nic ją nie mają, wyzyskuje do ostatka nadarzoną kłótnię... by ulżyć sobie... do następnego tygodnia.”

Tak nam tłumaczy autor. A czytelnik powiada sobie, że znał biedne kobiety, które jeszcze częściej nie miały co jeść, które nie miały nie tylko męża nicponia, ale żadnego wcale—i które były wesołe a przynajmniej nie trwały sąsiadom życia. Jedynem bowiem wyjaśnieniem czy usprawiedliwieniem zalet takich Głuszyckich i Grzegorzów może być życie, prawda artystyczna; należy je tylko tchnąć w postaci i puścić je w świat, a wytłumaczać się i usprawiedliwiać przed czytelnikiem—same.

Nie wybieram tu umyślnie rzeczy najsłabszych, najwięcej pozbawionych artystycznego interesu. Dwie przytoczone nowelle bowiem mogą jeszcze uchodzić za wysoce zajmujące w porównaniu naprzykład z „Jedynem dziełem” lub „Zazdrością.”

W tej ostatniej nowelli jest stary wuj, który nie może już korzystać z uciech miłości, który ma u siebie ładne pokojówki a o piętro niżej siostrzeńca studenta—i który, pełen zazdrości, po dwadzieścia razy wpada do pokoju młodego chłopca, aby przeszkodzić mu w zawiązaniu miłosnej intryżki. To już wszystko.

W „Jedynem dziele” pokazuje nam autor „sodówkę”, mającą niczem nie wytłumaczony pociąg do malarzy—i młodego studenta, który udaje artystę, aby pozyskać względy dziewczyny. Przystraja więc pożyczanymi szkicami swój pokój i prosi do siebie „sodówkę.” Dziewczyna, która była oporną, jak skała, dowiedziawszy się, że ma do czynienia z malarzem, natychmiast mięknie i przychodzi do pracowni, a nawet pozuje mu do „Venus śpiącej.” Przekonywa się jednak, że ten malarz nie jest malarz—więc wypisuje mu na obrazie żółtą farbą: *dó-reń* i znika. Zannotujmy, że osoba, pisząca tak gramatycznie, mówi o sztuce i zapytuje: „Co pan ma na wystawie? do jakiej szkoły pan należy?” i t. p.

Nowella jest równie pięknym rodzajem twórczości, jak każda inna forma. Można być w nowelli poetą, jak Daudet, i psychologiem, jak Maupassant. Gdy talent nie dopisuje, można ratować nowellę jeszcze figlikiem, jak Sylvestre. Ale w tych nowellach pana Niedźwieckiego nie ma nic—nawet figlika.

W towarzystwie podobnych szkiców i nowel, wygląda na coś lepszego „Schadzka.” Uczeń wyznaje pensyonarce swoją miłość i prosi o schadzkę, ponieważ słyszał i czytał, że to tak się miłość robi. Dziewczę, poradziwszy się koleżanki, przystaje na to i *rendez-vous* naznacza. Dwoje „zakochanych” schodzi się gdzieś w ogrodzie, tymczasem spada ulewny deszcz, z grzmotami; dzieciaki chronią się do jakiegoś kiosku. Burza ta przestrasza ich; dziewczyna boi się spóźnić do domu, chłopiec sam nie wie, co ma robić. Zaczynają mieć pretensye do siebie i—gdy deszcz minął, rozchodzą się, aby się już więcej nie zejść.

Pomysł na prawdziwą nowellę leżał w szkicu, zatytułowanym „W cyrku.” Ojciec zawozi młodego chłopaka do cyrku na przedstawienie. Dziecko, znające już te uciechy, obiecuje sobie nowe cuda i nowe czary. Jednak cyrk jest na drodze do bankructwa. Na widowni przerażająco puste ławki, komplet trupy zmniejszony do minimum i огоłocony z gwiazd, nawet garderoba co lepsza w zastawie.

— On tu zimy nie wytrzyma—robi uwagę ojciec.—Bez butów wyjdzie.

Ta i podobne uwagi spadają na marzącego chłopca, jak zimna woda.

Przedstawienie się zaczyna i jest smutne. A skoro przedstawienie cyrkowe jest smutne, to już nadto niema nic smutniejszego na świecie.

Aby jednakże efekt smutku wywołać w czytelniku, potrzeba koniecznie wziąć do pomocy arsenal środków i podstępów artystycznych. Potrzeba uchwycić pewien w stylu ton, któryby znamionował o łpowiedni nastrój jakby mimowoli, nieumyślnie,—potrzeba wyrzec się ciągnięcia sympatii czytelnika „za połą”, przeciwnie, należy raczej maskować swoją intencję, a przede wszystkim kazać mówić ludziom i rzeczom.

Pan Niedźwiecki postępuje wprost przeciwnie. Sam ciągle—przez usta swojego malca—za rzeczy i ludzi mówi:

„Zdawało mi się, że służba trząść się musi z zimna, że muszą być głodni, że chce im się płakać zapewne.”

Aby powiększyć wrażenie, autor robi swojego chłopca nadmier- nie wrażliwym i nerwowym dzieckiem, i każe mu „zanosić się od szlochania i łkania”... „z żalem ogromnym, smutku pełen, jakbym się znajdował na pogrzebie, jakbym patrzył na jakieś straszne nieszczęście” ...„bo dusza rozdzierała się we mnie”...

To trzeba dać uczuć czytelnikowi Powiedzieć—nie wystarczy.

Jedyną nowellą, którą w tym zbiorze można zapisać na dobro talentu pana Niedźwieckiego, jest „Wygrana.” Dwaj dyurniści, Michał i Felek, związani są wspólnym biurem, pokojem, biedą—i przyjaźnią. Każdy z nich ma inny charakter i inne gusta, ale ponieważ te różnice się dopełniają—jest więc dobrze przyjaciółom ze sobą i węzeł zażyłości zacieśniał się z latami.

Aż przychodzi im pomysł kupienia wspólnie losu na loteryę. Wydaje im się to świetną ideą, zwłaszcza po następującej poprawce: kupić dwa losy,—każdy dla siebie—i wrazie wygranej wygrywający dzieli los na dwie części—po przyjacielsku.

I robią tak. Ale od tej chwili zaczyna się psuć coś w ich przyjaźni. Michał ma oba losy w swojej kieszeni (co prawda, dla czego?)—więc Felek zastanawia się: „a jeżeli w razie wygranej zaprze?” Michał znowu podobne refleksje robi ze swojej strony: „a jak on się ze mną swoją wygraną nie będzie chciał podzielić?” Bardzo żywo i zajmująco oddane są te procesy, jakimi fermentuje teraz podejrzenie w głowach przyjaciół. Zaczyna więc każdy zwracać uwagę baczniejszą na to, co drugi robi—i odkrywa wiele pozorów do utwierdzenia się w powziętym podejrzeniu, a dodatkowo spostrzega, że przez lata całe miał do czynienia z człowiekiem niepewnym i niezdolnym.

Nareszcie w dzień ciągnięcia katastrofa wynika.

— Oddaj mój bilet!—żąda Felek.

— Po ciągnięciu—odpowiada Michał.

Ciągnięcie następuje i obaj lecą zajrzeć do tabeli. Stają przez chwilę razem obok siebie—poczem rozchodzą się w różne strony—na zawsze.

Pan Niedźwiecki wydaje w krótkim stosunkowo czasie drugi zbiorek swoich drobnych prac. Pierwszy („Słońce”) został przyjęty życzliwie przez krytykę i, być może, to zachęciło autora do wydobywania z teki prac dawnych i mniej wartych.

Jeden z krytyków „Słońca” postawił był sprawę szkicu na szerszym gruncie i wyznał, że „najmniejsza rzecz, szkic, drobnostka, jeden rzut ręki autora z temperamentem” zawsze znajdują w nim zwolennika. Tak więc temperament pisarski ma wynagrodzić wszelkie braki rzeczy, nie mającej warunków do życia, lub ciałem wypełnić szkicową chudość. Co do mnie—właśnie ten temperament pisarski pana Niedźwieckiego zapisuję w tym razie nie na jego dobro, lecz przeciwnie.

W. KOSIAKIEWICZ.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Najważniejszym wypadkiem politycznym w okresie czasu, który upłynął od ostatniej „Kroniki“, było rozwiązanie parlamentu niemieckiego. Rząd cesarstwa zgodził się na kompromis w sprawie ustawy wojskowej; ale parlament odrzucił nawet kompromisowe wnioski Hue-nego. Gdy tylko wynik głosowania stał się wiadomy, kanclerz wyjął z teki gotowy dekret i odczytał go; parlament przestał istnieć. Wybory do nowego odbędą się w dniu 15 czerwca.

Acz do pewnego stopnia przewidywane, odrzucenie projektu ustawy wojskowej sprawiło w Europie niemałe wrażenie. Odmówiono rządowi pieniędzy na pomnożenie sił zbrojnych, pomimo zapewnienia jego, że od tego zależy przyszłość państwa; opinia publiczna innych krajów, nie wdając się w sądy o patryotyzmie niemieckim, wytłómaczyła sobie odmowne wotum jako protest przeciwko obciążaniu bez końca finansów państwa wydatkami na wojsko. Taki też był w istocie sens tego wotum. Tylko że w danym razie Niemcy mogli sobie pozwolić na manifestację zaledwie platoniczną. Była to sielanka majowa, gdy kołysali się myślą o zniknięciu projektu rządowego; w lipcu trzeba będzie przejść na grunt realny i uleść wymaganiom władz wojskowych. Te władze żądały pieniędzy, wiedząc dobrze o tem, że się budżet i tak już ugina pod brzemieniem militarizmu. Ale to nic nie znaczy. Zadłużenie jest złe, zagłada jest gorszą. W przyszłej zaś wojnie, której wszyscy unikają, lecz do której wszyscy się przygotowują,

będzie niezawodnie szło, przynajmniej może iść, o śmierć i życie ścierających się mocarstw.

Po dziennikach spotykać się można było z domysłami, co nastąpi, gdyby i nowy parlament odrzucił projekt rządowy. Na to pytanie dał znaczącą odpowiedź sam cesarz Wilhelm w przemowie do generałów. Powiedział on, że ufa, iż nowy parlament zatwierdzi ustawę, niezbędną dla bezpieczeństwa rzeszy, i dodał, że gdyby stało się inaczej, pomimo to, on, cesarz, i rządy związkowe, zdecydowane są „użyć wszelkich środków“, aby projekt jednak wszedł w wykonanie. Przypuszczenie, że bez względu na obstawanie rządu przy konieczności reformy wojskowej stronnictwa ponownie ją odrzucą, jest tak mało prawdopodobne, iż nie uważamy za potrzebne zastanawiać się bliżej nad tą ewentualnością.

Tymczasem stronnictwa niemieckie zajęte są agitacją, a Europa czeka. Ponieważ nie jest dla żadnego z państw obojętnem, czy Niemcy będą dobrze lub źle zaopatrzone w środki wojenne, więc do pewnego stopnia od przyszłych uchwał parlamentu niemieckiego zależeć będzie i przyszła polityka państw, jeśli nie w istocie swej, to przynajmniej w odcieniach.

Wiosna obecna, temperaturą i pogodą ogromnie przypominająca jesień, ma swoją dobrą stronę: skłania mieszkańców miasta do większego skupienia, a w braku rozrywek i spacerów, rozpraszających umysł, zmusza do gorliwszego odwiedzania sali odczytowej. Dawno nie panowało w niej takie ożywienie, jak w ostatnim sezonie pogadarek, trwającym kilka tygodni. Po Ochorowiczu, Jankowskim, Szawłowskim („O postępie“), Boguskim, poświęcających swoją pracę na rzecz osad rolnych, zabrali głos z mównicy publicznej, na korzyść Towarzystwa dobroczynności, pp. W. Marrenowa, J. Kotarbiński, A. Pilecki, J. Kenig i Peplowski. Charakterystycznym jest to, iż w znacznej większości na treść tych odczytów złożyły się nowe prądy w literaturze powieściowej i dramatycznej, tudzież dziedzina sztuk pięknych (poezyi i gry aktorskiej). Marrenowa scharakteryzowała ogólną dziś dążność w całej Europie do zreformowania teatrów, do usunięcia przeżytych form i zastąpienia ich czemś nowem, niezwykłym, a pociągającym. W pogoni za źródłem odżywczem reformatorowie usiłują wprowadzić na scenę symbolizm, mistycyzm. Między innymi żarliwym popieraczem tego rodzaju nowych prądów jest Maeterlinck, napełniający przerażeniem aktorów, którzy musieli-by walczyć o lepsze z figurami woskowemi. Po silnym prądzie naturalizmu, mistycyzm jest atoli witany przez wielu dość chętnie, jako czynnik reakcyjny. Zanim jednakże w ten lub inny sposób sceny się odrodzą, słuchacze długo

jeszcze będą karmieni utworami, przedstawiającemi błahostki życiowe, ślimacze potrzeby i dążenia bohaterów mieszczańskich. Nasze sceny również obficie są zasilane temi sztukami, sprowadzanemi przeważnie z nad Sekwany, pomimo, iż charaktery występujących tam postaci nie zawsze się zgadzają z charakterami jednostek naszego społeczeństwa. Prelegentka zaznaczyła, że typy kobiet francuskich, w dramatach i komedjach nam pokazywane, nie mają wspólnego z naszymi kobietami, ani pod względem temperamentu, obyczajów, ani stosunków rodzinnych i wogóle tego tła, po którym się toczą codzienne potrzeby życiowe. Co do temperamentu i obyczajów, nasze niewiasty istotnie się różnią od paryżanek; ale w zakresie potrzeb materialnych przeżywają wspólną niejednokrotnie warunków bytu. Może paryżanka ma bardziej urozmaicone pole w pracy i bardziej śliski grunt moralny, niż warszawianka, — to rzecz inna. W „stolicy świata“ silniej tętni życie we wszystkich swych objawach, więc i te cechy ujemne, które nad Wisłą drzemią u kobiet, dzięki pewnej senności ogólnego ruchu, nad Sekwaną ujawniają się w formie nienormalnej, gorączkowej. Na te względy p. Marrenowa nie zwróciła uwagi.

Pewną ciągłość treści dał nam odczyt Kotarbińskiego o sztuce aktorskiej, która istotnie zasługiwała na szczegółowe rozpatrzenie, jako „potężna dźwignia teatru“, pomimo, iż siła jej jest pochodną, bo płynącą z poezji dramatycznej. Prelegent, również jak jego poprzedniczka, zaznaczył swą niechęć do takiego rodzaju owych prądów, które zakres działalności artystycznej aktora mogą zniżyć. Naturalizm i pesymizm, chociaż przedstawiają posępną, chorobliwą stronę życia, nie są bezwzględnie potępiane przez p. K. „Scena z natury swej jest instytucją popularną, publiczność szuka w niej zabawy, po krzepienia ideałów dodatnich, nie zaś gorzkiej analizy, zwróconej jednostronnie ku bólom i nędzom żywota. Ponieważ jednak pesymizm i naturalizm posługują się oryginalną i w wielu razach prawdziwą charakterystyką figur, dają więc sposobność aktorom do rozwinięcia swej sztuki w bardzo żywotnym kierunku.“ Natomiast symbolizm jest zabójczym dla wykonawców scenicznych. Natura ewolucyjna, t. j. przedstawienie uczuć i namiętności w rozwoju charakterów, to, zdaniem prelegenta, najwyższe zadanie gry współczesnej. Jako aktor, i to aktor-literat wykształcony, p. Kotarbiński z gruntowną znajomością rzeczy traktował swój przedmiot. Występując jednak w obronie własnego domu, nie zamileczał o jego stronach ujemnych, zaznaczył, jakie czynniki działają rozkładowo na naturę i charakter pracowników w tym zakresie. Uznając jedynie szlachetne, podniosłe zadanie sztuki, potępił płytki jej rodzaj, działający na zmysły tłumów, schlebający ich pla-

skim instynktom. Aktor powinien wspólnie z autorem wpływać na podtrzymanie i uwytatnienie wyższych pierwiastków sceny. Wybitne w tej mierze ma znaczenie kobieta. Na scenie jest ona słońcem sztuki, główną wyrazicielką poezji, życia i miłości. Całkiem słusznie prelegent twierdzi, że sztuki oryginalne najlepiej u nas są grywane, najbardziej bowiem odpowiadają naturze i usposobieniu wykonawców, najłatwiej i najgłębiej mogą być przez nich zrozumiane. Scena powinna odtwarzać życie, niedomagania, potrzeby i dążenia tej gromady ludzi, dla której służy. Wtedy tylko będzie odpowiadać istotnemu przeznaczeniu i dużo zyska na żywotności. Naturalnie, nie przypuszczamy, ażeby Kotarbiński, przemawiając za swojskim repertuarem, żądał całkowitego wykreślenia rzeczy obcych. O ile one są arcydziełami literatury zagranicznej i o ile skupiają w sobie cechy i potrzeby ogólnoludzkie, o tyle powinny obok oryginalnych znaleźć miejsce na naszej scenie.

To słońce sztuki, główna wyrazicielka poezji i miłości—kobieta, jest jedynym potężnym czynnikiem, który stworzył bogatą poezję romantyczną. P. Pilecki do swojej prelekcji wybrał z tej dziedziny twórczości to, co jest jej siłą i duszą — miłość i ogólną charakterystykę tego źródła natchnienia, działającego na fantazję w różnych odcieniach i barwach od najdawniejszych czasów; zakończył krótkim przeglądem poezji naszej, twórczości Morsztyna, Karpińskiego, Kochanowskiego i w nowszej dobie — Malczewskiego, Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego.

Dzisiejszej doby znamiona, które z życia przeszły do literatury, dały Kenigowi temat do odczytu, wypowiedzianego po raz pierwszy w ciągu półwiekowej działalności literackiej tego niezmordowanego pracownika. Zobaczmy, jak wygląda ta chwila, która wycisnęła swe piętno na ogólnej twórczości literackiej: „Czegoś wszystkim braknie. Jasne słońce zadowolenia, duchowej równowagi, pewności jutra, nadziei i wiary w siebie, przysłoniły chmury. Koniec XIX stulecia pod tym względem nie jest wcale podobny do pierwszej jego połowy. Harmonię uniesień nad wielkimi zdobyczami, zyskanymi przez ludzkość w tym wieku, zakłóca jakiś bardzo ostry dyssonans.“ Olbrzymie bogactwa, świetne zdobycze w dziedzinie techniki, udoskonalonego wytwarzania, rozkwit nauki, słowem, wszystko to, o czym przeszłe pokolenia marzyć nie mogły—nie dało bezwzględного szczęścia ludzkości. „Czegoś nam brak“—jak powiada sędziwy prelegent,—brak ten odczuwamy nieustannie w głowie i w sercu, w woli i w czynie. Użycie materialne nie może nasycić. „Im bogatsze i ludniejsze stają się owe wielkie zbior-

rowiska ludzi, dostarczające wszelkich środków zdobycia nie tylko zmysłowej, ale i umysłowej rozkoszy, te zarazem wielkie ogniska materialnej i duchowej pracy, tem bardziej wzmagają poczynienie tego braku, tem mocniejszy jest obrzask po wytrzeźwieniu z wszelkich upojen, tem przykrzejsze uczucie przesytu.“ Na ten brak „owego czegoś“ uskarżają się masy ludzi wykształconych. Ale to niezadowolenie, dobrze kierowane, może, zdaniem prelegenta, być dźwignią cywilizacyjną, bodźcem i warunkiem postępu. Obecnie chodzi ono różnemi drogami, a z tych za najszerszą i najdonioślejszą Kenig uważa—zwrot ku idei chrześcijańskiej, której Honcey, jeden z młodych pisarzy francuskich, przepowiada tryumfowanie nad dzisiejszym ogólnym zamętem. „On tylko jeden — pisze ten autor — może zadość uczynić trzem pierwszym potrzebom naszego stulecia: potrzebie nauki,—Chrystus bowiem, przyjmując naukę swojego czasu, nie solidaryzując się z nią jednak, upoważnił tem samem uczniów swoich do przyjmowania nauki z ich czasu; potrzebie postępu indywidualnego, wskazując nam przemiany osobistości w gmachu niebieskim; oraz potrzebie zbiorowego postępu, opierając miłość chrześcijańską na obowiązku, po oparciu sprawiedliwości na prawie.“ Działanie takiego chrystyanizmu autor powyższy już spostrzega: w literaturze pod nazwą ideału, w cywilizacji pod nazwą postępu, w życiu politycznem pod nazwą wolności, w filantropii pod nazwą solidarności człowieczej. Temu pierwiastkowi zapowiada panowanie także prelegent. Koniec naszego wieku coraz wyraźniej i częściej zaczyna wygłaszać dogmat obowiązku, jako jedyny ratunek nie tylko w ogólniejszych niebezpieczeństwach, jedyne lekarstwo przeciw niedomaganiu i zwątpieniu, tudzież jako środek najskuteczniejszy zbliżenia ludzkości ku temu ideałowi szczęścia, do którego ona wiecznie dąży. „Nowy prąd, nie targając się na naukę, na jej swobodę, nie skarżąc się na jej następstwa obyczajowe, społeczne i ogólne, owszem, pragnąc największego jej rozwoju, nowy prąd chciałby nas nie tylko uczyć i kształcić, ale także wychowywać, hartować lepiej charaktery, wzmocnić cnotę, przyzwyczaić do czuwania, do kontroli nieustannej nad samym sobą.“ Takim duchem był ożywiony odczyt Keniga, a ze słów prelegenta wypływała ta niezachwiana wiara, że nowy prąd będzie najskuteczniejszym środkiem leczniczym dla chorych, skolatanych, zniechęconych i przesycenych dusz.

Z równą wiarą, ale w środki leczące ciało, wypowiedział Bujwid swój odczyt o cholery. Przypomnienie o potrzebie bezpieczeństwa było w samą porę, gdyż w chwili oczekiwania ponownego wybuchu epidemii. Kto nie miał sposobności widzieć żywych laseczników pod drobnowidzem, lub odczuć ich skutków we własnym organizmie, ten się

przyjrzał podobiznie złośliwego drobnoustroju na ekranie, jako ilustracyi odczytu. Obok tego słuchacze poznali inne mikroby chorobotwórcze, a jednocześnie mieli sposobność przypomnieć sobie wygłaszana przez całe lato ubiegłe zasadę: kto lubi bezwzględną czystość, umiarkowanie i nieprzesadzoną ostrożność, ten powinien mniej się bać cholery, niż przyszły żołnierz, ubrany w materję ochronną — kuli karabinowej.

Jednej z chorób, głęboko wrosłych w organizm społeczny, dotknął Peplowski w swoim odczycie o „człowieku-zbrodniarzu.“ Prelegent nie jest zwolennikiem ani szkoły antropologo-kryminalnej, ani też przywiązuje wagi do atawizmu, jako czynnika zbrodniczości, a natomiast położył nacisk na zależność jej od wolnej woli. Nie będziemy o to się spierali z prelegentem, tem bardziej, że w dzisiejszych poglądach prawników, antropologów i prawodawców panuje ogromny zamęt. Co jedni uznają za pewnik, drudzy usiłują obalić. W każdym jednak razie trzeba przyznać, że tak zwana szkoła antropologo-kryminalna oparła swe wyniki na bardzo poważnych i długich studyach. Przedmiot ten tworzy dziś odrębną, samoistną gałąź wiedzy. Zaczątek jej datuje się od końca ubiegłego stulecia, kiedy we Włoszech powstała „szkoła klasyczna“, dążąca do złagodzenia kar i wyszukiwania godności ludzkiej w przestępcy. Późniejsza „szkoła poprawy“ zażądała więcej, gdyż poprawy moralnej i prawnej ukaranego. Pod wpływem takich pojęć powstała dążność do *indywidualizacji* (uwzględniania osoby przestępcy, jako żywej jednostki). Takie prądy spowodowały reformę prawodawstwa i więzień, ale pomimo to statystyka i nadal wykazywała liczebny wzrost przestępstw; kary zaś nie obroniły uczciwych, a podziały rozkładowo na stronę moralną przestępców. Od chwili, gdy do nauk humanistycznych wprowadzono metodę pozytywną, powstał nowy ruch naukowy w zakresie badań nad przestępcami i wogóle w dziedzinie penitencyarnej. Poglądy Caspera w Niemczech i Winsłowa w Anglii, wreszcie najbardziej dzieło Morela (*Des dégénérescences* 1857), stworzyły stanowczy przełom w nauce psychiatrii. Wszystko to przygotowało grunt dla dzisiejszej antropologii kryminalnej, której jednym z pierwszych wyznawców był Despine (badacz psychicznej strony zbrodniarza), żądający zamienienia kary na moralne leczenie przestępców. Badanie Thompsona, Nicholsona, a najbardziej prace Maudsleya, są podwaliną nowoczesnej szkoły, stworzonej przez Lombroso, Ferrego i Garofalo, których teorie, jak powiada Spasowicz, wyrosły na pniu Darwinizmu i Spenceryzmu i rozgałęziły się szeroko. Wślad za tem rozpoczęły się badania, dokonywane przez psychiatrów i jurystów, a doprowadzające do różnorodnych wniosków, nie zawsze zgodnych

z zasadniczymi dążeniami mistrza Lombroso. Między innymi uczeń jego, Marro, przyznał, iż potężnym czynnikiem w rozwoju zbrodniczości jest: ubóstwo, nędza i ciemnota. Jest to właściwie grunt, w którym wybornie rosną i dojrzewają wady przyrodzone, jak atawizm, objawy patologiczne i t. d. Dzięki takim badaniom i wnioskowi, szkoła antropologiczna przeszła na podścielisko pozytywne, socjologiczne. Trzy czynniki (podług Ferrego): antropologiczne, fizyczne i społeczne, wpływają na rozwój zbrodniczości, wolna zaś wola i moralna odpowiedzialność, według Ferrego, nie mają tu znaczenia, a więc zadaniem prawa karnego powinna być prosta obrona społeczeństwa przeciwko przestępcom. Klasyfikacja zbrodniarzy na: obłąkanych, urodzonych, nałogowych, przypadkowych i—impetyków (przestępców z namietności), daje wykonawcom prawa karnego szerokie i bardzo trudne pole do ogłaszania wyroków, tudzież wymaga od sędziów biegłości w psychologii. Bądź co bądź, nowa szkoła antropologiczno-kryminalna, która się już doczekała bogatej literatury, rzuciła wielkie światło na głęboko tkwiącą chorobę społeczną, i chociaż podawane środki lecznicze dotąd albo nie są stosowane, albo też, użyte, nie dają widocznych rezultatów, w przyszłości niewątpliwie, w połączeniu z innymi sposobami przeciwdziałania, zaszczepianemi tak głęboko, jak tkwi samo zło, — jeżeli nie usuną całkowicie, to przynajmniej znacznie złagodzią skłonność do zbrodniczości.

Zanim to nastąpi, cieszymy się ze wzrostu funduszków, za pośrednictwem odczytów, na rzecz osad rolnych, tudzież rozwoju działalności tych zakładów, o których mamy sposobność powiedzieć słów kilka, dzięki ogólnym posiedzeniom członków komitetu. Jaki los spotyka tych wychowanców, w których naturze od dzieciństwa ujawniły się pierwiastki złego? Sprawozdanie wykazuje, iż od chwili założenia osad w ciągu dwudziestu dwóch lat uwolniono 580 młodzieńców. Wielu z nich wyszło na wykwalifikowanych rzemieślników, i tak: 8-miu wyzwolono na majstrów, 127 na czeladników (kołodziejów, kowali, ślusarzy, krawców, szewców i piekarzy). Z ogólnej liczby uwolnionych, 265 posiada własne warsztaty lub gospodarstwa. Co się dzieje z resztą, o tem trudno wiedzieć; że nie wszyscy idą drogą uczciwą, nie dla wszystkich zakład studzienicki jest instytucją leczniczą i zarazem dającą sposobność do zdobycia środków zarobkowania, dowodzi to, iż są recydywiści. W pierwszym roku po opuszczeniu osady było ich 6-ciu, podczas trwania opieki, a więc przed uwolnieniem—7-miu, po ustaniu opieki, t. j. po dojsciu do pełności—19-tu. Nie można z tego względu pośądzać zakładu o nieudolną opiekę i zbyt słabe oddziaływanie moralne. Może-by rdzeń złego w tym względzie wykazały nam ściśle ba-

dania na podstawach antropologii kryminalnej. Ciekawe są dane o pochodzeniu i stanie materyalnym kandydatów. W wielu wypadkach szczegóły te mogą być okolicznością łagodzącą dla małoletnich przestępców, tak np. znaczna większość przybywających do osady nic nie umiała i nie posiadała środków zarobkowania. Większość przyjętych pochodzi ze wsi, zajmowała się posługą u rodziców lub obcych. Od otwarcia zakładów sądy zawiadomiły o 1301 skazanych, z pośród których przyjęto zaledwie 741. Jaki los resztę spotkał, domyślić się łatwo. Już w roku przeszłym w sferach właściwych żarliwie podniesiono sprawę zaopiekowania się tego rodzaju skazańcami, którzy, dla braku odpowiednich zakładów poprawczych, idą do więzień ogólnych i stamtąd wychodzą już jako zdecydowani zbrodniarze. Otóż i z tych zakwalifikowanych a nieprzyjętych do Studzienca 560 zapewne dostało się do zwyczajnych więzień ogólnych, czyli, po odbyciu przez nich kary, kraj będzie obciążony kilku setkami nowych przestępców, z których potworzą się z czasem szajki zbójów i rabusiów, szerzących postrach, śmierć i zniszczenie. Wobec tego przyczynianie się ogółu do zwiększenia funduszków, a zatem rozszerzenia zakładów studzienieckich, jest wielką zasługą i poniekąd—dbaniem o własne bezpieczeństwo. Dzięki ciągłym zasiłkom, zakłady te doskonalały się i rozwijają: w roku zeszłym gospodarstwo rolne uporządkowano całkowicie, warsztaty rozwinięto i podniesiono ich produkcję do 11,668 rs. Oddział dla dziewcząt rozpoczął działalność od listopada r. 1891. Ogółem osada w Puszczy ma zaledwie 15 miejsc dla kandydatek w wieku od lat 8 do 14-tu. W pierwszym roku przyjęto już 7 dziewcząt, skazanych za kradzież. Głównem zajęciem wychowawnic jest: pieczenie chleba, gotowanie, pranie, obsługa inwentarza i drobinu, utrzymanie czystości w ogrodach, wogóle przysposabianie się do fachu gospodyń wiejskich. Produkcya inwentarza i ogrodowizny podobno prowadzone są wzorowo. Tak więc z tych, które miały wyjść na zbrodniarki, kraj pozyska garstkę pożytecznych pracownic. Naturalnie trzeba być zanadto wielkim optymistą, ażeby wierzyć w zupełne odrodzenie moralne tych istot i w to, że przynajmniej pewien ich procent nie ulegnie recydywie pod wpływem przyjaznych warunków dla rozwoju cech atawistycznych lub innych, drzemających do czasu w głębi tych natur, skłonnych do występku.

Obok przymusowej szkoły rzemiosł i gospodarki wiejskiej w Studzieniu i Puszczy, doczekaliśmy się okresu, w którym się rozszerzy i uprzystępnia racjonalna nauka rolnictwa, zarówno dla wyższych, jak i niższych pracowników na tem polu. Przedewszystkiem ważnym jest faktem dla kraju przekształcenie Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi w duchu potrzeb rzeczywistych.

Dotychczas największą wagę przywiązywano do wykładów teoretycznych; nadal zajęcia praktyczne, a między niemi praca w gabinetach, laboratoryach, na fermie, w polu doświadczalnym i t. d., będą miały ważniejsze niż przedtem znaczenie. W dawnym instytucie zajmowały one skromne miejsce, właściwie młodzież poprzestawała tylko na laboratorium chemicznem (z chemii ogólnej), tudzież na niektórych studyach i spostrzeżeniach gospodarskich, czynionych na fermie. Studenci mieli zbyt długie wakacje i skutkiem tego nie mogli korzystać z niewymaganych zresztą wycieczek przyrodniczych. Obecnie w nowym okresie istnienia zakładu władza właściwa uznała za konieczne wyznaczyć stosowną sumę na gabinety, laboratoria, doświadczenia w polu i na fermie, na pensye dla niezbędnej liczby asystentów, laborantów i innych osób, które mają czuwać nad prowadzeniem i rozwojem zajęć praktycznych. Naturalnie, przy rozszerzeniu zajęć praktycznych nie można skracać lub ograniczać wykładów teoretycznych; wobec tego kurs trzyletni jest niedostateczny dla gruntownego zdobycia wiedzy fachowej, a więc czas nauki obejmie cztery lata. Tak przekształcony wyższy zakład rolniczo-leśny odpowie potrzebom grupy większych wytwórców rolnych i właścicieli lasów. Ale po-za tem zarówno posiadacze ziemscy powyższej kategorii, jak i ziemianie mniejsi, potrzebują pracowników na skromnych stanowiskach. Dla wytworzenia szeregu takich oficyalistów, obeznanych z postępami nauki, potrzebne są niższe szkoły rolnicze. Królestwo Polskie dotąd ich nie posiada. Program zakładu w Sobieszynie zatwierdzono, ale podobno za parę lat szkoła ta dopiero powstanie. Zresztą taka jedna nie była-by dostateczną; to też pocieszającym jest postanowienie otwarcia niższej szkoły rolniczej w Końskowoli pod Nowo-Aleksandryą. Pomysł jest bardzo trafny, gdyż miejscowość ta leży tylko o sześć wiorst od Instytutu, który może być wielką pomocą dla zakładu, t. j. zaopatrywać go we wszystkie konieczne środki naukowe z własnych zasobów, tudzież czuwać nad ogólną w nim nauką. Wreszcie usługi mogą być wzajemne, gdyż terytoryum w Końskowoli będzie polem praktyki dla studentów Instytutu nowoaleksandryjskiego; sama zaś miejscowość, położona na granicy gub. lubelskiej i radomskiej, t. j. prowincyi, gdzie gospodarka rolna najbardziej rozwinięta, szczęśliwie jest wybrana. Dzięki dogodnej komunikacyi i małej odległości, młodzież z tych obu gubernii znajdzie sposobność korzystania z nauki tanim kosztem. Słowem, szkoła wytwarzać będzie niższych oficyalistów dla miejscowego rolnictwa z miejscowej ludności. Tak się dzieje we Francyi i innych państwach zachodnio-europejskich. Chodzi tam o to, ażeby udność danej niewielkiej przestrzeni kraju nie potrzebowała ze znacznym kosztem i wysiłkiem poszukiwać szkół gdzieś daleko. Każdy

obszar, obdarzony jednakowymi warunkami gleby, klimatu i t. d., ma swój zakład naukowy, który naukę praktyczną stosuje do potrzeb miejscowego rolnictwa.

Zapowiedź naraz dwóch niższych szkół rolniczych w Królestwie Polskiem, jednocześnie zaś przekształcenie Instytutu w Nowej-Aleksandryi, jest faktem doniosłym, który każe przypuszczać, że z czasem przysposabianie pracowników, a zatem i podnoszenie gospodarki rolnej, pójdzie według torów, wyżłobionych na zachodzie Europy. W roku bieżącym władza ministeryalna na wykształcenie w zakresie rolniczym, na potrzebę zwiększenia liczby szkół, zwróciła już szczególną uwagę. Jednocześnie zaprojektowano zupełne wyłączenie z programów działu ogrodniczego, prawdopodobnie ze względu, iż jest to zbyt rozległa dziedzina, wymagająca osobnego studyowania. W ostatnich latach ta gałąź gospodarki rozwinęła się ogromnie, za granicą posiada nie tylko znaczną liczbę szkół wyższych i niższych, ale bogatą literaturę i prasę. U nas, aczkolwiek rozwój ogrodnictwa od niedawna się datuje, jednakże mamy już organ specjalny i wiele poważnych dzieł w tym przedmiocie, wreszcie Towarzystwo ogrodnicze, które chociaż nie jest instytucją, załatwiającą wszystkie potrzeby w tym zakresie, jednakże ślad swej działalności pożytecznej już zaznaczyło najwięcej na polu wystaw. Roku zeszłego urządziło ono niebywale bogaty popis produkcji ogrodniczej w Łodzi, obecnie krząta się już około wystawy przetworów warzywnych i owocowych w Warszawie. Wnosząc z niewielkiej sumy na to przeznaczonej (300 rs.), domyślamy się, że będzie to raczej wystawka drobna. Zresztą inaczej być nie może; owocarstwo i produkcja przetworów owocowych nie jest u nas wybitną gałęzią gospodarki. Przednie owoce mamy zalewie z paru ogrodów w kraju, przetwory zaś przez długi czas stanowiły prywatne zajęcie gospodyń wiejskich na użytek wyłącznie domowy, podczas gdy gdzieindziej stanowią ważny dział wytwórczości, dobre zyski przynoszący przedsiębiorcom. Dopiero od niedawna tu i owdzie śmielsze jednostki robią próby wytwarzania win, z pomyślnym rezultatem. Powodzenie pierwszych kroków powinno zachęcić do dalszych, a jeżeli produkcja będzie sumienne i umiejętnie traktowaną, zniknie z czasem przesąd, że w kraju wyrabiane wina nie są dobre, a spożywcy przesądni, pijący fabrykowaną lurę zagraniczną pod marką przednich gatunków, nie będą sobie zdrowia rujnowali domieszkami szkodliwymi. Do tego jednak, ażeby produkcja win owocowych znalazła przyjazny i trwały grunt dla siebie, potrzeba podnieść i rozszerzyć hodowlę owoców, a co ważniejsza, przedtem stworzyć drogi i rynki zbytu. Kiedyś już zwracaliśmy uwagę na to, że właściciele sadów wolą je wydzierżawiać spekulantom, pro-

wadzącym gospodarkę rabunkową, niż zajmować się osobiście hodowlą i sprzedają owoców. W dzisiejszych warunkach całkiem to jest uzasadnione; właściciel boi się ryzyka i niepotrzebnych kłopotów. Po co ma się troszczyć o to, czy rok będzie urodzajny lub nie, czy produkt znajdzie nabywców i czy opłaci koszta i trudy, skoro pierwszy lepszy żydek zawsze da pewną sumę dzierżawną i owoców na użytek domowy. Otóż do tego, ażeby inaczej było, powinno dopomóc Towarzystwo ogrodnicze. Pierwsze próby w tym względzie już widzimy: Niedawno na wniosek p. Edmunda Jankowskiego instytucja ta uchwaliła przyjęcie na siebie pośrednictwa w sprzedaży owoców, nadsyłanych przez członków. Jeżeli to przyjdzie do skutku i utrwali się — będzie korzyść obustronna: Towarzystwo zyska większą liczbę członków, hodowcy owoców — zapewnione rynki zbytu, a po-za tem ogół spożywców zdobędzie dobre gatunki produktów krajowych.

O wszelkich produktach handlowych i ich dobroci od czasu do czasu dowiadujemy się z wystaw przemysłowo-gospodarczych. Liczba ich z rokiem każdym się zwiększa, co dowodzi, że wytwórczość w kraju się rozwija. Naturalnie w tym szeregu wystaw są takie, które mimowoli rodzą pytanie: Na co to się przyda? Wynika to z ogromnej specjalizacji przedmiotów, przypominającej działkowanie gruntów włościańskich. Jeżeli pewna grupa przemysłowców i rzemieślników, mająca do czynienia ze skórą, utworzy kilka wystaw osobno, np. cholew, pasów, trzewików, pantofli, korków, to żadna nie będzie miała powodzenia, gdyż fason korków lub cholewa zainteresuje tylko szewców, trzewiki ściągną uwagę garstki kobiet i t. d. Natomiast jeżeli te wszystkie działy będą połączone, zainteresowani danym przedmiotem skupią się wspólnie na jednym terytorium, i przytem jednostka, zajęta trzewikiem lub korkiem, mimowoli się zaciekawi innym okazem. Takie szersze zaciekawienie przyczynia się do wyrobienia rynków zbytu, a przecież to właśnie powinno być celem wystaw. Gdy zatem będą one tak urządzone, że nie wzbudzą w widzu pytania: „Na co to się przyda?“ — wtedy odpowiedzą swemu zadaniu i znajdą istotne powodzenie.

Czy wystawy artystyczne cieszą się u nas powodzeniem? Jeżeli chodzi o publiczność ciekawą, nie można powiedzieć, żeby się ona nie interesowała dziełami sztuki, chociaż z niezbyt wielkim zapałem; ale eksponentów to nie cieszy; im chodzi o zainteresowanie się nabywców obrazami i rzeźbami; takich jednak miłośników sztuki jest coraz mniej, pomimo, że artyści w ostatnich czasach, zdaje mi się, nie tak wygórowane ceny piszą pod swemi dziełami, chociaż jeszcze uważają za punkt

honoru—i długo zapewne będą uważali—drożenie się. Tkwi w nich głęboko ten przesąd, charakteryzujący wogóle nasze społeczeństwo, iż przedmiot, oceniony przystępnie, będzie uważany przez nabywców za gorszy, niżeli ten, za który właściciel każe „słono“ płacić. To też artyści-malarze i rzeźbiarze, nie chcąc stracić na powadze, starają się coraz częściej podtrzymywać swój byt materialny innym sposobem zarobkowania, np. piórem. Na szpaltach dziennikarskich coraz więcej spotykamy artykułów polemicznych i krytycznych, pisanych przez tych, którzy dotąd pędzel tylko dzierżyli w ręku. Taka wszechstronność możeby robiła przyjemne wrażenie, gdyby czasem z tych turniejów dziennikarskich nie przeglądała nieubłagana potrzeba istnienia materialnego. Naturalnie, i tu są wyjątki, i tutaj artyści zabierają głos publicznie, bądź jako rzeczoznawcy, którym w danym zakresie kto inny dorównać nie może, bądź jako ludzie wogóle wykształceni estetycznie lub obdarzeni zmysłem spostrzegawczym w dziedzinie życia społecznego. Najwdzięczniejszym dla nich przedmiotem są wrażenia z wy-cieczek.

Listy z podróży, jest to bardzo wdzięczna forma dla wypowiedzenia sumy różnorodnych spostrzeżeń na tle wrażeń osobistych. Zasadniczą wadą wogóle naszych korespondentów, „specyalnie delegowanych“, jest to, że spostrzeżenia nie są rozsnuwane na lekkiej kanwie egotycznej, lecz przeciwnie — nikną pod jej osłoną. Tym sposobem w różnych korespondencyach po kraju, miejscach kąpielowych i z placów wystaw, najciekawsza treść jest rozcieńczona w zbyt wielkiej ilości wody.

Oby ta ostatnia nie zalała pism naszych z wystawy kolumbowskiej, co było-by tem smutniejszem, że bogaty jej program, który może wiele nauczyć, nie zmieści się w luźnych korespondencyach, nawet nie zabarwionych „osobistemi wrażeniami.“ Zobaczymy tylko, ile spraw ważnych i szerokich ogarniają same kongresy. Będzie to niebawem dotąd ogrom kwestyi, których roztrząsaniem zajmą się między innymi pierwszorzędne powagi świata naukowego. Jeszcze w r. 1890 utworzyła się główna rada, do której składu weszli: kanclerz państwa, minister oświaty, wybitni duchowni, prezydenci 13-tu uniwersytetów i 9-ciu prezydentów innych wyższych zakładów naukowych, posłowie państwa w Wiedniu, Berlinie, Stockholmie, Lizbonie, Amsterdamie, Atenach i wiele innych osób. Z obcych krajów zaproszono takie powagi, jak: Max Müller, Ebers, Colleridge i wielu innych, przeważnie profesorów najslawniejszych uniwersytetów w Europie. Celem kongresu jest: „połączenie ludzi umysłowo pracujących ze wszystkich krańców

ziemi, ku wzajemnemu porozumieniu się w sprawie wszystkich życiowych prądów cywilizacji ludzkości. Wystawa przedmiotów przedstawi nam postęp materialny, kongres wykaże postęp ducha ludzkiego w sprawie dobrobytu, jedności, spokoju i szczęścia całej ludzkości.“ Mężczyźni i kobiety zorganizowali plan swych obrad zupełnie odrębnie. Oto jest program i treść kongresu, naszkicowane tutaj pobieżnie: Na czele stoi departament prasy, na którym rozstrzygane będą kwestye: Jakie są prawa i obowiązki prasy względem społeczeństwa? Na jakiej podstawie prasa może być pociągnięta do odpowiedzialności cywilnej i kryminalnej? Drugi—departament muzyki, będzie traktował zarówno stronę teoretyczną, jak i praktyczną przedmiotu. Trzeci—departament medycyny, nakreśla bardzo szerokie granice. Dziewięć sekcji obejmuje: ogólną medycynę i chirurgię, homeopatyę, medycynę elektryczną, klimatologię medyczną, higienę publiczną, dentystów, farmaceutów i medycynę sądową i wreszcie dodaną przez kobiety sekcję ukształcenia matek i nianie. Przedmiotem rozpraw będzie rozwój medycyny od kolebki aż do chwili obecnej, zdrowie i choroba w stosunku do moralności, pedagogii, literatury i do innych dziedzin społecznych. Na kongresie medycyny sądowej roztrząsany będzie hypnotyzm pod względem cywilnym i kryminalnym; w sekcji zaś klimatologicznej: — wpływ wyniszczenia lasów na rozwój cywilizacji. Wielce jest ciekawy czwarty—departament wstrzemięźliwości, w którego obradach wezmą udział: „Towarzystwo narodowe wstrzemięźliwości“, „Katolickie Towarzystwo wstrzemięźliwości“, „Dzieci wstrzemięźliwości Ameryki północnej“ (z 200,000 współuczestników), „Wszechświatowy związek wstrzemięźliwości chrześcijańskich kobiet“, „Niezależny zakon dobrych Templaryszów“ (liczący 418,000 dojrzałych uczestników, 160,000 młodzieży. Na różnych krańcach świata istnieją 52 łóża tego zakonu). Departament powyższy wywołał ogromne zainteresowanie. W Anglii powstał specjalny komitet, działający w zakresie tej sprawy, wreszcie wzięło udział również „Towarzystwo błękitnego krzyża“ w Zurichu. Departament, stworzony pod hasłem: „Niewstrzemięźliwość przyczyną proletaryatu i zbrodni“, zajmie się rozpatrzeniem następujących kwestyi: Zmianienie publicznej sprzedaży trunków spirytusowych, a surowy jej zakaz dla młodzieży i nałogowych; przeciwdziałanie utrzymywaniu szynków w okolicach misyi albo w pobliżu kościoła i szkoły; wreszcie na podstawie danych statystycznych—porównanie skuteczności rozmaitych systemów. Departament moralnych i społecznych reform obejmuje sprawy filantropii, tudzież prewencyjne karne zakłady i instytucje. Stany Zjednoczone liczą około 77-miu tysięcy idiotów, z których zaledwie 4% posiada przytułek, pomimo iż dobroczynność nigdzie nie jest tak, jak tam, rozwinięta. Zadaniem kongresu będzie roztrząsanie

środków pomocy. Departament handlu i finansów obejmuje wszystko, co tylko w tym zakresie jest na porządku dziennym. Dalej siódme miejsce zajmuje departament literatury, którego główne tezy są: metoda badań historycznych i cel przyszłości; doniosłość najnowszych badań starożytności Egiptu, badań filologicznych Zendu i Sanskrytu, tudzież tradycyi ludowych; jedność języków i literatur wszystkich ludów i wszystkich czasów. W tym dziale ważną jest kwestyą dla Amerykanów:—o ile jest możliwe stworzenie powszechnego języka, odpowiadającego potrzebom stosunków handlowych. Jedną z tez brzmi: literatura twórcza powinna być pośredniczką w sprawie upowszechnienia zasad i prawd, stwierdzonych przez badania naukowe. Po departamencie nauk ścisłych i filozofii następuje—pedagogia. Dział ten, bardzo rozległy, zawiera główne tezy: Jaki system edukacyjny może być najskuteczniej zastosowany do olbrzymiego rozrostu i specjalizowania każdej nauki w dzisiejszych czasach? Ogólne zasady moralności i religii powinny być wykładane w każdego rodzaju szkole. Ręczne roboty, kunsztowne rzemiosła i muzykę trzeba wprowadzić do wszystkich szkół, a do ludowych nadto—główne zasady mechaniki. Następnie idą: departament inżynierii, departament sztuk, nauk politycznych i reform prawnych i państwowych. Bardzo ważne są jego główne tezy: Największe rozszerzenie i ustalenie międzynarodowych praw, prawo przesiedlania się i naturalizacyi, międzynarodowe prawo wydawnictwa i ochrona własności pracy umysłowej, dzieł i wynalazków. W sekcji reform prawnych podniesiono myśl utworzenia stałej wszechświatowej Izby prawników (*International Bar Association*) wraz z „Trybunałem sprawiedliwości.“ Zadaniem ich będzie nie tylko orzekać we wszelkich sprawach międzynarodowych, lecz wspólnymi siłami wszystkich narodów dążyć do możliwie największego ujednostajnienia i udoskonalenia wszystkich kodeksów prawnych i tym sposobem do pokojowego pojednania całej ludzkości. Wszystkie spory międzynarodowe powinny być załatwiane, stosownie do godności człowieka, środkami pokojowymi. Pragnienia takie wypowiedziały Stany Zjednoczone. Dewizą departamentu religii jest: „Połączyć usiłowania wszystkich religii, podnieść religijność w zasadzie i życiu!“ Departament pracy, któremu przyznano największe znaczenie, obejmuje bardzo ważne kwestye, z których główne są: Czem jest uroszczenie pracodawcy, iż ma prawo starać się uzyskać robotnika za możliwie najniższą cenę? O ile prawa krajowe powinny określać i regulować wszelkie umowy chlebodawcy z robotnikiem? Czy sprawy tego rodzaju mają być oddane pod wyłączny najwyższy trybunał? Monopole uciskają lud i powinny być zmienione. Ilość godzin dziennej pracy i zajęcie w dni świąteczne w stosunku do pracodawcy, robotnika i całego społeczeństwa. O ile opinia

publiczna wpływać może na stosunek kapitału i pracy? Wzbronienie używania dzieci do pracy i zupełna reforma pracy kobiet pod względem prawodawstwa, zapłaty, wykształcenia rzemieślniczego i t. d. Wreszcie wypełniają kongres dwa ostatnie departamenta (15 i 16-ty): rolnictwa i—postępu kobiet. Ten ogrom spraw rozłożono na cały czas istnienia wystawy, t. j. na pół roku, udział zaś we wszystkich kongresach weźmie kilka tysięcy członków czynnych i doradczych. Czy te narady dadzą w przyszłości jakieś rezultaty pozytywne, czy usuną zło, rozpostarte na podścielisku bytu wszystkich społeczeństw? Śmiesznem było-by żądać od uczestników kongresów cudownego przeobrażenia obecnych warunków. W każdym atoli razie poważny głos ludzi wybitnych, wypowiedziany w warunkach niezwykłych w chwili gromadzenia się dziesiątków, a nawet setek tysięcy ludzi w jednym miejscu ze wszystkich cywilizowanych krańców świata, następnie utrwalenie tych zdań, wniosków i projektów w milionach egzemplarzy prasy powszechnej,—musi w organizmie społecznym zaszczerpić parę ziarenek, z których idee, ożywiające umysły, wrosną częściowo w życie rzeczywiste. Krzewienie zasad humanizmu, idei pokoju, wpajanie wstrzemięźliwości przez różne towarzystwa, wszystko to, pomimo nazbyt silnych nieprzyjaznych czynników, daje jakie takie rezultaty, a chociażby one nie były nawet zbyt widoczne, to samo ożywienie się ludzi ideami podniosłemi już wiele znaczy; usuwa to jałowość myśli, płytkość pragnień i dążeń.

Nie jałowość, ale raczej lenistwo myśli odczuła nieraz już „Gazeta Sądowa“, pomimo, że się starała dodać bodźca prawnikom za pomocą konkursów. Jednakże ów organ, borykający się z obojętnością pod względem pomocy literackiej tych, dla których istnieje, ma swoje zasługi. Obecnie obchodzi on dwudziestolecie istnienia i na tę pamiątkę redakcja wydała numer jubileuszowy, w którym p. Libicki, kierownik pisma, tak przedstawia jego zadanie: „Ze względu na to, że „Gazeta Sądowa“ jest jedynym organem prawnym w kraju naszym, powinniśmy zadość czynić potrzebom praktyki, uwzględniać aspiracje naukowe inteligencji prawniczej, informować o ruchu prawodawczym w kraju i za granicą, śledzić rozwój literatury prawniczej naszej i europejskiej, zaznaczyć główne prądy i zmiany w pojęciach prawnych i poglądach na jednostkę prawnospołeczną... W złem, czy dobrem, szliśmy ciągle naprzód, niosąc wysoko sztandar nauki i wzywając was, czytelnicy, abyście wspólnie z nami pracować zechcieli.“ Na to wzywanie wielu zdolnych ukształconych czytelników milczało uparcie. Redakcja atoli, nie zrażona tem milczeniem, tak na zwyczajne nawoływania, jak i przez trąby konkursowe, zapowiada znowu... konkurs. Autorowie nie

są krępowani ściśle określonym tematem. Pożądaniem było-by wszakże, ażeby powołani tym sposobem do pracy zajęli się podstawami prawa i jego istotą, wyjaśnieniem znaczenia prawa, jako siły cywilizacyjnej, i stosunku jego do innych sił, współrzędnie w rozwoju ludzkości działających. Nagroda, 500 rs., powstała z ofiar prawników, którzy w r. 1877 uniwersytet ukończyli. Jeżeli tym razem prawnicy nie pozostaną głuchymi na wołania swego organu, gałąź literatury prawnej wzbogaci się nieco pracami oryginalnemi. Co właściwie nasi prawnicy robią? Już kiedyś to pytanie zadaliśmy także pod wpływem ich słabego udziału w piśmiennictwie. Lekarze mają kilka pism specjalnych o treści wielce bogatej, nadto literatura medyczna z każdym rokiem się wzbogaca, a przecież szeregi tych pracowników nie mają chyba mniej zajęcia, niż prawnicy. Przeciwnie—lekarz sumienny, oprócz pochłaniającej go praktyki, oddany i w dzień i w nocy na usługi ogółu, człowiek, któremu ani się posilić, ani odetchnąć na chwilę nie wolno, człowiek taki, wyczerpany, upadający ze znużenia po kilku nieraz nocach z rzędu nieprzespanych, ma jeszcze siłę i czas na mozolne badania mikroskopowe, na studia ciężkie i długie, ma czas na pisanie artykułów i rozpraw. Prawnik nie jest swoim zawodem przeciążony, ma oznaczone godziny przyjęcia, od czasu do czasu idzie do sali sądowej dla obrony swego klienta, i jeżeli napracuje się nad mozolną, zawiłą sprawą, może wypocząć, nikt mu snu nie przerwie, nikt nie zawoła w nocy: „Panie! ratunku natychmiast; spadam z hypoteki!“ lub: „dłużnik nie chce mi płacić!“ Za granicą prawników pochłania szerokie życie publiczne, pomimo to, mają oni czas na zasilanie bardzo licznych swych organów specjalnych, na opracowywanie dzieł obszernych poważnych. Dlaczego—jeszcze raz pytamy—nasi prawnicy, posiadający jeden, jedyny organ, i mniej zaprzątnięci innemi sprawami, niż ich koledzy na zachodzie, nie mają czasu na *porządne* zasilanie swej *Gazety*, która aż się uciekać musi do wszelkiego rodzaju przynęty?

Konkurs, z nagrodą dość umiarkowaną, jest to przynęta dla pracowników niezamożnych. Któryż ze *znanych i szanujących* się prawników zechce się tak dalece „pospolitować“, żeby aż gonić za kilkuset rublami, tem bardziej, że suma taka stanowi zaledwie procent od wynagrodzenia za obronę korzystnej sprawy? Jeżeli się więc znajdą ochotnicy do współzawodnictwa na konkursie „Gazety Sądowej“, to tylko ludzie rozpoczynający zaledwie swój zawód, lub „niemający szczęścia.“ I do konkursów nie zawsze trzeba mieć zdolności i wiedzę w zapasie, ale także czasem—szczęście. Stało się ono dziś znamieniem chwili; kandydat do jakiegokolwiek pracy, jeżeli ją znajdzie, korzystną lub przynajmniej znośną, tłumaczy to szczególnem swoim szczęściem, na

które się składają: stosunki, umiejętność przypodobania się, układność, grzeczność, pochlebstwo, uniżoność i spryt. Taki zasób pierwiastków, stopionych w jednym tyglu, stwarza to szczęście upragnione we wszelkich zawodach i na wszelkich szczeblach społecznych. Rzadziej człowieka szczęśliwego wytwarza energia i entuzjazm, t. j. pozwala zdobyć zamierzone cele.

Entuzjazmem, częstokroć trochę z domieszką energii, kierują się nasze kobiety młode, usiłujące wypłynąć z fal powszedniości, płytkości i miernoty. Często zbyt wielkie zamiary łamią swym ciężarem—siły. Niedawno za pośrednictwem „Gazety Radomskiej“ dr Laskowski z Genewy przesłał tym entuzjastkom ostrzeżenie następujące: „Od lat siedemnastu, przyjechało tu studyować (medycynę i przyrodę) około stu młodych Polek. Otóż jaki jest rezultat tych wysiłków pracy i kosztów? Jedne poumierały z pracy i niedostatecznych środków, inne poprzerywały studia skutkiem chorób lub braku funduszków. Dwie tylko uzyskały stopnie naukowe na wydziale przyrodniczym, a ani jedna jeszcze Polka nie uzyskała dyplomu nauk lekarskich. Zwróciwszy uwagę, że studia te wymagają co najmniej sześciu lat ustawicznych i ciężkich zajęć, dużych opłat za kursa i laboratorya, widzimy, że rezultaty są jak najniekorzystniejsze. Żadnej więc młodej dziewczynie, nieposiadającej dużych środków i zdrowia, nie radziłbym rozpoczynać tak ryzykownego przedsięwzięcia... Najlepsza przyszłość dla kobiety—kończy profesor—to zamążpójście i zajmowanie się rodziną.“ Pojęcie o zadaniach kobiet zbyt wąskie, a obraz warunków pracy i jej niepowodzenia—przesadzony. Mamy w swoim społeczeństwie sporo już kobiet lekarek, które ukończyły studia za granicą, pomimo, iż nie należały do sfer zamożnych; nadto, ciągle słyszymy o odznaczeniach i dyplomach Polek na uniwersytetach zagranicznych. Dlaczegoż to Genewa ma być dla nich miastem zabójczym? Ktoś wyjaśnia, że znaczny procent studentek w połowie lub na początku studiów opuszcza uniwersytet genewski po to, ażeby kończyć nauki gdzieindziej. Stąd może pochodzi owo mniemanie prof. Laskowskiego o niewytrwałości i łamaniu się kobiet pod ciężarem niepowodzeń i trudności. Niewątpliwie z ogólnej liczby entuzjastek znaczny procent jest bardzo ubogich, jeszcze więcej histeryczek, które dążą do uniwersytetów nie z zamiłowania wiedzy lub potrzeby, lecz dla chwilowego zaspokojenia kaprysu albo ambicji. Takie jednak ulegają niepowodzeniom i chorobom nie tylko podczas studiów uniwersyteckich. Prof. Lask. zapomina, że kobieta częstokroć jest zmuszona do pracy zarobkowej o wiele cięższej, niżeli tego wymaga nauka wyższa, i nie sześć lat, ale całe życie temu poświęca, pomimo wyczerpania sił. Takie zatem zniechęcanie młodych kobiet do

nauki nietylko nie jest uzasadnione, ale poprostu—szkodliwe. Fakta nam dowiodły, że lekarki oddają wielkie usługi społeczeństwu, są staranne, sumienne i wytrwale w pełnieniu swych obowiązków. Jeżeli więc pewna grupa kobiet, czująca zamiłowanie do tej dziedziny, szuka w uniwersytetach nauki, ażeby potem przynieść istotną korzyść ogółowi, a sobie wyrobić stanowisko niezależne, — po co je odstraszać i utrudniać pochód, skoro i bez tego społeczeństwo nasze przez parę dziesiątków lat nie mogło się przyzwyczaić do „nowości“ i względem niej odpornie się zachowuje; że zaś tego rodzaju konserwatyzm tkwi nietylko w kraju, ale i za granicą w naszych pracownikach, dowodem są uwagi profesora Laskowskiego.

Przez parę tygodni ogół inteligentny żywo był zajęty i zaniepokojony wiadomościami o chorobie Józefa Blizińskiego. Nic nie pomogła sztuka medyczna, życzliwość i sumienność lekarzy. Po długich męczarniach życie zasłużonego pisarza scenicznego pękło w d. 29 kwietnia r. b. Autorowi „Pana Damazego nie chciało się umierać; pomimo iż przeżył 65 lat, pomimo, że na schyłku nie chodził po różach dostatku, życie i świat miały dlań wielki urok; czuł w sobie dużo energii, duch silny nie chciał z ciała schorowanego ustąpić, i gdyby w niem pozostał, mógł-by jeszcze niejedną sztuką wyborną repertuary naszych teatrów wzbogacić. „Nie chcę umierać! pragnę żyć!“ — wołał jeszcze ze łzami na chwilę przed śmiercią. „Tak ładnie, tak pięknie na świecie, a ja umieram!“ Był optymistą przez całe życie, więc i przed zgonem świat go pociągał, pięknym mu się wydawał. Bliziński urodził się w Warszawie r. 1827, tu otrzymał wykształcenie gimnazyalne i wstąpił na kursa prawne, lecz ich nie skończywszy, osiadł w majątku dziedzicznym około Włocławka i tam się zaprzętnął uprawą roli. Poczem przeniósł się do Bóbrki w Galicyi i dalej zajmował się glebą. Nie powiodło mu się na niej, gospodarował po literacku, nie należał przytem do ludzi, myślących o przyszłości materialnej, więc też został wydziedziczony z mienia swego i przeniósł się do Krakowa, gdzie troska o byt zmusiła go do szukania chleba urzędniczego. Coraz cięższe warunki, coraz twardsze życie stargało jego siły fizyczne, ale pomimo to duch się rwał do twórczości. Bliziński zaczął swą działalność autorską dość późno; pierwszą komedję p. t. „Imieniny“ drukował w „Gazecie Codziennej“ r. 1860. Nie zachęciło go to jednak do dalszej pracy na niwie literackiej, gdyż po raz drugi odezwał się dopiero po latach jedenastu, t. j. r. 1871 umieścił w „Gazecie Polskiej“ „Przezorną mamę.“ Dalej w krótszych odstępach czasu zaczęły się ukazywać nowe utwory: „Marcowy kawaler“ (1873), „Ojczulek“ („Ucziwi“), „Chleb ludzi bodzie“ („Mośkowe swaty“), „Pan Damazy“ (1877), „Mąż od biedy“

(1878), „Rozbitki“ (1881), „Szach i mat“; wreszcie na wspólną z Zygmuntem Sarneckim napisał dwie komedye. Po-za tem pisał powiastki („Dziwolągi“, „Nowe humoreski“), nie dorównyujące atoli wartością utworom scenicznym. Wreszcie zajmował się lingwistyką; wydał „Barbaryzmy języka polskiego“ tudzież pracował nad dopełnieniem Lindego słownika wyrazów polskich. Przez większą część swego życia mając do czynienia ze sferą ziemiańską, stamtąd czerpał temata i brał żywe postacie do swych utworów. Sama utrata człowieka wielce utalentowanego jest bolesną i niepowetowaną, ale niemniej okoliczności, w jakich ten pisarz umarł, budzą smutne myśli. W obecnych czasach zdawało-by się, że autor, obdarzony talentem, rutyną i sławą, powinien opływać w dostatki, prowadzić życie wygodne, nawet zbytkowne. Tak jest istotnie gdzieś indziej, ale nie u nas. We Francyi nawet mierny autor, lichego komedyopisarz, jest prawie magnatem; nie mówimy już o prawdziwie utalentowanych, którzy mają własne wille, mogą dogadzać wszelkim kosztownym fantazyom, pisać przy szumie własnych drzew, własnej fontanny. U nas inaczej! Pierwszorządny pisarz sceniczny, Bliźniński, umarł w niedostatku i zostawił rodzinę bez środków do życia.

Prawie jednocześnie w Krakowie również zakończył życie rzeźbiarz, Marceli Guyski. Urodzony przeszło przed sześćdziesięciu laty (daty nie znamy) w gub. kijowskiej, przybył do Warszawy r. 1859 i wstąpił do ówczesnej szkoły sztuk pięknych, jako wolny słuchacz, i modelował w pracowni wspólnej z Leandrem Marconim. Po paru latach studyów wyjechał do Włoch i zamieszkał na czas dłuższy w Rzymie, gdzie pracując bądź samodzielnie, bądź pod kierunkiem rzeźbiarza Amicego, wykonał mnóstwo popiersi i figur, a niektórymi z nich zwrócił na siebie uwagę. Rozpoczętą w „wiecznem mieście“ statnę Chrystusa naturalnej wielkości dokończył w lat kilkanaście później. Około r. 1864 przeniósł się do Paryża i tam pracował przeszło lat dziesięć; wreszcie osiadł w Krakowie i zajmował się przeważnie wykonywaniem portretów marmurowych i bronzowych arystokracji miejscowej. W tym zakresie przeważnie jego talent się rozwinął.

Dnia 14 kwietnia zakończył życie w Żytomierzu najstarszy z lekarzy wołyńskich, Edward Maryan de Galli. Urodzony r. 1813, odbył studia w liceum krzemienieckim, poczem wstąpił na uniwersytet wileński (r. 1834), który ukończył z dyplomem doktora medycyny i chirurgii i osiadł we własnej sadybie, Wołosowie, w okolicach Żytomierza; następnie przeniósł się do tego ostatniego, gdzie stale już przebywał przez lat czterdzieści. Galli posiadał bogaty księgozbiór, tudzież

cenną galerię malowideł, gdzie podobno są nawet arcydzieła mistrzów europejskich. Po-za medycyną, mineralog z zamiłowania, miał wielką kolekcję minerałów, szczególnie gub. wołyńskiej. Galli zajmował się nadto literaturą i oto są prace jego: „Pisma Edwarda Maryana“ (Wilno 1842, t. 3), obejmujące między innemi dramat w 4-ch częściach „Torkwato Tasso“ i fragment historyczny z XVII wieku „Tymofiej Chmielnicki“; „Pamiętniki moich przyjaciół“ (Wilno 1847 r. t. 2). W czasach wydawniczej spółki żytomierskiej ukazało się kilka jego broszur z dziedziny flory i mineralogii. Nadto w rękopisie pozostawił Pamiętniki.

W kwietniu zakończył życie cichy pracownik na polu przyrodnictwem, Wacław Holewiński. Ukończył b. Szkołę główną ze stopniem magistra nauk przyrodniczych, pracował następnie na niwie literackiej. Po-za swoją specjalnością był publicystą i dziennikarzem (umieszczał swoje prace przeważnie w „Przeglądzie Tygodniowym“), studjom zaś poważniejszym oddawał się tylko w wolnych chwilach (pisał o Koperniku i Galileuszu). W ostatnich latach skutkiem nieuleczalnej choroby zamilkł zupełnie i dziś ogółowi inteligentnemu nekrolog tylko przypomina o jego istnieniu i działalności.

W Paryżu 11 kwietnia zmarł Adolf Franck, członek Instytutu, były profesor w Collège de France, wice-prezes konsystorza izraelskiego. Wykłady jego za czasów cesarstwa cieszyły się ogromnem powodzeniem i popularnością. Cenione jest wielce jego dzieło p. t. „Reformatorowie i publicyści europejscy.“ Franck wspólnie z innymi uczonymi rozpoczął r. 1844 wydawnictwo słownika nauk filozoficznych, który r. 1875 wyszedł w drugim wydaniu w sześciu tomach. Do Instytutu ułatwiła mu wejście Kabbala, czyli filozofia religijna hebrajskich, która się zjawiała r. 1843. Rzecz tę wydał w niewielu egzemplarzach i przez pięćdziesiąt lat nie chciał się zgodzić na ponowne wydanie. Gdy się nareszcie znowu zjawiała, szybko ją rozkupiono. Przedmiot ten gorączkowo zainteresował dzisiejszych magów i kabbalistów (Papus, Péladan, Huysmans, Lermine, Artur Arnold, Stanisław de Guaita i inni). Franck zmarł w 83-cim roku życia.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ VI.

Obawy zburzenia równowagi politycznej wskutek nierównomiernego przyrostu ludności w różnych państwach.

Jak dawniej, tak i teraz, dążenie do zachowania tak zwanej równowagi politycznej wywołać może pomiędzy państwami powikłania i starcia, niejednokrotnie kończące się wojną. Równowagę tę przede wszystkim zburzyć mogą jakieś niespodziewane a ważne wypadki w życiu historycznem tego lub innego narodu, np. rewolucye, sukcesye polityczne i t. p. i wtedy zwykle sąsiedzi koalizują się, celem nowego unormowania stosunków. Ale oczywiście i szybszy wzrost sił jednego mocarstwa, chociażby się odbywał na drodze całkiem naturalnej, np. nierównomierne powiększanie się liczby mieszkańców, może utrzymaniu równowagi zagrozić, a przez to stać się przyczyną nieporozumień międzynarodowych.

Jeżeli weźmiemy dwa narody, pozostające w jednakowym stanie pomyślności, to państwowe ich siły będą mniej więcej proporcjonalne

¹⁾ Patrz zeszyt kwietniowy.

do liczby ich ludności. Suma zasobów materialnych zależy od bogactw przyrodzonych, oraz ilości pracujących obywateli, siła militarna — od mnogości szeregow.

Jeżeli zachodzą znaczne różnice pod względem cywilizacyjnym, to naturalnie przewaga może być po stronie narodu mniej licznego wskutek większych środków materialnych i znaczniejszych sił intelektualnych, a nawet moralnych; lecz z biegiem czasu różnice rozwoju kulturalnego będą się wyrównywały, lub przynajmniej mogą się wyrównywać i znikać, przewaga zaś liczby zostanie, a nawet prawdopodobnie wzrośnie wskutek tego, że narody, pozostające na niższym szczeblu cywilizacji, zwykle rozradzają się prędzej.

Z tych powodów kwestya ludności bardzo w tej chwili zajmnie zarówno uczonych jak i mężów stanu. Wypada więc i nam rozejrzeć się wśród danych porównawczych co do wzrostu ludności w różnych państwach, o ile to mieć może związek z kwestyą wojny.

W teoriach prawa międzynarodowego kwestya przywrócenia przez wojnę zburzonej równowagi politycznej przez nadmierny wzrost ludności jednego z państw stanowi treść wielu rozdziałów i wielu dzieł. Już Grotius powiedział, a Kant następnie uzasadnił, że narody mają wszelkie prawo obrony swego istnienia, a wskutek tego dążyć mogą wszelkimi sposobami do rozwoju, o ile przez to nie zagrożą rozwojowi sąsiada.

Lecz właśnie rdzeń kwestyi leży w niemożliwości pogodzenia prawa jednego państwa do wzrostu i rozwoju z takim samem prawem jego sąsiadów; prócz tego, trudno jest znaleźć miejsce dla przybywającej ludności.

Nic dziwnego przeto, że wypadek szybszego stosunkowo wzrostu ludności w jednym kraju i wynikające ztąd niebezpieczeństwo dla sąsiadów stanowi jeden z najbardziej spornych w praktyce punktów.

Praktyczni kierownicy państw mogą argumenta uczonych wziąć do serca, a mogą, naturalnie, nie zwrócić na nie wcale uwagi. Ale ze swojej strony i oni niewątpliwie usiłują przedrzeć wzrokiem zasłonę przyszłości, i oni skrupulatnie mierzą, ważą i rachują warunki, starają się najdokładniej ocenić skutki kataklizmu, zanim się weń rzuca. Zmusza ich do tego niebezpieczeństwo, jakie państwom zagrozić może nawet w razie powodzenia, a cóż dopiero w razie klęski.

Gdy więc stoi przed nami kwestya rozpatrzenia bliskości niebezpieczeństwa wybuchu wojny, należy brać pod uwagę nie tylko obiektywne groźby, lecz i subiektywny stan umysłów, rachuby, przewidywania, obawy. Wszystko to są czynniki, które w danym razie mogą decydować, przyspieszyć chwilę wybuchu; lub ją oddalić.

I.

We Francyi, wskutek przyczyn przeważnie etycznej natury, przyrost ludności jest nadzwyczajnie słaby, dochodzący do zera, a nawet spadający niżej zera, gdyż w r. 1890 już liczba śmierci o 38,446 przewyższyła liczbę urodzeń. A więc siła państwowa, a szczególnie siła militarna Francyi, stosunkowo do krajów innych, gdzie plenność większa, słabnąć musi.

Trzeba jednak pamiętać, że okoliczność ta ma i dobre strony. Przy wolniejszym przyroście ludności wszyscy mają więcej przestrzeni do pracy, oraz więcej wolnego powietrza do rozwoju sił i zdolności, wskutek tego walka o byt nie jest tak zaciętą i niszczącą. Naród zatracca mniej zasobów na wykarmienie i wychowanie młodego pokolenia, a wskutek tego więcej oszczędza. A że przytem i fortuny nie rozdabiają się tak szybko, jak gdzieindziej, więc dobrobyt wzrasta o wiele prędzej, niż u sąsiadów, szybciej się pleniących.

Ludzie, sięgający wzrokiem dalej w przyszłość, trapią się tym obrotem rzeczy, widząc, że siły Francyi, w stosunku do sąsiadów, z rokiem niemal każdym maleją, ale ogół ludności, żyjący uciechami i zmartwieniami dnia dzisiejszego, rad jest tylko z takiego stanu.

Również niezbyt pomyślnie dla dalszej przyszłości wypadają liczby u bezpośredniego naszego sąsiada, u Austrii. Nie jest to kraj wytworzony przez gieografię, ani przez etnografię, lecz dziedzictwo dynastji, bardzo różnorodne, nie tylko pod względem języków i wyznań, lecz także pod względem właściwości fizycznych. To też i plenność bynajmniej tam jednostajną nie jest. Na Węgrzech i w Czechach przyrost roczny waha się między 0.6%—0.9%. Największą plenność spotykamy w Galicyi, chociaż i tam, biorąc bezwzględnie, znaczną ona nie jest (1%—1.4%). W całej Austrii (bez Galicyi i Czech) przybywa rocznie 0.7%—0.8% ludności, czyli liczby we wszystkich krajach monarchji są mniej więcej tak niskie, jak na Węgrzech i w Czechach.

Pomimo to, w Austrii rząd, całkowicie niemal pochłonięty trudnością kierowania skomplikowaną machiną swego państwa, na okoliczność tę zbytniej uwagi nie zwraca.

Natomiast w Niemczech kwestya ta jest na porządku dziennym, budzi niepokój i jest celem nieustannej troski ze strony rządu. Przyrost ludności, absolutnie biorąc, nie jest tam jeszcze bardzo mały.

W r. 1835	Niemcy	liczyły	ludności	23,635,000	
„ „ 1850	„	„	„	29,934,000	czyli rocz. przyb. 1.8%
„ „ 1870	„	„	„	38,891,000	„ „ „ 1.5%
„ „ 1880	„	„	„	44,564,000	„ „ „ 1.5%
„ „ 1890	„	„	„	49,418,000	„ „ „ 1.1%

Czyli, cyfra procentowego przyrostu nie jest niska, lecz prawie stale się zniża.

Jest to jeden, ale nie jedyny powód niepokoju. W Niemczech stałym zjawiskiem jest emigracja i ona pochłania znaczną część przybytku sił narodowych. W niektórych latach liczby sięgają przeważających rozmiarów:

w r. 1871	emigrowało	75,912	ludzi	
„ „ 1872	„	125,650	„	
„ „ 1875	„	30,773	„	
„ „ 1879	„	33,327	„	
„ „ 1880	„	106,190	ludzi	(t. j. 0.3% ogółu mieszkańców)
„ „ 1881	„	210,547	„	
„ „ 1882	„	193,869	„	
„ „ 1885	„	107,238	„	
„ „ 1886	„	79,875	„	
„ „ 1889	„	90,259	„	
„ „ 1890	„	91,925	„	(t. j. 0.2% ogółu mieszkańców)

Dodać przytem należy, iż cyfry powyższe nie są zupełnie dokładne, gdyż zawierają tylko liczbę emigrantów, wyjeżdżających przez porty. Cały zaś prąd wychodźstwa, dążący do Belgii, Francji, Anglii, Włoch, Rosyi nie podlega żadnej kontroli. Nie omylimy się więc zapewne, twierdząc, iż w czasach ostatnich liczba emigrantów, względnie i bezwzględnie biorąc, znacznie jest wyższą, niż przed laty 20-u.

Znajdujemy wprawdzie wahania: maximum swego wychodźstwo dosięgnęło w latach 1881—2, potem widzimy znowu osłabienie tego ruchu, ale od r. 1886 znowu emigracja wzrasta.

Przyczyny tego zjawiska są niewątpliwie bardzo liczne i bardzo różne. Jakąś rolę odgrywają zapewne właściwości plemienne rasy germańskiej, nie bez wpływu też jest w pewnych szczególniejszych okolicach mała urodzajność gleby i wogóle zły stan ekonomiczny, wynikający przedewszystkiem ze zbytniego zaludnienia, a w części niewątpliwie przeciążenie ludności podatkami, jak to wykazać można, właśnie na cele wojenne. Przypuszczać jednak można, że do pierwszorzędných czynników należą też niemiłe stosunki polityczne i wyznaniowe.

Niemiec-kolonista jest bardzo cenionym na obczyźnie nabytkiem. Gdy się znajdzie cokolwiek tylko dalej od ziemi macierzyńskiej i cokolwiek dłużej, zrasta się całkowicie pojęciami oraz uczuciami z otoczeniem, a praca jego idzie wtedy wyłącznie na korzyść nowej ojczyzny.

To też w Niemczech oddawna już skarżą się głośno i gorzko, że strumienie drogocennej krwi germańskiej użyźniają pole obcych, często wrogich, narodów.

W Niemczech oddawna już wskutek tego rozlegały się nawoływania, aby rozumem i sztuką zrobić to, co się na drodze naturalnej nie dzieje. Domagano się uorganizowania emigracyi, aby tym sposobem odłamujące się części zachować dla całości i w ten sposób, jeżeli nie zatamować, to przynajmniej osłabić fatalne skutki nieustannego upływu krwi narodowej.

Rasa słowiańska mnoży się szybko na miejscu i ma przed sobą przestwory, wyobraźnią nawet trudne do ogarnięcia. Rasa angielska podbija całe części świata: rozparła się w połowie Ameryki, Australię zagarnęła całą, obległa brzegi Afryki i energicznie ciśnie się nawet do środka czarnego kontynentu. To też zjawily się dowodzenia, że jeżeli rząd nie spełni obowiązku i emigracyi, politycznej liczbą i zasobami przymiotów cywilizacyjnych, nie ocali i nie spożytkuje na rzecz państwa i rasy, to wczorajsze świetne zwycięstwo i potężna armia dzisiejsza nie uchronią germańskiego plemienia od fatalnej przyszłości, od spadnięcia na stopień drobnego narodka, który liczbą nie będzie się mógł mierzyć z sąsiadami.

Kwestyą tą zajął się w swoim czasie energicznie ks. Bismarck. Nie mogąc zatamować prądu emigracyjnego, próbował przynajmniej skierować go odpowiednio. Postanowił zagarnąć pod władzę Niemiec znaczną przestrzeń Afryki i tam dla wychodźstwa niemieckiego wytworzyć warunki wabzące. Tymczasem okazało się, iż świat w miejscach, dla Europejczyka przydatnych, już jest zajęty; te, które pozostały jeszcze wolne, nie mogą stworzyć skutecznej konkurencyi dotychczasowym punktom przyciągania.

Od niepomnianych czasów plemię germańskie przyuczone było szukać fortuny na wschodzie, na ziemiach państwa rosyjskiego. Gdy więc afrykańskie zamysły nie powiodły się, osławione hasło *Drang nach Osten* nabrało większego znaczenia.

Prawodawstwo rosyjskie przerwało nagle dotychczasową praktykę i na wiekami utartych ścieżkach postawiło rogiatki. Ograniczono prawne nabywanie ziemi, przemieszczanie po wsiach, zajmowanie posesad i pewnych stanowisk w przemyśle i t. d.

Cios ten w Niemczech odczuto bardzo boleśnie. Nie podobna jednak było protestować, a przynajmniej protesty nie mogły być nabrać

siły i znaczenia, gdyż tego rodzaju politykę zainaugurował sam wielki Bismarck, on wskazał drogę sąsiadom i przypomniał niejako, co można zrobić z następnym napływem Niemców.

Rugi pruskie, t. j. najbrutalniejszy w świecie gwałt, dokonany na ludności, która nikomu i w danym wypadku ani groźną, ani szkodliwą być nie mogła, która nie politykowała ani politykować nie była wstanie, bo ją całkowicie pochłaniała twarda praca na kawałek chleba powszedniego, — rugi pruskie były rzuceniem kamienia, dzięki któremu na głowę Niemców zwała się skała.

Ze wschodnich części państwa pruskiego wyrzucono 30 tysięcy biedaków, tymczasem w Rosyi setki tysięcy Niemców zajmuje intratne posady, a nawet uprzywilejowane stanowiska.

Zatamowanie wschodnich ujść dla emigracyi niemieckiej cały potok wychodźstwa, skierowało ku Ameryce i Australii. W ten sposób przyczyniło się do pozbawienia narodu corocznie, ostatecznie i bez żadnego wynagrodzenia, wielu dziesiątków, a jakeśmy widzieli, w pewnych latach i setek tysięcy, obywateli, w wieku zwykle najodpowiedniejszym do produkowania, kiedy przedtem społeczeństwo zatraciło niemało bogactwa na ich wyżywienie i wykształcenie.

Wobec tego, ustawy russkie, ograniczające prawa cudzoziemców, zaniepokoiły opinię publiczną, dały się słyszeć w Niemczech głosy, iż z biegiem czasu młode cesarstwo może dojść do bezsilności, pomimo milionowych zastępów wojska, gdyż kraj blizki jest granicy, po za którą zaczyna się przeludnienie.

II.

Nie można zaprzeczyć, iż w tych głosach mieści się pewna część prawdy. Zło jednak nie leży tylko w ograniczeniach, jakie względem Niemiec wydała Rosya. Gdyby tak było, to robione by były usiłowania na drodze pertraktacyi międzynarodowych, z narażeniem się nawet na wojnę, ażeby powstrzymać emigracyę na wschód, zamiast wysyłania jej po za ocean; lecz mężowie stanu nie mogą nie brać pod uwagę stosunkowych dogodności i korzyści, jakie wychodźcy znajdują w różnych krajach, a które przedewszystkiem warunkują kierunek emigracyi.

Że Stany Zjednoczone i nadal, nawet w tym wypadku, gdyby na wschodnich granicach nie stała żadna przeszkoda, bardziej będą ciągnęły emigrantów, łatwo się przekonać, rozpatrując warunki, podane w oficjalnych statystycznych wydawnictwach Związku Północno-Amerykańskiego.

Oto co mówią urzędowe dokumenta Amerykańskie ¹⁾.

„Trzeba uznać, że do warunków najbardziej dla nas pomyslnych należy wolność od podatku krwi i od armii stałej, wskutek czego pieniądze ciężary ludności idą na cele produkcyjne. Ten stan rzeczy wydaje pomyslny owoce, pomimo lichej gospodarki w paru wielkich miastach i w niektórych Stanach południowych.

„Armia nasza jest tylko policją nadgraniczną. Chociaż oficerowie jej są cenieni i poważani, nie wiele osób decyduje się szukać kariery na tej drodze, to też na stanowiska w armii coraz mniej znajduje się kandydatów. W ten sposób nie tylko nie ponosimy ciężaru utrzymania stałej armii, lecz obywatele nie odrywają się od pracy wytwórczej dla zajęć nieprodukcyjnych.

„Pod tym względem znajdujemy się w położeniu o wiele lepszym niż narody lądu europejskiego.

„Nie mamy więc potrzeby obawiać się konkurencji Niemiec, gdy ich zechcemy wyprzeć z rynków neutralnych, do których dostęp jest dla nas równie łatwy i bliski, jak dla nich.

„W handlu światowym najdrobniejsza zwyczajka w cenie odgrywa ważną rolę, nie mogą więc nań niewpłynąć ciężary utrzymania armii stałych, które oczywiście spadają przedewszystkiem na wytwórczość kraju.

„Zresztą przeszkody, stawiane naszej konkurencji przez Niemcy na rynkach neutralnych mogą być zrównoważone przez szkody o wiele niebezpieczniejsze, jakie my możemy wyrządzić, zabierając przemysłowi niemieckiemu robotników“.

„Niemiec zna już Texas. My możemy na przestrzeni 60,000 mil kwadratowych, z których sam Texas przenosi cały obszar państwa niemieckiego, ofiarować robotnikowi niemieckiemu gościnność, dać mu miejsce i zdrowe warunki egzystencji. Jeżeli emigranci przyjadą w dostatecznej liczbie, to mogą zebrać na tym kawałku ziemi tyle bawełny, ile jej wytwarza całe południe, t. j. 5 milionów bel, i tyle jęczmienia, ile go teraz wydaje północ, t. j. 400 milionów buszli, i to jedynie na gruntach dotychczas nieuprawnych“.

Mamy przed sobą inny jeszcze dokument, dowodzący, iż rzeczywiście wychodźcy znajdują w Ameryce życie łatwiejsze.

Nie dawno opublikowano bardzo ciekawy memoriał, opracowany przez specjalną komisję, badającą wskutek zlecenia waszyngtońskiego departamentu pracy (Departament of Labor de Washington) międzynarodowe warunki wytwórczości i pracy. Znajdujemy tam materialne i moralne warunki bytu, w jakich znajdują się górniczy-węglarze oraz robotnicy hut żelaznych i stalowni w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, Francji, w Niemczech i Belgii.

¹⁾ Tenth Censur (Statistics of manufacture).

Z memoriału tego przytoczymy kilka cyfr, gdyż mogą one służyć za miarę, wziętą do porównań i dla innych gałęzi pracy ludzkiej.

Roczny dochód rodziny robotniczej przedstawia się następująco:

	górnika-węglarza	robotnika hut żelaznych	robotnika stalowni
w Stanach Zjed.	2751 franków	3920 franków	3317 franków
w Niemczech.	1957 „	1411 „	1250 „

Zaznaczyć przytem należy, iż w Ameryce środków na utrzymanie przeważnie dostarcza głowa rodziny, t. j. mąż i ojciec, tymczasem w Niemczech żona i dzieci w znacznej części pomagać muszą pracą swą swemu głównemu opiekunowi. Pamiętać także musimy, iż w St. Zjednoczonych rodzina składa się z 4.8—5 ludzi, w Niemczech zaś z 6—7.

Porównanie wydatków robotnika amerykańskiego i niemieckiego przedstawia bardziej pouczające rezultaty. Ażeby nie wdawać się w zbyt zawile obrachunki, dla przykładu weźmiemy rodzinę robotnika hut żelaznych, jako jednej z najbardziej rozpowszechnionych gałęzi przemysłu.

	Stany Zjednoczone	Niemcy
Wydatki na mieszkanie	16 %	6.2%
„ żywność	41.9%	51.2%
„ odzież	18.4%	19.8%
„ gazety	1.2%	0.8%
„ napoje	3.7%	5.1%
„ tytoń	2 %	1.4%
„ pozostałe wydatki .	15 %	16 %

Gdy na pozostałe wydatki robotnika amerykańskiego przypada 562 franki, których on w zupełności użyć może na swoją korzyść, dla niemieckiego robotnika pozostaje tylko 232 franki, z których zapłacić jeszcze musi bardzo wysokie podatki. Robotnik amerykański z sumy 562 franków jest w możności czynienia pewnych oszczędności, które mogą z czasem zabezpieczyć jego przyszłość, tymczasem robotnik niemiecki zaledwie, jak to mówią, wiąże koniec z końcem.

Bardziej rażące rezultaty otrzymujemy przy porównaniu niektórych szczegółów w warunkach życia rodzin robotniczych różnych krajów. I tak naprzykład, mniejsza co do liczby, składającej ją, rodzina amerykańska zajmuje przeciętnie 6 pokoi, niemiecka zaledwie tylko 2.

W Ameryce około 20% rodzin robotniczych zamieszkuje we własnych domkach, tymczasem gdy w Niemczech kategoria tego rodzaju rodzin wynosi ledwo 5%.

Na pożywienie robotnik amerykański absolutnie wydaje znacznie

więcej, aniżeli robotnicy innych państw. Przytem dodać należy, iż w Ameryce produkta spożywcze są daleko tańsze, niż w Niemczech — tak, że robotnik amerykański, wydając tyle co i niemiecki, może lepiej się karmić. Zboże i mięso naprzykład w Niemczech o 23%, droższe od cen w Ameryce.

W podobnym stosunku zostaje masło, kawa i inne przedmioty, służące do życia codziennego.

Przy szczególnym rozbiórze wszystkich danych, dotyczących życia i bytu robotników amerykańskich, okazuje się w ostatecznej konkluzji, iż w Stanach Zjednoczonych Niemcy-emigranci znajdują się w daleko lepszych, łatwiejszych warunkach, aniżeli nawet ludność tamtejsza krajowa, t. j. yankesi ¹⁾.

Rezultat ten, tak niekorzystny dla państwa Niemieckiego, jest wynikiem zbyt gęstego zaludnienia, jakie w tem państwie spotykamy.

III.

W miarę powiększania się ludności warunki życiowe stają się coraz trudniejsze. Jako pierwszy symptom przeludnienia występuje fakt, że ziemia nie jest zdolna wyżywić swoich mieszkańców. Trzeba najgłówniejsze środki żywności sprowadzać z zewnątrz, ale wszędzie ludność wzrasta, potrzeby się zwiększają, za dowóz żywności trzeba płać coraz drożej, a przytem dowóz ten z biegiem czasu staje się coraz mniej pewny.

Uczony geograf, i ekonomista, Ravenstein, obliczył, że glob nasz ziemski, gdyby cały został uprawiony racjonalnie, przy wzrastających wymaganiach życia, zdołał-by wyżywić 5,994 milionów ludzi, t. j. prawie 6 miliardów; dzisiaj zaś ziemia, wedle przybliżonych obrachunków, posiada 1½ miliarda mieszkańców. Ponieważ zaś dzisiaj, kiedy działanie wojen, głodów i epidemii, dziesiątkujących ludność, znacznie osłabione zostało, procent przyrostu ludności wynosi 8%, na lat 10, więc na zasadzie tych wniosków wypada, iż już za 180 mniej więcej lat, t. j. w jakimś 2072 roku, ziemia miała-by maksymalnie możliwe zaludnienie.

Tam, gdzie grunta uprawne są tanie, a przytem znaczne przestrzenie nie znają wcale sochy, tam naturalnie szybki wzrost ludności nie jest zjawiskiem groźnem, lecz, przeciwnie, pożądanem. W tych szczęśliwych warunkach znajdują się przedewszystkiem Rossya i rasa angielska w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

¹⁾ Wychodźcy z Anglii wogóle także lepiej się mają, aniżeli ludność krajowa, tylko jedni francuzi gorzej stoją od yankesów.

Wobec tego oczywiście dzisiejsze ustosunkowanie ras i narodów świata cywilizowanego, lub podbitego przez cywilizację europejską, trwać długo nie może.

Hubbe Schleiden ¹⁾ podał obrachunek, który powyższe wywody całkowicie stwierdza; obliczył on mianowicie, na podstawie danych o przyroście ludności w ciągu ostatnich lat, jaką liczbę przedstawicieli posiadać będzie każdy szczep, czy każda rasa, w końcu przyszłego wieku.

		liczba ludności w tysiącach		
		1850 rok	1875 r.	1980 r.
Szczep niemiecki	. . .	52,930	64,470	146,000
„ russki	. . .	63,010	83,790	275,000
„ angielski	. . .	55,817	90,564	927,000
„ romański	. . .	113,142	127,588	212,200
„ niderlandzki	. .	7,500	9,202	20,500
„ skandynawski.	. .	6,272	8,134	24,000

Czyli rasa germańska, która w roku 1875 równała się 71% szczepu russkiego, oraz 77% szczepu angielskiego, w lat sto stanowić będzie w porównaniu w pierwszym tylko 53%, w porównaniu z drugim tylko 15%.

Charles Dilke w głosnem swem dziele „Problems of Greater Britain“ powiada: „Główną siłą, która stworzyła i podtrzymuje światowładztwo angielskie, było przeważające stanowisko naszego, dobrze spojonego narodu wśród innych ras świata. Ostateczny skutek jego wielkiej działalności nie ulega najmniejszemu wątpliwności. Wielkie narody starego świata, z wyjątkiem anglików, zmuszone są do pozostawiania w pewnych granicach, uwarunkowanych przez klimat.

Francya i Niemcy oraz inne państwa mogą się spodziewać drobną rolę odegrać w polityce następnego stulecia. Tymczasem przyszłość należy do naszej rasy (w Anglii oraz w Stanach Zjednoczonych) i do Rosyan, którzy sami jedni na kontynencie Europy mają w swoim posiadaniu nieograniczone przestrzenie urodzajnej ziemi po - za Europą i w klimacie, pozwalającym na wszelkie zużytkowanie gruntów“.

W niedawno wydanem dziele Levasseur, porównywając ludność Francyi i Niemiec, powiada:

„Pierwiastek francuski, który za Ludwika XIV stanowił 38%, ogólnej liczby ludności państw wyżej wymienionych, przed samą rewo-

¹⁾ Dr. Hubbe Schleiden „Deutsche Colonisation“.

lucyą wynosił nie więcej jak 25%, po Waterloo 21%, po Sedan 15% i w roku 1891 tylko 12%.

Drugi uczony fizyolog, profesor Richet, przepowiada też, że stosunek ten do roku 1930 spaść musi na 7%. Zapytuje więc, jaki los spotka Francję, jeżeli wcześniej, aniżeli jej sąsiedzi, straci ona możność wypełnienia swych szeregów? „Zapobiedz temu niebezpieczeństwu narodowemu, to, jak słusznie mówi M. Frary, obowiązek rządu francuskiego“.

Znany statystyk, de Foville, rozbierając tę kwestyę, proponuje rozmaite reformy zasadnicze. Pragnie mianowicie, ażeby w każdej parafii liczbę urodzin zwiększyć o 2, natomiast ilość śmierci w tym samym stosunku zmniejszyć. Wskutek tego powrócił-by stosunek z przed lat dwudziestu pięciu.

Niebezpieczeństwo, jakie grozi Niemcom, długo uchodziło uwagi, gdyż dzisiejsze cesarstwo rozbite było na liczne części, miało przed oczyma przede wszystkim potrzebę zjednoczenia się, i większość niewątpliwie mniemała, że ziszczenie tego ideału zapewni rasie świetną a bezpieczną przyszłość.

Jakieś tylko nadzwyczajne wypadki mogły-by zmienić naturalny bieg rzeczy, prowadzący do względnego, w porównaniu z Rosyją i Ameryką, osłabienia Niemiec. Naprzykład wynalezienie nowych całkiem sposobów produkowania żywności, jeżeli-by nie odwróciło całkowicie, to w każdym razie odsunęło-by niebezpieczeństwo na termin mniej lub więcej znaczny. Taki wypadek do nieprawdopodobieństw nie należy, bo już dziś wydobywają z wody i powietrza części azotowe, ale oczywiście liczyć na coś podobnego nie podobna.

W jednym z poprzedzających rozdziałów widzieliśmy już, że Niemcy potrzebują sprowadzać corocznie znaczną ilość zboża, mięsa oraz innych produktów. Zwykle kraje, którym rolnictwo wystarcza przestaje, uciekają się do przemysłu, płacąc niejako za brakującą i dowożoną żywność wyrobami rąk czy fabryk. Przemysłowa wytwórczość niemiecka znajdowała i znajduje dosyć szeroki zbytni, gdyż się zaleca taniością. Poszukuje wyrobów ich Ameryka i w Europie się rozchodzą, szczególnie Rosyja wiele ich sprowadza. Ale za trwałe uważać tego nie podobna. Amerykański przemysł kroczy na drodze rozwoju łbrymi krokami i sam myśli o podboju rynków świata. Dowóz do Rosyji wyrobów niemieckich ustaje już dziś bardzo raptownie.

Wytworzył się stan rzeczy niezbyt pomyślny.

Spis, dokonany 1 Grudnia 1890 r., znalazł w Niemczech 49,423,000 dusz. Przyrost w ciągu ubiegłego dziesięciolecia, aczkolwiek, jak to wykazaliśmy, stosunkowo mały, nie mniej jednak wynosił 4 miliony. Dla tych nowych mieszkańców potrzeba odpowiedniego powiększenia zasobów narodowych.

Wedle obliczeń statystyka Viehbahna, jednostka ludzka w Niemczech musi rocznie spożyć lub zużyć:

362 funty ziarna ¹⁾
 51 funtów mięsa
 360 litrów mleka
 60 sztuk jajek
 24 funta wełny
 5 łokci tkanin lnianych i 16 łokci tkanin wełnianych.

Do tego należało-by jeszcze dodać wydatki na mieszkanie, meble, światło, materyały opałowe i t. d. Jeżeli cyfry powyższe pomnożymy przez 4 miliony, t. j. przez liczbę przyrostu ludności w dziesięcioleciu 1880—90 r., to otrzymamy następujące powiększenie się *rocznych* potrzeb ludności:

14 milionów	centnarów	ziarna
2	„	mięsa
1440	„	litrów mleka
240	„	sztuk jajek
blisko 9	„	funtów wełny
20	„	łokci tkanin lnianych
64	„	„ „ bawełnianych

Cyfry te aż nadto wymownie przekonywają, jak olbrzymi jest przyrost potrzeb. Każde 14½ milionów centnarów ziarna reprezentują 700,000 mniej więcej hektarów ziemi, 1½ miliarda litrów mleka, o które w ciągu 10-io lecia wzrosły potrzeby Niemiec, mogą być wydane jedynie przez *milion* krów.

Ludność powiększa się nieustannie, nieustannie też naród potrzebuje nowych, coraz obfitszych zasobów.

Zkąd zaś je brać, kiedy źródła bogactwa narodowego oddawna są niemal do dna eksploatowane i w tak wielkim stosunku powiększać się już nie dają?

Pytanie to doprowadza autorów, piszących o tym przedmiocie, do następujących wniosków:

„Naród, który chleb i mięso sprowadzać musi z zewnątrz, byt swój czyni całkowicie zależnym od zmiennych konjunktur handlu wszechświatowego. Nie godzi się, aby państwo takie, jak Niemcy wiodło po-

¹⁾ Obecnie nawet obliczają potrzebę ziarna na 14,24 pudy, czyli na 570 funtów. Pozostawiamy jednak dane autora, aby nie zmieniać ogółu rachunków.

dobnie niepewną egzystencją. Zadaniem narodu cywilizowanego być winno-uwolnić się od zależności takiej i potrzeby bytu zaspakajając ze źródeł własnych¹⁾.

IV.

Kwestya wyżywienia i fizycznych podstaw oraz warunków bytu społeczeństwa posiada niewątpliwie doniosłość, ale ogółowi, z trudnością mogącemu głębiej wzrok zapuszczać w stosunki, nie rzuca się tak w oczy, jak sprawy polityczne, o wiele do pochwycenia łatwiejsze. Jeden i drugi mieszkaniec ma dziś żyć z czego, ma jutro zapewnione, więc się o dalszą przyszłość mało troszczy. Stosunkowe słabnięcie potęgi państwowej, jeżeli niepokoi, to głównie polityków, pomnnych na zdanie Leibnitza, że „siła kraju polega na liczbie mieszkańców“²⁾.

Wszelkie więc obliczenia, z których zawsze wynika, że szczepy angielski i russki rozrastają się prędej, mając po temu warunki naturalne, powszechną zwracają uwagę.

Obliczenia, zrobione nie dla ras, jak wyżej, lecz dla narodów pojedynczych, a raczej dla państw w dzisiejszych ich granicach, dają nam następujące liczby dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Liczba mieszkańców w milionach				
	1788r.	1888r.	1950r.	2000r.
Niemcy	15.5	48	70	80
Rossya europejska.	25	90	200	300
Szwajcarya, Austria	11.5	26	33	40
Skandynawia, Holandia				
Stany Zjednoczone	3.5	60	200	400
Wielka Brytania	12	37	50	60
Kanada, Australia	—	10	59	140
Kaplandya				
Francya	25	38	44	50
Hiszpania	13.3	21	24	30
Włochy:	16.5	30	40	50

Widzimy, jak znacznym zmianom już uległy stosunki liczebne, a więc i siła państw, i jakiemu jeszcze w bliższej oraz w dalszej przy-

¹⁾ „Die Bevölkerungsfrage in ihrer Beziehung zu den sozialen Nothständen der Gegenwart“ D-r Zacharias—Jena 1892.

²⁾ Leibniz „Werke“. IV 2, 502.

szości uledez mogą. Sto lat temu ludność Niemiec stanowiła $\frac{3}{5}$ ludności Rossyi, dziś równa się $\frac{1}{2}$, w lat 50 wynosić będzie $\frac{1}{3}$, a za 100 $\frac{1}{4}$.

Stosunek wypadł-by jeszcze bardziej na niekorzyść Niemiec, gdyby pod uwagę wziąć nietylko Rossyę europejską lecz i azjatycką. Wtedy mielibyśmy dla 2000 roku nie 300 ale 340, lub nawet 350 milionów.

Przyjawszy przyrost ludności w Niemczech, obecnie istniejący, t. j. 11.7 na 1000 rocznie, otrzymamy, iż dzisiejsze cesarstwo liczyło-by w lat sto 170 milionów mieszkańców. Ale w takim razie naprzód nie została-by wzięta pod rachubę emigracya, a powtórę na kwadratowy kilometr w całym państwie wypadło-by 300 głów, czego żaden kraj naszego globu wyżywić-by nie był w możności. Wprawdzie optymiści, broniąc się przeciwko groźnej rzeczywistości, powtarzają, iż ziemia niemiecka potrafi wydać drugiego Justusa v. Liebiga, który nauczył swój naród, jak powiększyć wydajność ziemi; ale naturalnie nadziei tego rodzaju do rachub poważnych wciągać nie podobna.

Natomiast całkiem poważnie przypuszczać można, iż w krajach blizkich przeludnienia ludność coraz w mniejszym stosunku powiększać się będzie, czy to wskutek przyczyn moralnych, wpływających na osłabienie plenności, jak we Francyi, czy wskutek wzrostu ruchu emigracyjnego, jak w Niemczech. Liczba mieszkańców dojść nawet może do jakiejś wielkości i na niej się, przynajmniej na czas dłuższy, zatrzyma. W razie takiej ewentualności, cyfra mieszkańców państwa niemieckiego nie osiągnęła-by w r. 2000 nawet 80 milionów.

Tymczasem, krajom o wielkich przestworach, jak Ameryka i Rosya, nie podobnego nie grozi, do punktu przeludnienia jest bardzo daleko. Co więcej, państwa te powiększać mogą swą ludność przez nabytki terytoryalne. Niemiecy mężowie stanu w przemówieniach publicznych groźny ten temat starannie omijają. Wzrost Ameryki, a przez to rozwój rasy angielskiej, może drażnić tylko ambicje germańskie, ale nie tworzy niebezpieczeństwa; dotychczas Stany Zjednoczone politycznie dla Europy groźne nie są, i wskutek przemysłowego czysto rozwoju swego, i wskutek położenia po-za oceanem. Powtórę, pomiędzy rasami germańską a brytańską żadna wiekowa nienawiść nie istnieje.

Całkiem jest inaczej z Rossyą. Żadna naturalna granica nigdzie dwu cesarstw nie dzieli, na długiej przestrzeni dotykają do siebie bezpośrednio. Nienawiść dwu szczepów jest dziedzictwem wielu wieków. Powody więc do obaw i niepokoju są aż nadto uzasadnione.

Co więcej, znaczna część cesarstwa niemieckiego rozpiera się dziś na ziemiach niegdyś słowiańskich. Dawne to dzieje i długie obraunki, ale w kilku prowincjach pruskich do dziś znaczną część ludno-

ści tworzą mieszkańcy z macierzystą mową słowiańską. Prowincye te liczą 7,410,000 dusz. W bardzo wielu powiatach cała ludność ma głębokie poczucie odrębności i czuje się niezadowoloną z politycznej swej sytuacji.

Jakiegokolwiek jest istotnie usposobienie, uczucia, zamiary polaków w Prusach, niemcy pamiętają, że to jest żywioł, im całkowicie obcy, a pod pewnemi względami pokrewny wschodniemu ich sąsiadowi. Często ukazuje się w ich wyobraźni widmo panslawizmu i bardzo są usposobieni uwierzyć w jego realne istnienie.

Wobec tego mężowie, kierujący polityką niemiecką, uważają za warunek powodzenia, a może i samego bytu państwa niemieckiego, osłabienie a nawet i złamanie Rossyi wprzód, zanim stosunek sił państwowych nie pogorszy się jeszcze bardziej.

Zwrócić uwagę należy jeszcze na jedną okoliczność. W Niemczech liczba rękodzielników i przemysłowców wzrasta, natomiast ilość rolników się zmniejsza, co stanowi zjawisko dla sił wojennych kraju niepomysłne.

Rolnik w armii jest elementem bardziej przydatnym: znosi on cierpienia, znoje, niewygody, braki pochodów życia obozowego łatwiej, aniżeli mieszkaniac miast i robotnik przemysłowy; lepiej się orientuje w polu i łatwiej sobie daje radę w zaspakajaniu potrzeb życiowych.

Autor np. świeżo wydanej broszury, którą wysoko podnosi „Militär Zeitung“, Gorgen, bardzo ponure przepowiednie wysnuwa dla Niemiec ze stosunku żywiołów społecznych, tworzących szeregi armii.

Na zasadzie danych o poborach, wykazuje on, jakoby okręgi czy-sto wiejskie, przy jednakowej liczbie mieszkańców, dają siłę obronną (a więc ilość żołnierzy i rezerwistów wszelkiego rodzaju), znacznie większą niż okręgi miejskie. Gdy w okręgach rolniczych z 1000 mężczyzn do służby wojskowej nadaje się 11-u, w przemysłowych zaledwie 3. Cyfry to są bardzo wymowne. W danej chwili ludność miast wynosi około 12 milionów, mają się więc one do siebie jak 1: 1½. Przed laty 30 stosunek ten równał się 1:2, a więc za 30 lat, jeżeli żaden przewrót nie zajdzie, da on 1:1, t. j. także sama ilość ludzi mieszkać będzie we wsiach co i w miastach.

W obec tego, Gorgen żąda przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków ratunkowych, które-by po prostu zagrożony byt Niemiec uratowały.

„Cały nasz naród,—woła on—musi się bardziej „zwiesniaczyć“ (sich verbauern), to znaczy, że wieśniak powinien bardziej przywiązać się do swego zagonu, robotnik zaś fabryczny niech się stanie — o ile to możliwe — dobrym posiadaczem rolnym i niech sam lub z dziećmi uprawia własny ogródek, co mu zapewni zdrowie ciała i duszy.

Osiągnięcie tego miał na celu projekt do prawa o wytworzeniu działek ziemi rodzinnej, nie mogących podlegać alienacyi (homestead), który popierany był przez Hr. Moltkego.

Z wyłuszczonej powyżej okoliczności i względów wynika, iż narody, którym zagraża osłabienie z powodu warunków przyrostu ludności, mogą do pewnego stopnia mieć dążność do wojny z narodami, pozostającymi w warunkach pomyślniejszych pod względem przyrostu ludności. Ale zjawiają się względy inne, które temu przeciwdziałają.

Najpomyślniej nawet ukończona dla Niemiec wojna nie zdoła, wskutek specjalnych warunków, zmienić na korzyść tego państwa okoliczności, w jakich się ono znajduje co do nierównomiernego przyrostu ludności.

Ażeby zrozumieć dokładnie przyczyny tego, niezbędnem jest zdać sobie sprawę z warunków technicznych przyszłej wojny.

Bez szczegółowego zapoznania się z tą kwestyą, wszelkie wnioski o możliwości lub niemożliwości osiągnięcia przez Niemcy pozytywnych rezultatów, nawet wraz zaboru nowych terytoriów na wschodzie lub zachodzie, mogły-by być tylko gołosłowne, i niepodobna byłoby ich należycie ocenić.

ROZDZIAŁ VII.

Niezbędność studyów nad warunkami technicznymi przyszłej wojny.

Przystępując do wykonania zadania, przewidujemy zarzut, iż wzięliśmy się nie do swojej rzeczy, że piszemy o materjach wojskowych bez dostatecznej kompetencji, wskutek braku fachowego w tym kierunku wykształcenia i bezpośredniej znajomości przedmiotu.

Lecz w tej mierze nie mieliśmy wolnego wyboru.

Nie dając pojęcia o technice wojny, nie moglibyśmy rozpoznać, co w katastrofie oczekiwanej stanowić będzie pierwiastek główny, który oddziała na byt narodów, a nawet może wytworzyć początek i źródło przyszłych powikłań i zatargów, nie bylibyśmy też w stanie przedstawić dość jasno granic kardynalnych praw i zasad, po za którymi zaczęły się zjawiska, zależne od wypadkowości. Jednem słowem, nie powiedziawszy czytelnikowi dokładnie, co jest sama wojna, nie moglibyśmy mu dać klucza do oddzielenia przyczyn od skutków, co, wobec nadzwyczajnej komplikacji warunków, dotąd nigdy nie spotykanej, jest rzeczą nieodzowną.

Ażeby dojść do jakiegoś pod tym względem rezultatu, koniecznie trzeba dobrze poznać naturę wojny, jej właściwości, odgadnąć wedle możliwości jej wszystkie tajemnice.

I.

Cel i zakres badań.

Przed dwudziestu laty, w celu określenia wykazanych przez nas czynników, nie było tak trudno, jak obecnie, scharakteryzować przyszłą wojnę, zakreslić jej przypuszczalny przebieg, przewidzieć rezultat, obliczyć skutki. Należało tylko wziąć parę ostatnich starć międzynarodowych, wprowadzić czynniki nowe, obecnie w grę wchodzące, i doszło-by się do wniosków mniej więcej trafnych.

Lecz w ostatnich kilku dziesiątkach lat w sztuce wojennej zaszły pod każdym względem wielkie zmiany, przewroty można powiedzieć. Przedewszystkiem przekształcił się rdzennie stosunek pomiędzy pierwiastkami, które w wojnie uczestniczą i od których przebieg jej zależy; na pole walki, zamiast zawodowych żołnierzy, wylegną narody całe z wadami i zaletami swemi.

Wśród nowych, przez praktykę niedostatecznie jeszcze ujawnionych środków ataku i obrony, oraz czynników, które się niemi posługiwać będą, dokładne zrozumienie zaszłych zmian, a zatem obecnego stanu sztuki wojennej, jest tem trudniejsze, iż do niedawna jeszcze traktowano wojnę wyłącznie niemal ze stanowiska mechanicznego, zaniedbując wobec żołnierzy zaciągowych, a następnie zawodowych, z którymi miano do czynienia, jej strony psychicznej i moralnej.

Słynny wódz wieku XVIII, Maurycy Saski (syn naturalny króla Augusta II), powiedział: „Wojna jest umiejętnością, którą mrok osłania, postępować wśród niego krokiem pewnym — niepodobna. Podstawą jej — rutyna i przesady, dzieci niewiadomości“.

Dzisiaj jest chwila przełomu i zwrotu; trzymać się dalej ślepo rutyny niepodobna; nowe warunki walki, nie tylko w porównaniu z wojnami wieku XVIII i początku XIX, ale nawet od czasu ostatnich kampanii, uległy wskutek zdumiewających rezultatów tak stanowczemu przeobrażeniu, stały się tak widoczne i potężne, iż uwagę na nie zwrócić musieli nawet najbardziej zakorzeniali rutyniści.

Jenerał Leval powiada: „Sztuka wojenna przetwarza się coraz bardziej w naukę; wiedza, inteligencja, cnoty obywatelskie nieustannie nabierać będą większego znaczenia, spychając brawurę i przymioty fizyczne na plan dalszy“.

Jak w każdej innej dziedzinie, tak samo i tu, zorientowanie się w chwili, rozpoczynającej nową epokę, nowy okres, jest bardzo trudne. Ale im zadanie trudniejsze, tem więcej może ono zaciekawiać i po- ciągać.

Bagehot, współczesny myśliciel cywilizowanej, a w wir panują- cego militarizmu najmniej wciągniętej Anglii, powiada: „postępy sztuki wojennej stanowią najbardziej zastanawiający a zarazem najwspa- nialszy objaw w historii ludzkości“.

Ile faz rozwoju społecznego zapisała socjologia, przez tyleż eta- pów przechodziła wojna. W zamierzchłej przeszłości była pojedyn- kiem, potem napaścią jednego rodu na drugi, najazdem gromady lub hordy na plemiona obce lub pokrewne, celem zawładnięcia pastwiska- mi, lub jednorazowego wydarcia nagromadzonych przez pracę bogactw. Potem występują walki rywalizujących książąt. Dzisiaj wojna jest walką ludów, żyjących pełnią życia wszechstronnego, to też wojna współczesna i rozmiarami swoimi i zadaniami odpowiada tej wysoko- ści. Broń współczesna i wogóle środki natarcia i obrony są w tej chwili ostatniem słowem pomysłowości i twórczości ducha ludzkiego.

W przyszłej wojnie walczyć będzie cała suma zdobytych przez narody zasobów moralnych i intelektualnych, cała potęga współcze- snej cywilizacji, udoskonalona technika, rozwinięte uczucia, wyrobione charaktery, wygimnastykowany umysł i wola.

Nietylko więc założenie pracy naszej skłoniło nas do badań nad techniką wojny, nad strategiką dzisiejszą i taktyką. Współczesny aparat wojny jest bardzo charakterystycznym owocem całej kultury cywilizowanego świata i dlatego zasługuje na poznanie przez cały ogół, interesujący się biegiem spraw ogólnych.

To też w państwach zachodnich, szczególnie od chwili, kiedy służba w szeregu obowiązywać poczęła wszędzie i wszystkich oby- wateli, zainteresowanie się tajnikami sztuki wojennej stało się bardzo powszechnem.

Pisarze wojenni doświadczenia wojen przeszłych wiedzą, iż główne podstawy, najważniejsze wyniki ich specjalności powinny być, choćby tylko w głównych zarysach, znane ogółowi, bo ogół ten w razie wojny na pełni szeregi i utworzy siłę, od której los kraju zawisnął. Nie dość jest, ażeby będący w szeregach oficerowie i żołnierze mieli pojęcie o tem, z czem w przyszłej wojnie spotkać się mogą. Do szeregów armii wejdzie wszakże daleko liczniejszy kontyngens oficerów i żoł- nierzy rezerwowych oraz zapasowych, stojących po-za specjalnemi wykładami, odbywanemi w armiach czynnych. To też we wszystkich

państwach nieustannie ukazują się popularne dziełka, mające na celu zaznajomienie publiczności ze współczesną techniką wojny.

Toteż przy zainteresowaniu się wojną, jej prawdopodobnym przebiegiem i rezultatami, brak wszelkich danych do wytworzenia sobie o tem przybliżonego cokolwiek do prawdy pojęcia. Koniecznym rezultatem tego musi być wielka obfitość mniemań całkowicie błędnych, których obiegowi nic nie przeciwdziała.

Czuliśmy się przeto w obowiązku, bez względu na zarzuty, jakie nas spotkać mogą, dać poznać społeczeństwu w ogólnych przynajmniej zarysach to, co ono wiedzieć powinno i co mu wiedzieć potrzeba.

II.

Sprzeczności w poglądach specjalistów na charakter przyszłej wojny.

Jak wiadomo, każda armia posiada przepisy, jak przygotować się podczas pokoju do wojny za pomocą ćwiczeń w pułkach i manewrów, oraz jakimi zasadami winne być przejęte szeregi, ażeby na polu walki krwawej odpowiedzieć swemu zadaniu. Naturalnie kursa taktyki i strategii, wykładane w szkołach wojskowych, na nich się opierają, zdawać by się więc mogło, że wystarczy porównać dane z przed paru dziesiątków lat z obecnymi.

Tymczasem, skoro tylko poczęliśmy te kursa studyować, znaleźliśmy się odrazu w lesie sprzeczności, nie dających się pogodzić, wykluczających się nawet całkowicie. I niech czytelnik nie sądzi, iż to były sprzeczności pozorne, zdolne tylko złudzić nie-specjalistę. Generał Luzet, specjalista wysokiej kompetencji, mówiąc o stosunkach, we Francji istniejących, powiada: ¹⁾ „Kogo nie uderzyła wielka różnorodność poglądów, jaką spotykamy w kursach szkół naszych, gdy chodzi o kwestye, dotyczące najbardziej zasadniczych punktów taktyki? Czy wiadomości, udzielane oficerom piechoty w szkołach niższych, zgadzają się z tem, czego ich następnie uczą w szkole wyższej wojskowej? A dalej, czy nauka szkoły ostatniej odpowiada kursom szkoły, zastosowanej do praktyki („Ecole d'application“)? Czy idee, wygłaszane z katedr wyższej szkoły wojny, nie zmieniały się często i bardzo? Co za chaos pojęć i zasad, które się ścierają i walczą, a żaden błysk światła stąd nie wytryska. A jednak prawda jest jedna tylko. To też można słyszeć

¹⁾ „Études de tactique“. Paris 1890.

oficerów, mówiących nieraz: „Po co się tu uczyć! Niech się sami wprzód porozumieją i zgodzą na jedno“.

Wobec niemożliwości posługiwania się regulaminami i kursami, stanęliśmy na chwilę wobec alternatywy: albo usunąć z badań naszych część specjalnie wojskową, co-by pracę naszą bardzo okaleczyło, albo wybrać jednego autora, jemu zaufać, jego się trzymać, z niego wyłącznie czerpać informacye i z nich wytwarzać obraz przyszłej wojny.

Ale dzieła takiego szukaliśmy napróżno.

Dziełem prawie jedynem, klasycznym nawet niejako, które-by najbardziej potrzebom naszym odpowiadać mogło, i którego odczytanie dla lepszego jeszcze zrozumienia wywodów naszych pozwalamy sobie czytelnikom zalecić, jest wydane w Niemczech przez barona Goltza „Das Volk im Waffen“.

Lecz dzieło to napisane zostało przed zaprowadzeniem nowej broni i wynalezieniem prochu bezdymnego; a nadto, autor za mało zwraca uwagi na oświetlenie wpływów, działających na ekonomikę i socyologię.

Ażeby więc określić różnice, które zachodzić będą pomiędzy wojnami przeszłemi i przyszłą, jak się ona dziś zapowiada, nie pozostawiało nam nic innego, jak zabrać się do studyowania dzieł specjalnych.

Lecz tutaj spotkaliśmy się z nadzwyczajną różnorodnością sądów o każdym przedmiocie, gdyż ta różnorodność stanowi tło, jeżeli nie treść bieżących pojęć o wojnie przyszłej.

Ażeby dać czytelnikowi wyobrażenie, jakie sprzeczności spotykają się istotnie na każdym kroku i jak daleko one idą, przytoczymy kilka przykładów.

Przedewszystkiem trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia różnorodnemi są zdania specjalistów co do szybkości mobilizacyi i rozmiarów koncentracyi wojsk na jednym teatrze wojny, formowania pierwszych linii operacyjnych, a także co do roli, jaką odgrywać będą drogi żelazne dla przewozu wojsk i żywności w celu prędszego zgromadzenia przeważających sił na głównym punkcie strategicznym i tym sposobem zapewnienia sobie chwilowego choćby zwycięstwa, które-by jednak wywołało korzystne wrażenie, podniosło ducha w armii i obudziło otuchę wśród ludności. Niektórzy pisarze wojskowi twierdzą, jakoby nowy proch źle się konserwował w składach i ulegał łatwo zepsuciu; inni tymczasem powiadają przeciwnie.

Nie mniejsze sprzeczności panują i pod względem zdań o wyższości broni magazynowej nad jednostrzałową. Niektórzy pisarze twierdzą, że broń magazynowa nie przyniesie korzyści i spowodować może szkodliwe roztrwonienie ładunków. Nie mniej podzielonemi są zdania i względem rozmiarów karabinów. Wielu sądzi, że dopuszczalne

minimum stanowi broń, wprowadzona do armii rosyjskiej, o 7.5 milimetrach, przy czem żołnierz będzie mógł nosić przy sobie 150 ładunków; inni, przeciwnie, dowodzą możliwości dojścia do 3-milimetrowego kalibru w celu dania możności żołnierzowi noszenia przy sobie 575 ładunków, a tem samem zamienienia każdego batalionu na wulkan, miotający grad kul.

Lecz, co ważniejsza, na zasadzie prób i doświadczeń przyjęto, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa, dla trafienia w człowieka, stojącego oddzielnie, trzeba wypuścić kul:

z odległości	do piechura	do kawalerzysty
200 metrów	4.1	2.5
400 „	14—15	7

W ciągu zaś kilkunastu minut z nowej broni każdy żołnierz może posłać na nieprzyjaciela 150 pocisków. Przytem siła uderzenia kuli karabinowej ma być tak wielka, że na odległości 100 metrów przeszywa na wylot 5—6 żołnierzy. W dodatku, przestrzeń drogi przebytej tak mało osłabia jej działanie, że jeszcze po przejściu 2,000 metrów kula jest w stanie przebić nawskroś ciała dwu ludzi. Stąd pisarze wojskowi wyciągają wniosek, iż nawet przy obronie samym tylko ogniem karabinowym żaden oddział do szeregów piechoty nieprzyjacielskiej nie będzie mógł się zbliżyć.

A cóż dopiero wtedy, gdy baterye wyrzucać będą bomby i szrapnele, mieszczące w sobie do 1500 kulek, a wreszcie granaty, napełnione nowymi materjami wybuchowemi, wysadzającemi na znacznej przestrzeni w powietrze wszystko, co znajda na swej drodze lub czego dosięgnąć zdołają.

Bitwy przyszłej wojny tak będą straszliwe i krwawe, iż nawet żadna ze stron nie zdoła dokonać zwycięstwa. Utworzy się pas 1,000 metrów, z obu stron osłoniiony, niby baryerami, stosami trupów, nieustannie zapełniany rojami krzyżujących się kul, którego żadna żywa istota przestąpić nie zdoła.

Lecz zaraz przeciwnicy powiadają: mielibyście najzupełniejszą słuszość, gdyby pola bitwy podobne były do placów musztr, t. j. tworzyły przestrzenie równe; w naturze takie miejscowości zdarzają się zbyt rzadko, a zatem, pod osłoną lasów, zarośli, wzniesień i zagłębień, zawsze do nieprzyjaciela zbliżyć się będzie można, a oprócz tego poza pierwszymi liniami wojsk następne z daleko mniejszymi stratami posuwać się będą.

Jednakże znowu nowsza szkoła odpowiada na to: z obserwatoryów stałych i ruchomych, które urządzi sobie każdy oddział, chcący zająć stanowisko obronne, z balonów przymocowanych, nieprzyjacieli wszelkie podkradanie się dostrzeże; powtórne, kule, wyrzucane z dzisiejszej broni na odległość 2,000 metrów, wznoszą się na 75 metrów ponad poziom, przeto ostrzeliwanie i po-za lasami, krzakami, górami i dolami będzie możliwem; wreszcie, na jakiej zasadzie można przypuszczać, że nieprzyjacieli *wyberze* sobie do obrony miejsce nieodpowiednie, t. j. do którego można się będzie podkraść niepostrzeżenie po za krzakami i pagórkami, a które z drugiej strony nie pozwoli wyzyskać straszliwych przymiotów nowej broni ręcznej, oraz dział, lub uniemożliwi zakładanie min. Nadto, oprócz szaniec, utrudniających dostęp, przeciwnik pourządza przeszkody inne, których usunięcie wymagać będzie długiego czasu, a wskutek których strona atakująca zmuszona zostanie na blizkich dystansach stać w masach, mniej lub więcej ściśniętych, t. j. narazić się wjak najgorszych warunkach na morderczy ogień. Ale oponenci i na to mają argumenta: właśnie na blizkich dystansach—twierdzą oni—morderczość nowej broni, pomimo jej bezspornych zalet balistycznych, będzie niewielka. Gdy nieprzyjacieli blisko, stan żołnierzy graniczy z nieprzytomnością, źle nabijają, nie celują wcale, doskonały karabin współczesny wart wtedy tyle, co łuk, albo co widły jakiegoś barbarzyńcy.

Z powodu dalekonośności karabinów, artyllerya zmuszoną będzie trzymać się w oddaleniu, a zatem nie będzie tak straszliwą.

Pociski, napełnione nowemi materjami wybuchowemi, nie zostały jeszcze dobrze wyprobowane i bardzo być może, iż praktyka okaże, że się nie dadzą użyć wcale, albo też tylko w nadzwyczajnie rzadkich wypadkach, że będą raczej postrachem dla własnej, wożącej je z sobą armii, aniżeli dla szeregów nieprzyjacielskich.

Co więcej, nie brak specjalistów, którzy posuwają się do dowodzeń, iż przyszła wojna będzie nawet mniej morderczą, niż dawna. Twierdzenia ich opierają się na względach następujących: im broń celniejsza, donioslejsza, tem strony walczące muszą się trzymać dalej, zazwyczaj nie zdołają się nawet dojrzeć, a często dzielić ich będą wzgórza, rzeki, lasy—nie będzie tego bezpośredniego zetknięcia, które rozbudza namiętności, zamienia człowieka w zwierzę, ląknące krwi, i musi skończyć się śmiercią jednego z zapaśników. Nadto walki toczyć się będą z odległości wielkich, a zatem i wycofanie się z bitwy stanie się rzeczą łatwą do wykonania.

Są znowu autorowie, którzy przypuszczają straszliwą morderczość i olbrzymie straty, ale uważają, że na wojnie to względ podrzędny, chodzi o osiągnięcie celu, o odniesienie zwycięstwa, niezależnie od licz-

by ofiar. Wojna z 1870 roku przekonała, że i nowoczesne armie są zdolne wytrzymać kolosalne straty.

Oficerowie młodszy dowodzenia podobnie przyjmują z ironią. Przypominają oni, iż armie dzisiejsze znacznie się różnią od tych, które walczyły w 1870 roku. Brak będzie ideałów, które ożywiały wtedy armię niemiecką. Obecnie szeregi nie będą już zdolne do ponoszenia ofiar podobnych. Nowa broń nie tylko wywołuje większe niebezpieczeństwo życia i zdrowia, ale także wielce utrudnia pomoc na polu walki — doktorzy i felczerzy nie będą mogli urządzać ambulansów na przestrzeniach, zasypywanych ze wszelkich stron ołowiem, nie potrafią również zachować zimnej krwi, w podobnej chwili niezbędnej.

Karabiny obecne rażą na 4 wiorsty, działa na 7 wiorst co najmniej. A jednocześnie armie nie składają się z żołnierzy zawodowych, dla których zamilowanie mordu było przymiotem, a junakierya i lekceważenie życia — cnotą. Dzisiaj szeregi są nowem pokoleniem spokojnych obywateli, którzy częstokroć czują do wojny najwyższą odrazę, nie mają żadnej ochoty nawet zwyciężać, a cóż dopiero narażać się na straszne niebezpieczeństwo długiego leżenia w męczarniach na polu bitwy, a to tem bardziej, iż propaganda przeciwko wojnie skierowała serca i umysły całkiem w inną stronę, niż wymaga duch wojny. To też niepodobna liczyć, aby armie współczesne okazały chęć i siłę do poświęceń i do zaparcia się siebie w takim stopniu, jak tego od nich wymagać chcą teoretycy, lekceważący prądy, które miotają zachodnimi społeczeństwami.

Sprzeczności podobne spotykamy nie tylko w zagadnieniach natury ogólnej. Żaden szczegół wolny od nich nie jest.

Jedni twierdzą, że ulepszenie broni, zastosowanie wynalazków wszelkich do użytku wojny, odsunęły na plan drugi ordynaryjną siłę mięśni; instynktowa czysto odwaga wielce straci ze swego wpływowego znaczenia, natomiast na plan pierwszy wystąpi gruntowne uzdolnienie techniczno-wojskowe.

Przy ogromnych armiach, przy wysokim poziomie umysłowym dowódców, dadzą się skutecznie operacje, mające na celu oskrzydlenie nieprzyjaciela, już nie przez akcję taktyczną, lecz przez strategiczne skierowanie kolumn pochodowych ku odpowiednim punktom, a to tem bardziej, że obrona przed oskrzydleniem przez nieprzyjaciela będzie trudniejszą, z powodu znacznej odległości rezerw od skrzydeł wojska.

Na to odpowiadają inni, że do tego konieczną jest znajomość ruchów nieprzyjacielskich i miejsc dylokacji wojsk; tymczasem przy bezdymności nowego prochu, dalekonośności broni i przyjętych metodach ochraniania jądra armii, zasięgnięcie języka i zbieranie wiadomości

będzie niezmiernie utrudnionem; nadto, możliwość prędkiego oszańcowania się dozwoli nadciągać oddziałom bardziej oddalonym, a zatem sparaliżuje wszelkie zachcianki oskrzydlenia.

Prócz tego, znoje pochodów będą tak wielkie, a warunki boju tak straszliwe, że zachodzi wielkie pytanie: kto to zniesie łatwiej i mieć będzie przewagę: czy żołnierz inteligentny, ale przez to właśnie wrażliwszy i wskutek wyższej cywilizacji bardziej czuły, czy też odznaczający się przedewszystkiem ordynaryjną siłą mięśni, instynktową odwagą i mocnymi nerwami? Zdanie, że nie instruktorowie lecz nauczyciele szkolni przyczyniają się przeważnie do zwycięstw, ma wartość względną tylko. W bitwie, pod ogniem nieprzyjacielskim, liczyć można jedynie na automat, nie zaś na błędne „ja“, które właśnie szkoła rozwija. Samo wykształcenie, w chwili walki, a więc w chwili wzruszenia, roz-targnienia, niepewności, wystarczyć nie jest w stanie.

Jedni twierdzą, że w przyszłej wojnie stanowczą przewagę będzie miała strona, działająca odpornie, że atakowanie nieprzyjaciela, ukrytego po-za szanćami, z frontu będzie szaleństwem, które się skończy całkiem bezowocnym mordem. Inni, odwrotnie, śmiałemu działaniu zaczepnemu, popartemu nowo wprowadzonymi *moździerzami*, wyrzucającymi pociski, napełnione melinitem i pyrokseliną, wróżą świetną przyszłość i wzywają swoje państwa, aby się koniecznie tej taktyki trzymały.

Jedni powiadają, że bitwy trwać będą trzy i cztery dni, nie przynosząc żadnego rezultatu, — inni przepowiadają piorunową szybkość rozstrzygnięcia. Jedni czas trwania przyszłej wojny wyznaczają na lata, inni na bardzo krótkie terminy.

Najrozmaitsze poglądy panują co do kierowania bitwami przyszłości. Nadzwyczajna trudność pokombinowania z sobą najrozmaitszych czynników, pierwiastków, względów, doprowadza niektórych autorów do uznawania potrzeby skoncentrowania całego motoru poruszeń w głowie zdolnego, energicznego wodza, oraz pozostawienia w jego rękach bardzo licznych rezerw, w celu możliwości wywierania akcji bardziej decydującej.

Dla innych ten obrót rzeczy jest prostem niepodobieństwem, a dążenie doniego chybieniem. Dramat rozgrywać się będzie na olbrzymich przestrzeniach, pomiędzy olbrzymimi masami wojsk, jak najbardziej rozproszonych. Najgieniałniejsza głowa nie wystarczy do objęcia i skombinowania całej masy szczegółów, potrzeb, okoliczności. Przytem odbieranie wiadomości i przesyłanie rozkazów będzie niesłychanie utrudnione; wszelkie nowoczesne środki, jak telegrafy, telefony, heliografy, balony, w zamęcie, który bitwy wywołają, okażą się zawodnymi; rezerwy, z powodu dalekonośności broni, trzeba będzie trzymać w takich

odległościach, że w chwili decyzji nie znajdą się one pod ręką, to też dowództwo zdecentralizuje się i rozproszy niejako, pozostawiać ono będzie w rękach nietylko wodza naczelnego i generałów, lecz nawet pułkowników i dowódców batalionowych, o ile ci rozporządzać będą jeszcze rezerwami.

Najczęściej przewodnikami żołnierzy zostaną oficerowie stopni najniższych, utrzymanie więc jedności okaże się niemożliwem.

Stąd wynika, że wojska należy wprawiać nie do ślepego wykonywania rozkazów tylko, lecz potrzeba kształcić samodzielność w oficerach i nawet podoficerach, którzy zmuszeni będą, wskutek przewidywanych ogromnych strat, zastępować swych wyższych rangą kolegów. We wszystkich armiach rozwinięte będą usiłowania wybijania dowódców; nie ustannie najlepsi strzelcy ćwiczą się w tym kierunku, to też oficer bardzo drobnej rangi, a nawet podoficer, może się nagle ujrzeć na czele znacznego oddziału całkiem osamotniony.

Lecz inni znowu utrzymują, że zbytnia samodzielność, wobec dzisiejszego składu armii, doprowadzić musi do rozluźnienia dyscypliny i do nie dających się obliczyć błędów i samowoli, mogących właśnie wywołać klęski; żaden wódz nie będzie pewnym, czy jego dyspozycje nie zostaną zmienione, nie będzie więc mógł działać z niezbędną konsekwencją oraz z zakreślonym planem, a nic nie jest tak szkodliwem, jak wahanie się i niepewność podczas rozpoczętej akcji.

Nic dziś pewnego nie wiadomo nawet o roli, jaką w przyszłej wojnie odegrają różne rodzaje broni. Nie brak np. twierdzeń, iż kawaleria pozostanie nadal tą straszną potęgą, jaką była dawniej; niby nawałnica rzuci się ona na kraj nieprzyjacielski i przeszkodzi nietylko koncentracji, lecz i mobilizacji wojsk.

Podczas już rozwiniętej akcji wojennej, w chwili odpowiedniej, rzuci ją wódz na wroga, aby złamać jego chwiejące się szeregi. Brak dymu powiększy grozę jej uderzenia, żywiołowego niemal — więc znaczenie jazdy urośnie. Na dowód przytaczają nieustanne wielkie ćwiczenia jazdy we wszystkich państwach. Ale również często spotkać można negacyę wszelkiego pożytku z kawalerii, wskutek nowoczesnej broni. Do rekonesansów, przy dogodności karabinów, kawaleria najmniej okaże się zdolną wskutek swej widoczności, to też wszędzie kształcą do służby rekonesansowej wyborowych piechurów, posługiwac się będą przytem obserwatoriami, balonami i t. p. Koncentracji a tembardziej mobilizacji nieprzyjaciela kawaleria nie przeszkodzi, bo napotka odrazu opór dostateczny ze strony konsystujących na granicach wojsk. Szarże wielkie należą do przeszłości, bo zanim konnica z dalekich odległości, na których wobec dalekoności broni oczekiwać będzie stosownej chwili, dobiegnie do nieprzyjaciela, to ją magazynówki wybiją

co do nogi; kiedy — powiadają — oręż piechoty i artylerii udoskonaliły się niesłychanie, oręż kawalerii — koń — jest dziś, tak samo jak niegdyś, niedoskonały, musi więc ona stracić swe znaczenie.

I co do piechoty — tej królowej placu boju — wielu pisarzy wojskowych twierdzi, że w rezultacie ostatecznym działać ona będzie, jak w przeszłości, to też nie tylko oficerowie zawodowi, ale i wstępujący do szeregów oficerowie zapasowi, łatwiej niż innymi rodzajami broni, będą mogli manewrować nią na polu bitwy. Tymczasem inni twierdzą, że obecnie kierowanie na placu boju piechotą wymaga więcej sztuki, umiejętności i udoskonalenia, niż dowodzenie artylerią lub kawalerią. W żadnej z armii na 500 oficerów, z których każdy w krótkim czasie nauczy się, choćby nie umiał wcale, dowodzić baterią lub szwadronem, nie znajdziemy 100 kapitanów, uzdolnionych w całym znaczeniu tego wyrazu do prowadzenia w ogień piechoty; cóż więc zrobić zdołają oficerowie rezerw i zapasów?

Również podzielone są zdania co do roli, jaką odgrywać będzie szczyk rozproszony i zasłony złożone z tyralierów, co do związku marszu w celu ataku i ognia, co do sposobów chronienia posiłkowych oddziałów i rezerw, co do sposobów atakowania dla wybicia z pozycji nieprzyjaciela.

Sprzeczne zdania spotykamy i co do artylerii. Jedni utrzymują, że dziś artyleria powinna zacząć działanie z odległości o wiele znaczniejszej, niż dawniej, i armaty grać winny z odległości 7-miu wiorst. Inni, równie wysocy znawcy rzeczy, twierdzą, iż strzelanie ze znacznych odległości będzie tylko stratą amunicji, trudną do zastąpienia w chwili rzeczywistej potrzeby.

Szybkostrzelność nowej broni wywołała obawy, że może na polu bitwy w najważniejszym punkcie walki zabraknąć ładunków. Ale znowu ładunki są lżejsze, i każdy żołnierz ma ich przy sobie większy zapas. Parki również zostały wzmocnione. Lecz, pomimo to, do dziś istnieje spór: zabraknie, czy nie zabraknie? czy będzie można, lub nie, dowieźć ładunków?

Niektórzy autorowie powiadają, że braku ładunków lekać się powinna ta tylko armia, w której niema ładu i dyscypliny, dając w ten sposób do zrozumienia, że w ich wojsku panować będzie wzorowy porządek. Inni gromią ich za takie przechwałki i za taki optymizm. Też same spory toczą się i względem możliwości dostawy amunicji dla armat, szczególnie typów nowych wielkich kalibrów.

We wszystkich państwach budują pośpiesznie kosztowne i kosztowne fortece, tymczasem wielu autorów twierdzi, że przy obecnych środkach ataku, przy pomocy bomb i granatów wybuchających (Obus torpilles), w ciągu dni kilku będą one przez nieprzyjaciela w niwecz

obrócone i zajęte. W odpowiedzi na to, obrońcy znaczenia fortec powiadają, że nawet osaczenie, a tem bardziej szturmowanie fortec, dotąd bronionych przez liczne armie czynne, pozostaje rzeczą zbyt trudną, i przytaczają znane odezwanie się takiego znawcy, jakim był generał Todtleben, że, wobec dzisiejszych sposobów niszczenia szaniec, najpotężniejszą twierdzą jest „*pole marsowe*“, t. j. plac zupełnie odsłonięty; dla czegoż więc — rozumują oni — twierdze miały-by być w gorszym położeniu?

Nie mniejsze sprzeczności napotykamy co do zaopatrywania armii w żywność. Jedni powiadają, że w obec dróg żelaznych i przygotowanych materiałów, służących do budowy nowych linii komunikacyjnych, millionowe armie będą mogły operować na jednym teatrze wojny, szczególnie, jeżeli będą, według wyrażenia Moltkego, — „*getrennt marschieren, zusammen fechten*“—i że w takim razie urządzenie tyłów i wogóle sposoby zaopatrywania armii w potrzeby przez rekwizycye i zakupy w pobliżu teatrów wojny wystarczą tak, jak wystarczały w przeszłości.

Lecz zaraz inni, również poważni autorowie twierdzą, że wojna przyszła stanie się przede wszystkim walką o stanowiska obronne, które będą niby z pod ziemi wyrastały tam, gdzie miejsce odpowiadać będzie punktom strategicznym. Powtórę, oddziały ruchome, złożone z piechoty, artylerii i jazdy, przebiegać będą niezmiernie przeszczerzenie i niszczyć komunikacye oraz zasoby, a zatem dowozy staną się niemożliwymi, a ponieważ dla zdobycia szaniec i okopów, nawet przy użyciu bomb i torpedów, napełnionych nowymi materiałami wybuchowymi, właśnie z powodu trudności ich dowozu, wypadnie poświęcić wiele czasu, przeto głód będzie stałym towarzyszem armii. Ponieważ zaś, jak powiadają Francuzi, „*ventre affamé n'a point d'oreilles*,“ więc myśli i czyny wodzów paraliżować będzie nieustannie obawa dezorganizacyi.

Tyły armii będą bezspornie mniej zabezpieczone, przy bezdymnym prochu łatwiej będzie wysyłać ochotnikom i partyzantom ukryć się, transporty wysyłać wypadnie pod znacznie silniejszą osłoną. Na ludność cywilną, która bądź-co-bądź w przeszłych wojnach dostarczała furmanek, padnie bez porównania większy, niż niegdyś, popłoch, będą też prawdopodobnie uciekać i kryć się. Nie obejdzie się więc bez uformowania własnych, osobnych parków wojskowych, obsługiwanych przez żołnierzy, celem uskutecznienia przewozów i dostaw. To zaś skomplikuje niezmiernie administracyę.

Zdolność więc wojsk do znoszenia braków i zachowania dyscypliny w chwilach krytycznych odgrywać będzie większą, niż w przeszłości, rolę.

Mamy więc przed sobą szereg sprzeczności, ale jest to konieczność niemal, uwarunkowana położeniem rzeczy. Dopiero sama wojna dostarczy wskazówek faktycznych, przewidywania zaś dzisiejsze są operacjami logicznymi, opartymi tylko na danych pośrednich. W takich zaś wypadkach wątpliwość i spory są nieuniknione.

Nawet wtedy, gdy wynalazki techniczne nie łały się jeszcze, jak dziś, niby potop, a rutyna i doświadczenie stanowiły największą potęgę wodzów, nie brakowało także sporów, ponieważ uważano już za aksyomat potrzebę zmieniania od czasu do czasu taktyki, aby w ten sposób obezwładnić nieprzyjaciela, zmuszać go do walki w warunkach nowych i w ten sposób zyskać nad nim przewagę.

Napoleon radził dokonywać zmiany co lat dziesięć.

Autorowie niemieccy dowodzą, iż, wskutek wysokiego udoskonalenia oficerów i podoficerów, posiadają większą możność, niż sąsiedzi, dokonywania nawet na polu walki różnych ewolucyi, zależnie od tego, co okoliczności wskażą i czego przyszła praktyka wojny nauczy. To też zmianę taktyki uważają oni, jako jedną z poważniejszych szans zapewnienia sobie przewagi i zwycięstwa. Lecz inni, bardzo poważni wojskowi powiadają, że jest to jedna z najbardziej ryzykownych gier. Czego żołnierz nie nauczył się podczas pokoju, co nie wsiąknęło niejako w jego przyzwyczajenie, tego nie nauczy się na wojnie. Rezultatem takiego przedsięwzięcia może stać się straszliwe zamieszanie i skutki wręcz przeciwne zamierzonym.

Jeżeli do tych wszystkich wątpliwości dodamy spory o to, o ile prądy, nurtujące społeczeństwo, wskutek powołania tak znacznej liczby rezerwistów, odbijają się i w armiach, to otrzymamy wielką niewiadomą, czem przyszła wojna będzie w rzeczywistości, a zatem, jak oddziała na ekonomiczne i społeczne życie narodów.

Wobec takiego stanu rzeczy, staraliśmy się poznać dany przedmiot jak najwszechstronniej, ze źródeł najodmienniejszych, od autorów różnych narodowości, różnych przekonań politycznych i różnych stronnictw wojskowych. Prócz tego, naturalnie, w razie jakichś wątpliwości, czy przypuszczeń, udawaliśmy się po radę do wojskowych, zuanych ze swego teoretycznego wykształcenia, lub praktycznej znajomości przedmiotu. Nie pominęliśmy i prostych szeregowców, którzy kampanie odbywali, aby się dowiedzieć, jak na pewne fakta i okoliczności patrzy wprawdzie najniższy, ale najniezbędniejszy czynnik na wojnie.

Zwracamy przytem uwagę, że nam nie chodziło nigdzie o wyrokowanie w sprawach wojennych, lecz o zaznajomienie ogółu naszego z kwestyami, które przyszła wojna stawia na porządku dziennym, które prawdopodobnie mieć będą doniosłe skutki praktyczne i dlatego posiadają ważne znaczenie. Braliśmy się przytem do tego z taką ostrożno-

ścią, żeśmy nie chcieli nigdzie być tłumaczami twierdzeń specjalistów dla szerszego ogółu, lecz przytaczamy nieustannie ich własne słowa, o ile tylko rozmiar pracy na to zezwala. Stąd w tej części pracy naszej taka masa cytat. Niechęć popisywania się erudycją skłoniła nas do tego. Chcieliśmy, aby z jednej strony czytelnik wiedział, z czyjem zdaniem ma do czynienia, i aby z drugiej strony sam to, co mu się wydawać będzie nieprawdopodobnem, niejasnem, lub niedostatecznie dowiedzionem, mógł znaleźć, sprawdzić i dokompletować, lub poddać opinii kompetentnych ze sfer wojskowych jednostek.

Specjalistów oczywiście, odnośnie do techniki wojny, praca nasza nie zadowolni, wyda się miejscami za zbyt wdającą się w szczegóły, miejscami znowu za mało wyczerpującą, lub zbyt popularną, a poglądy, z powodu niezajomości praktyki pola bitwy, zanadto teoretycznemi i kładącemi zbyt ni nacisk na stronę psychiczną, moralną, natury ludzkiej; ale też praca nasza dla specjalistów pisaną nie była, przeznaczylismy ją dla szerszego ogółu naszego społeczeństwa, a ten, naszym zdaniem, tylko popularnego wykładu potrzebować może. Zresztą na przyszłych polach bitew walczyć będą żołnierze, tylko co od zajęć codziennych oderwani, a zatem i czuli jeszcze na ogólne ludzkie wrażenia, jeżeli się przetworzą w zawodowych szermierzy, to nie odrazu, a zatem prawda leżeć będzie prawdopodobnie pośrodku. „Du choque des opinions jaillit la vérité,” nawet więc i dla specjalistów, być może, nie bez interesu będą te poglądy na wojnę ze stanowiska nie tylko specjalnego, lecz i ogólnoludzkiego.

ROZDZIAŁ VIII.

Uwagi ogólne o strzale.

I.

Siła ciężenia. Przyciąganie ziemi i opór powietrza.

Najbardziej pospolite i codzienne doświadczenia przekonywają nas, iż każdy przedmiot, rzucony bądź pionowo, bądź poziomo, bądź pod jakimkolwiek kątem, w biegu swoim zbliża się ku ziemi i w końcu spada na nią. Przyczyną tego zjawiska jest przyciąganie ziemi, powodujące t. zw. w mowie potocznej ciężkość przedmiotów. Doświadczenia zaś naukowe wykrywają, iż szybkość przedmiotów w próżni

nie zależy od rozmiarów ciała spadającego, ani od kształtów, ani od jego ciężaru gatunkowego. Szybkość ta z biegiem czasu wzrasta (ruch t. z. jednostajnie przyspieszony): w końcu pierwszej sekundy spadania droga przebyta wynosi prawie 5 metrów (4.9), a po upływie drugiej sekundy już blisko 20 (19.62) metrów, czyli jest *cztery* razy większa. Wzór, który prawo takiego spadku wyraża, brzmi: drogi przebyte są proporcjonalne do kwadratów użytego czasu.

Pod działaniem przyciągania ziemi na mocy tego prawa zniża się ku poziomowi kula z lufy wyrzucona ¹⁾.

Celem dokładniejszego wyjaśnienia zjawiska, przy pominiemy czytelnikom, co to jest strzał. Iskra, spadająca na proch naboju, powoduje wybuch, który polega na tem, że proch się rozkłada chemicznie i gwałtownie przetwarza się w gaz. Gaz zaś każdy, wskutek własności, zwanéj w fizyce *prężnością*, dąży do zajęcia jak największej przestrzeni. W lufie odbywa się na wszystkie strony wielkie ciśnienie. Ścianki fuzy stawiają mu opór, cała więc siła prze kulę i ta zostaje wyrzuconą z szybkością około 450 metrów na sekundę z karabinów Berdana, używanych w armii rossyjskiej, i z szybkością około 600 metrów z karabinów nowego systemu, przy użyciu prochu bezdymnego.

Po wybuchu kula biegnie w kierunku lufy, w teje jednak chwili po wyjściu z lufy poczyną działać siła inna—przyciąganie ziemi—i ta ściąga kulę ku dołowi. Pod wpływem działania dwu sił bieg pocisku dokonywa się po linii krzywej, zwanej torem kuli. Ponieważ spadek ciał odbywa się z szybkością przyspieszoną, szybkość zaś, nadaną kuli przez wybuch, osłabia opór powietrza, więc odchylenie się od pierwotnego kierunku jest tem znaczniejsze, im dalej kula znajduje się od lufy.

Opór powietrza zależy od rozmiarów, od kształtu i od szybkości kuli ²⁾.

Dla zmniejszenia oporu powietrza poczęto zmniejszać objętość kuli, przez co nietylko zyskano na szybkości, nietylko powiększono

¹⁾ Naturalnie wzrost szybkości spadania na ziemię jest skutkiem oporu powietrza mniejszy, aniżeli przy spadaniu ciał w próżni. Tak np. spadek kuli, wystrzelonej z karabinu Berdana, przy mierzeniu do celu, odległego o 1800 metrów, jest o 40% powolniejszy, aniżeli przy spadku w próżni.

²⁾ Według doświadczeń, czynionych we Francyi, kula, wystrzelona z karabinu Lebla, ma w momencie wystrzału szybkość od 610 do 620 metrów na sekundę; po przebieżeniu 200 metrów opór powietrza wywiera wpływ taki, że kula bieży już tylko z szybkością 487 metrów.

po przebieżeniu 1000 metrów z szybkością 259

„ 1600 „ „ 205

„ 2000 „ „ 178

Widzimy stąd, jak dalece opór powietrza wpływa na bieg pocisku.

pewność biegu pocisku i jego donośność, lecz także zyskano możność zmniejszenia kalibru broni i samych pocisków, a wskutek tego znowu można zaopatrywać żołnierza w większą ilość ładunków.

Ustawiwszy na drodze przebiegu kuli w pewnych odległościach szereg ram z naciągniętą lekką materią, ujrzymy w niej po wystrzale otwory, znaczące drogę pocisku. Łącząc je z sobą, otrzymamy krzywą, odtwarzającą *tor* przebiegu kuli.

Rzecz naturalna, iż tory pocisków z rozmaitych broni bywają rozmaite. Oto np. kilka cyfr. dających pojęcie o łuku drogi kul, wyrzucanych z broni systemu Berdana, używanej dzisiaj w armii rosyjskiej.

Ażeby kula wystrzelona mogła trafić w cel zamierzony, potrzeba dla zrównoważenia siły ciężenia, by w połowie swej drogi znajdowała się na następującej wysokości:

Odległość celu w stopach angielskich .	Najwyższa wysokość nad linią celu
1400	6 stóp i 3 cale
2800	17 „
5600	311 „

Cyfry te wykazują nam, że, im cel, w który kula ma uderzyć, położony jest dalej, a zatem im więcej czasu potrzebuje kula na przebieg toru, tem bardziej tor ten wznosić się musi nad poziomem linii celu. One też dają nam pojęcie o kształcie toru kuli.

Jest to reguła zasadnicza—prawo, rządzące całą nauką o strzale (balistyka), a zatem i całą współczesną umiejętnością strzelania. Na niej gruntują się reguły celowania i możliwości trafienia.

II.

Pole śmierci.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że siła przyciągania ziemi nie działa.

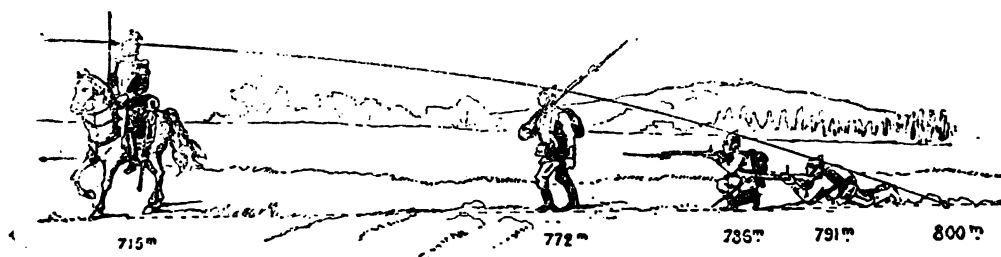
Obliczają zaś, że kula z broni francuskiej po wystrzale jeszcze na odległości 3200 metrów, czyli 3700 kroków, a zatem blisko pół mili (niektórzy podają nawet przeszło 4000 metrów) posiada siłę zranienia śmiertelnie napotkanego człowieka.

W takim więc razie, przy naszym przypuszczeniu co do nieistnienia siły ciężenia, kula, wypuszczona na równej płaszczyźnie i przebiegająca po linii prostej, razila-by na przestrzeni niemal pół mili wszystko, co tylkoby napotkała. A ponieważ, przy rozproszonym szyku wojska podczas bitwy, trudno przypuszczać, żeby na przestrzeni około 4 wiorst nie na-

darzył się na torze pocisku ani jeden żołnierz, przeto każda niemal kula trafiała-by. Na szczęście jednak tak nie jest.

Widzieliśmy, że kula, ażeby mogła dojść do nieco oddalonego celu, musi zakreślić w powietrzu łuk wypukły ku górze. Rzecz więc prosta, iż większą znacznie część swej drogi odbywa ona na takiej wysokości od ziemi, gdzie nie może napotkać walczących, a zatem gdzie nie jest niebezpieczną. Naturalnie, im odległość, na którą się strzela, jest mniejsza, tem kula leci niżej, a stąd tem na większej części swego przebiegu może o śmierć przyprawić.

Jeżeli cel ostateczny kuli jest odległy o 800 metrów, w takim razie staje się ona niebezpieczną z karabinu Lebla modelu 1876 r. (nie wiele różniącego się od karabinu Berdana) dla kawalerzysty od 715 me-



trów, dla żołnierza zaś stojącego dopiero od 772 metrów, a zatem działa skutecznie tylko na przestrzeni 28 metrów; resztę drogi przebiega tak wysoko, że przebicciem wcale nie grozi ¹⁾.

¹⁾ Przestrzeń zagrożona, to jest na której kula może dosięgnąć żołnierza pieszego (zwana przez wojskowych „polem śmierci”), zmniejsza się w stosunku do odległości celu nader gwałtownie. Tak np. przy strzałach z karabinu Lebla.

Odległość celu w metrach	Przestrzeń zagrożona dla piechoty:		
	stojącej	klęczącej	leżącej
200	200	200	200
400	400	125	55
600	80	60	30
800	55	40	18
1200	24	16	7
1600	13	9	4
2000	8	5	2

Widzimy stąd, o ile pozycja żołnierza stojącego jest niebezpieczniejszą od pozycji leżącej, a dalej, jak małe jest prawdopodobieństwo trafienia oddzielnego żołnierza już na odległości 2000 metrów. Oczywiście więc, że na dystansach znaczniejszych strzały będą skuteczne tylko wówczas, jeżeli dokonywane będą salwami i skierowane na nieprzyjaciela, przechodzącego w masie.

Skutek oddziaływania siły ciężenia ujawnia się nie jednakowo, lecz zrazu słabo, ku końcowi zaś polotu coraz silniej; otóż rzecz oczywista, iż im większy dystans przebieży kula w pierwszej sekundzie, tem linia przebiegu będzie prostszą, tem kula stanie się niebezpieczniejszą. Szybkość zaś przebiegu zależy, jak to wykazywaliśmy, od siły wyrzutu i od oporu powietrza, które kula przerzyna. Ażeby zatem względnie wyprostować linię przebiegu, należało siłę wyrzutu powiększyć, a opór powietrza zmniejszyć. Powtórę, gdy raz, zamiast celności, pierwszorzędnego miejsca na polu bitwy zaczęło odgrywać wygięcie toru, a zatem prawdopodobieństwo (lecz nie pewność, jak to ma miejsce teoretycznie przy celowaniu) trafienia przeciwnika, należało więc z natury rzeczy liczbę tych prawdopodobieństw trafienia powiększyć, czyli powiększyć liczbę kul wypuszczanych na minutę.

Te trzy zagadnienia techniczne rozwiązuje właśnie broń nowożytna. Siłę wyrzutu powiększa wprowadzenie nowego prochu, opór powietrza zmniejsza się przez użycie kul stożkowatych i broni małego kalibru, a wreszcie szybkość strzelania daje broń magazynowa.

ROZDZIAŁ IX.

Proch bezdymny i inne materye wybuchowe.

Bieg i siła uderzenia kuli zależy przedewszystkiem od siły, którą z karabinu wyrzuca.

W ostatnich czasach, dzięki zdobyczom chemii, technika wybuchowa weszła na całkiem nowe tory. Wynaleziony został gatunek prochu o składzie chemicznym, zupełnie różnym od dotychczasowego. Proch ten przy strzale daje tak mało dymu, iż go słusznie nazwano bezdymnym. Co więcej, jego siła wybuchowa znacznie jest większa.

Niektórzy pisarze wojenni, o wysokiej kompetencji, twierdzą, iż proch ten musi całkowicie przeobrazić taktykę bitew i wywołać przewrót większy, niż pierwszy wynalazek prochu i wprowadzenie broni ognistej. Inni jednak autorzy z tem się nie zgadzają i, nie odmawiając nowemu wynalazkowi poważnej doniosłości, rolę jego sprowadzają do znacznie skromniejszych granic.

I.

Historja fabrykacyi nowych materyałów wybuchowych.

Jak każdy wielki wynalazek, proch bezdymny jest rezultatem długich poszukiwań i wypadkowych odkryć. Przez długi czas myślano

jedynie o ulepszeniu prochu zwyczajnego, który, jak wiadomo, składa się z *mechanicznej* mieszaniny około 10% siarki, 16% węgla i 74% saletry. Nieco więcej, niż $\frac{2}{3}$, bo 43% prochu zwyczajnego przechodzi w gazy ¹⁾, reszta albo pozostaje w stanie twardym, jako sadze w lufie, albo sproszkowana wylatuje w postaci dymu. To też broń się łatwo zanieczyszcza, rozgrzewa i staje się w najważniejszych chwilach bitwy niezdadną do użytku, wreszcie otacza walczących gęstym obłokiem dymu.

Od roku 1846 zjawia się nowy rodzaj materiałów, będących już kombinacjami *chemicznymi* kwasu azotowego z różnemi materiałami organicznymi, np. bawełna strzelnicza, nitrogliceryna, pikrat potasu i inne.

Lecz dopiero poczynając od r. 1856 czyniono liczne próby zastosowania bawełny strzelniczej do celów wojskowych, przyczem rezultaty były niezadawalniające, z powodu gwałtownego działania nowego materiału. Dopiero w ostatnich czasach zmienił się stan rzeczy w tym względzie.

Z nowych rodzajów materii wybuchowych chronologicznie pierwszą była *nitrogliceryna*, która otrzymuje się przez ostrożne dolewanie gliceryny do mieszaniny kwasów siarczanego i saletrzanego i przez dokładne następnie przemywanie wodą otrzymanego *chemicznego* związku, a to celem usunięcia wszelkich śladów kwasu. Jest to płyn oleisty, ścinający się przy temperaturze 10° R., wielce jadowity, z łatwością wybuchający od uderzenia lub tarcia i całkowicie przy wybuchu w gaz się rozkładający. Dlatego samej nitrogliceryny nie używają w charakterze prochu, lecz nasycają nią tylko sproszkowane, a łatwo wszelki płyn chłonące materye, jako to: węgiel, dobrze wypaloną cegłę, wapien i t. p. W ten sposób przyrządzona materya wybuchowa otrzymuje nazwę dynamitu.

Bawełna strzelnicza (pyroksylina) otrzymuje się przez traktowanie resztek i odpadków bawełny mieszaniną kwasów azotowego i siarczanego. Taka bawełna zawiera 15% wody i nie jest niebezpieczna dla ludzi, mających z nią do czynienia, łatwo ją przewozić, a nawet zapalona płonie tylko jak świeca, lecz nie wybuchu.

Wysuszona, zawiera jeszcze około 3% wody, zapala się od płomienia i płonie również wolno; lecz rzecz się ma zupełnie inaczej dopiero wówczas, kiedy zapalona zostaje przy pomocy kapsli z rtęcią piorunującą—wybuchu wtedy gwałtownie i natychmiastowo.

¹⁾ „15 Vorträge über die Wirkungsfähigkeit der Geschütze,“ str. 115.

Ażeby z bawełny strzelniczej otrzymać proch do broni palnej, należy ją zmieszać pół na pół z saetrą, a następnie poddać ciśnieniu dla otrzymania płyt, które, pokrajane, dają proch karabinowy.

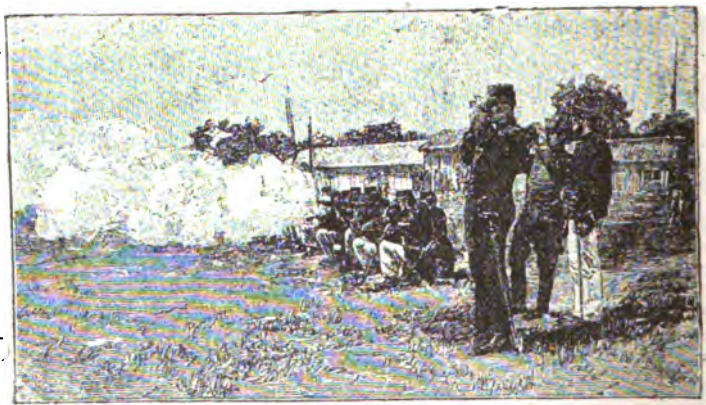
Dla otrzymania prochu armatniego, zamiast płyt, wyciskają szesciany, które następnie dzielą na większe lub mniejsze części, stosunkowo do celów.

II.

Bezdymmość nowego prochu.

Po tych wyjaśnieniach technicznych przechodzimy do skreslenia zalet i wad nowego prochu.

Zaczynamy od „bezdymmości,” której naturalnie nie należy rozumieć dosłownie. Rzecz się tak ma: na odległości 300 metrów dym od wystrzałów karabinowych jest zupełnie niewidoczny; na odległościach mniejszych dają się zauważyć nad linią strzelców lekkie obłoczki, podobne do dymków z cygara; dym, pochodzący z salwy wystrzałów, nie przeszkadza wcale żołnierzom strzelającym widzieć przed sobą najbliższych przedmiotów; dym armatni nie czyni większych przeszkód obsłudze działa, niż dym, pochodzący z salwy plutonami. Ażeby zaś można było zauważyć dym nieprzyjacielski na zwykłych odległościach strzału armatniego, mowy nawet być nie może. Nie widać go wcale, nawet w chwilach najgorętszej strzelaniny. Lecz natomiast częstokroć występuje inna okoliczność, zdradzająca pochodzenie i kierunek strzału; mianowicie ruch powietrza, powstały skutkiem nader wielkiej siły wyrzutu, podnosi kurz w bez porównania większej ilości, aniżeli przy prochu zwyczajnym.



Salwa prochem zwyczajnym.

Dla unaocznienia różnicy pomiędzy nowym a dawnym prochem dajemy z „Annuaire scientifique Figuier“ za r. 1891 dwie ryciny, które tę różnicę jeszcze jaśniej przedstawiają.



Salwa prochem bezdymnym.

III.

Zalety i wady prochu bezdymnego.

Oprócz bezdymności, nowy proch posiada w porównaniu ze zwykłym daleko większą siłę rzutu, a zatem komunikuje kuli daleko większą szybkość początkową przy wylocie z lufy, co znowu sprawia, iż pocisk może razić na daleko większą odległość. Donośność nowej broni przy użyciu prochu bezdymnego sięga 4,200 metrów, wówczas, kiedy z karabinów Berdana ogień plutonowy rozpoczynać można dopiero na dystansie 1,775 metrów (2,500 kroków). Co ważniejsza, większa lub mniejsza siła rzutu wpływa na wygięcie się toru kuli, t. j. łuku, który ona opisuje. Od wygięcia zaś tego zależy długość przestrzeni, na której pocisk przebiega na wysokości człowieka, czyli przestrzeni zagrożonej. Oczywiście zaś, im ona jest większą, tem strzał może być skuteczniejszy i błędy w ocenieniu odległości mniej mają znaczenia. Doświadczenia, robione pod tym względem, dały następujące rezultaty ¹⁾:

¹⁾ M. Erogin: „Dalekomiary strzelnicze.“ Petersb., 1892, str. 6.

Przy strzale z odległości:	Przestrzeń zagrożona z karabinu systemu	
	nowego rosyjskiego (proch bezdymny)	Berdana (proch zwyczajny rosyjski)
600 kroków .	600	130
1000 " .	99	62
1500 " .	40	20
2000 " .	22	11
2500 " .	13	0
2800 " .	10	0

A więc na odległościach bliskich do 600 kroków, przy strzale z nowej broni, pole śmierci jest 4 razy większe, niż przy strzałach z berdanek; od 600 do 1,000 kroków o połowę większe; od 1,500 do 2,000—dwa razy większe; od 2,500 kroków nie możemy już porównywać, ponieważ karabiny Berdana, przy użyciu prochu dawnego, tak daleko nie nosą.

Przy użyciu prochu bezdymnego otrzymuje się większą celność, gdyż daje daleko mniej osadu i sadzy, a co za tem idzie, daleko mniej zanieczyszcza lufę.

Przy próbach, dokonanych we Włoszech, okazało się, że z 400 metrów odległości trafiało do celu:

	przy strzelaniu z kara- binów jednostrzałowych	przy strzelaniu z magazynówek
prochem dawnym . .	38% strzałów	26%
„ bezdymnym . .	54% „	47%

Tak więc wskutek użycia prochu bezdymnego z karabinów jednostrzałowych otrzymuje się celniejszych strzałów 42%, a w magazynowych 81%.

Istniał, a nawet dotychczas w sferach mniej świadomych istnieje przesąd, jakoby nowy proch źle się konserwował w składach i ulegał łatwo zepsuciu; tymczasem przeciwnie, właśnie zasadnicza różnica pomiędzy dawnym prochem a nowym polega na tem, że pierwszy—raz zmoczony w wodzie—staje się niezdatnym do użycia, podczas gdy nowy proch, nawet po kilku dniach przebywania pod wodą, wysuszony na słońcu i powietrzu, odzyskuje natychmiast wszystkie swe własności.

Jedyną w rzeczy samej ujemną stroną nowego prochu w porównaniu z dawnym stanowi jego dotychczasowa względnie kosztowność i wytwarzanie przy wybuchu większej ilości ciepła.

IV.

Nowe materiały wybuchowe.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów parę o materiałach wybuchowych, używanych do bomb, min, słowem do rozsadzania wałów i murów. Są to tak zwane melinity, roboryty, panklastyty, kinelity, siłotwory i t. p. Jako podstawa chemiczna wchodzi do nich wszystkich pikrat potasu i kwas pikrynowy, dający olbrzymią siłę eksplozywną, 2 do 3 razy większą, niż siła wybuchowa dynamitu. Sekret wynalazku stanowi tu nie skład chemiczny, lecz technika samego napełniania bomb, oraz sposób obchodzenia się z danym materiałem wybuchowym. Niebezpieczeństwo podczas przyrządzania i przechowywania wskazanych środków wybuchowych wymaga bardzo ścisłych metod, i tylko drogą długich doświadczeń zdołano dojść do wyzyskania powszechnie zresztą oddawna znanych własności wybuchowych pikratu. Wykazał to minister francuski, Freycinet, w rozprawach nad sensacyjną sprawą rzekomego zdradzenia tajemnicy melinitu rządowi angielskiemu przez niejakiego Turpin'a.

Wbrew przesadnym pogłoskom, okazało się wkrótce jednak, iż melinit jest materią wybuchową, tylko 3 razy silniej działającą, aniżeli od wieków znany proch.

Najzupełniej słusznem przeto wydaje nam się zdanie znakomitego chemika francuskiego, Berthelot'a, który powiada ¹⁾:

„Żadna siła, być może, nie jest tak zadziwiająca, jak ta, której źródłem są materje wybuchowe; jest to potęga zarazem pożyteczna, albo niebezpieczna, względnie do kierunku, jaki jej nada wola ludzka; gdyż materia zachowuje się jednakowo wobec tych lub innych intencji człowieka. Widzieliśmy np. w naszych czasach, że obok nader pożytecznych zastosowań do przemysłu, lub nader doniosłych celów wojennych, umysły egzaltowane chcą używać środków wybuchowych, jako siły rewolucyjnej i za pomocą polityki dynamitowej zreformować społeczeństwo. Jest to wielkie złudzenie: siła materiałów wybuchowych może posłużyć jako narzędzie zemsty osobistej; ale jest niepodatna do powszechnego użytku przez odosobnione jednostki, tak, iżby mogła wy-

¹⁾ „Nouvelle Revue.“ „Les matières explosives.“

wrząc jakiś ogólniejszy wpływ na społeczeństwo. Taki rezultat wymaga urządzeń kosztownych, trudnych do zbudowania, obsługiwanych przez wyćwiczone oddziały, słowem, wymaga organizacji kompetentnej i skomplikowanej, jaką jedynie państwo może stworzyć, puścić w ruch i nią kierować.“

ROZDZIAŁ X.

Broń palna ręczna.

Nowożytna broń palna jest jednym z najdoskonalszych narzędzi technicznych: stosownie do swego przeznaczenia łączy ona zalety wielkiej doniosłości, celności i niezmiernej szybkości ognia.

Co do celności, strzała, wypuszczona z łuku do żołnierza, stojącego prosto na odległości 100 metrów, trafiała raz jeden na 100, kula z karabinu gładkiego—6 razy na 100, z karabinu gwintowanego—30 razy, z Chassepota—50 razy, a z karabinów najnowszych typów 70 razy na 100 na odległościach wymierzonych.

Co do szybkości ognia, a zatem i co do liczby strzałów, gdy z karabinu gwintowanego, nabijanego z przodu lufy, można było w ciągu minuty dać najwyżej $1\frac{1}{2}$ wystrzału, to z pierwszych odtylcówek Dreysego dać można 5—6, z nowszych Berdana (w które jest uzbrojona armia rosyjska) 10—12, z broni magazynowej zaś 16—20 strzałów ¹⁾.

Są to zaiste postępy olbrzymie. Nie stanowią one naturalnie rezultatu przypadku, lecz są wynikiem usilnej pracy umysłu ludzkiego w tym kierunku.

I.

Broń nowa.

Doświadczenie ostatnich wojen wykazało, jak ważną rolę odgrywa szybkość strzałów i to nie tyle dzięki skutkom materalnym, t. j. ilości zabitych i rannych, ile dzięki skutkom moralnym, jakie grad kul, śmierć roznoszących, wywiera na przeciwnika.

Okazało się to przedewszystkiem w wojnie austriacko-pruskiej 1866 roku. W wojnie tej Prusacy walczyli w mniejszej liczbie i ze słabszą artylerją; ich karabin odtylcowy pod względem donośności

¹⁾ Omega: „L'art de combattre,” str. 16.

i celności ustępował o wiele karabinom austriackim, ale natomiast pozwalał rozwinąć dwa razy większą szybkość ognia w strzelaniu. Ta przewaga szybkości strzału zniweczyła wszelkie inne przymioty broni austriackiej i zapewniła Prusakom zupełne zwycięstwo ¹⁾).

Uznali natychmiast tę skuteczność moralną szybko strzelającej broni zarówno Austriacy, jak i inne państwa, i od roku 1866 widzimy powszechne dążenie do zaopatrzenia armii w broń szybkostrzelną magazynową.

Oczywista rzecz, że im państwo jakie później przystępuje do reformy uzbrojenia, tem ma więcej szans dobrego wyboru, bo może korzystać z wielkiej liczby prób i doświadczeń cudzych. Możliwość doskonalenia prochu i karabinów wyczerpana naturalnie nie została, dalsze a znaczne ulepszenia i postępy są i dziś jeszcze, jak to zaraz pokażemy, możliwe.

Z pomiędzy wielkich państw Rossya zdecydowała się najpóźniej na zmianę karabinu systemu Berdana na broń mniejszego kalibru z magazynem i jednocześnie naturalnie na wprowadzenie prochu bezdymnego. Nie potrzebujemy wspominać, że każde państwo ma nieustannie na oku sąsiadów i nie traci ani jednego ruchu, jaki ci robią w celu doskonalenia uzbrojeń.

Holtzner w dziele o broni ręcznej ²⁾ przytacza z „Allgemeine Militär Zeitung” sprawozdanie z wykładu pułkownika Potockiego w petersburskiej akademii artyleryjskiej o zaletach nowej broni, zaprowadzić się mającej w armii rosyjskiej. Wedle Potockiego, broń ta ma być wolną od wszystkich wad broni magazynowych francuskich, niemieckich ³⁾, austriackich; lżejszą zaś jest o 2½ funta od dotychczasowych karabinów rosyjskich. Celność nowej broni jest o 100%, siła uderzenia o 200%, doniosłość o 50%, a szybkość strzałów o 20% większą, niż karabinów Berdana. Przy najpowolniejszym strzelaniu można z niej dać 20 strzałów na minutę.

Jeżeli mamy wierzyć wiadomościom, podanym przez „Militär Zeitung” ⁴⁾, do lipca 1894 r. ma być przygotowanych 1,790,000 sztuk tej nowej broni, która to liczba uczynić ma zadość potrzebom wszystkich wojsk polowych w Rossyi europejskiej wraz z rezerwami. Mianowicie w ciągu trzech lat, od lipca 1891 do 1894 roku, fabryki broni w Tule

¹⁾ Tamże str. 36.

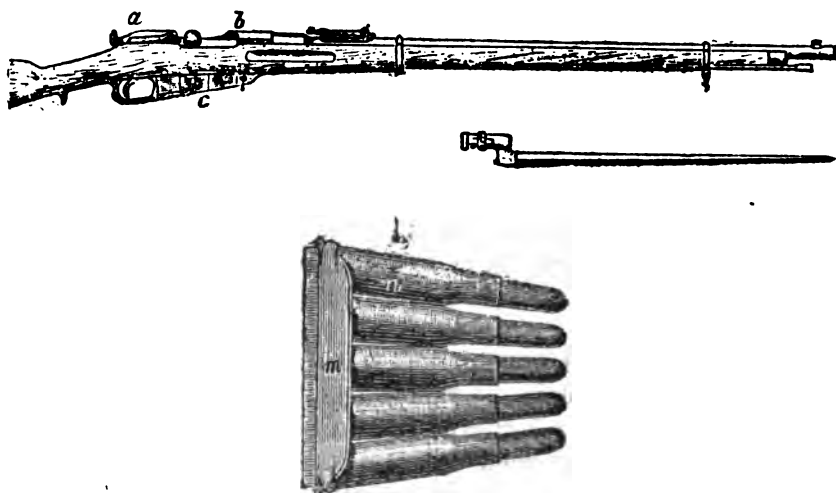
²⁾ „Moderne Kriegsgewehre.” Wien, 1890.

³⁾ Coumes w dziele „Tactique de demain” powiada, że lufa karabinu niemieckiego rozszerza się skutkiem wystrzału i wkrótce stanie się niezdolną do użytku (str. 112).

⁴⁾ R. 1892 Nr 7.

mają dostarczyć 690,000, w Iżewsku 450,000, w Siestrorecku zaś 150,000, czyli razem 1,290,000 sztuk karabinów. Do tego dodać należy 500,000 sztuk zamówionych we Francyi. Wskutek tego ostatniego obstalunku, powiada pomieniona „Militär Zeitung,” czas, potrzebny na uzbrojenie całej armii rosyjskiej, został skrócony o 14 miesięcy, gdyż fabryki krajowe, jak mają dowodzić przytoczone cyfry, mogą dostarczyć corocznie tylko 430,000 sztuk.

Rysunek poniższy pokazuje nam kształt zewnętrzny karabinu, oraz magazynu wedle typu z 1891 r.



Według profesora Budajewskiego ¹⁾, „karabin ten posiada: zamek *ab* ze spiralną sprężyną, którego odciąganie dokonywa się przez obrócenie ręczki; środkowy magazyn z paczkami *c*, zawierający 5 ładunków i napełniający się odrazu przez wysuwanie się z paczki *m* patronów do magazynu za pomocą naciskania dużym palcem górnego ładunku *n*. Ładunki trzymają się w paczce przez tarcie o sprężynowe ścianki *m*.“

A więc w krótkim już zapewne czasie armia rosyjska zaopatrzona będzie w broń doskonalszą, niż wojska państw innych. Pomimo to jednak, wypada nam rozpatrzeć, w jakich warunkach toczyć się będzie walka, jeżeli wojna wybuchnie wprzód, nim nowa broń będzie ostatecznie gotową i rozdaną.

Gdyby różnica pomiędzy bronią sąsiednich państw była istotnie wielką i mogła zaważyć stanowczo na szali wypadków, to oczywiście

¹⁾ Budajewski: „Kurs artylerji,” część II, str. 350. Petersburg, 1892.

strona lepiej uzbrojona starała-by się uprzedzić przeciwnika, nie pozwolić mu na spotęgowanie sił i przeprowadzić wojnę wprzód, nim-by on zdołał zaopatrzyć się w udoskonalone strzelby i przyzwyczaić żołnierzy do wymagań nowej taktyki.

Otóż jeżeli w lipcu 1894 roku ma być już gotowej do rozdania armii rosyjskiej 1,790,000 sztuk nowej broni, to—przyjmując, że fabryki miejscowe mają dostarczać rocznie 430,000 sztuk i że z obstalunku we Francyi wykonano dotąd tylko $\frac{1}{4}$ część — do dnia 1 lipca 1893 roku, doliczając tylko wyrób krajowy, będzie 985,000 sztuk, a ponieważ prawdopodobnie i z francuskiego obstalunku część będzie dostarczona, przyjąć można, że w tym czasie armia rosyjska będzie rozporządzała około 1,110,000 karabinów.

Zachodzi pytanie, jak długiego czasu po oddaniu w ręce armii nowych karabinów potrzeba będzie, zanim wojska nauczą się używać nowej broni?

Zaznaczyć należy, że w armii rosyjskiej do przyjęcia nowej broni przygotowują się już dzisiaj. Oto, co powiada tłumacz na język niemiecki i komentator nowego rosyjskiego regulaminu piechoty:

„Porównywając uważnie przepisy nowej instrukcyi z dawniejszemi, dochodzimy do wniosku, że żołnierze mają się przygotowywać do użycia nowej broni, i że przepisy te tak są ułożone, aby przy nowem uzbrojeniu nie potrzebowały być zmieniane.“

II.

Porównanie nowej broni z obecnymi karabinami w armii rosyjskiej.

Karabin Berdana, chociaż znacznie niższy od strzelb, które wprowadzone być mają, posiada jednak zalety poważne. Tej okoliczności przypisać należy, że władze wojskowe rosyjskie w sprawie nowej broni mogły działać ze znaczną powolnością i z większym namysłem, pomimo wielkiego pośpiechu sąsiadów.

Jeszcze w roku 1883 ustanowioną była specyalna komisya celem zbadania rozmaitych systemów broni magazynowej i wybrania z pośród nich najlepszego. Komisya ta prowadziła swe doświadczenia w ciągu lat 8 i dopiero w roku 1891, wyprobowawszy wszelkie systemata, wybrała model, wedle którego zarządzone obstalunki na wielką skalę. Ze względu na doniosłość przedmiotu, musimy się nieco zastanowić nad kwestyą, dlaczego Rosssya z zaprowadzeniem broni małokalibrowej z magazynem ociągała się, a następnie wypadnie nam porównać broń magazynową z karabinem Berdana.

Przedewszystkiem nasuwa się naturalnie kwestya zasadnicza, o ile broń magazynowa, przyjęta w większości państw europejskich, pozwala wypuścić w danym momencie większą ilość strzałów, niż zwyczajna broń szybkostrzelna. Otóż znakomita większość doświadczeń odpowiada na to twierdząco. P. Draszkowski w pracy, poświęconej temu przedmiotowi, przytacza następujące przykłady (str. 5):

	Wypuszczono kul	% trafnych pocisków
1) Nabijając po każdym wystrzale . . .	1,259	65
W tym samym czasie z magazynu . . .	2,508	61
2) Nabijając po każdym wystrzale . . .	1,147	64
W tym samym czasie z magazynu . . .	2,015	56

Przewaga magazynówek jest przeto widoczną: wypuszczają więcej kul, lecz stosunek kul trafiających do ilości kul wypuszczonych jest dla magazynówek mniej korzystny. Tej okoliczności jednakże zbyt niewagi przypisywać nie należy. Oto, co w tej materji powiada kompetentny znawca: „Obawa śmierci rośnie wraz z potęgą siły niszczącej. Karabinów używano przed rewolucją francuską, a jednak broń ta, znana wybornie, na wojnie zjawia się jedynie w wypadkach nadzwyczajnie rzadkich, a przytem jej działalność nie daje rezultatów zadawalniających. Celne strzały z odległości 200—400 metrów były nieosiągniętem marzeniem, to też je zarzucono, i wrócono do strzelb dawnych. Czy naszym strzelcom pieszym nieznanym był ogień na komendę? Czy się do niego nie uciekały te wyborne wojska, utworzone z ludzi wyprobowanych? Dla użycia ich broni nie jest to jednak środek zły. Dziś posiadamy broń, bijącą na 600 i na 700 metrów; czy znaczy to, iż celne strzelanie może być prowadzone z odległości 700 metrów? Wcale nie. Jeżeli przeciwnik ma równie celne karabiny, to nasz ogień z 700-metrowego dystansu znajdzie się w warunkach ognia z 400 metrów. Strata ludzi będzie też sama i ten sam będzie stopień zimnej krwi, t. j. nie będzie jej prawie. Jeżeli strzelać będą trzy razy szybciej, nazabijają trzy razy więcej ludzi i stopień krwi zimnej będzie trzy razy niższy“¹⁾.

Przy porównaniu broni magazynowej z karabinem Berdana, rezultaty były pomyślne dla ostatniego; mianowicie przy strzałach pojedynczych ilość pocisków udatnych przewyższała o 7% takąż ilość z magazynówek, przy strzelaniu zaś salwami o 4%. Próby dokonane dowiodły przytem, że żołnierz z karabinu Berdana może wypuścić 148 strzałów bez wypoczynku. Taka zaś ilość strzałów jest więcej, niż wystarczającą. Słusznie więc karabiny Berdana uważano za dostatecznie

¹⁾ A. K. Puzyrewski: „Warunki boju.“ Warszawa, 1893.

dobrze do tego, ażeby z niemi oczekiwać spokojnie na ostatni wyraz nauki i techniki w dziele zmniejszenia kalibru.

Z drugiej jednak strony zbyt długie wyczekiwanie było niepodobniństwem, należało pamiętać i o względach innych. Broń magazynowa wyćwiczonemu żołnierzowi dodaje pewności siebie i wzmacnia jego odwagę. Główna zaś korzyść broni magazynowej zasadza się na tem, że nie zajmuje żołnierza nabijaniem w chwili krytycznej, t. j. kiedy nieprzyjaciół jest blisko, kiedy więc wypada dać jak największą ilość strzałów, kiedy właśnie zabraknąć może krwi zimnej, a gorączkowy pośpiech łatwo sprowadza szkodliwe skutki. Tymczasem zapas strzałów w magazynie pozwala z większym spokojem oczekiwać atakującego nieprzyjaciela, przypuścić go na niewielką odległość; również i żołnierz nacierający rażniej idzie do ataku, wiedząc, że w odpowiedniej chwili będzie mógł kulami razić broniącego się wroga. Mamy więc tu do czynienia z niezmiernie doniosłym zjawiskiem natury moralnej. „Człowiek zbiorowy z wojska regularnego, poddany przez taktykę regułom boju, jest nie do złamania dla wojsk niendyscyplinowanych; ale wobec wojska również karnego i wyćwiczonego staje się on napowrót człowiekiem pierwotnym, który zmyka przed większą siłą niszczącą, zarówno wtedy, gdy jej doświadczył, jak wskutek samego przeświadczenia jedynie“ ¹⁾.

Ponieważ zaś nigdy nie można mieć pewności, jakie uczucia owładną masą ludzką na polu bitwy, przeto ostrożność nakazuje unikać wszystkiego, co-by mogło wywołać w szeregach złe usposobienie umysłów. Ten wpływ moralny był główną przyczyną zaprowadzenia broni magazynowej, wogóle mniej celnej, niż jednostrzałowa. Zważywszy zaś na zaufanie wyższych sfer w Rosyi do moralnych przymiotów żołnierza rosyjskiego, zrozumiemy, dlaczego tak długo wahano się z zaprowadzeniem broni magazynowej, dającej niezbyt wielką przewagę szybkości, a mniej celnej od dotychczasowego uzbrojenia rosyjskiej piechoty.

Lecz niepodobna też było zapominać i o tem, że „człowiek walczący składa się z krwi i kości; ma ciało i duszę, a jakkolwiek ostatnia była-by silną, nie jest ona zdolna tak samowładnie rządzić ciałem, aby nie pozwolić mu wstrząść się, a nawet ulegnąć wobec zniszczenia. Nie ufajmy matematyce materialnej i dynamice, stosowanych do warunków walki, pozbądźmy się iluzji, nabytych podczas ćwiczeń strzelniczych i manewrów, gdzie do czynienia mamy z żołnierzem spokojnym, obojętnym, rzeźkim, sytym, uważnym, słowem, będącym narzędziem inteli-

¹⁾ A. K. Puzyrewski. Ibidem.

gentnem i posłusznem, nie zaś tą istotą wrażliwą, wzruszoną, wzburzoną, roztargnioną, zmienną, niepewną sama siebie, jaką na polu bitwy jest każdy walczący od szeregowca do wodza. Wyjątkowo silni zachowują się inaczej, ale tacy się rzadko zdarzają.“

„Na polu bitwy unosi się w powietrzu śmierć, niewidzialna i ślepa, straszny jej oddech pochyla głowy żołnierzy. Wobec przenikającej grozy, żołnierz, jeśli nie jest jeszcze zahartowany, kurczy się, tłoczy i cofa, szukając jakiegoś oparcia instynktownie, nie zaś wskutek spokojnej rozważki. Zdaje mu się, że im większa liczba dąży ku niebezpieczeństwu, tem więcej jest szans uniknięcia go. Wkrótce jednak spostrzega, iż mięso ludzkie przyciąga kule. Wtedy, będąc zdolny uczuwać strach do pewnego tylko stopnia, pomimo woli ratuje się strzałami, lub „ucieka naprzód“—jak malowniczo, a trafnie i głęboko, powiedział generał Burbaki¹⁾.

Nadmienić wszakże należy, iż na decyzję, oprócz uznania wpływów moralnych, podziałała także bezpośrednio konieczność zmiany uzbrojenia w kierunku zmniejszenia kalibru karabinów, co już niewątpliwie ze wszech względów jest bardzo użytecznem.

Przedewszystkiem, im żołnierz posiada więcej strzałów, tem większe spustoszenie zdziałać może w szeregach nieprzyjaciela. Powtóre, co jeszcze ważniejsze, „instynkt hardego człowieka—jak mawiał Napoleon—polega na tem, aby się nie dać zabić bez oporu.“ „I w rzeczy samej, w chwili walki człowiek jest istotą, w której instynkt samozachowawczy bierze górę nad wszystkimi innymi uczuciami. Dyscyplina ma na celu zapanować nad tym instynktem za pomocą strachu silniejszego, albo wstydu czy kary; osiągnąć jednak tego bezwzględnie ona nie jest zdolna, dochodzi do pewnej granicy i dalej posunąć się nie może. Doszedłszy do niej, żołnierz musi strzelać, albo uciekać *w tył*, lub *naprzód*. A więc strzelanie tworzy rodzaj klapy bezpieczeństwa dla wzruszeń“²⁾.

Wobec tego naturalnie liczba posiadanych przez żołnierza strzałów ma duże znaczenie. Uekwipowany na wojnę piechur niesie:

W Austro-Węgrzech i w Szwajcaryi	100 ładunków	
„ Anglii	115	„
„ Belgii i Francji	120 ³⁾	„
„ Niemczech i w Turcyi	150	„
we Włoszech	192	„

1) Ibidem.

2) Ibidem.

3) We Francji po roku 1891 tylko 112.

W Rosyi po zaprowadzeniu nowej broni liczba naboí w ładownicy żołnierza wynosić będzie 150, dzisiaj zaś przy karabinach Berdana, zachowując tęż samą prawie wagę, mieć on może tylko 84.

W miarę zmniejszania się kalibru broni, ta ilość ładunków będzie naturalnie wciąż wzrastać. Przy broni

6½ milimetrowej żołnierz będzie mógł nosić 200 ładunków						
6	"	"	"	"	"	210 "
5½	"	"	"	"	"	235 "
5	"	"	"	"	"	270 "
4½	"	"	"	"	"	315 "
4	"	"	"	"	"	380 "
3½	"	"	"	"	"	460 "
3	"	"	"	"	"	575 "

Pisarze wojskowi zapewniają, że karabiny Berdana ulegają w tej chwili przeróbce ¹⁾. Fabryka Herstala pod Liège dostała obstalunek na przerobienie 400,000 karabinów Berdana, które otrzymać mają nowe lufy z magazynami kalibru nowo przyjętej broni (3 linie).

III.

Rozszerzenie pola śmierci przy nowej broni rosyjskiej.

Od mniejszej lub większej wypukłości toru, od mniejszego lub większego wygięcia łuku do góry, który zakresła kula, zależy mniejsze lub większe niebezpieczeństwo strzału, ponieważ im mniej wzniesie się kula po-nad poziom linii prostej, tem na większej przestrzeni jest niebezpieczniejszą.

Pod tym względem rozmaite gatunki broni znakomicie się różnią.

Gdy strzelamy z rozmaitych gatunków broni na jednakowe odległości, to przestrzenie, na których kula leci na wysokość człowieka, inaczej mówiąc, przestrzenie zagrożone, tak nazwane „pola śmierci,” są rozmaite. Dla uwidocznienia tego, podajemy zestawienie rezultatów przy strzelaniu z karabinów Berdana ze skutecznością nowej broni, przygotowywanej dla armii rosyjskiej ²⁾.

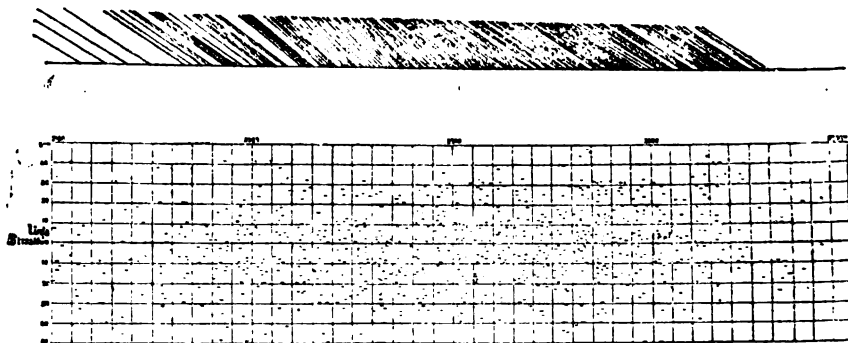
¹⁾ „Revue de l'armée belge,” oraz „Deutsche Heeres Zeitung.”

²⁾ M. Jerogin: „Dalekomiary strzelnicze,” Petersb., 1892, str. 6—8.

Przy strzałach na odległości kroków	Przestrzeń zagrożona (pole śmierci) wynosi	
	Z kar. Berdana	Z nowej broni
1000	kroków 62 czyli 0,2%	kroków 99 czyli 9,9%
1500	„ 19 „ 1,3%	„ 40 „ 2,7%
2000	„ 11 „ 0,57%	„ 22 „ 1,1%
2500	„ — „ —	„ 13 „ 0,52%
2800	„ — „ —	„ 10 „ 0,36%

Cyfry powyższe nie dają jeszcze dokładnego wyobrażenia o skuteczności obu rodzajów broni, gdyż nie uwzględniono tu prawa rozpraszania się strzałów. Doświadczenia pokazują, że gdy strzelamy z celownikami, nastawionymi na jednakową wysokość, kule lecą nie po jednym torze, lecz po kilku łukach o różnem wygięciu. Przestrzeń, pokrywana punktami uderzenia kul na gruncie, ma kształt elipsy, wyciągniętej w kierunku strzałów. Próby dowodzą, że długość tej elipsy, t. j. zupełne rozproszenie wzdłuż, zależy po części od umiejętności strzelców; nie zależy zaś od odległości.

Dla łatwiejszego zrozumienia rzeczy, dajemy przecięcie lotu kul, oraz pozostawionych na gruncie przez kule śladów przy strzelaniu do celu, odległego na 2,400 metrów z karabinów francuskich typu r. 1874. którego wartość balistyczna równała się prawie karabinowi Berdana ¹⁾,



¹⁾ Z dzieła „Art de Combattre“ pólkownika Omega.

Widzimy więc, że chociaż mierzono do celu, ustawionego na odległości wiadomej (2,400 metrów), a zatem celowniki były właściwie nastawione, kule razić poczynają już z odległości 2,100 metrów, czyli na całe 300 metrów przed celem, część zaś pocisków padała po-za cel jeszcze na odległość 100 metrów. A nadto rozproszenie od linii środkowej na prawo i na lewo dochodzi—jak widzimy—do 50 metrów.

Dla broni mniejszego kalibru rozpraszanie się na długość zmniejsza się nawet w miarę zwiększania się odległości. Gęstość punktów porażenia zmniejsza się w miarę oddalania się od środka elipsy.

Dla broni nowej można przyjąć, że przy strzelaniu na dystansie nie większym, jak 700 metrów, czyli 1,000 kroków, niema potrzeby troszczyć się zbytecznie o wymierzanie odległości do celu tak wysokiego, jak człowiek.

IV.

Ważność ocenienia odległości.

Wobec takich udoskończeń broni dzisiejszej zdawało-by się na pozor, iż nowożytna sztuka wojenna nie wymaga już przymiotów indywidualnych od żołnierza, a przynajmniej usuwa je na plan drugi, przeznaczając mu bierną rolę siły, obalającej straszliwy i dokładny mechanizm zniszczenia. Zdawało-by się, że operując wielkimi masami, wyrzucając w ciągu sekundy całą ulwę kul, posiadających wielkie prawdopodobieństwo napotkania ofiary, nowożytna taktyka w zupełności niemal anihiluje indywidualność i walkę ludzi na placu bitwy zamienia na walkę niemal sił ślepych, isticie ślepych trafów.

Tak jednakże nie jest.

Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy na to, że jak wykazaliśmy, kule karabinowe nawet z nowej broni razić będą tylko na pewnych, oznaczonych odległościach, i granice, w których staną się niebezpiecznymi, w miarę odległości, coraz bardziej maleją.

To też ocenienie odległości, na których się znajduje nieprzyjaciel, przedstawia trudności ogromne.

„Nic niema trudniejszego nad oznaczenie odległości, nic niema zawodniejszego nad oko ludzkie; ani wprawa, ani instrumenta nie osiągają również doskonałości. W Sewastopolu w ciągu dwóch miesięcy niepodobna było ze sztuczeru oznaczyć odległości 1,000—1,200 metrów, gdyż nie widać było, gdzie kule padały. W ciągu trzech miesięcy nie można było z wystrzałów, chociaż wypróbowano całą skalę celownika, dowiedzieć się, jak daleko leży bateria, od której dzieliło tylko 500

metrów. Dopiero po trzech miesiącach pochwyciono dwa wystrzały przy ustawieniu celownika na 500 metrów—przedtem sądzono, że odległość wynosi 1,000 metrów. Po wzięciu miasta, przy zmianie punktu obserwowania, stało się to oczywistem¹⁾.

V.

Siła wyrzutu kuli.

Wreszcie szczególnym przymiotem nowej broni mniejszego kalibru jest większa siła uderzenia, t. j. większa zdolność do przezwyciężania napotykanego oporu, czy to w istotach żyjących, czy to w ochraniających je przedmiotach.

Kula z karabinu, obecnie w armii rosyjskiej używanego, przebija na odległości 350 kroków 6—8 desek jednocalowych.

Kule z nowej, t. j. z małokalibrowej broni, uderzać będą z większą jeszcze siłą, już to z powodu większej szybkości lotu, już to wskutek twardszego materiału, z którego są zrobione.

Kule, używane do nowej broni, składają się ze stalowej, niklowej, albo platerowanej powłoki, wypełnionej ołowiem, jak to widać na wizerunku poniższym.



Nowe kule są zatem jakby opancerzone i przebijają 40 centymetrowe bale dębowe na wylot, przyczem, o ile kula nie spotyka sęków, przechodzi przez drzewo, nie tracąc pierwotnego kształtu; tymczasem kule czysto ołowiane, przy uderzeniu w przedmioty twarde, czy sypkie, płaszcą się i deformują, jak gziwy.

Rysunek wskazuje, jak po wystrzale wyglądają kule:

nowe

dawniej używane



¹⁾ A. K. Puzyrewski: „Badanie walki.”

Doświadczenia dowiodły, że każda kula w koszulce przenika w ziemię i w drzewo (przy strzelaniu z niewielkiej odległości) dwa razy głębiej, niż kula nieopancerzona.

Przy porównaniu działania obecnie w armii rosyjskiej używanych 4-liniowych kul ołowianych z 3-ch liniowymi opancerzonymi, wypuszczanymi z małokalibrowej broni siłą prochu bezdymnego, okazuje się, że nowa kula przenikać będzie do 3 i 4 razy głębiej, niż dotychczasowa. Są to więc znaczne korzyści bez strat pod względem celności.

Nie należy jednak zapominać, że i dotychczasowa broń rosyjska jest już pod tym względem znacznie udoskonaloną.

Przy doświadczeniach co do siły uderzenia kul, zazwyczaj się przyjmuje, iż kula, przebijająca sosnową calówkę, posiada siłę usunięcia z szeregu (zabicia lub zranienia) żołnierza lub konia. Otóż z doświadczeń, robionych z karabinami Berdana, okazuje się, że kula przebija sosnowych calówek, ustawionych jedna za drugą w odległości 1 cala, na odległości 200 kroków—8, na odległości 800 kroków—5, na odległości 1,200 kroków—do 5, na odległości 2,000 kroków—2-calówki. Jak widzimy, działanie karabinów Berdana jest już tak mordercze, że ulepszenia zbyt wiele zrobić nie mogą. Rzeczywistą potęgę nowej broni wykaże dopiero sama wojna, dotychczasowe jednak wskazówki każą się spodziewać rzeczy nadzwyczajnych.

W potyczkach w roku 1891 w Chili okazało się, iż kule z bardzo znacznych odległości nawskroś przebijały żołnierzy w pierwszych szeregach i zabijały ludzi, w następnym szeregu stojących.

Rany zaś, zadawane przez nowe kule, według zdania specjalistów, mają być stanowczo mniej niebezpieczne i łatwiej uleczalne, niż przez kule dotychczasowe.

Według „Militär Wochenblatt“ ¹⁾, „rany, zadane przez karabiny Mannlichera, są albo śmiertelne odrazu, albo leczą się bez żadnych komplikacji i nie sprawiają cierpień. Zdarzało się, iż kości dziurawione bywały przez pociski, wypuszczane ze znacznej nawet odległości, ale otwór był gładki, ścianki jego nie potrzaskane, ołów w nich nie został, co wszystko zwykle powiększa ciężkość rany.“

Doświadczenia jednak, nabyte również w czasach ostatnich, zdają się przeczyć zbyt optymistycznym pod tym względem wywodom. W Bielsku na Szląsku, podczas rozruchów, zraniono kilkanaście osób kulami z mało-kalibrowych karabinów. Rannych natychmiast odwieziono do szpitala, gdzie im okazano wszelką pomoc medyczną. Sprawozdanie

¹⁾ 1892 r. Nr 5.

zaznacza, że na polu bitwy nigdy w tak korzystnych warunkach co do leczenia ranni znajdować się nie będą. Tymczasem rany okazały się przeważnie śmiertelnymi.

Wyjaśnienie tego zjawiska dane było we francuskiej akademii medycznej. „Jeżeli strzał pochodził z odległości bliższej, niż 300 metrów, szczególnie zaś z dystansów, nie sięgających 200 metrów, spostrzeżono na ranach skutki wybuchu, porwanie tkanki skórnej i mięśniowej, podziurawienie mięśni zdarzało się nieraz bardzo znaczne, nawet nadzwyczajne, przyczem kości bywały nadwyrężone, lecz nie zawsze. W tych wypadkach, kiedy kule uderzały z największą szybkością, kości nie zostały uszkodzone. Ale gdy kulka ulegnie słabej nawet deformacyi, koszulka się rozdziera, a wewnątrz z wielką łatwością się kruszy na wiele drobnych cząstek, które nadzwyczajnie jest trudno odszukać w ranie, chociaż nieraz poszukiwania robiono przy pomocy dużych naciąg¹⁾”.

VI.

Taktyczna wartość nowej broni.

Teraz z kolei przejść musimy do rozpatrzenia kwestyi, w danym razie najważniejszej, mianowicie do *skuteczności* działania nowej broni. Wojna chilijska dostarczyła pod tym względem wielu wskazówek ciekawych i ważnych.

„Brygada wojsk konstytucyjnych uzbrojona była w karabiny systemu Mannlichera (nawet 8-milimetrowy z r. 1888). Na 9,925 walczących strzelb tych znajdowało się 3,446 sztuk. Po zebraniu zaś trupów i rannych okazało się, iż w armii dyktatorskiej 56 na 100 porażonych zostało od pocisków z karabinu Mannlichera, co z rodzaju i postaci rany łatwo było rozpoznać.“ A zatem, chociaż broń nowa stanowiła ledwie $\frac{1}{3}$ część wszystkich strzelb, skutecznych pocisków dano z niej przeszło połowę.

„Ogień salwowy, lubo nawet rozproszony, był w stanie z odległości 600 lub nawet 1,000 kroków oczyścić plac i powstrzymać zaczepne ruchy nieprzyjaciela. Jeńcy, badani zaraz na polu bitwy, zeznali, iż ogień, skierowany z odległości 600 metrów na tyralierów, rozciągniętych nad brzegiem rzeki Akonkagua, szerzył popłoch wśród rezerw,

¹⁾ Courmes: „Tactique de demain,” 1892, str. 675 i 676.

stojących o 1,000, a nawet 1,600 metrów po-za łańcuchem tyralierskim“ ¹⁾).

Okazuje się więc, iż wskutek działania nowej broni ręcznej trudno, a może i niepodobna będzie utrzymać rezerw nawet w półtora wiorstowej odległości po-za tyralierami, co naturalnie wpłynie bardzo na taktykę współczesną.

W tymże samym opisie wypadków chilijskich czytamy dalej:

„Wrażenie, wywołane przez szybkość i celność strzałów, było straszne: żołnierze dyktatorscy po pierwszej bitwie oświadczyli, iż wolą być rozstrzelani na miejscu, niż powrócić na pole bitwy i stanąć przeciwko wojskom, które ich wystrzelują, niby gromadę królików. Z 10 tysięcy ludzi, które Balmaceda miał 21-go pod Concon, w batalii pod Placido wzięło udział już tylko 2,000—3,000 i tam się natychmiast rozprzeczli, gdy ich zaatakował przeciwnik z odległości 1,000 czy 1,200 metrów.

„Odwrotnie wojska konstytucyjne nabrały po bitwie pod Concon takiej pewności i takiego zaufania do swojej broni, że liczyły na nią, jak na rodzaj talizmanu, i bez żadnej obawy ruszyły na spotkanie nieprzyjaciela znacznie liczniejszego“ ²⁾).

Fakt ten zdaje się stwierdzać przewidywania wielu, iż odwaga osobista stanie się względem całkowicie zależnym od wartości broni. Pochodzi to stąd, iż na polach przyszłych bitew maszyna wojny zapamiętuje nad człowiekiem i on czuć będzie swoją od niej zależność, a może nawet i niemoc. To też powiadają, iż teraz żołnierz będzie podczas walki automatem, a oficerowie odegrają rolę celów dla ognia nieprzyjacielskiego. Wojny przyszłości wymagać będą daleko większego bohaterstwa biernego, natomiast bohaterstwo czynne nie będzie miało tej doniosłości, co niegdyś. Sekret zwycięstwa spoczywa teraz w balistyce; znaczenie przymiotów, które dawniej stanowiły pierwiastek wielkości w wojowniku, powoli schodzi na drugi plan. Ołtarz tej wyniosłej niegdyś bogini stanął teraz w warsztacie puszkarza.

A jednak zdarzają się wypadki, które wielki kłopot sprawiają niejednemu autorowi wojskowemu i przeczą najbardziej utrwalonym obecnie pewnikom taktycznym. Naprzykład, w Europie: sam atak pół nagich gromad, chociażby najliczniejszych, ale uzbrojonych w liche dzi-
dy, na 1,500 żołnierzy, posiadających odcylcowe karabiny, uważany byłby za niemożliwy, cóż więc mówić o pogromie. Tymczasem taki wła-

¹⁾ Ustęp powyższy wzięliśmy z dzieła „Tactique de demain,” który go znowu przytoczył z artykułu, zamieszczonego w „Progrès militaire,” jako korespondencya „naocznego świadka.”

²⁾ „Progrès militaire.”

śnie wypadek zdarzył się w Afryce. „Pod Isandula w d. 22 stycznia 1879 roku armia Zulusów, posiadających przeważnie tylko dzidy, zaatakowała oddział, składający się z 727 Anglików i 850 krajowców. Anglicy rozrzucili się wedle wymagań współczesnej taktyki w szysk rozproszony. Zulusi szli kupą i, pomimo ognia z odtylcówek, obydwo ma skrzydłami zdążyli otoczyć nieprzyjaciela na gruncie nierównym i skalistym, dającym wszelką możność skutecznej obrony. Zulusi, pomimo tych przeszkód naturalnych, nacierali gwałtownie i Anglicy niebawem znaleźli się w niebezpieczeństwie, musieli się gromadzić i szukać ratunku w odwrocie. To im się jednak nie powiodło, bo dzicy złamali ich szeregi, wskutek czego część Anglików została odciętą i wyginęła“ ¹⁾).

Ostateczny wniosek z tego wszystkiego wyprowadzić można taki: rezultaty bitew wypadkowych zależą od bardzo wielu czynników, z których każdy, jeżeli wszystkie inne są równe, może przeważać. Niektóre czynniki, doprowadzone do wysokiej potęgi, mogą przeważać wiele innych. W danym razie Afrykanie zwyciężyli *liczbą i odwagą*.

VII.

Przewrót, wywołany przez wprowadzenie karabinów najmniejszego kalibru.

Pomimo wszelkich możliwych wyjątków, jakie historia wojen wyszperać zdoła, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż skuteczność nowej broni jest bez porównania większa, niż karabinów dawniejszych. To też żadne państwo nie może pod grozą klęski pozostać w tyle po za antagonistami swymi. Konieczność ta fatalnem brzemieniem spada na budżety krajów europejskich. Koszt każdego karabinu wynosi 84 franki, ładunku zaś 10 centimów ²⁾). Zamiana broni ręcznej i zaopatrzenie armii w ładunki do niej kosztować będzie Rosyę, licząc tylko 1,790 tysięcy karabinów, przeszło 60 milionów rubli. Zanim jednak zdoła się zamierzone udoskonalenie przyjąć i wprowadzić, technika robi krok naprzód i wymaga nowych zmian, nowych nakładów.

Stoi na porządku dziennym taka kwestya ³⁾): Im proch posiada większą siłę wybuchową, tem znaczniejszą — jak wiadomo — szybkość początkową komunikuje kuli, co wpływa dodatnio na doniosłość strzału i na krzywiznę łuku torowego.

¹⁾ A. v. Bogusławski: „Die Entwicklung der Taktik seit 1870.“ Berlin, 1885.

²⁾ Takie ceny w r. 1889 płaciła Rada Związkowa szwajcarska.

³⁾ „Progrès militaire.“

Otóż szybkość początkowa kuli przy karabinach obecnie używanego kalibru wynosi około 620 metrów na sekundę; powiększyć zaś ją można do 1,000 metrów. Wtedy naturalnie większą będzie również siła uderzenia, wskutek zaś tego wielkość kuli może być zmniejszona, a to tembardziej, że takie drobne kulki, przybrane w niklowe lub stalowe pancerze, aż nadto wystarczają do wybicia z szeregów kilku nawet stojących za sobą żołnierzy.

Już po przyjęciu nowego typu broni w Rosyi, która mieć będzie 7.5 milimetra, przystąpiono do wyrabiania karabinów 6.5 milimetrowych i uzbrojono w nie armie włoską i rumuńską, a po części austriacką, francuską, belgijską, holenderską i hiszpańską.

Posłuchajmy, co o tem mówi profesor Potockij w piśmie „Razwiedzik“:

„Wielu techników wojskowych proponuje zmniejszenie kalibru do 2-ch linii (t. j. do 5 milimetrów). Świdrowanie luf takich nie jest już dziś trudne; kaliber, przy którym kula nie jest już zdolna usunąć człowieka z szeregu, dotychczas doświadczalnie oznaczony nie został; *w każdym razie można sądzić, że będzie on mniejszy od dwóch linii.*“

Co ważniejsza, ze sfery badań rzecz przechodzi w dziedzinę urzędywistnienia. „Russki inwalid,“ mówiąc o postępach technicznych broni ręcznej, tak się wyraża: „We Francyi przystąpiono do prób z kalibrem 5.5, 6 i 6.5 mm., a myśl zmienienia typu broni ma już zwolenników. Rzeczą tę poruczono zbadać i rozstrzygnąć komisji, pracującej w Wersalu. W Niemczech również zdaje się istnieć plan wprowadzenia nowych magazynówek 5.5—6.5 milimetrowego kalibru. Wielkie obstalunki luf karabinowych w Witten i kolosalna suma 21,837,000 marek, która w ostatnich czasach na cele uzbrojenia wojska przyznana została, wskazują, że kwestyę zamiany broni typu 1888 r. na kaliber 6.5—6 milimetrów wzięto na uwagę poważnie.

Profesor Hebler, uważany za powagę w kwestyach, dotyczących konstrukcyi broni, po rezultatach własnych doświadczeń z nabojami 6—5.5 i 5 milimetrowemi, zaleca broń 5 mm. (a w takim razie, jak to wyżej podaliśmy, każdy żołnierz miał-by przy sobie 150 do 270 ładunków). „Średnicę lufy—powiada Hebler—w zasadzie posunąć należy do rozmiarów, przy których rana jest w stanie uczynić człowieka na czas dłuższy niezdolnym do walki. *Granica ta leży w każdym razie o wiele po za 5 mm.* Wyrabianie luf 4 albo 3 milimetrowych, chociaż obecnie jest możliwe, nastrocza jednak wiele trudności. W każdym razie z wielkiem prawdopodobieństwem przypuszczać wolno, że średnica lufy w dalekich wiekach przyszłych przekroczy granicę 5 milimetrów“¹⁾.

¹⁾ General v. Wille: „Das kleinste Gewehrealiber.“ Berlin, 1893.

Tak więc dziś jest to tylko kwestya techniczna.

General Wille drwi z wyznaczenia terminu tak odległego i powiada, że technika niebawem pokona stojące na drodze trudności. Przypomina, jak wiele już razy praktyka wymijała dowodzenia teoretyków. „Prorocy—powiada on—którzy dziś stawiają swoje „Nec plus infra,“ okazały się znowu *falszywymi prorokami*, ponieważ rozstrzygające zalety małej średnicy są zanadto wielkie.“

Według profesora Heblera, „sumy wszystkich zalet kalibrów 8—7.5—6—5.5 i 5 milimetryowych mają się do siebie, jak liczby 5:6:10:12:14. Znaczy to, iż karabin 6-milimetryowy od 8-milimetryowego, zaś 5.5 od 7.5 *dwie razy* doskonalszy, a znowu 5 mm. 2.8 razy lepszy od 8 milimetryowego.

„Nie broń zapewnia zwycięstwo, ale zalety rozumu i charakteru tych, którzy się nią posługują. Iglicówka była daleko gorszą od szaspotu, mimo to Niemcy pobili Francuzów—ale z jakimi ofiarami! W tem właśnie tkwi największa a zarazem *najbardziej ludzka* zaleta wyższej broni, że pomaga do zwycięstwa łatwiej, szybciej i z mniejszymi ofiarami. Dlatego nie jest dobrze stanąć bez słusznej przyczyny naprzeciw nieprzyjaciela z bronią mniejszej wartości.“

Otóż broń zmniejszonych kalibrów stanowić będzie, według niektórych autorów wojskowych, daleko większy krok naprzód na drodze udoskonalenia, aniżeli karabiny dzisiejsze w porównaniu z dawnymi.

Zmniejszony ciężar karabinu i nabojów pozwoli zaopatrzyć żołnierza w ogromną ilość nabojów, nie obciążając go więcej, jak dzisiaj. Lecz co najważniejsza, większe spłaszczenie linii strzału (t. j. daleko mniejsze wygięcie toru kuli) sprawi, że kule nie na przestrzeni 600, jak dzisiaj, ale przeszło 1,000 metrów, nie używając celownika, ranić będą i zabijać żołnierzy.

Wobec tak doniosłych korzyści, które armie otrzymać mogą, rzeczywiście powszechność przyjęcia nowej broni, być może, że nie odrazu 3-milimetryowej, lecz 5 do 6-milimetryowej, w krótkim czasie wątpliwości ulegać nie może, gdyż niech tylko jedno większe państwo wprowadzi takie karabiny, inne muszą je naśladować, chociażby to miało rozsądzić budżety.

Prąd ten odbił się bardzo wyraźnie na technice współczesnej i większość wynalazców jest dziś zajęta dalszem doskonaleniem bardzo już doskonałych narzędzi śmierci i zniszczenia. Lecz jednocześnie robią się poszukiwania i w kierunku przeciwnym. Wynalazcy w rozmaitych krajach próbują tkanin, mogących osłaniać niby pancerze od pocisków nowej broni.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że żywa siła na początku toru jest straszliwą, a mianowicie z karabina Lebel'a równa się 283

kilogramometrom, i że na bardzo znacznych odległościach samo uderzenie w ciało, nieprzepuszczające kuli, wywoła najpoważniejsze skutki. Nie trzeba zapominać, że kula, uderzając w przedmioty, oddaje im część swojej siły, a już to samo stanowi niebezpieczeństwo.

Nadto wykazana przez nas żywa siła dla kul, jeżeli za miarę przyjmiemy ilość przebijanych desek sosnowych jednocalowych, jest tak szalona ¹⁾, że niepodobna przypuścić, ażeby w rzeczywistości jakaś tkanina, o tyle lekka, ażeby odziany w nią żołnierz mógł się poruszać, mogła była od ran obronić.

W roku zeszłym obieğa pisma wojskowe wiadomość, że w Austrii zrobiono i wyprobowano wynalazek, polegający na pewnym przyrządzie, który, dodany do karabinu magazynowego Mannlichera, *automatycznie* wtedy dopiero *wystrzał umożliwia*, gdy strzelec ustawił broń pod kątem, odpowiadającym danej odległości.

Wynalazek austriacki Brauswettera składa się z przyrządu zegarowego, który za każdym razem ustawić należy odpowiednio do odległości. Strzelec, złożywszy się, pociąga palcem za cyngiel, i mierzy w przedmiot, w który trafić zamierza. Gdy następnie podnosi powoli karabin, strzał wypada w tej chwili, kiedy broń przyjęła kąt, odpowiadający odległości i na który przyrząd nastawiony został. Doświadczenia z mechanizmem tym trwają wciąż w Austrii.

Jednocześnie dokonywają się i w Niemczech próby z wynalazkami pułkownika Dirschau ²⁾, mającemi tenże sam cel na widoku.

Czytelnik, który przeczytał poprzednie rozdziały, nie potrzebuje dowodzenia, jaką doniosłość miał-by wynalazek tego rodzaju. Jeden wynalazek goni za drugim, to też słuszną zrobił uwagę E. M. de Vogué w sprawozdaniach swoich o ostatniej powszechnej wystawie w Paryżu: „Przemysł śmierci tworzy dziś kwitnącą gałąź handlu. Jest ona tak kwitnącą, iż, przebiegając galerye, zajęte na placu Marsowym przez metalurgię, można się zapytać, czy pałac na Esplanadzie Inwalidów nie jest poprostu odłamem wystawy wojennej?”

A jakim będzie rezultat tych wszystkich ulepszeń? Życzyć-by należało, ażeby kapitan Nigotte był prorokiem, gdy mówi z tego powodu ³⁾: „A jednak z tych wszystkich narzędzi śmierci wyłania się myśl, pocieszająca dla ludzkości: może nauka zdoła kiedyś wynaleźć tak straszne przyrządy, tak przerażające, tak wstrząsające moralną istotą

¹⁾ Przy odległości 100 kroków kula przechodzi przez 25 do 28 desek, przy odległości 600 kroków—5 do 15, a jeszcze przy odległości 2,100 kroków—1 do 3 desek.

²⁾ Militärische Zeitschrift „Minerwa,” 1893.

³⁾ „Les grandes questions du jour.”

człowieka, że wszelka walka stanie się niepodobieństwem. Nicby też nie było dziwnego, gdyby nadzwyczajny postęp, dokonany w sztuce wojennej, dzięki pomocy metod naukowych, przez samo udoskonalenie środków niszczenia doprowadził do powszechnego pokoju.“

Najprzenikliwsze oko nie zdoła dopatrzeć tych wszystkich niespodzianek, jakie przyszłość gotuje ludzkości. Nie ulega jednak wątpliwości, iż przewidywana wszecheuropejska wojna będzie wypadkiem wielkiej doniosłości o licznych a poważnych skutkach, to też odbije się ona bardzo głęboko na pomyślności i na dalszych kolejach życia naszej części świata. Na losy zaś tej wojny bardzo wielki wpływ będą miały omawiane wyżej zalety i wady nowej broni i nowego prochu, t. j. bezdymność, doniosłość, celność i większa siła uderzenia.

Niektórzy pisarze wojskowi, wysokiej kompetencji, twierdzą, że proch bezdymny poprostu przeobrazi całkowicie taktykę bitew i wywoła przewrót większy, niż pierwszy wynalazek prochu i wprowadzenie broni ognistej. Inni jednak autorowie z tem się nie zgadzają i, nie odmawiając nowemu wynalazkowi poważnej doniosłości, rolę jego wprowadza ją do znacznie skromniejszych granic.

Zanim jednak spróbujemy wtajemniczyć czytelnika, w najogólniejszych naturalnie zarysach, w sferę dalszych wpływów prochu bezdymnego na taktykę, który, pomimo różnicy zdań, jest przedmiotem nieustannych i żywych dyskusji w całej Europie, musimy przedtem przyrzec się postępom, dokonanym w ostatnich czasach i w artyleryi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

Wiadomości bibliograficzne.

— „Sprawozdanie z prac archiwalnych w Archiwum watykańskim i innych archiwach rzymskich za rok 1872,“ złożone Komisyi historycznej Akademii Umiejętności na posiedzeniu dnia 28 lutego 1893 roku przez prof. d-ra St. Smolkę. Pracami temi zajmowali się: dr Ludwik Boratyński i dr Tadeusz Sternal; przedmiotem zaś poszukiwań były materiały do panowania Zygmunta III. Po dokładnem wyczerpaniu materiałów do czasów Batorego i pierwszych lat Zygmunta (1586—1590), zwrócono się do rządów Władysława IV, które dr Czermak opracował w roku 1890/1. Czasy Zygmunta na razie trzeba było pominąć, skutkiem trudności dotarcia do archiwum ks. Borghese, i dopiero gdy wcielono je do Archiwum watykańskiego, dostęp stał się łatwym. Są tam w komplecie depesze nuncyuszów polskich z ostatnich lat 8 panowania Zygmunta III. (1625 — 1632); depesze z poprzednich lat pięciu (1620—1624), tudzież instrukcje z lat 1623—1632, znajdując się w bibliotece Barberini. Co do lat wcześniejszych, w Archiwum znaleziono tylko urywki instrukcji i depesz; pozostałe luki arch. Borghese wypełni. Opracowano ogółem przeszło 3,000 aktów, przeważnie w regestrach, streszczeniach i obfitych wyciągach. Dostowne odpisy sporządzono tylko z ważniejszych aktów. Są to materiały bardzo ważne, chociaż nie dorównują pod względem wartości aktom, zebranym z czasów Batorego, przewyższają natomiast cennością materiały watykańskie z czasów panowania Władysława IV. Dzieje wojny moskiew-

skiej 1609—1613 są dokładnie wyjaśnione. Szczegóły oblężenia Smoleńska są tak obfite, że można z nich ułożyć obszerny dyaryusz, polityka zaś króla zarysowuje się jasno w depeszach nuncjusza. Ważne a nowe wiadomości dotyczą sprawy unii. Do historyi sejmów r. 1611 i 1613 depesze Simonetty i Baroffiego zawierają obfite wiadomości. W depeszach Dotalleviego z r. 1621 na pierwszym planie znajduje się wojna turecka; są także ciekawe informacje o sprawach kozackich. W depeszach z r. 1626 obfite są wiadomości o rokowaniach z dworem hiszpańskim, usiłującym związać Polskę ściśle z cesarzem. Materyały z roku 1628 zawierają ciekawe informacje o flocie polskiej pod Gdańskiem, na którą Wallenstein liczył wiele we wspólnej akcji przeciwko Szwedom. Dalej są szczegóły o związkach Gustawa Adolfa z nieprzyjaciółmi Polski, z Bethlen-Gaborem, a zwłaszcza z Kozakami. Ważne są szczegóły o kandydaturze Gustawa Adolfa na tron polski, tudzież o staraniach jego w tym względzie wobec panów litewskich, mianowicie wobec Lwa Sapiehy, wojewody wileńskiego. Sprawy domowe rodzinne dworu królewskiego dokładnie są wyjaśnione, mianowicie zimny i zły stosunek między Zygmuntem III. a królewiczem Władysławem. O sejmach z r. 1624, 1626, 1627 są obfite i charakterystyczne wiadomości w depeszach Lancelotiego. Oprócz powyższej pracy nad materyałami do panowania Zygmunta III. pp. Boratyński i Sternal zajmowali się dodatkowymi robotami. Prowadzili dalej konsygnację dzieła „Nunziatura di Polonia,” mianowicie opisali tomy 92—118 (lata 1675—1697). Przeglądano również dział „Nunziatura di Germania” z końca XVI. wieku. Niespodziewane odkrycie Possewinianów, które niewłaściwie znalazły się w tym dziale, zachęcało do podjęcia owej pracy. Przejrzano tomy 26 i 84 — 101, ale plon do dziejów Polski okazał się bardzo skąpy. Tylko tom 96 (legacya Moroniego na sejm Rzeszy w Ratysbonie r. 1576) zawiera dość obfite Polonica, odnoszące się do zabiegów cesarza Maksymiliana o tron polski. Opracowano z tego tomu instrukcje od 30 kwietnia do 29 października 1576 r. i depesze od 25 maja do 10 października 1576 r., o ile się do Polski odnoszą. Akta te stanowią ciekawy przyczynek do wyjaśnienia ówczesnego stanowiska Stolicy Apostolskiej i jej starań o utworzenie ligi przeciw Turkom, do której zamierzono wciągnąć cesarza, Polskę, Moskwę i Persyę. W bibliotece watykańskiej (Bibl. Vallicellana i Bibl. Angelica) wynotowano Polonica z kilkudziesięciu rękopisów. Od listopada 1892 roku dalsze prace archiwalne w Rzymie powierzono d-rowi Ludwikowi Boratyńskiemu i d-rowi Aleksandrowi Czuczynskiemu.

— „Słownik języka pomorskiego, czyli kaszubskiego.” Zebrał i opracował Stefan Ramułt. Praca, odznaczona nagrodą Akademii

Umiejętności w Krakowie na konkursie imienia S. B. Lindego w r. 1889. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1893.

We wstępie do tej obszernej pracy mieści się krótki rys historyczno-etnograficzny Pomorza i Kaszub, objaśnienie brzmień gwar pomorskich, przegląd prac z zakresu odnośnej leksykografii, wreszcie zestawienie różnic pomiędzy językiem polskim a pomorskim, czyli kaszubskim, celem określenia ich wzajemnego do siebie stosunku i wyznaczenia językowi kaszubskiemu właściwego stanowiska w rodzinie języków słowiańskich. Wszystkie owe temata, wymagające osobnych wyczerpujących rozpraw, przedstawione są w zarysie. Dodatek, zawierający przykłady języka pomorskiego, jest zarazem zbiorkiem etnograficznym. Jest tam odcień wierzeń ludu kaszubskiego i przyczynki do literatury niepisanej, mianowicie kilkadziesiąt podań, powiastek i anegdot. Wszystko to autor zapisał dosłownie z ust opowiadających, z zachowaniem właściwości gwar miejscowych. Cały wogóle materiał językowy, w książce tej zawarty, wzięty jest bezpośrednio z ust ludu, a nie z książek. „Literatura kaszubska—powiada autor—jest nasamprzód bardzo uboga, a objęty nią zasób leksykalny wykazuje nierzadkie zapożyczenie się ze słownika polskiego, lub też świeżo (a nie zawsze szczęśliwie) ukuty wyraz. Względ na ścisłość naukową domagał się tedy jak największej ostrożności w tym zakresie. Równie do pewnego stopnia niebezpiecznem okazało się korzystanie z dawniejszych prac leksykograficznych i wogóle gwaroznawczych.“ Książka nie wyczerpuje ani połowy zasobu leksykalnego mowy pomorskiej i dlatego w tytule autor nazwał ją częścią pierwszą. „Rzecz jasna—pisze p. R.,—iż całokształtu pracy takiej nie można dokonać w paru latach i bodaj, czy siły jednego człowieka są po temu wystarczające przy zupełnym niemal braku literatury pisanej i trudnościach, z jakimi ma do walczenia badacz rzeczy ludowych, zdany na własne siły. Podczas gdy słownikarz języka literackiego nie potrzebuje się ani wychylić po za ściany swej pracowni, aby ułożyć leksykon wielotomowy,—zbieracz skarbów mowy nieksiążkowej, żyjącej w ustach ludu tylko, ponieść musi wiele trudu, zanim znajdzie ów kwiat paproci, otwierający mu podwoje do skarbcza myśli ludzkiej.“ Do drugiej części już obecnie autor ma spóry zapas zebranego materiału, a ilość wyrazów prawdopodobnie nie będzie mniejszą, jak w części pierwszej, obejmującej ich około 14,000. Bogactwem dźwięków i form język kaszubski, zdaniem autora, góruje nad mową polską. Językiem tym mówi nietylko lud wiejski, roboczy, ale i klasa średnia, t. zw. gburzy i drobna szlachta, warstwa społeczna, pod względem inteligencji stojąca nierównie wyżej od ludu polskiego. Położenie geograficzne, odmienne i kalejdoskopowe stosunki polityczne, różnorodność zajęć, sprawiły, iż język ten, chociaż niepiśmienny, wyro-

bił sobie w ciągu wieków szereg wyrazów, których, przy braku odpowiednich rzeczy i pojęć, inne narody, zdaniem autora, nie posiadają i posiadać nie mogą. To też i zakres badań tej mowy powinien być szerszym, niż innych zwyczajnych gwar ludowych. Mowa kaszubska, nadzwyczaj ciekawa dla badaczy, dotąd była przez tych ostatnich lekceważona. To, co dotychczas na tem polu zrobiono, jest niedostateczne, a nawet, z małemi wyjątkami, błędne i niedokładne.

— „Rocznik kółka naukowego tarnopolskiego za rok 1892.“ W Tarnopolu.

Odezwa nieżyjącego już profesora Ksawerego Liskego, wzywająca w myśl uchwały zjazdu historyków (we Lwowie 1890) do tworzenia w mniejszych miastach Towarzystw dla obudzenia i popierania ruchu naukowego w zakresie badań stanu przeszłego i teraźniejszego miast, tudzież ich okolic, znalazła w Tarnopolu żarliwego orędownika, profesora d-ra Jana Leńka. Pomimo trudności, przeprowadził on na posiedzeniu koła nauczycieli szkół wyższych (4-go kwietnia 1891 roku) uchwałę wybrania komisji dla poczynienia wstępnych kroków celem zawiązania w Tarnopolu kółka naukowego. Jakoż zorganizowało się ono i rozwinęło swoją działalność. Zadaniem jego jest rozbudzanie i popieranie ruchu naukowego w zakresie badań historycznych, odnoszących się do Tarnopola i jego okolic (powiaty podolskie). Do urzeczywistnienia tego celu służą: posiedzenia wydziału, tudzież komisji naukowych, zgromadzenia walne, wydawanie rocznika naukowego, założenie i utrzymywanie w miarę możliwości własnej biblioteki i zbiorów naukowych, porozumiewanie się z wszelkimi towarzystwami naukowymi i popieranie ich działalności w sprawach, objętych zakresem kółka tarnopolskiego. Rocznik niniejszy zawiera: statut kółka, kwestyonaryusz: komisji historyczno-literackiej i przyrodniczej; „Przywileje królów i właścicieli miasta Tarnopola, znajdujące się w archiwum miejskiem,“ opracował dr J. Leniek; „Staw tarnopolski“ (topografia, fauna i flora ze szczególnem uwzględnieniem glonów), napisał Roman Gutwiński; „Klimat Tarnopola według 24-letnich spostrzeżeń,“ przez Władysława Satkego; „Miasto Tarnopol w r. 1672,“ przez d-ra Ludwika Finkla; „Przyczynek do etnografii galicyjskiego Podola. Materyały, zebrane przez d-ra Włodzimierza Łuczakowskiego,“ wydał Jan Matijow (w języku ruskim). Wreszcie na końcu książki znajdujemy dokładną mapę Tarnopola.

— Biblioteka „Wisły.“ Tom XI. „Bojarzy międzyrzeccy.“ Studium etnograficzne przez Adolfa Pleszczyńskiego. Warszawa, 1893.

Cała górna część powiatu Radzyńskiego, przerznięta błotnistą rzeką Krzną, na przestrzeni 546 wiorst kw., otoczona powiatami: Konstantynowskim, Białskim, Łukowskim i w części Siedleckim, nazywa się *Międzyrzeczną* i stanowi własność Jędrzeja hr. Potockiego. W skład wchodzi, oprócz Międzyrzeca, 18 folwarków i 8 awulsów. Nadto w chwili uwłaszczenia do dóbr międzyrzeczskich należały 52 wsie, z tych 38 pańszczyźnianych, 3 czynszowe i 11 bojarских. Pańszczyźniane i 3 czynszowe zamieszkałe są przez ludność ruską, bojarские zaś z dwiema pańszczyźnianami — przez Mazurów wyznania katolickiego. Mieszkańcy tych wsi uprzywilejowanych, do roku 1864 we wszystkich urzędowych dokumentach *Bojarami* nazywani i dotąd sami i u sąsiadów tak się tytułujący, stanowią pewną całość etnograficzną, z którą autor dokładnie zaznajamia czytelnika. Znajdujemy tam szczegóły z przeszłości i doby obecnej, opisy ubiorów, wsi, domów, gospodarstw, pożywienia, przemysłu domowego; charakterystykę gwary ludowej, jej formy i różnice w stosunku do mowy książkowej, słowniczek wyrazów i wyrażeń tej gwary, wyrażenia i bardziej używane zwroty mowy w parafii Międzyrzeczkiej; zwyczaje i obyczaje Mazurów-bojarów: pieśni i obrzędy ślubne, obrzędy pogrzebowe, zwyczaje doroczne, religijne i gospodarcze, pojęcia prawne i społeczne. Dalej: medycyna ludowa w parafii Międzyrzeczkiej, pojęcia o składzie ciała ludzkiego, o chorobach, alfabetyczny spis chorób i leków ludowych; grzyby, jako lekarstwo i jako pożywienie. Wykaz medykamentów aptecznych, najczęściej przez lud używanych i własnymi ich nazwami opatrzonych. Wreszcie książka zawiera dział literatury ustnej ludu; w prozie: opowieści, baśnie, podania, przysłowia, zagadki, „gadki;“ w poezji: modlitwy, legendy, pieśni pobożne, śpiewki światowe, miłosne, krakowiaki i mazurki, kołysanki. Wreszcie książka zawiera melode do pieśni tablicę statystyczną wsi bojarских, nadto jest zaopatrzona na czele w mapę parafii Międzyrzeczkiej.

— *Dr Bertold Gutenberg.* „Nerwowość i małżeństwo.“ Z 2-go wydania niemieckiego przełożył dr med. Ludwik Wolberg. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1893.

Autor swą pracę poświęcił dowodzeniom, jak dalece na system nerwowy oddziaływa zgubnie zawieranie małżeństw niedobrych, konwencyonalnych. Jest dziś na porządku dziennym łączenie się dwóch istot, z których jedna albo obie obciążone są wadami dziedzicznymi, a za ich grzechy odpowiada zazwyczaj potomstwo. „Należy zamknąć te źródła trujące — pisze autor, — jeżeli pragniemy zwalczyć i usunąć osłabienie nerwowe. Najwyższy czas po temu, cierpienie bowiem jest bardzo ciężkie i rozpowszechnione. Osłabienie nerwowe,—to osłabienie

życiowe. Ten jedynie żyje prawidłowo i doskonale, kto posiada nerwy, nad któremi silnie panuje, a nie ulega im niewolniczo.“ Małżeństwo w wysokim stopniu przyczynia się do zachowania energii nerwowej u obu osobników. Ale jeżeli ono nie jest dobrane, ani pod względem duchowym, ani fizycznym—sprowadza najsmutniejsze skutki. Zbytecznem jest dowodzenie, jak dalece szkodliwe są małżeńskie kojarzenia się osób, dotkniętych chorobami dziedzicznymi. W takich tylko wypadkach małżeństwa pomiędzy krewnymi są również zgubne. Wogóle przez niestosowne małżeństwa następuje zwyrodnienie całych pokoleń. Czy jednak dobór płciowy całkowicie zażegna zło, usunie rozwielnioną obecnie nerwowość, zwyrodnienie fizyczne i skąrowacenie rodu ludzkiego? Niewątpliwie w znacznej mierze przyczyni się do tego; ale obok dobierania odpowiednich małżeństw trzeba było-by usunąć bardzo długi szereg innych czynników, zgubnie oddziałujących na organizm ludzki. Wtedy dopiero dobór płciowy wytworzy poprawną, silną i dzielną rasę ludzką.

— *L. Bergeron*. „Ubezpieczajmy się!“ Pogadanki z dziedziny asuracji życiowej. 1893.

Jest to popularny wykład i zachęta do ubezpieczenia się, napisany w formie rozmowy.

— „Skorowidz ważniejszych zakładów zdrojowo-kąpielowych, wodoleczniczych, galaktoterapeutycznych, klimatycznych, sanatoryów i kąpielisk morskich, tudzież wybór najodpowiedniejszych zdrojowisk do leczenia poszczególnych chorób.“ Skreślił dr Michał Zieleniewski. Wydanie drugie, przerobione i uzupełnione. W Krakowie, 1893.

— *Brzęcki*. „Niby... bajki.“ Warszawa, 1893. Nakładem autora.

— *Dr Władysław Rabski*. „Asceta,“ dramat w 3-ch aktach. Poznań, 1893.

— *Kazimierz Lewandowski*. „Szella,“ wiersze. Kraków, 1893.

— *Henry Merzbach*. „Rapports sur les travaux de la Ligue contre l'alcoolisme en 1891 et 1892.“ Bruxelles, 1893.

— *Wilhelm Roscher*. „Politik: Geschichtliche Naturlehre der Monarchie, Aristokratie und Demokratie.“ Colla, 1893. Zweite Auflage. 722 stronice.

Oddawna oczekiwana praca historyczno-polityczna znakomitego Nestora ekonomistów niemieckich ukazała się wreszcie w dwu naraz

wydaniach, pierwsze bowiem, pod koniec listopada r. z. wyszłe, w lot rozchwytno. Jest to, mimo pierwszego tytułu i nagłówka z dwukropkiem, objaśniającym ośnowę, nie tyle wykład ogólnej o państwie nauki, ta bowiem nawet w zakroju naturalistycznym mieści w sobie nierównie więcej, niż rzecz o kształtach politycznych, czego dowodem dowcipna, lubo nakręcająca dawniejsze dzieło starego Zacharina („Politische Naturlehre,“ 7—14 z „Vierzig Bücher von Staate,“ 1839) i Konstantego Frantza „Naturlehre des Staates“ i „Vorschule zur Physiologie des Staates“ — ile monografia i to wybitnie *historycznej* ośnowy o jedynym, można- i gminowładztwach wedle starogreckiego podziału potrójnego państw. Podobnież, jak inne pisma, np. o koloniach, zasłużonego badacza gospodarstwa społecznego i dziejów jego nauki, spora dosyć książka ta urosła z dawniejszych, wstecz po roku 1847 sięgających, rozpraw o monarchii i możnowładztwie, drukowanych w nieistniejącem oddawna czasopiśmie historycznem Schmidta, z memoriałów akademickich o monarchii nieograniczonej i demokracji (1888), wydanych w tych latach i w r. 1890, tudzież o „cezaryzmie“, o czem w swoim czasie zdawał sprawę w „Niwie“ p. Rembowski, wielbiciel autora wspólnie z piszącym wzmiankę niniejszą. Wszystko to uczony, benedyktyński iście zabiegliwości i pracy kilkudziesięcioletniej, uczony a najpopularniejszy (20-te wydanie (*sic!*) I-go tomu „Ekonomiki“) w Niemczech ekonomista, zważył, uzupełnił i skojarzył w całokształt, któremu miano pierwszego, jak się rzekło, nagłówka niezupełnie odpowiada, ile że „Polityka“ mieści w sobie coś więcej jeszcze, niż sprawę *kształtów* państwa. Pobieżna wzmianka bibliograficzna nie starczy oczywiście za rozbiór lub ocenę arcybogatej—bo inaczej być nie mogło—książki, mimochodem w ramach tych potrącającej o inne polityczne zagadnienia. Powiemy tylko, że czcigodny statysta pomija, odmienne od swego, zdania o podziale, dzisiaj dosyć utartym, państw na *monarchie* i *gminy*—właściwie *wielowładztwa*, a odpierając zawsze płytkie onego uzasadnienie przez Hallera, głośnego ongi „restauratora“ (1816) nauk państwowych, zapomina o cennej—mimo usterek—monografii Hipolita Passy: „Des formes de gouvernement et des lois qui les régissent“ (1870, 2-gie wyd., 1874), spożytkowanej przez prof. Kasparka w dziele jego nieco hipertrofikowanych rozmiarów o ogólnej nauce państwa (t. II, rozdz. V, § 16), gdzie zasada podziału podwójnego jest odmienna, a bardziej usprawiedliwiona.

Dla Roschera istnieje li następujący dziejowy przebieg i wywijanie się, wysnuwanie form państwowych jedna z drugiej: 1) *Pierwotna królewskość patryarchalna* (ks. I, przyczem dobre ogólne o monarchii uwagi i spostrzeżenia); 2) *Możnowładztwo* rycerskie, duchowne i miejskich optymatów (ks. II), które ustępuje, jak wiadomo, z nowożytnych

dziejów; 3) Ks. (III) *Monarchii nieograniczonej*. Autor o typie reprezentacyjnej i parlamentarnej współczesnej monarchii mało co wspomina, lecz podciąga to pod *demokratyczne żywioły*, które (roz. 4) sprawiają, że rozpanosza się *gminowładztwo* (ks. IV)—aczkolwiek naturalnie wypada cofnąć się do pierwocin greckich i innych starożytnych i średniowiecznych demokracji i nanowo śledzić pochodź aż po rewolucyę francuską wieku ubiegłego. Tu znowu typowi parlamentarnej demokracji nie wiele zostało się miejsca. 5) Księga V nosi nagłówek: *Plutokracja i Proletaryat*, wynaturzenie ustroju gminowładczego, i obfituje — rzecz prosta — w arcybogatę żniwo dojrzałych spostrzeżeń i wniosków z dziedziny społeczno-gospodarczej najuczeńszego jej badacza. Niechybnie dwa ostatnie jej rozdziały zahaczają i—co mniej może odpowiednio—roztrząsają, nieuniknioną dziś w każdej pracy społeczno-umiejętnej, rzecz o *Socyalizmie i Komunizmie*, oraz o środkach bądź uśmierających, bądź ruch ten wprowadzających w stateczne łozysko, a wygodzenie postulatom możliwym. Wiadomo wszelako, że czcigodny autor w innych swych dziełach i rozprawach, po czasopismach specyalnych umieszczanych, sprawę tę roztrząsał tak, iż rozdział ten niemal czyni wrażenie *wstawki*. Ostatnia (VI ks.) rozszerza się nad *Cezaryzmem* tak staro, greko (Tyrania) rzymskim, jak wogóle (Hannibal, Wallenstein etc.) nad jego nowożytnymi przedstawicielami, np. Kromwelem, Napoleonem I. Osnowa jej wiadoma ze sprawozdań Rembowskięgo.

Z krótkięgo przebiegu tego widzimy, że dzieło ostatnie Roschera obraca się wyłącznie niemal na kanwie historycznej, starając się beznamiętnie sporne dzisiejsze poglądy sprowadzić do miary owych trzech pra-ustrojów politycznych. W każdym razie jest to najwybitniejsza naukowo-polityczna monografia obok ślicznych studyów włoskiego uczonęgo, Palma „*Studii sulle costituzioni moderne*,” z piśmiennictwa państwowznawczego w ciągu r. 1892, a imię autora pomnikowych dzieł wystarcza, aby zachęcić czytelników. O ile wiadomo, Roscher porozumiał się już dawno z prof. Oczapowskim względem możliwego ewentualnego przekładu tej „*Historyi naturalnej kształtów państwowych*” na nasz język. Oby tylko wydawnicze i nakładowe kulejące stosunki zezwoliły na dokonanie przedsięwzięcia.

O. I.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Z WRAŻEŃ WŁOSKICH.

N E R Y I.

Może być w każdym opisie rzeczy i krajów, choćby najbardziej znanych i omówionych, coś takiego, czego nie było w poprzednich, mianowicie: nowy i odmienny stosunek oczu i osobistej duszy do otaczającego świata. Każdy, kto był we Włoszech, niechybnie zostawił w nich część duszy, każdy natomiast ma w sobie ich widzenie, jakby swoją osobistą Italię, i tem się tłumaczy zjawisko, dlaczego, mimo dzieł naukowych, wyczerpujących, mimo artystycznych opisów, kreślonych przez genialne pióra, powstają ciągle nowe opisy, nowe szkice, nowe wspomnienia.

Niech to tłumaczy i te moje, których zażądaliście ode mnie, a które powstają między jednym a drugim rozdziałem „Połanieckich,” trochę dla rozerwania myśli, trochę dla wypoczynku, trochę dla rozproszenia tego smutku, którym napelnia się świerkowy las zakopański w dni długie, a szare i dżdżyste.

Dziwnie, raz w życiu, spotkałem się ze słynnym poetą czeskim, Vrchlickim. Było to w późną noc, na praskim Przykopie, przy księżycu. Zamieniliśmy kilkanaście słów, rozeszli się i nie zetknęli więcej. Lecz w rok, lub dwa później, doszedł mnie tom poezji Vrchlickiego, w których znalazłem echo tego spotkania: „Tyś jest, jak obłok — mówi do mnie Vrchlicki,—który wiatr nosi po szerokim świecie, a ja, jak cze-

ska chata, patrząca okienkami na zawsze jednaki widnokrąg. — I rzeczywiście odmienne są nasze losy: istotnie jestem, jak obłok, który wiatr nosi, czasem aż do umęczenia. Ostatnim razem przepędził mnie nad Włochami — więc, co można było ujrzeć i spamiętać w przelocie — to wam posyłam — na żądanie.

Zatem trochę mórz, widzianych w blasku słonecznym, lub w zorzach, i nieco żagli rybackich, i dużo słońca, i dużo cienia z oliwnych ogrójców, i kilka okruchów z grobowców, widzianych na różnych „campo santo” — i nieco wrażeń rzymskich — i nic więcej. Jeśli to wszystko rozjaśni wasze kartki, tem lepiej dla was i dla mnie.

O Nervi ledwie kto u nas słyszał. Pegli, San-Remo, Mentona, Monte Carlo i Nizza, leżące z tamtej strony Genui, przed i za pograniczną Vintimilią, roją się od chorych, ratujących resztki zdrowia, i od hulaków, tracących resztki mienia — tu jeszcze nie wiele osób przyjeżdża: najwięcej Niemców i trochę Anglików. A jednak przyjazd tu łatwy. Ledwie kilka małych stacyi, nawet bez innych nazw, jak porządkowe cyfry, dzieli Nervi od Genui. Po półgodzinnej jeździe w wagonie jest się na miejscu, a droga, choć tak krótka, daje już pojęcie o tej Rivierze „di Levante,” która, ogólnie biorąc, może z tamtą „di Ponente” iść śmiało w zawody.

Lecz lepiej jeszcze jest jechać z Genui powozem. Więcej się widzi, a strata czasu nie wiele większa. Wprawdzie z początku następuje trochę rozczarowania. Chciało-by się prędko wyjechać z miasta, zobaczyć szerszą przestrzeń i morze, a tu pospolita ulica genueńska ciągnie się i ciągnie; wysokie domy, zakrywające morze, zdają się przedłużać bez końca. Sklepy, jak zwykle na krańcach miasta, nędzne, ludność szara, portowa, bez wybitnego typu. Tu i owdzie trochę bielizny i kolorowych szmat na sznurach; w przerwach ulicy puste i zapyłone place, tu rusztowania nowo wznoszonych kamienic, tam szopy drewniane niewiadomego przeznaczenia — i znów szeregi domów z wązkim pasem nieba u góry — oto, co się widzi przy wyjeździe.

Lecz zwolna bruk uliczny zmienia się w zbitą, pełną kurzawy drogę, po której, zaprzężone w jeden za drugim, muły, ciągną przy odgłosie dzwonek i bieżów ciężkie dwukolne wozy; domy przerywają się, rzadną, widnokrąg się rozszerza. Po bokach widać, zamiast kamienic, stare mury ze zrębem, przybranym w kaktusy, w bluszcz, w powoje, w winogrod lub w przypoludniki ¹⁾, których trójgraniaste liście,

¹⁾ Mesembrianthemum.

zwieszzone w pękach na zewnątrz, wydają się jakby wielkie grona, przetykane złotem, albo liliowem kwieciem.

Po chwili widnokrąg jeszcze szerszy. Wszędy pełno murów i tarasów. Na stokach wzgórz, wśród czerni cyprysów, wśród palm, podobnych do strusich piór, lub wśród pinii, bieleją wille; na trawnikach przed niemi grają fontanny. Na dalszych wzgórzach domy i domy, poprzyczepiane wszędzie, ponalepiane, jak gniazda mew, lub jaskólek, pojedynczo, lub po kilkanaście razem. Gdzie niegdzie świeci obdrapana chata wiejska, pomalowana czerwono lub różowo, z nieodłączną bielizną i chustkami na sznurze, które porusza wiatr, ale które tu już grają w słońcu. I znów mur, przez który kipi zieloność, znów winograd, gaje cytryn, pomarańcz, szare i srebrne oliwniki, pinie, rzucone zuchwale ze szczytów urwisk w błękit, jakby ręką biegłego artysty, jabłonie, pokryte kwieciem, jak śniegiem, różowe migdały, brzoskwinie i wszędy powódź laurów.

Wpoprzek drogi suche łożyska potoków, zasypane żwirem, wąwozy, przez które ciągnie wiatr, pachnący morzem, mosty, nasypy, czarne otwory tunelów, lub olbrzymie łuki wiaduktów, po których przełatują ze świstem i chmurą dymu pociągi. Kraj zgiełkliwy, rojny, jakby nadto zastawiony, wyglądający, jak przeładowana sprzętami izba—i przez to ciasny. Ma się wrażenie, że tu wszystkiego za dużo, i oczy, przywykłe do jednostajnych płaszczyzn i jednostajnych barw w krajobrazie i do wielkich głębin powietrznych, tęsknią mimowoli za czemś, na czem-by się mogły oprzeć i w czem-by się mogły zatopić najdłużej. Wydaje się bowiem, że niema tu jakiejś nuty ogólnej, w której zlewają się rozdzwięki, że tu jest jakiś niepokój, że nic nie może ukoić się i usnąć, jak na przykład śpi czasem w jasne południowe godziny las sosnowy—i wreszcie, że ten kraj nie ma duszy poważnej i zamyśłonej.

Lecz to są pierwsze wrażenia. Mijamy Bisagno i szereg przylądków, tworzących po prawej stronie drogi jakby wspiętą falę kamienną, która zasłania dalszy widok—i oto Sturla. Znów koła powozowe turkocą po kamiennych płytach i wysokie domy zwierają się w wąską uliczkę. Ale trwa to krótko. Sturla urywa się nagle i otwiera się widok na morze.

Droga idzie szczytem wyniosłego wiszaru, u którego stóp pieni się fala. Zdaje ci się teraz, że oddychasz swobodniej i szerzej, i że ktoś przebił olbrzymie okno w krajobrazie na przestrzeń, na powietrze, na spokój i jasność toni błękitnej, równej, nieskończonej. Przeładowany mnogością przedmiotów i skrzepowany ciasnotą widnokregu, wzrok, był jakby ptak, zamknięty w klatce — teraz może lecieć, jak mewa, między wodą a niebem, póki mu siły stanie.

A przytem morze ma i powagę, i zamyslenie — dziwne, zarazem słoneczne i błękitne. Przed chwilą jeszcze zdawało się nam, że kraj ten nie zdoła nigdy zasnąć, a teraz, gdy wiatr cichnie, morze śpi pod stopami wiszaru, ciche, jednostajne, ogromne, przykryte blaskiem, który, drgając jaskrawo na topieli, wydaje się jej snem.

Od Sturli traci się morze tylko chwilami z oczu, wówczas, gdy je przysłonią albo urwiska Quarto, albo palmy i pinie parku Quinto, albo wreszcie domy Nervi. Ciągną się tu te domy, jak i w innych nadbrzeżnych miasteczkach, podwójnym szeregiem, tworząc jedną, na kilka kilometrów długą, ulicę. Lecz Nervi jest większe i okazalsze od poprzedniej Sturli lub następnego Recco. Lepiej osłonięte od innych miejscowości stokami góry Giugo, wybrane zostało na stacyę klimatyczną, napływ cudzoziemców ożywił ruch handlowy i dał większe widoki zarobku, skutkiem czego i ludność nagromadziła się liczniej. Słodycz klimatu Nervi musiała zresztą już dawniej zwrócić na siebie uwagę, skoro możliwe rodziny genueńskie rade budowały tu wille i domy letnie. Wszystkie te wille leżą od strony morza i spływają ku niemu cienistą i kolorową rzeką palm, pinii, eukaliptów, cyprysów, pomarańcz, cytryn, bżów i róż. Między ogrodami są wąskie uliczki, dające przystęp do brzegu. Boczne ich ściany stanowią mury ogrodowe; gałęzie rozmaitych drzew, wystając z jednej i drugiej strony i łącząc się z sobą w wielu miejscach nad uliczką, tworzą nad nią jakby rodzaj sklepienia. Słońce też nie oświeca prawie nigdy tych przejść, w których panuje wieczny cień, chłód i wilgoć, i z których wychodzi się na pełne światło morskiego brzegu, jakby się wyszło z ciemnego klasztornego kurtyarza.

Niektóre wille, jak Gropallo, Serra lub Croce, ukryte wśród starych pinii, pełne pogody i wdzięku w liniach, z bramami, na których ubiegłe lata wycisnęły już piętno, podnoszą włoski charakter miasteczka i przywodzą na myśl patrycyuszowską przeszłość genueńską wraz ze wspomnieniami dawnej potęgi, dawnego bogactwa, artyzmu i sławy. Inne, nowe, jak willa Ponzone, odbijając niepokojem stylu nowożytny niepokój i eklektyzm, psują ogólną harmonię i rażą kształtami, godnemi pagody, wykwintne uczucia oczu i dusz wybranych. Lecz i tu natura naprawia błędy człowieka. Bujne eukalipty, strzelając w górę, nakształt gotyckich wieżyczek, zasłaniają nieład architektonicznych linii, a za lat kilka zasłonią go zupełnie. U spodu budynku srebrzą się oliwki, złocą pomarańcze i płyną potoki kamellii, białych, czerwonych, różowych, podobnych do stad barwnych motyli, lub do kolorowych gwiazd, ponabijanych w ciemną zielen.

Willi Ponzone ma i tę zasługę, że, otwierając swoje bramy dla gości leżącego naprzeciw hotelu Eden, ułatwia im przystęp do morza. Za tylnymi murami ogrodów jest tu wysoka krawędź skalista, na której

urządzono miejsce przechadzki dla gości. Morze leży o kilkanaście metrów niżej od tej krawędzi. Wiatr dochodzi do niej z trudnością, bo wysokie mury bronią przystępu, kurz nigdy, bo od ulicy dzieli ją cała szerokość ogrodów. Za to słońce świeci tu i grzeje od rana do wieczora. Miejsce jest wąskie, ale ciepłe i zaciszne. Z tyłu mur, z przodu morze, dzikie rzuty skał, wbiegające w toń, tu i owdzie schodki, powykuwane w skale, wiodące na dół; domek celniczy, wieża willi Gropallo, w której niegdyś strażowano od rozbójników morskich, na północ zarysy Rivieri „di Ponente,” zakryte mgłą siną i różową, z drugiej strony Recco, błyszczące w świetle, i morze—oto wszystko, co stąd można zobaczyć.

Wszystko to jednak takie jest włoskie, takie pobrażne i morskie, takie skąpane w świetle i błękitach, że oczu od tego oderwać trudno. Tu też skupia się życie Nervi; tu przesiadują przyjezdni i chorzy; tu, w szerszych miejscach, rozkładają przekupnie swoje stragany, napelnione „tartarugą,” wyrobami z małżowin i z oliwnego drzewa, koralami i delikatnymi filgranami ze srebra. Na innych sprzedają jedwabie, lub wielkie chusty z perkalu, malowane w kwiaty i drzewa. Bose dziewczątka, o rozczochranych czuprynach i czarnych oczach, częstują cudzoziemców gałązkami bzu, pęczkami fijołków, konwalii, lub anemonów. Z dołu zapraszają do łodzi rybacy. Niektórzy goście snują się u stóp krawędzi po głazach. Czasem z Genui przyjeżdżają nowo zaślubione pary i, siadłszy zdala od ludzi, ze wspartemi o siebie głowami, topią oczy w bezmiarach morskich, czyniąc na resztę życia zapas wspomnień świetlanych i błękitnych. A morze szumi im i przybiega łagodnie aż do ich nóg. Ostatecznie morze jest duszą Nervi—i nie wille, nie ogrody, nie palmy, nie gaje kwitnących cytryn, ani tęczą róż i kamelii—tylko ono stanowi największy jego urok. A nie we wszystkich miejscowościach, zwłaszcza nie wszędzie na Rivierze „di Ponente,” jest tak samo. W Pegli, w San-Remo, w Mentonie, w Monte Carlo, Nizy i Cannes, niema takiego skupienia się wyłącznie w morzu. Tam ciągnie człowieka za drugą rękę życie, jego przepych, jego zabawy; tu, gdy oddzielił cię od miasta te wysokie mury, spieczone słońcem, gdy znajdziesz się na owym wązkim zrębie skalistym, pozostaje ci tylko morze i nic więcej. Ma się uczucie, jakby się było gdzieś na pełni, daleko od świata, wśród ogromów i na woli bożej. To też kto tu przyjdzie, brata się z morzem, uczy mu się oddawać, kochać je i nie potrafi związanych z niem wrażeń zapomnieć.

Bo godzi ono w siebie dwie cechy, na pozór sprzeczne. Jest wieczne jednakie i wiecznie zmienne, więc i uspokaja nas i, zamiast nużyć, ożywia. Kto wie, czy dla głębszej duszy ludzkiej spokój w różnorodności nie jest czemś bliżkiem szczęścia. Przesiadywałem w Nervi nad

morzem po dniach całych, czułem wyraźnie, że wszystkie widoki, którem miał przed oczyma, więc czy to poranne, czy południowe, czy to wieczorne, mają jakąś jedną wspólną duszę, a jednak, ani dwóch widoków, ani dwóch chwil nie widziałem podobnych.

Rankiem toń jest rzeźwa, przezroczysta, kryształowa i bardziej, niż w innych porach, ruchoma, jakby wypoczęta po śnie. Przy brzegach pachną mocno wyrzucone przez noc porosty. Po małych ostojach rybacy ładują łodzie, które mają wyruszyć na pełnię; nad niemi kręca się stada mew. Słońce, wznosząc się z za Giugo, rzuca coraz większe masy światła na oddalenie, podczas gdy bliżej, gdzie skośny promień słońca nie od razu dochodzi, morze jest całe w pasy, szlaki, tak, jak gdyby mroki morskie, podobne do poroziąganych po wodzie welonów, nim je słońce ostatecznie zedrze, zaczepiały się jeszcze o fale. Po tych szlakach wędrują ku światłu białe żagle. Woda, u brzegu ruchoma, w dali jest tak gładka, że odbijają się w niej nie tylko żagle, ale i kolorowe boki łodzi.

Lecz w miarę, jak słońce się wznosi, owe ciemniejsze szlaki rozpraszają się, giną i morze przybiera aż do krańców jednostajną modrą barwę, nad którą wznosi się nieco bledszy, wydęty błękit nieba. W oddali widać wielkie parowce, idące z Genui, gdzieś ku Afryce. Żagle rybackie z Nervi i Recco zmieniają się w plamki świetliste, które, w miarę odległości, błękitnieją i zacierają się coraz bardziej.

W południe, jeśli wiatr napędzi chmur z za Giugo, po morzu wleczą się cienie, jakby złe, albo posępne myśli. Jeśli pogoda się utrwali, a słońce pocznie dopiekać, fala staje się ociężała, senna, a zarazem migotliwa. Wówczas to następuje chwila takiego pół-snu, pół-zamyślenia, o jakiej wspominałem poprzednio. Zrąb skalny wydłubia się, cisza ogarnia wody, małe ostoje, i na całym wybrzeżu panuje południowe milczenie.

Lecz nic nie może porównać się z zachodami słońca w dnie pogodne. Podobnej gry zórz nie widziałem nigdzie—tem bardziej zaś pod zwrotnikami, bo tam noc przychodzi nagle. Raz w taki dzień wyjechałem do kościołka San-Ilario, położonego w połowie góry Giuga. Morze, jakkolwiek odległe stamtąd o kilka kilometrów, wydaje się, z powodu pochyłości, bardzo blizkiem. Stanąwszy na małym tarasie przy kościółku, obejmowałem oczyma widnokrąg od Alp nadmorskich Rivierey „di Ponente,” aż do Portofino w drugą stronę. Nie było żadnego wiatru; cienkie gałęzie i liście oliwek zwieszały się nieruchomo. Wszędy wieczorny spokój. Tylko w kościółku dzwoniono na „nieszpór” i przez otwarte drzwi dochodziły głosy dzieci, śpiewające „Ave Maria.” Głosy te i dźwięk dzwonu rozbrzmiewały zarazem słodko i silnie i zdawały się lecieć z tej góry ku miasteczku i morzu, jak na skrzydłach. Ale po

niejakim czasie, dzieci, skończywszy śpiewać, zaroily się hałaśliwie przez chwilę na tarasie i znikły. Słońce zniżało się coraz bardziej, a wreszcie zanurzyło się w płomienistej wodzie. I z chwilą, gdy zaszło zupełnie, poczęły się odbywać jakby czary. Na niebie i morzu potworzyły się złote, różane i złoto-zielone smugi, taśmy, frendzle, jakby drogi i jakieś gościńce, któremi wędrowały fantastyczne okręty z ognia ku gmachom z tęczy, opalów, szmaragdów i chryzolit. Fiolety, róże, purpura, złoto, wszystkie możliwe barwy, wszystkie blaski bengalskich ogni, drogich kamieni i pawich piór grały na niebie i wodzie. Potem jeden purpurowy ton wzmógł się nad inne, ogarniał je, przesłaniał, topił. Wreszcie i sam począł blednąć, omdlewać i z wolna zmieniać się w ton liliowy, i w coraz liliowszy, coraz bardziej nieuchwytny, mistyczny, doskonalszy, niemal nadziemski.

Stałem i patrzyłem. Nie było teraz już widać ni morza, ni nieba, ni tej granicy, gdzie woda styka się z widnokregiem — nie było widać nic, tylko jedną liliową nirwanę, łagodną, spokojną i kojącą jakimś zaświatowem ukojeniem.

A potem przyszła noc!

Lecz noc nie usypia wspomnień i kto taką liliową symfonię raz widział, tego pamięć wróci nieraz do niej — i dusza wróci.

HENRYK SIENKIEWICZ.

MITOLOGIA,

jej dzieje, metoda i wyniki.

I.

Jeżeli ilość lat starczy, by nadać powagę, to mitologia, nauka o istotach nadludzkich, którym się cześć religijną oddaje, i o mitach, to jest powieściach i podaniach, dotyczących się takich istot, należy do najpoważniejszych nauk. Bo już przed paru wiekami mogła obchodzić jubileusz dwutysiącioletni; mało co młodsza od filozofii, mitologia postępuje wraz z nią tuż za astronomią i medycyną.

Ale jeżeli powagę nauki liczy się wedle prawd zdobytych, utrwalonych poglądów i przekonań, spoistości twierdzeń, to mitologia jest, niestety, najmniej poważną ze wszystkich. Prawd, uznanych ogólnie, nie było i prawie niema; każdy rządził się w mitologii i jeszcze urządza wedle swej woli, a hasłem jej chyba: „Wolność Tomku w swoim domku.“

Zgody nie było ani co do podstawowego pojęcia: czem są właściwie mity? — różni różnie określali. Dla jednych były one wymysłami poetów i filozofów, głęboką mądrością, przyobleczoną, by nie spowszedniała, ani staniała, lub by ją łatwiej strawiono, w obłonki nęcące a złudne — lub wymysłami przezornych prawodawców i kapłanów, by nadać urządzeniom i prawom, wymaganiom obrządku i wiary, a choćby gwoli własnemu i własnej świątyni pożytkowi, nadziemską powagę. Główny zrab mitów jednakże pewnie starszy jest, niż wszelkie filozofie

i prawodawstwa, a może nawet poezye i kapłaństwa. Utożsamiają mity z religią, lecz jeżeli nawet u pogan w religii przebija wieczne łaknienie sprawiedliwości i łaski, miłości i prawdy, niedostępnych na ziemi, a przecież życiem kierujących, to cóż kojarzy owo pragnienie z dzikością i niedorzecznością, którą nacechowane są mity wszystkich ludów, nawet tak pobożnych, jak egipski, lub tak odczuwających piękno, jak grecki? Dla innych mit, to najwłaściwsza poezya narodu, ów kwiat tajemniczy, co to się rozwinął z tęsknienia za światem wyższym, piękniejszym, prawdziwszym, niż to, co nas otacza — gdzież wtedy granica między mitem a pieśnią, podaniem i baśnią? To znowu mają być mity tylko osobliwszem wysłowieniem faktów, wziętych, jak jedni myślą, z własnych dziejów narodu, czy też, jak drudzy mniemają, ze zjawisk przyrody najrozmaitszych; albo wreszcie wysnuwają się, niby bajki dla dzieci, z umyślnych zagadek i nieumyślnych nieporozumień różnorakich.

Bądź jak bądź, przedmiot mitologii jeszcze dziś ten sam, co i przed dwoma tysiącami lat; zmieniły się tylko zupełnie: sposób, w jaki nań patrzymy, zajęcie, jakie w nas budzi, i cel, do którego dążymy. Dla Egipcyanina, Indyanina i Greka bogi i mity należały do wiary lub stykały się z nią; ale kapłan, hymn i poeta o tych samych bogach i półbogach, przed którymi się kornie i ufnie schylano, których sprawiedliwości i łaski wzywano, opowiadali szczegóły potworne, wstrętne, a co najmniej dziwaczne lub śmieszne, z charakterem boskim zawsze i zupełnie niezgodne, przypisujące niebianom gwałty, kazirodztwa, mordy, słowem, wszelkie zbrodnie, któremi się na ziemi brzydzono. Dosłowne pojmowanie mitu zawierało srogą obrazę bóstwa, więc, jeśli się z Lucyanem nie natrzęsał z bogów, starał się np. grecki filozof, poeta lub kapłan, odszukać inne, właściwsze, jak mniemano, zapomniane, lub ukryte znaczenie, usunąć wszelką dzikość, obronić bogów przeciw zarzutom niezbożności. Takie apologetyczne dążenia zupełnie nam są obce; dla nas bogi i mity z wiarą nic wspólnego nie mają; nas ani ziębi, ani grzeje, co się ich jądrem wykaże: czy głęboka mądrość i prawda, czy pusty wymysł; nasz cel czysto jest naukowy, jeżeli o pochodzenie bogów i znaczenie mitów pytamy.

Odpowiedź znowu na te pytania dziś będzie niemal taka sama jaką przed dwoma tysiącami lat dawano; drogi, raczej manowce, po których do niej dążono, przeszkody i uprzedzenia, które naukę z właściwych torów zbijały, te same są dziś, co i dawniej, lub liczniejsze nawet; przyodziane w nowe płaszczyki, ochrzczone nowymi nazwami na „izm“, powtarzają się stare błędy, i jeżeli w której umiętności, to chyba w naszej, ważą wiele słowa Condillac'a, że, pracując nad wiedzą, ma się więcej błędów do niszczenia, niż prawd do ustalania.

Nieświatny stan nauki, uprawianej tak dawno i tak gorliwie, mógł-by nas nastroić nieco pesymistycznie co do wartości wysiłków umu ludzkiego, gdyby nie przeświadczenie, że, mimo tylu zboczeń i omyłek, wydobywamy się nakoniec z trzęsawisk symbolów i alegorii, że przerzedzają się ciemności, w których błądziliśmy, pokazują się drożynki, które nas z mroków i mgieł mitycznych przecież jeszcze wywiodą. Ale o odsłonieniu wszelkich tajemnic i mowy być nie może; lekarstwa uniwersalnego i radykalnego, lub klucza, który-by każdy mit otwierał, niema i nie będzie; mity złożyły się z tylu, dawno a dziwnie splecionych, elementów, że rozłożyć je wszystkie i wszędzie nigdy się nie powiedzie. Umiejętność wypełni swe zadanie, nie jeżeli każdy mit wyjaśni, lecz gdy wykaże wszystkie czynniki, jakie tworzenie się mitów wywołały, i usunie fantastyczność, dowolność, zamieszanie, zalegające dotąd całe pole badań.

Ruch na tem polu wielki; rok rocznie pojawiają się w literaturze niemieckiej i angielskiej, francuskiej i włoskiej, nawet duńskiej i szwedzkiej, dzieła i rozprawy o bogach lub mitach i ich znaczeniu; samemi tytułami, choćby tylko z ostatniego dziesięciolecia, zapełnili-byśmy całe stronicie „Biblioteki.“ Dzieła te, czasem wcale obszerne, pisane z wielką bystrością, zdumiewają nieraz głębokiem a wszechstronnem badaniem źródeł, odznaczają się niekiedy przystępnością, nawet wykwintnością formy; ulubiony ich przedmiot stanowi wykład mitów greckich, północnych, indyjskich, egipskich, rzadziej uwzględnia się mity innych ludów indoeuropejskich, lub semickie, jeszcze rzadziej mity takich szczepów, jak Finnowie, Indianie i innych. Każdy autor wyznaje zwykle tylko jedną teorię, którą też jednym mianem scharakteryzować można; rzadziej mieszają się teorie lub zlewają, urządza się kompromisy, a zdarzają się i fakta, że wyznawca jednej teorii porzuca ją później, próbuje nowych torów.

I niema już żywiołu ani zjawiska na ziemi, ani nad nią, w dziedzinie przyrody, ani ludzkości, w dziejach i życiu ludów, ani w ich sposobie wyrażania się i myślenia, w ich sztuce nawet, których-by po kolei, lub równocześnie, nie używano, jako kluczy do rozwiązania zagadki. Najczęściej znachodzą badacze w postaciach i przedmy mitycznej kształty i dzieje, w jakich przedstawiano niegdyś zjawiska i siły przyrody; o bogach, rzekli-byśmy fizykalnych, opowiada się mity, a więc allegorye przyrody; rozchodzą się tylko zdania co do zjawisk samych, które się niby w bogach i mitach odzwierciedlają. Jedni tłómaczą je, jako opowiadania o siłach i zjawiskach atmosferycznych, o grze wiatru i obłoków, mieniających kształty, jak Proteusz, o pędzie burzy, o błysku piorunów, uderzających we wroga, o trzasku grzmotów, o orzeźwiającym deszczu — płynie (mleku, napoju) niebieskim, o dobroczynnym ogniu,

rozświecającym mroki nocne, lub przenoszącym ofiarę ku bogom; gwałtowne, nagłe przemiany pobudziły fantazję pierwotną do snucia bajek meteorologicznych. Inni przyznają większy wpływ powtarzającym się codziennie, niezmiennie, majestatycznie, zjawiskom solarnym: blask różowy zorzy porannej i wieczornej, pochód tryumfalny słońca, głęboka ciemność nocy, wędrówka podziemna słońca, ginienie niby gwiazd i zorzy w jego objęciach, słabnięcie, zanik siły słonecznej w pewnych porach dnia lub roku i zwycięskie jej wskrzeszanie, oto wrażenia, które miały się wyrazić w fantastycznych opowiadaniach mitów, przedstawiających z coraz innej strony te same zjawiska. Według innych znowu, rozplywają się wszelkie mity w pochłaniającym wszystko mroku i zmierzchu, który panuje na niebie, ogarnia ziemię, a dzieli oboje (Ploix Ch.: „La nature des Dieux.“ Paryż, 1888); u innych ustępuje słońce pierwszego miejsca księżycowi i jego przemianom (Alfred Hilbrand: „Vedische Mythologie.“ Tom I, 1891).

Wymienione teorie wskazują na zjawiska nadziemskie; inne szukają znaczenia boga i mitu na ziemi samej; uznają je przedewszystkiem w losach roślinności, wegetacji: jak ona kiełkuje, niby piękny młodzieniec, bujnie wzrasta i ginie, żłęta sierpem, zwarzona mrozem, lub uschła od słońca, a przyroda-ziemia zgon przedwczesny młodziana lub męża oplakuje. — Odwzorowało się to w powieściach o Wenerze i Adonisie, Dyanie i Endymionie i tylu innych. Są tacy, którym objaśnia to samo topografia, charakter otaczającej przyrody, wyziewy jezior i bagien, kierunek i siła wiatru, bieg rzek, konfiguracja gór i wybrzeży. Jeszcze inni śledzą wszędzie kult źródeł i rzek, lub gór i lasów; kult zwierząt, mianowicie węzów, wkradających się w tyle mitów, kult nawet takich rzeczy, których tu ani wymienić nie wypada.

Obfitszem źródłem mitów staje się dla innych badaczy człowiek sam. Najpierw w stanie nienormalnym: więc przywidzenia jego senne, mianowicie uczucia, wywoływane przez zmorę, która dusi i pieści, przybiera kształty dzikie i szorstkie, lub piękne i lubieżne, przemienia się i znika, podały obfite wątki dla pierwotnej wyobraźni, snującej powieści o zmorach i wilkołakach, elfach i upiorach, karłach i olbrzymach, przekształcających się z czasem w bóstwa wyższe, piękniejsze, groźniejsze. Dla innych badaczy śmierć jest zarodem nie tylko mitu, ale kultu i wiary: skoro człowiek, widząc nieżywymymi tych, których czcił lub których się obawiał, nauczył się odróżniać ducha od trupa, ożywił wnet wszystko w okalającej go przyrodzie, ujrzał się otoczonym wszędzie duchami, częściej złemi i mściwymi, niż dobrymi; one zdawały się obierać pewne siedliska najpierw na ziemi, potem i na niebie, ofiarami i modłami należało je przejednywać; w kulcie duchów i przodków tkwi początek każdej religii, każdego kultu, a obok nich i mitu. Powieści o bogach i bohaterach

powstały wyłącznie z powieści o ludziach; i tak odbiły się w mitach wędrówki narodów, podboje tuziemców, odpór przybyszów; innym przeszło w mit o słońcu to, co o mężu, Słońce zwanym, opowiadano; podanie, że się przyszło w nowe siedziby od morza, gór, wschodu słońca, zmieniło się w wiarę pochodzenia od morza, gór lub słońca; z podania o groźnym wodzu, spadającym gromem z niedostępnej skały na nieprzyjaciela, urósł mit o gromowładnym Zeusie.

Wszystkie wyliczone teorie wywodzą mity z podstaw mniej lub więcej realnych; inne nawet takich nie wymagają, udają się do języka i fantazyi. Jedni badacze przypisują zagadkom ważną rolę w tworzeniu mitów: zagadka, jak np.: co pożera rodziców, gdy się rodzi (ogień), lub: pięćdziesiąt jest żon, a mężowie ich giną w nocy ślubnej, a one same leją wodę przez sito (chmury, pioruny i deszcz) wyjaśnia dostatecznie indyjski mit o Agnim, lub grecki o Danaidach. Innym zastępuje miejsce zagadki sam język: pierwotne bogactwo jego w synonimy, zacieranie się ich właściwego znaczenia, przetwarza nazwy przedmiotów i zjawisk w nazwy osób i czynów, a stwierdzanie faktów przyrody—w opowiadanie o osobach nadziemskich; nomina stają się numina (bóstwa); zdanie: „jaśniejąca ucieka przed żarzącym“ (zorza ustępuje słońcu), przemienia się w mityczną powieść o Dafnie, ściganej przez Apollona. Innym odzwierciedlają mity, jako nowelle i bajki, a więc utwory fantazyi, ludzi dzikich i pierwotną ich dzikość: kanibalizm, luzność związków płciowych i rodzinnych, osobliwsze zwyczaje w pożyciu małżeńskim i szczepowem, dziecinne pojęcia o otaczającym świecie, powtarzają się w tych bajkach, w które z czasem dopiero, nieraz może całkiem przypadkowo, wstawiono nazwy bogów i bohaterów, wyrosłych na innym gruncie.

Niektórych badaczy uderza zbytnie podobieństwo, jakie w pojedynczych mitach u rozmaitych narodów na jaw występuje, np. w mitach o potopie, lub o życiu zagrobowem. I tak, oznacza pewien badacz jedyny punkt na ziemi, na którym, wraz z religią i kultem, mity owe powstały, i skąd się po całej ziemi, od szczepu do szczepu wędrując, rozeszły; inny objaśnia i dopełnia sagami północy mity Wed i Homera, podczas gdy dawniej, na odwrót, indyjskie mity i bóstwa, ich trimurti (trójcę) i ich awatary (przeobrażania) nawet u Słowian znachodzone; wręcz przeciwnie, odmawiają inni sagom skandynawskim pierwobytności, uznając w nich wyraźne wpływy chrześcijaństwa, lub mitów klasycznych. Znajdują się wreszcie badacze, którzy wywodzą mity od szczegółów kultu, które tłómaczyć chciano, od sztuki, która nie z mitu wyszła, lecz go wywołała.

Słowem—chaos najdzikszy; jak nieokiełznaną była fantazyja, tworząca same mity, taką też okazała się, tłómacząc je znowu. A przecież,

po tylu mniej lub więcej niudanych próbach i teoriach, z których nadmiar jedna drugą nieraz doszczętnie wyklucza i znosi, trafiła, zdaje się, umiejętność na poszlaki prawdy, zdobyła nareszcie ów kłębek Aryadny, bez którego w labirynty mityczne dziś się już zapuszczać nie godzi. Te poszlaki i rezultaty, oraz metodę, przedstawić, zastosować, co już zdobyto dla obcych, jak również dla mitologii słowiańskiej i litewskiej, w szczególności dla wierzeń mitycznych własnego ludu, oto cel pracy, której w literaturze naszej jeszcze, o ile wiemy, nie podejmowano. Czy uwagę czytelnika zająć zdołamy, nie wiemy, ale któż z nas nie używał zwrotów mitycznych, owych gromów Jowisza, darów Minerwy, płodów Cerery, prac Herkulesa, trudu Danaid, kto nie widział na scenie uwieszenia Heleny, kto nie słyszał o poświęceniu Wandy? Może więc każdy rad też zapytać: skąd się wzięły wszystkie te postacie, obrazy i baśni? co pierwotnie znaczyły? co o nich sądzić należy?

Proste streszczenie ostatecznych wyników umiejętności nie doprowadziło-by nas jednakże do celu, bo nie ostrzegło-by przed manowcami, po których poprzednicy błędzili, nie dało-by najmniejszej pewności naszym krokom na tym gruncie niesłuchanie ślizkim, naraziło-by na chwiejność nasze poglądy, poddające się byle jakim podmuchom. Wypada więc przedewszystkiem poznać bezdroża mitologiczne, nim się własną drogę obierze, przypatrzeć się, jak w ciągu wieków zmieniały się, lub powtarzały metody mitologiczne, jak długo krążono próżno około tajemniczej zasłony, która dziś dopiero naszym oczom nieco odchyłać się zdaje. Przedmiotu ani myślimy, ani mogli-byśmy wyczerpać, zadowolimy się wykazaniem głównych rysów rozwoju; tylko wybitniejszym teoriom i ich krytyce poświęcimy większą nieco uwagę.

II.

Jak już nadmieniliśmy, sięgają początki mitologii czasów bardzo odległych. Poeci, Homer i Hezyod, stworzyli byli Grekom ich Olimp, przyznali byli bogom rysy, stopnie i związki, nadał obowiązujące; u Homera, odpowiednio stylowi epickiemu, przybrali bogowie ludzkie, choć wyidealizowane, postaci, przymioty i uczucia; baśni brzydkich, dzikich, obrażających sumienie i estetykę, Homer o nich nie przytoczył, jeśli pominiemy scenę pojmania Aresa i Afrodyty w „Odyssei“, lub walkę bogów w „Iliadzie;“ ale że Homer o podobnych baśniach wiedział, dowodzą jego wzmianki pobieżne o dawnych, gorszących dziejach Olimpu. Natomiast u Hezyoda charakter bogów, a głównie mitów, nieco od-

mienny, dzikszy, pomimo ubóstwiania oderwanych pojęć i popędów, jakiego u Homera niewiele jeszcze było; dopiero więc w źródle późniejszym znajdziemy znacznie więcej mitów, często potwornych. Podobnie i poeci hymnów wedyjskich mało mówią o mitach, o których z późniejszych źródeł indyjskich się dowiadujemy; w starych egipskich tekstach spotykamy też tylko wzmianki o dzikim micie Ozyrysa, który w całości dopiero późny pisarz grecki nam przekazał. Ale obok ogólnogreckich bóstw i mitów Homera i Hezyoda istniały wraz z kultami liczne mity miejscowe, przechowywane przez kapłanów, a tak dalekie zazwyczaj od mitów eposu i dramatu, jak owe nieforemne posążki drewniane, lub kamienne, najdawniejsze i najświętsze przedmioty kultu, przypominające raczej fetysze afrykańskie, niż sztukę grecką, różnią się od posągów, rzeźbionych dłotem Praksytelesa i Fidyasza.

Otóż Grek, który już w szóstym wieku przed Chrystusem przez usta poety Ksenofanesa wiarę w boga najwyższego, niepodobnego śmiertelnikom ni ciałem, ni umem, wyznawał, nie mógł obojętnie owych bezceństw powtarzać, które o bogach opowiadano; gromił też o nie Ksenofanes Homera i Hezyoda, a Platon poetów ze swego państwa wyświecił, baśni zaś i misterye nie wszystkim chciał czynić przystępnymi. Niektóre szczegóły mityczne usuwano oddawna dorywczo, np. gdy Pindar miał opowiadać o Pelopie, rozsiekanym bogom na ucztę, zaznaczył dobitnie, że odstępuje od powszechnego mniemania; to tylko sąsiedzi zawistni uprowadzenie ślicznego Pelopa tak haniebnie udali, Pindar żadnego z nieśmiertelnych obzercą nazwać nie zdoła, „o bogach tylko pięknie mówić mężowi się godzi.“ Częściej uciekano się do środka, praktykowanego dziś głównie przez Maksa Müllera, do etymologicznego tłumaczenia; posłużył się nim Eurypides, ustalając pierwotne znaczenie potwornego mitu o przechowaniu Dyonisa w biodrach Zeusa, wedle dwuznaczności słowa homeros (zastawnik) i ho meros (biodro); posługiwał się nim nieraz Sokrates u Platona, chociaż nie bez odcienia ironii, mit np. o Kronionie (Zeusie, synie Kronosa) usuwają Sokrates i Müller w nieco pokrewny sposób. Obok takich luźnych prób i protestów, wywołało naiwne przekonanie o głębokiej wiedzy i mądrości Homera całe systemy, tłumaczące głównie mity homeryczne, szukające w nich osobliwszego objawienia, ukrytego dla tłumu pod szatą poezyi.

Najliczniejsi sofiści i filozofowie upatrywali w bóstwach i mitach alegorye przyrody; już najdawniejsi, Empedokles i inni, używali byli nazw bóstw zamiast nazw sił, lub ciał wszechświata; po nich Teagenes i Metrodoros tłumaczyli np. walkę bogów, opisaną w „Iliadzie“, walką żywiołów; nawet bohaterowie są, wedle nich, alegoryami, np. taki Agamemnon ma być powietrzem; tę-to gałąź alegoryi szkoła Stoy uprawiała najsystematyczniej. Wedle niej np. Hefesta (ogień) zrzucił Zeus z nie-

ba, to znaczy, że ogień-błyskawica z nieba spada; Hefest kulawy, bo ogień nie o własnej sile kroczy, ale niby podpór (drewnianych) potrzebuje i t. d.; późniejsi upatrywali wszędzie słońce i księżyc, dzielili wedle tych ciał niebieskich bóstwa męskie i żeńskie i odnachodzili własne pojęcia kosmogoniczne w mitach Hezyoda. Już jeden z ojców kościoła, Euzebiusz, zwalczając pogaństwo, zebrał dowody, dla których takie alegorie ostać się nie mogą: raz dla chwiejności i dowolności wykładu, (Hera np. ma oznaczać powietrze, to znowu ziemię, potem zimno); dalej skądże-by czerpali sami twórcy mitów wiadomości o przyrodzie, które w mitach wyobrazić chcieli, na przykład o nocy, że jest cieniem ziemi; cóż wreszcie znaczą te dzikie szczegóły, szpecące tyle mitów?

Mniejszym rozgłosem cieszyły się etyczne, moralizujące tłumaczenia; datowano je od Anaksagorasa; walka np. Ateny z Aressem i Afrodytą znaczy walkę myśli statecznej z bezmyślnością i rozpustą; objawianie cnoty i prawości ma być jedyną treścią Homera; przechowało się nawet etyczne tłumaczenie całej „Odyssei.“ I tu dość było stwierdzić, że co innego zamiary i tendencja poety, a co innego mity same, których szczegóły i potworności zagadkowemi zostały, jak były; od (domniemanego) właściwego celu mogły one twórcę mitu chyba tylko odwozдить.

Natomiast trzecia głośna teoria już u Greków, a jeszcze więcej w późniejszych czasach, licznych wyznawców pozyskała: bogowie i pół-bogowie są ludźmi, których za cnoty, czyny, wynalazki, wdzięczna potomność, jako bogów, czciła, o bogach opowiadając losy i koleje, jakie ci ludzie przebywali. Teorię tę łączono z tak zwaną „Historią świętą“, romansem Messeńczyka Euemerosa, który na wymyślonej wyspie Pan-chali na słupach z brązu owe tajemnice i dzieje bogów miał wyczytać; mitologia stała się więc historią; tradycjami sprzecznymi obdzielano kilku ludzi tegoż nazwiska, np. trzech Zeusów, czterech Apollonów, pięciu Heliosów, lub Dyonisów. Fantastyczny—a może satyryczny—romans Euemerosa przyjęło wielu za prawdę; szczególnie ojcowie Kościoła chętnie tą teorią pogaństwo zwalczali; wedle niej był więc Eol wytrawnym meteorologiem i żeglarzem, Atlas rzeczywistym astronomem i t. d. Już w starożytności usuwano euemeryzm pytaniem: skądżeż powzięli ci, którzy pierwsi ludzi ubóstwili, samo pojęcie o bóstwie? ten sam argument przeciwstawia dziś jeszcze Müller Spencerowi, pyta go np. („Anthropological religion.“ Londyn, r. 1892, str. 137): „a skąd przyszedł ów pierwszy bóg, z którym można było ubóstwionych mężów porównać?“ Argument ten obala chyba euemeryzm starożytny; wobec dzisiejszego, jak niżej zobaczymy, ostać się nie może; natomiast razi nas w każdym euemeryzmie cała płaskość i płytkość jego, ściągająca wszystko z nieba na ziemię, nie uwzględniająca ducha mitu, a czepia-

iąca się marnych szczegółów, nie pomna, że mity podobnej treści nie ograniczają się do czasu, miejsca i ludzi, ale po całej ziemi panują.

Takie-to trzy systemata mitologiczne przekazała grecka starożytność; inne wobec nich nie zażywały większego rozgłosu, jak np. mniemanie Arystotelesa, że prawodawcy wymyślili mity, by lepiej mózdz ludy przekonać i poprzeć wagę prawodawstw; próby indyjskie i egipskie pomijamy również.

III.

Utrzymywały się te teorie bez zmian istotnych przez wieki średnie i nowsze, choć alegorye przyrodnicze ustępowały nieco etycznym i filozoficznym. Pierwszych trzymali się np. Bokacysz w swej Genealogii bogów, pisanej po łacinie, Giraldi w historii bogów pogańskich, Natalis Comes (Włoch, Noël Conti) w rozpowszechnionej dosyć mitologii, наконец słynny Bakon w dziele o mądrości starożytnych. Częściej jednakże czytano „Przeobrażenia“ Owidyusza po szkołach, zaznaczając, co za piękne morały pod osłonką mityczną się kryją; dzieło np. Tomasza Anglika (z czternastego wieku), wykładające w ten sposób całe oetę, i w krakowskiej szkole przepisywano (rękopis np. w zbiorach ks. Czartoryskich); jeszcze tłumacz „Przeobrażeń“, Otwinowski, zaznacza 1638 r. w przedmowie wyraźnie, że uważny czytelnik wiele nauk i przestroń stąd zaczerpnie. Nic nie odpowiadało też lepiej tendencji średniowiecznej, która wszystko i wszędzie, od Pisma św. począwszy, alegorycznie tłumaczyła, sens prosty, historyczny, niukom i profanom pozostawiając. Obok tego cieszył się wielkiem uznaniem euemeryzm; nieraz łączono obie metody, jak naiwnie, niech nam stateczny Marcin Bielski pokaże. W „Kronice świata“ (1551 r.), gdy opowiada o Junonie i Io-krowie, strzeżonej przez Argusa-pawia, wyklada to jakby o jakich zagniewanych na siebie szlachciankach, z których Io miała w herbie krowę, a Juno pawia; jeśli znowu Tetis, porwana przez Peleusa, przeobraża się w zwierzęta i potwory, nim mu ulegnie, „to sye rozumie, iż dziewczki płaczą, idąc za mąż, postawą, ale sye serce smyeje;“ Jowisz był ambitnym wynalascą, sztukmistrzem, budował świątynie, w które wstawiał posąg własny i króla, ale królewski wyrzucono, zatrzymano tylko jego; przykład ten naśladowali inni i t. d. Mniej naiwnym jest późniejszy euemeryzm, dopytujący się w mitach historii narodów, jakie mu hołdowały. Jean Leclerc („De arte critica“, 1695) i Banier („Explication historique des fables où l'on découvre leur origine et leur conformité avec l'histoire ancienne“, 1711 r. i częściej, nieraz tłumaczone); dalej wszyscy, którzy się kiedykolwiek mitologią

skandynawską trudnili, od historii duńskiej annalisty Saksona Gramatyka w dwunastym wieku począwszy, aż do naszego stulecia. — Z późniejszych tłumaczeń fizykalno-przyrodniczych wyróżnia się rozgłosem, jaki niegdyś wywołała, teoria akademika Dupuis, wedle której mity też astronomicznie rozumieć należy, jako opisywania wschodu, zachodu, konjunkcyi ciał niebieskich: Herkules jest słońcem, jego dwanaście prac oznacza pojawianie się słońca w dwunastu znakach zodiaku i t. d.; teoria jego rozproszona w siedmiu sporych tomach (*„Origine de tous les cultes ou religion universelle par Dupuis citoyen françois.“* Paris, l'an III de la république, t. j. r. 1795).

Ale judaizm, szczególnie zaś chrześcijaństwo, musiały jeszcze inne poglądy na pogańskie bogi i mity o nich wyrobić. Pogaństwo jest przecież dziełem szatana; ileż razy nie powtarzano, że to szatan ukrywał się w Pytyi, lub w dębie dodonejskim, i ludzi mamił; że przed energią misyonarza, np. Ottona z Bambergu, lub duńskiego biskupa Absalona, uchodził widomie z bałwanów w postaci jakiegoś ptaka, czy potwora, z rykiem i piskiem; otóż bogi i mity muszą być wymysłami szatańskimi. Już od pierwszych ojców Kościoła, od Klemensa z Aleksandryi i Justyna, słyszymy, że strąceni z nieba aniołowie dali się czcić od ludzi, jako bogowie; że wiara i mity pogan to tylko skażone objawienie boskie; że w „Pentateuchu“ właściwego źródła szukać należy, z którego pogańscy poeci czerpali; jeszcze przed ojcami Kościoła żydowscy helleniści odnajdowali byli w mitach greckich odgłosy ksiąg Mojżeszowych. A więc przemienienie Zeusa w byka wzorowano wedle złotego cielca, któremu się na puszczy kłaniano; walka olbrzymów przeciw bogom, piętrzenie skał na skały, to budowa wieży Babel, która nieba dosięgnąć miała; greckie podanie o powodzi—biblijne; o wieku złotym—z raju wzięte i t. d. Przykłady te czerpię z niedawno wydanego poematu łacińskiego, napisanego około połowy jedenastego wieku pod tytułem „Eupolemius“, w którym autor tworzy nowe mity w ten sposób, jak je, zdaniem jego, pogańscy poeci tworzyli; nazwał też swój poemat wedle jednego z owych hellenistów (Enpolemos); wydawca celu i znaczenia pisma i jego tytułu nie dostrzegł. I ta metoda znalazła w XVII i XVIII wieku przekonanych zwolenników: u nas Otwinowski wspomina, że dzieje starego testamentu powtarza Owidyusz; głównie należą tu Holender Gerhard Vossius (*„De theologia gentili et physiologia christiana sive de origine ac progressu idololatriae,“* 1642), jezuita Atanazy Kircher, w Anglii Jakób Bryant, we Francyi Bochart (*„Geographia sacra“*), biskup z Avranches, Huet (*„Demonstratio evangelica“*) i inni. Zasada, że politeizm jest tylko skażeniem i odstępstwem objawionego ludziom monoteizmu, i dziś jeszcze liczy wyznawców: w Anglii sędziwy W. Gladstone, F. C. Cooke, w Niemczech nie-

gdys bracia Grimmowie. Przytoczymy kilka przykładów, charakteryzujących i zbijających zarazem całą metodę: jak Bochart słowa greckie od hebrajskich wywodził, tak samo Saturnusa-Kronosa i jego trzech synów od Noego i synów; Huet znowu odnalazł Mojżesza w różnych bogach greckich, a siostrę Miriam, lub żonę Ziporę, w boginiach. Wedle Gladstone'a, składała nauka o Bogu, o Trójcy św., o Zbawicielu i człowieczeństwie jego, pierwotne objawienie narodów; niezrozumiane, zeszepeczone, pojęcie o Trójcy wyrodziło—wielobóstwo, a pojęcie o człowieczeństwie oblekło bogów w ludzkie postacie; lecz ślady owego objawienia przetrwały u Greków, Trójca w trzech synach Kronosa, mądrość boska w Atenie, Zbawiciel, zrodzony na ziemi, w Apollinie, synie Latony (porównaj jego „Studies on Homer and the homeric age,” 1858, „Juventus mundi: the gods and men of the heroic age,” 1869).

Jednakże już i w XVII i w XVIII stuleciu nie brakło trafniejszych spostrzeżeń nad początkiem i rozwojem mitów i bóstw; przynależą one głównie bystrym i jasnym umysłom francuskich encyklopedystów. Voltaire mianowicie (w artykule „Religia” słownika filozoficznego) wywodził, że ponieważ to, co złożone, z tego, co pojedyncze, powstaje, więc i wielość pogańskich bogów z jednego boga pierwotnie wyszła; nie były nim słońce ni księżyc, ale to, co ludzi przeraża—grom; temu każdy w blizkim lesie, na blizkiej górze się kłaniał; z dodawania i grupowania takich lokalnych demonów powstało wielobóstwo, którem całą przyrodę zaludniono, najpierw ziemię, potem i niebo; następuje wyższy rozwój duchowy, z nim pierwsze idee filozoficzne, a te w dawne formy wlewano. Ważniejszą jest znakomita, niestety, krótka i rychło zapomniana, rozprawka Fontenela, „De l'origine des fables,” którą Andrew Lang z zapomnienia wydobył: potworność greckich mitów, do których od dzieciństwa nawykamy, tak, że ona nas już nie razi, wynika ze stanu dzikości, przez jaki Grek niegdyś przechodził, nie lepiej od Irokeza lub Kafra; na takim stopniu umysłowym powstawały mity, tłómaczące zjawiska przyrody, a z mitów bóstwa, niemoralne, jak ludzie, którzy je tworzyli; nałóg, konserwatyzm religijny, przechowywały te dzikie wymysły; dalej mieniano i pożyczano mity między Grecyą a Fenicyą i Egiptem, przyczem niezrozumiane obce nazwy nowe mity wywoływały; nakoniec przypuszczano, że mity zawierają skarby prastarej mądrości i wiedzy i objaśniano je nowemi mitami, jakie uczeni sobie i publiczności opowiadali; nie jest więc umiejętnością baśniami Greków i Fenicyan głowę sobie zabijać, ale pojąć, co Greków i Fenicyan do tworzenia tych baśni spowodowało, na tem umiejętność polega. „Lepszego i krótszego systemu mitologii—temi słowami kończy Lang sprawozdanie,—nie można-by wymyślić.“

IV.

Na wskazane przez Woltera i Fontenela tory i w wieku dziewiętnastym mitologia nie natychmiast wstąpiła; tulała się raczej po dawnych manowcach, chociaż widnokrąg jej znakomicie się był rozszerzył, gdy zapoznano się z wiarami i religijnymi dokumentami wschodu, z indyjskimi, perskimi i egipskimi. Z początku wprowadzie wywołały, zwłaszcza źródła indyjskie, zamęt i nieporozumienie: najpóźniejsze bowiem, które najpierw poznano, postawiono mylnie na czele rozwoju, zamiast u jego końca; skomplikowane i wyrodzone stosunki indyjskiego kultu i kapłaństwa (bramanizm) uznano za pierwotne; dopatrywano się więc wszędzie podobnej organizacji, wiedzy, filozofii. Stąd urósł symbolizm Fr. Krenzera i jego szkoły, Görresa, Monego i innych; same szczegóły mitu tłómaczył on wprowadzie jeszcze, jak Pindar, Euemerus, lub Stoa, ale ten racjonalizm nie zadawała już romantyka, który do mitologii wprowadził element symbolu, i nieodzowność tego symbolu, obrazu, wyjaśnił pragnieniem i dążeniem istoty ludzkiej, chcącej objąć, co nieobjęte, uzmysłować, co nadzmysłowe, określić, co nieokreślone. Otóż, wedle niego, mędrcy i kapłani mogli głębokiej swej wiedzy mistycznej tylko w obrazach i symbolach pierwotnym społeczeństwom udzielać; na nieruchomym wschodzie przetrwała mistyka i jej symbole wieki; natomiast w bujnym życiu Grecyi, politycznem, zarówno jak artystycznym, czyn, pomysłany po ludzku, stał się punktem środkowym religii; bezkształtność, ale i bezmiar, nieskończoność mitów wschodnich, ustąpiły przed zmysłowym pięknem ubóstwionych ludzkich postaci. (Pierwotne wydanie z r. 1810—1812; późniejsze znacznie rozszerzone i zmienione).

Krytyka wykazała w pismach Jana Henr. Vossa, Lobecka i innych, że symbolizm ten z dziejami pogodzić się nie da, że przypuszczenie jakichś głębokich objawień mędrców pierwotnych, z których-by kultury i mity greckie i inne powstawały, jest dowolne, że głęboka treść a płaska forma symbolów — lub odwrotnie — nigdy sobie nie odpowiadają. Nowy krytycyzm Lehrsa, Grotego i innych dążył teraz do tego, by mity greckie z Grecyi samej wyrozumieć; zerwawszy łączność ze wschodem, zbierając i badając szczegóły jak najściślej, szukał znaczenia mitu w nim samym, nie po-za nim w jakichś odległych i głębokich alegoriach czy symbolach, zadawała się też najbliższem, np. fizykalnem, lub nawet etycznym objaśnieniem; przypuszczał nieraz, że bogi i mity właściwie epos stworzyło; przeczył znowu, żeby religia grecka była religią przyrody; Ares i Afrodyta są sobie przeciwstawione, jako dzikość wojny i słodycz miłości; miłość macierzyńska objawia się w mi-

cie o Demetrze i t. d. Dowolność i nietrafność takich przypuszczeń biją w oczy: one nie wytłumaczają całości mitów, potworności ich szczegółów, ich sprzeczności, ich powtarzania się po ludach i wiekach, ich początków. Jako osobny odprysk tego nowego racjonalizmu można-by oznaczyć geograficzne objaśnianie mitów; Forchhammer, który go głównie zapoczątkował („Hellenica,” 1837 r.), wydał jeszcze r. 1891 niby rodzaj słownika, tłumaczącego wszelkie przenośnie mityczne, mające tylko oznaczać warunki klimatu i położenia. Tą lokalistyczną teorią wojują nieraz po dziś dzień pierwszorzędni filologowie i archeologowie: Müllenhoff Robert, Wilamowitz, Roscher i inni; mit o Achillesie np. przedstawia dla Forchhammera i Müllenhoffa antropomorfozę dzikiego potoku górskiego, który, pędząc z Pelionu w swem krótkotrwałem wezbraniu, wszystko porywa i niszczy, lub takiegoż wylewu Skamandra; mity o Kentaurach wyobrażają również potoki górskie Tessalii; oderwanie Euboi od stałego lądu, to mit o śmierci Heraklesa; fury Erynie, to demony gnijących wód stojących i t. d. („Prolegomena zur Mythologie als Wissenschaft und Lexicon der Mythensprache,” von dr P. W. Forchhammer. Kiel, 1891).

Zasługi mitologii klasycznej, jeśli pominiemy staranne zbieranie i krytyczne oczyszczanie materyału, leżą głównie w kierunku przeczącym: zbija się kombinacje mylne, jak Creuzera i innych. Między pracownikami na tem polu wyróżniają się: Lobeck i jego dzieło „Aglaophamus” (r. 1821) o orfikach i misteryach olbrzymią wiedzą i ścisłością wywodów; Karol Otfried Müller ze swojemi „Prolegomena zu einer wissenschaftlichen Mythologie” (r. 1825), w których przedstawił kilka arcytrafnych poglądów, np. o związku mitów z pojedyńczeni szczepami i miejscowościami, wymagał uwzględniania wszelkich możliwych okoliczności, dokładnego oznaczania genezy i redakcyi mitu; dalej L. Preller z „Mitologią grecką i rzymską,” wydawaną kilkakrotnie i po śmierci autora (ostatniego wydania greckiej dokonał profesor Robert), gdzie obfity bardzo materyał wyłożony jest w formie przystępnej i pięknej. (Krótką charakterystykę odnosnych licznych dzieł znajdzie czytelnik we wstępie do greckiej mitologii Petersena w encyklopedyi Erscha i Grubera (r. 1864), gdzie literatura do r. 1861 wyczerpana; literatura lat 1875 do 1890 omówiona w dodatkowych tomach Bursiana, „Jahresberichte über die Fortschritte der Alterthumswissenschaft.” 1885 i 1892 roku, tomy 25 i 26).

Tymczasem wzbogaciła filologia germańska, jak ją br. Grimmowie, Lachman, Uhland i in. uprawiali, badania mitologiczne nową metodą i nowym materyałem, wielkiej obfitości i wagi. Wedle Grimmów bowiem, mity, to poezya i tradycja ludowa, najwłaściwsza i najdawniejsza, nie zanikająca nigdy, chyba z narodem samym; przechowała się więc

po dziś dzień, a gdzież indziej, jeżeli nie w podaniach i pieśniach ludu, podobnie jak ślady i resztki kultu i wiary pogańskiej w dzisiejszych jeszcze przesądach i zwyczajach odnaleźć można. Otóż, zbierając ludowe wierzenia, bajki, przysłowia, zagadki dzisiejsze i dawniejsze; skupiając ludowe instytucje, obrzędy, zwyczaje, zabobony, jakie przekazały kroniki, księgi praw lub kaznodzieje, gromiący je w średnich wiekach, jakie jeszcze po dziś dzień u rolników, pasterzy i t. d. po miasteczkach i siolach istnieją, lub choćby między dziećmi w ich grach i zabawach się przechowały; nakoniec uzupełniając wszystko świadectwami języka samego, które tylko bacznie objaśnić należy, by się klucza do zrozumienia przerośni dobrać: odtwarzamy pierwotną wiarę, kult, mity własnych przodków, a podobnie zebrane źródła u narodów postronnych wypełnią nam luki i oświecą rozwój. Zdaniem więc Grimmów, lud sam jest twórcą mitów, nie poeta, ani kapłan; on nie przejmie ich od obcych, ani pozbywa się ich z łatwością, on na nich wyciska swe piętno niezatarte; jego tradycja jest ich wierną skarbnicą, z której je po dziś dzień czerpać możemy, choć nie w pierwotnej czystości, choć już skażone i skrzywione pod wpływem obcym, mianowicie chrześcijańskim.

V.

Teorya Grimmów, rozszerzona z niemieckiej mitologii na inne, wskazała więc źródła dotąd nieznanne a obfite; dla właściwego zaś korzystania z tych źródeł, dla tłumaczenia mitów dawno znanych lub teraz zdobytych, kładła nowe podwaliny świeża umiejętność, gramatyka, a w jej orszaku mitologia porównawcza. Skoro bowiem dowiedziono raz na podstawie języka blizkiego pokrewieństwa całego szeregu ludów, tak zwanych indo-europejskich, skoro wykazano tożsamość pierwiastków, słów i form w językach Indów, Słowian, Celtów i t. d., wypływała z tego sama przez się wspólność życia, kultury, urządzeń, pojęć pierwotnych, a któreż pojęcia mogły-by być pierwotniejsze, niż mityczne? Tak to powstała teorya wspólnych mitów i kultów indo-europejskich, wytworzonych wtenczas, gdy nasi przodkowie, jako szczep nierozdzielony, gdzieś w Azji, wedle dawniejszej, gdzieś w Europie, wedle dzisiejszej hipotezy, mieszkali; blizkie podobieństwo tych mitów, które teraz skrzętniej wykazywano, pochodzi więc jeszcze z owego wspólnego zbiorowiska, ich odmiennosć z rozmaitości kierunków, w jakich poszczególne szczepy po rozerwaniu łączności się rozwijały. Jak w dziedzinie mowy wystarczało z reguły świadectwo dwóch lub kilku języków, aby słowo lub formę odnieść do prawniku, uznać za indo-europejskie, wspólne nie-

gdys wszystkim tym mowom, podobnie odszukiwano mity całe, lub przynajmniej nazwy bóstw i postaci mitycznych, wspólne dwom lub więcej szczepom, i odnoszono je bezzwłocznie do prarodu, widziano w nich mity, lub szczątki mitów szczepu indo-europejskiego. U Słowian, Persów i Indów powtarza się słowo Bóg, więc czcili już Indoeuropejczycy bóstwo tej nazwy; Zeusa znajdujemy również u Indów, Italów i Niemców, więc jest to nazwa najwyższego bóstwa indo-europejskiego i t. d. Równocześnie, zdawało się, nowa etymologia odszukiwała z wszelką pewnością pierwotne znaczenie nazw, nim jeszcze niemi bogów wyrażano, to jest wynaleziono samą podstawę, na której pojęcie o bóstwie urosło: Zeus—Djaus znaczy niebo, Bóg—bhaga rozdawcę (obfitości).

Nadzwyczajną wagę przypisywała nowa teoria pieśnioksięgowi indyjskiemu, Wedom (Rygwedzie), z którym się, chociaż bardzo powoli, od 1830, roku pierwszej publikacji Rosena, zapoznawano. Najstarszy to dokument religijny szczepów indo-europejskich; jego przejrzyste alegorie i obrazy, bogaty wcale zasób nie tak mitów, jak bóstw, w których personifikacje sił i zjawisk przyrody, ognia i somy (napoju boskiego), chmur i błyskawic, słońca i jutrzeńki, tak niedwuznacznie występują, z tylu nazwami, o których znaczeniu przy jasności języka i powątpiewać się nie godzi, stały się pierwszorzędnym źródłem, a raczej normą, wedle której mity i kultury reszty narodów indo-europejskich sądzono; wedyjskie kultury i mity o bhaga, djaus, uszas lub agni pouczały o indo-europejskim bogu, Zeusie, jutrzence i ogniu. Zdawało się zarazem, że metodą porównawczą uda się niechybnie zastąpić wszelkie braki i luki tradycyi mitycznej Słowian, Germanów, Celtów i Litwinów; bo jak gramatyka i słownik porównawczy, nawet w braku świadectw o poszczególnych językach, poucza, tak można będzie mitami indo-europejskimi, z porównań mitów indyjskich, erańskich, greckich i (arcy-nielicznych) rzymskich wynikającymi, owe, najczęściej do samych nazwisk ograniczone, szczątki słowiańskie i t. d. uzupełnić, połączyć i objaśnić. Tak odkryto źródła nowe, obfitsze i dawniejsze, niż wszystkie, o jakich-by dla tradycyi słowiańskiej i t. d. tylko marzyć można.

Wahania, jak te, zewsząd nadpływające, nowe dane, szeregować, tłómaczyć i uzupełniać, nie było. Przekonanie, że indo-europejskie bóstwa są personifikacyami sił przyrody i w mitach opowiada się o jej zjawiskach i ich związku, było ogólne, niezaprzeczone, świeżo potwierdzone przykładem Wed, o których pierwotnem i jedynem znaczeniu nikt wtedy jeszcze nie wątpił. Nową tę umiejętność mitologii porównawczej wypiaستowali dla szczepów indo-europejskich Adalbert Kuhn i Maks Müller; metodę ich przenieśli inni badacze na mitologię semicką, amerykańską i afrykańską. Niestety, w samych początkach stosow-

wania teorii rozszczepiła się metoda i badacze rozeszli się w odmiennym kierunku, nie zgodziwszy się co do substratu mitycznego. O różnicy tej, dzielącej mitologów „porównawczych“ na dwa obozy, wspominaliśmy u wstępu naszej pracy; tutaj powtórzmy jej charakterystykę własnymi słowami jednego z matadorów całej szkoły, Maksa Müllera: „Polarna teoria spogląda na regularne, codzienne rewolucje na niebie i ziemi, jako na materyał, z którego utkano pstrą osnowę religijnych mitów indo-europejskich, przyjmując tylko tu i owdzie wątek obrazów gwałtowniejszych burzy, błyskawicy i grzmotu; teoria meteoryczna zaś uważa chmury, burze i inne, żeby tak rzec, konwulsyjne zjawiska przyrody, jako wywołujące najgłębsze i najtrwalsze wrażenia w umyśle owych dawnych spostrzegaczy, co to nie mają już więcej podziwiać prawidłowych ruchów ciał niebieskich, a mogą tylko w wielkim orkanie, w trzęsieniu ziemi i w ogniu obecność bóstwa dostrzegać.“ Pierwszą teorię wyznaje po dziś dzień głównie Maks Müller; drugą A. Kuhn, W. Schwartz, H. E. Meier, czasowo W. Mannhardt i t. d.; inni kombinują obie, objaśniają mity wedle tej lub tamtej, jaka się lepiej do całego związku stosować zdaje.

Przypatrzmyż się kilku przykładom podobnego tłómaczenia mitów. Zwykły śmiertelnik widzi np. w „Iliadzie“ walki, rozegrane na równinie trojańskiej, w których i bogowie udział biorą; w „Odyssei“ baśni żeglarskiej i powrót bohatera po długiej rozłące do domu; myśli ukrytych, symbolów, alegorii nie podejrzewa. Mitologia „porównawcza“ za to uczy, że pod oblężeniem Troi należy rozumieć codzienne obleganie wschodu siłami słońca, lub uprowadzenie słońca (córy słonecznej, Heleny) przez olbrzymów lodu i zimna i uwolnienie jej przez bohatera słonecznego (Achillesa), lub uwolnienie córy słonecznej, oblężonej od chmur gromowych, przez błyskawicę — Achillesa. „Odyssea“ znowu przedstawia losy boga burz; morze, po którym on błądzi, jest morze obłoczne i t. d.; chętniej jednak uznali Seek, Krause i inni w Odysseusie boga słonecznego, ponieważ bohater, który na wyspie dalekiego morza zachodniego w uściskach bogiń Kirke i Kalipso (t. zw. zakrywającej) ginie i przez państwa podziemne przechodzi, by ze wschodu do swych dziedzin powrócić, może być tylko bogiem słonecznym; Penelopa, która w samotnych nocach, zdala od ukochanego męża, smętnie czuwa i błyszczącą szatę to przedzie, to pruje, toż księżyc i przemiany jego; Odysseus wraca wśród zimy, w przesilenie dnia i nocy, łączy się z Penelopą na nowiu, kiedy sierp księżycowy do słońca coraz się przybliża; włada zwycięsko bronią ulubioną, łukiem (słonecznym); wedle innych zaś Penelopa, to ziemia, przedająca szatę zieloną, którą, gdy bóg słoneczny w zimie opuścił, olbrzymy zimna i lodu uciskają; tak więc

w „*Odyssei*“ wyobrażony roczny obieg słońca, jak go sobie lud przedstawiał.

Pojedyncze epizody „*Odyssei*“ ulegają podobnemu tłómaczeniu. Dla epizodu np. o Cyklopie Polifemie, jednookim ludożerczym olbrzymie, któremu Odysseus, nazwawszy się Nikim, oko wypalił, chytrze pewnej śmierci uchodząc, przytoczymy dwa najnowsze objaśnienia w wernym przekładzie. „Jednooki olbrzym (słońce) wypuszcza rano owce (jasne obłoki) i zapędza je znowu wieczorem do jaskini (niebo nocne); chytry, t. j. szybki, przeciwnik jego, Odysseus, (błyskawica) oślepią go w burzy; ryk Polifema—grom.“ To jedno; teraz drugie: „Wzrok olbrzyma (słońca dziennego) przyćmiewa się i gaśnie całkiem co wieczór, podobnie jak olbrzym — słońce roczne, silne latem, powoli starzeje się i (na północy przynajmniej) zagasa; na początku dnia i roku wznosi się zaś słońce, jak dziecko, i wzrasta. Umysł ludów pierwotnych połączył obie dane: karzeł-słońce, rosnący od nowego ranku lub lata, zabił olbrzyma-słońce, starca, by zająć jego miejsce.“

„Pieśni starodawne, opiewające wędrówkę boga słońca, każą mu znachodzić gościnne przyjęcie u bogiń nocy, zorzy wieczornej i porannej, albo podczas zimy całkiem przepadać w więzach i czarach podziemnej bogini, objaśniając tem długość nocy zimowych, bladeść zimowego słońca, oddalenie od bogini ziemi; tak należy pojąć pary: Herakles—Omfale, Samson—Dalila, Odysseus—Kalipso i Kirke. One obie boginie podziemne; Kalipso mieszka na wyspie, na którą żaden z żyjących nie wstąpił; zatrzymuje tęskniącego za rodziną Odysseusa przez siedm z dziesięciu lat (miesiący); Kirke przebiera towarzyszy jego w skóry zwierzęce (ciemne zawoje zmroku). A cóż innego Feacy, Alkinoos i Nausykaa? Owi najzręczniejsi z żeglarzy to przewoźnicy umarłych; ich wyspa, daleki a błogosławiony kraj cieniów na zachodzie, do którego zawitać musi Odysseus (słońce) po dziennej wędrówce, gdzie go Nausykaa (zorza wieczorna) oczekuje; zanim tam wstąpi, przyćmi on swój blask zawojem Leukotei.“ Grecka baśń o Odysseusie powtarza się u Niemców: ich Orendel przechodzi podobne koleje i tłómaczy się je tak samo. Herakles, spuszczaający się do podziemia i uprowadzający psa piekielnego, Cerbera, to znowu słońce, i pochod podziemny, i tryumf nad nocą. I tak dalej. Wobec podobnych eksperymentów nie dziw, że, parodując je, i dzieje Napoleona I-go, a nawet biografię Maxa Müllera mitycznie wytłómaczono, uznano w nich bohaterów słońca lub błyskawicy.

Oto przesłanki, metoda i wyniki mitologii „porównawczej.“ Uderza natychmiast dziwna jednostronność pierwotnych Indoeuropejczyków, którzy w całej przyrodzie tylko od zjawisk słońca lub burzy wrażenia odbierali; obok tej jednostronności zdumiewa tem bardziej niesły-

chane bogactwo wyobraźni, która jeden w gruncie motyw w tyle odmian przerobić i przetopić mogła; musimy wyznać ze wstydem, że komedyo- i powieściopisarze wszystkich wieków nie potrafili tak urozmaicić swych nierównie bogatszych i liczniejszych motywów. Dalej zastanawia zupełna dowolność tłumaczeń: ten sam mit, te same dane językowe odnosi Müller do słońca, Schwartz do burzy, obaj tak przekonywająco, że mimowolnie nasuwa się podejrzenie, czy też nie obaj równo się mylą? tem bardziej, gdy dane językowe, podpora jednego i drugiego, przy ściślejszem badaniu okazują się, albo mylnemi, albo chwiejnemi. Główna podstawa mitologii porównawczej, etymologia, zawiodła zupełnie.

Najpierw bowiem, gdyby Indoeuropejczycy wyrobili byli jeszcze wspólnie liczniejsze bóstwa i mity, to należało-by oczekiwać z wszelką pewnością, że w szczególnych językach znajdują się takie wspólne nazwiska bóstw i heroów. W istocie zaś takich nazwisk niema; każdy szczep indoeuropejski ma dla swych bóstw lub heroów własne nazwiska, nie powtarzające się u innych; jedyny wyjątek stanowi chyba nazwa boga—nieba, Zeus Djaus (D)jovis, chociaż i ta spólność może nie dowodzi jeszcze spólnego kultu najwyższego boga niebios, tem mniej spólnych mitów, które-by o nim opowiadano! Innych niema, bo że tam dla nieba, zorzy, słońca, księżyca, ognia, węża, bydła, konia i t. d. powtarzają się nazwy w językach indo-europejskich, to nie wynika z tego bynajmniej spólność kultu i mitów tych zjawisk, ciał i zwierząt. Widoczną lukę tę zapełniono wprawdzie licznemi etymologiami nazw mitycznych, które przedstawiają tę dogodność, że nie liczą się ze znaczeniem (czego się od innych etymologii wymaga), tylko z brzmieniem; mimo to, nie zdołała się żadna z nich utrzymać. Tak upadły bezpowrotnie równania mityczne Maxa Müllera, np. nazwy greckich Charyt (Gracyi) i indyjskich Harit (koni słonecznych), Ateny i indyjskiej Ahana; lub Kuhna, np. greckich Erynii i indyjskiej Saranju, Hermesa i indyjskiego Sarameja (nazwa psa w podziemiach Jamy), Prometeusza, który ludziom ogień sprowadził, i indyjskiego pramanthas, narzędzia do tarcia ognia z drew i t. d. Ale etymologia nie tylko nie zdołała wyszukać spólnych nazw dla bogów i heroów, nie dowiodła więc wspólności samych bogów i heroów; ona dotąd zawodzi nawet w objaśnianiu nazw poszczególnych języków, np. greckich; nazwy całego niemal Olimpu: Ateny (kwitnąca, stąd miasto Ateny, tyle, co Florencya?), Apollona, Hefesta, Hery, Hermesa i wielu innych, pozostały dla nas takąż zagadką, jaką były dla Greków przed dwoma tysiącami lat.

W samę podwaliny mitologii „porównawczej“ godzi jeszcze inny argument: skoro wzniesiono wzrok po-za granice szczepów indo-europejskich, pokazało się (częściowo już Jakóbowi Grimmowi), że mity, których spólność tylko ze źródła indo-europejskiego wypływać miała,

powtarzają się u ludów całkiem obcych; że granice językowe nie spadają się więc z granicami mitów; że podobna budowa mitów rozszerza się daleko po-za kresy podobnej budowy języka; mity greckie, indyjskie, italskie powtarzają się nieraz wcale dokładnie między mitami N. Zelandyi, Meksyku, Peru, Finlandyi; podobieństwo więc mitu greckiego z indyjskim nie wyklucza niezawisłości pochodzenia, nie trzeba ich koniecznie z jednego źródła wywodzić. Gdy lingwistyka porównawcza w obrębie samych tylko języków indo-europejskich dociera do pierwiastków, które dalszej analizie już nie podlegają, mitologia do takich pierwiastków dotrze dopiero wtedy, gdy, porzuciwszy ciasne granice indo-europejskie z ich mitami późnemi, wyrodzonymi, szczątkowemi, wciągnie w zakres badania mity całej ziemi, stanie się naprawdę porównawczą.

Są jeszcze i inne zarzuty, które mitologii Müllera i Schwartza przeciwstawić można: co ona stosuje tylko do słońca lub burzy, można z tem samem prawem i do innych jeszcze zjawisk odnosić, i tak się stało rzeczywiście; dalej: pomniki, z których ona bez zastrzeżeń niegdyś czerpała, wcale nie są tak przejrzyste, jasne, jak dawniej mniemano, i in. Mimo tych skrupułów, nie wahamy się jednakże zaznaczyć ważnych usług, jakie zwolennicy tej teorii oddali umiejętności naszej: oni rozszerzyli pierwsi ciasne kółko mitów i pomników greckich i rzymskich; wciągnęli do żywej dyskusyi Sagi, Awestę i Wedy; wskazali na analogie u szczepów bliższych i dalszych: niejeden szczegół szczęśliwie wytłómaczyli; wywołali wielki ruch na całym polu. Również nie przeczyliśmy ważności etymologii: gdzie nazwa boga lub półboga tkwi w mieście lub kulcie, tam odszukanie jego pierwotnego znaczenia rzuca rzeczywiście snop światła na sam mit lub kult; osobliwie cennymi stają się jej wskazówki, gdy chodzi o uchylene mylnego tłómaczenia, podsuwanego niekrytycznie przez starożytnych, lub nowszych badaczy; wypada nam tylko wymagać, by od praw głosowych, obowiązujących dla całego języka, nie czyniono wyjątków dla nazw mitycznych, którym znakomici nawet uczeni (np. Benfey) osobne jakieś przywileje warować chcieli.

VI.

Jeden z głównych przedstawicieli mitologii „porównawczej,” W. Schwartz, zapoczątkował inny kierunek. Widzieliśmy wyżej, jak bracia Grimmowie w tradycyi ludowej niemieckiej obficie źródła dla mitologii odkopali. Ale u Grimmów dzisiejsza tradycja, to tylko zanik i uwiad pierwotnej pogańskiej; postaci, któremi wyobraźnia ludowa wszystko

zaludnia, potwory i strachy, olbrzymy i karły, nikszy i koboldy, mężowie leśni i duchy domowe, dziki strzelec i jego polowanie, przedstawiają raczej skarłowaciałą, zeszpeconą Walhallę dawną,—to tylko zdrobniałe, skrzywione, zakopcone odbicia dawnych bogów: Wodana, Frei i Tora; dawnych półbogów i bohaterów: Sigfrida Wilanda i Ditryka; a wspaniałe mity i podania o nich przekształciły się w śmieszne, dziecinne, fantastyczne bajki, dla których niema już słuchaczy, chyba wnuki u kolan staruszki, lub baby wiejskie w długie wieczory zimowe. Tymczasem zastanawia fakt, że właśnie owe mniej wyraźne, nikłe, nieforemne kształty ludowej wyobraźni powtarzają się wszędzie; można je odszukać w świecie klasycznym, w jego Nimfach, Dryadach, Satyrach, Sylenach, Faunach; co Niemiec o Niksie, Słowianin opowiada o topielcu; bajki o karłach i olbrzymach powtarzają się wszędzie i t. d. Skądże-by to rażące podobieństwo, gdyby dzisiejsza tradycja ludowa była zjawiskiem tylko pochodnem, przypadkowem, późnem? Rzecz się ma raczej odwrotnie: wielcy bogowie pogańscy i bogate o nich mity rozwinęły się dopiero z czasem z owych niepozornych postaci, jakimi fantazja każdego gminu po dziś dzień zapełnia i zaludnia wody i lasy, góry i rzeki, pola i izby; one-to i co się o nich opowiada, o zmorach, nimfach, nereidach, panach, faunach, urosły dopiero w bogów Olimpu i Walhali i w mity o nich; kapłaństwo, rycerstwo, poezya, tym mitom hołdując, nie znają owych arcywzorów; za to prosty lud przechował wierniej te pierwotne wyroby fantazyi, w których związek z przyrodą tak dotykalny, a które w treść wyższą, uduchowioną, tak jeszcze ubogie. Chrześcijaństwo podcięło za jednym zamachem wielkich bogów pogańskich i mity o nich, za to nie wykorzeniło po dziś dzień wiary w demonów i duchów, od których zawisły dostatek w izbie i stajni, urodzaj na polu i w sadzie, połów w lesie i wodzie. Tak więc przekształciły się nasze wyobrażenia: to nie bóstwa zmalały w karły, zmory, duchy, czarownice, to nie mity o bogach i półbogach wyrodziły się w bajki i baśnie; ale, na odwrót, z karłów i zmór, demonów i duchów, wyrosli bogowie, z marnych bajek kurnych chat rozkwitły mity „Iliady“ i sag północnych; mitologia wyższa z bogami i półbogami jest płodem kultury pochodnym, późnym; mitologia niższa z demonami i duchami jest płodem barbarzyństwa wczesnym, pierwotnym. Teorię tę rozwinął najkonsekwentniej Mannhardt, zwolennik niegdyś Grimmów, później Schwartza; on pierwszy wykazał szerokie rozgałęzienie kultu drzew u narodów północnych, potem i u południowych; obrzędy, obchody, igrzyska rolnicze narodów klasycznych, germańskich i słowiańskich on rozpatrzył najdokładniej i wywiódł znamienne ich rysy, powtarzające się wszędzie, nawet po-za Europą, u Semitów i w Ameryce, a przekonał nas, że mity o Tetrydzie, o Andromedzie, o Hezyonie i inne, to te same bajki, które

dziś jeszcze mamki dzieci zabawiają; z jego nazwiskiem łączymy głównie teorię demonizmu. Ale w zastosowaniu tej zasady ujawnił się grzech pierworodny każdej teorii mitologicznej—jej jednostronność. U Mannhardta demon roślinności (*Vegetationsdämon*) i mity, wzorujące jej dzieje roczne, tak dalece przeważają, że w końcu wszystko w nich się rozplywa. Jak niebezpiecznem, złudnem jest takie uogólnianie, dowodzi, co Ludwik Leistner w obszernem dziele (*„Das Rätsel der Sphinx. Grundzüge einer Mythengeschichte,“* dwa tomy, 1889) obrał, by zagadkę nie tylko sfinks, ale niemal wszystkich bóstw i mitów rozwiązać. I dla niego, jak dla Mannhardta, postaci dzisiejszej tradycji ludowej są starsze, niżeli bóstwa Homera i Ed; ale już nie roślinność, jej losy i śmierć, lecz życie sennie, głównie zaś zmora, trapiąca w północ i o południu, w izbie i na polu, wychodząca z wody i lasu, przemieniająca się w zwierzę i człowieka, którą pochwycić i do pożycia zmusić można—ona-to podsunęła wyobraźni ludowej kształty, napełniła je życiem, rozwinęła rzecz o nich z czasem w liczne, bogate treścią motywy. Dla Leistnera niema już bóstwa i mitu, których-by się pokrewieństwo lub pochodzenie od zmór nie zdradzało: sam atrybut: laska, pas, włosy, wystarcza, by Hermesa, Afrodytę, Demetrę o charakter zmory podejrzywać; etymologia, cierpliwa służebnica każdej teorii, dowodzi toż samo; pojedyncze rysy mitów potwierdzają teorię, a nadzwyczaj zręczne jej przeprowadzenie wywołuje u czytelnika zupełną ułudę, że zostaje nie na byle jakim manowcu, lecz na bitym torze początku i rozwoju mitów. Ścisłej jeszcze kroczy w ślady Mannhardta J. G. Frazer (*„The golden bough“—Złota gałąź,*—dwa tomy, Londyn, 1890), który też wyraźnie zaznacza, że dzisiejsza tradycja ludowa starsza i obfitsza od źródeł starożytnych; wychodzi on od barbarzyńskiego zwyczaju rzymskiego, wedle którego kapłaństwo w gaju nad jeziorem Nemi (pod Arycą) obejmował morderca poprzedniego kapłana; ten kapłan, to król wegetacyi, który starzeć się nie powinien, lecz w sile wieku ustąpić silniejszemu; podobne pojęcia króla wegetacyi i królobóstwa śledzi autor po całej ziemi i objaśnia mity z tej zasady, tak dalece, że w końcu i Jowisz staje się tylko wyrazem ognia, ześpichrzonego w dębie. Dzieło ciekawe dla materyału, nie dla wniosków, do jakich dochodzi.

Połączenie teorii demonistycznej i meteorycznej przedstawiają dzieła E. H. Meyera (*„Indogermanische Mythen, I. Gandharven—Kentauren; II. Achilleis,“* 1883 i 1887; *„Germanische Mythologie,“* 1891), które rozwijają zupełny system mitologii, od jej pierwszych początków do najbujniejszego rozgałęzienia. Pierwotną wyobraźnię poruszają tylko zjawiska i zdarzenia, w których się łączą coś zagadkowego, tajemniczego, jakaś wymiana sił lub kształtów, rażąca zmysły, i jakiś silny, bezpośredni lub pośredni wpływ na człowieka i jego pomyślność; takie-

mi bywają zjawiska śmierci, snu i zmory, wiatru, chmur i burzy; znacznie mniej, lub wcale nie, wszelkie inne; wrażenia te oddawano w przenośniach, mówiono o zjawiskach, jako o rzeczach, zwierzętach, osobach, ich następstwo stawało się szeregiem czynów, dziejami, powieściami; z takich komórek mitycznych wzrastał organizm mityczny. Składa się on z wierzeń niższego rzędu, jakimi zadawałnią się ludy myśliwe i pasterskie: z wiary i kultu dusz, zmory, demonów przyrody (w kształtach zwierzęcych lub ludzkich, w otoczeniu atmosferycznym, przedstawionem jako drzewo, góry, kocioł, później mury i in.; wierzenia te potęgują się i przekształcają: niegdyś mgliste, niewyraźne demony przybierają coraz więcej rysów indywidualnych i duchowych; dzielą się według płci, stopniują; z najwybrańszych, najmożniejszych demonów, skupieniem kilku, pogłębieniem, mianowicie etycznym, powstają pod wpływem kapłaństwa bogowie, pod wpływem wojowniczych drużyn herców, zlewający się z historycznymi postaciami tradycji w bohaterów. I ta próba pogodzenia dwóch metod rozbija się już o jednostronność autora, który wszędzie i zawsze bohaterów (bogów) błyskawic (Blitzheros) i kobiety obłoczne (Wolkenfrau) znajduje: Sigfrid np., bohater błyskawicy, której nic zranić, ani przemódz nie zdoła, zdobywa mieczem-błyskawicą kobietę obłoczną (zmieniającą kształty, rozszczepioną więc później w Brunhildę i Kriemhildę), ale przy głośniej uciece-burzy jesiennej zabija go po ostatnim trunku ze studni obłocznej jednooki demon burzy (Hagen); tak samo tłómaczy się podanie o Beowulfie, ginącym w jesieni, gdy miecz-błyskawica skruszył się; o Walgierzu udałym i in. Jeszcze dziwniej tłómaczy autor znany motyw z „Lohengryna“ lub „Meluzyny:“ kobieta-elf-obłok łączy się z mężem-elfem-burzą w *cichym* a płodnym deszczu-małżeństwie i ciszy po burzy (nie wolno o nic pytać i badać), ale nowy grzmot (niedyskretnie pytanie) lub nowe obłoki (kobieta-elf odzyskała skrzydła i t. p.) rozrywają ciche dotąd pożycie. Również niefortunne są etymologie autora, naciągane wyłącznie, nawet w imieniu Zeusa, do burzy i gromów. Że Kentaurowie są demonami burzy, że Achilles błyskawicą, rozumie się samo przez się, ale z mitem o Achillesie połączono mit o Helenie-zorzy, mity o wicherach i obłokach; wszystkie te mity wyrobił jeszcze szczep indo-europejski, szczątki ich odnajdziemy więc wszędzie: u Celtów, Słowian i indziej.

Trwałe zasługi zdobył Mannhardt, pomijając trafne poglądy na powstanie wielkich bogów i mitów, głównie na polu kultu i obrzędów, tłómacząc ich szczegóły i wykazując ich panowanie po ziemi; do mitologii wprowadził nowy czynnik, ale wagę jego stanowczo przecenił. Śmierć przedwczesna nie tylko nie dozwoliła mu wykonać dzieła o zwyczajach i obrzędach rolniczych europejskich, do których olbrzymi ma-

teryał był zebrał, lecz nawet przeszkodziła ostatecznie zdefiniować mit; w wyteżonej pracy postępując ciągle, zmieniał Mannhardt nieraz metodę, nie wahając się przyznać do tego; ze wzmianek w ostatnich pracach widać, że podstawowe pojęcia jego nie różniły się od pojęć szkoły antropologicznej.

VII.

Gdy się tak wyłuszczone dotąd teorie mieniały, ścierały, znosiły, wzrastała tymczasem nowa umiejętność, folklor, czyli ludoznawstwo, odprysk dawniejszej etnografii (antropologii), wkraczająca w dziedziny innych umiejętności, dawnej historii kultury, nowszej socjologii i nauk filologicznych, poświęcona ludowi, jego wierzeniom, podaniom, całemu życiu umysłowemu, obrzędowemu, zwyczajowemu i ich pomnikom materialnym lub tradycyjnym; nie ograniczamy bowiem folkloru, jak to nieraz bywa, do ustnej tradycyi ludowej. Kolebką jej Anglia i bogata antropologiczna literatura angielska, zwracająca się najchętniej ku ludom dzikim lub barbarzyńskim, by łatwiej śledzić początki ustroju familijnego i społecznego, wszelkiej kultury i sztuki, wiary i mitu. Antropologia i folklor, szeregując i porównywając zjawiska wszelkich czasów i ludów, miały niebawem odwojować u filologii klasycznej i porównawczej pole mitologii, które ona mniej słusznie sobie przywłaszczała, i zepchnęły ją teraz do rzędu umiejętności pomocniczych.

Dawno bowiem spostrzeżono, że np. w mitologii greckiej widoczne są ślady i resztki mitów, znanych narodom dzikim. Już misyonarz jezuita Lafiteau („Moeurs de sauvages,” 1724 r.) to zauważył, a prezydent De Broses („Dieux fétiches,” 1760 r.) wykazał na przykładzie religii egipskiej, że jej kult zwierząt jest szczątkiem wierzeń i zwyczajów, wynikających z umysłowego stanu u dzikich, powtarzających się u Murzynów; uwzględniał on przytem wszystkie inne wierzenia, wyłączając hebrajskie. Ścieżki tej i później nie zarzucono zupełnie, Jakób Grimm np. nie wahał się w „Mitologii” wskazywać na równoległe zjawiska po-za indo-europejskimi narodami, szczególnie u Finnów; Mannhardt czynił to konsekwentniej i wypowiedział wyraźnie, że badanie niższych ras jest nieocenionem narzędziem dla tłumaczenia szczątków, znanych u ludów cywilizowanych, a pochodzących od czasów odległego fetyszyzmu i dzikości; powoływał się przytem na Tyłora.

Antropolog E. B. Tylor („Primitive Culture,” rok 1870) postawił pierwszy twierdzenie, że mity wzrosły w stanie dzikości, panującym niegdyś po całej ziemi; że pozostają stosunkowo niezmiennymi między dzisiejszymi dzikimi, podczas gdy wyższe i późniejsze cywilizacje, za-

chowując ich zasady i wyniki w oddziedziczonej tradycji, nie tylko je cierpiały, ale i szanowały; dzicy żyli i żyją dotąd w stanie umysłowym, tworzącym mity; z nieznajomości i niedbania o to, jak i przez kogo mity się tworzą, zagrzebały grzyzy komentarzy naiwną ich filozofię. Zasady te ogólnie dziś przyjęto, ale w szczegółowym stosowaniu rozchodzą się i antropologowie. U Herberta Spencera („*Principles of sociology*,” 1877 r.), wyprowadzającego kult i religię z kultu przodków, odżył dla tłumaczenia mitów dawny euemeryzm, którego próby daliśmy już we wstępie. Co o człowieku, zwanym „słońcem, burzą” opowiadano, przeniesiono później na prawdziwe słońce i burzę; tak nadano im osobistość, wyposażono je w ludzkie pochodzenie i przygody: dla tradycji o przywędrowaniu z gór, z za morza i t. d. stali się ludzie potomkami gór, jezior, morza, słońca; ludzie zwali się lub dostawali przydomki niedźwiedzia lub wilka, w końcu uważali się potomkowie ich za zrodzonych od niedźwiedzia lub wilka. Tak stają się kult i mity przodków kultem i mitami przyrody; niezmienną tradycją ustną (słowa i nazwy) przybiera nowe znaczenie; tylko podmioty zmieniają się, nie zaś co się o nich orzeka. Mity polegają więc ostatecznie jakby na nieporozumieniu językowym. Inne przykłady, tak wywód postaci Zeusa i jej atrybutów z tradycji, przywiązanej do wojowniczego naczelnika rodu, jakim był np. dziad Rentap u Dajaków na wyspie Borneo, przypominają żywcem fantastyczny romans o Panchai. Cośmy tam przeciwko euemeryzmowi powiedzieli, da się i tu zastosować; nieludzkie i nadludzkie szczegóły mitów pozostają niewyświecone, zastanawia też rola, jaką się wszechwładnej niby pamięci przypisuje; niewytłómaczone też jest wobec tak ściśle określonego początku mitów (z ludzi pojedynczych lub nazw ich), takie nieokreślone ich rozszerzenie się po ziemi.

Inną nieco drogę obrał Juliusz Lippert („*Der Seelencult in seinen Beziehungen zur althebräischen Religion*,” 1881; „*Die Religionen der europäischen Culturvölker*,” 1881; „*Allgemeine Geschichte des Priestertums*,” dwa tomy, 1883 i 1884). I op tłumaczy z kultu dusz początek i rozwój religii; w szczegóły mityczne nie zapuszcza się, za to ustala znaczenie każdego bóstwa i przeprowadza swój system, z zaciętą jednostronnością, ale i dziwnie konsekwentnie, od niemowlęstwa religijnego do najwyższych stopni. Zjawiska śmierci uczą człowieka odróżniać od ciała życie—duszę, lub oddech (siedziba jego w krwi, a więc i pożywienie z krwi, stąd kanibalizm); dusza, opuściwszy ciało, staje się duchem groźnym a gniewnym, mogącym szkodzić, jeśli go się nie zniszczy spalaniem, lub nie przebłaga troskliwym pielęgnowaniem, nie pochowa w domu żywych, nie posili pokarmem żywych; ale duch pojawia się znowu i gdzieś, jak się to we śnie widzi, obiera za nową siedzibę gady, dzikie zwierzęta, pobliskie drzewa, góry, rzeki, lub przedmioty,

towarzyszające mu za życia: broń, kij i t. p.; w nich więc pielęgnuje się ducha, służy się jemu, co też duch nagradza; obecność ducha poznaje się po sile, wychodzącej z przedmiotu; przyniewalać ducha do okazywania tej siły nazywa się czarowaniem. Oto elementa fetysyzmu; największymi fetyszami stają się: ziemia, w którą duchy wchodzą, dalej niebo i ciała niebieskie. Równocześnie ześrodkowuje się ogólny kult duchów w kult przodków, a z tego rozwija się kult przodków potężnych, panów, władców, przechodzący w końcu w kult bóstw. Nazwy bóstw oznaczają z reguły, jeśli nie ducha, to przodka, matkę, ojca, szczególnie zaś pana, panią, władzcę, bogacza; Zeus, Hera, Gott, Bóg są nazwami ogólnymi; ile rodów i szczepów, tyle Zeusów, Her, Frej i t. d.; osobnych zakresów działań im się nie przypisuje, od każdego wymaga się i oczekuje wszystkiego; zlewanie się szczepów, podboje, zetknięcia z obcymi wywołują wielość kultów i bóstw u jednego ludu i ich szeregowanie genealogiczne; treść do bajek o nich czerpie się z podań o bohaterach, powieść o bogach jest tylko powieścią o ludziach; bóstwa podziemne i takie, jak Demeter lub Hermes, należą do szczepów podbitych, nadziemskie do zwycięskich. Przeważał w bóstwie kult przodka, to stawało się ono samo przodkiem bogów i ludzi; przeważał zaś fetysz, ciało bóstwa, to wciskały się pojęcia z przyrody do genealogii bóstw. Religia przyrody nie istniała na ziemi nigdy i nigdzie; obok kultu duchów istniały podania o czynach i losach, opowiadane bez nazw, lub, jeśli treścią była otaczająca przyroda, bajki, opowiadane o ziemi, niebie i t. d.; z kultu dostawały się nazwy (bóstw) do podań i bajek; dzieje kultu wywoływały nowe bajki. Np. znaczenie mitu o Kronosie może takie: na Krecie i indziej panował w rodzie królewskim chłoniczny (ziemski) kult Kronosa, ale z Krety wychodziły, jak Wikingi ze Skandynawii, rody i drużyny z własnymi kultami, np. Zeusa, na zdobycze do wybrzeży Azyi Mniejszej; tu, pod wpływem i z pomocą ludów azjatyckich, podnosi się w nowych państewkach chłoniczny kult Zeusa do uranicznego (niebieskiego); drużyny nowego kultu zrzuciły w końcu starą dynastję na Krecie, która niegdyś rościła sobie panowanie nad nimi i na obczyźnie, czyli w mowie mitu: Cyklopowie, pomocnicy Zeusa, ukuli nową broń dla niego; posiadłszy ją, zwalczył teraz Zeus (kolonii) Kronosa na Krecie, czy gdzieindziej, mimo pomocy, której chłoniczni Tytani Kronosowi udzielali. I tak wróciliśmy szczęśliwie na stanowisko, które niegdyś Banier zajmował, do historycznego tłómaczenia mitu (por. „Priesterthum,” II, str. 497—509, już przedtem Emanuel Hoffmann w dziele „Kronos und Zeus,” 1876 r. mit tak wyłożył; W. Müller: „Mythologie der deutschen Heldensage,” 1886 r., „Zur griechischen und deutschen Heldensage,” 1889 r., podobnie mity o bohaterach objaśnia, upatrując w nich przedstawicieli, symbolizujących ludy i kraje).

Na takich-to przykładach stwierdzamy najłatwiej, w jakie bezdna zabrnął bystry badacz, trzymając się niewolniczo jednej zasady. Najtrafniejsze spostrzeżenia jego odnoszą się też nie do mitów, waga ich spoczywa w tłómaczeniu szczegółów kultu, świątyń, kapłaństwa, w wykazywaniu wspólnego niegdyś ich pierwiastku.

Inny kierunek zapoczątkował Tylor: zgromadził on nadzwyczaj obfity materiał, wyjaśnił ogólny związek, wszystkie główne linie i punkta sam wytknął; jego zasady i myśli rozwinął tylko i zastosował najobszerniej, w całym szeregu mitologii od najprostszych do skomplikowanych, Andrew Lang w szkicu „Mythology“ w „Encyklopedyi Brytańskiej“ (rozszerzonym znacznie w przekładzie francuskim, „La mythologie“, 1886), w artykułach, zebranych pod tytułem „Custom and Myths“, 1885, najgruntowniej zaś w dwutomowym dziele „Myth, Ritual and Religion“ (1887). Główne wywody są następujące. Mit jest czemś tak dawnem i skomplikowanym, że próżno szukać przyczyny każdego zjawiska, należy raczej odnaleźć stan umysłu ludzkiego, któremu-by nieracjonalne elementa mitu odpowiadały. W mitach bowiem różniamy łatwo racjonalne, zrozumiałe, i nieracjonalne, niezrozumiałe elementa; do pierwszych liczymy np. pojęcie Zeusa olimpijskiego, wszechwidzącego, zsyłającego powodzenie, karzącego przestępców, nie pojmujemy zaś tegoż Zeusa, występującego w postaci zwierząt lub chmur, w powieściach poprostu obrzydliwych, trwożliwego, zranionego, pochowanego na Krecie. Otóż wykazuje antropologia, że cała ludzkość przechodziła stan, w którym szczegóły ludożerstwa, przybierania postaci zwierzęcych i t. d. odpowiadały jej poziomowi umysłowemu; wstrętne lub oburzające dla późniejszego Greka, powtarzają się one w mitach dzikich ludów; mimo wyszlachetnienia moralności i pogłębień wiedzy, nie śmiała tradycja odrzucać szczegółów, uświęconych wiekami, dochowanych z tych czasów, kiedy Grek był jeszcze dzikim. Jakież są cechy tego poziomu umysłowego? Najpierw nie odgranicza człowiek ściśle siebie od reszty świata, przypisuje duszę, jak sobie, tak zwierzętom, roślinom, dalej nawet skałom, rzekom, ziemi i ciałom niebieskim; w ich istnieniu, przejawach i przemianach uznaje myśl, wolę, nawet mowę, dalej rodzaj, członki, narzędzia (teorya animizmu); przemiana ludzi w zwierzęta i t. d. wydaje się wtedy naturalną, tak samo pochodzenie od nich (tak zw. totemizm, rozszerzony po całej ziemi, regulujący stosunki rodzinne i społeczne), powtarzające się u Greków w mitach, np. o Myrmidonach, pochodzących od mrówek, lub w zwierzęcych atrybutach bogów. Inną jego cechą jest wiara w czary: świat i jego zjawiska ulegają władzy czarodziejów, którzy wywołują niepogody, zamieniają siebie lub innych w rozmaite kształty, obcuja z umarłymi; moc tę przypisuje się też postaciom i istotom, działającym nad i pod ziemią,

w słońcu lub morzu, Zeusowi np., z tą tylko różnicą, że życie tych istot, z początku tylko trwalsze, niż człowiecze, w końcu jest wieczne. Dalej zadawała się ciekawość dzikiego co do otaczających go zjawisk, ich przyczyn i związków, najprostszymi odpowiedziami: słońce krąży po niebie,—oczywiście jakiś czarodziej zmusił je do tego, bijąc tak długo, aż się do wolnego biegu przyuczyło; tak powstają niezliczone powiastki, tłumaczące bieg ciał niebieskich, właściwości zwierząt lub roślin, fantazyja niewyczerpana kombinuje coraz inaczej pojedyncze dane, proste ich następstwo uważa zawsze za przyczynowe; przenośni, zapomnienia pierwotnego znaczenia słów niema tu żadnych, ale też żadnego religijnego elementu, który wciska się później; skąd zaś powstaje religia, wiara w bóstwo, nie naszą rzeczą dochodzić, przyjmujemy ją jako daną; obok religii istnieje mit, w religii uznajemy racjonalny, w micie nieracjonalny czynnik. Na najniższym stopniu, u Australczyków, Buszmanów, Indian, znajdujemy w bóstwach nie siły przyrody, lecz raczej wyidealizowanych, powiększonych ludzi (lub zwierzęta), najczęściej w postaci zwierząt, ale z ludzkimi namiętnościami i przymiotami. Wyżej stoją bóstwa, uosabiające w postaci zwierzęcej lub ludzkiej siły przyrody, słońce, niebo, wiatr i t. d., są to nieraz tylko poprzednicy dzisiejszych ludzi na ziemi, rasa pierwotna, olbrzymia; tu należą bóstwa maoryjskie i inne. Jeszcze wyżej wznoszą się bóstwa Azteków, Inkasów, Finnów: przy wzrastaniu kultury, podziału pracy, organizacyi społecznej i państwowej, przystępują do bóstw dawniejszych nowe, opiekujące się rolnictwem, przemysłem, sztukami; od uosabiań słonecznych oddziela się teraz słońce, rysy ich ludzkie skupiają się i usamoistniają w Apollinie, ciało niebieskie zostaje bez mitów w Heliosie, tak się oddziela Zeus od nieba i in.; tak powstają owe nieśmiertelne bóstwa olimpijskie w kształtach ludzkich, napełniają się oraz elementem etycznym, pochodzącym z religii, jednakże w micie, w kulcie, w sztuce zachowują baśni, obrzędy, kształty, oddziedziczone z czasów dzikości i barbarzyństwa, totenizmu, fetysyzmu, czarodziejstwa. Ostatecznie poezya, filozofia, kapłaństwo oczyszczają wiarę, podnoszą bóstwo do ideału, odróżniają, np. u Porfiryusza, boga zupełnie doskonałego i sprawiedliwego od demonów, którym się ofiaruje ludzi, o których się opowiada, że tułali się, służyli, grabili; dochodzą wreszcie, jak w Egipcie, do panteizmu. — Obok mitów, dotyczących przyrody, bóstw, śmierci i t. d., odpowiadających na pytania skąd? jak?, zastępujących niegdyś wiedzę, istnieją bajki, powieści, podania, nie będące odpowiedziami na żadne pytania podobne, fikcyjne nowelistyczne, romantyczne, heroiczne, rozszerzone po całym świecie. Czy wszędzie niezależnie powstały, czy nie przechodziły raczej z jednego lub kilku punktów od ludu do ludu za po-

średnictwem kupców, niewolników, kobiet innych szczepów, zostaje niewyjaśnionem.

Tak więc, wedle Tylora, Langa i folklorystów, kroczących ich śladami, do których we Francyi H. Gaidoz (wydawca „Meluzyny”) i in., u nas zasłużony kierownik „Wisły,” J. Karłowicz, w Niemczech A. Bastian, Liebrecht, R. Köhler, Fr. Krauss i in. należą, wynikają mity nie z jakiegoś nieporozumienia, zapomnienia, błędu w mowie, ale z błędów myśli nierozwiniętej, dzikiej, biorącej za realną przyczynę i skutek to, co tylko czasowo po sobie następuje, uogólniającej, co się w ścisłych zamyka granicach, przenoszącej ludzką wolę, myśl, siłę na otaczające przedmioty żywe i martwe, odnajdującej stosunki ludzkie na ziemi i niebie, dziecinnie ciekawej i marzącej. Tyle o teorii antropologicznej lub folklorystycznej; co nie przeciw teorii, ale przeciw jej stosowaniu w praktyce zastrzedz należy, wykażemy później.

VIII.

Dla zaokrąglenia tego przeglądu wypada nam jeszcze poznać kilka dzieł ogólniejszych, zasługujących na uwagę, tudzież przedstawić kilka opracowań specjalnych działów mitologii i kwestyi, jakie się w nich porusza.

Z pierwszych wymienimy znakomity, ze względu na bystrość sądu, rozległość wiedzy a oryginalność poglądu, utwór Ottona Gruppego „Die griechischen Culte und Mythen in ihrem Beziehungen zu den orientalischen Religionen“ (1887, tom pierwszy, obejmujący na 700 stronicach dwa rozdziały wstępu). Drugi rozdział, zawierający krytyczną analizę najdawniejszych pomników mitycznych (Wed, literatury egipskiej, fenickiej i t. d.), pomijamy; za to pierwszy polecamy pilnej uwadze badaczy.

Bada w nim autor wszelkie ważniejsze próby objaśniania mitów, poczynawszy od symbolizmu i eumeryzmu starożytnych, aż do metody antropologicznej, a zarazem i kwestyę powstania samej religii; kruszy wszelkie dotychczasowe argumentacy i daje wskazówki nowego poglądu. Wedle niego, religia wyszła w niezbyt odległej przeszłości z jednego miejsca, zewnątrz wędrując, a wewnątrz się przekształcając; jak zaś powstała, jak czczono bogów, upajając się, a spożycie tego napoju kultem było, gdzie miejsca tego szukać należy, jak stąd wynika podobieństwo kosmogonicznych i innych skomplikowanych, na poły filozoficznych mitów, nie naszą to rzeczą rozbierać; o mylności tej fantastycznej hipotezy jesteśmy przekonani. Świetną zaś nazwiemy krytykę

zasad mitologii porównawczej, demonizmu Mannhardta, rozmaitych teorii o pochodzeniu uczuć religijnych; natomiast dziwnie krótkowidzącą jest krytyka metod antropologicznych. Krytyka, twierdząca, że nieracjonalne elementa mitu musiały-by być przy podniesieniu stanu kultury niezwłocznie zagaść, ponieważ każda społeczność wymaga opowiadań, stosujących się do jej poziomu, nie liczy się z konserwatyzmem religijnym mitu, ani z faktem, że bajki po dziś dzień istnieją, choć wszędzie ledwie odpowiadają poziomowi kultury tych, co je przechowali w pamięci; podobnie pozostaje w obrządku używanie nożów kamiennych, ofiar ludzkich (złagodzonych nieraz do ofiar niewolników, jeńców, zbrodniarzy, kropel krwi, wreszcie lalek), rozdzierania żywego wołu (w kulcie Dyonisa), lub inne wybryki i bezecności pierwotnego barbarzyństwa i na wysokich stopniach kultury. Krytykę teorii Lipperta mogli-byśmy pominąć, zwraca się bowiem głównie przeciw wywodzeniu uczuć religijnych ze strachu przed śmiercią, ponieważ—tu przebija romantyka niemiecka—człowiek nie bojaźliwem stroniem przed niebezpieczeństwem, ale w walce z niem, w poczuciu swej siły, przyrodę zawojował; w fetyszyźmie upatruje autor, jak Max Müller i in., degenerację z wyższych stopni religii, nie ich prototyp, w kulcie zwierząt i roślin—symbole; prastara ofiara dla bogów nie mogła powstać z późnej ofiary dla umarłych; kultu umarłych nie odnajduje się w starszej literaturze wedyjskiej i greckiej (rzeczywiście niema go, prócz wyjątków, u Homera, ale jak prastarym i silnie zakorzenionym był w Grecyi, dowodzi dzieło Erwina Rhodego: „Psyche, Seelenkult und Unsterblichkeitsglaube der Griechen,” tom I, 1890; to samo tyczy się kultu przodków w Indyi). Zbyt wielki nacisk kładzie dalej autor na tożsamość mitów ludzkości, nie uwzględniając znacznych różnic; takież podobieństwo bajek tłómaczy przestarzałą metodą Benfeya, wyprowadzającą bajki z Indyi, a więc drogą zbyt późnych zapożyczań. Te i podobne zarzuty dowodzą nam tylko uprzedzenia, z jakim badacz nawet takiej siły, jak Gruppe, do tej części swej pracy przystąpił.

Sława autora, niezaprzeczone zasługi, piękność formy, zapewniają każdemu występowi Maxa Müllera rozgłos i powodzenie; przypadły one też w udziale jego najnowszemu wykładowi o historii religii, „Gifford lectures,” mianym w uniwersytecie glasgowskim w latach 1888, 1890 i 1891, wydanym w oryginale i w tłómaczeniu niemieckiem („Natural Religion,” 1888, „Physical Religion,” 1890, „Anthropological Religion,” 1892). Już same tytuły wskazują, że chodzi tu głównie o religię przyrody i przodków, jej początki i rozwój; mimo to, zaczyna prelegent i o mitologię. Brzmienie kilku dawnych twierdzeń osłabił on teraz; stara się pogodzić teorię solarną i meteoryczną na tej podstawie, że np. Agni wedyjski (bóg ognia) nie tylko w słońcu, lecz i w błyska-

wicy się objawia; uznaje, że w całej masie nonsensu, który mitami nazywamy, tylko ziarenka mądrej myśli odnaleźć można; że podstawy ich naturalnemi się wydają, nienaturalnemi zaś stają się wskutek rozwoju i upadku, fantazyi i żartu, nieporozumień i umyślnych przekręcań; lubowanie się bab i dzieci w zagadkach i bajkach odegrało w rozwoju mitów ważną rolę. Ale najważniejszą rolę przypisuje Müller zawsze jeszcze językowi: pierwotna mowa obfitowała w synonimy, słońce np. nazywano i jaśniejącem, i żarzącem, i palącym i t. d.; gdy z nich później jeden dla słońca pozostał w użyciu, stały się tamte imionami wyższych osób, bogów, o których to samo, co o słońcu, opowiadano, o każdej z pewnemi odcieniami; tak powstały w Wedach bóstwa słońca: Surya, Savitar, Pushan i Vishnu, bóstwa burzy: Indra, Pardżanja, Brhaspati, w Grecyi bóstwa zorzy: Athena, Dafne, Eos i t. d. Opowiadać można zaś było o nich tem więcej, że te pierwotne synonimy były i homonimami, oznaczały zarazem różne przedmioty i zjawiska: „porywającym“ zwała się i burza, i koń, i wiatr, i ogień. Słowa pierwotne, jako pierwiastki, oznaczają tylko ruch, czynność: ogień znaczy „ruszający“, lub „ruchliwy“ „agilis“, sama nazwa wywoływała więc pojęcie o czemś, co porusza, jakiejś istoty wyższej, silniejszej, trwalszej, niż ludzka; pojęcia o takich istotach podyktował sam język, z czasem przekształciły się one w bóstwa, które w henoteizmie się w pojedyncze postaci krystalizowały; z ich mnogości w politeizmie podnosi się wreszcie myśl ludzka do monoteizmu. Jak język, tak i Wedy, którym Müller tyle lat pracy gorliwej poświęcił, zachowały dla niego dawne znaczenie, jako najstarszy (przynajmniej u Indoeuropejczyków) i najprzezroczystszy dokument religijny, obfitujący w wyobrażenia, które dla nas za pierwotne uchodzić muszą, gdyż nie znamy innych, z których-by wypływały; fetyszym i totemizm, którego w nich nie ma, jest późniejszą degeneracją, względnie urzędzeniem społecznem, nie wiążącym się wcale z religią.

Obok takich prac ogólnych, zaznaczmy pokrótce, co ostatnie lata na kilku polach specjalnych stworzyły.

Mitologia germańska znachodzi się w tem położeniu, co i słowiańska; brak jej dawnych, obfitych źródeł,—kilka sprzecznych, niedokładnych, niejasnych zapisek u Cezara, Tacyty i innych autorów wydają tylko luki, ale ich nie wypełniają. Jedna jej odrośl, ale późna i daleka, mitologia nordyjska, znana nam jest dokładniej z opowiadań i pieśni, zapisywanych od dwunastego stulecia, a sięgających dziewiątego wieku; główną jej kolebką—Islandya, od r. 1000 mniej więcej już chrześcijańska. Największą jest omyłką mitologów germańskich, od Jakóba Grimma (1835) do dzisiejszych, że nie odróżniają germańskiej i nordyjskiej tradycyi, że, przedstawiając nam pierwotne wierzenia pogańskie Germanów stałego lądu, posługują się pochodnemi wierzeniami

Skandynawii i odwrotnie; nowsze odkrycia archeologiczne, nowy materiał napisowy, dowodzą, jak bogatym był Olimp germański, jak odmiennym wedle szczepu i wieku, jak niebezpiecznie więc cokolwiek uogólniać. Inny błąd polega na tem, że, uzupełniając szczupłe dane starożytnych, ludową tradycję średniowieczną i dzisiejszą, nie uwzględnia się dotąd, ile do niej obcych elementów z południa za chrześcijaństwem się wdarło. Od kilkunastu lat zaś nie schodzi z porządku dziennego kwestya innego rodzaju. Już w przeszłym stuleciu Schlözer, Adelung i inni zaprzeczali wyłącznie pogańskiemu, czysto ludowemu pochodzeniu tradycyi nordyjskich, przedstawionych w Eddach; dopuszczali przymieszki elementów chrześcijańskich i klasycznych; zdawało się, że polemika Grimmów usunęła na zawsze podobne domysły. Tymczasem ożyły one za naszych dni: Norwegczyk Bang (1879 r.), za nim znakomity filolog Bugge (1881—1889, „*Studia*,” tłómaczone przez Brennera) dowodzą, że Wikingowie ze śmiałych wycieczek po Europie nie przywozili do domu wyłącznie sławy, złota i niewolników, ale że czepiały się ich nóg legendy żydowskie i chrześcijańskie, mity greckie i rzymskie i wpływały silnie na treść Edd. W obronie zagrożonej pozycji stanął Müllenhoff, wydając osobny (piąty) tom swych „*Starożytności*,” Szwed Rydberg i inni; usunęli oni wiele nietrafnych domysłów Banga i Buggego, ale wątpliwość pozostała. W najnowszych czasach przyłączył się wydawca „*Mitologii*” Grimma, E. H. Meyer, do Buggego i poszedł jeszcze dalej: w „*Völuspa*” (1889) objaśnia ten poemat, uchodzący za kanon mitologii nordyjskiej, jako sumę chrześcijańskiej teologii, przeniesioną do mitycznego języka skaldów; w „*Die eddische Kosmogonie*” (1891) rozwija obszerniej podania jej o początku świata ze starego testamentu i z Platona, o których uczony teolog islandzki ze św. Augustyna, Skota Erigeny, Honoryusza i innych średniowiecznych pisarzy się dowiedział; w najnowszym dziele („*Germanische Mythologie*,” 1891) z tych samych wychodzi poglądów.

Niepodobna się godzić na wszystkie twierdzenia i przypuszczenia Meyera; nadto są one sztuczne, wymuszone, nieprawdopodobne, wymagają od twórców północnych zbyt wiele nauki, traconej chyba daremnie; wpływem chrześcijaństwa na Eddy przeczyć jednak ryczałtem dziś już nie podobna. W szczególności nie możemy się wiele wdawać, ale że trójca: Odin, Vili i Ve, uformowana jest wedle chrześcijańskiej, że pojedyncze partyte mitu o Odinie, o Baldrze, mitu kosmogonicznego (stworzenia i końca świata), wzorowane są z tradycyi Biblii i Apokalipsy, ledwie może ulegać powątpiewaniu. Również wypada zaznaczyć, że niektóre postacie Walhalli całkiem, inne zaś szczególnymi cechami zdradzają późny, sztuczny wymysł skalda-poety, nie mający nic wspólnego z wiarą ludu, lub kapłana. Pomniki północnych mitów bardzo są więc dalekie

od pierwotnych, nieskażonych, nieprzetworzonych mitów germańskich; nie można brać jednych zatem za drugie, jak to Simrock i inni czynili; Meyer również nie ustrzegł się tego błędu, chociaż chciał się go pozbyć. O jego tłumaczeniu mitów germańskich mówiliśmy już wyżej; tu nadmienimy tylko, że zebrał on bardzo obfity materiał, wyłożył go tylko nadto treściwie i sucho, w formie podręcznika szkolnego; zbyt schematyzowanie, ustawianie bogów w działy i poddziały, nęci jasnością układu, ale nie przekonywa; we wstępie umieszczony jest krótki przegląd dotychczasowych prac o mitologii germańskiej.

Obok niej można-by wspomnieć o celtyckiej, gdybyśmy tylko coś pewnego o niej wiedzieli. Ogromny wpływ, jaki druidzi-kapłani na swe społeczeństwo wywierali, sroga barbarzyńskość kultu, arcyciekawe szczegóły nauki (wędrowki dusz np.)—tworzą zagadkę, której dla braku źródeł nigdy nie rozwiążemy. Napisał wprawdzie profesor Rhys wielkie dzieło o tej mitologii („Hibbert lectures,” 1886), w którym z licznych nazw bóstw, jakie starożytność nam przekazała, i z powieści celtyckich średniowiecznych jakąś całość chciał stworzyć, lecz starania jego pozostały bezowocnymi, bo chybione były w zasadzie: braku źródeł kombinacjami dowolnymi nigdy się nie zastąpi.

Na polu klasycznej mitologii wymienimy tylko wielki słownik mitologiczny, wydawany przez W. Roschera i licznych współpracowników w Lipsku od r. 1884, który dopiero w większej połowie jest ukończony: tłumacz tam bogów wprawdzie zawsze jeszcze wedle starych teorii solarnych i meteorycznych, za to materiał olbrzymi, zebrany nie tylko z pisarzy, ale z danych archeologicznych, zostanie zawsze trwałym pomnikiem skrupulatnej pilności i starannego opracowania przedmiotu („Ausführliches Lexikon der griechischen und römischen Mythologie,” Leipzig, 1884—1893; o sprawozdaniach z bogatej bardzo literatury specjalnej, choć często całkiem przestarzałej, wspominaliśmy wyżej).

Jak w mitologii nordyjskiej zakotłowało się od wzbudzenia sporów o wpływy chrześcijańskie, tak i w wedyjskiej dawny spokój domowy zakłócono. Gdy Roth, Kuhn, Max Müller i inni wedyści nie podejrzewali obrazów i stylu wedyjskich, widzieli w nich istotne i wyłączne odbicie walk i zjawisk przyrody, wniesli A. Ludwig, głównie zaś zmarły przedwcześnie A. Bergaigne („La religion védique d'après les hymnes du Rig-Veda,” trzy tomy, 1878 — 1883) całkiem inne poglądy na tę literaturę. Dla nich styl wed jest przenośny, hymn nie zwraca się bezpośrednio do zjawisk przyrody, lecz towarzyszy tylko obrządkowi ofiarnemu i tłumaczy go niemal, porównywając czynność kapłana i działanie ognia i somy ze zjawiskami przyrody; hymn więc jest późniejszy, niż ofiara, z niej się dopiero rozwinał; jego pojęcia i obrazy pochodne,

nie pierwotne. Ścisłego związku hymnów z kultem, nawet pewnej zawisłości, zaprzeczyć niepodobna, ale można zawsze jeszcze zapytać, czy sam materiał obrazów i myśli, z którego hymny czerpią, nie jest prastary, pierwotny.

Mitologia najstarszego narodu na świecie, najpobożniejszego zarazem i najwięcej konserwatywnego, jakim byli Egipcjanie, musiała-by przodujące zająć stanowisko, gdyby nie fakt, że początki mitów i religii gubią się w tym samym pomroku, jaki zasłania dotąd pierwotne dzieje i ustrój społeczny, sztukę i wiedzę Egiptu: już w pierwszych swoich pomnikach wyłaniają się one nam niemal temi samemi, jakimi je i w końcu wędrówki dziejowej Egiptu znachodzimy. Nie dziw więc, że przy braku danych pierwotnych, zrąb mitów i religii egipskiej można rozmaicie oceniać; niema też systemu, którego-by dotąd do nich nie zastosowano: podczas gdy się one dla jednych podnoszą do najwyższych koncepcyi, do monoteizmu i panteizmu, spadają według innych tylko do fetysyzmu, godnego dzikich ludów afrykańskich. Bogatej literatury dziewiętnastego wieku, poświęconej tej kwestyi, wyliczać nie myślimy; wymienimy tylko obszerne dzieło Henryka Brugscha: „Religion und Mythologie der alten Aegypter nach den Denkmälern“ (1884—1888) i Lanzonego: „Dizionario di mitologia egizia“ (Torino, 1881—1888), wyczerpujące wszystkie znane teksty i źródła. Brugsch nadaje religii egipskiej charakter jednolity; „czyn,“ „tworzenie“ uważa za podstawę jej pojęć o bóstwie i przeprowadza to konsekwentnie: ale jeżeli system taki licuje z pojęciami samych kapłanów czasów późniejszych, nie da się on pogodzić z pierwotnemi wierzeniami ludu, na które szczegóły mitu i kultu ciągle wskazują. W znakomitej recenzji dzieła Brugscha rozwinął też Maspero zupełnie inny pogląd na mity egipskie: połączył je z dzikimi pojęciami o budowie świata, z mnogością bóstw i kultów lokalnych, które nawzajem godzić i zlewać należało; tylko metoda antropologiczna zdoła, wedle niego, wyjaśnić te zagadki.

Zwracamy nakoniec uwagę na najnowsze publikacje zbiorowe i peryodyczne. Tu należą angielskie „Hibbert Lectures“ („Lectures on the origin and growth of religion“), od r. 1878 wychodzące; zawierają np. wymienione wyżej dzieło Rhysa o religii celtyckiej; Lepage-Renoufa o egipskiej, gdzie metoda lingwistyczna i teoria fizykalna Maxa Müllera zastosowane zostały; Maxa Müllera o znaczeniu Indyi dla religii; Sayce'a o religii assyryjskiej; dzieła o rozwoju chrześcijaństwa, o wpływie nań św. Pawła, Grecyi i Rzymu Renana, Effeiderera i innych. Dalej publikację niemiecką: „Darstellungen auf dem Gebiete der nichtchristlichen Religionsgeschichte,“ od 1890 r. raźnie postępującą; dotąd wyszło siedm tomów, między innemi rzecz prof. A. Wiedemanna: „Die Religion der alten Aegypter,“ w której autor zbyt trwo-

żliwie unika wszelkich własnych domysłów i zaciekań, zadawalniając się niewolniczym śledzeniem kilku wybranych tekstów egipskich; dalej dzieło prof. W. Schneidra: „Die Religionen der afrikanischen Naturvölker,” 1891, w którym przerobione są liczne wiadomości najnowszych podróżników, tylko ocena materiału wydaje nam się nieco optymistyczną: autor przecenia może nieco pojedyncze wylewy religijnego uczucia tych ludów; inne tomy poświęcone są dotąd dziejom Buddyzmu i Mahometa. Tu należy też wydawnictwo paryskie pod tyt.: „Revue de l'histoire des religions,” p. J. Réville, rocznie dwa tomy, ze współpracownikami, jak Maspero, Regnaud (do mitologii wedyjskiej), Halévy (do assyryjskiej) i in., odznaczające się cennymi rozprawami i licznymi recenzjami całej odnośnej literatury.

Oto zarys rozwoju naszej umiejętności. Z istnej powodzi dzieł, autorów, teorii, wybraliśmy, co na większą uwagę zasługiwało; staraliśmy się wyłożyć i wyróżnić dodatnie wyniki, a krytycznymi uwagami usunąć, co postęp umiejętności tamować, lub ją na manowce zwodzić miało; kierujące zasady przedstawimy w drugiej części naszej pracy, w której niejedną z poruszonych już kwestyi szerzej omówić wypadnie. Tutaj zaznaczymy jeszcze z wyrazem głębokiej wdzięczności, że liczne i cenne wskazówki dla swojej pracy zaczerpnęliśmy z dzieł Gruppego i Langa.

A. BRÜCKNER.

SIOSTRY.¹⁾

Zygmunt, w napadzie gniewu i zazdrości opuściwszy Józefę, nie był jeszcze dojechał do Zarębia, gdy już-by był chciał rzucić się jej do nóg, przeprosić ją, przebłagać. On tę swoją ukochaną, tę swoją jedyną obraził, pomówił ją o dwulicowość, o zdradę! Ona mu oddała przyjaźń i miłość swoją, była mu siostrą miłosierdzia, aniołem stróżem, a on ją za to dręczył i obrażał, zamiast ją czcić i wielbić w każdym słowie, jak ją wielbił w duszy. Ale to był raz jedyny i ostatni! Gdyby deszcz nie był zaczął padać i nie było się zrobiło zimno, był-by zaraz wrócił do Obrowca, ale trzeba było już raz się wyleczyć i nie dręczyć chorobą wszystkich wkoło siebie. Jutro jej powie, ile cierpiał nad tem, co uczynił. On teraz wiedział wszystko. Przyjmowała Nadolnego, by z nim chodzić do chorych, a tała to, by nie obudzić zazdrości w nie-szczęśliwym szaleńcu, który-by był chciał sam jeden pić po kropli każdą minutę jej czasu, dla siebie zabrać każdą jej myśl, każde spojrzenie, każde słowo. Przebłaga ją i już nigdy, nigdy nie zatruje jej żadnej chwili życia...

Nazajutrz wybierał się właśnie do Obrowca, gdy służący oddał mu list Józefy. Przebiegł go oczyma, ale nie zaraz zrozumiał, nie zaraz uwierzył. Jego umysł nie mógł odrazu przerzucić się od tej na-

¹⁾ Patrz zeszyt za m. maj „Biblioteki.“

dziei, którą piastowała przed chwilą jego dusza, do tej rozpacz, która na niego z listu Józefy wyrzała. Nie odrazu doszedł aż do szczytu swej boleści. Miał list w ręku i powtarzał: „Ona, żoną Nadolnego!... Więc to już koniec, koniec wszystkiego! Już ja nie mam nic, nic!“ Ale nie dobrze pojmował powtarzane słowa i rozciągłość swej straty, tylko zapadał w zadumę i w nawpół świadomy siebie ból, któremu melancholii dodawał odgłos deszczu, kapiącego jednostajnie z rynny, i wiatr, świszczący na jakąś smutną, jesienną nutę.

Oznajmiono przybyłego rządcę i innych jeszcze interesantów. Przyjął ich i zajął się przedstawiającymi mu się sprawami ze spokojem, który go samego przestraszał, bo ten człowiek, który rozmawiał o cukrze, pieniądzach, burakach, był tylko lupiną tego drugiego, tego prawdziwego, którego obecnie spotykało wielkie nieszczęście i który miał wyraźnie takie uczucie, jak gdyby spadał w jakąś próżnię, w jakąś przepaść bez końca. Włożył był list Józefy w boczną kieszeń ubrania i czuł go tam, jak się czuje ból ukryty, sprowadzający na przemian przygnębienie i wstrząsające paroksyzmy, ból, o którym ani na chwilę zapomnieć nie można. W końcu rozmowa o cukrze, pieniądzach, burakach stała mu się nieznosną, jak ubranie zbyt ciężkie, które-by go przygniatało. Miał takie uczucie, jak gdyby chciał zerwać pęta, jak gdyby brakło mu powietrza na oddech. Nie mógł dłużej znieść tej niewoli, tego przymusu, tej męki. Odprawił wszystkich i został sam ze swem nieszczęściem. Upadł na fotel ciężkiem ciałem, z którego dusza zdawała się być zabraną przez jakąś burzę, nadeszłą nagle.

Z odrętwienia wyrwała go Mania, wracająca z Obrowca i wchodząca do niego w swoim jasnym stroju, który mu się wydał żartem z jego boleści.

— Józia doprawdy zwaryowała! — mówiła z oburzeniem. — No, proszę! Pokazuje się, że nigdy za nikogo ręczyć nie można! Zakochała się w tym Nadolnym! Rozczuła się nad tem, że on ją bardzo kocha! Słowem, idylla! Dwoje kochanków, pragnących żyć miłością, bo im wszystko jedno, co będą jedli, co będą pili i czem się będą odziwali. Jak ewangeliczne lilie polne! Byle być razem, byle przy sobie! Józia nie chce słuchać głosu rozsądku! Jedno robi nam ustępstwo, że się ze swym wybranym wynosi na drugi koniec kraju i przyrzeka nikomu nie mówić, że jest moją siostrą!

Zygmunt odczuwał słowa Mani, jak uderzenia ostrza, zadające głębokie rany. Milczał, bo był pewien, że nie potrafi umiarkować głosu w zaciśniętem gardle, gotowem do wydania krzyku. Oczy wilgotniały mu od łez, spychanych przez wstyd napowrót pod powieki i gromadzących w jego duszy coraz większy zapas goryczy. Poniósł ręce do głowy, jak gdyby ją od pęknięcia chciał ochronić.

— A ciebie znowu głowa boli! — rzekła Mania takim tonem, jak gdyby śmieszna miłość Józefy i ból głowy męża zarówno ją niecierpliwiły. Wyszła, zostawiając rozpoczętą rozmowę na inny raz.

On został sam, z odnowionym bólem przez to szarpnięcie, które zadały mu słowa Mani.

Więc ona, ta istota, którą on ukochał nad wszystko, której pod nogi rzucił siebie całego, swój honor, swoją przyszłość, swoją nadzieję, ta istota odwróciła się od niego, jak gdyby niczem nigdy nie był w jej życiu. Więc się to tak stać może, by nowa twarz, nowy człowiek, para błyszczących czarnych oczu zabierały to, co było życiem, zbawieniem i jedynem dobrem twojem?

Zazdrość zadawała mu nieznosne katusze. Jego wyobraźnia przedstawiała mu pocałunki na ustach, których on nigdy nie dotknął, a które oddawały się innemu. O, stracić ukochaną przez śmierć—jest niczem, ale tracić ją żywą, zabraną przez inną miłość!... I tę miłość nową wyznawała tak głośno, chlubiła się nią! Czyż on doprawdy był z tych ludzi, których się rzuca, zbliżywszy się do nich i odkrywszy w nich nic, pustkę? Przecie on był kimś, on był coś wart, a ona tylko po to pozwoliła mu się pokochać, by, dojrzawszy za ledwo możebność wielkiego szczęścia, strąconym został w otchłań rozpacz. Kochać tak, jak on kochał, i nagle znaleźć się samotnym na zawsze, uwierzyć i naraz znaleźć się bez nadziei!... Taka miłość to była trucizna, której on się napił i czuł ją teraz we wszystkich żyłach, ścinając mu krew i przyprowadzając mózg jego do szału... A ona ani się domyśla jego bólu... marzy o przyszłości... o przyszłości w objęciach innego... i teraz tej przepaści, którą wykopała jej zdrada, nie zapełnią już żadne łyzy, żadne rozpacz... można w nią wrzucić samo nawet życie, a nie zmieni to tego faktu, że jej serce poszło do innego!

Wszedł służący, oznajmujący, że obiad był podany.

— A, obiad... tak, wszyscy jedzą obiad, i szczęśliwi, i nieszczęśliwi... i trzeba tam pójść, udawać człowieka spokojnego, obsypanego darami losu... ojca rodziny, otoczonego gronem domowników... trzeba znieść ten szereg potraw, usłudany zwyczajem, i mieć naprzeciw siebie uśmiechniętą, lub nadąsaną piękną kobietę, która mu była niczem! O, dziś więcej niczem, niż kiedykolwiek... niczem do tego stopnia, że trudno mu było uwierzyć, że niegdyś przyciskał ją do łona... Była w jego życiu inna kobieta, inna dusza...

Nagle żywy obraz Józefy przedstawił się jego oczom. To było więcej, niż wspomnienie, to było ukazanie się ukochanej. Dostrzegł wyraźnie jej postać, odczuł wdzięk... On ją zwykle, tam, przy stole, zastawał spoglądającą tym wzrokiem, którym w każdym spojrzeniu, od-

dawała mu duszę całą... Nie, nie mógł tam pójść... nie mógł tam nieść widoku swego cierpienia.

Zadzwoił i służącemu rozkazał powiedzieć pani, że nie przyjdzie na obiad.

Przybiegła zaniepokojona matka, dopytując się, co mu było, czy nie trzeba posłać po doktora; na ogromnej tacy wniesiono przybory do obiadu, na innej zupę. W pokoju kręciła się matka, łamiąc już ręce, i dwóch służących, niosąc nieszczęśliwemu ten dokładek cierpienia, które dla serc udręczonych wypływa z małych, męczących wydarzeń codziennych.

Ah, żeby się gdzie ukryć przed tym ruchem, temi zapytaniem, tem jadłem... Zwierzę chore może się schować przed spojrzeniami, zachołgać się w jakie samotne ukrycie... jemu każą mówić, każą jeść, gdy ma gardło wyschłe i ściśnięte i myśl jedyną, rozsadzającą mu głowę...

Odpowiadał wszakże na pytania i, zasiadłszy przed nakryciem, dotknął jedzenia. Matka, stojąca naprzeciw niego i śledząca każdą kroplę, którą niósł do ust, była mu w tej chwili ciężarem i męką; służący, chodzący na palcach, przyprawiał go o wrzenie gniewu i rozpacz. Łada wyrzeczone koło niego słowo spadało mu na głowę, jak ciężki kamień. Biedna jego dusza przy każdym dotknięciu wydać tylko umiała jęk boleści.

Wśród całej tej męki udawania spokoju, spoznał podejrzliwie na matkę. Czy ona już wiedziała? Jeżeli wiedziała, to się domyślała, dlaczego jedzenia przełknąć nie mógł, ale ona właśnie w tej chwili szepnęła jakby do siebie:

— Ah, żeby ta Józia przyjechała!

Ten wykrzyknik przepełnił miarę. Żeby Józia przyjechała! Nie, Józia nie przyjdzie, jej już niema na świecie dla niego!

Wstał śpiesznie od stołu, skinął ręką, że chciał być sam, przeszedł do sypialnego pokoju, ukrywając się, jak chore zwierzę, któremu przed chwilą zazdrościł.

Życie wkoło niego szło swoją drogą ze swemi małemi przyjemnościami, przyzwyczajeniami, stanowiąc nędzny i płaski rozdźwięk z tragedją, coraz olbrzymiejącą w duszy jego. Ratował się pracą, bo miłość własna obrażona kazała mu się ratować i zakładać punkt honoru w udawaniu spokoju. Nadużycie myślenia sprawiało mu takie cierpienie, że czynność zewnętrzna, absorbująca chwilowo jego władze, przynosiła mu ulgę. Przesłaniała też oblegające go wspomnienia. Czyhały one wszakże na jego duszę i porywały ją przy łaďa sposobności. Przechodził myślą całą historję swej miłości dla Józefy, historję, będącą z początku słodkim uśmiechem nadziei i pociechy, a kończącą się w rozpa-

czy i zniszczeniu... historię, która go zaprowadziła na pół drogi do nieba, żeby go potem strącić w otchłań zwątpienia.

Czasem włókł swoje zmęczone kroki do ogrodu, ale nie widział nic z tego, co go otaczało. To nie on patrzył na te drzewa, pod którymi niedawno przechadzał się z Józefą, to one patrzyły na niego smutnie, zapytując, dlaczego był sam. Sam! Zawsze i wszędzie, w dzień i w noc był sam, z myślami swojemi, ze swoją tęsknotą.

Ah, noce samotne, gdy się cierpi! Gdy go otoczyły cichość i cień uspiętego domu, do udręczenia przybywał strach czekającej go męki. Jak on się zdoła bronić przez te długie godziny bezczynności, w których chora jego dusza zostawiona będzie samej sobie i w których wspomnienia oblegać go będą, jak widma? Znał tę okrutną własność pory nocnej, tych godzin, w których umysł, podniecony wzruszeniami i czynnością dnia, patrzy na swoją myśl wyłączną przez szkło powiększające i sam się nią hypnotyzuje. Cała jego nędza, całe osamotnienie, cała jego nieuleczalna zawiedziona miłość, wszystek ból tego okrutnego końca, zabierały go wtedy, jak swoją własność, i miotały nim, jak morze miota bezwładnemi zwłokami topielca.

Obrażona miłość własna nie pozwalała, by cierpienie stało mu się zbawieniem, przechodząc w rezygnację. Jego dusza udręczona umiała tylko wysilać się na coraz większą mękę. Była to noc bez nadziei jutrzeńki.

Przy ludziach zdobywał się na spokój przez tłumniejszy w tych chwilach wybuch miłości własnej, przez dumę tego, co cierpiał wewnętrznie i przez pragnienie, by do Józefy doszła wieść o tem, że był spokojny i pracowity, jak zawsze. Miał uczucia zranionego śmiertelnie gladyatora, który pragnie upaść tak zręcznie, jakby nie doznawał żadnego bólu. Udawał, że jest znacznie zdrowszym, nawet zdrowym zupełnie. W ostatnich czasach rozpieścił się był troskliwością matki i Józefy, lubił się skarżyć, utyskiwać na męczący kaszel. Teraz prostował się, pocierał twarz, by nie była bladą, i z uśmiechem mówił matce, że mu zdrowie wracało widocznie. Miał ten rodzaj panowania nad sobą i spokojnej odwagi, będącej dowodem, że się straciło nadzieję na zawsze.

Czasem wielkie natężenie rospaczy uciszało się w nim nieco, ale na jej miejsce zjawiała się melancholia, smutek cichy, beznadziejny, w który zapadał, jak w letarg, nie mogąc się z niego otrząsnąć i mniej jeszcze czując nad nim władzy, niż nad paroksyzmami rospaczy. Wśród niego przychodziło mu wielkie zniechęcenie do życia. Jakie ono było nędzne i bez znaczenia! Jak to mogło być, że dawniej zajmowali go ludzie, ich czyny, ich myśli... Teraz wszelki interes życiowy zamarł w nim...

Nawet na dziecię swoje patrzył, jak na obcą istotę. Raziło go w niem to, że było tak bardzo do matki podobne. Był to dla niego jakby obóz nieprzyjacielski, jakby znamiona, jego znamionom przeciwnie. Było ich dwoje, ta matka i ten syn, którzy mu stawali na drodze...

Dziecię go się bało. Uciekało do matki, która codzień więcej je kochała. Nosila je, trzymała na kolanach. Cierpiała nawet to, że gnio-tło jej suknie. Czasem wchodziła z niem do męża i przelekłe wynosiła prędko.

Powracała parę razy do rozmowy o Józefie, utyskiwała na jej szaloną głowę; ale Zygmunt z tym spokojem, który bywa straszniej-szym od wybuchów goryczy, mówił:

— Nie trzeba przeszkadzać, by tak zakochana w sobie para po-brała się... trzeba uszanować wielką miłość... Józia tak zajęta narze-czonym, że nie ma czasu nawet się pokazać... Wyprawimy im tu świe-tne wesele...

Przy tych słowach przelatywały mu przez głowę widzenia okru-tne i dokładne rąk zarzuconych na szyję, ust spojonych... Rwały mu się wtedy jakieś struny serdeczne, czasem chciało mu się krzyczeć z bólu, runąć na ziemię...

Pani Bielmońska patrzyła na niego z tą dziwną ślepotą, którą by-wają dotknięci ci, co się o wielkie dramata życiowe ocierają. Potarte na jej intencję policzki syna zwodziły ją najzupełniej. Miała go za zdrowszego i za szczęśliwszego, niż dawniej.

— Tacy są wszyscy mężczyźni—mówiła sobie,—niby to ją kochał bardzo, a teraz kontent, że się jej pozbył. Ani o niej wspomni... nawet jest zdrowszy... poprostu go denerwowała... męczyła go i swoją miłością, i swoją osobą. Chwała Bogu, że się to tak skończyło! Ona utrzymuje, że jego kochanką nie była, ale zanadto przebywali z sobą sam na sam... Przesycił się nią, jak się to zwykle zdarza. Teraz oddycha swobo-dniej...

Matka ta umiała tylko kochać syna, ale nic a nic go nie odga-dywała.

Józefa tymczasem piła kropla po kropli z tego kielicha, który za-mierzała przez całe życie wychylać aż do dna. Dobrowolna ofiara, mę-czeństwo, przyjęte z własnej ochoty, dawało jej z początku rodzaj upo-żenia się i zawrotu głowy. Chciała zbawić Zygmunta i oto szła odwa-żnie ku jego zbawieniu. Powoli jednak poczęła ustawać w drodze. Wszystko-by było dobrze, może-by się potrafiła wyrzec na zawsze jego widoku... z pewnością-by to potrafiła, ale oddawać się innemu!...

Ten Nadolny, którego lubiła bardzo, gdy jej był niczem, teraz stawał się jej z dnia na dzień wstrętniejszym, gdy wiedziała, że to miał

być jej przyszły mąż. Wszystko ją w nim raziło. Stawała się drobiazgową i wymagającą. Z wysokości zupełnego zubożenia na małostki form, mody, tradycji, patrzyła niegdyś na jego niespokojne, sine ręce, na jego nadzwyczajne kamizelki i krawaty, na jego rubasznosc. Teraz raził ją każdy szczegół, każdy drobiazg. Bała się, by jej nie dotknął, by się nie zbliżył, by się nie otarł o jej suknię. Sama siebie nie rozumiejąc, doznawała wstrętów wielkiej pani wobec śmiesznego parweniusza.

On, biedak, widział jej dziwne postępowanie, ale, przyrzekłszy zupełne zaufanie i zdanie się na jej łaskę i niełaskę, nie pytał o nic. Stawał się tylko coraz niezgrabniejszym, coraz bardziej stropionym w jej obecności. To był zażenowanym i onieśmiałym, to udawał zucha i stawał się nieznośnie rubasznym i trywialnym. Czuł, że oboje błądzą po jakichś nieznanych sobie drogach, ale szedł z zamkniętymi oczyma, z dziwną, pomimo wszystko, pewnością jutra. Tak, jak miał nadzieję, że powoli wyrobi sobie rozległą praktykę, tak był pewien, że Józefa powoli oceni i jego, i jego miłość, że go pokocha, że się zrozumieją... Cóż mu do tego brakowało? Miał, jak mu się zdawało, wszystko, co kobieta w mężczyźnie kochać może, i sam kochał z całej duszy.

Zbierał metryki, załatwiał formalności. Ślub ich miał się odbyć w Warszawie, gdzie chcieli zarazem dowiedzieć się o jakiej dalekiej miejscowości, potrzebującej lekarza. Ale Józefa musiała czekać na nowego kasyera, który dopiero od 1-go listopada objąć miał posadę. Z boleścią myślała, że zaledwie rok upłynął, jak ona do tego mieszkania, które teraz opuścić miała z rozdartem sercem, wchodziła pełna nadziei. Miała tu przebyć długie lata w ciszy, spokoju, pracy; otoczona słodką atmosferą przyjaźni człowieka, któremu miała być aniołem pocieszycielem i pomocą na drodze obowiązku i zasługi. Co się stało z jej zamiarami, z jej sercem, z jej życiem? Wszystko zginęło w burzy, która zdruzgotała jej przyszłość, jej spokój i nadzieję cichego szczęścia. Miała teraz piersi rozdarte bólem, pełne niezmierzonej tęsknoty do tego, któremu życie zламаła, którego napoiła żółcią rozczarowania, pogardzonej miłości, zawiedzionej nadziei... pełne wstrętu do tego, co sobie jako zbawienie i ekspiacyę przeznaczyło.

Dla decorum bywała czasem w Zarembiu, w godzinach, w których Zygmunt przyjmował interesantów. Rozmawiała z jego matką, z Marią i wiedziała od nich, że miał się lepiej, że był bardzo zajęty... Zniósł więc, jak tego pragnęła, cios, zadany jej ręką. Wszedł w starą kolej obowiązku, pogardził, przeklął... powoli zapomni... Może już zapomniał? Zapomniał! Wszak dlatego niosła siebie samą na ofiarę, dlatego, drżąc od nadmiernego wstrętu, kładła rękę swą w rękę innego

człowieka... A jednak myśl, że mógł on zapomnieć tak prędko, była jej męczarnią.

Matka jego z upodobaniem i naciskiem dawała jej do zrozumienia, że dopiero teraz jest on swobodny i szczęśliwy.

— Nie wiem, co mu się stało—mówiła,—ale sam przyznaje od jakiegoś czasu, że mu jest znacznie lepiej, że nawet jest zdrow zupełnie. Pamiętasz, jak on się dawniej skarżył, jak się niecierpliwił swem niezdrowem. Teraz jest zupełnie dobrej myśli... miewa takie rumieńce... Tylko za wiele ma pracy. Teraz, gdy niema kurzu, jeździ nawet po folwarkach... Dawniej długie nabożeństwo i gorąco w kościele wśród tłumu męczyły go; przeszłej niedzieli dotrwał do końca. Jest, dzięki Bogu, na zupełnie dobrej drodze. Szczególniej nerwy jego uspokoiły się. Dawniej bywał rozdrażniony, niecierpliwy, wiecznie rozgorączkowany, jakby oczekujący czegoś, co nie przybywało. Teraz aż miło patrzeć na niego. Spokojny, zawsze gotów wysłuchać, co się do niego mówi... Już teraz nie mam żadnej o niego obawy i tylko dziękuję Bogu za wszystko.

— Dziękujmy Bogu za wszystko—powtórzyła Józefa cicho, głosem, który od niejakegoś czasu zdawał się wyrazu, głębokości i czegoś przejmującego zapożyczać od jej wzroku. — Niech Bóg da mi tylko tę łaskę, bym tu wszystkich widziała zdrowych i szczęśliwych!

Trochę pociechy i ukojenia przynosił jej mały Jaś, którego, jak matka, kochała. Szła do jego pokoju, pozwalała odejść bonie i niance, i przy śmiejącem się i obejmującem ją za szyję maleństwie przychodziły jej chwile, w których smutek jej pozbywał się wszelkiej goryczy. To niewinne, bezświadome dziecię, które rączki do niej wyciągało, nie na próżno oddawało jej się z takim zaufaniem. Ona poniesie tę najcięższą ofiarę, którą sobie przeznaczyła, by tylko dziecię nie zaznało ciężkiej krzywdy, jaką jest rozdział rodziców i rzucony między nich skandal. Zawiniła, ale odpokutuje winę. Potem czas zatrze to, co dziś jeszcze zbyt jaskrawem i dojmującym być może... On zapomni, powróci do żony... połączy ich dziecię, jego wychowanie zbliży ich na nowo... Może nie miłość przyswiecać będzie ich pożyciu, ale przyzwyczajenie, zaufanie, wzajemna wyrozumiałość... i przez burze i rozpaczę dojdzie nareszcie ta para do tego, do czego tak często prowadzi małżeństwo: do znoszenia się wzajemnego w imię wspólnej przyszłości i wspólnego interesu.

— Józia tu była — mówiła przy obiedzie Mania do Zygmunta,—nie chciała ci przeszkadzać, bo miałaś właśnie kogoś u siebie.

— Tak, nie miałem czasu na żadne rozczulania się rodzinne. Zresztą pewno się śpieszyła do narzeczonego...

— O, to bzik zupełny ten projekt małżeństwa! Miała sobie za obowiązek powiedzieć mi, że wybranemu jej na imię Wacław.

— Bardzo poetyczne imię!

Zygmunt czuł czasem pewien rodzaj złej i smutnej rokoszy w rozdrapywaniu własnej rany. Wyciągał Manię na opowiadanie o siostrze i na złośliwości względem niej.

— Cóż, Józia? Bardzo z niej sentymentalna i zakochana narzeczona? Czy, wspominając Nadolnego, mówi poprostu Wacław? Może zrzuciła już czarną suknię, której się od śmierci męża tak upornie trzymała. Co, ubrana jasno?

— Tak — myślał, szarpiąc własne serce, — ona się teraz ubierać będzie jasno, bo czarna suknia przypominała-by jej miłość moją... Od czasu, jak ją pokochałem, ani razu nie widziałem jej w innej sukni, jak w czarnej. Więc trzeba zrzucić szatę, jak się zrzuciło uczucie...

W chwili samotności przyszło mu na myśl, że Józefa musiała być nieraz związana brakiem koni i ekwipażu. Dawniej na każde zawołanie miała je z Żarebia. Teraz, zapewne, nieprzyjemnie-by jej było prosić... Przychodziła piechotą do siostry, ale mogła mieć ochotę wyjazdu w dzień niepokodny...

Wydał rozkaz, by niezwłocznie jeden z furmanów z powozem i końmi udał się do Obrowca i tam był na rozkazy pani Rzeweckiej.

— Niech się zamelduje i powie, że będzie na każde zawołanie.

Józefa, która strzegła się łez rozpacz, zapłakała łzami rozczulenia na ten dowód pamięci.

Myślał więc czasem o niej, o niewdzięcznej! Pamiętał o tem, by miała wygodę, by nie potrzebowała prosić, będąc w warunkach, w których delikatność jej cierpieć-by mogła. O, on był taki dobry, taki szlachetny, taki wspaniałomyślny! Chciała-by była klęknąć przy fotelu, w którym siadywał, i, jak wtedy, gdy go chorym wprowadziła do domu, ucałować jego rękę. Przy tych myślach opanowała ją taka tęsknota za nim, że była-by biegła ku niemu z otwartymi ramionami.

— Ja nie mogę żyć bez niego, nie mogę, nie mogę! — powtarzała sobie wśród łez i napadu rozpacz.

Nie przyjęła Nadolnego pod pozorem migreny. Coraz mniej mogła patrzeć na tego człowieka. Wiedziała, że on nie był winien niczemu, że, pomimo szorstkiej powierzchowności, miał skarby delikatności w duszy, ale wstręt ku niemu był często mocniejszy w niej, niż wola, niż rozsądek, niż najsilniejsze postanowienia. Jego sine ręce były zwykle zimne i spocone. Rodziły one teraz w niej taką odrazę, jaką się miewa do żaby, do pająka, do myszy. Trzęsła się po prostu na myśl, że tej ręki dotknąć będzie musiała. Gdy jadł rozparty na stole, głośno wciągając gorącą supę lub herbatę, raził ją tem tak, jak gdyby cho-

dziło o ważną sprawę. Wszystkie te małe odrazy składały się na jeden wielki, nieprzeparty, fizyczny wstręt. Dopóki nie myślała o możliwości zbliżenia się do niego, dopóty ani się domyślała, że takie małości mogą grać tak wielką rolę w życiu. Dopiero teraz poczęła je przesadzać we własnej wyobraźni, krytykować je i brzydzić się nimi.

Czuła, że czyni temu narzeczonemu swojemu ciągle obelgi, myśląc z coraz większą tęsknotą o Zygmuncie. Tłómaczyła się z tego przed swoim sumieniem. Chciała nie myśleć, nie kochać, ale to było, jak gorączka, jak choroba, której się oprzeć nie można.

Raz, przypadkiem, w parę tygodni po swem postanowieniu, widziała Zygmunta nie widziana przez niego. Stał na werendzie, patrząc w przestrzeń oczami, które niczego nie dostrzegały, bo myśl pochłania czasem człowieka całego... jego wzrok, jego słuch... Nie panował nad wyrazem twarzy, nie przeczuwał, że na niego przez jedno z okien patrzyły oczy, za którymi tęsknił.

Józefa przeleciała się jego widoku. Ten człowiek był okrutnie zmieniony, on był chory! Co mówiła jego matka, Mania? One chyba były ślepe, że nie widziały zmiany na jego twarzy. Policzki mu się wciągnęły, oczy miały w sobie zmęczenie nocy bezsennych... On pewno kaszlał mocniej, może miewał gorączkę? Uciekła, bo się bała, że się obejrzy, że jej stęsknione spojrzenie ukąsi go, jak wąż, że je poczuje na sobie i spojrzy nagle. A ona co wtedy uczyni? Skamienieje i da mu poznać swoje zmieszanie. On się domysli wszystkiego... Uciekła więc do Jasia i, wzięwszy go na ręce, przytuliła do jego świeżego policzka swoją rozpaloną twarz.

Tymczasem Zygmunt, zmierzając do swego pokoju, dostrzegł przed domem powóz i konie Józefy. Widok ten przyprawił go o wstrząśnienie nagle i tak silne, jak gdyby piorun był padł u nóg jego. Była więc w tym domu, o dwa kroki od niego? Mógł ją w tej chwili ujrzeć, przemówić do niej, gdyby chciał... Nogi pod nim zadrżały i uginały się bezwładne, serce biło, jak gdyby pęknąć miało, pracował pierśmi, by oddychać, w uszach mu zaszumiało, przed oczyma ujrział ciemność, po której przelatowały punkciki światłości. Instynktownie prawie doszedł do swego pokoju. Po chwili począł się uspokajać, obejrzał się podejrzliwie, czy kto nie patrzył na niego. Nie, był sam i nikt nigdy się nie dowie, że zwyczajny powóz i konie najspokojniejsze wywołały w nim takie wstrząśnienie, iż przez mgnienie oka zdawało mu się, że kona. Ogarnęła go obawa samego siebie. Jakiż więc doszedł do tego, że już nic nad sobą panować nie umie, że jest na łasce wzruszenia, wywołanego przez ładą drobiazg, przez ładą myśl, przez widok własnego powozu? Chyba był tak osłabiony, tak podkopany chorobą, że się stawał igraszką własnej namiętności. Czyniła z nim, co chciała, i gdy jej

się podobało zburzyć do szczytu jego spokój, krew jego przyprawiała o wzburzenie. Zdjął go prawdziwy strach. Przecie może mu się to zdarzyć przy ludziach, przy podwładnych, przy służących! Co wtedy pomyślał o nim? A może to był początek wariacji? Nie pierwszy to raz przychodziła mu obawa szaleństwa. Tak mu się czasem myśli plątały w głowie pod wpływem tęsknoty! takie mu przychodziły dzikie rozpacz...

Potem, gdy się uspokoił, i gdy ze świadomością, że Józefa była blisko, spłynęło na niego błogosławieństwo głębokiego rozrzewnienia, mówił sobie z zapalem, że, pomimo cierpienia, pomimo tych strasznych nocy, w których czuł się bezgranicznie nieszczęśliwym, nie chciał-by utracić swej miłości. Nie chciał-by się z niej wyleczyć, choćby mu to było podobnem. Józefa oderwała od niego swe serce, ale on chciał dla niej, dla tej ukochanej, cierpieć i konać z miłości, bo to uczucie, które nosił w piersi, miał za najlepszą, najwzniolejszą część swej duszy. Rozczulał się niemi, czuł się dumnym z niego. Dobrze, że jego młodzieńcze pragnienie kochania bez miary urzeczywistniło się, bo przez nie czuł się dopiero u szczytu człowieczeństwa. Wiedział, że rozsądek, obowiązek, sumienie były przeciwko niemu, ale były to dla niego w tej chwili ciche wyrazy, bez żadnego znaczenia, konwencyonalne pojęcia bez rzeczywistej treści. Podmuchał burzę, którą nosił w sobie, obalił w koło niego wszystko, co nie było jego myślą wyłączną, jego miłością!

Dnia tego na wieczór przyjechali Szarogórcy. Wmawiał wszystkim, że był zdrow zupełnie, obrażona miłość własna kazała mu ukrywać ranę, którą miał w piersi, poszedł więc do gości, zdobywając się przez wysiłek woli na spokój, nawet na uśmiech.

Była mowa o rulecie i wzruszeniach gry. Szarogórski utrzymywał, że można było, mieszkając w Monte-Carlo, grać ciągle, stawiając tylko małe stawki i przeznaczwszy sobie pewną sumę codziennie. Jeżeli się ją przegrało, przestawało się grać; jeżeli szansa służyła, grało się dalej. Tym sposobem miało się, za stosunkowo nie tak wielką sumę, przyjemność ogromną i wzruszeń bez końca.

Opowiadał, na czem się zasadzała gra w ruletę, jaki cała rzecz miała przebieg. Mania zapaliła się do myśli probowania szczęścia.

— Mnie-by się to ogromnie podobało! — mówiła. — Nie trzeba myśleć o żadnych kombinacjach, a sam widok tych kup złota, o jakich pan mówi, musi człowiekowi dawać ogromne emocje.

— A jakie otoczenie — dodał Szarogórski, — jaka muzyka, co za natura, jaki strojny świat! Tam w powietrzu drży hazard i wlewa człowiekowi do żył tę gorączkę, to podniecenie, tę determinację, które się składają na namietność gry.

— Ja tam kiedy pojedę na całą zimę!—zawołała Mania.—Mam takie szczęście, że gotowam rozbić bank. Ile to tam wygrać można?

— Przeszłej zimy, gdyśmy z żoną byli w Monte-Carlo...

Zygmunt był o sto mil od tego, co się w koło niego mówiło. Zbudził go wykrzyknik Mani, wprost do niego zwrócony:

— Wiesz, mogli-byśmy tam pojechać! To-by był pobyt doskonały dla twego zdrowia... A ja-bym grała. Ja tak przepadam za hazardem! Jaś już będzie w zimie odłączony, ma zaszczepioną ospę, ma kilka zębów... mógł-by odbyć tę podróż. I jemu będzie lepiej w tamtejszym klimacie. To może myśl wysmienita!

Zygmunt nie odpowiedział. W gruncie było mu wszystko jedno, gdzie będzie on, gdy Józefa opuści Obrowiec. Taka go opanowała straszna obojętność na wszystko, co mówiono i co zamierzano, i tak nie miał siły na żadną walkę, na żadną sprzeczkę!

Pewnej bezsennej nocy zachciało mu się spojrzeć na fotografię Józefy, będącą w salonie w albumie. Poszedł po nią, zabrał ją, skradając się na palcach i oglądając się, czy go nikt nie widział. Uniósł swój skarb do swego spokoju. Nagle, patrząc na rysy ukochane, zapragnął namiętnie zobaczyć Józefę. Kilka dni temu uciekał od niej, drżąc na myśl, że była o kilka kroków od niego; teraz nagle zachcianka urosła w nim na prawdziwą żądzę. Całą noc układał plany i projekta. Musiał ją zobaczyć! Jaki z niego był dziwny człowiek, że wytrwał tyle dni bez jej widoku! Przynajmniej oczom swoim mógł dać tę roskosz, i tę boleść. Przeszłej niedzieli, w kościele, powtarzał sobie, iż pragnie, by nie przyszła, a jednak wzrok kierował bezustannie ku drzwiom, oczekując tego wstrząśnienia, którego zawsze doznawał i dawniej, gdy ją spostrzegał. Ale nie przyszła i on odetchnął lżej, jakby wyzwolony od jakiejś trudnej próby. Szalony! Przecie patrzeć na nią, to też ją posiadać w pewnym stopniu. Bardzo małym ze względu na jego pragnienia, ale zawsze odbierającym przynajmniej oczom ich tęsknotę. Zobaczy ją w kościele w Werechowie. Miał przecucie, że tam niosła swoje modły, nie chcąc spotkać się z nim w Zarebin. Ale prędko odrzucił ten projekt. Postanowił pojechać do Obrowca, załatwić niektóre sprawy fabryczne i wejść do kasy dla jej obrachunku. Będzie mógł wtedy obrzucić Józefę obojętnym wzrokiem, dać jej dowód, że jest przytomny, trzeźwy, że go sprawy jego majątkowe obchodzą przedewszystkiem, i że przeszedł już do porządku dziennego nad swoją awanturą miłosną, jak na to zasługiwała. Wszedłszy, zażąda otwarcia kasy bardzo spokojnie, jak dobrze wychowany zwierzchnik, znający względy, należące się kobiecie. Będzie unikał mówienia Józefie *ty*...

Noc ta zeszła mu lepiej, niż inne. Zaczynał znowu chwytać się jakiejś nadziei, jakiegoś zamiaru, umóżniającego mu przeżycie kilku

przynajmniej godzin. Usnął nad ranem, mniej udęczonej, niż nocy poprzednich.

Nazajutrz, w przedpołudniowych godzinach, pojechał do Obrowca. Miał być wobec Józefy swobodny i spokojny, a serce mu biło od niezmiernego wzruszenia. Musiał przede drzwiami kasy stać dłuższą chwilę, by się uspokoić, miał już nawet zamiar ucieczki, poczuł jednak, że do wejścia tam popychała go konieczność. Nie dziś, to jutro. Więc dziś! Nakazał sobie otwarcie drzwi. Wszedł, przybrawszy twarz w wyraz najwyższej obojętności.

Józefa, spostrzegłszy go, zatrzęsa się, zbladła, otworzyła usta, jakby do krzyku, wstała, usiadła znowu, spuściła oczy, potem je podniosła z wyrazem nieprzytomności.

On stał przed nią, spokojny napozór, odczuwający jednak jej zmieszanie i radujący się w duszy, że jego widok je wywołał. Nie była więc spokojna i pewna siebie? I ona drżała i wyglądała, jak ptak, nagle złapany. Oddychała ciężko, przemówić nie mogła, choć usta jej poruszały się, jakby się na nich błąkały jakieś wyrazy.

— Mógł-bym przypuścić, że jest jakiś nieporządek w kasie—rzekł Zygmunt,—takie widzę zmieszanie...

Wzrok jej stał się naraz pełnym błagania i pokory:

— Jest nieporządek—odparła cicho,—nie wiem, co się stało... czy nie zapisałam jakiego wydatku... brakuje 900 rubli... od rana liczę i już mi się myśli pomieszały w głowie...

— To może ja na to poradzę... nie trzeba, by się myśli mieszały w głowie... tylko trochę spokoju i ścisłości...

Wstała od biurka, usuwając się i czyniąc miejsce Zygmunтови.

— Proszę siedzieć—rzekł Zygmunt—i proszę liczyć głośno. Ja będę patrzył i uważał, czy niema w rachunku błędu.

Schylił się nad siedzącą Józefą, patrząc na kolumny cyfr, które leżały przed nią. Zaczęła rachować, ale się myliła, jękała... Pióro w jej ręku drżało.

— Nie mogę, doprawdy, nie mogę w tej chwili—rzekła pokornie, jak wyłajane dziecko. Ręce jej opadły, dwie duże łzy stanęły jej w oczach.

On, pochylony nad nią, czuł, że traci panowanie nad sobą, że go ogarnia wzruszenie nad siły, szukał więc ratunku w udanej szorstkości, z jaką wyrzekł:

— Kto się podejmuje urzędu kasyera, musi umieć przynajmniej rachować... Jeżeli dodawanie łzy wyciska...

— Przepraszam — szepnęła, a w jej oczach odmalował się przestrach, — ja umiem dodawać, ale...

— Więc kiedy nie umiejętności brak, to trzeba wybrać inną chwilę. Przysłę tu kasyera z Zarębia, który znajdzie, gdzie wrachunku błąd spoczywa. Teraz muszę śpieszyć gdzieindziej.

Uczyliła ruch, jakby chciała wyciągnąć do niego rękę, ale opuściła je natychmiast. On wyszedł, ukłoniwszy się.

Co się w nim działo? Po co on przyszedł spojrzeć na tę kobietę, usłyszeć jej głos, wziąć sobie na nową mękę jej spojrzenie? Wychodził od niej, jak pijany, z mieszaniną bólu, rokoszy i nieprzytomności. Potykał się, bo nie widział, gdzie stapał, mając wzrok zasłoniiony przez mury własnych myśli. Nie wiedział, jak się znalazł w powozie. Samowiedzę przyniósł mu dopiero głos furmana, pytającego, gdzie miał jechać.

— Do domu... Co koń wyskoczy.

Zygmunt czuł potrzebę jakiegoś szalonego ruchu, który-by się dostroił do niepokoju jego zwichrzonych myśli.

Pęd powietrza, chłodzący jego rozpaloną twarz, ruch przyspieszony powozu, widok koni, biegnących wyciągniętym klusem, wszystko to dało mu złudzenie jakiegoś celu, do którego biegł. Uczucie próżni i nicości ogarnęło go dopiero przed gankiem własnego domu. To był jego dom, siedlisko uciech rodzinnych, gniazdo, schronienie... Dla niego jednak stał on martwy i pusty... nie miał w nim nic i ogarniał go na jego widok ten mimowolny wstręt, który się ma niekiedy do miejsc, gdzie się wiele cierpiało.

Wysiadł z powozu i automatycznie poszedł do siebie. Czekał na niego adwokat w jakiejś sprawie cnkrowni. Zygmunt przyjął go i rozmawiał o interesie z tą własnością życia życiem podwójnem, której był nabył w ostatnich czasach. Adwokat był pewien, że jego klient zaabsorbowany był najzupełniej sprawą, a w istocie sprawa ta przeszłazgiwała się tylko po jego umyśle, pracującym ciągle i owijającym się z bólem około jednej, zawsze jednej myśli.

Do wszystkich poprzednich wzruszeń wewnętrznych przyłączyło się uczucie bardzo gorzkie, a równocześnie prawie radośne: ona także nie była szczęśliwa. Jej umysł nie miał swobody, jej serce nie miało wesela! Myśli jej się plątały, nawet zwykłego dodawania zrobić nie była zdolna!

W jego życiu, w którym wewnętrzny dramat był wszystkim, te pięć minut, które przebył u Józefy, były wydarzeniem doniosłym. Już niegdyś mówił sobie, że miłość jego była zażyłą trucizną. Teraz poczuł, że jej się był napił znowu. Te dwie łzy, które widział w oczach Józefy, przerwały w nim jakąś tamę. Miłość własna, duma, stopiły się pod ich wpływem, jak taje lód na widok promieni słońca. Chciał Józefę spiorunować obojętnym wzrokiem, zimnem słowem, a to ona je-

dnem załzawionem spojrzeniem w nowe kajdany go okuła. Gotów był teraz biedz ku niej, błagać przebaczenia, litości! Biedna, ukochana! Jak dziecię przy zadanej zbyt trudnej lekcyi się męczyła! Słyszał jej słowa błagalne: „Nie mogę, doprawdy nie mogę, przepraszam...” A on, jak gbur, jak kat się z nią obszedł. Głos swój umyślnie szorstkim i grubym uczynił, by ją zranić!

Weszła do niego Mania, wystrojona i prześliczna, z nowym projektem w mistrzowsko uczesanej główce. Chciała za parę tygodni urządzić w Zarębinu wyścigi konne. Sprosi wszystkich znajomych sobie sportsmenów, a także panie... porozpisuje listy... sprowadzi znawcę takich rzeczy, Sobolskiego... urządzi tor, mety... będą i nagrody... Zygmunt musi jej ofiarować puchar złoty po Piotrze Bielmońskim...

— Mój drogi, to będzie śliczna zabawa!

Z temi słowy zbliżyła się do męża. Miała pieśczętę we wzroku, nadstawiała usta do pocałunku.

Zygmunt z roztargnieniem dotknął ustami jej czoła, przyczem w całym ciele rozszedł mu się prąd tej siły ujemnej, która człowieka wstrząsa odrazą i czyni go naraz lodem i kamieniem.

— Dobrze? Cóż nam po tym pucharze? Stoi, jako ozdoba... nawet nie jest pamiątką...

— Weź go sobie!

— Musisz i ty kilka listów napisać.

— Napiszę, tylko teraz daj mi pokój!

— Dziękuję, jakiś ty dobry!

Chciała się do niego zbliżyć znowu, ale ją odsunął szorstko.

— Dobrze, dobrze, ale teraz idź już sobie!

— Można będzie na pucharze wyryć datę, a także: „*Wyścigi w Zarębinu*.” Potem co jesień będziemy taką zabawę urządzali... Na przyszły rok dasz mi ten stary rząd na konia...

Wybiegła z podskokiem radości.

Zakotłowało się w Zarębinu od przygotowań na wyścigi. Wyprzątano wielką szopę, pełną siana, gdzie miała być na prędcę urządzona wymyślna stajnia, równano i ubijano tor, stawiano jakieś bramy tryumfalne, ubrane zielenią, łożę dla dam pod wspianiałym baldachimem, sztyto okolicznościowe stroje dla furmanów i chłopców stajennych. Dla pani miała przyjść z Warszawy suknia nadzwyczajna, w dwóch kolorach, coś takiego, co-by stanowiło pełne elegancyi naśladownictwo dżokejskiego kostiumu. Sobolski już był, dyskutując z panią całemi godzinami nad urządzeniami koniecznemi. Miał ciągle na ustach wyrazy: „szyk” i „szykownie.” Siedzieli w stajni, kazali sobie wyprowadzać konie, decydowali o tem, czy miały „fel,” lub nie miały „felu.” Do tej pary znawców koniarzy ściągali amatorowie i dyletanci z całej okolicy.

Mania zapewniała, że jej pomysł wyścigów był prawdziwą inspiracją. Żyła, oddychała jakąś atmosferą sportu, która ją poila egzotycznym, modnym wykwintem i pozwalała jej pozować na oryginalność, a zarazem na kokieterię trochę zuchowatą, ze szpicrutą w rękę i w czapeczce dżokejskiej na głowie. Była słiczna z tym wyglądem na młodego chłopca, rozigranego i gotowego do każdego projektu, do każdego wybryku. Poczęła też pozować na tęgą głowę. Piła dużo, z jakąś zuchowatością, trącała kieliszkiem o kieliszki tych panów. Dochodziło czasem do pewnego zapomnienia granic. Za przykładem Szarogórskiej pozwalała sobie mówić różne dwuznaczne, a nawet zupełnie jasne koncepta, i sama puszczała się już na żarty, które jej dżokejska czapeczka osłaniała swoim męskim pochodzeniem. Z początku czyniła to, jakby zmuszając się, z trochę rumieńca na twarzy, z odrobiną niesmaku w ustach... przez chęć amazońskiej pozy, szukając w rozmowie ostrej przyprawy, za pomocą której tem łacniej przyciągała-by do siebie. Potem oswoiła się, zasmakowała w tej swobodzie. Znalazła, że to jest tak przyjemne, jak rzucenie ciasnej sznurówki, lub niewygodnego obuwia. Była dumna, że przełamała paraflańskie skromnisiostwo, które zupełnie wychodziło z mody. Sobolski, który widywał rozmaite wielkie panie, admirał jej ton i wmawiał jej, że Zarębie była to dziura, w której ona wcale nie była na miejscu, że dla niej trzeba było szerszej areny... europejskiej areny... W Paryżu Polki miały reputację piękności i tego, co w kobiecie więcej znaczy, niż piękność—wdzięku, szyku, za którymi gonią mężczyźni. W Paryżu znalazła-by ona już utarte drogi. A nie Paryż, to jedna z tych modnych miejscowości Rivieri... Jest pewna międzynarodowa, najwyższa sfera towarzyska, której patenta, wydawane na piękność, wdzięk, szyk, są dopiero godnem niektórych kobiet odznaczeniem. Cóż tam nasza biedna Warszawa!

Takie podsycanie próżności zawracało małą główkę Mani, która uwierzyła święcie, że marniała w zakątku i że miejsce jej było na szerszej widowni.

Obok tego ruchu, gwaru, gości, przygotowań, obok tego szelestu próżności i zalotności, cichy dramat, przez nikogo nie znany, rozegrywał się dalej w sercu dwojga istot, rozdzielonych przez życie, a pomimo to należących do siebie na mocy tęsknoty i miłości.

Odwiedziny Zygmunta u Józefy okazały się trucizną nie tylko dla niego. Ją napełniły goryczą i nową walkę wzniciły w jej sercu. Uwierzyła teraz dopiero w to, że zapomniał, w to, że pogardził. Wszak nie miał dla niej jednego dobrego słowa? Nic, prócz ironii. Nawet

jej nie nazwał po imieniu. Niegdyś przecie wymiawiał to imię z taką czułością.

Płakała cicho, schylona nad kolumną cyfr, które skakały przed jej oczami i mieszały się, nie dostając się już nie tylko do jej myśli, ale nawet do jej wzroku. Gdy nareszcie wybiła godzina zamknięcia kasy, złamana i zgnębiona poszła upaść na kolana przy swoim łóżku. Matka Boska ze ściany patrzyła na nią z litością.

— Dobrze, że zapomniał, dobrze, że pogardził—mówiła Józefa ze wzniesionymi oczyma,—wszak tego pragnęłam, a jednak, a jednak... to tak boli, tak strasznie boli!

Patrzyła w twarz Matki Boskiej ze strachem, wstydem, pokorą... Ona śmiała Przeczystej Dziewicy zwierzać swoje ziemskie, swoje miłosne bóle...

Ale wyraz litości nie zmienił się na obliczu świętem. Serce, które przeszło siedm mieczów boleści, rozumiało wszystkie cierpienia.

Dzieci ludzkie, przychodzące żebrać zmiłowania, czuło się takie nieszczęśliwe, takie zbłąkane, takie w uczuciach niezgodne z własnymi celami! Chciało się poświęcić, wyciągało ręce po czarę goryczy, a jednocześnie goniło oczyma za wspomnieniem tego, co samo zepchnęło w przepaść. Przytem było takie samotne! Miewało czasem takie kobiece pragnienie wyplakania łez swoich na czyjeś piersi, przytulenia głowy do łona istoty współczującej! A musiało ukrywać ból, tać się ze łzami, jak ze zbrodnią... Żeby to można było umrzeć, przestać istnieć!

Józefa wzniosła oczy, prosząc o śmierć. Tyle jest matek, potrzebnych dzieciom swoim, zabieranych przez grób... niech ona zamiast której z nich położy się cicho w trumnie... Może wtedy... może wtedy, on zapłacze i pomyśli z żalem, że odeszła pierwsza, że już nigdy jej nie zobaczy.

O, to było znowu złe, znowu grzeszne życzenie! Przecie dla jego szczęścia, dla jego dobra trzeba było, by zapomniał, a ona pragnęła pozostać w sercu jego, choćby okupiwszy to śmiercią! Więc niech umrze zapomniana! Niech na grób jej ani jedna łza, ani jeden kwiat nie upadnie! Ale już cierpieć nie miała siły i, splakana, z dziecięcą ufnością prosiła, by jej Matka Najświętsza zesłała śmierć!

Zerwała się z klęczek. Mania wbiegła do jej pokoju ze swoim projektem wyścigów w myśli i w spojrzeniu. Józefa niepotrzebnie oczy ocierała ze strachem, Mania ich czerwonych od płaczu obwódka nie dostrzegła; łamała sobie właśnie głowę nad kolorami sukni, którą miała włożyć na wyścigi. Po wyścigach miał być bal. Na balu będzie ubrana biała.

— Moja Józiu—zawołała, wpadając,—i ty mi dopomóż musisz. Ja tak pisać nie lubię... napisanie listu, to dla mnie męka... rozumiem tylko telegramy... a tu trzeba pisać ładnie, zaokrąglać frazesa... Ty to za mnie porobisz. Mam tyle zaproszeń do rozesłania!

Poczęła jej opowiadać o wyścigach, wymieniać osoby, które mieć chciała... Józefa miała być jej sekretarzem.

— Ale i ty musisz być na wyścigach. Przynajmniej w trybunie podczas biegu i na obiedzie. Od balu cię uwolnię. Jedna czarna suknia między innymi strojami jasnymi... to nawet bardzo dobrze odbija... Nie wypadalo-by, żebyś nie była. Tyle osób cię zna... zawsze się o ciebie dopytują... Tylko, proszę cię, niech jeszcze to szalone twoje małżeństwo będzie tajemnicą... niby jeszcze w żałobie po Oskarze.

— Może nikt nic nie wiedzieć. Wyjadę stąd dopiero po przybyciu nowego kasyera.

Od chwili wejścia Mani paliło ją pragnienie wymówienia imienia Zygmunta, zapytania o niego. Podczas gdy siostra opowiadała o świetnościach przyszłych wyścigów, ona wciąż walczyła między chęcią owego pytania, a obawą nagłego rumieńca. Wreszcie postanowiła przemódz strach. Usta jej zbladły, serce zabiło, podczas gdy się ozwała, usiłując uczynić głos równym i dać mu zwykłe brzmienie, a drżąc, że głos ów ją zawiedzie, że się złamie na pierwszej sylabie i uderzy słuchaczkę niezwykłymi tonami:

— A Zygmunt? Chętnie się zgodził na twój projekt?

— Ty wiesz, jak on zdziwaczał... ale się zgodził bez oporu... nawet mi ofiaruje ten piękny puchar po Piotrze Bielmońskim... to będzie pierwsza nagroda.

— Ten cały ruch może go męczyć będzie.

— Bóg że go wiel! On zawsze zmęczony! Ale ja od niego nie chcę. Da tylko pieniędzy i podpisze kilka zaproszeń. Zresztą ja sama wszystko urządzę.

— Czy on teraz rzeczywiście ma się lepiej?

— Mówi, że lepiej... zapewne musi mu być lepiej... powiada, że mniej kaszle... chodzi i jeździ... O, tak, z pewnością zdrowszy, a nawet zdrowszy.

— I weselszy?

— Może weselszy. Ja z nim tak mało rozmawiam! Ale przychodzi teraz częściej do salonu... Nawet rzeczywiście weselszy... No, a teraz uciekam! Mam roboty po uszy, bo o wszystkim sama myśleć muszę. Tylko się ładnie ubierz. Przywieź swoją aksamitną suknię do Zarebia, to się modnie przerobi. Musisz przecie mieć jakie czarne koronki?

Wybiegła. Józefie zostało w duszy to dziwne wzruszenie, którego się doznaje, gdy się mówi głośno i obojętnie o osobie, zajmującej myśl całą.

Zdrowszy, weselszy, zajęty sprawami majątkowymi, gotów brać udział w projektach żony... Wszystko więc dobrze. Jego życie, spokój, sumienie uratowane... Tylko dziękować Bogu, tylko się radować pomyslnym skutkiem... Czemuż ona była taka nieszczęśliwa, taka bez miary nieszczęśliwa?

Nadolnego nie było w Werechowie. Wyjechał, złożywszy wizytę pożegnalną w Zarębiu. Musiał w Warszawie załatwić niektóre formalności; nająć mieszkanie, do którego mógłby wprowadzić Józefę; chciał też być u ojca, od którego spodziewał się otrzymać zasiłek pieniężny; miał dowiedzieć się o obecnem miejscu pobytu jednego ze swych kolegów, który mu był winien niewielką kwotę. Miał na Józefę oczekiwać w Warszawie, szukając wiadomości o jakim miasteczku na prowincyi, w innej stronie kraju, gdzie-by osiąść mogli.

Oddalenie się jego nie przyniosło ulgi Józefie. Z coraz większym wstrętem myślała o tym dobrym człowieku, który, niedawno ją poznawszy, był względem niej pełnym zaufania i, pomimo swej żywości, energii i zarozumiałości, stawał się miękkim woskiem w jej rękę. Widziała jego przymioty, pragnęła się przejąć niemi, ale nie mogła prze-móżyć w sobie niezmiernej odrazy do myśli należenia do niego. To było wyrażnie nad jej siły. Wszystkie jej uczucia broniły się rozpaczliwie przed tem samobójstwem, a—silniejszy może od nich—stał w niej wstręt fizyczny, tak żywy, jak instynkt zachowawczy, jak bezprzytomna obawa śmierci. Nie, ona tego uczynić nie będzie mogła... cofnie się, bo to poświęcenie nad jej siły. Wszystko zostanie jeszcze w tajemnicy, lecz gdy skończy swoje urzędowanie i wyjedzie do Warszawy, błagać będzie Nadolnego, by jej wrócił słowo... jeżeli-by nastawał, gotowa wyznać mu wszystko, ale niech zrozumie, że to oflara, przechodząca jej siły. Poco-by wreszcie brał nie kochającą? Jest młody, godzien miłości, znajdzie sobie na szerokim świecie...

Nie zostanie więc żoną niczyją, żadnej duszy kochającej, żadnej istoty ukochanej mieć koło siebie nie będzie. Będzie na chleb, żywiący ciało, pracować o głodzie... najstraszniejszym... o głodzie serdecznym. Ale tyle jest nędz wszędzie. Nędza jej utonie w tej wielkiej otchłani, w którą od wieków padają łzy, jęki i rozpacz ludzkie. Jest grób dla ciała, jest grób i dla bólów tej ziemi... jest śmierć... jest zapomnienie... On przecie zapomniał! Pogardził i zapomniał!

Ciągle, pomimo wszystko, w myślach jej wracała ta sama zwrotka, jak nuta upartej piosenki, która, czepiwszy się ucha, powtarza się w pamięci bez końca. Zapomniał! To grób najpewniejszy, z którego niema zmartwychwstania!

Rachunki w kasie były jej teraz nieznośne. Pracowała bez wszelkiego zapału, bez ochoty, bez przekonania. Jakie to było suche i nu-

dne! To tylko w promieniach przyjaźni, w promieniach miłości mogło się wydawać pożądaniem do końca życia zajęciem.

Przyczynę deficytu znalazła. Zapomniała zapisać zaliczki na buraki, danej pewnemu dzierżawcy. Umiała więc dodawać, tylko jej przytomność odlatywała na skrzydłach tęsknoty. Może to ta jej tęsknota sprowadziła Zygmunta do kasy? Póty krążyła koło niego, aż go zamagnetyzowała. I musiał przyjść. Przecie tak czasem coś człowieka popycha, jak jaka dłoń żelazna, której oprzeć się nie można. To jest może potęga cudzej myśli, cudzej woli, cudzego wołania.

Pociechą jej byli biedacy, których odwiedzała. Litość uciszała trochę burzę jej serca, gdyż ubogim i chorym dawała nie tylko skromny datek, na jaki ją było stać, dawała im jeszcze siebie, coś ze swych uczuć, jakąś część duszy.

Za kilka dni miała się rozpocząć nowa kampania. Dowóz buraków zamieniał Obrowiec w ciągły jarmark, w zbiegowisko ludzi. Naścigało, jak zwykle w tej porze, mnóstwo robotników; fury jechały za furami, krzyczano, dobijano się o miejsce. Istne piekło! Któregoś dnia, przechodząc, zobaczyła konia chłopskiego, ciężko zranionego dyszlem. Nad biednym stworzeniem właściciel jego kiwał głową z rozpaczą. Miała litość dla wszystkich istot słabych i uciemżonych, więc i dla zwierząt. Przyniosła opatrunek, obmyła ranę... Codzień nastroczały się jej nowe biedy, którym ratunek nieść było trzeba.

Rozeszła się wiadomość, że kasyerka odjeżdża, że jej już nie będzie, że idzie za mąż. Wywołało to żal ogólny. Żona jednego z robotników, mająca dziecko chore na koklusz, zawołała z żalem:

— Widać to biedni ludzie w Obrowcu nie mają łaski u Pana Boga, kiedy pani kasyerka ich porzuca! Jużci tam może gdzie na świecie lepiej, niż tu... Każdy idzie, gdzie lepiej... ale teraz to nawet nie będzie przed kim się uzalić... Do kogo biedny człowiek pójdzie?

I ona także, ta pocieszycielka, była biednym człowiekiem, który nie miał do kogo pójść, ani przed kim się uzalić. Skąd ona brała pociechę dla drugich, kiedy sama jej nie miała?

Pracy w kasie było coraz więcej. Trzeba było kontrolować rachunki, obliczać centnary dostawionych buraków, wypłacać na wszystkie strony, a ciągle pilnować własnej uwagi. Pracowała z wielkim wysiłkiem, kasę zamykała znacznie później, często nad poszukiwaniem jednego rubla deficytu lub superaty ślęczała godziny całe. Przeszłego roku czyniła to wszystko z takim weselem! Teraz męczyła się i często ustawała bezsilna.

Mania wyzyskiwała też siostrę bez litości. Kazała jej pisać listy, założyła sobie u niej całe biuro korespondencyjne. Dawała zupełną folgę swojemu piśmiennemu lenistwu. Nie pozwoliła jej usunąć się od

należenia do towarzystwa, zebranego w dzień wyścigów. Co-by ludzie powiedzieli? Siostra mieszkająca o wiorstę!

Ah, prawda, co-by ludzie powiedzieli? Dla tego strachu czyni się tyle przez całe życie! Niektórzy nic innego nigdy nie mają na względzie... Co-by ludzie powiedzieli? Powiedzieli-by może, że ona ucieka od zabawy, bo jest nieszczęśliwa, i poczęli-by dochodzić przyczyn jej smutku. Może-by jakieś przeczucie kazało im wpaść na trop prawdy?

Trzeba było być na fecie, i uśmiechać się, i rozmawiać uprzejmie, i udawać wesołość, dowcip i swobodę.

Wkrótce przestała myśleć o czemkolwiek innem po-za tem, że go zobaczy. To będzie już raz przedostatni. Potem pojedzie jeszcze raz do Zarębia, by pożegnać wszystkich, i już będzie koniec. Za kilka dni przybędzie nowy kasyer, ona opuści te strony i już nigdy w życiu...

Wydawało jej się to czemś takim, co było końcem zupełnym. To nie zamknięty rozdział w jej życiu, ale samo życie zdruzgotane. Nie myślała już o żadnej przyszłości. Jaka mogła być przyszłość dla niej? Była nicłość, była pustka... Ale tymczasem zobaczy go jeszcze. Może ją uderzy w samo serce zimnem, szydzącem słowem?... A, żeby tak słowo, jak sztylet, mogło zabić na miejscu!

Sobolski utrzymywał, że nawet niebo nie umie się oprzeć pięknej kobiecie. Nie wiedział, kto się tam między świętymi zajmował temi rzeczami, ale z niektórych oznak wnioskował, że to był mężczyzna.

— Zobaczy pani, że będziemy mieli najpiękniejszą pogodę na wyścigi. A dlaczego?... Żeby to jaka brzydka niewiasta zajmowała się ich urządzeniem i naznaczyła była ich termin, deszcz padał-by już od tygodnia, żeby rozmoczyć tor i przeszkodzić w robotach. W sam dzień wyścigów łat-by jak z cebra. Ale my będziemy mieli słońce i ciepło. Święty ów lubi patrzeć na jasny strój pięknej kobiety pod gołem niebem. Zna się na szyku.

Sobolski, który coraz więcej Mani się podobał i którego pochlebstwa coraz bardziej jej smakowały, miewał widocznie słowa prorocze. Już od niejakiego czasu pogoda była przesłiczna. Na wszystkie strony, w całej okolicy, widoczne były tumany kurzu, podnieszonego przez wozy, odstawiające buraki do cukrowni. Ludzie w Obrowcu wyglądali jak mularze, dyrektor zacierał ręce. Pokopuje suche buraki, odstawa idzie jak z płatka, cukrownia pójdzie 25-go października.

Jako, 25-go? Przecie 25-go są wyścigi!

A tak, bo on już oddawna to postanowił.. oddawna wszystko do tego terminu się reguluje. Jeden dzień zwłoki, panie, to w kampanii

cnkrowniczej znaczy tyle, co tydzień w gospodarstwie. Co mu tam wyścigi? Jego wyścigi, to świst pary, to dym, wychodzący z wielkiego kominu, widnego w okolicy na milę dokoła. To mi wyścigi! Niech mi ludzie dobrze pracują, a buraki mają dużo cukru, to mię tam mało obchodzi, który koń będzie pierwszy u mety! Niech się tam bawią ci, co nie mają nic lepszego do roboty!

W nocy przed wyścigami upadł deszczyk, ani za mały, ani za duży, tylko tyle, ile było potrzeba, by kurzu na torze nie było.

— O, — mówił Sobolski — ten święty lepiej się zna na rzeczy, niż każdy z nas! To jest... na wdziękach kobiecych i na umiejętności dogodzenia najpiękniejszej!

Mania kwitła, jak kwiat, w słońcu tego pochlebstwa. Sobolski był dla niej w tej chwili wyrocznią. Już naprzód pokazała mu suknię, którą na wyścigach mieć miała.

— Szyk, prawdziwy szyk! — wołał Sobolski. — To toaleta godna się pokazać na Longchamps! Szkoda tego arcydzieła na Zarębie!

Wreszcie nadszedł dzień, oczekiwany przez Manię, oczekiwany przez dyrektora. Ten ostatni własną ręką podłożył ogień, który miał z martwego budynku uczynić mrowisko życia i ruchu nieustającego, Mania wydawała rozkazy, pamiętała o wszystkim.

— Joanna d'Arc! — mówił Sobolski.

Już dnia poprzedniego przybyła większa część gości, teraz ranny pociąg miał ich jeszcze wyrzucić sporą liczbę na platformę stacyi. Powozy, oczekując, stały długim szeregiem.

Konie od dni paru przybywały do Zarębia z masztalerzami i dżokejami. Stajnia improwizowana w szopie, urządzona z kosztem i smakiem, mieściła już sporą liczbę przyszłych zapaśników. Około każdego ludzkiego służący mu uwijali się, biorąc pod miarę pożywienie i oddając mu te niezliczone starania, których koń wyścigowy wymaga. Między masztalerzami już były wybuchły tysiączne niesnaski, przymówki, dogryzki, wywołane schodzącą od panów do służby próżnością, pyszałkowatością i różnicą dostatków a nawet urodzenia. Chełpliwość sług była tylko daleko jaskrawszą, bez nałożonego przez dobre wychowanie wędziła.

Zastawiano stoły do śniadania, po którym damy miały się ubierać na uroczystość wyścigów. Goście ze stacyi nadjechali właśnie, witani uprzejmie przez gospodarzy domu. Zygmunt, bledszy i znacznie od jakiegos czasu zeszczuplały, stał obok Mani z uśmiechem. Wszak godność męska leżała w tem, by się okazać tem swobodniejszym, im się było nieszczęśliwszym i bardziej zranionym.

— Ah, ta Józia! — szepnęła mu Mania w jakiejś przerwie grzeszności i pięknych słówek, któremi obsypywała swych gości — przecież ona wie, że ja się tak długo ubieram!... prosiłam ją, by tu była wcześniej... to właśnie jej rola mnie w tej chwili tu zastąpić!... Gotowa się wcale nie pokazać... Taka niespodzianka zupełnie do niej podobna!

Ból, jak ostry nóż, przeszył serce Zygmunta. Coś go dotąd utrzymywało przy boku żony, wśród tego tłumu gości. Był pewien, że to siła woli, moc męskiego ducha. Przy słowach Mani przekonał się, że to była nadzieja. Po nagłym zgaśnięciu światła poznał je dopiero. Wszystko wydało mu się naraz śmieszną, nędzną komedią, on sam jakimś pajacem, pokazującym sztuki dla zabawienia publiczności.

Podano śniadanie. Usiadł przy niem i udawał, że słucha opowiadania damy, którą miał po prawej ręce, a w istocie nie wiedział nic, prócz tego, że nadzieja jego leżała w prochu, że go zawiodło to, na co czekał, czego pragnął, jak więzień w podziemnym lochu pragnie promienia słonecznego. Czyż i to miało mu być odmówionem, by na nią mógł patrzeć i uścisnąć jej rękę wobec wszystkich? Chciał w tym uścisku zawrzeć tyle błagania... chciał jej powiedzieć... A ona nie przyjedzie i zostawi go w ciemności.

Śniadanie trwało krótko. Damy śpieszyły się do gotowalni, wstały więc śpiesznie od stołu za przykładem Mani. Punktualnie we dwie godziny potem miały się wszystkie znajdować w łoży, czekając hasła rozpoczęcia wyścigów. Sobolski w sekrecie powiedział Mani, że zegary zatrzyma na kwadrans, by uczynić ustępstwo marudztwu dam przy toalecie i polskiej nieakuratności.

Wreszcie zajechały powozy, i w miarę jak goście byli ubrani, wyjeżdżali na miejsce widowiska. W łoży dla dam już świeciły toalety, już Mania jaśniała pięknnością i strojem. Jedna z ostatnich przybyła Józefa, wprost z Obrowca, gdyż nie mogła dnia tego wcześniej opuścić kasy. Sama jedna w grupie dam ubrana była czarno, bo nawet matka Zygmunta miała popielatą suknię. Otoczyli ją dawni jej znajomi. Już wieść o jej nowem małżeństwie rozeszła się była, nie mówiono o niem wszakże ani z Manią, ani z Zygmuntem, wiedząc, że to był mezalians. Wszyscy udawali, że nie domyślają się niczego, szepcąc tylko o tem między sobą, gdy się Mania odwróciła. Józefa wszakże wzbudzała tem większą ciekawość. Przypatrywano się jej, oglądano się za narzeczonem, którego ujrzeć się spodziewano. Dopytywano się w sekrecie o jego nazwisko.

Ale uwaga wszystkich przeniosła się teraz na rozpoczynający się wyścig. Czyniono przygotowania, ważono jeźdźców... Mania dawała przykład zakładów, stawiając dość znaczną sumę za Al-Raszydem przeciwko Epine-Vinecie. Wreszcie przyszła chwila entuzjazmująca

i podniecająca wszystkich. Konie rozpoczęły bieg. Wzrok wszystkich wyteżył się w stronę toru. Gorączkowo oczekiwano rezultatu. Józefa patrzyła też na śliczne zwierzęta, zdające się rozumieć, że chodziło o ich honor. Na chwilę zapomniała o swoich nędzach, porwana ogólnem wyteżeniem uwagi ku wyścigowi. Konie były już niedaleko mety, gdy ją tknęło coś, jak przeczucie. Nie wiedziała, jaka siła oderwała jej wzrok od toru i rzuciła w jej duszę dziwny niepokój. Zwróciwszy głowę, spostrzegła opodal stojącego Zygmunta. Oczy ich się spotkały. Była to jakby iskra elektryczna, padająca w dwa na raz łona. Przez kilka tygodni cierpieli zdala od siebie, walczyli, myśleli o wiecznej rozłące, a teraz w jednym spojrzeniu zawarli wszystkie wyznania, wszystkie rozpacze swoje. To nie było spojrzenie, to był okrzyk dwóch dusz, które się szukały po-przez zwątpienia i tęsknoty, i które nareszcie się znalazły. Było to bezwiedne, silniejsze niż wola, i trwało krótką chwilę, ale było dla nich upojeniem, roskoszą, niebem. Ona, zarumieniona nagle, jak mak polny, zbladła potem śmiertelnie, spuściła oczy i uczuła się zmieszaną aż do nieprzytomności; on nie spuścił z niej wzroku i obserwował na jej twarzy wszystkie zachodzące na niej zmiany. W duchu rzucał ku niej słowa namiętne, korzył się przed nią, jak niewolnik, błagał i oddawał się cały.

Wybuchły oklaski i wołania. Al-Raszyd był zwycięzcą. O pół ciała wyprzedził Epine-Vinettę u mety. Nikt nie dostrzegł ani zmieszania Józefy, ani spojrzeń Zygmunta, które przesłaniała mgła najwyższego rozrzuwnienia i zachwytu. Wiedział teraz, że Józefa go kochała. Tylko oczy stęsknione widoku ukochanego tak spoglądać mogą! A więc była jego, musiała być jego, i to on był dziś zwycięzcą, on tryumfował! Te okrzyki, te oklaski, śmiejące się kobiety, jasne stroje, całą tę uciechę on teraz rozumiał. Bo przecie świat był piękny, życie było piękne!... Tylko żyć, kochać i patrzeć w te oczy, które dawały radość i upojenie. Żyć i kochać, to była cała mądrość! Głupi, kto tego nie rozumie!

Bieg innych koni, wręczenie pucharu przez „najpiękniejszą”, za jaką uznano Manię, wszystkie perypetye wyścigowe uszły zupełnie jego uwagi. Był kochanym, co go mogły obchodzić te zabawki dziecinne?

Wracając, chciał się dostać do powozu, którym jechała Józefa. Marzył o tajemnem poszukaniu jej ręki wśród fałdów sukni, o upieszczeniu tej ręki, podczas gdy wzrokiem szukać będzie zmieszanego wzroku... Ale mu się zamiar nie udał. Do powozu wskoczyły nagle, jak młode kozy, dwie panny, i zajęły przednie siedzenie. Przy obiedzie znaleźli się bardzo daleko od Józefy. Napisane kartki wskazywały miejsce każdemu. On prowadził matronę, przybyłą na wyścigi z córkami, Jó-

zefie podawał ramię jeden z dawnych jej znajomych. Potem, gdy towarzystwo przeszło do salonu, Józefa bawiła starsze panie wedle prośby Mani. Zygmunt wyprowadził panów na cygara. Trzęsło nim oczekiwanie, zniecierpliwienie, gorączka. W umyśle jego powstawał zamiar szalony, ale go takim nie widział. Namiętność czyniła go ślepym i głuchym, zabijała w nim rozsądek i rozwagę, popychając go do nieogłędności, która jest jakby konieczną potrzebą miłości prawdziwej.

Ah, jaki czas był niezdolnie długi! Nie można było doczekać się końca tych godzin, które go jeszcze dzieliły od chwili wyjazdu Józefy z Zarebia. Wiedział, że nie chciała być na balu i miała opuścić towarzystwo, gdy panie rozchodzić się zaczęły dla przebrania się. On wtedy pojedzie za nią, bo dziś jeszcze musi się rzucić do jej nóg... Jakże go niecierpliwiły rozmowy, toczące się wkoło, a przerywające ciągle jego marzenie... przecinające je na dwoje, jak coś żywego, coby cierpiało i skarżyło się za każdym razem.

Wreszcie panie się rozeszły; salę balową chłodzono, otworzywszy wszystkie okna; Józefa wyjechała. Wtedy Zygmunt kazał śpiesznie zaprzężyć do małej bryczki, którą niegdyś jeździł po polach, i dojechał nią do samego Obrowca. Nie zatrzymał wszakże ekwipażu; kazał furmanowi jechać do domu. Gdy załatwi swój interes w fabryce, wróci piechotą lub powozem pani Rzeweckiej. Furman odjechał z uznaniem dla pana. To był dopiero gospodarz dbający o wszystko! Choć miał dom pełen gości, nie mógł wytrzymać i jechał do fabryki... Dziś dopiero poszła, więc chciał zobaczyć wszystko na własne oczy. O, mądry z niego pan! Furmana odsyła do domu, bo wie, że ludzi obcych pełno wszędzie się kręci, to w stajni każdy przy swojej czwórce być musi.

Zygmunt skierował swe kroki ku mieszkaniu Józefy. Szedł śpiesznie gorączkowym krokiem człowieka, którego myśl wzburzona pcha naprzód nieubłagane, nie zostawiając obok siebie miejsca na żadne względy. Dopiero gdy się znalazł u drzwi mieszkania, poczuł w sobie dwóch ludzi: jednego—szalonego, który musiał tam wejść, choćby miał to opłacić życiem; drugiego—drżącego, któremu tchu brakło, który oddychał głośno i czuł niemiłosiernie młoty, bijące mu w skroniach. Pierwszy wiedział tylko, że za temi drzwiami znajduje się kobieta, bez której życie było mu brzemieniem nieznośnem, u której kolan musiał dziś wypowiedzieć, wypłakać wszystkie swoje tęsknoty, błagania, bóle... drugi odczuwał niejasno, że po-za nim był świat, były obowiązki, były oczy, czyhające na odkryty skandal, były języki, żadne wygłaszania sensacyjnych wieści. Obejrzał się wkoło i na mgnienie oka się zawahał. Śmieszne wahanie się! Przecie musiał wejść i już ani jednej minuty zwłoki przeżyć nie był zdolny.

Zadzwonił leciuchno, tak, aby odgłos dzwonka nie rozległ się po całym mieszkaniu, a tylko by go usłyszała służąca w kuchni, gdzie się dzwonek znajdował. Podstęp udał mu się doskonale. Józefa nie usłyszała jego wejścia. Może w tej chwili nie była-by zauważyła i silniejszego hałasu. Była tak zatopiona w myślach! Wszystką siłę woli zużyła w Zarębiu na bawienie gości. Teraz, gdy już nareszcie mogła być sama, rzuciła się na fotel, pozwalając nerwom swoim na zupełne rozluźnienie. Cała jej istota skupiona była na jednym momencie, który przeżyła przed kilkoma godzinami: na owym nagłym uderzeniu się jej wzroku o wzrok Zygmunta, które do tej chwili miała w swoich żyłach, w swojej krwi, w mózgu, w sercu. Zamknęła oczy i odczuwała na nowo ten prąd wstrząsający, który jej mówił o rozkoszach podzielonej miłości, o rękach spojonych, o wzroku utopionym w ukochanych zrenicach... Była tak samotna i tak stęskniona... tak bardzo kochała i tak ją w jakieś niebo przeniosło przekonanie, że była kochaną nawzajem.

Zygmunt, stąpając cicho, przebiegał mieszkanie, szukając jej. Odważył się wejść do jej sypialnego pokoju, gdzie ją ujrzał przy mdłym świetle ocienionej lampy, z głową odrzuconą na poręczu fotelu, z powiekami zapuszczonymi, z ustami nawpół otwartymi.

Runął u jej nóg na kolana, powalony burzą, która od dni tylu szalała w jego piersi. Całował jej nogi, przerywanym głosem nazywając ją ukochaną, najdroższą, jedyną. Potem porwał jej ręce, a gdy ona, nawpół przytomna, powstała, znalazła się nagle w jego objęciach. Tulił ją do piersi, okrywał pocałunkami jej włosy, jej czoło.

W chwili, gdy usta jego dotknęły jej ust po raz pierwszy w życiu, pod oknami rozległ się krzyk straszny. Wołano o ratunek tym głosem, na którego dźwięk włosy powstają na głowie...

— Nieszczęście! Ratunku! ratunku!

Równocześnie do uwagi pobudzony słuch Józefy i Zygmunta rozpoznał takie same zmieszane krzyki w oddaleniu, przytem niezwykle świsł pary w fabryce.

— Nieszczęście, nieszczęście! — wołał ten sam głos.

Posłyszano dobijanie się do drzwi Józefy. I ona, i Zygmunt wybiegli naprzeciw złej wieści. Coś zaszło strasznego w fabryce. Ludzie tam się zbiegali ze wszystkich stron. Kobiety krzyczały i lamentowały. Dyrektor już tam poleciał. Wieści te przynosiła stara Walkowa, której syn był w domu. Wrócił przed wieczorem z fabryki, a inni poszli na zmianę nocną.

Tymczasem krzyki stawały się coraz wyraźniejszymi. Para świszczała ciągle, jakby żałośnie skargę posyłając w przestrzeń. Zygmunt i Józefa pobiegli co tchu ku fabryce.

Zastali tam widok, nie dający się opisać. Jeden z kotłów, zawierających syrop, pękł, szerząc dokoła śmierć i nieszczęście. Trzech ludzi poparzonych wyzionęło ducha na miejscu, pięciu innych, poranionych i poparzonych, jęczało, otoczonych krzyczącymi i zawodzącymi kobietami i dziećmi, dwóch, ranionych mniej niebezpiecznie, siedziało ze spuszczonej na piersi głowami.

Gdy tłum ujrzał Zygmunta, rozległ się okrzyk:

— Panie, nieszczęście, nieszczęście!

W istocie nieszczęście było straszne! Osierocone rodziny i tyle męki ludzkiej!

Zygmunt z przytomnością i energią rozejrzał się w położeniu. Posłał natychmiast po lekarza i felczerów, którzy mieli dopełnić pierwszego opatrunku i odwiedzić nieszczęśliwych na stacyę, a następnie do Warszawy. Szpitala w pobliskich miasteczkach nie było, a chorych koniecznie trzeba było powierzyć szpitalnej opiece, bo były prawdopodobne amputacje do zrobienia. Posłano do dworu po stare płótno. Mania kazała dać pakę białizny, ale zabroniła surowo rozgłoszenia złej wieści. Goście nie powinni byli nic wiedzieć do rana.

— Dowiaduję się, — rzekła spokojnie i wesoło do dansera swego, — że mój mąż wezwany został w nocy do fabryki. Zaszła tam jakaś konieczna potrzeba jego bytności.

Bał udał się świetnie. Tańczono do białego dnia.

Józefa została przy nieszczęśliwych. Gdy doktor i felczerowie przybyli, pomagała przy opatrunku, łykając łzy, z sercem ściśnionem, czując w duszy echo każdej skargi rannych i ich rodziny.

— Moja pani droga — wołała jedna z kobiet, u której chorych dzieci Józefa bywała często — cóż ja teraz poradzę nieszczęśliwa? A cóż my będziemy znaczyć bez niego? Cóż my teraz poczniemy?

Zygmunt wyjął pugilares, oddał go Józefie.

— Pani was tu zna, dowie się, co komu potrzeba, i rozda wam zapomogi.

— Rozdam zapomogi, nie odejdę od rannych, dopóki nie będą na wozach, ale ty jedź do domu — rzekła Józefa — proszę i wymagam tego od ciebie. Jesteś błądy jak trup... już dziś rano uważałam, że bardzo źle wyglądasz. Jedź, zrób to dla mnie, połóż się do łóżka.

Ledwo się na nogach trzymał, usłuchał więc Józefy. Jeden z czekających na rannych przed fabryką wozów zabrał go i odwiózł do Zarebia. Był tak wyczerpany wzruszeniami dnia tego, że, ledwie dowlóknął się do swego pokoju, rozebrany i prawie położony do łóżka przez lokaja, usnął snem kamiennym, pomimo odgłosów hucznej muzyki, wpływających przytłumioną falą do jego pokoju, i pomimo, głośniejszą niż

muzyka dźwięczących w jego uszach, łkań i krzyków nieszczęśliwych ofiar, które zostawił pod opieką Józefy.

Ona nie spała wcale tej nocy. Gdy wozy powoli ruszyły z przed fabryki, a doktor jej przyrzekł, że nie opuści rannych, aż ich odda w ręce lekarzy szpitalnych, poszła do domu, ciągnąc za sobą długi orszak płaczących kobiet i dzieci. Rozdała zapomogi i słowa pociechy... Wreszcie została sama.

Długo nic w sercu, nic w oczach nie miała, prócz tej strasznej niedoli, tych mąk, na które patrzała przez godzin kilka tej nocy. Krzyki i jęki przebrzmiały miała w uszach, jak gdyby trwały dotąd, a przed jej wzrokiem zmieniały się ciągle sceny pełne grozy, na które jeszcze nie zapadła w jej umyśle szara zasłona, jaką czas przestania wszystko, co ludzkie. Była więc jeszcze pełna wzruszenia i cała drżąca, jak szarpnięta struna.

Powoli z zamętu tych obrazów wysunęło się uczucie niejasne; jakby wspomnienie czegoś, co się stało, a czego ona nie pamiętała; jakby obawa dotknięcia miejsca bolesnego, lub owo uczucie po przykrym śnie, z którego w pamięci zostało tylko wspomnienie męki, a szczegóły zupełnie się zatary. Co to było takiego? Czy jej, szukając wkoło, padły na fotel, w którym siedziała, gdy Zygmunt wszedł do niej poprzedniego wieczora. Przypomniała sobie nagle wszystko. Ona, temu godzin kilka, tu, na tem miejscu, była w objęciach szwagra, tuliła się do jego piersi, słuchała słów miłosnych i gotowa była dla niego zapomnieć o wszystkim.

Zerwała się z jękiem, z rumieńcem wstydu, z niedowierzaniem, by to być mogło na prawdę. Ona, która matce na łożu śmierci przysięgała... ona, która pragnęła dobra... ona męża swej siostry obejmowała ramionami kochanki! Czy to być mogło, czy to było na prawdę? Tak, wszak czuła jeszcze na ustach ogień pocałunku, i gdyby nie to straszne nieszczęście, które spadło na biednych robotników w fabryce, ona może w tej chwili była-by kobietą upadłą! Cóż ją broniło od tego? Czy może jej wola, jej siła? Nie, ona była szalona, jak on, jak on zapomniała o tem, co ich dzieliło, i była na chwilę tylko kobietą kochającą, gotową się oddać, gotową poświęcić wszystko swojej miłości. Nie pamiętała, że miała siostrę, nie pamiętała o Jasiu, nie pamiętała o Bogu!

— O Boże, daruj mi! — jęknęła, padając na kolana.

Tyle uczyniła złego, tyle złego, chcąc być dobrą, chcąc uszczęśliwiać... Wszystkim, kto się do niej zbliżył, przyniosła nieszczęście. Nie kochała, gdy kochać była powinna. Była złą żoną... a teraz dawała miłość, jak truciznę...

Obejrzała się wkoło, szukając rady, ratunku...

Nie było nikogo koło niej i działać musiała sama. Trzeba jej było uciekać stąd, bo jutro mogła jej przyjść chwila szału, zapomnienia, obozwładnienia woli...

Zawołała służącą. Kazała powiedzieć furmanowi, żeby był gotów. Za parę godzin odwiezie ją na stację, na pociąg południowy.

Zebrała trochę potrzebniejszych rzeczy, pamiątki, z którymi się nie rozdzielała, i kazała to wszystko upakować. Potem napisała list do Zygmunta:

„Nie szukaj mnie i nie dopytuj się o mnie. Musimy się rozdzielić na zawsze. Taka miłość, jak nasza, nie ma prawa ludzi łączyć... od takiej uciekać trzeba. Bóg da nam siły. Daruj, żem ci życie popsuła. Chciej, a może zdołasz być jeszcze szczęśliwym.”

List ten i pugilares Zygmunta włożyła do kasy ogniotrwałej razem z kluczem od niej. Zatrzasnęła drzwiczki, które mógł otworzyć tylko Zygmunt, mający drugi klucz. Służąca miała mu powiedzieć, że list był w szafie.

Gdy Józefa miała już wsiadać do powozu, przyszła żona jednego z rannych. Już się była dowiedziała od furmana, że pani kasyerka jechała do Warszawy. Pod płachtą niosła ser, trochę masła i bochenek chleba w kobiałce.

— Pani do Warszawy... niby... do nich?

I wybuchnęła wielkim płaczem.

— Do Warszawy, do nich, moja kobieto.

— O Boże, Boże!... pani ich tam zobaczy... mojego Franka!... Chciałam tam *podać* choć ten okruch sera i masła... on za serem... Niech tam choć przed śmiercią...

I znowu płakała, płachtą ocierając oczy.

Józefa wsiadła śpiesznie do powozu, postawiła kobiałkę koło siebie i rozkazała jechać.

— Do nich! — szeptała, patrząc na jesienne pola, zieleniące się już nadzieją przyszłorocznego plonu. — Do nich! Dla tych, co już nie mają własnej nadziei, co nie mają do kogo się przytulić, są zawsze *oni* — ten tłum nieszczęśliwych, o których imiona nikt nie pyta, i którzy, jako jedyny tytuł i świadectwo, mają nędzę swoją. Przy ich cierpieniu może moje własne zdoła zmaleć mi w duszy... utonąć jako kropla w wielkiem morzu ludzkiego cierpienia. Głośny jęk niedoli, usłyszany *wtedy*, ocalił mnie od największego nieszczęścia, od pogardy dla samej siebie, więc pocieszaniu niedoli oddam resztę życia...

W kilka godzin później Zygmunt zadzwonił do drzwi Józefy. Biegł do nich z uczuciem takiego szczęścia, jakiego nie doznał nigdy jeszcze w życiu. Pierwszy pocałunek dawał mu żądzę dawania i odbierania nowych uścisków... Za chwilę będzie ją miał w swem objęciu!...

Ukazała się służąca.

— Pani wyjechała. List jest w kasie ogniotrwałej...

— Wyjechała!

Nogi się pod nim zatrzęsły, serce jego przeszło przecucie niepowrotnej straty... Dała mu nadzieję, a teraz odbierała mu wszystko, nawet swój widok! Przed oczyma zrobiło mu się ciemno, zachwiał się... Wszystkie przebyte cierpienia, bezsénne noce, wzruszenia dnia poprzedniego, czyniły go słabym wobec nowych ciosów.

Od tej chwili zdrowie jego pogorszyło się. Widocznie zaziębił się tej nocy, której biegł do fabryki na ratunek ofiar nieszczęsnego wypadku. Kaszlał coraz mocniej, nie mógł prawie wcale spać, w nocy miewał gorączkę. A jakże źle wyglądał! Ci, co na niego nie patrzyli ciągle, uderzeni bywali zmianą, zachodzącą w nim z dnia na dzień. Matka łamała ręce i marzyła o odszukaniu Józefy, o wydobyciu jej choćby z pod ziemi. Sprowadzono słynnego lekarza. Zalecił różne środki, a przede wszystkim spędzenie zimy na południu. Mania zgadzała się na wyjazd z Jasiem, ale tylko do Monte-Carlo. Lekarz i na to przystał.

— Może stosowniejszy byłby Meran, ale jeżeli pani sobie życzy...

Mania poczęła obliczać, ile pieniędzy z sobą wziąć musiała. Wypadła tak duża suma, że trzeba było wycofać ze stratą kapitał, zaangażowany na dłuższy termin.

Młoda kobieta uśmiechała się ze znaczącą miną.

— To wszystko wróci się w dwójnasób.

W końcu listopada upakowano wreszcie wielkie kufry, uszyto Jasiowi futerka i kapturki i ruszono w podróż. Że pani Bielmońska oświadczyła, iż nie opuści syna, więc jechała także. Jechało też i troje służących.

Cały tabor zatrzymał się na parę dni w Warszawie. Mania z radością dowiedziała się, że Sobolski zamierzał też tej zimy być w Monako. Mieli z Manią grać do współki. Gdy złożą na jedno dwa wielkie szczęścia do hazardu, to bank prysnie, jak bańka mydlana.

Zygmunt uparł się odwiedzić rannych w szpitalu. Jeden z nich już nie żył, dwóch, mniej pokaleczonych, pracowało na nowo w fabryce, czterech jeszcze się z ran goiło. Mieli oni zostać kalekami na zawsze.

Przyjęli swego pana z tą niezmierną radością, z jaką chłop na łóżu szpitalnem przyjmuje wszystko, co mu przychodzi z zewnątrz,

z szerokiego świata, gdzie ludzie są na wolności, bo szpital dla chłopca jest zawsze więzieniem.

Poczęli mu zaraz na wstępie mówić o pani kasyerce. Niech jej Bóg wynagrodzi! Przychodziła do nich dawniej i tak se rozmawiali o Zarębinu, o fabryce, o swoich stronach.

— Przychodziła-by i teraz, ale jej nie pozwalają.

— Jakto? Kto jej nie pozwala?

— A bo ona teraz będzie siostrą, *szaretką*... ale dopiero aż się nauczy. Pono dopiero za rok...

Pożegnawszy chorych, Zygmunt zwrócił się do siostry miłosierdzia, przechodzącej kurytarzem. Zostało mu potwierdzeniem, że pani Rzewicka wstąpiła do zgromadzenia.

— Czy można ją będzie odwiedzić?

— Teraz... zaledwie rozpoczęła nowicyat...

— Ale ja wyjeżdżam z kraju... może już nie wrócę... może jestem bardziej chory, niż ci wszyscy...

Wskazał na drzwi sali rannych.

— Niech pan spróbuje.

Gdy się znalazł w parloarze klasztoru, w którym przebywała Józefa, wyszła do niego siostra przełożona. Była to kobieta niemłoda, której rysy zwiędłe i zmęczone miały wyraz anielskiej dobroci i spokoju. Siostra miała wielkie doświadczenie nędzy ludzkich i spostrzegła od razu, że stał przed nią nieazczęśliwy, zgnębiony cierpieniem moralnym bardziej, niż chorobą. Prosiła Zygmunta, by usiadł, i sama usiadła także.

— Pan-by chciał widzieć panią Rzewicką?

— Tak, siostró, wyjeżdżam na długo i może po raz ostatni...

Był bardzo wzruszony. Mówiąc, pobałdł bardziej jeszcze.

— Zasadą naszą jest — mówiła przełożona — by przyszłym siostrą, mianowicie tym, które dopiero rozpoczynają nowicyat, zapewnić jak największy spokój...

Patrzała pytająco na Zygmunta.

— A ja jej niosę widok mojej męki... odnowienie jej ran własnych — zawołał Zygmunt.

Siostra nie zdejmowała z niego wzroku pełnego litości i słodyczy, a pozbawionego wszelkiej ciekawości ziemskiej. Zygmunt myślał, że za lat kilka i Józefa będzie miała w twarzy ten wyraz istot szczęśliwych w Chrystusie. Wydał on mu się w tej chwili czemś wzniosłym i boskim, co naruszać było świętokradztwem.

— A więc nie żądam już widzenia jej — ozwał się nagle — nie zamęcę jej ani chwili spokoju... nie opóźnię dla jej duszy zstąpienia tego szczęścia, którego siostry macie tajemnicę.

— To nie tajemnica żadna — rzekła siostra z prostotą — ludzie świeccy tego nie rozumieją... a recepta taka łatwa... ot, zwyczajna rzecz... tylko zaprzeć się siebie, zapomnieć zupełnie o sobie, nic więcej.

ZOFIA KOWERSKA.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, w maju 1893 r.

Nie podobna w kronice niniejszej pominąć wzmianki o zimowej sesji Rady Państwa, była to bowiem jedna z najdramatyczniejszych. W listopadzie wykołajenie pociągu parlamentarnego sprowadził dziwnym występow młody ks. Karol Schwarzenberg, który w obozie konserwatystów austriackich odgrywa tę samą rolę, co namiętny i skłonny do zdumiewających zwrotów lord Randolph Churchill w obozie torysów angielskich. W lutym zjawia się pięknie wystylizowany program hr. Taaffego, który dotąd zawsze wyznawał nieprzezwyćżony wstręt do wiązania sobie rąk ścisłym programem. Skończyła się wreszcie ta sesja ustąpieniem sędziwego marszałka Smolki, przy całkiem wyjątkowych w dziejach parlamentarnych owacych całej izby, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy.

Dymisja marszałka nie nastąpiła jedynie, ani nawet głównie, wskutek podeszłego wieku tego wybitnego weterana bojów parlamentarnych, lecz mianowicie z powodu namnożenia się w izbie poselskiej żywiołów, które systematycznie zniżają poziom parlamentarny i utrudniają prawidłowy tok obrad. Parlament austriacki w tej mierze nie stanowi wyjątku. Już od kilku lat parlamentaryzm wszędzie przechodzi taką samą chorobę zawichrzeń. Niedawno temu liberalny poseł, dr Barth, w sejmie niemieckim oświadczył: „Nie można się ostatecznie

dziwić, że właśnie najlepsi i najszlachetniejsi ze wstrętem odwracają się od polityki. Obrzydła ona ludziom przyzwoitym i staje się coraz więcej rzemiosłem spekulantów.“ Nowowyszany prezes izby francuskiej, Jean Casimir Périer, powiedział: „La politique peut être le plus noble ou le plus vil des métiers,“ kładąc przycisk na tę drugą alternatywę. Inny z przywódców republikańskich, Rouvier, wyrzekł: „Quel est donc l'homme politique que la calomnie, que la diffamation a épargné dans ce pays?“ Przed nim Augier politykę nazwał „wiedzą najmniej ścisłą i najmniej godną szacunku“ i wyznaczał jej miejsce „pomiędzy astrologią a alchemią.“ W sejmie włoskim świeżo poseł Bovio zawołał: „Wyraz *parlamentarismo* w opinii publicznej przybrał znaczenie obelgi,“ a przed dwoma laty komenderujący generał w Massawie, Gandolfi, sam członek parlamentu włoskiego, przed komisją śledczą błysnął aforyzmem: „I Somali stanno benone perché non hanno un parlamento che ci incretinisco“ („Murzynom szczepu Somalów wiedzie się dobrze, ponieważ nie mają parlamentu, który-by z nich robił kretynów“). Podobne skargi na zniesienie poziomu politycznego wogóle, a mianowicie parlamentarnego, wszędzie obecnie stoją na porządku dziennym.

Wnosić stąd, że istotnie nastąpił całkowity upadek parlamentaryzmu i sztuki politycznej, było-by błędem. We wszystkich bowiem dawniejszych wiekach nie brakowało podobnych pesymistycznych spostrzeżeń. W r. 1700 Anglik, książę Shrewsbury, oświadcza: „Dziwię się, jak w Anglii ktokolwiek, posiadający utrzymanie, może się zajmować sprawami publicznymi; gdybym miał syna, przeznaczył-by go chętniej na szewca, niż na dworaka, chętniej na kata, niż na ministra.“ Były to czasy, kiedy osławiony minister Walpole twierdził, że zna cenę każdego członka parlamentu! Nasz Trembecki trochę później śpiewał o sejmie:

„Te licznym zasiadaczem obciążone ławy,
Nie przyczyniwszy dobra, przyczyniły wrzawy.“

W tragedyi Schillera „Intryga i miłość,“ sekretarz Wurm trwogą napełnia spółgraczy, grożąc, że oznajmi światu, jakim sposobem ministrowie dobijają się urzędu. Voltaire w „Kandydzie“ mądrymu Turkowi kładzie w usta słowa: „Je présume qu'en général ceux qui se mêlent des affaires publiques périssent quelquefois misérablement, et qu'ils le méritent,“ w komedyi Szekspira „Czego chcecie“ kawaler Andrzej powiada: „Polityki nienawidzę; wołał-być być mistykiem, niż politykiem.“ Sięgając zaś daleko wstecz, w dyalogu Lucyana na pochwałę parazyta czytamy: „Zgromadzeń ludowych nie będzie on zwiedzał, bo właściwie te miejsca należą się jedynie sykofantom (à la Ahlwardt,

a dawniej Marat, a jeszcze dawniej Wilkes!) i ponieważ rzeczom, traktowanym tam, niedostaje rozumu...”

Trzeba więc wnosić albo, że zawsze istnieli pesymiści, którzy zbyt surowo sądzili i nogólniali wady w życiu publicznem, albo też, że w każdym wieku wydarzają się pewne okresy chwilowego zniżenia poziomu politycznego. Do takich chwil niewątpliwie w środkowej Europie należy teraźniejszy fin de siècle.

Zboczyliśmy trochę daleko, aby nie usprawiedliwiać, ale objaśnić fakt, że także w parlamencie austriackim, któremu nigdy nie brakło zaciętych walk politycznych, od czasu ostatnich wyborów w roku 1891 namnożyło się żywiołów, które rubaszością tonu zastępują siłę argumentu, i wywoływaniem co chwila skandalów na szwank narażają sam system parlamentarny. Jeżeli ta metoda budzi wstręt wśród przyzwoitych posłów, ileż mocniej musiała oburzać 80-ciokilkoletniego marszałka, zobowiązanego zachować ład i honor obrad, a dysponującego tylko regulaminem niedostatecznym, bo ułożonym w czasach, gdy jeszcze przypuszczano, że każdy poseł, wybrany do parlamentu, starać się będzie dowieść, że, choćby nie był Demostenesem, ani Cynceronem, ani Pittem lub Cavourem, to przecież należy do przyzwoitego towarzystwa!

Prezydent izby, wobec takiego zniżenia poziomu parlamentarnego, znajduje się w położeniu przykrzejszem, niż prezydent gabinetu. Pierwszy zawsze pragnie zwiększenia powagi i wpływu parlamentu, drugi czasem „gaudet duobus litigantibus,” czyli: staje się tem potężniejszym, im namiętniej i nieprzyzwoiciej walczą pomiędzy sobą posłowie. Nie przypisujemy jednak hr. Taaffemu tyle macchiavelizmu, aby istotnie radował się z podobnych zamieszek parlamentarnych.

Nie dawno temu jeden z posłów niemieckich zastosował do hr. Taaffego zdanie Rankego o Henryku IV-ym: „Kochał niewielu, nikogo nie nienawidził, żartował sobie ze wszystkich.” Autor zaś biografii Taaffego, ogłoszonej w lutowym zeszycie „Contemporary Review,” powiada: „W traktowaniu politycznych przyjaciół i przeciwników hr. Taaffe jest zręcznym, do pewnego stopnia cynicznym. O najważniejszych kwestiach dyskutuje, jakby chodziło o proste żarty. Gdyby polityka była komedyjką, a życie publiczne zabawką żaka szkolnego, nie mógł-by dobrać odpowiedniejszego tonu. Na pozór zdaje on się nie być zdolnym do traktowania na seryo najpoważniejszych kwestyi. Na prawdę ta pozorna lekkomyślność i ten cynizm są tylko skorupą, a gdy odłoży na bok maskę parlamentarną pustoty, zaznacza się patetyczny, a nawet tragiczny kontrast pomiędzy udaną wesołością a heroiczną troskliwością o dobro państwa.” Z tego względu autor wymie-

nionego szkicu sięga aż po porównanie ze starszym Brutusem i z Fieskiem Schillera.

To znowu za wiele. Na bohatera tragedyi hr. Taaffe nie jest stworzony. To, co wielu uważa jako zręczną lub przewrotną taktykę tego męża stanu, tłumaczy się najczęściej temperamentem: flegmatyczną wytrwałością, którą odziedziczył po swych angielsko-irlandzkich antenatach, oraz wiedeńską dobroduszością i wesołością, których nabrała ta latorośl obca, przeniesiona od dwóch wieków nad brzegi Dunaju. Na dzień 24 lutego r. b. przypadała 60-ta rocznica urodzin Taaffego; już 7 marca r. 1867 po raz pierwszy został ministrem w gabinecie hr. Beusta; obecnie bez przerwy jest ministrem od lutego r. 1879-go. Jeżeli, pomimo podeszłych lat i pomimo tak długiej służby na szczególnie nużących stanowiskach, zachował sobie tyle humoru, nie może to być maską, ani taktyką, ani sztuką,—lecz zawdzięcza to szczęśliwemu usposobieniu. Że to usposobienie znacznie ułatwia jego zadanie i pozwala mu przebrnąć przez błota, w których ugrzązł-by każdy inny minister, nie ulega żadnej wątpliwości. „Un homme sans passion ne peut inspirer d'aversion à personne”—powiada o sobie p. de Wollmar w „Nowej Heloizie.” To właśnie tłumaczy, dlaczego hr. Taaffe, chociaż od r. 1867 z kolei niby to walczył ze wszystkimi stronnictwami (wyjąwszy delegację galicyjską), jednak osobiście jest miły wszystkim.

Kiedy w r. 1868 ks. Karol Auersperg złożył prezydentycę gabinetu, którą następnie hr. Taaffe sprawował tymczasowo, a hr. Beust zaproponował na radzie ministrów powołać na prezydenta ks. Adolfa Auersperga, brata pierwszego, powstał groźny dr Herbst i oświadczył: „Ależ, dlaczegoż szukać nowego prezesa, skoro nam tak dobrze z hr. Taaffem?” Gdyby dziś urządzono *referendum* parlamentarne, niewątpliwie wszyscy, poczynawszy od hr. Hohenwarta aż do Plenera, nie wyłączając pp. Gregra i d-ra Luegera, odezwaliby się tak samo.

Bądź-co-bądź, w listopadzie wydarzyło się wykołowanie maszyny parlamentarnej. Trzeba było wyszukać nowego, uroczystego sposobu zażegnania parlamentarnej katastrofy. Hr. Taaffe znalazł go w programie. Empiryk i wróg wszelkiego doktrynerstwa, wierzy on więcej w swoją osobistą zręczność,—w kompromis i w tę ciekawą maksymę, którą Napoleon I w Erfurcie wygłosił przed Goethem: „La politique est la fatalité,” niż w ściśle określone programy, które często raczej krępują, aniżeli ułatwiają akcyę. Wobec jednak grożącej, zupełnej anarchii parlamentarnej, trzeba było mignąć przed oczami posłów nowointeligenckim, pięknie wystylizowanym programem, który, po długich konferencyach poufnych, pojawił się uroczystie 4 lutego.

Napisano o tym programie mnóstwo świetnych artykułów wstępnych i ogłoszono o nim cały szereg niemniej świetnych mów. W za-

pale polemicznym i deklamacyjnym zapomniano o jednej, najważniejszej kwestyi: czy to rzeczywiście program nowy? w czym się różni od dawnego trybu rządów Taaffego?—W niczem! Jedno koło zrozumiało tę prawdę natychmiast i sans phrase uchwalilo popierać nadal Taaffego „w myśl programu.“ Rzeczywiście ten program nie zapowiada najmniejszego zboczenia od drogi, którą hr. Taaffe postępował od r. 1879. Utrzymanie ugody z r. 1867—to rozumiało się samo przez się. Konstytucya grudniowa stanowi podstawę prawa publicznego — hr. Taaffe przez lat 14 nie myślał jej zmieniać; — oklaski więc lewicy zbyteczne. Zabespacza się samorząd krajów koronnych. Hr. Taaffe zawsze tak mówił—więc zbyteczne oklaski prawicy. Ustaw szkolnych nie można zmieniać — bo też na to niema większości w parlamencie. Ale w ramach tych ustaw rząd sumiennie uwzględni uczucia religijne — jak dotychczas. Rząd uznaje pierwszeństwo języka niemieckiego. Dziwaczne oburzenie w pewnych kołach, skoro przecież od r. 1879 hr. Taaffe nigdy nie pozwalał uszczuplać pierwszeństwa języka niemieckiego w wojsku, w rozprawach delegacyi i rady państwa, we władzach centralnych i t. d.

Słowem, ten sławny program z 4 lutego, którego wprowadzie nie odrzuciło żadne z trzech głównych stronnictw, ale wobec którego tak klub Hohenwarta, jak klub lewicy, wypowiedziały znoszące się nawzajem a zbyteczne zastrzeżenie, gdy jedno koło przyjęło go bez zastrzeżeń—jest to stary program Taaffego, trochę ściślej sformułowany, i stanowiący zresztą jedyną na teraz możliwą podstawę utworzenia ściśle zorganizowanej większości parlamentarnej, która implicite od dwóch lat istnieje, i która na jesieni r. b. niewątpliwie stanie się widowym i uznawanym publicznie faktem, byle hr. Taaffe nie sprzykrzył sobie wreszcie zawodu ministra, co niektórzy przewidują.

Ów wstręt do polityki, czyli do sztuki, rozwiązującej zmieniającą się niemal z każdym pokoleniem zagadkę: jak powinno najlepiej być urządzone państwo?—czasem tłómaczy się dostatecznie wykroczeniami zbyt niecierpliwych interesantów; czasem, mniej usprawiedliwiony, pojawia się u starców, którzy „już nie rozumieją świata,“ najczęściej zaś w tych warstwach sytych, które się czują zagrożone w swej przewadze.

Pod koniec zeszłego wieku tak zwany stan trzeci, mieszczański, domagał się równouprawnienia. Dobijał go się piórem najświetniejszych pisarzy. Ale tacy Voltaire i Rousseau, każdy w odmiennym rodzaju rokoszanin wobec uprzywilejowanych stanów szlachty i ducho-

wieństwa, z kolei stają się zaciętymi arystokratami wobec młodszych jeszcze warstw. „Un homme élevé dans des sentiments d'honneur est l'égal de tout le monde; il n'y a point de rang où il ne soit à sa place,” — oświadcza Rousseau w „Nowej Heloizie,” aby uzasadnić zupełną równość wykształconego mieszczanina z arystokratą. Tenże jednak Rousseau radzi: „N'instruisez point l'enfant des villageois, car il ne lui convient pas d'être instruit.” („Nouv. Heloise,” V, 3). W roku 1761 generalny prokurator de la Chalotais przeciwko „braciom szkolnym” ogłasza „Essai d'éducation nationale,” protestując głośno przeciwko kształceniu warstw niższych: „Dobro bowiem społeczeństwa wymaga, aby wiadomości motłochu nie sięgały dalej, jak jego rzemiosło.” Voltaire śpieszy mu za to złożyć podziękowanie, gdyż on, jako pan majątku Ferney, „potrzebuje robotników, nie zaś ogolonych księży.” Szukając źródła takich uprzedzeń „wyższych 10,000” w owych czasach greckich, gdy Arystoteles twierdził, że niewolnictwo jest instytucją konieczną, a niewolnik jest niewolnikiem z natury, moralista angielski, Herbert Spencer, sięga zbyt daleko; zupełnie wystarcza prosty zmysł *beati possessoris* po stronie warstw zadowolnionych, choćby nie znały Arystoteles.

W Niemczech obecnie, pomimo na pozór tak zaciętej walki pomiędzy konserwatystami a liberałami, tak samo, jak we Francji, wytwarza się coraz wyraźniej pewna solidarność warstw wyższych, szlachty i burżoazji, przeciwko pretensjom warstw najmłodszych. Dlatego też tam największe wrażenie sprawiają dramatyczno-naturalistyczne protestacje Ibsena przeciwko niwelacji, a najbardziej są czytane, ba! rozrywane, pisma—Fryderyka Nietzschego ¹⁾. Jest to uczeń Schopenhauera, a zarazem epigon Voltaire'a i Rousseau. Do pierwszego przyznaje się otwarcie, przypisał mu jedno ze swych dzieł: „Menschliches, Allzumenschliches” w setną rocznicę jego śmierci 30 maja 1878 r. Na „plebejusza”—Rousseau wprawdzie równie silnie uderza, jak niegdyś Voltaire, zwie go „potworem, idealistą i kanalią w jednej osobie,” pomimo tego jest jego bliskim druhem.

¹⁾ Urodził się w r. 1844 w Luetzen, w 25 roku życia został profesorem filologii na wszechnicy w Bazylei. W r. 1870 wziął udział w kampanii francuskiej. Od roku 1876, wskutek choroby, przebywał we Włoszech, w styczniu r. 1889 został oddany do zakładu obłąkanych. Główne dzieła: „Jenseits von Gut und Böse,” 1886; „Zur Genealogie der Moral,” 1887; „Goetzensdämmerung,” 1889.—Porównaj: „Friedrich Nietzsche, ein psychologischer Versuch” von Wilhelm Weigand, Monachium, 1893 r.—Dzienniki niemieckie obecnie w artykułach wstępnych, jak w odcinkach, nieustannie wspominają o Nietzschem, jak przez lat kilkanaście wspominały o Schopenhauerze.

Nietzsche łączy w sobie uprzedzenia dawnej szlachty ze wstrętem patrycyusza do tłumów. Ród swój wywodzi od Nieckich (?). Pradziad Fryderyka, Bogumił Engelbert (?) N., wskutek spisku r. 1715 (konfederacya tarnogrodzka?), uszedł z Polski do Niemiec. Ojciec był pastorem, babka należała do kółka Goethego w Wejmarze, gdzie także błyszczała swemi towarzyskimi i literackimi przymiotami, matka Artura Schopenhauera. Po mieczu i kądzieli N. czuł się, jako potomek warstw wyższych. „Niepodobna—powiada—zmazać w duszy człowieka, co jego przodkowie najchętniej i najczęściej czynili: czy skromni w cnotach i żądach spędzali żywot przy biurku lub kasie, czy też przywykli za młodu do rozkazywania, do surowych obowiązków i odpowiedzialności, czy też niegdyś stare przywileje rodu i majątku poświęcali, aby wyłącznie żyć dla swej wiary, dla swego Boga. Jest to niepodobieństwem, aby człowiek nie przechowywał w sobie przymiotów i upodobań swych rodziców i pradziadów, cokolwiek bądź przeciwko temu mówią pozory. Oto zagadka rasy. Jeżeli wiemy coś o rodzicach, wnosząc stąd możemy o charakterze dziecka“ ¹⁾.

Aby ten atawizm działał z żelazną koniecznością nieubłaganego fatum starożytności, temu przeczy fakt, że np. potomkowie starych rodów, jak Gracchus, Mirabeau, lord Randolf Churchil i ks. Aloizy Liechtenstein, stają po stronie mas, chociaż być może, że u takich arystokratycznych demokratów wygórowana ambicja i żądza władzy wdziewa tylko maskę altruizmu; to pewna, że w Nietzschem dziedziczność szlachecko-patrycyuszowska wybujała do istnej idyosynkrazji. Jest w nim coś z tej dumy Koryolana, którego wielki ród Klaudyuszów miał nędznie zgasnąć w Tyberyuszu, Kaliguli i Neronie, i który plebejuszom rzuca w twarz najsroższe obelgi.

Już Schopenhauer dzielił ludzi na tłum głupców, niedołęgów, oszustów i zbrodniarzy, tudzież kilku wybranych, którym zalecał pogardę dla świata, samotność i zanik woli. W teorii Nietzschego pesymizm buddysty frankfurckiego przybrał cechę więcej energiczną, wojowniczą. Dla niego treścią świata nie jest „wola do życia“, jak u Schopenhauera, ani „walka o byt“, jak u Darwina, lecz „walka o potęgę“, tocząca się pomiędzy masą niewolniczą, „trzędą ludzką“, a ludźmi wyjątkowymi, „nadludźmi“, „Uebermenschen“, jak ich nazywa. Pospolicie człowieka o niewyrobionym zmyśle społecznym nazywamy złym człowiekiem: dla Nietzschego właśnie taki staje się dopiero osobowością w wyższem znaczeniu,—indywiduum. Czynów takiego „nadczołowieka“ nie wolno mierzyć normą, przystawiającą do tłumów. Ta powszednia etyka trzód

¹⁾ „Jenseits von Gut und Böse“, str. 242.

ludzkich („Heerdenthier-Moral“) powstała około roku 700 przed Chr. u Żydów, których autor nasz szczególnie nienawidzi, jako społeczeństwo nawskroś demokratyczne. U nich wyrobiły się synonimy bogactwa i przewrotności, ubóstwa i zacności, tak dalece, że pojęcie: ubogi, stroskany, uciśniony, łagodny, pobożny zlewają się w jedno, a wyrazy: bogaty, wielki i silny przybrały znaczenie obelgi. Szczep żydowski, zdaniem Nietzschego, pierwszy wszczął rokosz „moralności niewolniczej“, przeciwko tej wyższej etyce ludzi wyjątkowych, wobec których pospolite pojęcia „dobre“ i „złe“ tracą wszelką doniosłość.

„Wyższa jednak cywilizacya powstać może tam tylko, gdzie istnieją dwie różne klasy społeczeństwa: pracujący i próżnujący, czyli uzdolnieni do prawdziwego próżnowania; albo dobitniej: kasta pracy przymusowej (Zwangsarbeit) i kasta wolnej pracy (Freiarbeit)... Gdyby ktoś chciał wyobrazić geniusza cywilizacyi, jakże musiał-by on wyglądać? Posługuje się kłamstwem, przemocą, bezwzględny egoizmem i to tak stanowczo, że można-by go nazwać złym, demonicznym duchem; ale cele jego, połyskujące tu i tam, są wielkie i dobre.“ („Menschliches, Allzumenschliches,“ I, str. 136). „Najsilniejsze i najgorsze duchy dotąd najwięcej przyczyniły się do postępu ludzkości“ („Fröhliche Wissenschaft,“ str. 31). Ostatecznie lud, w pojęciu Nietzschego, jest „prostu środkiem, za pomocą którego przyroda osiąga kilku wielkich ludzi.“

W teoryach tych o pół wieku wyprzedził Nietzschego poeta w „Królu-Duchu“, który powiada o sobie.

„Poszedłem dalej... i w męki wyborze
Już nie nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć...
A co dziwniejsze, że mnie ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie.
Gdym wyszedł, lud giął przede mną kolano,
Lud owiec, który się k'pasterzom garnie...
Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.“

Jakoż od najdawniejszych czasów w poglądach na rozwój cywilizacyi walczą dwie teorie: jedna wielkich ludzi uważa jako prosty i konieczny rezultat nastroju i charakteru mas w pewnej dziejowej chwili; druga, przeciwnie, tym „królom-duchom“, którzy „veta swoje nawspak światu kładą“ i których nie bierze „żadna cielesna pokusa, iść za zwierzęcą i niższą gromadą“, przypisuje samodzielną władzę popychania świata na tory nowe. Według pierwszej teorii, społeczeństwo w pewnych warunkach musiało wytworzyć Cezara, Kolumba, Napoleona I;

według drugiej, dzieje świata były-by się rozwijały inaczej, gdyby się nie byli pojawili tacy ludzie wyjątkowi.

Ulubieńcy Nietzschego—to szlachta starogrecka, potem potężne, wyłamujące się z więzów zwyczaju osobistości epoki Odrodzenia, w których duchu oświadcza Rabelais: „Fay ce que voudras.“ Podobą mu się Cezar Borgia, który też w zachwytyt wprawiał Macchiavella, ale więcej Napoleon I, którego Taine wprost wyprowadza po duchu z Borgii. Świadomy swej nadzwyczajnej genialności, Bonaparte szorstko odpycha wszelkie poddanie się pod moralne normy swego czasu, przypisując sobie prawo przeciwstawienia swego „Ja“ wszystkim skargom skrzywdzonych. Jego płodność na polu prawodawstwa, administracji i wojskowości jest zdumiewająca: całą nowoczesną Francję przekształcił według wyobrażeń swoich (w koszary, jak powiada Taine!). Nietzsche nie zapomina go pochwalić też za to, że, dzięki jemu, weszliśmy w męską epokę wojen, i że on pierwszy powziął myśl stworzenia wielkiej Europy o jednostajnej cywilizacji; użył i odświeżył wyobraźnię Francuzów, sfinksową zagadkę wielkiego przewrotu rozwiązał słowami: „la carrière ouverte aux talents!“; pomyślał nawet o wydoskonaleniu rasy i stworzeniu nowej, wytwornej kasty, zeniąc swych generałów z najbogatszymi dziedziczkami. Jest on wcielonym systemem z niezrównanym wzrokiem względem każdej realności, trafną oceną ludzi, których uważa tylko za narzędzie swej najwyższej woli, gotów cały świat przeobrazić swym duchem twórczym.

Naprawdę z tych wszystkich „królów-duchów“, którzy się czuli wyższymi po-nad zwykle normy moralności i prawa i o których niegdyś powiedział Montesquieu: „heroizm, na który pozwala moralność, wzrusza niewielu; heroizm, który niweczy moralność, chwyta nas za duszę i obudza nasz podziw,“ — Napoleon I niewątpliwie był najpotężniejszy. „Il ne croyait ni à la vertu, ni à la probité; il appelait souvent ces deux mots des abstractions“—jak oświadcza jeden z jego najpoufalszych, hr. Chaptal, — a zatem najświetniej urzeczywistniał ideał Nietzschego. A jednak jest co najmniej rzeczą wątpliwą, czy Francji przyniósł więcej korzyści, niż szkody — Taine przynajmniej wybiera stanowczo drugą alternatywę.

Mniejsza zresztą o to. Bo także Napoleon I nie był jeszcze najwyższem i ostatniem marzeniem niemieckiego filozofa, miotanego „demoniczną żądzą panowania,“ jak zaznacza jeden z jego biografów. Cóż więc było tem ostatniem jego marzeniem? Nie innego, jak osobista pretensya do roli proroka-prawodawcy ludzkości. Stwierdzać dotychczasowe tak zwane „prawdy,“ układać je w odpowiednie formułki w zakresie logiki, etyki i estetyki—to było zadaniem dawniejszych filozofów, nie zasługujących na ten tytuł w wyższem znaczeniu wyrazu:

„Prawdziwy filozof rozkazuje i wydaje prawa, powiada: „tak być musi,” rozporządzając dowolnie owocami pracy owych robotników filozoficznych z przeszłości, zakreśla dopiero cel i powód życia ludzkiego, tworząc dłonią sięgą w przyszłość, wszystko, co było i jest, staje się dla niego środkiem, narzędziem, młotem. Jego poznawanie jest tworzeniem, tworzenie prawodawstwem, żądza prawdy—*żądza potęgi*. Czy są dziś tacy filozofowie? Czy byli tacy? Czy być nie muszą?...“¹⁾

Myśliciel takiej tytanicznej ambicji pewnego dnia ocknął się—w zakładzie obłąkanych! W nowem wydaniu sławnego dzieła profesora Lombrosa zwiększył się więc szereg dowodów, jak blisko geniusz graniczy z szaleństwem. W szeregu tym jedno z wybitnych miejsc zajmuje świetny pisarz angielski, Jonathan Swift. Stracił on rozum, spoglądając na nędzę Irlandyi. „Z każdym rokiem—pisał w jednym z ostatnich swych dzieł,—z każdym miesiącem wzmagą się moja żądza nienawiści i mściwości; wściekłość, która mną miota, jest tak podła, że zniża się nawet do bronienia głupoty i płytkości plemienia niewolników, wśród którego żyję.“ Jeżeli jednak ta nędza, na którą patrzył Swift, mogła człowieka czułego pozbawić rozumu, czemuż tłómaczą się dziwaczne porywy i obłąkanie Nietzschego? I cóż sądzić o poziomie społeczeństwa, wprawianego w zachwyt jego paradoksami?

Czesi 18-go lutego r. b. obchodzili solennie 40-tą rocznicę urodzin najplodniejszego swego poety Vrchlickiego, a wkrótce potem 25-letni jubileusz pracy literackiej drugiego poety, Swatopełka Czecha. Natomiast 31 marca rozstał się ze światem najznakomitszy reprezentant starszego pokolenia poetów czeskich — Franciszek Wacław *Jerzabek*. Życiorys jego możemy streścić w kilku słowach. Urodził się 26 stycznia r. 1836 w Sobótce w północnych Czechach; skończywszy studia gimnazyalne w r. 1854, wstąpił do seminarium duchownego w Litomierzycach, w dwa lata potem przeniósł się na wszechnicę praską, w roku 1861 wstąpił do redakcyi założonych przez Riegra i Palackiego „Narodnich listów,” od r. 1863 był równocześnie suplentem w szkole realnej, od r. 1867 do 1877 był jednym z głównych redaktorów staroczeskiego „Pokroku;“ od r. 1870 wybierany do sejmu krajowego, w roku 1879 wstąpił także do izby poselskiej Rady Państwa, w tymże roku uzyskał stopień doktorski, już przedtem został profesorem estetyki i literatury przy miejskiem gimnazyum żeńskim, w r. 1884 złożył mandat

¹⁾ „Jenseits von Gut und Böse,” str. 153.

poselski; w r. 1890 był obrany rzeczywistym członkiem czeskiej akademii sztuk i nauk.

Podobne ramy biograficzne będą zawsze tylko szkieletem, jeżeli ich nie zdołamy wypełnić danymi, zaczerpniętymi z duchowego życia poety. Wobec ś. p. Jerzabka znajdujemy się w tej mierze w szczególnie korzystnem położeniu, ponieważ od r. 1875 przez lat 14 łączyła nas ścisła z nim zażyłość. Był to mąż charakteru najzacniejszego, bardzo zdolny, wszechstronnie wykształcony, obdarzony tą niepospolitą czulością i wrażliwością (pedanci nazywają to: drażliwością), które wydają najgenialniejsze utwory sztuki, jeżeli ich nie spaczy anormalność stosunków. W Czechach stosunki od dawna, od XIV-go wieku, cierpią pod różnemi anormalnościami, których nie usunęło wcale językowe odrodzenie w bieżącym stuleciu. Oto np. młody Franciszek, rozczytawszy się w domu w starych kronikach i powieściach czeskich, w 10 roku życia dostaje się do swego wuja, proboszcza, osiadłego w niemieckim miasteczku Komotowie. „Tu — opowiadał nam, — wychowany wśród Niemców po niemiecku, niemal zapomniałem języka ojczystego. Jako gimnazyasta, zapłonąłem zapałem do poezyi niemieckiej, mianowicie do Salisa, Matthisona, Schillera, którego umiałem na pamięć. Ponieważ człowiek w gruncie rzeczy jest stworzeniem naśladowczem, zacząłem niebawem pisać wiersze niemieckie, a nawet, pod wrażeniem podań Gerlego z dawnych dziejów Czech, nowellą historyczną, rozgrywającą się w Medyolanie, który sobie wyobrażałem jako zwiększony Komotów. Rok 1848 sprowadził zwrot w uczuciach moich. Jeden z mych spółuczniów dnia pewnego wytykał mi, że nie jestem patryotą (niemieckim); to obudziło we mnie poczucie czeskie. Na szczęście niedługo potem dostałem się do gimnazjum w czeskim Młodym Bolesławiu i tutaj odświeżyłem znajomość języka czeskiego.“

Ten pierwszy epizod w życiu poety sprawił, że potem artykuły wstępne pisał równie świetnie po niemiecku, jak po czesku; ale niewątpliwie jego zdolności poetyczne przyćmił i pokrył jakoby lekką gazą. Czysto narodowe wychowanie w dzieciństwie zdaje się być nieodzownym warunkiem wszechstronnego rozwinięcia właśnie tych zdolności.

Zaledwo ukończywszy studia uniwersyteckie, Jerzabek wpadł w wir dziennikarstwa, młodego, bez wprawy i tradycji, rozwijającego się—znovu wskutek anormalnych miejscowych stosunków—w kierunku jednostronnym, przeważnie deklamatorskim. „Redaktorom gazet politycznych—powiedział gdzieś Trentowski—należało-by przepisać minimum 40 lat wieku.“ O tem wtedy w Czechach nie było mowy, i 25-letni Jerzabek z zapałem studenta deklamował z trybuny—garmontu na pierwszej stronie „Narodnich Listów.“ Na szczęście, czy na nie-szczęście, myślał on zbyt wiele, aby nie pojąć czczości takiej publicz-

stycznej metody. Kiedy w r. 1883 pisałem życiorys Jerzabka dla jednego z naszych przeglądów miesięcznych, wręczył on mi ułożoną dla mnie szczerą, jak spowiedź, autobiografię, w której o tym swym pierwszym dziennikarskim epizodzie powiada: „W r. 1861 wstąpiłem do redakcyi „Narodnich Listów“ i pisywałem polityczne artykuły wstępne, które, według ówczesnej mody, celowały werwą, a raczej gwałtownością stylu, i dlatego jednały sobie poklask, ale nie zawierały żadnej mądrości politycznej.“ Z latami Jerzabek dojrzał także jako publicysta; ale znowu anormalne stosunki miejscowe sprawiły, że, im wyraźniejsze w tym kierunku czynił postępy, czytając dużo, odbywając dalekie podróże, obcując z wybitnymi mężami i t. d., tem niewygodniejszym stawał się przedsiębiorcom dziennikarskim, aż w r. 1877 widział się zmuszonym opuścić redakcyę „Pokroku“, w której był niewątpliwie najzdolniejszym publicystą.

Także w swym zawodzie poselskim doznawał gorzkich rozczarowań. „Było to dla mnie wielką korzyścią—oświadcza w wymienionej autobiografii,—że, jako publicysta, zaś od r. 1870 jako poseł, otrzymałem sposobność zajrzeć po-za kulisy publicznego życia, czego teoretyczny historyk, lub dramaturg, nie zastąpi najpilniejszą lekturą. W tej sferze niebawem poznałem, że mówienie, względnie pisanie, w polityce o wiele mniej znaczy, niż to się często wydaje, i że przeciwnie, najważniejszym czynnikiem jest mądra, gruntownie obmyślana, publicznie prawie niepostrzeżona czynność, umiejętne wyzyskanie okoliczności, słowem, wyższość dyplomatyczna.“ Któż-by temu przeczył! Ale kazuistyka stronnictw nie dba o takie prawdy. Popchnięte w pewnym kierunku, czasem zasadami, częściej przesadami, temperamentem, albo nawet ambicyą, lub mściwością zręcznych jednostek, stronnictwa poruszają się naprzód (albo w tył) z precyzyą mechaniczną i stają się nieprzystępnymi dla wszelkich przestróg i rad najuczciwszych. Wtedy rozlega się szeroko hasło: „Hors d'un parti, pas de paix,“ a każdy, który się nie poddaje niewolniczo karność stronnictw, zmuszony wołać ze starym Montaigne'm: „Je pus pelauder à toutes mains; au Gibelin j'estois Guelfe; au Guelfe, Gibelin.“ Polityk, który nadto jest poetą, w myśl trafnej uwagi Freiligratha:

„Der Dichter steht auf höh'rer Warte,
Als auf den Zinnen der Partei,“—

najłatwiej naraża się na ową przykrość. To też ś. p. Jerzabek, chociaż do śmierci pozostał osobistym przyjacielem d-ra Riegera, który wysoko cenił jego charakter i zdolność, chociaż szwagier jego, burmistrz Pragi dr Szolc, jest jednym z głównych przywódców obozu staroczeskiego, i chociaż z drugiej strony pozostawał osobiście w przyjaznych stosun-

kach z panami Gregrami, oraz innymi przywódcami młodoczeskimi, jednak nigdy w organizacyi stronnictw czeskich nie zdobył tego wybitnego miejsca, które się należało jego uczciwości i jego zdolnościom. Prawda, że nie należał on do rzędu tych, którzy natarczywie, gwałtem, obłudą, służalstwem, lub podstępem dobijają się znaczenia, lecz był jednym z tych rzadkich ludzi, których trzeba zapraszać, i to nie raz, aby raczyli wysunąć się naprzód.

Dopiero po śmierci, tak młodoczeskie „Narodni Listy,” jako też staroczeski „Hlas Naroda,” odezwały się zgodnym chorałem pochwał dla niepospolitych zdolności i przyniotów nieboszczyka. W tych wspomnieniach pośmiertnych obu wymienionych dzienników pojawiła się, cechująca zaciekłość stronnictw, wzmianka, że właściwie o śmierć Jerzabka przyprawili, czy przyspieszyli ją, t. zw. „realiści!” W roku bowiem 1881 poeta napisał ze wszech miar zajmujące, obszerne i gruntowne dzieło: „Stara doba poezyi romantycznej” i to głównie w tym celu, aby otrzymać katedrę literatury powszechnej na świeżo utworzonej wszechnicy czeskiej. Wymienione dzieło, co do wartości, niezmiernie przewyższa setki rozprawek habilitacyjnych młodych docentów; niewątpliwie też Jerzabek, gruntownie i wszechstronnie wykształcony, a nadto obdarzony niepospolitą wymową, posiadał wszelkie kwalifikacye na dzielnego profesora literatury. Ale starsi profesorowie czescy uważali go za dziennikarza i poetę, a zatem za istotę niższego rzędu. Rozpoczęła się więc przeciwko „intruzowi” gra intryg i zabiegów pokątnych, aby przeszkodzić jego powołaniu na katedrę. Gdy zaś wymienione dzieło w r. 1883 wyszło nakładem „Maticy,” w nowozałożonem przez „realistów” Masaryka i Kaizla „Ateneum” ukazała się surowa, niesprawiedliwa, nawet niedorzeczna, bo czepiająca się prostych omyłek drukarskich, zresztą bezimienna krytyka, która miała niejako post factum usprawiedliwić opór koteryi cechowej przeciwko powołaniu Jerzabka na katedrę. Występ ten brzydki istotnie mocno ubódl i tak aż nadto wrażliwego poetę; znajdował on się wtedy w duchowem przygnębieniu, które czasem przybierało pozory rozpacz; wydostać się z Pragi, było w tym czasie najgorętszem jego życzeniem. Niebawem zapadł na ciężką chorobę sercową, która groziła blizką śmiercią; przeżył to jednak, i, spędziwszy zimę w Vevey pod Genewą, dzięki sumiennej opiece szlachetnej żony, niewiasty wielkiego rozumu i serca, odzyskał zdrowie.

Że owa krytyka, do której zresztą dotąd nikt się otwarcie nie przyznał, i którą w kilka lat później, za przyczynieniem się autora niniejszej kroniki, prof. Masaryk wyraźnie odwołał, była brzydkim objawem zaciekłości koteryjnej, tudzież rubasznosci, że poetę nabawiła bolesnych cierpień moralnych i fizycznych, istotnie nie ulega wątpliwości. Jednakże było-by przesadą twierdzić, że jedynie realiści „zabili” Je-

rzabka. Wiemy to bowiem z częstych z nim rozmów, że już przedtem, wskutek zawodów, doznanych na polu dziennikarskiem i politycznem, znajdował się w usposobieniu równie posępnem, jak drugi najznakomitszy dramatopisarz czeski, Bozdiech, który w kilka lat potem popełnił samobójstwo, chociaż aż do śmierci rozstrój duszy przed światem ukrywał po-za dowcipkami, gdy Jerzabek poprzestawał na melancholijnych skargach.

Jednemu, jak drugiemu, potrzeba było słońca, przyjaźni, uprzejmości, zachęty i pochwały, gdy roznamiętnienie stronnictw, koteryi i frakcyi dziennikarskich stawiało ich w środek ciągłej walki, kabał i zawiści. Jerzabek nie dobijał się nigdy ani reklamy, ani stanowisk, ale bardzo łaknął uznania. Nasza znajomość zaczęła się w r. 1875 od rozrów o „Dziejach poezyi polskiej,“ które dwa lata przedtem wydałem w języku niemieckim („Geschichte der polnischen Nationalliteratur“) i w której, według dawniejszych relacyi, dziś uznanych jako mylne, przytoczyłem dykteryjkę o owym wieczorku, na którym nibyto gubernator podawał Mickiewiczowi szklanę herbaty, a gdy poeta w zapale mowy nie zważał na to, trzymał cierpliwie szklanę, aż wieszcz rzecz swą skończył. Ten szczegół tak mocno oddziaływał na wyobraźnię Jerzabka, że powtarzał go we wszystkich domach, w których bywał. Oczywiście, orderów i tytułów, ani krzesła w Wydziale krajowym nie pragnął, ale grzeczne uznanie jego poetyckich zdolności wprawiało go w zachwyt, rozweselało pochmurne jego czoło i, w należyty sposób wymierzane, było-by go zachęciło do nader płodnej twórczości.

I tak w dziejach nowoczesnej literatury czeskiej zajął jedno z pierwszych miejsc. Był to poeta nawskroś subiektywny. „Każdy artysta—mówi Michał Anioł—maluje ostatecznie samego siebie.“ Egmont, Tasso, Faust—to Goethe w pewnych chwilach życia swego; jak Konrad Wallenrod, Jacek Soplica powstał pod wpływem osobistych doświadczeń Mickiewicza. Tak też wszystkie dramata Jerzabka wyszły z przygód, porywów i cierpień poety. W swym zawodzie dziennikarskim rychło poznał, że deklamacye dziennikarskie często poruszane bywają sprężyną, którą w ruch wprawia, ukryty po-za kulisami, zręczny reżyser. Z tych doświadczeń powstała jego wesola komedia: „Drogi opinii publicznej“ (odegrana po raz pierwszy 14 marca 1866). Wkrótce potem czuł się wyzyskiwanym przez śmiałego przedsiębiorcę dziennikarskiego, który wprawdzie nie dorównywał mu ani wykształceniem, ani zdolnością literacką, ale, posiadając talent kucia z papieru złota, był w swoim fachu wszechwładnym panem: z tych doświadczeń osobistych powstała tragedia: „Służebnik swego Pana“ (odegrana po raz pierwszy 22 listopada 1870 r.). W roku 1876 dziwnym zbiegiem okoliczności zapanował w Pradze całkiem nienaturalny prąd, wyglądający

zbawienia—z Berlina. Jerzabek stanowczo go potępiał, chociaż w „Pokroku,” krępowanym względami solidarności stronnictw, nie mógł wypowiedzieć całkiem otwarcie swego zdania. Uczynił to (1878) w osnutej na dziejach 7-letniej wojny tragedyi „Syn człowieka,” podnosząc patryotyczny opór Czechów przeciwko zabórczym zamysłom Fryderyka II-go. Intrygi i zazdrość, jak sądził, przeszkodziły jego powołaniu na katedrę literatury, której pragnął w słusznym przekonaniu, że młodszemu pokoleniu, a więc narodowi, zdoła wyświadczyć rzeczywiste przysługi. Ta faza z życia poety skryształizowała się w tragedyi: „Zawiść,” osnutej na tle czasów Jerzego Podiebrada (odegranej po raz pierwszy 9 maja 1884 r.).

Jako dzieła sztuki, wszystkie te utwory odznaczają się świetnym stylem i dokładną charakterystyką głównych osób; jako szczerza spowiedź z przekonań i cierpień poety stanowią arcyciekawy materiał do studyum psychologiczno-politycznego.

Uogólniając wrażenia, odniesione z tutejszej 22-giej wystawy obrazów w pałacu sztuk pięknych, zamierzaliśmy rozpocząć sprawozdanie od uwagi, że malarstwo coraz wyraźniej odwraca się od tematów historycznych i że coraz rzadszemi stają się te wielkie, monumentalne utwory, które ostatecznie, jak w poezyi epopeja lub dramat, oznaczają wytyczne chwile w dziejach malarstwa. Rzut oka na sprawozdania z otwartego w miesiąc później dorocznego „Salonu” paryskiego przekonał nas jednak, że takie uogólnianie było-by błędem. Tam bowiem zjawily się wielkie obrazy historyczne: Munkaczego „Arpad,” przeznaczony do nowego pałacu sejmowego w Peszcie, Rochegrosse’a „Złupienie willi gallicko-rzymskiej przez Hunnów,” Roybet’a „Karol Śmiały,” Alma-Tademy „Uczta. Heliogabala,” i niektóre inne, które świadczą, że wielki styl ciągle znajduje wiernych i zdolnych mistrzów. Wypada więc tylko zaznaczyć, że na teraz nie znajduję ich w Wiedniu. Bo, jak na kilku ostatnich wystawach, tak też na terażniejszej, tutaj nie zjawił się żaden obraz historyczny.

Pierwszorzędne miejsce na tej wystawie zajmuje malarstwo religijne. I to głównie dzięki przedziwnemu cyklowi 10 obrazów Piotra Stachewicza, osnutych na tle podań ludowych o Najśw. Pannie. Wyobrażają one Najśw. Pannę niepokalanie poczętą; Matkę Boską, prowadzącą dusze pokutujące na drodze ciernistej do czyśca; Matkę Boską gwieździstą; podanie o przepiórcie, śpiewającej u stóp tronu Matki Boskiej; Wniebowzięcie; Matkę Boską Siewną; Świętą noc; podanie o promyku wieczornym; Ucieczkę do Egiptu i Matkę Boską Gromniczną,

strzegącą sióła przed wilkami. Cykl ten w tutejszej krytyce obudził powszechny, całkiem usprawiedliwiony, zapal. Najchłodniejsi recenzenci przesadzają się nawzajem w pochwałach. Trudno też w słowach oddać tę naiwną, rzewną, dziewczęco czystą poezję, która owiewa te utwory. Prawdziwy mistrz w rysunku i kompozycji, p. Stachiewicz nie potrzebował świetnych kolorów, aby wywołać najsilniejsze wrażenie. Użył on jedynie koloru szarego w różnych odcieniach, od czarnego do białego, i temi-to napozór skromnymi środkami stworzył arcydzieło, jakiego nie pamiętają tutejsze wystawy od czasu sławnych cyklów Grottgera.

Drugi obraz religijny, który wprawdzie nie zasługuje na pochwałę, ale, jako śmiała próbka najnowszego kierunku mistyczno-symbolistycznego, wywołał liczne komentarze, wystawił mistrz berliński, Dettmann. Jego tryptyk „Święta Noc,” na lewem skrzydle, na tle jakiejś zwrotnikowej roślinności, przedstawia ogromnego węża; na środkowej części w dali widać chatę o rzeźbionych oświetlonych oknach, przed nią w dziwacznym oświetleniu roi się zastęp aniołów w błękitnych szatach, o wielkich skrzydłach; na przodzie klęczy kilka osób, zwabionych słupami światła, po których zstąpili z nieba aniołowie; na prawem skrzydle, po-za ciemno-niebieską plamą, z mglistych konturów górnego ramienia krzyża i trzech czerwono-żółtych punktów mamy się domyślać Męki Pańskiej. Kompozycja, rysunek, całkiem znikają w dziwacznej, rafinowanej orgii kolorów. W innych czasach podobny utwór nie byłby prawdopodobnie otrzymał wstępu na wystawę. Teraz nie tylko wywołał najżywsze rozprawy, ale nawet zdobył medal, jako jeden z najśmielszych objawów nowej szkoły mistyczno-symbolistycznej. Szkoła ta, grożąca zniweczeniem najświetniejszych zalet, których sztuka malarstwa nabyła pracą 5-iu wieków, w Niemczech potężnie się wzmacnia. W roku zeszłym w tutejszym „Kunstvereinie” oglądaliśmy cały szereg malowanych w podobnym stylu obrazów Dieffenbacha, tylko że ten jeszcze nie wyrzekł się zupełnie rysunku. W kwietniu r. b. w tymże „Kunstvereinie” (który rywalizuje z pałacem sztuk pięknych, gdzie się odbywa coroczny „salon”), zjawilo się aż 23 „mistyczno-fantastycznych poezji kolorowych” Berlińczyka Hermana Hendricha, roztopiającego, podobnie jak Dettmann, wszelkie kształty w powodzi dziwacznych kolorów obłoków, wody, nienaturalnego światła, widziadeł, których się trzeba domyślać po-za gazą piany morskiej i t. d. Aby na tej drodze switało odrodzenie sztuki, niepodobna przypuścić.

Wracając do wystawy, zatrzymujemy się chwilę przed Św. Cyrylią, grającą w asystencji na organach, Edwarda Veitha. Jest to obraz, wykonany sumiennie według staro-weneckich wzorów, ale blady, sztywny i jednostajny. Wstręt wywołują Hermes, wiodący

umarłych do Hadesu, Franc. Seligmana, i budząca się widocznie w spazmach z piany morskiej Wenus, Adolfa Hirschla. Również chybnym jest utwór Wostrego: „Daphnis i Chloe;“ nikt w tej brunatnej, cygańskiej parze chłopca i dziewczyny przy źródle nie domyslał-by się bohaterów sławnej idylli greckiej. Widocznie p. Wostry wziął na seryo aforyzm: „aimer l'horreur en art est le comble du chic.“

Gdyby nie katalog, nikt-by też nie domyslił się, co przedstawia obraz Aleks. Goltza? Śród bujnej trawy, z ubioru i miny proletaryusz klęczy przed obnażoną, nadobną dziewicą, która mu podaje kwiatek. Ma to być muza, pasująca tego pana na... poetę („Dichterweihe“). Takie połączenie najmodniejszego realizmu (w postaci tego poety) z wyobrażeniami mitologicznymi obudza niesmak. Poeta tegoczesny, wyszedłszy w poranek majowy za miasto, nie spotyka takich nagich nimf. Te zaś boginie lub półboginie, które, według wyobrażeń greckich, zstępowały niegdyś z Olimpu lub Helikonu, nie spotykały poetów, jak ten, którego przedstawił Goltz. Podobnego tematu użył świeżo sławny Bouguereau w „Offrande à l'amour,“ wystawionym na tegorocznej wystawie paryskiej. Ale tam, stojącemu na wywyższeniu amorkowi ofiary składają dziewice greckie (albo przynajmniej Paryżanki w strojach starogreckich); w ten sposób powstał obraz bardzo dobry, gdy płótno Goltza zakrawa na mistyfikację.

Można-by także uczynić zarzut p. W. Kossakowi, że z obu stron maszerującego z wielką werwą tegoczesnego pułku austriackiego umieścił duchy dawnych wojaków austriackich w mundurach różnych wieków. Ale tutaj te widziadła, przysłonię zresztą jakoby lekką gazą, są poprostu wizją, nie biorą w akcyi czynnego udziału, a zatem nie wywołują tego niesmaku, co utwór Goltza. Główną zaletą malowidła Kossaka są wybornie oddane typy maszerujących na czele pułku członków kapeli wojskowej.

Od tego zbiorowego portretu p. Kossaka przechodzimy do najznakomitszego działu tegorocznej wystawy: do portretów. Na tem polu prym teraz tu trzyma Kazimierz Pochwalski, którego dwa, znane z zeszłorocznej wystawy, wyborne portrety (Włodz. Dzieduszyckiego i Burzyńskiego), powszechną zwracają na siebie uwagę na teraźniejszej wystawie paryskiej. Tutaj p. Pochwalski wystawia portrety książąt Jerzego Czartoryskiego i Kamila Stahrenberga, tudzież fabrykantów Schoellera i Kuffnera, odznaczające się mistrzowskiem uwydatnieniem wybitnych cech charakteru wymienionych osób. Jeżeli „un beau, un bon portrait, c'est la pensée et la vie; c'est dans la chair un rayon d'ame immortelle,“ to utwory Pochwalskiego ze wszech miar zasługują na nazwę dobrych portretów.

Na podobne pochwały zasługiwały-by portrety węgierskiego mistrza Benczura, gdyby nie odwracał zanadto uwagi od głównej rzeczy przesadną świetnością kostiumów, dekoracyi. Jego hr. Tassilo Festetics i ks. Ferdynand, siedzący w naturalnej wielkości przy złotym stole, otoczony ponsowym płaszczem, mający pierś pokrytą orderowemi gwiazdami, ramiona ogromnemi, złotemi epoletami, tak olśniewają blichtrzem dodatkowym, że nie mamy prawie czasu wpatrzeć się należycie w twarz.

Leopold Horowitz wymalował ambasadora russkiego, ks. Łobanowa, w ciemno-niebieskim fraku, w pozie ceremonialnej, o twarzy rumianej, okrągłej, dobrodusznej. Drugi portret znanego dyplomaty węgierskiego z r. 1848, a teraźniejszego generalnego intendenta muzeów królewskich, Augusta Pulszkiego, wprawdzie wybornie oddaje pocziwość tego już trochę gadatliwego starca, o pewnych skłonnościach do sybarytyzmu, ale nie odzwierciedla finezyi i przebiegłości, która się rzeczywiście ukrywa po-za tą maską jowialności.

Poważnie, po akademicku, prof. Zygmunt l'Allemand, z polecenia ministra oświecenia, odtworzył portret hr. Hohenwarta, w zielonym fraku tajnego radcy, pomimo swych lat 70-ciu wyprostowanego po żołniersku, o płowym wąsiku, rozumnem i przenikliwem oku i z ironicznym uśmiechem na ustach. Drugiego ex-ministra, prezesa najwyższego sądu, Stremayera, w pozie skromniejszej, siedzącego na krześle z miną jakoby zakłopotaną, wymalował J. Kraemer. Znakomity wirtuoz scen z życia weneckiego, Eugeniusz Blaas, wystawił portret swej czarnobrewnej córki, Agnieszki.

Do zakresu obrazu rodzajowego wkraczają wyborne portrety Tadeusza Ajdukiewicza: „Rotmistrz Igolffy na kłaczach Petronelli,” skaczącej zgrabnie przez rów, i Juliusza Blaasa: „Hr. Wilhelm Stahremberg na Athosie,” sławnym zwycięscy w zeszłorocznych wyścigach oficerskich pomiędzy Wiedniem a Berlinem.

Na blisko 800 obrazów tegorocznej wystawy jest około 700 rodzajowych, i to przeważnie dobrych, świadczących o wielkiem wydoskonaleniu techniki malarskiej. Niegdyś Leonardo da Vinci napominał uczniów swoich: „Przedewszystkiem malarz powinien płaskiej powierzchni obrazu nadać pozory wypukłości; kto w tym względzie przewyższy innych, zasłuży sobie na sławę pierwszego. Na ten szczyt sztuka wznosi się naturalnem i odpowiedniem rozdzieleniem światła i cienia, tudzież tem, co nazywamy clair-obscur. Jeżeli malarz waha się umieścić cień, gdzie jest potrzebny, bezczęści się i czyni swój utwór wstrętnych dla umysłów wytwornych, aby się ubiegać o poklask tłumu, który na obrazach podziwiał tylko jaskrawą barwę, nie troszcząc się o wypukłość.” Gdyby istotnie sztuka nadawania obrazom pozoru wypukłości

wystarczała, to teraz mistrzów mogli-byśmy liczyć na setki, nawet na tysiące, tak bardzo się ta sztuka rozpowszechniła. Tymczasem, co najmniej, równie ważną rzeczą jest wybór tematu i kompozycja, w tej zaś mierze hurtowna produkcja obrazów rodzajowych zanadto ułatwia sobie zadanie.

To też z wymienionych około 700 płócien tego rodzaju, jakoby feljetonów lub nowelletek, tylko bardzo mała liczba nieco żywiej przemawia do wyobraźni. Do rzędu tych ciekawszych utworów należą: „Pierwsze zbiegi“ Zygmunta Ajdukiewicza, — cztery dzielne rumaki, które przy pierwszych wystrzałach w jednej z bitew ze Szwedami pierzchyły z lawetami od armat; dalej wspaniały kary ogier, rozbiegany na tyrolskim targu koni, Juliusza Blaasa; „Noc zimowa“ Alfreda Kowalskiego (wilk, zbliżający się po doskonale wymalowanym śniegu do cichej wioszczyny); ruch na dworcu kolejowym prof. Brütta, kręgielnia klasztorna znanego Gruetznera; sentymentalna idylla „Przed odjazdem“ Volkharta; opowiadanie uczestnika w wyścigach oficerskich Temple'a; aresztowanie Revesza; gracje Weisera; „Targ w starej Kastylii“ Barcelończyka Galofrego, o oryginalnym, trochę kapryśnym kolorycie nowej szkoły hiszpańskiej, i „Na probostwie“ drugiego Hiszpana Viniegy y Lasso Salvadore, wyborne miniaturowe sceny cygańskie Rybkowskiego i t. d.

Dział krajobrazów, który w roku zeszłym chlubił się kilkunastu wybornymi utworami zmarłego pod koniec roku Schindlera, na terazniejszej wystawie nie przedstawia się zbyt pokaźnie. Naturalnie pojawiły się znowu obrazy Achenbachów, Oswalda włoskie pejzaże, o efektownym kolorycie fioletowym, różowym, zielonym, który ostatecznie staje się jednostajnym („Poranek pod Neapolem“, „Via Apia“, „Klasztor Vico pod Sorrentem“, „Motyw z Ischii“), i Andrzeja obrazy morskie (wyborni „Rybacy w Ostendzie“ i t. d.);— Wiedeńczyk Russ wystawił trzy dobre pejzaże z Tyrolu południowego, pomiędzy którymi groźną romantycznością zachwyca „Wąwóz San Romedio“, Berlińczyk Hermann—motyw z Sognefiordu, Hamacher—zatokę na wyspie Rugii, Gude—brzegi Norwegii, Hugo Darnaut—widoki z Czech i Morawii, Tina Blau—widok z Prateru i t. d. Wszystko to są obrazy dobre, ale niema pomiędzy nimi znakomitych. Czy istotnie najlepsze utwory ostatniego roku wprost z pracowni wyjechały—do Chicago? Zobaczmy to na przyszłorocznej wystawie. Tymczasem zdaje nam się, że obecnie w Wiedniu produkcja hurtowna przeszkadza powstaniu arcydzieł, choćby tylko Makartowskich.

Ten sam brak wybitnych talentów zaznacza się także na polu poezji. Wiedeń ciągle produkuje i eksportuje operetki, ale nie zdobywa się na dramata poważniejszego zakresu. Niegdyś w Grillparzerze Niemcy austriacy posiadali znakomitego poetę, chociaż tylko przesada zbyt gorących wielbicieli mogła go stawiać obok Goethego i Schillera. Pomiędzy rokiem 1870 a 1890 dwaj zdolni autorowie miejscowi, Weilen i Mosenthal, niemal każdego roku repertuar Burgu wzbogacali nowym utworem. Chociaż z licznego szeregu ich dramatów nie wszystkim można przyznać wartość trwałą, to przecież takie utwory, jak „Rosamunda“ i „Hr. Horn“ pierwszego, „Sonnenwendhof“ drugiego, należą niewątpliwie do ozdób piśmiennictwa niemieckiego. Obok nich (Mosenthal umarł 1877 roku, Weilen 1890 r.) starszy, zdolny komedyopisarz Bauernfeld, który umarł dopiero dwa lata temu, z honorem dzierżył sztandar dramatycznej poezji w Wiedniu.

Z młodszego pokolenia dotąd żaden nie zajął ich miejsca. Teatr cesarski (Burgu), o ile wystawia nowe utwory, zmuszony jest niemal wyłącznie szukać ich po-za granicami austriackimi. Teraźniejszy dyrektor tego teatru, dr Burghardt, szczerze pragnął wyswobodzić się z pod wpływów obcych, zwłaszcza berlińskich, ale nie zdołał dopiąć tego celu. „Deutsches Volkstheater“, który ma niby-to współzawodniczyć z Burgiem, zwabia widzów dziwactwami. Reszta teatrów przedmiejskich żyje eksperymentami, głównie na polu operetek.

W teatrze cesarskim ostatnimi czasy zjawily się dwie komedye, które doznały przychylnego przyjęcia i ważne są o tyle, że zapowiadają zwrot od ponurego impresjonizmu i pesymizmu do pogodniejszych na świat poglądów, jednakże nie podnoszą się po-nad poziom mierności.

Autorem pierwszej: „Gniazdo małżeństw“ („Das Heirathsnest“) jest redaktor wojskowego czasopisma „Reichswehr“, b. oficer Dawid, który się na afiszu podpisuje Dawis. Rzecz dzieje się w małym miasteczku garnizonowem, od dawna słynącym z tego, iż tam wszyscy z kolei oficerowie niechybnie się żenią. Nowy pułkownik, Maciej Grodicki, stary kawaler i zacięty wróg więzów małżeńskich, przybywa do „gniazda“ w usposobieniu srogiego reformatora, atoli, otrzymawszy od dowódcy dywizji polecenie wyszukania żony dla jego syna, do niezwyklej pracy bierze się tak niezręcznie, że powstaje mnóstwo najpociesniejszych omyłek i zakłóceń; kończą się one naturalnie całym szeregiem ożenków, poczynawszy od samego pułkownika, i zatwierdzających ponownie zasłużony tytuł owego miasteczka, jako „gniazda małżeństw.“ Oczywiście komedya Dawisa bardzo przypomina „Wojnę w pokoju“ Schoentana, a nawet jeszcze znacznie starsze podobnego gatunku niewinne farsy, może jednak jest to pierwsza próbka istotnie uzdolnionego pisarza.

„Mądra Kasia“ („Die kluge Käthe“) Oldena, jest to niemądry podłotek, który, nauczysz się na pensyi w Genewie od egzotycznych koleżanek radykalnych komunalów, powtarza aforyzmy z Engelsa, Schopenhauera i Nietzschego, i, wróciwszy do domowego zaścianka, gorliwie rozpoczyna czynność reformatorską. Nasamprzód poczcziwego wuja, fabrykanta czekolady, przerabia na nowatora i skłania do wygłoszenia radykalnej mówki, która wywołuje szyderczy śmiech wśród zacofanych, ale rostopnych mieszczan. Równocześnie kuzynka Ottona, nie posiadającego żadnych kwalifikacyi na tragicznego bohatera, tak skutecznie wyswabadza z małomiejskiego pedantyzmu, że ten jej mąż in spe oświadcza się... pokojówce. Nareszcie matkę swą swata z 40-letnim doktorem Franzem, który niedawno temu z gwaru stolicy usunął się do zacisza owego miasteczka, aby skończyć wielkie naukowe dzieło. Tymczasem dr Franz, jedyna osoba, której radykalno-filozoficzny blichtr Kasi nie imponuje, tak surowo karci wybryki i tak nielitościwie wyszydza czcze teorye reformatorki, że niebawem zdobywa jej serce. Kasia wyrzeka się misyi reformatorskiej, zawiązuje fartuszek, gotuje kawę według staroświeckiej metody i wychodzi za d-ra Franza. Krytyka tutejsza oskarża tę dobrą komedyjkę o dążności antypostępowe. Nam nie zdaje się, aby to była odpowiednia okazyja do roztrząsania wielkiej kwestyi emancypacyi kobiet, jej powodów i granic; natomiast zawsze było i będzie prawdą, że miłość, która „wszystko zwycięża,“ najzaciętszą emancypantkę—(Kasia zresztą znajdowała się w pierwszej fazie nowicyatu)—zdola przemienić w potulną żonę. Zaprzeczyć tej prawdzie mogą chyba ci, którzy twierdzą, że miłość wogóle jest jednym z tych romantycznych wymysłów i starych przesądów, które nie przetrwają XIX-go stulecia.

Wymieniony powyżej „Deutsches Volkstheater,“ który dumnie stanął przed kilku laty obok pałacu parlamentarnego, a dość blisko teatru cesarskiego, jest własnością spółki, złożonej ze śmietanki burżuazji tutejszej, przeważnie fabrykantów, bankierów i przemysłowców. To też akcyonaryusze nie mało się zdumieli, gdy pewnego dnia w kwietniu, niedługo przed fatalnym 1-ym maja, zjawił się w ich teatrze dramat pod tytułem „Dämmerung,“ napisany przez adwokata Elbogena, jednego z przywódców obozu socyalistycznego. Zdumienie było tem większe, że ten skrajnie tendencyjny dramat antykapitalistyczny nie odznacza się żadną a żadną zaletą literacką, owszem, jest pod tym względem utworem stanowczo chybnym. Kwestye płacy, czasu pracy, strejków i t. d., niezawodnie posiadają wielkie znaczenie społeczne i ekonomiczne, ale nie dostarczają wdzięcznego tematu poetom. Każdy zatem autor podobnych dramatów, poczynawszy od Schauferta aż do Sudermanna i Elbogena, pokazuje nam tę samą stereotypową robotnicę,

uwiedzioną przez lubieżnego i przewrotnego fabrykanta. Któż-by przeczył, że się podobne wypadki wydarzają? Ale niemniej pewną jest rzeczą, że tworzą one rzadkie wyjątki w porównaniu z powszednią niemoralnością tych kół, które zasadniczo instytucję małżeństwa uważają za przedawnioną i niezgodną ze społecznym ustrojem przyszłości. Zresztą nie było potrzeba protestu akcyonaryuszów, aby usunąć z repertuaru dramat Elbogena: nędzny ten utwór upadł raz na zawsze na pierwszym przedstawieniu.

Po każdym takim nieudanym eksperymencie, „Deutsches Volkstheater“ powraca kornie do Ibsena. Teraz tam zapełnia salę jeden z najwstrętniejszych jego utworów: „Rosmersholm.“

E. LIPNICKI.

RUCH AGRARNY W NIEMCZECH.

W grudniu r. z. wystąpił w fachowym piśmie rolniczym, wydawanym w Budiszynie (Bautzen), właściciel ziemski, Rupprecht, z odezwą do rolników, zachęcającą ich, aby rozproszone dotąd siły swoje zespolili ku wspólnej a energicznej pracy w interesie rolnictwa.

Pan Rupprecht do tej pory w szerszych kołach rolników nie bardzo był znany, nie mógł tedy zażywać wielkiej powagi. Pismo, w którym zabrał głos, „Landwirthschaftliche Thierzucht,“ wprawdzie należy do najpoczytniejszych pism rolniczych w Niemczech, ale liczba prenumeratorów zawsze w stosunku do ogółu rolników nie jest zbyt wielką. Nie można też powiedzieć, iżby rolnicy w Niemczech przed odezwą p. Rupprechta nie mieli sposobności zespolenia sił swoich dla pracowania w interesie rolnictwa. Po parafiach i powiatach liczne tam istnieją towarzystwa rolnicze, oprócz tego każda prowincya ma centralne towarzystwo, a zbierający się corocznie w Berlinie delegowani towarzystw centralnych tworzą t. zw. radę gospodarczą (Landwirthschaftsraeth). Dalej czuwa nad interesami rolnictwa ciało urzędowe, t. zw. Oeconomie-Collegium, którego członkowie przez rząd są mianowani; największe państwo w Niemczech, Prusy, ma osobne ministerium rolnictwa, a w ciałach parlamentarnych wielu zasiada rolników.

Zdawało-by się tedy, że rolnikom opieki nie braknie. Pomimo to, odezwa p. Rupprechta znalazła głośnie echo w kołach rolniczych, a gdy pewne mniejsze kółko, na podstawie tej odezw, zwołało do Berlina na

18 lutego r. b. większych właścicieli ziemskich z całych Niemiec, największa sala bawaryi Tivoli w Berlinie, obliczona na 4,000 osób, na dwóch następujących po sobie posiedzeniach z tym samym porządkiem dziennym, nie mogła pomieścić uczestników zjazdu, przybyłych do Berlina w liczbie około 10,000.

Cyfra ta, której żadne dotąd zebranie publiczne nie osiągnęło, powszechne wywołała zdumienie. Dzienniki liberalne, przyzwyczajone do bardzo lekceważącego traktowania t. zw. „agrariuszów,” t. j. stronnictwa, domagającego się reform w interesie rolnictwa, zaczęły poważniej na rzecz patrzeć, a koła urzędowe, które tak dalece na liczny zjazd nie były przygotowane, iż nawet nie wydelegowały urzędowego przedstawiciela na zebrania w Tivoli, później wszelkimi sposobami starały się niedopatrzenie to usprawiedliwić; delegacja zjazdu bez trudności uzyskała audyencję u cesarza Wilhelma, aby go prosić o roztoczenie opieki nad rolnictwem; cesarz przyjął ją uroczystie w obecności prezesa gabinetu pruskiego i ministra rolnictwa, przyrzekając uwzględnienie wypowiedzianych życzeń, o ile się to okaże użytecznem i możliwem.

Stosunki polityczne, panujące dziś w Niemczech, wykazują, że niezadowolenie jest tam dosyć powszechne. Ze stronnictw politycznych, konserwatyści są niezadowoleni z rządu, twierdząc, iż jest on zanadto liberalny, gdy tymczasem skrajnym liberałom, o pokroju p. Richtera, rząd ten jest zanadto konserwatywnym, a narodowo-liberalni oportuniści wzdychają do czasów Bismarcka, przeprowadzającego bezwzględnie hasła szowinistów niemieckich. Katolicy utrzymują, że rząd nie dosyć radykalnie zaciera ślady dawnej walki kulturalnej; wśród katolików Niemiec południowych odzywa się duch partykularyzmu, tłumionego gwałtownie przez Bismarcka, a socyalni demokraci, wyciągając z teorii materialistycznych ostateczne konsekwencje, przed którymi naukowci ich przedstawiciele się ulękli, pragną powszechnego przewrotu.

Jedni składają odpowiedzialność za ogólne niezadowolenie na rząd dzisiejszy, inni znów twierdzą, że stronnictwa z dawnymi hasłami przeżyły się, a nowych, zastosowanych do zmienionych okoliczności, dotychczas nie wytworzono. Jeszcze inni utrzymują, że Niemcy, prowadzone przez ćwierć wieku przez Bismarcka na bardzo krótkim pasku, uzyskawszy dziś większą swobodę ruchów, nie wiedzą, jak się poruszać.

• Hr. Caprivi w jednej z mów, wygłoszonych podczas obrad nad ustawą o reorganizacji armii w Niemczech, twierdził, że powszechne dziś niezadowolenie, sięgające daleko po-za granice Niemiec, jest wynikiem prądów filozoficznych, które miały przewagę w ostatnich czasach, a wyrabiały pesymizm i niesmak, a więc i niezadowolenie.

Nie myślimy badać, które ze wszystkich powyższych twierdzeń jest słuszne. Zaznaczyliśmy tylko stan faktyczny, który, ze względu na kwestyę, o której piszemy, o tyle wzbudza interes, iż przyczyn niezadowolenia rolników niewątpliwie do pewnego stopnia szukać należy w tem uczuciu ogólnem, ogarniającem wszystkich. Kładziemy atoli nacisk na wyrażenie „do pewnego stopnia,“ objawem głównym dzisiejszego niezadowolenia bowiem jest apatya, samo rezonowanie, bez czynu; niezwykle liczne zaś zebrania w Tivoli były dowodem, że rolników nie ogarnęła powszechna apatya, że pragną czynu. Niezadowolenie kół rolniczych tedy musi być i rzeczywiście jest wywołane faktycznem położeniem rzeczy, fatalnym losem i niedomaganiem rolnictwa.

Jest to rzeczą znaną, abyśmy jej cyframi dowodzić potrzebowali, że stan materialny rolników w Niemczech wogóle jest dosyć opłakany. W najgorszym położeniu znajdują się więksi właściciele jednowioskowi i średnia własność włościańska, czerpiący swój dochód i utrzymanie wyłącznie z ziemi, którą posiadają. Stosunkowo lepiej mają się ci właściciele więksi, którzy nie są wyłącznie skazani na dochód z ziemi, lecz posiadają obok tego kapitały, i właściciele drobnych zupełnie gruntów, dla których grunt jest tylko punktem oparcia, miejscem zamieszkania, utrzymanie swoje bowiem czerpią z pracy po-za rolą swoją, czy to na większych majątkach, czy też po zakładach przemysłowych.

Rozumie się, że dwie ostatnie skrajne grupy, w których pierwszej liczba osób jest niewielka, za to obszary większe, w drugiej natomiast liczba osób, stosunkowo do obszarów wielka, zarówno co do liczby osób, jako i co do gruntów mniejsze przedstawiają cyfry od dwóch średnich grup, mianowicie tych właścicieli folwarcznych i włościan, którzy wyłącznie z własnej roli żyją.

Otóż co do tych dwóch średnich grup cyfry wykazują, że zadłużenie z roku na rok wzrasta, i że liczba sprzedaży dobrowolnych i przymusowych wśród dwu tych grup bezustannie się wzmaga. W gruncie rzeczy i dobrowolne sprzedaże, jakie się tu dokonywają, są przymusowymi, spekulacya podobnemi majątkami bowiem jest zawsze jeszcze stosunkowo niewielką, gdy zatem właściciel pozbywa się ziemi, czyni to dlatego, że się na niej utrzymać nie może, a ponieważ przejście rolnika do innego zajęcia zwykle jest dosyć utrudnione, więc też każdy sprzedaje dopiero wtedy, gdy, jak to mówią, ma nóż na gardle.

Zachodzi pytanie: jakie są przyczyny niedomagania rolników w Niemczech, co jest powodem fatalnego ich położenia materialnego? Na brak komunikacji, na brak kredytu, na trudności w zbyciu produktów rolnych, na trudności w kooperacyi ku osiągnięciu wspólnych celów, rolnicy w Niemczech skarżyć się nie mogą. Oprócz rzek i, co prawda,

nie bardzo licznych kanałów, przeryniają kraj cały, w najodleglejszych nawet zakątkach, koleje żelazne ¹⁾, przewożące produkta rolne za niską stosunkowo opłatą. Koleje czynią wszelkie ułatwienia, ustanawiając np. dla przewozu bydła do wielkich centrów zbytu w pewnych dniach tygodnia osobne pociągi, tak samo przeznaczając raz lub dwa razy na tydzień osobne wagony—lodownie—dla przewozu masła i ułatwiają nadzwyczajnie przewóz mleka do miast. Dróg szosowych jest tak dużo, że potrzeba przewozu produktów rolnych po ciężkich drogach zwykłych należy do wyjątków. Kredyt jest stosunkowo łatwiejszy, niżeli, naszym zdaniem, być powinien, a przytem nie drogi. Landszafty udzielają na pierwszą hypotekę (t. j. do $\frac{3}{5}$ taksy, stosunkowo wysokiej) pożyczek po $3\frac{1}{2}$ —4%, na drugą hypotekę można otrzymać kapitały po 4—5%, a prywatny kredyt wekslowy też jest ułatwiony. W całym państwie istnieją liczne stowarzyszenia kooperacyjne, mające na celu ułatwienie spieniężenia produktów nabiałowych, a więc spółki mleczarskie dla fabrykacyi masła przy pomocy najnowszych przyrządów, dla takiejże fabrykacyi sera i t. p. Tak samo istnieją spółki melioracyjne, głównie dla nawadniania lub odwadniania gruntów, mające zapewniony kredyt na warunkach przystępnych.

Zdawało-by się tedy, że pomyślne powinno być położenie rolników, mających zapewnione liczne warunki, które w wielu innych krajach są przedmiotem dążeń i pragnień stanu rolniczego. A jednakże tak nie jest. Wogóle zaś twierdzić nie można, iżby rolnicy w państwie niemieckiem trwonili majątki życiem nad stan, lub tracili je dla braku dostatecznego wykształcenia fachowego. U ludzi bogatych, zarówno na wsi, jak w mieście, nietylko z komfortem, lecz i ze zbytkiem spotkać się można, ale przeciętny właściciel kilkudziesięciowłokowego nawet majątku żyje skromnie, a zbytku nie na wsi szukać należy, lecz w mieście, gdzie urzędnik żyje stosunkowo wygodniej i przyjemniej od właściciela wsi.

Przypatrzmy się, jakie opinie w kwestyi stosunków rolniczych i pożądanych dla rolnictwa reform wydały zebrania berlińskie? Na obydwu wiecach w Tivoli uchwalono następujące rezolucyje:

Rolnictwo jest najważniejszą gałęzią zarobkowania w państwie i podstawą rozwoju ekonomicznego we wszystkich kierunkach, popieranie i wzmacnianie go tedy jest niezbędnem. W tym celu żądamy:

¹⁾ W całych Niemczech było w roku 1871: 21,471 kilometrów kolei żelaznych, w 1891 zaś 41,818. Na 1,000 kilom. kw. obszaru przypadało w r. 1871: 39.7 kilom. kolei, w r. 1891 zaś 77.4 kilom.; na 100,000 ludności było w r. 1871: 52.3 kilom. kolei żel., w r. 1891 zaś 84.5 kilom. Oprócz tego istniało w r. 1891: 2,488 kilom. kolei, należących do przedsiębiorstw prywatnych, t. j. nie oddanych na cele publiczne.

1) należytej ochrony celnej dla produktów rolnictwa i przemysłu rolnego;

2) wstrzymania się od zniżenia cel obecnych, a więc od zawierania traktatów handlowych z Rosyą i innymi krajami, które pociągnęłyby za sobą zniżenie cel zbożowych;

3) należytego uregulowania stosunku Niemiec do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej;

4) zabronienia dowozu bydła z okolic, dotkniętych zarazą;

5) przywrócenia systemu monetarnego, opartego na podwójnej walucie, celem ochrony przeciwko anormalnemu zniżaniu się cen pól rolnych;

6) utworzenia izb rolniczych, dla pozyskania odpowiedniej reprezentacji interesów rolnictwa;

7) reformy ustawodawstwa niemieckiego w kwestyi przesiedlania się z miejsca na miejsce i zaprowadzenia kar za zrywanie kontraktów;

8) rewizyi ustaw socyalnych o zabezpieczeniu robotników, mianowicie usunięcia przymusu nalepiania marek, jako formy uiszczania składki asekuracyjnej, dalej zniżenia kosztów administracyi w państwowych stowarzyszeniach ubezpieczenia dla robotników;

9) zaprowadzenia ściślejszego nadzoru nad giełdą produktową, celem zapobieżenia wpływowi spekulacyi na ceny zboża;

10) zreformowania prawa prywatnego i publicznego odnośnie do zadłużenia i form własności ziemskiej;

11) zmniejszenia pracy rolników w samorządzie gminnym.

Wszystkie rozuclyce powyższe na zebraniach jednomyślnie zostały przyjęte, a oprócz tego w dyskusyi zaznaczono potrzebę osobnego organu prasowego, poświęconego wyłącznie obronie interesów rolnictwa, i w końcu postanowiono założenie związku rolników, jednego dla całych Niemiec (Bund der Landwirthe), do którego o ile możności wszystkich większych i mniejszych rolników Niemiec należało-by wciągnąć.

Związek rolników istotnie został utworzony; ponieważ zaś w ruchu agrarnym, o którym piszemy, wybitną pragnie grać rolę, ruchem tym chce kierować, więc mu tu kilka uwag poświęcić musimy.

Książę Bismarck od dosyć dawna twierdził, że istniejące dotąd stronnictwa przeżyły się, że w ich miejsce należy utworzyć nowe, oparte na reprezentacyi interesów. Dążeniu temu odpowiadał-by niemiecki „związek rolników,” mający na celu reprezentowanie interesów rolnictwa. Ale właśnie zwrócenie się przywódców związku do eks-kancлера i powoływanie się na niego od samego początku związkowi zaszkodziło, zrażając wszystkich, którzy w ks. Bismarcku nie widzieli ideału swego. Ze stronnictw politycznych tylko konserwatywne zsolidaryzo-

wało się ze związkiem; centrum raczej wrogie wobec niego zajęło stanowisko, właściciele zaś polscy z Poznańskiego i Prus zachodnich, jakkolwiek w ich imieniu na zebraniach berlińskich przemawiał p. Sas Jaworski z Lipienek w Prusach zachodnich, wyrażając sympatię dla celów związku, postanowili trzymać się zdala od niego, licząc na to, że reprezentanci Poznańskiego i Prus zachodnich w parlamentach, należący przeważnie do stanu rolniczego, jak dotąd, i nadal będą pilnowali interesów rolnictwa.

Nie mogło być inaczej z chwilą, gdy związek rolniczy przyjął barwę stronnictwa politycznego. Przywódcy jego mylą się stanowczo, jeżeli im się zdaje, że związek rolników w życiu politycznym poważniejszą zdoła odegrać rolę. Prawda, że dzisiejsze stronnictwa przeżyły się. W liberalizmie politycznym i społecznym wielu konserwatystów dziś idzie znacznie dalej od tych, którzy z tradycji jeszcze należą do stronnictwa liberalnego. Powinna tedy nastąpić reorganizacja stronnictw, ale nie na gruncie interesów poszczególnych stanów, a więc rolniczego, przemysłowego, rzemieślniczego, kupieckiego i t. d. Widzieliśmy niedawno, że zaczątki podobnej organizacyi stronnictw w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej nie powiodły się. I tam rolnictwo, to samo, którego konkurencya rujnuje rolników europejskich, w trudnem znajduje się położeniu. Rolnicy utworzyli tedy związek „Farmer's Alliance,” który, jako jeden z głównych celów, wytknął sobie wpływ na wybory do ciał parlamentarnych. A jednak przy ostatnich wyborach zastępy wyborców podzieliły się na dwa wielkie obozy pod hasłem dotychczasowych stronnictw: demokratów i republikanów.

Niemcy znajdują się dziś też w przededniu wyborów. Związek rolników usiłował w różnych okręgach postawić kandydatów swoich, ale się to nie powiodło, tak, iż ograniczono się do stawiania kandydatom istniejących stronnictw pytania, jakie wobec postulatów związku zajmują stanowisko i według tego ich kandydatury polecano, lub zwalczano. Jest to sposób postępowania daleko właściwszy. O rozbijaniu obecnych stronnictw związkowi nie marzyć; powinien on raczej w łonie istniejących stronnictw propagować swoje idee, swój program, wogóle działać na opinię publiczną za pomocą prasy, rozpraw osobnych, broszur, przypominać potrzeby rolników, wykazywać, gdzie im się krzywdą dzieje, jeżeli pragnie cel swój osiągnąć.

Pod tym względem dużo pozostaje do czynienia. Wskazywaliśmy pomyślnie warunki zewnętrzne, w jakich rolnicy w Niemczech się znajdują, ale warunki te, jak się okazuje, nie zapewniają powodzenia, wytwarzają one bowiem inne, które położenie raczej utrudniają, niżeli ułatwiają. Z warunków pomyślnych korzystają wszyscy, a to potęguje konkurencyę do tego stopnia, iż potrzeba wyzyskać każdą okoliczność,

aby wogóle przy tej konkurencji się utrzymać, jeżeli się nie ma poważniejszych zasobów i z dochodów ziemi żyć trzeba. Rolnik tedy powinien posiadać nie tylko wiedzę, która mu pomaga do ocenienia, czy dane ulepszenia w swoim gospodarstwie z korzyścią może zastosować, lecz powinien być ciągle poinformowany o wszelkich postępach i ulepszeniach i bezustannie pilnować się, aby go inni nie ubiegli w wyzyskiwaniu nowych warunków zarobkowania z roli. Przytem potrzeba rozważyć i spokoju, aby nie robić własnym kosztem wszelkich doświadczeń. Gospodarowanie w takich stosunkach jest pracą mozolną i wyczerpującą, tem bardziej, że ceny ziemi są niesłychanie wysokie, ułatwienie zaś kredytu przyczyniło się bardzo do zadłużenia majątków, tak, iż wielu właścicieli ich jedynie są administratorami swoich wierzycieli.

Nie należy się też ludzić pozorami zewnętrznych warunków korzystnych, w gruncie rzeczy bowiem w prawodawstwie i w administracji państwowej poszczególnych państw niemieckich dużo w ostatnich dziesiętnościach lat przeciwko rolnictwu nagrzeszono. Weźmiemy w tym względzie, jako przykład, Prusy, największe i najściślej zorganizowane państwo w całych Niemczech. Kto pilnie śledził politykę ekonomiczną Prus z ostatnich 40 lat, nie mógł nie spostrzedz w niej pewnej jednostronności. Rząd, przy udziale ciał parlamentarnych, czynił wszystko, aby z Prus zrobić państwo przemysłowe, a działo się to, bo nie mogło być inaczej, kosztem i z upośledzeniem rolnictwa.

Ta polityka ekonomiczna do pewnego stopnia była wynikiem ewolucji wewnętrznych stosunków politycznych. Do r. 1840 więksi właściciele ziemscy (Rittergutsbesitzer) w Prusach, na wsi, pod różnemi względami uprzywilejowane w administracji krajowej zajmowali stanowisko; oni, zwykle z pośród siebie, wybierali szefa administracji powiatowej (landrata), w zarządzie powiatowym i prowincjonalnym decydujący mieli głos i t. d. Inteligencja miejska walczyła przeciwko temu wpływowi junkra wiejskiego, a gdy wkrótce nadeszła era konstytucyjna, pomimo wyjątkowego prawa wyborczego do sejmu pruskiego, pomimo utworzenia izby wyższej, t. zw. izby panów, rychło ruchliwszy i inteligentniejszy żywioł miejski pozyskał przewagę, a jakkolwiek jeszcze były epoki przejściowe rządów nazwanych landratskammern od tego, iż landraci w izbie poselskiej mieli prawie większość, wogóle jednak liberalny żywioł miejski przeważnie wpływał na prawodawstwo. Obrona uprzywilejowanego stanowiska większej własności ziemskiej uchodziła za wyraz najwyższej reakcji, o którą nawet większość właścicieli ziemskich nie chciała być posądzoną, oddając się pod przywództwo liberalnych posłów z miast.

Interesa wsi na tem ucierpiała. Dopóki własność ziemska uprzywilejowana w państwie zajmowała stanowisko, ponosiła ona także po-

ważną część ciężarów. I tak podstawą systemu podatków bezpośrednich w Prusach był podatek gruntowy. Gdy później, za czasów konstytucyjnych, skutkiem zwiększających się potrzeb skarbu państwa, wprowadzono inne podatki, mianowicie t. zw. klasowy i klasyfikowany podatek dochodowy, rozłożony równo na wszystkich, o zniesieniu podatku gruntowego nikt nie chciał słuchać. Na twierdzenie właścicieli ziemskich, iż podatek gruntowy jest podatkiem od dochodu, jaki oni mają z ziemi, że zatem gruntowego obok dochodowego płacić nie powinni, odpowiadano im naukowymi teoryjami ekonomicznymi, dowodząc, że podatek dochodowy jest podatkiem osobistym, gruntowy zaś jest podatkiem realnym, i że jeden obok drugiego bardzo dobrze może istnieć. Rząd stanął po stronie tej teorii; w razie bowiem zniesienia podatku gruntowego, który przynosił już około 40 milionów talarów, trzeba było znacznie podnieść skalę podatku dochodowego, a to było-by utrudniło jego przyjęcie. Gdy później, za czasów Bismarcka, rolnicy po kilkakrotnie domagali się zniesienia podatku gruntowego, pan von Bismarck Schönhausen, prezes gabinetu pruskiego, nie mogąc się widocznie przejąć rabulistyczną teorią o sprawiedliwości osobnego podatku osobistego i t. zw. realnego, radził właścicielom ziemskim, aby sobie wyobrazili, że w chwili zaprowadzenia podatku gruntowego skonfiskowano im tę część ich własności, której dochód idzie na opłacenie podatku gruntowego. Fikcyja ta oczywiście nie poprawiła położenia rzeczy; podatek dochodowy zaś o tyle stał się większym dla rolników, niżeli dla kapitalistów, ciężarem, że dochód z ziemi daleko łatwiej było skontrolować, niżeli dochód od kapitałów. Okazało się to najlepiej przy obecnej reformie podatkowej ministra Miquela. Gdy zreformował on system obliczania podatku przez zaprowadzenie deklaracji osobistej i wielkiej odpowiedzialności za deklarację nieprawdziwą, podatek dochodowy w Prusach podniósł się z 80 na 120 milionów marek, a zaledwie $\frac{1}{4}$ część tej zwwyżki przypadła na właścicieli nieruchomości miejskich i wiejskich, zaś $\frac{3}{4}$ na kapitalistów i wielkich przemysłowców, czyli, że przez długi szereg lat właściciele nieruchomości płacili od dochodu swego stosunkowo więcej podatku, niż kapitaliści.

Rolnicy tedy w Prusach nie tylko podwójnie byli opodatkowani, lecz tego podatku, który wspólnie z innymi ponosili, opłacali stosunkowo więcej, niż inni. Działo się to zaś w czasach, kiedy dochody z ziemi nie tylko nie wzrastały, lecz, dzięki powstałej świeżo konkurencji krajów zamorskich, bardzo znacznie się zmniejszały. Rolnicy usiłowali powiększyć dochód z ziemi, aby tym sposobem powetować straty w cenie produktów rolnych; starali się rozwinąć przemysł rolniczy, mianowicie gorzelnictwo, cukrownictwo, fabrykację mączki i t. p.; dalej ograniczali sprzedaż produktów surowych, wywołując za to na rynki przetwory w formie produktów mleczarskich, nareszcie była i nierogaczyny; ale

gospodarstwo intensywne, które skutkiem tego zaprowadzono, wymagało znacznego bardzo kapitału, który nadzwyczaj umiejętnie i oględnie musiał być użyty, aby należycie się procentował. Rolnicy, przyzwyczajeni bardzo niedawno do lepszych czasów, nie wszyscy, a może nawet tylko w niewielkiej stosunkowo liczbie, oględnością tą się odznaczali, tak, iż dużo kapitałów poszło na marne, długi wzrosły, a dochody z ziemi nie podniosły się w tym samym stosunku.

Chociaż, jak to zaznaczyliśmy powyżej, kredyt hipoteczny dziś w Prusach wogóle jest tani, miał on także niepomysłną dla rolników epokę. I tak, gdy mniej więcej około roku 1835 istniejące w Prusach landszafty mogły pozniżyć stopę procentową od listów zastawnych na $3\frac{1}{2}$ od sta, w samym początku drugiej połowy bieżącego wieku musiały przystąpić ponownie do podniesienia stopy procentowej na 4 od sta, aby nie narażać biorących listy zastawne na zbyt wielkie straty na kursie. Był to czas, kiedy z rozpoczęciem ery konstytucyjnej rozpoczął się wpływ żywiołów miejskich na politykę wewnętrzną i ekonomiczną. Wtedy-to wprowadzono w życie kodeks handlowy, który, nadając liczne przywileje towarzystwom udziałowym i akcyjnym, tem samem ułatwił tworzenie ich i poruszył przedsiębiorczość przemysłową i handlową, mobilizując cały kapitał na korzyść nowych stowarzyszeń. Zaczęły się tedy mnożyć przedsiębiorstwa budowy kolei żelaznych, górnicze, przemysłowe i handlowe; w formie stowarzyszeń akcyjnych powstały liczne banki, absorbując wszystkie kapitały, któremi zasilaly głównie przemysł i handel, ponieważ te daleko większe niż ziemia zapewniały procenta. Ziemia pozostała jedynie lokacyą dla tych kapitałów, których nie porwał wir nowego ruchu, bo ich właściciele bardziej zwracali uwagę na pewność lokacyi, niżeli na wysokie procenta. Stopa procentowa od listów zastawnych, którą za miarodajną dla kredytu hipotecznego uważać należy, podniosła się na $4\frac{1}{2}$, nawet dla pewnej kategorii listów na 5 od sta, u liberalnej większości zaś panowała taka predylekcyja dla przemysłu, a taki był brak względów dla rolnictwa, że, kiedy po wojnie francuskiej chodziło o lokacyę znacznych funduszów z kontrybucyi francuskiej, wpływowy deputowany, Lasker, zdołał przeprowadzić w parlamencie uchwałę, zabraniającą umieszczania tych funduszów w listach zastawnych ziemskich, a polecającą natomiast rządowi uwzględnienie głównie walorów przedsiębiorstw kolejowych i przemysłowych.

Tymczasem, skutkiem zmienionego systemu gospodarowania i innych okoliczności, o których niebawem będzie mowa, kredyt był dla rolnika coraz potrzebniejszym. Gospodarstwo zamieniało się stopniowo na warsztat przemysłowy, stosunkowo, jak to wykazaliśmy powyżej, dosyć wysoko opodatkowany. Na dowód tego, jak zadłużenie hipoteki

wzrastało, przytoczymy kilka cyfr, wyjętych ze sprawozdań landszafty zachodnio-pruskiej. W roku 1807 landszafta miała w obiegu listów zastawnych za 10,070,000 talarów, w r. 1850 za 10,850,000 tal., w przeciągu 40 lat tedy w obdłużeniu hypotek prawie żadna nie zaszła zmiana. Odtąd długi zaczęły wzrastać: ta sama landszafta w końcu roku 1860 miała w obiegu listów zastawnych za 16,240,000 talarów, w r. 1870 za 30,790,000 tal., w r. 1886 zaś za 51,880,000 tal.; czyli że w 26 lat przybyło długów o cztery razy więcej, niżeli było w r. 1860.

Nie przytaczamy więcej cyfr, zasadniczo bowiem tego unikamy, aby cyframi rozprawy zbyt ciężko nie obciążać. Zaznaczymy tylko, że tak samo, jak w zachodnio-pruskiej landszaftcie, działo się także w innych. A stopa procentowa, jak o tem już wiemy, nie tylko się nie zniżyła, lecz przeciwnie, podnosiła. Dopiero po roku 1875 warunki dla listów zastawnych polepszyły się, a landszafty pośpieszyły w r. 1877 i 1878 z konwersją listów na 4%-we, później zaś nawet na 3½%-we.

Do zadłużenia hypotek przyczyniły się nie tylko koszty nakładów różnych w gospodarstwach, lecz w znacznej mierze działy familijne. Wiadomo, że w okolicach, stanowiących zachodnie prowincje Prus, od średnich wieków nie tylko wśród większej, lecz i u średniej własności ziemskiej istniał zwyczaj przekazywania ziemi jednemu, najstarszemu, lub najmłodszemu synowi, nie przeciążając go zbyt ciężko na rzecz reszty rodziny. W prowincjach wschodnich, mianowicie w Pomeranii, w Prusach zachodnich i wschodnich, szlachta miała osobne prawa spadkowe, faworyzujące synów na niekorzyść córek. W jednym i drugim razie chodziło o ułatwienie synom utrzymania się przy majątku rodzinnym. Na zachodzie recepcya prawa rzymskiego w końcu zeszłego wieku, t. j. wprowadzenie zasad tego prawa do prawodawstwa niemieckiego, mianowicie także do landrechtu pruskiego, poznała wszelkie „Almendy“ i inne dawne rodzaje własności ziemskiej, ale, zniesione prawnie, utrzymały się częściowo w formie zwyczajów. Odrębne prawa spadkowe szlachty w prowincjach wschodnich oparły się wpływem prawa rzymskiego, a dopiero niwelacyjne liberalne rządy parlamentarne ery konstytucyjnej zatarły te odrębności, zniesiono osobne prawa spadkowe szlachty. Jako ostatnie, padło, już w końcu siódmego dziesiątka bieżącego stulecia, w ofercie t. zw. *jus terrestre nobilitatis Prussiae*, odnoszące się do szlachty zachodnio-pruskiej, a oparte na Culmische Handfeste z r. 1249.

Równe odtąd działy familijne zaciążyły na hypotekach tem bardziej, że ceny majątków podnosiły się, a przy ustanawianiu cen sprzedażnych utarł się zwyczaj liczenia pewnej sumy za włókę lub morgę, bez względu na ciężące na niej podatki; fikcja bismarckowska o skonfiskowaniu pewnej części majątku przez zaprowadzenie podatku grun-

towego, w praktyce się nie przyjęła, „skonfiskowana część“ na cenę nie wpływała, tak, iż właściciel ziemi faktycznie podwójny za dochód z ziemi płacił podatek. Na majątku zadłużonym podatek gruntowy niejednokrotnie stanowił $\frac{1}{4}$, lub $\frac{1}{3}$ część czystego dochodu, o ile czysty dochód, po opłacie ciężarów, wogóle jeszcze pozostawał.

Oprócz kredytu hipotecznego potrzebował rolnik teraz także kredytu na kapitał obrotowy w gospodarstwie. Otóż o zadosyćczynieniu tej potrzebie do tej pory w Prusach nikt nie pomyślał. Wprawdzie za-
możniejszemu właścicielowi ziemi nie trudno pozyskać kredyt wekslowy. Ale dla kredytu wekslowego w całych Niemczech jest przyjęty termin trzymiesięczny, jako najdłuższy, a wiadomo, że trzymiesięczny kredyt, właściwy w handlu i przemyśle, dla rolnika nie ma wartości, mianowicie, gdy termin płatności może przypaść na czas, kiedy rolnik żadnych nie ma dochodów. Nadto najważniejszym warunkiem weksłu jest punktualna wypłata w terminie. Kupiec i przemysłowiec, nie uiszczający jej, traci kredyt, ziemianin, o ile wogóle daje gwarancje, nie ponosi takich skutków, więc z natury rzeczy o punktualność mniej się troszczy. Niemieckie prawo wekslowe zaopatrzyło w osobne przywileje weksle ciągnione, więc też sola weksli niema wcale w użyciu. Każdy rolnik tedy potrzebuje drugiego podpisu na wekslu, a to podraża mu zawsze kredyt wekslowy. Kupiec i przemysłowiec może dziś w bankach niemieckich często dyskontować weksle swoje po 2, najwyżej $2\frac{1}{2}\%$ w stosunku rocznym, rolnika kredyt wekslowy nigdy nie kosztuje mniej, jak 4—6%. W ostatnich czasach przy landszaftach, ich funduszami, założone zostały t. zw. kasy pożyczkowe dla stowarzyszonych właścicieli ziemskich; ale kasy te, prowadzone przez rutynistów, przyjęły zasady banków, tak, iż kredyt w nich może jest cokolwiek dogodniejszy, ze względu na terminy płatności, za to bynajmniej nie jest tańszy, niż w innych instytucjach finansowych.

Jednem słowem tedy, nietylko zewnętrzne, niezależne od rządów i prawodawców poszczególnych państw, warunki konkurencyjne co do produktów rolnych przedstawiały się nader niepomysłnie, ceny zboża ciągle spadały, lecz ze strony własnych rządów i prawodawców rolnicy w Niemczech nie doznali tego poparcia, jakie im się należało, a jakim się cieszyły i dotąd bezustannie cieszą handel i przemysł. Rozumie się, że w takich warunkach położenie rolników bezustannie się pogarszało. Nie mniej nie był-by zapewne nikt na to zwrócił uwagi, a wszelkie głosy rolników były-by zostały zakrzyczane przez Richterów, Ricker-tów i podobnym im przedstawicieli liberalizmu mieszczańskiego, piętnujących każdą skargę rolników, jako wyraz tęsknoty do dawnych feodalnych i pańszczyźnianych stosunków, gdyby decydujący i wszechwładny wówczas niemiecki mąż stanu sam nie był rolnikiem. Narodowo-

liberalni i postępowi przyjaciele, którymi ks. Bismarck otoczył się po roku 1870/1, panowie Delbrück, Michaelis, Wehrenpfennig, Dernburg i wielu innych, kierujących ekonomicznymi sprawami kraju, zapewniali go wprawdzie, że Niemcy rozwijają się świetnie pod względem ekonomicznym, a skargi „agrariuszów“ wynikają z niezadowolenia z nowego porządku rzeczy; ale ekonom kanclerza w Warcinie oddawał do żelaznej kasy żelaznego księcia coraz mniej pieniędzy, a winę tego niemiłego objawu składał nie na mniejszą wydajność zmeliorowanej ziemi warcinińskiej, lecz na anormalnie niskie ceny wełny, zboża, mięsa, nabiału i wszelakich produktów rolnych. Książę kanclerz skorzystał widocznie z jakiejś przerwy letniej w dyplomatycznych zajęciach swoich, aby dokładnie przejrzeć księgi gospodarskie i porównać je z notowaniami rynków za produkta rolne; a gdy w r. 1876 nabrał przekonania, że stosunki dyplomatyczne tak się ułożyły, iż o nowym pogromie Francji niema co myśleć, zaczął kontrolować politykę ekonomiczną swego zastępcy, p. Delbrücka, i zastępcy tegoż, p. Michaelisa, znanego dosyć w Niemczech z prac ekonomicznych, wielbiciela teorii Smitha.

„Cenę wełny, za którą dawniej płacono po 80 i nawet do 100 talarów pruskich za centnar, zniżyła na 45—50 talarów konkurencja australaska, na cenę zboża wpłynęła produkcja amerykańska i russka, ceny nierogaczyny i masła zniżyła słonina amerykańska“ — tak przedstawiał zapewne ekonom ks. Bismarcka swemu panu, domagając się, aby dowozu tego zabroniono. Zdawało się to rzeczą najprostszą. Trudno było wprawdzie myśleć o zabronieniu dowozu, ale przecież cła spełnia tę samą przysługę, t. j. podwyższą cenę zboża. Zaczęto tedy na seryo myśleć o zaprowadzeniu cel zbożowych. I otoż te cła zbożowe nagle wszystkim rolnikom przedstawiły się jako taki środek uniwersalny na całą biedę, że o niczem innem nie myślano. Zuiesienie podatku gruntowego było-by zniżyło wydatki rolników w Prusach o 40 milionów talarów, ale rząd nie mógł-by się obyć bez tych pieniędzy, trzeba-by zatem pomyśleć o reformie podatkowej, aby ubytek z innych źródeł pokryć. Opracowanie takiego projektu było niełatwem, projekt mógł przytem na różne natrafić trudności. Kwestya zaprowadzenia cel zaś była tem prostszą, że właśnie i przemysłowcy niemieccy zaczęli domagać się cel, które-by im zapewniły rynki krajowe; rząd tedy mógł się spodziewać, iż, kombinując interes przemysłowców z rzekomym interesem rolników, w parlamencie dla cel pozyska większość.

Tak się stało istotnie. Ks. Bismarck pozbył się doradców swoich, którzy go dotąd innemi prowadzili drogami, sam objął tekę pruskiego ministra handlu i zainaugurował politykę, która rozpoczęła się zaprowadzeniem cła w wysokości 50 fenigów na 100 kilogramach pszenicy i żyta, a skończyła na 5 markach, czyli 50 markach na tonnie.

I oto dziś jeszcze znajdujemy kwestyę cel zbożowych, jako pierwszy punkt programu, przyjętego na zebraniach berlińskich w Tivoli. Rząd niemiecki zawarł traktaty handlowe z różnemi państwami, zniżając dla pszenicy i żyta od nich dowiezionego cło z 50 marek na 35 marek za tonnę, i zabiera się do zawarcia podobnego traktatu z Rosyą. Zebrani w Berlinie rolnicy, pod wpływem polityki celnej Bismarcka, protestują przeciwko podobnemu traktatowi, jako ich interesom rzekomo szkodliwemu.

Czyż istotnie cła zbożowe tak wielkie im przyniosły korzyści? Mamy przed sobą szereg cyfr, odnoszących się do cen pszenicy i żyta od roku 1871—1891. Bierzemy za przykład ceny pszenicy, notowane we Wrocławiu. W r. 1872 płacono przeciętnie za tonnę 215 marek; w r. 1872 i 1873 ceny podnoszą się do 249 m., koniec roku 1874 znajduje je na poziomie 230 m., przez r. 1875 spadają aż na 176 m.; w r. 1877 podnoszą się na 204 m., następne lata przynoszą cła i zniżkę cen. Przy końcu roku 1878 płacono 177 m. za tonnę pszenicy, w roku 1879 i 1880 cena podnosi się aż do 203 m. przy końcu 1880 i 207 m. przy końcu 1881. Następnie, jakkolwiek cła zostały podwyższone, przy końcu r. 1882 cena staje na poziomie 192 m., przy końcu r. 1883 na 155 m., podnosi się w 1884 na 157 m., spada w r. 1885 na 146 m., w r. 1886 na 142 marek. Później następuje zwyczajka, trwająca do roku 1891, w którym cena dochodzi do 215 m. Wiadomo, że dobra cena utrzymała się jeszcze przez kilka pierwszych miesięcy r. 1892, ale później stale spadała; dziś Wrocław, po wyższych już cenach, notuje za pszenicę około 150 m. W tej samej mierze odbywała się fluktuacya cen żyta, z tą tylko różnicą, że za żyto płacono najwyżej (w końcu roku 1873) 193 m., najniżej przy końcu r. 1887: 116 marek za tonnę.

Dla nas cyfry te najlepszym są dowodem, że cła zbożowe rolnictwu w Niemczech spodziewanych korzyści nie przyniosły. Nie piszemy tu traktatu o wpływie cel zbożowych na ceny, więc się nad tym przedmiotem za długo rozwodzić nie możemy. Ale zaznaczyć musimy, że w epoce od roku 1881 — 1891, kiedy niemieckie cła już obowiązywały, a pomimo to zniżka cen była bardzo znaczna, konkurencya amerykańska i russka nadmiernie nad rynkami zachodniej Europy nie zaciążyła. Skutkiem zwiększenia się konsumcyi miejscowej w Ameryce, dowozy stamtąd do Europy w czasie od r. 1881—1891 nie dosięgły cyfr kilku lat poprzednich. I tak, wywieziono ze Stanów Zjednoczonych wszystkiego zboża: w r. 1877/8—191 mil. buszli, w r. 1878/9—250 mil., w r. 1879/80—288 mil., w r. 1880/81—287½ mil. buszli, w późniejszych zaś latach cyfry te już nigdy nie zostały osiągnięte; najwyższa ilość wynosiła w roku 1886/7—203¾ mil. buszli. Wywóz z Rosyi zwiększył się wprawdzie, ale nie bardzo znacznie. Jedynie r. 1887/88 wykazuje 133

mil. hektolitrów wszelkiego zboża, wywiezionego za granicę, później cyfra ta zniża się bardzo znacznie, a w r. 1891/2 wywóz został zredukowany do cyfr małych.

Niesłusznie przypisują rolnicy w Niemczech nadmierne znaczenie cłom zbożowym. Przedewszystkiem pamiętać należy o tem, że Niemcy same produkują 80—90% potrzebnego im zboża, cła tedy wpłynąć mogą na ceny tylko w stosunku tym, jak dowóz się staje potrzebnym. W najlepszym razie ceny mogą się podnieść w stosunku $\frac{1}{3}$ cła, czyli przy 50 markach cła o 10 marek na tonnie. W latach urodzaju wpływ cła będzie jeszcze mniejszy, w latach nieurodządu większy. Cóż to jednakże znaczy wobec wpływu, jaki dziś na ceny zboża wywiera spekulacja giełdowa? To też słusznie zwraca się 9-ty punkt programu rolników, przyjęty na zebraniach berlińskich, do rządu z prośbą, aby rozciągnął ściślejszy nadzór nad giełdą zbożową, „celem zapobieżenia wpływowi spekulacyi na ceny zboża.“ Za to niewiele ma sensu zamierzona w drugiej rezolucyi opozycya przeciwko traktatowi z Rossyą, mającemu zniżyć cło o 15 marek na tonnie żyta i pszenicy, mianowicie, gdy zboże z Austro-Węgier, z Rumunii, z Serbii, a nawet z Ameryki opłaca niższe cło. Wprawdzie w rezolucyi trzeciej postawione jest żądanie należytego uregulowania stosunku do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, ale Ameryka jest głównym rynkiem zbytu na cukier z Niemiec, więc pertraktacye ze Stanami Zjednoczonymi na zasadzie wyższego cła nie były-by zbyt łatwe.

Że zebranie rolników domaga się (rezol. 4-ta) „wstrzymania dowozu bydła z okolic, dotkniętych zarazą, temu się dziwić nie można; rolnicy w Niemczech tak olbrzymie poczynili nakłady na ulepszenie ras bydła, że obór swoich na niebezpieczeństwo narażać nie mogą.

Niezmiernie ważnej kwestyi dotyczy rezolucya 5-ta, w której zebrani w Berlinie rolnicy domagają się zaprowadzenia podwójnej waluty, jako ochrony przeciwko anormalnemu zniżaniu się cen płodów rolnych. Przyjęcie waluty złotej w Niemczech, wkrótce po wojnie francuskiej, było rezultatem przewagi w parlamencie stronnictw liberalnych, a w polityce ekonomicznej kierunku, dążącego wyłącznie do rozwoju przemysłu. Waluta złota istnieje zresztą w Niemczech dotąd tylko na papierze; w rzeczywistości bowiem każdy musi przyjmować będące dotąd w obiegu srebrne talary za trzy marki złotem, chociaż realna wartość talara nie wynosi dwóch marek w złocie. Okoliczność to jednakże dla Niemiec raczej korzystna, niżeli szkodliwa. O samej kwestyi waluty na tem miejscu obszerniej się rozpisywać nie możemy, tu najbardziej nas interesuje prawda, którą uznali nawet zwolennicy waluty złotej, że wprowadzenie jej przyczyniło się do zniżenia cen wszelkich produktów. Jest to, naszym zdaniem, jedna z ogólnych przy-

czyn przesilenia, które dotknęło rolnictwo całego świata, rozumie się, że ucierpiało przede wszystkim przez nią także rolnictwo w Niemczech, i że kwestya reformy systemu waluty pozostanie na porządku dziennym, jako jeden ze stałych postulatów rolnictwa; kwestyę tę atoli tylko w drodze międzynarodowego porozumienia uregulować można.

Co do reform wewnętrznych, domagają się rolnicy ustanowienia izb rolniczych, na wzór istniejących izb handlowych. Według najnowszych wiadomości, skłania się rząd ku spełnieniu tego żądania. Izby handlowe istnieją od dawna, jako urzędowa reprezentacya interesów handlowych i przemysłowych; okoliczność, iż dotychczas nie pomyślano o izbach rolniczych, najlepszym jest dowodem zaniedbania interesów rolniczych, wypływającego z przyczyn, o których powyżej była mowa. Istniejące po całych Niemczech towarzystwa rolnicze urzędowych izb rolniczych zastąpić nie mogą, nie mają bowiem specjalnego mandatu czuwania nad rolnictwem, tak, jak izby handlowe czuwają nad handlem, gromadząc materiał statystyczny, pośrednicząc pomiędzy interesami miejscowemi a ministeryum handlu, zwracając bezustannie uwagę na istniejące braki i t. d.

Stawiając żądanie, aby przepisy prawne o przesiedlaniu się doznały zmiany i aby w kodeksie karnym zostały wyznaczone kary na zrywanie kontraktów, zebrania berlińskie poruszyły kwestyę ważną, ale nieco drażliwą. Dążenie do nazwyczajnego rozwinięcia przemysłu w Niemczech, które istotnie cele swoje osiągnęło, wpłynęło niepomieranie na stosunki rolnictwa. Kopalnie, wielkie zakłady przemysłowe i fabryczne, które powstały w Niemczech zachodnich, wywołały formalne wędrówki robotników w całych Niemczech. Wszystko cisnęło się do wielkich centrów przemysłowych i górniczych; robotnicy, zwabieni wyższą płacą po kopalniach i fabrykach, opuszczali tłumnie wieś, a ponieważ konstytucya niemiecka zapewniła wszystkim absolutną swobodę przesiedlania się z miejsca na miejsce, więc korzystano z niej bardzo często bez względu na pozawierane już, lub obowiązujące jeszcze na wsi, kontrakty. Budowa licznych kolei i znaczne niżenie kosztów przewozu kolejami, sprzyjały temu ruchowi. Folwarki pustoszały zupełnie, nawet ta ludność bowiem, która pozostała na wsi, z folwarku przenosiła się do wiosek włościańskich, przekładając stosunek wolnego najemnika nad stałą służbę na folwarku. Pod względem materialnym położenie wolnego najemnika zwykle było gorsze od losu służby folwarcznej; najemnik taki otrzymywał wprawdzie wyższą płacę w czasie robót polnych, ale za to przez całą zimę pozostawał bez zarobku, a czasem i latem go nie znalazł. Przytem nie wszędzie ludność robocza odznaczała się tą przezornością, iżby z lata na zimę robiła oszczędności,

częściej popadała zimą w nędzę, lub żyła kredytem *a conto* zarobków przyszłego lata, albo stała się ciężarem gminy.

Tak samo ludności roboczej, emigrującej na zachód do fabryk i kopalni, nie zawsze dobrze się działo. Zarobki tam były większe, niż na wsi, ale i koszt utrzymania wyższy, przytem ludność wiejską, świeżo przybyłą do miast, nęciły rozmaite przyjemności miejskie, bez których na wsi się obywała, tak, iż znaczna część tej ludności wytworzyła ów proletaryat fabryczny, który powiększył nędzę socjalną i stworzył bataliony niezadowolonych z losu swego socjalnych demokratów.

Nie będziemy się tu rozwodzili nad pytaniem, czy lepszy jest los człowieka, mającego skromne potrzeby, czy tego, który ma potrzeby wielkie? Wszak niejednokrotnie dziś można się spotkać z teorią, że większe potrzeby są znamię wyższej cywilizacji i że, im większe człowiek ma potrzeby, tem silniej będzie pracował nad ich zaspokojeniem. Kuszenie się o odpowiedź na powyższe pytanie było-by kuszeniem się o rozwiązanie problemu socjalnego. Stoją tu naprzeciwko siebie nauka Chrystusa, który zalecał skromność, i kierunek materialistyczny, prowadzący do używania. Wspominamy o tem tylko mimochodem; z naszą kwestyą jest to o tyle w związku, że nowoczesne teorie niewątpliwie mocno wpłynęły także na stosunki robotników wiejskich i na stosunki rolnictwa, które, nie mogąc przy faworyzowaniu przemysłu z nim konkurować, traciło robotnika.

Prawda, że nie w każdym razie na zawsze. Robotnik wracał często na folwark, lub do gminy, po długiej po świecie tułaczce, jako nędzarz. Pruskie prawo o utrzymaniu biednych przepisywało, że ta gmina ma obowiązek pamiętania o losie żebraków i kalek, w której ów biedak ostatnio przez dwa lata stale mieszkał. Otóż zwykle zdarzało się, iż robotnik, opuściwszy wieś swą rodzinną, nigdzie owych dwóch lat prawnych nie przemieszczał, że tedy po 15, 20 lub 30 latach do miejsca prawnego zamieszkania, jako nędzarz, został odesłany. Utrzymanie takich nędzarzy stanowiło po folwarkach wcale poważną cyfrę w szeregu wydatków, zwiększając sumę ciężarów rolnictwa, których przemysłowiec i fabrykant nie ponosił, ponieważ pilnie baczył na to, aby nie zatrzymać przez 2 lata u siebie robotnika, który mógł mu się stać ciężarem. Obecnie, po zaprowadzeniu w Niemczech obowiązkowego ubezpieczenia robotników na wypadek choroby lub kalectwa i asekuracji renty na starość, utrzymanie znędzniałych robotników stopniowo przestanie ciążyć na właścicielach ziemskich. Ale wiadomo, że, jako pracodawcy, uczestniczą oni w składce na ubezpieczenie, która stanowi poważną sumę; przytem na nich włożony jest obowiązek kontrolowania, aby robotnik składkę ubezpieczeniową uiszczał, co, ze względu na to, iż składka opłaca się tygodniowo, przez nalepianie marek na kartki, bardzo jest

mozolne, w każdym razie ciężary te przynajmniej ponoszą porównie ze wszystkimi innymi pracodawcami. Na zebraniach w Berlinie rolnicy domagali się przytoczonej powyżej rezolucji 8 ułatwień w tym względzie. Nie ulega kwestyi, że one się z czasem same wytworzą i że tak samo zmniejszą się koszty administracji instytucji państwowych, zabezpieczających rentę na starość, i na wypadek kalectwa, o które tu głównie chodzi. Z rocznych sprawozdań tych ubezpieczeń rządowych, które istnieją od kilku lat ¹⁾, widać, iż stosunek procentowy kosztów administracyjnych do składek z roku na rok się zmniejsza. Wszak tu zresztą chodzi o instytucje nowe, skazane na robienie prób i doświadczeń.

Niemalym ciężarem dla większych właścicieli ziemskich, a nawet i dla wsi włościańskich, było dotąd utrzymywanie szkół ludowych. U zadłużonego właściciela folwarku udział jego w płacy nauczyciela, w utrzymaniu budynków szkolnych i t. d. absorbował poważną część jego czystego dochodu. Od paru lat w Prusach skarb państwa przejął znaczną część płacy nauczycieli wiejskich, mianowicie w prowincjach wschodnich, gdzie wydatki na ten cel najdotkliwiej się dawały we znaki rolnikom.

Wogóle zaznaczyć można niektóre zmiany z ostatnich czasów na korzyść rolnictwa. Mówiliśmy powyżej o przeciążeniu rolników podatkami, mianowicie o podwójnem opodatkowaniu dochodu rolnika. Otóż wielka reforma podatkowa, przeprowadzona świeżo z inicjatywy pruskiego ministra Miquela, a zasługująca ze wszech miar na uwagę, dla rolnictwa jest korzystną. P. Miquel wprawdzie nie zaproponował zniesienia podatku gruntowego, ale odebrał mu charakter podatku państwowego, i dochód z tego źródła, jako i z podatku budynkowego i procedurowego, przekazał gminom. Ubytek, który skutkiem tego powstał w skarbie państwa, w głównej części zostanie pokryty z podwyższonego podatku dochodowego, którego ciężar, jak powyżej o tem już była mowa, spada głównie na uchylających się dotychczas od opodatkowania właścicieli kapitału ruchomego, wielkich przedsiębiorców przemysłowych i fabrycznych. Reforma ta oczywiście da gminom możność zniesienia podatku komunalnego, w którego opłacie rolnicy poważny brali udział. Ponieważ zaś podatek komunalny ustanawiano według podatku dochodowego i gruntowego, więc rolnik nie tylko był podwójnie w dochodzie opodatkowany, lecz i według tego podwójnego podatku skarbowego opłacał wyższy podatek gminie. Ciężary gminne zaś w dwudziestoleciu od r. 1870 — 1890 olbrzymio wzrosły, a obok tego w samorzą-

¹⁾ Ubezpieczenie na wypadek choroby funkcjonuje od r. 1880, ubezpieczenie od wypadków nieszczęśliwych od r. 1886.

dzie gminnym, powiatowym i prowincjonalnym na rolników spadł cały szereg urzędów honorowych, na które rolnicy w Berlinie się skarżyli w 11-ej wymienionej powyżej rezolucyi.

Atoli jakkolwiek w ostatnich czasach niejedna w interesie rolnictwa w Niemczech zaszła zmiana, ogólne położenie większej i średniej własności jest nadzwyczajnie trudne. We wschodnich prowincjach pruskich, gdzie dotąd przeważa większa własność ziemska, dalszemu upadkowi rolnictwa jedynie będzie mogła zaradzić parcelacya. Nie rozwodzę się o tym przedmiocie obszerniej, ponieważ niedawno o kwestyi parcelacyi osobno na tem miejscu pisałem. Wiele osób z kwestyą i stosunkami, o których pisałem, grantownie obeznanych, utwierdziło mnie w przekonaniach, które wówczas wypowiedziałem.

Gruntownego uzdrowienia stosunków, dziś bądź-co-bądź nienormalnych, spodziewać się tylko można po bardzo systematycznej i rozumnej, ze znajomością rzeczy dokonanej, pracy nad reformami.

Do pracy, do oszczędności rolników w Niemczech nawoływać nie można; ogół ich pracuje sumiennie i ze znajomością rzeczy, w potrzebach swoich jest stosunkowo skromny. Rezolucye zjazdu rolników w Berlinie po części wskazały, w jakim kierunku reformy nastąpić powinny, ale rezolucye nie mogły oczywiście wyszczególnić postulatów. Może też być, że inicjatorowie ruchu, który nazwaliśmy tylko dlatego agrarnym, że tych, co w nim uczestniczą w Niemczech, nazywają agraryuszami, sami nie zdołali-by nadać życzeniom swoim formy prawnej. W izbie pruskiej jednakże centrum, przeczuwając, co uczynić należy, stawilo ogólny wniosek, domagający się reform w interesie rolnictwa. Wniosek dotąd nie wszedł na porządek dzienny, więc też nie wiemy, jakie mianowicie reformy centrum ma na myśli. Może być, że ono nie wpadnie w błąd zebrań berlińskich, które zanadto wielki nacisk położyły na kwestyę cel, poświęcając jej aż dwie rezolucye.

Cokolwiekbądź, zdaje się, że ruch, który w lutym r. b. w Niemczech wystąpił z siłą elementarną, nie ustanie; być-by też czas, aby w Europie, gdzie przez ostatnich 40 lat zanadto pracowano nad rozwojem przemysłu, a zaniedbano rolnictwo, zwrócono nareszcie na nie uwagę; rolnictwo bowiem, jak słusznie powiada wstęp do rezolucyi zebrań berlińskich, „jest najważniejszą gałęzią zarobkowania i podstawą wszelkiego rozwoju ekonomicznego,“ a stosunki agrarne w ogólnych stosunkach społecznych ważne zajmują miejsce. Z doświadczeń Niemiec zaś i inni korzystać mogą, aby uniknąć fałszywych dróg, które tam rolnictwo do obecnego oplakanego doprowadziły stanu.

A. DONIMIRSKI.

AMOR i PSYCHE.

Psyche uciekła z domu, gdy w ramiona
Wziął ją raz Amor, i dziś, jego żona,
Mieszka wśród bogów, lecz się z nimi nudzi,
Rwie do dzieciństwa, do swoich, do ludzi.
Dzień cały błąka się niema, ucieka,
Gdy męża ujrzy, i tylko gwiazd czeka,
By udać ciche spanie, bo skrzydlaty
Małżonek w szale wchodzi do komnaty.

Gdyby dziś mogła na ziemię powrócić,
Już-by nie chciała miłosnych powieści
Słuchać, marzeniem snów dziewiczych klócić,
Ni kochać w duszy białej i niewieściej.
Dzisiaj już Psyche to wie, jaką zgubną
Siłą jest miłość, złą i samolubną,
Wie, że kochaną, kochającą duszą
Tylko się ciała pożądliwe kuszą,

Że kiedy między dwojgiem istot padnie
Raz słowo „kocham” i zwiąże je zdradnie,
To już w Astarty tajemnym obrzędzie
Jedna ofiarą, druga katem będzie.

Gdyby tak uciec skrytą, cichą nocą!
Lecz mąż ją kocha i więzi przemocą,
A patrząc na jej bladość, w głuchym gniewie
Trwa i klnie ślepe wyroki, bo nie wie,
Czego tej dziwnej kobiecie potrzeba,
Kiedy ją kocha on, jasny bóg z nieba?
Nie wie, że kiedy bierze ją w ramiona,
Jest najsmutniejsza i osamotniona.

I tak w tęsknocie żyje nieustannej
Psyche, a pierś jej wzbiera ciężkie łkanie,
Gdy ze smug fali drżącej Helios ranny
I mąż jej z łoża nareszcie powstanie.
Z gór wtedy śledzi: nad rzekami ziemi
Puch piór łabędzich smugami srebrnymi
Zaległ, i Psyche tęsknie, pilnie patrzy,
Jak jej odsłania ziemię coraz rzadszy
Pomrok. I naraz wstrząsa nią znów całą
Dreszcz, jako dzieckiem, co długo płakało.
Chciała-by o tem zapomnieć, co było,
Jak sen odgarnąć lub nakryć mogiłą.

Helios już górą, bogów tłum się roi
I Psyche idzie wzdłuż świątych podwoi,
Słuchając, czy jej jaki głos nie zbudzi,
Nie powie: „wolnaś, powracaj do ludzi.”
Aż nie wstrzymana niczem, zapłakana,
Pada przed wielkie bogi na kolana
I tak przed nimi w rozpachy się żali:

„Na toż-to moja piękność nie wędnąca,
„Na tożescie mi nieśmiertelność dali,
„Bym od miłości cierpiała bez końca?”
Ale się bogi śmieją, w jasny ranek
Od swoich ziemskich wracając kochanek,
I Psyche próżno w oczach bogiń czyta,
Czy nie odezwie się w której kobieta.
Więc wraca w gorzkiej i samotnej dumie,
Że nikt wśród niebian skarg jej nie rozumie.

K. M. GÓRSKI.

Nowy pogląd filozoficzny u nas.

Feliks Wiśniewski: „Duch i materya,“ pogląd filozoficzny. Warszawa, 1893. Str. 95.

Nie wielka książeczka p. Wiśniewskiego jest objawem bardzo pociesającym na polu naszej pracy myślowej. Świadczy ona o umyśle, stojącym na wysokości współczesnej spekulacji filozoficznej, wywołanej szczególnie przez nowokantyanizm. Autor przejął się nawskroś tendencją tego kierunku, polegającą na wyrównaniu wyników krytycyzmu Kanta z wynikami najnowszych badań przyrodoznawstwa. Z tego stanowiska stara się dać ogólny na świat pogląd, czyniący zadość, o ile można, zasadniczym potrzebom ducha ludzkiego. Od czasu „Syntezy dwóch światów“ Struvego, wydanej 1876 roku, nie było u nas pracy filozoficznej równie doniosłej, z tak szerokim widnokresem myśli, o tak wszechstronnym poglądzie na byt i jego objawy. Rospatrzwszy w ostatnich czasach na kartach „Biblioteki Warszawskiej“ kilka prac z zakresu jednostronnego realizmu u nas, przedstawiając materyalizm psychologiczny p. Mahrburga (grudzień, 1891), etykę p. Jellenty, ubóstwiającą w duchu Nietzschego siłę przed prawem (lipiec, 1892), wreszcie naturalizm pedagogiczny p. Dawida (marzec, 1893), rad jestem, że dano mi sposobność przeciwstawienia tym przeważnie negacyjnym dążnościom pracy, mającej charakter prawdziwie *pozytywny*,—pozytywny w tem znaczeniu, że nie podkopuje fundamentów życia umysłowego człowieka, lecz, dobrawszy się do nich, stara

się przyczynić do wzmocnienia na nich owego wspaniałego gmachu myśli, który w dziejach nosi nazwę „miłości prawdy,” filozofii, a zatem pozytywny w znaczeniu dodatniem, budującym.

Pomimo drobnych rozmiarów, książka p. Wiśniewskiego obejmuje cały szereg zasadniczych kwestyi filozofii i przedstawia ich rozwiązanie w ogólnych zasadniczych zarysach. Co prawda, w wielu bardzo kwestyach czytelnik szuka napróżno odpowiedzi na dalsze, bardziej szczegółowe pytania, jak najściślej związane z traktowaniami. Nadto urywkowy, fragmentowy i aforystyczny sposób wykładu ma za skutek, że autor nie domawia wielu rzeczy, pozostawiając czytelnika bardzo często w wątpliwości co do sposobu uzupełnienia, choćby własną pracą myśli, zbyt lekkich zarysów autora. Z tem wszystkiem, to, co nam p. Wiśniewski daje, taką ma doniosłość, że jego „pogląd filozoficzny” na ducha i materję, wyłożony w dwunastu króciutkich rozdziałach, zasługuje ze wszęch miar na bliższe rospatrzenie.

1. Filozofia, ideał i religia.

Rospczynia autor rozdziałem o *znaczeniu filozofii* i jej stosunku do religii. Dlaczego na czele tego rozdziału, pod napisem *ideał*, wypowiada takie zdania, jak: „*Ideał—to dziecinna zabawka, marzenie. Rzeczywistość jest inną. W walce o byt ideał nam niepotrzebny, nie doprowadzi on do celu*” (str. 5) — tego nie rozumiemy, gdyż w dalszym przebiegu swych poglądów autor nie usprawiedliwia nigdzie takiego potępienia ideału; przeciwnie, nadaje mu przewodniczące znaczenie w rozwoju życia. Kto, jak autor, uznaje „*dążność celową natury*” i cel ten określa, jako „*harmonię*” (str. 90); kto wykazuje, że możność porzucenia dóbr materialnych dla posiadania dóbr duchowych stanowi „*nieprzeparty dowód bytu naszego czysto idealnego*” (str. 65); kto wreszcie za prof. M. Morawskim powtarza, że „*ostatniem słowem nauki, nie mniej jak końcem zakonu, będzie miłość*,” a z E. Boirac’iem jak najwyraźniej nawet mówi, że „*skłonności ludzkie są koniecznie zwrócone ku tym trzem kierunkom: ja, bliźni, ideał*” (str. 82), ten, zdaje się, nie ma powodu rozpocząć swej filozofii lekceważeniem ideału. Kładziemy to też tylko na karb „*ducha czasu*” i jego tendencyi negacyjnych, którym autor tu i owdzie mimowoli podlega.

Ideał zastępuje autor szukaniem odpowiedzi na „*dręczące pytania*,” czegoż winien pragnąć znikomy mieszkaniec pyłku zaledwie? jaki cel naszego życia? czy nie jest ono tylko nędzną komedią? Wśród wszystkich nauk odpowiedź na te pytania, według autora, może dać tylko filozofia, jako „*nauka ogólnych praw i zasad, ugruntowana na*

ostatecznych rezultatach nauk szczegółowych — nauka *uniwersalna*“ (str. 6). Jaki atoli jest szczegółowy pogląd autora na tę naukę uniwersalną, już się nie dowiadujemy. Napotykamy wprawdzie zdania, zaczerpnięte z pozytywizmu Comte'a i przypominające „filozofię naukową“ nowokantyanów, np. że filozofia „ujmuje w całość najważniejsze wyniki nauk szczegółowych“ (str. 6); ale, pomimo to, cała praca pokazuje, że autor odnosi do filozofii pewne, jej tylko właściwe, przedmioty badania, pewne odrębne zagadnienia, któremi inne nauki wcale się nie zajmują, że zatem z nazwą filozofii łączy coś więcej, aniżeli proste „ujęcie w całość wyników nauk szczegółowych.“ Pozytywistą tedy nie jest, pomimo owego pozytywistycznego określenia filozofii, w którym zapewne tylko chciał dobitnie zaznaczyć organiczny związek najsamodzielniejszych nawet badań filozofii z wynikami badań nauk szczegółowych. Ten samodzielny przedmiot filozofii występuje u samego autora na jaw w zdaniu, że filozofia daje odpowiedź na „tkwiące w nas owo niezachwiane pytanie *dłaczego* względnie do świata, bo wszyscy chcemy wiedzieć: „czem jest świat, czym istota myśląca i dokąd zmierza?“ (str. 7).

W kilku aforyzmach określa autor następnie stosunek filozofii do religii. „Różnica — mówi — jest tylko pozorną, zewnętrzną. Religia jest metafizyką a priori, metafizyka jest religią a posteriori, nie przestając być zarazem i a priori; uzupełniają się one wzajem, stanowiąc jedność...“ „Filozofia jest odpowiedzią *rozumową* na najważniejsze zagadnienia człowieka; religia jest odpowiedzią *uczuciową*. A czyż można słowami określić uczucie miłości? Religia wskazuje *prawdę bezwzględną*, lecz wzamian natura żąda od nas czegoś, mianowicie: skoro jesteśmy i skoro posiadamy władzę rozumu, rozkazuje nam zatem za pomocą rozumu szukać do niej drogi. Filozofia jej szuka“ (str. 8). Zdaje się, że trafniej w kilku urywkowych zdaniach stosunku filozofii do religii określić nie podobna.

2. Wszechświat. Przestrzeń, czas i przyczynowość. Granice świata.

Od określenia filozofii autor przechodzi wprost w rozdziale drugim do przedstawienia swego pojęcia *wszechświata*. Zaznacza on przede wszystkim wielkość jego, przytaczając ciekawe dane z astronomii o odległości gwiazd od ziemi i wyprowadza z tych danych wniosek co do względności naszego poglądu na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. „Ciała niebieskie — mówi (str. 13) — nie przedstawiają nam swej teraźniejszości, lecz, względnie do odległości, swą przeszłość. Spoglądając np. na Węgę, nie widzimy jej takiej, jaką jest, lecz jaką była

przed laty szesnastu..." „Jest to przemiana przeszłości w teraźniejszość, a teraźniejszości w przyszłość."

Myśl tę szczegółowo wyłożył już dawniej profesor wrocławski, Feliks Eberty w pięknej pracy: „Gwiazdy i historia świata. Myśli o przestrzeni, czasie i wieczności." 3-cie wyd. 1874 r. Tłumaczy on z zaznaczonego stanowiska wszechwiedzę Boga. Według tego, Bóg z gwiazd o wielkości dwunastego stopnia ma przed oczyma to, co się dzieło na ziemi przed 4000 lat, z odleglejszych punktów nieba widzi realnie to, co było jeszcze dawniej, a z punktów pośrednich przestrzeni ogląda rzeczywiste dzieje wszystkich pośrednich momentów czasu. Ta praca Ebertego, ogłoszona w pierwszym wydaniu jeszcze w r. 1846, przełożoną została w swoim czasie bez wiedzy autora i bezimiennie na język francuski i angielski; z jej treści skorzystał Flammarion i w ten sposób spotykamy się znowu z tą głęboką myślą i w książce p. Wiśniewskiego. Opiera on na tej myśli zasadę (str. 13), że „czas, jak równie i przestrzeń, jest własnym wytworem ducha naszego..." „W promieniach światła — mówi — myśl cofa czas; promienie światła tworzą przestrzeń dla myśli."

Zasada ta o bezwzględnej podmiotowości przestrzeni i czasu, jako apriorycznych form naszego umysłu przy zmysłowym poglądzie na świat, stanowi, jak wiadomo, jeden z rezultatów krytyki czystego rozumu Kanta. Nasz autor rozwija zasadę tę nieco bliżej w piątym rozdziale; ponieważ jednak łączy się ona jak najściślej z pojęciem wszechświata, przeto już ją tutaj uwzględnić możemy.

Pan Wiśniewski akceptuje bez żadnych zastrzeżeń i bez wszelkiej dalszej krytyki zaznaczony pogląd Kanta na *przestrzeń i czas* i — dodajmy już tutaj — na *przyczynowość*. Podmiotowość i aprioryczność przestrzeni stara się popularnie uprzystępnąć przy pomocy analogii ze sztuczną perspektywą w obrazach (str. 31). „Jeżeli — mówi — zeskrobimy szczegóły obrazu, usuniemy i przestrzeń, której istnienie zostało wywołane przez zestawianie cząstek farb na płaszczyźnie." „Tworzymy przestrzeń zatem sami, w nas, jako sposób spostrzegania, bo przecież na obrazie nie ona istnieje, lecz przedmioty." Na podstawie podobnej analogii wyjaśnia autor podmiotowość i aprioryczność czasu (str. 33). „W roku 1802 na brzegach Leny znaleziono ciało mamuta, żyjącego w epoce czwartorzędowej. Łody i zmarznięta ziemia przez 200,000 lat powstrzymywały rozkład chemiczny ciała, i gdyby go nie odkopano, gdyby ziemia nasza wlecznie istniała, pozostając w tychże warunkach, mamut wlecznie-by pozostał takim, jakim go znaleziono. A zatem czas ani fizycznego, ani chemicznego, wogóle żadnego nie wywiera działania." Świadczy to, według autora, dowodnie o *idealności czasu*. Nadto czas, mówi autor dalej (str. 34), jest uczuciem trwania

nieprzerwanego szeregu zjawisk. Wydaje on się nam długim lub krótkim, stosownie do ilości zjawisk, które odczuwamy. Jest on tedy względny odnośnie do naszej świadomości. Im myśl czynniejszą, ten sam czas staje się tem krótszym. A zatem po-za doznawaniami przez nas zjawiskami wcale nie istnieje (str. 38). Toż samo wreszcie ma się i z przyczynowością. Pytanie *dlaczego?* inteligencya sama sobie narzuca, powód zatem tkwi w samej inteligencji (str. 26); przypuszczenie przyczyny to własny wytwór ducha naszego; przyczyna leży we własnym bycie (str. 60).

Argumenta p. Wiśniewskiego, a jeszcze bardziej dowody, przedstawione przez Kanta w „estetyce transcendentalnej“ i w „analogiach doświadczenia,“ oraz wyniki najnowszych badań na polu fizjologii i psychiatrii zmysłów, wykazują w sposób niewątpliwy, że przestrzeń, czas i przyczynowość mają charakter podmiotowy i aprioryczny, to jest są objawami działalności umysłu, wpływającemi z jego własnej natury. Ale czyż z tego bezpośrednio wynika, że pojęcia te są *li-tylko* podmiotowemi, że po-za umysłem są *niczem*, że pozbawione są wszelkiej przedmiotowości? Wniosek taki jest zbyt pośpiesznym, a krytycy Kanta wykazali, że bezpośrednio przejście od dowodu podmiotowości przestrzeni, czasu i przyczyny do zaprzeczenia ich *przedmiotowego* znaczenia dokonywa się jedynie za pośrednictwem skoku w rozumowaniu (*saltus in demonstrando*), bo przestrzeń, czas i przyczyna mogą być *zarazem* i podmiotowe, i przedmiotowe, być wytworem umysłu i *zarazem* istnieć niezależnie od niego w świecie zewnętrznym.

U nas to stanowisko krytyczne względem subiektywizmu Kanta zajął prof. Struve w swej „Syntezie dwóch światów,“ a wykazuje szczegółowo obiektywność owych podmiotowych i apriorycznych pojęć w swych wykładach uniwersyteckich logiki, psychologii i historii filozofii. Przytoczymy tutaj główne instancje, przeciwstawiające się w tej sprawie bezwzględny subiektywizm, do których ze zwolennikami nowokantyanizmu i p. Wiśniewski należy.

Nasze objawy psychiczne: myślenie, uczucie i dążenie, wola, są podmiotowemi i apriorycznemi, istnieją w nas samych i wytwarzają się stosownie do natury naszego umysłu. Na równi z kamieniem nie byliśmy zdolni zrozumieć tych objawów zewnątrz nas, gdybyśmy ich nie doznawali przede wszystkim w nas samych, jako wytworów naszego własnego umysłu. Ale czyż z podmiotowości i aprioryczności myśli w nas wynika, że niema myśli zewnątrz nas, że ja jestem *jedyną* istotą myślącą na świecie, że wszelkie przyznanie przedmiotowego istnienia myśli po-za mną jest tylko złudzeniem, lub nie uprawnioną obiektywizacją moich własnych stanów psychicznych? Ja myślę w sobie jedynie, — to prawda, ale myśl istnieje *zarazem* i w innych istotach myślą-

cych, więc ma w stosunku do mnie zarazem i byt przedmiotowy. Nic tedy naturalniejszego nad to, że przestrzeń, czas i przyczynowość są wytworami mej działalności umysłowej, z nią się jak najściślej łączą, a pomimo to mają byt przedmiotowy i zewnątrz mnie, bo ja i ów byt zewnętrzny nie są dualistycznie rozerwane, lecz mają jedno wspólne źródło istnienia; więc we mnie i zewnątrz mnie przedstawiają mi się jedne i też same zasadnicze własności istnienia, bytu wogóle.

Że tak jest, o tem przekonywa nas samo pojęcie istnienia obiektywnego, istnienia czegoś od nas niezależnego, któremu przecież ani Kant, mówiąc o *rzeczy w sobie* (das Ding an sich), ani nowokantyanie, ani p. Wiśniewski nie zaprzeczają. Najprzód, samoistnienie czegoś względem mnie zewnętrznego, przedmiotowego, uznają tylko wskutek zastosowania prawa *przyczyny* do moich stanów podmiotowych. Gdyby to prawo miało wyłącznie charakter podmiotowy i pozbawione było wszelkiego przedmiotowego znaczenia, natenczas i samo pojęcie bytu przedmiotowego musiało-by mieć ten sam charakter, t. j. i byt przedmiotowy był-by na równi z prawem przyczyny także tylko *moją myślą* i niczem więcej, czyli ja musiał-bym uznać siebie za jedynie istniejącego; innych zaś ludzi: Piotra, Pawła, Józefa, i wszystkie wogóle rzeczy po-czytywać nie za *rzeczy w sobie* istniejące, lecz wyłącznie za moje podmiotowe wytwory, za moje, Floryana, pojęcia. Tego jednak nie czyni żaden rozumny człowiek, ani też owi subiektywiści, a zatem i oni, mimowoli i wiedzy, przyznają, że prawo przyczynowości ma nietylko podmiotowe, lecz zarazem i przedmiotowe, obiektywne znaczenie.

Dalej, uznanie czegoś zewnątrz istniejącego, a zatem samo pojęcie *przedmiotowego bytu* zawiera w sobie już *przestrzeń i czas*. Wyrazy *zewnątrz* i *wewnątrz* oznaczają stosunki przestrzeniowe. Choćbyśmy tedy nasze ja, naszą duszę nazwali z p. Wiśniewskim „punktem idealnym,” to, uznając istnienie *realne* obcego ja, mieli-byśmy co najmniej dwa *realnie* obok siebie istniejące „punkta idealne,” a do przyznania *przedmiotowego* znaczenia przestrzeni zgola niczego więcej nam nie potrzeba. Ponieważ nareszcie moje pojęcie rzeczy w sobie, przedmiotowego bytu, jako realnego, może być tylko wytworem wzajemnego na siebie działania (Wechselwirkung) tych dwóch czynników: mego ja i bytu przedmiotowego, przeto i ten ostatni musi działać, — bez jego działania na mnie, nic o nim-bym nie wiedział, — więc mam nietylko w sobie, lecz przedmiotowo dane co najmniej dwa po sobie następujące momenta działania, a to dowodzi już bezpośrednio przedmiotowości czasu.

Domagamy się tedy od subiektywistów tylko logicznej konsekwencji, która doprowadza ich *ad absurdum*. Zaprzeczenie przedmiotowości przestrzeni, czasu i przyczyny równa się zaprzeczeniu przedmiotowemu

bytu wogóle, t. j. równa się twierdzeniu, że wszystko, bezwzględnie wszystko, co uznaję za istniejące, jest jedynie wytworem *mej* myśli i nie zawiera w sobie zgoła *nic przedmiotowego*. A taki wynik sprzeciwia się nietylko zdrowemu rozsądkowi,—coby subiektywistów zresztą nie alarmowało,—lecz sprzeciwia się zarazem owemu oczywistemu faktowi, że mnie się coś ode mnie niezależnego bezpośrednio narzuca i, działając na mnie, *zmusza* mię do uznania, że coś istnieje *po-za* mną, *wkoło* mnie.

Tych argumentów, zbijających subiektywistyczną teorię przestrzeni, czasu i przyczynowości, p. Wiśniewski nie uwzględnił wcale; nie wiem, czy dlatego, że ich nie zna, czy też, że nie ma nic o nich do powiedzenia, a jednak sędzę, że krytyczny czytelnik nie odmówi im znaczenia. Prawda, że powyższa *syntetyczna* teoria o podmiotowej i *zarazem* przedmiotowej naturze owych pojęć nie usuwa wszelkich trudności w zrozumieniu świata. Problematu *nieskończoności* przestrzeni i czasu, pierwszej przyczyny, i ta teoria *nie* rozwiązuje, ale przynajmniej nie ułatwia sobie rozwiązania wybiegami subiektywistów.

Jednym z takich wybiegów jest twierdzenie naszego autora, że świat jest skończony (str. 16), że ma swoją granicę i że tą granicą jest *nicość* (str. 33). Dowody tego twierdzenia na str. 16 i 17 nie zdołały nas przekonać; nie rozbieramy ich jednak szczegółowo, bobyśmy zbyt rozszerzyli ramy niniejszego sprawozdania. Powiemy tylko, że *nicość*, będąc *nicością*, nie może stanowić *granicy*, a zatem istnienie, nie mogąc być ograniczonem przez *nicość*, jak utrzymuje autor, musi być uznane za nieograniczone. W każdym razie, nieograniczone *istnienie* jest pojęciem zrozumialszem dla nas, aniżeli sprzeczne w sobie pojęcie *nicości*, jako granicy istnienia.

W dalszym przebiegu swych rozmyślań autor wykazuje, że ze stanowiska zmysłowego wszechświat sprowadza się do *materyi* i *ruchu*. Z ich kombinacji powstaje różnorodność ciał, powstaje *rzeczywistość* aż do myśli ludzkiej (str. 15). Jest to jednak tylko stanowisko zmysłowego na świat poglądu. *Rozumowy* pogląd musi dopiero wyjaśnić i wytkłomaczyć dane owego zmysłowego poglądu, a szczególnie dać odpowiedź na pytanie: *czem* w świecie jest *myśl*, *uczucie*, *duch*? To pytanie doprowadza autora do alternatywy: albo duchowa nasza organizacja jest wytworem materii, albo materia jest wytworem ducha (str. 20). I na tem kończy rozdział o wszechświecie. W dalszym zaś ciągu stara się udowodnić prawdę drugiego z tych zdań.

3. Teoria poznania. Pewniki i granice poznania.

Rozdział trzeci traktuje o *wartości naszego poznania*. Według nas należało o tem mówić w związku z określeniem filozofii i jej stosunku do innych nauk i do religii, a nie dopiero po rozbiórce pojęcia wszechświata. Lecz o to następstwo z autorem sprzeczać się nie będziemy.

Poczynając od rozpatrzenia poznania *zmysłowego* (str. 21 i nast.), autor wykazuje jego względność. Posiadamy pięć tylko zmysłów; wrażenia nasze zależą od właściwości organów zmysłowych, a zatem wszystko to, co spostrzegamy, może się przedstawiać innej organizacji zupełnie inaczej. Spostrzeganie nie wyraża jeszcze rzeczywistości, jest ono tylko tłómaczeniem naszych wrażeń. Tej względności zmysłowego poglądu na rzeczy, wykazanej przekonująco przez Kanta, nikt nie zaprzeczy, chyba dogmatyczny sensualista, pozbawiony zmysłu krytycznego. Poznanie prawdy jest zawsze tylko wynikiem działalności *rozumowej*, rozpatrującej świadectwo zmysłów i wyprowadzającej z niego wnioski według swoich praw logicznych. Stąd słusznie mówi autor (str. 22): „Prawda leży w samej naszej duchowej organizacji.“ „Jeśli odnajdziemy w niej jakieś zasadnicze elementy, przytem właściwe wszelkim innym możliwym istotom i w każdych warunkach uznane za prawdy, poznanie będzie *bezwzględne*.“ „Będąc a priori, muszą posiadać w swej duchowej organizacji coś a priori z natury. Tem coś a priori jest możliwość pojęcia prawdy, odzwierciedlona w *pewnikach*“ (str. 23).

Wraz bowiem z naszą organizacją umysłową posiadamy pewną wrodzoną konieczną formę naszego sposobu myślenia. Wyraża się ona w pewnych prawdach oczywistych, widocznych same przez się, nieomylnych, powszechnych, wiecznych, nazwanych pewnikami (str. 23). Do takich pewników autor zalicza znane z logiki zasady *tożsamości*, *zaprzeczenia* i *przyczynowości*, i wyjaśnia je w ogólnych zarysach.

Dalsze wywody swojej teorii poznania wyłożył autor w rozdziale o *istnieniu świata zewnętrznego*, oraz w zaznaczonym już rozdziale o *przestrzeni i czasie*. W pierwszym z tych rozdziałów uderzają nas zdania, niezgodne z owem poznanie *bezwzględne*, o którym autor mówił powyżej. Pan Wiśniewski dowodzi tutaj (str. 27 i nast.), że istota rzeczy pozostaje *niepoznawalną*. „Świat taki, jaki spostrzegamy, jest w nas, *przeto* po-za nami nie istnieje. Istnieje on sam w sobie, we własnych stanach, lecz tym własnym jego stanom a naszym czuciowym wrażeniom nadajemy *formy*. Budujemy go zatem sami tak, jak ruch zowiemy światłem, wonią, dźwiękiem i t. p.“ (str. 29).

Jakżeż to pojąć? Jeżeli przy pomocy rozumu dochodzimy do *bezwzględnego* poznania, jeżeli wnikamy w światło, woń, dźwięk, i mówimy, że *w sobie* nie są światłem, wonią, dźwiękiem, lecz są *w istocie* ruchem, czyż wtedy istota rzeczy pozostaje niepoznawalną? Pozór, złudzenie odnosi się do działania zmysłów, ale nie do owych „nieomylnych, powszechnych, wiecznych prawd“ rozumu, uznanych przez autora. Nie możemy poznać wszystkiego; poznanie nasze jest ograniczonem, nie jest zdolnem pojąć ani nieskończenie wielkich, ani nieskończenie małych rzeczy, to prawda; ale w swoim pośrednim zakresie pomiędzy temi ostatecznościami zdolnem jest poznać nietylko zjawiska, lecz i ich istotę. Rzeczy, leżące za temi granicami, usuwają się z pod naszej pojętności nie dlatego, że stanowią wyłącznie *istotę* rzeczy, lecz głównie dlatego, że *objawy* tych rzeczy nie są dla nas dostępne. Gdybyśmy mogli objąć już nietylko zmysłami, ale choćby rozumem, zewnętrzny *objaw* istoty nieskończonej, jakim jest nieskończony świat materialny, natenczas zrozumieli-byśmy i tę istotę, jak rozumiemy istotę rzeczy skończonych przy pomocy dostępnych dla nas objawów.

Nadto nie należy spuszczać z oka i tego, że nawet nieskończoność nie jest dla nas *bezwzględnie* niepoznawalną co do swej istoty; częśćka jej istoty staje się dla nas dostępną, jako wyraz jej stosunku do nas, jako jej objaw w granicach naszej pojętności. Istota nieskończona posiada z natury rzeczy nieskończone własności; zupełne jej poznanie wymagało-by zatem poznania wszystkich tych własności, a to właśnie jest dla nas niemożliwem. Skoro jednak poznajemy pewien szereg tych własności, wyrażający się w zrozumiałej dla nas organizacji wszechświata i w ustroju logicznym i moralnym naszego ducha, natenczas nie mamy powodu twierdzić, że istota rzeczy jest dla nas wogóle niepoznawalną, lecz musimy wyznać, że poznajemy tę istotę o tyle, o ile ona nam się objawia, o ile na nas działa i wkracza w zakres naszego ograniczonego bytu. W ten sposób istnienie rzeczy niepoznawalnych jest jedynie dowodem istnienia nieskończoności, przekraczającej naszą pojętność. Gdyby bowiem świat był skończonym, jak sądzi nasz autor, wtedy nie było-by granic dla naszego poznania, a ograniczona nasza pojętność wystarczała-by z czasem do zupełnego poznania ograniczonego świata i jego istoty.

Zresztą sam autor zadaje w dalszym ciągu kłam zdaniu o *bezwzględnej* niepoznawalności istoty rzeczy, bo za przykładem wszystkich głębszych myślicieli stara się bliżej określić tę istotę i wyjaśnić jej stosunek do naszego bytu i życia. Świadczy o tem jego metafizyka, która stanowi treść sześciu ostatnich rozdziałów książki.

4. Metafizyka. Materya i ruch. Przyroda, życie i duch.

Na czele kwestyi ściśle metafizycznych, dotyczących *istoty* wszechbytu, stawia p. Wiśniewski kwestyę *materyi* i *ruchu* (rozdział szósty). I tutaj napotykamy wprawdzie zdania dwuznaczne, nie związane z właściwym poglądem autora, mogące dać powód do nieporozumień, jak np. zdanie: „wszystko, co istnieje, jest *materyą*“ (str. 40). Wiemy jednak już, że zdanie to należy zrozumieć, jako wynik poglądu zmysłowego na świat, a nie *rozumowego*, który ze zmysłowym materjalizmem mało ma wspólnego. Dalej powtarza autor i tutaj twierdzenie, że nie wiemy, czym jest materya, że materyi samej w sobie, tej ogólnej *przyczyny* naszych uczuciowych wrażeń, nie znamy, że poznajemy tylko jej objawy. A jednak autor sięga myślą i po-za te objawy materyi i określa następnie ich *istotę*, różną zupełnie od pozoru materjalnego.

Za przejście do tego określenia istoty materyi służy autorowi pojęcie *ruchu*, który nazywa (str. 43) „istotną, konieczną ciał i materyi własnością.“ Co więcej, dochodzi następnie (str. 45) nawet do zdania, że materya i ruch, to tylko „dwie nazwy na jedną jakąś rzecz,“ „dwa różne objawy, dwa prawa—jednej jakiejś rzeczy.“ Ale ruch materjalny, martwych atomów, według słusznej uwagi autora, nic nam właściwie nie tłumaczy. Büchner mówi, że myśl jest ruchem, sekrecyą mózgu, czym zaś mózg, nie odpowiada, dowodząc, że „wkracza to już w *transcendentalność*.“ Na to nasz autor wykazuje (str. 46), że każdy badacz natury, wnikając we własności ciał i poznając je, przekracza już zakres mechanizmu i wkracza w *transcendentalność*. Bo poznanie opiera się na naszej duchowej organizacyi, która jest sprawdzianem prawdy. Dzięki tej organizacyi, materya przedstawia się nam, jako podzielna do nieskończoności,—zdanie, które tutaj napotykamy, pomimo poprzedniego twierdzenia, że świat jest skończony. „Sprzecznosc ta—mówi autor obecnie—może być tłumaczoną li uległem stanowiskiem materyi względem myśli. Podzielność do nieskończoności wyraża wprost istnienie czegoś zależnego od *myśli*.“ A z tego, według autora, wynika, że *myśl* jest „punktem idealnym,“ który w pojęciu materyi i przestrzeni, a szczególnie w niepodzielności atomu, znajduje symbol swego *istnienia*. *Ruch* zaś, pozostający w związku z pojęciem czasu, oznacza *działanie* owego punktu idealnego, jest symbolem tego działania.

Te, zbyt może subtelne, określenia, autor ilustruje i dowodzi przy pomocy matematycznego rozumowania (str. 47 i nast.), którego-byśmy nie mogli w sposób należyty przedstawić bez podania odpowiedniego graficznego schematu, więc się zrzekamy przejścia na to pole, pozostając w sferze pojęć metafizycznych autora. Streszczają się one ze względu

na przebyte dotąd rozumowania do następujących zdań (str. 50 i nast.): „Przestrzeń, czas, materya, ruch, wogóle cała ta spostrzegana rzeczywistość, to tylko *wyobrażenie*. *Istota rzeczy—to punkt idealny*,“—czyli, mówiąc konkretniej: „wszystkie zjawiska świata są to *wyobrażenia istoty czysto duchowej*...“ „Ostatecznym składnikiem materii, przyczyną naszych wrażeń, *rzeczywistością*, kryjącą się *po-za* rozciągłością i ruchem, jest byt, podobny do nas samych; *atom,—punkt idealny,—dusza*.“ „Świata zewnętrznego pod żadnym pozorem nie możemy uważać jako coś nam obcego; jego źródło leży w istocie ducha. Myśl i materya są jedną rzeczą, badaną z dwóch stron przeciwnych.“ Pomimo tedy twierdzenia o niepoznawalności istoty rzeczy, otrzymujemy tutaj cały szereg określeń tej *istoty*, wobec których, według nas, zupełnie słusznie, rzeczywistość zmysłowa, materyalna, staje się tylko zewnętrznym wyrazem, *formą*, symbolem głębszej, wewnętrznej *treści* duchowej.

W pojęciu *punktu idealnego* i jego *działania* tkwi cały dalszy pogląd na świat naszego autora. Następne rozdziały jego książki: 7-my „O przyrodzie“, 8-my „O życiu“, 9-ty „O zjawiskach życia duchowego“, 10-ty „Punkt idealny, lub dusza“, 11-ty „Istota duszy“ i 12-ty „Fantazya“, są szczegółowem rozwinięciem i wyjaśnieniem tego pojęcia na tle rozlicznych objawów przyrody, życia i ducha.

W rozbiórce *przyrody* autor początkowo staje znowu na stanowisku poglądu zmysłowego; mówi o stosunku świata nieorganicznego do organicznego, broni hipotezy samorodztwa i rozwoju, — ale sprowadza to wszystko w dalszym ciągu do zasady *metafizycznej*, wykazując (str. 57 i nast.), że „całość przyrody jest to ciągłość jednej idei, jest to *system jednolity*.“ „Z jakiejś tam martwej materii nie mogła-by powstać *świadomość*.“ „Nigdy nie wytłómaczymy życia tem, co nie żyje.“ Chcąc być logicznym, i samą ziemię „trzeba wyprowadzić z czegoś identycznego z myślą.“ A zatem wszystko żyje, cały świat jest ożywiony, przeniknięty duchem.

Co do *przyczyny* tego życia powszechnego, powiedzieć należy, że, pomimo zaznaczonego już powyżej subiektywistycznego poglądu, według którego przypuszczenie przyczyny jest to własny wytwór ducha naszego (str. 60), autor nadaje przyczynie jednak przedmiotowe znaczenie, dowodząc, że „życia nie można tłómaczyć przez organizację, gdyż organizacja jest jego objawem,“ że przyczynę organizacji określić można li tylko, jako „ideę kierowniczą“, „ideę twórczą, sygnalizującą swój bezwzględny byt *postępem*“ (str. 61).

Dalszy wykład poglądów autora naprowadza nas tutaj na rozdroże, wobec którego nie wiemy, czy iść dalej na prawo, czy na lewo: na prawo—ku uznaniu najwyższej, świadomej siebie inteligencji, Boga, jako ostatecznej przyczyny wszechżycia, czy też na lewo—ku hartman-

nowskiej zasadzie bezwiednego absolutu, w którym się dopiero stopniowo wytwarza świadomość, i to nie absolutna, boska, lecz ludzka tylko, jako *przemijający* objaw owego bezwiednego w sobie absolutu. Nieokreślność wyrażen autoru podaje możność tłumaczenia jego poglądów w jednym i drugim kierunku.

Wspomniana „idea kierownicza,” „idea twórcza, sygnalizująca swój bezwzględny byt postępem,” zbliża się do pierwszego przypuszczenia. W innym miejscu (str. 58) mówi autor nawet poprostu, że „inteligencya skończona nie mogła brać skądś po-za sobą materyału do stworzenia; a skoro stworzyła, materyał ten musiał być w niej zawarty.” Albo: „Jeśli człowiek jest wzorem, dążącym do Boga, to winien posiadać i część mocy jego. Posiada zatem *myśl wyobrażającą*.” To wszystko brzmi zupełnie *teistycznie*. W tym też duchu jedynie zrozumieć można zaznaczony powyżej pogląd na stosunek religii do filozofii, przyczem jest mowa o *bezwzględnej prawdzie* religii. Z drugiej jednak strony autor w związku z ową „ideą twórczą” mówi (str. 61), że „jeśli tak zwaną *siłę żywotną* nazwiemy *dążnością*, staje się ona wtedy zrozumialszą, bowiem bliższą ducha naszego, co więcej, *identyczną* z nim, identyczną z nabywaniem i nagromadzeniem wiedzy.” To utożsamianie, identyfikowanie „idei twórczej” i „siły żywotnej,” a zatem po prostu Boga, z pojęciem „dążności,” z naszym duchem i jego nabywaniem *wiedzy*, sprowadza nas znowu z wyżyn teistycznych na ograniczone pole ludzkich stosunków i własności, których zastosowanie do Boga trąciło-by zbyt ciasnym antropomorfizmem.

Toż samo powiedzieć należy o dalszych określeniach istoty życia duchowego (str. 62 i nast.), jako „punktu idealnego,” objawiającego się ruchem, działaniem, dążnością. Tu już napotykaemy wyrażenia, zaczerpnięte wprost z niższej sfery życia psychicznego człowieka, a zastosowane do istoty wszechżycia naprowadzały-by na myśl, że istota ta w samej rzeczy jest *identyczną* z naszym ograniczonym, jednostkowym bytem duchowym. I tak, wskutek działania „punktu idealnego,” występuje, według autora, zjawisko życia *względnie* świadomego, następuje *stwarzanie* przestrzeni i czasu, tem samem nieskończoności i wieczności (str. 63). A ta świadomość znowu obejmuje tylko „doświadczenia, próby punktu idealnego, w celu zrozumienia własnego istnienia, ujawnionego tem działaniem, w celu zharmonizowania bytu we własnym wytworze.” Dalej samo działanie, dążność punktu idealnego, sprowadza się, według autora, do *woli*, która jest „chęcią osiągnięcia rezultatu w *doświadczeniu*” (str. 67). Nareszcie następuje apoteoza *snu* i *śmierci*, wraz z szeregiem określeń, przypominających Hartmanna filozofię *nieświadomego* (des Unbewussten), jak np. (str. 71): „Zjawisko *snu*—to konieczność twórczości ducha, to odwrotna strona (znak, dowód) tej twór-

czości, zawartej w nim, to odwrotna strona jego istnienia, zawartego w *nicości*, a jednak *stwarzającego*. Sen — to właściwe życie ducha, to wyprobowana już stanami świadomości *potęga wyobraźni*.“ A śmierć, to wyjście z dziedziny nieudatnych doświadczeń, narażających ducha na unicestwienie, a zatem to „zaprzeczenie unicestwieniu,“ to rozpoczęcie nowych doświadczeń „z odbłyskiem otrzymania lepszego rezultatu, harmonii, nie osiągniętej w tem życiu“ (str. 76 i nast.).

Z temi określeniami łączy autor kilka głębokomyślnych uwag o *cierpieniu*, *przyjemności* i *miłości* (str. 77 i nast.). *Cierpienie*, to „ujawniony sygnał, wzywający do dalszego pochodu, do otrzymania harmonii.“ „*Przyjemność*, to odwrotna strona cierpienia, to znak otrzymania rezultatu.“ A *miłość*, to „odbłysek otrzymanej harmonii.“

Przy tem jednak to wszystko odbywa się nie tylko w sferze świadomości. Istnieje zarazem i *bezwiedna* działalność duszy po-za stanami świadomości (str. 84 i nast.). Świadomość jest tylko wytworem i zarazem celem duszy. „Na jedno wyjdzie, jeśli duszę nazwiemy *dążnością*, a absolutną świadomość, harmonię, doskonałość—*celem*“ (str. 87). Nareszcie (str. 92) napotykamy i „bezwiedne, wrodzone, bezwzględne pragnienie zawsze czegoś doskonalszego, a ono objawia się mimowoli w stanach świadomości *fantazją*, owemi samorzutnemi porywami w czarowne krainy *prawdy*, *piękna* i *sprawiedliwości*.“ „Fantazja jest bezwzględnym wyrazem żywiołu *twórczego*“ (str. 94). Ona-to jednoczy, harmonizuje świadomą działalność ducha z niepostrzegalną, wytwór z istotą, *materyę z duchem* (str. 95). Tą perspektywą harmonijnego zjednoczenia materyi i ducha zamyka też p. Wiśniewski swój „pogląd filozoficzny.“

Gdyby wszystkie powyższe zdania odnosiły się wyłącznie do naszego jednostkowego bytu, gdyby miały znaczenie psychologiczne i zawierały pogląd na życie duchowe człowieka tylko, nie mieli-byśmy przeciwko nim nic do nadmienienia, jak chyba to jedynie, że bez potrzeby w jednym miejscu wprowadzają znowu sprzeczne w sobie pojęcie *nicości*. Ale u naszego autora zdania przytoczone mogą być wzięte zarazem i w znaczeniu *metafizycznym*, wszechświatowym, odnosząc się do „punktu idealnego,“ jako zasady wszechżycia. Autor twierdzi po prostu (str. 83), że „świat cały jest to zbiorowisko *atomów*, *jedności wyobrażających* i *pożądających*, *punktów idealnych*, różniących się li tylko stopniem doskonałości.“ Najdoskonalszym zaś objawem życia powszechnego jest, według autora, „myśl ludzka, przyobleczone w słowa.“ Mamy tu tedy przed sobą podniesienie treści i właściwości naszego jednostkowego ducha do wysokości czynnika wszechświatowego, bezwzględnego, albo raczej, mamy przed sobą zniesienie tego najwyższego czynnika wszechbytu, t. j. samego Boga, do poziomu ograniczonego bytu czło-

wieka. Z tego stanowiska należy sądzić, że, według autora, istota wszechbytu, podobnie, jak człowiek jednostkowy, dąży, robi doświadczenia, udatne i nieudatne, szuka spoczynku, spokoju, istnieje i żyje w stanach bezwiednych i, występując z nich na jaw, doznaje różnych pobudek do dalszych działań i ma wreszcie za cel harmonię materii i ducha, przy pomocy fantazyi, oraz absolutną świadomość. To znaczy, że istota wszechbytu tej harmonii i tej świadomości nie posiada jeszcze, lecz może ją dopiero kiedyś w przyszłości osiągnie, jako wynik „udatnych doświadczeń.“ To wszystko zaś były-by dowody poddania istoty wszechbytu, przyczyny, powołującej do życia jestestwa jednostkowe, ograniczone, pod prawa tychże jestestw ograniczonych, jak gdyby istota wszechbytu żyła i działała w tychże samych warunkach stopniowego rozwoju, jak te jestestwa jednostkowe, jak owe szczegółowe, ograniczone objawy samej potęgi twórczej. Czyż tutaj w tych kwestyach nie należy właśnie zastosować jak najściślej zasady krytycyzmu Kanta i przyznać, że pojęcia stopniowego rozwoju, doskonalenia się, straty i odzyskania świadomości i t. d. i t. d. są zaczerpnięte z *naszych podmiotowych* stosunków życiowych, a wskutek tego nie mogą być przypisywane samej istocie wszechbytu, jako leżącej po-za zakresem wszelkich cząstkowych objawów? Tu jest na miejscu wyraźne przyznanie się do ograniczoności naszego poznania, do tego, że istoty najwyższej, Boga, naszym pojęciem przeniknąć nie możemy, że, nie posiadając zdolności zrozumienia nawet nieskończoności świata, tej zewnętrznej formy, symbolu boskiego istnienia, tem bardziej nie jesteśmy zdolni pojąć jego nieskończonej treści wewnętrznej, jego istoty. Może być, że nasz autor nie zaprzeczy i temu zdaniu, gdyż, powtarzamy, tak się dwuznacznie wyraża, że mógł-by znaleźć wyjście wobec powyższych zarzutów, dowodząc, że Boga i tajemniczą jego istotę wyłączył ze swego rozumowania, a miał na oku tylko świat, jako objaw jego myśli, jako szereg „punktów idealnych“, wyłaniających się z jego ducha i dążących znowu przez stopniowy rozwój do harmonijnego z nim połączenia.

5. Pogląd na całość.

Przebiegliśmy treść książeczki p. Wiśniewskiego w ogólnych wprowadzie zarysach, ale uwzględniliśmy przytem każdą wydatniejszą myśl, dodając tu i owdzie w kwestyach szczegółowych nasze uwagi krytyczne. Obecnie, kończąc, musimy sobie i czytelnikowi zdać sprawę z wrażenia, jakie wywołuje całość pracy p. Wiśniewskiego. Najstosowniejszym zaś środkiem do takiego poglądu na całość i do oceny jej wartości, szczególnie w naszym rozwoju filozoficznym, będzie choć po-

bieżne porównanie tej pracy z „Syntezą dwóch światów“ Struvego, która jest ostatnim samodzielnym u nas wykładem ogólnego na świat poglądu i do której książka p. Wiśniewskiego, pomimo wielu cech odrębnych, zbliża się najbardziej pod względem tak treści, jak i formy.

Najwydatniejszą właściwością p. Wiśniewskiego przy tem porównaniu jest stanowisko przeważnie przyrodnicze i matematyczne, będące fundamentem jego poszukiwań filozoficznych, podczas gdy Struve przyjmuje za punkt wyjścia głównie dzieje filozofii i przedstawia swój pogląd na świat, jako konieczny wynik wspólnej pracy całej myślącej ludzkości. To też p. Wiśniewski daje nam przeważnie filozofię przyrody, t. j. uwzględnia prawie wyłącznie te zasady filozoficzne, które mogą doprowadzić do głębszego wyjaśnienia zjawisk świata fizycznego i z tego też stanowiska zwraca jedynie uwagę na objawy życia psychicznego. Struve, przeciwnie, ma na oku przede wszystkim rozwój wewnętrzny, umysłowy ludzkości i łączy swój pogląd na świat jak najściślej z rozbiorem kwestyi etycznych i społecznych. Stąd też pochodzi, że widnokrąg filozoficzny p. Wiśniewskiego jest znacznie szczuplejszy, aniżeli widnokrąg „Syntezy dwóch światów.“ Struve bowiem nie pomija kwestyi z zakresu filozofii natury, — traktuje szczególnie wyraźnie stosunek Boga do przyrody i ludzkości, — tymczasem etyka i historyzofia dla p. Wiśniewskiego prawie wcale nie istnieją. A ponieważ różność zdań wśród ludzi odnosi się bardziej do tych ostatnich nauk, aniżeli do przyrodoznawstwa, to poglądy p. Wiśniewskiego zapewne nie wywołają tak żywej opozycji ze strony przeciwnych kierunków myśli, jak poglądy Struvego, ale za to i nie oddziałają zapewne tak silnie na życie wewnętrzne i dążności filozoficzne swych zwolenników.

Tło przyrodnicze i matematyczne w książce p. Wiśniewskiego nadaje jego wywodom charakter przeważnie przedmiotowy, abstrakcyjny, podczas gdy Struve oddziaływa na czytelnika nie tylko naukowymi dowodami, lecz i podniosłym nastrojem ducha. Prawda, że i p. Wiśniewskiemu nie jest obcą poezja: z jego aforyzmów przemawia tu i owdzie głębsze uczucie; cytuje on też wyjątki z Mickiewicza. Ale wogóle przeważa w nim dyalektyka nad retoryką, sucha, zimna argumentacja nad ciepłem serdecznem. Przemawia on językiem przyrodnika i matematyka, nie zaś moralisty lub socjologa.

Pomimo szczuplejszego zakresu, w którym obraca się myśl p. Wiśniewskiego, wchłonęła ona w siebie jednak daleko więcej różnorodnych czynników filozoficznych i uwydatnia je wyraźniej, aniżeli to ma miejsce w filozofii Struvego. Ta sprowadza wszystkie sprzeczności do dwóch przeciwnych zasad idealizmu i realizmu, wkoło których grupują się poglądy spirytualizmu i materyalizmu, optymizmu i pesymizmu.

zmu, teizmu i naturalizmu. Struve rachuje się tylko z temi zasadniczymi prądami myśli ludzkiej i opiera swoją syntezę na ich krytyce, wykazującej, że w owych sprzecznych poglądach uwydatniają się różne strony bytu rzeczywistego, który sam w sobie jednoczy to wszystko, co w oderwaniu i rozłączeniu, częściowo tylko pojęte, daje powód do owych jednostronnych poglądów. Takie pojęcie syntetyczne wszechbytu napotykamy tylko w poglądzie p. Wiśniewskiego na świat zewnętrzny, jako na symbol, czyli *formę, wyrażającą głębszą treść duchową*, oraz w owej perspektywie harmonijnego zjednoczenia materii i ducha, którą p. Wiśniewski swą książkę zamyka. Pod temi względami zbliża się też nasz autor do Struvego; ale nadto występują w pracy jego przebłyski, napomknienia na wiele innych czynników, które się również przyczyniły do wyrobienia jego odrębnego *poglądu filozoficznego*. I tak, cała teoria poznania p. Wiśniewskiego opiera się zupełnie na subiektywizmie Kanta, z którym się łączą zaznaczone zarodki pozytywizmu Comte'a i nowokantyanizmu. W rozdrobnieniu istoty bytu na wielość *punktów idealnych*, czyli *dusz*, przeziiera jak najwyraźniej monadologia Leibniza i Herbarta. *Idea kierownicza* rozwoju świata przypomina Hegla. Określenie świata, jako *wyobrażenia*, i sprowadzenie ruchu do *dążności i woli*, zaczerpnięte są z terminologii Schopenhauera. Apoteoza *stanów bezwiednych*, jako też *smu i śmierci*, oraz wprowadzenie do tego wszystkiego pojęcia *nicości*, to reminiscencye z Hartmanna. Podniesienie zaś wyobraźni, *fantazji*, do wysokości czynnika wszechświatowego, jest myślą Schellinga, naszego Libelta, Frohschammera, a po części F. Langego. Nareszcie jest też mowa o Bogu i jego *absolutnej świadomości*, więc są i zarodki teizmu.

Przy wszelkiem uznaniu dla naszego autora, musimy wyznać, że wszystkie te czynniki filozoficzne, razem wzięte, nie tworzą jednak w jego poglądzie na świat organicznej całości. Ich zestawienie stało się możliwem jedynie wskutek nieświadomości autora, wskutek aforystycznych rzutów, omawiających wewnętrzne połączenie ich treści i dalsze z niej wywody. Związek pomiędzy wszystkimi temi czynnikami, wchodzącymi w skład poglądu p. Wiśniewskiego, jest bardzo luźny. Całość jest pięknym, zajmującym domkiem, lub nawet pałacikiem, ale pałacikiem karcianym, ustawionym z kartek, wyrwanych z książki dziejów filozofii. Kartki te opierają się wzajemnie o siebie wprawdzie bardzo zręcznie,—przyznać to należy,—trwałości jednak ta budowa myśli nie ma żadnej, gdyż brak jej wewnętrznego powiązania. Lada powiew surowszej krytyki rozwałby jej części składowe na wszystkie strony. Nie można bowiem powiedzieć, aby „pogląd filozoficzny“ p. Wiśniewskiego przeprowadzał konsekwentnie jedną zasadę we wszystkich kwestiach filozoficznych, aby był wynikiem zupełnie dojrzałej,

świadomej sobie myśli, zdającej sobie wszechstronnie sprawę z trudności, jakie pokonać należy przy rozwiązaniu najwyższych zagadnień filozofii. Już sama chwiejność autora w określeniu Boga i jego stosunku tak do przyrody, jak i do życia umysłowego ludzkości, wykazuje brak pewności siebie przy ostatecznem rozstrzygnięciu poruszonych kwestyi zasadniczych. Gdyby nie to, sam prąd wprowadzonej w ruch myśli zmusił-by autora do szerszego wykładu swych poglądów, do rozwinięcia i jednolitego powiązania treści podanych aforyzmów.

Z tem wszystkiem, przedstawiona treść pracy p. Wiśniewskiego, tak w szczegółach swoich, jak i w całości, daje nam zupełne prawo powitać w nim z radością nowego i zdolnego pracownika na zaniedbanej u nas niwie filozofii, myśliciela, rokującego na przyszłość, przy dalszem wszechstronnem wyrobieniu, jak najpiękniejsze nadzieje. Spodziewać się też należy, że p. Wiśniewski nie da nam zbyt długo czekać na ziszczenie się tych nadziei, lecz obdarzy nas wkrótce pracą obszerniejszą, uzupełniającą niniejszy pobieżny szkic jego filozofii.

FL. K. GĄSIOROWSKI.

PRZYSZŁA WOJNA

JEJ EKONOMICZNE PRZYCZYNY I SKUTKI. ¹⁾

ROZDZIAŁ XI.

Działa i pociski artyleryjskie.

W ciągu ostatnich lat dwudziestu, jak to wykazaliśmy w rozdziale poprzedzającym, broń palna ręczna była przedmiotem trzech podstawowych udoskonaleń, a mianowicie: zaprowadzono nabijanie z tyłu, zaopatrzone karabiny w magazyn i wreszcie zmniejszono kaliber czyli średnicę lufy i opatrzone kulę koszulką niklową lub stalową. Stąd trzykrotna powszechna przeróbka uzbrojenia piechoty, wyjąwszy te kraje, które, nie obawiając się ryzyka, że mogą być zaskoczone niespodzianie, wstrzymały się z przeróbkami częściowymi i zaoszczędziły sobie wydatków, ażeby potem za jednym zamachem przebiec od razu dwa ostatnie etapy na drodze udoskonaleń. Tego właśnie systematu, jak to wspomnieliśmy już wyżej, trzymano się w armii rosyjskiej.

W tymże czasie armaty polowe zmieniły się znacznie mniej. Główniejsze armie europejskie wprowadzały działa obecnie używane

¹⁾ Patrz zeszyt majowy.

w epokach niezbyt od siebie oddalonych i przy jednakowych założeniach, co do osiągnąć się mających skutków. Różnice przeto w działaniu armat w poszczególnych armiach były aż do ostatnich czasów bardzo nieznaczne. Dopiero wynalazek prochu bezdymnego zainaugurował epokę zmian, nie mniej radykalnych, jak przy broni palnej ręcznej.

I.

Działa i moździerz lądowe.

Z armat, używanych obecnie, interesują nas w tem miejscu przeważnie znajdujące zastosowanie w wojskach polowych, a mianowicie: armaty polowe i moździerze. Działa podobne służą do ostrzeliwania wojsk, a im ze znaczniejszej odległości skutecznym ogniem przeciwnika razić mogą, tem są naturalnie doskonalsze. W tym celu pożądaną jest jak największa szybkość początkowa, co się dało osiągnąć przez użycie bardzo silnego ładunku. Z tego względu armaty muszą mieć długi kanał i używać prochu palącego się wolniej, ażeby zbyt gwałtowne, odrazu powstające ciśnienie nie uszkodziło działa. Dłuższy czas palenia się prochu wywołuje ciągłejsze działanie ciśnienia w kanale, gwint zaś więcej kręty szybszą rotację pocisku.

Forma dział zbyt jest znaną, ażeby potrzeba było ją objaśniać.

Moździerze przeznaczone są do rzucania pocisków na przedmioty, znajdujące się za jakąś osłoną, a także do niszczenia polowych okopów—w tym celu są tak urządzone, że wyrzucają pocisk przy znacznym kącie podniesienia.

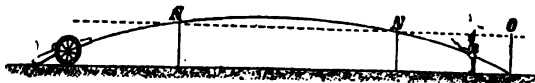
Wskutek tego, pocisk, przebiegając po krzywej, bardzo wypukłej linii, razi nieprzyjaciela lub przedmioty przy spadaniu. Strzał taki nazywa się strzałem nawisowym.

Moździerze zużywają mniej prochu, gdyż zwykle kanał bywa w nich krótszy, wynoszący zaledwie około $\frac{1}{3}$ części długości lufy armatniej.

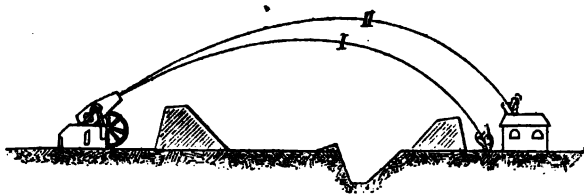
Dla lepszego uwidocznienia kardynalnej różnicy pomiędzy strzałami z dział i moździerzy, zwłaszcza przy oblężeniu fortec i zdobywaniu okopów, dajemy z dzieła pod tytułem: „Leitfaden für Unterricht in den Waffenlehre an den königlichen Kriegsschulen” (Berlin 1888) dwa poniższe rysunki.

Przy strzale armatnim chodzi o to, ażeby kula, po otrzymaniu wielkiej szybkości początkowej, przebiegając po krzywej, dostatecznie spłaszczonej, posiadała odpowiednią siłę uderzenia przy rażeniu przedmiotów, prostopadle stojących. Przy strzale moździerzowym rzecz się

ma inaczej. Pocisk wyrzucony zostaje z bliższych odległości i wznosi się tak wysoko, że przy spadaniu bardziej pionowem nabiera większej szybkości, a zatem i siły.



Strzał z armaty.



Strzał z moździerza.

Na rysunku pierwszym pokazany jest tor kuli armatniej, która razić może piechotę na przestrzeni żaznaczonej literami NO. Rysunek drugi wskazuje, jakim ma być tor pocisku moździerzowego, jeżeli chodzi o ugodzenie w przedmiot umieszczony po-za zakryciem (przy strzale I) lub o zniszczenie domu (przy strzale II).

Oprócz dział polowych i armat, używane będą kartaczownice i armaty szybko-strzelne, lecz ponieważ odgrywać będą one rolę drugorzędną, przeto zatrzymywać się nad nimi nie będziemy.

II.

P o c i s k i.

a) *Kule, bomby i granaty.*

Przebić na wylot silną przeszkodę, rozrzucić nasyp ziemny, lub zapalić budowlę drewnianą, można najłatwiej za pomocą wybuchu wewnątrz jednego lub drugiego; używa się do tego pewnej ilości prochu lub innego materiału eksplodującego, albo palnego. Do przebijania silnych przeszkód służą zwykle kule; są to pociski masywne, z lanego, szybko ostudzonego żelaza, lub też ze stali; dla wzmocnienia działania napełnione są wewnątrz materiałem wybuchowym, jak to pokazuje figura 1-sza. Dla innych, wyżej wskazanych celów służą pociski rozrywające („fugasowe”), napełnione prochem lub materiałem wybuchowym, stanowiącym *nabój rozrywający*. Pociski te, mają otwór w wierchołku

a, (jak w figurze 2-iej), lub w dnie, jak w figurze 3-iej, która przedstawia pocisk wydłużony o cienkich ścianach, by się w nim mieściło jak najwięcej materji wybuchowej.

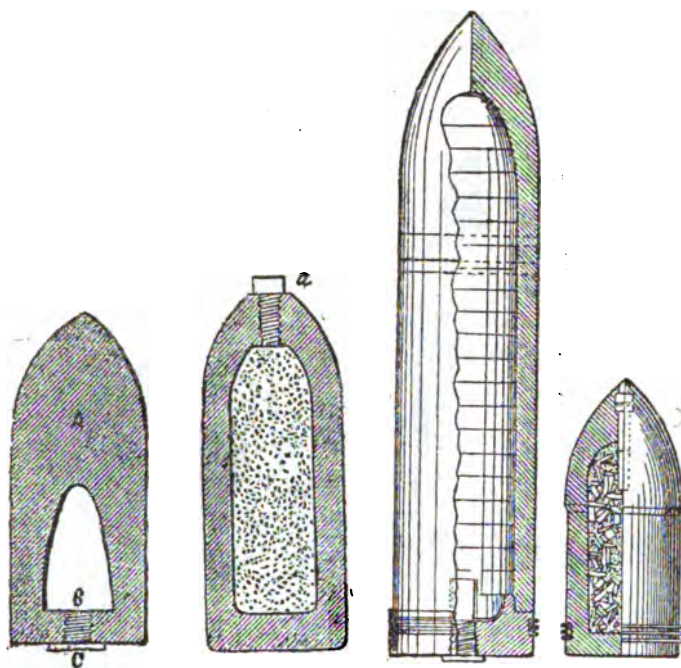


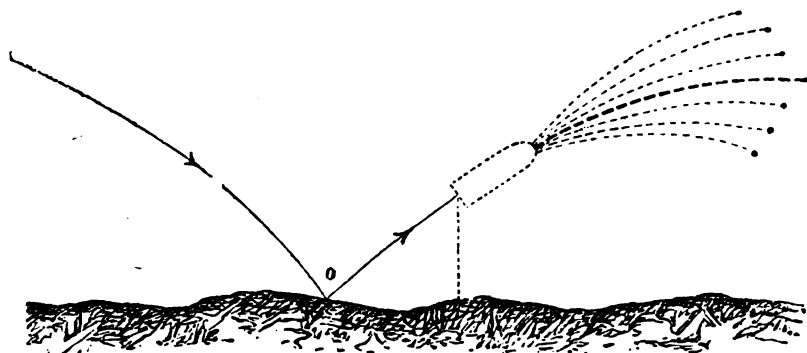
Fig. 1.

Fig. 2.

Fig. 3.

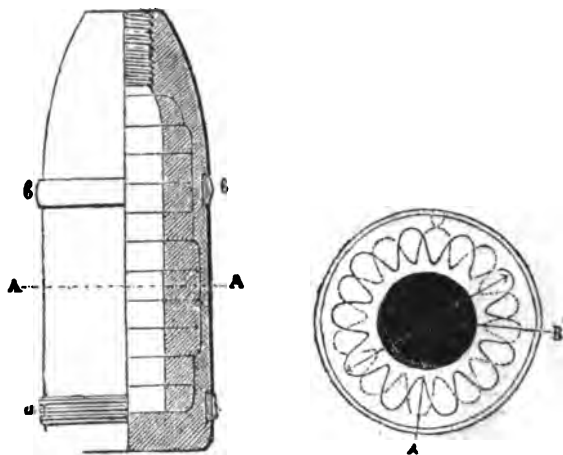
Fig. 4.

W otworze tym mieści się rurka z substancją, zapalającą się przy uderzeniu pocisku o przeszkodę. Ogień dostaje się do naboju rozrywającego i wywołuje wybuch, który rozrywa sam pocisk i rozbija wał ziemny albo zapala budowlę. Oczywiście, że jeżeli taki pocisk pęknie po odbiciu się od powierzchni ziemi, to może nadto razić i czerpami, na które się rozpryskuje, jak to pokazuje następująca rycina.



Pociski podobne nazywają się *granatami*, jeżeli mają mniej niż pud wagi, a *bombami*, jeżeli waga ich wynosi pud lub więcej ¹⁾).

Z pomiędzy rozmaitych typów granatów podajemy na poniższym rysunku jeden, bardzo często używany, który składa się z zewnętrznego korpusu z otworem dla zapалу i z wewnętrznych pierścieni, ułożonych jeden na drugim. W środku zostaje próżnia, którą wypełnia proch lub inny materiał wybuchowy, mający rozerwać granat.



Różnego rodzaju udoskonalenia w konstrukcyi granatów niezmieennie wzmocniły ich działanie i skuteczność.

Langlois daje następujące zestawienia porównawcze ²⁾:

W r. 1870 granaty rozpryskiwały się, stosownie do typów, na 19 do 30 czerepów: obecnie zaś minimum stanowi 27, a maximum 240 czerepów. Stąd wniosek, że dziś liczba morderczych czerepów granatu 9-centymetrowego jest 8 razy większą od liczby czerepów, pochodzącej z najcięższych granatów z roku 1870. Ponieważ zaś odległość, na której granaty mogą razić, powiększyła się przynajmniej o 700 metrów, przeto skutki będą daleko niebezpieczniejsze, niż w r. 1870.

b) Szrapnele i kartacze.

Rażenie pociskami wojska osiąga się najlepiej przez niewielkie czerepy i kule, rozpryskujące się na wszystkie strony, czyli przez

¹⁾ Budajewski. „Kurs artyleryi.”

²⁾ „Artillerie de campagne.” Paris, 1892.

t. zw. kartaczowe działanie pocisku. Granaty i bomby, jako rozpryskujące się na niezbyt wielką ilość czerepów, nie wywołują silnego działania kartaczowego. Do takiego celu służą więc specjalne pociski, mianowicie *szrapnele* dla działania na odległościach dalszych i *kartacze* dla działania na przestrzeni około 750 kroków.

Szrapnele i kartacze bywają najrozmaitszych typów. Dla przykładu dajemy dwa typy szrapneli (figury 1. 2), oraz jednego kartacza (figura 3-cia).

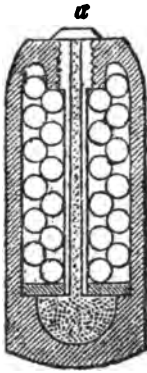


Fig. 1.



Fig. 2.

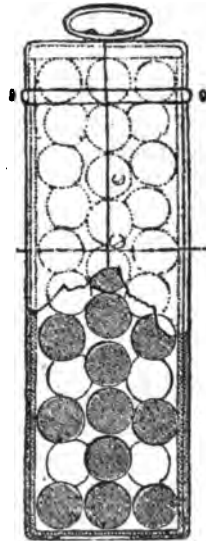


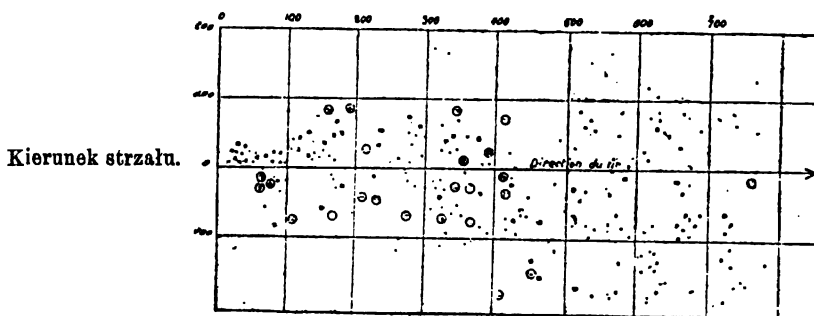
Fig. 3.

Ilość kul i czerepów, na które rozrywa się szrapnel, w rozmaitych armiach bywa rozmaita. Tak francuskie pociski mniejszego kalibru (80 mm.) rozpryskują się na 182 czerepy, niemieckie (78 mm.) na 160—165, włoskie (70 mm.) na 109 czerepów. Pociski z armat większego kalibru, francuskie (90 mm.) na 237, niemieckie (88 mm.) na 260, rosyjskie (108 mm.) na 340, włoskie (90 mm.) na 176 czerepów. Zauważyć należy, że w dziele profesora Wieliczko znajduje się wzmianka o szrapnelach napełnionych 1500 kulami, które wyrzucać będzie można z armat 21 centymetrowych; spotykamy tam też i moździerz o podobnych rozmiarach, które zawierają 1700 kul—przyrządy te wyszły z fabryki Kruppa.

Tak więc szrapnele te, nie licząc czerepów, zawierały-by w sobie 5 do 6 razy więcej kul, aniżeli te, które dotychczas były znane.

Szrapnel, pękając przed celem na pewnej wysokości, razi go uderzeniami czerepów i kul.

Rysunek niżej zamieszczony pokazuje nam rozproszenie strzału szrapnelowego, dokonanego w Calais w r. 1879 na piasku brzegu morskiego z armaty 9-centymetrowej, przy wybuchu, spowodowanym przez uderzenie o ziemię z odległości 2,500 metrów ¹⁾, przyczem każda kratka oznacza 100 metrów.



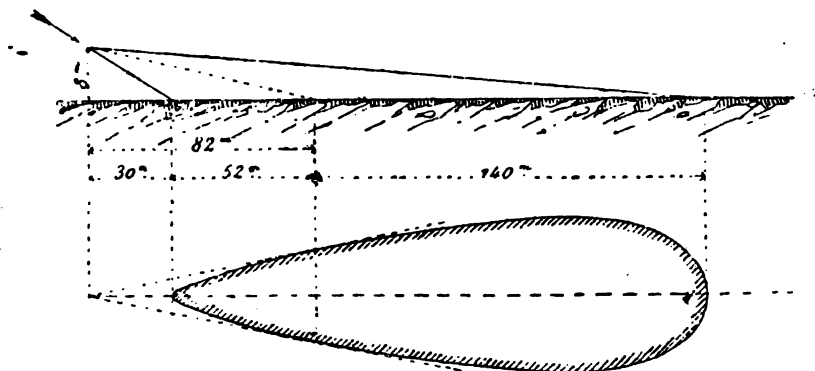
Widzimy stąd, że strzał rozpryskuje się blisko na 800 metrów wzdłuż, wszcz zaś blisko na 400. Jeżeli porachujemy kwadraty, na które padła dość znaczna część czerepów, to otrzymamy liczbę 20, czyli szrapnel rozproszył się na przestrzeni 200,000 metrów kwadratowych, t. j. na przestrzeni $\frac{1}{3}$ wiorsty kwadratowej, czyli na pasie mającym prawie $\frac{2}{3}$ wiorsty długości i więcej niż $\frac{1}{3}$ wiorsty szerokości.

Lecz od owego czasu zmieniły się okoliczności; do napełniania granatów i szrapneli używają obecnie melinitu i bawełny strzelniczej, zamiast prochu. Otóż wedle doświadczeń niemieckich ilość cząsteczek, na które rozpryskują się pociski z użyciem melinitu i bawełny strzelniczej, niezmiernie wzrosła. Jeden i ten sam pocisk, nabity prochem, pękał na 37 kawałków, nabity zaś bawełną strzelniczą na 800. Bomba z surowca, ważąca 37 kilogramów, nabita prochem, rozrywała się na 42 części, nabita bawełną strzelniczą—na 1,204.

Nieco jaśniejszy obraz otrzymamy, jeżeli przedstawimy zgrupowanie kul i czerepów, oraz lot ich, pochodzący ze szrapneli, wypuszczonych na 2,000 metrów.

¹⁾ Omega. „L'art de combattre.”

Rycina, wyjęta z wykładu pułkownika Marcillon ¹⁾, daje nam o tem dokładniejsze pojęcie.



Widzimy, że szrapnel zaczął razić dopiero po przebiegu 30 metrów od miejsca wybuchu; na przestrzeni 52 metrów ilość cząstek stosunkowo jest nieznaczna, dopiero następnie na przestrzeni 140 metrów długości liczba czerepów w całej rozciągłości spełnia swoje przeznaczenie.

c) *Pociski nowe.*

Dla uzupełnienia dodać musimy, że w armii, tak jak i dawniej, używane będą kartacze i cały szereg nowych przyrządów, podobnego do nich rodzaju, o bardzo skutecznem działaniu, ale tylko na bliższe odległości.

Nadto, ponieważ zwrócono pilną uwagę na pociski, wzniecające pożar, jako najodpowiedniejsze dla wyrugowania piechoty, ukrywającej się w zabudowaniach, przeto we wszystkich armiach obecnie je niezmiernie ulepszono, w porównaniu z dawnymi „brandkuglami”, specjalnie przeznaczonemi do rozniecania pożarów. Ale postępy te są trzymane w tajemnicy.

Wreszcie, jak komunikują specjalne pisma niemieckie, Francuzi wynaleźli t. zw. „Syreny” lub „Granaty wyjące”, które, przerysując powietrze, dzięki specjalnym urządzeniom, mają wydawać jakieś straszliwe świsty, w celu przerażenia i szerzenia paniki wśród nieprzyjaciela; zwłaszcza świst ten ma doprowadzać konie do istotnego szalu.

¹⁾ „Modifications à apporter à la tactique de l'artillerie.”

Pewien Francuz, niejaki Rouger, wynalazł proch, ochrzczony przezeń szumnym tytułem „Revanche”, który używa się do nabijania specjalnie w tym celu przeznaczonych bomb. Taka bomba, wybuchając przed baterią lub linią tyralierów nieprzyjacielskich, zasłania im zupełnie widok, przyczem ten nagle wznoszący się słup dymu ma szerokości 20, a wysokości 10 metrów z jednej bomby, a pół kilogramu takiej mieszaniny płonie, a zatem i dymi, w ciągu 10 minut. Pułkownik angielskiej artylerii morskiej, niejaki Creose, również wynalazł proch, wydający dym niezmiernie gęsty, jak to okazały doświadczenia, dokonane w obecności cesarza niemieckiego w czasie jego ostatniego pobytu w Anglii. Wynalazca obmyślił papierowe gilzy, długie na 18 a grube na 2 cale, wypełnione płynem, który płonie, dymiąc niezmiernie. Takie to gilzy tyralierzy poprostu mają ręką rzucać przed siebie i pod osłoną dymu posuwają się stopniowo ku punktom zamierzonym.

Wobec małej doniosłości takich pocisków niniejszą krótką wzmianka jest dla naszego celu wystarczającą, podczas gdy odnośnie do granatów i szrapneli przedstawić musimy szczegół bardzo skomplikowany, a mianowicie urządzenie przyrządów do wywoływania wybuchów, t. j. tak zw. zapalów, z których ulepszeniem wzrosła razem tak znacznie potęga artylerii.

III.

Funkcjonowanie zapalów przy pociskach.

W dawnych czasach strzelano z armat kulami masywnymi. Taki pocisk przy strzale z odległości nieco dalszych uderzał o ziemię, rykoszetował i zabijał wszystko, cokolwiek żywego napotkał na drodze. Lecz działanie to było tylko na bardzo małej przestrzeni.

Zaczęto więc strzelać bombami, t. j. pociskami próżnymi, wewnątrz napełnionymi prochem.

Ażeby wywołać wybuch, do bomby wstawiano lont i zapalano go na chwilę przed wyrzuceniem bomby z moździerza. Lont, tłąc się ciągle, dochodził wreszcie do wewnętrznego ładunku prochu, zapalał go i sprawiał przez to wybuch pocisku, który rozlatywał się w kawałki.

Rozumie się samo przez się, że lont jest środkiem bardzo pierwotnym, i że wnet zastąpiono go środkami lepiej udoskonalonemi.

Przyrządy do eksplozy pocisków (fusées) odpowiednio do swego urządzenia i przeznaczenia bywają trojaki: a) *zapaly perkusyjne*, wybuchające wtedy, gdy pocisk natrafia na dostateczny opór zewnętrzny,

ewentualnie więc po uderzeniu i odbiciu się o ziemię, działo, wał i t. p.; b) *zapały, działające w określonym czasie*, skutkiem czego pocisk pęka w locie w oznaczonej odległości (przyczem odległość zależną jest naturalnie od czasu, potrzebnego do zakomunikowania iskry wewnętrznemu nabojewi); c) *zapały o dwojakim działaniu*, t. j. wybuchające wskutek uderzenia i w określonym czasie.

Rzecz prosta, że odpowiednie funkcjonowanie zapalnika zależnem jest nie tylko od jego kompozycji, ale także od technicznego wykonania szczegółów.

Konstrukcja i działanie przyrządów do eksplozji pocisków należy do najtrudniejszych zadań artylerji.

Rysunki fig. 1 i 2 wyjęte z „Revue Encyclopédique”, fig. zaś 3-cia z „Réglement sur le service des bouches à feu”, przedstawiają mianowicie przyrządy, które wywołują eksplozję pocisku w określonym czasie.

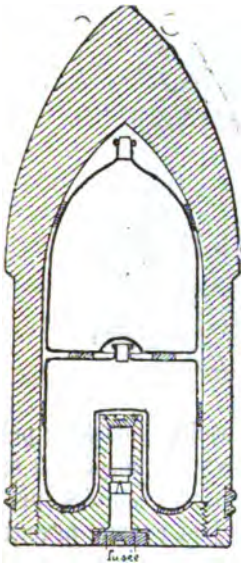


Fig. 1.

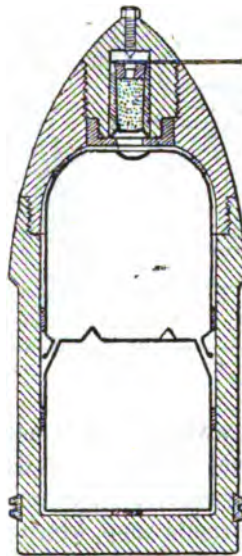


Fig. 2.

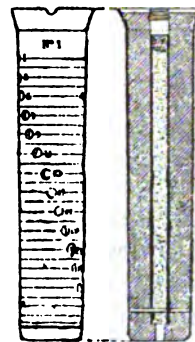


Fig. 3.

Zajmiemy się objaśnieniem tylko figury 3-ej, jako typu najprostszej konstrukcji.

Otwory porobione w nierównych odległościach wskazują punkta, w które musi przeniknąć zapal, ażeby wywołać wybuch po upływie 1-ej, 3-ch, 5-ciu i t. d. sekund.

Gdy następuje wystrzał, gazy prochowe zapalają lont z kłaków, ogień dostaje się do kanału, a przez niego do substancji wybuchowej,

i z chwilą, kiedy dochodzi do miejsca, gdzie się komunikuje z nabojem pocisku, zapala go.

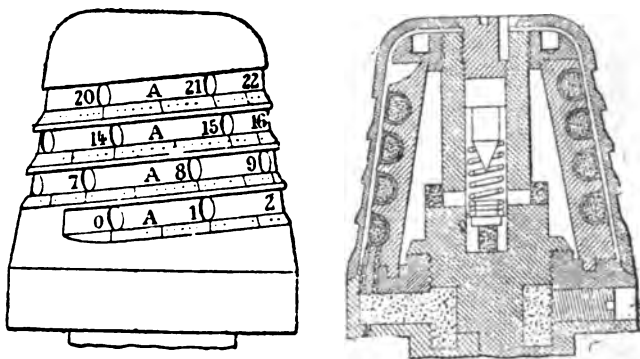
Stąd pociski z tego rodzaju zapalem (fusée fusante) nazywają również przyrządami do eksplozyi, obliczonej na dystans.

Ażeby się posłużyć takim zapalem, potrzebną jest poprzedzająca operacja przebicia rurki i to się nazywa „odetkaniem otworu” (de boucher l'event).

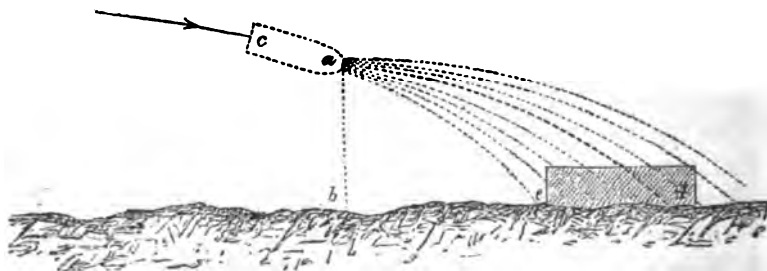
Są inne jeszcze przyrządy tego rodzaju, lecz bardziej skomplikowane.

Rozumie się samo przez się, że każda operacja nastawienia i ucięcia lontu, lub przebicia otworu, wymaga pewnego czasu i pewnych ostrożności.

Rysunek zapalu o dwojakim działaniu, t. j. wybuchającego wskutek uderzenia i w określonym czasie, podajemy poniżej z dzieła Langlois p. t. „L'artillerie de campagne.”



Jeżeli wszystko prawidłowo dokonaniem zostało, pocisk *ca* pęka w powietrzu na określonej odległości od działa, zwanej *odległością wybuchu*, i na określonej wysokości *ab*, zwanej *wysokością wybuchu*, przy czem kule lub czerepy formują snop, którego oś *ad* jest prawie przedłużeniem toru pocisku.



Jeżeli *ed* uważać będziemy za szeregi wojsk, wówczas z powyższego jasno sobie wyobrazić, jaką doniosłość odgrywa prawidłowy kierunek strzału. Pomyłka o kilka milimetrów w długości palenia może wywołać wybuch na 30, 40 lub 50 metrów przed lub po-za punktem, do którego się celowało.

Dość jest, aby omyłka była tylko trochę większa, a strzał straci połowę swej wartości, albo chybi zupełnie.

IV.

Porównanie strzałów armatnich z karabinowemi.

Właściwą miarą dla pocisków armatnich, jak i dla kul karabinowych, może być rozciągłość toru zagrażającego, t. j. takiego, kiedy pocisk leci na wysokości człowieka. Otóż rozciągłość zagrażającego toru dla pocisku armatniego, puszczonego z odległości 1,800 m., wynosi 24 metry, podczas gdy dla kuli karabinowej tylko 5 m., co odpowiada przestrzeni zagrożonej dla pocisków armatnich, puszczonych z odległości 4,500 metrów.

A zatem wystrzały działowe mają daleko większe prawdopodobieństwo trafienia, a stąd wynika, że strzały karabinowe wymagają daleko ściślejszego celowania i ściślejszej regulacji strzałów.

Taka wyższość celności strzałów armatnich nad karabinowemi dziwić nas nie powinna.

Generał Puzyrewski powiada ¹⁾:

„Bombardyerowi, zakrytemu w części armatą, wystarcza chwila zimnej krwi, ażeby dobrze wycelować; niezależnie od tętna pulsu, przy odrobinie silnej woli, jest on w możności skierować dobrze wystrzał; wzrok go mało omyli, a skierowane działo pozostanie bez ruchu aż do chwili wystrzału.

„Żołnierz piechoty, tak samo jak artylerzysta, jest zdolny przy dobrej chęci mierzyć należycie, jednak wzburzona krew, oraz system nerwowy nie dają mu trzymać strzelby nieruchomie; gdyby nawet karabin był wsparty o cośkolwiek, pewna jego część w każdym razie zależeć będzie od wzruszenia strzelca. Prócz tego, *ostatni instynktownie śpieszy wystrzelić; zdaje mu się, iż jego pocisk może powstrzymać w drodze kulę przeciwnika, dlań przeznaczoną*. Jeżeli wymiana strzałów jest energiczna, ta myśl niejasna, w umyśle niezbyt świadoma, z całą siłą, z całą mocą instynktu samoobrony, panuje nawet nad najmężniejszym

¹⁾ „Warunki boju.“ Warszawa 1893.

i najsilniejszym żołnierzem, który wtedy strzela na wiatr; większość przytem nie opiera strzelby o ramię."

Langlois dla zaillustrowania celności obecnych dział francuskich przytacza przykład następujący: „Wyobraźmy sobie, że bateria ma za zadanie zrobić w murze wysokim na 2 metry wyłom szerokości 20 metrów. Otóż zadanie to działa nowego systemu (90 mil.) mogą wykonać w ciągu $\frac{1}{2}$ godziny, przyczem największe odchylenia w górę lub w dół nie przewyższają 1.10 m., podczas gdy dla dział dawniejszych były one 3 razy większe, bo przenosiły 6 metrów. Stąd i prawdopodobieństwo dobrego skutku dla każdego nowego strzału wynosi 0.30, podczas gdy dla dawnego tylko 0.10."

Jeżeli wierzyć, że ani jeden z trzymanyh dotąd w sekrecie środków, mających na celu powiększenie donośności i celności dział, nie osiągnął skutków, to i w takim razie, według obliczeń Langlois, na zasadzie danych, wyjętych z praktyki dzisiejszej, w ostatecznym rezultacie obecnie działa razić będą armię nieprzyjacielską w otwartem polu, przy tej samej ilości wyrzuconych pocisków, z siłą pięć razy większą, niż w r. 1870. A ponieważ dziś armata wyrzucić może w tym samym czasie $2\frac{1}{2}$ —3 razy więcej pocisków niż dawniej, zatem działanie artylerji od roku 1870 spotężniało co najmniej 12—15 razy.

Co się tyczy donośności dział, na mocy praktyki z 1870 roku wyrobiło się przekonanie, że strzały z niemieckich dział polowych były skuteczne z odległości 2,400 metrów, decydujące zaś z odległości 1,500. Obecnie sfera skutecznego działania artylerji powiększyła się przynajmniej o 700 metrów.

Tak więc morderczość pocisków działowych, sięgających obecnie dalej i rażących 8 razy potężniej, będzie zupełnie inna niż w r. 1870.

W stosunku do wzmożenia się potęgi działania artylerji, powiększono też i zapas amunicji. Obecnie każda bateria niemiecka posiada 8, francuska 9, rossyjska 12 jaszczyków. Zatem połowa bateria niemiecka może dać 808 wystrzałów w czasie bitwy, francuska 852, rossyjska 900. Wszakże i taką ilość strzałów uważają dziś za niedostateczną, i np. w armji niemieckiej postulatem jest posiadanie na każdą baterję 1,290 nabojęw. ¹⁾

Lecz czy sztuka wojenna wypowiedziała ostatnie już słowo, i czy wojna nie okaże jakich niespodzianek?—można-by o tem powątpiewać. Raczej rzecz się ma przeciwnie, jak to wykazać nam wypadnie nieco później przy opisanju działania artylerji.

¹⁾ Löbell. „Militärische Jahresberichte für 1891.“ Str. 376.

ROZDZIAŁ XII

S z a n c e i o k o p y .

Straszliwe powiększenie morderczości ognia karabinowego i działowego wysunęło na plan pierwszy konieczność szukania osłony przed ogniem nieprzyjacielskim. W armii francuskiej robiono próby z zasłonami ruchomymi, które żołnierze atakujący nieść mieli przed sobą. Próby te wszakże podobno nie dały oczekiwanych rezultatów.

Jeżeli mamy wierzyć pismom, dla armii belgijskiej budują podobno zasłony, odpowiadające dobrze swemu przeznaczeniu, lecz w innych armiach zaniechano tej myśli, już to dlatego, że kule przebijają pancerze, już z tego powodu, że zastosowanie tarcz zanadto utrudniałoby marsze i ułatwiałoby nieprzyjacielowi rażenie pociskami artyleryjskimi.

Pogłoski o materyach na ubranie, tak wyrabianych, że kule przez nie przechodzić nie będą, z przyczyn, które wyłożyliśmy w rozdziale o broni, również do nieprawdopodobieństw zaliczyć należy.

Natomiast, ponieważ plac boju rzadko kiedy przedstawiać będzie równinę gładką, zwrócono całą uwagę na przynuczanie wojska do korzystania z osłon naturalnych, które się mogą nadarzyć w danej miejscowości, a więc z załamek i nierówności gruntu, z lasów, zarośli, budynków i t. p. Wrazie zaś braku onych wznoszone będą sztuczne osłony z ziemi, śniegu i t. p.

Autorowie wojskowi przewidują, że okopywanie się wojsk będzie tak częste, iż place boju w przyszłości staną się podobne do olbrzymich kretowisk. Każdy oddział na polu walki szukać będzie osłony bądź po-za naturalnymi nierównościami gruntu, bądź po-za nasypami sztucznymi. Okop na lądzie stał się tak samo niezbędnym, jak pancerz na morzu.

Lecz z okopami stało się to samo, co z pancerzami.

Podobnie, jak w miarę zwiększania grubości pancerzy okrętowych budowano coraz to nowe pociski, coraz skuteczniej działające, a w miarę zaprowadzania i udoskonalania torped zmieniono system ataku, tak samo dzieć się będzie i z okopami.

Kwestya ataku i obrony okopów w przyszłej wojnie będzie, bądź co bądź, odgrywać rolę bardzo poważną, przytem wskutek udoskonalenia narzędzi walki, śmiało powiedzieć można, iż okopy w przyszłej wojnie, aczkolwiek znane już od czasów najdawniejszych, a od czasu

wynalazku prochu dość często używane, stanowiąc będą czynnik jakby nowy.

Zanim więc będziemy mogli przystąpić do przedstawienia działań rozmaitych rodzajów broni, a więc artylerji, kawalerji i piechoty na placu boju, musimy jeszcze, dla lepszego zrozumienia, rozpatrzeć kwestję budowy szańców i okopów polnych.

Jest nadto jeszcze jedna okoliczność, skłaniająca nas do bliższego rozważenia kwestji okopów. Mianowicie, jak to wykażemy następnie, kraj nasz będzie prawdopodobnie głównym teatrem wojny, a więc i głównym siedliskiem oszańcowań. Każde zaś oszańcowanie stanowić będzie, że się tak wyrazimy, ognisko, dokoła którego wojska podążać będą, a tem samem wokoło którego sprowadzać będą zniszczenie.

I.

Doniosłość ochrony za pomocą szańców.

System szukania ochrony po-za wałami, powtarzamy, nie jest nowym. Lecz szczególnie niezwykle dotkliwe straty, poniesione przez armję austriacką w kampanii 1866 r. (prowadzonej z karabinami nabijanemi przez lufę przeciwko iglicówkom), skłoniły obie armie, wojujące w r. 1870 bronią nabijaną z tyłu, do częstego korzystania z fortyfikacji polowych.

Przekonano się, że każde przykrycie z ziemi w wysokim stopniu zabezpiecza ukrytego po-za niem żołnierza od strzałów karabinowych, a nawet i od armatnich ¹⁾).

Co się tyczy oporu przeciwko działaniom artylerji, wydaje się to na pozór nieprawdopodobnem, ażeby jakaś kupa piasku mogła chronić żołnierza od rozpryskujących się pocisków, ale nieprawdopodobieństwo to, jak wykazuje tylokrotnie przez nas cytowany Langlois ²⁾), jest jedynie następstwem niedokładnego zrozumienia istotnej

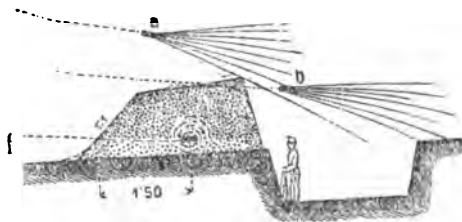
¹⁾ Według „Nastawienia dla wojskowego okopu dieła“, grubość zasłony, wystarczająca dla stawienia oporu kulom karabinowym, wynosi:

Piasek	1	arszyn czyli	71 centimetrów
Ziemia torfowa i błotnista	2	„ „	142 „
Śnieg udeptany	2 ¹ / ₃	„ „	178 „
Drzewo	1	„ i 4	do 7 wersz. czyli 89 do 102 cent.
Mur	³ / ₄	„	czyli 53 centymetry.

²⁾ „L'artillerie de campagne“. Paris 1892.

potęgi i skuteczności ognia armatniego. Zachodzą tu albowiem zupełnie specjalne warunki.

Wykazaliśmy już, że obecnie na większe odległości artylerya dla rażenia przeciwnika używa przedewszystkiem szrapneli; ten zaś rodzaj pocisków, rozpryskujących się na mnóstwo czerepów i cząstek, posiada bardzo niewielką zdolność przebijania przeszkód. To też nawet niezbyt potężny wał ziemny nie przepuszcza kul szrapnelowych i w zupełności chroni żołnierzy, o ile naturalnie ci nie wysuwają się żadną częścią ciała po-za parapet. Strzelec, ukryty w przekopie, jeżeli nie wystawia głowy nad profil wału, jest zupełnie prawie, jak to pokazuje niżej pomieszczony rysunek, zabezpieczony od kul i czerepów pocisku, pękającego w powietrzu; mogą go chyba dosięgnąć czerepy rykoszetujące, lub jakieś wyjątkowe odłamy.



Dlatego też dla ochrony od szrapneli najzupełniej wystarczają szanice o grubościach, wyżej wskazanych dla kul karabinowych.

Natomiast dla ochrony od granatów artyleryi polowej potrzebne są większe grubości okopów ¹⁾.

Stąd wynika, że artylerya polowa nie może wyrządzić zbyt wielkich szkód wojskom, ukrytym za odpowiednio usypanymi wałami; tylko może zmusić do nieruchomości zupełnej załogę szaniców, ponieważ żołnierz, chcąc strzelać prawidłowo, wychylić musi głowę i część piersi, naraża się więc przez to na niebezpieczeństwo.

Jednakże potrzeba takiego narażenia się nastąpi dopiero wówczas, gdy nieprzyjaciel zbliży się do szaniców, a zatem z odległości mniej więcej 1000 metrów.

¹⁾ Piasek	4	arsz. czyli 2.84 metry
Ziemia torfowa i błotnista	5 1/2	„ „ 3.91 „
Śnieg udeptany	11	„ „ 7.82 „
Mur przy niedługim ostrzeliwaniu	1 1/2	„ „ 1.07 „

Obrońcy pierwszej linii szańców od chwili zbliżającego się ataku siedzą spokojnie za wałem w rowie, czasem, jak w armii niemieckiej, usunięci zupełnie w tył, szukając schronienia, jak to czynili turcy podczas wojny 1877/8 r., w przekopach, zajmując reduty tylko wtedy, kiedy już zbliżała się piechota do ataku.

Oddziały posiłkowe są cofnięte jeszcze dalej w tył; zamaskowane nierównościami gruntu i w pozycji leżącej, są one wystawione na bardzo małe niebezpieczeństwo zranienia, wskutek niepodobieństwa oznaczenia ich właściwej pozycji przez przeciwnika, i stąd niemożliwości odpowiedniego zregulowania strzałów; wreszcie rezerwy, specjalnie przeznaczone do wzmocnienia załogi danego szanca, jeszcze dalej cofnięte, jeszcze mniej dostrzegalne, a zatem jeszcze mniej wystawione na niebezpieczeństwo. Oto szyk bojowy załogi.

Co może w rzeczy samej dostrzegać artylerya atakująca dla zorientowania się przy strzelaniu? Być może, iż widzi samą linię okopów, jeżeli ta nie jest dobrze zamaskowana darnią, gałęziami lub innymi sposobami, następnie kilka punktów czarnych, wychylających się, to znów znikających za parapetem (tak się z daleka przedstawiają sylwetki oficerów, śledzących ruchy nieprzyjacielskie), dalej mniej lub więcej rozległy teren i nic nadto. Wszystko zaś to przedstawia cel bardzo nieokreślony, i dlatego zbytńia żywość ognia i zbyt szczodre szafowanie strzałami armatnimi na niepewne jest w takich okolicznościach daremną prawie stratą.

Później, gdy, wobec groźnych dla szańców ruchów piechoty atakującej, załoga zajmuje wał, przywołuje posiłki, a nawet gdy wstępuje do boju część rezerw i stara się gęstym ogniem powstrzymać atakującego, gdy wobec tego z konieczności przy strzelaniu załoga zmuszona będzie wychylać się, wówczas dopiero żywy ogień działowy mógłby wyrządzić ogromne szkody, gdyby artylerya miała swobodę działania.

II.

Technika sypania szańców.

Każda prawie na zwyczajnym, a zatem nieskalistym i niezamarzłym, gruncie pozycja może być umocniona i oszańcowana, albo zawczasu, gdy broniący się ma możność odpowiedniego przygotowania się, lub też na prędkę, gdy między chwilą zajęcia pozycji a początkiem boju upływa czasu zbyt mało dla usypania prawidłowych okopów, lub też gdy chodzi o umocnienie świeżo zdobytego na nieprzyjacielu stanowiska, w przewidywaniu możliwych ataków celem odebrania jego.

W pierwszym wypadku wysokie i prawidłowe oszańcowania wznoszą i nasypują specjalnie wykwalifikowane oddziały saperów. Przypuśćmy, że wojska ruskie miały-by zamiar cofnąć się z pewnej przestrzeni lewego brzegu Wisły, aż do chwili ściągnięcia sił dostatecznych dla zmiany stanowiska obronnego na zaczepne. W takim wypadku, posiadając na razie słabsze siły, mogły-by sobie natomiast przygotować teatr wojny przy pomocy szanów w miejscowościach dla siebie korzystnych, gdzieś pomiędzy granicą i pierwszą linią obronną Wisły. Wymierzywszy odległości każdego punktu przyszłych placów boju, co, jak wiemy, daje ogromną przewagę strzelającemu, i znając wszelkie warunki miejscowe, miały-by szansę zatrzymać na czas pewien przeciwnika i rzucić mu straty stosunkowo bardzo znaczne. Ignorować i wyminąć takich punktów obronnych nieprzyjacieli nie może, gdyż narażałby się na odcięcie komunikacji.

Jeżeli miejscowość pozwala, to najnowsza taktyka radzi wznosić liczne, jedno po za drugim leżące, zasłony ziemne; pierwsza linia zupełnie werżnięta w grunt; druga—od 50 do 100 metrów po za pierwszą, na-wpół już wzniesiona; trzecia linia formuje już wał wzniesiony całkowicie i znowu znajduje się o 50 do 100 metrów po-za linią drugą. W ten sposób można osiągnąć piętrowy ogień obronny ¹⁾. Leczą takie okopy stanowią już rodzaj fortyfikacji.

Daleko bardziej interesujące i ważne dla naszego zadania jest rozejrzenie się w sposobach budowania, ataku i obrony oszańcowań lżejszych, improwizowanych na prędko.

Obecnie wszystkie bez wyjątku armie zaopatrzone są w dostateczną ilość narzędzi do robót ziemnych.

Jeżeli pozostaje na pewno więcej niż trzy kwadransy czasu dla oszańcowania się, a dowódca uznał jego potrzebę, wówczas wznoszą się okopy, z po-za których żołnierz może strzelać kłęcząc, lub nawet stojąc.

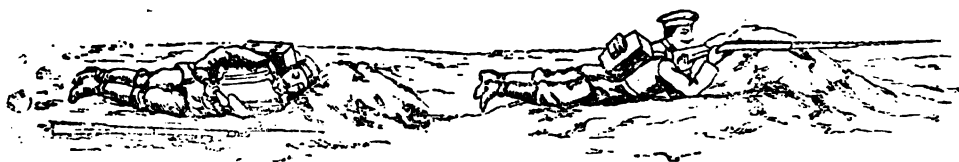
Jeżeli czasu swobodnego określić nie podobna, wówczas wojsko przystępuje do wznoszenia okopów w taki sposób, ażeby w razie ataku można było stawić opór w każdej chwili; w tym celu okop—zrazu słaby—wzmacnia się i pogłębia stopniowo.

¹⁾ „Travaux de champ de bataille“ 1891.

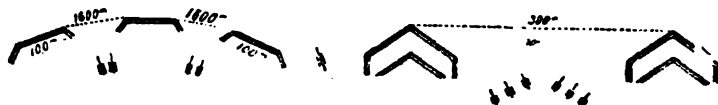
Rycina poniższa ¹⁾ ilustruje właśnie takie stopniowe wznoszenie okopu w porządku oznaczonym cyframi rzymskimi.



Pod ogniem nieprzyjacielskim wystawia się inny rodzaj, jeszcze prostszych zasłon. Figury, zamieszczone poniżej, 'pokazują nam' żołnierza, kopiącego w pozycji leżącej, a następnie, po wyrzuceniu dostatecznej ilości ziemi, chwytającego leżący na ziemi karabin i dającego strzały.



Zewnętrzna forma okopów bywa rozmaita. Najczęściej używane są: *luneta* w formie kąta, lub pół-reduta, osłaniająca z przodu i z boków której zarys przedstawia rycina poniższa, objaśniająca zarazem sposób ustawiania artylerii w przerwach pomiędzy okopami.



Ażeby dać wyobrażenie o rozległości okopów, dość będzie powiedzieć, że linia ogniowa jednej reduty, pobudowanej dla kompanii piechoty, wynosi zwykle 140 metrów.

III.

Umiejętność sypania i korzystania z szanców.

Rozumie się, iż ażeby mieć zasłonę skuteczną, należy zachować wskazaną powyżej dostateczną grubość wałów i ścian, wznoszonych z ziemi, torfu, śniegu lub muru.

¹⁾ Wyjęta z dzieła p. t. „Manuel des travaux des campagnes“.

Nadto, wobec nader często wydarzającej się potrzeby szybkiego wznoszenia szańców, niemałe ma znaczenie umiejętność żołnierza i jego uzdolnienie do robót ziemnych. Jeżeli rydel, łopata, mogą sparyalizować skutki działania najdoskonalszej broni, to oczywiście ten, kto zdoła lepiej używać w polu tych narzędzi odporu, będzie miał znaczną nad przeciwnikiem przewagę.

Jako szczególnie do robót ziemnych uzdolnionych wymieniają włochoń, używanych w całej Europie przy budowie kolei ¹⁾. Zdaje się wszakże, że żołnierz russki który złożył tak świetne dowody swej umiejętności i wytrzymałości przy kopaniu i obronie szańców pod Sebastopolem, nie ustępuje pod tym względem włochołom.

W wojnie 1878 roku niedostatecznie skorzystano z doświadczenia wojen poprzednich i nie uwzględniono w armii ruskiej tych niepospolitych korzyści, jakie starać się należy osiągnąć w walce z pozycyi, wzmacnianych szańcami i okopami; lecz wina nie była tu po stronie wykonawców. Pod Plewną, w oddziale generała Skobieleva, było tylko 35 saperów bez oficera inżynierii. Piechota rуска nie miała wcale małych łopatek, tylko wielkie, tak niepraktyczne narzędzia szanćowe, że—jak się skarżył Skobielew 12 września—zawsze je porzucano, a na pozycjach zdobytych trzeba było wybierać ziemię statkami kuchennemi. Generał Kuropatkin w znakomitem swem dziele doniosłość strat, które poniosła armia rуска, przypisuje właśnie brakowi narzędzi do wznoszenia szańców i okopów.

Lecz daleko większe znaczenie mieć będzie kierownictwo robotami.

Z przykładów wyżej podanych czytelnik łatwo zrozumie, jak ogromną doniosłość przy wznoszeniu okopów ma wybór odpowiedniego miejsca. Jeżeli przekopy dla strzelców, zbudowane prawidłowo i urządzone odpowiednio do charakteru miejscowości, mają niepospolite znaczenie odporne, to przekop, poprowadzony niefortunnie, wysunięty lub cofnięty po-za linię właściwą, t. j. zasłon naturalnych, może się stać nietylko nieprzydatnym, ale wprost szkodliwym, bądź tamując działanie innych pozycji, bądź pozwalając nieprzyjacielowi na skryte podejście, bądź wreszcie dopuszczając do skoncentrowania ognia nieprzyjacielskiego.

Tak więc na odpowiedzialności wodzów spoczywać będzie w przyszłej wojnie: natychmiastowe skorzystanie z naturalnych pozycji odpornych, szybkie ich obsadzenie i umocnienie przez energiczne

¹⁾ „Travaux de champ de bataille“ 1891.

wzniesienie oszańcowañ na naleŹycie 'wybranych głównych punktach pozycji. Potrzeba do tego jeszcze większej niż w przeszłości umiejętności szybkiego oryentowania się, stanowczego rzutu oka, objęcia pola bitwy, krótkiej dyspozycji i szybkiego wykonania.

Przypuszczać można, iż we wszystkich armiach europejskich wyższe stopnie wojskowe, otrzymując wykształcenie specjalne, posiadać będą te zalety w jednakowym prawie stopniu. W niższych warstwach natomiast temi wszystkimi przymiotami i zaletami będą naturalnie odznaczały się te jednostki, które w życiu codziennem nabyły większej wprawy do pracy intelektualnej i rozwinęły w sobie zdolność kombinacyjną. Jest to jedyny powód, wykazujący coraz większe zapotrzebowanie inteligencji w sztuce wojskowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN BLOCH.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Dr Bolesław Ulanowski. „Trzy broszury prawne z r. 1607 i 1612.” Kraków 1893,
(str. 67).*

Akademia Umiejętności wydaje już ósmnasty tomik, poświęcony przedrukowi rzadkich broszur z XVI i XVII stulecia. Pierwszy p. Stanisław Ptaszycki rozpoczął w r. 1889 seryjny przedruk od wydania broszurki p. t. „Fortuny i cnoty różność, w historii o młodzińcu ukazana“ (r. 1524); bieżący zaś rok ujrzał trzy rzadkie broszury z XVII wieku, wydane staraniem d-ra Bolesława Ulanowskiego.

We wstępie wydawca objaśnia: że wczesnemu rozwojowi życia parlamentarnego w Polsce towarzyszyły nieudatne zabiegi szlachty, zmierzające do ujednolinitenia i skodyfikowania prawa ziemskiego. W XV w. domagano się od sądów, ażeby się pilnie trzymały statutów Kazimierza W-go, a od króla, ażeby dostateczną liczbę egzemplarzy tych statutów pod pieczęcią monarszą przygotować i zarazem rozesłać kazał. Życzeniu temu szlachty stało się zadość przez wydrukowanie statutów ziemskich, których dwie edycje ukazały się przed rokiem 1490. Była to pierwsza próba dostarczenia sądom i społeczeństwu zbioru najważniejszych, w zastosowaniu będących, ustaw.

W XVI wieku prace kodyfikacyjne przybierają o wiele poważniejsze rozmiary. Statut Łaskiego nie był wprawdzie jeszcze kodyfikacją, ale ułatwiał niezmiernie zapoznanie się z zabytkami prawnymi.

Konstytucje sejmowe z czasów dwóch ostatnich Jagiellonów obfitują w postanowienia, mające na celu skodyfikowanie prawa materialnego i processowego, oraz zebranie partykularnych zwyczajów, przestrzeganych w poszczególnych województwach.—Owoce tych usiłowań było kilka obszerniejszych ustaw, dotyczących przewodu sądowego, oraz szeregu projektów, z których pierwszym i najznakomitszym jest korektura z r. 1532, dalszemi — zbiory Przyłuskiego i Herburta.

Z objęciem rządów przez Zygmunta III, korektura prawa staje znowu na porządku dziennym obrad sejmowych. Uchwała sejmu Warszawskiego z r. 1589 wywołuje projekta Sarnickiego i Januszowskiego, oba nieprzyjęte; a wskutek tego konstytucja z r. 1601 uważa znowu korekturę praw jako kwestyę otwartą, z którą jak najrychlej należy się załatwić. Sprawa ta jednak pozostaje nie załatwioną, mimo usilnych starań sejmów z r. 1608 i 1609, a sejm warszawski z r. 1611 zajmuje się już tylko reformą postępcu prawnego i poleca wydrukowanie projektu, przedstawionego przez Jana Swoszowskiego. W związku niewątpliwie z postanowieniem sejmowem z r. 1601 pozostaje Promptuarium Szczerbicza, ogłoszone w r. 1604, tak jak Compendium Zawackiego, wydrukowane w r. 1614, ale ułożone już w r. 1609, zawdzięcza niezawodnie swoje powstanie konstytucji z tego samego roku.

Równocześnie kiedy tyłu doświadczonych prawników próbowało swych sił w redagowaniu projektów ustawodawczych, obejmujących całokształt prawa ziemskiego, inni, a między nimi wielu stojących poza gronem jurystów zawodowych, na mniejsze rozmiary starali się przyczynić do rozwiązania trudnej kwestyi korektury prawa i procesu. Pojawiały się więc broszury nawołujące do postanowienia tego lub owego sejmu i poświęcone bądź omówieniu szczegółowych punktów, bądź zawierające ogólniejsze wskazówki co do sposobu, w jaki należałoby poprawić lub zmienić obowiązujące przepisy prawne. Wartość tych broszur, zdaniem d-ra Ulanowskiego, nierówna, ale pomijać ich niepodobna, bo w niejednej z nich tkwi zdrowa myśl, a razem wzięte pozwalają nam uzmysłwić sobie poglądy szerszych warstw społeczeństwa na współczesne stosunki prawne i polityczne, oraz ocenić przyczyny, dla których sprawa kodyfikacyi tak leniwo postępowała naprzód.

Przytem broszury te, prawie wszystkie, należą do największych rzadkości bibliograficznych i przedrukowanie najważniejszych da dopiero możność bliższego zapoznania się z tą zaniedbaną dotychczas gałęzią naszej literatury prawniczej. Powyższe a niezaprzeczenie ważne względy skłoniły też d-ra Ulanowskiego do wydania trzech rzadkich broszur prawniczych, w których treści pokrótce się rozejrzymy.

Pierwsza broszura księdza Podkańskiego, wydana w Krakowie w r. 1607, nosi tytuł następujący: „Wizerunek korektury prawa ziemskiego z pisania statutu językiem polskim, ukrócenia postępku prawnego od inscriptiones, wynalezienia uiszczenia prędkiego rzeczy osądzoney, podług konstitucyey anni 1589 et 1601 wydany i spisany.“ W przedmowie do wszystkich stanów oświadcza ks. Podkański, że, uważając praw koronnych wielkość i różność w dochodzeniu sprawiedliwości, w postępku prawnym ad inscriptiones niepotrzebne zwłoki, w uiszczeniu zaś rzeczy osądzonej nierychłą egzekucyę, kilka lat na tem strawił, ciężkiej pracy i ochrony zdrowia nie żałowawszy, aby za łaską bożą, wielkość praw w małość, trudność w łatwość, przedłużenie postępku ad inscriptiones w krótkość, uiszczenie rzeczy osądzonej w prędkość zebrać.

W części pierwszej, traktującej o osobach Królestwa Polskiego, pierwsze miejsce poświęcono królowi, bo „Król J. M. jest naprzędniejszą głową. Majestat zaś jego, dwojakim stanem ludzi, duchownym i świeckim, ozdobiony, jasnie świeci. Zaznaczając, że król ma być w Warszawie na sejmie na wysoki stolec królowania obran i że król sam ani successora mianować, ani kogo per cessionem na Królestwo wsadzić może, ks. Podkański przytacza przysięgę królewską, w której znajduje się drażliwy ustęp: „A jeślibym (czego Boże uchowaj) w czym przysięgę moją zgwałcił, żadnego mi obywatela koronni wszystkich państw, któregożkolwiek narodu, posłuszeństwa nie będą czynić powinni, owszem samym uczynkiem one od wszelakiej wiary i posłuszeństwa królowi powinnego, wolnym czynię i rozgrzeszenia żadnego od tej mojej przysięgi od nikogo prosić nie będę i z chęci ofiarowanego nie przyjmę.

Następnie wylicza ks. Podkański postanowienia trzech pierwszych interregnów, oraz treść pactów konwentów i dawniejsze konfederacye. W rzędzie tych: 1) Confoederatio abo kaptur poznański 1352: przeciw królowi nie powstawać, między sobą zgodę chować. 2) Kaptur radomski 1382: praw koronnych, dóbr kościelnych sub interregnis bronić. 3) Nowomiejski 1439: nieporządki koronne w rezę wprowadzić. 4) Korczyński 1458: przeciwko heretykom i nieposłusznym praw ziemskich pod wiarą i czią powstawać. 5) Krakowski 1572: przeciwko gwałtownikom, najeźdźnikom, łupieżcom, swawolnikom majątności duchownych i świeckich osób, kościołów, oponować się, — i wtenczas zreasumowano kaptur korczyński. 6) Confoederatio warszawska 1573, et 1575 et 1587: między rozróżnionymi w nabożeństwie zgodę chować.

Ważnem jest, co ks. Podkański przytacza o artykule ze strony wypowiedzenia królowi posłuszeństwa, który tak za Stefana w Krakowie 1576 r. objaśniono: Posłuszeństwo wtenczas ma być wypowiedzia-

ne, kiedy-by Król J. M., chcąc wiedzieć, prawa, wolności, przez moc uciskał abo przez wzgardę w wątpliwości przywodził, i to wtenczas, kiedy-by napomnienie senatorskie miejsca u Króla J. M. nie miało; a roku 1607 tak to deklarowano: gdzie-by z jawnego a przedsięwziętego uczynku, prawa król gwałcił abo kto nad prawo i wolność uciskany był i to-by się w rzeczy mogło pokazać, tedy to każdemu z senatorem ziemie swej wolno komunikować, a ten J. M. X. arcybiskupowi powieścić ma, który abo sam, abo z drugimi senatorami Króla J. M. i sukcesory jego ma w tym upomnieć, a Król J. M., gdyby się wykroczenie pokazało, poprawę uczynić ma, która gdyby się nie stała, z innymi senatorami ma powtórzyć, a nakoniec, jeśliby potrzeba była, na stany to na sejmie włożyć, gdzie jeśliby król słusznej przyczyny nie dał i za instancjami nic uczynić nie chciał, dopiero stany według artykułu *de non praestanda oboedientia* sprawować się mają.

Do innych osób zalicza ks. Podkański stan dwojaki: duchowny i świecki. Świecki stan jest jeden senatorski i pod sobą zawiera elekcyę rad koronnych, rozdawanie dostojęństw, starostw, urzędów i powinności tych dygnitarstw; drugi rycerski, i ten o szlacheństwie, majątnościach, wolnościach wszystkie statuty w sobie ma, a pod tymi stany jest prosty stan ludzi poddanych tych, i tu o miastach, wsiach, szkołystwach, młynach, mieszczanach, handlach, knieciach, chłopach, żydach, cyganach *dissero*.

Druga broszura, także w r. 1607 w Krakowie wydana, nosi tytuł: „Sposób podający drogę do Korrektury prawa, a zatym do sprawiedliwości y pokoju w koronie polskiej, prawie według ludzi bogobojnych y spokojnych, zwierciadło cnót, przez szlacheica polskiego napisany.“ Ku końcowi przydano o Rokoszu y o Constitucyach przeszłego seymu.

Artykuł VI rzeczonej broszury proponuje rzecz następującą: Dygnitarze dobrze aby każde województwo obierało natenczas, kiedy deputaty obierają, a Król J. M. niech-by aprobował ze czterech elektów kandydatów jednego. A miał-by dygnitarz obierany być w leciech namniej we czterdziestu, gdyż takowi, a nie dzieci, stołki senatorskie zasiadać mają. Artykuł zaś VII przepisuje: starostę sądowego miałyby obierać powiaty, każdy swego, tak jako ziemski urząd i podkomorzego obierają, Król J. M. ma aprobować ze czterech jednego. A żeby rozsądek płochy w nim nie był, tedy na taki urząd namniej we trzydziestu lat trzeba człowieka, nie dzieci, jakowi się teraz znajdują. A mieliby też być dostatni dla czynienia egzekucyi. A starości *tanquam brachio regali* Król J. M. *tanquam caput*, egzekucyą pomagać ma mocą i obroną swą. Wreszcie Artykuł VIII proponuje: aby w obieraniu posłów ziemskich nie patrzeć, że wielki pan, żeby tylko był mądry a cnotliwy, nie bardzo stary, nie młodzik też, nie pijany, nie dłużny,

nie łakomy, skromny, Pana Boga się bojący i stateczny a nie prokurator. Bo panowie tylko deputatami i posłami stawają się dla swych prywat i faworów ludzkich i wczasów swych radzi przestrzegają, dekreta czynią według upodobania jakie komu chcą, a słabszy deputaci nie śmia im się sprzeciwić. A prokuratorskie rzemiosło jeszcze z młodu konsciencyą traci.

Charakterystycznym jest przydatek o rokoszu i konstytucjach przeszłego seymu, zamieszczony na końcu powyższej broszury. Czytamy w nim co następuje: O rokoszu wspomnieć się też tu zdało który moim zdaniem jest potrzebny w koronie polskiej i przewisko jego podoba mi się; dobrze przodkowi naszemu ten tytuł mu dali: rokosz, który ma i potomstwu naszemu zostać przykładem przodków naszych, nie takim, jaki teraz jest. Bo przodkowie naszy ostatnią ucieczkę zostawili sobie do rokoszu: aby rokosz uczynić na złe panny, króla, senatory, którzy nie chcieli-by przysiędze swej dosyć uczynić, na prośby i napominania sejmowe, także panów posłów koronnych i W. X. Lit. zgodne nie chcieli dbać i w uporze swym trwali-by. Ale teraz nie mając żadnej przyczyny na Króla Pana naszego miłościwego, uczyniwszy go winnym u siebie, nie u wszystkich, na rokosz zawołali i sami go odprawowali, bez jedności i zgody, bo ich większa część przyłączyła się do Króla J. Mości, widząc go wszelakiemi cnoty przyozdobionego.

Gdyby byli ci, co na rokosz wołali, poprawy chcieli, a bardziej w sobie, niż w panu i w panu byłaby tego potrzeba, tedy-by był bardzo sławny i dobry rokosz; ale iż odmiany chcieli a nie poprawy, zły ich zamiysł był. Barzo się nam wszystkim ten rokosz naprzykrzył i odechce się go na potym, kiedy tak nie poprawy w nas samych, ale poprawy niedostatku swego jeden na drugim przez najazdy i wydzierstwa patrzeć będzie; gdyż pod pretekstem rokoszu i poprawy wielkie się pogorszenie dzieje: miasto wspólnego ratowania jeden drugiego wylupiwszy, do domu odwozi; rozboje, wydzierstwa, mordowania braci swej, miast zniszczania, wsi spustoszenia, co dalej to większe czynią, z nas i majątności naszych się spanoszywszy i zuchwaliwszy, nasze wojują, niszczą, plondrują, jako Tatarzy, abo Turcy, tak iż żaden kraj tak w koronie jako y w W. X. Lit. w pokoju wysiedzieć się nie może.

Trzecia broszura, napisana przez Jędrzeja Suskiego w r. 1612, a przypisana Mikołajowi Spytkowi Ligęzie z Bobrka, nosi tytuł „Declaratia statutów koronnych o rozdawaniu dygnitarstw kościelnych y Benefycyi.“ Z broszury powyższej dowiadujemy się, co zresztą było powszechnie wiadomem: że w kościele katolickim nie patrzą, aby na arcybiskupstwo gnieźnieńskie nie mógł wstępować tylko wielki Polak, abo na biskupstwo krakowskie tylko krakowianin, by tylko był szlach-

cic, a godny na to miejsce człowiek, i choć Król J. M. da z innego województwa albo ziemie biskupa i duchowną osobę, tedy nie dzieje się w tym żadne praeiudicium albo derogacya prawu.

Od Suskiego dowiadujemy się: jako Polska nasza inter scriptores ma piękne nazwisko swe *virgo inviolata*. A to z tej przyczyny, że zawsze sobie była wolna, a nigdy od żadnego narodu ani państwa mocą wzięta, tak jako się działo inszym nacyom i napotężniejszym królestwom, Syryej, Persyjej, Grecyjej, Indyjej i nam przyległym krajom, Hiszpanyej, Francyjej, Anglyjej, Węgrom, Niemcom, a nawet i samemu Rzymowi, który oprócz innych ludzi i od naszych przodków Gotów i Wandalów był wzięty i długo trzymany. Ale jest jeszcze i coś większego z czego Polska może być *virgo inviolata* nazwana i że żadnego narodu, i kąta na świecie nie było, z którego-by herezyarcha jaki nie wyszedł, tylko z Polski nie.

Z Egiptu wyszedł przeklęty Aryusz, od którego Aryani, z Persyjej wyszedł chytry Manes, od którego Manihei i z Arabiej wyszedł sprosny Mahomet, od którego Mahometani, którzy Greci opanowali, i z Afryki albo z Hiszpaniej wyszedł hardy Donatus od którego Donatistae, i z Rzymu wyszedł nadęty mnich Pelagius, od którego Pelagiani, i stamtąd Novatianus łakomy kapłan, od którego Novatiani, z Francyjej wyszedł Berengarius, od którego Berengariani; z Czech wyszedł Jan Us, od którego usitae; z Niemiec rozpustny mnich Marcin Luter, od którego Luterani a z nim pospołu Erasmus Rotterdamus, o którym powiedziano: aut Erasmus luterisat aut Luterus erasmisat. Po nich bezbożny Kalwin, od którego Calvinistae, i inszych ejusdem farinae ludzi ze wszystkich narodów wyszło i teraz wychodzą. W samej tylko Polsce za osobliwą łaską bożą do tego czasu żaden herezyarcha nie znalazł się taki, któryby miał nową sektę wymyślić i przemianek jej dać od siebie.

Wszystkie trzy broszury, przedrukowane starannie i objaśnione należycie przez d-ra Ulanowskiego, mają niezaprzeczoną wartość dla nauk politycznych w dawnej Polsce. Znać w nich wyraźnie rozkładowy wpływ elekcyi na pojęcia prawa państwowego, a przydatek o rokoszu jest bardzo charakterystycznym i ciekawym. — Autor owej broszury wiedział bardzo szczegółowo o tem, do jakich smutnych rezultatów doprowadził rokosz Zebrzydowskiego, oraz nie tajno mu było, że stał się prawdziwym biczem Bożym dla całego kraju, a jednak nie chciał się rozstać z urojeniem i najoczywistszem przywidzeniem jakiegoś idealnego rokoszu, który miał być rodzajem sądu na króle, pany, senatory, a zarazem najskuteczniejszą gwarancją konstytucyi R-tej. W naiwny sposób tłumaczy autor rzeczonych Przydatków o Rokoszu nieudanie się Rokoszu Zebrzydowskiego. Niewinność Zygmunta III i brak jedno-

ści wśród rokoszanów były powodem, że poprawa zamierzona przeistoczyła się w łupiestwo i odmęt. Żywił też nadzieję, że mogą być rokosze, które przyniosą błogosławione owoce dla kraju.

Istnieje jeszcze krótka, bo zaledwie dwukartkowa broszurka, która-by stanowiła dopełnienie odpowiednie do trzech broszur przedrukowanych przez d-ra Ulanowskiego. Nosi ona tytuł: „Comparatio Rokoszu z Conjuracją“ i nie ma daty wydania. Odróżnia w niej niewiadomy autor rokosz od konjuracji, czyli od spisku wojskowego, i zasadnicze między obu związkami przeprowadza różnice, mając większe względy dla pierwszego niż dla drugiego. Konfederacya Lwowska z r. 1622, przedrukowana przez Turowskiego, utrzymywała, że kupa swawolnych żołnierzy, powróciwszy z wojny moskiewskiej, zawiązała konfederacyę. Otóż Comparatio Rokoszu z Conjuracją odróżnia te dwa związki ze stanowiska prawa państwowego i wykazuje, o ile konjuracya była szkodliwszą od Rokoszu. Autor nie zachwyca się jednak obu związkami, o czym się najlepiej przekonywamy z wiersza, który się na końcu tej krótkiej a cennej broszurki znajduje. Przytoczę tylko oryginalniejszą zwrotkę:

Rokoszowi zdechła żona,
Temeritas pierwsze ona,
Pod Guzowem pogrzebiona.

Wdowiec ten osierociał
Nie był tak barzo zuchwał,
Kiedy mu się plagi dały.

Udał się w Moskiewską stronę,
Nalazł sobie inną żonę,
Konjuracyą — matronę.

Dopieroż będzie szalony,
Panowie, zbawcie go żony,
Niech z nią będzie pogrzebiony.

W końcu przedruków dr Ulanowski zamieścił słowniczek wyrazów, używanych w trzech broszurach. Przytaczam tylko jeden, mający znaczenie dla prawa państwowego, a mianowicie: interrex zwano bezkrólem. Nadmienię wreszcie winienem, że zarówno przedrukiem, jak i starannemi objaśnieniami, oddał pr. Ulanowski literaturze naszej prawniczej rzetelną usługę.

Ptaszycki. „W sprawie wydań i komentarzy litewskiego statutu.” Studium historyczno-bibliograficzne. Petersburg, 1893. Str. 78.

Praca p. Ptaszyckiego wywołaną została twierdzeniem prof. Berszadzkiego, dowodzącem, że jedynym oficjalnym tekstem statutu litewskiego, uznanym przez władze państwowe dawnej Rzeczypospolitej, był tekst rurski, wydrukowany w r. 1588 u Mamonieza. W dalszym ciągu swej rozprawy, poświęconej prawu sukcesyjnemu podług statutu litewskiego, prof. Berszadskij utrzymuje, że władza prawodawcza w Polsce w r. 1569 złożoną była w rękach sejmu a nie króla i prawa stanowione były wyłącznie przez sejm i tylko przez sejm, a w końcu utrzymuje prof. Berszadskij, że w Polsce w r. 1569 nie istniał żaden zbiór praw obowiązujących, albowiem statut, opracowany przez kanclerza Łaskiego za panowania Aleksandra, nie otrzymał sankcyi sejmowej i z tego powodu nie może być uważanym za źródło prawa.

Rozbiorowi tych trzech zakwestyonowanych historyczno-prawnych pytań poświęca p. Ptaszycki swą pracę, którą cechuje gruntowne obznajomienie się z przedmiotem i wykład jasny oraz logiczny. Przedewszystkiem p. Ptaszycki doszedł, i to bardzo słusznie, do przekonania, że konstytucye sejmowe uchwalane były nietylko przez sejm, i pominięcie zupełne królewskiej władzy nigdy nie miało miejsca. Konstytucya z r. 1505 orzekła jedynie, że król na przyszłość nie będzie wydawał żadnych nowych postanowień bez zgody senatu i ziemskich posłów. Sejm zaś w r. 1588 postanowił, że konstytucye na sejmie mają być podpisane przez pany senatory na to deputowane, także przez te osoby, które będą z koła poselskiego na to naznaczone, potem winny być w przytomności królewskiej czytane, cum interrogatione przez pany pieczętarze: jeśli-że My (król) i panowie rady i posłowie pieczętować każemy.

Następnie p. Ptaszycki przypomina, że w r. 1506 wydany został statut Łaskiego. Wydanie powyższe, zawierające zbiór dawniejszych praw polskich, uchwalonych i przyjętych przez króla, senat i sejm, uskutecznione zostało za poradą, zgodą i na wyraźne żądanie (de consilio, scientia et unanimi voluntate), wszystkich senatorów, posłów, a w dodatku zatwierdzone było przez króla na sejmie radomskim. Prócz tego uchwalono, aby egzemplarz powyższego wydania przechowywane były w skarbcu królewskim, a urzędowy charakter wydania zachowywano z taką skrupulatną ścisłością, że egzemplarze rozsyłane były z pieczęcią królewską, co za Aleksandra, odnośnie do innych konstytucyi, czyniono tylko z jednym urzędowym egzemplarzem.

W Litwie w r. 1566 wydany został statut, znany pod nazwą drugiego. Zatwierdzenie i opublikowanie powyższego statutu nastąpiło na mocy uchwały sejmów litewskich i zgody królewskiej. W roku jednak 1569 Litwa, skutkiem unii, miała jedynie wspólne z Koroną sejmy. Za Stefana Batorego, poczynwszy od r. 1581, podnoszono kilkakrotnie myśl poprawienia statutu litewskiego. Na sejmie r. 1587 przedstawiono poprawiony statut, ale nie został rozpatrzony. Sejm następnego roku nie zatwierdził go również i jedynie król rozkazał tekst poprawiony w polskim i russkim języku jednocześnie wydrukować. Sapieha pozyskał przywileje monarsze na drukowanie statutu i rozpoczął od russkiego tekstu, ale wydrukowane egzemplarze nie miały urzędowego charakteru, jak statuta Łaskiego, i nie wychodziły bynajmniej z państwową pieczęcią. W roku 1614 pojawiło się wydanie statutu w polskim języku, ale tłumacz oświadcza i radzi tym, którym się jego przekład nie podobał, aby się posługiwali russkim tekstem. Wydanie jednak wydrukowane zostało z rozkazu kanclerza Sapiehy i cieszyło się tą samą powagą, co i russki tekst. W roku 1619 ukazało się już drugie polskie wydanie, na mocy tychże samych królewskich dekretów, co i poprzednie. W roku zaś 1647 sejm postanowił przedrukować statut litewski i, mocą konstytucyi z tegoż roku, król dał przywilej na przedrukowanie Elertowi w Warszawie.

Ze stanowiska formalnego zatem wydanie statutu litewskiego r. 1647 było oficjalnem, a w wydaniu powyższem nietylko przedrukowany został statut, ale i wszystkie uzupełniające go konstytucye aż do r. 1647. Prof. Berszadskij utrzymuje, że obowiązującego znaczenia przedruk owych konstytucyi nie miał, albowiem został dokonany bez uchwały specjalnej sejmowej, a wyłącznie na żądanie króla. P. Ptaszycki słusznie prostuje podobnie mylny pogląd, wykazując, iż sejm nigdy na publikowanie konstytucyi nie dawał specjalnego pozwolenia, lecz odpowiedni rozkaz w imieniu królewskiem dawali kanclerze i oni dźwignęli całą odpowiedzialność za wydrukowanie nie uchwalonej konstytucyi. Gdyby zaś wydanie z r. 1647 zamieszcilo cokolwiek nielegalnego, niewątpliwie protestacye objawiły-by się na następnych sejmach. Tymczasem protestacyi żadnych nie było i przez lat 50 posługiwaly się sądy litewskie wydaniem z r. 1647.

Poczynwszy też od 1588 aż do 1647 r., nigdy na Litwie nie powstała żadna wątpliwość, nadająca lub odejmująca któremu z wydań statutu charakter urzędowy. Kwestye też, podniesione przez prof. Berszadskiego, nietylko że zostały przez niego mylnie objaśnione, ale w dodatku mają czysto akademicką wartość.

Miedzy innemi utrzymuje również prof. Berszadskij, że konstytucye sejmowe, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, obowiązywały

tylko wówczas w obrębie W. X. Litewskiego, gdy o tem była wyraźna wzmianka w tekście samejże konstytucyi. P. Ptaszycki dowodzi, że rzecz się miała wprost przeciwnie, albowiem od unii 1569 r. uchwały sejmowe obowiązywały wszystkie prowincye R-tej, chyba że konstytucya zastrzegała wyraźnie, że siła jej obowiązująca nie rozciąga się na tę lub ową prowincję. Niekiedy tylko, i to bardzo rzadko, jest wzmianka, że konstytucya obowiązuje w Koronie i Litwie, a to dlatego, że wzmiankowana konstytucya nie obowiązywała w Prusach. Zresztą konstytucye, przeznaczone wyłącznie dla W. X. Lit., miały specjalny tytuł „Konstytucyi W. X. Lit.”, co oznaczało, iż nie obowiązują w innych prowincjach R-tej.

Zastanawia się jeszcze szczegółowo p. Ptaszycki nad kadukami, z których prof. Berszadskij chciał wywnioskować brak siły obowiązującej konstytucyi sejmowych dla Litwy. Materiał dowodowy zebrany został przez p. Ptaszyckiego z wzorową starannością. Logiczności zaś wywodów historyczno-prawnych, zarówno jak i jasności oraz przystępności wykładu, trudno mieć cokolwiek do zarzucenia. Rozprawa p. Ptaszyckiego została napisana w języku russkim.

A. REMBOWSKI.

Jadwiga z Wittów Korzeniowska: „Nad siły,” powieść.

Pani Korzeniowska miała do rozporządzenia przy pisaniu powieści dwie rzeczy, do twórczości bardzo pomocne, mimo, iż podrzędne. Naprzód—obfitość materiału powieściowego: znaczną liczbę osób i dużą ilość czasu na akcyę, wiele stosunków pomiędzy temi osobami, warunki do pełnej ruchu akcyi i bogatego w szczegóły tła.

Często ta obfitość staje się zawadą u młodych pisarzy. U pani Korzeniowskiej inaczej. Miała ona szczęśliwy pomysł, który za oś powieści posłużył i, przechodząc przez utwór z końca w koniec, wiązał wokoło siebie materiał. Osią tą są dzieje młodej dziewczyny, którą poznajemy, jako biedne dziecko dwunastoletnie, asystujemy przy jej rozwoju, jesteśmy na jej ślubie, widzimy nawet pożycie jej małżeńskie i autorka zamyka opowiadanie dopiero wtedy, kiedy otrzymujemy pełność jak najlepszą dla bohaterki doli.

To życie młodej dziewczyny miało przytem pewne zadania. Ludka czuła się w obowiązku wychować rodzeństwo, czego ani skąpe środki

pieniężne rodziców, ani lekkomyślny ojciec, ani matka chorowita należycie uczynić nie mogli. Zadanie to jest właśnie „nad siły.”

To dążenie Ludki,—pasowanie się z trudnościami, które przerażają jej siły—daje drogę gotową autorce, ułatwia układ, rozwój, kompozycję powieści.

Pani Korzeniowska poczyną sobie z układem powieści zupełnie, jak wytrawna i rutynowana autorka. Na wstępie daje nam poznać kuzyna Ludki, młodego ucznia gimnazjalnego, Tadeusza, i kreśli stosunek dwojga tych młodych, wiele na przyszłość obiecujący. Kochają się oni i uważają za małżonków w przyszłości. Kiedy Ludka dojrzewa, ukazuje się na scenie przyjaciel Tadeusza, Jerzy — i uczucie Ludki, prawdziwa kobieca miłość, tym razem dążyć zaczyna inną drogą, niż dziecinne zobowiązania jej wskazują. Kolizya interesująca, z której uniejętna ręka wydobyć może cały szereg pięknych scen.

Obok tego widzimy jeszcze brata Ludki, nrwisa, Adasia, który wstąpił do cyrku, a do którego afekt ma przyjaciółka Ludki, Iza Dorner.

Wszystkich tych ludzi poznajemy na początku książki, a przynajmniej w pierwszych rozdziałach, i autorka akcję rozłożyła tak umiejętnie, iż żadna postać nie znika niepotrzebnie na zbyt długo, każda ukazuje się w porę, żadna do końca nie jest zapomniana.

I przy tych wszystkich zewnętrznych na powieść danych—niema w książce pani Korzeniowskiej powieści.

Jest tylko gra pozorów, która sprawia wrażenie pięknie zbudowanego rusztowania, rysującego całkowitą budowlę, z jej liniami, strukturą, charakterem, a w którym budowli samej niema.

Czytając książkę pani Korzeniowskiej, doznawałem tego wrażenia, że autorka materyał swój czerpie wprost z życia. Pełno tam szczegółów prawdziwych i zdarzeń zwyczajnych; ale autorka w tak surowej wzięła ten materyał formie, że czytelnikowi zdawać się może, iż słucha powszednich opowiadań jakiej salonowej plotkarki: „ta założyła pensję .. a tamten amarł... a ten się starał o tę, ale ona go nie chciała, bo kochała innego...”

Z opowiadań takich słuchacz nigdy nie pozna osób, o których mowa. Toż samo jest i z powieścią pani Korzeniowskiej. Sama bohaterka, Ludwika, pomimo, że ciągle ją mamy na oczach, ani razu nie przedstawia się z dostateczną plastyką. Autorka tak dużo wie o niej, a czytelnik—nic prawie, pomimo całej masy informacji.

Puśćmy na scenę postać, nie ożywioną życiem artystycznym, i zobaczmy, jak ona się zachowa w sytuacji, dobrze ułożonej, takiej, której życiowa prawda nie ulega wątpliwości. Ludki serce zabiło dla Jerzego;

tymczasem Tadeusz ją kocha ciągle, wierny swym dziecięcym uczuciom. Autorka dwa razy zbliża Ludkę z Jerzym i za pomocą dyskretnych bardzo tonów daje czytelnikowi poznać rodzącą się sympatyę. Jerzy kończy uniwersytet i wyjeżdża za granicę na całe pięć lat. Na dworcu kolei znajduje się Ludka przypadkowo. Ten wyjazd otwiera oczy dziewczynie na to, co w jej własnym sercu się dzieje. „Zanim doszła do domu, wiedziała, że kocha Jerzego.“

Tymczasem Tadeusz pochylił się nad nią z gorącym szeptem:

— Moja najdroższa!

— Ani słowa — zawołała, — ani słowa o tem, póki nie będziemy w domu.

Chciał ją wziąć za rękę i prowadzić, ale nie pozwoliła i rzekła jeszcze stanowczo:

— Zabraniam.

Kiedy zaś doszli do bramy, Ludka odezwała się chłodno:

— Późno już, u nas zapewne śpią wszyscy, a zatem dobranoc.

Nikt nie wątpi, że mógł być takim rezultat miłości dziecinnej dwojga kuzynów; ale czy w ten sposób do tego rezultatu się doszło? czy Ludka temi słowy dała odprawę człowiekowi, kuzynowi blizkiemu, co ją lata całe serdecznie kochał?—ta Ludka, dobra, pocziwa, na którą tyle światła ciepłego usiłuje zlać autorka... Czytelnik wątpi, czy to, co było, było *tak*, jak autorka przedstawia—a to już jest źle dla dzieła. Czytelnik powinien znajdować się pod wrażeniem konieczności, powinien czuć, że Ludka w tej chwili tylko tak, a żadną miarą inaczej postąpić nie mogła, tylko te słowa wypowiedzieć, a żadnych innych.

A oto zakończenie tej historii. Dosłownie przytaczam to, co się ostatniej tej sceny tyczy:

„W kilka dni potem nastąpiła powtórna w tym przedmiocie rozmowa, nie na ulicy wśród cieniów nocy, ale, według wymagań domu Wyszkowskich, w salonie rodziców, w samo południe.

„Nikt wprawdzie nie wiedział, nad czem Tadeusz z Ludką się naradza i zostawiono im, jak zwykle, swobodę.

„Ludka odmówiła stanowczo; Tadeusz wybiegł obrażony.“

Wyobraźmy sobie, że jaki zdolny autor pozwolił-by sobie na zeskałotowanie podobnej sceny z przed oczu czytelnika. Ależ to nadużycie! — zawołał-by zapewne czytelnik. — Właśnie na tę scenę czekałem z największą ciekawością. Jak ona, taka dobra i szlachetna, ona, która wie, że on ją kocha tak stale i przez tyle lat — mu to powie?!

Ludzie w powieści pani Korzeniowskiej nie zdołali przecież zainteresować czytelnika żywiej, przeto brak sceny owej żalu nie budzi.

„Nad siły“ jest słabą powieścią, w której ani jedna z postaci nie tchnie prawdą artystyczną. Ale są chwile, w których znać, że autorka rozpiśała się i goręcej traktuje przedmiot. Dzieła to nie ratuje, ale daje parę żywych ustępów, które zniewalają sprawozdawcę do wstrzymania się z sądem stanowczym o talencie pisarki — do następnych utworów.

W. KOSIAKIEWICZ.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Najciekawszem i najważniejszym zdarzeniem bieżącego miesiąca czerwca były wybory do parlamentu w Niemczech. Interesowała się nimi cała Europa, można powiedzieć, gorączkowo. Nawet sesja delegacji austriacko-węgierskich nie zdołała odwrócić uwagi powszechnej od wyborów w Niemczech; a co w rozprawach delegacyjnych mocniej zajęło opinię publiczną, to właśnie pośrednio dotyczyło przyszłych losów niemieckiego projektu reformy wojskowej.

Przyszedł nareszcie oczekiwany z niecierpliwością dzień 15 czerwca i wybory odbyły się. Ich rezultat? Dotąd niezupełnie stanowczy. Pewnych zwolenników reformy wydały dotąd wybory 128; natomiast 130 jest pewnych przeciwników reformy. Odbędzie się nadto przeszło dwieście wyborów ściślejszych, których rezultat nie może być z góry przewidziany.

Optymiści twierdzą, że w końcu złoży się większość, która wejdzie z rządem w kompromis. Jeśli mają rację, w takim razie rozwiązanie parlamentu, acz nie dało rządowi świetnego zwycięstwa, w końcu by mu się opłaciło. Nie będziemy tu jednak ważyli szans rządu i opozycji. Za kilka dni odbędą się wybory ściślejsze, i jeszcze przed wyjściem najbliższego zeszytu „Biblioteki” czytelnicy jej dowiedzą się z gazet o ich wyniku. Pozwolimy sobie zwrócić uwagę na te jedynie objawy kampanii wyborczej, które zarysowały się już jako fakta dokonane i których sens nie może uleść zmianom z dnia na dzień.

Dorzędu takich należy przedewszystkiem fakt, że przy tych wyborach, które były niby walką o reformę wojskową, w rzeczywistości oddziaływało na ich rezultat wiele czynników, nie mających nic wspólnego z reformą. Stronnictwa myślały o swoich partyjnych interesach tak samo, jak przy wszelkich wogóle wyborach. Napróżno rząd wołał, że postawiona jest na kartę przyszłość Niemiec, że od wyroku, jaki wydadzą wyborcy, zależy utrzymanie stanowiska politycznego rzeszy oraz jej bezpieczeństwa. Prasa nad tem wszystkim mało się zastanawiała, jakby albo nie wierzyła rządowi, albo nie przywiązywała wagi do tych pogroźek. Za prasą poszli i wyborcy.

Pod obu względami zjawisko godne jest zastanowienia. Dlaczego wyborcy mogli nie wierzyć rządowi, zapewniającemu o potrzebie powiększenia armii? Dlatego, że byli przez długi czas okłamywani. Wielokrotnie mówiono im o grożących pokojowi niebezpieczeństwach. Mijały lata, pokój trwał, a społeczność przychodziła do wniosku, że po to tylko straszono ją, aby wyludzać pieniądze na cele militarne. Toż samo powiedziała sobie i teraz. Nie wiemy, czy w danym razie rząd niemiecki istotniej uczuwa potrzebę zwiększenia armii, niż w poprzednich okazjach. To jest niezawodne, że między nim i publicznością niemiecką powtórzyła się historia o pasterzu i wilku. Pasterz straszył wilkiem i wołał o pomoc, kiedy wilka nie było; sąsiedzi przybiegali na ratunek. Ale raz wilk zjawił się naprawdę. Sąsiedzi powiedzieli sobie: eh, on znowu żartuje. Nie pobiegli z pomocą, a wilk owce pożarł. Podobnie powiedziała sobie publiczność niemiecka: wciąż nas straszą bez powodu, więc nie dajmy się zwieść i odmówmy pieniędzy.

Publiczność niemiecka zresztą była tem w trudniejszym położeniu, iż ją ostatnimi czasy zapewniano znowu solennie, że pokój jest pewny i że mu nic nie grozi. Kanclerz Caprivi popełnił tę niezręczność, że od zapewnienia o trwałości pokoju zaczął motywowanie projektu reformy wojskowej i potem z naciskiem kilkakrotnie to samo powtarzał. I znowu publiczność powiedziała sobie, że jeśli pokojowi nic nie zagraża, jeśli wszystkie rządy unikają wojny i nie dążą do niej, to po co Niemcy mają się rujnować na dalsze uzbrojenia? Chodzi o przyszłość? O tej zawsze czas będzie pomyśleć. Teraz zaś, skoro pokój jest pewny, byłoby błędem obarczanie skarbu publicznego nowymi ciężarami.

Z tych-to powodów groźne mementa rządu nie sprawiały na słuchaczach wrażenia. Rząd straszył, a publiczność uśmiechała się. Ściśle biorąc, była do tego upoważnioną. Tyle razy straszono ją zawikłaniami, do których wcale nie przyszło, a w ostatnich czasach tyle jej naopowiadano o pewności pokoju, że miała podwójną zasadę nie wierzyć postrachom i zachowywać się tak, jakby była spokojna o dzień jutrzejszy.

Jakoż uczyniła to tem skwapliwiej, że militarysta przestał ją ba-
wić. W tej uzbrojonej społeczności, pod pancernem, który ją okrywa,
serca zaczynają coraz mniej bić do wojaczki, a coraz bardziej do różno-
rodnych celów społecznych, nie wspólnego z wojowaniem nie mających.
I dlatego-to w okresie agitacji wyborczej więcej mówiono w Niem-
czech o wszelkich innych rzeczach, niż o reformie wojskowej i niż
o wojnach, do których miała być przygotowaniam. Demokracja so-
cjalna, antysemitizm, socjalizm chrześcijański, protekcyjnizm celny
i wolność handlowa okrzykiwały swoje hasła głośniej, niż rząd swoje;
nie mówiąc o potężnem stronnictwie centrum, które dawało innym,
pomniejszemu, przykład lekceważenia reformy wojskowej wobec właści-
wych interesów stronnictwa. Co dowodzi, że społeczność chce żyć in-
nem życiem, niż to, na jakie ją skazywano dotychczas; że znudziło jej
się ciągle oczekiwanie jakichś wielkich wypadków, które nie przycho-
dzą, a pomimo to groźbą przyjscia paraliżują energię i przedsiębior-
czość jednostek. Teraz może zaczyna się naprawdę reakcja przeciwko
militaryzmowi, po dwudziestoletniem dźwiganiu jego ciężarów. A oko-
liczności, towarzyszące pierwszemu jej objawom, zwiększają wagę sa-
mego zjawiska. Tu na pierwszym miejscu wymienić wypada wzrost
socyjalnej demokracji. Liczba głosów socjalistycznych i liczba posłów
tego stronnictwa bardzo urosły w porównaniu z wyborami poprze-
dnimi. Była to sensacyjna wiadomość dnia 15 czerwca, że kandydaci
socyjalno-demokratyczni zwyciężają częściej, niż kandydaci innych
stronnictw.

Druga sensacyjna wiadomość polegała na tem, że stronnictwo
postępowe doznało srogięgo pogromu. Istotnie, w pierwszym dniu wy-
borów nie został obrany ani jeden poseł z obozu Richtera, a trzech
obrani postępowcy należą do secesjonistów, t. j. do tego odłamu po-
stępowego, który był za porozumieniem w sprawie reformy wojskowej.

Wracając do tej ostatniej, powiedzieć trzeba, że choćby rząd
ostatecznie zdołał skleić większość za reformą, poczyniwszy ze swej
strony jakieś ustępstwa i wyzyskawszy tę odrobinę usposobień poje-
dnawczych, jaką wybory dodatkowe wprowadzić mogą do parlamentu,
to i w takim razie dobrze uczyni, jeśli sobie zapamięta nauki, jakie
z wydarzeń ostatniego miesiąca wypływają.

Delegacje austriacko-węgierskie, o których wspomnieliśmy na
początku, nie przyniosły w roku bieżącym nic szczególnie interesują-
cego w swoich sprawach. Hr. Kalnoky wypowiedział dwie bardzo
pokojujowo zabarwione mowy. Zwróciły one uwagę powszechną z powo-
du wrażenia, jakie sprawiły w Berlinie, gdzie niektórzy politycy spo-
dziewali się, że hr. Kalnoky uderzy w dzwon alarmowy—przez przy-
jaźń dla Niemiec. A ponieważ hr. Kalnoky, pomimo przyjaźni, pokazał

światu gałązkę oliwną, co opozycja niemiecka przeciw reformie wzięła za dodatkowy powód wytrwania przy zajętej postawie, więc ci i owi wywnioskowali, że Austria splatała figla swoim berlińskim sprzymierzeńcom. Tymczasem zdaje się, że wszelka złośliwość daleką była od hr. Kalnokiego. Nie miał on racji dąć w dudkę wojenną, skoro sam rząd niemiecki dął w pokojową, pomimo, że wносił projekt reformy. Kwestya ochłodzenia się stosunków wzajemnych, a nawet zachwiania się trójpzymierza, została też prędko wyjęta z pod dyskusyi, gdy hr. Kalnoky oświadczył w jednym ze swoich przemówień, iż przymierze potrójne nie tylko upoważnia, ale wprost wymaga od swoich uczestników, aby starali się o utrzymanie pokoju i aby pielęgnowali jak najlepsze stosunki polityczne z mocarstwami, nie należącymi do przymierza.

Po-za tem ciekawy szczegół stanowiło wyłączenie młodoczechów od udziału w komisjach delegacyjnych, o co ci naturalnie bardzo się urazili. Poważniejsze następstwa nie wynikły stąd jednak, przynajmniej na razie.

Nieobojętnem dla ogółu ziemian i dla pracowników Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego jest ogłoszone w „Gońcu Urzędowym” rozporządzenie, którego treść tu podajemy: „Przedsięwziawszy od r. 1864 szereg zmian w instytucjach Królestwa Polskiego, celem zlania tego kraju z Cesarstwem pod względem zarządu, rząd uznał za potrzebne wprowadzić jednocześnie we wszystkich instytucjach państwowych tego kraju do wszelkich czynności biurowych i korespondencji — język ruski. Stosownie też do tego, język ruski stał się dziś w guberniach Nadwiślańskich dobytkiem nie tylko instytucji państwowych i pozostających pod najbliższym kierunkiem i kontrolą państwa, ale i we wszystkich zakładach naukowych, a także w wielu prywatnych instytucjach dobroczynnych, klubach i niektórych stowarzyszeniach przemysłowych. Wyjątek pod tym względem stanowią jedynie biura Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Ponieważ w ustawie tego Towarzystwa niema wzmianki o tem, w jakim języku mają być prowadzone korespondencje, referaty i rachunkowość, pisane są one, z wyjątkiem stosunków z instytucjami państwowymi i osobami urzędowymi, w języku polskim. Okoliczność ta zwróciła na siebie uwagę rządu, a komitet ministrów, pod którego sąd oddał tę sprawę minister skarbu, uznał, że przyszedł czas postanowić, aby i w biurach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wszelkie czynności, rachunkowość i sprawozdania prowadzone były w języku ruskim. Żeby jednak wymienione Towarzystwo nie mogło się tłómaczyć nieprzygotowaniem urzędników do tej zmiany, komitet ministrów uznał za potrzebne wyznaczyć na wprowa-

dzenie tych zmian termin określony. Zważywszy to, komitet ministrów, zgodnie z wnioskiem radcy tajnego, Wittego, zaprojektował postanowienie następujących zasad: 1) Zaczynając od 1 stycznia r. 1897 wszelka korespondencya, rachunkowość i sprawozdania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w guberniach Królestwa Polskiego winny być prowadzone wyłącznie w języku russkim; wyjątek stanowić może korespondencya dyrekcyi gubernialnych z podwładnymi im taksatorami i osobami, zarządzającymi własnością ziemską, pozostającą w dyspozycyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wreszcie z dłużnikami Towarzystwa; powyżej wymieniona korespondencya tylko jako środek czasowy może być prowadzoną po polsku do 1-go stycznia 1900 r. 2) Od 1 stycznia r. 1896 zebrania okręgowe Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wybierać mogą na radców dyrekcyi szczegółowych, dyrekcyi głównej i do komitetu, jak również na zastępców—tylko osoby gruntownie znające język russki i mogące korespondować w nim swobodnie. §3) Z dniem ogłoszenia niniejszych przepisów, na służbę w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, tak na urzędy etatowe, jak również na urzędy kancelistów, mogą być mianowane tylko osoby dokładnie znające język russki i mogące biegle w nim korespondować. Wyluszczone opinie komitetu ministrów uzyskała Najwyższe zatwierdzenie w dniu 26. kwietnia 1893 r."

W Towarzystwie Kredytowym Ziemskim ogromny ruch zaplanował z powodu konwersyi listów 5% na 4½%. Dziś już rezultat jest wiadomy i nazwać go można świetnym. Listów wylosowanych przedstawiono do konwersyi na sumę 51,800,000 rs., niewylosowanych zaś na sumę 37,000,000, czyli razem na sumę pokazną 88,800,000 rs. Wylosowano listów zastawnych na sumę nominalną 56,536,100 rs., więc z tych listów nie przedstawiono do konwersyi na sumę zaledwie 4,736,900 rs. Listy wylosowane a do konwersyi nie przedstawione miał przyjąć syndykat bankierski na swój rachunek i zapłacić za nie w gotówce wartość ich nominalną, po potrąceniu 2% (t. j. po cenie 98 rs. za 100), które miał syndykat otrzymać jako wynagrodzenie za swoje ryzyko. Atoli zapisy, przyjmowane przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie na nowe listy 4½%, przeszło dwa razy pokryły sumę wylosowanych, do konwersyi nieprzedstawionych. Towarzystwo zatem nie potrzebuje tym razem się uciekać do pomocy syndykatu banków. Tak pomyślne wyniki dały możność Towarzystwu poczynić oszczędności, i to znaczne, na kosztach konwersyi. Listy wylosowane, do konwersyi nie przedstawione, Towarzystwo, jakśmy rzekli, miało sprzedać bankierom po cenie 98 za 100, zamiast tego sprzedawało je zapisującym się kapitalistom prywatnym po cenie 98 rs. 50 kop. za 100, czyli zao-

szczędziło $\frac{1}{2}\%$ od sumy 4,736,900 rs., t. j. 23,684 rs. Ogółem Towarzystwo skonwertowało listów zastawnych na sumę 93,536,900 rs. (wraz z zapisami, które pokryły sumę brakującą). Przed konwersją było listów zastawnych 5% w obiegu na sumę 113,072,200 rs., obecnie zatem pozostaje ich tylko na sumę niewielką 19,575,300 rs. Niewątpliwie zatem skonwertowanie tej reszty nie pociągnie za sobą znacznych trudności, jakkolwiek nie można liczyć, ażeby się to dało załatwić całkowicie w okresie paromiesięcznym. Cała konwersją ma wielkie znaczenie dla stowarzyszonych; na zamianie listów zastawnych 5% w sumie rs. 93,536,900, na $4\frac{1}{2}\%$, zyskują oni to, iż płacić będą rocznie ogółem o rs. 467,684 procentu od pożyczek mniej, a więc o taką sumę zmniejszą się ich ciężary. Są niektórzy i z tego niezadowoleni. Liczą oni, że np. na majątek, obciążony pożyczką 10,000 rs., ulga ta wyniesie zaledwie 50 rs. Suma ta wszakże wydaje się drobną tylko pozornie; w gruncie rzeczy da ona możność niejednemu zaciągnięcia nowej pożyczki w takich rozmiarach, iżby owa kwota, zaoszczędzona z konwersji, dorównywała procentowi nowego długu. Naturalnie, korzyść to może dać tylko takim, którzy nie toną jeszcze i dla których pożyczka, chociażby kilkusetrublowa, istotnie posłuży dla wzmocnienia gospodarstwa.

O tem wzmocnieniu radzą nietylko sąsiedzi, nietylko pisma rolnicze i nierolnicze, ale i przedstawiciele ziemianstwa w sekcji rolnej warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Szkoda tylko, że słuchaczami w sali tej instytucji są albo ludzie, na własnych nogach silnie stojący, albo ci, którzy nie mają nic wspólnego z rolnictwem. Szeroki ogół rolników o rezultatach sporów i treści pogadanek mógłby się tylko dowiedzieć ze sprawozdań w pismach, gdyby pisma... czytał (nie mówimy o tym stosunkowo niewielkim procencie ziemian-abonentów), a przytem gdyby te sprawozdania dawały istotne pojęcie o rzeczy. Są one zazwyczaj ogólnikowe, gdzie chodzi o sprawy najważniejsze, a zbyt drobiazgowo w wyliczaniu terminów pusto-brzmiających lub — imion uczestników posiedzenia. A jednak redakcja danego dziennika jest pewna, a raczej wmawia w siebie, iż się wywiązuje wybornie ze swego zadania. Referaty podane szybko na czas, wszystko załatwione, ale na oko. Czytelnik, którego obchodzi ten lub inny przedmiot odczytany na zebraniu, porzuca pismo z rozczarowaniem, dowiadyuje się bowiem, że posiedzenie odbyło się w oznaczonym dniu i godzinie, że program całkowicie wykonano, lub tylko częściowo, z powodu spóźnionej pory. Takie powierzchowne traktowanie rzeczy wynika stąd, że poczytne pisma codzienne jednemu sprawozdawcy poruczają kilka naraz zadań. Idzie on na odczyt, stamtąd pędzi do sali

oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na posiedzenie Merkurego i t. d. Jednego wieczora zdolen jest streścić prelekcję o literaturze, poezyi, postępie, hypnotyzmie i — referat o ekstensywnej i intensywnej uprawie roli.

Ziemianin, poważnie traktujący swój zawód, z równem rozczarowaniem, jak sprawozdanie z sekcji rolnej, przegląda podręcznik, dotyczący tej lub innej gałęzi rolnictwa. Znajduje w nim dużo ciekawych rzeczy, sporo gawędziarstwa i szerokich dowodzeń teoretycznych, ale nic takiego, co by mogło rozproszyć jego wątpliwości, dać pewne wskazówki, jak się ma zachowywać w tym lub innym wypadku, wogóle w takich razach, gdzie zazwyczaj kosztowne doświadczenie dla samouka nie wytknęło mu drogi prostej, podczas gdy suma prób, gdzieindziej czynionych, wydała już pożądane owoce i należy tylko je zaszczepić na innym gruncie. Mielśmy nieraz sposobność rozmawiać z rozsądnymi rolnikami w tej sprawie i każdy z nich narzekał na brak podręczników praktycznych, zastosowanych do potrzeb i gleby, czysto miejscowych. Niedawno zaś w tej kwestyi zabrał głos „Przegląd Tygodniowy.” Warto, ażeby uwagi tam wypowiedziane trafiły do serca tych, którzy, obok praktyki długoletniej i fachowego wykształcenia, mają zdolność pisarską, nieużytkowaną w sposób korzystny dla ogółu pracowników rolnych. Słuszny jest zarzut, iż np. przy opisie uprawy roślin niema wyszczególnienia ani średniej ilości siewu, ani czasu wschodzenia, ani kwitnienia i t. d. Braki takie dają się spostrzegać zarówno w książkach, poświęconych rolnictwu, jak i hodowli inwentarza, wreszcie gałęziom pomocniczym: ogrodnictwu, mleczarstwu, budownictwu wiejskiemu. Gdyby autorowie tych podręczników starali się być zwięzłymi a jasnymi, gdyby, poprzestając na rzeczach najpotrzebniejszych, wyrzucili balast czecznych wyrazów i opisów zbytecznych, podręczniki, obok swego pożytku, zyskały-by wiele na poczytności ze względu na objętość i cenę, książka bowiem niewielka mniej przestrasza czytelnika i mniej kosztuje. Literatura, dotycząca dziedziny rolnej we wszystkich jej gałęziach, mało ma u nas oryginalności, pomimo, że wytrawni i wykształceni gospodarze częstokroć w swoich spostrzeżeniach posiadają tej oryginalności dużo. Dzieła i broszurki w tym zakresie przeważnie są to przeróbki z zagranicznych, lub pisane na sposób niby oryginalny, lecz z niewolniczym naśladownictwem spostrzeżeń i metod autorów obcych; bez względu na to, że wyrosły one w zupełnie odmiennych warunkach kulturalnych i klimatycznych. Ten brak samodzielności u pisarzy naszych wynika może poniekąd stąd, iż, jako wychowañcy specjalnych zakładów zagra-

nicznych, zapominają o potrzebach i warunkach wręcz odmiennych u nas.

A przecież nasz ogół ziemiański bardziej niż gdzieindziej potrzebuje takich dla siebie podręczników praktycznych, bo one powinny zastąpić istniejące za granicą liczne szkoły rolnicze i praktyczne stacje gospodarcze, których nie mamy. Może przyszłe pokolenie doczeka się tego źródła wiedzy, ale zważmy, że ta masa gospodarzy dorosłych, starzejących się i zestarzałych, nie pójdzie już się kształcić ani do szkół rolniczych, ani do stacji gospodarczych, a zanim ich synowie otrzymają odpowiednie wykształcenie, niejedna omyłka może zrujnować majątek. Zresztą rozwój rolnictwa oparty jest na ciągłym postępie i udoskonaleniu. Ci nawet, którzy najchlubniej pokończyli odpowiednie zakłady naukowe, nie mogą się obyć bez pism specjalnych lub podręczników, traktujących o nowych zdobyczach.

Obecnie przedsięwzięto przerwane wydawnictwo bardzo obszernej i pięknej „Encyklopedyi rolniczej.” Czy zastąpi ona podręczniki, o których powyżej mówiliśmy? Nie! Takie dzieło, z natury swej kosztowne, może służyć tylko dla zasobnych rolników, lubiących się w zbogacaniu swych księgozbiorów. Zresztą znajdujemy tam ładne, gruntowne rozprawy teoretyczne, które na nic się nie zdadzą dla przeciętnego rolnika. Nie idzie za tem, ażeby encyklopedia rolnicza nie miała wartości. Być może, iż w dalszym ciągu, obok rozpraw teoretycznych, znajdą się wskazówki praktyczne. Jeden atoli szkopał pozostanie na zawsze: wysokość ceny, której wydawcy, i tak ryzykujący za wiele, nie mogą w żaden sposób zniżyć. Kto wie, jakich kosztów i trudów wymaga tego rodzaju przedsięwzięcie, ile zwykle bywa zawodów i przeszkód, ten śmiało może nazwać takie zadanie — bohaterstwem, tem bardziej, że zawsze jesteśmy ostrożni tam, gdzie widzimy, chociaż niewyraźne, ryzyko. Kapitały nasze na wieść o jakimś śmielszem przedsiębiorstwie kurczą się, jak kwiat powoju przed nadmiarem promieni słonecznych. Im głębiej są ukryte, tem ich właściciele spokojniejsi.

Wszelkiego rodzaju listy zastawne, to jedyna forma wydobywania procentów, której się nie boją ciulacze grosza. Starają się oni nie tylko swoje fundusze, ale i sami przed okiem ludzkim się ukrywać. Stąd, dzięki ostatniemu ruchowi konwersyjnemu, dało się spostrzedz charakterystyczne zjawisko: Ludzie, na pozór zupełnie ubodzy lub wyglądający na niezamożnych, stanęli przed okiem ciekawych jako kapitaliści, posiadacze dziesiątków i setek tysięcy rubli w papierach warto-

ściowych. Ludzie ci zadrżeli-by z przerażenia, jak na widok rabusiów, gdyby im zaproponowano: kupcie akcye cukrowni, kolei pomocniczej, eksploatacy bogactw ziemnych, budowy kanału i t. d. To też autorowie szerokich projektów nazywani są u nas śmiałkami lub marzycielami, a ci, którzy się odważą na próbę wykonania ich planów w czynie, otrzymują nazwę... szaleńców.

Nie wiemy, czy się prędko i liczni znajdą „szaleńcy” dla zastosowania w praktyce pomysłu inżyniera Pawła Fliederbauma; to tylko pewna, że projekt jego—budowy kanału „Przemsza-Bzura”—ma doniosłe znaczenie i zasługuje na bliższą uwagę. Celem jego jest połączenie drogą wodną zagłębia dąbrowskiego z Warszawą przez Łódź. Technicy, ekonomiści i przemysłowcy francuscy przyszli oddawna do przekonania, że kanały mają olbrzymie znaczenie tam, gdzie panuje wielki ruch w transporcie produktów surowych. Takie arterye komunikacyjne są regulatorami kosztów przewozu na kolejach. Państwa zachodnio-europejskie o wysokiej kulturze, tudzież silnie rozrośłym handlu i przemyśle, posiadają obok gęstej sieci dróg żelaznych liczne kanały spławne. W Belgii przypada jeden kilometr drogi wodnej na 19 kilom. powierzchni kw., w Niemczech na 30, w Anglii i Francji na 40, w Rosyi zaś zaledwie na 90 kil. P. Fliederbaum w swoim memoryale, przesłanym do ministerjum, proponuje następujący kierunek kanału: Od kopalni węgla w Dąbrowie na krańcu południowym, t. j. od Niwki, arterya wodna powinna być skierowana na zachód; przecinając dolinę rzeki Przemszy-Czarnej w części równoległe do niej ku północy, ma iść nieopodal Będzina, i Dąbrowy ku Siewierzowi. (Kopalnie, położone po bokach, połączyć można z linią główną kanałami mniejszemi). Przechodzi przez wzniesienie, rozdzielające Przemszę i Wartę, i ciągnie się częściowo doliną Warty. W Częstochowie główna droga wodna łączy się z koleją Wiedeńską, przecina ją pod Nowo-Radomskiem w kierunku zachodnim. Dalej idzie doliną rzeki Widawki, i dążąc ku północy, przechodzi w części przez doliny rzek: Grabówki, Grabi i odnogi Dobrzyńki do Pabianic. Następnie do Łodzi, Zgierza, Ozorkowa, za pomocą doliny rzeki Bzury po-za Łęczycą. Potem przez Łowicz za pośrednictwem Bzury połączy się z Wisłą pod Wyszogrodem, czyli — z Warszawą, Płockiem, Włocławkiem i t. d. Długość kanału od Niwki do Łodzi wyniesie 230 wiorst, długość zaś całej linii od Niwki do Wisły—420 wiorst. Kanał zasilać mają rzeki: Przemsza, Warta, Widawka, Grabia, Grabówka, Bzura, Ner, tudzież pobliskie jeziora. Biorąc jako średnią szybkość holowania statków 3.5 wiorsty na godzinę, p. F. oblicza czas trwania jazdy (12 godzin na dobę), z Niwki do Łodzi na sześć dni, do Warszawy—10. Przy żegludze

dziennej i nocnej i pomocy światła elektrycznego cała podróż do Wisły ma trwać trzy dni. Koszt budowy kanału wyniesie 20 milionów rubli (roboty ziemne 7.5 mil.). W kosztorysie budowy odliczony jest kapitał na zakup 300 statków, z których każdy może pomieścić 350 tonn ładunku. W stosunku do taryfy kolei Wiedeńskiej koszt transportu ma być o 75—120% niższy. P. F. twierdzi, że kanał nie będzie tworzył wielkiego współzawodnictwa dla drogi żelaznej, gdyż, łącząc się z nią w pięciu punktach, będzie niejako spełniał zadanie kolei pomocniczych. A oto szereg korzyści z utworzenia nowej komunikacji: Wartość ziemi w okolicach kanału znacznie się podniesie skutkiem ułatwienia taniego przewozu produktów rolnych. Eksploatacja węgla kamiennego bardziej się rozwinie, gdyż powstaną nowe pola zbytu. Właściciele fabryk w Łodzi i innych miastach, tudzież cukrownie, zaoszczędzą znaczne sumy na transportach. Cena węgla o wiele się zniży w Warszawie i innych miastach. (Transport puda z Dąbrowy do Łodzi kosztować będzie kop. 3, do Warszawy 4; obecnie kolejną do pierwszej kosztuje 5, do drugiej 6 kop.). Plany są bardzo piękne i widoki korzyści ogromne. Ponieważ chodzi tu głównie o interesa wielkich przemysłowców w okręgu dąbrowskim i łódzkim, można więc przypuszczać, że się nie zleknią oni olbrzymiej sumy, oznaczonej w kosztorysie, i zawiążą spółkę nietylko do budowy kanału, lecz zarazem dla stworzenia przedsiębiorstwa transportowego. Podobno już fabrykanci łódzcy i kapitaliści zagraniczni wyrazili swą gotowość przystąpienia do zadania, wyłożonego w projekcie. Jeżeli myśl ta przyjdzie do skutku, to po-za korzyścią, uśmiechającą się dla przemysłowców, rolników, spożywców produktów kopalnianych, fabrycznych i rolnych, setki ludzi przy tych olbrzymich robotach, a następnie przy transporcie, znajdą zarobek. W przedsiębiorstwo wejdą kapitały zagraniczne, więc można przypuszczać, że ani sam projekt, ani później rozwinięte w czynie przedsięwzięcie nie doczeka się... jubileuszu, jak się doczekało wiele u nas projektów i podjętych a w połowie przerwanych zadań.

Prawda, my lubimy jubileusze, nawet takie, które nie zasługują na pamięć i uczczenie. Istnieją już nietylko 20, 15, 10-cio, ale nawet pięciolecia zasług. Natomiast półwiekowa działalność niestrudzonych a pożytecznych pracowników na polu dobra powszechnego budzi gorące, niekłamane uznanie ogółu, czego dowodem były aż dwie uroczystości tego rodzaju, w których szersze koła inteligencji wzięły udział. Są to prawie jednocześnie przypadające jubileusze dra Natanson i Jerzego Alexandrowicza. Pół wieku niezmordowanej pracy w tak ciężkim zawodzie, jak medycyna, to większa sztuka, niż samo ratowanie schorzałych, wyczerpanych organizmów. Lekarz, który

przez pięć dziesiątków lat wytrwał w takiej pracy, od której ani dzień, ani noc nie są wolne, a własne życie na każdym kroku jest narażone, musiał sam mieć niepospolitą energię i siłę. Ludwik Natanson urodził się w Warszawie r. 1822. Na wydział lekarski uczęszczał w Wilnie (od r. 1838—1839) a następnie w ówczesnym Dorpacie. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich w r. 1848 wrócił do Warszawy, gdzie po złożeniu egzaminu otrzymał od rady lekarskiej stopień doktora medycyny. Następnie rozwinął praktykę lekarską, która mu zapewniła szerokie uznanie i powodzenie. Podczas epidemii r. 1848 i 1852 pełnił obowiązki lekarza przy oddziale cholerycznym i przy tej sposobności zebrane spostrzeżenia drukiem ogłosił. Działalność jubilata nie ograniczała się praktyką lekarską; chwile wolne poświęcał on pracy literackiej w zakresie swojej specjalności. W r. 1847 założył „Tygodnik lekarski”, którego będąc redaktorem, był jednocześnie najgorliwszym współpracownikiem aż do r. 1864. Organ ten ożywił ówczesne bardzo ubogie piśmiennictwo specyalne, które przedtem posiadało jedynie „Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego.” Po-za tem Natanson zasiliał stale „Bibliotekę Warszawską.” Nadto, nie odmawiał nigdy swego udziału we wszelkich zadaniach, które miały na celu dobro powszechne. Między innemi dziełem jego było stworzenie szkoły rzemiośln. Od r. 1863 do 1865 przyjmował bardzo czynny udział w pracach warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, nadto był w niem przez długi czas członkiem komitetu higienicznego, żywo się zajmował budownictwem szpitali, sprawami dezynfekcyi, kanalizacyi, wodociągów i t. d. Po-za tem wszystkiem od r. 1871 jest prezesem gminy izraelskiej; wreszcie członkiem komitetu kanalizacyjnego. Przed rokiem wydał „Higienę popularną.” Z innych prac, wydanych oddzielnie, zasługują na uwagę: „Krótki rys anatomii ciała ludzkiego” (Warszawa 1858 r.), „Przyczynek do fizyologicznej dyagnostyki kurczów” (Warszawa 1859), „Urywki w kwestyi wychowania” (Warszawa 1861 r.). W dniu 6-ym czerwca długoletniego pracownika podejmowano ucztą, w której przyjęło udział około 150 lekarzy. Jubilatowi wręczono dyplom honorowy na członka Towarzystwa lekarskiego.

Na parę dni przedtem, t. j. 3-go czerwca, spora garstka inteligencji (około 300 osób) obchodziła 50-lecie pracy naukowej Jerzego Alexandrowicza. Warto chociaż pobieżnie przejrzyć działalność nieustrudzonego pracownika, którego zasługi nie tylko starsze, ale i młodsze pokolenie ma w pamięci. Prof. Alexandrowicz ur. 1 stycznia 1819 r. w Komieciśzkach (gub. suwalskiej), gimnazjum skończył w Sejnach, poczem, jako stypendysta Królestwa Polskiego, wysłany został kosztem rządu do uniwersytetu w Petersburgu, gdzie studyował nauki

przyrodnicze. Na trzecim kursie otrzymał medal złoty za rozprawę konkursową p. t. „Rodzina wrzosowatych” (*Ericaceae*) okolic Petersburga. Wyszedłszy r. 1843 ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych, objął wkrótce potem posadę nauczyciela historii naturalnej w warszawskim gimnazjum realnem, jednocześnie zaś wykładał anatomię ciała ludzkiego w szkole sztuk pięknych i botanikę w b. szkole farmaceutycznej. Po otwarciu Akademii medyczno-chirurgicznej w r. 1857, powołany został na katedrę botaniki, zoologii i anatomii porównawczej. W r. 1869, po zorganizowaniu uniwersytetu warszawskiego, objął katedrę botaniki jako profesor zwyczajny, z warunkiem pozyskania stopnia doktora. W tym celu napisał rozprawę „O budowie i rozwoju zarodków u śluzowców” (*Myxomycetes*), która nie tylko przyniosła mu tytuł doktora, lecz i sławę wśród powag zagranicznych. Znany wówczas uczony, De Bary, nadał kilku nowym formom grzybów nazwę „Alexandrowiczii.” Wkrótce potem jubilat został powołany na dziekana wydziału. Do wybitniejszych prac naukowych Alexandrowicza należą: „O dzieworodztwie celibatki” (*coelebogyne siliicifolia*), drukowana w „Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego warszawskiego”, tudzież „O chorobach pszenicy” (w „Pam. Tow. rolnicz.”). Po-za tem jubilat do chwili obecnej należy do komitetu redakcyjnego „Wszechświata” „Pamiętnika fizyograficznego” i „Wielkiej Encyklop. ilustrowanej.” Będąc czynnym na katedrze, wraz z kilku innymi kolegami prowadził t. zw. „kursa pedagogiczne” dla przysposabiania zdolnych pedagogów. Stanowisko profesora jubilat opuścił r. 1878. Jako dyrektor ogrodu botanicznego, przyczynił się do jego rozwoju. Zawsze dbający o wykształcenie i byt młodzieży, starał się, o ile było w jego mocy, dać jej sposobność do pracy produkcyjnej. W tym celu założył w ogrodzie botanicznym pasiekę, gdzie prowadził wykłady pszczelnictwa. Najbardziej zamiłowany w ogrodnictwie, zaznaczył wybitne ślady swej działalności w tym zakresie. Za jego staraniem powstał r. 1864 ogród pomologiczny w Marymoncie, przeniesiony następnie r. 1870 do Warszawy (około Folwarku Świętokrzyskiego), poczem otworzył na gruncie tego ogrodu szkołę ogrodniczą prywatną, której był kierownikiem przez lat siedm. Po-za tem brał bardzo czynny udział w założeniu Towarzystwa ogrodniczego, którego po zorganizowaniu był pierwszym prezesem. Słowem, racjonalne ogrodnictwo zawdzięcza Alexandrowiczowi swój zawiązek, a zatem—rozwój dalszy.

Ta nowa gałąź gospodarki jest bardzo młodziutką u nas i ma przed sobą świetną przyszłość, jeżeli, naturalnie, będzie miała i nadal tak żarliwych działaczy, jak jej nestor-jubilat i Edmund Jankowski. O tym ostatnim mieliśmy sposobność nieraz już mówić z powodu jego

ruchliwości i pomysłów w zakresie uprzystępnienia i rozwoju ogrodnictwa. Niewyczerpany w radach, obecnie daje nową w swym organie— „Ogrodniku Polskim.” Mianowicie, na wzór wielkich miast zagranicznych (Berlina i Wiednia) pragnie utworzenia w Warszawie przynajmniej dwóch ogrodów dla dziatwy, która tym sposobem mogła-by się zapoznać praktycznie z ogrodnictwem i zawczasu wyrobić w sobie zamiłowanie do tej pięknej dziedziny pracy ludzkiej. Hodując kwiaty i warzywa, uczyła-by się jednocześnie botaniki, a przytem, spędzając znaczną część dnia na świeżem powietrzu, wzmacniała-by swe zdrowie. Jest atoli najwyklejsza i największa przeszkoda: brak funduszków. Urządzenie takich ogrodów było-by dość kosztowne, jakkolwiek w przyszłości ten koszt wrócił-by się z lichwą. P. Jankowski szuka tym razem najpospolitszego i najpopularniejszego źródła: ofiarności publicznej. W znacznej mierze mogli-by się przyczynić do urzeczywistnienia projektu sami ogrodnicy, bezinteresownem stworzeniem planu i ofiarowaniem kierownictwa. Po-za tem może jakie *corso* kwiatowe będzie najodpowiedniejszą zabawą „filantropijną” dla wysączenia odsetek na ogrody dziecięce.

Próżno-by sobie łamał głowę ten, kto-by chciał dociec, jaki ma cel głębszy popis powozów ubranych kwiatami. Niewątpliwie takie *corso*, jak w parku Łazienkowskim, ściąga tłumy ciekawych, zadowala smak estetyczny miłośników przyjemnych wrażeń i czyni spustoszenia w kieszeniach uczestników, ale po-za tem? Zresztą nie zaglądamy do cudzej kalety, nie wnikajmy w to, czy każdy z popisujących się ma na to środki gotowe, czy też musi ich wyszukiwać forsownie. Bądźmy optymistami i ciesmy się wraz z reporteryą, że społeczeństwo jest jeszcze dość bogate, skoro może na takie zbytki sobie pozwalać, sprowadzać konie i powozy z odległości tysiąca wiorst. Radujmy się wreszcie tem, że chociaż kosztowne kwiaty do zabawy sprowadzano podobno z za granicy, ale w przyszłości, gdy się krajowe ogrodnictwo rozwinie, a zabawy tego rodzaju będą na porządku dziennym, *corsa* staną się pierwszorzędnym rynkiem zbytu dla naszych ogrodników. Pocóż mamy potępiać hojnych za „popieranie przemysłu krajowego?” Domorośli ekonomiści cieszą się z tego rodzaju popierających. Dlaczego nie ma zarobić magazyn ubiorów (a więc i szwaczki), handel win (a więc i subjekci), restaurator (a więc i kelnerzy), dla czego—jeżeli są tacy, którzy w wesołym towarzystwie mogą jeść codzień ostrygi i polewać je szampanem? Jeżeli są takie panie, które mogą miesięcznie kilkanaście sukien i tyleż kapeluszków sprawić? A co będzie, gdy taki pan, wydawszy wszystko na ostrygi i szampana, sam będzie musiał szukać zajęcia, chociażby w owym handelku, gdzie tyle wspomnień zosta-

ło? — zapyta pessimista. — Wtedy da mu zarobić ten, od którego on przedtem zarabiał; — odpowie ktoś w różowych okularach; przecież tak już świat stworzony, że fortuna musi się kołem toczyć. Dochód z *corso* ma otrzeć łyzy i zaspokoić głód biednym. Podobno jednak zasilek, tą drogą zdobyty, stanowi 1% sumy, wyłożonej na urządzenie zabawy, która, według rzeczoznawców, kosztowała paręset tysięcy rubli. Niewątpliwie uczestnicy niektórzy dłużej będą pamiętali swój popis, niż ubodzy pokrzepienie się skromnym datkiem.

Jeden owoc zabiegów filantropijnych cieszy się szerokiem poparciem (przynajmniej moralnem) ogółu od lat kilku, mianowicie kolonie letnie dla dziatwy miejskiej. W chwili, gdy to piszemy, ruch jest w całej pełni. Grupy dziewcząt i chłopców wyjeżdżają w różne miejscowości, w znacznej części ofiarowane przez właścicieli bezinteresownie na parę tygodni. Jakkolwiek komitet owych kolonii liczy sporo osób, które swój trud i czas przeznaczyły dla ułatwienia wyjazdu na wieś dziatwie suterenowej, i chociaż sączą się ofiary w gotowiźnie i ubraniu, jednakże wiele jeszcze potrzeba, aby cały ten drobiazg, wątpliwy, wygłodzony i osłabiony brakiem powietrza, mógł wyruszyć z murów miejskich na wieś. Ale oprócz dzieci, mających ubogich rodziców, są jeszcze setki wykluczonych z pod opieki macierzyńskiej i ojcowskiej, dla których pomieszczenie u Dzieciątka Jezus nie jest jeszcze przybytkiem zdrowia i szczęścia. Są to przeważnie istoty schorzone, skrofaliczne, ofiary rozigranych zmysłów ludzi, obdarzonych chorobami organicznymi. Z tej gromady nieszczęśliwych, o których nikt się nie zatroszczy, ani upomni, zakwalifikowano pewną liczbę na wyjazd do Ciechocinka. Przytułek atoli posiada na ten cel zaledwie 200 rs., podczas gdy potrzeba około 2,000. Skąd wziąć tak znaczną sumę? Nie dadzą jej ani wyścigi, ani totalizator, ani *corso*, trzeba więc kołatać do ofiarności publicznej. Ale w jaki sposób? Rozumie się, że tylko za pomocą ożywienia „karnawału letniego.” Szkoda, że organizatorowie pomocy dla dziatwy ubogiej nie rozszerzą liczby swych członków w ten sposób, żeby przynajmniej jeden z nich znalazł się na majówce, wycieczce, bibce, „zebraniu koleżeńskim” i t. d. Kto choć trochę badał psychologię gromad towarzyskich, ten wie, że tylko przy pewnem podnieceniu i ożywieniu kółka osób zebranych dla zabawy lub „używki” łatwiej jest wydobyć parę groszy na cel dobroczynny. Otóż członkowie np. kolonii letnich powinni korzystać z takich chwil i wzięwszy pod uwagę zasadę, że cel uświęca środki, nie szczędzić czasu i trudu na udział we wszelkiego rodzaju zabawach i rozrywkach. W taki sposób przybyło-by trochę środków na leczenie tej chronicznej choroby — nędzy i jej skutków. Chwalebnem jest chociaż tylko samo szukanie

na to leków, bo chyba niema tak wielkich optymistów, którzy-by wierzyli w usunięcie doraźnymi środkami przyczyn niedomagania.

Jedna z odmian tej choroby powtarza się, a raczej daje się ujawniać coraz częściej od chwili odkrycia Skublińskiej: proceder przyjmowania niemowląt „na garnuszek.” Po kilku faktach dawniejszych wykryto nowy, w swej ohydzie dorównujący poprzednim. W Łodzi (po raz drugi) wysledzono norę, która tak się przedstawiała: Nizkie poddasze, trzy łokcie szerokie i cztery wysokie, o dwóch okienkach w dachu, o piecyku z dwiema fajerkami, łóżku z barłogiem spłowiałym i kołysce. Resztę sprzętów stanowiły: garnek z łyżką drewnianą i butelka od wódki. Właścicielką tego mieszkania i jego gratów była niejaka Wilczyńska, gałganiarka, przyjmująca dzieci na garnuszek. Wychodziła ona na wędrowkę po śmieciiskach o godzinie 2-iej, 3-iej rano, a wracała o 3-iej po południu. Przez te 12, 13 godzin, dzieci były zamknięte na skobel i kłódkę pod opieką starego zniechęconego psa. Gałganiarka, wychodząc powtórnie, poila niemowlęta wodą, piwem lub wódką z dodaniem odwaru makowego; starszym zaś dodawała kawałek kiełbasy. Po udzieleniu takiego posiłku, odbywała znowu wędrowkę, z której wracała już późno w nocy. Przypadek i tu posłużył do wykrycia ohydneho rzemiosła. Przy rewizyi mieszkań znaleziono czworo wychudzonych niemowląt w brudnej, cuchnącej kolebce. Były to już nawpół żywe istoty, wyschłe, złożone prawie tylko ze skory i kości. Dwoje wkrótce zmarło. Za belką zaś odkryto gnijącego trupa, zawiniętego w szmatę. Nie poprzestając na gorącym uczynku, przeprowadzono śledztwo, które wykazało, że Wilczyńska sporo już takich niemowląt zgładziła ze świata i zakopywała je pod lasem miejskim. Oto piękny obrazek, nie pierwszy i zapewne nie ostatni. Po każdym takim wypadku czujność bywa zwiększona i niewątpliwie przyczyni się ona do wykrycia nowych zbrodni. Gdzie jest największa nędza, a więc u podnóża wielkich bogactw i wielkiej produkcji, będą baczniej przetrzysane wszystkie kąty, wszystkie nory najbrudniejsze. Ale przytem zwiększy się ostrożność takich Wilczyńskich i Skublińskich. Tym sposobem rak, ścinany z wierzchu, będzie wrastał w głąb organizmu społecznego, dopóki się nie znajdzie środek na wyniszczenie tych wewnętrznych rozgałęzień choroby. Niema tak surowej kary, której byłoby za dużo dla tego rodzaju zwyrodnionych istot, jak te, które się zajmują przyjmowaniem niemowląt na garnuszek. A jednak kara ta równa się chłoscie, wymierzonej morzu wzburzonemu. Takie bowiem zbrodniarki nie pochodzą same z siebie, lecz są wytworem tego gruntu, na jakim się zrodziły.

Od wieków starają się lekarze zwalczyć siłę tych chorób, których ujawnienie w organizmie danej jednostki jest wyrokiem śmierci. Kiedy przed paru laty Koch ogłosił środek, mający zabijać bakterie gruźliczne, cały świat się uradował, a setki suchotników podążyło do zbawcy. Fakt ten i ogólne nim zainteresowanie się dowiodły, jak dalece ta straszna choroba jest powszechną. Środek Kocha okazał się zawodnym, a wszelkie inne wyniki wiedzy medycznej dają możność przy sumiennem leczeniu usunięcia choroby w zarodku lub przedłużenia odporności organizmu, w którym się ona rozwija. Ale i te środki walki są dostępne tylko dla ludzi zamożnych, którzy mogą prowadzić życie higieniczne lub się ratować ciepłym klimatem. Tysiące biedaków giną bez żadnego ratunku z receptą w kieszeni i radą lekarza w pamięci. Czy przynajmniej dla części tej kategorii niezamożnych chorych niema ratunku? Dr A. Sokołowski w swoim, wydanym niedawno oddzielnie, odczycie klinicznym p. t. „Leczenie klimatyczne suchot płucnych”, dowodzi, że są na to środki. Autor zwraca uwagę na zbyt małe uwzględnianie przez lekarzy klimatu swojskiego, tudzież na brak zupełny sanatoryjów w rozmaitych miejscowościach kraju, gdzie-by suchotnicy w pierwszym okresie choroby mogli nieraz odzyskać zdrowie. Istotnie mamy wiele takich miejscowości, gdzie-by się dały urządzić stacye klimatyczne, nie ustępujące zagranicznym. Dotychczas stało temu na przeszkodzie wogóle charakterystyczne lekceważenie bogactw krajowych. Śród ogółu panuje stale przekonanie, że krajowa miejscowość lecznicza nic nie warta. Wytworzyła się ogólna nieufność i niechęć do miejscowych uzdrowisk, i dopiero w ostatnich czasach ten przesąd, może pod wpływem ogólnego zubożenia, zaczyna trochę zanikać w pewnych kółkach inteligencji. Dziś miejscowości kuracyjne w kraju bardziej są odwiedzane. Ale na niechęć i uprzedzenie wpływają między innemi także czynniki realne: brak wygód, lekceważenie gości przez właścicieli zakładów i wszelkich przedsiębiorców, brak dogodnych mieszkań i komunikacyi. Odwiedzane atoli są w kraju tylko miejscowości renomowane. O tych, które-by się nadawały do urządzenia stacyi klimatycznych, wiemy bardzo mało lub wcale nie wiemy. A jednak Królestwo i Cesarstwo posiadają takich miejscowości bardzo dużo i tylko trzeba usankcjonowania przez powagi lekarskie i przekonania ośpałych, nieufnych przedsiębiorców o korzyściach z urządzenia stacyi leczniczych w miejscach wybranych. Tu już nie środkami filantropijnemi trzeba działać. Miejsce kuracyjne jest bogatym źródłem dochodu dla bystrych, rozumiejących swój interes kapitalistów. Parę ogłoszeń i zaświadczeń lekarskich, pierwsze próby kuracyi, dadzą już rozgłos i zapewnią powodzenie, jeżeli stacya nie jest urządzona na

efekt i spekulację. Należało-by tylko wyszukać i zbadać takie miejscowości, a o to chyba przy dobrych chęciach nie trudno.

Wobec braku dokładnej znajomości kraju, obowiązkiem towarzystw lekarskich powinno być rozesłanie do lekarzy prowincjonalnych odpowiedniego kwestyonaryusza, którego wypełnienie wskazałoby, jakie miejscowości zasługują na bliższą uwagę i na urządzenie w nich stacyi klimatycznych. Zbiorowe zbadanie warunków danego miejsca przez specjalistów należało-by już do rzeczy łatwiejszych. Ażeby dać możność chorym korzystania z miejsc kuracyjnych w kraju, trzeba było-by jeszcze uczynić jedno udogodnienie, które już zależy od sfer kolejowych i ministeryalnych, mianowicie: зниження оплати на поїздах для осіб їдучих на курацію. Dotychczas, o ile wiemy, tej kategorii podróżni nie są uwzględniani. Jeżeli są czynione ulgi dla całych mas publiczności, odwiedzającej latem podmiejskie mieszkania letnie, dlaczegoż nie można tego uczynić dla mniejszej garstki, której chodzi nietylko o pokrzepienie sił zrujnowanych, ale częstokroć o ocalenie życia?

Podczas gdy za granicą istnieją oddawna ulgi dla wszelkiego rodzaju podróżnych, u nas dopiero niedawno koleje niektóre zastosowały zniżoną taryfę na sezon letni; droga zaś Terespolska w tym roku pierwsza poszła najdalej. Nietylko bowiem przedłużyła czas korzystania z książeczek sezonowych tańszych o 30% do 1 stycznia, ale wprowadziła prócz tego bilety dwudniowe z bezpłatnym powrotem, czyli dała możność przejazdu o połowę tańszego do Mrozów i stacyi bliższych. Ulga ta stosuje się nietylko do świąt, ale do każdego dnia powszedniego, dwa zaś z rzędu dni świąteczne liczone są za jedną dobę. Wyjdą na tem dobrze podróżni i sama kolej, ożywiony bowiem ruch da z tańszych biletów większy dochód, niż zwyczajny za przejazd według normalnej taryfy. Nie jest to nasze przypuszczenie, lecz pewnik, stwierdzony na kolejach zagranicznych. Poczekajmy, a może inne drogi pójdą w ślady Terespolskiej i zniżkę zastosują nietylko w pasie mieszkań letnich, lecz posuną ją aż do miejscowości leczniczych. Niejedna z osób niezamożnych, dla kilku rubli, przewyższających obliczony budżet, nie może z miejsca wyruszyć. Taką więc ulgę dla ludzi zdążających na kurację trzeba całkiem poważnie traktować.

Dla Królestwa przybywa nowy zakład hydropatyczny, przed paru laty jeszcze zupełnie nieznan. Jest to skromna, przez długi czas nie zwracająca uwagi, Niekłan, którą obecnie już lekarze zalecają, jako miejscowość leczniczą. Lasu sosnowego 600 do 800 włók dostar-

cza świeżego powietrza, samo zaś położenie zapewnia zupełny spokój i ciszę. W tym-to gąszczu, nasycającym powietrze zapachem żywicznym, urządzono stację klimatyczną i zakład hydropatyczny dra Misiewicza. Istnieją one dopiero od lat dwóch, a więc trudno wymagać komfortu i wszelkich możliwych wygod. Zakład atoli ciągle się rozwija, zabudowania wzrastają; ostatnio zaś przybył pensjonat leczniczy dla młodzieży szkolnej, tudzież halla do picia wód. Zwróćmy uwagę na to, że wszelkie ulepszenia wprowadzane są środkami bardzo skromnymi, pomimo że Niekłań i okolice obfitują w bardzo zasobnych kapitalistów, którzy z korzyścią własną i ogółu mogli-by przyłożyć ręki do pożytecznego przedsiębiorstwa.

Dr Sokołowski w swoim odczycie klinicznym zwrócił uwagę jeszcze na jedną wadliwość w organizacji zdrowotności publicznej: zupełny brak w szpitalach oddziałów dla suchotników, będących w ostatnim okresie choroby. Dotknięci gruźlicą stanowią 20% ogólnej liczby pacjentów, pozostających w szpitalach; mniej więcej musi być taki sam stosunek w innych miastach; wiadomo zaś, jak dalece ta straszna choroba jest zaraźliwą i jak łatwo może się udzielić innym chorym, pozostającym na wspólnych salach. Jeżeli fundusze nie pozwalają na szybkie urządzenie takich osobnych oddziałów, na wzór szpitalów zagranicznych, to warto usłuchać słusznych rad, przypominanych obecnie coraz częściej, mianowicie: urządzić taki oddział w szpitalu Dzieciątka Jezus po przeniesieniu go na folwark Świętokrzyski. Niewątpliwie zakład ten na nowem miejscu będzie zbudowany według ostatnich wymagań higieny, a zatem i osobny oddział dla suchotników powinien być uwzględniony, i to w takich rozmiarach, ażeby mógł pomieścić chorych tego rodzaju ze wszystkich szpitali warszawskich.

Oby tylko głos lekarzy i innych poważnie myślących ludzi był wysłuchany i nie uległ losowi wszelkich innych nawoływań. Przed kilku miesiącami była gorąco poruszona w prasie sprawa dozorczyń chorych i obudziła ruch w takim stopniu, że nawet tu i owdzie naradzano się nad sposobem zorganizowania tej ważnej pomocy. Powoli kwestya ucichła i dziś nie wiemy, czy ktokolwiek o niej pamięta nawet. A przecież nie było-by to zadanie filantropijne; dozorczyń miały być płatne za swe usługi. Dlaczegoż więc, skoro powszechne rozlega się narzekanie na brak pola do pracy, nie udało się stworzyć tej nowej dziedziny, pożytecznej i odpowiedniej dla wielu kobiet, nie posiadających ani wiedzy fachowej, ani patentów na nauczycielki, lecz obdarzonych cierpliwością i łagodnością charakteru? Nie wynika to nawet z obawy przed ciężką i niebezpieczną pracą; wiadomo bowiem, że ko-

biety w pogoni za chlebem nie wahają się przyjmować najniższych i najbardziej najeżonych niebezpieczeństwami obowiązków.

Praca kobiet w różnorodnych zawodach staje się kwestyą coraz żywotniejszą, a stanowisko społeczne kobiety inteligentnej, jej wyższe dążenia i zapatrywanie się na warunki życiowe—to już nie wiecznotrwała sprawa emancypacyi, lecz nowy okres jednego z ogniw życiowych, którego miarą żywotności jest coraz częstsze występowanie na szpaltach prasy w poważnej formie i ogólne szczere zainteresowanie się obojg płci. Rdzeniem sprawy jest—podnieta nerwowa, histerya, na której podkładzie zrodziła się nowa kwestya kobieca, rozwijana chorobliwie. Ciekawa i wierna jest charakterystyka takiej kobiety, naszkicowana przez K. R. Ż. na szpaltach „Prawdy.” Jest właściwie kilka nieco odmiennych, ale pokrewnych z sobą postaci. Jedna, pchana żądzą ciągłej działalności, nie szuka treści w swych czynach; chce ciągle działać, głośno, ale bez pożytku. „Dzisiaj może być—dajmy na to, anarchistką, jutro spirytystką, po jutrze pisze poezye i marzy o sławie literackiej, albo układa traktat przeciwko poezyi; nagle staje się dewotką, lub zakochaną w łydkach cyrkowego siłacza, a we wszystkich tych postaciach jest i pozostaje histeryczką. Wynaturzony ustrój nerwowy nie czuje potrzeby macierzyństwa, nie ma żadnych pragnień wywołania uśmiechu wewnętrznej radości na czyjeś usta, czuje jedynie parcie do jakiegoś czynu, jak wystawiony na słońce radiometr.” Obok powyższej postaci jest jeszcze inna, nie mniej przykre robiąca wrażenie i nasuwająca smutne myśli: „Pedantyczna umysłowo, bez żadnego polotu wyobraźni, ba, we wszelkiej wyobraźni widząca grzech, który woła o pomstę do nieba, tępą uczuciowo, bo niezdolna wznieść się ponad swoje własne „ja”, pożerana drobiazgową ambicyjką, zupełnie utraciła świadomość, że przyroda stworzyła ją na organizm kobiecy... Za takimi przewodniczками sunie armia, wśród której można spotkać kobiety zamężne od lat pięciu i dziesięciu—bezdziętne. Smutne to, a nawet wstrętne okazy. Twarz przedwcześnie zwiędła, na policzkach i szyi zarysowują się silnie nabrzmiałe linie arteryi, zamiast zaokrąglonych członków, jakieś kanciaste i ostre kontury, a tej nabytej brzydoty nie mogą zakryć jakieś garby z ułożonych na ramieniu łachmanów i inne wybryki kunsztu krawieckiego. Czy organizm odmówił im posiadania dziecka? Bynajmniej,—one to z własnej woli nie chcą go pieścić, nie chcą posiadać wrzeszczącego bębna! Można ubolewać nad kobietą, którą do takiej wstrzemięźliwości zmuszają względy materyalne; ale z innym uczuciem witamy spodniczki, które, aby sejmikować, dopuszczają się gwałtu na własnej naturze.” To są „patryotki sprawy niewieściej”, inaczej zwane *feministki*! Zazwyczaj posiadają one byt wy-

godny, a przynajmniej nie cierpią niedostatku; żeby zaś mieć wszelką swobodę gardłowania, zajmowania się „wielkimi sprawami”, które w gruncie rzeczy schodzą do bardzo maluczkich, kobiety te wyrzekają się wszelkich obowiązków, które im sama natura nakazała. Gdy się stały matkami, starają się co prędzej niemowlę zepchnąć mamce, chociażby ta nosiła w sobie najgroźniejsze choroby, a matka była zdrowieńką. Dalej niania i bona pielęgnują maleństwa, z których częstokroć wyrastają potwory fizyczne i moralne. Nie idzie za tem, żeby jedynym celem kobiety było pilnowanie czyli kapłaństwo ogniska domowego. Prawdziwie rozumna potrafi jedno z drugim połączyć.

Na szczęście „feministki” i histeryczki nie stanowią całego ogółu niewieściego u nas. Sporo mamy takich, które czując wstręt do sejmikowania i „przodowania”, głębiej i prawdziwiej rozumieją życie i jego potrzeby. Nie przesiąknięte ideałami mieszczańskimi, filisterstwem, nie starając się na gwałt upodobnić do mężczyzny, dążą one ku wyrobieniu własnej indywidualności i nadaniu swej pracy istotnego pożytku, nie troszcząc się o to, czy ich mózg waży tyle, co mózg mężczyzny, i czy owoce ich trudów będą dorównywać wartości pracy mężczyzn. Takie kobiety nigdy nie będą marzyć o tem, żeby chodzić w szarawarach, cylindrach i krawatach; jeżeli zaś łakną i szukają wyższej wiedzy, to nie po to, żeby rej wodzić wśród koleżanek i — „zaznać życia studenckiego.”

Wodzirejstwo i gawędziarstwo nie tylko wśród kobiet się rozwiłmożnia. Jest to u nas ogólna cecha obojczy płci i najczęściej w rezultacie daje dużo słów, a mało treści. Jednakże nie zawsze i nie wszędzie tak bywa. O Towarzystwie ratowania tonących mało się u nas mówi, jestem nawet prawie pewny, że przynajmniej połowa mieszkańców Warszawy nie wie o jego istnieniu, pomimo, że działalność jego o wiele jest więcej warta niż ciągle reklamowana „ruchliwość” i „dzielność” wioślarzy albo lutnistów. Towarzystwo powyższe istnieje dopiero od lat kilku i wytrwale walczy z bardzo dotkliwym brakiem funduszy, tudzież — zagląda ludzi w nurtach rzeki. Liczy ono zaledwie kilkudziesięciu członków prawdziwie czynnych, niosących swoją pomoc prawie jedynie gwozi zasadzie miłości bliźniego. Prawie wyłącznym źródłem dochodu są składki członków; tak zwana zaś ofiarność publiczna bywa przypadkową, może dlatego, że instytucja ta nie posiada trąb doniosłych i protektorów wpływowych, popularnych. Towarzystwo jednak ma wielkie potrzeby. Utrzymanie trzech stacyi ratunkowych (na Solcu, na Rybakach i podczas miesięcy letnich na przystani wioślarskiej), i licznej służby, nagrody chociażby skromne, nie odpowiadające nara-

żeniu życia, dla tych, którzy dniem i nocą są na pogotowiu, wszystko to wymaga znacznych sum. W roku zeszłym miało ono dochodu tylko 983 rs., wydatki zaś wyniosły 1,725 rs., musiano więc niedobór pokryć z funduszu rezerwowego. Skutkiem takiego stanu rzeczy, Towarzystwo w roku bieżącym musi wprowadzić znaczne oszczędności, które nie wpłyną dodatnio na jego rozwój i działalność. Największym zasilnikiem jest stała coroczna zapomoga miasta w kwocie rs. 400; składki zaś członków wynoszą zaledwie 280 r. Nie można przypuszczać, ażeby ogół mieszkańców Warszawy chłodno traktował tak pożyteczną instytucję. Może poniekąd wina leży w jej własnej ociężałości około zwiększania dochodów. Warszawa nie lubi kwesty, ale chętnie się bawi przy każdej sposobności. Wszak służy równe prawo Towarzystwu ratowania tonących, jak i wszelkim innym, wyszukiwania źródeł dochodu za pośrednictwem ofiarności publicznej przez koncerta, widowiska, rauty, bale i t. d. Jest to droga bardzo zawiła, kłopotliwa, częstokroć zawodna, gdyż bywa, że dochód nie pokrywa kosztów urządzenia zabawy; ale dlaczego w tym razie nie trzymać się łaćnińskiej maksymy, że śmiałym fortuna sprzyja? Trzeba się z tem pogodzić na zawsze, że miłosierdzie publiczne przepływa najchętniej przez sale balowe, koncertowe, widownie teatralne i t. d. i tam kołatać o zasiłek przy każdej sposobności. Dla powyższego Towarzystwa jest jeszcze jedna droga: starać się zjednać możliwie największą liczbę członków, ale z pośród tego rodzaju jednostek, które nie są członkami naraz kilku innych instytucji, bo tacy tworzą tylko „zaległych”, z którymi zarządy wszelkich stowarzyszeń mają dużo kłopotu.

Żadne najzasobniejsze i najliczebniejsze Towarzystwo ratunkowe nie mogło-by zażegnać tych klęsk, jakie kaprysy Wisły wyrządzają tysiącom mieszkańców nadbrzeżnych. Po wylewach i stratach wiosennych jeszcze nie zdołali ochłonać i jako tako się ogarnąć, gdy naraz w pierwszej połowie czerwca szara i miejscami świecąca już mielizną rzeka pokryła się pianą i wystąpiła z koryta, niosąc spustoszenie i popłoch od Zakopanego aż ku granicy pruskiej. Dla ludności ubogiej taka podwójna klęska w odstępach kilkotygodniowych, równa się zupełnej zagładzie materialnej. A jednak gdy woda ustąpi i grunt wyschnie, gdy rozpacz minie, a miłosierdzie ludzkie przyjdzie z pomocą, mieszkańcy nadbrzeżni na miejscu zniesionych chałup, chlewów i stodoł wznosić będą nowe lepianki, będą się starali odgrzebać rolę piaskiem zasypaną i, spoglądając na nurty tej rzeki, która ich zrujnowała, nie rzucają na jej fale przekleństwa, tylko w chwilach wezbrania wody spojrzą znowu z trwogą i polecą się Opatrzności. Taka już tych ludzi natura, urobiona przez warunki bytu...

Dnia 1 czerwca w szpitalu św. Ducha w Warszawie zakończył życie Aleksander Walicki, kustosz zbiorów Radziwiłłowskich w Nieświeżu. Urodzony w Wilnie 27 stycznia r. 1826, ukończył nauki szkolne w Słucku, następnie wydział historyczno-filologiczny w Charkowie. Przez pewien czas prowadził księgarnię w Mińsku gubernialnym, następnie przerzucał się na inne pola pracy w Petersburgu, Spasku i Tambowie. Później osiadłszy na stałe w Warszawie, został współpracownikiem „Ruchu muzycznego.” (Pisywał pod dwoma pseudonimami: Aleksandra Żeleźniaka i Symforyusza Pauzy). Obdarowany zdolnością muzykalną, był wytrawnym rzeczoznawcą w tym zakresie. Od r. 1868 do 1871 kierował administracją „Kuryera Warszawskiego” i jednocześnie zasilał to pismo sprawozdaniami muzycznymi. Nadto pisywał do innych dzienników pod pseudonimem Miciuka i Chryzostoma Ładzica. Młodość całą spędził w otoczeniu ówczesnych pisarzy i artystów i pozostawał w serdeczniejszych stosunkach z Chodźką, Kondratowiczem, Moniuszką, Kirkorem, Malinowskim i innymi. To też we wspomnieniach jego często można spotkać imiona powyższe. Między innymi pamiątką bliższych stosunków z ludźmi zasłużonymi jest osobno ogłoszony szkic biograficzny p. t. „Stanisław Moniuszko” (Warszawa, 1873 r.). Przed kilku laty, po śmierci Brunona Zawadzkiego, objął posadę archiwisty i bibliotekarza radziwiłłowskiego w Nieświeżu. Czynność ta czas mu pochłaniała tak dalece, że w ostatnich czasach rzadko pisywał. Niesłychanie wrażliwy na wszelkie naleciałości i koszlawizny językowe, starał się je wypleniać i oddał niemałe usługi dbającym o czystość języka—dwoma podręcznikami, z których jeden nosi tytuł: „Upominek zecerom przez korektora” (1886) i zapewne napisany został pod wpływem znużonej pracy korektorskiej, której Walicki sporo włożył w wydawnictwa, wychodzące z drukarni Anczyca i w miniaturowe wydanie „Pana Tadeusza”; druga spora książka p. t. „Błędy nasze w mowie i piśmie oraz prowincjonalizmy”, doczekała się aż trzech wydań.

Wiadomości bibliograficzne.

— Akademia Umiejętności w Krakowie. Wydział filologiczny. rok 1893-ci.

Na posiedzeniu dnia 10-go kwietnia pod przewodnictwem prof. K. Morawskiego, prof. Maks. Kawczyński odczytał pracę swoją p. t. „Henri Beyle (Stendhal) w latach młodości.“ Autor na podstawie nowych materyałów, podanych w „Journal Stendhal“ i w „Lettres intimes,“ stara się sprostować i wyjaśnić biografię Henryka Beyle’a, dotąd w wielu miejscach niedokładną i niejasną. Nadto odtwarza jego umysłowy i moralny charakter, tudzież określa jego stanowisko w literaturze, które, pomimo prac i artykułów Balzac’a, profesora Mérimée, Taine’a, Zoli, Bourget’a, Faguet’a, nie jest dokładnie rozpoznane. W dal-szym ciągu prof. Leen Sternbach zdał sprawę z prac swych: w „Sym-bola Gnomica“ autor przedstawia obraz antologii gnomiczno-apoftegma-tycznej. Druga rzecz: „Gnomologium Parisinum ineditum.“ Kodeks paryski „Supplement Grec“ przechował obszerny zbiór gnomiczno-apo-ftegmatyczny. Jako wyciąg z Laertiosa Diogenesa, któremu zawdzię-czać można większą część biograficznych i literackich wiadomości o przedstawicielach filozofii greckiej, Antologia rękopisu paryskiego uchodzi za cenne źródło rękopiśmienne. Prof. dr J. Baudouin de Cour-tenay nadesłał pracę p. t. „Próba teorii alternacyi fonetycznych.“ Część I-sza. Ogólna. Dając tymczasem pierwszą część tego studyum, autor zapowiada drugą szczegółową. We wstępie rozpatruje historię powsta-

nia i rozwoju w literaturze naukowej pojęcia alternacji. Zarodek jego znajduje się już u gramatyków indyjskich, których guna — i vrddhi — przeszły do Europy pod nazwą „Ablaut,“ „Lautsteigerung“ („stopniowanie“) i t. p. W nowszych czasach zmienił się zupełnie pogląd na powstanie stosunku między formą „stopniowaną“ a „niestopniowaną.“ Autor objaśnia, w jaki sposób doszedł do pojęcia alternacji, mówi o swoich wykładach i pracach naukowych, w których stopniowo rozwijał to pojęcie, oraz wskazuje prace innych autorów w tym zakresie (Kruszewski, Radloff, Brandt). Wstęp kończą objaśnienia i określenia niektórych terminów, tudzież objaśnienia znaków i skrótów. Rozdział pierwszy poświęcony jest określeniu alternacji i alternantów, wywodowi pojęcia alternacji drogą etymologiczną i fonetyczną, oraz ogólnemu wskazaniu pierwotnej przyczyny wszelkiej alternacji. Rozdział drugi zajmuje się klasyfikacją alternacji i alternantów. Rozdział trzeci obejmuje: Alternacje, rozpatrywane ze stanowiska przyczynowości antropofonicznej. Analiza i cechy różnych klas. Dywergencje. Przede wszystkim zwraca tu autor uwagę na rozpadanie się jednolitej fonemy, z początku na kilka odcieni, a następnie na kilka fonem osobnych pod wpływem pewnych czynników antropofonicznych, a niezależnie od związku etymologicznego morfem, fonemy te zawierających. Rozdział czwarty traktuje o korrelacjach, czyli alternacjach psycho-fonetycznych. Określiwszy korrelację, jako taki stosunek alternacyjny fonem, przy którym z rozróżnianiem fonetycznym kojarzy się ściśle różnica psychiczna form albo wyrazów, t. j. różnica morfologiczna, lub też semazyologiczna, i podawszy przykłady korrelacji, grających taką samą rolę, co ruchome morfemy słowotwórcze (prefiksy, sufiksy, końcówki i t. p.), przechodzi autor do wyliczenia cech charakterystycznych korrelacji i korrelatyw. W rozdziale piątym jest mowa o alternantach tradycyjnych. Wskazawszy różnicę między alternantami tradycyjnymi a dywergentami i korrelatywami i przytoczywszy kilka przykładów, autor dzieli wszystkie alternacje tradycyjne na dwie wielkie grupy, mianowicie ze stanowiska liczby ewolucji tradycyjnych, przez które przechodziły one w ciągu wieków. Rozdział szósty traktuje o alternacjach obcojęzykowych, t. j. powstałych pod wpływem innego języka. Rozdział siódmy poświęcony jest alternacjom zarodkowym. Druga część tego studium obejmuje: 1) Rozbiór szczegółowy warunków, w jakich powstają alternacje. 2) Klasyfikacja szczegółowa samych alternacji, tak w czasie ich powstawania, jako też i 3) w dalszym ciągu przy utrzymywaniu się ich jedynie drogą tradycji i obcowania językowo-społecznego wogóle. 4) Wskazanie różnych sposobów utylizacji alternantów do celów psychiczno-językowych. 5) Wskazanie granic, czyli limitów, posuwania się alternacji w różnych kierunkach. 6) Roz-

biór szczegółowy różnych nawarstwień alternacyjnych. 7) Wykazanie korespondencji alternacji, odpowiadających sobie wzajemnie w różnych językach. Prócz tego autor zamierza przedstawić szczegółowo: 1) Alternacje sanskrytu; 2) alternacje języków aryo-europejskich, sięgające swoim początkiem wspólnego stanu aryo-europejskiego i 3) alternacje, wspólne wszystkim językom słowiańskim. Oprócz powyższych studyów, sekretarz złożył pracę Bronisława Dembowskiego p. t. „Słownik gwary podhalskiej,” obejmujący przeszło 4,500 wyrazów. Na posiedzeniu ścisłszem Wydział uchwalił prace pp. Sternbacha, Baudouina de Courtenay i Dembowskiego odesłać do Komitetu wydawniczego. Następnie Wydział wysłuchał oceny pracy p. Sabata p. t. „De troporum in Horatti carminibus usu atque ratione” i, zgodnie z wnioskiem referenta, postanowił pracę tę zwrócić autorowi.

— „Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filologiczny.” Serya II. Tom II. Ogólnego zbioru tom siedemnasty. W Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności. 1893.

Zawiera następujące prace: L. Malinowski: „O niektórych wyrazach ludowych polskich. Zapiski porównawcze.” J. Radliński: „Słowniki narzeczy ludów kamczackich, III. Słownik narzecza Kamczadów południowych, ze zbiorów prof. Dybowskiego.” J. Kallenbach: „Szymonowicza dramat „Castus Joseph.” Z. Celichowski: „Ars Moriendi. Rozprawa bibliograficzna.” L. Sternbach: „Curae Menandreae.” K. Morawski: „Jakóba Górskiego życie i pisma.” L. Œwikliński: „Klemens Janicki, poeta uwieniczony (1516—1543).”

— „Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział matematyczno-przyrodniczy.” Serya II. Tom IV. Ogólnego zbioru tom dwudziesty czwarty, (Z VII tablicami i 10 rycinami w tekście). Kraków, 1893.

Książka zawiera następujące prace: Stefan Niementowski: „O pochodnych m-metyl-o-uramidobenzoylu.” M. Raciborski: „Pythium dictyosporum. Nieznany pasorzyt skretnicy (Spirogyra)”—z tablicą. Kazimierz Œorawski: „Uzupełnianie ciągłych grup przekształceń.” Kazimierz Œorawski: „Nieziemienniki różniczkowe pewnej nieskończonej ciągłej grupy przekształceń.” A. Beck: „Przyczynek do fizjologii części lędzwiowej rdzenia pacierzowego u żab.” S. Dickstein: „Zasady teorii liczb Wrońskiego.” Kazimierz Miczyński: „Mieszkańce Zawilców (Anemone L.)”, opracowane pod względem anatomicznym (z tablicą II i III). Władysław Natanson: „O potencyalach termodynamicznych.” A. Mars: „O gruczolaku złośliwym macicy (Adenoma destruens uteri)”, z tabl. IV-tą. D. Wierzbicki: „Spostrzeżenia magnetyczne, wykonane w zachodniej części W. Ks. Krakowskiego w r. 1891.” Edward Jan-

czewski: „Mieszkańce Zawilców (Anemone).“ Część III. Feliks Kreutz: „O przyczynie błękitnego zabarwienia soli kuchennej.“ Ludwik Birkenmajer: „Wypadki pomiarów siły składowej poziomej magnetyzmu ziemskiego, wykonane w Tatrach w r. 1891.“ A. Wierzejski: „Skorupiaki i wrotki (rotatoria) słodkowodne, zebrane w Argentynie,“ (z tabl. V, VI i VII). Ignacy Zakrzewski: „O gęstości i cieple topliwości lodu“ (z 1 ryciną w tekście). Bronisław Pawlewski: „O chlorowęglanie etylowym“ (z 1 ryciną w tekście). K. Olearski: „Nowy sposób mierzenia małych oporów elektrycznych podwójnym mostkiem“ (z 4 rycinami w tekście). Stefan Niementowski: „Przyczynek do charakterystyki związków dyazoamidowych“ (z 4 rycinami w tekście). Władysław Natanson: „Studia nad teorią roztworów.“ Stefan Jentys: „O przeszkodach, utrudniających wykrycie dyastazy w liściach i łądęgach.“

„Acta Rectoralia Almae universitatis studii cracoviensis. Inde ab anno MCCCCLXIX.“ Editionem curavit dr Wladislaus Wisłocki. Tomi I fasciculus I. Cracoviae, 1893.

— *A. Pawiński*. Polen bis 1795 (1889—1891). Sonderabdruck aus den „Jahresberichten der Geschichtswissenschaft.“

Nie pierwsze to już sprawozdanie ze studyów nad przeszłością dawnej Polski ogłasza prof. Pawiński w czasopiśmie niemieckiem, którego tytuł został na czele podany. W roku bieżącym ukazało się jego sprawozdanie z trzechlecia kończącego się w roku 1891. Na samym początku poświęca prof. Pawiński obszerniejszą wzmiankę dwom zmarłym badaczom przeszłości polskiej: Romualdowi Hubemu i Ksaweremu Liszkemu. Następnie wszystkie wydawnictwa źródeł i monografie naukowe zostały uwzględnione w sposób interesujący i pouczający dla obcego badacza. Ze studyów naukowych prof. Pawiński odznaczył szczególną pochwałą pracę prof. Lubowicza, dotyczącą historii reformacji w dawnej Polsce, a opierającą się na dotąd nieznanych źródłach. Prócz tego i „Przewrót umysłowy w Polsce XVIII wieku” Wł. Smoleńskiego został pochlebnie oceniony. Wogóle całe sprawozdanie napisane zostało bezstronnie z wysoką znajomością przedmiotu, i z niego też świat uczony zagraniczny najlepiej się może poinformować o ruchu naszym naukowym w dziedzinie historii polskiej.

ar.

— „Encyklopedia Rolnicza,“ wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

Przerwane na drugim tomie dużego formatu (pierwszy 867 stron, drugi 918) r. 1891 i 4-ch zeszytach tomu III-go, wielkie wydawnictwo tego dzieła znowu rozpoczęło w dalszym ciągu. Podobno przyczyną

przerwy było nieregularne nadsyłanie artykułów przez autorów. Obecnie nowoorganizowany komitet redakcyjny przystąpił do pracy i zapewnia, że nadal dzieło nie ulegnie przerwie. Encyklopedia ma objąć wszystkie gałęzie wiedzy rolniczej. Wydany przed kilkunastu laty tego rodzaju podręcznik został zupełnie wyczerpany. Od tej chwili rolnictwo posunęło się olbrzymio naprzód i wymaga z gruntu nowego dzieła, które-by zamknęło wskazówki według najświeższych wymagań i wyników wiedzy specjalnej. Owoc dotychczasowej pracy (dwa tomy i część trzeciego) zawiera około dwustu artykułów, skreślonych przeważnie przez następujących specjalistów: J. Aleksandrowicza, J. Boguskiego, St. Domańskiego, S. Jentysa, J. Kaczyńskiego, St. Królikowskiego, Fr. Kijewskiego, T. Kowalskiego, A. Okolskiego, G. Plewakę, St. Rewieńskiego i innych. Artykuły, jakkolwiek ciekawe, jednakże dla przeciętnego rolnika za obszernie, dużo bowiem zawierają danych, nie pozostających w ścisłym związku z rolnictwem (np. artykuł o alkoholizmie, zbyt dużo materiału statystycznego, geograficznego, meteorologicznego, weterynaryjnego, botanicznego, obszernie opisy gospodarstw zagranicznych i t. d.). Natomiast przedmioty, bardziej obchodzące naszego rolnika, w wielu razach traktowane są zbyt pobieżnie. Wogóle wszakże wszystkie działy w powyższem wydawnictwie dotychczas opracowane są z prawdziwą znajomością rzeczy przez wytrawnych specjalistów. W dalszym ciągu komitet redakcyjny zapewne bardziej uwzględni stronę praktyczną.

— *Dr Otto Dornblüth*. „Hygiena pracy umysłowej,” przełożył z niemieckiego dr Aleksander Fabian. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1893 r.

Cała rzecz zawiera przestrogi i wskazówki dla ludzi, pracujących umysłowo. Pierwszy rozdział obejmuje pojęcie pracy umysłowej, drugi — rzut oka na warunki sprawności umysłowej. W trzecim autor mówi o odżywianiu tej kategorii pracowników, w czwartym wyluszcza niehygieniczne wpływy umysłowe, dalej w rozdziale piątym wykazuje sposoby wzmocnienia umysłowej sprawności przez wychowanie. Wreszcie (w szóstym) kreśli obraz następstw i oznak nadmiaru pracy umysłowej, oraz daje wskazówki dla ich zwalczenia. Autor nie tylko daje swe rady osobom dorosłym, ale nadto udziela wskazówek pedagogicznych w zakresie nauki dzieci. Zdaniem Dornblütha, jest rzeczą nierozsądną obarczać dzieci podczas pierwszych lat szkolnych jakąkolwiek nauką uboczną. „Nietylko przez to czas, na odpoczynek przeznaczony, zbyttno się skraca, lecz i rozdrobnienie siły tutaj tem szkodliwszem się okazuje, gdyż łatwo pobudliwa wyobraźnia i dziecięcy duch sprzeciwieństwa nader chętnie zaniedbuje zajęć szkolnych na korzyść swobodniej-

szych i próżność łechcących lekcyi muzyki, rysunków i t. p. upodobań. Należy koniecznie naprzód nabyć pewnej stałej podstawy w nauce szkolnej, zanim o takich upodobaniach pomyśleć można, a i wtedy jeszcze przedewszystkiem będzie chodziło o to, czy takie uboczne zajęcia dziecko będzie mogło znosić bez zbytniego obciążenia.“ Wogóle zaś autor zaleca rozpoczynać właściwą naukę szkolną dopiero w 7-ym roku życia. Maksymą dla młodocianego wieku w okresie nauki powinno być: Nie zawcześniesz! Nie za wiele! Nie za prędko! Względem dorosłych autor zaleca zasadę Kanta: na dobę ośm godzin pracy, ośm wypoczynku, czyli rozrywki, i ośm godzin snu. Naturalnie pod wypoczynkiem nie należy rozumieć bezwzględnego próżniactwa, jak również praca i wypocznik nie mogą trwać po ośm godzin z rzędu. Ważną jest uwaga, ażeby w usilnej dwugodzinnej pracy uczynić przerwę, lub się zająć czem innem. Natężenie uwagi młodzieży szkolnej nigdy nie jest tak znaczne, jak przy samodzielnej pracy dorosłych. Stąd nie potrzeba brać za normę dla tych ostatnich pięciu godzin z rzędu pracy uczniów i uczennic w szkole. Wogóle autor zaleca zasadę, nie zawsze łatwą do wykonania: „Wszystko w swoim czasie—praca i wytchnienie!“

Nadto nadesłano do Redakcyi „Biblioteki Warszaw.“ następujące książki:

— *Dr E. Madeyski.* „Dytetyka dzieci.“ przewodnik w zdrowem pielęgnowaniu dzieci od przyjścia na świat aż do dojrzania, wydanie II. Str. 256. Warszawa.

— *Dr A. Sokołowski.* „Leczenie klimatyczne suchot płucnych“ (odezwy kliniczne, wydane przez „Gazetę Lekarską“). Str. 50. Warszawa.

— *Dr M. Wołkowicz.* „O wartości leczniczej salolu w biegunce cholerycznej.“ Warszawa, 1893.

— „Biblioteka Powszechna“ w dalszych zeszytach zawiera: Cyserona „Liliusz, czyli o przyjaźni“, tłóm. E. Rykaczewski. P. Mantegazy: „Wiek nerwowy“, tłóm. J. Wallnera. T. Szumskiego: „Victoria“, powieść. W. Kaczorowskiego: „Poradnik dla tańczących.“ Warszawa. Paprocki. 1893.

— *J. Morosz.* „Na scenie i za kulisami“, powieść. Warszawa. Paprocki. 1893.

— *J. Norman Lockyer.* „Pierwsze początki astronomii“ (z ilustracyami), przełożył W. Skłodowski. Warszawa, 1893.

— *H. Wernic.* „Elementarz o wszystkim“ (nauka czytania z obrazkami). Warszawa. Centnerszwer. 1893.

— *M. Parczewska.* „Obrázky.“ Warszawa. 1893.

- *T. T. Jeż.* „Ze wspomnień odeskich.“ Warszawa.
- *Dr C. Credé i dr G. Leopold.* „Badanie położnicze, krótki przewodnik dla lekarzy, studentów i akuszerok,“ tłóm. dr H. Rundo. Warszawa, 1893. Nakład łódzkiego Towarzystwa lekarskiego.
- *D. Bączkowski.* „Jutrzenka.“ Kijów. Koreywo. 1893.
- *Scholtz dr F.* „Wady charakteru dziecięcego i ich leczenie,“ przeł. J. Wł. Dawid. Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa, 1893.
- *Nowakowski Erazm.* „Poradnik dla początkujących nauczycieli fortepianu.“ Warszawa, 1893.
- *Braun dr Stanisław.* „Rzecz o cigciu cesarskiem.“ Kraków.
- *Chłapowski dr Franciszek.* „Spis i streszczenie prac, dotyczących fizyografii W. Ks. Poznańskiego.“ Poznań.
- *Colonna O. Ludwik.* „Kurrita,“ powieść w dwóch tomach. Z oryginału hiszpańskiego przełożył E. P. Warszawa, 1893.
- *Czerwiński X. Marcin.* „Albania,“ zarysy etnograficzne, kulturalne i religijne. Wydanie ilustrowane. Kraków, 1893.
- *Gawarecki Zygmunt.* „Pielęgnowanie czerwca polskiego (*Coccus polonicus*).“ Lwów, 1893.
- *Grzegorzewicz W.* „O mowie ludowej we wsi Łukowcu w powiecie Garwolińskim.“ Kraków.
- *Lubiński Zygmunt.* „Krótki rys fabrykacyi cukru.“ Przedruk z „Encyklopedyi Rolniczej.“ Warszawa, 1893.
- *Nussbaum Hilary.* „Przewodnik judaistyczny, obejmujący kurs literatury i religii.“ Warszawa, 1893.
- *Śniegocki A.* „O hodowli świń,“ poradnik dla gospodarzy i gospodyń. Warszawa, 1893.
- *W. z W. J.* „Starożytny Egipt pod względem historii, religii, cywilizacyi i obyczajów.“ Lwów, 1893.
- *Zdziechowski Maryan.* „Karol Hynek Macha i bajronizm czeski.“ Kraków, 1893 roku.
- *Wiśniewski Feliks.* „Duch i materya,“ pogląd filozoficzny. Warszawa, 1893.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z ROKU 1893.

Filozofia.

	<i>Str.</i>
Nowy pogląd filozoficzny u nas, przez Fl. K. Gąsiorowskiego	599

Historya.

Prawa Władysława IV do korony carskiej, przez Adama Darowskiego	1 i 268
Grzywny karne w dawnej Polsce i najdawniejsza nasza grzywna mennicza, przez Ant. Małeckiego	154
Mitologia, jej dzieje, metoda i wyniki, przez A. Brücknera	490

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Przyszła wojna, jej ekonomiczne przyczyny i skutki (ciąg dalszy), przez J. Blocha	88, 418 i 616
Przewrót w produkcyi środków żywności, przez K. R. Żywickiego. . .	324
Ruch agrarny w Niemczech, przez A. Donimirskiego	578

Literatura.

Siostry, przez Zofię Kowerską (ciąg dalszy i dokończenie) . .	37, 241 i 524
Chopin: Preludjum Nr 15 (poezya), przez L. Rydla	141
Bądź błogosławiona, legenda indyjska, przez Henryka Sienkiewicza . .	359
Z wrażeń włoskich. Nervi, przez Henryka Sienkiewicza	483
Amor i Psyche (poezya), przez K. M. Górskiego	596

II

Studia i szkice literackie.

	<i>Str.</i>
Nowe ideały Bourget'a, przez W. Bogusławskiego	362
Notatka (Fragmenty nieznane z Dziennika podróży do Ziemi Świętej, Juliusza Słowackiego), przez Leopolda Méyeta	182

Nauki przyrodnicze.

Granica pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym w świetle nowszych badań, przez d-ra J. Nussbauma	66
---	----

Krytyka.

Romana Zawilińskiego „Mikołaj Rej z Nagłowic,” przez Józefa Przyborskiego	190
„Prace około historii i teorii sztuki,” przez Wojciecha Gersona	196
Wojciecha Gersona „Przywilej Opatowski,” przez H. Struwego.	203
Prof. d-ra Wład. Abrahama „Organizacja kościoła w Polsce do połowy XII wieku,” Aleksandra Kraushara „Dzieje Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego,” d-ra Bolesława Ulanowskiego „Trzy broszury prawne z r. 1607 i 1612” i Ptaszyckiego „W sprawie wydań i komentarzy litewskiego statutu,” przez A. Rembowskiego 377, 384, 637, 644	
Ostoi „Nowelle,” Zygmunta Niedźwieckiego „Nowelle i szkice” i Jadwigi z Wittów Korzeniowskiej „Nad siły,” powieść, przez W. Kosiakiewicz	389, 394, 646

Kronika zagraniczna.

<i>Galicyska</i> przez U. Rosprawy w austriackiej Radzie państwa o administracji skarbowej w Galicji. Uciążliwość dotychczasowych przepisów podatkowych i trudność ich wykonania. Mowa w tym przedmiocie posła krakowskiego, doktora Weigta, i odpowiedź ministra skarbu. Przemówienie posła Jaworskiego i sprawozdawcy Kozłowskiego. Subskrypcya na konwersyjną 4% pożyczkę galicyjską. Stopa procentowa i kurs listów zastawnych i obligacyi krajowych. Mnożenie się sklepików chrześcijańskich po wsiach. Trudność wytworzenia organizacji w celu wspólnej sprzedaży własnych produktów gospodarczych, lub wyrobów przemysłowych. Akcyjne Towarzystwo handlowe. Walne zebrania Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Towarzystwa gospodarskiego i Towarzystwa wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych. Przedmioty, przygotowywane na sejm: ustawa o popieraniu budowy kolei lokalnych; ustawa gminna dla miast i miasteczek; budżet na r. 1894. Przygotowania do wystawy krajowej.	145
--	-----

<i>Paryska.</i> „Wiek dziewiętnasty“ J. Grand-Cartenet'a. „Napoléon intime“ Artura Levy'ego. „Paryż nieznany“ (Paris intime), przez Pawła Straussa, z ilustracjami układu p. Konstantego Chmielińskiego. Rysunki pp. Pilińskiego i Kazimierza Dobrzyckiego. Wspomnienia Toqueville'a. Antagonizm między mężczyznami i kobietami w literaturze i w nauce. Kurs p. Larroumet. „Zmierzch“ (Crépuscule) Maxyma du Camp. „Zarysy literatury współczesnej“ Pellissier'a. Nowi akademicy i kandydatura Emila Zoli. Przyjęcie prof. Lavisse'a. Uroczystość w Hawrze na cześć Kazimierza Delavigne .	297
<i>Wiedeńska,</i> przez E. Lipnickiego. O sesji zimowej parlamentu. Fryderyk Nietzsche. Poeta czeski; ze wspomnień osobistych. Wystawa obrazów. Z teatrów.	556

Kronika miesięczna.

<i>Kwiecień.</i> Srebrne wesele królestwa włoskich i odwiedziny cesarza Wilhelma w Rzymie. Polityczny charakter tych uroczystości. Utrwalenie się rzeczypospolitej we Francji. Przewrót rządowy w Serbii. Wniosek Nyssensa w parlamencie belgijskim o przyjęciu głosowania powszechnego. Konwersja listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Zjazd górników w Warszawie. Pociągi robotnicze na drogach wiedeńskiej i dąbrowskiej. Tańsza taryfa na przewóz węgla dąbrowskiego. Organizacja kas dla robotników w zakładach hutniczych. Potrzeba wytworzenia szkół fachowych, niezbędnych dla rozwoju produkcji kopalniano-hutniczej. Ograniczenia, zastosowane do techników obcokrajowych. Reforma inspekcji fabrycznej. Przymusowa asekuracja od nieszczęśliwych wypadków. Ruch w zakresie ubezpieczeń. Odczyty pp. Juliana Ochrowicza i Edmunda Jankowskiego na rzecz Osad rolnych. Prelekcje na dochód Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Potrzeba ułatwienia komunikacji z okolicami przedmiejskimi. Spekulacja budowlana i katastrofa w Łodzi. Zmarli: Jan Quattrini, Adam Herman, Anna z Bilińskich Bohdanowiczowa	206
<i>Maj.</i> Rozwiązanie parlamentu niemieckiego, z powodu odrzucenia ustawy wojskowej. Odczyty na Osady rolne pani Marrenowej, pp. J. Kotarbińskiego, A. Pileckiego, J. Keniga i Peplowskiego. Sprawozdania z działalności Osad rolnych w Studzieniu i w Puszczy. Przekształcenie Instytutu gospodarstwa wiejskiego w Nowej-Aleksandryi i postanowienie utworzenia niższej szkoły rolniczej w Końskowoli. Rozwój Towarzystwa ogrodniczego. Wystawy artystyczne. Program wystawy kolumbowskiej. Numer jubileuszowy „Gazety Sądowej.“ Ostrzeżenie d-ra Laskowskiego z Genewy pod adresem kandydatek na studentki. Zmarli: Józef Bliziński, Marcelli Guyski, Edward Maryan de Galli, Wacław Holewiński, Adolf Franck . .	398
<i>Czerwiec.</i> Wybory w Niemczech. Ich rezultat. Interesa partyjne. Nie-wiara w alarmy. Reakcja przeciw militaryzmowi. Prądy społeczne. Z delegacji austriacko-węgierskich. Rozporządzenie rządowe, do-	

tyczące Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Konwersja i jej rezultaty. Kanał Przemsza-Bzura. Co warto sprawozdania pośpieszne? Brak praktycznych podręczników dla ziemian. Jaką istotną ma wartość „Encyklopedia Rolnicza?” Jubileusz d-ra Natanson i prof. Aleksandrowicza. Zasługi tego ostatniego względem ogrodnictwa. Projekt p. E. Jankowskiego ogrodów dla działwy. „Corso” i hojność uczestników tej zabawy. Kolonie letnie dla działwy miejskiej. Brak środków na dostarczenie świeżego powietrza podrzutom. Nowe odkrycia tajemnic garnuszkowych. Broszura d-ra Sokołowskiego. Lekceważenie stacy klimatycznych w kraju. Czy jest sposób podniesienia tych stacy i urządzenia nowych? Potrzeba ułatwienia przejazdu dla chorych. Zniżenie ceny biletów na kolei Terespolskiej. Z rokiem każdym doszła się nasze miejscowości lecznicze. Niekłań. Brak oddziałów dla suchotników przy szpitalach. Co się stało z dozorczyńiami chorych? Kwestya kobieca na podkładzie fizyologicznym. Towarzystwo ratowania tonących. Powódź czerwcową. Aleksander Walicki. 650

Wiadomości bibliograficzne.

Kwiecień	227
Maj	474
Czerwiec	672

Dyskussya.

Odpowiedź p. J. Wł. Dawida na ocenę książki jego „Nauka o rzeczach,” przez p. Gąsiorowskiego napisaną i w zeszycie marcowym „Biblioteki” umieszczoną, oraz replika p. Gąsiorowskiego	233
--	-----

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Józef Weyssenhoff.

Handwritten text, mostly illegible due to fading and bleed-through. Some words like "The" and "of" are visible.



